http://rcin.org.pl

P.T. 1364
BIBLIOTEKA
Instytutu Badań
Literackich PAN

GABINET CZYTANIA

TO JEST

ZBIÓR POWIESCI, ROMANSÓW

TUDZIEZ ARTYKUŁOW

NAUCE I ZABAWIE POŚWIĘCONYCH.

OZDOBIONY RYCINAMI NA MIEDZI.

TOM

CZYTELNI
JANA A. PELARA
W RZESZOWIE

WARSZAWA

W KSIĘGARNI F. S. DMOCHOWSKIEGO, PRZY ULICY NOWO-SENATORSKIEJ
pod Nr. 476 Lit. D.

1835.

http://rcin.org.pl

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

P.I. 1364

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Pieczary pod Mastrychtem.

http://rcin.org.pl

GABINET CZYTANIA

TO JEST,

ZBIÓR POWIEŚCI, ROMANSÓW

TUDZIEŻ ARTYKUŁÓW

NAUCE I ZABAWIE POŚWIĘCONYCH.

OZDOBIONY RYCINAMI NA MIEDZI.

ŻONA ROZBÓYNIKA.

Powieść z francuzkiego.

Szczęście przestało sprzyjać stronnikom Frondy, Kondeusz, Konti i Longueville, zostali uwięzieni na rozkaz królowéj Anny. Było to w roku 1640; wielu bardzo z ich stronników miano także uwięzić, a między niemi i znaną Marion Delorme, gdy w tém rozeszła się wieść że jest bardzo chora, a wkrótce potém, że umarła. Wyprawiono jéj świetny pogrzeb, któremu się cały Paryż przypatrywał.

Przy odgłosie dzwonów, orszak pogrzebowy przeciągał przed oknami domu nowożytnéj Lais, z kąd niedawno tyle uśmiechów, nadziei, pocałunków spadało... Uspokójcie się wielbiciele płci pięknéj, Marion nie jest jeszcze bladym trupem, zstępującym do grobu... posłuchajcie.

»Nalewaj kawalerze, i pijmy za pomyślną podróż pięknéj Delorme.... Dalibóg jak to jest miło przypatrywać się własnemu pogrzebowi, z kieliszkiem szampana w ręku!

—»Na kości twego ojca! śmierć twoja kochana Marion, będzie najweselszém zdarzeniem w twojém życiu. Śpiewajcie *wieczny odpoczynek!* Ta którą niby prowadzicie do grobu, nigdy nie była tak żywą! Głośne pocałowania i śmiechy, zatłumiły pieśn grobową.

—»Powiedz mi Grammont, czy kto z pogrzebnego orszaku nie spojrzał w okno? Powinnam zważać aby nie wzbudzić podejrzenia. Mazyrini pewnieby nie żartował; wiesz iak mię nienawidzi. Patrzaj, tłum zbiera się pod oknami; może usłyszano nasze nierozważne śmiechy.

—»Chcesz, rzekł kawaler nieco rozmarzony, to im powiem niechaj się nie smucą, bo ty sama śmiejesz się z twego pogrzebu.

—»Wesoły żartownisiu!.. Niestety! twoja płocha wesołość przypomina mi mojego Henryka d'Effiat.

—»Ach! s. p. pana Cinq-Mars, który, jak powiadał Richelieu, za wysoki był o głowę. Dalibóg! twoje miłostki z nim, są rzeczą tak dawną, jak

http://rcin.org.pl

wieże naszego kościoła katedralnego! Dziwię się, że jeszcze przypominasz sobie o nieboszczyku, kiedy tylu żywych klęczy przy nogach twoich.

—»Daj pokój tym przykrym wspomnieniom i kiedy rzucają piasek na moją głowę, pomóż mi oblać ją wonnością z jaśminu.

—»Na twoje oczy! zawołał kawaler, gdy Marion Delorme zasiadła do toalety: nigdy nie byłaś tak piękna, jak dziś po śmierci; zgon upiększył cię jak sławę poety.

W rzeczy saméj, Marion Delorme przeglądała się w wielkiém weneckiém zwierciedle, podobna do obrazu Albana. Czarodziejka zaczynała już rok czterdziesty czwarty, a nikt w świecie nie byłby jéj przyznał więcéj niż lat dwadzieścia; posiadała jeden z tych rzadkich talizmanów, które zdają się oddalać wpływ starości. Połowa wieku prędzéj przeszła, niż wiosna Maryi Delorme. Jéj włosy miękkie, czarne i świecące się, rozdzielone były na dwa równe puklę, a spadając po obu stronach twarzy, kształciły hebanową oprawę, dla téj zachwycającéj postaci. Za zwyczaj, zakładała w ubranie na głowie kilka naturalnych astrów; strój ten czynił ją podobną do jednéj z nimf Owidyusza. Marion miała oko czarne, błyskające ogniem miłości; na jéj płci rzadkiéj białości, rozpościerał się lekki pokład karminu, odznaczający delikatne i kształtne usta. Pierś naszéj bohatyrki, przewyższała w białości najpiękniejszy marmur z wyspy Paros. Marion była średniego wzrostu, zgrabna, lekka, wolna od zbytecznéj otyłości. Miała piękną rękę, małą nóżkę, jéj ruszenie było żywe i wdzięczne... Tak zachwycające powaby, powiększała jeszcze fizyonomia pełna wyrazu, bez któréj wszystkie wdzięki, tracą swoją potęgę. Ale u Maryi Delorme, fizyonomia ta nie była ani dziełem sztuki, ani wyrazem duszy: gdyż w tak pięknem ciele, mieszkała dusza pospolita, bez dowcipu i bystrości. A przecież, uwielbiać trzeba było wrażenia malujące się w spojrzeniu, uśmiechu i ruchawości jéj rysów.

Przybycie trzeciéj osoby przerwało jej rozmowę z panem de Grammont. Mocna sprzeczka powstała w pobliskim pokoju, i nagle ktoś poskoczył ku drzwiom budoaru. Marion zbladła, kawaler dobył szpady. —»Głupia dziewczyna! zawołał najładniejszy z paziów, wchodząc mimo oporu garderobiany: powiadam że jestem przyjacielem, a nie chce mię słuchać.

—»Na honor, rzekł kawaler zastępując mu z bronią w ręku, ta dziewczyna ma słuszność. Czego tu chcesz?

—»Przychodzę w samą porę. Panie de Grammont złóż twój oręż, dziś nie jestem usposobiony do potyczki. I to mówiąc, paź rzucił na krzesło szeroki kapelusz, ozdobiony białém piórem.

—»To Ninon! zawołała Marion Delorme, ściskając piękną maskę.

—»Ach pani! przebacz mi, odpowiedział kawaler zmieszany cokolwiek, a przyklęknąwszy na jedno kolano, złożył oręż u nóg panny de Lenclos i przydał: »Już od dawna chciałem bydź pani hołdownikiem, a tymczasem przyjmij broń moją.

—»Wstań kawalerze, odpowiedzia-

http://rcin.org.pl

ła Ninon śmiejąc się: twojéj przyjaciołce nadaję władzę obdarzenia cię, gdy się zdarzy pora, wszystkiemi zaszczytami wojennemi. A teraz zajmijmy się czém inném. Jest to rzecz bardzo przyjemna, patrzyć na swój własny pogrzeb, ale trzeba postępować roztropnie, a zapomnieliście o tém. Xiąże de Brissac, mój kochany Grammont, nie zapomniał bynajmniéj, że pewnego razu pożyczyłeś od niego płaszcza, aby pójść do Maryi Delorme którą kochał wtedy, i kazałeś mu potrzymać swego konia przez ten czas, kiedy się bawiłeś z jego kochanką. Sądzę, że nie zadowolnił się raną którą potém otrzymał w pojedynku; zapewne powodowany dawną urazą i domyślając się twojego podstępu, wmieszał się do pogrzebowego orszaku. Słuch kochanka, łatwo rozróżni głos szczęśliwego rywala. Brissac zgadł co się dzieje i o wszystkiém doniósł natychmiast Mazaryniemu. To szczęście, iż Blot szambelan xięcia Orleanu znajdował się wtedy u kardynała, a wiedząc że jestem przyjaciołką Maryi, uprzedził mię, iż minister rozkazał panu de Comminge, dowódzcy gwardyi, uwięzić pannę Delorme, aby tak ochoczo nie śmiała się po śmierci.

»Nie chciałem, mówił daléj udany paź, wejść do tego domu w kobiecych sukniach, gdyż wszyscy poznaliby Ninonę. A przecież trzeba było niezwłocznie uwiadomić cię o co idzie. Nie mogłem zdać się na posłańca, ani też powierzyć się komukolwiek. Gdy w tém, szczęśliwym trafem wszedł do mego budoaru pan de Comminges, który od trzech tygodni zaleca się do mnie.

»Tyżeś to panie hrabio! zawołałam z uśmiechem tak wdzięcznym jak tylko mogłam; gdyż nagle postanowiłam co mam czynić i dowódzca gwardyi był mi potrzebny. Co za szczęście, mówiłam daléj pieszczonym głosem, sprowadza cię do mojego domu.

—»Piękna tygrzyco! (zważajcie proszę na ten przydomek) jakiżby inny urok to uczynił, jeżeli nie twoje piękne oczy?

—»Ładny masz szpencer panie Comminges, jakże pięknie obszyty koronkami! jakie ładne hafty!.. Ach! pozwól, niechaj się przypatrzę temu kapeluszowi, przy którym z takim wdziękiem kołysze się to białe pióro... W rzeczy saméj, już od dawna nie widziałam tak pięknego ubrania.

—»A teraz jeszcze jest piękniejsze, skoro się tobie podobało.

—»Bardziéj niż wypowiedzieć mogę.

—»Niestety! odpowiedział hrabia z zapałem, padając mi do nóg, co za szkoda że te słodkie słowa ściągają się tylko do mego szpencera, kiedy pod nim bije serce tchnące miłością dla ciebie.

—»Wstań panie, nie jest to stósowna pora do tak poważnych rozmów. Pusta myśl przychodzi mi do głowy.

—»Powiedz, czarująca dziewczyno! twoje pustoty są jeszcze urokiem.

—»Nie dawno pani de Chatillon mówiła do mnie, iż źle mi będzie w sukniach męzkich, i z uśmiechem złośliwym przydała, iż suknie i spódnice są doskonałym wynalazkiem dla niekształtnego ciała. Otóż bardzo pragnęłabym dowieśdź téj damie, że nie mam niekształtnéj postaci... Gdyby to nie było prawdziwém szaleń-

http://rcin.org.pl

stwem, prosiłabym cię kochany hrabio, o suknie, które teraz masz na sobie.

—»Dalibóg, gotów jestem pojedynkować się za tak piękną sprawę i utrzymywać aż do kresu życia, że jesteś najdoskonalszym wzorem piękności... Weź moje suknie... chociażbym biorąc je znowu, miał się spalić żywcem, jak Herkules pod szatą Dejaniry.

»Rozmowa ta, której pewne okoliczności pomijam, przedłużyła się jeszcze... Cóż ci powiem moja przyjaciołko? chciałam cię ratować. Comminges wzdychał już od trzech tygodni... Widzisz mię w jego sukniach.

—»Ale gdzież, kochana przyjaciołko, zostawiłaś hrabiego? zapytała się pani de Delorme.

—»Tam, skąd nie wyjdzie bez mojego pozwolenia.

—»Przewybornie! zawołał Grammont. Nikt prócz panny Lenclos nie wymyśli takiego podejścia. Dowódzca gwardyi uwięziony w buduarze, w chwili, gdy wybierał się uwięzić pannę Delorme! Dałbym tysiąc luidorów, gdybym je miał, ażeby taki figiel mógł mi przyjść do głowy. Rozkosznie!.. Z resztą, łotr ten jest szczęśliwym jeńcem.

»Kochana Marion, żywo odpowiedziała Ninona, nie traćmy czasu na gadaniu; słońce dziś zachodzi wcześniej jak za zwyczaj; noc wkrótce zapadnie, trzeba wynieść się bez hałasu ogrodową furtką, opuścić Paryż i Bóg wie gdzie oddać honory wojenne kawalerowi, uiszczając się z mojego długu.

—»Dobra i wierna przyjaciółko! rzekła Marion ściskając tę, która jéj tak gorliwie służyła. Iluż trosk i trudów nabawiam cię!

—»Dziecko jesteś! to mię tak mało kosztuje:

—»Bez wątpienia! rzekł kawaler z uśmiechem na pół wesołym, na pół złośliwym, czy przyszła kolej pana de Comminges?

—»Nie ze wszystkiém, odpowiedziała Ninon, nie mieszając się wcale. Ale przyśpieszaj odjazd; nie mogę tu dłużej zostawić kawalera.

Obie przyjaciółki długo zostawały w objęciach wzajemnych. Kawaler chciał także pocałować pannę de Lenclos.

—»Nie odjedziesz, panie de Grammont: rzekła, miękko odpychając go od siebie.

—»Nie, kochana Ninon, on zostaje: odpowiedziała pana Delorme: a wkrótce nowe miłostki... Gdybym śmiała powiedzieć co mi przychodzi na myśl...

—»Dla czegóż nie? rzekł Grammont.

—»Powiem zatém, iż byłabym szczęśliwa z niewierności kwalera, gdyby przy tobie Ninono, zapomniał o mnie.

—»Przyjaciółko, odpowiedziała Ninona, umarłaś tylko dla żartu; nie czas jeszcze otwierać twój testament... bądź zdrowa.« To rzekłszy, ładny paź z żywém uczuciem uściskał pannę Delorme i wybiegł z pokoju.

Saint-Evremond, dawniejszy kochanek Maryi, znajdował się wtenczas w Londynie. Marjon zaraz na początku udanéj choroby, z której umrzeć postanowiła, napisała do niego, aby dla niéj wyszukał pomieszkanie. Poeta uradowany że od-

http://rcin.org.pl

zyska względy kobiety którą jeszcze kocha, natychmiast uczynił zadosyć jéj życzeniom i najął jéj piękne pomieszkanie w Pikkadylli.

Za nadejściem nocy, panna Delorme przebrana po męzku, wyszła skrycie fórtką od ogrodu. Grammont czekał na nią z dwoma końmi, wskoczyli na siodła i ruszyli do Anglii.

Ninon zobowiązała się, zatrzymać pana de Comminge tak długo jak tylko będzie mogła; nasi podróżni ufali téj obietnicy. Ninona umiała uwięzić kochanka dopóki sama chciała. W jéj oczach był niezwyciężony urok. Jakoż, dowódzca straży rozstał się z nią dopiero o jedenastéj, a północ biła kiedy wszedł do domu panny Delorme, z uzbrojonym oddziałem. Znalazł tam samą tylko garderobianę, gorzkiemi łzami płaczącą zgonu swojéj pani. Comminge ani na chwilę nie pomyślał iż go oszukała kochanka: miłość własna jest najmocniejszą obroną łatwowierności. Zacny dowódzca poczytał doniesienie zazdrosnego Brissac za urojone i utrzymywał że Marion umarła i została pochowaną.

Utrzymywał to jeszcze, gdy w dziesięć dni potém Mazaryni pokazał mu angielską gazetę, opisującą szczegółowo podróż zbiegłéj pary. O trzy mile za Paryżem, kochankowie znaleźli tak wygodny powóz, jaki bydź mógł w owym czasie, kiedy sztuka ich robienia małe uczyniła postępy. W Calais, Grammont rozstał się z Marion Delorme: nie mógł bowiem opuścić Francyi. Czułe były ich pożegnania, ale bez zaleceń i bez zaręczania wzajemnéj wierności: wiedziano, iż rozłączenie się zrywa związki które zawarła rozkosz. Kawaler wsiadł do powozu; piękna awanturnica powierzyła morzu swe losy i siedząc przy maszcie, długo spoglądała łzawém okiem na kurzawę pośród któréj oddalał się Grammont. Między płomieniem znikającym, a tym co po nim nastąpi, serce jakkolwiek płoche, czuje zawsze jakiś żal i tęsknotę.

Marion wzięła z sobą około tysiąca luidorów, a za dwa razy tyle drogich kamieni: był to jéj cały majątek. Tylu mając kochanków, nigdy nie powodowała się chciwością; tak bezinteressowna jak Ninona, podarunek obrażał jéj dumę, jeżeli ofiara ta nie była czyniona z jak największą delikatnością a nawet i podejściem. Panna Delorme postępowała z wielkiemi panami jak gdyby byli jéj równi, utrzymując, że równość powinna panować w kochaniu. »A nie może utrzymywać się, mówiła, między kochanką która się przedaje, a kochankiem co ją kupuje. Kobieta staje się niewolnicą, skoro uczucia swoje i wdzięki czyni przedmiotem kupna.« Te zasady nie mogły zgadzać się z przedajnością, zwyczajnym przewodnikiem zalotnic i dla tego majątek panny Delorme był bardzo szczupły. Jéj bogactwo podobnie jak poetów i wojowników, polegało na bezowocnéj głośności. Piękność nie troskająca się o nic, myślała żyć w Londynie, jak żyła w Paryżu, ode-dnia do dnia, na łonie uciech i roskoszy.

Saint-Evremond chciał umiarkować trochę tę filozoficzną niedbałość.

—»Posłuchaj mię, rzekł do niéj, każdy twój dzień ubiega po ścieszce

http://rcin.org.pl

kwiatami okrytéj; wonném powietrzem oddychasz, przed oczyma twojemi rozciąga się czarodziejska zasłona i zakrywa przyszłość, nie tak miłą a może, nawet nieco smutną. Żyjesz miłością, jak kwiaty żyją rosą, nie myśląc o zbliżającéj się starości. A przecież starość przybywa obciążona potrzebami jeźli nie chorobą; nie pogardzaj nią, mogłaby cię obarczyć całym ciężarem nieszczęść.

—»Znosiłabym je, mój przyjacielu, ze spokojném sercem i uśmiechem na ustach.

—»Nie, moje dziecię, gdyż wiek nie tylko zsyła cierpienia ale razem pozbawia rozkoszy, która w nich pociesza.

—»Ale nie pozbawia odwagi, która znosi cierpliwie.

—»Ach! gdzieżeś nabrała téj cnoty? Całe życie twoje zajęte było uciechami; usłuchaj mię, bądź roztropną.

—»Ach! i cóż mi doradzasz.

—»Abyś poszła za Lorda Beresford, który zakochany i niepamiętny o przeszłości, zaprowadzi cię do ołtarza.

—»Przyznaj, że to jest smutna ostateczność! Ileż to razy odmówiłam ręki Francuzowi, a teraz mam pójść za Anglika? jednakże, mogłabym się skłonić...

—»Śpiesz się więc, gdyż lord Beresford raz uniesiony miłością, to znowu zachmurzony splinem, wacha się między małżeństwem a samobójstwem: od ośmiu dni jest koléj czułości, korzystaj z niéj... Powiedz przychylne słowo lordowi; jutro będzie twoim małżonkiem, a dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów, staną się twoją własnością.

W osiem dni po téj rozmowie, Marion Delorme, nazywała się lady Beresford. Saint-Evremont, który dał melancholicznemu anglikowi tak piękną towarzyszkę, był, jak się tego domyślamy, przyjacielem domu. Ale ta piękność, która przez ćwierć wieku panowała na zalotnym dworze, nie mogła uśmierzyć dłużéj jak przez trzy lata, zimnéj rozpaczy człowieka, co może chwycił się małżeństwa, jako ostatniego lekarstwa w chorobie bez nadziei.

Pewnego poranku wszedł do jéj pokoju i rzekł do niéj: »Bądź zdrowa milady, odbędę krótką podróż, ale chciałem uściskać cię przed wyjazdem.» Pocałował ją w czoło i wyszedł gwiżdżąc nutę myśliwską.

Przyjaciołka Ninony, na pół uspiona, zaledwie usłyszała lorda, zaledwie uczuła jego zimne pocałowanie; a przecież lord Beresford wybierał się, w brew temu co powiedział, w bardzo długą podróż. Wkrótce wystrzał zbudził ją ze snu, a wtedy pożegnanie Anglika zabrzmiało w jéj uchu, jakoby żałosne echo. Niespokojna, wyskakuje z łóżka... hałas słychać w pałacu; dzwoni, nikt nie przychodzi; przestraszona wybiega do pobliskich pokojów i za pierwszym krokiem słyszy te słowa: »Pani! milord się zastrzelił.

Kobieta zawsze ma łzy na zawołanie, nawet wtedy gdy jéj serce nie czuje żalu, lecz lady Beresford szczerze żałowała bardzo wyrozumiałego małżonka, który zostawił jéj dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów.

Wdowa, chociaż doszedłszy 47go roku życia, zawsze zachowała czarującą piękność, zawsze kształtna i

http://rcin.org.pl

lekka jak nimfa, tysiące miała partyi, lecz niczyjéj ręki nie przyjęła. Człowiek, który jéj nie ofiarował swojéy, obudził w niéj pierwsze ognie młodości, był to kawaler hiszpański, jak mówiono, z ogorzałą twarzą, z czarnym włosem, wyższy o głowę nad wszystkich... Marion liczyłą go z razu w liczbie swoich zdobyczy, a potém ofiarowałą mu swoją rękę.

—»Pani, odpowiedział, życie moje nie jest takie jak drugich, nie mogę postępować podług zwyczajnych prawideł. Wyrazy twoje przejęły mię radością, a przecież nie mogę odpowiedzieć na nie tak, jakbym tego pragnął... Kocham cię nad życie, ale teraz nie mogę zostać twojem mężem.

—»Powiedz raczéj że nie chcesz, don Alfonsie, wiem dla czego... moja słabość...

—»Nie, ubóstwiona Miledy, tak piękna kobieta jak ty jesteś, nigdy nie może stracić praw swoich do serca kochanków, lecz powtarzam ci, że tu, na ziemi Wielkiéj Brytanii, nie wolno mi jest zawierać związków małżeńskich.

—»Nie rozumiem Alfonsie, co znaczą te słowa.

—»A ia nie mogę na teraz tłomaczyć się jaśniéj, lecz jeżeli postanowiłaś wrócić do Francyi, spotkasz mię wtenczas, kiedy się najmniéj tego spodziewać będziesz.... Wtedy zostanę twoim małżonkiem, ieźli się nie zmienią twoje uczucia.

—»Panna Delorme gubiła się w domysłach o tajemnicy, iaką okrywał się piękny hiszpan, nawet dla téj, która mu się zupełnie oddała. Saint-Evremont przestrzegał ją, aby nie ufała temu człowiekowi, lecz wdowa lorda Beresford, nie mogła powściągnąć namiętności swojéj. Miłość i roztropność nie podróżują tą samą drogą; to co wiedziała o Don Alfonsie, czyniło ją nietroskliwą o resztę, i pragnęła jedynie oddać mu swoją rękę. Dla tego więc nalegała jak najusilniéj, aby jéj wolno było powrócić do Francyi. Ninona pracowała bez ustanku, aby rozproszyć uprzedzenia, które przeciw pannie Delorme powstały..... Jéj poświęcenie nie oszczędzało ofiar, których zawsze od niéj domagano się ilekroć o co prosiła, a na szczęście, bogatą była w dobro, jakiego spodziewano się po jéj wdzięczności. Mazarin chciał korzystać z tego zdarzenia i napisał do niéj, prosząc, aby przybyła do niego, dla naradzenia się względem powrotu Maryi Delorme. Ninona nie przyjęła zaproszenia, a Mazarin niezatrzymany próżnemi względami etykiety, sam przyszedł do jéj pomieszkania. Warunki ich umowy pozostały tajemne, ale nazajutrz, goniec zawiózł lady Belesford pozwolenie wrócenia do Francyi.

Don Alfons był u Maryi Delorme, kiedy odebrała tę odpowiedź i słyszał jak wyznaczała dzień do wyjazdu.

—»Mój odjazd," rzekł: wprzódy niż twój nastąpi. Aż dotąd nie mogłem przewieśdź na sobie, aby się oddalić z Londynu: ale ponieważ mam nadzieję iż wkrótce połączę się z tobą na zawsze, śpieszę zakończyć kilka interessów w Niderlandach, a potém złączemy się. Przed odjazdem uporządkuj twoje interessa. Spieniężyć wszystko co posiadasz, byłoby najroztrop-

http://rcin.org.pl

niéj; pokój między Anglią i Francyą, jest bardzo niepewny i słaby; i mogłabyś narazić twój majątek na przypadek wojny. Dobra szkatuła najlepiéj ocalić może to, co posiadamy.»

—»Roztropne są twoje rady Alfonsie; lubię ich słuchać, przekonywają mię że ten którego kocham, ocenia jak swoje własne, mój majątek i przeznaczenie.

Czułe i długie były pożegnania zakochanéj pary. Gdy nadeszła chwila odjazdu, łzami zalała się piękna twarz Maryi Delorme. Po raz pierwszy opłakiwała ulotne szczęście, gdyż po raz pierwszy jéj serce nie zawierzało pociechom, które przynosi niestałość. Lady Beresford uczuła nareście w czterdziestym siodmym roku życia, tę miłość prawdziwą, która z nieba zstępuje i którą tak prędko uszkadzają ziemskie namiętności nasze. Osobliwszém przyrodzenia zjawiskiem, czysty płomień zapalał się tak późno w nieczystém sercu.

Marion Delorme, idąc za radą don Alfonsa, zmieniła na złoto swoje dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów i zabrała je z sobą. Nasza wdowa tylko co stanęła w Douvres, znalazła natychmiast statek przewozowy. Wiatr był pomyślny, jak mówił żeglarz, Lady Beresford wsiadła na statek tegoż samego wieczora, z garderobianą i chłopcem służącym. W nocy podniesiono kotwicę. Podróżni nasi nie mało zdziwili się, postrzegłszy iż prócz nich i majtków nikogo nie ma na statku; lecz ich podziwienie podwoiło się, gdy po dziesięciu godzinach żeglugi, nic jeszcze nie postrzegli prócz morza, w przeprawie najwięcéj osiem mil fran. wynoszącéj. Marion zapytała się kapitana, czy prędko dopłyną do brzegów Francyi.

—»Nie wylądujemy przy brzegach Francyi: odpowiedział kapitan, z szczerą czy też dobrze udaną naturalnością. Taki wicher mógłby wyrzucić nas na piaski. Roztropność nakazuje nam pozostać na morzu przez cały dzień, a nad wieczorem przybijemy do brzegów, nie daleko Dunkierki.

—»Lecz przez to oddalę się od mojéj drogi! odpowiedziała wdowa.

—»O! bynajmniéj, rzekł z uśmiechem kapitan, zaręczam iż przybędziesz pani na miejsce, gdzie ją mam zaprowadzić.

Nareście po całodziennem krążeniu przy brzegach, okręt zbliżył się do nich za nadejściem nocy. Podróżni wsiedli w czółno i trzech silnych wioślarzy dobiło z niemi do brzegu Niderlandów. Okolica w tém miejscu była pusta i głucha, ale jeden z majtków wskazał lady Beresford chatkę rybaka, gdzie, jak mówił, znajdzie przewodnika, który zaprowadzi ją do pobliskiéj wioski. Jakoż, nie czekając nawet aż zażądają jego usług, człowiek jakiś wyszedł z chaty i oświadczył się z niemi. Przyprowadził parę koni, obciążono je rzeczami podróżnych, rybak i syn jego poprowadzili je, a Marion i jéj ludzie, uspokojeni tém, że ta droga jest tak krótką, szli za temi przewodnikami po zbitym piasku.

Wkrótce weszli między nadbrzeżne skały, na ścieszkę wązką i krętą, ale dobrze wydeptaną. Długi czas nią postępowali, a chłopak i służący uważał nie raz iż nie oddalają się od brze-

http://rcin.org.pl

gów. Uwaga ta uderzyła naszą awanturnicę i zaczęła lękać się czyli nie wpadła w złe ręce.

—»Czy prędko staniemy na miejscu, gdzie mamy zanocować? rzekła Marion z niespokojnością.

»O! Boże! odpowiedział rybak, już powinniśmy tam bydź, ale szatan musiał nas obłąkać, co mi się ani razu od lat dwudziestu nie zdarzyło; lecz niech się pani nie lęka, doszliśmy do zamku, gdzie znajdzie pani jak najlepsze przyjęcie, jeśli zechce zanocować.

—»Jak najchętniéj: odpowiedziała nasza podróżna, któréj delikatne nogi, nie byłyby mogły znieść dłuższéj podróży między skałami.

—»A więc Tomaszu, rzekł rybak do syna, zadzwoń i powiedz że pewna szlachetna dama prosi o gościnność. Nie lękaj się pani, mówił daléj przewodnik, nie mogliśmy znaleźć lepszéj gospody, i założę się, iż przyjmą panią, jakby xiężnę.

—»Tak rozmawiając, rybak obszedł skałę zasłaniającą zamek: podróżni spostrzegli go wtedy, powleczonego światłem xiężyca padającém na zaczernioną wystawę. Był to kwadratowy gmach opatrzony strzelnicami; na czterech rogach stały wielkie wieże; szeroki rów ze zwodzonym mostem, nadawał téj gotyckiéj budowie postać i moc warowni, gmach był oświecony przez drobne szyby wielkich okien, na ścianach błyszczały kryształowe lustra, a gdy wielki dzwon ucichł, zdało się lady Beresford, iż słyszy dźwięki przyjemnéj muzyki.

—»Czyliż w zamku jest jaka zabawa? zapytała się Marion, widzę mnogie światła i zdaje mi się, że słyszę muzykę.

—»W takim razie, odpowiedział rybak, JW. pani będzie cieszyć się razem z drugiemi.

—»Wstydziłabym się wejśdź między liczne towarzystwo w ubiorze podróżnym.

—»Sądzę, iż mimo tego przyjmą panią z jak największém zadowoleniem. Będąc tak piękną, nie potrzebujesz stroju aby się podobać, a sądzę, iż pan tego zamku nie jest nowicyuszem w zalotności.

Te grzeczności rybaka przerwał jeden z dworzan, który, rozkazawszy spuścić most zwodzony, wprowadził podróżnych na podwórze zamkowe. Ogorzała twarz, gęste wąsy i uzbrojenie tego człowieka, wzbudzały obawę, ale mówił łagodnym głosem do naszéj bohaterki i uśmiech rozjaśnił cokolwiek jego surowe rysy. Marion nie czekała aż jéj się zapytał; powiedziała kto jest i jakim przypadkiem znajduje się między temi skałami.

—»Będzie to bardzo szczęśliwe zdarzenie dla mojego zwierzchnika. Ale wejdź milady: przydał nieznajomy, podając jéj rękę: nasz zacny pan powtórzy ci to samo.

Przeszli podwórze, obszerne korytarze, a potém długie pasmo wspaniałych i oświeconych pokojów, nie spotykając nikogo, chociaż bez przerwy słychać było muzykę. Marion nieco zabobonna, lękała się czy to nie są czary; garderobiana żegnała się za każdym krokiem, a chłopak szeptał jéj do ucha. »Niechaj Matka Boska zmi-

http://rcin.org.pl

łuje się nad nami, jesteśmy w diabelskim zamku.

Podróżni spotkali wprawdzie w pokojach kilku mężczyzn, ale ich wojenne ubranie, ich twarz ponura, że nie powiem przestraszająca, nie wskazywały bynajmniéj, iż należą do uciech biesiady.

Lady Beresford doszła nareście do zamkniętych drzwi, które jéj przewodnik otworzył z pośpiechem. Z razu zaślepił ją królewski przepych komnaty i strój błyszczący złotem i kamieniami drogiemi kilkunastu osób zebranych w tém miejscu. Nagle jeden z kawalerów zbliżył się do niéj... Był to don Alfons.

—»O Boże! ty w tych miejscach, zawołała.

—»Tak jest, droga milady: z uśmiechem odpowiedział: ale nie okazuj takiego podziwienia; czekałem na ciebie u bramy twego pałacu; otaczali cię moi ludzie; postylioni którzy cię przywieźli z Londynu do Douvres, kapitan i okręt jego, rybak, jego chata i konie, wszystko to należy do mnie; musiałaś przyjechać do mego zamku. A teraz kiedy już w nim jesteś, wracam ci twoją wolność. Jeżeli, gdy mię wysłuchasz, twoje serce nie zechce pozostać przy mojém, wolno ci będzie opuścić te miejsca.

—»Ach! don Alfonsie, rzekła po cichu Marion, czule spoglądając na kochanka, możeszli mieć taką obawę?

—»Więcéj zaufania z mojéj strony, odpowiedział hiszpan, wstrząsając głową, byłoby zuchwalstwem.

To rzekłszy Don Alfons, przedstawił lady Beresford towarzystwu zgromadzonemu w salonie; damy otoczyły nowo-przybyłą i ofiarowały jéj się z pomocą, jeżeliby przed wieczerzą chciała udać się do swego apartamentu i poprawić toaletę. Marion, chociaż bardzo wzruszona i mnóstwem pomieszanych myśli zajęta, nie odrzuciła ich wezwania. Zalotność nigdy nie traci władzy u kobiet; jest to zasada, któréj u nich żadne uczucie uszkodzić nie zdoła.

Wieczerza była rozkoszna, jak wszystko co jéj się objawiło od chwili wnijścia do zamku, ale biesiadnicy nie nadużyli zbytku potraw i napojów zastawionych na téj biesiadzie. Niewidzialna muzyka która towarzyszyła brzęk »wi kieliszków i bogatego srebra, ustała nagle na skinienie gospodarza. Przeszli do gabinetu, wszyscy zasiedli na półkolnéj sofie, a don Alfons usiadłszy w środku obok kochanki, zaczął mówić co następuje.

»Muszę ci wyjawić, pani, okoliczność która cię zadziwi i nie będzie ci przyjemna. Przestań poczytywać mię za bogatego i szlachetnego kastyllańczyka; nie jestem nawet młodszym synem szlacheckiego rodu; prosty wieśniak, urodziłem się w chatce rybaka, którą ci pokazano nad brzegiem morza. Ubogi i nieznany w świecie, doświadczyłem łaskawych względów fortuny. Na Boga! nie przez miłosne przygody wyniosłem się na ten stopień, moja władza jest córką mojéj szpady. Nazywają mię korsarzem na morzu, rozbójnikiem na lądzie i zarobiłem na te przydomki. Jednakże boją mnie się i szanują na dworze bruxelskim, żądają mojéj pomocy przeciw Francyi i Anglii. Moje szczęście skończy się razem z mojém życiem, i

http://rcin.org.pl

dopóki żyję będzie wolném jak burza wśród któréj się zrodziło. A teraz wiesz pani, dla czego nie chciałem aby nasze małżeństwo zawarte było w Londynie, w kraju, gdzie tylko okazywać się mogę pod przybraném nazwiskiem, bo Kromwel za moje wyprawy na morzu, kazałby mi przywiązać na szyi inny łańcuch, nie Złotego Runa; podobnie uraczyłby mię kardynał Mazaryni, gdybym się w Paryżu pokazał.»

»Skreśliłem ci teraz milady wierny obraz don Alfonsa. Powinienem był powiedzieć prawdę, a na ostatek (po cóż bowiem ukrywać małą korzyść obok tak wielkiéj sromoty), przydać muszę, iż składam przy nogach twoich milion osiemkroć sto tysięcy talarów.

»Teraz kiedym ci wszystko wyjawił, jeżeli ten człowiek, którego ceniłaś jako szlachetnego kastyllańczyka, zasługuje na twoją pogardę i nienawiść, jako rozbójnik i korsarz, wyznaj to śmiało. Jutro o wschodzie słońca, ty, twój majątek i szczęście moje, będą już za obrębem tych murów. Niestety! sam tylko smutek pozostanie dla mnie. Ale wojna zaradzi temu... Jeżeli zaś, niespodzianem szczęściem twoja miłość nie zgasła razem z ułudzeniem które zniszczyłem, ołtarz już jest gotów, świece goreją, kapłan czeka na nas.

—»Alfonsie! rzekła piękna Marjon kładąc swoją rękę w rękę rozbójnika, cóż może obchodzić kochankę to wszystko coś mi powiedział?... Idźmy do ołtarza.

—»Jeszcze słowo, lady Beresford; w tych miejscach często żyć będziesz jak niewolnica, świat będzie zamknięty dla ciebie, a prócz wyjechania czasem do bruxelskiego dworu, nie przestąpisz obrębu téj warowni. Żona rozbójnika Alfonsa, za wiele narażałaby się wyjeżdżając z zamku. Tak więc, twoja miłość musi cię skazać na dobrowolne więzienie.

—»Alfonsie! dla czegóż nie jesteśmy przed ołtarzem?

O! szczęśliwości! śpieszę tam, droga przyjaciółko. Pójdź, pójdź przyjąć moją przysięgę, a będę twoim aż do ostatniego tchnienia mego życia.

Tak dopełnił się ten dziwaczny ustęp życia najbardziéj awanturniczego, o jakiém tylko historya wzmiankować może. Nazajutrz, Marion Delorme, piękna i młoda jeszcze w pięćdziesiątym roku życia, obudziła się świeża jak jutrzenka, płocha jak młoda dziewczyna, nie troskliwa o nic jak dziecię. Dla téj namiętnéj kobiety, miłość była wszystkiém.

—»Czyś nie wspomniał o więzieniu? rzekła zbliżając się do okien, zkąd widać było morze, a w dalekości brzegi Anglii. Ach! mój przyjacielu, z tego balkonu dusza ulata i podróżuje uniesiona wzrokiem.

—»Tak jest, lecz ciało pozostaje.

—»Alfonsie pozostaje z tobą.

—»Ach! na te słowa najsłodszy urok napełnia moje serce.

Nie będziemy liczyli dni, które Marjon Delorme przepędziła w tym zamku; miłość, a co jeszcze dziwniejsza z jéj strony, miłość stała, zastąpiła dla niéj tysiące najrozmaitszych uciech, których doznawała w Paryżu i w Londynie. Zakres jéj szczęścia nie rozciągał się za rowy zamku

http://rcin.org.pl

a nigdy ta zapora nie była dlą niéj tęskną i nienawistną.

Jednakże wszystkie wrażenia téj piękności tak poddającéj się losowi swojemu, nie były tak słodkie w przeciągu lat pięciu, które przepędziła przy mężu swoim, rozbójniku: miłość jéj nie zawiodła, ale częstokroć dręczyła ją niespokojność. Alfonsem powodowały dwie namiętności; połowa tylko jego serca należała do kochanki; duma, ta nienasycona namiętność, która marzy o władzy lub bogactwach, bez granic trawiła syna rybaka. Złoto nagromadzał w skrzyniach, miał kapitały na wszystkich bankach Europy, a łakoma jego dusza pragnęła jeszcze więcéj. Oprócz tego lubił niebezpieczeństwa: wystrzały karabinowe, świst kul, ciężki huk armat, były dlań ulubioną muzyką. Co dzień nowe udręczenia przenikały serce Maryi Delorme, co dzień bowiem Alfons narażał się na niebezpieczeństwa, on, którego obraz wyryty był tak głęboko w sercu téj kochającéj kobiety, na zatartych rysach tylu innych obrazów! Częstokroć, natężając ucho na wystrzały z muszkietów, drżała czekając skutku walki, którą staczał zuchwały korsarz już to na morzu, już to w okolicznych wąwozach; zdawało się jéj, że każden wystrzał ugadza w pierś ulubionego, a szum wiatru wstrząsającego liściami, przynosi do niéj ostatnie tchnienie Alfonsa.

Niekiedy, pośród nocy, korsarz budził się na pierwszy odgłos burzy; wstawał, otwierał okno i uśmiechał się na widok wzburzonych fali i błyskawicy. A jeżeli szalony wicher z żałobnym odgłosem drzewa obalał, jeżli bezskutecznie uderzał o mury zamku, kręcąc chorągiewkami na wieżach, wtedy Alfons chwytał oręż i wołał piorunującym głosem. »Daléj towarzysze! śpieszmy nad brzeg morza, słyszycie burzę; jest to uśmiech szczęścia!

Nagle rozbójnik zstępował z ludźmi swojemi nad brzeg oceanu: łodzie ukryte w wiadoméj chatce wnoszono na wodę; siadali na nie rozbójnicy, a jeżli burza pędziła ku lądowi jaki okręt, wpadali na niego jak chciwe ludojady. Daremnie osada chciałaby walczyć z temi dziećmi burzy i nocy.

Wtenczas Marya, stojąc na balkonie, z bijącém sercem, na pół ubrana, wpatrywała się w ciemność i nie mogła rozróżnić Alfonsa na téj huczącéj przestrzeni, która rozciągała się przed nią jak kir grobowy. Lecz pomnażały się jéj udręczenia, kiedy połysk ognia wskazywał miejsce walki.

Tak upływały dni i nocy Maryi Delorme, niegdyś tak płochéj, tak zmiennéj, tak nie zdolnéj do przejęcia się mocném uczuciem. Gdy prawdziwa miłość tak późno rozwinęła się w jéj sercu, Ninona płakała swojéj przyjaciołki. Wyjeżdżając z Londynu MaryaDelorme, oznajmiła swojéj przyjaciołce, iż się z nią za osiem dni zobaczy. Dzienniki wspomniały o tém powrocie; cieszono się z niego w zalotnym świecie. Daremna nadzieja! emigrantka nie powróciła i wieść rozeszła się że statek na którym płynęła, zatonął z całą osadą. Alfons przyłożył się do rozszerzania téj fałszywéj

http://rcin.org.pl

wiadomości, aby nie zwracano uwagi na jego zamek.

Tak więc Marion Delorme raz jeszcze umarła dla świata. Panna Lenclos szczerze jéj żałowała; Grammont i kilku innych powiedziało tylko: »To szkoda! warto było zobaczyć ile też zostało jéj się wdzięków i zalotności w pięćdziesiątym roku życia» a potém już nie mówiono o niéj. Ubiegłe roskosze nie wiele miéjsca zajmują w pamięci, samo tylko serce zachowuje wspomnienia.

Uspokoiły się rozruchy Frondy, a Kondeusz przeszedłszy na stronę hiszpanów, udał się do Bruxelli w roku 1658 dla ułożenia planu kampanii z wodzami Filipa IV. Don Alfons, chociaż korsarz i rozbójnik, posiadał tam wielkie znaczenie, z powodu oddawanych usług i wezwany został do stolicy Niderlandów. Marion nie wiedząc iż tamże Kondeusz znajdować się będzie, towarzyszyła mężowi. Ale w takich okolicznościach, nie wypadało mówić o sławie panny Delorme; bohatyrkę naszą przedstawił Alfons nie wspominając o jéj dawniejszém życiu; przyjęto ją z największemi względami.

—»Pewnego wieczora było zgromadzenie w pałacu. Marion rozmawiała z infantką, gdy xiąże Kondeusz wszedł do salonu. Zbliżał się do xiężny chcąc jéj złożyć swoje uszanowanie, gdy w tém nagle zatrzymał się, cofnął się o trzy kroki i słowa które miał wyrzec, skonały na jego otwartych ustach.

—»Xiąże! rzecze infantka, gdy się uspokoił Kondeusz, przedstawiam ci małżonkę mężnego don-Alfonsa, rycerza którego bardzo cenimy i który w obecnéj wojnie odda nam znakomite przysługi.

—»Małżonkę Don Alfonsa!.. odpowiedział Kondeusz kłaniając się z odurzoną miną: prawdziwie!.. to rzecz osobliwa... Czy pani ma siostrę?..

—»Nie, mości xiąże, wyjąkała Marion zbladłszy jak śmierć, a bicie jéj serca xiężna usłyszećby mogła.

—»To rzecz niepojęta! odpowiedział xiąże: nigdy nie widziano większego podobieństwa... Muszę jednak przyznać iż panna Delorme byłaby starszą daleko; jestem pewien, że pani ma zaledwie lat dwadzieścia pięć.

—»Mam kilka miesięcy więcéj: odpowiedziała żona Alfonsa, ciągle wzruszona.

—»Xiąże! z żywością rzekła infantka: nie może nic bydź wspólnego między tą zalotnicą, która przez swoje nierządy pozyskała ochydną sławę, a panią której dusza tak jest piękna jak postać. Oprócz tego, Marion Delorme utonęła przed pięcioma laty.

—»To mi też przychodzi na myśl: mówił daléj zwycięzca pod Rocroy: a przecież!.. Na moją szpadę! zawołał, jestem szalony albo zaczarowany, ale ten znak po lewéj stronie szyi!...

—»Ileż to osób: przerwała Marion wstając: nosi takie znaki i pochlebiałam sobie, że wyrazy xiężny wystarczą na wstrzymanie W. X. Mości od niegrzecznego nalegania. To rzekłszy, zawstydzona piękność, skryła się w tłumie dworzan.

Ale Kondeusz wkrótce zbliżył się do niéj: przyciągnął ją do okna i rzekł:

—»Tak jest, wyznaję, możesz poczytać mię za człowieka najniezgrabniéj-

http://rcin.org.pl

szego ze wszystkich; uchybiłem słodkim wspomnieniom, które powinienem zachować o naszej dawnéj znajomości, ale na Boga, jesteś Marion Delorme, jéj marą, jeżeli nie nią samą w istocie. Znam się na tém lepiéj niżeli ktokolwiek inny; ten znak nad lewą piersią, który pokazał się gdyś tak była wzruszoną...nie można omylić się widząc dawnych przyjaciół...

—»Xiąże! puść mię, uwodzą cię twoje podejrzenia?... i żona don Alfonsa usiłowała wydrzeć rękę swoją z rąk xięcia... Ale Kondeusz odsunąwszy nagle rękaw jéj sukni, podniósł obnażone ramie i rzekł z uniesieniem:

—»A tego znaku czyliż także się wyprzesz? Czy odrzucisz wspomnienie tego dnia, kiedym własną ręką wyrył to płomieniste serce igiełką złotą i napuścił je barwą karminu.

—»Xiąże, nie gub mię! Jestem zamężną, wróciłam do cnoty.

—»Czarodziejko! wracaszli także do wiosny dni twoich? Tak jest. Szatan co dzień zabiera ci lata, nadchodzące z przyrodzonym biegiem życia.... Słuchaj, nie mogę ci tego dłużéj ukrywać, uczułem dla ciebie, skorom cię tylko ujrzał, tę miłość, którą dawniéj pałałem. Wiesz o tém, lada fraszka odżywia w nas dawne uczucia. Marjon! bądź znowu moją, a znowu zabłysną piękne chwile naszych lat młodych.

—»Mości xiąże, czynisz mi krzywdę; nie spodziewaj się znowu pogrążyć mię w grzechu. Niechaj się WXMość okaże wspaniałomyślną.

—»Ach, dalibóg! wspaniałomyślność łatwiejszą jest tobie niż mnie. Panno Delorme, proszę o schadzkę, albo mówić będę bez żadnego względu.

—»Xiąże! na Boga! nie wymagaj... a potém wstrzymując się nagle, zapewne zmieniła myśl i przydała. »Będę sama jutro o godzinie trzeciéj po obiedzie, w moim pokoju, nad gabinetem infantki.

Te ostatnie słowa rzekła oddalając się od xięcia; odpowiedział na nie znakiem porozumienia i przestał dręczyć swoją pierwszą nauczycielkę.

Nazajutrz Kondeusz dowiedział się od don Alfonsa, że jego żona zasłabła i przed świtem pojechała do zamku. Xiąże przygryzł sobie usta, ale nikczemna zemsta nie może powstać w sercu bohatera. Pomyślał, iż popełniłby ochydny czyn, zniesławiając pannę Delorme wtenczas, kiedy wyrzekła się błędów swoich, i zamilczał.

Wkrótce wojna ogarnęła Niderlandy. Don Alfons dzielnie służył sprawie Filipa IV, ale cóż jest niestałszém nad szczęście oręża? Hiszpanie zdobyli Dunkierkę, Tureniuszowi rozkazano odzyskać tę warownię. Kondeusz bronił do niéj przystępu; ci dwaj wielcy wodzowie walczyli przeciw sobie w bitwie pod miastem .Kondeusz uległ, a Ludwik XIV znajdując się na téj bitwie, oddał Anglikom klucze odzyskanego miasta.

Jeden oddział zadał wielkie klęski Tureniuszowi, byli to filibustierowie Alfonsa, lecz musieli uledz przemocy. Mężny wojownik usiłował cofnąć się do zamku swego, gdzie przez długi czas mógł był opierać się temu wojsku. Jeźli tego dokaże, ocali siebie, swoją kochaną Marjon i niezmierne bogactwa. Alfons zrobił wyjście podziemne dochodząc aż do brzegu morza; noc sprzyjałaby ucieczce; ale trze-

http://rcin.org.pl

ba było tam przybydź wprzódy niż nieprzyjaciele. Tego nie mogli dokazać rozbójnicy, ścigani od śmiałego oddziału. Weszli do zamku razem z Francuzami. Wtenczas, dziedziniec, ogrody, podwórza, podziemia, stały się placem zajadłéj walki toczonéj w ciemnościach.

Nagle płomień zabłysnął w oknach zamkowych. — »O Boże! zawołał Alfons, moja!.. żona!..

A śmiertelnym ciosem pozbywszy się nieprzyjaciela, który na niego nacierał, spieszy na jéj ratunek. Chociaż kilkakrotnie ranny, unosi żonę w jednéj ręce, drugą walczy. Nowy przeciwnik, młody, pełen zapału, uderza na niego. Rozbójnik śmiertelną ranę odbiera.

—»O Boże! zawołała Marjon przychodząc do siebie z długiego omdlenia, kawaler Grammont!.. zabójca mojego męża!..

—»Panie! rzekł nieszczęśliwy Alfons, gasnącym głosem: kochałeś ją... bądź wspaniałomyślnym. Przyniosła mi dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów... zwróć jéj te pieniądze... To jest bardzo mała cząstka bogactw, które tu znajdziecie... Niechaj będzie szczęśliwą.... Kochana Maryo.... żegnam cię! żegnam! Mój wzrok cię ćmi... Umieram ach!...

Już miał upaśdź na ciało zabitego żołnierza, w tém wznoszą się kłęby dymu i popiołu; podłoga otwiera się i załamuje z okropnym łoskotem; trupy i żyjący znikają w okropnym zamęcie kurzawy, iskier i czarnych wyziewów.

W pięć lat potém, kobieta w podeszłym wieku, idąca z ciężkością, ale piękna jeszcze, jak zwaliska świątyni Jowisza lub Parthenonu kobieta któréj ubranie wskazywało niedostatek, mówiła do wielu osób w galeryi Wersalskiéj:

—»Droga Ninono, rzekła, jestem Marion-Delorme, przyjaciołka twojéj młodości.

—»Marion! niestety! ona już nie żyje. Oddal się mogłabyś pożałować tego udania.

—»Panie hrabio de Grammont! czy nie poznajesz twojéj ulubionéj Marion? czyliż nie mam już ani jednego z tych rysów, które cię tak mocno zajmowały?

—»Co mówisz o pannie Delorme, intrygantko?.. Widziałem ją jak zginęła przywalona gruzami, z pośród których ledwiem się uratował... Kawaler Grammont oddalił się gwiżdżąc.

—» JO. Xiąże! zawołała biedaczka z mocném wzruszeniem, zwracając mowę do Xięcia Kondeusza, czyliż mię nie poznajesz? Jestem Marion-Delorme.

—»To nie prawda. Marion-Delorme zginęła w pożarze, a gdyby ta kobieta żyła jeszcze: przydał z wyraźnym zamiarem: pamiętałaby, iż obraza, zatrzéć powinna nawet w sercu najszlachetniejszém, wspomnienie do którego się odwołujesz. To rzekłszy, nagle odwrócił się od téj którą sam jeden był poznał.

Tak w dwóch najkrytyczniejszych epokach swego awanturniczego zawodu, Marion-Delorme nie mogła dokazać, aby zawierzono jéj śmierci i życiu. Z resztą, piękna i świetna zało-

http://rcin.org.pl

tnica, bożyszcze, któremu tak długo tyle ofiar palono, współzawodniczka Ninony, umarła w rzeczy saméj około roku 1658. Pozostała tylko uboga, nieznana, słabowita kobieta, która jak mówią, wlokła swoją nędzę aż do stu trzydziestu pięciu lat życia. Podług tego podania, kochanka hrabiego Cinq-Mars, żyła za panowania Henryka IV, Ludwika XIV, Ludwika XV, i dopiero za tego ostatniego króla pochowano ją na cmentarzu S. Pawła, gdzie przed dziewięćdziesięcioma i siedmią laty zaniesiono ją tylko na pozór.

PIECZARY POD MASTRYCHTEM.

przez Pana Bory de St. Vincent.

z ryciną.

Opuściwszy Francyą w skutek postanowienia z dnia 21 Lipca 1815, udałem się do Niemiec, gdzie w Prusach znalazłem wspaniałomyślną gościnność. Droga moja zaprowadziła mię do Mastrychtu, warowni, do któréj bynajmniéj wstąpić nie chciałem. Zmuszony przeto ukrywać się za miastem, weszłem w nieprzebyte pieczary leżące niedaleko cytadelli, tam czekałem na paszport, który miałem otrzymać pod zmyślonem imieniem.

W dwa lata potém wróciwszy do Belgii, mógłem dowoli przypatrzyć się tym osobliwym podziemiom, w których zagłębiłem się był jako wygnaniec.

Wyszedłszy bramą Leopoldyjską, udać się trzeba do chatki, gdzie mieszka przewodnik, mogący najlepiéj zaprowadzić w te głębokie podziemia. Napis z oznajmieniem, że tu można poznać wszystkie osobliwości téj góry, odznacza to skromne mieszkanie. Przewodnik i syn jego, opatrzywszy się w pochodnie, łupkę, zapałki, krzesiwko i krzemień, zaprowadzili mię na stok wzgórza Sgo Piotra równoodległego od Mozelli, na przeciw tak zwanego Białego Domu. Tam zwróciwszy się na prawo, weszliśmy pod ziemię małém wnijściem. Po drugiéj stronie wzgórza jest wnijście daleko znaczniejsze, prowadzące do galeryi, które idą pod warownię Świętego Piotra: widać je z daleka, kiedy przybywa się do Mastrychtu drogą do Tongrez, i wtenczas podobne jest do obszernéj przyrodzonéj groty. Wprzódy nim osypywanie się ziemi przecięło związek, załoga warowni zrobiła tam mur obronny ze strzelnicami, aby w razie oblężenia, nieprzyjaciel nie mógł się usadowić i szturmować od spodu. Gdym ją zwiedzał, pieczara ta stała pomieszkaniem ośłarza, który z niéj wywoził piasek i liczne fury przedawał sąsiednim rolnikom.

Uszedłszy pod ziemią ze trzysta kroków, w kierunku ku zachodowi, zwróciliśmy się w inną stronę, pośród straszliwych osypywań, które co chwila zdawały się tamować naszą podróż. Szliśmy pomiędzy równemi ścianami, o których płaskie sklepienia, gubiło się słabe światło naszych pochodni. Napotkaliśmy wtedy drogę, którędy wózki prowadzą. Koleje były jeszcze świeże i dziwiłem się niezmiernemu mnóstwu dróg poprzecznych na prawo i na lewo idących.

http://rcin.org.pl

Czerwonawe światło kilku lamp, wskazało nam w niewielkiéj odległości, miejsce, gdzie kilku ludzi wyłamywało kamień. Ci robotnicy postrzegłszy także nasze światło, zbiegli się ku nam, i upominali się od przewodnika, o część przyrzeczonéj mu nadgrody, mówiąc, że kto chce wejść do ich pomieszkania, powinien opłacić podatek. To domaganie uczynione tonem dosyć rozkazującym, ledwie nie zrodziło kłótni, i przypomniało mi sposób, jakim inwalid hiszpański, uzbrojony karabinem, na ustronnéj drodze w Asturyi, prosił Jdziego Blassa o jałmużnę.

Ci kopacze uprawiają pole w pięknéj porze roku; rzadko się zdarza, aby opuszczali światło dzienne i pracowali przy bladym połysku kagańca, dopóki pług albo żniwa potrzebują ich ręki; ale skoro tylko ustaną prace rolnicze, nowi Troglodyci zapuszczają się w ciemne galerye, podczas zimy wyrąbują kamień ciosowy, i przygotowywają kupy piasku, potrzebne do użyźnienia roli. Tę robotę wywożą na wiosnę. A posępne dni, podczas których śnieg, deszcz i burza zakłóca ziemię i niebo, płyną im w zaciszu i w najłagodniejszéj temperaturze. Ciągle przebiegając ten obszerny labirynt, czynią go coraz to głębszym, znają wszystkie jego zakręty, i znajdują drogę swoją, za pomocą znaków nakreślonych na ścianach: jednakże zdarzyło się, że niektórzy z nich zabłądzili.

Gdy mój przewodnik porozumiał się z naszemi poborcami, przypatrzyłem się sposobowi ich pracy; skała składająca te podziemia, jest dosyć miękka; za pomocą piły wyrzynają z niéj bryły sześcienne na dwa lub trzy stopy; wózki ciągnione końmi wyprowadzają kamień z miejsca gdzie jest uciosany, aż nad brzeg rzeki; z tamtąd znaczne ładunki idą na statkach do Hollandyi. Trociny i drobne ułamki są także użyteczne; rozrzucone po roli, służą zamiast nawozu.

Znowu zmieniwszy kierunek, po godzinie drogi zwróciliśmy się ku południowi, zostawiając po prawéj ręce inne ulice bardzo szerokie, a niekiedy głębiéj idące niż nasza droga. W tym kierunku uszedłszy ćwierć mili, przyszliśmy na miejsce, gdzie znajdują się obrazy zakonników, których żałosną historyą wkrótce opowiem. Z tamtąd udaliśmy się ku północy, dla zwiedzenia miejsca które mój przewodnik nazywał fontanną; tam zniżały się sklepienia, a na miejscu, gdzie się krzyżowe drogi przecinają, pokazano mi kamień dziwnie wyrobiony, wznoszący się o dwie stopy nad ziemię, wydrążony we środku nakształt miednicy i napełniony czystą wodą: zdawałoby się, iż to jest wiejska chrzcielnica ubogiego kościoła. Temperatura jéj wynosi ośm stopni: ta woda nigdy nie wysycha od niepamiętnych czasów; duże krople spadające ze sklepienia odnawiają ją bez ustanku, ale bardzo powoli.

Niedaleko tego zdroju, wieśniacy z okolic Mastrychtu, nie raz szukali schronienia podczas wojny i spodziewali się że tym sposobem ocalą siebie i swoje domowe zwierzęta, przed łupieztwem wojsk rzeczypospolitéj. Faujas deSaint Fonds, który zwiedził te miejsca wkrót-

http://rcin.org.pl

ce po oblężeniu w pierwszych latach rewolucyi, opowiada, że znalazł tam resztę pieca od chleba, żłoby i inne skazówki dosyć długiego zamieszkania. Przydaje, że wieprz, znudzony zapewne tak długim pobytem pod ziemią, ledwie że nie zdradził ukrycia tych wieśniaków: uciekł i puścił się krętemi drogami, szukając światła; po długim biegu zaczął kwiczeć przeraźliwie, jak gdyby szukał pomocy jakiéj żyjącéj istoty. Ponieważ nie bardzo był oddalony od wyjścia, usłyszał go posterunek francuzki. Żołnierze odpowiedzieli na jego wołanie i poszli za krzykiem zwierza, spodziewając się, iż zapewne nie sam jeden znajduje się w tych pieczarach. Kwikiem tego wieprza przyciągnęli inne i tym sposobem polepszyli sobie codzienną żywność.

Ulice przecinają się pod kątem prostym i przedłużają się bez końca, massami kubicznego kształtu i prawie równego rozmiaru. Zakrywając stół marmurowy kośćmi ustawionémi po dwie jedna na drugiéj, zachowując przedział o jednę, a na te kości, które słupy tworzyć będą, kładąc drugą tablicę marmurową, wyobrażającą płaskie sklepienie, mieć będziemy dosyć dokładny plan podziemiów Mastrychtu.

Gdym je zwiedzał raz pierwszy, te długie i milczące drogi przedstawiły imaginacyi mojéj posępne wyobrażenie pustyni piekielnéj, któréj płomienie zgasły po strawieniu wszystkiego. Jużem naliczył wielką liczbę dróg poprzecznych, przy końcu których panowały ciemności, a kamienie silnie rzucone we wszystkich kierunkach, wskazywały, nie wydając żadnego odgłosu przy upadaniu, że te ulice ciągną się daleko. Jeżeli może co powiększyć okropność zupełnéj ciemności, to zapewne milczenie panujące w tych złowieszczych głębiach; słowo człowieka zaledwie może je przerwać; jego wołania pozostają głuche, przytłumione i jakby zatrzymane samą tylko grubością; nie odbijają się od ścian, nie mających elastyczności, a które zdają się pochłaniać je, lub tępić; echo nawet, które budzić może podróżny obłąkany w puszczach gór i lasów, nie mieszka w pieczarach Mastrychtu.

Jeżeli czasem oddaliłem się od mojego przewodnika, aby poznać wrażenie jakie czyni w ciemności głos i ciemność, pochodnia jego rzucała tylko czerwonawe, spokojne i określone światło i służyła jedynie do rozpoznania tych przedmiotów, które się o kilka kroków znajdowały; głos jego nie miał żadnego odbicia, zdawał się bydź głosem grobowym. Wołania ginęły pośród tysiąca pokrzyżowanych dróg i dochodziły do ucha, jak te dźwięki, co dochodzą przez pory tarcicy, przy któréj stawamy, wtenczas, gdy druga osoba mówi po cichu, przy drugim końcu.

Aby ocenić w jakiéj się pogrążył samotności podróżny zwiedzający najdalsze zakątki labiryntu, niechaj nagle zgasi pochodnie; jakiś zimny przestrach ogarnie go natychmiast; nie zwalczony instynkt popchnie go ku sąsiednim ścianom, jakby dla przekonania się przez dotknięcie że jest jeszcze jeden zmysł, jedyny który opuszczonego człowieka nie zdradza, jedyny, za którego pomocą możnaby jeszcze kierować się w zupełném odo-

http://rcin.org.pl

sobnieniu, gdzie oko nadaremnie chciałoby rozróżnić jakie pomocne światło, gdzie ucho daremnie szukałoby najlżejszego pocieszającego szmeru, gdzie nicość grobowa otacza tego, który się błąka, gdzie nareście przestrach biorąc górę nad umysłem najbardziéj zahartowanym, objawia mu nagle, okropności strasznéj męczarni, jakiéj doznali nieszczęśliwi, których krzyki, gorące modły, bluźnierstwa i uniesienia wściekłości, nie raz zginęły w niezmierzonéj tych miéjsc przestrzeni.

Błądziwszy przez kilka minut, drżącemi rękami dotknąwszy się zimnych ścian tego grobu, najodważniejszy człowiek zatrzymuje się przerażony, woła na przewodnika, niecierpliwie pragnie ujrzeć światło, rozkazuje aby je zapalono, a pierwsza iskierka wydobyta z krzemienia i nagle w dalekiéj pokazująca się galeryi, wzbudza w nim niewypowiedzianą radość.

Zalecają podróżnym którzyby na nieszczęście obłąkali się w tych pieczarach, aby zatrzymali się natychmiast, skoro tylko postrzegą niebezpieczeństwo: gdyż idąc na oślep jeszczeby się bardziéj obłąkać mogli. Gdy się zatrzymają, ta przynajmniéj pozostanie im nadzieja, że ludzie którzy ich szukać będą, przechodzić mogą nie daleko od nich i usłyszą ich wołanie. Ten ktoby koniecznie usiłował znaleźć zgubioną drogę, mógłby zagłębić się w miejsca od niepamiętnych czasów nie uczęszczane, albo wpaśdź w jaką pobocznąjamę.

Faujas opowiada, że w roku 1793 przedarł się do jednéj z tych opuszczonych ulic i przy świetle pochodni postrzegł jakiś przedmiot podobny do śpiącego człowieka. Zbliżywszy się poznał ciało umarłego; miejsce i stan nieszczęśliwego wzbudziły w nim podziwienie z okropnością złączone. Był to już tylko szkielet przyodziany w suknie, kapelusz leżał przy nim, trzewiki zdjęte z nóg i rożaniec w ręku. Z ubioru zdawało się że to był robotnik, który zabłądziwszy zginął z rozpaczy i głodu. Wszystko oznaczało, że przynajmniéj sześćdziesiąt lat upłynęło jak ten nieszczęśliwy zagrzebał się żywcem i odtąd nikt nie postał w téj galeryi.

Przewodnicy nie omieszkają opowiadać przygody kilkunastu kanonierów francuzkich, którzy odważyli się przebiegać sami te podziemia i nigdy nie wrócili. Przydają, że młodzi wieśniacy unikając konskrypcyi, kryli się w nich także. Szczęśliwsi zdołali wyjśdź z nich bez szkody, ale bardzo wielu znalazło w milczeniu i ciemnościach zgon, przed którym uciekali, a który na wojnie byłby piękniejszy a przynajmniéj nie tak okrutny.

I ja także, przebiegając te galerye, znalazłem kilka szkieletów, smutne szczątki nieszczęśliwych, których cierpienia moralne przy zgonie, musiały bydź jeszcze okropniejsze od cierpień fizycznych. Pokazują w wielu miejscach napisy węglem, świadczące o znalezieniu jakiego trupa, albo też obrazy tych nieszczęśliwych z opisem ich traicznego zgonu. Tu, poznać można biednego kopacza, który zgubiwszy drogę swoją błądził dopóty, dopóki mu tylko starczyło pochodni, a potém z oparzonemi palcami usiadł przy ścianie galeryi, gdzie śmierć powoli zakończyła jego nędzę. Gdzie indziéj,

jest inny robotnik, który, gdy mu lampa zgasła, nadaremnie usiłował wynaleźć poomacku drogę, którą dostał się do tego labiryntu.

Ze wszystkich przygód w tym rodzaju, przygoda czterech dominikanów jest najstraszliwszą. Ci dobrzy ojcowie należeli do klasztoru Selavande znajdującego się na stoku wzgórza świętego Piotra, ze strony Mozelli, niedaleko głównego wnijścia do pieczar, i umyślili wyciosać kaplicę w głębi tych podziemiów, gdzie największa część mieszkańców okolicy przepędza całą zimę. W tym pobożnym zamiarze, często przebiegali pieczary, chcąc wybrać najstósowniejsze miejsce. Co raz to bardziéj poznając te galerye, nie brali już przewodników i pewnego razu umyślili użyć sposobu Aryadny, aby dojśdź aż do najdalszych pieczar, w których od dawna nikt nie postał. Wziąwszy kłębek nici, zatknęli jéj koniec w miejscu gdzie opuścili uczęszczaną drogę i zapuścili się w starożytne prace. Szli w rozmaite strony, dopóki tylko starczyło im kłębka, i weszli do pieczary nieznanéj do owego czasu, a sławnéj odtąd. Na jednéj z gładkich ścian tego nieszczęśliwego miejsca, jeden z nich namalował węglem widok, dotąd jeszcze istniejący, klasztoru Selavande. Napisawszy pod tym zarysem datę odkrycia, które tak drogo miało ich kosztować, czteréj xięża zwrócili się nazad; ale wkrótce postrzegli, że nitka mająca bydź ich przewodnikiem, posuwała się ku nim w miarę jak ją zwijali: nitka ta zerwała się, niewiadomo jakim sposobem.

Nie wiemy co uczynili w tém okropnym stanie, ale gdy nie wrócili do klasztoru, przełożony wiedząc o pobudzce która ich zaprowadziła w głąb pieczar, rozkazał ich szukać. Tak niezmierzona jest przestrzeń tych jaskiń, albo raczéj tak odosobnione były stare wydrążenia, do których się ci nieszczęśliwi dostali, że dopiero po siedmiu dniach znaleziono ich zwłoki, leżące niedaleko jedne od drugich. Dwóch z twarzą pochyloną ku ziemi, z rożańcem w ręku, trzeci wznak leżał, zdaje się że upadli, odmawiając ostatnią modlitwę. Obrazy ich są nakreślone węglem, z przerażającą trafnością, na przeciw miejsca gdzie każdego z nich znaleziono.

S W A T.

Obraz z domowego życia Szkotów.
(z angielskiego.)

Czy rozumiécie że cywilizacya miast wielkich posiada wyłączny przywiléj kojarzenia małżeństw? i że zaprzedany kaduceusz swatów, należy tylko do Londynu, Paryża, Berlina i Wiednia? Mylicie się. W głębi purytańskiéj i rolniczéj Szkocyi, znalazłem tak gorliwego swata jak w Paryżu; to prawda, że mój bohatyr był tylko amatorem i nie miał ztąd żadnéj korzyści prócz swego upodobania.

O dobry Szymonie Kirkton! wesoły Szymonie Kirkton! ze wszystkich

http://rcin.org.pl

mieszkańców W. Brytanii, ciebie najwięcéj uszczęśliwia myśl o małżeństwie! Nie zapomnę cię nigdy arcykapłanie hymenu; widok twego pożycia domowego, już sam jest zdolny rozszerzyć zamiłowanie w małżeństwie. Tak słodko przekonywa szczęście w około ciebie panujące, twoja rumiana otyłość, twój rodzinny uśmiech! Dom naszego swata Szymona Kirkton, leży. w najodleglejszéj części hrabstwa Inwerness; jest mały, otoczony jałowym gruntem, dosyć źle zbudowany, ale jakże jest płodny w szczęście małżeńskie! Gdyby nawet stał w Greetna Green, nie tyle nastręczałby środków i nadziei kochankom, którzy chcą zostać małżonkami. *Szczęście bezżenca* jest wyrazem wykreślonym ze słownika Szymona.

Szymon Kirkton, posiadał spory majątek, którego trzy czwarte części obrócił na zadosyć uczynienie ulubionéj namiętności. Ileż to obiadów, przejażdżek konno lub na wodzie, miały jedynie na celu małżeństwo sąsiada, krewnego, przyjaciela, ciotki, a nawet i babki! Żył tylko tym rodzajem szczęścia. Swaty były jedynym celem a nawet warunkiem jego życia. Ten poczciwy człowiek przynajmniéj lubił szczęście drugich; iluż to znam takich, którzy cieszą się jedynie z ich nieszczęścia, z ich boleści!

Połowa obywateli z okolicy, zaproszona była na wielki obiad, a po nim na bal u pana Kirkton. Było to w Styczniu 1812. Roskoszne oczekiwanie podniecało nadzieję dziewcząt; młodzieńcy myśleli o tym dniu z równą niecierpliwością jak obawą. Wszystko miało odbyć się jak najwytworniéj; wiedziano, że obiad zastawią w dawnéj sali i że po każdém daniu nastąpi muzyka tak przyjemna na jaką dwaj domowi *bag-pipers* zdobyć się mogą (*). W wielkim salonie rozpocznie się bal, do którego sprowadzono orkiestrę z miasta. Xiądz przyrzekł iż będzie na nim ze szlachtą i z najznaczniejszemi osobami z okolicy. Nareście nikt nie przypominał sobie tak pięknéj zabawy w Lugar. Wydawca obwieszczeń okolicy, już od miesiąca wydrukował jego program. Szwaczki przejęte wdzięcznością, modliły się za zdrowie dobrego pana Kirkton.

Gospodarz nie próżnował, sprzęty wyniesiono z salonu; wszędzie na podłodze widać były kwiaty wyrysowane kredą; spiżarnia była napełniona jak na przypadek oblężenia; każdy sługa odbierał nowe instrukcye, wskazujące jak ma dopełniać przeznaczonego obowiązku. Nareście, wszystkie przygotowania odbywały się w jak najdoskonalszym porządku. Nie wiem czy jaki gastronom marzył o wieczerzy podobnéj do téj, jaką zastawiono w sali jadalnéj: ryb wszelkiego gatunku było tyle, iż niemi zaopatrzyćby można okręt o 74 działach, udający się w podróż około świata.

Nareście nadszedł ów dzień oczekiwany tak długo, jeden z pięknych dni zimy, które pokrywają rumieńcem lica, a zasłaniają łzami oczy piękności. Dużo śniegu upadło przed kilkoma dniami, ale zdawało się, iż

(*) Grający na Kobzie.

http://rcin.org.pl

się pogoda ustaliła. Nikt nie wymówił się lairdowi; czekał on w sali na przybycie każdego z gości, których zaprosił.

—» Moja kochanko! wszakże to jest powóz z Brosefit-Knowe? stara lady Clover przysięgam.

—» Będzie się tu przebierać z trzema swoiemi córkami.

—» Anna, niezmiernie znabożniała, to znaczy, że już jest za późno aby ją wydać za mąż.

—» Co za szkoda! że nie ma pastora; żona mu umarła. Trzeba o kim innym pomyślić.

—» Możemy posadzić Joannę, przy młodym Grejsten.

—» Elżbietka jest jeszcze za młoda, może usiądz obok Tomasza Marvell, przy małym stole. To jest jeszcze młodzieniaszek.

—» Tak, ale za czasem będzie to bardzo dobra partya.

Tak więc skoro tylko kto wszedł, już mu laird naznaczał miejsce przy stole i miał tę pociechę, że nawet przed obiadem biesiadnicy porozdzielali się na spokojne sam na sam, pośród szmeru i ruchu, które czyniły ich tak odosobnionemi, jak na schadzce wieczornéj. Spoglądając na te rozmaite gromadki, postrzegł młodą osobę, któréj był jeszcze nie widział. Stała na ustroniu i zdawało się iż całą uwagę zwracając na obrazy zdobiące salę, zapomina o obecności tylu osób. Jéj oblicze ożywiło się nagle, gdy spojrzała na obraz bitwy i najżywsze uniesienie zajaśniało na jéj fizyonomii.

—» Boże mój! szepnął laird do żony: któż jest ta piękna osoba w skromnéj białéj sukni, a nie ma przy niéj ani jednego z młodzieży. Niech piorun ich trzaśnie! nie są warci takiego anioła.

—» To panna Mowbraj, odpowiedziała pani Kirkton: przywiozła ją pani Carmichael. Ma to bydź bogata dziedziczka; pierwszy raz jest w Szkocyi.

—» Tam do licha! zobaczym więc czy ją potrafiemy u nas zatrzymać.

»Angus Mac Lead? Nie, ten się nie zda. Dobry chłopak, ale nie ładny. Karol Flether zdałby się może, ale on lepiéj przystoi dla Anny Johnson. — Ach! jakiż ze mnie stary głupiec! żem o tém nie pomyślał! Karól Melville! takiego nam właśnie było potrzeba. Najpiękniejszy, najodważniejszy, najdowcipniejszy z mężów, jakiego otrzymać może. Jeżeli jest bogaty, tém lepiej dla Karóla; będzie to prześliczna para.

I w téjże chwili, Kirkton kładąc rękę na ramieniu Karola, który rozmawiał z drugiemi o najnowszych wiadomościach z Hiszpanii, odprowadził go na bok.

—» To wstyd! dalibóg to wstyd! Czy nie widzisz téj młodéj i skromnéj osoby, którą nikt się nie zajmuje. Pójdź natychmiast do niéj i zostań przy niéj tak długo jak będziesz mógł. Zasługuje na twoją uwagę. — »Panno Mowbraj, przydał zwracając mowę do młodéj dziewczyny, żałuję bardzo, że moja przyjaciółka pani Carmichael, zostawiła cię samą od

http://rcin.org.pl

łak dawna; ale oto jest Karól, chciałem powiedzieć pan Karól, albo raczéj porucznik Karól Melville, który będzie bardzo szczęśliwy; iż ją zastąpi. Zaprowadzi cię do stołu i będzie tańcować z tobą.

—»Wszystko to na miejscu lady Carmichael? odpowiedziała młoda osoba surowym tonem.

—»To dobrze! to dobrze! Ale zostawiam odpowiedź komu innemu; był czas kiedym się nie kłopotał jak mam odpowiedzieć tak pięknym ustom. To mówiąc, szepnął do swego młodego przyjaciela:

»Zabawiaj ją Karolu» a potém pobiegł na drugi koniec sali, zajęty podobnémże staraniem.

Rozpoczęta rozmowa, ciągnęła się łatwo, z wielkiém zadowolnieniem lairda. Officer zaprowadził pannę Mowbraj do stołu, usiadł przy niéj i tak się nią zajmował ile tylko mógł żądać jakikolwiek kojarzyciel małżeństw. Młoda osoba była także w jak najlepszym humorze i śmiała się z uwag swego sąsiada.

—»Jak dawno pani bawisz przy pani Carmichel?

—»Wczoraj przyjechałam.

—»Obawiam się, żeby się ten kraj dzikim pani nie wydawał, tém bardziéj, gdy sobie przypomnisz cywilizacyą twego kraju.

—»Czy pan chcesz mówić o kraju czy o jego mieszkańcach? Co do nich, nie są tak dzicy jak sobie wyobrażałam. Niektórzy nawet zdają się bydź na pół ucywilizowani.

—»Pani przez twoją dobroć tak o nich sądzisz; jak ich lepiéj poznasz, zmienisz twoje zdanie.

—»Nie gniewaj się pan, że nie mówię o tém, czego wszyscy Szkotowie pragną, o właściwych wam cnotach. Wiem że jesteście niezrównanym narodem. Każdy wieśniak jest u was filozofem, a wszystkie wasze kobiety są aniołami; ale muszę wyznać, żem się niezmiernie zadziwiła, zobaczywszy żeście tacy ludzie jak wszyscy inni.

—»Czegoż się więc pani spodziewałaś, czyś myślała że nosiemy głowy odwrócone do ramion?

—»Nie! nie myślałam tego, lecz się spodziewałam czegoś nowego, co mi dotąd nie było jeszcze znaném. Tak się tu ubierają jak i w Anglii, inne zwyczaje zupełnie są te same. Czasem nawet język zrozumieć można; lubo muszę przyznać, że laird potrzebuje tłomacza.

—»Och! ten wesoły laird! on jest dykcyonarzem wielo-językowym. Jego twarz wyraża dobroć, uprzejmość, gościnność, jest to język dla wszystkich zrozumiały.

—»Ale proszę mi powiedzieć, co to za człowiek siedzi przy nim po prawéj stronie?

—»Kto? ten *henchman*? (*) To jest Roy-Mac-Taggart: był muzykantem pułku 73go, przez dwadzieścia lat; zabił własną ręką trzech ludzi w Badajoz.

—»I dla tego to nazywają go henchman? Co za nie zrozumiałe słowa! ich dźwięk jest tak pocieszny, jak twarz lairda.

W tém laird przerwał ich rozmowę.

—»Panno Mowbray, niech cię nie przestraszają szaleństwa które ci prawi ten młody roztrzepaniec; potém

(*) Krajczy.

http://rcin.org.pl

dodał cichszym głosem: Z Karóla byłby dobry i wierny mąż. Co za szkoda, jeżeliby kule francuzkie oszpeciły jego piękność! Biedny chłopiec!»

Młoda dziewczyna skłoniła się nie rozumiejąc ani jednego słowa z tego co jéj powiedział szanowny gospodarz.

—»Czy myślisz pan wkrótce udać się na ląd stały? zapytała się Karóla.

—»Co dzień spodziewamy się iż odpłyniem do Hiszpanii; a wtenczas można otrzymać albo parostwo, albo grób w opactwie Westminsterskim.

—»Ach! wojna jest piękną rzeczą kiedy się na nią z daleka patrzemy! Czyli iż rządy nie mogą załatwić swoich sporów bez pomocy pałaszy?

—»Nie zdołam dobrze odpowiedzieć na zapytanie pani; mniemam że wojna jest małym przywilejem i ucieczką młodéj szlachty bez majątku. Ale uważam że pani jesteś bardzo czuła. Na szczęście lord zaprosił nas do balowéj sali; czy mogę prosić o rękę pani?

—»Ach! ach! młodzieńcze, zawołał lord, dosłyszawszy tych ostatnich wyrazów, czy już tak daleko zaszedłeś? Prosić o rękę damy po tak krótkiéj znajomości!

Wrzawa zagłuszyła te ostatnie słowa, i szczęściem nie doszły do ucha panny Mowbray. Za kilka chwil potém ta młoda osoba wesoło tańczyła kontradansa.

Wiadomo, że małżeństwa naznaczone są w niebie. Karol Melville gorąco pragnął, ażeby się powiodły usiłowania lairda. Nigdy w życiu nie umiałem opisać piękności i teraz nie mogę się zdobyć na opisanie dziedziczki angielskiéj, zostawiam tę pracę wyobraźni czytelnika. Była ona jednym z najpiękniejszych kwiatów jaśniejących w Lugar. Sama lady Clower przyznawała, że panna Mowbray na tak młodą osobę okazała wielki gust w ubiorze. »Jéj włosy nieco są podobne do włosów naszéj Anny, rzekła, tylko mi się zdaje, że włosy Anny większy mają połysk.

—»Boże odpuść! zawołał laird, włosy Anny są tak czerwone jak marchew.

—»Czy nie uważasz, rzekła dama, czy nie uważasz, że podobny ma głos do głosu Joasi, tylko że nie tyle jest harmonijny.

Młoda osoba, będąca przedmiotem ich rozmowy, nie dbała bynajmniéj o to co pani Clover myśli o niéj. Nie powiem że się zakochała: nie uznaję bowiem władzy, którą miłość tak nagle przywłaszcza sobie nad sercem kobiety; jednakże bawiła ją nowość tego widowiska, a jéj kawaler wyraźnie jéj się podobał. Ponieważ też same względy nie sprzeciwiają się abym dał poznać rzeczywisty stan serca Karóla Melville, powiem, iż był przejęty bezprzykładną miłością godną bohatyra romansu; między kontradansami puszczał wodze wyobraźni swojéj, marzył o miłości i chatce, i o tysiącu podobnych niedorzecznościach, które w takiém zdarzeniu ogarniają umysł. Nie pytał się wcale czy ta młoda osoba jest bogatą. Fe! zajmować się tak poziomemi rzeczami, jako to rachunkiem piekarza i rzeźnika, sposobem utrzymania żony z pięcioma lub sześcioma aniołkami. Gminne myśli!

http://rcin.org.pl

Muszę oddać mu sprawiedliwość; chociaż był Szkotem, ani nawet przyszło mu do głowy, że panna Mowbraj jest bogatą dziedziczką. Jeżeli w tak delikatnym przedmiocie wolno mi jest mówić za niego, wyznam, iż w rzeczy saméj ucieszyłby się, gdyby jego kochanka była jak on uboga.

Czas tak szybko dni nasze porywa, nawet wtenczas gdy obarczeni jesteśmy ciężarem nieszczęść; nie ma więc nic dziwnego, że najrozkoszniejszy wieczór dla Karola, tak prędko upłynął. Xiąże i najznakomitsi goście już się oddalili, głośna wesołość nastąpiła po zimnéj etykiecie; ale chwila tak dogodna do rozmowy sam na sam, niespodzianie znikła: zawołano na pannę Mowbraj. Pomógł jéj do obwinięcia się w salopę, i czule ścisnął jéj rękę, prowadząc ją do starożytnéj karety, ze wszystkich stron przystępnéj wiatrom, chociaż noc była zimna i burzliwa. Śnieg stłumił turkot kół i wkrótce żaden odgłos nie doszedł bacznego ucha kochanka. Wolnym krokiem wrócił do sali, gdzie nikt nie był zważał na oddalenie się téj, która wszystkie jego myśli zajęła.

—»Głupcy! zawołał, nie postrzegliby ciemności, chociażby słońce zaćmiło się w samo południe.» A potém wpadł w dumanie dosyć dziwaczne dla tych, którzyby sobie przypomnieli jak był uszczęśliwiony przed chwilą. Z tego stanu wywiódł go *henchmann*. »Prześliczna panienka! rzekł do niego: i wyjechała na taką noc!. Gwiazdy znikły, śnieg zaczyna padać, potok Lugar wzbiera, a jeżeli na nieszczęście ten stary łotr Andrzéj Strachans, stangret pani Carmichael, ten stary pijak, od rana do nocy pijany, zechce przejechać bród, ta piękna panienka już zginęła. Nigdy nie będę miał serca wydać pieniądz który mi wsunęła w rękę, przed zaczęciem tańca.»

Karol już nie dosłyszał ostatnich wyrazów muzykanta; uderzyły go tylko pierwsze dwa słowa henchmana i w ubraniu balowém wybiegł na drogę, chcąc zapobiedz okropnemu niebezpieczeństwu, jakie zagrażało jego kochance; ale co raz większy śnieg padał i pędzony wichrem nie dozwalał mu rozróżnić miejsc i tak mało mu znanych. Szedł z trudnością, nadzieja zaczęła go już opuszczać. Wołał, śnieg przygłuszał jego wołanie i nikt mu nie odpowiadał. Rzucił się ku brodowi, wołając co raz mocniéj; ale huk wód potoku tłumił głos jego. Nie mogąc nic dostrzedz w téj ciemności którą wzrok jego nadaremnie chciał przedreć, już miał wracać, ciesząc się tą myślą że te których szukał musiały szczęśliwie przebydź potok, pojechawszy inną drogą prowadzącą do mostu, gdy w tém zdało mu się że usłyszał słaby krzyk powstający ze środka wąwozu. Karól rzuca się jak błyskawica w stronę zkąd ten głos wychodzi. Drugie wołanie mocniéj jego słuch uderza, może nawet rozeznać w niewielkiéj odległości od siebie, jakiś znaczny przedmiot. Woła znowu, tą razą przekonywa się, że głos pochodzi z parowu. Nie waha się ani chwilę. Mimo bystrości potoku, nie wątpi o skutku usiłowań swoich, gdyż może dosięgnąć gruntu; podwaja więc odwagę; wkrót-

http://rcin.org.pl

ce dotyka się przedmiotu, który był postrzegł w dalekości. Już nie wątpi... jest to powóz pani Carmichael i doznaje niewymownego szczęścia znajdując dwie damy, które mimo okropności położenia swego, zachowały przytomność umysłu.

Po kilku szybko wymówionych słowach, zaklął te damy aby się zupełnie zdały na niego, i prosząc ciotkę aby spokojnie pozostała w powozie, chciał wynieść pannę Mowbraj; ale zaklinała go o wyratowanie przedewszystkiém jéj towarzyszki: »Mam bowiem, rzekła, tyle zaufania w własnych siłach, iż będę czekać twego powrotu.» Karol musiał ustąpić tak naglącym prożbom i przejęty uwielbieniem złożył w powozie drogi ciężar, przycisnąwszy go do serca swego. W mgnieniu oka porwał przelękłą panią Carmichael, i wyniósł ją na brzeg, z zapałem, wskazującym iż gotów jest narazić się na wszystko. Natychmiast wrócił do powozu, za chwilę już byłby go nie mógł dosięgnąć; woda bowiem wzrastała z przerażającą szybkością. Panna Mowbraj na pół omdlona w objęciach które ją wyrwały z niebezpieczeństa, ocalała, powóz zaś uniessiony został pędem wody.

Powoli i ciężko postępowano ku gościnnemu domowi, który opuścili przed chwilą. Jakiegoż zachwycającego szczęścia, jakiéj radości doznawał młody porucznik, który uratował ubóstwioną kochankę! Wkrótce usłyszeli muzykę i postrzegli światło balu, który jeszcze swego blasku nie postradał. Jakże boleśnie zdziwił się dobry Kirkton, ujrzawszy gości swoich w tak opłakanym stanie. Ta przygoda wzruszyła całe zgromadzenie.

Zawierucha tak się wzmogła, iż wszyscy woleli pozostać na miejscu. Czynna przezorność lairda, wyszła na dobre. Damy umieszczono w pokojach, mężczyźni obwinęli się w płaszcze i pozostali na wielkiéj sali. Muzykanci poszli spać do stodół. Wszędzie panowała wesołość. Już zaczęło świtać, a sen i milczenie nie nastały jeszcze w tym błogim domu. Zamieć trwała ciągle, i gdzie tylko wzrok mógł dosięgnąć, wszędzie postrzegał przerażającą samotność. Nie wiadomo było jak długo potrwa taki stan powietrza i kiedy można będzie wyjechać. Nie zmieszało to nikogo: a nawet cieszyły się z tego dwie lub trzy dziewczyny; starsze osoby zniosły cierpliwie tę przeszkodę, uspokojone nadewszystko zapasami spiżarni, a laird widząc że ta okoliczność posłuży do jego zamiarów, włożył ambargo na biesiadników.

»Jeśli to potrwa tylko trzy dni, mówił do siebie, będziemy mieli dwanaście małżeństw przed Najświętszą Panną. Czyliżby mogło, dwoje młodych ludzi, chociażby też i najobojętniejszych, przebywać razem pod jednym dachem przez trzy dni i nie rozkochać się w sobie? Te marzenia lairda przerwało wnijście pani Carmichael i panny Mowbraj. Gdy pierwsza odpowiadała przyjaciołom winszującym jéj szczęśliwego ocalenia; drugiéj spojrzenie błąkało się po sali i zatrzymało się na Karolu Melville. Jéj lica tak blade przed chwilą, okrył żywy rumieniec; pobiegła ku niemu, podała mu rękę, którą on uchwycił,

http://rcin.org.pl

ledwie powściągając się od jéj ucałowania w obecności tylu osób.

—»Ach! dzięki ci, dzięki! tyle tylko mogła wyrzec drżącym głosem młoda dziewczyna i łzy się puściły z jéj oczu. Lecz gdy spostrzegła że wszystkich wzrok zwrócił się na nią, zmieszana wróciła do lady Mowbray. To wszystko nie uszło uwagi lairda.

—»Jakże nie śmiały! jakże nie trafny! czemuż jéj nie pocałował? Pocałowanie byłoby usprawiedliwiło jéj rumieniec. Och! gdybym ja był wybawcą, nie byłbym takim skromnisiem!.. nie prawdaż moja kochanko? przydał obracając się do żony. »

Smutna ta pora trwała przez pięć dni, nie mogę powiedzieć czy plany lairda zupełnie się powiodły, mniemam jednak, że się jego przewidywania ziściły. Pastorowi przysłano osiém serwisów do herbaty w przeciągu trzech miesięcy, i nie jedna stara panna gorzko żałuje, że nie była na balu w Lugar, i jak mówią, wszystkie ich nieszczęścia zaczęły się od owego czasu

Już czwarty dzień upływał jak byli w tém oblężeniu, gdy oddano lairdowi list od jednego z gości, był to list od Melvilla. Donosił o swoim odjeździe, dodając, że nie może dłużéj bydź oddalonym od pułku. Wiadomość ta niezmiernie obeszła wszystkich gości; pani Carmichael bardzo się zadziwiła, miss Mowbray nie okazała wzruszenia, tylko zdawała się bydź smutniejszą niż zwykle i niechciała tańczyć; ale wkrótce głośna wesołość na nowo zaczęła ożywiać całe towarzystwo.

Jednakże, nadszedł dzień że przecież śniegi stopniały, był to znak rozjechania się wszystkich, i laird sam pozostał.

W cztery lata po tém zdarzeniu, młody człowiek wszedł do sali w kąpielach Bath; jego przyjemna powierzchowność zasługiwała na uwagę i wzbudziła ciekawość kobiet. Jedne mniemały że jest cudzoziemcem, drugie że to jest jaka znakomita osoba podróżująca incognito; lecz to była rzecz widoczna dla wszystkich, że był oficerem i do tego chorym. Zdawało się, sądząc z jego postaci, że ma zaledwie lat dwadzieścia sześć; przez kilka minut posłuchawszy muzyki, wyszedł. Zaraz po jego odejściu, ciekawość obecnych dam zwróciła się na inny przedmiot. Weszła młoda osoba opierając się na ręku damy już w latach. Okoliczność tak prosta, wznieciła przecież bardzo mocne wrażenie i stała się powodem tysiąca domysłów. Najnowszemu wypadkowi towarzyszą zawsze dziwaczne domniemania, jako żywioł, którego wygląda łakoma ciekawość.

Gdy całe towarzystwo zajęte było nowemi postrzeżeniami, młody nieznajomy udał się ku Misson-Stret, szedł z ciężkością i opierał się na lasce. »Karolu! Karolu Melville! »Te słowa przerywane mocnym kaszlem, przypomniały mu głos znajomy.

—»Co, ty żeś to lairdzie? odpowiedział, zobaczywszy przed sobą starca, którego powoli niesiono w lektyce, co podniecało jego zły humor.

—»Ach! Karólu, Karólu! toż więc zyskałeś na wojnie? nawet twoja matka nie byłaby cię poznała. Pójdź,

http://rcin.org.pl

pójdź do mojego pomieszkania w Pultenej-Street, opowiesz nam co się z tobą działo, pójdź Karolu, moje dziecię?

Karól szedł więc obok starca, który z wyrazami pełnemi życzliwości dla swojego młodego przyjaciela, łączył przekleństwa na podagrę i na powolny chód tragarzy. Karól wkrótce opowiedział swoje przygody.

Podzielał niebezpieczeństwa i tryumfy trzech ostatnich lat wojny. Pod Waterloo był niebezpiecznie rannym, i nareście przybył do Bath, ze stopniem majora i z osłabioném zdrowiem. Chociaż udawał wesołość i obojętność na wszystko co miało związek z przeszłością, przenikliwe oko lairdą łatwo dostrzegło tajemny i źle ukrywany smutek.

—» Ależ Karolu, rzekł do niego, przyznaj się, czyliż w twoich podróżach niemiałeś jakiéj miłosnéj przygody? nie przekonasz mię bowiem, że rana w łopatce może przyprowadzić człowieka do takiego stanu, w jakim ty dziś jesteś; bądź szczerym; czyliż jaka piękna hiszpanka zraniła twoje serce? nie ukrywaj tego przedemną; czyliżbyś mógł wątpić, że z największym pośpiechem dopomogę twoim zamiarom?

—» Nie, odpowiedział Karól, uśmiechając się na tę ciągłą chęć swatania, nigdy nie wzdychałem do hiszpanki. »

—» A więc musi to bydź jaka Angielka lub Szkotka: gdyż wątpić nie mogę, że miłość zraniła twe serce. Pewnego razu Karolu, zabierałeś się pozyskać miłość pięknéj osoby, którą ocaliłeś, aleś oddalił się tak śpiesznie, iż to się nie mogło zawziąść.

—»Była za bogatą dla ubogiego porucznika, odpowiedział Karol, mocno wzruszony ostatniemi słowami lairda.

—» Mylisz się, i bardzobym źle przewidywał, jeśli młoda dziewczyna niezgadzała się ze mną w tém względzie. W chwili niebezpieczeństwa czyliby nie oddała ręki i majątku temu, ktoby ją wyratował? I cóż? czy nie tobie jest winna, iż może niemi rozrządzać? Któż ma lepsze prawa od ciebie? Powiodły się wszystkie nasze małżeństwa; osiem było skutkiem owego balu. Twoje byłoby dziewiątém; niebyłbyś ugodzony kulą w ramię i byłbyś nigdy nie opuścił pięknych dolin w Surrej, gdybyś był tylko chciał?

—» Niestety! dla czegóż mój majątek nie wyrównywał jéj majątkowi?

—» Tak, ale dziś kiedy po śmierci brata jesteś dziedzicem starożytnego domu i majorem...

Od mego wyjazdu, nie miałem najmniejszéj wiadomości o losie panny Mowbray, może teraz uszczęśliwia małżonka?

—»Mogę ci zaręczyć, że jeszcze przed czterema miesiącami nie poszła za mąż; widziałem się wówczas z panią Carmichael; wspominała mi, że od owéj przygody kiedy powóz wpadł z niemi w potok, jakaś smętność ją ogarnęła i dotąd jéj nie opuszcza; dodała żeś był wielkim szaleńcem, bo wtenczas takeś nagle zniknął.

—»Pani Carmichael jest tak dobra!..

http://rcin.org.pl

—»Istotnie jest bardzo dobra, jest to zacna kobieta; prawda że jéj wiek już jest nieco dojrzały, ale zdaje mi się, że nie byłaby się gniewała, gdybyś się był chciał z nią ożenić.

—»Spodziewam się, że nie posunie tak daleko swojéj wdzięczności: odpowiedział Karól śmiejąc się: bo w takim razie młodzież musiałaby dobrze się namyśleć, nimby uratowała życie kobietom.

— »Gdybym tylko wiedział gdzie są teraz, dodał stary laird, skojarzyłbym to, jeźli już nie zapóźno. Jednak musisz trochę utyć przed twojém ożenieniem, bo wyglądasz jak szkielet, nie jak pan młody. Ale cóż ci to jest? czyś chory? czy ból głowy? czy podagra? powiedz! co ci jest? Jest tam kto! niech djabeł porwie takie nogi! ruszyć się nie mogę. Karólu usiądź, odpocznij moje dziecię!»

Ale Karól niewzruszony, z oczyma wlepionemi w ulicę, stał jakby omamiony jakim czarodziejskim widokiem. Rumienił się i bladł na przemiany; głębokie westchnienia wydobywały się z jego piersi, nareście padł zemdlony na ziemię. »Rory! Rory! wołał laird, lecz nadaremnie wołał, nadaremnie chciał ratować przyjaciela; wszelkie usiłowania były próżne. Na szczęście, stary Rory Mac Taggan dosyć jeszcze na czas przyszedł, nim się jego pan udusił z niecierpliwości i przelęknienia.

Karól wkrótce odzyskał przytomność, i gdy został sam z Kirktonem:

»To ona! zawołał, spostrzegłem ją w chwili gdyśmy o niéy mówili, jéj to zachwycająca postać, ale tak blada!.... a jéj chód!...

—»Któż taki?... zapytał laird. Pewno pani Carmichael, gdyż to o niéj mówiliśmy. O! tak jest, bardzo się zmieniła, i chód ma trochę sztywny, od czasu jak zachorowała na romatyzm; ale gdzież są?

—»Panna Mowbraj!.. spostrzegłem, widziałem ją jak weszła do domu na przeciwko.

—»Co! do tego domu z zielonemi drzwiami, z klamką złotą, gdzie są na ganku kwiaty, to uschłe geranium?

—»Tak jest.

—»Zadzwoń więc i powiedz temu Anglikowi, żeby mię wsadził w ten mały wózek i przeciągnął na drugą stronę ulicy.

—»Ale niepodobna! kochany lairdzie, pamiętaj o podagrze.

—»Niech diabli porwą podagrę i kaszel! Co! mam wyswatać dwoje młodych! Niechaj lektyka będzie gotowa za pięć minut, muszę się przekonać, czy to ona w rzeczy saméj.

Mimo wszelkich przełożeń, Kirkton poszedł odwiedzieć pannę Mowbraj. Teraz jeśli kto wątpi czy się udały swaty, ja, autor téj powieści, cieszę się że mogę dać przekonywające dowody, i zaspokoić ciekawość czytelnika. Panna Mowbraj, raczéj lady Melville, zawsze jest ładna i szczęśliwa; w téj chwili otacza ją troje ładnych dzieci, których wesołe krzyki i wrzawa tak mię głuszą, że prawie nie wiem co piszę. Mogę też zapewnić moich czytelników, o stanie zdrowia naszego swata. Już wcale nie kaszle i tylko raz na rok nawiedza go podagra; przyjął za swoje dziecię mojego drugiego syna, i każdą jesień przebywamy z nim w Lugar. Lecz trochę podupada: przeszłego

http://rcin.org.pl

roku tylko dwanaście małżeństw skojarzył. Oh! gdyby wszyscy swaci byli tak bezinteressowni i tak szczerzy jak wesoły Szymon Kirkton!

WRAŻENIA PODRÓŻY.

przez Alexandra Dumas.

SZWAJCARYA.— BERN.

Wieczorem przybyliśmy do Berny. Gadanie kilkuset ludzi razem zebranych, obudziło nas o świcie; wyjrzeliśmy oknem: targ odbywał się przed domem zajezdnym.

Zły humor sprawiony tak wczesném obudzeniem, rozproszył się prędko na widok malowniczy tego placu zapełnionego wieśniakami w krajowych ubiorach. Podczas pobytu mego w Szwajcaryi, najwięcéj psuło złudzenie moje to, iż mody francuzkie upowszechniły się nie tylko w wyższych klassach społeczeństwa, ale także i między ludem. Długie oczekiwanie moje, sowicie wynagrodził w dniu dzisiejszym przypadek, który zebrał przed mojemi oczyma, w całéj ich zalotności, najładniejsze wieśniaczki z pobliskich kantonów. Była to piękna Lemanka, z krótko ostrzyżonemi włosami, kryjąca rumiane lica pod szerokim kapeluszem słomianym; kobieta z Fryburgu, która około odkrytéj głowy, trzykroć okręca warkocze włosów, będące jedynym jéj strojem; Wallezyanka, która przechodzi przez górę Gemmi, w małym kapeluszu obszytym axamitem czarnego koloru, od którego aż na jéj ramiona spada szeroka wstążka, wyhaftowana złotem; nareście w pośród nich, najprzyjemniejsza ze wszystkich, dziewczyna z kantonu Berny z płaskim kapelusikiem z żółtéj słomy, obciążonym kwiatami jak koszyczek, nachylonym zalotnie ku jednéj stronie, z pod którego wykradają się dwa długie pukle jasnych włosów, z czarnym axamitnym fontaziem na szyi, z szerokiemi rękawami u koszuli, z gorsetem wyhaftowanym srebrem.

Miasto Bern, tak poważne, tak smutne, tak starożytne, zdawało się także w tym dniu przywdziewać uroczystą odzież; rozsiało swoje kobiety po ulicach; jak kokietka naturalne kwiaty na szacie balowéj. Jego posępne i sklepione arkady, ciągnące się wzdłuż domów, ożywiły się tym wesołym tłumem, którego suknie różnobarwne, odbijały się od ciemnych murów. Stojąc w oknie, klasnęliśmy w dłonie jak na widok obrazu okazującego się w teatrze za podniesieniem kortyny, a potém zapaliwszy cygara, wyszliśmy na ulicę.

Przystąpiliśmy do gromadki młodych uczniów akademii, zapytując o drogę do katedralnego kościoła. Zamiast wskazać ją ręką, jakby to uczynił paryżanin zajęty interessami swojemi, jeden z nich odpowiedział nam po francuzku, z lekkim akcentem niemieckim: »Tędy» i przyśpieszywszy kroku wraz z towarzyszem, został naszym przewodnikiem.

O kilkadziesiąt kroków ztamtąd, stanęliśmy przed jednym z tych starych zegarów, na których ozdobienie

http://rcin.org.pl

jaki mechanik z 15go wieku, częstokroć całe życie poświęca. Uśmiechnął się nasz przewodnik. — »Czy chcecie panowie zaczekać, ósma zaraz uderzy.

Jakoż w téjże saméj chwili, kogut stojący na małéj dzwonnicy, zatrzepotał skrzydłami i trzy razy zaśpiewał głosem automata; na to wezwanie czterej Ewangeliści wyszli jeden po drugim ze swoich kryjowek, a każden z nich uderzył kwadrans, na dzwonku, młotkiem który trzymał w ręku; potém gdy godzina bić zaczęła, otworzyły się maleńkie drzwiczki, dziwna processya przeciągała, kręcąc się w półkole, około podstawy zegara, i wyszła drugiemi drzwiami, które zamknęły się, gdy ostatnia uderzyła godzina.

Już dnia wczorajszego wieczorem, wjeżdżając do miasta bramą Fryburgską, uważaliśmy jakiś rodzaj uczczenia, które mieszkańcy Berny, mają dla niedźwiedziów. Widzieliśmy dwa olbrzymie posągi tych zwierząt, stojące przy bramie, jak przy wnijściu do Tuilleries stoją konie ujeżdzone przez niewolników. Dziś, ledwie pięćdziesiąt kroków uszedłszy, zostawiliśmy po lewéj ręce fontannę, na któréj postumencie stał niedźwiedź z chorągwią w ręku, okryty zbroją rycerską i mający przy nogach swoich niedźwiadka, stojącego na tylnych łapach, a w przednich trzymającego winogrona. Przeszliśmy na plac śpichlerzy, i postrzegliśmy na rzeźbie frontonu, dwa niedźwiedzie utrzymujące herb miasta. Niedość na tém, jeden z nich wylewał z rogu obfitości, skarby handlu, młodym dziewczętom zbierającym je śpiesznie, gdy tymczasem drugi podawał wdzięcznie na znak przymierza, łapę wojownikowi, przybranemu w strój francuzki. Tym razem widzieliśmy wychodzący z zegaru orszak niedźwiedzi, jedne grały na klarynecie, drugie na kobzie; a za niemi postępowały inne z bronią na plecach, z rozwiniętémi chorągwiami. Widok ten, mógł podniecić naszą ciekawość; jakoż śmieliśmy się do rozpuku. Berneńczykowie nawykli do tego widowiska, śmieli się z naszego śmiéchu i zamiast gniewać się uradowani byli z naszéj wesołości. Nareście uspokoiwszy się trochę zapytałem co znaczy to nieustanne widowisko z [illegible] nie będących bynajmniéj wzorem wdzięków i grzeczności? i czyli miasto ma jaki szczególny powód do zamiłowania niedźwiedzi?

Odpowiedzieli na to, iż niedźwiedzie są mianodawcami ich miasta. Zapytaliśmy się o bliższe wyjaśnienie téj odpowiedzi.

Wyraz niemiecki Baer wymawiający się *Berr*, znaczy niedźwiedź, i od niego pochodzi nazwisko Berny. Ten z dwojga młodych ludzi który lepiéj mówił po francuzku, oświadczył iż nam wszystko opowié prowadząc nas do kościoła. Chciwy będąc dawnych podań i legend, z wdzięcznością przyjąłem jego ofiarę. Powtórzę czegom się dowiedział od mojego cicerone.

Miasto Bern założył w r. 1191 Berthold xiąże Zoeringen. Tylko co je otoczył murami i zamknął bramy, zaczął szukać nazwiska dla nowo-zbudowanego grodu, z taką troskliwością, z jaką matka szuka dla nowonarodzo-

nego dziecięcia. Na nieszczęście, zdaje się że Xże Berthold nie miał bardzo obsitéj wyobraźni, gdyż nie mogąc znaleźć tego co szukał, zaprosił na wielką biesiadę całą szlachtę z okolicy. Uczta trwała trzy dni, a jeszcze nie zgodzono się względem nazwiska owego dziecięcia, gdy jeden z biesiadników wniósł, aby nazajutrz odbyć wielkie polowanie w okolicznych górach i nadać miastu nazwisko pierwszego zwierza jakie zabiją. Jedno-zgodnym okrzykiem przyjęto ów wniosek.

Nazajutrz o świcie wyruszyli. Po godzinie łowów, okrzyk zwycięztwa dał się słyszeć; zbiegli się na miejsce skąd pochodził. Łucznik xięcia, ubił jelenia.

Berthold bardzo był niekontent z tego wypadku. Oświadczył więc, że nie da dobremu i warownemu miastu, nazwiska zwierzęcia będącego godłem tchórzostwa. Żartownisie utrzymywali, że zwierz ten przypomina także inne godło, o którém zamilczał xiąże, chociaż w nim najwięcéj może wstętu wzbudzało. Xże Berthold był stary a miał młodą i ładną żonę.

Uznano więc tę zdobycz za nie ważną i daléj prowadzono łowy.

Ku wieczorowi spotkali niedźwiedzia.

»Dzięki Bogu! to jest zwierze którego nazwisko nie narazi ani honoru mężczyzny, ani honoru miasta.» Biedne zwierzę zabite bez miłosierdzia, nadało imie swoje wzrastającéj stolicy. Dziś jeszcze, kamień wzniesiony o ćwierć mili od Berny, przy cmentarzu Muri-Salden, poświadcza wiarogodność tego źrodłosłowu; krótkim ale dokładnym napisem, w staréj niemczyźnie:

ERST BAER HIER FAM (*)

Nic nie było do powiedzenia przeciw tak ważnym dowodom. Zawierzyłem powieści naszego studenta, która jest dopiero wstępem do inszéj jeszcze dziwaczniejszéj; opowiem ją w właściwém miejscu. Przez ten czas przeszliśmy jednę ulicę, potém wielki plac i nakoniec ujrzeliśmy przed nami kościół katedralny. Jest to budowa gotycka, w stylu dosyć odznaczającym się, chociaż nie zgodna z przepisami owczesnéj architektury, ponieważ będąc kościołem metropolitalnym, ma tylko jednę dzwonnicę, a nie ma żadnéj wieży, i jeszcze do tego dzwonnica ucięta jest na 191 stóp wysokości, co ją czyni podobną do wielkiéj głowy cukru, któréjby wierzch obcięto. Gmach ten zaczęto budować r. 1421, podług planu Macieja Heins, który otrzymał pierwszeństwo nad innym architektem. Rywal jego umiał ukryć ile cierpi to poniżenie, a skoro gmach doszedł już do pewnéj wysokości, prosił Macieja Heins, ażeby mógł towarzyszyć mu na wierzch budowy. Maciéj Hejns, nie mając podejrzenia, przystał na jego żądanie. Z łatwością, która więcéj dowodziła miłości własnéj, aniżeli przezorności, szedł na przód i ze wszelkiemi szczegółami pokazywał mu rozpoczęte prace. Rywal jego rozwodził się w szumnych pochwałach nad talentem Heinsa, a ten zaś chcąc mu dowieść, iż na nie zasługuje, zaprowadził go do innéj części budowy i

(*) Pierwszy niedźwiedź tu był ubity.

pokazał najkrótszą drogę, idąc po desce opartéj na dwóch ścianach wysokich na 60 stóp. W téj chwili usłyszano krzyk i łoskot. Nieszczęśliwy architekt spadł z rusztowania... Nikt nie był przytomnym nieszczęściu Macieja Heins, prócz jego współzawodnika. Ten zaś opowiadał, że pod ciężarem ciała przeważyła się deska, ponieważ mury na których ją oparto nie były równe, i że z boleścią widział jego upadek a nie mógł go ratować. W osiem dni potém, otrzymał posadę po nieboszczyku, któremu kazał wystawić tam gdzie się zabił, przepyszny posąg, a przez to zyskał w Bernie wielką sławę skromności.

Weszliśmy do kościoła, gdzie, jak we wszystkich protestanckich świątyniach, nie ma przedmiotów zwracających uwagę. Dwa tylko groby wznoszą się po obu stronach chóru, jeden jest xięcia Zoernigen założyciela miasta; drugi Fryderyka Steiger, który był radnym Berny, kiedy Francuzi opanowali je w roku 1798.

Zwiedziliśmy potém przechadzkę wewnątrz miasta będącą, zwaną tarasem; wyniesiona jest o 108 stóp nad miasto dolne; mur téjże wysokości, wyprowadzony prostopadle, utrzymuje ziemię. Z tego tarassu widać jeden z najpiękniejszych w świecie krajob azów; u spodu ciągną się dachy domów, w pośród których płynie Aar, bystra i kręta rzeka, prawie w około otaczająca miasto; nieco daléj wznosi się Gürthen, wzgórze na trzy lub cztery tysiące stop wysokie, a które służy oku za przejście do wielkiego pasma gór lodem okrytych i zamykających widokrąg.

Góry te, rano od promieni słońca przybierają wszystkie odcienia tęczy, a wieczorem kiedy miasto i płaszczyzna już są pogrążone w cieniach nocnych, jeszcze jaśnieją ostatnim połyskiem dnia, powoli konającego na wierzchołkach.

Ten wspaniały taras pięknemi zasadzony drzewami, służy za przechadzkę mieszkańcom; dwie kawiarnie umieszczone na dwóch końcach tarassu, dostarczają wybornych lodów, a w środku napis niemiecki wyryty na kamieniu, poświadcza o cudownem prawie wypadku. Koń rozhukany unosząc młodego ucznia, rzucił się wraz z jeźdcem, z wysokości tarassu; koń zabił się na bruku, ale młodzieniec stłukł się tylko i to nieszkodliwie; oto jest dosłowne tłomaczenie napisu:

»Kamień ten postawiono na cześć »wszechmocności bożéj i aby przeka»zać jéj pamiątkę czasom potomnym.

»Z tego miej ce, Teobald Veinzoe»pfli dnia 25go maja 1654 roku skoczył »na dół razem z koniem. Po tém przy»padku służył kościołowi przez lat »trzydzieści jako pastor i umarł bardzo »stary, w stanie świątobliwości, 25go »Listopada 1694.

Jeszcze raz rzuciwszy okiem na ten wspaniały widok, poszliśmy ku dolnéj bramie, chcąc obejść miasto w około przez Altenberg, piękną dolinę zasadzoną winnicami i wznoszącą się po drugiéj stronie Aar nieco wyżéj nad poziom miasta. Po drodze pokazano nam małą oberżę gotycką, pod znakiem buta. Słusznie możnaby się za-

polona.pl

dziwić, że taki szyld znajduje się nade-drzwiami winiarni. Następująca okoliczność była temu powodem:

W roku 1602 Henryk IV. wysłał był Pana Bassompierre do Berny, w charakterze posła, aby ponowił przymierze, już zaprzysiężone w roku 1582 między Henrykiem III. i federacyą szwajcarską. Bassompierre przez prawość i otwartość charakteru, zdołał usunąć trudności téj negocyacyi, i Szwaycarowie stali się sprzymierzeńcami i wiernemi przyjaciołmi Francyi.

W chwili jego odjazdu i gdy już wsiadł na konia przy drzwiach oberży, trzynastu deputowanych z trzynastu kantonów zbliżyło się ku niemu, każdy z nich trzymał w ręku ogromny *Widerhome*; ofiarowali mu kielich pożegnania, otoczyli go, wznieśli razem trzynaście kielichów (a każdy mieścił w sobie butelkę) i wznosząc jednozgodny toast na cześć Francyi wychylili je od razu. Bassompierre odurzony takim rodzajem grzeczności, jeden tylko znalazł sposób odpłacenia się za nią; zawołał służącego, kazał sobie zdjąć but, nalał trzynaście butelek wina w ten kielich na prędce wymyślony, a wzniosłszy go nawzajem, rzekł: »Na cześć trzynastu kantonów!» i wypił trzynaście butelek. Szwajcarowie uznali, że Francya ma godnego jéj posła.

Przeszliśmy rzekę Aar po dość pięknym moście kamiennym. Z wierzchołka wzgórza Altenberg, prawie ten sam jest widok, co z tarassu. Powracając do miasta przebyliśmy rzekę Aar promem, którego dochód oddany jest jednemu ze starych i zasłużonych sług miasta Berny; opłata wynosi dwa soldy. — Szwajcarowie są w ogólności ciekawi, a nawet natrętni w zapytaniach swoich, ale czynią je z naturlną dobrotliwością i prostotą, a gdy im opowiesz kto jesteś, opowiedzą ci nawzajem swoje interesa domowe, jak gdyby przyjacielowi domu.

Ponieważ obojętną było dla nas rzeczą iśdź w tę lub ową stronę, byleby tylko co nowego zobaczyć, poszliśmy za tłumem, który udawał się na przechadzkę Engi, najbardziéj uczęszczaną w okolicach miasta. Wielkie mnóstwo zebrało się przy bramie Aarberg. Zapytaliśmy się o przyczynę, odpowiedziano nam jedném słowem: *niedźwiedzie*. Jakoż docisnąwszy się na przód, ujrzeliśmy jakby na galeryi teatralnéj, dwieście lub trzysta osób, przypatrujących się igraszkom czterech ogromnych niedźwiedzi, rozdzielonych na pary i osadzonych w dwóch wielkich i wspaniałych fossach, które utrzymywane były z jak największą czystością i wyłożone flizami. Zabawa widzów, zależała na rzucaniu jabłek, gruszek i placków zwierzętom. Niedźwiedzie w drugiéj fossie mieszkające, są mniejsze i młodsze. Gdym się zapytał o przyczynę, powiedziano mi, że są następcami pierwszych, i po ich śmierci odziedziczą ich miejsce i majątek. Rzecz ta potrzebuje wyjaśnienia. Wiemy już od czego miasto Bern wzięło swoje nazwisko. Od owego czasu niedźwiedzie stały się herbem miasta, i nie tylko umieszczono ich postacie na herbie, na fontannach, w zegarach i na pomnikach Berny, ale nawet umyślono sprowadzić żywe, które kosz-

tem miasta dostają jadło i pomieszkanie. Nie była to rzecz trudna, trzeba tylko było pójść w góry i wybrać. Dwoje młodych niedźwiadków schwytano i przyprowadzono do Berny, a ich zgrabność i figle, zjednały im miłość wszystkich mieszczan. Stara panna bardzo bogata, która w ostatnich latach życia swego, okazała szczególniejsze przywiązanie do tych zwierząt, umarła i zapisała 60,000 franków dochodu niedźwiedziom, a tysiąc talarów raz wypłacić się mające, szpitalowi Berny, na fundacyą łóżka jednego, dla członków jéj familii. Krewni testatorki zaskarżyli testament; adwokat wyznaczony był z urzędu dla obrony legataryuszów, a że to był człowiek z wielkim talentem, uznano jawnie niewinność biednych niedźwiedzi, zatwierdzono testament i wprowadzono legataryuszów w posiadanie majątku. Łatwo można było tego dokazać: majątek testatorki składał się z gotowych pieniędzy. Milion dwakroć sto tysięcy franków wniesiono do skarbu miasta, któremu rząd polecił zarządzać tym depozytem i wypłacać procent opiekunom legataryuszów, których uważano za małoletnich. Można zgadnąć, że wielka zmiana zaszła w urządzeniu domu niedźwiedzi. Ich opiekunowie mieli powóz i pałac; dawali w ich imieniu przewyborne obiady i bardzo piękne bale. Dozorca niedźwiedzi przybrał tytuł kamerdynera, i nie bił ich inaczéj, tylko trzciną ze złotą gałką.

Na nieszczęście, nie ma nic stałego na świecie; zaledwie kilka pokoleń niedźwiedzi opływało w tym dobrym bycie, nieznanym dotąd ich rodzajowi, gdy wybuchła rewolucya francuzka. Zwycięzkie wojska francuzów weszły do Berny, a w trzy dni potem, skarb berneński wyruszył do Paryża na jedynastu mułach obciążonych złotem; dwa z nich niosły majątek nieszczęśliwych niedźwiedzi. Gdy się czasy uspokoiły, Bern pomyślało o wynagrodzeniu strat, które ponieśli jego obywatele; nie zapomniano i o niedźwiedziach, otworzono składkę i zebrano sześćdziesiąt tysięcy franków. Za tę summę, tak małą w porównaniu ich dawnych bogactw, rada miejska kupiła kawał ziemi, przynoszący dwa tysiące franków, a ten majątek zmniejszył się jeszcze o połowę, skutkiem nowego zdarzenia. Fossa gdzie mięszkały niedźwiedzie, znajdowała się wewnątrz miasta i dotykała do murów więzienia. Pewnéj nocy, zbrodniarz na śmierć skazany, dostał kawał żelaza, i zaczął wybijać dziurę w murze. Po dwóch godzinach pracy, zdało mu się, że z drugiéj strony toż samo czynią. Pomyślał sobie, że zapewne drugi więzień mieszka obok, i że gdy się z nim połączy, łatwiéj im będzie ratować się ucieczką. Nadzieja ta wzmagała się co raz bardziéj; nieznany pracownik nie zważał na nic, z hałasem odrywał kamienie i sapał mocno. Winowajca tym bardziéj uczuł potrzebę podwojenia pracy, ponieważ nierostropność jego towarzysza, mogła co chwila wydać jch zamiar. Szczęściem nie wiele już było do czynienia. Jeden wielki kamień opierał się jeszcze, gdy w tém zaczął się ruszać, a za parę minut odwalono go na przeciwną stronę. Świeże powietrze

http://rcin.org.pl

doszło aż do niego; poznał iż ta niespodziana pomoc pochodzi z zewnątrz więzienia, a nie tracąc czasu chciał wyjść ciasnym otworem, który tak niespodzianie zrobiono. W połowie drogi spotkał niedźwiedzia, który także ze swojéj strony chciał przecisnąć się do więzienia. Usłyszał był hałas po drugiéj stronie muru, a powodowany przez instynkt zniszczenia właściwy zwierzętom, zaczął dopomagać w najlepsze.

Winowajca musiał wybierać jedno z dwójga, albo powieszonym zostać, albo pożartym. Pierwsza koléj była niezawodną, druga wątpliwą: chwycił się téj drugiéj i udało mu się. Niedźwiedź przestraszony władzą, jaką człowiek wywiera na zwierzu chociażby najdzikszym, dozwolił mu uciec bez szkody. Nazajutrz dozorca wszedłszy do więzienia, znalazł dziwną zamianę osób. Niedźwiedź leżał na słomie winowajcy.

Dozorcą uciekł i drzwi za sobą nie zamknął. Niedźwiedź poszedł za nim poważnym krokiem, wszystkie drzwi zastawszy otworem, wyszedł aż na ulicę, a ztamtąd udał się spokojnie na targ warzywny. Łatwo zgadnąć, jakie wrażenie uczynił widok tego nowego amatora; w mgnieniu oka wszyscy uciekli, a nowo-przybyły mógł wybierać z pomiędzy owoców i warzyw te, które mu się najlepiéj podobały. Nie żałował sobie, a zamiast pójść w góry, w czemby mu nikt zapewne nie przeszkodził, zaczął w najlepsze jeść jabłka i gruszki. Zgubiło go żarłoctwo.

Dwaj kowale, których kuźnia wychodziła na rynek, pomyśleli o sposobie schwytania zbiega; upalili aż do czerwoności dwoje wielkich cęgów, a zbliżywszy się do włóczęgi, w chwili kiedy najwięcéj zajęty był zajadaniem, silnie schwycili go za uszy. Niedźwiedź poznał od razu, że postradał wolność, nie stawił więc żadnego oporu, i poszedł z pokorą.

Z tém wszystkiém pomyślano, że taki przypadek mógłby się znowu przytrafić i możeby nie skończył się tak spokojnym sposobem. Rada miéjska postanowiła zatém, że niedźwiedzi przeniosą za miasto i wymurują im dwie fossy między wałami: jest to ich teraźniejsze mieszkanie. Budowa jego jego o połowę zmniejszyła ich kapitał, kosztowała bowiem 30,000 franków, i tę summę zahypotekowano na ich własności.

Ztamtąd udaliśmy się w dalszą przechadzkę w około Berny. Piękna aleja była przed nami, poszliśmy nią za drugiemi. Po godzinie przechadzki, przeprawiliśmy się na drugą stronę rzeki i ujrzeliśmy się w Reichenbach, między wesołą i głośną karczemką, a starym i posępnym zamkiem Rudolfa d'Erlac; jedna nastręczała nam dobre śniadanie, drugi wielkie wspomnienie. Głód wziął górę nad poezyą.

Karczemka niemiecka, doskonałą jest rzeczą dla każdego, kto lubi walc i kwaśną kapustę. Na nieszczęście, jednéj tylko z tych dwóch uciech używać mogłem i po śniadaniu pośpieszyłem do sali tańca, ofiarując rękę moją pierwszéj wieśniaczce którą spotkałem.

Zwiedziliśmy potém zamek Rejchenbach. Jest o nim podanie, na pół historyczne, na pół poetyczne, jak wszystkie podania szwajcarskie. Stary Rodolf d'Erlac spoczywał po wojennych pracach i przepędzał ostatnie dni chwalebnego życia. Pewnego dnia, zięć jego Rudenz odwiedził go jak za zwyczaj; wszczęła się między niemi sprzeczka o posag, Rudenz uniesiony gniewem, porywa szpadę, uderza starca śmiertelnym ciosem i ucieka, ale dwa psy Rudolfa przywiązane po obu stronach bramy, zrywają się z łańcuchów, ścigają mordercę, i w dwie godziny potém wracają krwią okryte. Nigdy już odtąd niewidziano Rudenza.

http://rcin.org.pl

Dietrich sc. 1794

Zamek Hradschin w Pradze.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

SZYLD.

POWIEŚĆ MICHAŁA MASSON.

Nie wszystkie dobrodziejstwa są skutkiem dobroczynności.

I.

PLAC CHATELET.

Słońce rzucało prostopadłe promienie na próżniaków, którzy powoli idąc wzdłuż bulwarów, przypatrują się biegowi Sekwany; promienie te rozpalały bruk i odbijały się od powierzchni wody; ubodzy rozgrzewali odrętwiałe członki swoje; dwunasta uderzyła.

Na placu Chatelet, widać było łachmany tu i owdzie rozrzucone i piękne meble, wystawione na sprzedaż przez komorników; mnóstwo handlarzy chciwych zysku, czekało niecierpliwie na otwarcie licytacyi; była to sobota.

Łóżko nędzarza zatradowane przez nieużytego właściciela, miało zapłacić należący się najem pomieszkania, gdy tym czasem meble rozpustnika, z cytrynowego drzewa, nie wystarczą na opłacenie jego wczorajszéj rozpusty.

Sprzęty bogacza i ubogiego, leżały pomieszane na targu, a kupcy i mieszczanie, obojętnie między niemi przechodzili, z pogardą spoglądając na łachmany, a z zazdrością na axamity i kosztowne meble: lecz ani pomyśleli o tych, których lichwa obdzierała za wyrokiem sądu.

A przecież, ileż to śmiesznych zdarzeń opowiedziećby można, a propo sofy, na któréj bogacz rozwalał się z całym ciężarem swojéj nieużyteczności! ileż okropnych obrazów nastręczyłaby historya posłania na którém jęczał nędzarz! Kupujący spoglądali jedynie w celu kupienia; ciekawi patrzeli tylko dla tego aby zobaczyć: widoki handlowe albo próżnowanie, zajmowały wyłącznie umysły widzów.

Nareście zadzwoniono; rozległo się wołanie woźnych, wtedy z okolicznych kawiarni i szynkowni, wyszły gromady tandeciarzy, mających licytować do współki i należycie ukarać tych, którzyby śmieli mieszać się do ich targu.

Ze wszystkich kawiarni wychodzili kupujący, a przecież drzwi małéj kawiarni na rogu ulicy *Piotra Rybaka* nie otworzyły się ani razu: gdyż w dniach targu, podobnie jak w dniach zwyczajnych, nic nie zakłócało ciszy panującéj w kawiarni Thibota. Nadaremnie napisano na szyldzie: *Schadzka Prawdziwych Przyjaciół*, prawdziwi przyjaciele wstępowali na przeciwko, obok, nieco daléj, ale nie tam. Ta cukiernia i kawiarnia razem, była jednem z tych miejsc przeklętych, nacechowanych przez bankructwo. Ze trzech poprzedników Thibota, dwóch sobie odebrało życie, a trzeci gnił w kozie. A także i Thibot od kilku dni rozmyślał jakimby sposobem drapnąć przed wierzycielami i układał z żoną, która smutnie siedziała za kantorem, plan ucieczki, gdy tymczasem jego towarzysze, korzystając z chwili wytchnienia, wesoło chowali przychód dzisiejszego poranku.

http://rcin.org.pl

W tém jakiś hałas przygłusza jedno tonne krzyki woźnych i szmer licytantów; kramy są puste, niezmierne koło utwarza się na rynku, nic nie sprzedają, a przecież od godziny rozpoczęła się licytacya. Nadzwyczajny ten ruch zwraca uwagę Thibota; wychodzi z kawiarni, przeciska się przez tłum, powiększony jeszcze wszystkiemi próżniakami z bulwarów, którzy czekali na ciekawe widowisko konania tonącego kota, albo przeprawy drzewa pod arkadami mostu.

Przedmiotem téj ciekawości, jest czteroletnia dziewczynka, która płacze i pyta się wszystkich o swego wujaszka Szymona. »Gdzie mieszka twoja mama? mówiono do niéj... Z podziwieniem patrzy na tego który jéj się pytał i powtarza wahając się jak gdyby nieznane słowo uderzyło jéj ucho: »Mama! nie wiem!... ja chcę do Szymona... Wszyscy wołają pana Szymona, ale maleńka płacze jeszcze bardziéj, a gdy się pytają o przyczynę, odpowiada.» Szymon nie chce aby na niego wołano, powiedział że mię zabije jeżeli będę wołać. —»Ale jakżeś zabłądziła moja kochanko? —»Ja nie zabłądziłam, ja się bawię w chowanego z wujaszkiem; ale już oddawna go szukam, już się mi sprzykrzyło.—»A gdzież się schował twój wujaszek? —»Tam za to piękną fontanną.» Przy fontannie nie ma nikogo, prócz małéj dziewczynki która czerpała wodę; pytają się jéj czy kto nie szukał dziecięcia. Dziewczynka nic nie widziała.

—»Trzeba zaprowadzić to dziecię do kommissarza: rzekł jeden z ciekawych: tam będę pytać się o nią jéj rodzice.

—»Ale czy nie widzicie że nieboraczkę zostawiono umyślnie, odpowiada kupcowa, która wzięła ją na ręce; a ponieważ dziecię płakało ciągle, dobra kobieta otarła pocałowaniami, łzy płynące po jéj różowych policzkach.

—»I może ta biedaczka jest głodna? rzekła druga kobieta.

—»Trochę, odpowiedziała cichym głosem mała sierota.

—»Jest głodna! powtórzyli wszyscy.

—»Daj fartuszek maleńka, przydał ktoś, i natychmiast zarzucono ją plackami i groszami.

—»Zadusicie ją: rzekł Thibot zapominając o swojéj niedoli a zajmując się jedynie nieszczęśliwém dziecięciem: dobry rosół zdrowszy będzie dla niéj, a właśnie moja żona gotuje go od rana.

—»A więc dajcie jéj rosołu, rzecze ta która trzymała maleńką na ręku, ja zapłacę.

—»Mogę dać go bez zapłaty, odpowiada Thibot; bierze dziecię i w tryumfie zanosi je do kawiarni.

Za nim idą wszystkie kobiety, które pochwaliły jego myśl, a gdy chłopaki biegają po przyległych ulicach i wołają Szymona, który nie odpowiada na ich wołanie, przy wszystkich stołach kawiarni zasiadają ciekawi, chcą pocieszyć maleńką, chcą aby się rozśmiała: ma bowiem tak ładną twarzyczkę, że wszystkich serca zajęły się jéj losem.

Na rozkaz męża, pani Thibot dała rosołu dziecięciu; maleńka jé chciwie.

—»Nie jadłaś więc śniadania moje dziecię?

—»Nie, odpowiedziała z prostotą.

http://rcin.org.pl

—»Biedaczka! jakże jest ładna!... jak ci na imię?

—»Klara! odpowiada: a spoglądając na próżny kubek, mówi: »jadłabym jeszcze.»

Pani Thibot nalała drugi kubek i podała dziecięciu.

—»Patrzcie, jak piękne ma oczy.

Klara usłyszawszy te wyrazy, oddala od ust kubek, odgarnia jasne i kręcące się włosy, które spadały na jéj czoło i z uśmiechem spogląda na tę, co pochwaliła jéj piękne oczy.

—»Nie jestże to zbrodnią porzucić takiego aniołka!... Ale gdzież mieszka twój wujaszek Szymon?

—»Gdzie mieszka? powtarza Klara, i daje znak iż nie rozumie tego pytania.

—»Tak jest, na któréj ulicy?

—»Nie wiem.

—»Czy daleko?

—»O! daleko! daleko!

—»Może na wsi?

—»Jeszcze daléj; wiele wiosek trzeba przejść.

—»Ani wątpić, to jakaś bogata dziedziczka; zgubiono ją, ażeby majątek sobie przywłaszczyć.

Wtedy tworzą rozmaite wnioski, układają romanse co raz to niepodobniejsze do prawdy, każdy z obecnych puszcza wodze wyobraźni swojéj, a Thibaut cieszy się, iż wypróżniają butelki i filiżanki kawy. Kobiety które poszły za nim do kawiarni, wołają na swoje znajome i opowiadają historyą prawdziwą, czy też domniemaną, opuszczonéj Klary, a każda pieszczota uczyniona dziecięciu, pomnaża zysk biednego właściciela kawiarni.

Przedaż publiczna ciągnęła się daléj, ale przygoda dziecięcia zajmowała wszystkich umysły; ci nawet którzy nie ruszyli się z miejsca, aby ich kto nie ubiegł, pośpieszyli, skoro tylko przybito na nich sprzęt którego pragnęli, do kawiarni Prawdziwych Przyjaciół. Po załatwieniu osobistego interessu, dobroć serca bierze górę; chciano zobaczyć zabłąkane dziecię. Kawiarnia ciągle jest napełniona.

»Co za szkoda! jeźli ta maleńka nie znajdzie rodziców lub krewnych; zwierzchność odeśle ją do domu sierot. Bóg wié jak tam wychowują dzieci; dziki nauczyciel bić ją będzie, katować; gdyby zaś jaka litościwa osoba chciała ją wziąść na wychowanie, byłaby z niéj dobra dziewczyna; ma bowiem tak miłą fizyonomią.»

—»Gdybym nie miał dzieci mówił jeden...

—»I my także: odpowiedzieli drudzy. A gdy tak litowano się nad losem Klary, przechodziła dziewczynka od jednego do drugiego, siadała na kolanach Thibota, rzucała się w objęcia jego żony. Dziecię nie pojmowało zapewne wielkości swego nieszczęścia; ale widziało że je kochają, pieszczą, a to było dla niego rzeczą tak osobliwą, iż niezdolne było wyrazić swojéj radości.

—»Tylu bogatych ludzi pragnie mieć dzieci, gdyby cię poznali moja kochanko, byliby najszczęśliwsi.

—»Panie Thibot miéj o niéj staranie.

—»Jutro dowiemy się co postanowi komissarz.» A panowie licytanci poszli do domów, jeszcze raz pole-

http://rcin.org.pl

ciwszy Klarę właścicielowi kawiarni i opiece Opatrzności.

Dopiero po upływie dwudziestu czterech godzin, policya mogła wymagać deklaracyi o znalezieniu dziecięcia. Dla tego więc Thibot odłożył ją do jutra. Nacisk do kawiarni był jeszcze tak wielki, iż jego żona nie mogła wystarczyć żądaniom gości.—Po licytantach nastąpili sąsiedzi Thibota, którzy dowiedziawszy się niedokładnie o wypadku dzisiejszego poranku, wstąpili do niego po obiedzie i aż do jedenastéj w nocy musiał ze dwadzieścia razy opowiadać też samą historyą, licznym gościom zajmującym wszystkie stoliki.

Klara siedziała na kolanach pani Thibot, każdy uwielbiał piękną twarzyczkę dziecięcia, śpiącego przy blasku światła, pod lekką zasłoną z gazy.

Gdy nikogo nie było, Thibot wysuwając szufladę, rzekł z radością do żony: »Utargowaliśmy dziś dwieście franków; winniśmy to szczęście téj dziewczynce. Czyliż także ją opuścimy jak drudzy?

—»I owszem, myślę ją zatrzymać.

—»To dobrze, zastąpiemy dla niéj miejsce rodziców.

—»Byleby tylko nie wynalazła się jéj familia.

—»Niech Bóg broni! moja kochanko; wszyscy zajmują się losem tego dziecięcia i zapewnię przychodzić będą do naszéj kawiarni aby je zobaczyć.

—»Czy mniemasz, że ci którzy ją dzisiaj pieścili, jutro przypomną sobie o niéj?

—»Ale powiedzą o niéj przyjaciołom i znajomym, a przez to zwróci się uwaga publiczności na naszą kawiarnią... Dobry uczynek, nigdy nie pójdzie na darmo; i pewien jestem że spadł urok nieszczęścia z naszego sklepu.

—»Niech się dzieje wola Boża! Jeźli to nam nic nie przyniesie: rzekła pani Thibot, chowając przychód dzienny: przynajmniéj wykonaliśmy dobry uczynek, a to nie pogorszy naszego stanu.

Ostrożnie zanieśli sierotę do izby sypialnéj, a gdy pani Thibot rozbierała Klarę, strzegąc się aby jéj nie obudzić, jéj mąż, czytał w kodexie Napoleona, rozdział o przysposobieniu, chcąc poznać święte zobowiązanie, które ma wziąść na siebie.

O pierwszéj rano, Thibot i jego żona, jeszcze przetrząsali kodex; nareście poszli spać, prosząc Boga aby uczynił daremnemi wszelkie poszukiwania policyi, względem rodziców tego dziecięcia, które chcieli przysposobić.

Było to życzenie dwojga serc miłosiernych; ze wszystkiego bowiem zdawało się, że kuzyn Szymon dobrowolnie porzucił małą Klarę.

II.

NISZA I OBRAZ.

Thibot spodziewając się licznych odwiedzin, wstał rano. Już od dwóch godzin trzepał wyszarzane krzesła axamitne, męczył się wycierając marmurowe stoliki i wysypywał piaskiem

http://rcin.org.pl

podłogę; żona jego spała jeszcze, maleńka Klara spoczywała także przy niéj, ale promień słońca przekradł się przez kotarę łóżka i uderzył w oczy sierotę; nagła jasność zmieszała sen jéj; dziecię otworzyło oczy.

Z razu przestraszyła się Klara, widząc że jest w łóżku obok nieznanéj kobiety; ostrożnie usunęła firanki i z podziwieniem spojrzała po izbie, którą pierwszy raz widziała, a potém jeszcze raz zwróciwszy oczy na spiącą, pojąć nie mogła jakim sposobem tu się znajduje. Sny dziecięce zupełnie zatarły w jéj wyobraźni wczorajsze zdarzenie.

Klara byłaby chciała wyskoczyć z łóżka i uciec, ale to łóżko było tak wysokie a ona tak maleńka, iż nie śmiała tego uczynić. Jednakże jéj przestrach powiększał się co chwila; jeden jéj tylko środek pozostał, to jest wołanie o pomoc. Serce biło jéj mocno, gdy po cichu wymówiła nazwisko swego wujaszka, Szymona. Głos jéj obudził żonę cukiernika. W chwili gdy obróciła się aby odpowiedzieć bojaźliwéj dziewczynie, Klara nie wiedząc co z sobą zrobić, schowała się pod kołdrę i już się ani ruszyła.

—»Cóż to, boisz się moje dziecię? rzekła pani Thibot, podnosząc kołdrę: spojrzyj na mnie, czyliż mię nie poznajesz? Lica dziewczynki zaczerwieniły się ze wzruszenia, i odważyła się, otrzymawszy pocałowanie, spojrzéć ukradkiem na panią Thibot, a potém śmiać się zaczęła: widziała bowiem usta uśmiechające się do niéj i łagodne spojrzenie.

—»Co! ty mały tchórzu! rzekła pani Thibot, nie przypominasz sobie żem ci wczoraj jeść dała? Zapomniałaś także o panu Thibot, który cię wziął na ręce wtenczas, gdyś płakała na ulicy i szukała twego wujaszka Szymona?

—»O tak jest! rzekła Klara: a potém każdy mi dawał pieniądze, ciastka... i ta wielka izba gdzie było tak wiele stolików i ludzi... Każdy mię całował, kochał... tak byłam kontenta.

—»Jesteś w tym samym domu; u nas.

—»Kiedy tak, to się już nie boję: i Klara wyskoczyła z łóżka.

—»Widzisz moja kochanko, jakie miano o tobie staranie dnia wczorajszego; otóż co dzień będzie to samo. Mój mąż jest dobry, a ja lubię dzieci, a zwłaszcza dziewczynki kiedy są grzeczne; a jeżeli mi przyrzeczesz, że zawsze będziesz dobra, posłuszna, będziesz naszą córeczką.

—»O! to dobrze! to dobrze! byleby tylko pieszczono się ze mną, bawiono się! Ja tak lubię zabawki.

—»I piękne sukienki, nie prawdaż? Jakże będziesz szczęśliwa? już nie będziesz płakać twego wujaszka Szymona.

—»O tak jest, on się nigdy ze mną nie pieścił, a ciocia Joasia biła mię mocno.

—»Tu nie będą cię bić.

—»I będę miała piękne sukienki różowe, wszak prawda?

—»Tak jest, wszystko co tylko zechcesz.

—»Ach! jakże wtedy będę ładna! Zostanę tu; a jeżeli wujaszek powróci, schowacie mię w jaki ciemny ką-

http://rcin.org.pl

cik. Nie odezwę się...nie znajdzie mię wujaszek... a gdy się zapyta gdzie jest Klara, powiedzcie że nie wiecie... Także się będę śmiać!.. pójdzie sobie mrucząc, jak to zawsze robi i może już nie powróci; będę o to prosić Boga.

Przebiegłe dziecię objęło za szyję panią Thibot, i uściskało ją stokrotnie, a pani Thibot rozrzewniona jéj pieszczotami, rzekła z pewnym rodzajem macierzyńskiego entuzyazmu. »Tak jest, będziesz naszą córką, naszą ukochaną Klarą! wołaj na mnie mamo, rozumiesz!.. jestem teraz twoją matką!

—»O! tak! rozumiem; mamo lepiéj mówić niżeli pani, i nie zapomnę o tém.«

Klara zasmuciła się trochę, widząc że zamiast pięknéj sukienki różowéj, kładą na nią jéj stary szlafroczek, czerwoną chusteczkę i wczorajszy czepeczek. Przybrana matka wkrótce uspokoiła jéj boleść, pokazując jéj w szufladzie suknię różową, którą przerobi dla niéj na sukienkę.

Ubierając się odzyskała pamięć, ale wspomnienia dnia wczorajszego, obudziły się w niéj bardziéj jeszcze, gdy weszła do kawiarni. Poznała plac, fontannę, a mianowicie dobrego pana Thibot, który ją był wziął na ręce i zaniósł do domu.

Nadeszła pora i godzina, kiedy właściciel kawiarni miał zaprowadzić dziecię do komissarza cyrkułowego; przeszło dwudziestu świadków zeznało, że maleńką znaleziono przy fontannie, wołającą na swego wujaszka Szymona. Komissarz sporządziwszy wywód słowny, dozwolił Thibotowi wziąść dziecię do siebie i zatrzymać je dopóki policya nie uskuteczni śledztwa: ale pod warunkiem, że je stawi na każde wezwanie zwierzchności.

Był to znowu szczęśliwy dzień dla kawiarni Prawdziwych Przyjaciół, wczorajsi goście rozgłosili historyą zabłąkanego dziecięcia. Tłumem zbierano się u opiekuna maleńkiéj Klary; na wyścigi obsypywano dziecię pieszczotami; dawano mu owoce i cukierki; mała blondynka wyciągała policzki do pocałowań, a ręce do łakotek; kobiety chciały ją nosić na ręku. Sierota uśmiechała się przechodząc od jednéj do drugiéj, uśmiechała się do mężczyzn którzy ją brali na kolana; a gdy mówiono do niéj że wujaszek Szymon jest zły człowiek, śmiała się jeszcze i odpowiadała: »Tak jest, ale już się go nie boję.» Pani Thibot, mała, chuda, zwinna, chodziła od piwnicy do sklepu, dając pocałowanie dziecięciu, rachunek gościowi, a korzystając z wrzawy, pozbywała się i zestarzałego towaru i wytartych pieniążków. Czuwała nad wszystkiem, nie zapomniała o niczém, nawet o zabraniu butelki piwa, nim ją zupełnie wypróżnią, nawet o oszczędzeniu kawałka cukru na filiżance kawy.

Gdy już wszystkie stoły zajęte były, pan Thibot uroczyście oznajmił, że przysposobi sierotę, jeżeli nie wynajdą się jéj rodzice. Wszyscy pochwalili to wspaniałomyślne postanowienie. Zgodzono się wtedy, aby smutny i stary szyld Prawdziwych Przyjaciół, zastąpić obrazem wystawiającym przysposobioną córkę właściciela kawiarni, w ubiorze jaki mia-

http://rcin.org.pl

ła w tedy, kiedy ją znaleziono! Hieronim Huchelet, pierwszy malarz szyldów w téj części miasta, ofiarował bezpłatnie swoją pracę. Pewien stolarz przyrzekł zrobić tablicę i zawiesić obraz. Każdy chciał mieć udział w dobrodziejstwach.

Zgodnie z życzeniami Klary i jéj dobroczyńców, daremne były zabiegi policyi; nie znaleziono wujaszka Szymona. Napróżno oprowadzano dziecię po wszystkich częściach Paryża, po drogach w około stolicy, nic nie poznała, jéj pamięć uderzył tylko hałas panujący w mieście, w końcu, zwątpiwszy o wynalezieniu jéj rodziców, władza zatwierdziła akt przysposobienia, podpisany przez Thibota.

Wszystkie dni pomyślnie poszły dla naszego właściciela kawiarni, aż do téj chwili, kiedy nowy szyld, zwróci wszystkich spojrzenia i powiększy liczbę gości. Od dnia wczorajszego rzemieślnicy czyszczą i odnawiają pokoje, inne kawiarnie korzystały z chwilowego zamknięcia kawiarni Prawdziwych Przyjaciół i raz jeszcze miały jaki taki przychód, bo od zjawienia się sieroty w dom ich sąsiada, tak nieszczęśliwego wprzódy, opuścili ich najdawniejsi i najstalsi goście.

Kawiarnia Thibota przybrała oznaki pomyślności; starożytne lampy, zastąpiły, na świeżo malowanym suficie, smutny kinket z dwoma knotami, który ledwie w połowie oświecał sklep zakopcony; zabłysły zwieciadła w ramach złotych, pąsowe firanki wiszą na złoconych strzałach; a w głębi, framuga ozdobiona axamitem ze złotemi frędzlami, wznosi się nad kantorem. Tam odtąd siedzieć będzie maleńka Klara, tam jest jéj tron: jest bowiem królową tego miejsca, jest bóstwem opiekuńczém na którém Thibot i jego żona zasadzają teraz wszystkie swoje nadzieje.

O dziewiątéj Klara pierwszy raz zasiąść ma na swojém miejscu, jest dopiero siódma; Thibaut czeka niecierpliwie we drzwiach kawiarni, na malarza i stolarza, którzy przynieść mają ów szyld pożądany; tymczasem Pani Thibot myje i ubiera sierotę. Klara wyrywa się nareście z rąk przysposobionéj matki i przypatruje się na widoku swoim trzewiczkom zielonym, pożądanéj sukience i wieńcowi z sztucznych kwiatów, który ma ozdabiać jéj ładne włosy.

Nie możesz teraz biegać moję dziecię: rzekła pani Thibot: i śmiać się w oczy wszystkim, którzy wnijdą do kawiarni; musisz ukłonić się i pięknie odpowiadać każdemu, aby powiedziano, żeś jest grzeczną. Zasiadłszy w twoim axamitnym pokoiku, jak go nazywasz, nie wyjdziesz z niego przez cały dzień.

—»Ale ja się będę nudzić moja mamo, a przy tém kiedyż wyjdę ztamtąd?

—»Wieczorem kiedy już nikogo nie będzie.

—»A jeżeli i wieczorem będą goście?

—»Zawsze będziesz miała czas do zabawki... A przy tém, nie dla twojéj zabawki wzięłam cię: przydała, zniecierpliwiona uwagami dziecięcia.

—»Tak jest mamo: odpowiedziała Klara z westchnieniem: postrzegła bowiem przez okno małe dzieci, które krzycząc wesoło biegały po placu i pokazała te dzieci pani Thibot.

http://rcin.org.pl

—»Jakie brzydkie uliczniki! odpowiedziała właścicielka kawiarni: patrz jak są ubrane... aż strach; dla tego też nikt na nich nie zważa, a wszyscy przechodzący będą przypatrywać się tobie. A gdy ich usłyszysz iż powiedzą: »Oh! jakaż to ładna dziewczynka!» czyliż nie będziesz kontenta?

—»Będę kontenta! mamo, będę bardzo szczęśliwa« i znowu zabłysła radość w oczętach sieroty. Jednakże za chwilę krzyknęła trochę i zbladła. Pani Thibot niespokojna, rzekła do niéj: cóż ci to jest moje dziecię?

— »Gorsecik mój, rzekła sierota, ściska mię za bardzo, nie mogę oddychać.

—»To nic... trzeba cierpieć chcąc bydź piękną. Zawiązała sznurówkę, ale jéj nie rozpuściła; Klara musi mieć ładną figurkę aby się podobała gościom.

Nareście przyniesiono szyld. Uradowany Thibot doniósł żonie tę szczęśliwą wiadomość. W chwili gdy stolarz wszedłszy na drabinę, przybijał obraz nade-drzwiami kawiarni, pokryty zieloną firanką tak, iż nic nie było widać prócz napisu na dole. *Pod maleńką Sierotą z placu Chatelet*, przechodzący i kupcowa z sąsiedztwa zatrzymali się przed kawiarnią.

—»Strzeżmy się, mówił przechodzący, ganić tych, którzy się okazują wspaniałomyślnemi; byłoby to nową zachętą dla samolubstwa, a do niego i tak już prowadzi wrodzona skłonność.

—»A więc myślisz pan?..

—»Myślę, że miłosierdzie jest piękną i szanowną cnotą, i że nie należy martwić tych którzy ją wykonywają, przez przyganianie sposobowi, jakim świadczą dobrodziejstwo. Powiedz pani, jeżeli ci się podoba, że ten i ten jest dobroczynnym tylko przez próżność, ale nie wyrzucaj mu tego nasienia miłości własnéj, które użyźnia pole ubogiego. Ja zaś nie tak łatwo pojmuję dumę z rodowitości, zuchwalstwo z majątku pochodzące, niż to uczucie zadowolnienia, z jakiém kto rozgłasza swoje dobre uczynki.

—»Przynajmniéj nie trzeba popisywać się z niemi i ze wspaniałomyślnego czynu, robić szyldu do kawiarni.

—»Bydź to może, ale powiadam raz jeszcze, że ta wada zbliża się bardziéj do cnoty, niżeli nieużytość innych osób.

Namieniłem, że te dwie osoby stanęły przed kawiarnią; ale gdy w wielkiém mieście dwoje ludzi stanie na ulicy i patrzy na cóś, niezawodnie przyciągną trzeciego. Ten trzeci zaczyna odgadywać dla czego zatrzymali się ci dwaj wprzódy przybyli, a gdy nadaremnie zmorduje sobie oczy i myśl, zbliży się niezgrabnie i z nieśmiałością zapyta się: »Cóż tam jest proszę? Czwarta osoba wkrótce nadejdzie aby usłyszeć odpowiedź; za nią idzie piąta, szósta, siódma, dwunasta, tysiączna; w przeciągu pięciu minut, już nie podobna zliczyć ciekawych: »Ja wam powiem; rzekł nowiniarz miejscowy: mała sierota nie jest wcale sierotą; ale niegodziwa jéj matka chciała oddać ją do domu sierot. Pan Thibot mając dobre serce, podjął się wychować maleńką, za wynadgrodzeniem które późniéj odbierze. Jest to czyn bardzo piękny. Ojciec jest bogatym.

—»To nie tak! mówili drudzy: wystawcie sobie, że biedna matka téj siero-

http://rcin.org.pl

ty, należała do wielkiéj familii; spotkało ją nieszczęście; dziecię chowane tajemnie odkryli rodzice młodéj osoby, a ta wypędzona z domu i bez sposobu zostając, skoczyła w rzekę, ale wprzódy zostawiła dziecię na moście, z pismém w którém polecała go litościwym duszom; dla tego to właściciel kawiarni wziął do siebie sierotę.

—»Bynajmniéj, odpowiedział kolega pana Thibot, jest to mała dziewczynka, którą najął za czterdzieści soldów na dzień i udaje za sierotę, aby przez to przynęcał gości.

—»Kłamiesz, odpowiedziała przekupka usłyszawszy te słowa, maleńką znaleziono tutaj na targu, będzie temu w sobotę trzy tygodnie. Biedaczka była zapłakana, ja pierwsza spostrzegłam ją błąkającą się i dałam jéj jabłko, pytając się gdzie mieszka; ale mi nie umiała nic powiedzieć, prócz tych słów... »Szukam wujaszka Szymona.» A dobra kobieta wiernie opowiedziała historyą Klary, i wszyscy jednozgodnie błogosławili właściciela kawiarni.

—»Pan Thibot bardzo jest uczciwy człowiek, mówiono.

—»Nie tak bardzo poczciwy, mruczał zazdrosny jego sąsiad, bo jeśli znowu zbankrutuje, będzie to raz trzeci.

—»A jego żona, mówili drudzy, przezacna kobieta, bierze na wychowanie dziecię którego nie zna i przyznaje za własną córkę.

—»Lepiejby zrobiła, przydał sąsiad, aby zamiast przysposobienia obcych dzieci, nie zmusiła staréj matki swego męża, o podanie prośby o przytułek w szpitalu. Nie lubię tych, którzy opiekują się obcemi dziećmi, a zaniedbują własnych rodziców.

—»Zdarzenie to poprawi interessa Pana Thibot.

—»Tak, tak, dopóki znowu wszystkiego w karty nie przegra.

—Ta dziewczynka już ma los zapewniony; będzie ich dziedziczką.

—»Jeźli się z nią będą lepiéj obchodzić jak ze służącemi; żaden się nie może utrzymać się w ich domu; po ośmiu dniach służby, każdy drapnie.

Szmer powstający w tłumie, przerwał pojedynczą rozmowę; wszystkich spojrzenia wzniosły się ku obrazowi; utwór malarski Hieronima Huchelet, okazał się publiczności. Mimo szyderstwa kilku zazdrosnych bazgraczy, ci którzy przypominają sobie szyld MAŁÉY SIEROTY Z PLACU CHATELET, przyznają razem ze mną, że dzieło było dosyć porządne jak na artystę, który dotąd malował same obwarzanki, szynki, butelki i tym podobne przedmioty. Wprawdzie podobieństwo nie było zupełnie trafione, ramiona nie były równéj wysokości, głowa pochylała się zbytnie na jedną stronę; lecz był to wzrost dziewczynki: malarz zmierzył ją łokciem: a nadewszystko kolor jéj sukienki był jak najwierniéj oddany. Wówczas otworzyły się drzwi przybytku. Ci, którzy mieli udział w tym miłosiernym uczynku, weszli i zasiedli przy stole: dziękczynne śniadanie czekało na nich. Klara w różowéj sukience z czarnemi paciorkami na szyi, siedziała w swojéj niszy, z całą komiczną powagą dziecięcia, któremu powiedziano:

http://rcin.org.pl

»Otóż jesteś piękna, nie powalaj się bo dostaniesz rózgą.» Nie ruszała się, możnaby ją wziąść za figurę z wosku, gdyby czasami nie spoglądała w zwierciadło, odbijające z boku jéj najśmieszniejszą powagę.

Po tym pięknym dniu dla Klary i dla jéj przysposobionych rodziców, jeszcze piękniejsze dni nastąpiły; ale sami tylko małżonkowie Thibot, cieszyli się ze skutków tego przysposobienia. Przy końcu miesiąca, sierota nudziła się na swoim tronie, pochwały gości już jéj nie obchodziły wcale, byłaby oddała swoją niszę axamitem wybitą, wieniec kwiatów i piękną różową sukienkę, za pół godziny biegania po placu Chatelet; ale trzeba było siedzieć bez przerwy, uśmiechać się do wchodzących gości, a wieczorem, gdy znużona snem i smutkiem zamykała powieki, pani domu czuwając nad nią, bez ustanku szeptała jéj do ucha: »Klaro, śpisz, jeszcze nie czas iść spać, a biedny ten szyld żyjący, podnosił głowę, przecierał oczy i cucił się jak mógł. Raz dano jéj okrutną naukę, że jéj sen jest kradzieżą, wyrządzoną dochodowi jéj dobroczyńców.

Pewnego dnia także, pani Thibot ukarała ją surowo. Jak ptaszek korzysta z otwarcia klatki, tak i dziecię upatrzywszy chwilę wyszło ze sklepu. Nie pamiętając na to iż może zepsuć swoje ubranie, zaczęła biegać z dziewczynami z sąsiedztwa, które się bawiły na słońcu. Mo ny policzek przywołał ją do obowiązku; zaczęła płakać, a potém zawstydzona wróciła, aby ją uwielbiano w jéj wspaniałéj niszy. Miesiące i lata upływały, a żadna zmiana nie zaszła w przeznaczeniu Klary, prócz téj jednéj tylko, że pani Thibot była dla niéj coraz to surowszą. Interessa handlowe zajmowały ją wyłącznie; co rano ubierała Klarę, sadzała ją w niszy, wieczorem wysadzała i obliczała przychód, nie myśląc o tém aby wynagrodzić dziecię chociaż jedną pieszczotą, chociaż jedném słowem przyjazném, aby mu dać chociaż jedną chwilę swobody, dla rozkurczenia jego odrętwiałych członków.

W jéj oczach, sierota nie miała prawa do innego starania, prócz do tego jakie miano o szyldzie; ścierano go co dzień a co wieczór okrywano zieloną rasą.

Po trzech latach, opiekunowie Klary zbogacili się tyle, iż umyślili porzucić swoją kawiarnię.

—»Gdyśmy też wrócili do naszéj ziemi rodzinnéj? rzekła raz wieczorem pani Thibot do męża, który przerzucał doniesienia pod artykułem *Folwarki na sprzedaż.*

—»Dalibóg! rzekł tenże: dobrze radzisz moja żono; dosyć już pracowaliśmy; odpoczniemy teraz.

—»Nasza kawiarnia bardzo dobrze idzie, sprzedamy ją zyskownie.

—»Stało się; odjedziemy, skoro tylko nasz zakład będzie sprzedany.

—»I używać będziemy owocu naszych trudów, jak dobrzy wieśniacy.

—»A ja? rzekła po cichu maleńka Klara, będę mogła biegać z dziećmi.

Tego wieczora sierota zasnęła wesoło.

---

http://rcin.org.pl

III.

WARUNEK SPRZEDAŻY. — OBURZENIE POWSZECHNE.

Pewnego poranku, wielki ruch nastąpił w kawiarni Thibota; nowy nabywca objął ten zakład. Był to otyły Luxemburczyk. Maleńka Klara, już wtedy siodmy rok mająca, spoglądała z radością na axamitną niszę, gdzie tylokrotnie pozieważa z nudów i żegnała się z nią wesoło. Pan Thibot opowiadał Luxemburczykowi szczegóły o gościach uczęszczających codziennie do kawiarni, którzy to lubią aby pić z niemi, którzy cieszą się jeżli czasem wygrają z gospodarza partyą w billard. Pani Thibot położyła na kantorze klucze od piwnicy, a powóz stał przede-drzwiami, aby zbogaconą parę odwieźć do dyliżansu alzackiego.

Powiedziałem, iż Klara z radością żegnała się ze swojém złotém więzieniem; jednakże troszczyła się nie pomału, widząc że zabierają różne rzeczy, kufry, a nie biorą jéj kuferka razem z drugiemi; rzekła nareście do przybranego ojca: »Mama Thibot zapomina o moim kuferku, czyliż on się tu zostanie? Na te słowa zmieszał się Thibot; wziął dziecię na ręce, pocałował je w oba policzki, z dosyć osobliwém wzruszeniem, obtarł nawet łzę jednę, ale nie mógł odpowiedzieć. Pani Thibot mając suche oczy i wolną głowę, trąciła męża łokciem i cóś szepnęła. Thibot postawił dziecię na ziemi i z żywém bardzo wzruszeniem spojrzał na nie; ale spojrzenie żony i te słowa które wyrzekła tak aby jej dziecię nie usłyszało: »No panie Thibot, trzeba dotrzymać zobowiązania... widzisz że mam odwagę... Umowa już zawarta, nie można się cofać. Idź na przód, jeżeli nie zdołasz pożegnać się z tą maleńką: »na te mówię słowa, Thibot ścisnął za rękę swego następcę i wyszedł.

—»Zaczekajże za nami, papo, zawołała Klara. Pobiegła za nim, ale Thibot zatrzymał ją i wskazując na żonę: »Pójdź do twojéj mamy« rzekł i oddalił się.

—»Nie uprzedziliście więc tego dziecięcia? zapytał się nowy właściciel kawiarni, gdy tym czasem Klara wracała zasmucona, że jéj ojciec bez niéj odchodzi. Usiadła na progu i mówiła: »Ale śpieszmy się mamo.

—»Nic nie mówiłam, odpowiedziała pani Thibot, myślałam bowiem, że nie trzeba martwić jéj zawczasu.

—»Tak właśnie! a przy mnie płakać będzie i powystrasza mi wszystkich gości.

—»Ależ sameś chciał tego?

—»Chciałem... chciałem... chciałem kupić waszą kawiarnią razem z odbytem; bez szyldu nie dałbym za nią sześciu groszy, a zapłaciłem sześć tysięcy franków.

—»Zostawiamy ci obraz.

—»Ale szyldem, nie jest obraz.... ale to dziecię. Na próżno wymalowalibyście nad waszemi drzwiami, wszystkie dzieci ze szpitala sierot, przez to nie przedalibyście ani dwóch butelek piwa... Widzisz więc że mi było potrzeba małéj dziewczynki.

—»A więc musisz znosić łzy, tak jakeśmy je znosili na początku... Ale bądź spokoynym ja z nią pomówię.

—»To dobrze, niechże nie wrze-

http://rcin.org.pl

szczy, albo wszystko oddam i kawiarnię i dziecię... Ja nie lubię hałasu.

Luxemburczyk, którego nazwę Spiller: ale mieszkańcy placu Chatelet wiedzą dobrze jego nazwisko: przewidywał, że scena mająca nastąpić między sierotą a jéj przybraną matką, mogłaby nareście wzruszyć jego serce; a ponieważ szło mu o to aby utrzymał się przy żyjącym szyldzie swojéj kawiarni, nie zaś aby się wzruszał, poszedł więc tymczasem do piwnicy.

Pani Thibot postąpiła ku drzwiom, a dziecię widząc ją że się zabiera do wyjścia, porwało się nagle i już chciało wnijść na stopień od fiakru, lecz pani Thibot wzięła je za rękę i odprowadziła wewnątrz kawiarni.

—»Ależ mamo spóźniemy się... Papa już musi bydź daleko, śpieszmy się, śpieszmy.

Ten błąd sieroty względem prawdziwych zamiarów pani Thibot, wzbudził w niéj mimowolne drżenie; zrazu nie wiedziała co mówić, zgryzota na chwilę powstała w jéj duszy; lecz nareście pomyślała że się koniecznie rozstać muszą: był to główny warunek przedaży, a do tego przedaży tak korzystnéj. Wkrótce powściągnęła tę czułość; była to bowiem kobieta z mocną duszą, umiejąca w każdym przypadku zachować władzę nad sobą.

—»Posłuchaj mię Klaro: już powinnaś mieć rozum, i spodziewam się że będziesz posłuszną.

—»Ach tak jest mamo! zobaczysz jak będę grzeczna w powozie... Tak jestem kontenta, że pojadę na wieś i nie zostanę w téj brzydkiéj kawiarni, zkąd przez cały dzień ruszyć się nie mogłam.

—»Nie oto idzie. Znasz pana Spiller...

—»Tak jest i nie lubię go; boję się jego grubego głosu, jego dużéj twarzy i dużych rąk: żywo odpowiedziała złośliwa dziewczynka.

—»Gadasz nic do rzeczy Klaro: pan Spiller jest bardzo dobry człowiek i bardzo cię kocha.

—»A odjakiegoż czasu jest dobrym mamo? zapytała się Klara.

—»Cóż to ma znaczyć! nie rozumiem tego pytania.

—»Tak jest mamo! wczoraj mówiłaś że to jest niegodziwy człowiek;.. że tak się z wami sprzeczał; mówiłaś także, iż pojąć nie podobna jak można żyć z tak złym człowiekiem... słyszałam to dobrze, z tak złym człowiekiem: mówiło dalej dziecię, powtarzając z przyciskiem te ostatnie wyrazy.

—»Cicho! czy będziesz milczeć! nie powtarzay nigdy tych słów... omyliłaś się, czy rozumiesz... Nie można ani słowa mówić przy dzieciach!

—»Mamo, zaręczam ci żeś powiedziała....

—»Z resztą bydź to może, ale wtedy nie znałam tego pana Spiller, nie wiedziałam jak jest dobry,.. jak kocha dzieci... a nadewszystko ciebie... pewna jestem że ci dobrze będzie przy nim.

—»Może to bydź mamo... ale mi jeszcze lepiéj będzie przy moim tacie Thibot, będę z nim biegała jak mi to przyrzekł.

—»Otóż moje dziecię, pan Thibot źle zrobił że ci to przyrzekł, wiedział bo-

http://rcin.org.pl

wiem iż cię nie możemy wziąć z sobą. A gdy maleńka z podziwieniem spojrzała na swoją przysposobioną matkę i otwierała usta aby się zapytać, pani Thibot rzekła: »Tak, to bydź nie może na teraz... za parę tygodni, za miesiąc, przyślę po ciebie moja kochanko... ale wprzódy musimy urządzić się.

Klara zbladła, wzdęło się jéj serce; chciała mówić, ale z razu wydała tylko przerywane dźwięki: »Ma... mo .. to... nie... pra... wda... weź... mię z so... bą... pro... szę... cię... nie... zo... sta... wiaj... mię tu... u... u... marła... bym... ze zmar... twie... nia... ach!.. ma... mo... nie... nie... o... puszczaj mię!« drżąca sierota rzuciła się na szyję pani Thibot, i całemi siłami przyczepiła się do niéj. Spodziewała się biedna Klara, że jéj matka nie zdoła oprzeć się tym uściskom, ale pani Thibot łatwo się z nich wyrwała.— »Klaro! musisz tu pozostać, nie będę mogła wziąść cię aż za miesiąc i to jeszcze jeźli będziesz grzeczną.» Uściskała dziecię, które wijąc się po ziemi wołało: »Mamo! mamo! cóżem ci zrobiła że mię już nie kochasz!«

Klara była sprawczynią majątku pani Thibot, a że nie mógł obejśdź się bez niéj ich następca, musiała więc zostać; w przeciwnym razie, szyld byłby nic nie znaczył, a na kawiarnią nie znalazłby się kupiec.

—»Klaro! moje drogie dziecię, rzekła, czyliż mię nie rozumiesz? Powiedziałam ci że wkrótce powróęę i dotrzymam obietnicy; zaufaj mi; ale już czas, papa Thibot czeka na mnie, nie mogę tu dłużéj pozostać... Przedewszystkiem, niechaj pan Spiller będzie z ciebie kontent.

—»Nie mamo! nie! nie chcę go widzieć! odpowiadała dziewczynka zalana łzami i schwyciła ją za chustkę; ale zręczna pani Thibot, zostawiła jéj chustkę w ręku, szybko wsiadła do powozu, a nim Klara zdołała pobiedz za nią, fiakr już wyruszył. Turkot kół zmieszał się z krzykiem biednéj sieroty.

Wówczas Klara wpadła w rozpacz, któréj nie mógł przezwyciężyć otyły luxemburczyk, mimo szklanek wody, któremi chciał zalać jéj boleść, mimo pociech w złéj francuzczyznie. »A to mi piękna robota... tertejfel! mruczał trzymając Klarę na ręku, aby uspokoić jéj boleść: łotry przedają mi towar, który mi nie chce służyć! Powiedz maleńka, jeżeli nie chcesz zostać ze mną, pozwę ich aby odebrali ciebie i swoją kawiarnią. Gadajże, bo ja nie umiem pocieszać dzieci.

—»Chcę pójśdź, powtarzała Klara, chcę pojechać z mamą, zaprowadźcie mię do niéj... natychmiast!

—»To dobrze! grzeczna jest ze swoją mamą! cóż to, nie wiesz żem cię kupił?.. Przedała cię twoja hultajka matka! a ja głupiec dałem sześć tysięcy franków.

Klara nie rozumiała co to wszystko znaczy, i dopiero pojęła znaczenie wyrazów Spillera, kiedy uczynił następujące porównanie.

—»Cóż to jest? maszynka do kawy; nie prawdaż? Otóż, wczoraj ta maszynka należała do twego papy.

—»Tak jest panie, odpowiada maleńka łkając ciągle.

—»Należałaś także do pana Thi-

http://rcin.org.pl

bot... zapłaciłem mu za jego maszynkę i teraz jest moją; zapłaciłem także za ciebie.

—»Ale po mnie mama przyśle za dwa tygodnie i odbierze mię.

—»Nie odbierze, gdyżby musiała mi oddać moje pieniądze.

Sierota poznała w tedy, że już nie ujrzy swoich przysposobionych rodziców i rozpłakała się jeszcze bardziéj. Zbliżała się godzina o któréj zwykle przychodzą goście. Spiller przewidując że płacz dziecięcia zrobi uszczerbek jego dochodom, wziął Klarę na ręce i zaniósł na górę do pokoju: »Masz chleb, owoce, cukierki, jedz sobie, pij, pociesz się jeźli możesz.» Zamknął drzwi na klucz i zszedł do kawiarni, przeklinając poprzednika swego za takie oszustwo. Sam tylko szyld zdołał sprowadzać gości, a właśnie na sam początek, szyld rozbeczał się i nie mógł służyć.

Klara pozostawszy sama, zaczęła wyrywać sobie włosy, tupać nogami, i podarła chustkę która pozostała w jéj ręku od chwili wyjazdu pani Thibot. Lecz jeźli zmartwienie dziecięcia objawia się gwałtownym krzykiem i łkaniem, wkrótce także traci moc swoją. Lada fraszka przesuwająca się przed jego oczyma, myśl o zabawce, zatrzyma łzy i przytłumi westchnienia. Nie zabrakło rozrywek małéj dziewczynce, wysokie okna w pokoju wychodziły na plac Chatelet; kuglarze i tancerze na linie pokazywali swoje sztuki; sierota mogła widzieć przez okno niebezpieczne skoki pajacza i słyszeć żarty arlekina. Zaczęła ukradkiem spoglądać na to widowisko, spoglądała potém dłużéj trochę, a nareście z całą uwagą przypatrywała się komicznéj dramie, którą grano o kilka kroków niżéj od niéj. Przy smutném rozstaniu dzisiejszego poranka, zapomniała o jedzeniu; z radością więc zobaczyła chleb, owoce i cukierki; zabrała się do śniadania, jadła je przy oknie aby nie stracić widowiska odbywającego się na placu, a kiedy niekiedy śmiech przerywał jéj opóźnione śniadanie.

Pośród takiego przystępu wesołości, Spiller znalazł ją gdy wszedł do izby, niespokojny że już nie słyszy jéj płaczu. Na jego widok, dziewczynce stanęły łzy w oczach, ale że tłusty Luxemburczyk spoglądał na nią z uśmiechem, nawzajem uśmiechnęła się do niego.

—»A cóż? jakże ci jest moja maleńka, widać że iuż nie żałujesz tych, którzy cię tu zostawili.

—»Nie myślałam o nich panie.

—»Nie masz też nic lepszego do czynienia moje dziecię; baw się przez cały dzień, a jeźli chcesz zejśdź...

—»Do mojego domku axamitnego? rzekła Klara: nie, nie chcę.

—»Powiadam ci, że dziś i przez jutro będziesz mogła bawić się przede-drzwiami kawiarni, a nawet i na placu z twemi przyjaciołkami.

—»Nie mam przyjaciołek, ale znajdę je zaraz jeżeli pan zechcesz.

—»Tak jest moje dziecię, wszystko mi to jedno, bylebyś tylko nie zginęła; tego tylko żądam.

—»Ależ pan jak widzę nie jesteś tak strasznym jak mi się zdawało?... pozwalasz mi się bawić.

—»A dla czegóż mniemałaś że jestem strasznym?

http://rcin.org.pl

—»Bo pan jesteś taki gruby; odpowiedziała z prostotą. Na tę odpowiedź, parsknął śmiechem właściciel kawiarni. Prawdę mówiąc, pan Spiller nie był złym człowiekiem, i oprócz opryskliwości i rachuby osobistego interessu; miał jak najlepszy w świecie charakter. Klara mogła była wpaśdź w daleko gorsze ręce. Nadzieja dwóch dni swobody, umniejszyła żal dziecięcia i do reszty zapomniała o swoim smutku, gdy Spiller przydał: »Zobaczysz że ci nie będzie tak źle; a jeżeli ci się nie podoba, oddam cię twojéj mamie, skoro przyjdzie po ciebie.

Spiller nie myślał wcale o uskutecznieniu téj obietnicy, ale ponieważ dużo miał gości, czuł więc iż musi przywiązać do siebie tę dziewczynkę.

Tak jest, pierwszy dzień po odjeździe Thibota, był jeszcze zyskowny dla kawiarni sieroty z placu Chatelet; ale nazajutrz zaczęto mówić, że dziecię było dla właściciela kawiarni przedmiotem spekulacyi. Małżonkowie Thibot umieli pokryć ją pozorem dobrego czynu, lecz gdy odjechali a przysposobienie nie ustawało, lubo nazwisko przybranego ojca zastąpione zostało na szyldzie przez nazwisko Spillera, zajęcie publiczności zmieniło się w oburzenie przeciw nowemu właścicielowi i powoli zaczęło ubywać gości. Spiller obliczając co raz to mniejsze dochody, przeklinał losy. Musiał szatan wdać się w tę sprawę, trunki albowiem i kawa lepsze były niż za Thibota; nic się niezmieniło w rozkładzie lokalu, a dziecię szczęśliwsze niżeli u przysposobionych rodziców, chętnie siedziało w swojéj niszy.

Biedny Luxemburczyk, za pół roku ujrzał się w takiém samém położeniu w jakiém znajdował się Thibot, kiedy razem z żoną rozmyślał o ucieczce.

Sąsiednie kawiarnie odzyskały dawnych gości, a gdy przypadkiem Spiller użalał się na to, odpowiadano mu: »Twoi poprzednicy są niegodziwi, skoro mogli przedać dziecię, któremu swój majątek się winni; ale ty jesteś nędznikiem, gdyż je kupiłeś dla oszukiwania litości publicznéj.»

Jeden tylko gość pozostał wiernym Spillerowi; był to stary sufler z teatru na bulwarach: polubił maleńką Klarę i codziennie o czwartéj wstępował do kawiarni. Pewnego razu, gdy Spiller siedząc za kantorem przeklinał swoje kupno, Briolet (tak się nazywał sufler) rzekł do niego. »Widzę że tu nie długo będziesz mógł ostać.

—»To prawda, odpowiedział Luxemburczyk z ciężkiém westchnieniem; gdybym sam był, to wkrótce zacząłbym podawać filiżanki na rachunek kogo innego.

—»A więc mój przyjacielu, uwolnię cię od ciężaru, który nie może bydź właściwym garsonowi w kawiarni.

—»Gdyby to bydź mogło, pozbyłbym się połowy moich kłopotów... Widzisz, chociaż jestem tak nieszczęśliwy, nie odważę się nigdy aby tę maleńką oddać do domu sierot.

—»Dobrze więc mój przyjacielu. Pani Briolet, moja żona, któréj wspominałem o tém dziecięciu, chętnie wezmie je na opiekę. Czy zgadzasz

http://rcin.org.pl

się na to? Jesteśmy uczciwi ludzie i dobrze jéj będzie u nas.

—»Chceszli pójść z panem Briolet? zapytał się Spiller dziecięcia, które jak za zwyczaj igrało na kolanach starego sufflera.

Klara spojrzała na Spillera z wyrazem najżywszéj radości.

—»Ach! moje dziecię! u nas dobrze bawić się będziesz; moja żona otwiera loże i co wieczór będziesz w teatrze.

—»W teatrze! to dobrze: rzekła Klara; ale ponieważ odpowiedziała nie zrozumiawszy rzeczy, zapytała się więc: »A cóż robią w teatrze?

—»Bawią się tam, moje dziecię.» To jedno słowo skłoniło ją iż poszła z Brioletem. Już nie myślała o małżonkach Thibot i oni sami może o niéj zapomnieli.

—»A więc możesz ją wziąść wieczorem» mówił daléj Spiller.

Stary sufler powiedział gdzie mieszka, ażeby Spiller zobaczyć mógł, czyli dziecię w dobrych jest ręku. Spiller zawinął rzeczy sieroty i uściskał ją. Ten otyły, ten opryskliwy Luxemburczyk, z wielkim bólem serca rozstawał się z nią, a przecież nie był jéj winien szczęście swoje. Klara rzekła do niego.

—»Przyjdziesz do mnie, nie prawdaż? i odeszła wesoło. Briolet prowadził ją na teatr.

Nazajutrz już się nie otworzyła kawiarnia Sieroty Chatelet, a za kilka dni po tém, afisze przybite na drzwiach oznajmiły sprzedaż w skutek upadłości.

IV.

KULISSY I SCENA.

—»Dawaj dziedziniec! ogród! spuszczaj sufit! wystawiaj kulissę!

—»Ale patrzajże przed siebie! Kanapka z darniny wychodzi z pod ziemi.

—»Strzeżcie się! zaciągają chmurę z ciężarem pięciuset funtów; zgniotłaby na miazgę gdyby upadła.

—»Usuńcie się ze sceny!

—»Nie można stać za kulissami.

—»Na bok! proszę.

—»Strzeżcie się!

—»Niezgrabijasz!

—»Głupiec!

Zewsząd mieszają się krzyki przestrachu, głośne śmiechy, złorzeczenia, hałasy; lekka baletniczka skacze, tłusty chórzysta śpiewa pół głosem, głupowaty kompars patrzy i poziewa, a krzepki maszynista z obnażonemi rękoma, przygięty pod ciężarem kulissy, potrąca jednego, wymyśla na drugiego i obala wszystko co mu stoi na drodze.

Ach! jakże jest pięknem widowiskiem antr-akt!.. wtedy wszystko się ożywia na scenie. Czy widziałeś podczas burzy ruch na okręcie zostającym w niebezpieczeństwie? Otóż właśnie jest to samo.

»Prócz niebezpieczeństwa śmierci, powiecie!

I z tém niebezpieczeństwem moi przyjaciele; trzeba widzieć tych cieśli, jak biegają po mostach zawieszonych na cienkich sznurach, o trzydzieści stóp nad naszemi głowami, a cienkie deski gną się i trzeszczą pod

http://rcin.org.pl

niemi; tego maszynistę który winduje się aż do sufitu i kołysze się w powietrzu, dla wyprostowania fałdów dekoracyi; tego lampiarza, który po dwadzieścia razy w ciągu wieczora naraża się na złamanie szyi, oświecając wierzchołki drzew albo szczyty skał. Ja co znam to wszystko, zawsze chciałbym powiedzieć aktorom, kiedy sztuka słabo idzie: »Spuśćcie kortynę podczas sztuki, a podnieście ją między aktami.

Każda wrzawa podoba się dziecięciu. Klara trzymając się za połę sukni Brioleta, jest w zachwyceniu, nie może się dosyć napatrzyć jak wytworny salon zamienia się w las ponury i smutny; dziwi się, jak z góry zstępują koleją, morze, świątynie, a nareście chmury i burze. Najszczęśliwsza jest z tego, iż może dotykać się palcem sukni téj osoby, którą przed chwilą nazywano królową: dziecię bowiem widziało sztukę; stary sufler umieścił ją w swojéj budce i zaledwie zdołał przytłumić krzyki podziwienia, które na widok reprezentacyi melodramy, wydawała sierota.

Artystka ta, na którą Klara z radością i uszanowaniem spogląda, ma dobre serce i nie może bez zajęcia patrzeć na ładną dziewczynkę, co ją ściga oczyma, chwyta każde jéj ruszenie i drży z rozkoszy na każde jéj słowo. Celia, tak się nazywa ta aktorka, pochyla się ku dziecięciu, aby je uściskać! rumieniec oblał twarz Klary, szczęście jaśnieje w jéj spojrzeniu, jest zarazem dumna i zawstydzona. Królowa zapytała się o jéj nazwisko!

—»To ładne dziecię do ciebie należy panie Briolet? zapytała się Celia, bawiąc się z puklami włosów Klary.

—»Tak jest pani.

—»Byłabym się założyła; podobna jest do ciebie.

—»O! pani żartuje!

—»Nie! jest coś w fizyonomii; jakieś familijne podobieństwo.

—»A więc jest to skutek przypadku, gdyż dopiero od tego wieczora do mnie należy.

—»Co! jest to więc jakaś historya; musisz ją nam opowiedzieć. Pójdziesz z nami maleńka.

—»Tak jest: łaskawa pani; odpowiada Klara z nieśmiałością podając rękę pięknéj damie, która ma dyamenty na głowie, płaszcz axamitny i przepaskę z pereł.

Patrzcie jaką ładną dziewczynkę znalazł Briolet! rzekła wchodząc do garderoby.

—»Prześliczna! jak amorek! jak piękne oczy! jak dowcipna minka!... Cóżbym dała żeby mieć takie dziecię?... Jakżeś ją znalazł powiedz nam?.

Briolet pragnął opowiedzieć historyą Klary; skoro tylko usłyszy wykrzyki i zapytania, zaczął.

Znacie aż nadto dobrze wszystkie przygody Klary, nie będę więc powtarzał opowiadania suflera, poprzecinanego i pomieszanego z *zatem*, *więc*; *kiedy*, *nareście*. Nie wierzcie opowiadaczom, którzy wam mówią *nareście*, jest to najlepszym dowodem, że jeszcze są daleko do końca.

Klara także nie słuchała Brioleta; uwagę dziecięcia co raz inny przedmiot zajmował, z podziwienia przechodziła w podziwienie. Królowa rzekła: »pójdźmy do tych dam.»

http://rcin.org.pl

spodziewała się więc że same xiężniczki zobaczy, a te damy były po większéj części wieśniaczki, w grubych czerwonych spodnicach. Dziewczynka dziwiła się także, iż ten którego nazywano jaśnie wielmożnym panem, ustąpił krzesła służącéj z oberży; ojciec zaś kawalera zdjął brodę, żeby mu nie było tak gorąco; wyglądał młodziéj od swojego syna; a kochanka tak blada i umierająca przy końcu pierwszego aktu, śpiewała, śmiała się i znowu miała kolory.

Przecież Briolet skończył opowiadanie, kiedy już dzwoniono na orkiestrę i tak rzekł:

» Krótko mówiąc, pan dyrektor zna historyą maleńkiéj Klary; przez ciekawość poszedł zobaczyć ją w kawiarni i rzekł do mnie, że jeźli mu wystaram się o to dziecko, wprowadzi je na scenę; dla tego więc ja i moja żona, wzięliśmy je na opiekę. Tak tedy zobaczymy czyli maleńka ma zdatność, a w takim przypadku, widzicie, że to jest dobry interes dla dla teatru, dla mnie i dla dziecięcia.»

Na te słowa, artyści dramatyczni, którzy z zajęciem słuchali historyi maleńkiéj Klary, zmarszczyli brwi, ruszyli ramionami i z innego punktu zaczęli uważać sierotę. Jeden rzekł, że jéj piękne oczy nie mają wyrazu; drugi że jéj usta są za wielkie; tamta że jéj cera nie jest świeża. Królowa nawet, ta dobra Celia, z litością spojrzała na sierotę, gdy sufler wspomniał o jéj wystąpieniu na teatr: — »Nie podobna! rzekła, aby ta maleńka grać mogła; nie ma ułożonéj postaci, nie potrafi dwóch słów powiedzieć na scenie. Briolet urażony odpowiedział. »Ja będę jéj nauczycielem: a prócz tego zrobią dla niéj sztukę. — »Sztukę! zawołali aktorowie, ach to za wiele! — »A dla mnie jéj nie robią, pomruknął chłopiec grający nieme role. — »Nie zawodnie nie będę grać w sztuce którą dla niéj zrobią: rzekła jedna z niższych aktorek. — »Nie będziesz grać! rzekła inna, a więc i ja. — »I ja! i ja! powtórzyli wszyscy. Podwoiły się szeptania w melodrammatycznem towarzystwie: gdyż wszedł dyrektor.

—»Pojmijcie, jeźli możecie, przyczynę zawziętości artystów przeciw zamiarowi ich dyrektora. Przyganę Celii łatwo wytłomaczyć. Celia od lat dziesięciu dostarczała dzieci teatrowi, a za pomocą bożą nigdy ich nie brakowało. Przyjęcie Klary było dla niéj istotną krzywdą; uważała wystąpienie sieroty za niewdzięczność administracyi względem niéj, która wszystko czyniła co tylko było w jéj mocy, aby teatr posiadał porządny zbiór dzieciaków płci obojéj.

—»No mości panowie i panie, rzekł dyrektor wchodząc, antr-akt już trwa trzy kwadranse; publiczność niecierpliwi się i gwiżdże.

—»Jest to wina Brioleta: odpowiedziała Celia cierpkim tonem: prawił nam bajki o małéj dziewczynie. Nie wiem jakiém prawem miesza się do nas, tu nie jego miejsce.

—»Tak! niech idzie do swojéj budki, przydali aktorowie.

Biedny sufler, wyłajany, upokorzony, wypchnięty, zabierał się do wyjścia z wielkiém zadowoleniem Klary, która chciała widzieć koniec widowiska, ale dyrektor postrzegł dzie-

http://rcin.org.pl

cię, rozkazał Brioletowi pójść do swojego obowiązku i zostawić mu sierotę; wziął ją na ręce i zaniósł do swojego gabinetu.

Publiczność znudzona długiem czekaniem, srodze pomściła się na sztuce za długość antraktu: najprzód musiano ją przeprosić, a nie przestając na wymówkach reżyssera, powitała każdego aktora potrójnym odgłosem świstaczek. Artyści zapominając o swojéj sprzeczce, zwrócili cały gniew publiczności, na opowiadanie Brioleta, i od tego czasu zaprzysięgli wieczną nienawiść Klarze.

Nie trzeba na to było wyświstania, aby serdecznie nienawidzili małą sierotę; miała wystąpić na scenę, a kiedy idzie o wystąpienie nowego artysty, wzburzają się wszystkie namiętności grona aktorów; samolubstwo, nienawiść, żal, wciskają się do serc i szarpią je aż do chwili kiedy upadnie nowo występujący. Wtedy dobroć serca znowu przezwycięża, a ten aktor, który byłby go popchnął do zguby, podaje mu rękę i ofiaruje zasiłek... Lecz jeśli mu się powiedzie... sama tylko miłość własna leczyć może rany, zadane sercu starego aktora. Ani wiek, ani płeć, ani talent, nie zdołają zabezpieczyć nowo przybyłego od nienawiści teatralnéj; rzecby można, że jaki żołnierz wkradł się do nieprzyjacielskiego obozu; każdy nabija broń aby go odstraszyć hałasem, jeżeli nie można ugodzić go śmiertelnym razem. Powiedziano mi, że między autorami dzieje się toż samo; o dobry rodzie ludzki!

Chociaż nieco zasmucona tém, że nie zobaczy końca tak ciekawéj sztuki, Klara śmiało poszła za dyrektorem; już go znała: tak się z nią był pieścił przyszedłszy do kawiarni, iż nie mogła o nim zapomnieć. Nie raz nawet pytała się pana Thibot dla czego ten piękny pan z karbowanym gorsem u koszuli, już nie przyszedł do domu.

—»Nie boisz się iść ze mną maleńka? rzekł biorąc ją za rękę.

—»Nie panie, znam pana... mam dobrą pamięć.

—»A więc tém lepiéj, rzekł, tego właśnie będziesz najwięcéj potrzebować, bo na zręczności i dowcipie nie zbywa ci jak widać.»

Raz jeszcze przeprowadził Klarę przez ten teatr, któremu napatrzyć się nie mogła. Orkiestra grała uwerturę drugiego aktu, przy towarzyszeniu wrzaskliwego gwizdania. Aktorowie zebrani w gromadki, zapalali się nawzajem przeciw biednéj sierocie, ale Klara nie słyszała ich rozmowy w garderobie i dla tego nie zrozumiała czemu Celia odwróciła głowę, zamiast odpowiedzić na uśmiech którym ją powitała przechodząc.

»Zawołać panią Briolet, loż majstrową z trzeciego piętra: rzekł dyrektor do jednego z posługaczy. A potém wziął dziecię na na kolana i polecił mu aby słuchała swojéj nowéj mamy. Pani Briolet nadeszła. Była to wysoka i otyła kobieta, mająca głos silny, oczy duże, czarne i śmiałe, nos purpurowy, lica takież, wąsiki i brodkę, podobna do tych figur które pokazują na jarmarkach, poczyniwszy im lekkie plamy na skórze i udają za olbrzymki nowo przybyłe z Indyi. Małżonka sufflera usiłowała umiarkować głos swój, aby z uszanowaniem

http://rcin.org.pl

powiedzieć dobry wieczór swemu przełożonemu i zapytać się czy to jest owe dziecię?

—»Tak jest mościa pani Briolet, jest to ładna dziewczynka, z któréj jak się spodziewam coś dobrego zrobiemy... jeżeli będzie posłuszną.

—»Zapewne że będzie posłuszną przy mnie: rzekła lożmajstrowa: nie prawdaż mój robaku?

—»O tak jest pani, odpowiedziała drżąca Klara, bo pani Briolet zaczęła mówić zwyczajnym surowym tonem.

—»Nie wiele dziś mamy widzów, mówił dyrektór.

—»Bardzo mało panie, i to jeszcze nie są zadowolnieni, bo gwiżdżą jak wściekli.

—»Wiem że sztuka nie jest dobra; ale wkrótce mieć będziemy co innego.

—»To dobrze, gdyż skarżą się że im nudne sztuki dajemy.

—»Nasze powodzenie zależy od ciebie pani Briolet.

—»Pan żartuje, ja nie przywodzę tym co gwiżdżą i klaszczą.

—»Nie, ale możesz nauczyć tę dziewczynkę, i powtarzać z nią rolę którą dostanie w nowéj sztuce, dla niéj umyślnie napisanéj.

Klara spojrzała w oczy dyrektorowi i przerwała:

—»Co! chcesz pan żebym gadała przed wszystkiemi jak te piękne panie i panowie?

—»Tak jest moje dziecię, i dla tego przyprowadziłem cię tutaj.

—»Ale nie będę wiedzieć co mam gadać.

—»Nauczymy cię... Trzeba tylko abyś spamiętała słowa twojéj roli.

—»O! to bardzo dobrze, umiem już wiele bajek, których pani Thibot uczyła mię wieczorem, abym je powtarzała przed gośćmi... Czy chcesz pan? powiem jednę.

I nie czekając na odpowiedź dyrektora, Klara powiedziała bajkę, tonem tak komicznym, z gestami tak zgrabnemi i tak śmiesznemi, iż pani Briolet nie zważając na uszanowanie należne dyrektorowi, rzuciła się na krzesło i zanosiła się od śmiechu. Dyrektor uściskał małą aktorkę, która zachowała minkę jak najpocieszniéjszą. »Brawo! rzekł, brawo! to dziecię jest nieocenionym skarbem; widzę już pięćdziesiąt reprezentacyi, po tysiącu talarów każda!

—»Zaręczam panu, że to jest najdoskonalszy interes; będę ją chować jak własną córkę.

Klara byłaby wolała usłyszéć te wyrazy z ust dyrektora; ale pani Briolet okazywała się życzliwą dla niéj, i mówiła że ją kochać będzie, byleby to tylko słuchała jéj nauki nie była to rzecz trudna dla sieroty; nazwyczaiła się do posłuszeństwa, od czasu owéj axamitnéj niszy, u mamy Thibot.

Takie są moje warunki: rzekł Dyrektor, kiedy uspokoił się śmiech lożmajstrowéj: mieć będziesz staranie o maleńkiéj Klarze, a ja obowiązuję się dawać ci dziewięćdziesiąt franków na miesiąc, na koszta jéj utrzymania i edukacyi; a skoro tylko będzie mogła wystąpić na scenę, dostaniecie dziesięć talarów od każdéj reprezentacyi.

—»A dziewięćdziesiąt franków? zawsze będę pobierać?

—»Zawsze, mościa pani Briolet; wyucz ją jak najprędzéj, jest mi po-

http://rcin.org.pl

trzebną. Oto assygnacya do kassyera; jutro odbierzesz pensyą za pierwszy miesiąc, a jeżeli ta maleńka chce zobaczyć resztę widowiska, możesz ją wziąć ze sobą.

—»Tak jest panie, chciałabym ieszcze zobaczyć komedyą.» Dyrektor popieścił się z dziecięciem, dał mu sztukę dwudziesto-frankową i pożegnał panią Briolet.

—»Jaki to dobry ten pan! rzekła Klara wychodząc z gabinetu: patrzaj mamo co mi dał! i pokazała sztukę złota pani Briolet.

—»Daj moja duszko, mogłabyś ją zgubić.

—»Dobrze, ale mi ją schowasz, nie prawdaż? bo jest moja.

—»Ale czyś też aby podziękowała?

—»Ah! zapomniałam.

—»Nie trzeba nigdy odrzucać kiedy ci co dadzą; ale pamiętaj podziękować, a zwłaszcza oddawać mi to co dostaniesz.

Łożmajstrowa schowała pieniądze do kieszeni, a poszedłszy na swoje trzecie piętro, posadziła dziecię na kolanach, aby mu pokazać widowisko. Z tak wysoka, Klara prawie nic nie widziała i nie słyszała; dla tego też zasnęła wkrótce.

Obudził ją brzęk szklanek i talerzy; była w izbedce pod strychem na placu przy moście S. Michała, u małżonków Briolet. Rozebrany indyk kurzył się na stole, butelka wina stała przed każdym gościem, karafka z wódką postawiona na murku od komina uśmiechała się do pijących; było ich sześciu; sąsiadów z przeciwka zaproszono aby należeli do przejedzenia sztuki dwudziesto-frankowéj, tego podarunku dyrektora teatru. Klara wytrzeszczyła oczy. Pani Briolet rozprawiała ze szklanką w ręku z winem wgłowie, z oczyma zaiskrzonemi. Wybuchem radości powitano dziecię, zdziwione że się znajduje pośród tylu nieznanych twarzy; ale w szóstym roku życia prędko człowiek zapoznaje się z temi, którzy mówią: »jedz i pij oto jest talerz, oto szklanka» Klara jadła, a zwłaszcza piła wiele, ponieważ bawiło ją to, że trącała szklankę swoją o szklankę sąsiadów; zapaliła się jéj główka; wtedy zaczęła rozprawiać. Deklamowała dwanaście bajek jedna po drugiéj, pośród oklasków towarzystwa, które skutkiem wina wpadło w zachwycenie bardzo bliskie niedołężności. Klara była bohatyrką téj biesiady, nie przerywano jéj bynajmniéy, i tylko za każdym przestankiem brała w obie ręce kieliszek, a biesiadnicy wołali wtedy, »twoje zdrowie!» Zapał, który wzbudzały gesta i deklamacya dziecięcia, nie ustawał, ale wina zabrakło; trzeba było wziąć się do wódki; trunek z odrobinkami złota, zabłysnął w szklankach i jednozgodny toast wniesiono za pomyślność młodéj aktorki; poczém ociężałe głowy mężczyzn opadły na stół, mimo usiłowania ich małżonek, które jak mogły trzymały się na nogach i ciągnęły do domu, opiłych i zaspałych mężów.

Niech żyje wesołość! Klara jest w dobréj szkole; jutro będzie znowu hulanka w izbedce suflera: mają dostać 90 franków pensyi za pierwszy miesiąc. Briolet ma wytrzymalszą głowę niż jego żona, chociaż po pijanu nie tyle jest wymowny; myśli

http://rcin.org.pl

odłożyć na przyszłość. Przyszłość u niego zaczyna się co drugiego, a kończy się w trzydziestym każdego miesiąca: biada tym które mają dni trzydzieści jeden! Idąc spać, rzekł do swojéj połowicy: »Pamiętaj odłożyć piętnaście franków dla mnie.

—»A to po co?

—»Po co! na moją kawę.

—»Więc teraz filiżanka kosztuje dziesięć soldów?

—»Nie, ale ponieważ musimy żywić dziecię, chcę z tego korzystać: wypiję także kieliszek wódeczki.

—»A więc będę oszczędniejszą od ciebie: odpowiedziała z uśmiechem jego ogromna połowica i odłożę trzydzieści franków co miesiąc.

—»A cóż z niemi zrobisz moja duszko?

—»Razem będziemy pili kawę.

Ta odpowiedź pani Briolet, niezmiernie uradowała serduszko jéj męża; rzucił się w jej objęcia, częścią z czułości, częścią z potrzeby; dwoiło mu się w oczach, nogi wypowiedziały mu służbę. Klara zasnęła; wyjdźmy z izbedki...

Tego zaraz wieczora, dyrektor kazał zrobić stósowną sztukę, etatowemu autorowi teatru. Za tydzień, płodny literat już przyszedł z manuskryptem. Artystów wezwano dla wysłuchania sztuki i przyjęcia ról. Pani Briolet przyprowadziła maleńką Klarę, którą bardzo zadziwiło zimne przyjęcie tych dam i panów; od dawna umyślili nie przyjąć ról w téj nowéj sztuce, i zamiar ten zachowali w skrytości. Sam tylko autor i dyrektor uściskali sierotę. —»Czy dobrze ci jest u pani Briolet? zapytał się. —» Tak jest, bawię się u niéj.

Autor rozwinął rękopism i przeczytał: SIEROTA Z PLACU CHATELET.» Patrzcie! zawołała Klara, to zupełnie tak jak szyld mamy.» Kazano jéj bydź cicho; zarumieniła się. Aktorowie przygryźli sobie usta, kryjąc złość swoją; autor czytał daléj. Nie zdołam wyrazić ile potrzebował imaginacyi dla napisania trzech wielkich aktów, z bitwami i baletami, o wypadku tak prostym, tak naturalnym, jakim jest zabłąkanie! się dziecięcia na placu publicznym; jednakże utrzymywał przez dwie godziny ciekawość słuchaczów. Artyści z razu niechętni sztuce, powoli zajęli się bohatyrką. Niczyja rola nie szkodowała dla niéj. Celia miała dwie porządne sceny, w których mogła puścić wodze całéj gwałtowności swéj mimiki i sile swoich piersi; w rzeczy saméj, umieszczono przenikający krzyk który wydawała z takiém powodzeniem i robienie piersiami, będące jéj tryumfem. Aktór grający rolę ojców, mógł spodziewać się oklasków; miał położenie tak pełne zapału, że jego nieszczęśliwe gadanie przez nos, mogło ujśdź uwagi publiczności; a w chwilach spokojniéjszych, autor unikał nosowych spółgłosek. Co więcéj, korzystał nawet z wad aktorów i jednemu który się jąkał, dał przedziwną rolę jąkały.

Jeżeli ta melodramma rozrzewniła artystów zazdrosnych zaszczytu wyrządzonego Klarze, jakież więc wrażenie musiała zrobić na sierocie? Ilekroć autor wymówił nazwisko Klary, śmiała się i robiła różne gesta na kolanach pani Briolet, a gdy dziecię było

http://rcin.org.pl

bardzo nieszczęśliwe, mówiła: »To tylko udanie! nie prawdaż?» Ale gdy przy rozwiązaniu, matka opłakująca stratę wykradzionego dziecięcia, znajdowała w osobie małéj żebraczki, swoją ukochaną córkę, gdy kiedy ta dama wspaniała i bogata, rzekła do sieroty tuląc ją do serca:

»Już nie będziesz żebrać! ten zamek, te dobra, ta świetność która mię otacza, wszystko to do ciebie należy! Znalazłaś majątek, znalazłaś więcéj jeszcze, serce matki!»

Te górne słowa, to uniesienie melodramiczne; uczyniły takie wrażenie na dziecięciu, iż wydało krzyk radości... Jéj oczy zalały się łzami; łkania stłumiły jéj głos; musiała pani Briolet spuścić ją z kolan; pobiegła do Celii i rzuciła się w jéj objęcia: ona to grać miała matkę sieroty.

V.

AFISZE.

—»To wybornie! zawołał dyrektor.

—»Szczytnie! powtórzyli aktorowie.

—»Tak jest, to nie źle, mówił autor, są niejakie piękności w sztuce; a jeżeli maleńka posiada tyle pojętności ile czucia, zaręczam za powodzenie.

—»Rachujemy na ciebie, pani Briolet: rzekł dyrektor.

—»Będzie powtarzać ze mną: przerwała Celia.

Po niechęci którą tchnęli aktorowie dla sieroty, nastąpiło najżywsze zajęcie, skoro tylko byli pewni, że jéj rola nikomu nie przyniesie uszczerbku. Uściskano autora i jednozgodnie ogłoszono go zbawcą teatru. Klara podzieliła z nim powinszowania słuchaczy, jéj popęd miłości dziecięcéj przy końcu sztuki, tak był naturalny, tak niespodziany, iż z tego czyniono najszczęśliwsze wróżby.

Ci z artystów którzy nie byli na tém posiedzeniu, a wiedzieli o zinowie, zdziwili się niezmiernie, gdy zamiast nieporozumień i sporów, ujrzeli, iż autor i dyrektor wyszli z miną tryumfującą, a każdy z aktorów z zadowoleniem. Wszyscy oddawali sztuce jak największe pochwały i donieśli swoim przyjaciołom i znajomym, iż wzięto do nauki *Sierotę z placu Chatelet*, melodrammę we trzech aktach, która przyciągnie publiczność do teatru, opuszczonego już od dawna.

Pani Briolet odprowadziła swoją pensyonarkę do izbedki i tam zaczęła naukę deklamacyi, nad którą stary sufler czynił bardzo ważne postrzeżenia. Dragan w spódnicy (chcę mówić o pani łożmajstrowéj) usiłował chrapliwym głosem przybierać ton sentymentalny, a dziecię przybierało grubszy głos, aby się zgadzać z głosem nauczycielki. Briolet poważnie siedząc w krześle, poprawiał jéj giesta, a każdą uwagę zakrapiał wódką. Dzień upływał na pracy, ale co wieczór była smaczna wieczerza, na którą zapraszano sąsiadów, aby sądzili o postępach sieroty; nie gniewali się także, jeżeli dzisiejsze pieczyste lepsze było od wczorajszego. Pensya Klary nie byłaby wystarczyła na takie zbytki, ale co dwa lub trzy dni, dyrektor dawał po pięć franków Klarze, wiedział bowiem, że przez to naj-

http://rcin.org.pl

lepiéj zainteresuje panią ložmajstrową. Administracya wyświadczyła także łaskę paniBriolet: powierzyła jéj loże pierwszego piętra, a to było daleko zyskowniejsze zatrudnienie.

Dowcipna i pojętna Klara korzystała ze wszystkich uwag; w przeciągu sześciu tygodni nauczyła się swojéj roli; znała jéj wszystkie odcienia; wyznaczono dzień reprezentacyi i ogłoszono afiszami nową melodrammę p. t. *Klara czyli Sierota z placu Chatelet.* Wielkie litery oznajmiły publiczności, że młoda Klara bohatyrka téj drammy, mająca pół szosta roku, wystąpi w głównéj roli.

Zazdrość ustąpiła z serca aktorów, lecz ogarnęła zarządzców sąsiednich teatrów. Rano, w dzień ostatniéj próby, dyrektor drugiego teatru, przysłał do ložmajstrowéj swego plenipotenta, z najświetniejszemi propozycyami, na przypadek gdyby mu powierzyła dziecię; jeżeliby zaś odmówiła, zastraszał ją tém, że sierota należy do zwierzchności, od czasu gdy ją opuścili jéj przysposobieni rodzice.

Słuchała go pani Briolet, a potém gdy skończył, widząc że jéj mąż zaczyna się wahać, już to przez obawę, już to przez osobisty interes, wzięła wysłańca za kołnierz, mocno popchnęła go ku schodom, mówiąc: »Nie potrzebuję pieniędzy, mam je od naszego dyrektora, a nie lękam się gróźb twoich. Jestem kobietą, ale nie dam się nikomu, a więc wynoś się pókiś cały.«

Sprawujący interessa, nie czekał aż mu to drugi raz powtórzą; poszedł zdać sprawę ze skutku swego poselstwa, a ci którzy go wysłali, rozgniewani że nie mogli uwieśdź ložmajstrowéj, powstawali głośno na niemoralność ich rywala, za to, że wyprowadza na scenę dziecię, które przez wzgląd na swoje nieszczęście, powinno bydź tylko celem politowania i wsparcia. Ich szlachetne oburzenie powtórzyły sąsiednie teatra: taka to prawda, że interess osobisty jest najlepszym sędzią dobrych albo złych postępków rywala.

Klara powtórzyła swoją rolę w izbedce pod strychem, przy oklaskach sąsiadów; sufler sam odpowiadał za rozmaite osoby, a ložmajstrowa ryczała rolę matki. Było to najpocieszniejsze widowisko: poczciwi rzemieślnicy z skórzanym fartuchem, z szlafmycą na głowie, machali obnażonemi rękoma i wzdymali żyły szyjne tak, iż ledwie w apoplexyą nie wpadli; naśladowali uczucia namiętności, i zaledwie dobrać mogli piskliwy dźwięk lub ryk chrapliwy, dla wydania słodyczy miłości, lub zapędów gniewu. Pośród téj parodyi drammatycznéj, Klara zawsze naturalna i uważna, odpowiadała trafnie, płakała bez przesady, albo śmiała się z dobrą wiarą, nie dla tego, iż miała bydź dobrą artystką, ale że ją samą wystawiono na scenie: była na teatrze taką, jaką niegdyś na placu Chatelet; przypuszczenia autora, były dosyć podobne do prawdy, a dziecię mogło się obawiać albo pragnąć, aby się kiedyś ziściły.

Nadchodziła godzina próby, sąsiedzi wystroili się w suknie niedzielne, Briolet otrzymał pozwolenie wnijścia dla wszystkich przyjaciół swo-

http://rcin.org.pl

ich, chciano zapełnić salę, aby przygotować dziecię do mówienia przed publicznością! Wesoło poszli wszyscy na teatr, tracili jeden dzień pracy, ale pieczyste piekło się u sąsiedniego traktyera dla nich na wieczerzę; za powrotem będzie biesiada.

Nieprędko zaszli do teatru, trzeba było zatrzymywać się na rogu każdéj ulicy, czasem dla wstąpienia do szynkowni, ale najczęściéj ulegając żądaniu małéj aktorki, która koniecznie chciała sylabizować swoje nazwisko na wszystkich afiszach. Pani Briolet łatwo ulegała jéj prośbom, nie gniewała się że zwracano na nią uwagę, i skoro tylko postrzegła nowy tytuł sztuki przylepiony na murze, zbliżała się do afiszu i głośno mówiła do dziecięcia: »Patrz, to ty jesteś maleńka Klaro!« Ciekawi oglądali się, wywoływała ich zapytania kilku słowami bardzo zręcznemi podług jéj zdania, jako to: »Przypominasz sobie twoją deklamacyą w drugim akcie? nie prawdaż moje dziecię? albo też: »Zdaje mi się, że wczoraj nie przysłano ci twego ubioru.... a przecież to na jutro.«

—»Jak to? czy ta maleńka jutro występować będzie? pytano się ložmajstrowéj.

—»Tak jest panie, to jest moja uczennica: odpowiadała z chlubą: prześliczne dziecię, które więcéj doznało nieszczęść w tak młodym wieku, niżelibym ich najsroższemu nieprzyjacielowi życzyć mogła, jéj historya jest w sztuce, to rzecz bardzo rozrzewniająca, a cena miejsc nie będzie podwyższona.

—»Muszę widzieć tę sztukę.

—»Dobrze pan robisz, będzie tłok niesłychany.

—»I ta dziewczynka ma dopiero pół szosta roku?

—»Sześć lat skończyłam, odpowiada Klara z prostotą.

Pani Briolet przerywa jéj, mówiąc: »Półszosta roku Mościa Panno, wiedziałabyś o tém, gdybyś umiała czytać, bo tak stoi na afiszu. Z resztą jeśli pan raczy przyjść do nas, wynajdę mu dobre miejsce.

—»Należysz pani do teatru? może jesteś artystką?

—»Nie panie, otwieram łoże pierwszego piętra; proszę się spytać o panią Briolet, tam gdzie składają laski i parasole. Ta która wydaje kontramarki jest moją przyjaciółką od dzieciństwa.

Briolet nie tak gadatliwy jak żona jego, odprowadzał ją kiedy rozmowa przeciągała się za długo; lecz przed nową gromadką przypatrującą się afiszom, zatrzymywano się znowu; nareście, małżonkowie Briolet i ich towarzystwo, przyszli do teatru, ale spóźnili się więcéj jak o kwadrans. Ložmajstrowa zmówiła to na słabość dziecięcia. W sali pełno było przyjaciół, zapalono lustra i kinkety, jak na prawdziwą reprezentacyą; orkiestra była na swojém stanowisku, niczego nie brakowało do téj uroczystości teatralnéj, nawet najętych przyklaskiwaczy, nawet zazdrosnych autorów i krytyków, nawet dziennikarzy chwytających do przyszłego numeru swego, głupstwa, które się wyrwą z ust autorom.

Zaczęto.

Sztuka zaczynała się ożywionym obrazem licytacyi publicznéj; zręcznie napisany wykład, dobrze usposobił

http://rcin.org.pl

publiczność; wkrótce Klara wyszła, figlarna, wesoła, żywa, miała biegać i bawić się w pośród gromadek ludu; lecz za pierwszém jéj wystąpieniem na scenę, ta sala tak baczna i cicha, ożywiła się; szmer podobny do odgłosu dalekiéj burzy, wzniósł się z parteru, krążył po galeryach, rozpostarł się po lożach; wychyliło się zarazem tysiące głów, tysiące rąk klaskać zaczęło. Klara przerażona tym hałasem zatrzymała się, straciła głos, zbladła i upadła. Przerażający krzyk powstał w sali, a powszechne zamięszanie na scenie. Pośpieszyli ku dziecięciu aby je podnieść; dziewczynka otworzyła oczy; pieszczoty i czułe pytania dokazały nareście, iż uśmiech wrócił na usta Klary; wyznała, iż blask świateł przeraził ją, a na te niespodziane oklaski obłąkała się jéj głowa, a nogi zgięły się pod nią; mniemała bowiem, że piorun w nią uderzy.

Wrażenie to przewidział dyrektor; jest to najważniejsza próba dla występujących, skała o którą nie raz rozbiły się najpiękniéjsze nadzieje talentu. Klara mogła także uledz; przecież ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, uspokojona obietnicą że już nie będą klaskać, weszła znowu na scenę. Kortyna spuszczona na chwilę podniosła się; Klara wyszła, ale tym razem wesoła i lekka, krążyła w koło gromadek i szukała swego wyjaszka Szymona, była taka jak w tym dniu kiedy ją zgubiono na placu Chatelet. Nic żem już nie dała oderwać się od jéj roli. Przebiegłe dziecię tak było pewne saméj siebie, iż drugi raz wyszedłszy na scenę, zbliżyła się do publiczności zachwyconéj jéj wdziękami i zręcznością, i rzekła. »Możecie klaskać panowie i panie; już się nie boję.« Wtedy niezmierne oklaski powstały i trwały aż do rozwiązania sztuki, które było prawdziwym tryumfem sieroty.

Melodramma i mała artystka, miały jak najświetniejsze powodzenie; mężczyzni wołali brawo, wszystkie kobiety płakały, a gdy przy końcu sztuki, Klara jednozgodnie wywołana, z wdzięcznym uśmiechem złożyła skromny ukłon licznym wielbicielom swoim, powwstał zapał którego opisać nie podobna. Spektatorka z balkonu rzuciła bukiet na scenę, a na ten znak, ze wszystkich stron spadło tysiące róż i goździków, a kurtyna spuściła się na ten deszcz kwiatów.

Powszechne rozrzewnienie przejęło wszystkich serca; Pani Briolet nie była ostatnią w udzielaniu oklasków swojéj uczennicy; a z tego powodu pewien dziennik nieprzyjazny temu teatrowi napisał, iż dzieło było tak piękne, iż mu przyklaskiwali wszyscy którzy go ani widzieć, ani słyszeć nie mogli.

Klara ucałowana, uściskana od wszystkich, wydarta była tego wieczora, czułości małżonków Briolet; dyrektor zamówił delikatną wieczerzę, i zaprosił na nią autora, artystów i kilku dziennikarzy. Opiekunowie Klary, prędko pocieszyli się po tém chwilowym rozdziale; i dla nich także gotowa była wieczerza w izdebce suflera, a gdy biesiadnicy dyrektora, spijali szampana na cześć sieroty, Briolet jego żona i weseli sąsiedzi, pili

http://rcin.org.pl

obficie na rachunek trzech miesięcznego powodzenia, które im po 30 franków na dzień przynieść miało. Przy dziesiątéj reprezentacyi, był albowiem nowy toast do każdéj z nich, przy dziesiątéj mówię, słabsze głowy opadły, najsilniéjsi doszli aż do piętnastéj; Pani Briolet stała jeszcze na nogach, lecz nareście siła zawiodła jéj odwagę; nalanéj szklanki nie mogła już ponieść do ust: wszystko spało koło niéj. Nieustraszona bohatyrka upadła na krzesło, zadmuchnęła świecę, jéj ciężka głowa pochyliła się na stół, a wkrótce słychać było w izbedce samo tylko głuche i przytłumione chrapanie: towarzystwo trawiło.

Sierota zbogaciła pana Thibot, miała dopomódz do zbogacenia dyrektora Teatru, nie mówię tu o małżonkach Briolet, oni cenili złoto podług jego rzeczywistéj wartości, to jest podług ilości i gatunku wina, jakie za nie wypić można i to jeszcze, ci zacni pijacy, przypadkowo tylko zważali na delikatność i gatunek wina; mówili z filozofem nie wiem jakim, Anakreonem może, czy też Ramponneau: »Czy kto pił Bordo-Lafitte, czy też lurę świeżo wytłoczoną, cóż to go obchodzi, kiedy się spije na zabój?» Myśl głęboka! dokładnie malująca próżność wszystkich wielkości i koniec rzeczy ludzkich!

Sto reprezentacyi melodrammy nastąpiło bez przerwy jedna po drugiéj, Cztery tysiące franków dochodu co wieczór! W przeciągu jednego kwartału, dyrektor teatru zarobił pięćdziesiąt tysięcy talarów, kupił domek wiejski przy lasku Meudon, z żelazną kratą w koło dziedzińca, z zielonemi okiennicami, z pięknem i wygodném pomieszkaniem, zkąd widać było bogate równiny, piękne domki i prędki bieg Sekwany; z tego zysku nabył także ładny koczyk dla swojéj przyjaciołki, która nie mogła już najętym powozem jeździć, od czasu jak jéj kochanek kupił dom wiejski.

Ten poczciwy dyrektor, nie był niewdzięcznym dla sieroty, przez którą zyskał to wszystko; czasem pozwalał jéj bawić się w ogrodzie, a kiedy przypadkiem zrywała owoce, nic jéj nie mówił.

Z czasem zajęcie publiczności zaczęło się zmniejszać, nasycono się widokiem sieroty, szyld już się zużył, odłożono tę starzyznę. —»A dziecię? —»Dziecię mogło do woli bawić się za kulisami, nikt na nie nie uważał, a jeźli się czasem zapytano dyrektora, czyli to jest ta piękna mała? odpowiadał od niechcenia. —»Tak, to jest ona; mówią że jest zgrabna, chwalą ją dosyć, ale mniemałem że więcéj dochodu przyniesie.«

Co za smutek dla pani Briolet, gdy jéj przestano płacić po 30 franków na dzień! — »Nie mogę za darmo żywić tego dziecięcia rzekła do męża: 90 franków które mam za nią na miesiąc, są jedném niczém; dyrektor innego teatru daje mi 20 franków od reprezentacyi; trzeba z tego korzystać. Rób co chcesz, odpowiedział stary sufler. Tego jeszcze dnia, jego połowica poszła do dyrektora i przełożyła mu, że nazwyczaiwszy się do wydawania po trzydzieści franków na miesiąc, nie mogą poprzestać na trzech frankach; dyrektor odpowiedział że

http://rcin.org.pl

daje to do czego się zobowiązał. Pani Briolet nazwała go łakomcą, niewdzięcznym, rzekła że wszystko jest winien sierocie. Dyrektor kazał jéj milczéć; ona jeszcze bardziéj wołała; groził, pokazała mu pięść; a nareście skończyło się na tém, że dyrektor zawołał na służących. »Wypchnijcie tę imość za drzwi, będę jéj słuchać jak przyjdzie na czczo.« Pani Briolet, rozjuszona, spuściła pięść tylko o dwie linię od twarzy dyrektora. Wyszła rozpaczając, że nie zdołała ukarać zuchwalca, który oskarżał ją o pijaństwo! Co za potwarz! było dopiero południe, a pani Briolet jak wiadomo, nie zaczynała pić aż po teatrze.

Tego jeszcze wieczora małżonkowie Briolet i biedną Klarą dostali odprawę.

Wzięto ją do innego teatru, a w kilka dni potém wystąpiła w *Sierocie z placu Chatelet*. Ale jeżeli mogła grać doskonale w sztuce, która przypominała jéj własne położenie, nie zrozumiała urojonéj roli, którą jéj dano; nie była to już maleńka Klara bawiąca się przy fontannie; lecz jakaś bohatyrka sześcioletnia, która kojarzyła małżeństwa, odkrywała zmowy, zrządzała upadek złego ministra i ocalała niewinnego, w chwili, gdy już stał na rusztowaniu. Wygwizdano sztukę, śmiano się z dziecka, które powtarzało rolę swoją jak papuga. Zarząd nowego teatru chciał ją przyjąć bezpłatnie do baletu; nie na to rachowała pani Briolet, a że ofiarowano jéj dziennie pięć franków w teatrze tańcujących na linie, gdzie grywają małe wodewille między niebezpiecznemi skokami i apoteozie przy Bengalskich ogniach, znowu przeto wyprowadziła ją na scenę. Była to publiczność nie wybrydna, nie surowa; rozmawiała z autorami i cieszyła się usłyszawszy jaki tłusty koncept. Briolet uczuł, iż niezmiernie poniża się jego pupilla, ale żona jego dostała miejsce przy odbiorze biletów, a w niedzielę szli do szynku razem z administratorami.

Imie Klary na afiszu, zdołało jeszcze zrobić niejakie wrażenie i co wieczór pomnażała się liczba widzów na téj hecy.

Nie znacie wewnętrznego urządzenia tego teatru, gdzie plagami nauczają zwinności, gdzie za najlżejszą pomyłkę wymierzają surową karę. Jak można zachować równowagę, kiedy kto zawsze drżeć musi! Klara drżała także, gdyż pani Briolet nie przestając na płacy swojéj wychowanki, rzekła: »Moja Klara tak jest zręczna! gdyby téż kazano jéj tańcować na linie?« Briolet sprzeciwiał się temu wnioskowi; ale sławny skoczek, przedsiębierca tego widowiska, z uniesieniem uchwycił się téj myśli i zaczął uczyć sierotę. Musiała korzystać z jego nauk: wiadomo jakim sposobem je dawano. Po sześciu miesiącach, Klara mogła chodzić po linie. Pewnego dnia nareście ubrano ją w gazową sukienkę ze świecącemi się blaszkami, dano jéj pręt w rękę, podeszwy atłasowych trzewiczków wytarto blejwasem. Nacisk był znaczny: dzięki wielkim afiszom tak napisanym »*Po raz pierwszy* PANNA KLARA *zwana* SIEROTĄ Z PLACU CHATELET, *mająca lat siedem, tańczyć będzie na* DRUCIE ŻELAZNYM; *ta zadziwiająca tancerka*

http://rcin.org.pl

wyjeżdża niezwłocznie za granicę i da tylko sześć reprezentacyi.

Klara ubrana w świecidełka skoczków, występuje; dają oklaski; jéj nauczyciel idąc za nią, szepce jéj aby uśmiechnęła się do publiczności. Dziecię nie może, drży, ma łzy w oczach, stąpa bojaźliwie, widzowie chcą ją zachęcić, lecz im daléj postępuje po gnącym się drucie, tém się więcéj lęka; jednakże dwa razy przeszła bez stracenia równowagi. Publiczność zapłaciła aby doznała przykrych wzruszeń, aby widziała dziwy: zaczyna się niecierpliwić. Już wołają: »precz! precz! oddajcie pieniądze!» Skoczek przestraszony tą groźbą, klnie po cichu na swoją uczennicę, a ta mu odpowiada: »Ale nie mogę, boję się... Szemranie podwaja się, gniew ogarnia nauczyciela, ale poskromił go i rzekł: »Panowie i panie! chcieliśmy was zabawić przez chwilę, pokazując pierwsze kroki ucznia, a że to się wam nie podobało, przejdziemy do innych sztuk. —»Było to więc dla zabawy? zapytano się z amfiteatru. —»Oczywiście, młoda artystka tańcować będzie natychmiast, i obracając się do drżącego dziecięcia, mówi z przytłumioną wściekłością. »Tańcuj mi natychmiast... albo zobaczysz...» Jest posłuszna; rzuca się; jéj głowa dotyka zasłony teatralnéj; jéj nogi zręczne i lekkie spadają na drut wyciągnięty. Publiczność patrzy osłupiała; bojaźń wstrzymuje oklaski; wierzą w niezmierny talent Klary; nielitościwy skoczek woła na nią: »Daléjże!» jeszcze mocniéj!.. Dziecię traci przytomność, sala kręci się przed jego oczyma, jednakże skacze bez ustanku po elastycznym drucie, który je odrzuca w powietrze. »Śmiało, wołają jéj do ucha.» Klara jest jakby w obłąkaniu, nie wie czy chodzi, czy lata, czy żyje.—»Dosyć! dosyć! wołają widzowie, ale nauczyciel powtarza ciągle: »Śmiało! jeszcze lepiéj, teraz bez pręta!» W rzeczy saméj pręt wypada z rąk dziecięcia, ale Klara pada z nim razem i łamie nogę... Podnieśli ją na pół umarłą:

Nazajutrz leżała w szpitalu.

(Dokończenie w następnym zeszycie.)

WSPOMNIENIA CZECH.

ZAMEK HRADSCHIN.

(z ryciną.)

Pewien podróżny, wolny od stronniczego ducha, opowiada co widział; jest to karta z tegoczesnéj historyi.

Praga jest stolica starożytnych Czech. Dzieli się na dwa miasta; stare, które stoi na górze, i nowe które ciągnie się na płaszczyźnię; u stóp iego płynie Mołdawa. Na lewym brzegu téj rzeki jest obszerne przedmieście zwane *Małém miastem*. Na moście łączącym je z Pragą, jest kilka posągów, a między innemi Świętego Jana Nepomucena.

Praga jest stolicą arcy-biskupstwa, a jéj uniwersytet ma historyczną sławę. Mimo wielu bardzo znakomitych pomników, smutnym jest widok tego miasta; ciche, spokojne, zdaje się, że jego ludność przeszło sto ty-

http://rcin.org.pl

sięcy wynosząca, porusza się i krąży bez hałasu. Nic z resztą porównać nie można z panoramą tego miasta, gdy w dzień pogodny patrzymy z wierzchołka góry, na której pochyla się że tak powiem, na ten napływ dachów od kilkuset gotyckich albo germańskich budowli, na niezliczone mnóstwo wież, których kolor szary albo niebieski doskonale odbija się od czerwonych dachówek, pokrywających wszystkie domy.

Pałac Hradschin, w którym rodzina Karola X. mieszka podczas zimy, jest rezydencyą cesarza austryackiego gdy przybywa do Czech. Hradschin stoi na szczycie góry starego miasta, a dotyka do przedmieścia. Niezmiernie wielki i bogaty, panuje w nim cisza i samotność cechująca Pragę i nic nie mogło wyrównać jego posępności, gdy Karol X. i jego mały orszak, zajęli kilka apartamentów w tym ogromnym pałacu.

Rysunek nie zdoła uczynić wyobrażenia téj budowy. Jest to nakształt małego miasta, umieszczonego w wielkiém. W rycinie tu załączonéj, widać tylko wnętrze trzeciego dziedzińca. Tam w środku stoi kościół katedralny, na prawo łączący się długą galeryą, ze skrzydłem, które zajmuje rodzina królewska.

Hradschin przywodzi na myśl mnóstwo historycznych wspomnień. Założony przez Wacława, a spalony w 1316, odbudowany był w 1333 na wzór Luwru. W 1378 po śmierci Cesarza Karóla, przestano mieszkać w nim i stał opuszczony przez cały wiek, dopóki Rudolf II. nie ochronił tego pięknego pomnika od zupełnéj zagłady; on zaludnił go posągami i upiększył przez rozmaite prace. W pięćdziesiąt sześć lat, w 1652, elektor Saski Jan Jerzy obległ Pragę i ogołocił Hradschin z jego bogactw; wkrótce potém, szwed Koenigsmark, zostawił tam same tylko zwaliska i posłał do Stokholmu obrazy i posągi, które jeszcze nie były zniszczone od kul i bomb podczas oblężenia. Królowa Krystyna dokonała tego dzieła zniszczenia, i bez litości kazała poucinać głowy i nogi osobom wystawionym na obrazach, a po większéj części arcydziełom Korredżja. Maria Teressa podźwignęła z gruzów Hradschin i kazała go odbudować podług planu architekta Banosty. Te prace ukończono dopiero w 1774.

Cztery wieże, z których jedna służyła w roku 1402 za więzienie królowi Wacławowi, w drugiéj zamykano winowajców skazanych na umorzenie głodem, są jedynemi szczątkami gotyckiego gmachu.

Inne szczątki z dawnego Hradschinu, nie zasięgają daléj jak do roku 1618; są to dwie piramidy wystawione na pamiątkę hrabiów Martinitz i Slavata. Pewnego razu, ci dwaj panowie stanęli w obronie wiary katolickiéj; rozjuszeni przeciwnicy wyrzucili ich oknem, a że im się nic złego nie stało, uwieczniono ten wypadek, postawieniem dwóch piramid.

Kto chce bydź przypuszczonym na posłuchanie do Karóla X. musi udać się w Wiedniu do Pana de Montbel, albo w Pradze do pana Blacas. Przystęp do pana Blacas nie jest bardzo łatwym i nie chętnie daje pozwolenie wnijścia do zamku; nim je wy-

http://rcin.org.pl

da, trzeba mu zostawić na piśmie nazwisko i godność żądającego, jego tytuły, zkąd przybywa, jaką drogą jechał, dla czego odbył tę podróż, dokąd się potém uda. Jeżeli odpowiedź zadowolni go, wydaje pozwolenie po dwóch albo trzech dniach zwłoki i wyznacza godzinę posłuchania: wszystko bowiem odbywa się z tą samą etykietą i punktualnością jak w Tuileries.

Dwudziestu żołnierzy austryackich zmieniających się codziennie, pełni służbę w zamku i oddaje xięciu honory wojskowe. Zamek umeblowany jest na sposób niemiecki, to jest z wielką oszczędnością i jeszcze większą prostotą. O wyznaczonéj godzinie otwierają się drzwi salonu i wchodzi się do apartamentu, gdzie Karol X. siedzi przy stoliku. Jeźli zna odwiedzającego, podaje mu rękę do pocałowania; jeźli go nie zna, lub też bardzo mało, pozdrawia go lekkiém skinieniem głowy. Stać trzeba przez cały czas posłuchania, to jest przez osiem do dziesięciu minut. Pan de Blacas jest zawsze obecnym, chyba że kto prosi o prywatne posłuchanie i to otrzymuje dopiero na dzień następny. Karol X. wiele pytań zadaje odwiedzającym, ale ich odpowiedzi nie zmieniają wyobrażenia jakie sobie utworzył o stanie Francji. Gdy kto odważy się sprzeciwiać się tym wyobrażeniom, słucha bez przerywania, ale uśmiecha się z oznaką powątpiewania, odpowiada: *źle jesteś panu uwiadomionym* i zaczyna mówić o czém innem.

Karól X. zazwyczaj nosi ciemną suknię, którą nosił jeszcze w Tuileries; mimo niezmiernéj czystości już jest dosyć wytarta. Nieszczęścia bynajmniéj nie zaszkodziły jego zdrowiu; zawsze jest ten sam, raźny, zawięzły, ochoczy. Zdaje się iż stracił upodobanie w polowaniu i rzadko się zdarza iż wezmie strzelbę do ręki. Co dzień używa przechadzki przez dwie albo trzy godziny; nikt mu wtenczas nie towarzyszy; bardzo rzadko jeździ konno. Doziera domu swego i sam wszystkie koszta zaspokaja; jego ludzie nie noszą liberyi i chodzą we frakach.

O dziesiątéj rodzina królewska zbiera się na śniadanie, o szóstéj je obiad.

Za zwyczaj stół nakryty jest najwięcéj na dziesięć osób; jedzenie nie jest zbytkowe ale obfite i przystojne. Karól X. i inni xiążęta czynią honory stołu. Rozmowa podczas obiadu nie jest zbyt poważną i etykietalną.

Dochody Karóla X. wynoszą 800,000 franków. Wielka część jego kapitałów umieszczona jest w pięcio-procentowych papierach francuzkich, powierzona sławnemu bankierowi i zapisana na jego nazwisko. Tą summą król zaspokaja wydatki domu i płaci pensyą swojego orszaku, dosyć znaczne kwoty wynoszącą.

Xiąże Angouleme i jego żona, mieszkają na drugiém piętrze; ich apartamenta łączą się korytarzem idącym od jednego końca zamku aż do drugiego. Xiąże Angouleme nie zmienił ani charakteru ani sposobu obejścia swojego: jest to zawsze ta sama obojętność; rzeczby można iż nic nie stracił i niczego nie żałuje. Przeciwnie, xiężna ilekroć wspomni o Fran-

http://rcin.org.pl

cyi, zawsze jéj oczy zalewają się łzami. Spokojna ale smętna, rzadko bardzo uśmiech pokaże się na jéj twarzy. Co dzień około godziny drugiéj wyjeżdża koczykiem na przechadzkę razem z mężem, albo też xiąże siada na konia, jedzie wolno i towarzyszy żonie która idzie piechotą.

Trudno powiedzieć jakie są zamiary i nadzieje rodziny Karóla X. Nie mają ułożonego planu: i zdaje się iż ufają tym zmianom losu, które kolejno wzniosły i poniżyły ich szczęście. Gdy staremu królowi mówią o przyszłości, odpowiada słowém zupełnie zgodném z naszą uwagą: *W mocy Bożéj!* Xżna Berry mieszka w Leoben o sto mil franc: od Pragi.

Gdy rodzina królewska miała zawieźć do xiężnéj Berry jéj dwoje dzieci, uwiadomiono je dopiero w wilią wyjazdu i bardzo późno. Xiąże Bordeaux już leżał w łóżku, wstał i poszedł do Karola X. a na te słowa: »*Jutro pojedziesz do twojéj matki*, wylał łzy obfite i nie mógł powściągnąć uniesień niezmiernéj radości. Potém zapytał się jak długo będą w drodze. —»Osiem dni mości xiąże, odpowiedziano. — »Osiem dni! zawołał, ach! przynajmniéj więc za dni osiem zobaczę moją matkę. Gdy musiał potém rozstać się z nią, uczuł mocny żal i smutek.

Pomieszkanie xięcia Bordeaux i jego siostry, znajduje się nad pomieszkaniem delfina i delfinowéj; otacza ich bardzo mała liczba osób. Xiężniczka ma w koło siebie tylko trzy albo cztery damy, i dostaje pięć tysięcy franków na miesiąc. Znajdując się w Pradze, mają stół osobny i tylko w dni świąteczne jadają z królem.

W czternastym roku życia, xiężniczka wygląda na osiemnaście; nie ma w niéj nic dziecinnego; nie jest piękną ale przyjemną; podobna jest trochę do matki, ubiera się z wielką prostotą. Rysuje pięknie, gra od razu najtrudniejszą muzykę, mówi kilkoma językami, jest uprzejmą i wesołą. Wspomnienie Francyi łzy jéj wyciska; wzrusza się gdy zobaczy którą z tych osób co ją otaczały w Paryżu. Pewnego dnia, xiężna Angouleme opowiadała przy niéj z goryczą o spotkaniu się u wód z marszałkiem M. (*) który spojrzawszy na nią, udał, że jéj nie poznał i nie zdjął nawet przed nią kapelusza. — »O Boże! rzekła xiężniczka: jak to jest przykro, kiedy się nas wypierają ci którycheśmy tak kochali. —» Innym razem, gdy jéj pewny podróżny opowiadał, jakich nieszczęść świadkiem był we Francyi, zawołała: —»Ach! nie mów mi o tém że Francuzi są nieszczęśliwi, to mi sprawuje zbyt wielką przykrość.

Xiąże Bordeaux celuje we wszystkich ćwiczeniach ciała i lubi je namiętnie. Śmiały jeździec, przeskakuje baryery w szczwalni, nie miesza się upadkiem z konia. Nauki nie idą mu tak dobrze; za to o trzydzieści kroków trafia do celu strzelając z pistoletu; wdziera się na drzewa jak wiewiórka i namiętnie bronią robi; najlepiéj lubi grać w billard. Jest wesoły, otwarty i szczery. Co dzień wychodzi na przechadzkę, jakakolwiek będzie pogoda; bawi się u swego dziadka aż do ósméj, po tém idzie do siebie i kładzie się spać po czytaniu pobożném i po długich modlitwach. Trzeba przyznać że jego wychowanie dobrze jest prowadzone i oddalają od niego wyobrażenia zawziętości i zemsty, które oprócz tego, są także nieprzystępne niezgiętéj woli Karóla X. Młody xiąże często z czułością wspomina o Francyi. Przez lato, rodzina Karóla X mieszka w zamku Buschierad o pięć mil fr. od Pragi; zamek ten nabył Karól X od Xcia Toskanii.

(*) Podobno z marszałkiem Maison.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

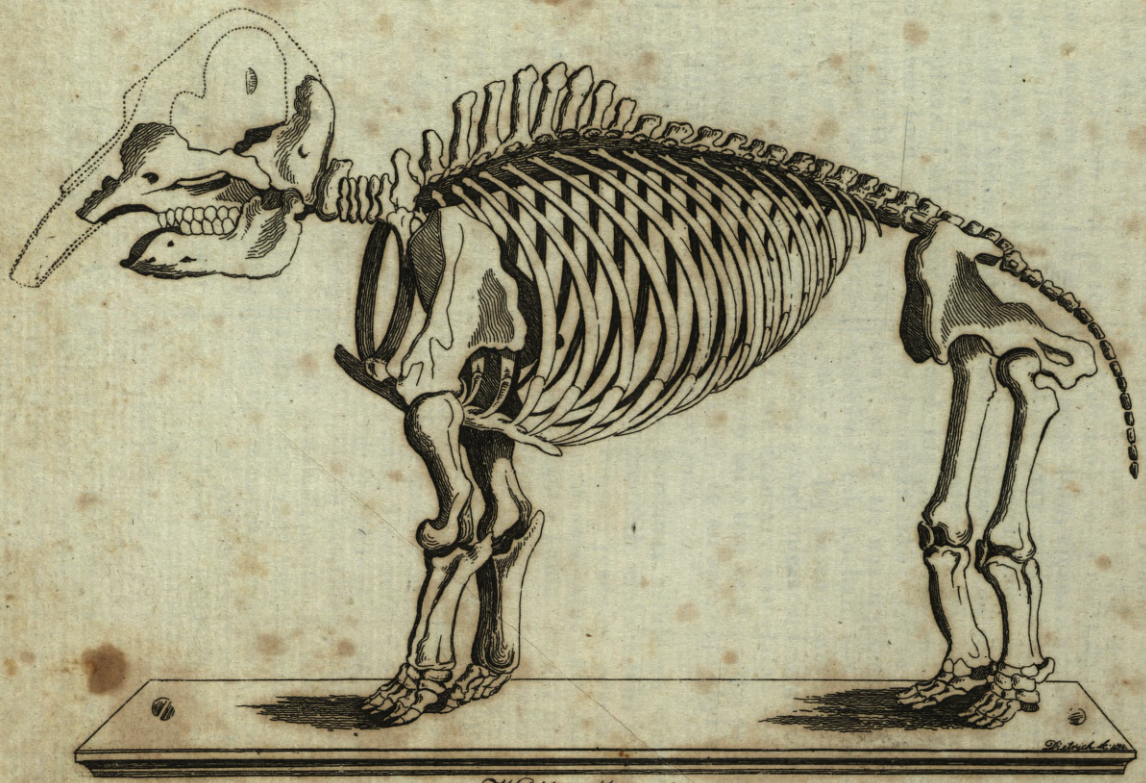

Wielki Mastodonte.

http://rcin.org.pl

SZYLD.

POWIEŚĆ MICHAŁA MASSON.

(Dokończenie).

VI.

USTĘP DOPEŁNIAJĄCY.

Próżno tyle łożę trudów,
Dla rozproszenia twych nudów.
Ofiarą nocy bezsennych
Chcę pomnożyć twe rozkosze.
Cóż mam wymyśléć Sułtanie?
Niewolnik twych gustów zmiennych
Do nóg twoich padam Panie!
Czego żądasz, powiedz proszę?

Ten sułtan, niepomny rozkoszy któréj mu dostarczono i żądający bez ustanku nowych uciech, od zmordowanych ciał, od wycieńczonych umysłów, jest to publiczność; pokorny niewolnik który klęczy przed nim, jest to artysta, jest to aktor, jest to autor, co dobrowolnie wydał się na męczarnią bawienia tego dziwacznego pana, tak wysoko cenińcego chwile swoje, iż mniema że dosyć opłacił cierpienia i bezsenne noce człowieka z talentem, jeźli wyrzecze jedno słówko, okaże jeden uśmiech zadowolenia, albo też może pożałuje autora, kiedy nieborak zapracuje się i umrze.

Biada temu, który uniesiony dumą mówi do siebie: »Przywiążę moje nazwisko do jednéj myśli i tę myśl w świat rzucę, aby świat dowiedział się o mojém nazwisku.» Jeźli świat istotnie zatrzyma w pamięci imie twoje, będzie żądać od ciebie coraz to nowych tworów i otóż jesteś skazanym abyś miał imaginacyą codzień, w każdéj chwili, albo też przywłaszczał sobie cudze myśli, a wtedy wygwizdają cię, wyszydzą: wartoż było pokazywać się światu?

Pytam się was, i cóż aktor, mniemający że się wydobył z tłumu, śmie nazywać światem? może tyle osób, ileby wystarczyło na zaludnienie jednego okręgu Paryża, a jest ich dwanaście, a Paryż jest tylko jedną częścią departamentu, a Francya liczy dwadzieścia sześć departamentów! Francyą nie jest jeszcze Europą. Europa nie jestże najmniejszą częścią globu? a cóż jest ten glob? nie dostrzeżonym punktem w przestrzeni!... Przeklęte rzemiosło.

Pióro wypadło z ręku pisarza romansu: gdyż to jeden z nich czynił te piękne uwagi, które umieściłem na początku tego rozdziału; tak dalece lubię powtarzać święcie, wszystko co powiedziano, opowiadać wszystko co się stało, i nic więcéj. Niech inni biorą na siebie odpowiedzialność za czyny swoich bohatyrów! nie jest to moją rzeczą; opowiadam to co widziałem, a zdaje mi się iż to jest lepiéj, niżeli pisać urojone przygody; mogą mi tylko zarzucić żem źle wybrał, ale któż jest doskonałym?

Oparłszy łokieć na stole, a głowę na ręku, z założonemi na krzyż nogami, z natężonym umysłem, z okiem wlepionem w sextern z białego papieru, Pan Artur Dulauraj, pisarz romansów o którym wspomniałem, zaczął myśléć jakimby sposobem uzupełnił tom z 400 stronnic, przyrzeczony światu; nie dla tego aby światu wiele zależało na pięćdziesięciu stronnicach pana Dulauraj, ale że się-

http://rcin.org.pl

garz chciał mieć xiążkę z okrągłą liczbą stronnic, a z kontraktem w ręku dopominał się o zupełne wykonanie warunków umowy. Romansista przewracał kartki manuskryptu; pięćdziesięciu stronnic brakowało, a zupełnie wyczerpał swój przedmiot. Mówił do siebie: »Moi bohatyrowie już są szczęśliwi; mógłbym raz jeszcze zakłócić ich szczęście, ale w rzeczy saméj nadużywałbym grzeczności losu; już ich dosyć prześladowałem, niech teraz odpoczną, a przecież jeszcze potrzeba pięćdziesięciu stronnic! Gdybym mógł znaleźć jaką powieść, jaki ustęp!... poszukajmy.

Szukał... w starych papierach? nie!.. w imaginacyi? tém bardziéj! w wspomnieniach?.. może tam znalazł to czego mu było potrzeba dla dopełnienia tomu; ale to rzecz pewna, iż dzieło wyszło, pomnożone ustępem p. t. *Dziecię zabłąkane.*

Jakim sposobem nazwisko Klary wpadło mu pod pióro? tego nie wiem. Lecz wpadło, to rzecz pewna, a z niém historya sieroty, od wypadku na placu Chatelet, aż do tańcowania na drucie; a wszystko to było opowiedziane stylem wspaniałym, kwiecistym, ciężko-poważnym, takim, jakiego wtenczas było potrzeba, jeźli autor żądał aby go dobrane towarzystwo czytało. Xiążkę pana Dulauraj, wydzierały sobie z ręku wszystkie czułe kobiety, nie mające nic do czynienia: dziesięć edycyi wyczerpano w kilku miesiącach. Dziś, nie znalezionoby ani jednego exemplarza.

Już od osiemnastu miesięcy, dziecię w szpitalu cierpiało za łakomstwo i pijaństwo małżonków Briolet, gdy wyszedł romans pana Dulauraj. Od osiemnastu miesięcy zapomniano o Klarze, ale za jego wyjściem ocuciło się zajęcie publiczności; pytano się w salonach czy to prawda że dziewczynka tak pojętna na scenie porządnego teatru, tańcowała po tém na linie? Mniemano że przypadek Klary, był katastrofą umyślnie wynalezioną; ale gdy się dowiedziano że autor opisał prawdziwe zdarzenie, litość powszechna stworzyła nowych protektorów dla sieroty. »Byłby to bardzo piękny uczynek: pomyślała panna Stefania Duchemin utrzymująca pensyą panien: dać gruntowne wychowanie tak zajmującéj dziewczynce.» Skoro tylko dobra myśl padnie na wspaniałomyślne serce, natychmiast przyjdzie do skutku.

Panna Duchemin, wspomniała o tym zamiarze kilku swoim przyjaciołkom. »Uczyń to, rzekły do niéj, a zaręczamy ci, że wszystkie matki, które pragną wzbudzić szlachetne uczucia w sercach dzieci swoich, oddadzą je do ciebie na pensyą.

Dobra ochmistrzyni, tego samego dnia pojechała zaraz zobaczyć sierotę. Klara, w ubiorze dzieci szpitalnych, oparta na szczudle, chodziła po ogródku. Kobieta prowadziła ją pod rękę; była to łożmajstrowa, która mniemała że dopełnia swego obowiązku względem sieroty, odwiedzając ją dwa razy na tydzień.

—»Pytają się o Ner 22! zawołała dozorująca.

Klara obróciła się w tę stronę, gdzie wyrzeczono jéj nazwisko szpitalne, i z podziwieniem spojrzała na piękną damę, w jedwabnéj sukni i w kape-

http://rcin.org.pl

peluszu pokrytym zasłoną z tulu. —»Nie znam jéj, rzekła do pani Briolet, a ty mamo? — »Ani ja moje dziecię: może się omyliła.— »O! tak jest! rzekła Klara, nikt tu nie przychodzi; inne chore widują co niedziela i czwartek swoich braci i siostry, a w inne dni matki prawie zawsze są przy nich... Omylono się, to nie do mnie.

Jednakże pani Duchemin zatrzymała się przed Klarą. »Ach! biedne dziecię, jakże się zmieniło! zawołała, spoglądając na wychudłą twarz, wybladłe lica, posępne i zapadłe oczy małéj sieroty.

—»O! już jest daleko zdrowsza: odpowiedziała pani Briolet: mówiłam że to nie mogło bydź niebezpiecznem.

—»Znasz mię więc pani? zapytała się Klara, spoglądając na pannę Duchemin; to rzecz dziwna, nie pamiętam czylim kiedy panią widziała.

—»To prawda moja kochanko, nie mogłaś mię widzieć; byłyśmy w téj wielkiéj sali teatru *** ale z dziesięć razy byłam na twojéj sztuce... nie wiesz ileś mi łez wycisnęła!

—»Kochano mię wtedy! rzekła słabym głosem sierota; ale to nie długo trwało.

—»U mnie, moje kochane dziecię, możesz bydź pewna, iż to potrwa na zawsze.

—»Jak to u pani? odpowiedziała Jożmajstrowa, czy pani nie wiesz, że Klara należy do mnie i że nie zezwolę na to, aby się z nią rozłączyć?

—»A przecież, odpowiedziała panna Duchemin, nie u Wacpani maleńka znalazła ratunek i pomoc po tak okropném zdarzeniu.

—»Bydź to może: gdybym miała na to, zapewne by nie była w tym domu; czy rozumiesz mię Pani? Nie teraz to, kiedy mnie i męża z jéj przyczyny oddalono z teatru, można czynić nam wymówki za nasze postępowanie! przydała kwaśnym tonem: jak wróci do domu pokaże się czy umiem dopełniać moich obowiązków względem dzieci.

—»Mościa pani, nie mam ani prawa ani ochoty czynić ci wymówek o to coś zrobiła dla dobra téj maleńkiéj, albo może z jéj szkodą; ale sądzę, że przynajmniéj powinnaś mię wysłuchać, kiedy chcę ją wziąść do siebie, zapewnić jéj uczciwy sposób do życia... i dać jéj dobre wychowanie.

—»Co się tycze wychowania, odbiera je u nas; sposób do życia nie jest tak zapewniony to prawda, bo już od dawna jesteśmy bez miejsca.

—»A więc uwolnię Wacpanią od wydatków i zachodów. Z resztą, nie zabieram jéj na zawsze... możesz ją odwiedzać jak ci się podoba. Daleka jest odemnie ta myśl, abym przytłumić chciała uczucia wdzięczności w sercu młodéj pupilli... Jeżeli mniema że ci jest wdzięczną, nie wygładzę z jéj pamięci tych dobrodziejstw.

—»Pani Briolet wahała się przez chwilę, nareście obracając się do Klary:

—»Czy poszłabyś do téj pani moie dziecię?

Klara spuściła oczy, słaby rumieniec pokrył jéj lica i odpowiedziała cichym głosem: »I owszem chciałabym mamo.» — »Co? rzekła p

http://rcin.org.pl

Briolet, rozumiejąc że się przesłyszała. Klara odpowiedziała drugi raz, ale mocniéj i śmieléj: »Tak jest mamo, chciałabym pójść z tą panią.

»Troszcz się więc o wychowanie dzieci! pomruknęła exłożmajstrowa, taką to nagrodę mieć będziesz... Z resztą... to mniejsza, przydała, jeźli maleńka tak chce,... weź ją pani sobie na wychowanie, a kiedy przyjdzie czas, żeby ją za mąż wydać,... ja o tém pomyślę. Nie omieszkam także odwiedzać ją przynajmniéj dwa razy na tydzień.

Panna Duchemin odpowiadała skinieniem głowy na te wszystkie warunki; ale ich nie słyszała nawet; całkowicie zajęta swoją kochaną pupillą, mówiła jéy o przyjemnościach rekreacyi, o szczęśliwych dniach które przepędzać będzie na pensyi z rówiennicami swojemi; jak z nią będą się bawić, kochać ją jak siostrę: bo w dziesiątym roku życia wszystkie przyjaciółki z pensyi, tworzą tylko jednę rodzinę. Nareście panna Duchemin mówiła jéj o wielkim ogrodzie, w którym biegają dzieci gdy jest pogoda, o rozdawaniu nagród, podczas którego najpilniejsze i najlepiéj uczące się, otrzymają wieńce, a Klara oparta na szczudle, słuchała ze łzami radości w oczach, z pociechą w sercu. »Ależ pani, rzekła niecierpliwa, kiedyż to się zacznie?

—»Jutro moja kochanko; u mnie przyjdziesz zupełnie do zdrowia. Powietrze tam jest czystsze, ogród lepiéj utrzymany i więcéj mieć będziesz rozrywek, niżeli w tym smutnym domu... Bądź więc cierpliwa, jutro przyjadę po ciebie.

—»Kiedy tak, rzekła pani Briolet, muszę tu bydź jutro z rzeczami tego dziecięcia, chyba że mi je pani zostawi...

—»Oczywiście moja jejmość, rób sobie z niemi co ci się podoba. Klara nosić będzie jak wszystkie pensyonarki, sukienkę perkalową białą, z niebieskim pasem.

—»O! to będzie bardzo pięknie! zawołała sierota i chciała rzucić się na szyję dobréj pani Duchemin, ale przez to wysilenie uczuła ból w ranie jeszcze nie zupełnie zagojonéj. »Daj mi rękę mamo Briolet, upadnę.»

Exłożmajstrowa i ochmistrzyni odprowadziły dziecię do łóżka; ochmistrzyni uściskała je i odeszła mówiąc: »Do jutra!.. dobrej nocy!..

—»Tak długo czekać trzeba! odpowiedziała Klara z westchnieniem, i spoglądała za swoją nową matką, dopóki tylko dojrzéć jéj mogła.

Pani Briolet byłaby chętnie pogadała z panną Duchemin, w jaką biedę wpadła przez chorobę Klary; ale nauczycielka wsiadła do powozu który na nią czekał przed bramą szpitala, ukłoniła się pani Briolet i odjechała.

—»Tam do kata!» rzekła pani Briolet, spoglądając na powóz, to jest remiza jeżeli nie kareta; a więc pensya musi bydź dobra. O! nie zostawię Klary w obcych rękach, bez czujnego dozierania. Będę tam chodzić często, albo poślę mego męża. Tak mi się zdaje, że ja lub on zawsze cóś z tamtąd przyniesiemy.

—»Ach! to jest niegodziwa kobieta!

http://rcin.org.pl

mówiła do siebie panna Duchemin, wracając ulicą Clichy: przyjmę ją raz aby nie martwić dziecięcia, ale potém każę odzwiernemu, aby jéj nie puszczał. Jeżeli się będzie gniewać, powiem jéj niech się odwoła do sądu, a musi bydź cicho. Jakże jest zajmującą moja maleńka sierota! Pan Dulauraj dobrze zrobił że napisał tak ładny romans.» Mogła była przydać. »Ochmistrzynie zaś dobrze czynią, że czytają romanse.

Wychodząc z domu, panna Duchemin nie zamilczała dla czego jedzie do szpitala sierot. Kilku przyjaciół i siedem albo osiem pensyonarek, niecierpliwie czekało jéj powrotu. Kobiety rozrzewniły się nad nędznym stanem dziecięcia. Pensyonarki przyrzekły, iż Klarę będą kochać jak siostrę; zobowiązały się prowadzić ją nim przyjdzie do zdrowia, dawać jéj lekcye. Tkliwy obraz tworzyły te młode panienki, spór wiodące pomiędzy sobą, która z nich będzie nauczycielką i opiekunką ich małéj towarzyszki! Jeźli Klara pragnęła czémprędzéj wyjśdź ze szpitala, uczennice panny Duchemin czekały na nią z tąż samą niecierpliwością.

Łóżko postawiono w pokoju sypialnym, wybrano z garderoby najmłodszych pensyonarek, sukienkę, stósowną do wzrostu sieroty i pasek atłasowy. Kilka koszul i parę chusteczek włożono w kuferek, a gdy wszystko było gotowe dla przyjęcia nowéj uczennicy, panna Duchemin poszła do swego gabinetu, ze starym professorem kalligrafii i napisała następujący artykuł do wszystkich dzienników paryzkich.

»Pięknym czynom należy nadawać jak największą głośność: młoda dziewczynka, znana przed trzema laty w Paryżu pod imieniem sieroty z placu Chatelet, a która od kilku miesięcy leżała w szpitalu, znalazła przytułek i opiekę u osoby utrzymującéj jednę z najlepszych pensyj w Paryżu. Dobrodziéjka tego dziecięcia, wzięła na siebie uroczyste zobowiązanie, że je wychowa bezpłatnie, a potém zapewni dla niego, zaszczytny sposób do życia. Nadaremnie spodziewa się utaić swoje nazwisko. Skromność nakazała jéj ukrywać swoje dobrodziéjstwa; przyjaźń nakazuje wydać tak zaszczytną tajemnicę. Mości redaktorze! ogłaszając w dzienniku WPana ten czyn wspaniałomyślny, obieram najpewniejszą i najszanowniejszą drogę. Przyjmij zapewnienie wysokiego poważania.»

»Pani N*** przyjaciołka panny Stefanii Duchemin, utrzymującéj pensyą przy ulicy Clichy pod Nr.***»

Professor kalligrafii, przepisał dwanaście kopii tego cyrkularza, a nazajutrz gdy panna Duchemin pojechała do szpitala po Klarę, pobiegł do kantorów dziennikarzy. Wszędzie przyjęto jak najchętniéj tę zajmującą wiadomość i przyrzeczono, że ją umieszczą w dzienniku..... za opłatą po groszu od litery.

http://rcin.org.pl

VII.

PROGRAMMA.

Nie myślę opowiadać dzień po dniu, godzina po godzinie, co robiła moja bohaterka na pensyi przy ulicy Clichy. Życie dziecięcia na pensyi, składa się z drobnych uciech i zmartwień, tak szybko następujących po sobie, iż ledwo można doścignąć te koleje radości i smutku; jest to wesoła rekracya, przy któréj zapomina się o trudnéj lekcyi; jest to sprzeczka młodych dziewcząt o wstążkę, którą gra w wolanta uspokaja natychmiast; są to drobne uniesienia zazdrości, które prawie zawsze kończą się przy wnijściu do ogrodu lub do sali jadalnéj; a jeszcze trzeba odtrącić dla naszéj sieroty wiele z tych przemijających dolegliwości. Klara nie była ani kłótliwą ani zazdrosną; jakże mogłaby mieć te brzydkie wady, kiedy uczennice pani Duchemin, miały dla niéj jak największe względy i starania! Klara nie mogła chodzić, jeźli kto nie podpierał jéj drżących kroków; ustały ochocze wyścigi w wielkiéj alei; żadna z pensyonarek nie chciała bawić się w grę, któréj nie mogła podzielać ich nowa towarzyszka. Zabawy były spokojniejsze, nauka nie tak trudną; panna Duchemin pozwoliła starszym pensyonarkom dawać lekcye małéj Klarze: była to łaska, był to sposób wynadgrodzenia pilności. Każda chciała bydź mądrą i z większą uwagą pamiętała lekcye, aby ich na wzajem nauczyć. Od spadnięcia na hecy, pojęcie Klary ociężało trochę, ale miała zawsze ochotę do nauki; wiedziano o jéj słabości i dla tego nie nużono jéj: godzina albo dwie na dzień i nic więcéj. Po kilku miesiącach umiała czytać a nawet nie źle pisała. Ponieważ jéj zabroniono przechadzać się, pensyonarki obszedłszy z nią ogród, siadały na murawie; a tam Klara opowiadała tęskny pobyt w szpitalu, jak wielu cierpień była świadkiem, jak umierano obok niéj, jak ludzie stają się obojętni na widok śmierci, gdy obok siebie widzą nędzarzy, którzy cierpią i konają.

Nie same tylko smutne opowiadania sieroty, zajmowały czas rekreacyi; jéj towarzyszki miały także co powiedzieć: o niedzieli przepędzonéj u rodziców, o pięknych podarunkach od dziadunia, o przywiązaniu matki, o zabawach w domu rodzicielskim. Te zdarzenia, tak pospolite dla wszystkich dzieci, były nowe i zajmujące dla sieroty: nigdy nie była kochaną tak, jak jéj towarzyszki, nigdy nie okazano jéj innych dowodów życzliwości i zajęcia, prócz tych tylko, które były skutkiem wyrachowania i egoizmu; i dla tego nie mogła się nasłuchać opowiadania pensyonarek, a gdy ustawały, Klara podniecała je temi słowy. »Powiedz mi jeszcze, jak cię twoja mama przyjęła?.. Cóżeś na to odpowiedziała?.. Ach! czyli cię uściskała?.. I cóż ci powiedziała przy rozstaniu? czeka na ciebie w niedzielę?.. Co? pisała do ciebie? przeczytaj mi ten list... O Boże! jakże jesteś szczęśliwa że masz mamę! I ja mam teraz mamę; panna Duchemin powiedziała mi że będzie, dla mnie zupełnie tak jak matka. Kocha mię jak

http://rcin.org.pl

was wszystkich, i dla tego jestem prawie tak bogatą jak wy.

—»Tak, ale mama kocha mię jeszcze bardziéj, odpowiadała która z pensyonarek.

—»Bardziéj! mówiła z westchnieniem Klara: a więc nie wiem jak to bydź może, ale chciałabym wiedzieć! przydała w myśli i spoglądała na swoje towarzyszki okiem zazdrości, nie téj nikczemnéj zazdrości: która czyha na cudzą szkodę; ale Klara miała matkę,.. musi ona bydź... umarłą zapewne! i to było przyczyną jej boleści kiedy rozmawiano o macierzyńskich pieszczotach; sierota wiele wtedy cierpiała, a przecież zawsze wracała się do tak bolesnego przedmiotu.

Powiedzmy, co nam pozostaje powiedzieć o małżonkach Briolet. Znajdowali się przy drzwiach szpitala tego dnia, kiedy Klarę zawieziono na pensyą i odprowadzili dziecię. Panna Duchemin dała im śniadanie, a gdy się dobrze najedli, odprawiła ich grzecznie, mówiąc: »do zobaczenia.« Trzeciego dnia, łożmajstrowa przyszła odwiedzić Klarę; odźwierny powiedział jéj, że nikogo nie przyjmują w dzień szkolny, przyszła w następną niedzielę, powiedziano, że Klara wyszła na spacer z innemi pensyonarkami; nareście za trzecią wizytą, odprawiono ją wyraźnie: »Panna Duchemin, rzekł do niéj odźwierny, nie kazała WPani puszczać, mogłaś była poznać się na tém, ale kiedy nie, dowiedz się więc jejmość, iż mi rozkazano zamknąć drzwi przed jéj nosem.

Odźwierny, surowy przestrzegacz dawanych mu rozkazów, zamknął drzwi przed nosem pani Briolet, nie troszcząc się o jéj krzyki i wywoływania; łożmajstrowa nakrzyczawszy się, zamilkła i odeszła. Wstąpiła do pierwszego szynku, miała bowiem pragnienie. Trunek pocieszył ją zapewne, bo od tego czasu o niéj niesłyszano. Dzięki bogu, wszystko dobrze dzieje się na tym padole płaczu! jeśli są zmartwienia, jest także wino i wódka.

Artykuł dziennika uczynił wrażenie, jakiego panna Duchemin spodziewała się; zwrócono uwagę na jéj pensyą; mówiono o jéj dobrym uczynku w salonach Chaussée d'Antin i u kupców przy ulicy Śgo Dyonizego.

»Téj to wybornéj nauczycielce powinniśmy powierzyć wychowanię naszéj córki, mówiono u kupca. »Nie możemy oddać w lepsze ręce téj, która jest nadzieją naszego domu« powtarzano u bankiera; nawet dziedziczkę wielkiego imienia, chciano posłać na tę pensyą. Co tydzień prawie przywożono do panny Duchemin nową uczennicę. To najbardziéj zwracało wszystkich uwagę, iż w niedzielę, na przechadzce w ogrodzie Tuileries lub na bulwarach, widziano to długie pasmo młodych pensyonarek jednostajnie ubranych, a za niemi sierotę; szła sama: taki był rozkaz ochmistrzyni: żyjące programma, nie trzeba było wymieniać jéj nazwiska, aby mówiono: »O to jest pensya panny Duchemin!« łatwo można ją było poznać po szyldzie, Klara kulała.

Kilka miesięcy dobrego bytu, przyspieszyło wyzdrowienie Klary; jéj

http://rcin.org.pl

cera odzyskała świeżość, rozjaśniło się jéj spojrzenie; od chwili przybycia w dom panny Duchemin, była przedmiotem powszechnéj życzliwości: ale nareście, piękne i bogate panienki weszły na pensyą ze swoją dumą, a skoro tylko jedna z przyjaciołek Klary postrzegła, iż można bezkarnie pogardzać sierotą, że na wszystkie co jéj sprzyjają spada taż sama pogarda, skoro pomyślały jaki jest przedział między ich stanem a stanem Klary, zaczęły nie tyle zajmować się jéj kalectwém; po tém uważano za rzecz śmieszną dawać jéj lekcye: i tak było dosyć do czynienia; najwierniejsze opierały się jeszcze przez czas niejaki téj pokusie aby ją zupełnie opuścić, ale zdarzyło się, że pewnéj niedzieli całą pensyą zaproszono na wielki podwieczorek dziecinny do pałacu hrabiego, ojca jednéj z nowych uczennic panny Duchemin; całą pensyą mówię, prócz Klary. Była ona nazwyczajona zostawać przy ochmistrzyni, kiedy rodzice brali do siebie jéj towarzyszki, ale nie było to, jak w dzień podwieczorku, krzywdzące wyłączenie. Klara z rozżaloném sercem patrzała na odjazd swych młodych przyjaciołek, a po tém poszła do ogrodu i gorzko płakała. Nawet i pannę Duchemin obraziła pogarda okazana jéj pupilli, ale od córki hrabiego brała znaczną kwotę; za nią przybyły na pensyą nowe uczennice, trzeba więc było pobłażać jéj wstrętowi. Oprócz tego, hrabina jéj matka rzekła do panny Duchemin: »Powierzam ci prześliczne dziecię; ma najlepsze skłonności i najłagodniejszy humór kiedy jéj się nikt nie sprzeciwia; odprawiłam przeszło dziesięciu służących, ponieważ nie ulegali jéj woli; uprzedzam więc panią, że natura wszystko zrobiła aby moja córka była niepospolitą w świecie osobą; uczyni wielkie postępy jeżeli potrafisz pozyskać jéj miłość; w razie zaś, gdyby jedna z was była niekontenta z drugiéj, musiałabym odebrać dziecię moje z téj pensyi. To jest moja jedynaczka, odziedziczy sto tysięcy franków dochodu, powinnam przeto wszystko czynić dla zachowania jéj zdrowia. Przede-wszystkiém nie zapominaj, że ma bardzo delikatne nerwy i że najmniejsza przeciwność rozjątrza ją niesłychanym sposobem.» Niepo takich to poleceniach, ochmistrzyni byłaby śmiała przełożyć swojéj pensyonarce, jak okrutną jest rzeczą wyłączać sierotę z zabaw wszystkich uczennic.

Klara gorzko płakała w ogrodzie; jéj opiekunka przyszła do niéj: »Pociesz się moje dziecię, rzekła, musisz przygotować się na takie upokorzenia i nikt od nich nie jest wolnym. Jedna tylko rzecz pocieszyć może w takiém nieszczęściu, to jest edukacya: dzięki-to jéj dobrodziejstwom, możemy ocenić siebie samych podług rzeczywistéj naszéj wartości. Cóż znaczy, iż cię porzucają twoje przyjaciołki? ja ciebie nie opuszczę, pozostaniesz tu dopóki zechcesz i bądź pewną, że te które cię dziś upokarzają, będą same upokorzone, gdy przy najpierwszém rozdaniu nagród otrzymasz zasłużone wieńce.

Czułe pocałowanie towarzyszące tym słowom, uspokoiło bolesny smu-

http://rcin.org.pl

tek sieroty. Zapewnienie, że otrzyma wieniec na publicznym popisie, podwoiło jéj uwagę; porzuciła towarzyszki, które bawiły się w gry, jakie najbardziéj lubiła hrabianka; Klara nie chciała już znać ani rekreacyi, ani święta, aż do pożądanego dnia, kiedy jéj postępy miały otrzymać nagrodę, kiedy zraniona jéj miłość własna, miała nareście pozyskać tak świetny odwet.

Klara słuszną cieszyła się nadzieją: panna Duchemin święcie dotrzymywała obietnicy. Nadszedł dzień rozdania nagród. Szkoła zamieniona w salę widowisk, zaledwie objąć mogła mnóstwo rodziców i krewnych, których obchodziło powodzenie młodych uczennic: matki drżały z utęsknienia, w ich oczach malowała się nadzieja i bojaźń; każda uśmiechała się do swojego dziecięcia. Pośród tych wszystkich spojrzeń matczynéj miłości, ani jednego nie było dla sieroty. Klara usłyszała bez zazdrości, iż najprzód dano hrabiance Amelii pierwszą nagrodę za czytanie. »To słusznie, rzekła sama w sobie, utrzymują, że lepiéj czytam od niéj. Powstał szmer zadowolenia, oklaski rozległy się w sali. Klara przestała mniemać, że słusznie uwieńczono jéj rywalkę. Imie hrabianki ogłoszono drugi raz; Klara zdziwiona spojrzała na pannę Duchemin, która ściskała swoją uczennicę i dawała jéj drugi wieniec; trzecie nazwisko wywołano, ale jeszcze nie jéj; czwarta nagroda dostała się znowu hrabiance: »Czyliż wszystkie otrzyma? mówiło do siebie dziecię, bojąc się czy o niém nie zapomniano. Bogata pensyonarka miała już dostateczną liczbę wieńców; z kolei wywołano inne, jedna lub dwie pochwały spadły na sierotę, jak gdyby przez pomyłkę; została ostatnia już nagroda za roztropne postępowanie. Hrabiankę jeszcze raz wymieniono pośród oklasków; w tedy Klara nie mogła wstrzymać się od łez, ale jakiż zapał powstał w sali, gdy pensyonarka tylekroć uwieńczona, zbliżyła się do sieroty i włożyła ten wieniec na jéj głowę, mówiąc: »Więcéj zasłużyłaś na niego.«

Jak piękny, jak szczytny postępek! wołali wszyscy, przejęci zapałem; hrabia ocierał łzy rozrzewnienia. »To dziecię będzie więc posiadać wszystkie cnoty! zawołał; hrabinie słabo się zrobiło, Amelia zarumieniła się z radości, nawet ochmistrzyni niby osłupiała z podziwienia, jak gdyby ta scena nie została ułożona dnia wczorajszego, między nią, hrabiną i jéj córka, aby przyjemnie zadziwić ojca Amelii. »Dasz trzy wieńce mojéj córce, rzekła matka: przyrzekłam panu hrabiemu, że je mieć będzie; musi więc je dostać; jeżli można więcéj, nie gniewałabym się o to, ale trzeba zadowolnić i innych rodziców, a ja nie żądam aby Amelia miała pierwszeństwo, chociaż na nie zasługuje. Ponieważ byłaby piękna rzecz zakończyć obrzęd jaką patetyczną sceną, zostawisz nieznaczącą nagrodę dla twojéj wychowanki. Amelia odda Klarze wieniec, mówiąc: »Więcéj niż ja zasłużyłaś na niego. Pamiętaj dobrze te wyrazy moje dziecię.« Panna Duchemin nie spodziewała się tego rozkazu; chciała wspomnieć o przyrzeczeniu daném Klarze, o niesłychanych

http://rcin.org.pl

wysileniach dziecięcia. Czy chcesz pani abym zrobiła przykrość hrabiemu, abym odebrała moją córkę z téj pensyi? Ta odpowiedź zamknęła usta pannie Duchemin. Scenę przygotowano na dzień jutrzejszy.

Jedyną nagrodę którą otrzymała Klara, nie była nawet winna sprawiedliwości swojéj ochmistrzyni; uczuła to sierota, i dla tego zamiast rzucić się na szyję Amelii, jak się spodziewano, Klara wydarła wieniec z rąk swojéj wspaniałomyślnéj rywalki i zaczęła płakać. Szczęściem nikt nie zważał na nią. Amelia, córka hrabiny, była bohaterką téj uroczystości; w tryumfie zaniesiono ją do rodziców. Wszyscy dziękowali pannie Duchemin za tak tkliwą scenę i winszowali, że tak dobre wychowanie daje swoim uczennicom. Dziewczęta odeszły z matkami; zaczęły się wakacye.

Skoro tylko ochmistrzyni pozostała sama z sierotą, chciała pocieszyć ją słowami dobroci, ale cios ugodził aż w serce dziecięcia. »A przecież tyle łożyłam starania! mówiła z wyrzutem do ochmistrzyni: codziennie, kiedy się drugie bawiły, siedziałam przy stoliku, pracowałam, uczyłam się, byłaś pani kontentą, powtarzałaś: »Będziesz pierwszą» a teraz! nic... Powiedz pani szczerze, czyliż nie zasłużyłam na tyle nagród co Amelia?

—»Tak jest moje dziecię i więcéj jeszcze.., ale ..

—»A nie dano mi ich! dla czegóż to?... Powiadałaś mi że jedynie przez naukę uniknąć zdołam pogardy i poniżenia; że przez pracę wyniosę się nad inne. Wszystko łożyłam aby tego dokazać... a gdym tyle wycierpiała... bo ukrywałam cierpienia moje... byliby mię zmusili do zaprzestania nauki a na to nie byłabym dozwoliła.

—»Biednę dziecię!.. gdybym była wiedziała o takiéj wytrwałości!...

—»Przynajmniéj zasłużyłam na jaką nagrodę! Ale nie, wszystkie wieńce dano innym, a dla mnie ten tylko którego żadna nie chciała!

—»Bądź roztropną moje dziecię, mimo tego zawsze jesteś pierwszą w moich oczach. Nie wiesz że czasem trzeba gwałt uczynić własnemu sercu, ale nie martw się, nie potrzebujesz wieńców, abyś mię przekonała że więcéj umiesz niż inne; czyliż nie wiesz o tém?

—»A więc i inne nie potrzebują także.

—»Przeciwnie, one potrzebują.

—»A to czemu?

—»To jest tak przyjemnie dla ich matek.

Klara wlepiła wzrok w pannę Duchemin, a potém rzekła przytłumionym głosem: »To prawda! a ja nie mam matki!

Dreszcz ogarnął jéj ciało, zęby zaczęły szczękać, gwałtowna gorączka przystąpiła nagle; ochmistrzyni zaniosła dziecię do łóżka. Od tego czasu, już nie wyrzekła ani słowa i tylko skinieniem głowy odpowiadała lekarzowi; a gdy jéj się pytano, gdzie czuje ból, sierota przykładała rękę do czoła. Czyliż to zbyteczna praca, albo też rozpacz, zgasiła to życie, tak krótkie, ale już przepełnione cierpieniami? o tém nie wiem.

Po sześciu tygodniach, uczennice wróciły na pensyą. Po sześciu tygo-

http://rcin.org.pl

dniach Klara skonała, nie wyrzekłszy ani słowa pożegnania do swoich towarzyszek.

Panna Duchemin chciała przynajmniéj, aby cześć pogrzebna była dowodem jéj szczerego przywiązania do dziecięcia. Nazajutrz po śmierci Klary, o szóstéj rano, dom okryto kirem ze złotemi frendzlami; bramę wjezdną zamieniono w ołtarz; baldachin ozdabiał katafalk na którym spoczywały zwłoki sieroty; a po jego każdéj stronie, sześć młodych dziewcząt okrytych zasłoną, które zmieniano co godzina jak wartę, odmawiały modlitwy za umarłych, przy drżącém świetle świec woskowych, palących się w wielkich lichtarzach srebrnych. Wystawa ta trwała aż do drugiéj po południu: zewsząd zbiegano się uwielbiać tak czułe widowisko.

Był to piękny hołd, oddany pamiątce sieroty.

Był to znowu *szyld* dla pensyi.

WYCIĄGI Z PAMIĘTNIKÓW XIĘŻNÉJ D'ABRANTÈS.

W roku przeszłym, wyszły z druku pamiętniki xiężnéj D'Abrantès wdowy po generale Junot, późniéj marszałku państwa francuzkiego i xięciu d'Abrantès. Autórka jest korsykanką, jéj rodzice byli w ścisłych związkach z rodzicami Napoleona, ona sama chowała się i wzrosła razem z rodziną Bonapartych; Junot jéj mąż był jednym z najdawniejszych towarzyszów broni Napoleona, jego przyjacielem, jego nawet zagorzałym stronnikiem i wielbicielem. Xiężna d'Abrantès zasięga swojemi i swoich rodziców wspomnieniami, przeciąg lat piędziesięciu i była w stanie widzieć i poznać szczegóły, innym nieznane. Z jéj zajmujących pamiętników umieścimy niektóre wyciągi, a zwłaszcza o pierwszych latach młodości i zawodu Napeleona.

Pani Junot z domu Permon, wywodzi swój ród od kolonii greckiéj, która opuściła Mainę i w liczbie trzech tysięcy przybywszy do Genui pod naczelnictwem Konstantego Komnena, ułożyła się z rządem téj rzeczypospolitéy, i otrzymała posiadłości w Korsyce, gdzie nową założyła osadę. Tam Komnenowie byli jéj naczelnikami. Ziemie *Paomia*, *Sologna Reviuda*, należące do rządu genueńskiego, wyznaczono Grekom; lud ten przemysłowy i pracowity, przyprowadził je do stanu jak najbardziéj kwitnącego. Ale od roku 1729 z początkiem rozruchów w Korsyce, zaczęły się także nieszczęścia osady greckiéj. Zniszczono ich włości, musieli opuścić Paomią i schronić się do Ajaccio. Xiężna d'Abrantès z domu Permont, była wnuczką Konstantyna Komnena, na którego synie Demitryuszu ród ich wygasł.

»Badania heraldyczne o ludziach pospolitych, nie są rzeczą ważną; ale któż z ciekawością nie będzie śledził rodu męża, który imieniem swoim świat zapełnił? Kiedy Konstanty Komnen wylądował w Kor-

syce r. 1676, na czele osady greckiéj, miał z sobą kilku synów, z których jeden nazywał się *Calomeros*; wysłał go był do Florencyi, do wielkiego xięcia Toskańskiego. Konstanty Komnen umarł przed jego powrotem; wielki xiąże zatrzymał młodego Greka przy sobie, a Calomeros osiadł w Toskanii.

»Wyraz Calomeros przełożony do słownie na język włoski, znaczy *bella parte* albo *buonaparte*. Nazwisko więc jego zwłoszczono. Takim to sposobem z wyrazu greckiego *Jatros* (znaczącego lekarz) z nazwiska famili znakomitéj w Majnie, gdzie aż dotąd istnieje, Włosi zrobili Medici. Podobnież wiele odnog familii Komnenów istniało we Włoszech pod przybranemi nazwiskami. W ogólności, Włosi, przetłomaczyli na swój język wszystkie nazwiska greckie które miały jakie znaczenie. Wracając do mojego przedmiotu, powiadam, że jeden *Calomeros* wrócił znowu z Toskanii do Korsyki, a jego potomkowie utworzyli rodzinę Bonapartów. Idzie o to, czyli *Calomeros* który oddalił się z Korsyki i *Calomeros*, który do niéj wrócił, pochodzą z téjże saméj rodziny. Odjazd jednego, a powrót drugiego, jest rzeczą dowiedzioną. Zasługuje na uwagę że Komnenowie mówiąc o Bonapartych zawsze nazywali ich imieniem greckiém Calomeros albo Calomeriani. Wielka przyjaźń łączyła obie rodziny.

»Matka moja, mówi pani Junot, mieszkała w Ajaccio i tém zaprzyjaźniła się z Signorą Leticyą Ramolino, matką Bonapartego; obie były zachwycającéj piękności.

»Matka moja poszła zamąż za pana Permon, a gdy w kilka lat potém tenże otrzymał ważną posadę w wojsku do Ameryki przeznaczoném, odpłynął i zabrał z sobą mojego brata starszego mającego lat osiem, wróciła do Korsyki do mojéj babki i tam czekała powrotu na męża. W swéj epoce jeszcze nie byłam na świecie.

»Wówczas to pani Permon widziała Napoleona jeszcze dziecięciem i często nosiła go na ręku. Napoleon pamiętał dobrze o tém, i nie raz, gdy w Paryżu zostając bez żadnego zatrudnienia, przychodził do nas na obiad, siadał przed kominkiem, z rękoma założonemi na piersiach, i mówił: »Signora Panoria, mówmy o Korsyce, o mojéj matce.«

»Moi stryjowie i matka zapewniali mię często, że Napoleon nie okazywał bynajmniéj w dzieciństwie osobliwego charakteru o jakim wspominają przyjaciele cudowności; był zdrów, i aż do chwili przybycia do Francyi, był tłustym i jak to mówią ładnym chłopczykiem; krótko mówiąc, był takim jak wszystkie dzieci.

»Może znajdowały się w charakterze Napoleona, gdy był jeszcze dziecięciem, te delikatne odcienia, które wróżą nadzwyczajnego człowieka, lecz aby zapowiadał na jakiego olbrzyma wyrośnie z czasem, to jest bajką.

Pani Bonaparte przywiozła z sobą do Francyi bonę, która wychowała i wypiastowała wszystkie jéj dzieci, ta kobieta zwana *Saverja*, opowiadała mi wiele scen z dziecinnego wieku Napoleona, który tylko do dzie-

http://rcin.org.pl

wiątego roku życia był pozostał w Korsyce i potwierdziła to, com słyszała od mojéj matki, że chociaż go połajano nigdy nie płakał. W Korsyce, dzieci we wszystkich stanach ulegają karze cielesnéj. Jeśli ta kara spotkała Napoleona, ból wyciskał mu łzę z oczu, lecz to krótko trwało, a jeśli nie dopuścił się winy, nic wtedy nie mówił i nie prosił o przebaczenie. O to jest anegdota którą on sam opowiadał, chcąc dać przykład umiarkowania. Pewnego dnia, oskarżyła go jedna z siostr, że zjadł koszyk winogron i fig z ogrodu *wuja kanonika*. Kto znał rodzinę Bonapartych, ten tylko pojąć może jakie to było wielkie przestępstwo, zjeść winogrona wuja kanonika: większe daleko, niźli gdyby z innego pochodziły ogrodu. Napoleon zaprzeczał i był ukarany rózgami. Kazano mu prosić o przebaczenie; utrzymywał że jest niewinnym. Skutek jego uporu był ten, iż przez trzy dni zostawał o suchym chlebie i wodzie. Nakoniec czwartego dnia, mała przyjaciołka Maryanny Bonaparte (późniéj pani Bacciochi) przyszła do ich domu, a usłyszawszy co się stało, wyznała iż ona to i Maryanna zjadła figi i winogrona. Wtenczas kara spadła na Maryannę. Zapytano się Napoleona, dla czego nie wymienił siostry? rzekł że nie wiedział o jéj przewinieniu, jednakże domyślał się trochę, ale że przez wzgląd na ich małą przyjaciołkę, która nie należała do kłamstwa, byłby zawsze zamilczał. Przydać należy, iż Napoleon nigdy nie zapomniał o tém wypadku.

Napoleon nigdy nie był ładnym dziecięciem, jak naprzykład brat jego Józef; głowę miał za wielką w stosunku ciała: wada ta pospolitą była w rodzinie Bonapartych. Gdy już stał się młodym człowiekiem, zachwycającém było jego spojrzenie, a nadewszystko wyraz słodyczy, jaką umiał przybierać w chwili dobrotliwości. Wprawdzie gniew jego przerażał strachem i chociaż byłam dosyć nawykła do widoku Napoleona, nie mogłam spojrzeć na jego oblicze wtenczas, kiedy się gniewem zapalił. Ale tego wszystkiego nie znać było w dziecięciu, a w dorosłym młodzianie ledwo okazywać się zaczynało. *Saweryа* mówiła z prostotą: że ze wszystkich dzieci pani Letycyi, najmniéj spodziewać się było można po Napoleonie, iż dostąpi tak nadzwyczajnéj wielkości.

Skończyła się wojna amerykańska; mój ojciec wrócił do kraju i kupił urząd skarbowego poborcy; obowiązki tego urzędu zatrzymały go w Monpellier. W tém to miéjście wydała mię na świat moja matka a nazajutrz zupełnie straciła władzę w połowie ciała. Usiłowania wszystkich doktorów były daremne, i przez trzy miesięcy była prawie umierającą. Nareście przyszła do zdrowia. Któż ją wyleczył i jakim sposobem? najprostszym ze wszystkich, a to uleczenie tém bardziéj zadziwia.

Wieśniak który przynosił do pałacu warzywa i owoce, usłyszał jęki choréj, zobaczył płacz służących i przerażenie powszechne. Dowiedziawszy się o stanie mojéj biednéj matki, przyszedł do mojego ojca i powiedział że uleczy chorą.

Tego dnia lekarze oświadczyli że

http://rcin.org.pl

jéj życie jest w największém niebezpieczeństwie. Wieśniak powiedział, że jego lekarstwo używa się tylko zewnętrznie, a więc zaszkodzić nie może, jednakże sprawi okropne cierpienia. Za poradą lekarzy przyjęto jego usługi. Piekł bułki z ciasta, składającego się z mąki i z ziół jemu tylko wiadomych, przecinał je gdy jeszcze były gorące i natychmiast przykładał na część odrętwiałą ciała. Moja matka powiadała mi potém, iż nie podobna jest wyrazić, ile bólu zrządziło jéj to lekarstwo, bladła na samo jego wspomnienie; ale po dniach ośmiu, ustały cierpienia, członki odzyskały władzę, a w miesiąc przyszła do zupełnego zdrowia.

Osobliwszą jest rzeczą, że zupełnie zapomniała o swojéj ciąży i połogu. Mój ojciec postrzegł to i nie mogąc właściwéj przyczyny odgadnąć, rozumiał, że straszliwe boleści będące skutkiem tego połogu, wzbudziły w niéj wstręt ku dziecięciu. Tym dziecięciem ja byłam. Skoro tylko utwierdził się w tém mniemaniu, że zupełne milczenie pani Permon oddala mię od niéj, rozkazał mamce aby przebywała w najdalszych pokojach pałacu.

W cztery miesiące po połogu: było to w pierwszych dniach marca: moja matka siedziała na balkonie, oddychając wonią kwiatów, które w téj porze roku już rozwijają się w południowych prowincyach Francyi; spoglądała daleko, po tém zwracała wzrok na męża wsparta na jego ramieniu. W tém uczuł jéj gwałtowne drżenie, krzyknęła, a jedną ręką chwytając ramię mojego ojca, drugą wskazała na dziecię, które mamka niosła na ręku. Nie zna go, nie wie czy to jest jéj dziecię, ale najmocniejszém przejęta wzruszeniem, ledwie wyrzec może: »Karolu! moje dziecię!, wszakże tak? gdzież jest! gdzież jest? moje dziecię! mojeż to dziecię? i drżącą ręką wskazywała na nieznaną mamkę.

Mój brat często mi opowiadał tę scenę, miał w tenczas lat szesnaście i uczuwał już dla mnie to gorliwe przywiązanie, przez które znalazłam w nim drugiego ojca. Opowiadał mi, iż niepodobna odmalować uniesień radości mojéj matki, gdy uściskała piękne, świeże i zdrowe dziecię, które spoglądało na nią żywém okiem, i ten tylko zrządzało jéj smutek, że ją odpychało i tuliło się do ojca. Jak nienasyconém jest serce ludzkie! tylko co moja matka odzyskała córkę, a już płakała, że ją to dziecię odpycha. Ale wkrótce zabraliśmy znajomość, kolebkę postawiono przy jéj łożku, a gdym się budziła co rano, matka ściskając mię powtarzała: »O moja córko! jakże cię powinnam kochać, aby wynagrodzić te pięć miesięcy odtrącenia cię od serca macierzyńskiego!» O moja droga matko! dotrzymałaś słowa.

W roku 1785 przybyliśmy do Paryża na stałe mieszkanie. Niezwłocznie moja matka kazała się dowiedzieć o Napoleonie Bonaparte: był wtenczas w szkole wojskowéj w Paryżu, wyszedłszy z Brienne w roku zeszłym. Mój wuj Demetryusz spotkał go był gdy wysiadał z dyliżansu. Powiedział mojéj matce, iż Napoleon ciągle ma posępny humor. »Lękam

http://rcin.org.pl

się, przydał, czyli ten młody człowiek nie jest bardziéj próżny, niźli na jego położenie przystoi. Gdy przyjdzie do mnie, mocno powstaje na zbytki uczniów szkoły wojskowéj. Niedawno mówił ze mną o Majnie, o teraźniejszym wychowaniu Majnotów, o jego podobieństwie do wychowania dawnych Spartanów, i rzekł, że chce w tém względzie ułożyć pamiętnik i podać go ministrowi wojny. Wszystko to wystawi go tylko na niechęć i szyderstwa towarzyszów, a może i na pojedynki.»

W kilka dni potém, moja matka widziała Napoleona i w rzeczy saméj humór jego niezmiernie był cierpki. Nie przyjmował żadnych uwag, nawet czynionych dla jego dobra, i pewna jestem, iż ta nadzwyczajna drażliwość któréj nie umiał powściągnąć, była powodem, iż powszechnie mniemano jakoby w dzieciństwie i w pierwszéj młodości, był humoru ponurego i dzikiego.

Mój ojciec znając się z jego przełożonemi, brał go czasem do swego domu. Pewnego razu, pod pozorem słabości, Napoleon cały tydzień u nas przepędził. Dziś jeszcze gdy przejeżdżam przez ulice Conti, nie mogę się wstrzymać od spojrzenia na izbedkę, będącą na lewém skrzydle domu na trzeciém piętrze: tam mieszkał Napoleon, ilekroć bawił się u moich rodziców; obok był pokoik mego brata.

Ci dwaj młodzi ludzie, byli prawie w równym wieku; mój brat może był o rok starszy. Matka poleciła mu, żeby się zaprzyjaźnił z młodym Bonaparte, lecz po kilkokrotnych usiłowaniach, mój brat oświadczył jak przykrą dla niego było rzeczą, odbierać zamiast przywiązania, zimne tylko oznaki grzeczności.

»Napoleon cierpi przez dumę: rzekł mój ojciec: wie że jego familia i twoja moja żono, są w Korsyce w jednakowém położeniu; on zaś w Paryżu zostaje na koszcie rządowym, oddalony od swoich, i pozbawiony tych starań, jakich doznają nasze dzieci. Dla czegóż tak powstaje na nieprzystojny zbytek (są to jego słowa) wszystkich jego współtowarzyszów? Bo ich położenie obraża go co chwila. Gani że mają służącego, bo sam go nie ma; uważa za złe wszystkie składkowe podwieczorki i zabawy, gdyż nie może do nich należeć. Pewnego dnia, dowiedziałem się iż uczniowie téj szkoły mają dać śniadanie jednemu z nauczycieli, a każdy z nich ma wnieść składkę, w rzeczy saméj za wielką jak na ich możność i w tém Napoleon ma słuszność. Poszedłem do niego; był jeszcze smutniéjszy jak za zwyczaj. Domyślałem się dla czego; ofiarowałem kwotę, któréj mu było potrzeba; natychmiast zapłonął się niezmiernie i odmówił przyjęcia.

—»Bo nie zgrabnie wziąłeś się do tego! zawołała matka. Mężczyzni tak są nie zręczni!

»Gdym to postrzegł, mówił daléj pan Permon, zmyśliłem, że gdy jego ojciec umarł w Montpellier na ręku naszych, zostawił mi pewną kwotę, abym ją w naglącym razie oddał jego synowi. Badawczym wzrokiem spojrzał na mnie. —»Ponieważ te pieniądze są po moim ojcu, panie: rzekł, przyjmuję; ale gdyby to było tytułem pożyczki, nie mógłbym tego u-

http://rcin.org.pl

czynić. Moja matka ma tak wiele wydatków, nie chcę ich pomnażać, zwłaszcza przez bezrozumną próżność moich towarzyszów.

Józef Bonaparte napisał do mego wuja list, prosząc go aby odwiedził jego siostrę Maryannę, która także na koszcie rządu była w instytucie Saint Cyr. Raz gdy Napoleon odwiedził ją z moją matką i wujem, Maryanna wyszła bardzo smutna i tak rozżalona, że gdy ją zapytano co jéj jest, zalała się łzami. Szło także o składkowy podwieczorek. Napoleon sięgnął ręką do kieszeni, ale pomyślawszy, że nie znajdzie czego szuka, wstrzymał się i tupnął nogą zapłoniony. Moja matka nie mogła się wstrzymać od śmiechu, wspomniawszy o szczególném podobieństwie między podwieczorkiem w Saint-Cyr a śniadaniem w szkole wojskowéj, i po grecku wspomniała o tém mojemu wujowi. Zapytała się biednéj dziewczyny, wiele jéj potrzeba dla uspokojenia jéj smutku; summa nie była tak wielka, szło tylko o dziesięć czy dwanaście franków. Siostra nie tyle robiła ceremonii z przyjęciem, ile wprzódy Napoleon.

Gdy wsiedli do powozu, Bonaparte wybuchnął przeciw niegodziwemu zarządowi instytutów publicznych; widać było iż niezmiernie cierpiał na poniżeniu siostry. Mój wuj obraził się nareście jego tonem tak cierpkim, a gdy wyrażenia Napoleona były co raz bardziéj obrażające, rzekł do niego: »Przestań, nie przystoi ci tak mówić, tobie, który jesteś wychowanym na koszcie króla.

Moja matka powiadała, iż zlękła się w téj chwili, aby Napoleon apoplexyi nie dostał.

Po chwili przezwyciężył się i rzekł: »Panie Komnen, nie powiem nic takiego, coby ci się nie podobać mogło, ale niech mi wolno będzie przydać, że *gdybym miał władzę*, urządziłbym te instytuta zupełnie inaczéj i dla dobra wszystkich.

Przytoczyłam tę małą scenę dla tego tylko, abym zwróciła uwagę na te słowa: *gdybym miał władzę*!... Miał ją i wiemy jak wzorowo urządził wszystkie szkoły wojskowe. Przekonana jestem, że przez długi czas zachował bolesne wspomnienie, o upokorzeniach, które znosić musiał w pierwszych latach młodości.

Bez wątpienia, byli w téj szkole młodzi ludzie także nie bogaci, ale przynajmniéj mieli rodziców, krewnych, znajomych, a Napoleon nie miał nikogo ktoby się nim zajmował, aż do przybycia mojéj matki. Nie kochano go w szkole; przełożeni powiedzieli mojemu ojcu, że Napoleon jest nieznośnym i nie towarzyskim. Chcąc pozbyć się go ze szkoły, przyśpieszono jego nominacyą na oficera; został podporucznikiem w artyleryi, i stał w Grenoble, w Valence, w Auxerre, nim powrócił do Paryża. Przed odjazdem, zabawił czas niejaki w naszym domu.

---

http://rcin.org.pl

ZABYTKI WIEKÓW PRZEDPOTOPOWYCH.

(z rycíną.)

Wszystkie żywioły historyi przedpotopowéj, są teraz zagrzebane w głębokościach ziemi; szczątki organiczne stworzeń, są jedynemi śladami, z których wybadywać możemy jakie przemiany wstrząsły ziemią i pod jakiemi postaciami życie rozpostarte było na niéj. Kości na pół skamieniałe, są jedynym pomnikiem tych upłynionych wieków, ale było to dostateczną rzeczą dla umiejętności. Pracując na tych materyałach, zwróciła znowu kulę ziemską do każdego stopnia jéj wzrostu, i wywołała z grobów zaginione czworonogi, ryby, ptaki, które ją zaludniały w każdéj z tych epok.

Jak Herkulanum pochłonione zupełnie przez wybuch Wezuwiusza, podobnież ziemia zalana była przez ocean, i wszystko co żyło na niéj, jedną śmiercią zginęło. Pokłady kości zwierząt ziemnych, pokryte szczątkami płodów morskich, są dowodem tych wielkich wstrząśnień; był więc czas, kiedy każdy z tych pokładów, dziś obumarły w wnętrzności ziemi, stanowił jéj ożywioną powierzchnię, którą chłodził powiew wiatru, ogrzewało słońce, ruch ożywiał. Cudowna mądrość kierowała kształtowaniem istot, których szczątki spoczywają w ziemi. Między pierwszymi z tych utworów a naszym, między zwierzętami zagrzebanemi w pokładach najbardziéj zbliżonych do środka ziemi, a temi które dziś żyją, widać ślady ciągłego i regularnego postępu; jest miara i dążenie w tych doskonaleniach; za każda zmiana coraz bardziéj przybliża je do teraźniejszych istot. Każdy wiek ziemi, zawarty między dwoma katastrofami, miał zwierzęta właściwego kształtu: I tak, kości zwierząt najgłębiéj zasutych, małe tylko mają podobieństwo do teraźniejszych zwierząt, szczątki zaś w pośrednich pokładach, już są podobniejsze do dzisiejszych stworzeń, nareście zaś, kości zawarte w ziemiach tuż pod powierzchnią teraźniejszą będące, zdają się należeć do rodzajów bardzo blisko spokrewnionych z teraźniejszemi zwierzętami.

Najznaczniejszym z tych rodzajów nowowygasłych, których szczątki leżą ledwie o kilka stóp pod nogami naszemi, jest *Mastodonte*. Umiejętność ludzka, nigdy nie rozwinęła bardziéj zadziwiającéj pojętności, jak w odgadnieniu tego olbrzyma, ostatniego z zagubionych zwierząt. *Mastodonte* znikł, nie zostawiwszy po sobie żadnego śladu, żadnego wspomnienia; uczony więc nie miał przeto żadnego wzoru, któryby mógł przewodniczyć mu w jego usiłowaniach, nie miał nawet chociażby niepewnych wiadomości o zwierzu, któremu umyślił przywrócić kształt zatracony. Jednakże, nietylko rozpoznano kości *Mastodonta*, zebrano i złożono w kościotrup, nietylko olbrzymie to zwierze postawiono na nogach, ale nawet można było odgadnąć jego obyczaje, zrozumieć jego nałogi, napisać jego historyą.

Pierwsze szczątki *Mastodonta* zna-

http://rcin.org.pl

lezione w Ameryce w środku zeszłego wieku, przypisano z razu Mammutom, czyli słoniom kopalnym, które obficie znajdują się w rozmaitych stronach Europy, ale za czasem nowe odkrycia kości, w większéj liczbie i zupełniéjszéj, przywiodły uczonych do rozróżnienia ich od Mammutów; uznali zagubiony rodzaj wielkich zwierząt, którym nadano imie Mastodonte (zęby do żucia) z powodu składu ich zębów. Chociaż różnice anatomiczne, nie dozwalają mieszać słonia z *Mastodontem*, liczne rysy podobieństwa, każą uważać je za odmiany tegoż samego gatunku. Tejże saméj wielkości co i słoń, podobnież jak on uzbrojony wielkiemi kłami, *Mastodonte* był dłuższy i zwinniejszy, chociaż członki miał grubsze. Sławny naturalista pan Cuvier, wywodzi ciągiem bardzo trafnych rozumowań, ten wniosek, że Mastodonte miał także trąbę, tę główną cechę słonia, bo mając wysokie nogi, a szyję w stosunku do nich za krótką, *Mastodonte* nie mógłby dosięgnąć paszczą swoią powierzchni ziemi, a nawet długość jego kłów, byłaby mu na przeszkodzie; musiał więc mieć trąbę, którąby zanosił pożywienie do swojéj paszczy. Uczony naturalista dowiódł poprzednio z kształtu jego zębów, iż zwierzę to żywiło się roślinami i lubiło korzenie i inne ich mięsiste części; pożywienie to przyciągało go do gruntów miękkich i bagnistych, jednakże nie był ukształtowany do pływania i życia pod wodą, jak Hippopotam. Nie wiadomo jeszcze w jakiéj epoce i dla czego zaginął rodzaj *Mastodontów*. Brak śladów morza i muszli pośród ich kośćmi, wzbudza powątpiewanie, że nie zginęły w potopie. Prostopadłe położenie ich szkieletów, jakby zwierze zapadło się tylko w mule, jest także przeciwne zwyczajnym zasadom położenia kości zwierzęcych, prawie zawsze leżących horyzontalnie. Oprócz tego, krótki czas który jak się zdaje upłynął od ich ostatniego zagubienia, nie dozwala odnosić go do potopu.

Znaleziono w Wirginii, o kilka stóp głębokości, w ziemi wapiennéj, zbiór kości Mastodontów pomieszanych z massą trawy, gałęzi, słomy i sitowia, na pół pożutych i obwiniętych w błonę, którą uważano za żołądek jednego z tych zwierząt. Pewien autor wspomina także, iż w roku 1762, dzicy znaleźli głowę Mastodonta, przy któréj jeszcze była trąba. Nareście podania ludów Amerykańskich, zawierają kilka powieści, któreby można zastósować do Mastodontów i dosyć malowniczym sposobem opowiadają ich zniszczenie. Podług tych powieści, ogromne zwierzęta istniały w niedawnych czasach. Te zwierzęta, dzikie i nienasycone, miały upodobanie w rzezi, czegoby dowodziły kości wiewiorek, danieli, i bawołów, pomieszane z ich szczątkami. Wtedy, Wielki-Duch, rozjątrzony takim spustoszeniem lasów i tknięty litością nad Dzikiemi, których cała zwierzyna ginęła, schwycił piorun, aby wytępić to plemie, ale nie upadli bez oporu. Największy z samców zgromadziwszy za sobą wszystkie zwierzęta swojego rodzaju, walczył mężnie z Wielkim Duchem; ilekroć piorun uderzył, przyjmował go w swoją głowę potężną i tym sposobem ochraniał trzodę; nareście ugo-

http://rcin.org.pl

dzony w bok, stracił odwagę i uciekł opuszczając swoich którzy wyginęli co do ostatniego. On zaś schronił się ku wielkim jeziorom i przy nich dotąd wlecze życie samotne. Takie jest opowiadanie Indyan. Obnażywszy je z cudownych wypadków, może w niém znajdziemy dowód, niedawnego istnienia Mastodontów i zastósowanie do jakiéj katastrofy, zrządzonéj przez ogień, w któréj ich ród zaginął.

Kości wielkiego Mastodonta znajdują się tylko w Ameryce północnéj, w gruncie napływowym, utworzonym przez rzeki w wielkich dolinach, ale kości małych Mastodontów, których liczą sześć gatunków, znajdują się na wywyższonych przestrzeniach Ameryki południowéj, a nawet w niektórych częściach Włoch, Francyi i Niemiec. Tak więc zdawałoby się że nasz stary ląd zaludniały kiedyś wielkie zwierzęta, których jego ziemia i klima już dziś nie mogłyby wyżywić. Oprócz członków mammuta i mastodonta, szkielety lwów, tygrysów, panterów, tych mieszkańców skwarnéj Afryki, znaleziono głęboko zagrzebane pod zmarzłą ziemią północy. Jch położenie i gatunek ziemi, nie wskazuje wcale że je tam woda zaniosła, ale przeciwnie, że otrzymały śmierć nagłą i gwałtowną w tych samych miejscach, gdzie się znajdują ich kości. Czyliż wtedy północna Europa tak była gorącą jak południowa? czyli też lwy i tygrysy znosić mogły zimno, lub miały grube runo, które postradały kiedy się przeniosły pod inną strefę? Faktum niedawno sprawdzone, nie dozwala odrzucać tego przypuszczenia, jako zupełnie niepodobnego do prawdy. Całkowity słoń, którego rybacy od pięciu lat widzieli w pośród lodów, na brzegach morza lodowatego, w roku 1804 był rozpoznanym przez członka akademii umiejętności petersburgskiéj. Zupełnie podobny do słoniów krajów ciepłych, tém tylko się odróżniał od nich, że miał na sobie podwójne runo z czarnéj sierci i czerwonéj wełny, pokrywającéj jego skórę.

MŁODA DZIEWCZYNA Z MIASTA MALINES.

Powieść z angielskiego z dzieł Pana Bulwer.

Południe wybiło: odgłos dzwonów wezwał mieszkańców miasta Malines na nabożeństwo, a tłum przechadzający się koło kościoła, zapełnił ten gmach obszerny.

Jeden tylko młody człowiek pozostał na ulicy, z oczyma spuszczonemi ku ziemi. Zdawało się że czegoś szuka i słucha, gdyż nie podnosząc głowy obracał się na wszystkie strony z twarzą niespokojną i pomieszaną. W jednéj ręce trzymał kij, a w drugiéj długi sznurek, którego koniec leżał na ziemi. - Czasami wołał żałosnym głosem: »Fido! Fido! powróć! dla czegóż mię opuściłeś?»

Fido nie powracał. Pies znużony swoją służbą, czując że się odwiązał sznurek, który go zatrzymywał,

http://rcin.org.pl

poleciał swawolić z innemi psami, i zostawił ociemniałego pana.

Nareście, lekkie stąpanie dało się słyszeć na ulicy; wyraz radości okazał się na twarzy nieznajomego. —»Proszę wybaczyć rzekł, zwracając się w stronę zkąd odgłos pochodził: ale jeźli nie macie bardzo pilnego interessu, czyliżbyście nie mogli wskazać mi drogi do oberży pod *Złotym Mozdzierzem*?»

Słowa te wyrzekł do młodéj dziewczyny, któréj ubiór wskazywał iż należy do średniego stanu.

—»Jesteśmy dosyć daleko od téj oberży, panie, rzekła, ale idź prosto kilkadziesiąt kroków; potém zawrócisz się na prawo, a wtedy...

—»Niestety! przerwał nieznajomy ze smutnym uśmiechem: rozpowiedzenie na mało się przyda, mój pies porzucił mię, a ja, jestem ślepy!..

Ton głosu i wyrazy nieznajomego przeniknęły serce młodéj dziewczyny. —»Ach! przebacz pan, rzekła, ledwie mogąc wstrzymać się od łez, nie postrzegłam...

Nieszczęścia pana, chciała powiedzieć, lecz uczucie delikatności zamknęło jéj usta.

—»Oprzyj się pan o mnie, odprowadzę go aż do drzwi oberży... No panie, przydała, widząc iż się waha, mam dosyć czasu; zaręczam.

Nieznajomy wsparł się na ręku młodéj dziewczyny; a lubo Lucylla była tak nieśmiała, że jéj to nawet matka wymawiała niekiedy; bynajmniéj nie zmieszała się idąc przez ulice sama, z młodym nieznajomym, którego powierzchowność okazywała, że był z wyższego stanu jak ona.

—»Jakże twój głos pani jest miły? rzekł po chwili milczenia: a jedynie po głosie mogę poznawać młodość i piękność.

Tą razą Lucylla się zarumieniła i doznała przykrego uczucia, wiedziała bowiem że nie jest piękną.

—»Czy pani mieszkasz w Malines? mówił daléj nieznajomy.

—»Tak panie, mój ojciec ma nie wielką posadę przy cle, a ja i moja matka robiemy koronki, żeby się nieco przyłożyć do jego szczupłych dochodów. Mówią żeśmy biedni, ale my tego bynajmniéj nie dostrzegamy.

—»A więc jesteście szczęśliwi; żadne bogactwa nie zastąpią bogactwa serca, wewnętrznego zadowolenia: smutnie odpowiedział niewidomy.

—»A pan: rzekła Lucylla, gniewając się sama na siebie, że niechcący obudziła żal w sercu niewidomego: a pan czy dawno już jesteś w Malines?

—»Od wczoraj dopiero. Umyśliłem podróżować i od Niderlandów zaczynam. Może się z tego rozśmiejesz iż niewidomy podróżuje dla swéj przyjemności; lecz cóż? kiedy nawet dla ociemniałego jest tak nudno, zawsze na jednem miéjscu pozostawać! Sądziłem że teraz, kiedy dla nabożeństwa wszyscy zgromadzają się do kościoła i ulice są próżne, będę mógł za pomocą mego psa, użyć jeśli nie widoku to przynajmniéj świeżego powietrza; ale są ludzie, którzy nawet psa nie mogą mieć za przyjaciela.

Niewidomy, z goryczą wyrzekł te

http://rcin.org.pl

słowa. Opuszczenie jego psa dotknęło go bardzo. Lucylla obtarła oczy.

—»Pan sam podróżujesz: rzekła, a baczniéj spoglądając na niego postrzegła, że nie ma więcej nad lat dwadzieścia dwa. Ojciec pana i *matka*, przydała cichszym głosem, czyliż nie są z nim razem?

—»Jestem sierotą, odpowiedział, nie mam ani brata ani siostry.

To zupełne opuszczenie aż do łez wzruszyło biedną Lucyllę; nigdy jeszcze nie doznała takiego wzruszenia; jéj serce biło mocno, a tajemne i silne współczucie, przyciągało ją ku niemu.

»Czemuż nie jestem jego siostrą? pomyślała i zasmuciła się że jéj życzenia ziścić się nie mogą.

Sprzeczność między młodym wiekiem i pozorną czerstwością nieznajomego, a tém nieszczęsném kalectwem powiększyła jéj litość. W rysach jego twarzy, uderzała niezmierna regularność; miały cechę szlachetności. Postawę miał zręczną, poruszenie się wdzięczne, chociaż powolne i wymierzone.

Weszli w wązką ulicę prowadzącą do oberży, w tém usłyszeli za sobą tentent koni, a Lucylla postrzegła że oddział huzarów nadjeżdża.

Przysunęła młodego niewidomego aż do muru, a drżąc o niego, stanęła obok. Oddział przejechał kłusem, a Lucylla gdyby była spojrzała na swego towarzysza, byłaby postrzegła, że na szczęk oręża i tentent koni, ożywiły się smętne rysy nieznajomego, że podniósł głowę, którą dotąd trzymał pochyloną ku ziemi.

—»Dzięki niebu! rzekła, gdy już przeszedł oddział: niebezpieczeństwo minęło. Myliła się. Jeden z ostatnich żołnierzy, jechał na nieszczęście na młodym i rozhukanym koniu. Przeklinania jeźdźca i kłócie ostrogami, powiększały jeszcze niecierpliwość i rozjuszenie konia, rzucał się z jednéj strony wązkiéj ulicy na drugą.

—»Z drogi! zawołał żołnierz, widząc że koń unosi go ku miejscu, gdzie Lucylla i nieznajomy stali przy murze. Czyliżeście szaleni? Z drogi!

—»Na Boga! na Boga! on jest niewidomy! wołała Lucylla, przyciskając się do niego.

—»Uciekaj, moja luba przewodniczko! rzekł nieznajomy. Lecz Lucylla nie chciała go opuścić. Jeździec gwałtownie zwrócił konia w przeciwną stronę. Zwierz rozhukany wierzgnął, a Lucylla nie pamiętając o sobie, rzuciła się przed niewidomego i otrzymała uderzenie jemu zagrażające; jéy delikatna ręka opadła bez władzy. Koń uniósł daléj jeźdźca.

—»Dzięki Bogu, ocalałeś! zawołała Lucylla, i zwalczona bólem, padła w ręce nieznajomego.

—»Moja zbawicielko! zranioną jesteś, ach!..— »Nie, panie, przerwała Lucylla słabym głosem, już mi jest lepiéj, weź tę drugą rękę, jużeśmy nie daleko od oberży.

Lecz ucho nieznajomego nazwyczajone do najlżejszych odmian głosu, objawiło mu natychmiast jéj boleść; stopniami wymógł iż wyznała co jéj się stało; lecz wspaniałomyślna dziewczyna nie powiedziała, iż jego to zasłaniając otrzymała tę ranę.

Chciał wtedy odprowadzić ją do

http://rcin.org.pl

jéj mieszkania; Lucylla prawie omdlewająca z boleści, musiała na to pozwolić. Skromne pomieszkanie jéj ojca było nie daleko; przyszli tam, a skoro tylko Lucylla próg przestąpiła, opuścił ją ostatek sił i przez kilka chwil była bez przytomności. Nieznajomy opowiedział co się stało i błagał aby posłano po chirurga.

—»Sprowadźcie najsławniejszego jaki tylko jest w mieście! zawołał. Widzicie, jestem bogaty, i wszystko powinienem uczynić dla waszéj szlachetnéy córki, która mię chociaż nieznajomego nie chciała opuścić w niebezpieczeństwie.

—»Mówiąc te słowa, podawał worek z pieniędzmi. Ojciec Lucylli nie przyjął go, a gdyby nieznajomy był mógł widzieć jak szlachetny rumieniec wystąpił na czoło starca, byłby się zapłonął że śmiał czynić taką ofiarę.

Czekał na przybycie chirurga, pozostał dopóki nie wprawiono ręki, a oddalając się prosił matkę aby mu wolno było dowiedzieć się nazajutrz jak noc przebyła chora.

Tego właśnie dnia był umyślił opuścić miasto, nie mające wiele ponęt dla podróżnych, lecz nie wspomniał już o wyjeździe i codzień przychodził dowiadywać się o zdrowie Lucylli, aż nakoniec doczekał się, że sama zapewniła go o swojém wyzdrowieniu.

Wiecie, a przynajmniéj mnie jest wiadomo, że miłość za pierwszém rzutem oka powstająca, nie jest bynajmniéj zmyśleniem; że istnieje tajemny pociąg między między osobami dotąd zupełnie obcemi sobie. Czyliż nie była to rzecz bardzo prosta, iż Eugeniusz de Saint-Amand przywiązał się do téj, która tak wspaniałomyślnie naraziła się dla niego?

Ciemność pośród któréj żyć musiał, nie zdołała zakryć przed oczyma jego duszy, idealnych obrazów piękności; przeciwnie, zostając w ciągłéj i bezczynnéj samotności, chętnie oddawał się marzeniom uniesionéj wyobraźni i uczuciom serca, tak gorąco pragnącego wzajemności.

Sprawiedliwie był powiedział, że dźwięk głosu jest dla niego jedynym środkiem ocenienia piękności; nigdy jeszcze nie uderzyły jego ucha słodsze i bardziéj przenikające dźwięki. Krzyk tak wymowny, tak tchnący wyrzeczeniem się saméj siebie: »Dzięki Bogu, ocalałeś!» wyrzeczony w chwili gdy sama tak srodze cierpiała, jeszcze brzmiał w jego duszy. Oddał się nieznanym dotąd i słodkim uczuciom; co się zaś dotycze Lucylli, sam nawet jéj przypadek powiększył jeszcze zajęcie powzięte dla młodzieńca, który w kwiecie wieku gwałtownie oderwany został od wszystkich miłych przedmiotów życia, skazany na wieczną noc, na samotność i tęsknotę. Kobieta ma w duszy swojéj niezwalczony popęd do wspierania nieszczęśliwych; anioł pocieszyciel przy łożu boleści, podpora starości, karmicielka w dzieciństwie, zawsze temu popędowi ulega. Te uczucia, które się w Lucylli jeszcze mocniéj rozwinęły, już przywiązały jéj litosne serce do losu nieszczęśliwego podróżnego. Z mocném uczuciem, z myślami wyższemi nad jéj wiek i stan, nie była wolna od

http://rcin.org.pl

téj próżności, z powodu któréj czuła z żalem że nie jest piękną. Pojmując przez instynkt, z jakiém poświęceniem kochać może; mniemała iż nie zdoła nigdy wzbudzić wzajemnego przywiązania. Ten nieznajomy, tak wyższy w jéj oczach nad wszystkich których dotąd widziała, był pierwszym, co za obrębem skromnego domu rodziców, przemówił do niéj tym głosem, który dźwiękiem bardziéj niż słowami, objawia to uwielbienie tak drogie sercu kobiety. Dla niego pna była piękną, a jéj miłym przymiotom, niedoskonałość rysów nie przynosiła uszczerbku. Jednakże Lucylla nie była pozbawiona wszystkich powabów; miała zręczną i lekką postawę, słodki i czuły uśmiech, i były chwile kiedy nie sami tylko niewidomi mogliby uważać ją za piękną. W pierwszém dzieciństwie, wszystko wróżyło że będzie piękną, lecz ospa zniszczyła te nadzieje. Lucylla miała kuzynkę imieniem Julią, któréj wdzięki wzbudzały podziwienie całego miasta, a że się częstokroć razem bawiły, sprzeczność była nazbyt uderzająca i ciągle smuciła Lucyllę. Ale sprawdza się zawsze to pospolite przysłowie, że nie ma złego coby na dobre nie wyszło; bo uczucie téj niższości, ułagodziło jéj charakter, a jéj umysłowi nadało uległość i skromność.

A przecież Lucylla już od dawna straciła tę obawę, jaką wzbudzał w niéj brak piękności. Kochali ją wszyscy, którzy ją znali. Gdy była obecna, jéj anielska łagodność, rozlewała w koło niewymowny powab; jéj nieobecność zrządzała czczość, któréj nawet wdzięki Julii zapełnić nie mogły.

»Zamyślam,—rzekł Saint-Amand do pani Tisseur, matki Lucylli, siedząc obok niéj w salonie (zaznajomił się bowiem tak dobrze, iż bardzo często ich dom odwiedzał, a jego pies, który pozyskał przebaczenie swego pana prowadził go zawsze ku skromnemu domkowi i zatrzymywał się jakby przez instynkt): zamyślam powtórzył z niejakiém pomieszaniem, dłużéj zabawić w Malines, powietrze tu jest zdrowe, lubię cichość panującą w tém mieście, ale sama pani przyznasz, że w oberży, między obcemi osobami, jestem opuszczony i samotny. Myślałem: i znowu się zatrzymał: myślałem, że gdybym mógł uprosić jaką szanowną familią, aby mię przyjęła na stół i stancyą, mógłbym tu przepędzić kilka tygodni. Nie wymagam wiele.

—»Zapewne znajdzie się dosyć rodzin w Malines, któreby jak najchętniéj Pana przyjęły.

—»Czy przyjmiecie mnie? rzekł Saint-Amand bez dalszych ustępów; wasz dom miałem na myśli.

—»My Panie? ofiara Pana jest bardzo pochlebną, ale nie mamy dosyć pięknych pokojów...

—»A jakaż może bydź dla mnie różnica między pokojem mniéj lub więcéj pięknym? najpiękniejszy podług mnie jest ten, w którym głos ludzki brzmi z jak największą słodyczą.

Ułożyli się i Saint-Amand zamieszkał w jednymże domu co i Lucylla. Jakże była szczęśliwa, iż mogła mieć o nim jak najtroskliwsze staranie!

http://rcin.org.pl

mogła mu bydź użyteczną co chwila! Saint-Amand namiętnie lubił muzykę; a jego talent do niéj przewyższała sama tylko roskoszna harmonia jego głosu; jakże Lucylla była szczęśliwa, kiedy w cichości i w zachwyceniu słuchała dźwięków, jakie się nigdy jeszcze nie obiły o jéj ucho! szczęśliwa, kiedy widziała jak ta smętna twarz rozjaśnia się na dźwięk jéj głosu! szczęśliwą, kiedy Saint-Amand grać przestając mówił: »Lucyllo!« bo imie jéj w ustach jego, było dla niéj milszem od muzyki; szczęśliwa, kiedy się razem przechadzali podczas pięknych letnich wieczorów i kiedy jéj ręka drżała pod lekkiém dotknięciem się tego, któremu tak potrzebną była! O tak jest, była szczęśliwą i dumną ze swego szczęścia, a dusza jéj przejęta wdzięcznością, cześć mu składała, że dał jéj poznać roskosze wzajemnéj miłości.

Saint-Amand był francuzem, jego rodzice mieszkali w okolicach Amiens, gdzie posiadali dosyć znaczny majątek i odziedziczył go na dwa lata przed epoką tego zdarzenia.

Zaniewidział od trzeciego roku życia. Nie wiem: mówił pewnego wieczora, gdy sam na sam będąc z Lucyllą, opowiadał jéj te szczegóły: nie wiem co może bydź ziemia, niebo, rzeki, nie mam innego wspomnienia prócz dziwacznéj ale rozkosznéj mieszaniny tysiąca kolorów, prócz żywego i głębokiego uczucia radości. Ale dopiero od czasu, gdy już skończył się mój wiek dziecinny, wzdychałem i wzdycham co chwila za światłem dziennem. Pierwsze moje lata mile przeszły: wtedy najmniejsza fraszka zabawiała mię i zapełniała czczość mojego umysłu, ale im z większém upodobaniem słuchałem czytania xiążek i pełnych życia opisów poety, im bardziéj zapalałem się opowiadaniem wielkich czynów, im bardziéj poznawałem dzielność, świetność i zapał życia, tém bardziéj moje serce czuło wielkość nie wynagrodzonéj straty. Czułem, żem istniał tylko, ale żem nie żył i że skazany byłem na więzienie, z którego w żaden sposób wydobyć się nie mogę. Jednakże dopóki żyli moi rodzice, nie byłem pozbawiony wszelkiéj pociechy, a przynajmniéj nie byłem samotnym. Umarli; obszerna i ponura cisza rozpostarła się w koło mnie. Stary sługa, który mię doziérał od dzieciństwa i znał mię w tym krótkim przeciągu czasu, gdym jeszcze cieszył się widokiem światła, był jedynym z ludzi dla którego miałem jakieś współuczucie. Ale to nie wystarczało aby mi uprzyjemnić pobyt w domu, gdzie już nie słyszałem głosu ojca i matki; niecierpliwość, niepokonana chęć zmiany miejsca, ogarnęła mię; wyjechałem, nie dbałem dokąd, bylebym tylko mógł oddychać innem powietrzem, nie tém które mię jakby ciężar jaki tłoczyło. Wziąłem z sobą wiernego sługę; umarł ze starości w Bruxelli. Niestety! zapomniałem że był stary, bo nie widziałem stopniowéj zmiany jego rysów, a teraz prócz mego niewiernego psa, byłem zupełnie sam na świecie, kiedym ciebie spotkał.

Lucylla pochyliła się głaszcząc psa, i błogosławiła ten przypadek, jemu bowiem Saint-Amand winien był przyjaciołkę, która go nigdy nie opuści.

http://rcin.org.pl

Ale chociaż Saint-Amand z zapałem kochał Lucyllę, nie mogła rozproszyć jego melancholii, i skłonić go, aby cierpliwie poddał się losowi swojemu.

—»Ach! jakżebym pragnął widzieć cię, mówił, jakże pragnąłbym przypatrzyć się tym rysom, które daremnie usiłuje wyobrazić sobie serce moje!

—»Gdybyś to mógł uczynić, rzekła z westchnieniem Lucylla, przestałbyś mię kochać.

—»Nie podobna! zawołał z uniesieniem: jakikolwiek jest sąd ludzi o twoich rysach, byłabyś dla mnie wzorem piękności; nie o tobie sądziłbym podług innych, ale o innych podług ciebie.

Lubił aby mu czytała Lucylla, i najmiłéj słuchał opisu bitew, podróży, przygód, a przecież czyniły na nim przykre wrażenie. Częstokroć zatrzymywała się w czytaniu, słysząc iż wzdycha; czuła, iż byłaby nawet wyrzekła się tego szczęścia, jakiego dozuaje będąc od niego kochaną, gdyby przez tę ofiarę mogła przywrócić mu to dobrodziejstwo wzroku, którego brak tak boleśnie jego życie zatruwa.

Rodzice Lucylli często bawili się wieczorem, słuchając opowiadania rozmaitych cudownych i nabożnych powieści. Pewnego razu, grób *Trzech Królów w Kolonii*, stał się głównym przedmiotem ich rozmowy. Każda z osób obecnych wtedy, opowiadała wiarogodną, niezaprzeczoną historyą, o wyleczeniu z kalectwa, o wysłuchaniu prośby u stóp świętego grobu. Jedno zdarzenie, szczególniéj uderzyło Lucyllę; ten co je opowiadał, szanowny starzec, zaręczał uroczyście, że sam był świadkiem tego wypadku.

Pewna kobieta miała, dziecię, owoc nie prawego związku, było głuchoniemém. Nieszczęśliwa matka, mniemała, że to jest karaza jéj przewinienie. »Ach! mówiła: dla czegoż ta kara nie spadła na mnie! Moje biedne dziecię jest ofiarą występku matki! Myśl ta ścigała ją w dzień i w nocy; nic jéj pocieszyć nie mogło. W miarę jak dziecię wzrastało i coraz bardziéj przywiązywało się do matki, jego pieszczoty pomnażały jeszcze zgryzotę nieszczęśliwéj. Nareście słysząc bez ustanku o wszechwładnéj mocy Świętego Grobu w Kolonii, umyśliła odbyć do niego pielgrzymkę bosemi nogami. »Bóg jest miłosierny, rzekła, on może cofnąć przekleństwo, które błąd matki ściągnął na głowę dziecięcia.« Poszła więc do Kolonii i złożyła swoje łzy i prośby u świętych relikwii. Powróciwszy do ojczystego miasta, jakże się przeraziła, widząc że jéj domek był tylko stosem gruzów:... kilka zaczernionych belek świadczyło o pożarze. Biedna kobieta padła na ziemię. Cóż się stało z jéj synem? W téjże chwili usłyszała głos dziecięcia... o wielki Boże! jéj ukochane dziecię rzuciło się w jéj ręce, wołając: »Matko!

Wyratowano je z pożaru przed siedmiu dniami wybuchłego, ale dziecię przejęte strachem, zerwało niewidzialną siłę krępującą mu język; zaczęło wydawać niezrozumiałe dźwięki. Stało się, znikło smutne kalectwo a poczciwi sąsiedzi, zdołali przez ten krótki czas nauczyć je jednego sło-

http://rcin.org.pl

wa, którémby mógło powitać matkę. Niczém to było dla niéj, że jéj zapasy były zniszczone, że jéj domek w gruzy się zamienił; dziękowała z pobożną wdzięcznością za tak łagodne ukaranie; jéj modły były wysłuchane, a dziecię jéj, nie pokutowało już za grzechy matki.

Ta powieść głębokie wrażenie zrobiła na sercu Lucylli. Kalectwo mające tyle podobieństwa do kalectwa Saint-Amanda, uleczone modłami kobiety, napełniło ją świętemi myślami i uroczą nadzieją. »Wszakże ten grób zawsze istnieje? mówiła do siebie; czyż nie ten sam Bóg jest w niebie? Jeśli wysłuchał modły występnéj, czemuż nie miałby wysłuchać prozb niewinnéj? Serce czyste nie jest-że najmilszą ofiarą, a jeśli wysłuchał matki błagającéj o zdrowie dziecięcia, możeszli matka czuléj kochać dziecię swoje jak ja Eugeniusza? Lecz Lucyllo, jeźli twoje modły będą wysłuchane, jeśli wzrok odzyska, twoja władza nad nim zniknie; przestanie cię kochać. Niech i tak będzie! przynajmniéj go uszczęśliwię.«

Takie myśli napełniały serce Lucylli; wkrótce postanowienie jéj stało się nieodzownem: ślubowała pielgrzymkę do grobu w Kolonii.

Nikomu nie powierzyła swego zamiaru, ani Saint-Amandowi, ani jego rodzicom; wiedziała, iżby na to nie pozwolili. Miała w Bruxelli ciotkę, przy któréj za zwyczaj jeden miesiąc w roku bawiła, a wówczas zabierała całoroczną robotę, gdyż ją łatwiéj w Bruxelli niż w Malines mogła spieniężyć. Lucylla i Saint-Amand już byli po zaręczynach; ślub wkrótce miał nastąpić, a że podług krajowego zwyczaju, rodzice najubożsi nawet chcieli koniecznie dać wyprawę córkom swoim, Lucylla łatwo ukryła powód podróży, dając za przyczynę, iż chce sprzedać w Bruxelli koronki, które wraz z matką zrobiła przez rok cały. Przychód za nie, wystarczy na opłacenie kosztów wesela.

—»Zawsze masz słuszność moja córko: rzekła pani Tisseur: im bogatszy jest Saint-Amand, tém bardziéj nie powinnaś wchodzić w dom jego jak żebraczka.

W rzeczy saméj, obudziła się uczciwa duma tych zacnych ludzi; cierpieli na tém, że wszyscy winszują tak korzystnego zamęścia Lucylli; liczyli i przeliczali bez ustanku, co mogą dać swojéj jedynéj córce i na ostatek wyprowadzali ten pochlebny wniosek, że różnica nie będzie tak wielką. Mieli słuszność, ale w inném wcale znaczeniu. Skarby, które Lucylla przynosiła mężowi, były te, jakich ani los dosięgnąć, ani zły człowiek ukraśdź, ani żadna przeciwność zniszczyć nie może, były nie wyczerpane, rozlewały się obficie na wszystko co ją otac , to.

Sam tylko Saint-Amand nie mógł oswoić się z tym odjazdem; oburzał się na wzmiankę o posagu, i ledwie chciał słuchać Lucylli, gdy go prosiła, aby nie sprzeciwiał się téj słabości jéj rodziców, która ich tak szczęśliwemi czyni.

—»I ty także! ty możesz mię opuścić! rzekł tym żałosnym głosem, który przy pierwszém ich spotkaniu tak

http://rcin.org.pl

mocno zajął serce Lucylli. Będę więc podwójnie niewidomym?

—»To tylko na dni kilka, najwięcéj na dwa tygodnie, kochany Eugeniuszu!

—»Dwa tygodnie! nie rachuj sz czasu jak niewidomy: rzekł Saint-Amand z goryczą.

—»Ale słuchaj mię Eugeniuszu: odpowiedziała Lucylla z płaczem.

Słysząc jéj łkanie uczuł swoją niewdzięczność. Niestety! nie wiedział jeszcze do jakiego stopnia posunęła poświęcenie. Wyciągnął do niéj ręce, mówiąc:

—»Przebacz mi! ci, którzy nie są pozbawieni wzroku, nie wiedzą jak ukropną jest rzeczą samotność.

—»Ale moja matka cię nie opuści.

—»Ona nie jest tobą.

—»A Julia? rzekła Lucylla wahając się.

—»Czemże dla mnie jest Julia?

—»Ach! ty, ty sam tylko, prócz moich rodziców, możesz myśleć o mnie, podczas jéj obecności.

—»A to dla czego Lucylło?

—»Dla czego? Jest piękniejsza niż sobie wyobrazić można.

—»Przestań! przestań. Dla czegóż nie posiadam wzroku, aby dowieśdź światu, że ty jesteś piękniejsza! Nie ma słodyczy w jéj głosie.

W wilią odjazdu wieczorem, Lucylla długo bawiła się z kochankiem i z matką. Rozmawiali o przyszłości, układali tysiące zamiarów. W obszernéj pustyni świata, miłość domowa, okazywała się im jak przyjemny ogród, który napełniali kwiatami, niepomni że niszczą je wichry i zimna. A gdy Saint-Amand oparty na jéj ręku, wrócił do swego pokoju, gdy poczułém pożegnaniu, padła na kolana przed progiem, cała jéj dusza przeszła w modlitwę, którą zaniosła do Boga, najprzód za niego, a potém za spełnienie jéj nie śmiałéj nadziei. O świcie odprowadzono ją do dyliżansu jadącego do Bruxelli. Przybywszy do tego miasta, zamiast pójśdź do ciotki, zatrzymała się w małéj oberży na przedmieściu, powierzyła gospodyni swoje koronki i poszła sama pieszo odbyć pielgrzymkę do Kolonii.

Tak się lękała aby przez ulżenie trudów, nie zmniejszyła skuteczności ślubu swego, iż ledwie na chwilę zatrzymywała się dla spoczynku i pożywienia. Czasem, kiedy doskwierało słońce, zbaczała trochę z drogi i siadając pod opiekuńczą lipą, zajmowała się słodkiemi i smutnemi myślami; lecz natychmiast ogarniała ją niecierpliwość, a zajęta świętém przedsięwzięciem swoiém, słaba, znużona, z zakrwawionemi nogami, wstawała i szła daléj.

Doszła nareście do starożytnego miasta, gdzie jeszcze znaleźć można ślady panowania Rzymian. Uklękła przed grobem Magów i gorącą modlitwę wzniosła do tego, któremu przed osiemnastą wiekami ci trzej królowie hołd oddali. Dwa razy na dzień, przez siedem dni przychodziła na toż samo miejsce, i tęż samą odmawiała modlitwę. Ostatniego dnia, pewien xiądz w podeszłym wieku, zdziwiony jéj nabożeństwem, zbliżył się do niéj z tą ojcowską troskliwością z jaką przystępują do nieszczęśliwych kapłani religii katolickiéj, zbliżył się w tej właśnie chwili, gdy odchodziła ze łzami

http://rcin.org.pl

w oczach i zapytał, czyliby radą albo pomocą nie mógł jéj bydź użytecznym. Czcigodna postawa starca, zachęciła Lucyllę do wyznania przed nim powodu swojéj pielgrzymki. Dobry starzec wzruszył się jéj prostotą. Wypytał się jakim rodzajem ślepoty dotknięty jest Saint-Amand i rzekł po chwili namysłu.

—»Moja córko, Bóg jest wielki i miłosierny; powinniśmy ufać jego wszechmocności; ale nie zapominajmy także, iż najczęściéj używa śmiertelnych jako swoje narzędzia. Gdy z powrotem będziesz przechodzić przez miasto Louvain, wstąp do doktora, który się nazywa Le Kain. W całéj Flandryi sławny jest z leczenia ociemniałych; zewsząd zasięgają jego rady. Mieszka na przeciw ratusza, z resztą każdy ci wskaże jego mieszkanie. Albo też pójdźże ze mną; napiszę parę słów do niego. Jest to człowiek dobry i miłosierny; opowiesz mu wszystko tak jak mnie, twoim tkliwym głosem.»

To powiedziawszy, szanowny ten starzec zaprowadził Lucyllę do swego pomieszkania, zmusił ją żeby przyjęła jakikolwiek posiłek: gdyż zupełnie o tém nie pamiętała od wyjścia z Malines: dał jéj błogosławieństwo i list który ułatwi przystęp do doktora Le Kain. Imie tego duchownego, znane było wszystkim światłym ludziom, wszędzie, gdzie oddawano cześć cnocie i mądrości; jedno jego słowo zalecające, więcéj miało znaczenia, niż najdłuższy list możnowładzcy z Flandryi.

Lucylla wyszła z Kolonii, z sercem pełném nadziei, a śpiesząc do kochanka, nie czuła ani upału, ani strudzenia. W południe weszła do miasta Louvain i ujrzała jego wspaniały ratusz gotycki. Łatwo dopytała się o dom lekarza Le Kain; prosiła służącego, aby oddał list swojemu panu i natychmiast była przyjęta. Doktór, był to człowiek wysoki, chudy, łysy, miał spokojną i pełną dobroci fizyonomią. Podobnież jak i stary kapłan wzruszył się szczerém i prostém opowiadaniem Lucylli, gdy mu odmalowała nieszczęście swego narzeczonego i w jakim celu przedsięwzięła pielgrzymkę.

—»A więc, rzekł z dobrotliwym uśmiechem, zobaczę twego młodego przyjaciela. Możesz z nim przyjść.

—»Ach panie! spodziewałam się... i Lucylla zatrzymała się pomieszana.

—»Czegóż takiego?

—»Już będę tak szczęśliwą i pana zawiozę do Malines. Wiem co mi pan odpowiesz na to; wiem jak drogie są jego chwile, ale nie jestem tak ubogą jak się wydaję. Eugeniusz, chciałam powiedzieć pan Saint-Amand, jest bardzo bogaty, mamy w Bruxelli znaczną kwotę, przeznaczoną na wesele; a ta będzie na usługi pana. Ach! tak jest panie, jak najchętniéj!

Le Kain uśmiechnął się mile; był to jeden z tych ludzi, którzy lubią czytać w sercu człowieka, gdy nie jeszcze nie uszkodziło jego czystości; szlachetnie bezinteresowny, byłby podjął się nawet dłuższéj podróży, niż z Louvain do Malines, aby przywrócić wzrok ociemniałemu, choćby nawet Saint-Amand był pogrążony w ubóstwie.

—»To dobrze, dobrze, rzekł: ale

http://rcin.org.pl

zapominasz że nie tylko Saint-Amand potrzebuje pomocy mojéj; muszę rozpatrzyć się, czy będę mógł wyjechać na dzień lub dwa.

To mówiąc, rzucił okiem na swoje notatki; Lucylla uradowała się; nie miał żaden z jego pacyentów nie był niebezpiecznie chory; przystał na pojechanie do Malines.

Przez ten czas, jakże długie i tęskne godziny pędził Saint-Amand! zdawało się, że dla niego nie ma już ani słońca na niebie, ani świeżości w powietrzu; porzucił nawet muzykę, którą tak lubił; straciła cały swój urok od chwili, kiedy jéj nie słuchała Lucylla.

Rzecz bardzo prosta, że w Malines wszyscy gadali o zamęźciu Lucylli. Był to niewyczerpany przedmiot rozmowy. Młody cudzoziemiec, stał się w ustach wielu komoszek, człowiekiem najświetniéjszego urodzenia i z olbrzymim majątkiem; był zaś tak piękny jak Apollo Belwederski. Jego nawet kalectwo, które tworzyło niejaką równowagę między nowożeńcami, nie zdołało powściągnąć zazdrości: może nawet dla niektórych dam z Malines, mąż ślepy byłby tém przyjemniejszy. Ale najwięcéj cierpiała na tém piękna i zazdrosna Julia, że Lucyllę tak skromną, tak opuszczoną, przeniesiono nad nią; że Lucylla o któréj istnieniu zapominano prawie gdy była przy niéj, stanie się nagle wielką damą; że znalazł się człowiek młody, bogaty, miły, który nie zważał na nią: wszystko to boleśnie obrażało jéj próżność. »Szczęście to wielkie dla kochanka Lucylli, mówiła z gorzkim uśmiechem, że jest ślepym. Aby mógł bydź jednym musi koniecznie bydź drugim.

Podczas nieobecności Lucylli, bez ustanku przebywała u pani Tisseur: wprawdzie prosiła ją o to jéj kuzynka. Usiłowała z niezmierną zręcznością zastąpić Lucyllę, a skutkiem tych dziwnych sprzeczności w naturze człowieka, przez te usiłowania powzięła miłość ku Saint-Amandowi, o tyle przynajmniéj, ile jéj serce kochać mogło.

Zaczęła nienawidzieć Lucyllę, wyobraziła sobie, że same tylko przypadkowe spotkanie się jéj z niewidomym, pozbawiło ją zdobyczy, od któréj, jak mniemała, zależy jéj szczęście. Gdyby Saint-Amand, nie kochając Lucylli, byłby prosił o rękę Julii, byłaby odmówiła niewidomemu, pomimo jego bogactw i młodości; ale wydrzeć Lucylli jéj zdobycz, był to pochlebny tryumf dla jéj próżności i mocno go zapragnęła. Jednakże podéjścia i piękność Julii, nie mogły zachwiać przywiązania kochanka. Mniéj nawet lubił ją niż wprzódy, gdyż w jéj staraniach około niego, uważał tylko niezręczne naśladowanie czułéj troskliwości Lucylli.

—»Jużby też powinna wrócić; byłaby mogła przedać wszystkie koronki z Malines: rzekł pewnego dnia Saint-Amand zniecierpliwiony.

— »Cierpliwość mój przyjacielu, cierpliwość, może jutro powróci.

—Jutro! dopiero jest szósta! szósta? nie prawdaż?

—»Piąta wybiła mój kochany Eugeniuszu; czy chcesz abym ci co przeczytała? Oto jest nowe dzieło; bardzo je chwalą, rzekła Julia.

http://rcin.org.pl

—»Tak jesteś dobra; ale nie chcę cię trudzić.

—»Ależ nie trudzę się bynajmniej.

—»Nie, dziękuję.

—»Ach! gdyby mógł widzieć, pomyślała Julia, jakżebym się zemściła!

—»Słyszę turkot powozu. To zapewne dyliżans z Bruxelli: zawołał Saint-Amand zrywając się z krzesła. Nie, to jakiś lżejszy powóz, rzekł siadając znowu.

Turkot coraz się przybliżał. Powóz zatrzymał się przededrzwiami, a za chwilę Lucylla uniesiona radością, już była w objęciach Saint-Amanda.

—»Kochany Eugeniuszu, rzekła zapłoniona, przyprowadzam ci kogoś, który ci, jak się spodziewam, za łaską Bożą wzrok przywróci.

—»Nie pochlebiajmy sobie zawcześnie moje dziecię, rzekł doktor, wszystko jest znośniejszém od zawiedzionéj nadziei.

Le Kain obejrzał oczy niewidomego, i oświadczył iż może uda się operacya. Saint-Amand z pośpiechem powierzył się jego biegłości: — powiodło się, przejrzał.

Ach! jakże zdołam odmalować uczucia Lucylli, jéj wzruszenie, jéj radość, gdy się spełnił cel jéj pielgrzymki, jéj modłów! Ta radość tak była żywa, iż z pospolitych zmian życia ludzkiego, iéj krótkotrwałość powinna była przewidzieć.

Skoro tylko wzrok Eugeniusza stopniami zaczął się przyzwyczajać do światła, pierwszém i jedyném jego życzeniem było, widzieć Lucyllę.

—»Lecz nie chcę ją widzieć samą, rzekł, niech ją ujrzę pośród was wszystkich; przekonam was, że domyślność serca jest nie omylną.

Dręczona smutném przeczuciem, Lucylla musiała przystać na to żądanie, od którego Saint-Amand nie dał się odwieść. Ojciec i matka Lucylli, Julia, jéj młodsze siostry, wszyscy się zebrali w małym salonie. Drzwi się otwierają, wchodzi Saint-Amand. Jedno spojrzenie dostatecznem było; jego twarz się rozjaśnia, wydaje krzyk radości.

—»Lucyllo! Lucyllo! zawołał, to ty jesteś! ja wiem żeś to ty!

Wbiegł do pokoju i rzucił się do nóg *Julii*...

Zdziwiona, szczęśliwa, tryumfująca Julija, wlepiła w niego oczy; nie ona to wywiodła go z błędu.

—»Mylisz się, mylisz: rzekła z pomieszaniem pani Tisseur, to jest jéj kuzynka Julia, a to jest twoja Lucylla.

Saint-Amand wstał, obrócił się, ujrzał Lucyllę. Ach! byłaby wolała umrzeć w téj chwili! podziwienie, smutek, zawiedzenie, malowało się na twarzy jéj narzeczonego; dotąd kołysały go czarujące marzenia, a teraz, jakże odmienną okazała się rzeczywistość! Nie mógł jeszcze rozróżnić jakie udręczenie i rozpacz malowało się na twarzy Lucylli; uczuł jednakże, ochłonąwszy z pierwszego podziwienia, że nie takim sposobem winien podziękować téj, która mu wzrok przywróciła. Czémprędzéj wynagrodził swoją pomyłkę. Niestety! czyliż ją można było wynagrodzić.

Od téj chwili, znikło całe szczęście Lucylli, upadły jéj nadpowietrzne zamki, złamała się czarodziej-

http://rcin.org.pl

ska laseczka. W prawdzie Saint-Amand, mówił do niéj z zajęciem, wprawdzie przypominał sobie z najgłębszą wdzięcznością, wszystko co uczyniła dla niego, wprawdzie powtarzał sobie bez ustanku: »jest moją narzeczoną, jéj winienem wzrok, ten dar najdroższy w świecie« i przeklinał sam siebie, widząc jaka zmiana zaszła w jego sercu; ale cóż się stało z jego namiętnym głosem i z jego rozmową pełną ognia? gdzież był ten uśmiech, ten wyraz zadowolenia i szczęścia, który tworzyła sama obecność Lucylli? Gdy byli sami, doznawał pomieszania i przymusu; jego ręka już nie szukała jéj ręki, już nie czynił jéj tkliwych wyrzutów, jeśli się na chwilę oddaliła od niego. Swobodniejszym był, gdy się zgromadziła cała familia, ale wówczas już nie wpatrywał się w tę, która jego oczy otworzyła dla światła; ale niekiedy zwracał je z wyrażeniem nazbyt wymownem, na uradowaną twarz Julii. Ta zmiana nie była tak widoczna z początku, lecz nareście stała się uderzającą.

Bez téj nieszczęsnéj sprzeczności, jaka od samego początku istniała między Julią i Lucyllą, zapewne Saint-Amand byłby nigdy nie dopuścił się niewiary, która teraz wzbudzała w nim tak bolesne zgryzoty; widok rzeczywistéj piękności, nie byłby powiększył jego zawiedzenia, gdyby obok młodéj i przyjemnéj Lucylli, nie widział innéj osoby; byłaby do ostatka podbiła jego serce, gdyby wprzódy nie był odkrył, że jest inna piękniejsza od niéj. Co więcéj, to oczarowanie zniknęłoby za dni kilka, gdyby zdradna i zalotna Julia nie użyła całéj władzy wdzięków swoich, aby je utrzymywać.

Biedna Lucylla, tak tkliwa na najlżejszą zmianę ze strony tych, których kochała, tak nieufna saméj sobie, a zarazem czująca godność swoją, Lucylla, widząc że już nie życzy sobie jéj obecności, że jéj nie kocha, nie mogła znieść porównania przeszłości z czasem obecnym. Nie wydając ani jednéj skargi, zamykała się w pokoju swoim i tam płakała bez przeszkody; a tak, ponieważ jéj ojca przez cały dzień w domu nie było, a matka zajmowała się gospodarstwem, nastręczała Julii tysiąc sposobności do ustalenia swéj władzy, nie nad sercem, ale nad zmysłami Eugeniusza.

Jednakże w niewinnéj prostocie duszy, nie domyślając się jeszcze wielkości swego nieszczęścia, biedna Lucylla cieszyła się tą nadzieją, że gdy będą po ślubie, mogąc już śmieléj i swobodniéj okazywać miłość swoją, zdoła odzyskać serce, które ją tak czule kochało. Na téj słabéj nadziei polegały ostatnie widoki jéj szczęścia. A przecież Saint-Amand jeszcze nalegał o przyśpieszenie ich wesela; ale jakże odmiennem było jego obejście! chciał odjąć sobie wszelkie środki cofnięcia danego słowa i pomnożenia swéj niewdzięczności; chciał, aby jego ręka, jego majątek, szacunek, były nagrodą Lucylli: innéj bowiem już jéj nie mógł udzielić. A tym czasem, tak często zostając sam na sam z Julią, z Julią zajętą jedynie dokonaniem swego tryumfu, Saint-Amand sposobił się do wypłacenia nie-

http://rcin.org.pl

wiarą, téj, któréj niczém wypłacić się nie zdoła.

W ogrodzie za domem była altanka, gdzie pod czas długich wieczorów w lecie, Eugeniusz i Lucylla siadali nie raz; rozkoszne te chwile już nie miały powrócić!

Pewnego dnia usłyszała ze swego pokoju, dźwięk fletu Eugeniusza, wychodzący z téj uświęconéj altanki. Jéj łzy obficiéj płynąć zaczęły, a rozrzewniona wspomnieniami, wyrzucała sobie że tak łatwo poszła za popędem obrażonéj próżności, że go tak często zostawiała samego, że nareście nie śmiała dosyć wspominać mu o tém przywiązaniu, które w tkliwéj i skromnéj bezinteressowności, uważała za jedyne prawo do jego serca.

»Może sam jest teraz: rzekła do siebie: wie że najlepiéj lubię tę aryą.« i wiedziona pociągiem serca, poszła do altanki. Tylko co stanęła w ogrodzie, flet ucichł, a zbliżywszy się do altanki usłyszała rozmowę. Julia żaliła się; Saint-Amand ją pocieszał. Ogarnęło ją smutne przeczucie; stanęła jak przykuta do ziemi.

—»Tak jest, ożeń się z nią, zapomnij mię: mówiła Julia; za kilka dni będziesz mężem innéj, a ja! ja... przebacz mi Eugeniuszu żem zakłóciła twoje szczęście! skruszy się moje serce, ale cię kochać nie przestanie.« Łkania stłumiły głos Julii.

—»Ach! nie mów tego! odpowiedział Saint-Amand; mnie to, mnie samego winić potrzeba; jestem niedzięcznym względem was obojga. Ah! od chwili kiedym wzrok odzyskał, kiedym ciebie zobaczył, nowe uczułem istnienie, widok słońca nie tyle mię zadziwił ile twoja piękność; ale zapomnijmy o téj chwili. Jakże wiele jestem winien Lucylli! będę nieszczęśliwym, zasłużę na to, wtedy bowiem wyrzucać sobie nie przestanę, żem zatruł twoje życie tą nieszczęśliwą miłością; ale moja ręka, moja wiara, moja przyszłość, wszystko do Lucylli należeć powinno. Julio! Julio! dla czegóż spoglądasz na mnie w ten sposób? Czyliż mogłem inaczéj postąpić i chociaż wielką jest ta ofiara, czyliż nie jest konieczną? Powtarzam ci, wszystko winien jestem Lucylli, gdyby nie ona, nigdybym nie mógł widzieć twych wdzięków.

Lucylla nie słuchała dłużéj; już postanowiła co ma czynić i krokiem tak lekkim jakim przyszła, smutnie wróciła do siebie.

Tego samego wieczora, Saint-Amand siedział sam w swoim pokoju, gdy lekko zapukano do drzwi.

—»Proszę wejść, rzekł i Lucylla weszła. Podniósł się zmięszany, chciał ję wziąść za rękę, ale ona zwolna ją cofnęła i usiadła na przeciw niego.

—»Panie Eugeniuszu, rzekła ze spuszczonemi oczyma, wolę od razu opowiedzieć to co mam na sercu, niż na późniejszy czas odkładać, a jeśli się nie wyrażę tak jakbym powinna, nie miéj tego za złe biednéj Lucylii trudno żeby słowa dobrze oddały to, co tak mocno czujemy.

Saint-Amand, z zapłonioném czołem i domyślając się celu jéj przybycia, chciał jéj przerwać mowę, lecz ona z lekkim poruszeniem niecierpliwości, dała mu znak żeby ją słuchał.

—»Przypomnisz sobie, rzekła, że dawniéj kiedyś mię kochał, często

http://rcin.org.pl

mówiłam, iżby miłość twoja zgasła, gdy‘ yś mógł widzieć jak mało na nią zasługuję? Nie taiłam tego przed tobą, Eugeniuszu; pewna byłam że się tak stanie, że z twoją ślepotą zniknie twoja miłość. Mimo tego, nie miałam żadnego marzenia, żadnego życzenia, któreby nie miało na celu twojego szczęścia, i Bogu samemu wiadomo, że dla przyniesienia ci ulgi w mniejszych nawet cierpieniach, poszłabym jeszcze dziś, nie tylko do Kolonii ale do Rzymu, na koniec samego świata, chociażbym przewidzieć mogła, że za moim powrotem ozięble mię przyjmiesz, że ci będę obojętną, i że nakoniec taką otrzymam nagrodę jaką już odebrałam.

Lucylla zatrzymała się, żeby otrzeć łzę mimowolnie wydobywającą się z jéj oczu; »Saint-Amand uczuł zgryzotę w sercu; zasłonił twarz rękoma: nie śmiał przerwać jéj; mówiła daléj.

—»To co przewidywałam stało się; już nie jestem dla ciebie tém, czém byłam dawniéj, kiedyś mógł tę skromną i nic nie znaczącą postać przyodziać wdziękami, których nie posiadałam. Prawda, żeś zawsze gotów mię zaślubić; ale ja Eugeniuszu nie mogę poprzestać na wdzięczności, gdym już do miłości nawykła. Nie jestem tak niesprawiedliwą, ażebym cię miała obwiniać. Ta zmiana wypływała z natury rzeczy, była nieuchronną. Powinnam była do niéj przygotować się; lecz nareście jużem uległa mojemu losowi. Musiemy się rozłączyć! Ty kochasz Julią, rzecz bardzo prosta; — ona ciebie kocha, — nie tyle jeszcze ile ja ciebie kochałam; ale téż ona jeszcze cię tak dobrze nie zna jak ja, a potém Julia, któréj całe życie było tryumfem, nie może doznawać téj czułéj wdzięczności, jaką ja byłam przejęta, gdym mniemała że jestem kochaną; — ale z czasem i to przyjdzie, — daj Boże! Żegnam cię więc na zawsze Eugeniuszu, kiedy już niepotrzebujesz mojéj pomocy; tysiące innych mogą teraz moje miejsce zastąpić; żegnam cię!» Podniosła się wymowiwszy te słowa, i wyjść chciała; ale Saint-Amand uchwycił jej rękę; nadaremnie chciała ją wyrwać; sam się obwiniał i używał całéj swéj wymowy, żeby ją odwieść od jéj zamiaru.

—»Przyznaję, zawołał, żem był na chwilę uwiedziony; piękność Julii na chwilę przemogła twoje prawa, daleko rzeczywistsze, daleko świętsze. — Ach! tak jest daleko świętsze dla mojéj miłości!.. Ale przebacz mi kochana Lucyllo, wracam do ciebie takim, jakim byłem, jakim zawsze będę. Niechaj nie przeklinam tego wzroku który otrzymałem od ciebie.

Nawet w téj chwili nie ustąpiła Lucylla. Czuła, że ta prośba była skutkiem tylko chwilowego uniesienia; że powinność nakazuje, aby się z nim rozstała. Nadaremnie ponawiał swoje nalegania i prośby; nadaremnie przypominał ich przysięgi i zaklinał aby pamiętała o podeszłych rodzicach, którzy na ich związku zakładali szczęście swoje. »A gdyby nawet, przydał, prawdą było to względem czego mylisz się tak mocno, czyliżby mi honor dozwolił wahać się i cofać?

—»Zawierz mi, odpowiedziała Lucylla, że twój honor nie poniesie żadnego uszczerbku i nikt ganić cię nie

http://rcin.org.pl

będzie. Oto jedynie proszę, aby wasze małżeństwo nie odbyło się tu, przed oczyma ojca mojego. Niechaj Bóg zlewa na was swoje błogosławieństwa. Nie sądź, iż będę nieszczęśliwą, czyliż bowiem całe szczęście twoje na ziemi, mojem dziełem nie będzie? Ach! z tą myślą nie stanę się godną politowania.

Wyrwała się z jego ręku i zostawiła go w samotności, jeszcze przykrzejszéj od ślepoty. Tegoż jeszcze wieczora Lucylla wszystko powierzyła matce. Pomijam jakie przytoczyła powody, jakie zarzuty zbijała; nareście przekonała panią Tisseur i oznajmiła ojcu o niezmiennem postanowieniu swojém. Lucylla opuściła miasto nazajutrz rano, a znajdując niejaką pociechę w czystości serca, pojechała do ciotki.

Rodzice Lucylli czuli godność swoją i nie chcieli czynić wyrzutów Saint-Amandowi. Ale nie mógł znieść ich zimnego przyjęcia, opuścił ich dom. Chociaż przez kilkanaście dni nie chciał widzieć Julii, jednakże ona za pomocą swoich wdzięków i zręczności, wkrótce odzyskała władzę nad jego umysłem i sercem. Wzięli ślub w Courtraj i z niewymowną radością Julii pojechali do Paryża. Ale przed ślubem jeszcze, Saint-Amand usiłował uspokoić wyrzut sumienia, przez wyjednanie panu Tisseur, zyskowniejszego i zaszczytniejszego miejsca. Sądząc, że po tém co się stało, pobyt w Malines nie może bydź dla nich a zwłaszcza dla Lucylli przyjemnym, w inném mieście wyrobił dla niego urząd; a wiedząc że pan Tisseur nie przyjąłby téj przysługi, ukrył przed nim swoje zabiegi, a zacny urzędnik mógł mniemać, że własnéj zasłudze winien jest tak niespodzianą nagrodę.

Czas upływał. Cichą i spokojna historya tych uczuć domowych, działa się w burzliwéj epoce, na początku rewolucyi francuzkiéj. W rok po tych wypadkach, Dumuriez wszedł z wojskiem do Belgii. Ale jakże ten rok upłynął dla Lucylli! Wspomniałem że jéj umysł był wzniosłym, że obok tkliwości nie była słabą: jéj pielgrzymka do Kolonii, w siedemnastym roku życia, dowodziła, że tyle posiada mocy charakteru, ile mocy w miłości; ofiara którą uczyniła, stała się jéj nagrodą. Mniemała, że Saint-Amand jest szczęśliwym i nie chciała oddawać się samolubnéj boleści. Miała jeszcze powinności do wykonania; mogła bydź jeszcze pociechą rodziców, dla nich mogła cały świat zastąpić; zrozumiała wielkość powołania swojego i w niéj znalazła pociechę. Raz tylko przez ten cały rok usłyszała o Julii; ich wspólna przyjaciołka widziała ją w Paryżu, wesołą, świetną, otoczoną gronem wielbicieli. O Saint-Amandzie nie miała żadnéj wiadomości.

Nie będę oprowadzał moich czytelników pośród krwawych scen wojny; nie będę mówił o potokach krwi które zalały tę piękną krainę, ten zwyczajny plac bitwy w wojnach europejskich. Mieszkańcy Niderlandów byli w ogólności za Francuzami; jednakże miasto gdzie Tisseur mieszkał stawiło opór orężowi Dumuriera. Zdobyto je szturmem, a wojska upojone łatwem zwycięztwem, rozpostarły się po ulicach. Lucyllę schwycił jeden

http://rcin.org.pl

z tych szaleńców, podobnych bardziéj do rozbójników, niżeli do żołnierzy, których zręczny Dumuriez zawsze na pierwszy ogień wystawiał, gdy w tém zawołano: »Kapitan! oto jest kapitan!» Żołnierz uderzony silném ramieniem, padł przy nogach Lucylli, i poznała swego dawnego kochanka, Eugeniusza de Saint-Amand.

W mgnieniu oka żołnierze opuścili dom; zamknięto drzwi. Lucylla nie słyszała ani krzyków radości zwycięzców, ani szczęku broni; była przy tym, który jéj nigdy był nie powinien opuszczać.

Dla tém skuteczniejszéj obrony swoich przyjacioł, Saint-Amand stanął w ich domu, i przez dwa dni był znowu obok Lucylli. Nigdy nie wspominał o Julii, a gdy Lucylla nie śmiało zapytywała się o nią, odpowiadał krótko i ozięble; lecz za to z uniesieniem i zapałem mówił o swojém nowém powołaniu, zdawało się, że chwała wyłącznie go zajmuje.

Widziała Lucylla jak odjechał na czele swojéj kompanii; widziała, że gdy się zawracał na rogu ulicy, ostatnie jego spojrzenie dla niéj było, i zdawało się jéj, że dostrzegła w tém spojrzeniu wyraz żywego uczucia, które jéj przypomniało najpiękniejsze epoki jéj życia.

Nie omyliła się. Oddawna już Saint Amand, żałował zmienności swojéj. Julia pomściła się za Lucyllę. Rzucając się na niebezpieczeństwa wojny, chciał przygłuszyć tę boleść najdotkliwszą ze wszystkich, zawierającą się w tych słowach: *już jest za późno!*

Lata upływały, a w cichym i śmętném życiu Lucylli, świetne i chwilowe zjawienie się Saint-Amanda było dla niéj jakby sennem widziadłem. Gwiazda Napoleona zajaśniała na horyzoncie, jego nadzwyczajny zawód już się był rozpoczął; a wyprawa do Egiptu, poprzedziła jego powodzenie.

Wiadomo jest, ilu żołnierzy wróciło z Egiptu pozbawionych wzroku; gorącość klimatu była przyczyną tego kalectwa. Kilku młodych współziomków Lucylli, którzy zaciągnęli się do wojska Napoleona, wróciło dotkniętych ślepotą, a Lucylla troskliwie udzielała starań swoich tym cierpiącym istotom, których nieszczęście odnawiało dotkliwą ranę jéj serca.

Ojciec jéj już nie żył, doglądała tylko staréj i słabowitéj matki. Pewnego dnia, gdy pracowały razem, pani Tisseur rzekła do córki, po chwili milczenia.

—»Chciałabym kochana Lucyllo, abyś poszła za Justyna, on cię kocha, jesteś jeszcze młodą, długie lata żyć możesz; trzeba o tém pamiętać, że po zgonie moim pozostaniesz sama.

—»Ach! kochana matko! ani wspominaj o tém, nigdy nie pójdę za mąż; co zaś do miłości, zbyt smutne miałam doświadczenie, abym jéj znowu zawierzyć mogła.

—»Mylisz się Lucyllo, któraż kobieta była kiedy kochaną, jeźli cię Justyn nie kocha? on czuje, ile jesteś godna jego miłości.

I to była prawda, albowiem skromne cnoty Lucylli, jednostajność jéj charakteru, uprzejmość, słodycz, zniewoliły jéj tyle serc, jak gdyby piękną była. Oziębłe odpowiadała ubiegającym się o jéj rękę, nawet bez lekkiego uczucia próżności, tak

http://rcin.org.pl

właściwéj w tym przypadku. Jedno wspomnienie, chociaż gorzkie, było jéj droższe nad wszystko w świecie, a to wspomnienie tak świętem było w jéj oczach, iż prawie byłaby poczytała za występek, zacierać je nowém uczuciem.

—»Mniemam, w rzeczy saméj: odpowiedziała pani Tisseur z niejakiem nieukontentowaniem, że jeszcze myślisz o tym, który sam jeden na świecie mógł odpłacić się tak czarną niewdzięcznością.

—»Ależ moja matko, rzekła Lucylla rumieniąc się, Eugeniusz ma żonę.

Gdy tak rozmawiali, nieśmiało zapukano do drzwi. Ruszono klamką.

—»Oto jest mieszkanie pani Tisseur i jéj córki, rzekł chrapliwy głos przewodnika.

Mężczyznaokryty płaszczem wojskowym, z zawiązanemi oczyma, wszedł do sali. Dreszcz śmiertelny przejął Lucyllę. Wyciągnął rękę.

—»Lucyllo! rzekł tym smętnym głosem, o którym pamiętała tak wiernie; gdzież jesteś Lucyllo!

»Niestety! nie poznaje mię!

Był to w rzeczy saméj Saint-Amand. Dziwném zrządzeniem losu, gorące promienie słońca i piaski pustyń Egiptu, znowu nabawiły młodego oficera, ślepoty, już nie uleczonéj. Wrócił do Francyi. Dom jego był samotnym. Julia już nie żyła; w kwiecie wieku umarła na gorączkę. Pojechał szukać Lucylli, chcąc zobaczyć, czyli mu jeszcze pozostała jaka nadzieja.

A gdy upokorzony i żałujący kaleka, bojaźliwie prosił o przebaczenie, czy mniemacie że Lucylla odrzuciła jego prośby, że pamiętała o zadanéj ranie, że była nie przebłaganą?—O nie! »Znowu mu jestem potrzebną, rzekła: jeżeli go oddalę od siebie, któż go prowadzić będzie?» Ta myśl była prawidłem jéj postępowania, ta myśl ożywiła zapał jéj pierwszéj miłości, i za jéj słodkim wpływem, dała się zaprowadzić przed ołtarz.

Lucylla znalazła nagrodę, któréj świat pojąć nie zdoła. Ociemniawszy znowu, Saint-Amand doznał tych wszystkich uczuć, które ona pierwsza w jego sercu wznieciła. Tęsknił jak wprzódy, jeźli choć na chwilę oddaliła się od niego; na jéj głos, podobnież jak wprzódy rozpogadzało się jego czoło, a jéj obecność była dla niego tém samém, co promień słońca. Poddawszy się losowi swojemu, nabrał téj jednostajności humoru, która powiększéj części cechuje ociemniałych. Może, kiedyśmy już poznali co jest świat, a doświadczenie wskazało nam próżność jego uciech, łatwiéj zniesiemy ich niedostatek; ciemność nie jest tak okropną dla oczu zmordowanych blaskiem słońca. A do tego, jakże był szczęśliwy, gdy w miarę jak posuwali się w lata, czuł że codziennie wzmacniają się ogniwa łączące go z Lucyllą, że codziennie powiększa jego wdzięczność przez najtkliwsze starania i przywiązanie! Dla niego była ochronioną od zgubnego działania czasu; dla niego zachowała aż do grobu (a w jedném prawie dniu zeszli z tego świata) wszystek kwiat czułości swojéj, całą świeżość serca, które się zestarzéć nie mogło.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Dyliżans parowy.

http://rcin.org.pl

SCENA Z ŻYCIA PARYZKIEGO.

z Dzieł Balzaka.

PO CÓŻ CHCIAŁ WIEDZIEC?

I.

Pani Desmarets.

Są w Paryżu ulice tak zniesławione, jak człowiek największą sromotą okryty, są ulice szlachetne, ulice uczciwe, ulice nowe, o moralności których jeszcze nie ma ustalonego zdania, ulice zabójcze, ulice stare, ulice zawsze czyste albo też zawsze brudne, ulice robocze, przemysłowe, kupieckie. Krótko mówiąc, ulice Paryża mają przymioty ludzi i wzbudzają w nas pewne wyobrażenia, którym się oprzeć nie możemy. Są ulice złego towarzystwa i nie chciałbyś mieszkać przy nich. Te rozróżnienia, trudne może do pojęcia za obrębem Paryża, będą zapewne przystępne ludziom próżnującym i myślącym razem; dla nich Paryż jest najroskoszniejszym potworem: tu wygląda jak ładna kobieta; nieco daléj, jak biedny żebrak; tu, świeży jak pieniądz dopiero co wybity; tam wytworny jak najpierwsza z elegantek. Potwór zupełny pod wszystkiemi względami. Jego poddasza, są, że tak powiem, głową pełną umiejętności i geniuszu; jego pierwsze piętra są szczęśliwym żołądkiem; jego sklepy, prawdziwemi nogami: ztamtąd wychodzą wszyscy spekulanci i osoby interessami zajęte. A do tego jakże jest czynne życie tego potworu? Zaledwie ostatni turkot ostatnich powozów wracających z balu, ustanie w jego sercu, już się poruszają jego ramiona, już się budzi powoli. Wszystkie drzwi skrzypią na zawiasach, niewidzialnie poruszane przez trzydzieści tysięcy mężczyzn lub kobiet, z których każda żyje w izbedce mającéj sześć stóp kwadratowych i ma tam kuchnią, warsztat, łóżko, dzieci i ogródek. Nie jest tam bardzo widno, a przecież wszystko z niéj widzieć trzeba. Wówczas, nieznacznie ruch się pomnaża, ulica zaczyna mówić. W południe wszystko żyje, kurzy się z kóminów; potwór je, potém ryczy, potém ruszają się jego nóg tysiące. Piękny widok! lecz, o Paryżu! kto nie widział twoich ciemnych przejść, głuchych i głębokich zatyłków, kto nie słyszał twego szmeru między północą a godziną drugą z rana, ten nie zna wcale jak jesteś poetycznym, nie zna twoich dziwacznych i wielkich sprzeczności!

Są więc, jak wspomniałem, ulice, albo zakręty ulic, są pewne domy, nieznane powiększéj części osobom wielkiego świata, dokąd nie może pójść kobieta z wyższego towarzystwa, jeźli nie chce narazić się na najsroższe posądzenia. Jeźli jest bogata, jeźli ma powóz, a spotka ją kto, pieszo, przebraną, w jednym z tych wąwozów paryzkiego kraju, straci może sławę uczciwéj kobiety. A jeźli przypadkiem przechodzić tam będzie około dziewiątéj wieczorem, dostrzegacz wyprowadza ztąd jak najgorsze, najokropniejsze wnioski. Są ulice, na których spotkanie to może zamienić się w przerażającą drammę, w drammę pełną krwi i miłości, w drammę tegoczesnéj szkoły. Do takich to

http://rcin.org.pl

ulic należy ulica Soly, najwęższa, najnieprzystępniejsza ze wszystkich ulic paryzkich.

W pierwszych dniachLutego, będzie temu lat trzynaście, młody człowiek przechodził przypadkiem,jaki się nigdy po drugi raz w życiu nie zdarza, przez ulicę Pagevin, właśnie w tém miejscu, gdzie do niéj dotyka ulica Soly.

Tam, młody ten człowiek, mieszkający przy ulicy Bourbon , dostrzegł w kobiecie, którą mijał dosyć obojętnie, niejakie podobieństwo do najładniéjszéj z Paryżanek, skromnéj i miłéj osoby, którą kochał skrycie i namiętnie, kochał bez nadziei: była zamężną.

W mgnieniu oka, jego serce gwałtownie bić zaczęło, dreszcz i gorąco przenikło jego żyły, w głowie uczuł szum nadzwyczajny; kochał, był młodym, znał Paryż i wiedział jaką to było sromotą dla kobiety młodéj, bogatéj i pięknéj, wnijśdź w tę ulicę, stopą występną i trwożliwą. *Ona!* w tém zakącie, o téj godzinie!...

Miłość tego młodego człowieka, wydawać się może romansową, tém bardziéj że był oficerem gwardyi w wojsku francuzkiem, które tak się chlubi ze swoich miłosnych tryumfów. A jednakże, namiętność tego oficera była bardzo mocna; iluż to młodym sercom wyda się wielką! Kochał tę kobietę, ponieważ była cnotliwą; kochał jéj cnotę, przystojną powabność i swiętość małżonki, uszanowanie wrażającą; kochał ją jako najdroższe skarby swojéj nieznanéj namiętności. Ta kobieta mogła była w rzeczy saméj wzbudzić tę platoniczną miłość, którą napotykamy jakby kwiat jaki pośród krwawych kart i okropności średniego wieku, i bydź tajemnym bodźcem wszystkich czynów młodzieńca; miłość tak wzniosłą, tak czystą, jak błękit nieba, miłość bez nadziei, do któréj przywiązujemy się, bo nigdy nie zawodzi.

Dziwaczne, niepojęte działanie wywierają cienie nocy na ulicach Paryża, i ci tylko którzy na nie lubili zwracać uwagę, wiedzą w jak fantastyczną istotę zamienia się kobieta w godzinie wieczornéj. Już to osoba, za którą idziesz przypadkiem albo umyślnie, wydaje się wysmukłą; już znowu, z białéj pończochy domyślasz się małéj i zgrabnéj nóżki; kibić, chociaż obwiniona szalem, lub futrem, młodą i ponętną okazuje się w cieniu; światło nareście, bijące ze sklepu i od latarni, okrywa nieznajomą ulotnym blaskiem, zapala wyobraźnię i unosi daleko za obręb rzeczywistości. Wtenczas, wzruszają się zmysły, wszystko przybiera życie, i obraz kobiety objawia się w nowéj postaci; upięknia się jéj ciało, przez chwilę już to nie jest kobieta, ale duch, ognik błędny, który cię przyciąga gorącym magnetyzmem, aż do porządnego domu, gdzie, biednaParyżanka, przestraszona odgłosem twego stąpania, zamyka ci przed nosem bramę i ani spojrzy na ciebie.

Drżące światło ze sklepiku szewca, oświeciło nagle kibić kobiety, którą mijał ten młody człowiek. Ach! ona to była! żadna inna nie miała tak zachwycającéj a razem tak skromnéj postawy! Jéj to był szal i axamitny kapelusz. Na jéj szaréj pończoszce jedwabnéj, nie było ani jednego fałdu,

http://rcin.org.pl

na jéj trzewiku ani śladu błota. Szal dobrze przystawał do jéj piersi i ramion. Ze sposobu jakim paryżanka obwija się w szal swój, ze sposobu jakim stąpa na ulicy, człowiek domyślny odgadnie powód jéj tajemniczego biegu. Jest jakieś drżenie, jakaś lekkość w jéj osobie i ruszeniu; idzie, idzie, albo raczéj przemyka się jak gwiazda, uniesiona myślą którą wydają fałdy i poruszenia jéj sukni.

Młody człowiek przyśpieszył kroku, wyprzedził tę kobietę. Obrócił się, aby ją zobaczyć!.. Znikła w sieni któréj dzwonek brzmiał jeszcze... Spojrzał za nią w głąb sieni... Przyjąwszy uniżony ukłon staréj odźwiernéj, wbiegła na kręte schody, których pierwsze stopnie mocno były oświecone i stąpała po nich lekko, żywo, jak zwykle stąpa niecierpliwa kobieta!..

»Za czém?.. rzekł do siebie młody człowiek: przysunąwszy się do muru po drugiéj stronie ulicy... I nieszczęśliwy spojrzał na dom!

Był to dom, jakich jest tysiące w Paryżu, dom nieszlachetny, gminny, wązki, brudny, o czterech piętrach i o trzech oknach. Sklep i antr-sola należały do szewca. Na pierwszém piętrze były spuszczone żaluzye; gdzież więc poszła? Zdało mu się że usłyszał dzwonek na drugiém piętrze. W rzeczy saméj, poruszyło się światło w dwóch oknach mocno oświeconych i nagle zabłysło w trzeciém, może w salonie albo w jadalnym pokoju. Natychmiast okazał się w niepewnych rysach kształt kapelusza, drzwi się zamknęły w pierwszym pokoju, znikło światło, a dwa ostatnie okna przybrały czerwoną barwę.

W tém, młody człowiek usłyszał wołanie: »Z drogi! i uderzono go w ramię.

—»Na nic WPan nie zważasz! rzekł ktoś grubym głosem. Był to rzemieślnik z tarcicą na ramieniu.

Rzemieślnik przeszedł. Był to głos Opatrzności, mówiący do ciekawego młodzieńca: »W co się mieszasz?.. Pamiętaj o twojéj służbie i nie wdawaj się w cudze interessa.»

Młody człowiek założył ręce, a potém, nie widziany od nikogo, uronił kilka łez wściekłości i nie otarł ich nawet. Nareście, gdy już znieść nie mógł widoku dwóch cieni pokazujących się w oknie, spojrzał na los w ulicę augustyańską i ujrzał fiakr stojący przy murze, w miejscu, gdzie nie było ani drzwi od sieni, ani światła od sklepu.

»Ona to czy nie?

Odpowiedź na to zapytanie stanowiła śmierć lub życie kochanka. A ten kochanek czekał, stał, przez dwadzieścia minut, które były wiekiem dla niego. Potém, owa kobieta zeszła, i wówczas poznał tę, którą kochał tajemnie. A przecież chciał jeszcze wątpić. Nieznajoma poszła ku fiakrowi i wsiadła weń.

»Dom nie zginie, będę mógł przetrząść go każdego czasu» pomyślał młodzieniec.

I pobiegł za powozem, aby rozproszyć ostatnie powątpiewanie: wkrótce już nie miał żadnego.

Fiakr zatrzymał się przy ulicy Richelieu, przed magazynem strojów, nie daleko ulicy Menars. Dama wy-

http://rcin.org.pl

siadła, weszła do sklepu, odesłała pieniądze stangretowi i wyszła, wybrawszy marabout do ubrania na głowie. Marabout, do jéj czarnych włosów. Przyłożyła je do głowy, dla zobaczenia jak w nich będzie wyglądać. Młody człowiek usłyszał jéj rozmowę z kupcową strojów.

—»Tak jest pani, mówiła, marabout są bardzo do twarzy brunetkom. Xiężna *** rzekła, że to nadaje kobiecie coś romantycznego, ossyanicznego i *jest w jak najlepszym guście.*

—»Dobrze, proszę odesłać je natychmiast.

To rzekłszy, zawróciła się na ulicę Menars i weszła do siebie.

Zamknięto bramę domu, a młody kochanek straciwszy nadzieję, i czego dwakroć bardziéj żałował, najdroższe o kochance mniemanie, poszedł przez ulicę jak człowiek odurzony trunkiem i wkrótce zaszedł do siebie, sam nie wiedząc jakim sposobem.

Rzucił się w krzesło, oparł nogi na wilku żelaznym, głowę na ręku, i tak suszył przemokłe buty, a nawet je palił. Była to okropna chwila, jedna z tych, w których zmienia się charakter człowieka, i w których postępowanie jego zależy od pomyślnego lub złego skutku pierwszéj czynności.

Był to młodzieniec z szlachetnéj familii. Dziad jego kupił urząd radzcy parlamentu paryzkiego a potém został prezydentem; synowie jego weszli do wojska. Po restauracyi, August Maulincourt jedyny potomek téj rodziny, wychowany przez starą ciotkę, został w dwudziestym trzecim roku życia, szefem szwadronu.

Przyjacielem domowym pani baronowéj de Maulincourt, był stary hrabia Paniers, dawny komandor Maltański. Była to przyjaźń oparta na sześćdziesięcioletnich związkach, któréj nic zerwać nie może, ponieważ w tych związkach zawsze znajduje się jakaś tajemnica serca ludzkiego.

August de Maulincourt należał więc przez ciotkę swoją i hrabiego, do przedmieścia Saint-Germain. Był to wysoki i blady mężczyzna, delikatny na pozór, ale odważny i pełen honoru. Pojendykował się, o *tak* lub *nie*, ale nie znajdował się jeszcze na żadnéj bitwie i nosił order legii honorowéj.

Hrabia w siedemdziesiątym siódmym roku życia, był jeszcze bardzo dowcipnym człowiekiem, długo żył, wiele wiedział, przyjemnie opowiadał, grzeczny, wesoły, ale miał o kobietach jak najgorsze mniemanie; kochał je i pogardzał niemi. Ich honor, ich uczucie?.. To fraszki, udawanie! W ich obecności wierzył im, były zwodziciel! nie sprzeciwiał się im nigdy, ale między przyjaciołmi ustanawiał tę zasadę, że całém zatrudnieniem młodzieży bydź powinno zwodzić kobiety i prowadzić razem kilka intryg. Żałuję, że muszę kreślić tak przestarzały obraz; ale hrabia wywarł tak zgubny wpływ na przeznaczenie pana de Maulincourt, iż musiałem go odmalować. Chciał w niego wpoić swój sposób myślenia i nawracał go do zasad wieku Ludwika XV.

Ciotka, kobieta czuła i pobożna, wzór dobroci i słodyczy, chciała synowcowi swojemu zachować piękne złudzenia życia i wychowała go w najlepszych zasadach; zrobiła go człowiekiem bojaźliwym, na pozór prawie

http://rcin.org.pl

głupcem. Jego czułość, utrzymana w całéj czystości, była tak drażliwą, iż mocno obrażał się czynami i prawidłami, do których świat żadnéj nie przywiązuje wagi. Wstydząc się téj drażliwości, młody człowiek ukrywał ją pod pozorem udanéj śmiałości; cierpiał w milczeniu, ale szydził przy drugich z tego co w samotności uwielbiał. I dla tego też był oszukanym, ponieważ, co się bardzo często przytrafia, napotkał w przedmiocie swojéj pierwszéj miłości, on usposobiony do wyższych umysłowych uczuć, kobietę niecierpiącą romansowego kochania.

Wtedy, młody człowiek zwątpił o sobie, pogrążył się w myślach i smutku, żałując się że go nie zrozumiano. A że tém mocniéj pragniemy tego, co nam z większą trudnością przychodzi, nie przestał więc ubóstwiać kobiet z tą delikatną czułością, któréj tajemnicę one same posiadają i dla siebie zachować pragną. Jakoż, lubo kobiety żalą się że mężczyźni kochać ich nie umieją, nie lubią kochanków z duszą na pół kobiecą. Cała ich wyższość polega na tém, aby wmówiły w mężczyzn że są nizsi od nich w miłości, chętnie więc porzucą tego który jest tak niedoświadczonym, że im wydziera te obawę będącą ich ozdobą, te rozkoszne udręczenia płonnéj zazdrości, tę trwogę zawiedzionéj nadziei, te próżne oczekiwania, nareście cały ten orszak drobnostek niewieścich. Nie cierpią Grandissonów. Cóż może bydź przeciwniéjszego ich naturze, jak miłość spokojna i doskonała? Pragną wzruszeń, a szczęście nie dające się uczuwać, już nie jest dla nich szczęściem. Dusze o tyle mocne iż mogą do nieskończoności posuwać miłość swoją, są anielskim wyjątkiem w naturze kobiecéj, są tém pomiędzy kobietami, czém geniusze pomiędzy mężczyznami. Wielkie namiętności, tak są rzadkie jak arcy-dzieła. Prócz téj miłości, są tylko same intrygi przemijające, godne pogardy, jak wszystko co jest drobiazgowém.

Pośród tych tajemnych tęsknot serca, wtenczas gdy szukał kobiety któraby go zrozumieć mogła, August spotkał w świecie najbardziéj od swojego świata oddalonym, w téj sferze gdzie bankierowie pierwsze miejsce zajmują, istotę doskonałą, jedną z tych kobiet mających w sobie jakąś świętość i tak wielkie wzbudzających uszanowanie, iż miłość potrzebuje długiéj poufałości, aby się oświadczyć mogła. August oddał się więc wszystkim rozkoszom najtkliwszéj i najgłębszéj namiętności, na samém tylko uwielbieniu opartéj. Były to niezliczone, natychmiast powściągnięte żądze, odcienia namiętności tak niewzruszone i tak głębokie, tak ulotne i tak uderzające, tak delikatne, iż je nie wiedzieć do czego przyrównać można; podobne do woni, do obłoków, do promieni słońca, do cieni, do wszystkiego co w naturze w jednéj chwili może zajaśnieć i zniknąć, długie w sercu zostawiając wzruszenie. W chwili gdy jeszcze dusza jest tak młoda, iż może pojąć smętność, dalekie nadzieje i znajdować w kobiecie więcéj niżeli kobietę, nie jestże to największém szczęściem jakie może spotkać mężczyznę, jeźli tyle kocha, iż większéj doznaje radości dotykając się białéj rękawiczki, po-

http://rcin.org.pl

chylając się ku puklom jéj włosów, zwracając jedno spojrzenie, nad tę, jaką najburźliwsze posiadanie wzbudza w szczęśliwym kochanku. I dla tego to, sami tylko ludzie szpetni, biedni, odpychani, nie znani kochankowie, kobiety, albo nie śmiali mężczyźni, znają skarby zawierające się w głosie ukochanéj osoby: te brzmienia, w duszy saméj biorące źródło i początek, tak gwałtownie ustanawiają związek między sercami, tak rozjaśniają ich skrytość i tak rzadko zawodzą, że częstokroć jeden ich ton rozwiązuje całą intrygę. Jąkiż urok wzbudza w sercu poety harmonijne brzmienie słodkiego głosu! Ileż rodzi wyobrażeń! jakąż świeżość rozlewa! Miłość wprzódy jest w głosie niż w spojrzeniu. August był poetą na sposób kochanków: jedni bowiem poeci czują, a drudzy wyrażają: pierwsi są szczęśliwszemi; August zakosztował tych wszystkich pierwotnych rozkoszy, tak obszernych, tak pełnych. Ona posiadała najsłodszy dźwięk głosu, jakiego tylko może sobie życzyć kobieta, aby do woli uwodzić mogła; miała ten głos srebrny, który miły dla ucha, brzmiącym jest tylko dla serca, który zakłóca i wzrusza, który pieści i wzburza.

I ta kobieta chodziła wieczorem na ulicę Soly! i znikł urok młodzieńca!..

Stary hrabia miał słuszność.

»Jeźli zdradza męża, zemszczę się.

Była jeszcze miłość w tém jeżeli. Filozoficzne powątpiewanie Kartezyusza, jest grzecznością, którą trzeba zawsze uczcić cnotę.

Dziesiąta wybiła.

W téj chwili, przypomniał sobie baron Maulincourt że ta kobieta bydź miała na balu, na który i on także otrzymał zaproszenie. Natychmiast ubrał się, pojechał, przybył i z zamyśloną twarzą szukał jéj po salonach.

Pani domu widząc to rzekła: »Szukasz pani Desmarts... jeszcze nie przyjechała.

—»Jak się masz kochana przyjaciołko!« ozwał się głos.

—»August i pani domu, obrócili się. Była to pani Desmarets. Przyjechała, biało ubrana, skromna i szlachetna, ubrana właśnie w te same pióra, które wybrała w magazynie strojów. Głos jéj przeniknął serce Augusta. Gdyby umiał był zdobyć najmniéjsze prawo, któreby mu pozwalało zazdrosnym bydź o tę kobietę, byłby ją mógł w kamień zamienić, mówiąc do niéj!

»Ulica Soly!«

Lecz będąc obcym dla niéj, chociażby nawet po tysiąc razy wyrzekł to słowo do ucha pani Desmarets, byłaby z podziwieniem zapytała się co to ma znaczyć. Spoglądał na nią z odurzoną miną.

Dla złośliwych ludzi i szydzących sobie ze wszystkiego, jest to może wielka zabawa, znać tajemnicę kobiety, wiedzieć że jéj czystość kłamie, że jéj twarz spokojna na pozór, głęboką myśl ukrywa, że pod jéj obliczém tak pogodném, kryje się przerażająca dramma. Ale są dusze, które ten widok istotnie zasmuca; a wielu z tych co się z tego śmieją, wróciwszy do siebie, sami z własném sumieniem, przeklinają świat i pogardzają taką kobietą.

http://rcin.org.pl

Takim był August de Maulincourt, w obecności pani Desmarets. Dziwne położenie! nie było między niemi innych stosunków, prócz tych jakie zachodzą w świecie między ludźmi spotykającemi się kilka razy do roku na wieczorach zimowych; a domagał się od niéj aby mu odpowiedziała za utratę szczęścia, którego spólniczką nie była. Sądził ją nie powiedziawszy o co ją oskarża. Wieluż to młodych ludzi, wróciło do domu, w rozpaczy, że zerwali na zawsze z kobietą ubóstwioną tajemnie, potępioną, pogardzoną tajemnie; są to nieznane monologi, powiedziane w obec ścian samotnego ustronia, burze powstałe i uspokojone w głębi serca, godne uwielbienia sceny moralnego świata, którym nie dostaje malarza.

Pani Desmarets usiadła, a mąż jéj przeszedł się po sali; ale usiadłszy, była trochę niespokojną. Rozmawiając z sąsiadką, rzucała ukradkowe spojrzenie na męża. Oto jest historya tych dwojga małżonków.

Na pięć lat przed ożenieniem się, pan Desmarets pracował u bankiera i pobierał szczupłą płacę komissanta. Ale był to jeden z tych ludzi, którzy w szkole nieszczęścia wcześnie poznają świat i życie, dążą do swego celu, prostą drogą, z wytrwałością owadu, który chce zajść do swéj kryjówki; jeden z tych młodych ludzi upartych, którzy stawiają przeciw wszelkim przeszkodom, bezwładną nieruchomość stonoga. Młodym był, a już oszczędzał i pieniędzy i czasu; nie lubił uciech; czekał. Oprócz tego posiadał wielką przyrodzoną zaletę, to jest piękną powierzchowność, czoło spokojne i czyste, fizyonomią łagodną lecz zajmującą, obejście się proste ale ślachetne. Wszystko to było dowodem pracowitego i rozsądnego życia, godności osobistéj i tajemnéj szlachetności serca, która w każdém położeniu zwycięztwo odnosi. Jego skromność wzbudzała uszanowanie we wszystkich co go znali. Z resztą, samotny pośród Paryża, przypadkiem tylko widywał świat i ludzi, w salonach bankiera u którego pracował.

W sercu tego człowieka, jak u większéj części osób żyjących tym sposobem, tlały skryte i głębokie namiętności, niezmiernie mocne aby miały wybuchnąć w drobnych zdarzeniach. Szczupły dochód zmuszał go do surowego życia; wielką pracą poskramiał swoje żądze, a naślęczywszy nad rachunkami, wypoczywał sobie, nabywając tego ogółu wiadomości, tak potrzebnego teraz człowiekowi, chcącemu odznaczyć się w świecie, w kupiectwie, przed kratkami, w polityce, albo w literaturze. Jedyną skałą o którą rozbić się może przyszłość tych ludzi, jest ich własna prawość. Zobaczą-li ubogą dziewczynę, zakochają się w niéj, ożenią, a potém zużyją całe życie, walcząc z nędzą i miłością? Ich ambicya gaśnie pośród rachunków domowego wydatku. Otóż Juliusz Desmarets rozbił się ze wszystkiém o tę skałę.

Pewnego wieczora, ujrzał u bankiera młodą osobę nadzwyczajnéj piękności. Sami tylko nieszczęśliwi, pozbawieni dowodów przywiązania, trawiąc piękne godziny młodości na dłu-

gich pracach, wiedzą jak szybko zapala namiętność ich samotne i nie poznane serca. Są tak pewni iż najgoręcéj kochać będą, wszystkie siły ich duszy tak nagle ogarnia kobieta którą się zajmą, iż przy niéj doznają tysiąca najsłodszych uczuć, a częstokroć nie wzbudzają żadnego. Nic bardziéj nie pochlebia samolubstwu kobiety, która odgaduje te wzruszenia, tak głębokie, iż im niejakiego czasu potrzeba, żeby na jaw wyjść mogły. Ci biedni ludzie, żyjąc jak pustelnicy pośród Paryża a najczęściéj zdradzani, zwiedzeni, nie poznani, rzadko zebrać mogą słodkie owoce téj miłości, zawsze będącéj dla nich na kształt kwiatu, który spadnie z nieba. Uśmiech i dźwięk głosu téj dziewczyny, wzbudziły w Julianie Desmarets namiętność bez granic, i szczęściem dla niego, zebrany ogień téj namiętności dostrzegła ta co go wznieciła. Odtąd kochali się, kochali jak najczystszą miłością. I, aby wszystko w kilku słowach powiedzieć, bez zapłonienia wzięli się oboje za ręce, wśród świata, jak dwoje dzieci, jak brat i siostra, chcąc przejść przez tłum, który ich uwielbiał i miejsca im ustąpił.

Młoda osoba, była w tém smutném położeniu, w jakiém samolubstwo niektóre dzieci umieszcza. Nie miała ani stanu, ani majątku. Juliusz Desmarets był najszczęśliwszym, usłyszawszy o tém nieszczęściu. Gdyby Klemencya należała do jakiéj bogatéj rodziny, byłby nie otrzymał jéj ręki; była ubogą, pobrali się bez przeszkody.

Odtąd zaczęło się dla Juliana Desmarets pasmo szczęśliwych wypadków; a każdy zazdroszcząc jego powodzenia, mówił, że tylko jest szczęśliwym, a nie zważał ile był winien cnocie i odwadze. W kilka dni po ślubie, matka Klemencyi, która w świecie uchodziła za jéj matkę chrzestną, powiedziała Juliuszowi aby kupił posadę ajenta banku, przyrzekając, iż wystara się o potrzebne kapitały. W owym czasie, posady te nie były jeszcze tak nadzwyczajnie drogie.

Wieczorem, w salonie ajenta banku, bogaty kapitalista zawarł z Juliuszem Desmarets, na polecenie téj damy, najkorzystniejszy układ jak tylko bydź może, dał mu tyle funduszów ile było potrzeba, a nazajutrz, szczęśliwy komissant, kupił posadę swego patrona. W cztery lata potém, Juliusz Desmarets został jednym z najbogatszych ajentów banku. Znakomici klienci powiększyli liczbę tych, których miał jego poprzednik. Posiadał zaufanie bez granic, i nie podobna było nie dostrzegać, iż to wszystko zrządza tajemny wpływ matki jego żony, albo też skryta opieka, którą przypisywał Opatrzności. W trzecim roku po ślubie, umarła matka Klemencyi.

W owym czasie, pan Juliusz Desmarets, posiadał przeszło dwakroć sto tysięcy franków dochodu. Nie było w Paryżu drugiéj pary tak szczęśliwéj w pożyciu, i od pięciu lat nic jéj nie zakłóciło prócz jednéj potwarzy, którą pan Desmarets przykładnie ukarał. Jeden z jego dawnych towarzyszów, przypisywał pani Desmarets majątek i powodzenie jéj męża, i namienił że

http://rcin.org.pl

to jest skutkiem drogo opłaconéj opieki. Potwarca zginął w pojedynku.

Mocne przywiązanie dwojga małżonków, nie osłabione przez małżeństwo, zyskało powszechny oklask, chociaż, nie miłe było wielu kobietom. Szanowano młodą parę; każdy ją w dom swój zapraszał. Szczerze kochano panią i pana Desmarets, ponieważ nic nie jest tak przyjemném, jak widok szczęśliwych ludzi; ale nie długo bawili w salonach i uciekali z pośpiechem do gniazdeczka swego, jak dwa zabłąkane gołąbki. Gniazdeczkiem tém był wielki i piękny dom przy ulicy Menars; piękne sztuki miarkowały tam ów zbytek z którym się popisują spekulanci. Małżonkowie przyjmowali wspaniale, chociaż nie mieli upodobania w głośnych zabawach. Mimo tego, Juliusz żył w świecie, wiedząc że prędzéj czy późniéj potrzebować go może; ale on i jego żona zawsze byli w nim jak przesadzone z właściwego gruntu i cierpiące rośliny.

Skutkiem bardzo naturalnéj delikatności, Juliusz troskliwie ukrył przed żoną, potwarz i śmierć potwarcy, który zaledwie nie zakłócił ich szczęścia. Pani Desmarets z natury swojéj tak delikatna, tak oddana pięknym sztukom, lubiła zbytek. Otóż, mimo straszliwéj nauki, danéj w pojedynku, niektóre niebaczne kobiety szeptały, że pani Desmarets, musi bardzo potrzebować pieniędzy. Sto tysięcy franków które dawał jéj mąż na jéj ubranie i przyjęcie gości, nie mogły wystarczyć podług ich rachuby. W rzeczy samej, w domu nie raz była wytworniéj ubrana, niżeli w świecie; lubiła bowiem ubierać się tylko dla męża, chcąc mu dowieśdź co chwila, że dla niéj był więcéj niżeli światem. Miłość prawdziwa, miłość czysta, szczęśliwa nadewszystko, o tyle, ile bydź może szczęśliwą miłość jawna i tajemna razem! Tak więc pan Desmarets zawsze był kochankiem, co dzień to bardziéj zakochanym, szczęśliwym przy żonie swojéj, nawet przez jéj dziwactwa, i trwożył się jeźli ich czasem nie miała, jak gdyby to było symptomatem choroby.

August de Maulincourt na zgubę swoją zawadził o tę namiętność i w głowę zaszedł dla téj kobiety. Jednakże chociaż w sercu żywił tak szczytną miłość, nie był śmiesznym. Stosował się do sposobu życia swoich towarzyszów, ale zawsze, nawet pijąc wino szampańskie, zachowywał tę zamyśloną postać, tę milczącą pogardę, to zamglone oblicze, jakie mają ludzie przesyceni światem, nie zadowoleni z czczego życia, albo mniemający że cierpią na suchoty lub anewryzm. Kochać bez nadziei, czuć niesmak do świata, jest dziś modną i upowszechnioną rolą. Jakież nadzieje mogła w nim wzbudzić miłość bezrozumna, powzięta dla szczęśliwéj kobiety: jakoż Maulincourt miał dostateczne powody, aby zostać poważnym i posępnym.

W téj chwili, młody ten oficer stał przy swojéj bezimiennéj kochance, która nie wiedziała bynajmniéj że jest dwakroć wiarołomną. Siedziała z niewinną prostotą, jak kobieta najmniéj przebiegła ze wszystkich, łagodna, pełna uroczystéj spokojności. Jakąż bez-

http://...

denną przepaścią jest serce człowieka! Przed zaczęciem rozmowy, baron kolejno spoglądał na nią i na jéj męża. Ileż uwag uczynił! W jednéj chwili przebiegł wszystkie nocy Junga. Jednakże brzmiała balowa muzyka, tysiące świec woskowych rozpościerało jasność, był to bal u bankiera, jedna z tych zuchwałych zabaw, przez które złoto spekulanta usiłowało mierzyć się ze złotem arystokratycznych salonów, nie przewidujących bynajmniéj, że kiedyś bankier zajmie pałac Luxemburgski i zasiędzie na tronie. Świetne salony gospodarza, ożywiało to życie właściwe samym tylko salonom paryzkim, tak wesołym na pozór. Tam, ludzie z talentem udzielają głupcom swojego rozumu, a głupcy wzajemnie im udzielają téj powierzchowności szczęścia, która ich odznacza; wszystko ożywia się przez te zamiany; ale zabawa w Paryżu, zawsze podobną jest do fajerwerku; dowcip, zalotność, rozkosz, jaśnieją tam i gasną jak raca:

—»Co! rzekł August sam w sobie: kobiety są więc tém, za co ich uważa stary hrabia. Zapewne wszystkie które się tu znajdują, pani Desmarets zdaje się przewyższać w cnocie, a pani Desmarets chodzi na ulicę Soły!

Ulica Soły była dla niego męczarnią, sam ten wyraz rozdzierał mu serce.

—»Czy pani nie tańcuje nigdy? rzekł do niéj.

—»Już trzeci raz zadajesz mi pan to pytanie od początku zimy, rzekła z uśmiechem.

—»Ale może nigdy mi pani nie odpowiedziała na nie?

—»To prawda.

—»Wiedziałem dobrze, iż pani jesteś fałszywa, jak wszystkie kobiety.

Pani Desmarets mówiła daléj wesoło.

—»Posłuchaj mię panie! gdybym ci powiedziała prawdziwą przyczynę, zdałoby ci się że jest śmieszna; a nie mniemam, iż to jest fałszywość, zamilczyć o tajemnicy, z któréj szydzą inni.

—»Tajemnicą wyjawią się tylko przyjaźni, a zapewne nie zasłużyłem na nią. Ale pani możesz mieć same tylko szlachetne tajemnice; czy mniemasz że jestem zdolny żartować z rzeczy szanownych?

—»Tak jest, rzekła, pan i wszyscy inni, szydzicie sobie z uczuć biednych kobiet, obgadujecie nas; z resztą, nie mam tajemnicy; kocham mojego męża w obec świata, wyznaję to, chlubię się z tego; a jeżeli śmiać się pan będziesz, gdy powiem że tylko z nim samym tańcuję, będę miała jak najgorsze wyobrażenie o jego sercu.

—»Z nikim więc nie tańczyłaś pani od czasu zamęźcia?

—»Z nikim panie i nikomu nie podałam ręki, niczyjego nie uczułam dotknięcia.

—»Co? nawet lekarz nie dotknął się pulsu pani?

—»A cóż! otóż pan żartujesz!

—»Nie pani, uwielbiam i rozumiem panią. Ale dozwalasz słyszeć głos twój! ale dajesz się widzieć! ale pozwalasz naszym oczom aby cię uwielbiały!..

http://rcin.org.pl

—»Ach! to mię też smuci, rzekła przerywając mu, chciałabym, iżby zamężna kobieta mogła żyć z mężem swoim, jak kochanka żyje z kochankiem; gdyż wtedy....

—»A więc dla czegóż byłaś pani dwie godziny temu, sama, przebrana na ulicy Soly?...

—»Cóż to jest ulica Soly? rzekła. W głosie jéj tak czystym nie widać było żadnego wzruszenia, żadnéj zmiany w rysach jéj twarzy; nie zarumieniła się, była spokojna.

—»Co! nie poszłaś pani na drugie piętro domu leżącego na rogu ulicy Augustyańskiéj i ulicy Soly? Fiakr nie czekałże na panią, i nie wstąpiłaś pani do magazynu kwiatów przy ulicy Richelieu, gdzieś pani kupiła te pióra zdobiące jéj ubranie?

—»Nie wychodziłam z domu dziś wieczorem.

—»Tak kłamiąc, była niewzruszona i wesoła, chłodziła się wachlarzem, a przecież zimny pot na nią wystąpił.

August odpowiedział. — »Była to zapewne osoba niezmiernie do pani podobna.

—»Panie, rzekła, jeżeli zdolny jesteś iśdź za kobietą i śledzić ją tajemnie, powiem mu iż to jest bardzo zły postępek i tyle honor pana szacuję iż mu nie wierzę.

Odszedł, stanął przed kominkiem i pogrążył się w myślach. Spuścił głowę, ale skrycie śledził panią Desmarets, która nie spodziewając się że w zwierciedle widać jéj rysy, kilkakrotnie z przestrachem spojrzała na niego. Skinęła potem na męża, wzięła go pod rękę i z nim razem przeszła się po salonach.

Gdy mijała pana de Maulincourt, rozmawiał wtenczas z jednym ze swoich przyjaciół i rzekł głośno, niby odpowiadając na zapytanie.

—»Ta kobieta zapewne téj nocy spać nie będzie spokojnie.

Pani Desmarets zatrzymała się, spojrzała na niego z pogardą i poszła daléj, nie wiedząc, że to spojrzenie, gdyby je mąż był dostrzegł, mogło było narazić jéj szczęście i życie dwóch ludzi.

August udręczony wściekłością, którą w głębi duszy przytłumił, wyszedł wkrótce, zaprzysięgając się że do ostatka odgadnie tę intrygę. Nim się oddalił, szukał jeszcze pani Desmarets, ale już odjechała. Jakaż to dramma zrodziła się w téj młodéj głowie, niezmiernie romansowéj, jak te wszystkie, które jeszcze nie poznały miłości w całym jéj ogromie, jaki jéj nadają! Miłość jego dla pani Desmarets nowy kształt przybrała. Kochał ją wściekłą zazdrością i szalejącém utęsknieniem nadziei: albowiem wiarołomna mężowi swojemu, stała się pospolitą kobietą i mógł oddawać się wszelkim rozkoszom szczęśliwéj miłości. Udał się na spoczynek, budując tysiące zamków na lodzie; usprawiedliwiał panią Desmarets jakiém romansowém dobrodziejstwem, ale mu wiary nie dawał. Potém umyślił zupełnie zająć się poszukiwaniem przyczyn intrygi, którą ukrywa jéj tajemnicze postępowanie. Jest to romans, albo raczéj dramma, do któréj i on także jako aktor należy.

http://rcin.org.pl

II.

Ferragus.

Piękna to jest rzecz szpiegować kochankę, czyniąc to na korzyść swojéj namiętności! Ale musisz zawsze zasu przygotować się iż będziesz wrzeć gniewem, dręczyć się niecierpliwością, ziębnąć w błocie, drżéć i płonąć, karmić się fałszywemi nadziejami. Trzeba iśdź, dążyć za słabą wzmianką ku nieznanemu celowi, nie dosięgnąć go, przeklinać, improwizować elegie i dytyramby, unosić się nie wiedząc nad czém wobec przechodnia który ci się dziwuje, przewracać stragany z jabłkami, biegać, zatrzymywać się, stać pod oknami, czynić tysiące przypuszczeń... Ale polowanie! polowanie w Paryżu, polowanie ze wszystkiemi jego przypadkami, oprócz psów i strzelby!.. Z takiemi scenami samo tylko życie graczów można porównać.

August de Maulincourt rzucił się z zapałem w to namiętne życie: już bowiem doznawał wszystkich jego nieszczęść i rozkoszy. Chodził przebrany po mieście, czatował po wszystkich rogach ulicy Pagevin lub Augustyańskiéj i od trzech dni biegał jak myśliwiec z ulicy Menars na ulicę Soly, z ulicy Soly na ulicę Menars, nie znając jaką za to odbierze karę lub nagrodę. Nie doszedł jeszcze do najwyższego stopnia niecierpliwości, chodził z tą myślą że pani Desmarets nie odważy się w pierwszych dniach wrócić na miejsce gdzie ją zeszedł. Dla tego też poświęcił te dni na dokładne obeznanie się z ulicą. Nic doświadczony w tém rzemiośle, nie śmiał wypytywać się ani odźwiernego, ani szewca w tym domu dokąd weszła pani Desmartes, ale spodziewał się, że będzie mógł utworzyć sobie obserwatoryum w domu na przeciwko leżącym. Badał miejsce, chciał pogodzić roztropność i niecierpliwość, miłość i tajemnicę.

W pierwszych dniach Marca, wśród planów które układał dla zadania stanowczego ciosu, gdy powracał ze swego stanowiska nie dowiedziawszy się jeszcze o niczém, niespodzianie zaskoczył go deszcz ulewny. Z całą gromadką ludzi idących pieszo w téj chwili, schronił się w bramę starego domu, którego dziedziniec podobny był do szyi komina. Wzdłuż tych murów zakopconych, zielonawych, pokrytych saletrą, było tyle rynien i tyle pięter we czterech skrzydłach kamienicy, iż zewsząd woda jakby z kaskad spadała, czarna, biaława, niebieska, zielona, pieniła się pod miotłą odźwiernéj, staréj kobiety bez zębów, nazwyczajonéj do ulewy, która zdawała się błogosławić ją, wymiatając na ulicę tysiące szczątków, wskazujących sposób życia każdego z lokatorów. Były to kawałki muślinu, liście herbaty, sztuczne kwiaty, okrawki warzywa, papiery, kawałki kruszców.

Biedny kochanek, machinalnie przypatrywał się temu obrazowi, jak człowiek pogrążony w myślach, gdy w tém podniosłszy głowę, spotkał się oko w oko z człowiekiem, który tylko co wszedł do bramy.

Jak się zdawało z powierzchowności, był to żebrak, ale nie żebrak

http://rcin.org.pl

paryzki, twór niemający nazwiska w językach ludzkich; była to postać nowa, nie należąca do obrębu tych wszystkich wyobrażeń, jakie obudza to słowo żebrak.

Zebracy paryzcy są to niezgrabne figury, utarzane w błocie, z chrapliwym głosem, z czerwonym i krostowatym nosem, bez zębów, pokorne i straszliwe; nie można zrozumieć zkąd się wzięło głębokie pojęcie jaśniejące w ich oczach. Niektórzy z tych bezczelnych włóczęgów, mają twarz w bruzdy porytą, poznaczoną żyłami jak marmur, czoło osypane wyrzutami, włosy rzadkie i brudne, jak stara peruka wyrzucona na śmiecie; wszyscy weseli pośród poniżenia swojego, wszyscy naznaczeni piętnem rozpusty. Ich postawa obudza przerażające myśli, żyją między zbrodnią i jałmużną, już nie doznają zgryzot, i roztropnie krążą koło rusztowania, a nie dostaną się na nieniewinni pośród występku; zepsuci pośród niewinności swojéj. Jeden z nich wyobraża poniżoną cywilizacyą; drugi, złośliwość pospolitego występku i przebiegłość wytwornego zbrodniarstwa. Inny, spokojnie ulega przeznaczeniu swojemu. Wszyscy czują niekiedy potrzebę porządku i pracy, ale społeczność wtrąca ich w błoto i nie pyta się, ilu bydź może poetów, wielkich i nieustraszonych ludzi między temi żebrakami paryzkiemi. Jest to lud bezwarunkowo zły i bezwarunkowo dobry, jak wszystkie cierpiące massy, jak cyganie, jak murzyni w osadach; nawykły do znoszenia niesłychanych cierpień i przez jakąś zgubną potęgę ciągle utrzymywany w poniżeniu i błocie. Wszyscy mają jedno marzenie, jedną nadzieję i szczęście: grę, loteryą i trunek.

Nie było żadnego z tych znamion w osobie stojącéj przy ścianie obok pana de Maulincourt. Był to człowiek wysoki i chudy, jego rysy wydawały się głębokie i zimne. Niszczył politowanie w sercu ciekawych, postawą pełną szyderstwa, ponurém i zuchwałém spojrzeniem. Twarz jego była brudno-biała, czaszka pomarszczona, céra miała niejakie podobieństwo do kawała granitu; kilka kosmów płaskich i szarych umieszczonych po obu stronach głowy, spadało na zatłuszczony kołnierz jego sukni zapiętéj aż pod szyję. Razem podobny był do Woltera i do Donkiszota; twarz jego wyrażała szyderstwo, smętność, pogardę ludzi i filozofią. Zdawało się że nie ma koszuli; brodę miał zarosłą, a z pod wyszarzanego halsztucha wyglądała szyja sucha, pomarszczona i składająca się z żył grubych jak postronki. Szeroka pręga sina, otaczała jego oczy. Zdawało się że ma przynajmniéj lat sześćdziesiąt. Ręce miał białe i czyste. Nosił wykrzywione i złe buty, niebieskie pantalony w wielu miejscach połatane.

Bądź to, że jego przemokła odzież wydawała woń smrodliwą; bądź to że trącił tą nędzą, jaka panuje we wszystkich biednych izbedkach paryzkich, wszyscy odsunęli się od niego i sam pozostał przy ścianie. Rzucił na nich, a potém na młodego oficera, spojrzenie spokojne i bez wyrazu, to sławne spojrzenie Tallejranda, pod którém silna dusza ukrywa

http://rcin.org.pl

i najmocniejsze wzruszenia i najdokładniejsze rachuby o ludziach, rzeczach i wypadkach.

Widok téj stoicznéj postaci mocno uderzył pana de Maulincourt. Burza przeszła. August postrzegł tylko kraj sukni tego człowieka, gdy już wychodził za bramę; lecz znalazł pod nogami swojemi list upuszczony i domyślił się, że musiał wypaśdź z kieszeni nieznajomego. Podniósł go i mimowolnie przeczytał adres.

A Mosieur

Mosieur Ferragusse.

Ulica Augustyańska na rogu ulicy Soly w Paryżu.

Na liście nie było znaku pocztowéj pieczęci; adress jego wstrzymał pana de Maulincourt, iż nie pobiegł za nieznajomym i nie oddał mu listu: mało bowiem jest takich namiętności, które za czasem nie przestąpią zasad prawych.

Baron przeczuł że ten list może się przydać i zatrzymał go, aby miał pozór do wnijścia w ten dom tajemniczy: nie wątpił bowiem, że nieznajomy mieszka w domu, który jest celem jego podejrzeń. Domysły jeszcze niepewne jak pierwszy brzask dzienny, wskazywały mu, że muszą bydź jakieś stosunki między tym człowiekiem a panią Desmarets. Kochankowie zazdrośni tworzą najdziwaczniejsze przypuszczenia, a takim to sposobem, przypuszczając wszystko i wybierając najpodobniejsze domysły, kochankowie i sędziowie znajdują prawdę.

»Jestże ten list do niego? jestże od pani Desmarets?

Zapytania te podała mu jego niespokojna wyobraźnia. List był rozpieczętowany, przeczytał kilka wierszy i uśmiechnął się.

Dosłownie przytaczamy ten list, do którego nic nie można było przydać, nic ująć, list pełen błędów ortografii, bez kommatów, a nawet bez znaków wykrzyknienia: co sprzeciwia się systematowi wykrzykników i kropek, któremi tegocześni autorowie usiłują wszelkie namiętności malować. (*)

Henryku!

»W liczbie ofiar, którem sobie naznaczyła, była i ta żem nie chciała donosić ci o sobie, ale jakiś głos niepokonany, nakazuje wyrzucić ci na oczy ile względem mnie przewiniłeś. Wiem już na przód, że twoja dusza zatwardziała w występku, nie ulituje się nademną. Twoje serce jest głuche na głos natury: ale mniéjsza o to, muszę ci powiedzieć, jak dalece stałeś się winnym, i w jak okropném położeniu jestem z twojéj przyczyny. Henryku! wiesz ile żałowałam pierwszego błędu mojego; mogłeś pogrążyć mię w tém samém nieszczęściu i porzucić mię w rozpaczy i boleści. Tak jest, wyznaję, to mniemanie że mnie kochasz i szacujesz, dodawało mi odwagi do znoszenia mojego losu. Ale dziś cóż mi pozostaje? czyliżeś mi nie wydarł wszystkiego, co dla mnie było najdroższém, wszystkiego co mię przywiązywało do życia? Rodziców, przyjaciół, honor, reputacyą, wszystko poświęciłam dla ciebie, nic mi nie pozostaje prócz zgryzoty, niesła-

*) Błędów pisowni zachowanych w oryginale, nie podobna było oddać w tłomaczeniu.

http://rcin.org.pl

wy i nędzy! brakowało mi tylko tego zapewnienia, że mną pogardzasz, że mnie nienawidzisz, a teraz gdy je mam, będę także miała odwagę, której potrzeba do mojego zamiaru. Postanowiłam co mam czynić, honor mojéj familii nakazuje mi to; zakończę więc moje cierpienie... Nie czyń żadnych uwag nad moim zamiarem Henryku. Jest okropny, wiem o tém, lecz mój stan zmusza mię do niego. Bez wsparcia, bez podpory, bez *przyjaciela* któryby mię pocieszał, czyliż mogę żyć? nie, los tak zrządził. A więc za dwa dni Henryku, za dwa dni Ida już nie będzie godną twego szacunku; ale przysięgam ci że będę mieć spokojne sumienie, ponieważ nigdy nie przestałam bydź godną twojéj przyjaźni. O Henryku! o przyjacielu! nigdy bowiem nie zmienię się dla ciebie; przyrzecz mi, iż mi wybaczysz zawód, którego się uchwycę. Miłość moja dodała mi odwagi, utrzymywać mię będzie w cnocie; moje serce prócz tego napełnione twoim obrazem, będzie ochroną przeciw zwodzicielom.«

»Nie zapominaj także, iż mój los jest twojém dziełem i osądź sam siebie. Oby niebo nie ukarało cię za twoje zbrodnie! na kolanach błagam o twoje przebaczenie; czuję bowiem iżby tego tylko brakowało do moich nieszczęść, gdybyś ty był nieszczęśliwym. Pomimo niedostatku mojego, nie przyjmę żadnéj pomocy od ciebie. Gdybyś mię był kochał, byłabym mogła przyjąć ją jako ofiarę przyjaźni, ale dusza moja odrzuca dobrodziejstwo pochodzące tylko z litości i byłabym nikczemniéjsza przyjmując je, niż ten któryby mi je ofiarował. O jedną łaskę proszę cię tylko; nie wiem jak długo będę zostawać u pani Mejnardie, bądź tak wspaniałomyślnym i nie przychodź do mnie. Twoje dwie ostatnie wizyty, zrządziły mi przykrość którą długo czuć będę! nie chcę przypominać twojego postępowania. Nienawidzisz mię, ten wyraz jest w mojém sercu i przejmuje mię dreszczem. Niestety! opuszcza mię odwaga wtenczas, kiedy jéj najbardziéj potrzebuję. Henryku! mój przyjacielu, wprzódy nim stawiłam zaporę między nami, daj mi ten ostatni dowód szacunku twojego, napisz do mnie, odpowiedz że jeszcze mię szacujesz, chociaż mię już nie kochasz. *Pomimo tego* że moje oczy zawsze godne są spotkać się z twojemi oczyma, nie proszę o schadzkę; obawiam się wszystkiego od mojego kochania i słabości. Ale proszę cię, odpisz mi natychmiast, to doda mi odwagi któréj potrzebuję dla znoszenia moich nieszczęść. Żegnam cię! sprawco wszystkich moich cierpień, lecz jedyny mój przyjacielu, którego moje serce wybrało i o którym nigdy nie zapomni!

Ida.

To życie młodéj dziewczyny, któréj zawiedziona miłość, zgubna radość, cierpienia, nędza i przerażająca rezygnacya, zebrane były w krótkich słowach, wzruszyło na chwilę pana Maulincourt i nareście zapytał sam siebie, czyli ta Ida nie jest krewną pani Desmarets, i czyli owa schadzka wieczorna, nie była skutkiem, jakich miłosiernych zachodów. Że ten stary uwiódł Idę, uwiedzenie to, do cudów można było policzyć.

http://rcin.org.pl

Zagłębiony w labiryncie domysłów niszczących się na wzajem, baron przyszedł był na ulicę Pagevin i ujrzał fiakr stojący na rogu ulicy augustyańskiéj: wszystkie stojące fiakry miał w podejrzeniu.

»Czyliż ona tam jest znowu?

Serce jego biło jak w gorączce. Otworzył drzwi, lecz pochylił głowę i uczuł niejaki wstyd, albowiem głos tajemny mówił do niego·

»Dla czego mieszasz się do téj tajemnicy?

Wstąpił na kilka schodów i spotkał się ze starą odźwierną.

—»Pan Ferragus!..

—»Nie znam.

—»Co! pan Ferragus nie mieszka tu?

—»Nie, nikt się tak nie nazywa w domu.

—»Ależ moja kobiecino?..

—»Nie jestem kobiecina, ale odźwierną.

—»Moja pani, rzekł baron, mam oddać list panu Ferragus.

—»A! jeśli pan ma list: rzekła odmiennym tonem: proszę go pokazać.

August pokazał złożony list; odźwierna wstrząsając głową, powątpiewała, wachała się i chciała uprzedzić Ferragusa o tym nieprzewidzianym wypadku.

—»A więc idź pan, musisz wiedzieć gdzie.

Nie odpowiadając na te słowa, któremi chciała go podejść. przebiegła baba, oficer wbiegł prędko na schody i mocno zadzwonił do drzwi. Instynkt kochanka mówił mu: ona jest tam.

Nieznajomy żebrak, Ferragus, albo *sprawca* nieszczęść Idy, otworzył i pokazał się w tureckim szlafroku, w białych pantalonach, z twarzą już nie pomazaną z umysłu; a pani Desmarets która wyglądała przez okienko we drzwiach drugiego pokoju, zbladła i upadła na krzesło.

—»Cóż ci to jest pani? zawołał oficer biegnąc ku niéj.

Ale Ferragus wyciągnął rękę i cofnął go, poruszeniem tak mocném, iż August mniemał, że go sztabą żelaza w piersi uderzono.

—»Ustąp się Mości Panie! rzekł ten człowiek. Czego chcesz od nas? krążysz po téj ulicy od kilku dni; czy nas szpiegujesz?

—»Czy jesteś panem Ferragus?

—»Nie.

—»Jednakże, rzekł August, mam oddać panu ten papier, który upuściłeś w bramie domu, gdzieśmy oba stali podczas deszczu.

Mówiąc to i oddając list Ferragusowi, baron nie mógł wstrzymać się od rzucenia okiem na pokój gdzie się znajdował, i postrzegł, iż był bardzo porządnie umeblowany, chociaż z prostotą. Ogień palił się na kominie, a przy nim był stół zastawiony kosztowniéj, niżeli to zgadzać się mogło z pozornym stanem tego człowieka i szczupłością pomieszkania. Nareście w drugim pokoju, postrzegł kupę złota i usłyszał płacz kobiecy.

—»To pismo do mnie należy; dziękuję panu: rzekł nieznajomy: a ton jego i poruszenie dało poznać, iż pragnie, aby czémprędzéj wyszedł August.

Młody człowiek nazbyt ciekawy, nie postrzegł jak nieznajomy poże-

http://rcin.org.pl

rał go na pół magnetycznem spojrzeniem; ale zapewne, gdyby był spotkał ten wzrok bazyliszka, byłby może zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża. Nazbyt namiętny aby myślał o sobie, August ukłonił się, wyszedł i wrócił do domu, usiłując odgadnąć jakieś znaczenie w tém połączeniu trzech osób, Idy, Ferragusa i pani Desmarets; praca ta podobna była do układania figur łomigłówki chińskiéj. Ale widziała go pani Desmarets. Pani Desmarets była tam, pani Desmarets skłamała. Maulincourt umyślił nazajutrz ją odwiedzieć. Nie może ona odmówić przyjęcia; został jéj wspólnikiem, wmieszał się w tę intrygę. Już zakrawał na sułtana i chciał domagać się od niéj, aby mu swoje tajemnice powierzyła.

W owym czasie, panowała w Paryżu mania budowania, jeśli bowiem Paryż jest potworem, jest zarazem najdziwniejszym ze wszystkich potworów. Miewa tysiące fantazyi; już to buduje jak wielki pan, który lubi kielnię, to znowu porzuca kielnię i robi się wojskowym; od stóp do głów ubiera się jak gwardzista narodowy, odbywa musztrę i kurzy tytuń; nagle porzuca musztrę i cygaro; trapi się, bankrutuje, sprzedaje swoje meble na placu Chatelet, składa bilans, a za kilka dni potém układa interessa, daje bale i tańczy. Raz zajada cukier owsiany; wczoraj kupował papier gumowy, dziś choruje na zęby i przykłada krople; jutro zbierać będzie zapasy piersiowego ulepku. Ma swoje dziwactwa na każdy miesiąc, na każdą porę roku. Otoż w owym czasie wszyscy budowali i rozwalali; na każdéj prawie ulicy stało wysokie rusztowanie. O dwanaście kroków od pałacu Augusta Maulincourt, budowano dom z ciosowego kamienia. Nazajutrz, w chwili gdy baron de Maulincourt jechał karyklem do pani Demarets, koło rusztowania téj budowli, kamień mający przeszło łokieć sześcienny, wciągniony na wierzch rusztowania, wysunął się z postronków, padł na służącego który stał za karyklem i zabił go na miejscu. Na krzyk przestrachu zadrżeli mularze, jeden z nich ledwie trzymał się rusztowania, zdawało się że go kamień potrącił. Tłum zebrał się w mgnieniu oka; wszyscy mularze zeszli, zaklinając się, że karykiel pana de Maulincourt zaczepił o ich windę. Dwa cale bliżéj, a baron byłby już nie żył. Służący leżał bez ducha, powóz był strzaskany. Dzienniki doniosły o tym wypadku. Pan Maulincourt, pewien że o nic nie zawadził, zaniósł skargę; nakazano śledztwo, ale dowiedzionem było że mały chłopczyk stał był na dole i ostrzegał przechodzących. Skończyło się na tém, że Pan de Maulincourt postradał służącego i w skutek przestrachu przez kilka dni był słaby. Tył karykla łamiąc się zrobił mu kontuzyą, a gwałtowne wstrząśnienie nabawiło go febry.

Nie pojechał do Pani Desmarts.

W dziesięć dni po tém zdarzeniu, wyjechał po raz pierwszy do lasku bulońskiego, w naprawionym karyklu; w tém oś złamała się we środku. Baron jechał tak prędko, iż koła zbiegając się przez to złamanie, byłyby zgruchotały mu głowę, lecz pu-

http://rcin.org.pl

dło karykla ochroniło go od śmierci. Jednakże mocno zranił się w bok. Po drugi raz, w przeciągu dni dziesięciu, przyniesiono go na pół umarłego do zapłakanéj ciotki.

Ten drugi przypadek, wzbudził w nim niejakie podejrzenie; pomyślał, ale wątpliwie, o Ferragusie i o pani Desmarets. Dla wyjaśnienia tych podejrzeń, zawołał swego siodlarza. Siodlarz przyszedł, obejrzał oś, złamanie i dowiódł panu Maulincourt:

1mo Oś nie pochodziła z jego warsztatu, na każdéj bowiem ryl swoją cyfrę i nie mógł pojąć jakim sposobem tę oś zamieniono.

2do Złamanie téj podejrzanéj osi, przygotowano z umysłu, przez wydrążenie jéj wewnątrz, przez dołeczki i zuzle bardzo zręcznie wprawione.

»Ach panie baronie! musiał bydź zręcznym bardzo i złośliwym ten, kto to zrobił... gdyż możnaby przysiądź, że to jest naturalny przypadek.

Pan de Maulincourt, prosił siodlarza aby zamilczał o tém zdarzeniu: wiedział co ma sądzić o niém. Te dwa usiłowania zabójstwa, ułożone były tak zręcznie, iż poznał że ściągnął na siebie nieprzyjaźń ludzi niepospolitych i wiele mogących.

—»Jest to wojna śmiertelna, rzekł do siebie; wojna dzikich ludzi, wojna zasadzek, wydana w imieniu pani Desmarets. Do jakiegoż to człowieka należy ona? Jakąż władzę posiada ten Ferragus?

Nareście pan de Maulincourt, chociaż odważny, chociaż żołnierz, zadrżał; w pośród tysiąca myśli które go obaczyły, jedna była, przeciw któréj nie znalazł ani odwagi, ani obrony: tajemni jego nieprzyjaciele, czyliż wkrótce nie użyją trucizny?

Natychmiast ogarniony bojaźnią którą powiększała jeszcze słabość jego, dyeta i gorączka, zawołać kazał starą kobietę już od dawna przywiązaną do jego matki, kobietę która miała dla niego na pół macierzyńskie uczucia. Nie powierzywszy się zupełnie, polecił jéj aby kupowała skrycie, coraz to w innem miejscu, pożywienie którego potrzebuje, aby je trzymała pod kluczem, sporządzała je sama, nikogo a nikogo nie wpuszczając wtenczas.

Nareście użył wszelkich najdrobniejszych nawet środków ostrożności aby się zabezpieczyć od tego rodzaju śmierci. Ale biedak zatruł obawą całe życie swoje, i mimo jego woli, podejrzenie zasępiło wszystkie jego chwile.

Może kto inny byłby wyrzekł się téj miłości i téj walki, ale młody Maulincourt posiadał niepospolity upor. Żył tylko przez panią Desmarets, bez ustanku rozmyślał jakichby środków użyć trzeba w téj walce tajemnéj, dla pokonania tajemnych przeciwników. Jego namiętność dla téj kobiety wzrosła przez te wszystkie przeszkody. Pani Desmarets tkwiła zawsze w jego sercu i wyobraźni, piękniejsza domniemanemi występkami, niźli przez niewątpliwe cnoty, dla których stała się jego bożyszczem.

Chory chcąc poznać stanowisko nieprzyjacielskie, mniemał iż może komandorowi wyjawić niebezpieczeństwa swoje. Stary hrabia zręcznym był i przebiegłym. Przyszedł, wysłuchał barona, wstrząsnął głową i naradzali się oba.

http://rcin.org.pl

Dobry hrabia nie podzielał zaufania Augusta i rzekł, iż policya bynajmniéy wyśledzić i odwrócić nie zdoła zamachów przeciw niemu knowanych. Radził mu, nalegał na niego aby wyjechał do Włoch, z Włoch do Grecyi, z Grecyi do Syryi, z Syryi do Persyi nawet, i dopiero wtedy powrócił, gdy tajemni jego nieprzyjaciele przekonają się o jego poprawie, gdy się z niemi cicho pogodzi. Jeżeli zaś nie chce wyjechać, to niech pozostanie w swoim pałacu, w swoim pokoju, ponieważ tam nie dosięgnie go Ferragus, i chyba wtedy niech wyjdzie, kiedy go będzie mógł do ostatka ponękać. Starzec przyrzekł mu iż użyje wszelkiéj przebiegłości jaką posiada, aby rozpoznał stanowisko jego nieprzyjaciela i zdał z tego sprawę.

Komandor miał starego Figara, żyjącego już zdala od intryg, niegdyś przebiegłego jak szatan, gotowego na wszystko jak galernik, zwinnego jak złodziéj, dowcipnego jak kobieta, ale już podupadłego na geniuszu z powodu braku sposobności do działania, od czasu jak nowe urządzenie społeczeństwa paryzkiego, usunęło na bok lokajów teatralnych. Ten wysłużony Skapin, przywiązany był do swojego pana jak do wyższéj istoty, ale chytry hrabia co rok przydawał znaczną kwotę do zasług swego dawnego plenipotenta intryg miłosnych, co wzmacniało ich przyjaźń i zrządzało iż sługa miał około starca takie starania, jakichby najbardziéj kochająca kobieta nie podejmowała dla chorego przyjaciela. Owéj to perle starych teatralnych lokajów, owemu szczątkowi zeszłego wieku, powierzył się komandor i pan de Maulincourt.

—»Pan baron zepsułby wszystko, rzekł ten wielki człowiek w liberyi, powołany do rady. Niech pan je, pije i śpi spokojnie... Ja wszystko biorę na siebie.

W rzeczy saméj, w osiem dni po naradzie, w chwili gdy pan de Maulincourt zupełnie przyszedłszy do zdrowia, jadł śniadanie z ciotką i starym hrabią, Justyn wszedł z rapportem, a z tą fałszywą skromnością, jaką udają ludzie z talentem, rzekł, gdy pani de Maulincourt odeszła do swoich pokojów:

»Nieprzyjaciel który ściga pana barona, nie nazywa się Ferragus. Ten człowiek, ten szatan, nazywa się Gracyan, Henryk, Wiktor, Jan, Józef Bourignard. Pan Gracyan Bourignard jest dawnym przedsiębiercą budowli, niegdyś bardzo bogatym a zwłaszcza jednym z najprzystojniejszych kawalerów w Paryżu, Lowelasem, zdolnym uwieść Grandissona. Popadł był w jakieś wielkie nieszczęście i przybrał imię Ferragusa; na tém kończą się moje wiadomości. Ten człowiek przeprowadził się, już nie mieszka przy ulicy Soly i Augustyańskiéj, ale przy ulicy Joquelet. Pani Desmarets codziennie bywa u niego. Dosyć często jéj mąż jadąc na giełdę, wiezie ją na ulicę Vivienne, albo też ona odwozi męża swego na giełdę. Pan hrabia zna się bardzo dobrze na tych rzeczach i nie potrzebuje abym mu powiedział, kto kogo wyprowadza w pole, mąż żonę, czy żona męża. Mój Bourignard często grywa pod

nr. 139; jest to, za pozwoleniem pana, birbant, który lubi kobiety i gra rolę człowieka wyższego stanu. Wygrywa często, przebiera się jak aktor, i jeźli zechce zupełnie odmieni swoje rysy i uchodzi przed wszelkiemi poszukiwaniami policyi. Nie wątpię, że ma kilkanaście mieszkań. Jeżeli panowie sobie tego życzą, można uczciwie pozbyć go się, stosując się do jego sposobu życia. Stary łotr jest przebiegły. Nie dawno upuścił sztukę złota na schodach i rzekł odźwiernéj iż ten pieniądz nie należy do niego. Ten kapitalista znowu myśli o przeprowadzeniu. A teraz cóż mi rozkażą panowie?

—»Justynie! kontent jestem z ciebie; nie czyń nic więcéj bez dalszego rozkazu, ale czuwaj nad wszystkiem tak, aby pan baron niczego się nie obawiał.

—»Moje kochane dziecię, mówił hrabia, wróć do zwyczajnego trybu życia i zapomnij o pani Desmarets.

—»Nie, nie, rzekł August, nie ustąpię miejsca Gratianowi Bourignard, chcę go mieć w mojej mocy i panią Desmarets także.

Wieczorem, baron August de Maulincourt świeżo posunięty na wyższy stopień w kompanii straży przybocznéj, pojechał na bal xiężnéj Berri. Tam zapewne nie powinien był obawiać się żadnego niebezpieczeństwa.

A jednakże wyszedł z tamtąd wyzwany na pojedynek i w żaden sposób nie było można zagodzić téj sprawy. Jego przeciwnik, margrabia de Ronquerolles, miał najmocniejsze powody skarżyć się na Augusta, a to w skutku dawnych jego związków z siostrą pana Ronquerolles, hrabiną de Serizy. Ta dama nie lubiła romansowości niemieckiéj, a przecież niezmiernie wymagała, aby ją miano za najcnotliwszą, najskromniejszą. Przez niepojętą fatalność, August powiedział żarcik, który pani de Serizy bardzo źle przyjęła, a jéj brat rozgniewał się o niego. Rozmówili się po cichu... Jako ludzie dobrego towarzystwa nie robili hałasu.

Nazajutrz dopiero, w salonach przedmieścia S. Honoryusza i świętego Germana, oraz w zamku, mówiono o tém zdarzeniu. Mocno broniono panią de Serizy, a całą winę przypisywano panu de Maulincourt. Jednakże wdały się w tę sprawę dostojne osoby, znakomitych sekundantów wyznaczono dwom przeciwnikom i użyto wszelkich środków ostrożności, aby żaden z nich nie poległ na placu.

August stanąwszy w obec swojego przeciwnika, człowieka światowego i któremu nikt nie zaprzeczał uczucia honoru, nie mógł widzieć w nim narzędzia Ferragusa. Ale ulegając niepojętym nieodgadnionym przeczuciom, zapytał się margrabiego:

—»Panowie, rzekł do sekundantów, nie odmawiam zaiste wystawić się na strzał pana de Ronquerolles, ale przedewszystkiem oświadczam żem uchybił, uczynię wymówki jakich żądać będzie odemnie, i publicznie nawet; ponieważ kiedy idzie o kobietę, podług zdania mojego, nie zdoła to przynieść niesławy człowiekowi honoru. Odwołuję się zatem do jego rozsądku i szlachetności, czy warto jest w teraźniejszych czasach po-

jedynkować się, kiedy dobra sprawa upaśdź może.

Pan de Ronquerolles nie przyjął tego usprawiedliwienia; wtedy jego przeciwnik powziął większe podejrzenie, zbliżył się do margrabiego i rzekł:

—»A więc panie Margrabio, daj mi wobec tych panów słowo honoru, że do pojedynku nie masz innego powodu prócz urazy wiadomej wszystkim.

—»Panie, nie masz prawa pytać się o to.

I pan de Ronquerolles stanął na miejscu. Umowiono się zawczasu, że dwaj przeciwnicy wymienią jeden tylko wystrzał. Pan de Ronquerolles mimo wyznaczonej odległości, która czyniła bardzo wątpliwym zgon barona, trafił go w piersi, kula przeszła o dwa palce niżej serca.

— »Zbyt dobrze mierzysz panie, rzekł oficer z gwardyi, sekundant Augusta, abyś miał mścić się za żart powiedziany o twojej siostrze.

Pan de Ronquerolles mniemał że August już nie żyje i nie mógł powściągnąć szyderczego uśmiechu na te słowa.

—»Siostra Juliusza Cezara, panie, nie powinna ulegać podejrzeniu.

—»A zawsze Juliusza!.. odpowiedział August.

Lecz zemdlał i nie mógł domówić uszczypliwego żartu, który skonał na jego ustach. Chociaż wiele krwi utracił, rana nie była niebezpieczną. Ciotka i stary hrabia, mieli około niego przez dwa tygodnie te starania, jakich nauczyć może długie tylko doświadczenie. Gdy już przyszedł do sił, ciotka wyjawiła mu, jak okropną niespokojnością napełnia ostatnie dni jéj życia. Odebrała list podpisany literą F, w którym donoszą jéj o niegodném postępowaniu jéj syna. Osadził na ulicy Menars starą kobietę, tam gdzie fiakry stawają, na pozór trudniącą się przedawaniem wody stangretom, a rzeczywiście wypatrywaniem pani Desmarets. Śledził wszystkie kroki człowieka, który mu nic złego nie uczynił i chciał przeniknąć jego tajemnice, kiedy od tych tajemnic, zależy los i życie kilku osób. On więc sam wywołał tę niemiłosierną walkę, w któréj już trzy razy zraniony, ulegnie niezawodnie. Pan de Maulincourt, nie może nawet uniknąć swego losu, chociażby przyrzekł, iż szanować będzie tajemnicę tych trzech osób, ponieważ nie podobna zawierzyć słowom człowieka, który bez przyczyny wszelkiemi sposobami uwziął się zakłócić życie niewinnej kobiety i szanownego starca.

List niczém był dla Augusta, obok wyrzutów pani de Maulincourt. Ubliżać uszanowania i ufności kobiecie! wdzierać się w jéj tajemnice, nie mając do tego prawa! Był to potok przewyborných przyczyn, które niczego nie dowodząc, niezmiernie rozgniewały barona i popchnęły go do ostatecznych kroków.

Natychmiast komandor pojechał do prefekta policyi, w imieniu pana de Maulincourt i nie wspominając nazwiska pani Desmarets, oświadczył, jaką obawę wzbudza w familii de Maulincourt, osoba nieznana, tak zuchwała, iż śmiała zaprzysiądz zgubę oficera gwardyi, w obec prawa i opieki rządu. Prefekt policyi przyrzekł, iż

wszystkich środków użyje i w krótce uwolni familią Maulincourt od tego nieprzyjacieia.

W kilka dni potém, naczelnik wydziału z biéra policyi, przyszedł do pana barona de Maulincourt i oświadczył mu że ten Bourignard, o którego się lękają, był skazanym na lat dwadzieścia do robot publicznych; że nie pojętym sposobem uciekł, gdy go prowadzono z innemi więźniami z Bicetre do Tulonu. Od lat trzynastu nadaremnie go szukano. Człowiek ten, którego życie pełne jest najciekawszych szczegółów, będzie ujęty jutro o ósméj rano, dzięki skazówkom dostarczonym przez pana de Maulincourt.

W trzy dni potém, baron nie wyczytując w dziennikach wiadomości o tém uwięzieniu, o którém zapewne nie zamilczeliby dziennikarze, zaczął się obawiać, lecz uspokoił go list następujący:

Panie Baronie!

»Mam zaszczyt donieść panu, iż teraz nie powinieneś mieć żądnéj obawy. Gracyan Bourignard, inaczéj zwany Ferragus, umarł dnia wczorajszego w swojém pomieszkaniu przy ulicy Joquelet pod Nr. 7. Nie wątpiemy bynajmniéj o jego tożsamości; zeznania wiarogodnych świadków i lekarza zupełnie nas przekonały...«

Pan de Maulincourt, jego ciotka i komandor odetchnęli swobodniéj. Dobra kobieta uściskała Augusta i podziękowała Bogu.

—»A więc, rzekł komandor, możesz teraz pojechać na bal; już się nie sprzeciwiam.

Pan de Maulincourt tém chętniéj pojechał iż na tym balu miała bydź także pani Desmarets. Była to zabawa, dana przez bankiera zagranicznego dworu. August przebiegał salony, szukając téj, która na jego życie tak wielki wpływ wywarła. Wszedł do budoaru pustego jeszcze, gdzie były stoliki do kart i usiadł na sofie, zajęty najsprzeczniejszemi myślami o pani Desmarets.

Jakiś człowiek wziął go za rękę, a baron osłupiał, ujrzawszy biedaką z owéj bramy, Ferragusa Jdy, mieszkańca ulicy Soly, Bourignarda, zbiegłego więźnia, umarłego w dniu wczorajszym.

—»Mości panie, ani słowa: rzekł Bourignard, głosem któregoby nikt inny prócz Augusta nie poznał. Ubrany był wytwornie i nosił order Złotego Runa.

—»Mości panie, rzekł głosem, który świszczał jak krzyk hyeny, upoważniasz wszystkie moje usiłowania. Zginiesz! tak bydź musi. Czy kochasz panią Desmarets, czy jesteś od niéj kochany? Jakiem prawem chcesz zakłócać jéj spokojność, oczerniać jéj cnotę?

Ktoś nadszedł. Ferragus wstał i chciał wyjść.

—»Czy znacie tego człowieka? zapytał się pan de Maulincourt, chwytając Ferragusa za kołnierz, ale Ferragus lekko uwolnił się z rąk jego, i wziąwszy pana de Maulincourt za włosy, szyderczo wstrząsnął mu głowę kilka razy.

—»Koniecznie więc potrzeba ołowiu, aby się ustatkowała, rzekł.

—»Nie znam osobiście, odpowiedział świadek téj sceny, ale wiem że

http://rcin.org.pl

to jest pan de Funcal, Portugalczyk bardzo bogaty.

Pan de Funcal zniknął. Baron pobiegł za nim, lecz nie mógł go dogonić a stanąwszy w przysionku ujrzał w świetnéj karecie, Ferragusa, który szyderczo śmiał się patrząc na niego i odjechał szybko.

—»Panie, proszę cię, rzekł August, wróciwszy do salonu, i zwracając mowę do tego który był świadkiem ich spotkania w budoarze, gdzie mieszka pan de Funcal?

—»Nie wiem, ale zapewne się dowiesz pan od gospodarza domu.

Baron zapytawszy się gospodarza, dowiedział się, że hrabia de Funcal mieszka w pałacu posła portugalskiego.

Wtenczas gdy jeszcze zdawało mu się, że czuje we włosach swoich zimne palce Ferragusa, ujrzał panią Desmarets w całym blasku piękności, świeżą, wesołą, jaśniejącą tym uroczystym wdziękiem, który go tak zachwycił. Ta istota piekielna dla niego, wzbudziła w jego sercu nie miłość już, ale nienawiść, a ta nienawiść straszliwa, krwawa, wybuchła w jego spojrzeniach. Upatrzył chwilę kiedy go nikt usłyszyć nie mógł i rzekł do niéj.

—»Pani! już po raz trzeci twoi siepacze tylko co inię nie zabili.

—»Co to ma znaczyć? odpowiedziała rumieniąc się. Wiem że spotkało pana kilka smutnych przypadków, których mocno żałowałam; ale jakiż miałam w nich udział?

—»Wiedziałaś więc, że człowiek z ulicy Soly nasadził na mnie swoich siepaczy?

—»Mości Panie!...

—»A teraz pani, nie sam jeden będę żądał od ciebie abyś zdała sprawę nietylko z mojego szczęścia ale z krwi mojéj.

W téj chwili, Juliusz Desmarets zbliżył się.

—»Cóż pan mówisz do mojéj żony?

—»Przyjdź pan dowiedzieć się u mnie, jeżeliś jest ciekawy.

Maulincourt wyszedł, zostawiwszy panią Dermarets bladą i na pół omdlałą.

III.

Oskarżona Kobieta.

Mało jest kobiet coby raz w życiu nie usłyszały z powodu niezaprzeczonego czynu, tego zapytania, które bez litości zadał im mąż, zapytania, którego sama obawa dreszczem przejmuje, którego pierwsze słowo przeszywa serce jakby ostrze sztyletu. Ztąd pochodzi to przysłowie: *Nie ma kobiety któraby nie skłamała.*

Z kobietą posiadającą sto trzydzieści siedem tysięcy sposobów powiedzenia NIE, a nieprzeliczone odmiany powiedzenia TAK, *tak* i *nie* czyliż nie byłoby jedném z najpiękniejszych dzieł dyplomatycznych, filozoficznych i moralnych, jakich nam jeszcze nie nie dostaje? Lecz aby dokonać to szatańskie dzieło, czyliż nie trzeba razem bydź mężczyzną i kobietą i dla tego nikt się nie odważy na nie. A potém, czyliż najlepiéj nie znają się na tém kobiety? Czy uważałeś kiedy, jak zmyślała kobieta? Patrzaj. Pani Desmarets siedziała w pra-

http://rcin

wym kącie powozu, jéj mąż w lewym. Poskromiwszy swoje wzruszenie, pani Desmarets przybrała spokojną postawę. Mąż nic jéj nie powiedział, i ciągle jeszcze milczał. Juliusz przyglądał się zaczerniałym ścianom domów obok których przejeżdżali; lecz nagle, jakby stanowczą popchniony myślą, na zakręcie ulicy spojrzał na żonę, któréj musiało bydź zimno, mimo tego iż obwinęła się futrem; uważał iż była zamyśloną, a może też tak było w rzeczy saméj. Ze wszystkich łatwo udzielających się rzeczy, zamyślenię i powaga są najzaraźliwsze.

—»Cóż ci takiego pan Maulincourt powiedział? spytał Juliusz. Czegóż to mam dowiedzieć się u niego?

—»Nic ci nie zdoła powiedzieć u siebie, c[illegible]ym ci teraz powiedzieć nie mog[illegible], powiedziała.

Potém z ową przebiegłością kobiecą, która zawsze niejaki uszczerbek czyni cnocie, czekała na powtórnę zapytanie.

Mąż znowu obrócił głowę ku domom, i znowu przypatrywał się bramom. Jeszcze jedno zapytanie, nie byłożby podejrzeniem, nieufnością? Podejrzenie jest tak wielką zbrodnią w miłości! Juliusz zabił już jednego człowieka, a nie miał jeszcze podejrzenia o żonie.

Klemencya nie pojmowała ile było prawdziwéj miłości i głębokiego namysłu, w milczeniu męża; podobnież Juliusz nie wiedział o cudownym dramacie dręczącym serce jego Klemencyi. A powóz toczył się po milczącym Paryżu, unosząc czułych małżonków, uwielbiających się kochanków. Z lekka oparci i prawie połączeni byli na jedwabnych poduszkach, a przecież przepaść rozdzielała ich od siebie.

W owych wykwintnych powozach, powracających z balu, między północą a drugą z rana, ileż to odbywa się dziwacznych scen? a tylko mówimy o powozach których latarnie oświecają ulice, o powozach prawéj miłości, w których stadła mogą się kłócić, nie lękając się wzroku przechodzących, gdyż akt ślubu dozwala kłócić się, bić, ściskać swoję żonę w powozie i wszędzie. Jleż tajemnic odkrywają owi nocni wędrownicy, owi młodzieńcy, co to przybyli na bal w powozie, a muszą z jakiéj bądźkolwiek przyczyny powracać pieszo!

Pierwszy to raz przytrafiło się Juliuszowi i Klemencyi siedzieć każde w swoim kącie. Zwykle mąż najczuléj przytulał się do żony.

—»Tak zimno!... rzekła Klemencya; lecz mąż nie słuchał, przyglądał się czarnym znakom po nad sklepami.

—»Klemencyo! rzekł nakoniec, wybacz mi zapytanie, które ci mam uczynić.

Przybliżył się, objął ją w pół i przysunął do siebie.

»O Boże! więc przyszliśmy już do tego!... pomyślała nieszczęśliwa.

—»Chcesz się zapewne dowiedzieć: rzekła, uprzedzając zapytanie, co mi powiedział pan Maulincourt? Wszystko ci powiem; ale nie opowiem bez trwogi. Możemyż mieć dla siebie jakowe tajemnice? Od kilku chwil widzę, iż się wahasz między miłością i niepewną obawą; lecz sumienie na-

sze nie jestże jasne, a twoje podejrzenia nie wydają ci się bardzo ciemnemi? Dla czegóż nie pozostać w jasności, która się zawsze lepiéj podoba? Gdy wszystko opowiem, będziesz żądał wiedzieć więcéj; a jednakże sama nie wiem co ukrywają osobliwsze słowa tego człowieka. Ach! wówczas może przyjdzie pomiędzy wami do nieszczęsnego pojedynku. Wolałabym raczéj abyśmy oboje zapomnieli o téj złéj przygodzie. Lecz w każdym razie musisz mi przysiądz, że będziesz czekał, aż ten osobliwy przypadek, sam przez siebie się wytłomaczy. Pan Maulincourt oświadczył mi, że owe trzy wydarzenia o których słyszałeś, kamień który spadł na jego służącego, wywrócenie karykla i pojedynek jego o panią Serizy, były skutkiem spisku, który uknowałam przeciwko niemu. Potém, zagroził mi, że ci odkryje, jaki powód skłonił mię do nastawania na jego życie. Czy pojmujesz choć trochę co to ma znaczyć? Pomięszanie moje pochodziło z wrażenia jakie na mnie uczyniła jego postać, nosząca piętno szaleństwa, oczy jego obłąkane i słowa gwałtownie przerywane wewnętrznem wzruszeniem. Wzięłam go za waryata. I to już wszystko. Nie byłabym kobietą, gdybym nie postrzegła iż od roku jestem celem namiętności Maulincourta. Widział mię tylko na balu, rozmawiał zemną tylko na balu, a rozmowa jego była mało znaczącą, jak zwykle balowa. Może nas chce poróżnić, aby mię znaleźć samą, bez obrony? Ach! już brwi marszczysz! O! jak szczerze nienawidzę świat!.. Tak jesteśmy szczęśliwi zdala od niego, pocóż go szukać? Juliuszu! błagam cię! daj mi słowo że zapomnisz o tém wszystkiem. Jutro dowiemy się bez wątpienia, że Maulincourt zwarjował.

»To rzecz szczególniejsza!... mówił Juliusz sam do siebie, wysiadając z powozu. Podał rękę żonie i weszli do swoich pokojów.

Pani Desmarets natchniona tą miłością prawdziwą, która, jak wszystkie istoty, posiada instynkt zachowania, nie naśladowała tych kobiet, które strojne i zalotne dla świata, nie mają żadnych strojów dla męża. Jéj sypialnia była umeblowana jak najwykwintniéj, była świętym przybytkiem gdzie nikt prócz męża i garderobiany wejśdź nie mógł. Jéj toaleta wieczorna niemniéj była wykwintna i wdzięczna, jak ubranie balowe, którém ćmiła wszystkie rywalki. Po téj rozmowie która ją dreszczem przenikła i ciągle wzbudzała w niéj jak najżywszą niespokojność, pani Desmarets miała jeszcze troskliwsze staranie o swojém ubraniu nocném; chciała bydź i była zachwycającą.... Ufna w swoje wdzięki, weszła drobnemi krokami i zasłoniła rękoma oczy Juliusza; był zamyślony, w szlafroku, łokieć oparł na murku od komina: i rzekła mu do ucha: — »O czém myślisz?

I ściskając go zręcznie, objęła rękoma aby go od złych myśli oderwać, gdyż kochająca kobieta zna całą władzę swoją, a im jest cnotliwszą, tém więcéj mają mocy jéj przymilenia.

—»O tobie!... odpowiedział.

—»O mnie saméj.

—»Tak jest.

http://rcin.org.pl

—»Ach! wątpię o tém mój przyjacielu.

Poszli na spoczynek.

Zasypiając, pani Desmarets pomyślała.

»Istotnie, pan de Maulincourt będzie sprawcą wielkiego nieszczęścia. Juliusz jest zamyślony, ukrywa przedemną swoje myśli.

Około godziny trzeciéj rano. Panią Desmarets obudziło przeczucie, które we śnie ścisnęło jéj serce. Miała razem moralne i fizyczne pojęcie nieobecności męża. Już nie czuła jego ręki na któréj spała od lat pięciu, szczęśliwa, spokojna, i któréj nie trudziła nigdy.

A przytém, jakiś głos powiedział jéj: Juliusz cierpi, Juliusz płacze....

Podniosła głowę, usiadła na łóżku i postrzegła męża, siedzącego przed kominkiem, z głową opartą na poręczy krzesła. Łzy płynęły po jego licach.

Żywo wyskoczyła z łóżka i za jednym rzutem usiadła na kolanach mężowi. — »Juliuszu, cóż ci to?... cierpisz,... mów, powiedz, powiedz mi!...

I w jednéj chwili wyrzekła sto wyrazów tchnących najsilniejszą miłością. Juliusz padł do nóg żonie, ucałował jéj kolana, jéj ręce i odpowiedział, znowu łzy roniąc:

—»Moja droga Klemencyo! jakże jestem nieszczęśliwym! Ten nie kocha kto nie ufa swojéj kochance, a ty zawsze jesteś moją kochanką; ubóstwiam cię i razem czuję podejrzenie. Wyrazy tego człowieka przeszyły mi serce i mimowolnie pozostały w niém. Jakaż tajemnica ukrywa się w tém wszystkiém..? Nareście, wstydzę się tego, ale nie zaspokoiła mię twoja odpowiedź. Mój rozum daje mi objaśnienie które odpycha moja miłość... Jest to okropna walka. Czyliż mogłem spoczywać przy tobie, mając podejrzenie, że w twojéj głowie są myśli o których ja nie wiem?

»Ach wierzę ci! wierzę! zawołał, widząc iż się uśmiechnęła smutnie i chciała odpowiedzieć. Nie mów nic, i nic mi nie wyrzucaj. Zabiłoby mię jedno słowo twoje. Oprócz tego, czyliżbyś mógła powiedzieć mi co więcéj nad to, com już sam sobie od trzech godzin powiedział? Tak jest, od trzech godzin spoglądam na ciebie, śpiącą, tak spokojną, tak piękną, na twoje czoło tak czyste i tak pogodne. Ach! zawsze wyjawiałaś mi wszystkie myśli twoje, nie prawdaż..? Ja sam zajmuję twoją duszę. A wpatrując się w twoje oczy, widzę w nich wszystko. Twoje życie zawsze tak jest czystém, jak twoje spojrzenie. Nie, nie ma tajemnicy za tém okiem tak jasném, tak pogodném.

Wstał i spuścił oczy.

»Dozwól, niechaj wyznam przed tobą, że od lat pięciu przez to wzrastało codzień szczęście moje, iż wiedziałem, że nie masz żadnego z tych przyrodzonych związków, które zawsze cokolwiek uwłaczają miłości; że nie miałaś ani siostry, ani ojca, ani matki, ani towarzyszki; że nikt nie był w twojém sercu, ani wyżéj, ani też niżéj jak ja; byłem sam. Klemencyo, powtórz mi to zapewnienie, pociesz mię, jestem nieszczęśliwym. Zaiste! wyrzucam sobie obmierzłe podejrzenie, a twego serca czyliż także nic nie udręcza? Moja ulubiona, powiedz, czy-

http://rcin.org.pl

liż mógłbym tak pozostać przy tobie? Jakimże sposobem nasze dwie głowy tak ściśle złączone, mogłyby spoczywać na jednéj poduszce, pod czas kiedy jedna cierpi, a druga jest spokojną.

—»O czemże myślisz!.. zawołał nagle, widząc Klemencyą zmieszaną, przerażoną i nie mogącą wstrzymać się od łez.

—»Myślę o mojéj matce: odpowiedziała poważnym tonem. Nie wiesz Juliuszu, jakiéj boleści doznaje kobieta zmuszona przypomnieć sobie śmiertelne pożegnanie matki, słuchając lubego głosu twojego, i myśléć o uroczystém uściśnięciu jéj rąk zlodowaciałych wtenczas, gdy czuję twoje uściśnięcia, gdy mię obsypujesz dowodami najczulszéj miłości.

Podniosła męża, uścisnęła go z siłą gorączkową, daleko mocniéjszą od siły mężczyzny, ucałowała jego włosy i oblała je łzami.

—»Ach! dałabym żywcem pokrajać się dla ciebie. Juliuszu! powtórz mi, powtórz!.. iż cię uszczęśliwiam, że jestem dla ciebie najpiękniéjszą z kobiet... Ale jesteś kochanym, jak żaden człowiek kochanym nie będzie... nie przestanę cię kochać aż do ostatniego tchnienia mego. Mam niejaką dumę w mojéj miłości i sądzę że mojém przeznaczeniem jest, abym jednego tylko uczucia w życiu doświadczyła. To co ci powiem jest może okropnością; ale cieszę się że nie mam dzieci, nie pragnę ich nawet. Czuję, że bardziéj jestem małżonką niżeli matką. I cóż, jeszcze się lękasz? Posłuchaj mię, przyrzecz iż zapomnisz, nie o téj godzinie pomieszanéj z powątpiewaniem i czułością, ale o wyrazach tego szaleńca. Juliuszu! żądam tego; przyrzecz mi iż nie zobaczysz się z nim, że nie pójdziesz do niego. Jestem przekonana, że jeśli jeden krok daléj postąpisz w tym labiryncie, wpadniemy w przepaść w któréj zginę, ale twoje imie będzie i wtenczas na moich ustach, twoje serce w mojém sercu. Dla czegóż tak wysoko stawiasz mię w twojém sercu, a tak nisko w rzeczywistości? Dla czegóż ty, który tylu osobom, kredytujesz więcéj niż ich majątek wynosi, nie podarujesz mi jednego podejrzenia; a gdy po raz pierwszy możesz dowieśdź mi zaufania bez granic, chceszli mię wyrzucić z twojego serca? Między mną a szaleńcem, szaleńcowi dajesz wiarę. Ach! Juliuszu!..

Zatrzymała się, odgarnęła włosy spadające na jéj czoło i szyję, rozdzierającym głosem przydała.

—»Za wiele rzekłam, jedno słowo powinno wystarczyć. Jeżeli w twojéj duszy jeszcze jest chociażby najlżéjszy cień podejrzenia, nie przeżyłabym tego.

Nie mogła powściągnąć drżenia, zbladła.

—»Ach! zabiję tego człowieka, rzekł do siebie Juliusz. »Spijmy spokojnie mój aniele, zapomniałem o wszystkiem, przysięgam ci.

Klemencya usnęła na to słodkie zapewnienie, jeszcze słodziéj powtórzone. A Juliusz patrząc na śpiącą, rzekł:

Ma słuszność. Kiedy miłość jest tak czysta, najmniejsze podejrzenie skazić ją może. Dla téj duszy tak świeżéj, dla tak delikatnego kwiatu, skażenie jest śmiercią.

http://rcin.org.pl

Gdy jaka okoliczność zachmurzy pożycie dwojga kochających się istot, chociaż się chmura ta rozproszy, zawsze pozostawi w duszy kilka śladów przejścia swojego. Wtedy, albo czułość stanie się żywszą, jak ziemia jest jeszcze piękniejszą po deszczu, albo też wstrząśnienie daje się uczuwać jeszcze, jak daleki grzmot na czystém niebie. Niepodobna wrócić do dawniejszego stanu; miłość musi wzrość albo zmniejszyć się

Przy śniadaniu, państwo Desmarets okazywali sobie na wzajem tę troskliwość z którą łączy się trochę przesady. Były to spojrzenia pełne przymuszonéj prawie wesołości, jak u ludzi usiłujących zwodzić samych siebie. Juliusz miał poniewolne powątpiewania: jego żona, uzasadnioną obawę. Jednakże, ufając jedno drugiemu, spali przez resztę nocy. Ten przymus, czyliż pochodził z braku zaufania i wiary, czy też był skutkiem ich nocnéj rozmowy? Sami nie wiedzieli tego. Ale kochali się, kochali się zbyt czystą miłością, iżby wrażenie téj nocy razem dobroczynne i okrutne, nie zostawiło jakiego śladu w ich duszy; wtedy pragnąc go zatrzeć, nie mogli wstrzymać się od pomyślenia o pierwotnéj przyczynie ich pierwszéj niezgody.

Dla serc kochających nie są to zmartwienia; daleko jest jeszcze do boleści; lecz jest to rodzaj żałoby trudnéj do odmalowaaia. Jeźli są stosunki między kolorami a wzruszeniami duszy, jeźli, jak powiedział niewidomy w dziełach Locka, szkarłat musi takie same wrażenie czynić na oku, jakie trąba czyni na słuchu; możnaby tę smętność do szaréj barwy przyrównać. Ale miłość zasmucona, miłość któréj pozostaje uczucie szczęścia zakłóconego na chwilę, udziela nowych rozkoszy. Juliusz zważał na głos żony swojéj, śledził jéj spojrzenie, z tém uczuciem młodém, jakie przejęło go w pierwszéj chwili gdy ją poznał i pokochał. A wspomnienia pięciu lat najszczęśliwszego pożycia, piękność Klemencyi, prostota jéj przywiązania, zatarły prędko ostatni ślad nieznośnéj boleści.

Nazajutrz była niedziela: w tym dniu nie ma ani giełdy ani interesów; dwaj małżonkowie przepędzili go razem, ściśléj łącząc swoje serca niż kiedykolwiek, podobni do tych dwojga dzieci, które w chwili przestrachu ściskają się i tulą się do siebie powodowane instynktem. Są w pożyciu małżeńskiém takie dni zupełnie szczęśliwe, z przypadku wynikłe, nie łączące się ani z dniem wczorajszem ani z jutrem, podobnie jak kwiaty dzień tylko jeden trwające. Juliusz i Klemencya rozkosznie ich używali, jak gdyby przeczuwając, że to jest ostatni dzień ich życia miłości.

Jakież imie nadać téj nieznanéj potędze, która przyspiesza kroki podróżnych, wprzódy jeszcze nim się burza objawi; która umierającego obleka pięknością i życiem na kilka dni przed śmiercią i podaje mu najprzyjemniejsze zamiary; która doradza uczonemu, aby podniósł lampę nocną w chwili kiedy go doskonale oświeca; która każe obawiać się matce, spojrzenia rzuconego na dziecię przez zbyt przenikliwego człowieka? Wszyscy doznajemy jéj wpływu w małych czy w wielkich katastrofach życia, a

http://rcin.org.pl

jeszcześmy jéj nie nazwali, nie wybadali; jest więcéj niż przeczuciem, a nie jest nadprzyrodzonem widzeniem.

Wszystko poszło dobrze aż do jutra.

W poniedziałek, Juliusz Desmarets jadąc o zwyczajnéj godzinie na giełdę, zapytał się żony, jak zawsze, czy zechce przejechać się jego powozem.

—»Nie, rzekła, nie piękna jest pogoda.

W rzeczy saméj deszcz ulewny padał.

Około w pół do drugiéj pan Desmarets wyjechał do banku.

O czwartéj wychodząc z giełdy, spotkał pana de Maulincourt, który czekał na niego z tą wytrwałością, jaką nadaje nienawiść i zemsta.

—»Mam udzielić panu bardzo ważnych wiadomości, rzekł oficer biorąc go pod rękę. Posłuchaj mię: nie myślę zakłócać spokojności pana, bezimiennemi listami; wolałem rozmówić się z panem. Gdyby nie szło o moje życie, nie wdawałbym się zapewne w stosunki dwojga małżonków, chociażbym nawet miał jakie prawo do tego.

—»Jeźli to co mi pan masz powiedzieć, dotyczy się pani Desmarets: odpowiedział Juliusz: proszę pana abyś milczał.

—»Gdybym milczał mości panie, mógłbyś wkrótce ujrzyć żonę twoją przed sądem przysięgłych, obok złoczyńcy zbiegłego z galer. Mamże milczeć?

Juliusz zbladł, ale dorodna twarz jego, prędko odzyskała udaną spokojność; odprowadził oficera w galerye giełdy i rzekł głosem pokrywającym głębokie wewnętrzne wzruszenie.

—»Panie! będę cię słuchał; ale jeden z nas zginie na placu, jeżeli...

—»Ach! pozwalam na to, zawołał pan de Maulincourt, mam bowiem dla pana jak największy szacunek. Mówisz pan o śmierci? Zapewne nie wiesz, że twoja żona może kazała mię otruć onegdaj wieczorem; gdyż od dnia onegdajszego, dzieje się we mnie coś nadzwyczajnego; czuję febrę, śmiertelne drętwienie, a wiem kogo spotkałem na balu.

Wtenczas, pan de Maulincourt opowiedział, nie opuszczając ani jednéj okoliczności, swoją miłość platoniczną i szczegóły przygody opisanéj na początku téj powieści.

Każdy byłby go słuchał z takąż samą uwagą jak ajent banku; ale mąż pani Desmarets miał prawo bardziéj dziwić się niż ktokolwiek bądź w świecie. Wtedy rozwinął się jego charakter; bardziéj go zdziwiła niż zniekała ta wiadomość. Zostawszy sędzią, sędzią kobiety którą ubóstwiał, znalazł w duszy swojéj prawość i niezgiętość sędziego. Jeszcze był kochankiem i więcéj myślał o téj kobiecie, niżeli o skruszoném szczęściu swojém; usłuchał nie już własnéj boleści, lecz dalekiego głosu, który nań wołał:

»Klemencya nie zdołałaby skłamać!.. Dla czegóżby cię zdradzała!..

—»Mości Panie, rzekł August skończywszy opowiadanie, pewnym będąc, że w sobotę wieczorem poznałem w panu de Funcal owego Ferragusa, którego policya za umarłego

http://rcin.org.pl

poczytuje, natychmiast wyprawiłem w jego tropy zręcznego człowieka. Wracając do domu, przypomniałem sobie szczęśliwym trafem nazwisko pani Mejnardie wzmiankowane w liście téj Idy, domniemanéj kochanki mego prześladowcy, a za pomocą téj jedynéj skazówki, mój wysłaniec prędko zda sprawę z téj okropnéj przygody; zręczniéj bowiem zdoła odkryć prawdę, niżeli policyą.

—»Mości panie, odpowiedział bankier, nie mogę ci podziękować za to odkrycie. Mówisz że okażesz dowody i świadków, będę więc czekał. Będę odważnie ścigał prawdę w téj nadzwyczajnéj sprawie, ale pozwolisz mi abym wątpił, dopóki nie przekonam się o rzeczywistości. W każdym przypadku mieć będziesz zadosyć uczynienie, czujesz bowiem iż go obydwa potrzebujemy.

Pan Desmarets wrócił do domu.

—»Cóż ci to jest Juliuszu? rzekła do niego żona; tak jesteś blady.

—»Zimno jest na dworze, rzekł, chodząc wolnym krokiem po tym pokoju, gdzie wszystko tchnęło szczęściem i miłością, po tym pokoju tak cichym, gdzie zbierała się morderczа burza.

—»Nie wychodziłaś dzisiaj?.. rzekł machinalnie na pozór, ale popchnięty do tego zapytania, ostatnią z tysiąca myśli, które tajemnie przesunęły się jedna za drugą, w rozmyślaniu jasném, chociaż mocno przyśpieszonem przez zazdrość.

—»Nie, odpowiedziała fałszywym głosem niewinności.

W téjże chwili, Juliusz postrzegł w gabinecie żony, kilka kropel wody na axamitnym kapeluszu, który zwykle nosiła rano. Pan Desmarets był człowiekiem gwałtownym, ale razem i delikatnym, czuł wstręt od zadania żonie kłamstwa w żywe oczy: w takiém położeniu wszystko skończyłoby się dla niego. Jednakże, te krople wody były dla niego jakoby promieniem światła, rozdzierającym mózg jego. Wyszedł z pokoju, zbiegł do odźwiernego i rzekł, zapewniwszy się że jest sam:

—»Fouquerau, sto talarów dochodu aż do śmierci, jeżeli powiesz prawdę; wypędzę cię jeżeli mię zwodzisz; a nic nie dostaniesz, jeźli powiedziawszy prawdę, wspomnisz komu o mojém zapytaniu i odpowiedzi.

Zatrzymał się, i aby dobrze wpatrzyć się w twarz odźwiernego, przyciągnął go do światła i rzekł:

—»Czy pani wychodziła dziś rano?

—»Pani wyszła o kwadrans na trzecią, a wróciła przed półgodziną.

—»Czy to jest prawda? na twoje sumienie?

—»Tak jest panie.

—»Mieć będziesz przyrzeczony dochód; a jeźli się wygadasz, pamiętaj o mojéj obietnicy, wtenczas wszystko stracisz.

Juliusz powrócił do żony.

—»Klemencyo, rzekł do niéj, potrzebuję trochę urządzić wydatki domowe, niechaj cię więc nie obraża moje pytanie.

»Dałem ci czterdzieści tysięcy franków, od początku roku?

—»Więcéj, rzekła, czterdzieści siedem.

—»Czy mogłabyś wskazać mi ich użycie?

—»Tak jest, rzekła, zapłaciłam wiele rachunków z roku zeszłego.

»Tym sposobem niczego się nie dowiem: rzekł do siebie, źle się wziąłem.

W téj chwili kamerdyner oddał mu list...

Otworzył go, a spojrzawszy na podpis, chciwie przeczytał.

Panie!

»Dla spokojności pana i naszéj, umyśliłam pisać do niego, chociaż nie mam zaszczytu bydź mu znaną; ale moje położenie, mój wiek i obawa nieszczęścia, zniewalają mię prosić pana, abyś raczył mieć wyrozumiałość w przykrym wypadku, w jakim się znajduje nasza stroskana familia. Pan August Maulincourt dał od kilku dni dowody obłąkania umysłu i lękamy się, aby nie zakłócił szczęścia pana przez urojenia, o których mówił mnie i panu komandorowi de Pamiers, w dawniejszym paroxyzmie gorączki. Uprzedzamy więc pana o jego słabości, z któréj zapewne jeszcze wyjść zdoła. Ma ona tak ważne i tak wielkie skutki dla honoru naszéj familii i losu mego synowca, iż spodziewam się że o niéj zamilczeć zechcesz. Gdyby pan komandor, albo ja, mogliśmy pojechać do domu pana, nie bylibyśmy pisali tego listu; lecz nie wątpię, iż pan zechcesz mieć wzgląd na prośbę moją, i ten list spalisz.

Racz przyjąć zapewnienie
wysokiego szacunku
Baronowa *de Maulincourt.*
z domu de Rieux.

(Dokończenie w następującym zeszycie).

DYLIŻANS PAROWY.

(z ryciną.)

z *francuzkiego.*

Lubo we Francyi, nie tak prędko jak w Anglii i Stanach Zjednoczonych zaprowadzono koleje żelazne, jednakże bardzo jesteśmy oswojeni ze wszystkiemi szczegółami tych dróg: tyle bowiem od dwunastu lat czytaliśmy opisów i tyle różnych wzorów widzieli. Dla tego już, o nie tak pospolitym przedmiocie chcę wspomnieć czytelnikom, lecz o parze użytéj do powozów na drogach zwyczajnych. To zastósowanie jest zupełnie nowe i tyle zrobiło postępu, że już jest niewątpliwém; możemy więc dziś o niém mówić jak o wynalazku zupełnie nowym.

Zalety pojazdów parowych na żelaznych kolejach cudownemi nazwać możemy, a jednakże mają swoje niedogodności. Głównym warunkiem jest, aby szły po płaszczyźnie horyzontalnéj, bo gdy grunt nie jest równy, koszta ustawienia kolei żelaznych powiększają się niezmiernie. Wymijanie także nie może odbywać się na oznaczonych miejscach, a jeśli policzymy koszta pierwszego zakładu i zakupienie gruntu, przez który droga żelazna iśdź musi; można będzie pojąć, że sprawiedliwie usiłowano dokazać tego, aby powozy parowe szły po zwyczajnych traktach. Chociaż nie lecą tak szybko jak na kolejach żelaznych, jednakże daleko taniéj kosztuje podróż takim powozem, w miejscach, gdzie węgiel ziemny znajduje się w obfitości. O-

http://rcin.org.pl

prócz tego, przekonano się, że podkowy końskie daleko więcéj psują szosse, niż koła, a zatém i w tém względzie jest znaczna korzyść.

Inżynier angielski Gournej, pierwszy doświadczał użycia pary do powozów iadących po szosse. Po kilkakrotnych próbach, zwyciężył wszystkie trudności, a mianowicie co do zabezpieczenia się, aby przez uderzanie po kamieniach kocioł nie pękł i nie naraził na zgubę i powozu i życia podróżnych. Dyliżans parowy wynalazku pana Gournéj, jeździł od Glocester do Chestenham, miast odległych od siebie o trzy mile fran: Machina ta, odbywała drogę cztery razy na dzień i w przeciągu trzech miesięcy przewiozła trzy tysiące podróżnych, za połowę téj opłaty, jaką pobierają dyliżanse zwyczajne. Przypadkiem zepsuł się wóz i przestał chodzić, zapewne dla braku dostatecznego zysku.

Cożkolwiek bądź, czyniono inne próby mniéj lub więcéj pomyślne i tak dalece przekonano się, że mogą chodzić powozy parowe po zwyczajnych drogach, iż parlament wyznaczył komitet dla zdania sprawy w tym przedmiocie. Ten komitet oświadczył, iż wozy parowe mogą ujeżdżać dziesięć do dwunastu mil angielskich na godzinę (przeszło półtory mili polskiéj) a mieścić trzydzieści do czterdziestu osób; te powozy mogą znieść dość znaczny ciężar, nie grożą niebezpieczeństwem dla podróżnych, bez trudności wjeżdżają pod górę, ze wszystkich względów lepsze są od wozów ciągnionych końmi i nietylko że nie psują dróg, ale jeszcze przykładają się do ich utrzymania. Dziś znajduje się w Anglii wiele takich powozów, w których machina parowa łączy się z pudłem. Był to pierwszy sposób wynaleziony przez pana Gournéj.

Jeden z najnowszych dyliżansów parowych, gdyż dopiero w Listopadzie roku 1833 chodzić zaczął, jest ten, którego rycinę załączamy. Wynaleziony przez pana Church, posiada mechanizm trafny i prosty, i już bardzo zbliżony ku doskonałości. — Chodzi z Londynu do Birmigham, i może mieścić do pięćdziesięciu podróżnych; aparat parowy wewnątrz zawarty, ma siłę sześćdziesięciu koni i nie wydaje dymu. Cały ciężar powozu z machiną i z potrzebnym zapasem węgli, nie przenosi pół czwartéj beczki; koła są bardzo szerokie, a kocioł zabezpieczony jest od wybuchu, za pomocą klap bezpieczeństwa, bardzo zręcznie urządzonych. Pudło, spoczywa na resorach i nosi bardzo lekko.

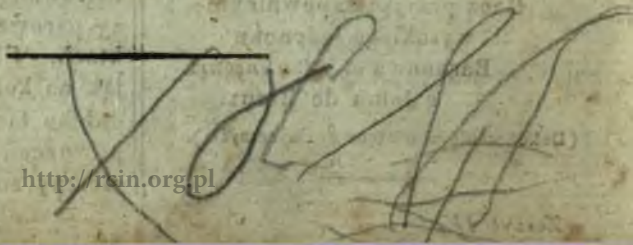

http://rsin.org.pl

SCENA Z ŻYCIA PARYŻKIEGO.

z Dzieł Balzaka.

PO CÓŻ CHCIAŁ WIEDZIEĆ?

(Dokończenie.)

»Co za męczarnie! zawołał Juliusz po przeczytaniu listu.

—»Ale cóż ci się dzieje? rzekła jego żona, z największém udręczeniem.

—»Doszedłem do tego stopnia, odpowiedział Juliusz, iż zapytuję się sam siebie; czyli nie ty przysłałaś mi to ostrzeżenie: rzekł, rzucając jéj list. Tak więc, sądź ile cierpię!..

—»Nieszczęśliwy!.. rzekła pani Desmarets, a list wypadł jéj z ręku: żałuję go chociaż mi tyle złego wyrządził.

—»Wiesz zatém iż mówił ze mną?

—»Ach! widziałeś się z nim, mimo przyrzeczenia twojego!.. rzekła uderzona przestrachem.

—»Klemencyo! nasza miłość zginąć może; jesteśmy za obrębem zwyczajnych prawideł życia, porzućmy więc drobne względy, pośród wielkich niebezpieczeństw. Posłuchaj mnie! Powiedz dla czego wychodziłaś dziś rano. Kobiety sądzą iż czasem w drobnych okolicznościach mogą kłamać przed nami; wszakże częstokroć lubią ukrywać przyjemność, którą dla nas gotują? Przed chwilą powiedziałaś bez wątpienia jedno słowo za drugie; nie, zamiast tak jest!.. Wszedł do gabinetu i przyniósł kapelusz.

—»Patrz, nie chcę odgrywać roli zazdrosnego Bartola, ale cię twój kapelusz zdradził. Te plamy czyliż to nie są krople deszczu? a więc wyjechałaś fiakrem, i te krople deszczu, spadły na twój kapelusz, bądź wtenczas kiedyś wsiadała do pojazdu, bądź też przy wnijściu do tego domu, gdzieś była. Ale kobieta może wyjść z domu w bardzo niewinnéj myśli, nawet powiedziawszy mężowi, że nie wyjdzie. Tyle jest powodów do zmienienia przedsięwzięcia. Nie potrzebujecie tak ściśle trzymać się tego, co raz powiecie. Może zapomniałaś o jakich odwiedzinach, o wyświadczeniu jakiéj przysługi, o jakim sprawunku, ale nic nie przeszkadza żonie do wyznania przed mężem co robiła. Przyjacielowi można wszystko bez zapłonienia powiedzieć. Otóż, nie mówi do ciebie mąż zazdrosny, Klemencyo, ale kochanek, brat, przyjaciel.

Z namiętnością padł jéj do nóg.

»Mów, nie dla usprawiedliwienia się, lecz dla uspokojenia moich okropnych cierpień? wiem żeś wyszła, gdzież więc i po co?

—»Tak jest, wyszłam Juliuszu, odpowiedziała zmienionym głosem, chociaż jéj twarz była spokojną. Ale nie pytaj się o co więcéj. Czekaj z zaufaniem, gdyżbyś nabawił się wiecznych zgryzot. Juliuszu! mój Juliuszu! zaufanie jest cnotą miłości. Wyznaję, tak jestem zmieszaną w téj chwili, iż ci odpowiedzieć nie mogę; ale nie jestem podstępną kobietą, kocham cię, wiesz o tem.

—»Pośród wszystkiego co może zachwiać zaufanie człowieka i obudzić zazdrość, gdyż nie zajmuję pierwszego miejsca w twoim sercu, nie jestem połową ciebie saméj... Klemencyo, wolę jeszcze wierzyć tobie, wierzyć głosowi twojemu, wierzyć twoim

spojrzeniom! Jeśli mię zwodzisz, zasłużyłabyś...

—»Ach! na tysiąc śmierci, rzekła przerywając mu.

—»Ja nie ukrywam tobie żadnych myśli, a ty...

—»Przestań, rzekła, nasze szczęście zależy od naszego wzajemnego milczenia.

—«Ach! chcę wszystko wiedzieć, zawołał gwałtowną uniesiony zazdrością.

W tém, krzyki kobiece dały się słyszeć, a głos piskliwy doszedł z przedpokoju aż do dwójga małżonków.

—»Wnijdę powiadam ci, tak jest wnijdę, muszę ją widzieć!

—»Juliusz i Klemencya wbiegli do salonu, którego podwoie otworzyły się z gwałtownością i weszła młoda kobieta, a za nią dwóch służących, którzy rzekli do pana Desmarets.

»Ta kobieta gwałtem weszła; powiedzieliśmy jéj że nie ma pani; odpowiedziała, iż wie dobrze o tém że pani wychodziła, ale że już powróciła, i grozi nam, że czekać będzie przed bramą domu, dopóki się z panią nie rozmówi.

—»Oddalcie się, rzekł pan Desmarets do służących.

—»Czego panna żądasz, przydał, odwracając się do nieznajomej.

Ta *panna* była wzorem jaki tylko w Paryżu napotkać można, jak bruk paryzki, jak woda z Sekwany wyrabiająca się w Paryżu w wodo-zbiorach, przez które przesącza się dziesięć razy nim ją naleją w kryształowe karafki, w których śklni się jasna i czysta, z błotnistéj jaką była: dla tego też, jest to istota w rzeczy saméj oryginalna. Mało dwadzieścia razy kreślona pędzlem artysty i rysownika karykatur, nigdy wiernie wystawioną nie będzie. W rzeczy saméj jednym tylko promieniem łączy się z zepsuciem, oddala się zaś od niego tysiącem innych; dozwala odgadnąć jeden rys tylko charakteru swojego, ten co ją czyni naganną: jéj dobroć, jéj przymioty zostają w ukryciu; szczyci się ze swojéj płochości. Aż nazbyt dobrze wyobraża stolicę Francyi, której dostarcza ku schyłkowi życia, praczek, kobiet do posługi, żebraczek, a czasem też w młodéj lat porze, zuchwałych i marnotrawnych hrabin, uwielbianych aktorek, wybornych śpiewaczek, a niegdyś za Ludwika XV, jeszcze nawet i wyżéj sięgać mogła.

Była to dziewczyna paryzka, ale w całéj swojéj świetności; wesoła, młoda, piękna, świeża, śmiała jak hiszpanka, kłótliwa jak angielka kiedy się dopomina o swoje małżeńskie prawa, zalotna, gotowa na wszystko, prawdziwa lwica wychodząca z małéj swojéj izdebki, gdzie tylekroć marzyła o firankach z ponsowego merynosu, o meblach morą wybitych, o serwantce zastawionéj porcelaną, o zwierciedle w złotych ramach, o zegarze alabastrowym, zgoła o wszystkich przyjemnościach swego sposobu życia.

—»Nazywam się Jda, rzekła, a jeżeli mam honor mówić z panią Desmarets, przyszłam po to, aby jéj wypowiedzieć wszystko co mi cięży na sercu. Jest to bardzo niepięknie, kiedy kto mając już męża i majątek, wy-

dziera ubogiéj dziewczynie mężczyznę, z którym zawarła małżeństwo moralne, który przyrzekł mi iż się ze mną ożeni. Nie brak ładnych chłopców w Paryżu. Nie prawdaż panie?

Pani Desmarets obróciła się do męża.

—»Pozwolisz mi pani Desmarets, abym nie słuchała dłużéj.

I weszła do swojego pokoju.

—»Jeźli ta dama jest żoną pana, zrobiłam głupstwo jak widzę, ale tym gorzéj; dla czegóż bywa codzień u pana Ferragusa?

—»Mylisz się mościa panno, moja żona nie mogłaby....

—»O! to tym gorzéj mój panie, iż ma stosunki z człowiekiem już nie młodym, bo nareście pan Henryk...

—»Co! pan Henryk, rzekł Juliusz prowadząc Idę do drugiego pokoju, aby jego żona dosłyszeć nie mogła.

—»Ferragus...

—»Ale on już umarł! rzekł Juliusz.

—»Co za bajki! byłam z nim razem w cyrku Frankoniego. Żona pana może powiedzieć jak się on ma. Czyliż nie była u niego o godzinie trzeciéj? wiem o tém, czekałam na nią na ulicy. Pan Justyn, grzeczny staruszek, którego pan znasz może, ostrzegł mię iż mam rywalkę. Henryk jest tak bogaty, iż może zadosyć uczynić jéj wszystkim fantazyom. Ja bronię mojéj własności i mam do tego prawo, gdyż kocham Henryka. Jest to moja *pierwsza* miłość; idzie o mój los. Nie boję się niczego, jestem uczciwą mości panie, nigdym nie skłamała i nie przywłaszczyłam sobie niczyjego dobra, gotowa jestem zabić moją rywalkę, bo...

—»Dosyć! dosyć! rzekł Juliusz: gdzież Waćpanna mieszkasz?

—»Przy ulicy Corderie pod nr: 14, Ida Gruget, robię gorsety na usługi pana.

—»A gdzież mieszka człowiek którego nazywasz Ferragusem?

—»Ależ panie! rzekła przygryzując sobie usta, nie jest to człowiek pospolity. Jest on może bogatszym od pana. I dla czegóż pytasz się o jego pomieszkanie, kiedy żona pańska wie o niém? Powiedział mi, abym go nie wskazywała. Bogu dzięki! nikt mię tu nie ma prawa zapytywać, i zależę tylko od siebie saméj.

—»A gdybym ci dał dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści tysięcy franków, abyś mi powiedziała gdzie mieszka pan Ferragus?

—»Ba i bardzo! zawołała, łącząc gminny gest z tą odpowiedzią. Za żadne pieniądze nie powiem tego. Bądź mi pan zdrów. Którędyż wychodzi się z tąd?

Juliusz przerażony dozwolił odejść téj dziewczynie. Zapomniał o wszystkiém; zdawało mu się, że świat zawala się pod nim.

—»Już na stole, rzekł kamerdyner.

Kamedyner i lokaj czekali przeszło kwadrans w jadalnym pokoju: państwo nie przyszli.

—»Pani jeść nie będzie, rzekła garderobiana.

—»Cóż się to stało Józefino? rzekł lokaj.

—»Nie wiem, odpowiedziała. Pani płacze i położy się w łóżko. Pan zapewne musiał mieć jaką intrygę na mieście, a to się wydało... czy rozumiesz?.. Nie zaręczyłabym za życie pa-

http://rc

ni. Wszyscy mężczyzni tak są niezgrabni! Narobią hałasu bez żadnego przygotowania.

—»Bynajmniéj: odpowiedział kamerdyner po cichu: przeciwnie, pani to... rozumiesz z resztą... Kiedyż pan miałby czas bujać po mieście, on, który od lat pięciu nie sypia za domem, idzie do gabinetu o dziesiątéj i wychodzi z niego w południe? Żyje jak najregularniéj, jego zaś żona co dzień wychodzi o trzeciéj, nie wiadomo dokąd.

—»I pan także.

—»Pan jedzie na giełdę. Już po trzeci raz oznajmiłem że dano na stół: rzekł kamerdyner, mówię jak do muru.

Pan Desmarets wszedł.

—»Gdzież jest pani?

—»Pani kładzie się do łóżka, cierpi na ból głowy: odpowiedziała garderobiana.

—»Możecie sprzątnąć, zostanę przy pani.

Wszedł do pokoju żony; płakała i chustką tłumiła swoje łkania.

Dla czegóż płaczesz? rzekł do niéj Juliusz; nie lękaj się odemnie ani gwałtowności ani wyrzutów. Dla czegóżbym się mścił? Jeżeli nie byłaś wierną miłości mojéj, to dla tego żeś na nią nie zasługiwała.

—»Nie zasługiwałam!...

Te słowa wyrzekła pośród łkań, a ich akcent byłby zmiękczył najzawziętszego nawet.

—»Aby cię zabić, byłoby trzeba kochać cię więcéj może niż ja cię kocham: mówił daléj: ale nie miałbym tyle odwagi i raczéj sambym się zabił zostawiając cię twojemu szczęściu i.... i komuż?...

—»Zabiłbyś się! zawołała Klemencya padając do nóg Juliusza i obejmując je.

Ale on chciał się wyrwać z jéj rąk, i podniósł żonę ciągnąc ją aż do łóżka.

—»Puść mię, rzekł:

—»Nie, nie, Juliuszu, wołała. Umrę jeżeli mię nie kochasz! Chceszli wszystko wiedzieć?

—»Tak jest.

—»Wtedy uścisnął ją gwałtownie, usiadł na krawędzi łóżka i spoglądając suchém okiem na tę piękną twarz zapłonioną jak karmazyn, ale pokrajaną brózdami łez, rzekł:

—»No mów.

Znowu płakać zaczęła.

—»Nie, to jest tajemnica życia i śmierci, a gdybym ją wyznała... Nie, nie mogę. Zlituj się Juliuszu!

—»Zwodzisz mię zawsze.

—»Ach! Tak iest Juliuszu, możesz mniemać że cię zwodzę, ale jutro dowiesz się o wszystkiem.

—»Ależ ten Ferragus, ten zbiegły więzień, do którego chodzisz, ten człowiek zbogacony zbrodniami, jeżeli nie jest twoim kochankiem, jeżeli nie należysz do niego?

—»Ach! Juliuszu!...

—»I cóż? jestże to ów nieznany dobroczyńca, ten, któremu winniśmy nasz majątek, jak to powiadano?

—»Kto powiadał?

—»Człowiek, którego zabiłem w pojedynku.

—»O Boże!

—»Jeżeli nie jest twoim opiekunem, jeżeli ci nie dostarcza złota, jeżeli ty mu zanosisz! Powiedz czy to jest twój brat?

—»A gdyby tak było, rzekła.

http://rcin.org.pl

Pan Desmarets założył ręce.

—»Dla czegóżbyś ukrywała się przedemną? mówił dalej. Więcbyście mię zwiedli, ty i twoja matka? Oprócz tego nikt nie odwiedza swego brata co dzień, albo prawie co dzień.. jakże?

Żona padła bez przytomności przy nogach jego.

—»Umarła!... zawołał. A jeźli jestem w błędzie?..

Zadzwonił, zawołał na Józefinę i położył Klemencyą w łóżku.

—»Nie przeżyję tego, rzekła pani Desmarets, odzyskując zmysły.

IV.

USTĘP WYJAŚNIAJĄCY.

Wysłaniec starego komandora, przebiegły Justyn, nie odkrył i nie mógł odkryć całej historyi Ferragusa; czytelnicy nie wiedzieliby ani źródła jego cudownej prawie potęgi, ani powodów które go wtrąciły w to życie niebezpieczeństw i tajemnicy. Musimy więc na chwilę cofnąć myśl naszą ku przeszłości i opowiedzieć im to, czego słusznie mają prawo domagać się od autora.

W pierwszych latach rewolucyi francuzkiej, gdy cała budowa towarzyska rozsypała się w gruzy, gdy wszystko co jest najświętszém pomiędzy ludźmi, przestało ich łączyć, — samolubstwo, wyuzdana żądza bogactw i uciech, zadosyć uczynienie wszystkim namiętnościom, ogarnęły część znaczną zepsutego i rozprzężonego społeczeństwa. Wtenczas, znaleźli się ludzie, którzy postanowili złączyć wszystkie siły dla dopięcia tego, co w zaślepieniu swoich umysłów i zatwardziałości serca, za najwyższe uważali szczęście. Rozumieli, że cała społeczność ich władzy ulegnie, jeżeli połączą swój wrodzony rozsądek, nabyte światło, majątki, stosunki i znaczenie, a jeden dla wszystkich i wszyscy dla jednego działać będą.

W liczbie kilkunastu owych fanatyków zepsucia, znajdował się Henryk Bourignard, syn majętnych rodziców ze stanu kupieckiego. Wcześnie odziedziczył po nich. Nadzwyczajna śmiałość, żądza nabywania bogactw po to aby wydawać je na wszystko o czém tylko pomyśleć można, rzuciły go w najobszerniejsze przedsięwzięcia. Zawiedziony w nich, dopuścił się fałszerstwa. Stosunki jego przyjaciół nie zdołały ochronić go przed ręką sprawiedliwości: było to już bowiem w pierwszych latach konsulatu Napoleona, który żelazną ręką ujął w karby rozprzężone towarzystwo, nakazał i wzbudził uszanowanie dla prawa. Bourignard skazany na lat dwadzieścia więzienia na galerach i naznaczony nie zatartém piętnem, uszedł za pomocą swoich towarzyszów i zdołał uniknąć poszukiwań zwierzchności; znaczny przeciąg czasu bawił za granicą i dopiero za Burbonów powrócił do Francyi. Kto zna Paryż, ten wie jak łatwo, przy bystrości umysłu i odwadze niczém nie zachwianéj, zniknąć i utonąć że tak powiem, w tym natłoku ludzi i interessów. Towarzysze Bourignarda wierni mu byli aż do końca. Widzieliśmy tego przykład na Auguście Maulincourt.

http://rcin.org.pl

V.

PODEJRZENIA I WALKA DWOJAKIEJ MIŁOŚCI.

Po raz pierwszy od lat pięciu, pani Desmarets sama pozostała na noc w swoim sypialnym pokoju i musiała wpuścić doktora do téj uroczystéj komnaty. Były to dwa cierpienia bardzo mocne. Lekarz uznał że jest bardzo słaba. Gwałtowne wzruszenie nigdy przyjść nie mogło w niewłaściwszéj porze. Doktór nie chciał zatrważać zbyt wcześnie i objawienie zdania swojego odłożył do jutra, nakazawszy lekarstwa i zachowanie się, jak najspokojniejsze; usłuchano jego rady, gdyż pośród wzruszeń serca, zapomniano o cierpieniach fizycznych.

Nad ranem, Klemencya jeszcze nie była zasnęła. Zajmował ją głuchy szmer rozmowy, od kilku godzin trwający w gabinecie jéj męża, lecz grubość murów, nie donosiła do jéj ucha, ani jednego słowa téj narady.

Nareście ustała rozmowa. Wtedy, pośród ciszy nocnéj, przez nadzwyczajną czynność zmysłów którą namiętność nadaje, dosłyszała szelest pióra, i mimowolne ruchy człowieka zajętego pisaniem. Ci, którzy przepędzają nocy bezsenne i uważali rozmaite skutki akustyki, wiedzą, iż częstokroć łatwo rozróżnić można najlżejsze brzmienie tam, gdzie jednostajny i ciągły szmer, nie zwracał wcale uwagi.

O czwartéj szmer ustał.

Klemencya wstała niespokojna, i drżąca. A potém, boso, bez szlafroka, nie myśląc o stanie w jakim się znajduje, biedna kobieta otworzyła po cichu drzwi od gabinetu. Wtedy ujrzała męża, z piórem w ręku, śpiącego w krześle; świece paliły się na stole. Zbliżyła się powoli i przeczytała te wyrazy na piśmie już zapieczętowanem: MÓJ TESTAMENT.

Uklękła jak przy grobie i ucałowała rękę męża; obudził się natychmiast.

—»Juliuszu, mój przyjacielu! udzielają kilku dni zwłoki winowajcom na śmierć skazanym: rzekła patrząc nań oczyma iskrzącemi się od gorączki i miłości; niewinna, proszę cię tylko o dwa dni. Zostaw mię wolną przez dwa dni.... zaczekaj. Potém umrę szczęśliwa, przynajmniéj żałować mię będziesz.

—»Klemencyo! zezwalam na to..

A gdy całowała ręce męża, w tkliwém wywnętrzeniu serca, Julian zaczarowany tym głosem niewinności, pocałował ją w czoło, wstydząc się iż może jeszcze ulegać władzy téj szlachetnéj piękności.

Nazajutrz, spocząwszy przez kilka godzin, Juliusz wszedł do pokoju żony, idąc machinalnie za swoim zwyczajem. Klemencya spała. Promień światła przechodzący przez najwyższą szybę, padał na twarz téj kobiety, znękanéj tak gwałtownemi wzruszeniami. Boleść już wyryła swoje ślady na jéj czole i ustach. Zadrżał na widok kilku plam sinych i chorobliwéj bladości, które zastąpiły jednostajny rumieniec jéj liców i zdrową białość cery.

—»Cierpi! rzekł do siebie Juliusz. Biedna Klemencya! niechaj Bóg opiekuje się nad nami.

http://rcin.org.pl

Lekko pocałował ją w czoło, obudziła się, ujrzała męża i zrozumiała wszystko. Ale nie mogąc mówić, wzięła go za rękę, a jéj oczy zalały się łzami.

—»Jestem niewinna! rzekła dokończając sennego marzenia.

—»Nie wyjdziesz? zapytał się Juliusz.

—»Nie, tak jestem słaba, iż nie zdołam wstać z łóżka.

—»Jeżeli odmienisz twoje zdanie, czekaj dopóki nie powrócę.... rzekł Juliusz.

I zszedł do odźwiernego.

—»Fouquerau, będziesz uważał na wszystko; chcę wiedzieć kto wejdzie i wyjdzie z pałacu.

Po tém, pan Desmarets wsiadł do fiakra, kazał zawieźć się do pałacu Maulincourt i zapytał się o barona.

—»Pan jest chory: odpowiedziano; Juliusz nalegał, powiedział jak się nazywa i jeźli nie z baronem chciał widzieć się z panią de Maulincourt, albo z komandorem. Czekał przez czas niejaki w salonie baronowéj; wyszła do niego i oświadczyła że jéj synowiec tak jest słaby, iż go przyjąć nie może.'

—»List, który miałem zaszczyt otrzymać od pani, odpowiedział Juliusz, uwiadomił mię jaka jest jego słabość i racz mniemać...

—»List mój! do pana! zawołała baronowa przerywając mu: nie pisałem żadnego listu!.. I cóż jest w tym liście?

—»Pani! odpowiedział Juliusz, umyśliwszy dziś jeszcze zobaczyć się z panem de Maulincourt i oddać jéj ten list, zachowałem go, mimo zalecenia którém się kończy.

Baronowa kazała przynieść swoje okulary, a spojrzawszy na pismo, zdziwiła się nadzwyczajnie i rzekła:

—»Panie! tak doskonale udano rękę moją, że gdyby nie szło o wypadek tak świeży, samabym się zwieśdź mogła. Mój synowiec jest chory, to prawda, ale jego rozum nigdy a nigdy nie doznał najmniejszego uszczerbku. Jesteśmy igraszką jakichsiś złych ludzi, a jednakże nie rozumiem w jakim celu napisano tę niedorzeczność. Zobaczysz się pan z moim synowcem i poznasz, że jest zupełnie zdrów na umyśle.

Zadzwoniła znowu i kazała zapytać się barona, czyli przyjmie pana Desmarets. Służący powrócił z odpowiedzią potwierdzającą. Juliusz poszedł do pokojów pana Augusta de Maulincourt i zastał go w krześle, siedzącego przy kominku. Tak był słaby, iż wstać nie mógł; komandor siedział przy nim.

—»Panie baronie! rzekł Juliusz, chciałbym z nim sam na sam pomówić.

—»Pan komandor, odpowiedział August, zna tę całą rzecz i bez obawy można mówić w jego obecności.

—»Panie baronie: rzekł Juliusz poważnym głosem: zakłóciłeś, zniszczyłeś może moje szczęście, nie mając prawa do tego. Dopóki nie przekonamy się, kto z nas dwóch powinien żądać albo udzielić zadosyć uczynienia drugiemu, musisz dopomagać mi w postępowaniu tajemniczą drogą, na którą mię wtrąciłeś. Przycho-

http://rcin.org.pl

dzę więc dowiedzieć się o pomieszkaniu tego tajemniczego człowieka, który wywiera tak zgubny wpływ na przeznaczenia nasze i zdaje się mieć pod swojemi rozkazami nadprzyrodzoną władzę. Wczoraj, gdym powrócił usłyszawszy twoje wyznania, odebrałem to pismo.

Juliusz podał mu fałszywy list.

—»Ten Ferragus, ten Bourignard, albo ten pan de Funcal jest szatanem!.. zawołał Maulincour, po przeczytaniu listu. W jakiż okropny labirynt wstąpiłem? dokądże idę? Zbłądziłem panie, rzekł spoglądając na Juliusza, ale śmierć jest bez wątpienia największą karą, a moja śmierć już się zbliża. Możesz pytać się o wszystko, jestem na rozkazy pana.

—»Panie! wiesz zapewne gdzie mieszka ten nieznajomy; muszę koniecznie, chociażbym to opłacił całym majątkiem, przeniknąć tę tajemnicę, a w obec przeciwnika tak srodze zręcznego, chwile są drogie.

—»Justyn wszystko powie, rzekł baron.

Na te słowa zmieszał się komandor. August zadzwonił.

—»Justyna nie ma w pałacu, rzekł.

—»Ależ nasi ludzie wiedzą gdzie go szukać! zawołał August. Służący twój jest w Paryżu, nie prawdaż? znaleźć go muszą.

Komandor zmieszał się widocznie.

—»Justyn nie przyjdzie, mój przyjacielu, rzekł starzec: nie żyje, chciałem ukryć przed tobą to zdarzenie, ale...

—»Umarł!.. zawołał pan de Maulincour, ale jak? i kiedy?

Wczoraj w nocy. Wieczerzał z dawnemi przyjaciołmi i upił się zapewne. Jego przyjaciele pijani także, zostawili go na ulicy, padł, zasnął, a ciężki wóz przejechał przez niego.

—»Złoczyńca nie! chybił go!.. zabił go od razu! rzekł August: ze mną nie był tak szczęśliwym, musiał zamierzyć się aż cztery razy.

Juliusz zachmurzył się i zamyślił.

—»Nic więc nie będę wiedział! zawołał po długiéj przerwie. Służący, może sprawiedliwą karę odniósł. Czyliż nie przestąpił rozkazów, spotwarzając panią Desmarets w umyśle niejakiéj *Jdy* i podniecając zazdrość téj dziewczyny, aby ją przeciw nam rozjątrzyć?

—»Ach panie! w gniewie moim dozwoliłem aby względem pani Desmarets postępował jak mu się podoba.

Mości panie! zawołał mąż rozgniewany.

—»O! teraz panie: odpowiedział baron, dając znak ręką aby mu nie przerywano: gotów jestem na wszystko. Nie dokażesz więcéj nad to co się stało, i nie powiesz mi nic, czegoby już nie powiedziało mi sumienie moje. Czekam na najsławniejszego professora toxikologii, dla dowiedzenia się o moim losie. Jeżeli mam zbyt wiele cierpieć, postanowiłem życie sobie odebrać.

—»Mówisz jak dziecko? zawołał komandor, przestraszony zimną krwią, z którą August wyrzekł te słowa. Twoja ciotka umarłaby ze zmartwienia.

—»Tak więc panie, rzekł Juliusz, nie ma żadnego sposobu dowiedzenia się gdzie mieszka ten nadzwyczajny człowiek?

—»Zdaje mi się panie, odpowiedział

http://rcin.org.pl

starzec, iż ten biedny Justyn wspominał, jakoby pan de Funcal mieszkał w domu ambassadora Portugalskiego czy też Brazylijskiego. Pan de Funcal jest szlachcicem i należy do tych obu krajów. Co się tycze zbiegłego złoczyńcy, ten umarł i pochowanym został. Twój prześladowca, któżkolwiek on jest, ma tak wielką władzę, iż musisz przyjąć go pod jego teraźniejszą postacią, aż do chwili, kiedy będziesz mógł zrzucić z niego maskę i oddać go w moc sprawiedliwości. Ale postępuj rozstropnie mój kochany panie, gdyby pan Maulincour był usłuchał rady mojéj, to złe nie byłoby się przytrafiło.

Juliusz oddalił się oziębłe lecz grzecznie, i nie wiedział jakiéj drogi użyć, aby dostać się do Ferragusa.

Gdy wszedł do bramy, odźwierny powiedział mu, iż pani wyszła, oddać list na pocztę miejską, któréj bióro było na przeciw ulicy Menars.

Juliusz uczuł w głębi duszy, iż go upokarza ta gorliwość i zręczność odźwiernego... Znał pośpiech służących i ich gotowość w narażaniu panów, którzy sami swoją sławę narażają; oceniał jak niebezpieczno jest przypuszczać ich do swojéj tajemnicy, ale nie mógł myśleć o swojéj godności osobistéj, w chwili, gdy go cios tak niespodziany ugodził. Co za tryumf dla sługi, który nie może wznieść się do swojego pana, iż go do siebie poniżyć zdoła! Juliusz okazał się w téj chwili przykrym i opryskliwym, lecz jakże wiele cierpiał! Życie jego dotąd tak prawe, tak czyste, zawikłało się w intrygi; musiał teraz taić się, zmyślać,... i Klemencya także taiła się i zmyślała. Była to chwila pełna niesmaku i goryczy. Obłąkany w labiryncie przykrych myśli, Juliusz, zatrzymał się, sam nie wiedząc co robić, przy bramie pałacu. Już to, oddając się rozpaczy, chciał uciekać, opuścić Francyą, unosząc z sobą wszystkie złudzenia wątpliwości o téj, którą tak mocno kochał. Już to, nie wątpiąc że list Klemencyi pisany był do Ferragusa, przemyśliwał, jakimby sposobem mógł przejąć odpowiedź téj tajemniczéj istoty. Już to rozbierał dziwne trafy życia swojego, od chwili jak się ożenił, i pytał samego siebie, czyli potwarz, którą ukarał, nie była prawdą? nareście wracając się do Ferragusa, mówił do siebie:

»Ale ten człowiek tak głęboko przebiegły, tak loicznie we wszystkiém postępujący, który widzi, przeczuwa, wyrachowywa, a nawet zgaduje myśli nasze, ten Ferragus, czyliż odpisze? Czyliż nie powinien używać środków stósownych do iego władzy? Czyliż nie przyśle odpowiedzi przez jakiego zręcznego łotra? albo może w pudełku z klejnotami, przyniesioném przez uczciwego człowieka, który się niczego domyślać nie będzie? może w trzewikach, które majstrowa, jak najniewinniéj mojéj żonie przyniesie? Jeźli między Klemencyą a nim zachodzi porozumienie...«

I nie dowierzał wszystkiemu, i przebiegał pole bez granic, bezbrzeżne morze przypuszczeń, a po tém wahaniu się między tysiącznem sprzecznych

http://rcin.org.pl

przedsięwzięć, poznał, iż u siebie mocniejszym jest niż gdziekolwiek indziéj, i umyślił czuwać w domu swoim, jak mrówkolew, w głębi swego piaszczystego lejka.

Fouquerau, rzekł do odźwiernego, powiedz każdemu, kto tylko przyjdzie do mnie, iż mię nie ma w domu; jeżeli kto będzie chciał z panią mówić, albo też co dla niéj przyniesie, zadzwonisz dwa razy; oddasz mi wszystkie listy, zaadresowane do tego domu, dla kogo bądź kolwiek.

»Tak więc: pomyślał sobie, idąc do swego gabinetu: będę walczyć z tym Ferragusem; zobaczymy kto kogo złapie. Jeźli przyśle jakiego filuta, który się zapyta, czy pani jest sama, nie zwiedzie mię jak głupca.»

Przycisnął się do szyb gabinetu wychodzących na ulicę, a przez ostatnie podejście, które mu zazdrość podała, umyślił własną karetą wyprawić swego pierwszego kommissanta na giełdę, z listem do bankiera, jednego ze swoich przyjacioł, prosząc go, aby go w kupnach i przedażach zastąpił.

Najważniejsze umowy odłożył do jutra, za nic mając kurs papierów, i wszystkie długi europejskie. Miłość, jakże piękny ma przywiléj! przy niéj wszystko jest niczém, wszystko gaśnie, i potęga i wielkie xięgi bankierów.

O wpół do czwartéj, w chwili gdy największy ruch panuje na giełdzie, uradowany odźwierny wszedł do gabinetu pana Desmarets.

—»Panie, była tu stara kobieta, ale porządnie ubrana; przebiegła filutka, zapytała się o jegomości, żałowała niby że go nie ma w domu i oddała mi ten list do pani!...

Juliusz odpieczętował list, przejęty najmocniejszém udręczeniem. Przeczytawszy go, padł znękany na krzesło. List był ciągłym zbiorem niedorzeczności, aby go przeczytać, trzeba było klucz od niego posiadać.

—»Odéjdź Fouquerau. Odźwierny wyszedł.

Jest to tajemnica głębsza niż morze, w miéjscu gdzie go ołowianka zgruntować nie zdoła!... Ach! to jest miłość, sama tylko miłość może bydź tak przezorna i tak dowcipna. O Boże! zabiję Klemencyą!..

W téj chwili, szczęśliwa myśl zajaśniała w mózgu jego.

W dniach swojéj pracowitéj nędzy, przed ożenieniem się, Juliusz pozyskał prawdziwego przyjaciela, który gotów był wszystko dla niego poświęcić. Niezmierna delikatność jaką okazywał dla jego drażliwości, częstokroć nieodstępnéj od ubóstwa i skromności, szlachetna zręczność, z którą zniewolił go do mienia udziału w jego bogactwach, powiększyła jeszcze ich przyjaźń. Jacquet pozostał wiernym Demaretowi, mimo jego majątku. Jacquet, człowiek prawy, pracowity, surowych obyczajów, zostawał w tajnym wydziale spraw zagranicznych i miał pod swoją strażą najtajemniejsze akta. Umiał wyczytywać korrespondencye cyframi pisane, żył w ukryciu, spokojnie. W pożyciu domowém człowiek jak najlepszy, nie mieszał się do niczego. Nareście, aby dokończyć obrazu tego filozofa, nie pomyślał nawet, jak wielkie korzyści mógłby ciągnąć z położenia

http://rcin.org.pl

swojego, będąc przyjacielem bankiera, i co rano mając w rękach swoich tajemnice stanu. Ten człowiek mieszkał w ministeryum, nie daleko domu pana Desmarets. Nie wyszło dziesięć minut, Juliusz był w biórze archiwisty, a Jacquet podał mu krzesło, zdjął umbrelkę, zatarł ręce, zażył tabaki i trzaskając palcami, rzekł:

—»Cóż za przypadek sprowadził cię?

—»Jacquet, potrzebuję ciebie dla odgadnienia tajemnicy, w któréj idzie o śmierć lub życie.

—»To nie dotycze się polityki?

—»Nie; w takim razie nie przychodziłbym. Jest to interess domowy i proszę cię o jak najgłębsze milczenie.

—»Klaudyusz Józef Jacquet, niemy ze stanu swojego. Czyliż mię nie znasz? rzekł śmiejąc się. Milczenie jest moim głównym przymiotem.

Juliusz pokazał mu list i rzekł.

—»Musisz mi przeczytać list pisany do mojéj żony.

—»Do licha! do licha! zły interess!.. rzekł Jacquot przypatrując się listowi, takim samym sposobem, jak lichwiarz ogląda wexel. Ale... zaczekaj.

Zostawił Juliusza w gabinecie i dosyć prędko powrócił.

—»Fraszka! mój przyjacielu, to jest pisane starym kluczem, którego używał poseł portugalski, jeszcze za xięcia Choiseul. Oto masz.

Jacquet położył na liście papier wycięty w różne gzygzaki, jak ten w który cukiernicy zawijają cukierki, a Juliusz łatwo mógł przeczytać nie zasłonione wyrazy.

»Już się nie lękaj drogą Klemencyo! szczęścia naszego nikt już nie zakłóci, a twój mąż zaprzestanie mieć cię w podejrzeniu. Nie mogę widzieć się z tobą. Chociaż słaba jesteś, musisz przyjść do mnie; chciej tylko a znajdziesz siły; nabierzesz je w twojéj miłości. Moje przywiązanie do ciebie, zniewoliło mię do wytrzymania najsroższéj operacyi i nie mogę wstać z łóżka. Kika moxów przyłożono mi wczoraj na ramionach i trzeba było palić je dosyć długo... rozumiesz mię? Ale myślałem o tobie i nie cierpiałem zbyt wiele. Aby uniknąć wszelkich poszukiwań Maulincoura, który i tak już nie długo będzie nas prześladował, porzuciłem opiekuńczy dom poselstwa portugalskiego, i jestem bezpieczny od wszelkich poszukiwań, przy ulicy Enfans-Rouges pod Nr. 12 u staréj kobiety, zwanéj Etienne Gruget, matki téj Jdy, która drogo opłaci swój szalony postępek. Przyjdź tam jutro o dziewiątéj rano. Jestem w pokoju do którego tylko wewnętrznemi schodkami dojść można. Zapytaj się o pana Camusat. Do jutra! Całuję cię serdecznie.»

Jacquet spojrzał na Juliusza, z wyrazem uczciwego przestrachu i szczerego politowania, i dwa razy powtórzył swoje ulubione słowo: »Do licha! do licha!..

—»Wszakże to rzecz jasna! nie prawdaż? rzekł Juliusz. Otóż mimo tego, jest jeszcze w głębi mojéj duszy głos, który broni téj kobiety i mocniéj przemawia niż wszystkie udręczenia zazdrości. Aż do jutra wytrzymam męczarnie najokropniejsze ze wszystkich; ale jutro, między dzie-

http://rcin.org.pl

wiątą a dziesiątą, dowiem się o wszystkiem; będę szczęśliwy albo nieszczęśliwy na całe życie. Jacquet, myśl o mnie.

—»Będę u ciebie jutro. Razem tam pójdziemy, i jeżeli zechcesz, czekać będę na ulicy. Może narazisz się na niebezpieczeństwo; potrzebujesz przyjaciela, któryby każde twoje skinienie zrozumiał i którego mógłbyś użyć. Rachuj na mnie.

—»Rachuję nawet na to, iż mi dopomożesz do zabicia rywala.

—»Do licha!.. do licha!.. zawołał Jacquet, mam dwoje dzieci i żonę.

Juliusz ścisnął rękę przyjaciela i wyszedł.

—» Zapomniałem o liście: rzekł: nie koniec na tém, trzeba go zapieczętować.

—»Zostaw go, przyniosę go w takim stanie w jakim bydź powinien.

—»O któréj?

—»O w pół do szóstéj.

—»Gdybym jeszcze nie wrócił, oddaj go odźwiernemu.

—»A jutro, czy mam przyjśdź?

—»Nie. Żegnam cię.

Juliusz odesłał karykiel, poszedł piechotą na ulicę Enfans-Rouges i przypatrywał się domowi, w którym mieszka pani Etienne Gruget. Tam wyjaśnić się ma tajemnica, od któréj zależy los tylu osób. Tam jest Ferragus, a w nim łączą się wszystkie pasma téj intrygi. Zebranie się pani Desmarets, jéj męża i tego człowieka, czyliż nie było gordyjskim węzłem krwawéj drammy, w któréj nie zabraknie także i miecza, przecinającego węzły najmocniéj zawikłane?

Dom ten należał do rodzaju zwanego *cabajoutis*. Nazwisko to nadają budowlom złożonym z domów rozdzielonych pierwiastkowo, albo też zaczętym, zaniechanym i dokończonym podług innego planu.

—»Pani Etienne? zapytał się Juliusz odźwiernéj siedzącéj w bramie, w pewnym rodzaju kojca na kołkach.

—»Co?rzekła odźwierna,kładącpończochę, którą robiła. Odźwierni w Paryżu, zgadzają się zadziwiającym sposobem z domem i ulicą gdzie się znajdują.

Ujrzawszy pana Desmarets, odźwierna poprawiła węgle w fajerce do ogrzewania nóg i rzekła:

—»Pytasz się pan o panią Etienne?.. czy o panią Etienne Gruget?

—»Tak jest.

—»Która robi galony?

—»Tak jest.

—»Wtedy odźwierna wyszła ze swojéj klatki.

—»A więc panie, rzekła prowadząc go na koniec wązkiéj i sklepionéj sieni, wejdź na drugie piętro w głębi podwórza. Czy widzisz te okna na których stoją goździki? Tam mieszka pani Etienne.

—»Dziękuję pani. Czy jest sama?

—»A dla czegóżby nie była sama? ta kobieta jest wdową.

Juliusz wszedł na ciemne schody. Na drugiém piętrze ujrzał troje drzwi, ale nie było goździków. Szczęściem, na jednych, najbardziéj zatłuszczonych, wyczytał te wyrazy napisane kredą: »*Ida przyjdzie wieczorem o dziewiątéj.*«

Pociągnął za stary sznurek; usłyszał przytłumiony odgłos dzwonka i astmatyczne szczekanie małego psa,

http://rcin.org.pl

Ze sposobu jakim dźwięk odbijał się wewnątrz, wnosić było można, że pokój zawalony jest rzeczami: co jest główną cechą pomieszkań rzemieślników i małych gospodarstw, którym nie dostaje powietrza i światła. Juliusz machinalnie szukał goździków, i nareście znalazł je na oknie korytarza, między dwoma zapowietrzonemi rynnami. Tam, kwiaty w ogródku, długim na sześć cali; tu, ziarko zboża; tam, całe życie zebrane i wszystkie nędze życia. Na przeciw tych biednych kwiatów i przepysznych kłosów zboża, promień światła spadający z nieba, jakby przez miłosierdzie, oświecał kurzawę, tłuszcz i nie wiem co za kolor, właściwy biednym izbedkom paryzkim.

Wkrótce, grobowy kaszel i ciężkie stąpania staréj kobiety, oznajmiły matkę Idy Gruget.

Otworzyła, wyszła na korytarz, podniosła głowę i rzekła:

—»A! to pan Bocquillon... Ale nie!.. Ale jakże pan podobny do pana Bocquillon? Może jesteś jego bratem...? Cóż jest na pańskie usługi? Wnijdź pan proszę.

Juliusz poszedł za tą kobietą do pierwszéj izbedki, i tam ujrzał, nawalone jedne na drugie, klatki, naczynia gospodarskie, fajerki, meble, miseczki z jadłem dla psów i kotów, zegar drewniany, dywan, ryciny, stare żelastwo: wszystko to tworzyło dziwaczny obraz, prawdziwe kafarnaum paryzkie, któremu nie brakowało nawet kilku numerów gazety.

Juliusz postępując roztropnie, nie usłuchał wdowy Gruget, która mówiła do niego:

—»Wnijdź pan daléj.

Bojąc się aby go nie dosłyszał Ferraguś, myślał, czyli nie lepiéj byłoby, jeżeli zawrze w pierwszym pokoju, zamierzony układ.

Gdakanie kury, która wyszła z pod przepierzenia, wywiodło go z téj wątpliwości. Poszedł więc do drugiéj izby. Pani Gruget posiadała całą próżność nędzy, gdy mówiła o rozgrzaniu się, bo na kominku paliły się tylko małe głowienki. Na murku stała figurka woskowa, nakryta klatką szklanną, oklejoną niebieskawym papierem, a koło niéj leżały kłębki włóczki i narzędzia do roboty szmuklerskisy. Juliusz przypatrzył się wszystkim sprzętom pokoju, z ciekawością i zajęciem; zadowolenie okazało się na jego twarzy.

—»J cóż panie, czy raczysz usiąść? rzekła stara siadając w krzesle z trzciny żółtéj, które jak się zdaje było jéj główną kwaterą. Leżała na niém jéj chustka, jéj tabakierka, pończocha na drutach, warzywa na pół oskrobane, zaczęte burty dla liberyi, talia stłuszczonych kart i dwa tomy starych romansów. Ten sprzęt na którym stara przebywała *rzekę życia*, podobny był do woreczka kobiety w podróży, gdzie się znajduje całe jéj gospodarstwo w krótkości, zacząwszy od miniatury męża, aż do kropli od zemdlenia, do cukierków dla dzieci i do plasterka angielskiego.

Juliusz zważał na wszystko; bardzo uważnie spojrzał na twarz pani Gruget, na jéj oczy szare i bez rzęsów, na jéj usta bez zębów, na jéj zmarszczki, na z żółkły czepek, na spódnicę perka-

http://rcin.org.pl

lową połataną, na jéj wyszarzane pantofle, na stół zarzucony talerzami, jedwabiem, bawełną i włóczką, pośród czego wszystkiego stała butelka z winem.

»Ta kobieta ma jakieś ukryte namiętności i występki; mam ją» pomyślał Juliusz.

»Pani, rzekł głośno, skinąwszy na nią, przychodzę zamówić robotę...

I przydał po cichu: »Wiem że masz u siebie nieznajomego, który się nazwał Camusat.

Stara spojrzała na niego, nie okazując bynajmniéj podziwienią.

—»Powiedz czy nas może słyszeć? Pamiętaj, że idzie o twój los.

—»Pánie, odpowiedziała, mów śmiało, nie ma tu nikogo.. Ale gdyby nawet kto był tam na górze, nie podobna mu byłoby dosłyszeć pana.

A! stara filutka umie odpowiadać: pomyślał Juliusz: będziemy mogli zgodzić się.

—»Przedewszystkiém, oszczędź sobie jmość tego kłopotu i nie zmyślaj, rzekł. Nie życzę nic złego ani jéjmości, ani jéj córce Jdzie, trudniącéj się szyciem gorsetów, przyjaciołce Ferragusa. Widzisz że wiem o wszystkiém; nie należę do policyi i niczego nie żądam coby mogło przynieść jaki uszczerbek sumieniowi twojemu. Młoda dama przyjdzie tu jutro między dziewiątą i dziesiątą, dla rozmówienia się z przyjacielem twojéj córki; chcę wszystko widzieć i słyszeć tak, aby mię nie widzieli i nie słyszeli. Ułatwisz mi sposobność do tego, a za to dostaniesz dziesięć tysięcy franków na raz i sześćset franków dożywotniéj pensyi. Mój notaryusz sporządzi zapis dziś wieczorem w obecności Wpani; złożę pieniądze w jego ręku i odbierzesz je jutro, po rozmowie któréj chcę bydź świadkiem i podczas któréj przekonam się o twojéj dobréj wierze.

—»Czyliż to nie zaszkodzi mojéj córce? mój kochany panie.

—»Bynajmniéj. Ale oprócz tego, zdaje się, że córka jejmości nie dobrze postępuje względem niéj. Mając tak bogatego i tak potężnego kochanka, łatwo mogłaby polepszyć położenie WPani.

—»Ach! kochany panie! nie da mi nawet ani jednego biletu na teatr, a sama bywa tam ile razy jéj się podoba. Ta niegodziwa córka, dla któréj sprzedałam ostatnie moje sreberka, i jadam teraz na starość cynową łyżką, a to dla zapłacenia za jéj naukę, mogłaby zarabiać tyle ileby sama chciała, gdyż wrodziła się we mnie i jest zręczna jak wróżka. Mogłaby mi przecież podarować swoje stare jedwabne suknie, mnie, co tak lubię chodzić w jedwabnych sukniach. Ale bywa na obiadach pod Cadran-Bleu, po pięćdziesiąt franków od osoby, jeździ pojazdami jak jaka xiężna i za nic ma swoją matkę. Miły Boże! jaka to młodzież w teraźniejszych czasach! nie przynosi nam wiele zaszczytu. Matką jestem, a do tego Mości Panie dobrą matką, gdyż pokrywałam jéj błędy, dzieliłam się z nią ostatnim kawałkiem chleba, niczegom jéj nie skąpiła. I cóż pan myślisz? o to przyjdzie, łasi się, powie: »Dzień dobry matko! I myśli że już dopełniła wszelkich obowiązków względem matki. Jaką miarką

http://rcin.org.pl

mierzysz, taką ci odmierzą. Ale i ona też będzie miała dzieci, zobaczy jak to serce boli!...

—»Jak to? ona nic nie czyni dla Waé Pani?

—»Ach! ja tego nie mówię, panie; gdyby nic nie czyniła, to byłoby trochę za nadto. Płaci moje pomieszkanie, daje mi drzewo i trzydzieści sześć franków na miesiąc. Ale Mości Panie, czyliż ja powinnam pracować w moim wieku, pięćdziesiąt dwa lat mając i do tego ze słabym wzrokiem? Z resztą, czegóż odemnie ucieka? Czy się mnie wstydzi? to niech mi lepiéj wprost powie. Doprawdy, dla tych dzieci trzebaby się żywcem zagrzebać; ledwie za drzwi wyjdą, to już o nas zapomną.

Wyciągnęła chustkę z kieszeni i razem wypadł z niéj bilet na loteryą, lecz natychmiast podniosła go, mówiąc:

—»O! to jest kwit za podatek.

Juliusz natychmiast odgadnął przyczynę roztropnego skąpstwa, na które użala się matka Idy, i tém był pewniejszy, że skłoni się do jego żądania.

—»Jakże więc, czy zgadzasz się WPani na to co powiedziałem?

—»Powiadasz więc pan, dziesięć tysięcy franków gotowizną, i sześćset franków dożywotniéj pensyi.

—»Mościa pani! zmieniłem zdanie i przyrzekam ci tysiąc ośmset franków dożywotniego dochodu. Sądzę, że to będzie dogodniéj dla mnie i dla WPani. W rzeczy saméj, mając pięćdziesiąt talarów na miesiąc aż do śmierci; już nie będziesz musiała pracować. Jakże ci się zdaje?

—»Zgoda panie!

—»Będziesz bywać w teatrze, w cyrku Frankoniego, wszędzie.

—»O! nie lubię cyrku Frankoniego, bo tam nie gadają. Lecz panie, jeżeli przyjmę, to jedynie dla tego, iż to będzie z korzyścią dla mojego dziecięcia. Nie będę już zależeć od jéj łaski. A przecież nie obwiniam jéj że się bawi. Młodość musi bawić się mój panie. A więc, jeżeli mię zapewnisz, że nikomu nic złego nie zrobię...

—»Nikomu, powtórzył Juliusz. Ale jakże sobie poradzisz?..

—»Otóż panie, dam dziś wieczorem panu Ferragusowi napić się odwaru z makówek; biedak dobrze spać będzie!... I potrzebuje tego przez wzgląd na swoje cierpienia, gdyż tak cierpi że aż litość bierze człowieka. Ale też proszę mi powiedzieć kto też słyszał i widział, żeby człowiek zdrów kazał sobie palić plecy dla pozbycia się bólu, który mu ledwie raz we dwa lata dokucza!... Wracając się do naszego interessu, mam klucz ode-drzwi naszéj sąsiadki, któréj izba odzielona jest od izby pana Ferragusa murem na jedną cegłę. Nie ma jéj teraz w domu, a więc gdy w nocy zrobią dziurę w téj ściance, będziesz mógł wszystko słyszeć i widzieć. Znam dobrze pewnego ślusarza; on podejmie się téj roboty.

—»Oto jest sto franków dla niego; bądź jejmość wieczorem u notaryusza, którego adres zostawiam. O dziewiątéj zapis będzie gotów, lecz... ani słowa.

—»Dobrze panie, do widzenia.

Juliusz wrócił do domu, prawie uspokojony tém zapewnieniem, że ju-

http://rcin.org.pl

tro dowie się o wszystkiém. Przyjechawszy, zastał u swojego odźwiernego list doskonale zapieczętowany.

—»Jak się masz? rzekł do żony, mimo oziębłości która ich rozdzielała. Ale tak trudno jest pozbyć się nawyknień serca.

—»Dosyć dobrze: rzekła przymilającym się głosem: czy chcesz jeść obiad przy mnie?

—»Dobrze odpowiedział, podając jéj list. Zostawiono go u odźwiernego, przydał.

Klemencya była bladą, lecz zarumieniła się niezmiernie odebrawszy ten list, a nagły ten rumieniec niezmierną boleść zrządził mężowi.

—»Jestże to radość, rzekł z przymuszonym uśmiechem, jestże to skutek oczekiwania?

—»O! jest tam wiele rzeczy, rzekła spoglądając na pieczątkę.

—»Wrócę za chwilę.

Poszedł do gabinetu i napisał potrzebną instrukcyą notaryuszowi, względem zapisu przeznaczonego dla wdowy Gruget.

Gdy wrócił, obiad już był zastawiony na małym stoliku przy łóżku Klemencyi. Józefina usługiwała.

—»Gdybym wstać mogła, z jakąż przyjemnością służyłabym ci przy stole! rzekła po wyjściu Józefiny. O! na kolanach nawet: mówiła kładąc białe ręce swoje we włosy Juliusza. Drogi, szlachetny mężu! tak byłeś dla mnie dobrym i wspaniałomyślnym. Więcéj pomogłeś mi twojém zaufaniem niżeli wszyscy lekarze zdołaliby dopomódz. Ta delikatność kobieca, umiesz bowiem kochać jak kobieta, rozlała w duszy mojéj balsam, który mię prawie uleczył. Teraz jest zawieszenie broni, zbliż się Juliuszu niechaj cię pocałuię.

Juliusz wstał i nie mógł przewieśdź na sobie, aby nie uściskał swojéj Klemencyi. Ale przy tém uczuł niejaką zgryzotę w sercu: tak był małym w obec téj kobiety, którą mimowoli swojéj gotów był uważać za niewinną. Jakaś smętna radość rozlewała się na jéj twarzy. Czysta nadzieja malowała się na jéj obliczu pośród śladów zmartwienia.

Zdawało się iż są zarówno nieszczęśliwi przez to, iż muszą zwodzić jedno drugiego; jeszcze jedna pieszczota, a byliby wszystko wyznali, nie mogąc oprzeć się swojéj boleści.

—»Jutro wieczorem, Klemencyo.

—»Nie, mój panie, jutro w południe dowiesz się o wszystkiem i uklękniesz przed żoną twoją. O! nie! nie upokorzysz się; wszystko przebaczone; nie przy tobie jest wina! Posłuchaj mię; wczoraj zadałeś mi cios bardzo srogi, ale moje życie nie byłoby może zupełném bez tego; będzie to cień, przy którym boskie dni nasze tém lepiéj się odbiją.

—»Czarujesz mię! zawołał Juliusz, i nabawisz mię zgryzoty.

—»Biedny przyjacielu! okoliczności silniejsze są od nas, a ja nie rozrządzam niemi. Wyjdę jutro.

—»O któréj godzinie? zapytał się Juliusz.

—»O wpół do dziesiątéj.

—»Klemencyo, odpowiedział Desmarets, bądź ostrożną, poradź się lekarza Meo.

—»Radzić się będę tylko mojego serca i mojéj odwagi.

http://rcin.org.pl

—»Zostawiam cię, nie powrócę aż w południe.

—»Dziś wieczorem czy zabawisz się ze mną? już nie cierpię.

Ukończywszy interessa, Juliusz wrócił do żony nie zwalczonym prowadzony pociągiem. Jego miłość mocniejsza była niż wszystkie cierpienia.

VI.

ROZWIĄZANIE.

Nazajutrz około dziewiątéj, Juliusz wykradł się z domu i pobiegł na ulicę Enfant-Rouges do wdowy Gruget.

—»A!.. jakże pan dotrzymujesz słowa! Wnijdź panie, rzekła:

A zamknąwszy drzwi przydała.

Przygotowałam dla pana filiżankę kawy ze śmietanką, jeżeliby... Ale z prawdziwą śmietanką; w moich oczach wydojono krowę.

—»Dziękuję pani... Zaprowadź mię..

—»Dobrze, dobrze, mój kochany panie. Pójdź tędy.

Wdowa zaprowadziła go do izbedki położonéj nad jéj izbedką, i pokazała mu, z tryumfującą miną, dziurę tak wielką jak sztukę dwu frankową, wyrobioną przez noc, w miejscu odpowiadającém rozecie wymalowanéj na obiciu w pokoju Ferragusa, pod samym gzymsem. Ten otwór w jednej i drugiéj izbie, znajdował się nad szafkami. Praca ślusarza, nie zostawiła przeto żadnych śladów na ścianie i nie można było dostrzedz jéj w cieniu. Juliusz musiał zostawać w położeniu dosyć utrudzającém, stojąc na schodkach, które wdowa Gruget umyślnie przyniosła.

—»Jest z jakimsiś panem, rzekła odchodząc.

Juliusz postrzegł w rzeczy saméj człowieka zajętego opatrywaniem ran, zrządzonych przez wypalenie na ramionach Ferragusa, którego poznał z opisu pana de Maulincourt.

—»Kiedyż wyzdrowieję, jak mniemasz? zapytał się.

—»Nie wiem, odpowiedział nieznajomy; ale podług zdania doktorów, trzeba jeszcze siedmiu albo ośmiu opatrywań.

—»A więc do dzisiejszego wieczora, rzekł Ferragus, podając rękę temu, który dokończał opatrywania.

—»Do dzisiejszego wieczora? powtórzył nieznajomy, serdecznie ściskając rękę Ferragusa. Chciałbym żebyś jak najprędzéj przestał cierpieć.

—»Przecież jutro dostaniemy papiery pana de Funcal. Henryk Bourignard umarł jak należy; mówił daléj Ferragus. Dwa nieszczęsne wexle, które nas tak drogo kosztowały, już nie istnieją. Będę więc znowu towarzyszką istotą, człowiekiem pomiędzy ludźmi i wart jestem marynarza, którego ryby zjadły. Bóg zna, że nie dla siebie czynię się hrabią.

—»Biedny Gracyanie! ty najmocniejsza głowa między nami, kochamy cię wszyscy, wiesz o tém.

—»Bądź zdrów, miejcie baczne oko na Maulincoura.

—»Nie troszcz się o to.

—»Ale! ale! zawołał stary galernik.

—»Co?

http://rcin.org.pl

—»Ida gotowa odważyć się na wszystko, po wczorajszéj scenie. Jeźli wskoczyła w rzekę, zapewne jéj nie wyłowię: lepiéj dochowa tajemnicy mego nazwiska; ale miejcie na nią oko, bo z resztą jest to dobra dziewczyna.

—»Dobrze!

Nieznajomy odszedł.

W dziesięć minut potém, Juliasz usłyszał nie bez mocnego drżenia, szelest jedwabnéj sukni i rozpoznał stąpanie żony.

—»Mój ojcze! mój biedny ojcze! rzekła Klemencya: jakże się masz? Co za odwaga!

—»Pójdź moje dziecię, odpowiedział Ferragus, wyciągając do niéj rękę.

Klemencya pochyliła się ku niemu i pocałował ją w czoło.

—»Cóż ci to jest biedaczko? jakież nowe zmartwienia?...

—»Zmartwienia! mój ojcze! raczéj śmierć twojéj córki, którą tak kochasz. Wczoraj pisałam o tém do ciebie. W twoim umyśle tak płodnym w zaradcze środki, musisz wynaleźć sposób widzenia się z Juliuszem dziś jeszcze. Gdybyś wiedział jak był dobrym dla mnie, mimo tylu podejrzeń na pozór tak sprawiedliwych! Ojcze, moja miłość jest mojém życiem. Chceszli abym umarła? Ach! już tyle wycierpiałam, czuję że moje życie jest w niebezpieczeństwie.

—»Ja miałbym cię postradać moja córko? rzekł Ferragus, postradać skutkiem ciekawości nędznego trzpiota! Ach! wiesz co to jest kochanek, ale nie znasz co to jest ojciec.

—»Mój ojcze, przestraszasz mię spoglądając na mnie takim wzrokiem. Nie kładź na jednéj szali, dwóch tak odmiennych uczuć. Miałam męża wprzódy, nim dowiedziałam się że mój ojciec żyje.

—»Jeżeli twój mąż, najpierwszy okrył pocałowaniem czoło twoje, rzekł Ferragus, ja pierwszy zrosiłem je łzami. Uspokój się Klemencyo? Mów otwarcie. Kocham cię tyle, iż będę szczęśliwy twojém szczęściem, chociaż twój ojciec niczém prawie nie jest w twojém sercu, gdy ty moje zapełniasz.

—»O Boże! jakąż mi ulgę przynoszą te wyrazy! Zdawało mi się, że kochając cię bardziéj jeszcze, czyniłabym uszczerbek Juliuszowi. Ach! mój dobry ojcze! pamiętaj że jest w rozpaczy. Cóż mu powiem za dwie godziny?

Dzieckiem jesteś! alboż czekałem za twoim listem, aby cię ocalić od grożącego ciosu? I w cóż się obracają ci, którzy śmią tknąć się naszego szczęścia, albo stawać pomiędzy nami? Czyliż więc dotąd nie poznałaś tajemnéj siły, czuwającéj nad tobą? Czyliż ojciec który narażał się na śmierć, aby cię widzieć na przechadzce, albo w łóżeczku u twojéj matki; czyliż ojciec któremu wspomnienie twoich pieszczot dziecinnych, samo tylko dodało siły do zniesienia życia, w chwili kiedy człowiek honoru byłby się zabił dla uniknienia sromoty; czyliż JA nareście, który oddycham twojém tylko tchnieniem, widzę tylko twojemi oczyma, czuję twojém tylko sercem, nie zdołałbym cię obronić? ciebie! jedyne moje dobro, moje życie, moja córko!.. Wszakże od

http://rcin.org.pl

śmierci tego anioła, który był twoją matką, o jednéj tylko rzeczy myślałem, o tém abym cię mógł uznać za córkę, uścisnąć cię w moich objęciach w obec ziemi i nieba.... zabić *Galernika*.

Zatrzymał się na chwilę.

—»Aby ci wrócić ojca, mówił daléj, i bez zawstydzenia podać rękę mężowi twojemu, żyć bez obawy w sercach waszych i całemu światu powiedzieć: »O to jest moje dziecię!.. aby nareście bydź ojcem, bez przeszkody i tajemnicy.

—»O mój ojcze! o mój ojcze!..

»Po wielu trudach, przetrząsnąwszy świat cały, mówił daléj Ferragus, moi przyjaciele wynaleźli nareście skórę człowieka, którą mogę przywdziać na siebie; za kilka dni stanę się panem de Funcal, hrabią portugalskim. Ach! moja droga córko, mało jest ludzi którzyby w moim wieku mieli cierpliwość nauczyć się po portugalsku i po angielsku, które to dwa języki umiał doskonale ten utrapiony żeglarz.

—»Mój kochany ojczę!

Wszystko przewidziałem i wkrótce rząd portugalski będzie moim wspólnikiem. Miéj więc tylko cokolwiek cierpliwości tam, gdzie twój ojciec miał jéj tak wiele. Ale u mnie to była rzecz bardzo prosta; czegóżbym nie uczynił aby wynadgrodzić twoje poświęcenia przez te trzy lata? Tak święcie przychodzić i pocieszać starego ojca!.. narażać twoje szczęście!..

—»Mój ojcze!

Klemencya wzięła Ferragusa za ręce i ucałowała je. — »Miéj jeszcze trochę odwagi, przydał: dochowajmy téj nieszczęsnéj tajemnicy aż do końca. Juliusz nie jest człowiekiem pospolitym; jednakże któż nas zapewni, czyliby jego wielki charakter i miłość tak delikatna, nie wzbudziły w nim wstrętu do córki...

—»Ach! zawołała Klemencya, wyczytałeś w sercu twego dziecięcia.

I przydała rozdzierającym głosem: »Innéj nie mam obawy! Myśl ta przejmuje mię dreszczem, ależ mój ojcze, pamiętaj, że przyrzekłam powiedzieć mu prawdę za dwie godziny.

—»A więc moja córko, powiedz mu, niech uda się do domu posła portugalskiego, zobaczyć się tam z hrabią de Funcal, twoim ojcem... Będę tam!

—»A pan de Maulincourt wspomniał mu o Ferragusie! O Boże! mój ojcze! muszę go zwodzić, ach! co za męczarnia!...

—»Komuż to mówisz? Za kilka dni nie będzie ani jednego człowieka, któryby mógł zaprzeczyć mi nazwiska i stanu mojego. Oprócz tego, pan de Maulincourt już nie zdoła przypomnieć sobie... Daj pokój, osusz łzy twoje i pamiętaj..

W téjże chwili, straszliwy krzyk rozległ się w pokoju gdzie był pan Desmarets.

—»Moja córka! moja biedna córka! Krzyk ten przeszedł przez otwór wyrobiony nad szafą i przeraził trwogą Ferragusa i Klemencyą.

—»Zobacz co to jest, rzekł Ferragus.

Klemencya szybko zbiegła po schodkach, ujrzała stojące otworem drzwi od pokoju pani Grouget, usłyszała krzyki rozlegające się na górze, a idąc za głosem, weszła do téj nieszczęsnéj izby, gdzie te słowa do-

http://rcin.org.pl

szły do jéj ucha: »Tyś to panie, two»je to uwidzenia, są przyczyną jéj śmierci!

—»Milcz! nędzna, rzekł Juliusz, zatykając chustką gębę wdowie Grouget, która zaczęła wołać:

—»Morderca! na pomoc!...

W téj chwili Klemencya weszła i ujrzała męża, krzyknęła i uciekła.

—»Któż ocali moją córkę! zawołała wdowa Grouget, po długiem milczeniu: zamordowałeś ją!..

—»A to jak? zapytał się machinalnie Juliusz, osłupiały przez to, że go poznała żona. Czytaj WPan, zawołała stara tonąc we łzach. Jakiż dochód może mię pocieszyć!

»Żegnam cię moja matko, zapisuję »ci wszystko co mam. Przebacz mi »moje błędy i ostatni smutek jaki »ci zrządzę, odbierając sobie życie. »Henryk którego kocham jak siebie »samą, rzekł, iż jestem sprawczynią »jego nieszczęścia, a ponieważ ode»pchnął mię od siebie i straciłam »wszelką nadzieję, utopię się. Pój»dę aż do Neuilly ażeby mego ciała »nie sprowadzono do Morgue. (*). »Jeżeli Henryk przestanie mię nie»nawidzieć, kiedy się ukarzę śmier»cią, proś go, aby kazał pochować »biedną dziewczynę, któréj serce dla »niego tylko biło, i niech mi prze»baczy, ponieważ przewiniłam mie»szając się do tego, co do mnie nie »należało. Opatruj mu dobrze jego »moxy. Jleż wycierpiał ten biedaczek! »ale mieć będę tyle odwagi, aby so»bie odebrać życie, ile jéj miał on, gdy »sobie kazał wypalać ciało. Gotowe »gorsety każ zanieść tym, co je zamó»wili, i proś Boga za twoją córką.»

«J D A.»

—»Zanieś ten list do pana de Funcal, jeźli jeszcze jest czas, on sam może ocalić twoją córkę.

Juliusz zniknął, uciekając jak człowiek któryby zbrodnię popełnił. Nogi drżały pod nim, krew żywiéj i gorącéj niż kiedykolwiek biegła w jego żyłach, najsprzeczniejsze wyobrażenia walczyły w jego umyśle, a przecież jedna myśl panowała nad wszystkiemi: nie postąpił rzetelnie z osobą, którą najbardziéj kochał, i było mu nie podobna zagłuszyć sumienie swoje, którego głos wzmagając się w miarę przestępstwa, odpowiadał wewnętrznemu głosowi jego namiętności, podczas najsroższych chwil powątpiewania, co nim wprzódy miotało. Przez większą część dnia błąkał się po mieście; ten prawy człowiek drżał i lękał się widoku nieskażonego oblicza téj kobiety, któréj poznać nie umiał.

Występki mierzą się podług czystości sumienia, a taki czyn, który dla tego lub owego serca jest zaledwie błędem w życiu, przybiera miarę występku dla dusz niewinnych i czystych. To słowo czystość, czyliż w rzeczy saméj nie ma Boskiego znaczenia? Najlżejsza skaza na białéj sukni dziewicy, czyliż jéj nie nadaje coś nieszlachetnego, jak łachmany żebraka?

Te uwagi niezmiernie ciężyły na sercu Juliusza, albowiem namiętności również są niezbłagane jak pra-

(*) Tak się nazywa budynek, w którym składają ciała niewiadomych osób, utonionych, zabitych, albo niespodzianie zmarłych, żeby je poznali krewni lub przyjaciele.

http://rcin.org.pl

wa ludzkie, a rozumują trafniéj! Czyliż nie opierają się na właściwém sobie sumieniu, nieomylném jak instynkt?

Przejęty żalem, wrócił nareszcie do domu, blady, jakoby przywalony uczuciem błędów swoich, ale mimowolnie okazywał radość, którą w nim wzbudzało przekonanie o niewinności żony. Wszedł do niéj z bijącém sercem; leżała w łóżku, miała gorączkę; usiadł przy niéj, wziął jéj rękę, pocałował ją i łzami zrosił.

»Najdroższa przyjaciołko! rzekł do niéj, gdy byli sami: są to łzy żalu.

—»A to za co?.. odpowiedziała:

Mówiąc te słowa, pochyliła głowę na poduszkę, zamknęła oczy i przez czas niejaki ukrywała cierpienia swoje, aby tylko myśléć o mężu: delikatność matki, delikatność anioła; była to kobieta w całém znaczeniu tego wyrazu! Milczenie trwało długo. Juliusz rozumiejąc że Klemencya zasnęła, zapytał się Józefiny o stan jéj zdrowia.

—»Pani wróciła na pół umarła. Zawezwaliśmy doktora.

—»Czy przyszedł? cóż powiedział?

—»Nic panie; zdawało się że nie jest kontent. Rozkazał aby nikogo nie wpuszczano do chorej, prócz kobiety co ją pilnuje, i rzekł, iż powróci wieczorem.

Juliusz wrócił po cichu do pokoju żony, usiadł w krześle nieporuszony i wlepił oczy w twarz Klemencyi. Gdy podnosiła powieki, widziała go natychmiast i wykradało się z pomiędzy jéj rzęsów, tkliwe pełne miłości spojrzenie, wolne od wyrzutów i goryczy, spojrzenie, które jak ognisty pocisk padało na serce tego męża, srodze ułaskawionego i kochanego zawsze przez kobietę, którą zabił. Smierć była dla nich przeczuciem, które ich uderzało oboje. Ich spojrzenia łączyły się w jednémże udręczeniu tak, jak ich serca łączyły się niegdyś w jednéjże miłości, równie silnéj, równie podzielanéj. Nie było zapytań, lecz okropna pewność; u żony, najdoskonalsza wspaniałomyślność; u męża, najokropniejsza zgryzota; a w ich duszach toż samo objawienie końca, toż samo przeczucie nieuchronnego ciosu.

Raz, Juliusz mniemając że zasnęła, lekko pocałował ją w czoło, i rzekł, długo wprzódy w nią się wpatrzywszy:

—»O Boże! zostaw mi jeszcze tego anioła, tak długo przynajmniéj, abym sam sobie przebaczył błędy moje!

Klemencya podniosła oczy łzami zalane.

—»Przykrość mi robisz!.. rzekła słabym głosem.

Wieczorem dosyć późno przyjechał doktór i prosił męża, aby oddalił się podczas jego odwiedzin. Gdy wyszedł z pokoju Klemencyi, Juliusz nie potrzebował zadawać pytania, jeden gest był dostatecznym.

—»Wezwij pan na naradę, lekarzy, w których masz największe zaufanie; może iż się mylę.

—»Doktorze! powiedz mi prawdę, Jestem mężczyzną, zdołam ją wysłuchać, oprócz tego potrzebuję wiedzieć o niéj dla uregulowania niektórych interessów....

—»Pani Desmarets jest śmiertelnie chora, odpowiedział doktór. Cierpienie moralne uczyniło postępy i złą-

http://rcin.org.pl

czyło się z chorobą fizyczną, niebezpieczną sama z siebie, ale jeszcze niebezpieczniejszą z powodu iéj nieroztropności. Wstawać bosemi nogami w nocy! wychodzić mimo zakazu mojego, wczoraj piechotą, dzisiaj powozem!.. Sama chciała się zabić. Jednakże mój wyrok nie jest jeszcze ostatecznym, jest młoda, posiada zadziwiającą siłę nerwową. Trzebaby wszystko za wszystko odważyć, użyciem jakiego gwałtownego środka; ale nie wezmę tego na siebie, nie będę go nawet doradzał.

Juliusz wrócił do pokoju żony; nie odstąpił jéj przez jedenaście dni i jedenaście nocy. Nie kładł się do łóżka i tylko we dnie drzymał po dwie lub trzy godziny. Żaden człowiek nie posunął tak daleko swoich starań i poświęcenia. Nie cierpiał aby około jego żony kto inny miał jak najmniejsze nawet staranie i ciągle trzymał ją za rękę, jak gdyby tym sposobem przelał w nią życie swoje. Były powątpiewania, mylna pociecha, pomyślne dni, przesilenia, okropne przemiany śmierci, która się waha, waży...

Pani Desmarets zawsze miała tyle sił, iż mogła jeszcze uśmiechnąć się do męża; litowała się nad nim, wiedząc że wkrótce sam pozostanie. Było to podwójne konanie, życia i miłości; ale życie gasło a miłość wzrastała. Jedna noc była okropna, Klemencya wpadła w paroxyzm obłąkania który zwykle u młodych ludzi śmierć poprzedza. Mówiła o swojéj szczęśliwéj miłości, o swoim ojcu; opowiedziała wyznania swojéj matki na śmiertelném łożu i obowiązki które wtenczas na córkę włożyła. Walczyła nie ze śmiercią ale z miłością, nie chciała z nią się rozłączyć.

—»Spraw o Boże! mówiła, niechaj nie wie, że pragnę aby ze mną razem uma...

Szczęściem, Juliusz nie mogąc znieść tego widoku, był w téj chwili w pobliskim salonie i nie słyszał życzenia któremu byłby posłusznym.

Gdy przeszła ta kryzys, chora odzyskała siły. Nazajutrz była znowu piękną, spokojną; mówiła, miała nadzieję, ubrała się, jak zwykle ubierają się chorzy. Potém chciała bydź samą przez cały dzień, zaniosła o to do męża prośbę, z takiém naleganiem, z jakiém ją dziecię zanosi. A przy tém Juliusz potrzebował wyjśdź tego dnia.

Poszedł do pana de Maulincour, wyzwać go na śmiertelny pojedynek. Nie łatwo dostał się do sprawcy swego nieszczęścia; ale komandor usłyszawszy że idzie o sprawę honorową, usłuchał przesądów, które zawsze rządziły jego życiem i wprowadził Juliusza.

Pan Desmarets upatrywał barona de Maulincourt.

—»Ach! to jest on... rzekł komandor, wskazując na człowieka siedzącego w krześle przy kominku.

—»Kto! Juliusz... rzekł umierający, gasnącym głosem.

August postradał jedyną władzę, przez którą żyjemy, pamięć.

Na ten widok, Pan Desmarets cofnął się ze wstrętem. Nie mógł poznać wytwornego i młodego człowieka, w rzeczy bez imienia, bez mowy, podług słów Bossueta. Był to w istocie trup z siwemi włosami,

http://rcin.org.pl

z kośćmi zaledwie pokrytemi skórą pomarszczoną i wyschłą, z oczyma białemi i bez ruchu, z gębą otwartą obmierzłym sposobem jak u szaleńców albo u rozpustników, umierających z powodu rozpusty. Żadnego śladu pojęcia już nie było ani na czole ani na jego rysach, podobnież jak na jego ciele nie było ani różowego koloru, ani żadnego śladu krążenia krwi.

Był to człowiek zeschły, strawiony, przywiedziony do stanu w jakim znajdują się potwory zachowane w słojach w Muzeum, pływające w spirytusie. Juliuszowi zdało się, że ujrzał nad tą twarzą, straszliwą głowę Ferragusa i znalazło się politowanie w jego sercu, nad tym szczątkiem, który był nie dawno młodym człowiekiem.

—»Pojedynek już się odbył, rzekł komandor.

—»Ten pan zabił wiele osób! boleśnie zawołał Juliusz.

—»I osób bardzo drogich, przydał starzec. Jego ciotka umiera ze zmartwienia, a ja wstąpię za nią do grobu.

Nazajutrz po tych odwiedzinach, zdrowie pani Desmarets pogorszało się co chwila. Zebrawszy ostatek siły, wyjęła list z pod poduszki, żywo podała go Juliuszowi i uczyniła znak łatwy do zrozumienia. W pocałowaniu chciała mu oddać ostatnie tchnienie życia. Wziął je i skonała. Juliusz padł umierający i zaniesiono go do pomieszkania pana Jacquet.

Tam, gdy opłakiwał pośród łez i rozpaczy wczorajszą nieobecność swoją, Jacquet powiedział mu, iż Klemencya pragnęła mocno jego odejścia, gdyż nie chciała aby był świadkiem obrzędów religijnych, tak mocne wrażenie czyniących na rozżalonem sercu.

—»Nie byłbyś zniósł tego widoku, rzekł. Wszyscy tonęliśmy we łzach. Klemencya była jak święta. Zdołała jeszcze pożegnać się z nami, a jéj głos któryśmy po raz ostatni słyszeli, rozdzierał serce. Gdy prosiła aby jéj przebaczono mimowolne zmartwienie które mogła zrządzić tym co jéj usługiwali, powstały łkania i krzyki.

—»Dosyć! dosyć! zawołał Juliusz. Chciał sam pozostać dla przeczytania ostatnich wyrazów téj kobiety, którą świat cały uwielbiał, która przeszła jak kwiatek.

»Mój ulubiony, to jest mój testament. Czemużby nie czyniono testamentów dla skarbów serca, jak dla innych dóbr? a moja miłość nie byłaż jedynem dobrem mojém? Chcę zajmować się samą tylko miłością moją; ona była jedynym majątkiem twojéj Klemencyi, ją tylko samą zostawić ci mogę po zgonie. Juliuszu! jeszcze mię kochasz, umieram szczęśliwa! Lekarze tłomaczą po swojemu śmierć moją, ja sama wiem istotną jéj przyczynę. Powiem ci ją, jakąkolwiek przykrość może ci to wyrządzić. Nie chciałabym unieść tajemnicy w sercu zupełnie oddaném tobie, wtenczas, kiedy umieram ofiarą koniecznego milczenia.

Juliuszu, wychowana byłam w jak największéj samotności, zdala od występków i kłamstw świata, przez zacną i przyjemną kobietę, którą znałeś. Społeczność oddawała sprawiedliwość jéj zaletom, któremi kobieta podoba się w świecie, ale ja tajemnie

http://rcin.org.pl

cieszyłem się skarbami jéj niebiańskiéj duszy; mogłam kochać matkę, która czyniła mię szczęśliwą i wiedziałam dla czego ją kocham. Tak jest, kochałam ją, szanowałam, bałam się jéj, a nic mi nie ciężyło na sercu, ani uszanowanie, ani bojaźń. Byłam wszystkiém dla niéj i ona była wszystkiém dla mnie. Przez lat dziewiętnaście żyłyśmy szczęśliwe, bez trosk, a moja dusza samotna pośród świata, który huczał w koło mnie; odbijała sam tylko najczystszy obraz, obraz mojéj matki; moje serce biło tylko przez nią, albo dla niéj. Przejęta pobożnością, chciałam czystą zostać przed Bogiem. Moja matka żywiła we mnie wszystkie uczucia szlachetne. Ach! z roskoszą wyznaję to przed tobą Juliuszu; wiem teraz że byłam młodą dziewczyną i z dziewiczem sercem dostałam się tobie.

»Wyszedłszy z téj głębokiéj samotności, gdy po raz pierwszy ozdobiłam kwiatami włosy moje, gdym przypięła kilka wstążek do mojéj białéj sukni, myśląc o świecie który miałam zobaczyć i którego tak byłam ciekawa, Juliuszu! ta skromna zalotność ciebie miała na celu; albowiem przy wnijściu na świat, ciebie najpierwszego ujrzałam. Zwróciłam uwagę na twoją postać; podobała mi się twoja osoba; twój głos i obejście się wzbudziły w tobie pochlebne dla mnie uczucia; a gdyś przyszedł, gdyś przemówił do mnie z zapłonioném czołem i drżącym głosem, chwila ta zostawiła w umyśle moim nie zatarte wspomnienia, które dziś jeszcze wzruszają mię gdy piszę do ciebie. Nasza miłość była z razu najmocniejszą sympatyą, ale wkrótce odgadliśmy ją wzajemnie tak, jak potém uczuliśmy jéj nieprzeliczone rozkosze. Odtąd, moja matka zajmowała drugie miejsce tylko w mojém sercu. Mówiłam jéj to; uśmiechała się, najlepsza z matek! Po tém byłam twoją, zupełnie twoją. Takie jest moje życie, całe moje życie, kochany mężu. Teraz dokończę mego wyznania.

»Pewnego wieczora, na kilka dni przed śmiercią, moja matka, gorzkie łzy roniąc, wyjawiła mi tajemnicę życia mojego. Kochałam cię jeszcze bardziéj, kiedym się dowiedziała że są namiętności, które świat i religia potępia. Wtedy poznałam przyczynę jéj macierzyńskiéj czułości; wtedy dowiedziałam się, że jest w Paryżu człowiek, który żył jedynie przez to iż mię kocha, że twój majątek jest jego dziełem, że ci sprzyja, że jest wygnańcem z towarzystwa, że nosi osławione imie, i że jest nieszczęśliwszym przez wzgląd na mnie i na nas, niżeli na siebie samego. Moja matka była jedyną jego pociechą, a moja matka umarła. Przyrzekłam że ją zastąpię: bo z całym zapałem duszy, któréj uczuć nic nie zmieniło, widziałam tylko, iż osłodzę gorycz chwil ostatnich matki mojéj. Zobowiązałam się więc wykonywać po niéj, to miłosierdzie tajemne, miłosierdzie serca. Pierwszy raz postrzegłam ojca mojego przy łożu konającéj matki. Oczy łzami zalane wzniósł dla tego, aby odzyskał we mnie wszystkie utracone nadzieje. Przysięgłam, nie to, że będę kłamać, ale że będę milczeć; któraż cór-

http://rcin.org.pl

ka przerwałaby to milczenie? W tym jest moja wina Juliuszu, wątpiłam o tobie, ale była to obawa, tak wrodzona kobiecie, a zwłaszcza téj, która wie ile może postradać. Lękałam się o miłość moją; tajemnicę ojca mojego uważałam za grób mego szczęścia, a bojaźń moja wzrastała wraz z miłością. Nie śmiałam wyznać tego uczucia przed moim ojcem; byłabym go boleśnie dotknęła. Lecz on nie mówiąc mi o tém, podzielał obawę moją; jego ojcowskie serce drżało o moje szczęście, tyle, ile ja sama drżałam; nie śmiał mówić ulegając téj saméj delikatności, która mnie zamykała usta. Tak jest Juliuszu! mniemałam że możesz nie tyle kochać córkę Gracyana, ile kochałeś twoją Klemencyą. Gdyby nie ta ciężka obawa, czyliż byłabym taiła się przed tobą, przed tobą, który napełniałeś serce moje? W tenczas gdy ten obmierzły, ten nieszczęśliwy oficer mówił z tobą, musiałam skłamać w tym dniu i po drugi raz w życiu poznałam boleść, a ta boleść wzrastała aż do chwili, kiedym z tobą po raz ostatni mówiła. Cóż mię teraz obchodzi położenie ojca mojego? wiesz wszystko. Byłabym za pomocą miłości mojéj, zwalczyła chorobę, zniosła wszystkie cierpienia, ale nie zdołałam przytłumić głosu powątpiewania. Czyliżby stać się nie mogło, iż pamięć na mój ród uszkodziłaby czystość twojéj miłości, osłabiła ją i zmniejszyła? Nie zdołam pozbyć się téj obawy, oto jest Juliuszu przyczyna śmierci mojéj. Nie mogłabym żyć obawiając się jednego wyrazu, jednego spojrzenia; wyrazu, którego może nigdy nie powiesz; spojrzenia, które ci się nigdy nie wykradnie; ale cóż, obawiam się ich zawsze! Umieram kochana od ciebie, oto jest moja pociecha. Wiem, że od lat czterech, mój ojciec; przyjaciele jego świat cały wzruszyli, aby skłamać przed światem; aby mi nadać stan, kupili umarłego, imie, majątek, a to wszystko dla nas i nie powinniśmy byli wiedzieć o tém. Dobrze więc! śmierć moja uwolni zapewne mego ojca od tego kłamstwa: nie przeżyje mojéj śmierci.

»Żegnam cię Juliuszu! całe serce moje zawarte jest w tém piśmie. Wynurzając ci miłość moją w niewinności i trwodze, czyliż ci nie zostawiam całéj duszy mojéj! Nie miałam siły do mówienia, znalazłam ją do napisania; wyznałam przed Bogiem błędy moje, przyrzekłam, iż tylko nim samym zajmować się będę, ale nie mogłam przewieść na sobie, aby się nie wyspowiadać przed tym, który dla mnie jest wszystkiem na ziemi. Niestety! któżby mi nie przebaczył to ostatnie westchnienie między życiem które już przeszło, a życiem które ma nastąpić?.. Żegnam cię mój ukochany Juliuszu! idę na łono Boga, przy którém miłość jest zawsze pogodna, przy którym połączymy się kiedyś. Tam przy jego tronie, będziemy mogli kochać się na wieki. Ta jedyna nadzieja może mię pocieszyć. Jeżli jestem godna stanąć tam wprzódy od ciebie, czuwać będę nad twojém życiem; dusza moja, będzie ci towarzyszyć, będę cię otaczać, bo jeszcze pozostaniesz na tym padole. Prowadź więc święte życie, abyś tém pewniéj doszedł do mnie. Możesz

http://rcin.org.pl

wyświadczyć tyle dobrego na téj ziemi! Nie jestże to anielskie powołanie dla cierpiącéj istoty, rozpościerać radość w około siebie, udzielać tego czego nie ma. Zostawiam cię dla wsparcia nieszczęśliwych, o ich tylko uśmiechy i łzy nie będę zazdrosną. W téj słodkiéj dobroczynności wielki powab znajdziemy. Czyliż nie możemy jeszcze żyć razem, jeźli imie moje, imie twojéj Klemencyi, połączysz z twemi dobrodziejstwami? Po takiéj miłości jak nasza, nic już nie ma prócz Boga. Juliuszu! Bóg nie uwodzi. Bogu tylko samemu cześć składaj, chcę tego. Żegnam cię najdroższy przyjacielu! znam ciebie: nie będziesz kochać dwa razy. Umrę więc szczęśliwa z tą myślą. Tak jest, moim grobem będzie twoje serce. Po latach dziecinnych którem ci opowiedziała, czyliż moje życie nie upłynęło w twojém sercu? Umarłą, nie oddalisz mię z niego. Jakże się chlubię tém jedyném życiem! Znałeś mię tylko w kwiecie młodości, zostawiam ci żal po mnie, bez straty uroku. Juliuszu! jest to śmierć bardzo szczęśliwa.

»Ty, któryś mię tak dobrze zrozumiał, pozwól mi abym ci poleciła rzecz zbyteczną może, zadosyć uczynienie fantazyi kobiecéj, życzenie zazdrości, któréj jesteśmy przedmiotem. Proszę cię abyś spalił wszystko co do mnie należało, zniszczył wszystko co może bydź wspomnieniem naszéj miłości.

»Jeszcze jedno, ostatnie pożegnanie! pełne miłości! jak moja myśl ostatnia i moje ostatnie tchnienie!...

Gdy Juliusz doczytał tego listu, ogarnęło go szaleństwo, którego straszliwych paroxyzmów oddać niepodobna. Każda boleść stosuje się do osoby cierpiącego; nie można poddać iéj skutków pod żadne stałe prawidło; niektórzy ludzie zatykają sobie uszy aby nie słyszeli; niektóre kobiety zamykają oczy aby nic nie widziały; są także wielkie i wspaniałe dusze, które rzucają się w boleść, jak w przepaść. W tém co się dotycze rozpaczy, wszystko jest prawdą.

Juliusz wyrwał się od swojego przyjaciela i powrócił do siebie, chcąc przepędzić noc przy żonie i widzieć aż do ostatniéj chwili tę nadziemską istotę.

Jdąc z tą obojętnością właściwą ludziom przywiedzionym do ostatniego stopnia nieszczęścia, zrozumiał dla czego w Azyi prawa rozkazują małżonkom, aby jedno nie przeżyło zgonu drugiego; chciał umrzeć. Nie był jeszcze znękany; był w gorączce boleści.

Przeszedł bez przeszkody i ujrzał Klemencyą na śmiertelném łożu. Piękna jak święta, ze złożonemi rękoma, już spoczywała w trumnie. Kapłan modlił się przy gorejących świecach. Józefina płakała w kącie klęcząc, a przy łóżku było dwóch ludzi. Jeden z nich był Ferragus; stał niewzruszony przy trumnie i suchem okiem spoglądał na córkę. Wziąźćby go można było za posąg z bronzu. Drugim był Jacquet, dla którego pani Desmarets zawsze była dobrą. Po wyjściu Juliusza, zajął się był pogrzebem, a potém przyszedł wypłacić święcie we łzach dług swój, na długo pożegnać żonę przyjaciela swojego, po raz pierwszy

http://rcin.org.pl

ucałować zlodowaciałe czoło istoty, którą jak siostrę kochał.

Wszyscy milczeli. Nie była to śmierć, straszliwa jak w kościele, ani wspaniała jak wtenczas gdy przechodzi ulice; była to śmierć wkradająca się w domowe zacisze, śmierć tkliwa; była to żałoba serca, płacz ukryty przed wszystkiemi.

Juliusz usiadł obok przyjaciela, ścisnął go za rękę, nie wyrzekłszy ani słowa. Wszystkie osoby téj sceny pozostały tak aż do rana.

Gdy dzień przyćmiło światło świec, acquet przewidując jak bolesne sceny mają nastąpić, wyprowadził przyjaciela do pobliskiego pokoju.

W téj chwili mąż spojrzał na ojca, a Ferragus na Juliusza. Te dwie boleści zapytały się wzajem, zgłębiły się i zrozumiały tém spojrzeniem. Wściekłość zabłysła przelotnie w oczach Ferragusa.

—Tyś ją zabił! pomyślał.

—»Dla czegóż mi nie zaufałeś? zdawał się odpowiadać mąż.

Scena ta, podobna była do téj, jaka zachodzić musi między dwoma tygrysami, którzy się przypatrzywszy sobie, poznają bezskuteczność wzajemnéj walki.

—»Jacquet! rzekł Juliusz, pamiętałżeś o wszystkiém?

— »O wszystkiém odpowiedział, ale wszędzie uprzedził mię człowiek, który rozkazywał i płacił.

—»Wydziera mi córkę swoją! zawołał mąż, gwałtowną uniesiony rozpaczą.

Rzucił się do pokoju żony, lecz już Ferragusa nie było...

Klemencyą złożono w ołowianéj trumnie i rzemieślnicy zabierali się do zanitowania wieka. Juliusz cofnął się przerażony tym widokiem, i na łoskot młotków, machinalnie zalał się łzami.

—Jacquet rzekł, pozostała mi z téj nocy jedna myśl, którą muszę wszelkiemi sposobami przywieśdź do skutku. Nie chcę aby Klemencya leżała na cmentarzu paryzkim. Chcę spalić jéj ciało i zachować jéj popioły. Nie mów ani słowa o tém, ale zajmij się tą rzeczą. Zamknę się w jéj pokoju i pozostanę aż do chwili pogrzebu. Jedź, nie oszczędzaj niczego.

Pomijamy opis uroczystości żałobnéj. Przepych jéj sprowadził widzów: bo w Paryżu wszystko jest przedmiotem widowisk, nawet najprawdziwsza boleść. Są ludzie, którzy przypatrują się przez okno, jakim sposobem syn płacze zgonu matki... Po exekwiach, dwunastu ludzi w żałobie wyszło z sześciu kaplic pobocznych. Każdy z nich wsiadł w karetę kirem okrytą. Jacquet i pan Desmarets wsiedli w trzynastą, słudzy poszli piechotą. W godzinę potém, dwunastu nieznajomych stało na cmentarzu Pere de-Lachaise w około dołu, gdzie spuszczono trumnę w obec ciekawego tłumu.

Jacquet zadosyć czyniąc prośbie przyjaciela, podał notę do prefekta policyi, aby wolno było stroskanemu mężowi spalić zwłoki żony. Podanie to, bezprzykładne dotąd, przeszło przez wszystkie dzienniki i formy biórowe; jedno ministeryum odsyłało je drugiemu; nie było końca.

Pewnego, wieczora nieznajomy czarno ubrany wszedł do domu Juliusza,

http://rcin.org.pl

i nic nie mówiąc, oddał mu porfirową urnę, na której był ten napis:

FILIOLAE CINERES
CONJUGI MOERENTI
RESTITUIT,
AMICIS JUVANTIBUS,
MORIBUNDUS PATER. (*)

Na jednem z placów Paryża, w części miasta nie tyle uczęszczanej, gdzie spokojni rzemieślnicy lubią grać w kręgle; zjawił się był od niejakiego czasu człowiek, który jak najregularniéj przychodził przyglądać się grającym, opierał się o drzewa i patrzał. Nigdy nic nie mówił, a najzapaleńsi gracze nigdy nie pytali go o przyczynę tego milczenia. Niektórzy tylko mniemali że jest głuchoniemym. Czy deszcz, czy zawierucha, on zawsze był na tém samém miejscu. Blady, zwiędły, bez żadnego starania około siebie, często przychodził z odkrytą głową, pokazując siwe włosy i czaszkę żółtą i łysą. Nie znać było żadnych wyobrażeń w jego spojrzeniu, nie miał żadnéj pewności w chodzie; nigdy się nie uśmiechnął, nigdy oczu nie podniósł w górę, zazwyczaj trzymał je spuszczone ku ziemi i zdawało się że tam zawsze czegoś szuka. O czwartéj, stara kobieta przychodziła po niego i odprowadzała go nie wiedzieć dokąd, ciągnąc go za rękę, jak młoda dziewczyna ciągnie nie posłuszną kozę, która chce jeszcze gryźć trawę, zamiast powrócić do obory. Okropną było rzeczą, patrzeć na tego starca!...

Pewnego dnia po południu, pan Desmarets siedząc w swym podróżnym koczyku, wjechał na ten plac i ujrzał starca. Zdało mu się, że poznaje tę postać. Postylion zatrzymał się nie mogąc przejechać.

» To on! rzekł nareście Juliusz, znajdując w tym szczątku ludzkiej istoty, straszliwego Ferragusa....

Nieszczęsny! wyłamał się z pod wszelkich praw ludzkich; nie dosięgła go ręka sprawiedliwości, ale Bóg ukarał go w tém, co było duszą jego duszy. Człowiek ten, na nic nie miał względu, nic nie kochał prócz własnego dziecięcia... stracił je... jakaż kara okropniejsza bydź może!..

(*) *Popioły córki*
Stroskanemu mężowi
Powrócił
Za pomocą przyjaciół,
Umierający Ojciec.

WSPOMNIENIA SZWAJCARYI.

Polowanie na kozy dzikie.

(z fran: z ryciną.)

....Od kilkunastu dni, byłem w Unterseen. Któryż podróżny nie byłby się zatrzymał w tém miejscu? Jest to jedna z najpiękniejszych okolic Szwajcaryi. Między dwoma jeziorami Thoum i Brienz, jest to jak wyspa zieloności, którą w koło otaczają Alpy okryte lodami i sosnami. U ich stóp

http://rcin.org.pl

spoczywa chłodna dolina, po jéj łąkach, wiją się żywe płoty z bzu i róż alpejskich, a pośród nich stoją odwieczne orzechy włoskie z szerokiemi konary; tu i owdzie sterczą wieże na pół zwalone, stoją porządne domy wiejskie i snują się wieśniaczki jasno włose, w zgrabnych słomianych kapeluszach... jest to Arkadya, lub widowisko Opery.

Pewnego dnia, przechodząc przez wieś, zatrzymałem się przed prostym sklepem. Postawa kupca zwróciła moją uwagę. Był to człowiek silny i czerstwy, ale na jego twarzy malowała się posępność. Jego towar porządnie ułożony na sosnowym stole, za którym siedział z jakąś dziką niespokojnością, składał się z osobliwości zebranych na górach. Były tam kryształy jeszcze powalane ziemią, świecąca się mika, wiele innych kruszców, narzędzia zręcznie wyrobione z bukszpanu, a nadewszystko rogi kóz dzikich, wygładzone, czarne i wyrobione tak, aby służyły za gałki do lasek albo za puzderka. Zbliżywszy się, postrzegłem że ten biedak nie miał prawéj ręki, a słabość nóg zmuszała go do częstego siedzenia. Już to powodowany zajęciem, które wzbudzał we mnie, już to nie mając nic lepszego do czynienia, wdałem się z nim w rozmowę. Najprzód zapytałem się o cenę rozmaitych przedmiotów, a że dosyć łatwo mogłem mówić jego dyalektem, ośmieliłem się zadać inne pytania. Cudzoziemiec zawsze może się czegoś nauczyć.

Człowiek ten nazywał się Hans Rudi, rodowity Szwajcar. Wprzód nim założył swój mierny handelek, trudnił się czynném rzemiosłem myśliwca.

Ach! rzekł do mnie, spoglądając z miłością i żalem, nie zawsze byłem przykuty do téj przeklętéj budy. Był czas kiedy przebiegałem swobodnie te góry, te lodowiska, te górne płaszczyzny. Nikt lepiéj odemnie nie znał mieszkańców Szeideck i Schwarzhorn. Gdyby ten przeklęty chirurg który mię zabić nie umiał, chciał mi powrócić władzę w nogach i rękę którą mi odjął, o! znalazłbym nie mało kóz dzikich, chociaż wszyscy mówią że są co raz to rzadsze w Oberland.

—»Co u licha! odpowiedziałem z uśmiechem? jeszcze chcielibyście polewać. Co do mnie, niechaj mię Bóg zachowa od takiego rzemiosła, nie chcę narażać moich zdrowych rąk i nóg.

—»Gdyżeście go nigdy nie zakosztowali, mój kochany panie.. Powiadam wam, że mój dziad i ojciec zabili się na polowaniu, a mimo tego nie chciałem go porzucić, dopóki tylko miałem rękę moją... rzekł, uderzając w osierocone ramie, i aż do ostatniego dnia życia mojego: bo teraz jestem jak umarły: dźwigałem bez skrupułu i bojaźni moją poczciwą strzelbę.

»Dla nas Szwajcarów życie jest na górach, musiemy spinać się na skały, przeskakiwać przepaści, walczyć z dzikiemi kozami o pierwszeństwo w śmiałości i szybkości. Pozbaw nas powietrza gór naszych i przenieś na doliny, a będziemy schnąć jak alpejska róża, któréj kwiat rozwija się tylko za wiatrem idącym od lodów.

Gruba łza stanęła w oczach tego entuzyasty. Był to weteran, który

http://rcin.org.pl

przypominał sobie dawniejsze bitwy, żeglarz który jeszcze raz marzył o oceanie i jego burzach, był to pionier Kupera, który przemierza w myśli swojéj obszerne puszcze, ukochane od tak dawna!.. Czyliż możemy wytłómaczyć dziwny powab nadający taką poetyczną barwę życiu tych ludzi, poświęconych na trudy i niebezpieczeństwa?

Hans Rudi był dla mnie szacowną zajomością; odwiedzałem go często. Powoli dowiedzałem się historyi jego życia i to od niego samego. Lubił bowiem opowiadać dzieła i przypadki swojéj awanturniczéj młodości i doznawał wtenczas istotnego zadowolenia, chociaż złączonego z goryczą.

W izbie za sklepem, schował troskliwie swój dawny ubiór, trzewiki uzbrojone ostremi kolcami, dla zatrzymania się na pochyłości przepaści, długie kije okute żelazem, na których opierał się czyniąc najniebezpieczniejsze skoki, topor dobrze wyostrzony do rąbania w skale albo lodzie, strzelbę z gwintami, w którą młotkiem trzeba wbijać kule, a nawet sakwy w które kładł swoje pożywienie, nawet oplataną flaszkę, z któréj dotąd jeszcze, idąc za dawnym nałogiem, czerpał pocieszający trunek: wszystko to zachował i na ścianach zawiesił te zabytki myśliwskie.

»Patrzaj, mówił do mnie z uśmiechem, patrzaj, każdy z tych przedmiotów, obudza we mnie tysiące słodkich i smutnych wspomnień. Te strzelbę podarował mi ojciec; niechaj Bóg świeci nad jego duszą! Dał mi ją jako dowód zadowolenia swego, w tym dniu, kiedy po raz pierwszy trafiłem kozę dziką, która uciekając przed nami, miała się rzucić na drugą stonę potoku. Bo też nie ma przebiegléjszego zwierzęcia. Ileż to razy przebywszy całą noc na czatach, zaciąrałem ręce uradowany, postrzegłszy przy pierwszym połysku zorzy, pokojną trzodę, gryzącą o dwieście albo trzysta kroków odemnie, wonną trawę na ustronnych pastwiskach. Ale hr... na próżno ukrywałem się pod krzakiem; pierwsza placówka, którą nasi nieprzyjaciele zawsze stawiają w około pastwiska, była czujniéjsza odemnie. Nim jeszcze odwiodłem strzelbę, świst dał znak trwogi, a całagromada uciekała. Wtedy trzeba było wspinać się i biedz, żadna bowiem przeszkoda nie wstrzymywała uciekających. Dwoma lub trzema kokami, już były na wierzchołku skały, albo też w głębi spadzistéj przepaści. Ale Bogu dzięki i ja nie zostawałem w tyle.

—»Ach! na przykład, ta flisza przypomina mi jedną historyą: powiadał innym razem. Muszę wam powiedzieć że za przywiléj polowania w całym kantonie Oberlandu, musiny znosić pewne ciężary, które na na poprzyjacielsku włożono. Na przykład: jeźli młoda dziewczyna idzie za mąż, musimy złożyć jéj podarunek ślubny: dwie piękne kozy, ni mniéj ani więcéj, których mięso zastawione jest na biesiadzie, a któréj rogaty nigdy nie wzgardzi dobra gospodyni. Otóż Piotr Joehl, najlepszy mój przyjaciel, miał siostrę.—»Hans: rzekł do mnie Piotr pewnego razu: Medeli idzie za Webera, oberżystę z Lauterbrunen, wo-

http://rcin.org.pl

sele będzie za trzy dni. Czyliż dozwolimy aby inni złożyli jéj najpiękniejszy podarunek, jakim się panna młoda poszczycić może? Jdźmy dziś wieczór i zobaczmy za lodowiskami, czy nasi sąsiedzi nie wygonili wszystkiéj zwierzyny. —»Zgoda, odpowiedziałem. Była to prawdziwa zabawka i poszliśmy.

Aby nam się tém lepiéj powiodło, poszliśmy drogą w innym kierunku, nie tym, jakim zazwyczaj chodzą myśliwi. Byliśmy o kilka mil od wioski, gdy nad ranem postrzegliśmy całą gromadę tych zwierząt, których tak łatwo nie można oswoić jak mniemacie. Dalibóg, zdaje mi się, że jeszcze słyszę jak świszczą, widzę ich jak ciągną, jak lecą: to rzęcz doskonała! W rzeczy saméj, ciężko nam było gonić za niemi. Około południa ubiliśmy dwie kozy. Potém trzeba było myśléć o powrocie. Nie była to rzecz tak łatwa. Wystawcie sobie, żeśmy byli w nieznanéj okolicy, na cyplu, dokąd zapał pogoni zaprowadził nas bez namysłu i rozwagi. Z jednéj strony było morze lodów nie mające granic, z drugiéj przepaść, wykopana prostopadle pod naszemi nogami. Oko zaledwie dostrzedz mogło kłębów białéj piany, zaledwie mogliśmy dosłyszéć huczenia potoku, spadającego po skałach, o kilkaset sążni pod naszém stanowiskiem. Nie szło nam tyle o możność znijścia aż w głąb téj przepaści po jéj nierównych ścianach, ile o to, aby zejść z całym naszym ładunkiem: a kozę dziką nie tak łatwo nieść jak pokrajać. Nie byliśmy tak nikczemni, abyśmy chociaż na chwilę pomyśléć mogli o porąbaniu zwierzyny. Cóżby powiedziała Medeli, gdybyśmy zamiast dwóch koz nietkniętych, przynieśli tylko ich mięso.

Cóż więc robić? Joehl przywiązał się ze swoją zdobyczą do liny, którą miałem ze sobą i spuściłem go aż na głaz wystający o trzydzieści stóp niżéj nad przepaścią. Przyszła potém koléj na mnie. Za pomocą mego kija, po wystających głazach, dostałem się do mojego przyjaciela. Nim doszliśmy do kresu naszych trudów, kilkakrotnie powtórzyliśmy ten sposób i nie mieliśmy innego zachodu, prócz wybierania stopni. Jedno jednakże zdarzenie mocno nas zmieszało.

»Baczność, rzekł do mnie po cichu Joehl, gdyśmy stali na jednym z tych gzymsów nadpowietrznych, które były naszym jedynym środkiem ocalenia. Baczność i milczenie.«

Potém wskazał mi po cichu ale wyraźnie, iż wielki orzeł z tego potwornego gatunku jaki się tylko w Alpach znajduje, latał nad moją głową, przynęcony zapewne wonią zwierzyny. Wkrótce usłyszałem iż uderza na mnie, uczułem dotknięcie jego mocnych skrzydeł; ale jużem się był przygotował. Kierując rękoma lufę mojéj strzelby, nogą pociągnąłem kurek, wystrzał wypadł, powtórzyły go tysiączne echa... Wróciłem z dwoma kozami i z najpiękniejszym orłem alpejskim, jakiego kiedy ubito. Za nagrodę dostałem tę piękną flaszkę i wstążkę, które Medeli przywiązała własnemi rękoma. Kochana Medeli! byłem dla niéj drugim bratem.

—»Ach mój biedny Rudi! odpowiedziałem, ochłonąwszy ze wzruszenia

http://rcin.org.pl

które wznieciła we mnie jego powieść: łękałem się czyli cię nie znajdę na dole téj przepaści, tak pokaleczonego jak teraz jesteś. Ale w jakiéjże bitwie straciłeś rękę?

—»Mój kochany panie, jest to smutna przygoda. Gdybym jeszcze oddał moją rękę za drugiego orła; ale nie, postradałem ją bez chwały; jak żołnierz który sobie złamie rękę w zimie, stojąc na załodze. W rok po zamęźciu Medeli, byłem w gospodzie Webera; chwila połogu zbliżała się, a biedna kobieta cierpiała okropnie. Trzeba było doktora, nie mieliśmy go we wsi, a drogą zwyczajną było pięć mil do najbliższego miejsca. Weber był stroskanym. W tém pomyślałem, że idąc prostą drogą przez góry, będzie tylko godzina drogi do pomieszkania chirurga. Mówiono mi, że wczoraj śnieg upadł i że przez lodowiska przejść nie podobna. Cóż mię obchodziły te wszystkie względy? Poszedłem... ale bez mojéj wiernéj strzelby... to mi przyniosło nieszczęście. Aby iść prędzéj, zrzuciłem z siebie wszystko co mi ciężyć mogło. Cóż powiem? Noga pośliznęła mi się na świeżym śniegu, nie postrzegłem szpary między dwoma ścianami lodu, i wpadłem o trzydzieści, lub czterdzieści kroków głębokości. Bo też po co zostawiłem strzelbę? Po kilku chwilach omdlenia, odzyskałem siły. To prawda żem okropnie cierpiał; ale cóż robić? wlokłem się jak mogłem wzdłuż strumienia, który z tego miejsca wypływał. Dalibóg dziwna przechadzka!.. Uszedłem tym sposobem przeszło milę pod sklepieniem lodu, którego zimno jeszcze powiększyło moje cierpienia. Nareście doczołgałem się do końca téj przepaści, o któréj myślałem że będzie moim grobem. Znaleźli mię pasterze. Uwiadomili łekarza, przyszedł od śmiertelnego łoża biedny Medeli, aby mi bez miłosierdzia odpiłować rękę. Porzuciłem góry, gdyż zbyt mocne czułem zmartwienie, ilekroć nasi młodzi strzelcy, wyruszali na jaką wyprawę z zapasem prochu i nadziei. Jedyną moją pociechą odtąd, jest ten zbiór moich dawnych pamiątek myśliwskich...

—»I ty także! przydał, pochylając się dla ukrycia przedemną kilku łez, ku młodéj kozie, którą mu podarował dawny jego towarzysz, a którą wychował z troskliwością, jaką nie wielu miałoby dla tego zwierza. Albowiem koza dzika lubi życie swobodne w górach i nie łatwo oswoić ją można.

AUGUST JULIEN.

http://rcin.org.pl

Polowanie na Kozy dzikie.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ZARYSY OBYCZAJOW.

SYCYLIANIE.

(z Angielskiego.)

Mało znamy Sycylią, tę starożytną wyspę, któréj dziwaczne obyczaje powinny były zwrócić uwagę podróżnych. Ale podróżny idzie zwykle za śladami poprzedników swoich. Podoba sobie Neapol, Rzym, Wenecyą, a zaniedbuje te szczątki architektury maurytańskiéj, greckiéj i rzymskiéj w które Sycylia obfituje, szczątki leżące pośród głazów rozrzuconych przez wstrząśnienia natury i odbijace się w tych pięknych wodach, sklniących się pod błękitem nieba. — Rzymianie, Kastyllańczykowie, Muzułmanie, Anglicy, Francuzi, kolejno tu osiadali i wznieśli pośród tych gór barwionych promieniami zachodzącego słońca, kolumny swoich, przysionków i stopnie amfiteatrów. Lata młodości mojéj przepędziłem w téj krainie pełnéj wspomnień, już to pośród góralów Alcamo, już to pośród żeglarzów Trapani, od których nie raz pożyczałem ich czapki i czerwonego płaszcza. Badałem ten kraj pozbawiony cywilizacyi i nie raz ukląkłem przed processyą mnichów razem z gromadami ludu. W liczbie zebranych przezemnie faktów, nie będących romansem albo powieścią, lecz anegdotami których nawet nie zamierzam upiększać, znajdują się dziwaczne, śmieszne, malownicze, nie podobne do prawdy i bardzo traiczne. Ta dzikość i zabobonność, pod ktorą jęczy Sycylia, sprawuje że występki zdarzają się tam bardzo często. Zła administracya, staje na przeszkodzie ich ukaraniu. Człowiek pospolity, jeżeli stanie się winowajcą, ucieka w góry; możny, zamyka się w swoim pałacu.

Gdyby jawném było to wszystko co dziś jeszcze dzieje się w Sycylii, gdyby prywatne życie wielu Sycylianów rozmaitego stanu, mogło objawić się oczom ciekawych, znaleźlibyśmy fakta, przewyższające w dziwactwie i oryginalności, pomysły wszystkich pisarzy romansów. Jest to kraj, będący zupełnie za obrębem wyobrażeń naszych, obcy wszystkim prawom ludów, razem Maurytański, Kastylański, Włoski, dziki, rozwiozły, wykształcony, którego zrozumieć i pojąć nie można inaczéj, tylko przez opowiadanie i przykłady. Nie mówimy tu o xięciu Palagenia, który wydał miliony na potworne posągi: znają go aż nazbyt; Goethe i pani de Stael tyle naśmieli się z jego szaleństwa, iż niepodobna aby czytelnicy nie przypomnieli sobie jego nazwiska. Nie daleko od jego dóbr, znajduje się drugi zwierzyniec xięcia Butera. Wystawił w nim klasztor, zamieszkały przez figury woskowe, wyobrażające mnichów. Ale ileż to owoców niedokładnéj cywilizacyi i bezsilności praw, zostaje zagrzebanych w ukryciu! Rozbójnicy któremi sławna pani Radcliffe zaludniła swoje dzieła, co krok znajdują się w Sycylii. Jéj brzegi napastują korsarze; po starych opuszczonych klasztorach kryją się zbójcy. Pamiętają dotąd w okolicach Augusta o zamordowaniu trzechset pięćdziesięciu Francuzów, których powracających z Egiptu w 1800; burza wyrzuciła na brzeg. Często zdarza się, że gro-

mada rozbójników zdobędzie klasztor leżący w górach. Wtedy wyrzynają bez miłosierdzia wszystkich mieszkańców i rabują skarby i depozyta, znajdujące się tamże. Taki jest stan społeczeństwa, własność tak mało jest zabezpieczona, iż ołtarze i mury klasztorne, są jeszcze najbezpieczniejszém schronieniem: a przecież rozbójnicy sycylijscy nie zawsze je szanują. Większa część przełożonych klasztorów, jest prawdziwemi bankierami Sycylii; w ich ręku składa każdy to co ma najdroższego, a to zaufanie powszechnie wiadome, staje się powodem częstokroć smutnych wypadków, ale też czasem i dosyć wesołych, jak się o tém przekonamy z następującego zdarzenia.

W roku 1806, baron niemiecki, Weder, zamyślając przepędzić kilka lat w Sycylii, wyjechał z Wiednia do Tryestu a tam wsiadłszy na okręt, wylądował w porcie Katana. Lubił dobrze jeść i pić; więcéj obdarzony siłami ciała niż umysłu, przywiózł ze sobą polecające listy i pieniądze. Przyrzeczono mu, że znajdzie gościnne przyjęcie w klasztorze świętego Mikołaja, zajętym przez benedyktynów i zamierzył sobie wypocząć u zacnych xięży po trudach podróży. Są niedaleko Katany dwa klasztory pod tém nazwiskiem: Swiętego Mikołaja *na piaskach*, niedaleko miasta, gdzie teraz mieszkają zakonnicy i stary klasztor świętego Mikołaja, którego położenie tak jest dziwaczne jak malownicze, niebezpieczne i przerażające. Na lewym boku Etny, o dwanaście mil od Katany, o milę od wioski Nicolosi, wznosi się ten gmach osadzony starożytnemi wieżami, bardziéj podobny do fortecy niż do klasztoru. Las odwiecznych dębów, których ciemna zieloność zaciąga się na zwaliska, jeszcze pomnaża okropność téj okolicy. Fundamenta klasztoru są o 2500 stóp wyżéj nad powierzchnią morza. Zbudowany w 1156, był tak często zasypany popiołem, oblany morzem gorącéj lawy, zniszczony skutkiem trzęsienia ziemi, iż po wielokrotném odbudowaniu, zgromadzenie opuściło go ostatecznie w r. 1558 zstąpiło na płaszczyznę i zbudowało gmach mocny, poważny i wspaniały, w którym dotąd mieszka.

Zwaliska starego klasztoru Śgo Mikołaja, wspaniały przedstawiają widok. Gdy strudzony podróżny zatrzymuje się pod temi zwaliskami, z przestrachem czyta liczne data pożarów, trzęsienia ziemi i wszelkiego rodzaju klęsk, które dotknęły ten klasztor od początku jego założenia, a których wspomnienie dotąd jest wyryte na kamieniu. Położenie miejsca, stósowne do rozmyślania religijnego, piękność, wzniosłość i obszerność krajobrazu, przestrach wzniecony bliskością wulkanu, głęboka cisza téj szczytnéj samotności, gdzie zakonnicy lat dawnych myśleli o Bogu i wieczności przy roztwartéj paszczy krateru, czyste powietrze w górach, wszystko to napełnia duszę głębokiém i wzniosłem uczuciem, na nieszczęście przerwaném niekiedy widokiem rozbójnika i jego strzelby.

Przed trzydziestoma laty, kraj ten był w stanie jeszcze opłakańszym. Bandyci obierali za siedlisko swoje, pieczary gór, i stare zwalone fortece,

http://rcin.org.pl

oblegali i rabowali nadbrzeżne miasta; sama nawet Katana 60,000 ludności mająca, musiała opłacać im daninę. Niekiedy wysyłano przeciw nim jakie trwożliwe oddziały jazdy, które kryły się za płotami i uciekały za zbliżeniem się rozbójników. W roku 1806 stary klasztor Swiętego Mikołaja stał się miejscem przytułku dla najgroźniejszéj bandy. — Rozbójnicy nie lękając się wulkanu huczącego nad ich głowami, naprawili część murów, porobili strzelnice i ukrywali w niezmiernych podziemiach klasztoru, daniny i opłaty, które ściągali z całéj okolicy. W epoce ich największego powodzenia, baron Weder przybywszy do Katany, chciał pojechać do klasztoru Sgo Mikołaja i zapytał się najpierwszego mulnika jakiego napotkał, którędy jest droga do tego miejsca. W chwili gdy uczynił to pytanie, znajdował się pod murami klasztoru Sgo Mikołaja na piasku. Mulnik mówiąc tylko dyalektem sycylijskim, rozumiał że jego wysokość niemiecka (bardzo źle mówiąca po włosku) pyta się o drogę do starego klasztoru. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, aby najmowano powóz i dwa muły dla pojechania do Klasztoru na piaskach, przy którym się właśnie znajdowali. Jakażkolwiek była przyczyna jego błędu, umówił się o cenę i obydwa mieli ruszyć w drogę, gdy mulnik zdjąwszy z głowy czapkę czerwoną, zbliżył się do barona, i z tym wyrazem wesołości i szyderstwa właściwym fizyonomii Sycylijczyków, zapytał się:

—»Czyli przypadkiem JWPan ma że sobą wiele rzeczy?

Baron ledwie przez połowę rozumiejąc tę mowę najeżoną literami *z*, *q*, *u*, spojrzał surowo na furmana, i odpowiedział niemiecką włoszczyzną:

—»Moje pakasze: ja zapierać z sobą! tertejfel!

—»Ach! odpowiedział Sycylijczyk przecierając oczy i otwierając ogromną gębę, rozumiałem *vustra zzelincza*! rozumiałem, że JWPan zostawi swoje rzeczy w Katanie.

—»Zostaćic moje pakasze i pieniąże? zawołał uparty baron! nic, nic!

—»Jak się podoba *zzelincza*, rzekł Sycylijczyk. Ale na *Giezu santzo*, kto tam jedzie, ten ztamtąd nie wraca.

—»Chcecie ochraniała tfoja mula! (zawołał baron nie zrozumiawszy końca peryodu i mniemając, że Sycylijczyk robi trudności dla wyłudzenia od niego pieniędzy). Spieszyć się lotra, ruszaj.

—»Jak się podoba wasza *zzelincza*.

Sycylijczyk ładował rzeczy, ale tak powoli i świszcząc tak żałosną aryą, iż niemiec zniecierpliwił się, wyjął z futerału ogromne pistolety i jak tylko można najbardziej klnąc po niemiecku, zagroził Sycylijczykowi gniewem swoim, jeżeli śpieszyć się nie będzie. Furman nie zmieszał się, zagwizdał tarantellę i usłuchał nowego pana. Muły poszły truchtem, a furman rozmyślając nad temi okolicznościami, wniósł sobie, iż baron musi bydź w dobrém porozumieniu z rozbójnikami, którzy teraz zajmują klasztor. A że rozbójnicy nigdy nic złego nie robią furmanom, jeżeli od nich nie do-

http://rcin.org.pl

znają oporu, Sycylijczyk nie sprzeciwiał się dłużéj i ruszył do starego klasztoru. Baron Weder jeszcze nie jadł obiadu, a już była godzina szósta. Nie obgadując Niemców, których we wszystkich romansach wystawiano tak żarłocznemi, możemy przecież mniemać, że po żegludze dosyć długiéj i surowéj dyecie, nasz przewodnik rozkosznie marzył o smacznéj kuchni benedyktynów, o przyjęciu jakiego dozna i o starych winach, które wydobędą z piwnic na uczczenie jego przybycia. Niechaj oddaje się tym rozkosznym obrazom, przez ten czas gdy furman i jego dwa muły idą wzdłuż wąwozów Etny!... Nagle, baron Weder ogląda się, zdziwiony dzikością okolicy. Zdaje mu się że podróż trwa nazbyt długo, i odchylając firanki powozu, woła:

—»Héj! gdzież jesteśmy?

—»Na drodze do klasztoru Sgo Mikołaja.

—»Czy droga jest bezpieczna?

—»Nie bardzo, ostrzegałem waszą *zzelincza*.

—»Tejfel! tejfel! czy jeszcze jest daleko? Kiedyż staniemy na miejscu?

—»Przed nocą? jak się spodziewam.

—»Przed nocą! zawołał rozgniewany i głodny baron. Śpieszmy się, dobrzy ojcowie już będą po wieczerzy i nic nie dostaniemy.

Na te słowa *dobrzy ojcowie*, fizyonomia Sycylijczyka jeszcze bardziéj przybrała wyraz szyderstwa i podziwienia.

Zdawało mu się, iż baron nie ma dokładnéj wiadomości o miejscu dokąd jedzie i zawołał wiele znaczącym tonem.

—»Waszéj *zzelinczy* bardzo jest pilno jak mi się zdaje?

—»Głód mi dokucza nieznośnie.

—»Ci panowie uleczą was z głodu.

—»Spodziewam się! spodziewam się! mówił baron nie wychodząc z błędu. Ale zdaje mi się iż lepiéj byłoby zjeść obiad w Katana.

—»*Zzelincza*? czy mam się wrócić do miasta.

—»Do tysiąca szatanów! nie! ruszaj jak najprędzéj do klasztoru.

»*Zerebello de Tedesco*! szalony Niemiec! pomruknął furman poganiając swoje zmordowane muły.

Z wąwozu w wąwóz, z wierzchołka na wierzchołek, już to wdzierając się na okropne urwiska, już to zapuszczając się w przepaści podobne do bram piekielnych, nasi podróżni dojechali nareście do starego klasztoru, którego czarne i na pół rozwalone mury stały na wierzchołku wzgórza. Furman zlazł z kozła, i na rozkaz hrabiego drżącą ręką podniósł stary i zardzewiały młot żelazny. Młotek opadł ciężko, a odgłos jego upadku, echa powtórzyły kilkakrotnie, w głębokich jaskiniach obalonego gmachu. Gromady nocnych ptaków zerwały się z pomiędzy rozpadlin, a wkrótce potém, dzwon podobniejszy do tego w który na gwałt uderzają, niż do skromnego klasztornego dzwonka, rozległ się po dolinach, przepaściach, wąwozach i zgasł stopniami jak grzmot daleki.

—»Do czarta! zawołał baron, jakiż dzwonek! A jednakże drzwi nie otwierają się, bracia muszą spać mocno, zapukaj raz jeszcze.

To mówiąc, podniósł głowę, i uj-

http://rcin.org.pl

rzał brodatą figurę z najeżonemi włosami, jak w obrazach Salwatora Rosa, wyglądającą pomiędzy zwaliskami i przypatrującą się uważnie podróżnemu, furmanowi i mułom. Długie narzędzie podobne do lufy, wymierzone ku głowie podróżnych, pokazywało się w dziurze muru. Każdy inny prócz naszego podróżnego, byłby je poczytał za narzędzie wojenne, ale baron Weder ciągle mając nabitą głowę tą myślą, że przyjechał do klasztoru benedyktynów, wziął je za koniec krucyfixu. Zdziwiła go jednakże ta nieprzyjacielska postawa, ale przypisał ją niebezpiecznemu położeniu klasztoru.

—»Dobry wieczór przyjacielu! zawołał. Jesteście zapewne odźwiernym klasztoru, otwórzcie nam proszę.

—»Powoli! powoli! któż jesteś?

—»Nazywam się baron Weder, mam polecające listy do waszego szanownego przeora.

—»A!.. do licha! a wielu was jest?

—»Dwie osoby, ja i furman. Nim otworzycie bramę, on wyładuje rzeczy.

—»Za nadto jesteś pośpiesznym. Macie zatém wiele rzeczy?

—»Nie wiele; nic takiego coby wam zawadzało.

—»Nie troszcz się o to, im więcéj tém lepiéj.

Baron uważył, że ta figura grubijańska była grzeczna po swojemu, i czekał spokojnie, dopóki ten dziwaczny odźwierny nie znijdzie i ciężkiéj bramy nie otworzy. Otworzył je wreście i porwał z pośpiechem za tłomok, co baron poczytał za dobrą wróżbę.

—»Zaprowadź mię do waszego przeora, rzekł:

—»Do naszego przeora? powtórzył odźwierny.

—»Tak jest; mam list do niego, mówił daléj Weder, wyjmując list z pugilaresu: »Do przewielebnego przeora Benedyktynów w klasztorze Sgo Mikołaia.

—»To dobrze, to dobrze.» Odźwierny wstrzymywał się od śmiechu. Nasz kapi.... chciałem powiedzieć nasz przełożony, wyjechał teraz w okolicę, ale nie wątpię że usłyszał duży dzwon klasztorny i wkrótce powróci. Będzie z wami śpiewać nieszpory. Odpraw tego chłopaka, już go nie potrzebujesz: przydał wskazując na furmana, który nie czekał aż mu to dwa razy powtórzą, i gwiżdżąc głośniéj jak za zwyczaj, odjechał do Katany, nie oglądając się za siebie. Wnętrze klasztoru przedstawiało bardzo dziwaczny widok; wszędzie widać było zwaliska; tu i owdzie porozbijane beczki, nigdzie nie było krucyfixu, ani żadnego godła wiary; ogniska porozpalane na ołtarzach i liczne ślady spustoszenia; odźwierny postrzegłszy podziwienie barona, tłómaczył jak mógł skąd to wszystko pochodzi.

Jesteśmy wystawieni na napady łotrów. Gdybyśmy mieli kosztowne sprzęty ukrywalibyśmy je troskliwie; wiesz oprócz tego, że posiadamy inny klasztor na płaszczyźnie, zupełnie bezpieczny. Przełożony lepiéj opowie to wszystko. Ponieważ musimy zawsze bydź w gotowości do obrony, nie nosimy sukni naszego zakonu. Wnijdź do téj sali i obejrzyj pan swoje rzeczy, abyś wiedział co

http://rcin.org.pl

oddajesz w nasze ręce. Gdyby najmniejszéj odrobiny brakowało, przełożony, człowiek tak surowy, ukarałby mię bardzo ostro.

Weder uwielbiał tak wielką uczciwość, lecz głód mu dokuczał, podziękował odźwiernemu i czekał cierpliwie chwili tak pożądanego obiadu; za godzinę weszła nowa figura ubrana na pół po wojskowemu na pół po cywilnemu, a za nią odźwierny.

Oto jest nasz przełożony; rzekł tenże. Oddajcie mu wasze listy.

Przełożony, człowiek mający około czterdziestu pięciu lat, z męzką i odznaczająca się fizyonomią, ukłonił się baronowi, wziął go za rękę, z widocznem zadowoleniem przeczytał list i rzekł:

Żałuję, iż dzikie położenie naszego klasztoru nie dozwala nam przyjąć pana stósownie do jego stopnia; jesteśmy jak widzisz, biedni pustelnicy i stół nasz dosyć jest ubogi.

Wybacz więc nam i przyjmij nasze dzięki za twoje zaufanie z jakiém szukasz u nas gościnności. Co się zaś tycze depozytu którym mię zaszczycasz, bądź spokojnym. Skrzynie naszego klasztoru nie łatwo pozbywają się swojéj zdobyczy i przyrzekam ci, iż będę miał o nim szczególniejsze staranie. Żałuję tylko: przydał uśmiechając się wdzięcznie: że kwota jest tak mała.

Nareście biedny baron doczekał się wieczerzy; gwałtowność apetytu nie dała mu zwracać uwagi na salę jadalną; żaden malarz byłby nie pragnął rozmaitszego i oryginalniéjszego widoku. Była to lampa zawieszona u sklepienia, zakopcona, któréj długie dzioby, podobne były do dziobów Himery wyrzucających dym i płomienie, a przy jéj świetle pokazywały się najdziwaczniejsze postaci. Ubiory ich tak były rozmaite, jak twarze; było na nich złoto, miedź i łachmany, kosztowne materye z rozmaitych epok, ubiory wszystkich stanów, składały się na ubranie jednego człowieka. W ogólności wojenną mieli postawę, każdy miał broń przy sobie, noże, sztylety, szable pałasze: można było zebrać cały arsenał. Ci ludzie nie mający w sobie nic zakonnego, szybko zajadali potrawy i klęli tak, że baron nie raz podniósł głowę i patrzał na nich. Nie było żadnych ozdób w sali. W około wisiały piękne obicia z pajęczyny i kilku niedoperzy latało pod wysoką posową. Stary rozbity krucyfix wisiał przy murze. Nie odmówiono ani *benedicite*, ani żadnéj modlitwy, wino było przewyborne, a głębokie milczenie przerywał tylko brzęk kieliszków i szklanek. Przy końcu wieczerzy, rozwiązały się języki; opowiadano różne historye, a powieści o zbójcach szczególniéj zajęły uwagę przytomnych.

—»Dalibóg! zawołał jeden z nich, niepomnąc na powagę swojego charakteru; ci rozbójnicy nie są tak źli, jak o nich mówią. Baron Weder, który niezawodnie będzie skradziony nim przyjedzie do Katany, sam się na to zgodzi, i jestem pewny...

—»Dobrze! zawołał baron, coraz to odważniejszy, w miarę jak mu w głowie szumiało, dam im to wszystko, co mi będą mogli ukraśdź.

http://rcin.org.pl

—»A gdyby [też pana wzięli za słowo?

—»Nie słyszą mię.

—»*Per Bacco*, zawołał drugi, strzeż się baronie; oni wciskają się i do naszego klasztoru.

—»Nie mogę temu wierzyć. Czy rozbójnicy o których wspominasz są liczni, czy są niedaleko?

—»Tuż przy tobie, i tak ich wielu, że to jest cudem iż jeszcze żyjesz.

Żart posunięto za daleko; baron zbladł i cała wesołość którą wzbudziło w nim doskonałe wino, znikła nagle. Nadaremnie przeor usiłował orzeźwić go, kilkakrotnie pijąc do niego. Przepadła wesołość Wedera.

—»Przynajmniéj spodziewam się, rzekł przeor, nie dałeś poznać furmanowi co miałeś w twojéj walizie. Będzie temu dopiero ze sześć miesięcy, ubogi podróżny którego przyjęliśmy w gościnnę, został ze wszystkiego obdarty, przez rozbójników którzy weszli oknem do jego izby.

—»To prawdą! przerwał jeden z biesiadników, było to w środku zimy i zostawiliśmy jednego tylko laika w klasztorze, który bronić się nie mógł.

Usiłowano uspokoić barona i utopić w winie jego bojaźń i podejrzenia. Dokazano tego. Usnął snem tak głębokim, iż nie promicnie zorzy, ale blask słońca otworzył jego powieki. Otrząsł się, przetarł oczy, spojrzał w około siebie i zdziwił się bardzo, ujrzawszy iż przespał się na ziemi, ma-

fakta, imiona, wspomnienia, wyrazy furmana, rozmowę pijaków, odmienne położenie dwóch klasztorów. Zrozumiał co się z nim stało. Czem prędzéj otworzył mantelzak. Wszystko tam było w porządku; znalazł swoje zapiski, szkice, listy dotyczące się interesów, bilety miłosne, tytuń, fajkę piankową, wszystko, prócz pieniędzy które wczoraj oddał przeorowi. Zamiast pieniędzy był kwit następujący.

Zeznaję, że przyjąłem od hrabiego Weder, summę trzy tysiące sześćset czterdzieści cztery dukatów, z któréj zdam rachunek komu się należeć będzie.

Podpisano Przeor starego klasztoru Swiętego Mikołaja.

16 Października 1806 w starym klasztorze Swiętego Mikołaja.

Ci złodzieje którym baron łatwo przebaczył swoją krzywdę pieniężną, za to że go zostawili przy życiu, utrzymywali się przez dwa lata w téj warowni. Na nieszczęście swoje, ośmieleni długiém powodzeniem, nadużyli go; ich śmiałość nie znała granic i nareście oblegli miasto Kątana. Ich wycieczki kilkakrotnie powtarzane, obudziły uwagę rządu. Przypadkiem były wtedy w Messynie trzy bataliony angielskie. Wezwano ich pomocy. W chwili ich przybycia, złoczyńcy zstępowali z gór. Zwalczeni przewyższającą liczbą, schronili się do jednego domu i tam bronili się przez trzy dni. Baron Weder miał odpłynąć gdy spotkał przeora klasztoru świętego Mikołaja, albo raczéj kapitana bandy, związanego i posadzonego na mule głową do ogona, i ściganego wajgrawaniem się pospólstwa, które ...yło się z jego męczarni.

...ać trzeba, że ci panowie

http://rcin.org.pl

rzadko okazywali taką łagodność z jaką postąpił proboszcz świętego Mikołaja. W 1828, klasztor świętéj Klary był wzięty szturmem, wszystkie zakonnice zamordowano.

Nazajutrz po téj rzezi, miały przybydź fury z żywnością i z pieniędzmi, które oddano na skład do klasztoru. Złodzieje otworzyli bramy nic nie mówiąc, wpuścili wozy i przywłaszczyli sobie zdobycz. Wkrótce potém uderzyli na klasztor mnichów. Tym razem nie poszło im tak łatwo: mnichy bronili się odważnie i dopiero po kilku dniach oblężenia gdy im zabrakło prochu, musieli poddać się i wymordowano ich co do jednego.

Rzecz dziwna, że z łona tych dzikich obyczajów powstaje niekiedy kilka osób, które, w grzeczności i wykształceniu umysłu walczyć mogą o pierwszeństwo z ludźmi najwytworniejszemi i najoświeceńszemi na dworach Europy. Szlachta sycylijska, która odbywała podróże za granicą, odznacza się częstokroć żywością i przyjemnością umysłu i łatwo byłoby mi przytoczyć kilku, jaśniejących w pierwszym rzędzie ludzi światowych. To prawda że z ich wytworem i dobrym tonem, miesza się zawsze jakiś cień imaginacyi i fantazyi. I tak spotkałem nie daleko Palermo, starego hrabię sycylijskiego, był to człowiek bardzo dowcipny, przyjemny, przyjaciel ludzkości i miał tylko tę jedną dziwaczną manią, iż chciał leczéć obłąkanych. Zamek swój i zwierzyniec, przemienił w szpital i chorych leczył za darmo. Gdy podróżował po Europie, uderzyło go, mówił, rzyńskie obchodzenie się z obłąkanemi. Zastanawiając się nad tą słabością, przekonał się, że jedynem, prawdziwém lekarstwem, jest łagodność i uleganie; iż trzeba zawsze podchlebiać dziwactwom i humorowi obłąkanych; że ich szpital powinien bydź prawdziwym rajem. Stósownie do tych zasad, uczynił ogólne wezwanie o wszystkich waryatów Sycylii i zebrał ich w swoim domu. Nie było tam łańcuchów, więzów i kaftanów. Najweselsze malowania zdobiły pokoje; wytryskające fontanny rozlewały wszędzie świeżość i czyściły powietrze; każdy chodził w ubiorze jaki mu się podobał, błąkał się swobodnie, a służący grzeczni i przyjemni, zadosyć czynili wszystkim jego żądaniom.

Zwiedziłem ten instytut. Nie podobna byłoby domyśleć się że to jest dom waryatów. Instytut ten podobny był do wiejskiego domu jakiego magnata. Na drzewach zawieszono bujające się łóżka: tam hrabia kazał kłaść najuporczywszych waryatów, a gdy kołysanie nadawało ich ciałom ruch zbawienny, inna osoba, śmiejąc się, skrapiała zimną wodą twarz pacyenta. Ta lekarska metoda, bardziéj podobna była do żartu, niż do ukarania. Hrabia utrzymywał, że zawsze osiągnęła zamierzony skutek. Pod cieniem dębów i wielkich sosen, znajdowało się mnóstwo dziwacznych osobliwości, mogących przyjemnie rozerwać; tu zwodnicze perspektywy, tam kąpiele kropliste, które wytrysk[illegible]ały ze skał i sp[illegible] st[illegible]

http://rcin.org.pl

nie podobna było nie przypisać im życia, którego nie dostawało i nie śmiać się z ich postawy. Wszystkie ćwiczenia pomocne zdrowiu, balon, piłka, huśtawka, żegluga na małém jeziorze, pływanie, były częścią leczenia. Służący nadewszystko mieli zalecone, aby zawsze byli w dobrym humorze i oznakami zadowolenia i wesołości dopomagali do podźwignięcia tych umysłów, zagrzebanych pod ciężarem nieszczęść.

Dla uleczenia niektórych waryatów, stary hrabia wyprawiał wielkie uczty, mające na celu pochlebianie najdziwaczniéjszym ich uwidzeniom. Temu który utrzymywał że jest królem Włoch, wyprawił uroczystą koronacyą; temu, który chciał bydź Bogiem, kazał oddawać cześć powszechną: niczego nie brakowało, cherubinów, serafów, archaniołów. Obchodził swoje własne wesele z młodą greczynką, która podczas rozbicia okrętu postradawszy rozum, utrzymywała że jest wielką sułtanką. Bardzo wielu obłąkanych uzdrawiał tym sposobem, ale przydać muszę że stracił majątek na tę dobroczynną manią, i że na krótki czas przed śmiercią, ciężkie kłopoty pieniężne zagrażały temu zacnemu oryginałowi, na którego rady i postępowanie, powinniby zwrócić uwagę lekarze wszystkich wykształconych krajów.

SZCZĘŚCIE W MIŁOSTKACH.

HISTORYA KTÓRA NIE JEST BAJKĄ.

(z francuzkiego.)

Przez lat sześć byłem komissantem w jednéj z księgarni, znajdujących się w dawnéj galeryi Palais Rojal.

Wówczas xięgarstwo w lepszym było stanie niżeli teraz. Jeszcześmy nie cieszyli się owemi *korzyściami* rewolucyi lipcowéj, która zniszczywszy tyle majątków i ograniczywszy odbyt tylu wyrobów przemysłowych, zmusiła mnóstwo poczciwych ludzi do chwycenia się autorskiego rzemiosła, o czém ani myśleli wprzódy. Ztąd powstały dzieła tak dziwaczne, iż z obawy, aby nie kupić złych xiążek, publiczność nie kupuje żadnych.

Byłoby rzeczą nudną, siedzieć piętnaście godzin na dzień w xięgarni, pośród xiążek których czytać nie można, gdyby człowiek nie zwracał uwagi na przedmioty, które go otaczają, i gdyby nie przychodziły do sklepu figury, które się wbijają w pamięć. Literaci są rodzajem ludzi tak osobliwym, tak szczególnym! z iluż to śmiałem się wtenczas, śmiejąc się i teraz!...

Przypominam sobie między innemi, młodego człowieka: może mieć teraz lat trzydzieści sześć: okrągły i czerwony jak jaje wielkanocne, z ustami zawsze śmiejącemi się, z miną natchnioną, z kieszeniami pełnemi poematów wszelkiego rodzaju i o wszystkiém; wcale różny od autorów którzy nigdy nic nie wydrukowawszy

http://rcin.org.pl

drżą przed xięgarzem jak panną młoda przy ołtarzu, mój człowiek mówił głośno, tupał nogami, wyciągał z kieszeni którejkolwiek bądź, manuskrypt, mniejsza o to jaki, i podawał go z tą śmiałością, jaką mieć powinien geniusz, a która tylko jest udziałem głupstwa. Odmawiano mu grzecznie; wybor przedmiotu służył zwykle za pozor. Wtedy wydobywał inny sextern z innéj kieszeni i tak daléj, dopóki całego ładunku nie wyczerpał. Nie zniechęcony odmówieniem, zasiadał i zmuszał nas do słuchania wyjątków. Szczęśliwi! jeżeli poprzestał na dwóch albo trzech poematach. I tak czytając wszędzie swoje dzieła, znalazł nareście wydawcę, czytelników, chwalców i dziś jest członkiem wielkiéj koteryi literackiéj.

Częstokroć widywałem innego który był zupełnie temu przeciwny; co się tycze fizyczności, wysoki, zimny z okiem zagasłem i zapadłem, z wystającą wargą niższą, z brunatną skórą i akcentem normandzkim, z miną bakałarza który się zabiera do wyliczania rózg, mówił samemi sentencyami i rozumiał że da wysokie wyobrażenie o swojéj zasłudze oczerniając innych. Jego wziętość literacka nie przestąpiła jeszcze za obręb murów sąsiedniéj kawiarni, gdzie był znany z pięciu albo sześciu piosneczek. On nie przynosił nam rękopismów, lecz ogadywał wszystkie nowo wychodzące dzieła. Późniéj nabył znaczenia, a gdy nie przyjęto w teatrach kilkanaście jego wodewilów, zaczął krytykować w dzienniku wszystkie nowe wodewile. Tym sposobem dokazał tego, iż grano ze trzy jego sztuki, które skonały pośród świstania. Ponieważ koniecznie chciał rozgłaszać imię swoje, skłonił więc jednego z przyjaciół, aby napisał książkę do któréj on w połowie należéć będzie, gdy już będzie gotowa. Tamten, człowiek z dowcipem i talentem, napisał dzieło; on przywłaszczył sobie jego zaletę i dziś jest członkiem legii honorowéj i znakomitym urzędnikiem.

Ale przyrzekłem, iż opowiem historyą, ale nie galeryą obrazów. Posłuchajcie.

Pomiędzy młodemi ludźmi którzy zemną razem pracowali w xięgarni, jeden był celem naszych żartów. Pięknie pisał i to jest jedyna pochwała jaką można mu oddać. Był prosty, łatwowierny, nieumiejętny i tak ograniczony na umyśle, iż go jako osobliwość warto było zachować w spirytusie. Natura stworzyła go na to aby ważył pieprz i krajał sér w handlu korzennym. Co się tycze jego postaci, miał dużą głowę, duże uszy, duży nos, duże usta, a to wszystko podziurawione dużemi znakami ospy, i upiększone parą okularów. Przy tém wszystkiem, można bydź bardzo zacnym człowiekiem a nawet doskonałym komissantem; jakoż był to zacny człowiek i doskonały komissant, ależ przynajmniéj nie powinien był posiadać miłości własnéj: a mój kochany kolega był nią przepełniony. Nadewszystko miał pretensyą nie zgadzającą się wcale z obrazem skreślonym przezemnie, rozumiał, że się wszystkie kobiety w nim kochają; przyrównywał się do motyla do sylfa.

Co za sylf! co za motyl!...

http://rcin.org.pl

W galeryi Palais Royal, kupcowe strojów podzielały z xiążkami uwagę przechodzących. Od niejakiego czasu postrzegliśmy, że nasz towarzysz, którego nazywać będę Bertrandem, rzucał do sklepu kupcowéj mod, będącego na przeciwko, miłosne spojrzenia połączone z westchnieniami takiemi jak gdyby dął w puzana. To postępowanie trwało przez kilka dni; umyśliliśmy zabawić się kosztem naszego towarzysza, i zgodzono się że napiszemy do niego list w imieniu panny Teressy.

Tak się nazywała panna sklepowa, przedmiot miłosnych spojrzeń Bertranda.

Na mnie włożono obowiązki sekretarza i tego jeszcze wieczora Owerniak przyniósł szczęśliwemu Bertrandowi bilecik na różowym papierze, opatrzony błędami ortografii i zawierający te kilka słów.

Panie Bertrand!

»Postrzegam, iż ciągle spoglądasz »na mnie. To nie jest pięknie. Czyliż »chcesz zaszkodzić mojéj sławie? to »byłoby źle bardzo ze strony pana. »Proszę cię panie Bertrand, nie patrz »na mnie tym sposobem.

Teressa.

P. S. »Jeżeli mi zechcesz odpowie»dzieć, nie posyłaj twego listu do »sklepu. Napisz do mnie *poste restante* »pod adresem pana Karola. Jest to »mój kuzyn; odbierze ten list.«

Potrzeba biegłego artysty aby odmalował figurę Bertranda, po otrzymaniu tego listu. Odebrał go o drugiéj, czytał go jeszcze o jedenastéj w nocy.

Jakeśmy się spodziewali, znalazłem nazajutrz na poczcie list do pana Karola; pomijam go przez miłosierdzie dla czytelników, ponieważ miał cztery stronnice.

Nowy list Teresy, w którym ta boźliwa dziewczyna nie ma siły gniewać się o to, co mówi do niéj zbyt przyjemny Bertrand, ale wyraża swoje powątpiewanie względem stałości szczęśliwego komissanta.

Przy tym liście, podobnie jak przy pierwszym, było postcriptum, w którym uprasza pana Bertranda, żeby swoje listy frankował.

Korrespondencya mogła się przedłużyć, rzecz była słuszna iż powinien był ponieść jéj koszta.

Po zawiązaniu téj intrygi, nic nie było śmieszniejszego jak nasz Bertrand, który bez ustanku zaglądał do sklepu, gdzie się znajdowała jego Teressa i nie zwracała wcale najmniejsze uwagi na telegraficzne znaki swego kochanka, a jeżeli spostrzegła go przypadkiem, obracała się, szydząc ze swemi towarzyszkami z dziwacznéj postaci sąsiada.

Uwiedziony tak szczęśliwém powodzeniem swego romansu, Bertrand nie umiał dochować tajemnicy: szczęście podobnież jak troski lubi wynurzać się. Opowiedział nam wszystko i dokładnie donosił o postępie téj przygody.

Aby sobie wynagrodzić pisanie listów od panny Teressy, pomyśleliśmy, iż słuszna jest, ażeby Bertrand dał nam śniadanie. Następującym sposobem dosięgliśmy naszego celu.

Pewnego dnia, kiedy nam pokazywał ostatni list Teressy: »Może się

http://rcin.org.pl

mylę, rzekłem do niego, ale zdaje mi się, że styl twojéj kochanki nie jest tak czuły jak dawniéj.

—»Ach! dajże pokój.

I przeczytał nam list, opierając głos na każdém słowie.

—»Widzisz, rzekłem na to: już to nie jest owa namiętność, ów zapał okazujący się na początku korrespondencyi. Bertrandzie, zdaje mi się że twoja kochanka stygnie w miłości.

—»Co za uwidzenie! zawołał Bertrand.

—»Posłuchaj, wnoszę z tego listu, że przez trzy dni nie napisze do ciebie.

—»Nie boję się tego, czy chcesz się założyć?

—»O śniadanie dla nas pięciu?

—»Zgoda.

Dziś jest środa, dziesiąta godzina. Jeżeli do soboty, do téj saméj godziny nie odbierzesz listu od twojéj Teressy, dasz nam śniadanie w niedzielę.

—»Przystaję na to.

Zakład wyrażono na piśmie. Bertrand podpisał.

Rzecz oczywista, że aż do dziesiątéj w sobotę Bertrand nie odebrał listu. Oddałem go na pocztę przed samą dziesiątą tak, aby go odebrał o jedenastéy. Przegrał więc zakład i postrzegliśmy, że biedny kochanek już nie z taką radością czytał list swojéj Teressy.

Pośród téj farsy nadszedł miesiąc Luty, a z nim ochocze uciechy karnawału. Była to przewyborna sposobność dla urozmaicenia téj mistyfikacyi, która już nudzić zaczęła swoją jednostajnością.

List Teressy uwiadomił Bertranda, iż z soboty na niedzielę będzie na reducie w teatrze Odeon; zapraszała go, aby się tamże znajdował. »Będę w domino, pisała do niego, pragnę aby cię nie poznano przy mnie, i dla tego proszę cię, włóż czerwoną perukę, przyprawny nos i wąsy.

Bertrand nie pokazał nam tego listu; bał się zapewne abyśmy nie poszli na redutę dziwić mu się w tym ciekawém przebraniu.

Panna Teressa była prawie mojego wzrostu. Wziąłem więc gorset, trzewiki materyalne, wysłałem sobie figurę tak, iż musiałem głowę zawrócić mojemu kawalerowi, i przyszedłem na redutę tak przebrany, iż każdego innego nie tylko Bertranda, byłbym oszukał. Dwaj moi towarzysze poszli także.

Bertrand już czekał na mnie, przechadzał się poważnie w nowiuteńkim czarnym fraku, w rękawiczkach koloru kanarkowego, z nosem długim na pół łokcia i w peruce najętéj zapewne u pajacza z bulwarów. Gdym się już naśmiał do woli, przystąpiłem do niego, wziąłem go pod rękę, a czułe uściśnięcie wynagrodziło moją dokładność i usłużność.

Aby do końca odegrać rolę kobiety, przez cały wieczór miałem rozmaite dziwactwa i fantazye; chciało mi się lodu, cukierków, ponczu, pomarańczy, ciast, a nareście i wieczerzy, przy któréj namieniłem, że wino szampańskie jest jedynym trunkiem dla kobiet. Mój kochanek nalegał coraz mocniéj, i chciał koniecznie abym zdjął maskę. Zdjąłem jéj część

http://rcin.org.pl

niższą, i pochwalił moje ładne usta, a powiem państwu że je mam niepospolicie szerokie.

Nazajutrz po balu maskowym odebrał nowy list od Teressy. Ucałowawszy go ze dwadzieścia razy, przeczytał go uniesiony radością

»Mój drogi przyjacielu, pisała Te»ressa, od dnia wczorajszego jestem »jak nie swoja i nie wiem co mi jest, »albo raczéj wiem aż nazbyt i ty tak»że, nie dobry!

W tém miejscu zatrzymał się i czule ucałował ten wyraz, »nie dobry.«

»Proszę cię o jedną rzecz: chcę »zrobić sobie bransoletkę z włosów, a »to z twoich. Przyślij mi je czemprę»dzéj i to jak najdłuższe, bo bransoletka *dużo ich zjada.*

—»Jcóż zrobisz! zapytałem się?

—»Co zrobię! co zrobię! to mi pytanie... Dalibóg poślę jéj moich włosów tyle ile ich sama zechce.

—»Ależ Bertrandzie, nie masz ich tak wiele; nosisz je tak krótkie.

—»Mniejsza o to, wszystko dla niéj poświęcę, chocjażbym wziął perukę.

—»A tak! jak na reducie!

—»Jakto na reducie? skądże wiesz o tém?... Któż ci powiedział?

Wszyscy komissanci parsknęli śmiechem. Ja sam tylko zachowałem zimną krew i odpowiedziałem naszemu towarzyszowi, który z podziwienia oniemiał.

—»Dalibóg! widziałem cię tam.

—»Widziałeś mię! to bydź nie może.

—»Więceś tam nie był.

—»Nie mówię tego, ale nie mogłeś mię widzieć.

—»Ach! rozumiem, zapewne żeś sobie przyprawił nos i wąsy.

Iskrzyły mu się oczy.

—»Ale cóż chcesz mój kochany Bertrandzie, mówiłem daléj, masz postawę, którąby pomiędzy tysiącem poznać można.

Uśmiechnął się nasz głupiec; poczytał za pochwałę słowa moje.

—»Tak jest! zawołał Bertrand: byłem z nią na reducie, prześliczna, rozkoszna, okazała mi tysiąc dowodów miłości i nic mi nie odmówiła prócz tylko tego, iż nie chciała zdjąć maski i nie pozwoliła abym ją odprowadził.

—»Ach Bertrandzie! wygadujesz się.

—»Bydź to może! ależ przecię mogę odpłacić się za jéj dobroć, czyniąc zadosyć jéj prożbie, i przed godziną zobaczy że moja dusza godna jest porozumiewać się z jéj duszą.

To rzekłszy, wyszedł z tryumfującą miną.

Za pół godziny powrócił.

Kapelusz nacisnął aż na oczy i trzymał w ręku biały papier szpilką spięty.

Udaliśmy że go nie postrzegamy, przycisnął twarz swoją do szyby, wychodzącéj na przeciw sklepu modniarki, a za chwilę znowu wszedł do magazynu, gdzie piękna Teresa była sama jedna w téj chwili; złożył na kantorze szacowny ciężar i wrócił czémprędzéj patrzéć, jakie wrażenie zrobi jego podarunek.

Nie spuściliśmy z oka ani jednego jego poruszenia i prawie dusiliśmy się tłumiąc śmiech który nas porywał.

Teressa przez czas niejaki nie mogła zrozumieć co znaczy postępek jéj sąsiada. Nareście otwiera papier, a postrzegając co się w nim zawiera,

http://rcin.org.pl

krzywi się sposobem bardzo wyraźnym, i kosztowne włosy wyrzuca na kupkę śmieci, leżącą między dwoma sklepami.

To widząc Bertrand, wybiega, zbiera włosy, a wracając uderza w kantor kapeluszem, który dotąd trzymał na głowie.

Nieszczęśliwy! kazał się ogolić.

Na widok téj łysiny, już nie możemy wytrzymać, i głośne śmiechy nas pięciu, przypomniały Bertrandowi, że nie jest sam i że ta scena odbyła się przy świadkach.

Ulitowałem się nad nim, i jedném słowem chciałem wstrzymać tę mistyfikacyą, ciągnącą się od tak dawnego czasu, gdyby nie był zawołał tonem w którym miłość własna brała górę nad gniewem.

— »Smiejcie się! śmiejcie! ona mię zawsze nad was przeniosła.

Widziałem wtedy, iż Bertrand mocny jest w krzyżu i może dźwigać ciężar przeszłych i przyszłych psot naszych.

Trzeba było przedewszystkiem sprostować niezręczność panny Teressy.

Wieczorem gdy miano zamykać magazyn, posłaniec przyszedł z listem.

»Panie Bertrand, trzy soldy.» Bertrand porywa list, otwiera go, czyta i wzdycha uszczęśliwiony.

W tym liście było:

»Jesteś bardzo nierostropnym mój »przyjacielu przynosisz mi swoje pięk»ne włosy, w dzień, w obec wszystkich »i w obec pani, która widziała nas »z drugiego pokoju. Chcesz więc »śmierci twojéj Teressy?

»Wiedziałam o tém że je podej»miesz. Zachowaj je dla mnie, albo »raczéj sam każ mi zrobić bransole»tkę; wstążka którą ci posyłam jest »miarą grubości mojéj ręki.

»Widzisz co czynię dla ciebie i nie »lękam się abym tego żałowała. Są»dzę że masz uczciwe zamiary. Mó»wiłam z moim ojcem; nie bardzo się »gniewa i zaprasza cię na obiad w »przyszłą niedzielę na czwartą godzi»nę. Nie omieszkaj przyjść, pomówiemy »o twoich zamiarach i spodziewam się »że będę mogła nazwać się wkrótce.

TWOJĄ TERESSĄ aż do śmierci.

W przypisku było nazwisko i miejsce pomieszkania ojca. Nie trudno było dowiedzieć się o niem.

Myśl o małżeństwie zatrwożyła Bertranda i zasięgnął rady naszéj. Widzieliśmy iż się nie naraża na żadne niebezpieczeństwo i namówiliśmy go aby przyjął zaproszenie teścia, gdyż może zerwać wszystko, jeźli mu się warunki nie podobają. Przystał na nasze zdanie.

W niedzielę rano odwiedził jednego z krewnych swoich i opowiedział mu wszystko.

— »Nie mam nikogo z krewnych w Paryżu prócz ciebie, rzekł do niego, ty będziesz moim drużbą. Możesz więc zjeść obiad u ojca mojéj przyszłéj. Oprócz tego, przyjaciel przyprowadza przyjaciela, ja ciebie zapoznam.

O czwartéj, obydwa przychodzą do ojca Teressy. Zacny człowiek sam był i czytał przy kominku.

—»Panie: rzekł Bertrand, mam zaszczyt powitać pana i przedstawiam ci mojego kuzyna.

—»Bardzo mi jest miło poznać pana, ale z kimże mam honor mówić?

http://rcin.org.pl

—»Jestem Bertrand, a to jest mój krewny.

—»Bertrand! nie przypominam sobie.

—»Co? nie przypominasz pan sobie Bertranda, kochanka pięknéj Teressy?

—»Mości panie!

—»I cóż ci to jest? dla czegoż się tak gniewasz?.. Ja to jestem ów młody człowiek, a to jest mój krewny który mi posłuży za świadka.

—»Mości panie, czy wytłómaczysz mi co to wszystko znaczy?

—»Czyliż panna Teressa nie wspominała panu o mnie?

—»Gdyby moja córka poważyła się...

—»Ależ panie mam jak najuczciwsze zamiary, a dowodem tego jest, że mimo listów córki pana, zawsze ją szanowałem.

—»Listów mojéj córki! masz listy od mojéj córki?

—»Oto są; niech pan przeczyta.

I nieborak oddaje staremu całą tę zmyśloną korrespondencyą.

—»Mości panie, rzecze ojciec modniarki, jesteś niegodziwym potwarcą, te listy nie są od mojéj córki; to nie jest jéj pismo. Widzę że chciałeś ją uwieśdź, i mniemałeś iż się skłonię do tego zamiaru... Ale jestem stary żołnierz i odpowiesz mi za to.

—»Ach! mój panie, nie rozumiemy się: odpowiedział Bertrand na pół umarły ze strachu.

Krewny wziął kapelusz i przysunął się do drzwi.

—»Aż nazbyt dobrze zrozumiałem, odpowiedział ojciec. Masz sekundanta, pójdźmy.

Krewny otworzył drzwi, a gdy stary wojskowy ubierał się, dwaj przyjaciele wypadli na schody i nie zatrzymali się aż na dziesiątéj ulicy.

Rzecz najosobliwsza w téj rzeczy jest, że Bertrand nigdy nie domyślił się téj mistyfikacyi. Cały gniew jego spadł na ojca Teressy, którego nazywał impertynentem, zawadyakiem, szaleńcem.

—»Skończyło się, rzekł do nas nazajutrz, zrywam z tą maleńką. To szkoda, ponieważ mnie kocha i będzie nieszczęśliwą. Ach! gdybym to był przewidział, nie byłbym ją tak szanował na reducie.

J. R. Jacob.

TYGRYS.

(z francuzkiego, z ryciną.)

Powszechnie nazywają tygrysem każde zwierzę mające skórę centkowaną i kształt kota, jako to lamparta i panterę. Nie jest to ów prawdziwy tygrys, straszliwe zwierze, z którém walczy słoń, które nie lęka się lwa, i które większe od niego, ma zwyczajnie pięć do sześciu stóp długości od końca paszczy aż do ogona. Kolor jego sierści jest żółty i zamiast centków poprzecinany jest pasmami czarnemi, które zaczynają się na grzbiecie a kończą się pod brzuchem. Ogon ma okryty pierścieniami, kolejno żółtemi i czarnemi, ostatni z nich jest zawsze czarny.

Dla tego tak mało znają tygrysa, iż to jest zwierze bardzo rzadkie nie wielu widziało go w stanie dzikości

http://rcin.org.pl

nie wielu podróżnych może mówić o nim, ponieważ znajduje się tylko w Indyach wschodnich na półwyspie Gangesu. Mówią także, iż znaleźć go można w Kochinhinie i w królestwie Siam.

Siłę ma nadzwyczajną, widziano iż ciągnął bez wysilenia zwierzęta daleko większe i cięższe od siebie. Gdy jego krzyk straszliwy rozlegnie się po lasach, zwierzęta drżą i uciekają, ptaki odlatują, lwy nawet najeżają grzywę. Jego paszcza opatrzona jest ogromnemi zębami, u nóg ma groźne pazury, których jedno uderzenie zdoła wyrwać jelita wołowi, a jego dzikie oczy mają osobliwszy wyraz podejścia i groźby. Wszystkie jego nałogi są takie jak naszych kotów domowych; ostrożnie podsuwa się dla schwycenia łupu, raczéj napada znienacka niż walczy i na brzuchu czołga się między krzakami i wysoką trawą. Gdy tak się podsunie, czyni skok zadziwiający, pada na zwierze nie chybi go nigdy. Mianowicie uczęszcza nad brzegi rzek i czatuje na zwierzęta, które tam przychodzą gasić pragnienie.

Musimy powstać na przesąd z którym wielu pisarzy a zwłaszcza sławny Biuffon, oczernił tygrysa jako najstraszniejsze i najsroższe zwierze. Biuffon puszczając wodze wyobraźni swojéj mówi: »Tygrys jedynym jest ze wszystkich zwierząt, którego natury przełamać niepodobna; ani siła, ani wytrwanie, ani gwałtowne środki uskromnić go nie zdołają. Rozjątrza go złe czy dobre obchodzenie; słodki nałóg, który wszystko może, niczego nie dokaże na téj żelaznéj naturze; czas zamiast zmiękczenia jego dzikości, rozjątrza jeszcze wściekłość jego; szarpie rękę która go żywi, równie jak tę co go uderza; pieni się na widok żyjącéj istoty. Każdy nowy przedmiot wydaje się dla niego nowym łupem, który wcześnie chciwemi spojrzeniami pożera, któremu grozi okropném drżeniem, połączoném ze zgrzytaniem zębów, do którego rzuca się mimo łańcuchów i krat rozbijających jego wściekłość, a przecież nie mogących jéj uśmierzyć. Częstokroć, porzuca zwierze które zamordował, dla mordowania innych; zdaje się, że pragnie nasycać się ich krwią, że ją smakuje, że się nią upaja, a gdy rozdziera ich ciało, to dla tego aby wyssać tę krew któréj mu zawsze zabraknie wprzódy nim się uspokoi jego pragnienie.»

Zaiste! nie podobna jest piękniejszym stylem więcéj błędów opowiedzieć. Ten ideał srogości, ten zbytek rzezi, ta namiętność do krwi, mogły dostarczyć Buffonowi szczytną kartę wymowy, ale nie jest to wierny obraz tygrysa. To zwierze nie jest ani sroższe, ani krwawsze, ani nikczemniéjsze niż lew. Obydwa mają nadzwyczajną siłę; obydwa są niezbłagani kiedy im głód dokucza, obydwa są zuchwali gdy się rozjuszą, obydwa tracą w niewoli część swojéj srogości, i widziano tygrysów podobnie jak lwów, iż się przywiązywały do swoich dozorców, poufaliły się z niemi i odróżniały ich od innych osób. Widziano że przyjmowały ich głaskania i odpowiadały na nie sposobem łagodnym i wyraźnym. Jest to rzecz zupełnie

http://rcin.org.pl

odmienna od téj o któréj wspomina pan Buffon.

Mimo tego, tygrys jest jednym z najsroższych i najgroźniéjszych zwierząt. Polują na niego w wielkich Indyach, bez żadnéj korzyści, prócz téj, że zwalczono i zdobyto jego skórę, która jest jedném z najpiękniejszych futer. Podróżni opowiadają tysiące powieści o niebezpieczeństwach na które się narażali; jedna z pomiędzy ich przygód tak jest uderzającą, iż musimy ją powtorzyć. Przytaczamy własne wyrazy jednego z aktorów w téj strasznéj drammie.

»W drodze zaskoczyła nas burza, i schroniliśmy się do jaskini między górami. Gdy się trochę uspokoiło, przewodnicy nasi wyszli dla przekonania się czy będzie można iść daléj. Jaskinia ta była tak ciemna, że o kilka kroków od wnijścia nie dochodził już żaden promień światła. Rozmawialiśmy o przykrém położeniu naszém; w tém krzyki i żałosne jęki w głębi jaskini, zwróciły naszą uwagę. Pan Wharton i ja słuchaliśmy z przestrachem tych złowróżbych krzyków; lecz Linkoln nasz młody i roztrzepany przyjaciel, wszedł w głąb jaskini, z Frankiem, aby rozpoznać przyczynę tego hałasu. Tylko co postąpili parę kroków, krzyknęli podziwieniem przejęci; wkrótce wyszli, niosąc pod pachą zwierzęta, dziwnym sposobem centkowane, wielkości dużego kota, a których szczęki uzbrojone były ostremi kłami; oczy miały zielonawe i długie pazury, język czerwony jak krew, wywieszony był z ich paszczy. Pan Wharton spojrzawszy na nich, natychmiast zawołał: »O Boże! czyliż jesteśmy w jaskini....« lecz nagle przerwało mu wołanie przewodników, którzy przybiegli do nas krzycząc. »Tygrys!.. tygrys... Natychmiast wdarli się na wierzchołek cedru stojącego przy jaskini i skryli się między gałęziami.

»Pierwsze wrażenie okropności i podziwienia, przejęło mię przestrachem; lecz ochłonąwszy z tego uczucia, porwałem za strzelbę. Pan Wharton odzyskał także przytomność i zawołał na nas żeby zawalić otwor jaskini ogromnym kamieniem, który na szczęście nasze leżał niedaleko; niebezpieczeństwo grożące, podwajało nasze siły, bo już wyraźnie słyszeliśmy ryk tygrysa, a bylibyśmy zgubieni, gdyby dostał się do otworu wprzód, nimbyśmy go zamknęli. Jeszcze się nasza praca nie skończyła, gdyśmy ujrzeli zwierze biegnące z rykiem ku jaskini. Wtenczas podwoiliśmy siły, i postawiony kamień między nami i nim, zasłonił nas od jego napadu. Jednakże między skałą i kamieniem w górze, była mała przerwa, przez którą mogliśmy widzieć pysk tygrysa i jego wściekłe oczy. Ryk jego rozlegał się po całéj jaskini, a szczenięta odpowiadały piskliwym głosem. Nasz straszliwy nieprzyjaciel usiłował pazurami wydrapać kamień, potém chciał go na nas wywalić, lecz bezskuteczność tych jego usiłowań, ieszcze więcéj podwoiła wściekłość zwierza, wydał jęk jeszcze przeraźliwszy, a skry sypiące się z jego oczu, zdawały się rozjaśniać ciemność groty. Była chwila żem się litował nad nim, gdyż uczucie

http://rcin.org.pl

wskie, tak rozjątrzyło jego wściekłość.

—»Czas jest wystrzelić do niego: rzekł pan Warthon z zimną krwią, która go nigdy nie opuszczała: celujcie w oczy, kula przejdzie przez mózg, i tym sposobem możemy się uwolnić od nieprzyjaciela.

»Frank wziął dubeltówkę, a Lincoln pistolety, wymierzyli o kilka cali od głowy tygrysa, i za danym znakiem pana Warton, razem strzelili; lecz spaliło na panewce. Tygrys słysząc odgłos, przeczuł iż to do niego strzelają, rzucił się na bok, lecz widząc iż nie jest rannym, wrócił się przed otwór jamy, jeszcze z większą wściekłością. Proch na panewce zamokł, pan Warthon wraz z innemi zaczął szukać pudełka z prochem, lecz tak ciemno było, iż na czworakach szukać musieliśmy. Gdym się dotknął szczeniaków tygrysa, usłyszałem odgłos podobny do tarcia się kawałką metalu, a wkrótce poznałem że te zwierzęta igrały z naszemi pudełkami od prochu. Na nieszczęście, wyjęły korek pazurami, a proch rozsypany na wilgotną ziemię, już się nie zdał na nic. To odkrycie, pogrążyło nas w jak największem przerażeniu.

—»Zginęliśmy! zawołał pan Warton, idzie tylko o to, co jest lepiéj, czy umrzeć z głodu ze zwierzętami które są zamknięte razem z nami, czyli też położyć natychmiast kres życiu naszemu, wpuszczając do jaskini potwór będący przed nią.

»To mówiąc, stanął przy kamieniu, który nas ochraniał i śmiałe spojrzenia wlepił w iskrzące się oczy tygrysa. Młody Lincoln, w rozpaczy miotał przekleństwa. Frank posiadający więcéj krwi zimnéj, wziął kawał sznura który miał w kieszeni i poszedł w głąb jaskini nie mówiąc nam w jakim celu. Wkrótce usłyszeliśmy świst przytłumiony, a tygrys który go także słyszał, doznał jeszcze mocniejszego pomieszania. Krążył przed wnijściem, z miną obłąkaną i szaloną, potem stanął a obróciwszy się głową do lasu, wydał zagłuszające krzyki. Nasi dwaj przewodnicy indyjscy korzystali z téj sposobności, miotali na niego strzały z wierzchołka drzewa; trafili go kilkakrotnie, ale gruba jego skóra odbijała te razy. Nareście przecież jedna z tych strzał ugodziła go blisko oka i utkwiła w ranie. Wściekłość jego doszła do najwyższego stopnia, poskoczył ku drzewu i chwytając go pazurami, chciał je obalić. Ale gdy się pozbył strzały, uspokoił się i znowu stanął przy wnijściu do jaskini.

Frank pokazał się nareście; za jednym rzutem oka poznaliśmy co uczynił. W każdéj jego ręce wisiało szczenie tygrysie, przywiązane do sznura którym je udusił. Nim jeszcze zmiarkowałem co z niemi chce uczynić, wyrzucił je tygrysowi. Zwierz skoro tylko je ujrzał, zaczął im przypatrywać się uważnie i w milczeniu, ostróżnie na tę i na ową stronę przewracał, a skoro tylko przekonał się że już nie żyją, wydał krzyk rozpaczy, tak przenikający, iż musieliśmy zatkać sobie uszy. Wyrzucałem strzelcowi mojemu to bezużyteczne barbarzyństwo i przekonałem się z jego odpowiedzi, że postradał wszelką na-

https://rcin.org.pl

Tygrys

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

dzieję ocalenia i że obowiązki karności między panem a sługą uważał jako już nie istniejące. Ja zaś, nie wiem dla czego, ale spodziewałem się zawsze, iż niespodziana pomoc wyprowadzi mię z tak okropnego położenia.

Burza ustała, a spokojny i łagodny wiatr nastąpił po gwałtownym uragnie. Spiewy ptaków znowu się rozlegały po kniei, a krople deszczu skliniły się od promieni słonecznych nakształt tysiąca dyamentów. Widziałem przez otwor w naszéj jaskini, jak to obudzenie się natury następowało po walce żywiołów, a sprzeczność téj spokojnéj sceny z naszém położeniem, czyniła je okropniejszém jeszcze. Byliśmy w grobie z którego w żaden sposób wyjść nie można było, gdyż potwór okropniejszy jeszcze niż Cerber w mitologii, pilnował wnijścia i położył się przy szczeniętach. Był to zwierz przepyszny wielkiego wzrostu, jego członki wyciągnięte w całéj długości, wskazywały nadzwyczajną siłę jego muszkułów; z jego szczęków uzbrojonych wielkiemi zębami, spadała gęsta piana. Nagle, ryk przedłużony dał się słyszéć w dalekości; tygrys odpowiedział żałosnym jękiem, a Indyanie krzyknęli oznajmując, iż nowe niebezpieczeństwo zagraża. Po kilku minutach potwierdziła się nasza obawa, ujrzeliśmy bowiem, iż drugi tygrys przybiega do jaskini. Jest to nieprzyjaciel jeszcze niebezpieczniejszy, rzekł pan Wharton: jest to samica, a wiadomo że są jak najzajadlejsze względem tych, którzy ich pozbawią dzieci.

Ryk tygrzycy gdy obejrzała ciało swoich szczeniaków przeszedł wszystko cośmy dotąd słyszeli, a tygrys połączył z nim swoje opłakane wycie. Nagle ucichli i słychać tylko było szmer posępny. Ujrzeliśmy, iż przykłada do otworu swoje rozognione nozdrze i spogląda na wszystkie strony. Jéj spojrzenia wkrótce padły na nas i natychmiast rzuciła się z wściekłością, jak gdyby chciała dostać się do miejsca naszego schronienia. Może byłaby zdołała odwalić kamień, gdybyśmy go nie byli trzymali całą siłą. Gdy postrzegła że tego nie dokaże, zbliżyła się do tygrysa, i zdawało się iż przez chwilę naradza się z nim, a potém odbiegli razem i znikli z przed oczu naszych.

Niezwłocznie dwaj nasi przewodnicy pokazali się przy wnijściu jaskini i naglili na nas abyśmy korzystali z téj jedynéj sposobności ocalenia, gdyż tygrysy poszły zapewne w górę, szukając innego otworu, o którym wiedziały może, aby dostać się w głąb groty. Idąc za ich radą, odepchnęliśmy kamień i wyszliśmy z tego grobu, w którym mogliśmy zostać zakopani żywcem. Pan Wharton wyszedł na ostatku: chciał bowiem wprzódy wynaleźć swoją dubeltówkę: lecz myśleliśmy tylko o ucieczce. Słyszeliśmy ryk tygrysów w odległości, a idąc za śladem przewodników naszych, wbiegliśmy w boczną ścieszkę. Mnóstwo zawałów i korzeni utrudniało naszą ucieczkę.

Szliśmy tak blisko przez kwadrans; gdy w tém przenikający krzyk Indyan ostrzegł że nas ścigają tygrysy. Byliśmy na moście bambusowym, który rzucono na potoku. Sami tylko In-

http://rcin.org.pl

dyanie mogą śmiało przechodzić po takim moście, który drży i chwieje się za każdym krokiem.

Potok zagłębiony między dwoma brzegami, płynął pośród ostrych skał. Lincoln, Frank i ja, przeszliśmy po moście. Wharton był jeszcze na środku i starał się utrzymać równowagę, gdy tygrysy nadbiegły z pobliskiego lasu, i skoro tylko nas ujrzały, poskoczyły ku nam z przerażającém wyciem. Jednakże Wharton przeszedł szczęśliwie na drugą stronę potoku, a ja z Frankiem i Lincolnem, wdzieraliśmy się na skały. Chociaż tygrysy były tak blisko, pan Wharton nie stracił przytomności i odwagi. Dobył nóż myśliwski i odciął liny utrzymujące most; spodziewając się, że tym sposobem stawi nieprzebytą zaporę, przeciw pogoni naszych nieprzyjaciół. Lecz tylko co uskutecznił tę czynność, tygrzyca rzuciła się ku potokowi, i chciała go przebydź jednym skokiem. Jéj siła nie wyrównywała odległości; nie dosięgła brzegu, i nim dostała się do głębi potoku, rozdarła się na sztuki o końce skał. Ten przypadek nie odstręczył jéj towarzysza; silnym skokiem przebył potok. Jednakże pazurami tylko zachwycił drugiego brzegu. Tym sposobem wisząc nad przepaścią, chciał się wydobyć na wierzch. Indyanie wydali znowu krzyk przeraźliwy, jak gdyby wszystko zginęło. Ale pan Wharton będąc najbliżéj tygrysa, odważnie przystąpił ku niemu i nóż myśliwski utopił w jego piersiach. Rozjuszony do najwyższego stopnia, potwór zbierając wszystkie siły, zaczepił się tylnemi łapami o skały, i schwytał pana Wharton za udo; mój odważny przyjaciel nie stracił przytomności, schwycił lewą ręką za pień drzewa i drugi raz utopił nóż w piersiach tygrysa.

Wszystko to było dziełem jednéj chwili. Indyanie, Frank i ja pobiegliśmy na pomoc jego. Lincoln schwyciwszy strzelbę pana Wharton, tak silnie uderzył kolbą w głowę tygrysa, iż odurzony zwierz puścił swoją zdobycz i wleciał w przepaść; ale nieszczęśliwy młodzieniec nie wyrachował mocy uderzenia; pochylił się na przód, obsunęły mu się nogi i wpadł w potok. Przez chwilę unosił się na jego powierzchni, zanurzył się i więcéj już nie wypłynął!.

WYCIĄGI Z PAMIĘTNIKÓW XIĘŻNÉJ D'ABRANTES.

(Wyciąg drugi.)

Podczas okropnych dni terroryzmu, rodzice xiężnéj d'Abrantes opuścili Paryż i udali się do Tuluzy. Po upadku Roberspiera, pani Permon z córką i synem wróciła do Paryża. Pan Permon pozostał w Bordeaux zatrzymany słabością zdrowia. Napoleon już wsławiony udziałem jaki miał przy zdobyciu Tulonu, znajdował się wtedy w Paryżu w położeniu bardzo krytycznem. Posądzony o sprzyjanie jakobinom i o związki z Roberspierem młodszym, usunięty był z czynnéj służby, i daremne czynił zabiegi aby go znowu użyto. Jednego miał tylko adjutanta, jednego przy-

http://rcin.org.pl

jaciela który go nie odstąpił w niedoli i jeszcze bardziéj przywiązał się do niego; był to Junot, Junot, co od téj chwili dał mu dowody przywiązania, które się aż z życiem skończyło.

Ze wszystkich oficerów którzy późniéj składali główny sztab Bonapartego, zawód Junota był najbardziéj awanturniczy i najszczęśliwszy. Urodził się w Bussy Legrand w departamencie Cote-d'Or 29 Września 1771 i, mówiąc nawiasem, dano mu imie najdziwaczniejsze jakie znaleźć się mogło w kalendarzu francuzkim, to które sobie przyniósł: nazywał się *Andoche*. Ileż to kłopotów narobiło to nieszczęśliwe imie biednym poetom, którzy za czasów potęgi Napoleona chcieli uczcić wierszami święto jego adjutanta i przyjaciela!

Krewni Junota byli ze stanu miejskiego dobrze się mający. Jeden z braci jego matki był lekarzem w Paryżu, a drugi pierwszym kanonikiem w Evreux, późniéj biskupem w Metz.

Przed rewolucyą, młodzież stanu miejskiego, nie wchodziła do wojska. Junot sposobił się więc na adwokata. W tym celu odbył nauki i dosyć z nich korzystał. Junot miał charakter bardzo odznaczający się, nie zawsze oceniony jak należy od tych którzy go znali: bo często przeszkadzała temu nadzwyczajna jego drażliwość, przez którą tylu nieprzyjaciół zjednał sobie. Zaszczycała go piękna dusza, wspaniałomyślność i szlachetność charakteru, którą jego nieprzyjaciele wystawiali jako wadę, ale którą jego liczna familia wspierana przez niego, mnóstwo żołnierzy kaleków, wdów obarczonych dziećmi i pobierających od niego wsparcie i pomoc, nazwie najpiękniejszą cnotą.

Mniemać kto może, iż byłam zbyt stronną kreśląc obraz mojego męża; bynajmniéj. Piszę pod wpływem prawdy.

Wszedłszy w świat razem z rewolucyą, Junot był jéj dziecięciem, miał dopiero lat dwadzieścia, gdy pierwszy odgłos bębnów dał się słyszeć. Okrzyk wojenny rozległ po całym kraju; wtedy zaciągnął się do batalionu ochotników Cote d'Or, tak sławnego mnóstwem generałów i dzielnych oficerów którzy z niego wyszli. Batalion ten należał do korpusu oblegającego Tulon. Była to najokropniejsza epoka rewolucyi. Junot był sierżantem grenadyerów; stopień ten otrzymał na polu bitwy. W tym czasie, dowódzca artylleryi który nie dawno przyjechał z Paryża dla kierowania oblężeniem pod rozkazami generała Cartaux, zażądał od oficera stojącego na stanowisku, aby mu wskazał młodego podoficera, któryby posiadał odwagę i pojętność; officer zawołał Junota. Dowódzca artylleryi wlepił w niego spojrzenie, którém już wybadywał ludzi.

—»Zdejmiesz mundur, rzekł dowódzca i zaniesiesz ten rozkaz.« Wskazał ręką najodleglejszy punkt na brzegu i wytłómaczył mu czego żąda. Młody sierżant zaczerwienił się jak karmazyn, zaiskrzyły się jego oczy. —»Gotów jestem usłuchać twego rozkazu, rzekł, ale tam gdzie mię posyłasz, pójdę w mundurze albo nie pójdę wcale. To jest jeszcze za wiele honoru dla tych Anglików.« Dowódzca uśmiechnął się i uważnie spojrzał

http://rcin.org.pl

na niego. — »Ale cię zabiją, rzekł. —»Cóżci to szkodzi, nie znasz mię tyle abyś mię żałował, dla mnie zaś to wszystko jedno... Wszakże pójdę tak jak jestem, nieprawdaż? Sięgnął ręką do ładownicy. »Z moim pałaszem i temi cukierkami, rozmowa nie ustanie, jeżeli ci panowie zechcą pogadać zemną.» I odszedł śpiewając.

Po jego odejściu rzekł dowódzca: —»Jak się nazywa ten młodzieniec? —»Junot.— »Wyjdzie na człowieka: i zapisał jego nazwisko. Było to zdanie wiele znaczące. Każdy bowiem zgaduje, że tym oficerem artylleryi był Napoleon.

W kilka dni potém, znajdując się na tym samym punkcie, Bonaparte zażądał kogoś, któryby dobrze pisał. Junot wystąpił z szeregów. Bonaparte poznał w nim sierżanta co już raz był zwrócił jego uwagę. Przywitał go i kazał mu pisać list, który mu dyktował. Junot oparł się o samą posuwistość bateryi. Tylko co dokończył pisania, bomba pękła o kilka kroków i okryła ziemią list i piszącego.— »Dobrze! zawołał Junot śmiejąc się: nie potrzebujemy piasku do wysuszenia atramentu.

Bonaparte spojrzał na młodego sierżanta. Junot był spokojnym i nawet nie zadrżał. Okoliczność ta, rozstrzygnęła jego szczęście. Po zdobyciu miasta, gdy Bonaparte został generałem, Junot nie żądał innéj nagrody za swoje piękne postępowanie pod czas oblężenia, nad tę żeby został jego adjutantem: wolał otrzymać niższy stopień a nie rozłączać się z Bonapartem.

Nieco późniéj, Bonaparte był aresztowany na czas krótki, na rozkaz Salicettego, jego ziomka i nieprzyjaciela. Junot bronił go jak najgorliwiéj, podzielał jego niedostatek i zasilał go tém, co od familii dostawał.

»Flotta jeszcze nie nadpłynęła: mawiał Bonaparte do mojéj matki, gdy przychodził do niéj z wywiędłą twarzą, i w szaraczkowym surducie, który tak sławnym stał się potém, ale wtedy był tylko odzieżą bardzo wyszarzaną. »Dyliżans z Burgundyi jeszcze nie przyszedł. Jeżeli nie przyjdzie dziś wieczór, nie będziemy jeść obiadu jutro, chyba że zaprosi nas pani Permon.» Co Napoleon nazywał flottą, było to dwieście albo trzysta franków, które pani Junot przysyłała synowi. Dzielił się ze swoim generałem: »a ja miałem część największą!» powiadał Bonaparte.

W owéj to epoce, prawdziwie poznałam Bonapartego; dawniéj przypominałam go sobie ale jak przez sen. Gdy nas odwiedził za powrotem do Paryża, postawa jego uczyniła na mnie nie zatarte wrażenie.

Wtedy Napoleon był szpetnym. Późniéj zupełna zmiana zaszła w jego postaci. Nie mówię tu o uroku jego chwały, mówię tylko o zmianie fizycznéj, która zaszła w przeciągu lat siedmiu. I tak, wszystko co było w nim kościstém, żółtem, chorobliwém, upiększyło się i zaokrągliło; jego rysy prawie kończaste i ostre nabrały okrągłości, ponieważ pokryły się ciałem którego był nie miał prawie. Jego spojrzenie i uśmiech, zawsze pozostały zachwycające, ale zmieniła się jego cała powierzchowność. Tak dziwaczny dla nas sposób noszenia

http://rcin.org.pl

włosów, który widziemy na rycinach wyobrażających przejście mostu pod Arcole, był bardzo prosty, ponieważ wtedy jeszcze dłuższe noszono; ale cerę tak miał żółtą, tak mało dbał o siebie, iż jego włosy źle uczesane, źle upudrowane, nieprzyjemną nadawały mu postawę. J jego drobne ręce uległy tejże saméj przemianie, były wtedy chude, długie i czarne. Nareście gdy sobie wyobrażam Napoleona w roku 1794, wchodzącego do naszego domu, idącego przez podwórze krokiem niezgrabnym i nieśmiałym, w okrągłym wyszarzanym kapeluszu, naciśniętym na oczy, z pod którego wysuwały się długie kosmy włosów i spadały na kołnierz szaraczkowego surduta, bez rękawiczek: gdyż jak mówił był to niepotrzebny wydatek: w niezgrabnych, nie dobrze wyczyszczonych butach, gdy zbiorę te wszystkie wspomnienia z owéj epoki i porównam je z tém czem był później, nie mogę widzieć jednego człowieka w tych obudwu obrazach.

Moja matka, najlepsza z kobiet, oświadczyła mu z jaką przyjemnością ogląda go znowu. Wspomniała mu o Sallicettym i nie taiła przed nim jak mocno ganiła postępowanie Sallicettego. Uśmiech którego określić nie podobna, szybko przeleciał na ustach Bonapartego. »Chciał mi uczynić wiele złego, odpowiedział ale moja *gwiazda* nie pozwoliła. Jednakże nie mogę chwalić się z mojéj gwiazdy, bo wreście jakież będzie moje przeznaczenie?».

Nie zapomnę nigdy wyrazu jego fizyonomii gdy mówił te słowa. Był głęboko wzruszony; moja matka usiłowała uspokoić go i prędzéj dokazała tego, niżelim się spodziewać mogła. Zdziwiłam się niezmiernie, gdy nazajutrz razem z Sallicettym przyszli do nas na obiad. Zdawało się że są dosyć dobrze z sobą, ale nic nie wskazywało téj poufałości i zaufania, o któréj wspominają owoczesne pamiętniki.

W owéj epoce, Paryż był w ciągłym zaburzeniu, tragiczne sceny rozdzierały Konwencyą. Lud burzył się, niedostatek żywności coraz to mocniéj uczuć się dawał. Rozmowa w domu naszym zwracała się zawsze do polityki, mimo zapowiedzenia mojéj matki, która nie lubiła i unikała tego przedmiotu. »Przyrzeczcie mi że nie będziecie mówić o polityce, mówiła do gości bywających co wieczór na herbacie, wszyscy przyrzekali, ale jakże dotrzymać słowa?»

Pewnego razu, Bonaparte zabrał głos, a chociaż w tedy nie był bardzo mocny w opowiadaniu, przytoczył mnóstwo oderwanych faktów, zajmujących same przez się, a jeszcze bardziéj przez oryginalny sposób opowiadania. Źle mówił, kaleczył język, o wielu przedmiotach nie miał najmniejszego nawet wyobrażenia, a jednakże słuchano go z upodobaniem.

Wspomniałem że Junot kochał Bonapartego, tak jak kochamy w młodych latach i oddawał mu wszystko, co tylko przysyłali mu rodzice. Grywał niekiedy; ale wprzódy nim się puszczał na tę spekulacyą: grał bowiem po to aby wygrać: składał w ręce Bonapartego trzy części summy którą odebrał z Burgundyi; czwartą część stawiał na kartę. Częstokroć służyło mu szczęście; wtedy ich gospodarstwo było weselsze i płacono najpilniéjsze długi. Bonaparte rozdzielał wypłaty, a Junot był tysiąc razy szczęśliwszym, widząc iż się twarz

http://rcin.org.pl

generała rozjaśniła szczęściem, które było jego dziełem.

Pewnego wieczora, przechadzali się po ogrodzie botanicznym. Te samotne przechadzki, miały zawsze wielki urok dla Bonapartego, był wtenczas bardziéj wylanym; czuł iż się bardziéj zbliża do bóstwa, *którego wiernym obrazem, jest przyjaciel prawdziwy.* (*)

Ogród botaniczny przybierał wtedy nową postać, za staraniem zacnego i pracowitego Daubenton.

Mój wuj, biskup w Metz, ścisły przyjaciel Daubentona, powiadał mi, iż widok tego starca, pośród zakładu którego był naczelnikiem, istotnie zachwycał. Junot posiadał jego względy jako przyjaciel, współziomek Bufona i synowiec jego najdroższego przyjaciela. Dla tego też często bywał w ogrodzie botanicznym i prowadził tam swojego generała.

»Tam, mówił do mnie Junot, oddychaliśmy nie tylko czystszém powietrzem, ale zdawało się nam że składamy z siebie przykry ciężar; wszystko w koło nas przybierało wyraz pokoju i szczęścia. Zazwyczaj wieczorem odwiedzaliśmy pana Daubenton. Jako patryarcha znajdował się pośród sług swoich, dozierał ich pracy, czuwał nad zasiewami, czatował na wyrastające rośliny, a bracia Thouin otaczali go i dopomagali, trudniąc się hodowaniem roślin jak prości ogrodnicy.

Pewnego razu, długo napatrzywszy się pracom braci Thouin, weszli w cieniste aleje i przechadzali się w milczeniu, trzymając się za ręce i ściskając je czasem, jakoby dla zapytywania serc swoich. W téj chwili, szlify nie przegradzały generała i adjutanta. Dwaj ludzie, dwaj przyjaciele, bliżéj byli siebie wtenczas, wonném otoczeni powietrzem, niż potém w przepysznych salach Tuileries.

Piękna noc, silny ma wpływ na duszę mocno czujące. Bonapartego, ogarnęła potém przerażająca namiętność, która nad wszystkiem wzięła górę u niego. Ale wtedy był jeszcze bardzo młodym i kochał. Mówił Junotowi o tém uczuciu; mówił z goryczą, gdyż nie był szczęśliwy. Ale już nieznana siła walczyła z jego słabością; sam przerwał tę rozmowę i zdawało się, że zapomina o przyczynie swego wzruszenia.

Zaufanie najbardziéj pobudza do zaufania. Junot także kochał się szalenie w Paulinie Bonaparte. Napoleon dawno wiedział o tém; nie odrzucił, ani też nie przyjął jego żądania; pocieszał go i Junot czekał téj chwili, kiedy jakiżkolwiek los będzie mógł zapewnić Paulinie.

Tego wieczora ośmielony wyznaniem Napoleon [illegible] liziéj był naglącym. Odebrał [illegible] nia wczorajszego list od ojca, w którym tenże donosił, iż z czasem [illegible] też będzie 20,000 fra: z ojcowskiego majątku.

Wyszedłszy z ogrodu botanicznego wracali bulwarem. Zdawało się, że to wrzawa miasta uczyniła Napoleona innym człowiekiem nie tym, którym był przed chwilą. Jednakże mówił uprzejmie, udzielał rady.

—»Nie mogę pisać do mojéj matki i prosić dla ciebie o rękę Pauliny. Mieć będziesz 1200 franków dochodu, ale jeszcze ich nie masz. Ojciec twój zdrów jest i nie stary jeszcze. Nie masz nic, prócz szlif porucznikowskich. Paulina i tego nie ma. A więc obliczmy. Ty nie masz nic, ona nie ma nic, summa, nic (*) Zaczekajcie. Może przyjdą dni pomyślniejsze przyjacielu. Tak jest, przyjdą! chociażbym ich szukał w innéj części świata.

(*) Wyrażenie to, nie raz słyszałam z ust Bonapartego i przytaczam je dosłownie.

(*) Rozmowę tę dosłownie napisałam z opowiadania Junota.

GABINET CZYTANIA

TO JEST,

ZBIÓR POWIEŚCI, ROMANSÓW

TUDZIEŻ ARTYKUŁÓW

NAUCE I ZABAWIE POŚWIĘCONYCH.

OZDOBIONY RYCINAMI NA MIEDZI.

CZYTELNIA JANA A. PELARA W RZESZOWIE

EUGENIA GRANDET

CZYLI

CÓRKA ŁAKOMCY.

Powieść Balzaka.

I.

FIZYONOMIE MIEJSKIE.

W wielu miasteczkach prowincyonalnych, znajdują się domy, których widok wzbudza taką samą melancholią, jaką wzbudzają najposępniejsze klasztory, stepy odludne, albo najsmutniejsze zwaliska. Może w tych domach łączy się cisza klasztoru, dzikość stepów i gruzy zwalisk. Ruch i życie, tak są tam ciche i słabe, iż obcy człowiek mniemałby, że nikt w nich nie mieszka, gdyby przypadkiem nie spotkał bladego i zimnego spojrzenia nieruchomej osoby, która na odgłos nieznajomego stąpania, wygląda oknem.

Takim był dom w mieście Saumur, na rogu ulicy prowadzącéj w górę do zamku. Ta ulica mało uczęszczana, gorąca w lecie, zimna w zimie, ciemna w niektórych miejscach, odznacza się ciszą panującą w domach, które należą do starego miasta i stoją nad wałami.

Domy te zbudowane przed trzema wiekami, jeszcze są mocne, chociaż je wystawiono z drzewa; rozmaitość ich kształtu, pomnaża jeszcze oryginalność téj części miasta.

Dolnych pomieszkań w téj ulicy nie możnaby nazwać sklepami, stósownie do tegoczesnych wyobrażeń; są to raczéj izby zachowujące prostotę ojców naszych. Na framugach okien leżą próby towarów. Nie ma tam szarlataństwa. Próby te składają się z kawałów soli, albo stokfiszu, z sztuk płótna, z lin zawieszonych u posowy.

Wnijdź. Dziewczyna czysto ubrana, świeża i młoda, w białéj chusteczce, z czerwonemi rękoma, woła ojca lub matki, którzy przychodzą i sprzedają ci, stósownie do twojego życzenia, albo za dwa soldy albo za dwadzieścia tysięcy franków.

Spojrzyj na kupca klepek siedzącego we drzwiach kramu; na pozór

http://rcin.org.pl

zdaje się że nic tam nie ma prócz kilku kawałków desek, ale nad portem iego warsztat zaopatruje beczkami całą prowincyą; wie on ile ich będzie potrzeba jeźli się winobranie powiedzie. Zbogaca go dzień pogodny, niszczy go jedna godzina deszczu. W przeciągu iednego poranku, beczka kosztuje jedenaście franków, albo spada aż do sześciu.

W tym kraju, podobnie jak w Turenii, zmiany powietrza rządzą handlem. Właściciele winnic, robotnicy handlujący drzewem, bednarze, oberżyści, marynarze, wszyscy czatują na promień słońca, a idąc na spoczynek drżą, czyli nazajutrz rano nie dowiedzą się że mróz w nocy powarzył winogrona; boją się deszczu, wiatru, suszy. Barometr, zasmuca i rozpogadza koleją, fizyonomie wszystkich.

Od jednego rogu ulicy do drugiego, te słowa: *Oto jest czas złoty*: przebiegają odedrzwi do drzwi. W sobotę około dziesiątéj godziny, w pięknéj porze roku, nie dostaniesz u nich ani za grosz towaru. Każdy ma swoją winnicę i dwa dni przepędza na wsi. Tam wszystko jest obliczone, kupno, sprzedaż, zyski; handlujący mogą przez dziesięć godzin na dzień zajmować się zabawą, przypatrywaniem co robią ich sąsiedzi i plotkami. Gospodyni nie może kupić kuropatwy, aby sąsiedzi nie zapytali się męża czy ją upiekła jak należy? Młoda dziewczyna wyjrzy oknem, zaraz ją widzą wszystkie gromadki próżniaków. Tak więc sumienia są na jawie, a te czarne niedostępne domy, żadnéy nie ukrywają tajemnicy.

Dawne pałace miasta leżą w wyższéj części téj ulicy, niegdyś zamieszkanéj od szlachty. Smutny dom, gdzie zaszły wypadki będące przedmiotem naszéj powieści, był właśnie jednym z tych pomieszkań, szacownych szczątków owego wieku, kiedy ludzie i rzeczy miały znamię prostoty, od któréj tegoczesne obyczaje oddalają się coraz bardziéj.

Jdąc tą ulicą dosyć krętą, któréj każdy dom obudza wspomnienia i pogrąża w smutku, postrzegam załom posępny a w jego środku są drzwi *domu pana Grandet.*

Nie podobna oddać ważności tego prowincyonalnego wyrażenia, nie skreśliwszy bijografii pana Grandet.

Pan Grandet posiadał w Saumur wielką wziętość; jéj przyczyn i skutków nie zdołają pojąć ci, którzy nie mieszkali na prowincyi. Pan Grandet, zwany przez niektórych *ojcem Grandet*: ale coraz zmniejszała się liczba tych starców: był w 1789 r. majstrem bednarskim, dosyć dostatnim, umiejącym czytać, pisać, rachować. Wtenczas gdy rząd wystawił na sprzedaż dobra duchowieństwa w okręgu Saumur, ojciec Grandet mając lat czterdzieści, zaślubił córkę bogatego kupca desek. Zebrawszy swoją gotowiznę i posag, razem dwa tysiące luidorów, dał dwieście luidorów dzikiemu republikanowi który kierował sprzedażą, a za to dostał, za *kawałek chleba*, prawnym jeśli nie prawym sposobem, najpiękniejsze winnice w okolicy, stare opactwo i kilka folwarczków.

http://rcin.org.pl

Mieszkańcy miasta Saumur poczytali go za człowieka wdającego się w nowe wyobrażenia, gdy tymczasem bednarz wdawał się po prostu w winnice. Mianowano go członkiem administracyi okręgu Saumur, a jego wpływ dał się w niéj uczuć politycznie i handlowo.

Politycznie, gdyż bronił szlachty i ile możności sprzeciwiał się sprzedaży dóbr emigrantów. Handlowo, gdyż dostawił wojsku dwa tysiące beczek pospolitego wina; a za nie kazał sobie zapłacić pysznemi łąkami, które należały do klasztoru zakonnic.

Za konsulatu, poczciwy Grandet został merem (prezydentem) miasta; administrował mądrze, a jeszcze lepiéj zbierał wino. Napoleon nie lubiąc republikanów, odebrał ten urząd panu Grandet; bez żalu porzucił on zaszczyty municypalne. Przez wzgląd na dobro miasta, kazał porobić przewyborne drogi, dochodzące do jego posiadłości; jego dom i grunta opłacały bardzo umiarkowany podatek i od czasu rozklassyfikowania gruntów; winnice pana Grandet, dzięki ciągłemu staraniu, stały się najpierwszemi w całym powiecie.

Działo się to w roku 1806. Pan Grandet miał lat pięćdziesiąt siedem a jego żona około trzydziestu sześciu. Córka jedynaczka, owoc jego prawéj miłości, miała lat dziesięć.

Pan Grandet odziedziczył po rodzicach i dziadku żony. Nikt nie wiedział jak znaczny był ten spadek. Wtedy pan Grandet otrzymał ten nowy tytuł szlachectwa, którego żadna mania równości ,zatrzeć nie zdoła. Opłacał podatku najwięcéj ze wszystkich. Posiadał sto czterdzieści morgów winnic, które w latach urodzajnych dawały mu tysiąc do tysiąca dwóch set *miar* wina. Trzynaście folwarków, opactwo, którego okna zamurować kazał przez oszczędność, i sto dwadzieścia morgów łąki, gdzie rosło i grubiało trzy tysiące topoli zasadzonych w r. 1793, nareście dom w którym mieszkał, były jego własnością.

Taki był jego widzialny majątek: co się tycze kapitałów, dwie tylko osoby mogły wiedzieć o nich. Jeden, pan Cruchot notaryusz, który umieszczał na procent pieniądze pana Grandet; drugi, pan de Grassins najbogatszy bankier w Saumur, w którego zyskach Grandet miał skryty udział. Ale chociaż stary Cruchot i pan de Grassins przed nikim nie wspominali o tym przedmiocie, okazywali jednakże dla pana Grandet tak wielkie uszanowanie, iż można było miarkować z tego jak musi bydź bogatym.

Krótko mówiąc, wszyscy przekonani byli w Saumur, iż pan Grandet ma skarb osobny, kryjówkę zapełnioną luidorami i używa niewymownéj roskoszy, jaką wzbudza widok wielkiéj ilości złota. Łakomcy mieli o tém niejaką pewność, patrząc na oczy tego starca, które, zdawało się, iż przejęły barwę tego kruszczu. Spojrzenie człowieka pobierającego tak wielki procent od swoich kapitałów, nabywać musi podobnie jak spojrzenie rozpustnika i gracza, pewnego wyrazu którego określić niepodobna, ruchów ulotnych, chciwych, tajemniczych, nie uchodzących przed okiem jego współwyznawców.

http://rcin.org.pl

Pan Grandet wzbudzał więc uszanowanie, jakie wzbudzać musi człowiek który nikomu nic nie jest winien, który, stary bednarz, stary winnicarz, zgadywał lepiéj niż najbieglejszy astronom, kiedy trzeba kazać zrobić na zbiór tegoroczny pięćset beczek, a kiedy tysiąc; który nie opuścił ani jednéj spekulacyi i zawsze miał beczki na sprzedanie wtedy, gdy beczka więcéj była warta niż wino w niéj zawierać się mające; który mógł swoje winobranie schować do piwnic, i czekać najlepszego targu. Sławny zbiór wina z r. 1811, mądrze zachowany, wyprzedany powoli, przyniósł mu przeszło dwieście czterdzieści tysięcy liwrów. Pan Grandet miał niejakie przymioty tygrysa, i węża boa. Umiał przyczaić się, czatować, długo wpatrywać się w swoją zdobycz, rzucić się na nią, a potem otwierał paszczę swego skarbu; pochłaniał ładunek talarów i kładł się spokojnie jak wąż pod czas trawienia, obojętny, oziębły, metodyczny.

Każdy spoglądał na niego z uczuciem uwielbienia, połączoném z uszanowaniem i trwogą. Któż w mieście Saumur nie uczuł jego stalowych szponów? temu pan Cruchot pożyczył pieniędzy potrzebnych do kupienia własności, ale za osiem od sta procentu; tamtemu, pan de Grassins wyeskontował wexle, ale z niezmierném potrąceniem ażjo. Dla niektórych, majątek starego winnicarza był przedmiotem dumy rodzinnéj. Jakoż, nie jeden negocyant, nie jeden oberżysta, mówił do obcych osób z niejaką chlubą i zadowoleniem:

—»Mości panie, mamy tu dwa albo trzy milionowe domy, ale co się dotycze pana Grandet, *on sam nie wie jaki posiada majątek.*

W roku 1816, najbieglejsi rachmistrze w Saumur, obliczali własności gruntowe tego człowieka, na półczwarta miliona. A że przez przecięcie, powinien był mieć po sto tysięcy franków dochodu, już od lat dwudziestu i czterech, musi więc posiadać w gotowiźnie drugie półczwarta milionu.

Jeżeli jaki Paryżanin mówił o Rotszyldzie albo Lafficie, mieszkańcy Saumur pytali się czy oni są tak bogaci jak pan Grandet? A gdy Paryżanin z uśmiechem odpowiadał, tak jest, patrzali na siebie i z niedowierzaniem wstrząsali głową.

Tak wielki majątek pokrył złotym płaszczem wszystkie czyny tego człowieka. Jeżeli z razu niektóre szczegóły jego życia podawały go w śmieszność i szyderstwo, szyderstwo i śmieszność zużyły się za czasem. W najmniejszych czynnościach swoich, Pan Grandet miał za sobą powagę czasu i doświadczenia. Jego słowa, ubranie, gesta, mruganie oczyma, były ważną skazówką.

»Zima będzie ciężka, mówiono, ojciec Grandet wziął futrzane rękawiczki.

»Pan Grandet kupuje dużo klepek; tego roku uda się winobranie.

Pan Grandet nie kupował nigdy ani chleba ani mięsa. Jego dzierżawcy przynosili mu co tydzień dostateczny zapas kur i kapłonów, kurcząt, jaj, masła i zboża. Posiadał młyn, którego młynarz w dodatku do dzierżawy mleć musiał mąkę na jego

http://rcin.org.pl

potrzeby domowe. Duża Barbara, jego jedyna służąca, piekła chleb co sobota. Straganiarze jego, lokatorowie, opatrywali go warzywami; owoców zbierał taką wielką ilość, iż znaczną ich część przedawał na targu. Gotowiznę wydawał tylko na ubranie swojéj żony i córki, na światło, na opłatę zasług Barbary, na podatki i na naprawę budynków. Miał trzysta mórg lasu świeżo nabytych, ale kazał je dozierać leśniczemu swego sąsiada, któremu za to dawał wynagrodzenie. Dopiéro od owego czasu jadał zwierzynę.

Mało mówił, jego obejście było bardzo proste. W ogólności wyrażał się krótkiemi sentencyami. Od czasu rewolucyi, jąkał się niezmiernie, skoro tylko musiał długo rozprawiać. Ale to jąkanie, ten napływ słów w którym utapiał swoje myśli, ten brak loiki, były tylko udaniem, jak to zobaczymy w ciągu powieści. Oprócz tego, cztery słowa tak dokładne jak formuły algebraiczne, służyły mu do rozwiązywania wszystkich interessów.

Nie wiem.
Nie mogę.
Nie chcę.
Zobaczemy.

Nigdy nie mówił tak albo nie, nigdy nie pisał.

Jeźli mówiono do niego, słuchał ozięble, trzymał podbródek w prawéj ręce, opierając prawy łokieć na dłoni ręki lewéj. W każdéj rzeczy nie odstępował od wyobrażenia, które sobie raz utworzył. Długo rozmyślał nad najmniejszém kupném, a kiedy po uczonéj rozmowie, jego przeciwnik wydał mu tajemnicę swego żądania, odpowiadał:

»Nie mogę nic zrobić; nie poradziwszy się mojéj żony.

Żona, którą przyprowadził do zupełnego stanu niewolnictwa, była w interessach jego zwyczajną zasłoną. Nie bywał u nikogo, nie chciał ani dawać, ani przyjmować obiadów. Nie czynił hałasu, zdawało się że chce oszczędzać wszystkiego, nawet ruchu i mowy. Jednakże, mimo łagodności jego głosu, ostrożnego obejścia się, ton i zwyczaje bednarskie wychodziły na jaw, a zwłaszcza w domu, gdzie się mniéj wystrzegał, niżeli gdzieindziéj.

Co się tycze fizyczności, był to człowiek na pięć stóp wysoki, czerstwy, krzepki, twarz jego była okrągła, opalona, ospowata. W oczach miał wyraz spokojny i pożerczy, jaki przypisują bazyliszkowi; czoło, pełne zmarszczek poprzecznych, nie było wcale wydatném; włosy żółtawe i już bielejące, były *złote* i *srebrne* jak mówili młodzi ludzie z Saumur; na jego nosie grubym od końca, był narostek, pełen złośliwości, jak utrzymywało pospólstwo i to nie bez powodów. — W ogóle, postać jego oznajmiała niebezpieczną przebiegłość, zimną rzetelność i samolubstwo człowieka, który wszystkie swoje uczucia ograniczał na łakomstwie i na jednéj istocie obchodzącéj go cokolwiek, na swojéj córce Eugenii, jego jedynéj dziedziczce. Postawa, obejście się, ruch, wszystko w nim wskazywało to zaufanie w samym sobie, pochodzące z ciągłego powodzenia. Jakoż, pan Grandet chociaż obojętny na pozór, posiadał charakter tak twardy jak bronz.

http://rcin.org.pl

Zawsze ubrany jednostajnie, jak wyglądał w roku 1791, wyglądał i teraz. Nosił mocne trzewiki zawiązywane rzemykiem, wełniane pończochy, krótkie spodnie z grubego sukna, koloru ciemno-orzechowego ze sprzączkami srebrnemi, axamitną kamizelkę w pasy żółte i ponsowe, szeroki surdut ciemno-orzechowy, biały halsztuch i kapelusz kwakrowski. Jego rękawiczki tak mocne jak żandarmów albo huzarów, służyły mu dwadzieścia miesięcy; ażeby ich nie zesmolić, kładł je na brzegu kapelusza zawsze na jednemże miejscu.

Mieszkańcy Saumur nic więcéj nie wiedzieli o tym człowieku.

Sześć tylko osób miało prawo bywać w jego domu.

Najznaczniejszą z trzech pierwszych, był synowiec pana Cruchot. Od czasu jak został prezesem trybunału pierwszéj instancyi w Saumur, młody ten człowiek przydał do imienia Cruchot przezwisko Bonfons, i pracował nad tém, aby Bonfons wzięło górę nad Cruchot. Podpisywał się C. de Bonfons. Prawujący się, który był tak nieuważny, iż go nazwał panem prezesem Cruchot, wkrótce poznał jakie głupstwo popełnił. Protegował tych co go nazywali JW. prezesem, ale najwdzięczniéj uśmiechał się do tych, co go nazywali JW. Prezesem de Bonfons. Pan prezes miał lat trzydzieści i trzy, posiadał włość de Bonfons (*Bonae Fontis*) przynoszącą siedem tysięcy liwrów dochodu, czekał na spadek po swoim stryju notaryuszu i po stryju xiędzu Cruchot, których obu miano za bogatych. Ci trzéj panowie Cruchot wspierani znaczną liczbą krewnych i spowinowaceni z mnóstwem domów w mieście, tworzyli partyą jak niegdyś we Florencyi familia Pazzi i podobnież jak Pazzi mieli przeciwników.

Pani des Grassins mając syna już dwadzieścia trzy lat liczącego, bardzo często bywała u państwa Grandet, w téj nadziei, że swego Adolfa ożeni z panną Eugenią. Pan de Grassin bankier, silnie dopomagał zabiegom żony, ciągle świadcząc przysługi staremu łakomcy i zawsze na czas przybywał na pole bitwy.

Państwo des Grassins mieli także swoich stronników, krewnych i wiernych przyjaciół.

Ta skryta walka między domami Cruchot i Grassins, któréj nagrodą bydź miała Eugenia Grandet, mocno zajmowała towarzystwa miasta Saumur.

Panna Grandet czy zaślubi prezydenta, czy też Adolfa des Grassins?

Na to zapytanie jedni odpowiadali że Grandet nie odda swojéj córki żadnemu z nich. Stary bednarz pożerany dumą, wyszuka jakiego para Francyi, który dla dwóch kroć stu tysięcy franków dochodu, zapomni o wszystkich beczkach ojca Grandet, teraźniejszych, przeszłych i przyszłych.

Drudzy odpowiadali, że państwo de Grassin są szlacheckiego urodzenia i dosyć bogaci, że pan Adolf jest przystojny młodzieniec i że takie zamęźcie powinno zaspokoić dumę człowieka, *którego całe miasto widziało z heblem w ręku.* Najrozsądniejsi uważali, że pan Cruchot de Bonfons może bywać u państwa Grandet każdego

http://rcin.org.pl

czasu, jego zaś współ zawodnik tylko co niedzicla.

Starzy mieszczanie najświadomsi, utrzymywali, że Grandetowie nie wypuszczą majątku ze swojego domu. Podług nich, panna Grandet pójdzie za syna pana Grandet z Paryża, hurtownego kupca win.

Na to odpowiadali stronnicy Cruchotów i Grassinow, iż dwaj bracia nie widzieli się od lat trzydziestu, a przytém pan Grandet wysoko sięga. Jest merem okręgu, deputowanym, pułkownikiem gwardyi narodowéj, sędzią trybunału handlowego, wypiera się Grandetow z Saumur i zamyśla ożenić syna z córką jakiego xięcia z łaski Napoleona.

Czegoż nie gadano o dziedziczce, tak bogatéj, iż o niéj słychać było o dwadzieścia mil na około!..

W roku 1818, Cruchotinowie odnieśli ważną korzyć nad Grassinistami. Dobra Froidfonds, obejmujące zwierzyniec, folwarki, rzeczkę, staw, lasy i wartujące pięć milionów, wystawione były na sprzedaż przez młodego hrabię Froidfonds. Cruchotowie nie dopuścili przedaży na cząstki. Pan Grandet nabył te dobra i, z wielkiem podziwieniem całego miasta, zapłacił gotowizną.

Starzec zabrał się do swojéj nowéj posiadłości, wózkiem który tam powracał. Obejrzawszy te dobra, wrócił do Saumur, pewien, że mieć będzie pięć od sta od swoich kapitałów i powziął wspaniałą myśl, zaokrąglić hrabstwo de Froidfond, przez przyłączenie do niego wszystkich swoich posiadłości. Aby zaś napełnić swój skarb wypróżniony prawie, umyślił wyciąć lasy i topole zasadzone na łąkach.

Łatwo teraz ocenić wartość tych wyrazów: *Dom pana Grandet!* ten dom zimny, cichy, posępny!....

Na dole w tym starożytnym budynku, najznaczniejszą izbą była *Sala*, do któréj wchodziło się przez bramę wjezdną. Mało osób zna jak ważną jest rzeczą SALA w naszych prowincyonalnych miastach. Ta sala jest zarazem przedpokojem, salonem, gabinetem, budoarem, izbą jadalną; jest miéjscem domowego życia; tam jedynie palił się ogień na kominku, tam fryzyer przychodził dwa razy do roku strzydz pana Grandet; tam wchodzili dzierżawcy, proboszcz, młynarz, wyrobnicy, goście, a nawet i podprefekt. Okna téj sali wychodziły na ulicę; zakopcone mury, spłowiałe meble, wskazywały skąpstwo właściciela. Przy oknie najbliższém drzwi, było krzesło słomiane pani Grandet. Stoliczek do roboty stał we framudze, krzesełko Eugenii było tuż przy nim.

Od lat piętnastu, życie matki i córki, upływało spokojnie przy tém oknie, na ciągłéj pracy, licząc od Kwietnia, aż do Listopada. W tym dopiero miesiącu, pan Grandet pozwalał palić ogień na kominku, a kazał gasić go trzydziestego marca, bez względu na pierwsze zimna wiosny lub jesieni. Ogrzewaczka napełniona węglami, które Barbara oszczędzała w kuchni, dopomagała pani i pannie Grandet, do przebycia zimnych wieczorów Kwietnia i Października.

Matka i córka miały staranie o bieliznie domowéj, i tak sumiennie ca-

http://rcin.org.pl

ły dzień poświęcały téj pracy, że jeźli Eugenia chciała wyhaftować kołnierzyk dla matki, musiała to czynić wieczorem i zwodzić pana Grandet aby dostać światła. Już od dawna, stary łakomiec wydzielał świeczki córce i Barbarze, podobnież jak co rano wydzielał chleb na codzienną potrzebę.

Duża Barbara była może jedyném w świecie stworzeniem, mogącém służyć u takiego pana. Całe miasto zazdrościło pani Grandet takiéj służącéj. Duża Barbara, tak nazwana z powodu wzrostu wysokiego na pięć stóp i osiem cali, od lat trzydziestu pięciu służyła u pana Grandet. Chociaż brała tylko sześćdziesiąt liwrów zasług, miano ją za najbogatszą służącą w mieście Saumur. Te sześćdziesiąt liwrów nagromadzone od lat trzydziestu pięciu, utworzyły kapitalik 4000 liwrów, które umieściła na dochód dożywotni u pana Cruchot. Ten owoc długiéj i wytrwałéj oszczędności dużéj Barbary, wydawać się będzie olbrzymim. Każda sługa, widząc że biedna sześćdziesięcio-letnia Barbara ma chleb na swoje stare lata, zazdrościła jéj, nie myśląc jak ciężką i krwawą pracą go nabyła.

Mając lat dwadzieścia dwa, biedna ta dziewczyna, nigdzie nie mogła znaleźć służby, tak odrażającą była jéj postać. Zapewne to uczucie było bardzo niesprawiedliwém; jéj twarz wyglądałaby przewybornie na ramionach grenadyera gwardyi, ale wszystko musi bydź na swojém miejscu. Gdy spalił się folwark gdzie pasła krowy, przyszła do Saumur i ożywiona tą wytrwałą odwagą, która się niczego nie wzdryga, szukała służby.

Ojciec Grandet myślał wtedy o żonie i szukał służącéj. Zobaczył tę dziewczynę odpychaną od wszystkich. Jako bednarz, znając się na sile fizycznéj, zgadł ile będzie mógł korzystać z téj kobiety zbudowanéj jak Herkules, czerstwéj, krzepkiéj, mającéj ręce jak u furmana i poczciwość tak silną jak jéj nieskażona cnota. Ani brodawki ozdabiające jéj męzką twarz, ani ceglasta cera, ani żylaste ręce, ani łachmany Barbary, nie przestraszały bednarza. Odział, obuł, żywił biedną dziewczynę, dał jéj zasługi i nie bardzo zrzędził na nią.

Znalazłszy takie przyjęcie, duża Barbara skrycie zapłakała z radości i szczerze przywiązała się do bednarza; gotowała, rąbała drzewo, chodziła do rzeki prać bieliznę, przynosiła ją na plecach, wstawała o świcie, późno szła spać, gotowała dla wszystkich pracujących podczas winobrania, dozierała ich, broniła jak wierny pies dobra swojego pana i ufając mu bez granic, posłuszna była bez szemrania największym jego dziwactwom.

W sławnym roku 1811, po dwudziestu latach służby, pan Grandet umyślił darować Barbarze stary swój zegarek: był to jedyny podarunek jaki od niego dostała. Potrzeba uczyniła tę dziewczynę tak skąpą, iż pan Grandet polubił ją nareście tak, jak lubimy psa domowego, a Barbara dała sobie włożyć na szyję obróżę opatrzoną wewnątrz kolcami, których dolegania znosiła cierpliwie.

Jeżeli pan Grandet zbyt oszczędnie

http://rcin.org.pl

udzielał chleba, nie skarżyła się na to. Ochoczo miała udział w korzyściach hygieny, wynikających ze skromnego życia w tym domu gdzie nikt nie chorował. A przy tem, Barbara należała do familii, śmiała się wtenczas kiedy śmiał się pan Grandet, smuciła się, marzła, grzała się, pracowała z nim razem. Ileż to słodkich wynagrodzeń jednała jéj ta równość? Nigdy pan nie wyrzucał służącéj tego, że zjadała winogrona, śliwki lub gruszki, leżące pod drzewem.

—»No, najedz się Barbaro! mówił do niéj wtenczas, kiedy gałęzie zginały się pod owocami tak, iż dzierżawcy musieli je dla świń wyrzucać.

Dla wiejskiéj dziewki która w młodości zawsze doznawała złego obchodzenia, dla biedaczki z miłosierdzia przyjętéj, dwójznaczny śmiech pana Grandet był istotnym promieniem słońca. Oprócz tego, proste serce i ciasna głowa Barbary nie mogły objąć więcéj nad jedno uczucie, nad jedno wyobrażenie. Pamiętała zawsze, jak przed laty trzydziestu pięciu przyszła do warsztatu ojca Grandet, bosa, w łachmanach, i zawsze brzmiały jéj w oczach te słowa bednarza:

— »Czego chcesz moja piękna?« A jéj wdzięczność zawsze była młoda.

Niekiedy, pan Grandet myśląc że to biedne stworzenie nie usłyszało nigdy najmniejszego słodkiego słowa, że nieznało tych lubych uczuć jakie wzbudza kobieta, przejęty litością mówił:

—»Ta biedna Barbara!

A po tym wyrazie *biedna Barbara*, stara służąca zwracała na niego spojrzenie, którego niepodobna opisać. Ten wyraz powtórzony czasami, tworzył od dawna nieprzerwany łańcuch przyjaźni, a każde takie wykrzykuienie, powiększało go jedném ogniwem. Ta litość znajdująca się w sercu pana Grandet i za dobre poczytana przez tę starą dziewczynę, miała w sobie coś okropnego. Ta sroga litość w sercu łakomcy, była jedyném szczęściem Barbary. I któż z nas nie powtórzy także »biedna Barbara!«

Było w mieście Saumur mnóstwo domów gospodarskich, gdzie się daleko lepiéj obchodzono ze służącemi, ale bynajmniéj nie przywiązywali się do panów. Dla tego też pytano się:

»Cóż takiego świadczą państwo Grandet téj dużéj Barbarze, iż tak jest do nich przywiązana? Wskoczyłaby w ogień dla nich.«

Jéj kuchnia, któréj okna opatrzone kratami wychodziły na podwórze, była zawsze czysta, zimna, prawdziwa kuchnia łakomcy, gdzie nic zginąć nie powinno. Gdy Barbara pomyła talerze i naczynia kuchenne, schowała reszty obiadu, zgasiła ogień, wtenczas wychodziła z kuchni oddzielonéj korytarzykiem od sali i przędła przy państwu. Jedna świeca wystarczała na wieczór dla całéj familii. Służąca sypiała w tym korytarzyku. Jéj czerstwe zdrowie dozwalało bez szkody sypiać w téj jamie, zkąd mogła słyszeć najmniejszy szmer pośród głębokiéj ciszy panującéj w dzień i w nocy w tym domu. Powinna była, jak brytan czuwający nad bezpieczeństwem swego pana, spać jedném okiem i czuwając spoczywać.

Wzmianka o innych częściach tego mieszkania, wiąże się z wypadkami téj historyi, lecz oprócz tego, zarys

http://rcin.org.pl

sali, w któréj rozwijał się *cały zbytek* gospodarstwa, może dać poznać jak obnażone być musiały wyższe piętra.

W r. 1819, 17 Listopada wieczorem, duża Barbara po raz pierwszy zapaliła ogień. Jesień była bardzo piękna. Był to dzień uroczysty, znany dobrze Cruchotinom i Grassinistom. Dla tego też, ci przeciwnicy gotowali się do boju, aby spotkać się w sali państwa Grandet i przezwyciężyć jedni drugich w dowodach przyjaźni.

Rano, całe miasto widziało pana, panią Grandet i Barbarę, idących na mszę do kościoła parafialnego i każdy przypominał sobie, iż to jest rocznica urodzin panny Eugenii. Dla tego też, wiedząc o któréj godzinie kończy się obiad, pan notaryusz Cruchot, xiądz Cruchot i pan prezes de Bonfons, uprzedzili państwa des Grassins w złożeniu powinszowania pannie Grandet. Wszyscy trzej przynieśli ogromne bukiety, zebrane w ich małych szklarniach.

Rano, pan Grandet, stosownie do swego zwyczaju, w pamętne dni urodzin i imienin Eugenii, wszedł do jéj pokoiku wprzódy jeszcze nim wstała, i uroczyście ofiarował ojcowski podarunek, składający się od lat trzynastu, z podwójnego napoleona złotego.

Pani Grandet zazwyczaj dawała córce suknię zimową, albo letnią, stosownie do pory roku.

Te dwie suknie, cztery napoleony i dwie inne sztuki złota, które dostawała w pierwszy dzień roku i w dzień imienin ojca, składały jéj dochód stu talarów. Pan Grandet z upodobaniem patrzał na jego nagromadzenie. Czyliż nie przekładał pieniędzy z jednéj kassy do drugiéj, i wcześnie nie usposabiał córki do łakomstwa? Niekiedy zapytywał się o jéj skarb, mówiąc: to będzie twoim *tuzinem* ślubnym.

Tuzin, jest to starożytny zwyczaj dotąd święcie zachowywany w wielu prowincyach środkowéj Francyi. W Berry, w Anjou, kiedy młoda dziewczyna idzie za mąż, jéj familia albo familia mężowska, musi jéj dadź woreczek, gdzie się znajduje, stosownie do majątku, dwanaście sztuk albo dwanaście tuzinów, albo dwanaście set pieniędzy złotych i srebrnych. Najuboższa z wieśniaczek nie poszłaby za mąż bez swojego tuzina, chociażby składał się z groszy miedzianych. Papież Klemens, stryj Katarzyny de Medicis, podarował jéj, wydając ją za Henryka II. tuzin starożytnych medalów złotych, jak największéj ceny.

Przy obiedzie, ojciec uradowany że jego córka jeszcze piękniéj wygląda w nowéj sukni, zawołał:

—»Ponieważ dziś są imieniny Eugenii, zapalmy ogień na kominku; będzie to dobrą wróżbą.

—»Panna pójdzie za mąż tego roku: rzekła duża Barbara odnosząc reszty gęsi, tego bażanta bednarzy.

—»Nie widzę za kogoby pójśdź mogła w naszém mieście? odpowiedziała pani Grandet spoglądając na męża nie śmiałym wzrokiem, oznaczającym w jak ciężkiem jarzmie małżeńskiem jęczy biedna kobieta.

Pan Grandet spojrzał na córkę i zawołał wesoło:

http://rcin.org.pl

—»Dziś skończyła lat dwadzieścia i trzy; wkrótce trzeba będzie pomyśleć o tém.

Eugenia i jéj matka spojrzały wzajem na siebie.

Pani Grandet była kobieta chuda, żołta jak cytryna, powolna, nie śmiała, jedna z kobiet, zdaje się stworzonych na to, aby im dokuczali mężowie. Miała wydatne kości policzkowe, duży nos, duże czoło, i za pierwszém rzutém oka podobna była nieco do tych owoców zmurszałych, nie mających już ani woni ani słodyczy; zęby miała czarne i rzadkie, twarz pomarszczoną, brodę trochę zadartą. Anielska łagodność, rezygnacya owadu któremu dzieci dokuczają, jednostajność duszy, dobroć serca, wzbudzały dla niéj żal i uszanowanie.

Jéj mąż nigdy jéj więcéj nie dawał na drobne wydatki, jak sześć franków na raz. Chociaż śmieszna z powierzchowności, ta kobieta, która w posagu i spadkach, wniosła mężowi przeszło 300,000 franków, tak była głęboko poniżona przez tę zależność i niewolę, na którą łagodna jéj dusza nie śmiała się oburzać, iż nie żądała ani szeląga, nie uczyniła ani jednego postrzeżenia nad aktami które podpisywała z woli męża. Ta duma tajemna, ta szlachetność duszy, ciągle niepoznana i obrażona, kierowała jéj postępowaniem.

Ciągle chodziła w sukni zielonkowéj lewantynowéj, która jéj na rok cały wystarczała; nosiła wielką chustkę białą bawełnianą, kapelusz słomiany i czarny fartuszek. Rzadko wychodząc z domu, nie wiele darła trzewików, krótko mówiąc, nigdy nic nie żądała dla siebie.

Dla tego też, pan Grandet wzruszony niekiedy zgryzotą, i przypominając sobie, jak dawno już nie dał sześciu franków żonie, zastrzegał zawsze dla niéj na szpilki, przedając coroczne winobranie.

Cztery albo pięć luidorów, ofiarowane przez nabywców winobrania, tworzyły najczystszy dochód pani Grandet.

Ale gdy dostała te pieniądze, mąż często do niéj mawiał, jak gdyby mieli wspólną kassę.

»Daj mi kilka soldów.

A biedna kobieta, uradowana iż może co uczynić dla człowieka, którego uważa jako swego władcę i pana, oddawała mu w ciągu zimy, kilka talarów z owych pieniędzy na szpilki.

Kiedy pan Grandet wyjmował z kieszeni sztukę pięcio-frankową, przeznaczoną co miesiąc na drobne wydatki, nici, igły i *toaletę* córki, nie omieszkał nigdy, zapiąwszy surdut, zapytać się żony.

—»A ty matko! czyli chcesz czego?

—»Mój przyjacielu! odpowiadała pani Grandet, ożywiona uczuciem macierzyńskiéj godności: zobaczymy to późniéj.

Ale była to daremna bezinteresowność. Pan Grandet rozumiał, że jest bardzo wspaniałomyślnym dla żony.

Po tym obiedzie, przy którym po raz pierwszy była mowa o zamęźciu Eugenii, Barbara zapaliwszy ogień, poszła po butelkę piwa do pokoju pani Grandet i ledwie nie upadła na schodach.

http://rcin.org.pl

—»Gapo! zawołał pan Grandet: czy się wywrócisz?

—»Panie! bo te schody ruszają się.

—»Prawdę mówi, rzekła pani Grandet, Eugenią ledwie sobie nogi nie wywichnęła.

—»Masz, rzekł pan Grandet do Barbary, widząc że zbladła: ponieważ to są urodziny Eugenii i ledwie żeś się nie wywróciła, wypij szklankę piwa.

—»Zarobiłam na nią, odpowiedziała Barbara. Na mojém miejscu, nie jedną byłaby rozbiła butelkę, ale ja wolałabym wprzódy złamać rękę.

—»Biedna Barbara! rzekł pan Grandet, nalewając jéj szklankę. A więc, ponieważ to są urodziny Eugenii, naprawię schody. Nie umiecie kobiety tam stąpać gdzie są jeszcze mocne.

Wziął świecę i poszedł po gwoździe, deski i inne narzędzia.

—»Czy potrzeba dopomódz panu? zawołała Barbara, słysząc iż puka na schodach.

—»Nie, nie, znam się na tém, odpowiedział stary bednarz.

W chwili gdy sam pan Grandet naprawiał spróchniałe schody i gwizdał na zabój na pamiątkę swoich lat młodych, trzéj panowie Cruchot zapukali do drzwi.

—»Czy to pan jesteś panie Cruchot? zapytała się Barbara wyglądając przez okienko.

—»Tak jest, odpowiedział prezydent.

Otworzyła drzwi a przy połysku ognia na kominku, trzéj Cruchotowie postrzegli wnijście do sali.

—»Przebaczcie panowie, zawołał Grandet poznając głos swoich przyjaciół, zaraz przyjdę. Nie jestem hardy, naprawiam schody.

—»Rób! rób! panie Grandet, każdy jest panem w domu własnym: rzekł sentencyonalnie prezydent, śmiejąc się ze swego zastósowania, którego nikt nie zrozumiał.

—»Czy pozwolisz mi Mościa Panno, abym ci życzył dzisiaj, w dzień twoich urodzin, długiego ciągu lat szczęśliwych i zdrowia, którém się cieszysz?..

Dał jéj duży bukiet rzadkich kwiatów, a wziąwszy ją za łokcie, pocałował po obu stronach szyi, z przyciskiem, który zawstydził Eugenią. Prezes podobny do dużego zardzewiałego gwoździa, mniemał że się tym sposobem *zaleca.*

Pan Grandet stawiając światło na stołku, rzekł:

—»Ponieważ dziś są urodziny Eugenii, zapalmy drugą świecę.

—»Państwa des Grassins czy jeszcze nie ma?

—»Jeszcze nie, odpowiedział pan Grandet.

—»Ale będą? zapytał się stary notaryusz, wykrzywiając twarz.

—»Tak mniemam, odpowiedziała pani Grandet.

Rozmawiali o winobraniu, o tegorocznéj cenie wina, gdy zapukano do drzwi i weszła familia de Grassins.

Pani Grasinns była jedną z tych kobiet, małego wzrostu, żywych, białych, rumianych, dobréj tuszy, które, dzięki spokojnemu życiu na prowincyi i nałogom życia cnotliwego, utrzymały młodość swoją aż do czterdziestego roku życia. Jéj mąż,

http://rcin.org.pl

dawny kwatermistrz w gwardyi cesarskiéj, ciężko zraniony w bitwie pod Austerlitz, zachował, mimo poważania swego dla państwa Grandet, pozorną szczerość wojskowych.

—»Dzień dobry, Grandet rzekł, biorąc go za rękę z tym tonem wyższości, którym zawsze pognębiał Cruchotów.

—»Panno Eugenio: przydał, przywitawszy się z panią Grandet: jesteś tak piękna, iż w rzeczy saméj nie wiem co mam ci życzéć.

I podał skrzyneczkę którą przyniosł służący: w niéj znajdował się kwiat świeżo sprowadzony do Europy z przylądka Dobréj Nadziei.

Pani de Grassins serdecznie uściskała Eugenią i biorąc ją za rękę, rzekła:

—»Adolf złożył ci mój mały przypominek.

Wtedy, młody człowiek wysoki, blady i cienki, mający dosyć dobre obejście, bojaźliwy na pozór: ale który wydał w Paryżu, gdzie chodził do szkoły prawa, osiem do dziesięciu tysięcy franków, prócz swojéj pensyi: zbliżył się do Eugenii, pocałował ją w oba policzki i podał jéj toaletkę, w któréj wszystkie drobiazgi były z emalii: prawdziwy jarmarczny towar, mimo tarczy, na któréj litery E. i G. gotyckim charakterem wyryte, mogłyby wzbudzać mniemanie, że to jest podarunek z umysłu zamówiony.

Jednakże Eugenia otworzywszy ją, uczuła tę niespodziewaną radość, na jaką rumienią się i drżą z zadowolenia młode dziewczyny. Spojrzała na ojca, jak gdyby pytając się, czy może przyjąć, a pan Grandet rzekł: *Weź moja córko*, tonem, jakiegoby żaden aktor nie powtórzył.

Trzéj panowie Cruchot, osłupieli, widząc jak radosne spojrzenie rzuciła dziedziczka na Adolfa: gdyż jéj się zdawało, że podarunek nie słychaną ma wartość. Pani Grassins spojrzała na niebieskie wazony, w których były bukiety panów Cruchot, niby to szukając ich podarunków. W tak krytycznem położeniu, xiądz Cruchot wziął pod rękę pana Grandet, a przechadzając się z nim po sali, rzekł:

—»Ci ludzie oknami wyrzucają pieniądze!

—»Cóż to szkodzi, jeżeli te pieniądze wracają do piwnicy, odpowiedział Grandet.

—»Mój siostrzeniec jest duda; pomyślał xiądz, patrząc na prezydenta, którego rozczochrane włosy pomnażały jeszcze nieprzyjemność ogorzałéj jego fizyonomii. Czyliż też nie mógł wymyśléć podobnéj fraszki?

—»Będziemy grać, pani Grandet, rzekła pani des Grassins.

—»Jużeśmy się wszyscy zgromadzili; możemy zająć dwa stoliki.

—»Ponieważ to są urodziny Eugenii, rzekł pan Grandet, grajcie wszyscy w loteryą, te dwoje dzieci mogą grać także.

—»No! Barbaro! postaw stoliki.

—»Dopomożemy ci *panno Barbaro*, rzekła wesoło pani des Grassins, ucieszona szczęściem Eugenii.

—»Nigdy jeszcze nie byłam tak uradowana, rzekła dziedziczka. Nic jeszcze nie widziałam tak pięknego!.

—»Adolf przywiózł z Paryża tę toaletkę i sam ją wybrał, szepnęła pani des Grassins do jéj ucha.

http://rcin.org.pl

»Gadaj! gadaj! przeklęta intrygantko: mówił prezydent sam do siebie: jeżeli kiedy mieć będziesz sprawę, ty albo twój mąż, przegracie niezawodnie.

Notaryusz usiadłszy w kącie, spokojnie patrzał na brata i myślał sobie:

»Grassinowie daremne czynią zabiegi, mój majątek, mego brata i mego synowca, wynosi razem milion sto tysięcy franków. Jeżeli mają połowę tego, to będzie wielka osobliwość. Grandet ma jedynaczkę córkę. Niechaj przynoszą co chcą, dziedziczka i podarunki wszystko to naszém będzie.

O w pół do dziewiątéj wieczorem, zasiedli do loteryjki. Pani de Grassin dokazała tego, że jéj syn usiadł obok Eugenii. Aktorowie téj sceny tak zajmującéj chociaż pospolitéj na pozór, opatrzeni kartkami loteryjnemi i kawałkami szkła niebieskiego, niby słuchali żartów starego notaryusza, który za każdym numerem czynił jakieś postrzeżenia, ale wszyscy myśleli o milionach pana Grandet. Stary bednarz, z dumą spoglądał na różowe pióra, na świeże ubranie pani Grassin, na żołnierską minę bankiera, na Adolfa, na prezydenta, na notaryusza i mówił do siebie:

»Siedzą tu dla moich talarów! Przyszli nudzić się dla mojéj córki, a nie dostanie jéj ani jeden ani drugi. To są moje wędki!...

Ta fałszywa wesołość w téj staréj zakopconéj sali, na pół oświeconéj dwoma świeczkami; te śmiechy które rym towarzyszył szelest kółka Barbary i które były szczere na ustach saméj tylko Eugenii i jéj matki; te drobiazgi połączone z tak wielkiemi interessami; ta młoda dziewczyna podobna do ptaków na które polują, padających ofiarą wysokiej ceny o któréj nawet nie wiedzą, oblężona zewsząd dowodami, przyjaźni którym wierzyła w prostocie swojéj, wszystko to smutny i komiczny obraz tworzyło. Była to scena powtarzająca się zawsze i wszędzie, ale przywiedziona do najprostszego wyrażenia. Postać pana Grandet, korzystającego z fałszywéj przyjaźni dwóch rodzin i ciągnącego z tąd ogromne zyski, panowała nad tym drammatem. Nie byłże on jedyném tegoczesném bożyszczem, Pieniądzem, z całą jego potęgą?

Słodkie uczucia zajmowały tam podrzędne miejsce, i ożywiały trzy serca czyste, Barbary, Eugenii i jéj matki. A przytém jakże nieświadomą była ich prostota! Eugenia i jéj matka, nie wiedziały wcale o majątku pana Grandet. Oceniały życie podług słabych wyobrażeń swoich, ani ceniły ani pogardzały pieniędzmi; nawykły obywać się bez nich. Były one ciekawym wyjątkiem w tém zgromadzeniu, którego życie polegało na samych tylko materyalnych interessach. Okropne jest położenie człowieka! nie doznajemy ani jednego szczęścia, któreby nie pochodziło z niewiadomości!

W chwili gdy pani Grandet wygrała wielki los na szesnaście soldów, najznaczniejszy jaki kiedy był do wygrania w téj sali, a duża Barbara śmiała się z radości, widząc że pani

http://rcin.org.pl

zabiera tak wielką kwotę — tak mocno zapukano do bramy, iż wszystkie kobiety podskoczyły na krzesłach.

—»To nie może bydź ktoś z miasta, rzekł notaryusz.

—»Czyliż można tak pukać? rzekła Barbara, chcą drzwi wyłamać!

—»Cóż to jest u licha? zawołał pan Grandet.

Barbara wzięła świecę i poszła do bramy, razem z panem Grandet.

—»Grandet! Grandet! krzyknęła jego żona, i powodowana trwogą, poskoczyła ku drzwiom.

Wszyscy spojrzeli na siebie.

—»Pójdźmy tam, rzekł pan de Grassins. To pukanie nie podoba mi się.

Ledwie mógł dostrzedz postaci młodego człowieka, za którym posługacz pocztowy przyniósł dwie ogromne paki i mantelzak. Pan Grandet żywo obrócił się ku żonie i rzekł:

—»Pani Grandet, wróć do loteryi, ja sam rozmówię się z tym panem. I zamknął drzwi od sali. Wzruszeni gracze usiedli na miejscach, ale nie ciągnęli loteryi.

—»Czy to jest kto z Saumur, panie Grassin? rzekła jego żona.

—»Nie, to jakiś podróżny.

—»Musiał przyjechać z Paryża?

—»W rzeczy saméj: rzekł notaryusz, wyjmując stary zegarek w kształcie cebuli; już dziewiąta. Dyliżans nigdy się nie spóźnia.

—»Czy ten pan jest młody? zapytał się xiądz Cruchot.

—»Tak jest, odpowiedział pan de Grassins. Ma ze sobą paki ważące przynajmniéj trzy cetnary.

—»Barbara nie powraca, rzekła Eugenia.

—»Musi to bydź kto z krewnych, przydał prezydent.

—»Grajmy daléj, rzekła pani Grandet. Po głosie mojego męża, poznałam że nie był kontent; może gniewałby się, postrzegłszy iż mówimy o jego interessach.

—»Panno Eugenio, rzekł Adolf do sąsiadki, zapewne to jest twój kuzyn Grandet; ładny, młody człowiek, którego widziałem na balu marszałka Ou...

Adolf nie dokończył, matka nastąpiła mu na nogę, i żądając głośno dwóch soldów na stawkę, szepnęła mu do ucha:

—»Będziesz-li cicho? niezgrabiaszu!

W téj chwili pan Grandet wszedł, bez dużéj Barbary, któréj stąpanie i posługacza słychać było na schodach. Za nim wszedł podróżny, co przed chwilą wzbudził tak wielką ciekawość i tak zajął wyobraźnią, iż jego przybycie do tego domu i spadnięcie wśród tego świata, jedynie możnaby porównać ze zjawieniem się ślimaka w ulu, albo pawia między kurami.

—»Siadaj przy kominku, rzekł pan Grandet.

Ale nieznajomy wprzódy ukłonił się zgromadzeniu. Mężczyźni wstali, kłaniając się na wzajem; kobiety grzecznie go przywitały.

—»Zapewne pan zziąbł, rzekła pani Grandet, przyjeżdżasz może...

—»Otóż są kobiety! rzekł stary Grandet, przerywając sobie czytanie listu: zaczekajże, niech ten pan odpocznie.

http://rcin.org.pl

—»Ale mój ojcze, może ten pan czego potrzebuje? zapytała się Eugenia.

—»Ma język: surowo odpowiedział ojciec.

Sam tylko nieznajomy zdziwił się tą odpowiedzią. Inni goście znali samowładny ton starego. Jednakże, po tych dwóch zapytaniach, nieznajomy wstał, obrócił się plecami do ognia i rzekł do Eugenii.

— Moja kuzynko, dziękuję bardzo; jadłem obiad w Tours i, przydał spoglądając na pana Grandet, niczego nie potrzebuję, nie jestem nawet znużony.

— Pan przyjeżdżasz z Paryża? zapytała się pani des Grassins.

Na to zapytanie, pan Karól (tak się nazywał syn pana Grandet) wziął szkiełko wiszące na łańcuszku u szyi i przyłożył go do prawego oka, dla przypatrzenia się osobom siedzącym przy stole; bardzo zuchwale zlornetował panią de Grassins i odpowiedział nareście:

—»Tak jest pani. Moją ciociu, gracie w loteryą, proszę, nie przerywajcie sobie', jest to gra tak zabawna...«

— Pewna byłam że to jest kuzynek: pomyślała pani des Grassins spoglądając na niego.

— »Czterdzieści siedm! zawołał xiądz Cruchot. Naznaczże pani! masz ten numer.

Pan des Grassins nakrył szkiełkiem numer na tabliczce żony, która smutném zdjęta przeczuciem, uważała kolejno na kuzynka z Paryża i na Eugenią, nie pomnąc wcale o loteryi. Kiedy niekiedy, młoda dziedziczka, ukradkiem spoglądała na kuzyna, a żona bankiera łatwo mogła odkryć, że jéj podziwienie i ciekawość wzrasta.

II.

Kuzynek z Paryża.

Pan Karol Grandet, przystojny młodzieniec, mający lat dwadzieścia i dwa, tworzył w téj chwili dziwną sprzeczność z towarzystwem prowincyonalném co go otaczało, dosyć już oburzone arystokratycznym jego tonem i gotowe śmiać się z niego.

W dwudziestym roku życia, młodzi ludzie są jeszcze tak bliscy dzieciństwa, iż się dzieciństwami zajmują. I dla tego, może na stu z pomiędzy nich, dziewięćdziesiąt dziewięć byłoby tak postąpiło jak pan Karol Grandet. Na kilka dni wprzódy, ojciec jego powiedział mu, iż chce go wysłać na parę miesięcy do swego brata mieszkającego w Saumur. Może też pan Grandet z Paryża pomyślał o Eugenii. Karol, po raz pierwszy wyjeżdżał na prowincyą; przyszło mu więc do głowy, wystąpić tam jak modny młodzieniec, całe miasto zaćmić zbytkiem swoim i wprowadzić ton i paryzki sposób życia. Nareście, aby wszystko w kilku słowach opowiedzieć, chciał w Saumur więcéj poświęcić czasu na czyszczenie paznokci, niżeli w Paryżu, i udawać tę niezmierną wykwintność w ubiorze, którą niekiedy młody człowiek porzuca, dla zaniedbania, nie będącego także bez powabu. Karol zabrał więc najładniejszy strój myśliw-

http://rcin.org.pl

ski, najpiękniejszy nóż, najpiękniejszą strzelbę jaka była w Paryżu. Zabrał zbiór najmodniejszych kamizelek: były tam szare, białe, czarne, ciemne, z podkładkami, z prostym i wycinanym kołnierzem, zapięte aż do góry, ze złotemi guzikami i t. d. Zabrał wszelkie kołnierzyki i halstuchy będące w ówczas w modzie. Zabrał dwa garnitury i najcieńszą bieliznę. Zabrał ładną toaletkę, podarunek od matki; jednem słowem, zabrał wszystkie drobiazgi modnego eleganta, nie zapominając o małym kałamarzyku, który otrzymał od najprzyjemniejszéj z kobiet, przynajmniéj w jego oczach, od wielkiéj damy którą nazywał *Anusią*, która teraz razem z mężem odbywa nudną podróż po Szkocyi; zabrał wiele ładnego papieru dla pisania do niéj listów co dwa tygodnie; nareście, cały ładunek drobiazgów paryzkich, tak zupełny jak tylko było można, i w którym od szpicruty zaczynającéj pojedynek, aż do pięknych pistoletów co go kończą, znajdowały się wszystkie narzędzia, jakiemi młody i bezczynny człowiek uprawia życie swoje. Ojciec jego powiedział mu, żeby nie brał z sobą kamerdynera; przyjechał więc pocztą, gdyż nie chciał szarzać pięknego powozu, którym miał pojechać na przeciw swojéj Anusi, w czerwcu w roku przyszłym, do wód Badeńskich.

Karol spodziewał się, że znajdzie ze sto osób u stryja swojego, że będzie polować w jego lasach i żyć jak wielki pan na prowincyi. Nie spodziewał się że go zastanie w Saumur; zapukał do jego domu dla zapytania się o drogę do Froidfonds; żeby zaś przyzwoicie wystąpić, ubrał się na drogę w najpiękniejszy i najwytworniejszy strój podróżny. W Tours wstąpił do fryzera, żeby w modny sposób ułożył jego piękne, ciemne włosy; przewdział świeżą bieliznę, włożył czarny atłasowy halsztuch i biały okrągławy kołnierzyk, przyjemnie otaczający jego wesołą twarzyczkę. Surdut podróżny, do połowy zapięty, ściskał jego kibić, a z pod niego wyglądała kaszmirowa kamizelka z podkładką białą; zegarek jakby od niechcenia włożony w kieszeń, zaczepiał się o dziurkę od surduta krótkim łańcuszkiem złotym; szaraczkowe pantalony, zapinały się na nogawkach, a czarny haft jedwabny ich szew upiększał; zgrabnie trzymał trzcinę z gałeczką złotą, a furażerka modna uzupełniała ten ubiór.

Sam tylko paryżanin i to jeszcze paryżanin z najlepszego tonu, mógł wystroić się wten sposób, bez wystawienia się na śmieszność i nadać zgodność tym wszystkim drobiazgom, którym oprócz tego przychodziła w pomoc, mina odważna i dumna, mina człowieka mającego piękne pistolety, wprawne oko i Anusię.

A teraz, jeśli chcecie zrozumieć wzajemne podziwienie mieszkańców Saumur i młodego Paryżanina, jeśli chcecie zobaczyć jak żywe światło rzucała wytworność podróżnego, pośród szarych ścian téj sali i figur składających obraz rodzinny, usiłujcie wyobrazić sobie braci Cruchot. Wszyscy trzej zażywali tabakę, i już oddawna nie zważali na to, że nią po-

http://rcin.org.pl

sypują gorsy rudych koszul, wywinięte kołnierzyki i pożółkłe fałdy. Ich niekrochmalne chustki, zwijały się w postronek natychmiast po zawiązaniu; raz tylko co pół roku prano u nich bieliznę: żółkła więc tak długo leżąc w szafach; widać było na nich doskonały zbiór niezgrabności i starzyzny; ich postaci tak były zwiędłe, jak ich wyszarzane suknie; tak pomarszczone jak ich pantalony; zdawały się bydź zużyte, skurczone i pokrzywione.

Ogólne zaniedbanie innych ubiorów, nie zupełnych, bez świeżości, jak zwykle bywa na prowincyi, gdzie nieznacznie przychodzą do tego, iż się nie ubierają jedni dla drugich i zważają ile kosztuje para rękawiczek, odpowiadało zaniedbaniu braci Gruchot, i była to jedyna rzecz, w któréj te dwie familie tak się doskonale zgadzały.

Jeźli paryżanin brał lorynetkę dla przypatrzenia się dziwacznéj postaci téj sali, belkom posowy i lamperyom popstrzonym tak, iż liczba punkcików znajdujących się na nich, wystarczyłaby do całéj encyklopedyi i monitora, natychmiast grający w loteryą, podnosili głowy i przypatrywali mu się z taką ciekawością jak żyrafie. Pan Grassins i syn jego, znali choć trochę postać młodego eleganta, a przecież podzielali podziwienie sąsiadów, bądź to że ulegali wpływowi ogólnego uczucia, bądź iż pochwalali je, wyrażając spojrzeniem pełném szyderstwa: »tacy to są oni w Paryżu.«

Wszyscy prócz tego, mogli dowoli przypatrywać się Karolowi bez urazy gospodarza. Pan Grandet zatopiony w długim liście który trzymał w ręku, zabrał świecę ze stolika, nie troszcząc się o gości i o ich zabawę.

Eugenia nie znając wcale wzoru takiéj doskonałości w postawie i w ubiorze, mniemała że jéj kuzyn jest jaką nadludzką istotą. Z rozkoszą oddychała wonią jego włosów, tak wdzięcznie utrefionych. Chciałaby dotknąć białéj skóry jego pięknych rękawiczek jelonkowych, zazdrościła Karolowi jego drobnych rąk, jego tonu, świeżości i delikatności rysów. Nareście: jeżeli ten obraz może zebrać wrażenie jakie uczynił młody elegant na prostéj dziewczynie, bezustannie zajętéj cerowaniem pończoch i naprawianiem bielizny ojcowskiéj, któréj życie upłynęło pośród tych ścian zakopconych, która w téj głuchéj ulicy, ledwie raz w godzinę twarz ludzką zobaczyć mogła: widok tego kuzyna wzniecił w niéj taką samą delikatną rozkosz, jaką wzbudzają w młodzieńcu, fantastyczne postaci kobiet rysowane przez Westella w almanakach angielskich, a przez Findena ryte tak biegłym pędzlem, iż lękać się trzeba, ażeby te zjawienia nadziemskie, nie uleciały za jedném tchnieniem.

Karol wyjął z kieszeni chustkę, wyhaftowaną przez wielką damę podróżującą po Szkocyi. Widząc tę ładną robotę, wyhaftowaną ręką kochanki w godzinach straconych dla miłości, Eugenia spojrzała na swego krewnego, nie wiedząc czyli jéj rzeczywiście użyje. Obejście się Karola, jego gesta, patrzenie przez lorynetkę, udana fanfaronada, obojętność na wi-

http://rcin.org.pl

dok toaletki, która tak ucieszyła młodą dziedziczkę i którą zapewne miał za nic; nareście wszystko to co obrażało panów Cruchot i de Grassins, podobało jéj się tak bardzo, że nim zasnęła, długo musiała marzyć o tym fenixie kuzynów.

Numera wyciągano bardzo powoli, ale wkrótce ustała loterya. Duża Barbara weszła i rzekła głośno:

—»Proszę pani o prześcieradła dla tego pana.

Pani Grandet wstała i poszła za Barbarą, a wtedy pani des Grassins rzekła po cichu: »Odbierzmy stawkę i dajmy pokój loteryi.

Każdy wziął swoje dwa soldy ze staréj wyszczerbionéj tacki, a towarzystwo powstawszy razem, przysunęło się do kominka.

—»Skończyliście więc? rzekł pan Grandet, nie przestając czytać.

—»Tak jest, tak, odpowiedziała pani des Grassins stojąc przy Karolu.

Eugenia powodowana jedną z tych myśli powstających w sercu młodych dziewczyn, kiedy w niém raz piérwszy zagnieżdża się uczucie, wyszła z sali dopomódz matce i Barbarze. Gdyby kto zażądał żeby koniecznie powiedziała prawdę, wyznałaby zapewnę, iż nie myślała ani o matce ani o Barbarze, ale że nią władała gwałtowna chęć obejrzenia pokoju swego kuzyna, zajęcia się nim, przekonania się czyli tam czego nie brak, uczynienią go, ile tylko bydź może, wytwornym i czystym. Eugenia mniemała, że ona tylko sama zdoła pojmować gust i wyobrażenia swego kuzyna.

Jakoż nadeszła w samą porę i dowiodła matce i Barbarze, że jeszcze nic nie zrobiono. Kazała Barbarze wygrzać łóżko żelazkiem od prasowania. Okryła stolik białym obruskiem i przykazała zmieniać obrusek co rano. Przekonała matkę, iż trzeba dobry ogień zapalić na kominku i skłoniła Barbarę że nic nie mówiąc ojcu przyniosła duży pęk drzewa. Pobiegła do sali, poszukała starą tacę lakierowaną, pochodzącą z spadku po dziadku matczynym, wzięła także szklaneczkę kryształową, łyżeczkę z wytartą pozłotą starożytną, flaszkę na któréj wyryte były amorki i wszystko to z tryumfalną miną postawiła na murku. W przeciągu jednego kwadransa, więcéj przyszło jéj wyobrażeń niżeli ich miała od czasu urodzenia swojego.

—»Mamo, rzekła, nigdy mój kuzyn nie zniesie swędu świecy łojowéj; gdybyśmy kupili woskową...

I pobiegła, lekka jak ptaszek, wyjąć z sakiewki pieniądz stu-soldowy, który dostała na wydatki miesięczne.

—»Weź Barbaro, weź! śpiesz się!...

—»Ale cóż powie twój ojciec?

—»Ten straszliwy zarzut uczyniła pani Grandet, widząc, iż córka przynosi cukierniczkę z sewskiéj porcelany, nabytą przez pana Grandet razem z zamkiem Froidfonds.

—»A zkądże weźmiesz cukru? czyś rozum straciła?

—»Mamo! Barbara kupi cukru podobnież jak świecę woskową.

—»Ale twój ojciec?..

—»Czyliż byłoby przyzwoitą rzeczą, żeby jego synowiec nie mógł napić się wody z cukrem? Oprócz tego, nie będzie na to zważać.

http://rcin.org.pl

—»Twój ojciec widzi wszystko rzekła pani Grandet ruszając głową.

Barbara wahała się; znała pana swojego.

—»Ale idź Barbaro, to są moje urodziny!..

Barbara rozśmiała się ciężkim śmiechem, na ten pierwszy żart swojéj pani i usłuchała.

Gdy tak Eugenia i jéj matka usiłowały upiększyć pokój przeznaczony dla siostrzeńca pana Grandet, Karól był celem uwagi pani des Grassins; zaczęła z nim rozmowę.

—»Jesteś pan odważnym, rzekła do niego, skoro mogłeś porzucić uciechy stolicy w zimie i zamieszkać w Saumur. Ale jeźli się nas nie przestraszysz, zobaczysz że tu jeszcze można się bawić.

I rzuciła na niego to prawdziwie prowincyonalne spoyrzenie, w którém łączyła się zalotność i ostrożność.

Karól tak był odurzony widokiem téj sali, o tyle sprzecznéj z obszernym zamkiem i wiejskim przepychem, którym w imaginacyi swojéj obdarzył wuja, iż dopiero spojrzawszy uważnie na panią de Grassins, postrzegł na pół zatarty obraz figur paryzkich. Grzecznie odpowiedział i wszczęła się rozmowa, podczas któréj pani des Grassins stopniowo mówiła co raz to ciszéj, dla zastósowania się do rodzaju swoich spostrzeżeń. I ona i Karól, czuli tęż samą potrzebę powierzenia się, dla tego też po kilku chwilach żartobliwéj rozmowy, zręczna parafianka zdołała mówić z nim, tak, że jéj nie dosłyszały inne osoby rozmawiające o przedaży wina która teraz zajmowała cały powiat:

»Panie! jeżeli uczynisz nam ten zaszczyt i odwiedzisz nas, sprawisz bez wątpienia równą przyjemność mężowi mojemu jak i mnie. W naszym tylko salonie znajdziesz pan wielkich kupców i szlachtę; należemy do dwóch towarzystw, u nas spotykają się one z sobą, gdyż się bawią. Mój mąż, powiadam to z dumą, równie jest poważany od jednych jak od drugich. Tak więc starać się będziemy uprzyjemnić nudny pobyt pana w tém mieście. Gdyby pan ciągle siedział u pana Grandet, cóżby się z panem stało? o Boże! Stryj pana jest starym dzikiem, który tylko myśli o gospodarstwie, stryjenka jest starą dewotką, nie umiejącą związać dwóch wyobrażeń, a Eugenia, kuzynka pana, jest dziewczyną pospolitą, bez edukacyi, bez posagu, i przez całe życie nic nie robi tylko ceruje pończochy i bieliznę.

—»Jest to jeszcze ładna kobieta: pomyślał sobie Karol Grandet, odpowiadając na wdzięczenia się pani des Grassins.

—»Zdaje mi się moja żono, że chcesz złowić jegomości: rzekł, śmiejąc się, tłusty i wysoki bankier.

Na to postrzeżenie, notaryusz i prezydent odezwali się mniéj lub więcéj złośliwie, ale xiądz Cruchot spojrzał na nich przebiegłym wzrokiem, i zbierając ich myśli rzekł:

—»Któż lepiéj od pani może czynić honory miasta Saumur?

—»Co! co! jak to rozumiesz xięże Cruchot? zapytał pan des Grassins.

—»Rozumiem to, w znaczeniu najkorzystniejszém dla pana, dla pani, dla miasta naszego i dla tego pana:

http://rcin.org.pl

przydał przebiegły starzec, obracając się do Karola.

Niby bez zwrócenia na nich uwagi, xiądz Cruchot, zdołał odgadnąć rozmowę Karola i pani des Grassins.

—»Panie! rzekł nareście Adolf do Karola, usiłując przybrać ton naturalny i przyjemny, nie wiem czy zachowałeś jakie wspomnienie o mnie. Miałem zaszczyt tańcować na przeciw niego w kontradansie, na balu danym przez marszałka Oudinot.

— »Doskonale panie doskonale, przypominam sobie: odpowiedział Karol, zdziwiony, że jest przedmiotem powszechnego zajęcia.

—»To jest syn pani? zapytał się pani des Grassins.

Cruchot złośliwie spojrzał na matkę.

—»Tak jest panie, rzekła.

—»Byłeś więc pan bardzo młodo w Paryżu? rzekł Karol do Adolfa.

—»J cóż robić panie? rzekł Cruchot, posyłamy ich do Babilonu wprzódy jeszcze nim ich od piersi odstawią. Na prowincyi tylko, mówił daléj, znaleźć można kobiety mające lat trzydzieści i kilka, i tak świeże jak pani, gdy ich synowie już ukończyli szkołę prawa. Zdaje mi się, że to jeszcze jest ten sam dzień, kiedy młodzieńcy i damy stawali na krzesłach dla przypatrzenia się tańcowi pani, przydał xiądz, obracając się do swego przeciwnika niewieściego.

»O stary niegodziwiec! rzekła sama w sobie pani des Grassins, czyliżby mię zgadywał?

»Zdaje się że będę miał dobre powodzenie w Saumur, pomyślał Karol.

Nieuwaga ojca Grandet albo raczéj zajęcie w którém pogrążyło go czytanie listu, nie uszło baczności notaryusza i prezydenta; usiłowali odgadnąć treść tego pisma z najdrobniejszych poruszeń starca, na którego twarz mocne światło padało. Łakomiec ledwie mógł utrzymać zwyczajną spokojność. Oprócz tego, zdołamy wyobrazić sobie udaną obojętność ojca Grandet, przeczytawszy ten list nieszczęśliwy.

Mój Bracie!

Dochodzi już lat dwadzieścia trzy jakeśmy się nie widzieli. Moje ożenienie się było przedmiotem naszéj ostatniéj rozmowy i rozstaliśmy się w dobrém porozumieniu. Zajste, nie mogłem wtedy przewidywać, że ty będziesz jedyną podporą rodziny, z któréj powodzenia cieszyłeś się wówczas. Gdy ten list dojdzie rąk twoich, już nie będę w liczbie żyjących. W położeniu mojém nie chciałem przeżyć ochydy bankructwa; aż do ostatniéj chwili trzymałem się nad brzegiem przepaści, spodziewając się iż z niéj wyrwać się zdołam. Daremnie! Bankructwo mego ajenta wexlu i mego notaryusza, pozbawiło mię ostatnich środków ratunku. Winienem przeszło trzy miliony, a ledwie mogę ofiarować na nie osiem za sto. Moje wina złożone na składach, spadły niezmiernie z powodu szczęśliwego winobrania. Za trzy dni Paryż powie: »Pan Grandet był oszustem. Ja, poczciwy i rzetelny człowiek, okryję się kirem sromoty. Wydzieram synowi mojemu i nazwisko które plamię i majątek jego matki. Nic o tém wszystkiém nie wie to nieszczęśliwe

http://rcin.org.pl

ukochane dziecię. Czule pożegnaliśmy się; nie wiedział na szczęście swoje, że ostatnie krople życia mego wylały się w tém pożegnaniu. Czyliż mię przeklinać nie będzie? Mój bracie! mój bracie! jakże jest okropném przekleństwo dzieci naszych, one mogą odwołać się od naszego, ale ich jest nie odwołalne. Grandet! jesteś moim starszym bratem, powinieneś mieć opiekę nademną; spraw aby Karól nie złorzeczył mojéj mogile. Mój bracie, gdybym pisał do ciebie krwią i łzami, nie byłoby tyle boleści w tym liście ile jest teraz; gdyżbym płakał i krew ronił, jużbym nie cierpiał, a teraz cierpię i suchém okiem na śmierć spoglądam. Jesteś więc ojcem Karola! nie ma krewnych ze strony macierzystéj, nie ma już familii! O mój nieszczęśliwy syn! mój syn! Posłuchaj mię bracie; nie błagam cię za sobą samym. Oprócz tego, dobra twoje nie są może tak znaczne, aby zniosły hipotekę trzech milionów, ale błagam za moim synem; pamiętaj o tém mój bracie, złożyłem ręce myśląc o tobie. Bracie mój, umierając, powierzam ci Karola! Nareście spokojnie mogę spoglądać na zabójcze narzędzie, myśląc że ty mu zastąpisz miejsce ojca. Kochał mię mój Karól, byłem dla niego tak dobry, nigdy mu się nie sprzeciwiałem, nie będzie mię przeklinał. Oprócz tego, przekonasz się że jest łagodnym, ma charakter matki swojéj, nigdy nie będzie dla ciebie przyczyną zmartwienia. Biedne dziecię! nazwyczajone do zbytkowych uciech, nie zna tego niedostatku, który wycierpieliśmy w pierwszych latach naszych... A teraz zostanie bez majątku, sam... Tak jest, wszyscy przyjaciele stronić będą od niego, a ja to jestem sprawcą tego upokorzenia. Ach! chciałbym mieć tak silną rękę, aby go za jednym razem posłać do nieba, do jego matki.... Szalony!... Wracam się do mojego nieszczęścia, do Karóla. Posyłam go więc do ciebie, abyś mu objawił i moją smierć i jego los przyszły. Bądź dla niego ojcem, ale dobrym ojcem. Nie odrywaj go nagle od jego bezczynnego życia, gdyżbyś go zabił. Zaklinam go, aby wyrzekł się należytości, którą jako dziedzic swojéj matki, mieć będzie do mojego spadku. Ale jest to zbyteczna prośba, jest uczciwym człowiekiem i uczuje że nie powinien przyłączać się do moich wierzycieli. Niechaj wyrzecze się spadku po mnie. Wyjaw mu jak twardy los go czeka; a jeżeli mię nie będzie nienawidził powiedz mu odemnie, że jeszcze nie wszystko zginęło. Tak jest, praca która ocaliła nas obu, może mu powrócić utracony majątek; a jeżeli chce słuchać głosu ojca, który dla niego chciałby ożyć na chwilę, niechay popłynie do Indyów. Mój bracie, Karól jest młodzieńcem uczciwym i odważnym. Sporządzisz dla niego ładunek: umarłby wprzódy niżby ci nie oddał tego, co mu pożyczysz; gdyż pożyczysz mu... Grandet, w przeciwnym razie nabawiłbyś się wiecznéj zgryzoty. Ach! gdyby moje dziecię nie znalazło u ciebie ani przywiązania, ani pomocy, dopominałbym się u Stwórcy o ukaranie cię za twoją nieużytość. Gdybym posiadał jaką summę, byłbym miał prawo oddać mu

http://rcin.org.pl

ją na rachunek spadku po matce, ale wypłaty przy końcu miesiąca zabrały wszystko. Byłbym nie umierał nie zaspokojony o losie mego dziecięcia; byłbym chciał usłyszeć twoje święte przyrzeczenia, ale mi czasu zabrakło. Gdy Karol jedzie do ciebie, ja układam mój bilans. Usiłuję dowieść przez dobrą wiarę przewodniczącą interessom moim, że moje nieszczęście nie jest skutkiem ani błędu ani nierzetelności. Czyliż się tym sposobem nie zajmuję Karolem? Żegnam cię mój bracie! niechaj wszystkie błogosławieństwa Boga spłyną na ciebie, za wspaniałomyślną opiekę którą ci poruczam, a którą przyjmiesz, nie wątpię. Będzie jeden głos, który za ciebie modlić się będzie w świecie, dokąd wszyscy udać się mamy, a gdzie już jestem.

Wiktor Wilhelm Grandet.

—»Rozmawiacie więc? rzekł pan Grandet, troskliwie składając list i chowając go do kieszeni, a po tém spojrzał na swego synowca, z miną bojaźliwą, którą pokrył swoje wzruszenie i obawę.

—»Rozgrzałeś się już?

—»Zupełnie mój stryju.

—»A gdzież są kobiety? rzekł łakomiec, zapominając, że synowiec u niego nocować będzie. W téj chwili wróciła Eugenia i pani Grandet.

— Czy wszystko już urządzono? rzekł stary odzyskując spokojność.

— Tak jest mój ojcze.

— A więc, mój synowcze, jeżeli jesteś znużony, Barbara zaprowadzi cię do twojéj izby. O!. nie jest to elegancki apartament. Ale wybaczysz ubogim winnicarzom nie mającym, ani szeląga. Na podatki wszystko idzie.

— »Nie chcemy ci się naprzykrzać Grandet, może pogadasz z twoim synowcem. Życzymy ci dobréj nocy. Do zobaczenia: rzekł bankier.

Na te słowa powstało całe zgromadzenie i każdy ukłonił się gospodarzowi domu. Bracia Cruchot odprowadzili familię de Grassins, bo jeszcze jéj służący nie był przyszedł.

Jak jedni tak i drudzy nie wątpili, że młody Karol jest pretendentem o rękę Eugenii i to najniebezpieczniejszym. Potrzeba skłoniła ich do zawarcia chwilowego przymierza, przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Czyliż nie powinni zapobiedz. temu, aby Eugenia nie myślała o swoim krewnym, a Karol o Eugenii? Czyliż Paryżanin potrafi oprzeć się zdradzieckim podszeptom, niebezpiecznym potwarzom, obmowom napełnionym pochwałami, które ciągle otaczać go będą i zasklepią go tak, jak pszczoły zasklepiają ślimaka, który spadł do ich ula?

Po odejściu gości, pan Grandet rzekł do synowca.

—»Trzeba iść spać. Już jest zapóźno; nie będziemy dziś rozmawiać o powodach twego przybycia. Jutro wybierzemy stosowną porę. Jadamy śniadanie o osméj. W południe jemy owoce z kawałkiem chleba i pijemy po szklaneczce białego wina; obiad jest o piątéj jak w Paryżu. Taki jest u nas porządek. Jeśli chcesz zobaczyć miasto i okolice, wolny jesteś jak ptaszek; wybaczysz mi, że przy moich zatrudnieniach nie będę ci mógł towarzyszyć. Może ci kto powie, że jestem bogaty. Niechaj

http://rcin.org.pl

sobie gadają; nie szkodzą przez to mojemu kredytowi. Lecz nie mam ani szeląga, pracuję w moim wieku jak młody czeladnik, który nic nie posiada prócz silnych ramion. Wkrótce może sam przekonasz się ile wart jest talar kiedy na niego trzeba krwawym potem zarobić. Barbaro, daj świecę.

—»Spodziewam się mój synowcze, że znajdziesz wszystko co ci potrzeba; ale gdyby ci czego brakowało możesz zawołać Barbary.

—»Dziękuję moja stryjenko; zdaje mi się, że wziąłem z sobą wszystko czego potrzebować mogę. Życzę państwu dobréj nocy i tobie moja kuzynko.

Karol wziął z ręki Barbary zapaloną świecę woskową, z żołkłą od starości w sklepie i tak podobną do łojowéj, ze pan Grandet nie postrzegł tego przepychu, tém bardziéj że go domyślać się nie mógł.

—»Pokażę ci drogę, rzekł do Karola.

Barbara poszła zaryglować bramę i spuścić z łańcucha ogromnego kundla, który już ochrzypiał od starości. Karol patrząc na żołtawe i zakopcone ściany sieni, któréj sprochniałe schody drżały pod ciężkiem stąpaniem jego stryja, nie pojmował co się z nim dzieje. Zdało mu się że jest w jakimsiś kurniku. Jego ciotka i Eugenia, tak były nazwyczajone do tych schodów, iż nie pojmując przyczyny jego podziwienia odpowiedziały na nie wdzięcznym uśmiechem.

—»Po cóż u licha mój ojciec przysyła mię tu? mówił do siebie.

Na pierwszém piętrze postrzegł troje drzwi pomalowanych, zbitych z prostych desek, okutych żelazem.

Jedne z nich, od izby leżącéj nad kuchnią, były oczywiście zamurowane. Jakoż, można było wejść do téj izby, jedynie tylko przez pokój pana Grandet, a jéj okno wychodzące na podwórzę, opatrzone było w ogromne kraty żelazne. Nikt, nawet pani Grandet nie miała wnijścia do tego gabinetu. Łakomiec chciał tam siedzieć sam, jak alchimista w laboratorium. Tam zapewne w jakiéj kryjówce, chował wexle i tytuły własności, tam wisiały ważki do ważenia luidorów; tam, w nocy tajemnie pisał kwity i rachunki tak, iż mieszkańcy Saumur, widząc pana Grandet zawsze w gotowości i porządku, mniemali, że ma na swoje rozkazy jaką wróżkę, albo ducha. Tam zapewne, kiedy Barbara chrapała tak że aż się trzęsła podłoga, kiedy kundel czuwał i poziewał na podwórzu, kiedy pani i panna Grandet spały spokojnie, stary bednarz wpatrywał się w swoje złoto, pieścił je, przeliczał, ładował w beczułki. Grube mury i zasłony, nie przepuszczały najmniejszego dźwięku.

Wnijście do pokoju Eugenii, było na przeciw tych drzwi zamurowanych. Pomieszkanie dwojga małżonków, zajmowało przód domu.

Stary, umieścił swego synowca na drugiém piętrze, w izbedce nad swoim pokojem, aby mógł słyszeć każde jego stąpienie.

Eugenia i pani Grandet, przyszedłszy na pierwsze piętro, pocałowały się na dobranoc; a pożegnawszy Karóla kilkoma słowami zimnemi na pozór, ale z serca pochodzącemi, zwła-

http://rcin.org.pl

szcza u Eugenii, weszły do swoich pokoików.

—»Otóż jesteś u siebie, rzekł ojciec Grandet do Karóla, otwierając drzwi. Jeżeli zechcesz wyjść, zawołasz Barbary. Bez niéj, najniższy sługa!... pies zagryzłby cię na śmierć. Spij, dobrze! Dobréj nocy.

—»Ha! ha! te panie kazały napalić na kominku, rzekł:

—»W téj chwili, wysoka Barbara weszła z wygrzewaczką.

—»A to co znowu? zawołał. Czy bierzesz mego synowca za kobietę w połogu? idźże sobie z tą wygrzewaczką Barbaro.

—»Ależ panie, prześcieradła są wilgotne, a ten pan w rzeczy saméj tak jest delikatny jak kobieta.

—»No! kiedyś sobie głowę nabiła rzekł pan Grandet, popychając ją za ramiona: ale strzeż się, żeby ognia nie zaprószyć.

A skąpiec zszedł mrucząc pod nosem. Karól stanął osłupiały, pośród rzeczy swoich.

Spojrzawszy na ściany téj izbedki, wyklejonéj żółtém papierem w kwiatki;

Na kominek kamienny, niepomalowany, którego sam widok zimném przeszywał;

Na krzesła wyplątane, stare;

Na stolik nocny, otwarty, w którymby człowiek mógł się zmieścić.

Na wypłowiały dywanik, położony przy łóżku i na kotarę pogryzioną od mólów.

Spojrzał na Barbarę i rzekł:

—»Powiedz mi moje dziecię, czy jestem w rzeczy saméj u pana Grandet, dawnego mera w Saumur, brata pana Grandet z Paryża?

—»Tak jest panie, u bardzo dobrego, bardzo doskonałego pana. Czy mam dopomódz do rozpakowania rzeczy?

—»Dobrze mój stary wojaku! Zapewne służyłeś w gwardyi marynarki?

—»Ho! ho! ho! rzekła Barbara, cóż to ma znaczyć marynarka gwardyi? To coś słonego! oh! oh! oh!

—»Weź, poszukaj mego szlafroka; jest w téj walizie, masz klucz od niéj.

Barbara zdziwiła się, widząc szlafrok zielony jedwabny, wyszywany w kwiaty złote.

—»I pan bierzesz to na noc?

—»Tak jest.

—»Matko Boska! jakżeby się to przydało na ubranie ołtarza! Ależ mój kochany paniczu, daruj że to kościołowi. Ach, jakże ci w tém pięknie! zawołam naszéj panny niech ci się przypatrzy.

—»No Barbaro, kiedy się nazywasz Barbarą, bądźże cicho. Pójdę spać; jutro ułożę moje rzeczy, a jeżeli ten szlafrok tak ci się podoba, daruję ci go przy odjezdném.

Barbara stanęła jak drąg, patrząc na Karola i nie mogąc zawierzyć jego słowom.

—»Da mi to piękne ubranie, rzekła nareście odchodząc. Ten pan już gada przez sen. Dobra noc.

—»Dobranoc Barbaro.

»Pocożem tu przyjechał? mówił do siebie Karol, zasypiając. Mój ojciec ma rozum więc podróż tą nie jest bez celu... odłóżmy interessa do jutra.

—»Jakże jest ładny mój kuzynek,

http://rcin.org.pl

mówiła do siebie Eugenia. Pani Grandet o niczém nie myślała, idąc na spoczynek; słyszała przeze drzwi iż stary wzdłuż i wszerz przechadzał się po pokoju. Jak wszystkie bojaźliwe kobiety, badała charakter swojego pana: a jak łyska przewiduje burzę, podobnież i ona przeczuwała wewnętrzną burzę, która miotała panem Grandet, i wówczas, że użyję jéj wyrażenia, *udawała umarłą*.

Pan Grandet spoglądał na drzwi od gabinetu i mówił:

»Jakaż dziwaczna myśl przyszła do głowy mojemu bratu, kiedy mi swojego syna zapisał! Piękny mi spadek!... nie mam do wydania ani dwudziestu talarów... ale cóżznaczyłyby dwadzieścia talarów... dla tego fanfarona, który spoglądał na mój barometr, jak gdyby chciał go rzucić w ogień?

Myśląc o skutkach ostatniéj woli swego brata, łakomca był może bardziéj wzruszony, aniżeli nieszczęśliwy co ją pisał.

»Dostanę więc tę złotą suknię, mówiła Barbara, i usnęła ubrana w tak pyszny strój, marząc o kwiatach, haftach, adamaszku, pierwszy raz w życiu swojém, podobnie jak Eugenia pierwszy raz w życiu marzyła o miłości.

III.

Miłość Prowincyonalna.

W czystém i jednostajném życiu młodych dziewczyn, zdarza się roskoszna godzina, w któréj słońce wlewa w ich duszę promienie swoje, w któréj kwiat wyraża myśli, w któréj bicie serca rozwija i rozgrzewa ich umysł i wszystkie wyobrażenia zlewa w jedno nieoznaczone pragnienie, jest to dzień niewinnéj melancholii i słodkich uciech. Gdy dzieci zaczynają widzieć, uśmiechają się; gdy dziewczyna przegląda uczucie w naturze, uśmiecha się tak, jak się uśmiechała będąc dziecięciem. Jeźli światło jest pierwszą miłością życia, czyliż miłość nie jest pierwszém światłem serca? Ta chwila nadeszła dla Eugenii. Rano wstała, jak wszystkie dziewczyny na prowincyi i odmówiła modlitwę. Potém zaczęła myśléć o swojem ubraniu; zatrudnienie to było ważném teraz i znaczącém. Uczesała najprzód swoje ciemne włosy, zwiła je troskliwie tak, aby żaden włos nie wykradał się z warkocza. Potém, umywszy ręce w czystéj wodzie, która im nadawała twardość i czerwoność, zapytała się co może robić jéj krewny, że ma ręce tak białe i delikatne? Wzięła białe pończochy i najporządniejsze trzewiki, jakie znaleźć mogła. Nareście, pierwszy raz w życiu uczuła, jakie to jest szczęście mieć suknię świeżą, dobrze zrobioną, w którejby pięknie wyglądała.

Gdy skończyła ubranie, usłyszała zegar parafialny. Uderzył siodmą. Wstała więc zawcześnie. Nie znając sztuki przewijania po dziesięć razy pukla włosów, Eugenia założyła ręce, usiadła przy oknie, patrzała na dziedziniec, na wązki ogród, na wysokie tarasy panujące nad nim; był to widok smutny, ograniczony, ale nie ogołocony z tajemniczych piękności, właściwych samotnym miejscom, albo dzikiéj naturze.

http://rcin.org.pl

Po ścianie od dziedzińca, wiły się latorośle winne, już powiędłe i poczerniałe, i dochodziły aż do drwalni, gdzie drzewo tak było ułożone porządnie, jak xiążki u bibliotekarza. Bruk zaczerniał przeciągiem czasu, od mchu, zielska i brakiem ruchu. Osiem schodów prowadzących w głębi podwórza do ogródka, zarosły zielskiem; ogródek składały trzy ulice równoległe, wysypane piaskiem, a na końcu był taras zacieniony lipami. Z jednéj strony krzaki malinowe; z drugiéj ogromny kasztan pochylający swoje konary aż na gabinet bednarza. Czysty pogodny dzień jesienny zaczynał rozpraszać szron, którym w nocy powlekły się drzewa, dziedziniec i mury.

Eugenia znalazła nowy powab w tym widoku, wprzódy tak pospolitym dla niéj. Tysiące pomieszanych myśli powstawało w jéj duszy i wzrastało razem z wrastającém światłem słońca. Uczuła nareście tę rozkosz niewymowną, która otacza istotę moralną, jak mgła otaczałaby istotę fizyczną. Jéj myśli zgadzały się z szczegółami tego dziwnego krajobrazu, a harmonia jéj serca sprzymierzyła się z harmonią natury.

Gdy słońce wzbiło się nad mury ogrodu, z których spadały różnobarwne liścia bluszczu, boskie promienie nadziei oświeciły przyszłość Eugenii i odtąd polubiła ten mur: te zwiędłe kwiaty i liście, gdyż mieszało się z niemi wspomnienie tak lube, jak wspomnienie lat dziecinnych. Szmer każdego liścia spadającego z gałązki na to ciche podwórze, odpowiadał tajemnym zapytaniom serca Eugenii; byłaby przez cały dzień tak siedziała, nie postrzegając bynajmniéj iż upływają godziny.

Po tém, nastąpiły burzliwe wzruszenia duszy.

Wstawała często, stanęła przed zwierciadłem, przypatrywała się saméj sobie tak, jak autor w dobréj wierze piszący, przypatruje się dziełu swojemu, ażeby ganił je i łajał.

»Niejestem dosyć piękną dla niego.«

Taka była myśl Eugenii, myśl pokorna i obfita w cierpienia.

Biedna dziewczyna nie oddawała sobie sprawiedliwości; ale skromność albo raczéj obawa, jest jedną z pierwszych cnót w miłości. Eugenia należała do tego rodzaju dzieci mocno zbudowanych, jak to bywa w niższych stanach miejskich, których piękność wydaje się bydź gminną. Lecz jeźli podobna była do Wenery z Milo, miała w sobie tę niewinność uczuć chrześcijańskich, które ją oczyszczały i nadawały cechę wcale nieznaną starożytnym rzeźbiarzom. Miała dość wielką głowę, czoło męzkie lecz delikatne, i siwe oczy, którym jéj czyste życie nadawało blask najmocniejszy. Rysy jéj okrągłéj twarzy, wprzódy różowéj i świeżéj, zgrubiały przez ospę dosyć lekką wprawdzie, gdyż nie zostawiła śladów po sobie, ale jednakże uszkodziła tę miękką delikatność skóry, mimo tego tak łagodnéj i cienkiéj, że czyste pocałowanie matki wyciskało na niéj chwilowe znamię czerwoności. Nos miała za wielki, ale zgadzał się z jéj różowemi ustami, wyrażającemi miłość i dobroć. Szyja, posiadała doskonałą okrągłość. Eugenia, wysoka i silna, nie była więc

http://rcin.org.pl

ładną ale była piękna tą pięknością tak często nie poznaną, którą tylko sam artysta schwycić zdoła. Ale malarz, który szuka na tym padole, wzoru boskiej czystości Maryi, który domaga się od całéj natury kobiecéj, tych oczu szlachetnych i skromnych, jakie sam tylko Rafael umiał odgadnąć, ale które przez samą tylko czystość życia i myśli zachować i nabyć można: ten malarz, zakochany w tak rzadkim wzorze, znalazłby w twarzy Eugenii wrodzoną szlachetność, nie wiedzącą o sobie saméj, ujrzałby na tém czole spokojném, cały świat miłości, a w oprawie oczu i w spuszczonych powiekach, jakiś boski niepojęty wyraz. Jéj rysy nie znużone i nie uszkodzone nigdy, wyrażeniem namiętności, podobne były do linii widokręgu, tak lekko nakreślonych na powierzchni cichych jezior. Ta fizyonomia spokojna, u barwiona rumieńcem, otoczona świa tłością, jak ładny kwiat świeżo rozwity, przynosiła spoczynek duszy, udzielała patrzącym powabu czystego sumienia, który się na niéj odbijał zwracała ich spojrzenie.

Eugenia była jeszcze nad brzegiem życia, gdzie kwitną złudzenia dziecinne, gdzie z rozkoszą nieznaną po tém, zrywają się listki astrów, dla tego téż, przeglądając się, rzekła do siebie, nie świadoma jeszcze co to jest miłość: —»Jestem bardzo brzydka, nie będzie zważał na mnie.

Po tém otworzyła drzwi wychodzące na schody i wyciągnęła szyję, słuchając co słychać w domu.

»Nie wstaje, pomyślała, słysząc ranne kasłanie Barbary. Poczciwa służąca chodziła i zamiatała salę, zapaliła ogień, uwiązała psa, gadała do bydła stojącego w stajni.

Natychmiast Eugenia zeszła i pobiegła do Barbary, która doiła krowy.

—»Barbaro, moja dobra Barbaro, zróbże kawy ze śmietanką dla mojego kuzyna!

Barbara rozśmiała się głośno.

—»Ależ panienko, trzeba było wczoraj o tém pomyśleć! Nie mogę zrobić śmietanki. Jakiż jest delikacik ten kuzynek panny! Jest ładny, ładniutki, doprawdy ładniutki. Nie widziałaś go w złotym i jedwabnym szlafroku. Ale ja go widziałam. Nosi tak cienką bieliznę, jak komża xiędza proboszcza.

—»Barbaro, zróbże nam ciasto do kawy.

—»A któż mi da drzewa do napalenia w piecu, mąki i masła? odpowiedziała Barbara, która jako pierwszy minister paną Grandet, miała wielką powagę u pani Grandet i Eugenii. Czyliż potrzeba kraśdź jegomości dla uczęstowania kuzynka? Proś go o masło, mąkę i drzewo; jest ojcem panny, może je dać. Oto idzie do śpiżarni.

Eugenia uciekła do ogrodu, przestraszona odgłosem kroków ojcowskich. Już doznawała skutków tego głębokiego wstydu i tego uczucia szczęścia, które może nie bez przyczyny, wzbudzą w nas to mniemanie, iż nasze myśli wyryte są na czole naszém i każdego uderzają w oczy. A potém, postrzegając ten niedostatek panujący w domu ojcowskim, biedna dziewczyna ciężko żałowała, iż się nie może zastósować

http://rcin.org.pl

do wytworności swego kuzyna. Uczuła namiętną potrzebę uczynić coś dla niego. Co? Nie wiedziała sama. Szczera i prosta, szła za popędem anielskiéj dobroci, nie lękając się ani swoich wrażeń ani swoich uczuć. Sam widok jéj kuzyna, obudził w niéj wrodzone skłonności kobiety; rozwinęły się tem żywiéj, że jéj pojęcie i zmysły już dojrzały zupełnie. Po raz pierwszy przestraszył ją widok oyca; ujrzała w nim pana jéj losu, i rozumiała iż się dopuszcza winy, ukrywając przed nim myśli swoje. Zaczęła chodzić śpiesznym krokiem i dziwiła się że oddycha czystszém powietrzem, że promienie słońca są dzisiaj bardziéj ożywiającemi, że z nich czerpa moralne ciepło i nowe życie.

Gdy myślała jakimby sposobem dostać masła, wszczęła się między Barbarą i panem Grandet kłótnia, tak rzadko zdarzająca się między niemi, jak jaskółki w zimie. Opatrzony pękiem kluczy, starzec poszedł wydać żywność na cały dzień.

—»Czy zostało co z wczorajszego chleba? rzekł do Barbary.

—»Ani odrobiny, panie.

Pan Grandet wyjął duży chleb okrągły, dobrze zatarty i chciał go przekroić, gdy rzekła Barbara.

—»Ale jest nas pięcioro, panie.

—»To prawda, odpowiedział Grandet; ale chleb waży sześć funtów, powinno go zostać. Oprócz tego, ta młodzież paryzka nie jada chleba, zobaczysz.

—»A więc jeść będzie *pomazanki*, rzekła Barbara.

Na prowincyi ten wyraz gminny *pomazanka*, znaczy przyprawę chleba, zacząwszy od masła aż do konfitur, ale ci wszyscy, którzy w dzieciństwie zlizywali masło albo konfitury, a zostawiali chleb, zrozumieją znaczenie tego wyrazu.

—»Nie, odpowiedział Grandet, oni nie jadają ani pomazanki ani chleba; są tak jak dziewczyny na wydaniu.

Nareście wydzieliwszy jak najoszczędniéj żywność na dzisiaj, zamykał spiżarnię, gdy Barbara zatrzymała go i rzekła: »No panie, daj mi masła i mąki, upiekę placek dla dzieci.

—»Czy nie zrabujesz całego domu na przyjazd mego sycowca?

—»Tyle myślałam o pańskim synowcu, ile o pańskim psie, ile pan sam myślisz o nim. Wydałeś mi pan sześć kawałków cukru, a potrzeba osiem.

—»Ho! ho! Barbaro, nigdy jeszcze nie byłaś w takim humorze. Cóż ci to przyszło do głowy? Czy ty jesteś panią domu? Nie dam więcéj jak sześć kawałków cukru.

—»A czémże synowiec pana osłodzi kawę?

— Dwoma kawałkami; ja się bez nich obejdę.

— Obejdziesz się pan bez cukru! w twoim wieku!.. Wolałabym kupić go dla pana, z własnéj kieszeni.

— Patrz własnych interessów. Mimo niskiéj ceny, cukier był zawsze w oczach bednarza najkosztowniejszym towarem; w jego oczach funt cukru kosztował zawsze sześć franków. Oszczędzanie cukru, zasięgające epoki cesarstwa, stało się u niego najmocniejszym nałogiem.

Wszystkie kobiety, nawet najprost-

http://rcin.org.pl

sze z pomiędzy nich, umieją używać przebiegłości dla dopięcia swojego celu. Barbara zaniechała mówić o cukrze, aby dostać mąki na placek.

—»Mościa panno, zawołała przez okno, chceszli abym upiekła placek!

—»Nie, nie, odpowiedziała Eugenią.

—»No Barbaro, rzekł Grandet usłyszawszy głos córki, weź:

Otworzył skrzynię gdzie była mąką, dał jéj kwartę i przydał kilka uncyi masła, do kawałka który już był odkroił.

—»Trzeba drzewa do napalenia w piecu: rzekła nieprzebłagana Barbara.

—»A więc weź go ile będzie potrzeba, smutnie odpowiedział, ale zrobisz placek z owocami i cały obiad ugotujesz w piecu, a tak oszczędzisz ognia.

—»O! zawołała Barbarą, tego mię nie potrzeba uczyć.

Grandet rzucił ojcowskie spojrzenie na wykonawczynią jego woli.

—»Panno Eugenio, zawołała kucharką, mieć będziemy placek.

Ojciec Grandet powrócił z owocami i położył je na stole.

—»Patrzaj pan, rzekła Barbara, jak ładne buty ma synowiec pana. Co za skóra i jak pięknie pachną! Czémże się to czyści? Czyli pańskim szuwaxem z jajami?

—»Nie, zdaje mi się iż ten szuwax zepsułby tę skórę. Oprócz tego, powiedz mu że nie umiesz czyścić safianu, jest to bowiem safian, a kupi sobie szuwaxu. Słyszałem że kładą do niego cukier aby nabrał glansu.

— A więc musi to bydź dobre do jedzenia, rzecze służąca przykładając buty do nosa. Powąchaj pan; pachną wódką kolońską. Ach! jak to śmiesznie.

— Śmiesznie! rzekł Grandet, zdaje ci się śmieszną rzeczą, wydawać na buty więcéj pieniędzy, niżeli wart jest ten który je nosi?

—»Panie rzekła, czy nie każesz ugotować zupy ze dwa razy na tydzień z powodu przybycia....

— Tak jest.

— Czy mam pójśdź do jatek?

— Nie, zrobisz nam rosół z drobiu. Dzierżawcy opatrzą nas w niego podostatkiem. Ale, muszę powiedzieć leśniczemu aby zastrzelił parę kruków. Z téj zwierzyny jest najlepszy w świecie rosół.

—»Czy to prawda panie, że one jedzą trupów?

—»Głupią jesteś Barbaro, jedzą to co znajdą. A my czyliż nie żyjemy umarłemi. A czemże są spadki?

Ojciec Grandet rozporządziwszy wszystko, spojrzał na zegarek, a widząc że jest jeszcze pół godziny do śniadania, wziął kapelusz, pocałował córkę i rzekł do niéj: chcesz, to pójdź ze mną nad brzeg Loary, na moje łąki?

Eugenia wzięła słomiany kapelusz podszyty taftą, a po tem ojciec i córka zeszli na rynek.

—»Gdziesz idziesz tak rano, rzekł notaryusz Cruchot, który *spotkał* pana Grandet.

—»Zobaczyć jednę rzecz, odpowiedział stary, zgadując powód porannéj przechadzki pana Cruchot.

Gdy ojciec Grandet szedł zobaczyć *jedną rzecz*, notaryusz wiedział z doświadczenią, iż zawsze może coś na

http://rcin.org.pl

tém zarobić. A więc poszedł z nim razem.

—»Pójdź Cruchot: rzekł Grandet do notaryusza: ponieważ jesteś moim przyjacielem, pokażę ci jakie to jest głupstwo sadzić topole w dobrym gruncie.

Cruchot wytrzyszczył oczy. Jakto, rzekł, za nic masz sześćdziesiąt tysięcy franków, które dostałeś za topole zasadzone na łąkach?

Eugenia słuchała, nie wiedząc że nadchodzi najuroczystsza chwila w jéj życiu, że notaryusz ściągnie na nią samowładny ojcowski wyrok.

Przyjacielu: rzekł Grandet, dochodząc do przepysznych łąk, gdzie trzydziestu rzemieślników wykopywało pieńki i równało ziemię zajętą wprzódy przez topole; przyjacielu, zobacz ile gruntu zabiera topola; porachuj ile siana przez to straciłem, ilebym miał za nie przez lat czterdzieści, a zobaczysz żem stracił przeszło czterdzieści tysięcy franków. Teraz będę sadził topole nad samym brzegiem rzeki. Niechaj się żywią kosztem publicznym.

Osłupiały Cruchot, gotów był upaśdź na kolana przed ojcem Grandet.

—»To rzecz jasna, rzekł, topole trzeba sadzić tylko na złych gruntach.

—»*Tak jest panie*, odpowiedział bednarz.

Eugenia spoglądała na wspaniały krajobraz Loary, nie słuchając rachuby ojcowskiéj; lecz zdaleka nadstawiła ucha, dosłyszawszy, iż notaryusz rzekł do swojego klienta:

—»J cóż!. sprowadziłeś zięcia z Paryża? w całém mieście gadają o twoim synowcu; zapewne wkrótce będę pisał intercyzę, ojcze Grandet.

—»Za.. za.. bar... rdzo wcześnie wy.. wy...brałeś się z tém: odpowiedział Grandet jąkając się, tak to czynił w ważnych okolicznościach: o..o..toż mój stary to.. to...warzyszu powiem o.. o... twarcie, iż wolałbym utopić moją córkę w Loarze, niżeli wydać ją za momo..jego ku.. ku.. kuzyna; możesz to oznajmić. Ale nie, nie..chaj świat gada.

Ta odpowiedź nabawiła prawie zawrotu głowy Eugenią. Dalekie nadzieje już zaczynały powstawać w jéj sercu, przyszły do skutku, zbliżyły się i utworzyły pęk kwiatów, który ujrzała podcięty i leżący na ziemi. Od dnia wczorajszego przywiązała się do Karola, wszystkiemi ogniwami szczęścia łączącego dusze, a teraz cierpienie jeszcze je wzmocni. Nie jestże to szlachetném przeznaczeniem kobiety, iż ją więcéj wzrusza niedola, aniżeli świetność losu? Jakimże sposobem uczucie ojcowskie zgasnąć mogło w sercu jéj ojca? Jakiegoż występku dopuścił się Karól? Tajemnicze pytania!.. Jéj powstająca miłość, już się otaczała tajemnicą. Za powrotem, nogi drżały pod nią, a stara i ciemna ulica, tak miła dla niéj przed chwilą, była teraz posępna i oddychała na niéj tym smutkiem, jakim ją czas i okoliczne przedmioty nacechowały.

O kilka kroków od domu, wyprzedziła ojca i czekała przy bramie. Ale Grandet widząc w ręku notaryusza, gazety z dzisiejszéj poczty, rzekł: »Jakże stoją papiery?

—»Nie chcesz mię słuchać Grandet, odpowiedział Cruchot. Spiesz

http://rcin.org.pl

się, kupuj papiery; w przeciągu dwóch lat zarobisz dwadzieścia na sto, oprócz doskonałego procentu, pięć tysięcy franków od osiemdziesięciu tysięcy. Stoją 80 i pół fr.

—»Zobaczymy to: odpowiedział Grandet.

—»Mój Boże! rzekł notaryusz.

—»I cóż takiego, zawołał Grandet, kiedy Cruchot kładł mu przed oczy dziennik, mówiąc: »Czytaj ten artykuł:

Pan Grandet, jeden z najznaczniejszych negocyantów w Paryżu, zastrzelił się wczoraj po wyjściu z giełdy. Posłał prezydentowi izby deputowanych swoją dymissyą i również złożył urząd sędziego w trybunale handlowym. Zniszczyło go bankructwo panów A. i S. jego ajenta wexlu i notaryusza. Pan Grandet posiadał tak wielki szacunek i poważanie, iż bez wątpienia byłby znalazł pomoc u kupiectwa Paryzkiego. Żałować trzeba, że ten człowiek rzeczywiście szanowny, uległ pierwszemu popędowi rozpaczy, etc.

—»Wiedziałem o tém: rzekł Grandet do notaryusza.

Na tę odpowiedź, dreszcz przeniknął Cruchota, który mimo swojéj notaryuszowskiéj obojętności, zadrżał myśląc, iż może Grandet z Paryża, daremnie błagał dziewięciu milionów Grandeta z Saumur.

—»A jego syn, wczoraj tak wesoły...

—»Jeszcze nie wie o niczém, odpowiedział Grandet, z takąż samą spokojnością.

—»Żegnam cię panie.

Cruchot zrozumiał wszystko i poszedł zaspokoić prezydenta deBonfons.

Za powrotem, pan Grandet zastał już gotowe śniadanie. Pani Grandet już siedziała na swojém miejscu i robiła rękawki na drutach; Eugenia uściskała ją z tém żywém wywnętrzeniem serca, jakie wzbudza w nas tajemny smutek.

—»Możecie państwo jeść: rzekła Barbara, zbiegając po schodach. Dziecię śpi jak herubinek. Jakże jest piękny z zamkniętemi oczyma! weszłam, zawołałam na niego. Nie przebudził się.

—»Niechaj śpi, rzekł pan Grandet, aż nazbyt wcześnie obudzi się, aby usłyszeć smutne wiadomości.

—»Cóż takiego? zapytała się Eugenia; kładąc w filiżankę dwa małe kawałeczki cukru. Starzec sam rąbał je, kiedy nie miał nic ważniejszego do czynienia.

Pani Grandet, nie śmiała zapytać się o to.

—»Jego ojciec zastrzelił się.

—»Mój stryj! rzekła Eugenia.

—»Biedny młodzieniec! zawołała pani Grandet.

—»Tak jest, biedny, nie ma ani szeląga, przydał stary.

—»I cóż! śpi jak gdyby był królem świata: rzekła Barbara łagodnym tonem.

Eugenia przestała jeść. Ścisnęło się jéj serce tak, jak ściska się, kiedy litość obudzona nieszczęściem ukochanéj osoby, powstaje w sercu kobiety. Biedna dziewczyna płakała.

—»Nie znałaś twojego stryja? rzekł do niéj ojciec: rzucając na nią to spojrzenie tygrysie, które rzuca zapewne na swoje stosy złota: dla czegóż płaczesz?

—»Ależ panie, rzekła służąca, któżby nie ulitował się nad tym biednym

http://rcin.org.pl

młodzieńcem, który śpi jak drewno, nie wiedząc co go spotkało?

—»Nie mówię do ciebie Barbaro, trzymaj język za zębami.

Eugenia nauczyła się w téj chwili, że kobieta która kocha, powinna taić swoje uczucia. Nie, odpowiedziała.

—»Dopóki nie powrócę, nic mu nie powicie. Muszę wytknąć rów na moich łąkach. Przyjdę o dwunastéj na drugie śniadanie, a po tém pogadam z moim synowcem o jego interessach.

»Ty zaś mościa panno Eugenio, jeżeli za tym elegancikiem płaczesz, dosyć już tego moję dziecię. Popłynie sobie precz, precz, do Indyów. Już go nie zobaczysz...

Stary wziął rękawiczki, włożył je ze zwyczajną spokojnością i wyszedł.

—»Ach! mamo, nie zniosę tego! zawołała Eugenia, sama pozostawszy z matką. Nigdy jeszcze tyle nie cierpiałam.

Pani Grandet widząc bladość córki, otworzyła okno dla wpuszczenia świeżego powietrza.

—»Lepiéj mi jest, rzekła po chwili.

—»To nadzwyczajne wzruszenie osoby na pozór zimnéj i spokojnéj, wywarło swój wpływ na panią Grandet; spojrzała na córkę z tém współuczuciem, które posiadają matki dla przedmiotu ich czułości i wszystko odgadła. Ale też nawet owe sławne dwie siostry, przywiązane jedna do drugiéj przez pomyłkę przyrodzenia, nie były tak ściśle połączone, jak Eugenia i jéj matka, zawsze siedzące razem w téj framudze okna, razem bywające w kościele i śpiące razem w jednem powietrzu.

—»Moje biedne dziecię, rzekła pani Grandet, opierając głowę Eugenii na swojém łonie.

Na te słowa, młoda dziewczyna podniosła głowę, spojrzeniem zapytała matkę, tajemnie zgłębiła jéj myśli i rzekła do niéj:

—»Po cóż wysyłać go do Indyów? Jeśli jest nieszczęśliwym, czyliż nie powinien pozostać u nas? Nie iestże naszym najbliższym krewnym.

—»Tak jest moje dziecię, to rzecz naturalna, ale twój ojciec ma swoje powody; powinniśmy szanować je.

Matka i córka usiadły w milczeniu i obie zaczęły pracować, ale przejęta wdzięcznością za najczulszą troskliwość matki, Eugenia pocałowała ją w rękę i rzekła:

—»Jakże jesteś dobrą! kochana mamo!

Słowa te rozjaśniły starą twarz matki, zwiędniałą skutkiem długich boleści.

—»Czy ci się podobał? zapytała się Eugenia.

Pani Grandet odpowiedziała uśmiechem, a po chwili milczenia rzekła po cichu.

—»Czyliżbyś go już kochała? To byłoby źle.

—»Źle! powtórzyła Eugenia, a to dla czego? Podoba ci się, podoba się Barbarze, dla czegóżby mnie się nie podobał? Słuchaj mamo, nakryjmy dla niego do śniadania.

Porzuciła robotę, jéj matka uczyniła toż samo, mówiąc. »Jesteś szalona!...

Ale sama usprawiedliwiała córkę, podzielając jéj płochość.

Eugenia zawołała na Barbarę.

—»Czegóż pannie jeszcze potrzeba?

http://rcin.org.pl

—»Barbaro, będziesz miała śmietankę na południe?

—»O! tak, będzie na południe, odpowiedziała stara służąca.

—»A więc zrób tęgą kawę; pan de Grassins mówił że robią tęgą kawę w Paryżu. Wsyp jéj wiele.

—»A zkądże jéj wezmę? — »Kup. —»A ieżeli mię spotka jegomość? —» Jest na łąkach. —»Biegnę. Ale pan Grondard spytał się czyli trzéj magowie zajechali do nąs, gdy mi przedawał świecę. Całe miasto wiedzieć będzie o naszych zbytkach.

—»Jeżeli twój ojciec dowie się o tém, rzekła pani Grandet, gotów jest nas obić.

—»A więc obije nas, klęcząc przyjmiemy jego razy.

Pani Grandet wzniosła oczy do nieba. Barbara wzięła czepek i wyszła,

Eugenia wyjęła świeże nakrycie i poszła po kilka gron winnych, które zawiesiła na sznurkach pod strychem. Lekko stąpała po korytarzu, żeby nie obudzić swego kuzyna i nie mogła wstrzymać się od posłuchania przy drzwiach, jak lekko oddycha przez sen.

»Nieszczęście czuwa wtenczas gdy on zasypia« rzekła do siebie. Potém, wzięła najzieleńsze liście winne, ułożyła winogrona tak troskliwie, jakby to mógł uczynić stary marszałek dworski i z tryumfem przyniosła je na stół. Zabrała z kuchni gruszki które jéj ojciec odliczył, ułożyła je w piramidę pomiędzy liśćmi, chodziła, wracała, skakała. Byłaby zrabowała cały dom ojcowski, ale miał klucze od wszystkiego. Barbara powróciła ze dwoma świeżemi jajami; na ich widok Eugenia ledwie że jéj nie uściskała.

—»Dzierżawca la Lande miał je w koszyku, prosiłam o nie i dał mi je, poczciwy stary.

Nareście po dwu godzinach starania, podczas których Eugenia po dwadzieścia razy wstała od roboty, aby zobaczyć jak się kawa gotuje i usłyszéć czyli kuzynek już wstaje, urządziła przecież śniadanie dosyć proste, ale które straszliwie sprzeciwiało się zastarzałym zwyczajom ich domu. Śniadanie drugie jedli zawsze stojący; każdy brał kawałek chleba z masłem, owoc i szklaneczkę wina. Widząc stół zastawiony przy kominku, krzesło przed nakryciem dla swego kuzyna, dwa talarze owoców, butelkę wina, chleb i cukier w cukierniczce, Eugenia drżeć zaczęła, gdyż dopiero wtedy pomyślała, co powie jéj ojciec, jeźli wejdzie w téj chwili. Dla tego też, często spoglądała na zegar, rachując, czyli jéj krewny będzie mógł zjeść śniadanie przed powrotem starego.

—»Bądź spokojna Eugenio! jeżeli twój ojciec przyjdzie, ja wszystko biorę na siebie.

—»Ach! moja dobra matko, zawołała, nie kochałam cię tyle, ile powinnam.

Karól nachodziwszy się nucąc po izbie, zszedł nareście. Szczęściem, była dopiero godzina jedenasta. Wystroił się z taką zalotnością, jak gdyby znajdował się w zamku swojéj Anusi. Wszedł z tą miną uprzejmą i wesołą, która tak dobrze przystoi młodzieży, a która smutną

http://rcin.org.pl

radość wznieciła w Eugenii. Za żart wziął zniszczenie swoich marzeń i wesoło przywitał stryjenkę.

—»Czyś dobrze spała kochana stryjenko? a ty moja kuzynko?..

—»Dobrze, ale pan?... rzekła pani Grandet.

—»Ja? najdoskonaléj.

—»Musisz bydź głodnym, siadaj panie do śniadania: rzekła Eugenia.

—»»Ale ja nie jadam śniadania przed południem, gdyż o tym czasie wstaję. Jednakże tak źle jadałem w oberżach, iż chętnie usłucham twojego zaproszenia. Oprócz tego...

To mówiąc, wyjął najpiękniejszy zegarek cylindrowy, jaki kiedykolwiek wyszedł z ręki Breguela.

—»Ale jest dopiero jedenasta! wstałem bardzo wcześnie.

—»Bardzo wcześnie! rzekła pani Grandet.

—»Tak jest; chciałem ułożyć moje rzeczy. Dobrze więc, chętnie zjadłbym co, naprzykład kawałek kapłona, kuropatwę.

—»Matko Boska! zawołała Barbara na te słowa.

»Kuropatwę, mówiła do siebie Eugenia i byłaby oddała za kuropatwę wszystko co posiada.

—»Usiądź, rzekła stryjenka.

Elegant usiadł na krześle, od niechcenia, jak ładna kobieta na sofie. Eugenia i pani Grandet przystawiły sobie krzesła i usiadły obok niego, przy kominku.

—»Czy zawsze tu siedzicie? rzekł Karol, uważając, że sala jeszcze jest brzydsza w dzień aniżeli przy świetle.

—»Zawsze, odpowiedziała Eugenia patrząc na niego, z wyłączeniem czasu winobrania. Wtedy pomagamy Barbarze i mieszkamy w dawnem opactwie.

—»Nigdy nie wychodzicie na przechadzkę?

—»Czasem, w niedzielę po nieszporach, kiedy jest pogoda: powiedziała pani Grandet: idziemy na most, albo też na łąki kiedy sprzątają siano.

—»Czy macie teatr?

— Co? teatr! zawołała pani Grandet, czy nie wiesz pan że to jest grzech śmiertelny, chodzić na teatr?

—»Proszę pana: rzekła Barbara, przynosząc jaje: dajemy ci kurczęta w skorupce.

—»O! świeże jaja: zawołał Karol, który jak ludzie nazwyczajeni do zbytku już nie myślał o kuropatwie. Ale to rzecz przedziwna. Czy jest masło... moje dziecię?

—»Co? masło! a więc nie będziesz miał placka: rzekła służąca.

—»Ale dajże masła Barbaro! zawołała Eugenia.

Młoda dziewczyna przypatrywała się kuzynowi, jak krajał kawałki chleba i umaczane jadł ze smakiem, podobnie jak czuła dziewczyna Paryzka przysłuchuje się melodrammie w której przezwycięża niewinność. To prawda, że Karol wychowany przez matkę, przyjemną kobietę, wydoskonalony przez modną damę, miał te ruchy zalotne, wytworne, wdzięczne, jak ruchy modnej kobiety. Politowanie i czułość młodéj dziewczyny, wpływ magnetyczny wywiera. Dla tego też, Karol widząc że jest przedmiotem troskliwości swojéj krewnéj i ciotki, nie mógł tego wpływu uni-

http://rcin.org.pl

knąć. Zwrócił na Eugenią jedno z tych spojrzeń jaśniejących dobrocią i pieszczotami, spojrzenie które się zdawało uśmiechać. Postrzegł, wpatrując się w nią, doskonałą harmonią rysów jéj czystéj twarzy, jéj niewinnéj postawy i czarownego blasku jéj oczu, w których błyszczały młode myśli miłosne, wolne od wszelkich żądz cielesnych.

—»Dalibóg, moja kochana kuzynko, gdybyś była w wielkiéj loży w teatrze Opery, ubrana modnie i pięknie, zaręczam ci że stryjenka wtedy miałaby słuszność, gdyżby nie jedna kobieta z twojéj przyczyny dopuściła się grzechu zazdrości.

Ten komplement przeniknął serce Eugenii i wzbudził w niém radośne bicie.

—»Ach! mój kuzynku! żartujesz sobie z biednéj parafianki.

—»Gdybyś mię znała kuzynko, wiedziałabyś iż nie cierpię szyderstwa. ostudza i osusza serce, obraża wszystkie uczucia...

I bardzo zręcznie połknął kawałeczek chleba z masłem.

—»Nie mam bez wątpienia tyle dowcipu, ile potrzeba do wyszydzania drugich, i to mi bardzo szkodzi. W Paryżu zabijają człowieka, mówiąc: »Ma dobre serce.» To znaczy: »Biedny chłopiec tak jest głupi jak nosorożec.» Ale ponieważ jestem bogaty i wiedzą że o dwanaście kroków, w pojedynku, zastrzelę przeciwnika, szanują mię przeto.

—»To co mówisz mój synowcze, oznacza dobre serce.

—»Masz piękny pierścionek, rzekła Eugenia, czy pozwolisz obejrzeć go?

Karól wyciągnął rękę i zdjął pierścionek. Eugenia zarumieniła się, dotykając końcem palców, różowych paznokci swego kuzynka.

—»Patrz moja matko, jak piękna robota.

—»Ach! jak tu dużo złota; rzekła Barbara, przynosząc kawę.

—»Cóż to jest? zapytał się Karól ze śmiechem, na widok podłużnego garczka, szarego po wierzchu, polewanego wewnątrz, osypanego popiołem; w głębi którego jeszcze wrzała kawa, świeżo odstawiona od ognia.

—»Jest to gotowana kawa, rzekła Barbara.

—»Ach! moja kochana stryjenko, przynajmniéj zostawię u was dobroczynny ślad mego pobytu. Nauczę was robić dobrą kawę, w maszynie Chapsala.

I usiłował wytłomaczyć im skład maszynki Chapsala.

—»O ho! tyle jest z tém do roboty, rzekła Barbara, iżby i spamiętać niepodobna. Nigdy nie będę gotować kawy takim sposobem; a któżby nazrzynał paszy dla krów przez ten czas?

—»Ja będę ją robić, rzekła Eugenia.

—»Dziecko! rzekła pani Grandet, spoglądając na córkę.

Na te słowa, przywodzące na pamięć zmartwienie, które już, już miało spaśdź na nieszczęśliwego młodzieńca, trzy kobiety umilkły i spojrzały na niego z politowaniem, które go zadziwiło.

—»Cóż ci to jest kuzynko?

—»Cyt! rzekła pani Grandet do Eugenii, już gotowéj do mówienia. Wiesz

http://rcin.org.pl

moja córko, że twój ojciec ma powiedzieć panu...

—»Królowi, rzekł młody Grandet.

—»Masz imie Król. Jest to piękne imie, rzekła Eugenia.

Nieszczęścia które przeczuwamy, zdarzają się prawie zawsze. Barbara, pani Grandet i Eugenia, myśląc ze drżeniem o powrocie starego bednarza, usłyszały uderzenie młotkiem, aż nazbyt im znajome.

—»Mój ojciec idzie, rzekła Eugenia.

Wzięła cukierniczkę, zostawiwszy parę kawałków cukru na obrusie. Barbara zabrała talerz z jajami. Pani Grandet zerwała się przestraszona. Ten paniczny przestrach, zadziwił Króla.

—»Cóż ci to jest? zapytał się.

—»Mój ojciec! rzekła Eugenia.

—»I cóż?

Pan Grandet wszedł, spojrzał na stół, na Króla i zobaczył wszystko.

—»Ha! ha! uraczyliście mego synowca. To dobrze. Kiedy kot biega po dachach, myszy tańcują po pokoju.

»Uraczyli! pomyślał Karol, nie mogąc dorozumieć się sposobu życia i obyczajów tego domu.

—»Podaj mi szklankę Barbaro, rzekł stary.

Eugenia przyniosła szklankę. Pan Grandet wyjął z kieszonki nożyk w róg oprawny, ukroił kawałek chleba, lekko pociągnął go masłem i jadł stojący. Tymczasem Król słodził kawę. Pan Grandet postrzegł kawałki cukru, spojrzał na żonę, która zbladła i wstała, postąpił o trzy kroki i rzekł jéj do ucha:— »Zkądżeś wzięła tyle cukru?

—»Barbara kupiła go na mieście.

Niepodobna wyobrazić sobie jak mocno obchodziła ta scena wszystkie trzy kobiety, gdyż Barbara wyszła z kuchni i zaglądała do sali, słuchając co z tego wyniknie.

Król skosztował kawy, była za gorzka dla niego; szukał cukru.

—»Czego chcesz mój synowcze? rzekł starzec.

—»Cukru.

—»Dolej mleka, odpowiedział stary, a kawa osłodzi się.

Na te słowa, Eugenia wzięła cukierniczkę i postawiła ją na stole. Zaiste, Paryżanka, która dla ułatwienia ucieczki kochankowi swojemu, słabemi rękami trzyma jedwabną drabinkę, nie mniejszą ma odwagę, jaką miała Eugenia, kładąc cukierniczkę na stole. Kochanek wynagrodzi swoją Paryżankę, która mu z dumą pokaże piękną rękę zranioną, i każdą żyłkę obleje łzami. Król zaś nigdy nie miał poznać, jak mocne wzruszenie rozdzierało serce jego kuzynki, uderzonéj spojrzeniami starego bednarza, jakby gromem.

—»Nie jesz? moja żono.

—»Biedna niewolnica zbliżyła się, miłosiernie ukroiła kawałeczek chleba i wzięła gruszkę.

Eugenia śmiało podała ojcu winogrona i rzekła: —»Pokosztujże moich winogron ojcze. Mój kuzynie, będziesz jadł nie prawdaż? Dla ciebie przyniosłam te piękne grona.

—»O! jeżli temu nie zaradzę, zrabują dla ciebie cały Saumur, mój synowcze. Gdy zjesz, pójdziemy razem do ogrodu, mam ci oznajmić dosyć smutne wiadomości.

http://rcin.org.pl

— Smutne mój stryju?... od śmierci mojéj biednéj matki:..

Na te słowa zmienił się głos jego.

»Żadnego nieszczęścia przewidywać nie mogę.

—»Mój synowcze, któż może znać zmartwienia, jakiemi podoba się Bogu nas dotknąć? rzekła do niego ciotka.

—»Ta! ta! ta! rzekł pan Grandet, wszystko jest głupstwem. Z żalem patrzę mój synowcze na twoje białe delikatne ręce. Takiemi to rękami zbierają się talary, mówił daléj, pokazując grube i szerokie ręce swoje. Nawykłeś kłaśdź nogi w skórę z któréj my robiemy pugilaresy na bilety bankowe. Źle to jest, źle!

—»Cóż to ma znaczyć mój stryju? ani słowa nie rozumiem.

—»Pójdź: rzekł pan Grandet, dopijając reszty wina ze szklanki i otwierając drzwi.

—»Móy kuzynie, miéj odwagę.

Na głos Eugenii, przestrach przeniknął Karola i poszedł niezmierną udręczony obawą, za swoim straszliwym stryjem.

(Dokończenie w następującym zeszycie.)

GROB WIRGILIUSZA.

(z Ryciną)

Wirgiliusz wyobraża poetyczną chwałę dawnego Rzymu, jak Cezar jego cnoty rycerskie, August zaś jego polityczny geniusz. Jest najczystszą i najlepiéj dochowaną ozdobą ziemi włoskiéj. Czas zniszczył kamienne postaci narodów, wyrobione na płaskorzeźbach łuków tryumfalnych, a nie zatarł ani jednego wiersza z Georgików i Eneidy, i bardziéj jeszcze niżeli jego przyjaciel Horacy, byłby mógł zawołać Wirgiliusz, gdyby jego skromność pozwalała na to: *Wzniosłem pomnik trwalszy od spiżu!* Imie jego pozostało drogiém i świętém, jak każdy wiersz jego. Najdumniejsze miasta włoskie, szczycą się, jeżeli mogą przypomnieć, że Wirgiliusz lubił je, że w nich mieszkał, że o nich wspomniał, a podania wskazują dotąd, że tak powiem, cechę jego kroków, na téj ziemi tylokrotnie zdeptanéj. W dwanaście wieków po jego zgonie, mieszkańcy Mantui, jego ojczyzny, ogłosili go jeszcze swoim panem feodalnym i wyobrażali jego postać na pieniądzach, herbach i sztandarach. Dziś nawet, ani jeden z tych wspaniałych pomników, które posiadają Włochy, nie odbiera tyle hołdów ile prosty zbiór głazów, gdzie może nigdy nie spoczywały popioły Wirgiliusza, ale który historya nazwała grobem tego poety.

Na drodze z Neapolu do Puccoli, wznosi się góra, z któréj wierzchołka, przyrodzenie wydaje się tak wspaniałém i miłém, że to szczęśliwe miejsce nazwano w języku greckim Pauzylippa, *wytchnienie smutku*, jak gdyby niepodobieństwem było, ażeby na widok tylu murów, najgłębsza boleść nie wstrzymała się na chwilę. Rzymianie, skutkiem téj niecierpliwéj śmiałości, która im nie pozwalała ulegać przeszkodom, przebili na wskroś podstawę góry Pauzylippy i zrobili tamtędy drogę. Wysoka na pięćdziesiąt stóp, szeroka na trzydzieści, ta

http://rcin.org.pl

droga podziemna, wybrukowana lawą Wezuwiusza, długa jest przeszło na pięćset sążni. W miesiącu Lutym i Październiku, słońce pokazując się przy jedném z jéj końców, wygląda tylko jak gwiazda, a żywe jego promienie przechodzą jak świetna linia przez otwory wykute w sklepieniu. Tak więc, zgromadziły się tam piękne twory sztuki człowieka i przepych przyrodzenia; jednakże, myśl wędrownika nie zwraca się najprzód ani do jednych ani do drugich: szuka przedewszystkiem skromnych zwalisk stojących na wierzchu groty, szuka grobu Wirgila. Nigdzie może nie objawia się tak silnie, potęga wielkiego imienia.

Pomnik ten, ledwie wzniesiony na piętnaście stóp, nigdy nie odznaczał się śmiałością budowy i wytworem; wykonanie jego jest bez powabów, bez charakteru. Jego żałobne przeznaczenie, poznać jedynie można z tych małych niszów, gdzie Rzymianie umieszczali urny grobowe, a które przez podobieństwo do gniazd przygotowanych dla gołębi, w gołębnikach, nazwano *Columbarium*. Schody niezgrabnie wykute pośród warzywnego ogrodu, prowadzą do pomnika, którego ciężka podstawa zwolna zagłębiła się w ziemię; jego zaś ściany znikły, pod powikłanemi odnogami pasożytnych roślin. Taki jest widok tego pomnika, w oczach człowieka, który nań patrzy bez wywołania wspomnień; ale samo imie Wirgiliusza rozlewa niewymowną poezyą, słodycz i harmonią.

W tym to skromnym grobie, spoczął po zgonie ten wieszcz tak skromny, iż uciekał przed oklaskami pospólstwa! W tém to ustroniu wiejskiem i prostem, słusznie umieszczono grób tego, który miał *chatę za kolebkę*, *a pasterzy za towarzyszów dzieciństwa*, i z rozkoszą odrywał się od dworu Augusta, aby mieszkać na wsi! Z upodobaniem patrzymy na żywą roślinność krzaków, traw i ziół otaczających ostatnie schronienie śpiewaka natury; lubimy słuchać brzęczenia pszczoły błąkającéj się po kwiatach, około ucha śpiewaka Georgików; lubimy patrzéć na ten dąb zielony, który nad tym spokojnym obrazem, roztacza swoje cieniste konary i dziękujemy Augustowi, że zrozumiał duszę poety i rozkazał, aby wieszcza popioły spoczywały w téj okolicy Neapolu, co była zawsze obecna jego myśli i droga jego sercu. »Jest, rzekła pani Stael, tyle spokojności i przepychu w widoku okazującym się ze szczytu góry Pauzylippy, iż mniemaćby można, że sam Wirgili obrał go za miejsce grobu swojego.

Duch krytyki i rozstrząsania, chciał pozbawić górę Pauzylippy jéj prawa do chwały, ale nie mógł przemódz téj potrzeby, jakiéj doznawały wszystkie wieki, aby okazać jak uwielbiają Wirgiliusza. Potomność potrzebowała posiadać grób Wirgiliusza i byłaby wynalazła inny, gdyby tego nie było. Jakoż, nie dla zbijania powątpiewań, wspomniemy o *ex votach* które wieki przyniosły na ten ołtarz góry Pauzylippy. Jeden historyk rzymski z czwartego wieku, napisał, że popioły Wirgiliusza przeniesione z Neapolu na rozkaz Augusta, złożone były na drodze do Puccoli przed dru-

http://rcin.org.pl

gim kamieniem żołnierskim (*). Jnni kronikarze z późniejszéj epoki, opowiadają, iż widzieli urnę w któréj spoczywały popioły poety. Jest oprócz tego, symboliczny pomnik uwielbienia, odradzający się wiecznie: każden wiek przesyłał go następnemu wiekowi. Laur zasadzony przypadkiem, albo też za szczęśliwém natchnieniem jakiego nieznanego pielgrzyma, wyrosł jednego razu przy grobie Wirgiliusza. Odtąd, ten laur strzeżony powszechném uwielbieniem, nigdy nie zwiądł. Jlekroć zaczynał usychać, odradzał się znowu, jak to bajeczne drzewo które Wirgili opiewał. Tę pobożną zamianę dokonywali ludzie częstokroć nieznani, ale czasem też i znamienici. Kilkanaście pokoleń lauru już upłynęło, gdy w środku XIV wieku, Petrark prowadzony przez Roberta Króla Neapolu, tkliwy ten hołd złożył geniuszowi. W dwa wieki potém, ten laur żył jeszcze kiedy ojciec sławnego xięcia d'Alby, surowy i ponury wice-król Neapolu, Piotr z Toledu uniżył dumę swoją przed wspomnieniem poety. Dziś przy grobie tym, rośnie laur piękny i młody, zasadzony ręką drogą naukowéj Francyi, ręką Kazimierza Delavigne. Liście lauru Wirgiliusza są szanowną pamiątką, jak liście płaczącéj wierzby która ocienia grób Napoleona. Nareście, cała Europa od osiemnastu wieków oddaje hołd przy grobie Wirgiliusza. Same nawet zabobony gminne, których przedmiotem jest jaskinia Pauzylippy, mocno zajmują: i nikt nie zechce wywodzić z błędu, Neapolitańczyka, który powiada że dawna grota pod górą Wirgiliusza, wykopana była przez czarodziejstwa poety.

Na przeciw grobu Wirgiliusza, na nadbrzeżu Mardżynella, stoi w kościele Serwitów, wspaniały grobowiec innego łacińskiego poety, wsławionego w wieku szesnastym. Tam są nagromadzone posągi, allegoryczne figury; Trytony, Satyry w płaskorzeźbie, mieszają się z postaciami Roztropności, Mądrości, Grammatyki i Retoryki. Rzeźba, malarstwo i poezya, hojną złożyły tam daninę, a przecież, dopiero po długiém wpatrywaniu się z melancholiczném wzruszeniem w obnażone głazy grobu Wirgiliusza, podróżny rzuci roztargnione spojrzenie na przepych grobowca Sannazara.

(*) Kamienie te służyły do oznaczenia odległości drogi.

http://rcin.org.pl

EUGENIA GRANDET
CZYLI
CÓRKA ŁAKOMCY.

Powieść Balzaka.

(Ciąg dalszy.)

Eugenia, jéj matka i Barbara, poszły do kuchni podniecane niezwalczoną ciekawością i chcąc przynajmniéj oczyma ścigać dwóch aktorow sceny, mającéj odbyć się w małym wilgotnym ogródku.

Pan Grandet z razu szedł milcząc, obok swego synowca; nie troszczył się o to jakim sposobem objawi mu śmierć jego ojca, ale doznawał niejakiego politowania, wiedząc, że Karol jest bez groszą i szukał wyrazów, któremiby osłodził wyrażenie téj okrutnéj prawdy.

»*Postradałeś twojego ojca*» nic to jeszcze nie znaczyło. Ojcowie umierają wprzódy niżeli ich dzieci.

Ale »*jesteś bez majątku, bez szeląga!*» Wszystkie nieszczęścia świata zebrały się w tych słowach.

I po trzeci raz zawracał się środkową ulicą. W wielkich okolicznościach życia, dusza nasza mocno przywiązuje się do miejsc, gdzie radość albo nieszczęście na nas spada. Dla tego też Karól przypatrywał się z szczególniejszą uwagą, bukszpanom tego ogródka, pożółkłym liściom, uszkodzonym murom, dziwacznemu kształtowi drzew owocowych: szczegóły te miały na zawsze pozostać w jego pamięci, wiecznie złączone z tą najważniejszą godziną jego życia.

—»Jest dziś ciepło i pogoda, rzekł pan Grandet, wciągając w siebie powietrze.

—»Tak jest mój wuju, lecz...

—»Otóż mój chłopcze, rzekł stryj, mam bardzo złe wiadomości dla ciebie. Twój ojciec jest bardzo źle....

—»Dla czegoż tu jestem? rzekł Karol: Barbaro! zawołał, biegnijpo konie na pocztę!

»Znajdę w mieście jaki koczyk lub bryczkę: przydał obracając się do stryja, który stał nieporuszony.

—»Konie i powóz na nic się nie przydadzą, odpowiedział Grandet.

Karol oniemiał, zbladł i wlepił oczy w pana Grandet.

—»Tak jest mój synowcze, zgadujesz. Umarł. Ale to nic. Jest jeszcze coś ważniejszego. Zastrzelił się.»

—»Mój ociec!

—»Tak jest. Ale to nic. Dzienniki piszą o tém, jak gdyby to do nich należało. Czytaj.

I pan Grandet podał mu nieszczęśliwą gazetę.

W téj chwili, biedny młodzieniec, jeszcze dziecię, jeszcze w tym wieku w którym uczucia objawiają się z prostotą, zalał się łzami.

»To dobrze, rzekł do siebie Grandet. Przestraszał mię wzrok jego. Płacze, nic mu nie będzie.

—»To jeszcze nic, mój biedny synowcze, odpowiedział Grandet, nie wiedząc czyli go Karól słucha, to jeszcze nic, pocieszysz się; ale...

—»Nigdy! nigdy! mój ojciec! mój ojciec!

—»Stracił wszystko, nie masz ani grosza.

http://rcin.org.pl

—»Cóż mię to obchodzi! Gdzież jest mój ojciec! mój ojciec!

Płacze i łkania Karola okropnie rozlegały się między murami ogródka. Trzy kobiety przejęte litością, płakały: łzy bowiem tak są zaraźliwe jak śmiech. Karól nie słuchając dalszéj mowy stryja, wybiegł na podwórze, trafił na schody, wszedł do swego pokoju i rzucił się na łóżko, twarzą do posłania, aby mógł płakać swobodnie, zdala od swoich krewnych.

—»Niechaj przejdzie pierwsza ulewa: rzekł pan Grandet, wracając do sali, gdzie Eugenia i jéj matka szybko zasiadły na swoich miejscach i pracowały drżącą ręką, wprzódy otarłszy sobie oczy.

Eugenia zadrżała, słysząc że Pan Grandet mówi tym sposobem o najświętszéj ze wszystkich boleści, i w téj chwili zaczęła sądzić swojego ojca. Łkania Karóla, chociaż przytłumione, rozlegały się po całym domu, a jego ciężkie skargi, jak gdyby z pod ziemi wychodzące, ustały dopiero wieczorem, osłabnąwszy stopniami.

—»Biedny młodzieniec! rzekła pani Grandet.

Nieszczęśliwe wykrzyknięcie! Stary spojrzał na żonę, na Eugenią, i na cukierniczkę, a przypominając sobie nieszczęśliwe śniadanie przygotowane dla biednego kuzyna, stanął w środku sali.

—»Ha! spodziewam się: rzekł ze zwyczajną spokojnością: że zaprzestaniesz téj szczodrobliwości mościa pani Grandet. Nie po to daję ci MOJE pieniądze! abyś pasła cukrem tego młodego trzpiota.

—»Moja matka wcale temu nie winna, rzekła Eugenia: ja to sama...

—»Czy dla tego że jesteś pełnoletnia, rzekł Grandet przerywając córce, chciałabyś sprzeciwiać się mojéj woli? Pamiętaj Eugenio!...

Mój ojcze, synowi twego brata nic nie powinno brakować.

—»Ta! ta! ta! rzekł bednarz coraz to odmiennym tonem, to syn mojego ojca, to znowu mój siostrzeniec.. Karól niczém nie jest dla nas, nie ma ani szeląga; jego ojciec zbankrutował. A kiedy ten elegancik wypłacze się do woli, musi wynieść się z mojego domu, gdyż nie chcę, aby go do góry nogami przewrócił.

—»Cóż to się znaczy zbankrutować? zapytała się Eugenia.

—»Zbankrutować! odpowiedział ojciec; jest to popełnić najchaniebniéjszy czyn, jaki tylko może zniesławić człowieka.

—»Musi to bydź wielki grzech, rzekła pani Grandet i mój brat będzie potępionym.

Pan Grandet ruszył na to ramionami.

Bankructwo, Eugenio jest kradzieżą, którą na nieszczęście prawo bierze pod swoją opiekę. Ludzie powierzyli swoje towary Wilhelmowi Grandet, ufając jego honorowi i poczciwości, on wziął wszystko i nic im nie zostawił, prócz oczu do opłakiwania ich straty. Rozbójnik na publicznym gościńcu, lepszy jest od bankruta: uderza na ciebie, możesz się bronić, naraża swoje życie, ale bankrut...

http://rcin.org.pl

Krótko mówiąc, Karól jest okryty niesławą.

Te wyrazy odbiły się w szlachetném sercu Eugenii, i spadły na nie całym ciężarem swoim. Nie znała ani maxym świata, ani jego podstępnych rozumowań, ani jego sofizmatów; miała tylko proste wyobrażenie rzetelności. Uwierzyła więc w okropne wytłómaczenie bankructwa, które ojciec z umysłu uczynił, nie wskazując różnicy między bankructwem mimowolném, a wyrachowaném.

—»Jakże to mój ojcze, nie mogłeś odwrócić tego nieszczęścia?

—»Mój brat nie zasięgał mojéj rady. Oprócz tego, winien jest trzy miliony.

—»Cóż to jest milion mój ojcze? zapytała się w prostocie swojéj, jak dziecię, które mniema, że natychmiast znajdzie to czego pragnie.

—»Trzy miliony! rzekł Grandet, jest to trzy miliony sztuk dwudziesto soldowych, a trzeba pięciu sztuk dwudziesto soldowych, aby było pięć franków.

—»Mój Boże! mój Boże! zawołała Eugenia, jakimże sposobem stryj mój posiadał trzy miliony? Czy jest druga osoba we Francyi, która może posiadać trzy miliony?

Stary Grandet głaskał sobie podbrodek i uśmiechnął się na to zapytanie.

—»Ale cóż się stanie z moim kuzynem Karólem?

—»Popłynie do Jndyów i tam stosownie do życzenia swego ojca będzie starał się zrobić majątek.

—»A czy ma pieniądze na tę podróż?

—»Zapłacę za niego... aż do Nantes. Eugenia uścisnęła ojca za szyję.

—»Ach mój ojcze! mój kochany ojcze! jakżeś jest dobry!

To uściśnięcie zawstydziło pana Grandet, albowiem sumienie udręczało go trochę.

—»Czy wiele potrzeba czasu na zebranie miliona? zapytała się.

—»Tam do kata! rzekł bednarz: wiesz co jest luidor, trzeba pięćdziesiąt tysięcy luidorów na jeden milion.

—»Mamo, będziemy odprawiać nowennę za niego.

—»Myślałam o tém, rzekła matka.

—»Tak, tak, próżny wydatek. Czy mniemacie, że tu są tysiące i sta?

W tej chwili, jęk jeszcze bardziéj przytłumiony i żałośniejszy niż inne, rozległ się po całym domu i strachem przeniknął Eugenią, i pannę Grandet.

—»Barbaro, rzekł pan Grandet, pójdź zobacz, czyli się nie zabija.

—»A wy obie: mówił daléj obracając się do żony i córki, które na jego słowa zbladły z przestrachu: nie róbcie głupstw. Wychodzę; zajrzę do tych Holendrów, co przyjechali po nasze winobranie: a potém pogadam o tém wszystkiem z panem Cruchot.

Wyszedł. Gdy zamknął drzwi za sobą, córka i matka odetchnęły swobodniéj. Aż dotąd, Eugenia nigdy nie doznawała przymusu i trwogi na widok ojca, ale od kilku godzin, zmieniły się jéj uczucia i wyobrażenia.

—»Mamo! wieleż luidorów kosztuje beczka wina?

—»Twój ojciec przedaje swoje po sto piędziesiąt, aż do dwóchset fran-

http://rcin.org.pl

ków za beczkę, czasem nawet bierze i trzysta jak słyszałem.

—»A więc gdy zbierze tysiąc czterysta beczek...

—»Dalibóg moje dziecię, nie wiem ile to czyni; twój ojciec nigdy mi o tém nie powiada.

—»Papa musi bydź bogaty.

—»Może. Ale pan Cruchot powiadał mi, że przed dwoma laty kupił Froidfond. Musiał na to wydać pieniądze.

Eugenia nie mogąc nic więcéj zrozumieć, zaprzestała rachować.

—»Ani mię widział biedaczek: rzekła Barbara. Leży na łóżku jak ciołak, a płacze jak Magdalena, aż się człowiekowi na płacz zbierą. Cóż się stało temu paniczowi?

—»Pójdźmy pocieszyć go mamo, a jeźli zapukają, wrócimy na dół.

Pani Grandet nie mogła oprzeć się naleganiu córki. Eugenia była szczytna w téj chwili! była kobietą!

Obie, z bijącém sercem weszły do pokoju Karóla. — Drzwi były otwarte. Biedny młodzieniec nic nie widział i nie słyszał. Zalany łzami, wzdychał i jęczał.

—»Jak on kocha swego ojca, rzekła Eugenia po cichu.

W dźwięku jéj głosu nie podobna było nie poznać nadziei serca, mimo wiedzy przejętego miłością. Dla tego téż, pani Grandet rzuciła na nią macierzyńskie spojrzenie i rzekła po cichu: »Strzeż się córko, mogłabyś go kochać.

— Kochać! ach! gdybyś wiedziała matko co rzekł mój ojciec.

Karol obrócił się, postrzegł swoją stryjenkę i kuzynkę.

— »Postradałem mojego ojca! mojego biednego ojca! Gdyby przynajmniéj był mi powierzył tajemnicę swego nieszczęścia, bylibyśmy razem pracowali aby temu zaradzić. O Boże! mój dobry ojciec! Spodziewałem się że go wkrótce zobaczę i zdaje mi się żem go dość obojętnie pożegnał.

Łkania przerwały mu głos.

—»Będziemy błagać Boga za niego, rzekła pani Grandet. Poddaj się woli nieba.

—»Mój kuzynie, rzekła Eugenia, nabierz odwagi, twoja strata niczem nie da się wynagrodzić. A więc teraz pamiętaj o ocaleniu twego honoru.

Z tym instynktem, z tym dowcipem, właściwym samym tylko kobietom kiedy chcą nas pocieszać, Eugenia usiłowała rozerwać boleść swego kuzyna, zwracając jego myśli na siebie samego.

— Mego honoru! zawołał młody człowiek zrywając się z łóżka; usiadł na jego krawędzi i założył ręce.

—»Ha! to prawda! Mój ojciec zbankrutował.

Krzyknął przeraźliwie i twarz rękami zasłonił.

—»Zostawcie mię, zostawcie mię! O Boże, o Boże! przebacz mojemu ojcu, musiał wiele wycierpieć.

Okropną i zajmującą razem była ta boleść młodego człowieka, boleść młoda, prawdziwa, bez rachuby, bez wstecznéj myśli. Proste serce Eugenii i pani Grandet zrozumiało ją. Kiedy Karol skinął na nich aby go

http://rcin.org.pl

zostawiły samemu sobie. Obie kobiety zeszły do sali dolnéj, usiadły w milczeniu przy oknie i pracowały przez godzinę, nie wyrzekłszy ani słowa. Eugenia rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na rzeczy Karola, to spojrzenie młodych dziewczyn które wszystko widzą w mgnieniu oka, postrzegła ładne drobiazgi, jego toaletę, nożyczki, brzytwy wysadzane złotem, a te płody zbytku widziane pośród boleści, uczyniły Karola jeszcze bardziéj zajmującym, przez sprzeczność może. Żadne jeszcze tak ważne zdarzenie, żaden widok tak dramatyczny, nie uderzył wyobraźni tych dwóch kobiet, żyjących ciągle w spokojności i ciszy.

—»Mamo! rzekła Eugenia, nosić będziemy żałobę po moim stryju.

—»Twój ojciec wyrzecze o tém: odpowiedziała pani Grandet.

I znowu milczały. Pierwszém żądaniem téj dziewczyny godnéj uwielbienia, było to, aby podzielać mogła żałobę swego kuzyna.

Około czwartéj, silne zapukanie do bramy zabrzmiało aż w sercu pani Grandet.

—»Cóż się stało twojemu ojcu? rzekła córka.

— Winnicarz wszedł uradowany. Zdjął rękawiczki, zacierał ręce tak mocno, iż byłby sobie zdarł skórę, gdyby trochę miał delikatniejszą. Przechadzał się, spoglądał jaka jest pogoda. Nareście wyrwała mu się jego tajemnica.

—Moja żono: rzekł, nie jąkając się: złapałem ich wszystkich; przedałem nasze wina. Holendrzy i Belgowie mieli odjechać dziś rano, przechadzałem się przed ich oberżą, niby to gawroniąc się. Ten faktor co go to znasz przyszedł do mnie. Właściciele wszystkich winnic, trzymają się w cenie, i chcą czekać. Nie przeszkadzałem temu. Nasz Holender był w rozpaczy. Postrzegłem to. Zrobiliśmy interes. Kupił naszé winobranie po sto talarów za beczkę, w połowie za gotowiznę. Zapłacił mi złotem. Wexle podpisał i oto jest sześć luidorów dla ciebie. Za trzy miesiące cena win spadnie.

Te ostatnie słowa wyrzekł tonem spokojnym, ale tak szyderczym, iż mieszkańcy Saumur zebrani w téj chwili na placu i przerażeni tą wiadomością że pan Grandet przedał wina swoje, byliby na nie zadrżeli. Strach paniczny, byłby zniżył cenę win, przynajmniéj o połowę.

—Zebrałeś tysiąc beczek wina tego roku mój ojcze? rzekła Eugenia.

—»Tak jest *Córuniu.*

To słowo, było oznaką najżywszéj radości u starego bednarza.

—»To czyni trzykroć stotysięcy sztuk dwudziesto soldowych?

—»Tak jest mościa panno Grandet.

—»A więc mój ojcze, możesz dopomódz Królowi.

Podziwienie, gniew i przerażenie Baltazara, gdy ujrzał na ścianie *Mane, Tekel, Phares*, niczém są może, porównane z gniewem pana Grandet, który już nie myśląc o synowcu, znalazł go w sercu i rachubach córki.

—»A to co! odląd ten smyk zawitał do mojego domu, wszystko tu idzie

http://rcin.org.pl

na przewrot. Szafujecie cukrem, wyprawiacie biesiady! Ja tego nie chcę. Cóż to? czy nie wiem jak mam rządzić domem? niczyich rad nie potrzebuję, ani rad mojéj córki, ani kogobądź w świecie. Uczynię dla mojego synowca to, co mi się podoba, a wam nic do tego. Ty zaś Eugenio rzekł: obracając się do niéj, ani mi wspominaj o nim, gdyż inaczéj, natychmiast wyprawię cię do opactwa. Gdzież jest ten chłopak? gdzie się podział? Czy wyszedł?

—»Nie! mój przyjacielu, odpowiedziała pani Grandet.

—»Cóż więc robi?

—»Płacze śmierci ojca, odpowiedziała Eugenia:

Pan Grandet umilkł, spojrzał na córkę, i on był trochę ojcem.

Obszedłszy ze dwa razy salę, udał się do swego gabinetu, aby się zastanowić nad kupnem papierów publicznych.

Dwa tysiące mórg lasu, przyniosło mu półtora miliona franków. Otóż, przyłączając do téj summy, pieniądze za topole, dochody z roku przeszłego. i bieżącego, oprócz stu tysięcy talarów za wino dziś przedane, mógł zebrać dwa miliony cztery kroć sto tysięcy franków. Dwadzieścia od sta które w krótkim czasie, może zyskać na papierach publicznych, stojących po 80 franków i pół, kusiły go mocno. Obliczył tę spekulacyą na gazecie donoszącéj o śmierci jego brata, i słuchając bez najmniejszego wzruszenia jęków Karóla.

Barbara zapukała do drzwi, wołając go na obiad. Przez całą drogę, mówił do siebie: »Ponieważ będę miał ośm od sta procentu, wdam się w ten interes. Za dwa lata, będę miał cztery miliony, które w ważnych luidorach dostanę z Paryża.

—»No, no, gdzież jest mój synowiec?

—»Powiada, że nie będzie jadł, rzekła Barbara, to nie zdrowo.

—»Więcéj zejdzie ze stołu, odpowiedział jéj pan. Nie będzie zawsze płakał; głód wypędza wilka z kniei.

Przy obiedzie wszyscy milczeli.

—»Mój przyjacielu, rzekła pani Grandet, zdjąwszy obrusek, musiemy wziąść żałobę.

—»Dalibóg mościa pani Grandet, nie wiesz co wymyśleć dla wydawania pieniędzy. Żałoba jest w sercu, nie zaś w sukni.

—»Ale żałoba po bracie jest nieuchronną, a kościół wskazuje nam...

—»Sprawże sobie żałobę, za twoje sześć luidorów. Dacie mi krepę, to będzie dosyć dla mnie.

Eugenia wzniosła oczy ku niebu ani słowa nie mówiąc. Po raz pierwszy w życiu, szlachetne jéj uczucia przytłumione i uśpione do tego czasu, ale niespodzianie zbudzone, cierpiały za każdém słowem ojcowskim.

Ten wieczór był z pozoru podobny do tysiąca wieczorów ich jednostajnego życia, ale zapewne był najokropniejszym. Eugenia szyła nie podnosząc głowy. Pani Grandet robiła rękawiczki na drutach. Pan Grandet obracał wielkie palce przez cztery godziny, pogrążony w rachubach, których wypadek miał nazajutrz cały Saumur zadziwić.

http://rcin.org.pl

Tego dnia nikt ich nie odwiedził. Całe miasto mówiło o przedaży win pana Grandet, o bankructwie jego brata i o przybyciu synowca. Wszyscy majętniejsi właściciele winnic zebrali się u państwa des Grassins i piorunowali na chytrego bednarza.

Barbara przędła i sam tylko, odgłos jéj kółka dawał się słyszeć, pośród tych zakopconych murów.

—»Nie szarzamy naszych języków, rzekła, pokazując białe i duże zęby.

—»Nie trzeba niczego szarzać, odpowiedział Grandet wychodząc z zadumania.

Już marzył sobie, że za trzy lata będzie miał czternaście milionów i pływał na tém wielkiem morzu złota.

—»Pójdźmy spać. Od was wszystkich powiem dobranoc mojemu siostrzeńcowi i zobaczę czyli czego nie potrzebuje.

Pani Grandet pozostała w sieni pierwszego piętra, aby usłyszeć rozmowę Karola ze starym. Eugenia śmielsza, weszła na dwa schody.

I cóż mój synowcze, jesteś smutny? Płacz, to rzecz naturalna. Ojciec jest ojcem. Ale trzeba cierpliwie znosić nieszczęście. Zajmuję się tobą podczas gdy ty płaczesz. Widzisz, jestem dobrym krewnym. No, miéj odwagę. Czy chcesz napić się wina?

Wino nic nie kosztuje w Saumur. Tam ofiarują wino, jak w Jndyach filiżankę herbaty.

—»Ależ, rzekł Pan Grandet, mówiąc daléj, nie masz świecy. To źle! to źle! trzeba jasno widzieć wszystko co się robi.

Pan Grandet zbliżył się do kominka.

—»Otóż jest! zawołał: świeca woskowa! Skądże jéj u licha dostano? *Hultajki* porąbałyby podłogę, aby ugotować jaja dla tego chłopaka.

Słysząc te słowa, matka i córka wróciły do swoich izdebek i schowały się w łóżko, tak prędko jak spłoszone myszy, które uciekają do nory.

—»Pani Grandet, masz więc skarb? rzekł stary, wracając do żoninéj izby.

—»Moja córko, odpowiedziała biedna matka zmienionym głosem, odmawiam teraz modlitwę, zaczekaj.

Grandet pomruknął na tę odpowiedź.

Skąpcy nie wierzą w przyszłe życie. Teraźniejszość wszystkiém jest dla nich. Ta uwaga, rzuca straszliwą światłość na teraźniejszą epokę, w któréj bardziéj niż w jakiejkolwiek innéj, pieniądze panują nad prawami, polityką i obyczajami.

—»Pani Grandet, czy skończyłaś? rzekł stary bednarz.

—»Mój przyjacielu, modlę się za ciebie.

—»To dobrze. Dobra noc. Jutro rano pogadamy.

Biedna kobieta zasnęła, jak student który nie nauczywszy się lekcyi, boi się aby nazajutrz rano nie ujrzał zagniewanéj twarzy nauczyciela.

W chwili, gdy przejęta strachem obwinęła się w kołdrę, aby nic nie słyszeć, Eugenia przyszła do niéj rozebrana, boso i pocałowała ją w czoło.

http://rcin.org.pl

—»Dobra matko! jutro rano powiem mu że to ja.

—»Nie; posłałby cię do Noyers. Zostaw to mnie; przecież mię nie zjé.

—»Czy słyszysz mamo?

—»Co?

—»On płacze zawsze.

—»Pójdź spać córko, zaziębisz się.

Tak przeszedł dzień uroczysty, który wpłynął na całe życie bogatéj i biedněj dziedziczki. Sen jéj nie był już odtąd tak spokojnym i czystym jak dotąd.

Dosyć często, niektóre czyny życia ludzkiego, wydają się, mówiąc dosłownie, niepodobne do prawdy, chociaż prawdziwe. Ale może to pochodzi ztąd, iż prawie zawsze, na nasze postanowienia za jednym rzutem woli uskutecznione, zaniedbujemy rzucać psychologiczne światło i nie tłómaczymy sobie powodów w tajemnicy powziętych, które nas skłoniły. Może należałoby rozebrać namiętność Eugenii, aż do jéj najdelikatniejszych nerwów: zdawało się bowiem, rzekliby jacy szydercy, iż choroba wywarła wpływ na jéj całe istnienie. Wielu, woli raczéj zaprzeczyć rozwiązania, aniżeli mierzyć siłę ogniw i węzłów łączących tajemnie jeden czyn z drugim, w moralnym porządku. Tu więc, przeszłość Eugenii posłuży dla dostrzegaczów natury ludzkiéj, za rękojmię naiwności w jéj nierozwadze i niespodzianości w wywnętrzeniach jéj duszy. Im spokojniejsze było jéj życie, tém żywiéj rozwinęła się ta litość niewieścia, to najdelikatniejsze uczucie między wszystkiemi. Dla tego też zmieszana wypadkami dnia tego, obudziła się kilkakrotnie, aby słuchać swego kuzyna, którego jęki od wczoraj brzmiały w jéj sercu. Już to widziała go konającego ze zmartwienia, już to śniło się jéj że umiera z głodu.

Nad ranem usłyszała okropne wykrzyknienie; ubrała się natychmiast i przybiegła po cichu do pokoju Karola. Drzwi były otwarte, świeca dopaliła się do szczętu, jéj kuzyn, zwalczony utrudzeniem, spał nie rozebrany w krześle. Eugenia mogła napłakać się do woli i uwielbiać tę twarz, młodą i piękną, oblaną łzami jeszcze nie oschłemi, z nadbrzmiałemi oczyma od płaczu. Karól przeczuł obecność Eugenii, otworzył powieki i uyrzał jéj rozrzewnienie.

—»Przebacz mi kuzynko: rzekł, nie wiedząc oczywiście, która jest godzina i gdzie się znajduje.

—»Są tu serca, które cię słyszą mój kuzynie. Rozumiałyśmy że czego potrzebujesz; powinienbyś się położyć, nie dobrze jest że tak siedzisz.

—»To prawda.

—»A więc bądź zdrów.

Wybiegła zawstydzona i szczęśliwa razem. Sama tylko niewinność może bydź tak śmiałą. Świadoma cnota, tak dobrze rachować umie jak występek. Eugenia nie drżała przy swoim kuzynie, a ledwie mogła ustać na nogach, powróciwszy do swojego pokoju. Jéj prostota ustała nagle; rozumowała, czyniła sobie tysiące wymówek.

—»Jakież wyobrażenie poweźmie o mnie? mniemać będzie że go kocham.

http://rcin.org.pl

A właśnie najbardziéj pragnęła aby tak mniemał; kto szczerze kocha ten przeczuwa i wie, że miłość pobudza do wzajemności. Jakże ważném było zdarzeniem dla téj samotnéj dziewczyny, to ukradkowe wnijście do młodego mężczyzny! Czyliż nie ma czynów i myśli, które w miłości, dla pewnych dusz są tém samém, co najświętsze zaręczyny?

Za godzinę weszła do matki i ubrała ją podług swego zwyczaju; potém usiadły przy oknie i czekały na pana Grandet, z tém utęsknieniem, które zimném przeszywa serce, albo je zapala, ściska lub rozrzewnia, stosownie do czyjego charakteru. Uczucie to jest tak naturalne, że nawet zwierzęta domowe doznają go, krzycząc gdy są lekko karane, a milcząc, kiedy się zranią przypadkiem. Stary zszedł na dół, ale z roztargnieniem mówił do żony, uściskał Eugenią, zasiadł przy stole i nie myślał, jak się zdawało, o wczorajszych pogróżkach.

—»Co robi mój synowiec? nie wiele z nim jest subiekcyi.

—»Śpi, odpowiedziała Barbara.

—»A więc nie potrzebuje świecy woskowéj, rzekł bednarz tonem szyderczym.

—»Ta cierpka wesołość, uderzyła Panią Grandet, która bardzo uważnie spoglądała na męża.

Grandet wziął kapelusz, rękawiczki i rzekł: —»Przejdę się po mieście dla spotkania się z braćmi Cruchot.

—»Eugenio, twój ojciec ma niezawodnie coś na myśli.

Jakoż, nie wiele sypiając, pan Grandet obracał połowę nocy na te przygotowawcze wyrachowania, które jego widokom, postrzeżeniom i planom, nadawały tę zadziwiającą trafność, i zapewniały im to ciągłe powodzenie, któremu dziwił się cały Saumur. Każda władza ludzka, składa się z cierpliwości i czasu. Ludzie potężni chcą i czuwają. Życie skąpca, jest ciągłém wykonywaniem téj władzy oddanéj na usługę *osobistości*. Jakoż, opiera się na dwóch tylko uczuciach, na miłości własnéj i na interesie, ale że interes jest w pewnym względzie dobrze zrozumianą miłością własną, są to więc dwie części téjże saméj całości, to jest samolubstwa. Ztąd może pochodzi, iż łakomcy zręcznie wystawieni na scenie, wzbudzają niezmierną ciekawość. Każdy, chociaż jednym wątkiem łączy się z niemi; któryż jest człowiek bez żądzy, a towarzyskie żądze jakże się zaspokoić mogą bez pieniędzy?

Pan Grandet miał w rzeczy saméj coś na myśli; podług wyrażenia żony swojéj. Przez noc, wyobrażenia jego inny wzięły kierunek; ztąd pochodziła jego łaskawość.

Ułożył plan, aby naśmiać się z Paryżanów, aby ich udręczyć przewłoką, nadzieją, oczekiwaniem; chciał bawić się ich kosztem, on, stary bednarz z głębi swojéj zaciemnionéj izdebki w miasteczku Saumur. Zajął się synowcem. Chciał ocalić honor zmarłego brata, tak, aby na to nie wydał szeląga ani on, ani też jego synowiec. Na trzy lata umieści swoje kapitały; nie będzie miał nic do

http://rcin.org.pl

czynienia prócz zarządu dobrami. Złośliwa jego czynność potrzebowała żywiołu; znalazł go w bankructwie swego brata. Chciał umęczyć Paryżanów na korzyść Karóla i tanim kosztem okazać się dobrym bratem. Honor jego familii tak mały miał udział w tém planie, iż dobrą jego chęć powinniśmy porównać z potrzebą, jakiéj doznają gracze, aby dobrze prowadzono grę, przy któréj są tylko prostemi świadkami.

Bracia Cruchot byli mu potrzebni, a nie chciał ich wołać na umyślnie; postanowił sprowadzić ich do siebie i tego jeszcze wieczora zacząć ułożoną komedyą, aby nazajutrz, nie wydawszy ani szeląga, zostać przedmiotem uwielbień całego miasta.

IV.

Obietnice Skąpcy, Przyrzeczenia Miłości.

Pod czas niebytności ojca, Eugenia była tak szczęśliwa, iż mogła otwarcie zająć się ukochanym kuzynem, i bez obawy wylać na niego skarby litości swojéj. Trzy albo cztery razy, Eugenia poszła słuchać przy drzwiach, jak oddycha jéj krewny, czy śpi, czyli się budzi; a gdy wstał, najtroskliwiéj zajęła się śniadaniem. Znowu lekko pobiegła na stare schody i słuchała co robi Karól. Czyliż się ubiera? czy jeszcze płacze? Przyszła aż do drzwi.

—»Mój kuzynie!

—»Móia kuzynko!

—»Gdzie chcesz jeść śniadanie? tu, czy w twoim pokoju?

—»Gdzie zechcesz.

—»Jak się masz?

—»Moja kuzynko, wstydzę się tego, ale jestem głodny.

Ta rozmowa przeze-drzwi, była dla Eugenii ustępem romansu.

—»Dobrze więc, przyniesiemy ci śniadanie do twojego pokoju, aby nie sprzeciwiać się mojemu ojcu.

A potém, zeszła do kuchni, tak lekka jak ptaszek.

—»Barbaro, poprzątnij jego pokój.

Te schody, po których tak często wchodzili i schodzili, gdzie każdy odgłos słychać było, w oczach Eugenii straciły znamię starości; jaśniały, mówiły, były młode jak ona, jak jéj miłość. Nareście jéj matka, dobra i wyrozumiała matka, dopomagała dziwactwom jéj miłości, a gdy poprzątnięto pokój Karóla, obie poszły do niego. Czyliż miłosierdzie chrześciańskie, nie nakazuje przynosić mu pociechy?..

Karól Grandet był więc przedmiotem najczulszych i najżyczliwszych starań. Jego rozbolałe serce, żywo czuło słodycz téj delikatnéj przyjaźni i sympatyi, którą umiały rozwinąć te dwie dusze, zawsze pod przymusem jęczące, a teraz na chwilę wolne w krainie cierpień, w téj ich zwyczajnéj sferze. Upoważniona związkiem pokrewieństwa, Eugenia zaczęła układać bieliznę i rozmaite przedmioty stroju, które jéj krewny przywiózł i mogła do woli napatrzyć się tym zbytkowym fraszkom, ze złota i srebra. Wtedy Karól, ujrzał

http://rcin.org.pl

nie bez mocnego rozrzewnienia, wspaniałomyślne zajęcie stryjenki i kuzynki swojéj: tyle bowiem znał towarzystwo paryzkie, iż wiedział, że w położeniu swojém byłby tam znalazł same tylko obojętne i zimne serca. Eugenia objawiła mu się w całym blasku swojéj piękności. Od téj chwili, uwielbiał tę niewinność obyczajów, z któréj był śmiał się dnia wczorajszego. Dla tego też, kiedy Eugenia wzięła z rąk Barbary czarkę fajansową, pełną kawy ze śmietanką, aby mu ją podać z całą prostotą przywiązania i rzuciła na niego życzliwe spojrzenie, łzy stanęły mu w oczach. Pocałował jéj rękę.

—»I cóż ci jest? zapytała się.

—»Są to łzy wdzięczności: odpowiedział.

Eugenia nagle obróciła się i wzięła świecę stojącą na kominku.

— Barbaro, weź ją rzekła.

Gdy spojrzała na swego kuzyna, była jeszcze zapłoniona, ale przynajmniéj jéj oczy nie mogły kłamać i malowały nadzwyczajną radość, która napełniała jéj serce. Ale ich oczy wyrażały toż samo uczucie, jak ich dusze zlały się w myśl tęż samą. Przyszłość należała do nich. To słodkie wzruszenie, tem rozkoszniejsze było dla Karola pośród jego zmartwień tak ciężkich, iż się go wcale nie spodziewał.

Zapukanie do drzwi, przywołało obie kobiety na ich miejsca, i szczęściem zdołały zasiąść już do roboty, kiedy wszedł pan Grandet. Gdyby je spotkał w sieni, byłby nowe powziął podejrzenia. Po śniadaniu, przyszedł leśniczy któremu dotąd nie dano przyobiecanéj nagrody; przyniósł zająca, kuropatwy ubite w zwierzyńcu, węgorza i dwa szczupaki należne od młynarzy.

—»Ho! ho! biedny Cornoiller, jak się masz? czy to dobre do jedzenia?

—»Tak jest mój kochany panie, ta zwierzyna ma dopiero dwa dni.

—»Barbaro, weź, będzie to na obiad; zaprosiłem braci Cruchot. Barbara wytrzyszczyła oczy i spojrzała zdumiona.

—»Dobrze, rzekła, ale skądże wezmę słoniny i korzeni?

—»Żono, rzekł pan Grandet, daj sześć franków Barbarze i przypomnij mi abym przyniósł z piwnicy dobrego wina.

—»A więc, panie Grandet: mówił gajowy, przygotowawszy się na przemowę o swoją płacę: panie Grandet....

—»Ta, ta, ta! rzekł skąpiec, wiem co chcesz mówić; jesteś dobry człowiek; zobaczymy; nie mam teraz czasu.

»Moja żono, daj mu pięć franków. I wyszedł.

Biedna kobieta bardzo była szczęśliwa, że za jedenaście franków kupiła sobie pokój. Wiedziała, że Grandet cicho siedział przez kilkanaście dni, tym sposobem wyłudziwszy od niéj pieniądze.

—»Masz Cornoiller, rzekła, dając mu dziesięć franków. Kiedyś wynadgrodzimy twoje usługi.

Cornoiller nie miał co do powiedzenia i wyszedł.

—»Pani, rzekła Barbara, potrzeba mi tylko trzech franków, schowaj resztę.

http://rcin.org.pl

—»Zrób dobry obiad Barbaro, mój kuzyn znijdzie na dół.

Oczywiście dzieje się tu coś nadzwyczajnego, rzekła pani Grandet. Dziś po raz trzeci od czasu jak poszłam za mąż, twój ojciec daje obiad.

Około czwartéj, w chwili, gdy Eugenia i jego matka nakryły stół na sześć osób, a stary Grandet przyniósł z piwnicy kilka butelek tego wybornego wina, które z takiém zamiłowaniem chowają mieszkańcy miast prowincyonalnych, Karól wszedł do sali. Był blady, jego gesta, postawa, spojrzenia i dźwięk głosu, miały smutek pełen przyjemności. Nie udawał boleści, cierpiał w rzeczy saméj, a posępność rozlana po jego twarzy, nadawała mu tę postawę zajmującą, która tak się podoba kobietom. Eugenia pokochała go jeszcze bardziéj. Może też nieszczęście zbliżyło go do niéj. Karól nie był już tym bogatym i pięknym młodzieńcem, umieszczonym w sferze nie przystępnéj dla niéj; nie, był to krewny, pogrążony w najokropniejszéj nędzy, a nędza sprowadza równość. Kobieta, ma to wspólnego z aniołem iż cierpiące istoty do niéj należą. Karól i Eugenia zrozumieli się i rozmawiali z sobą, ale oczyma tylko; albowiem biedny podupadły elegant usiadł w kącie, milczący, spokojny i dumny, ale słodkie i pieszczotliwe spojrzenie jego kuzynki, padało na niego, zmuszało go do porzucenia smutnych myśli i do puszczania się z nią w pole nadziei i przyszłości, gdzie się z nim błąkać lubiła.

W téj chwili, miasto Saumur bardziéj zajęte było tém że Grandet zaprosił na obiad braci Cruchot, aniżeli wczorajszą jego przedażą, która była występkiem zdrady przeciw wszystkim właścicielom winnic. Gdyby chytry starzec był dał obiad w téj saméj myśli, w jakiéj Alcybiades obciął ogon psu swojemu, byłby może wielkim człowiekiem, ale daleko wyższy od miasta z którego szydził sobie bez ustanku, wcale nie zważał na jego zdanie. Panowie des Grassins dowiedziawszy się o samobójstwie i bankructwie pana Grandet z Paryża, umyślili dziś wieczór odwiedzić starego skąpca, pod pozorem ubolewania nad tém nieszczęściem, a w gruncie rzeczy, aby dowiedzieć się jakie pobudki mogły go skłonić w tych okolicznościach do zaproszenia panów Cruchot.

O saméj piątéj, pan prezes de Bonfons i jego stryj notaryusz, przyszli wystrojeni od stóp do głowy. Biesiadnicy zasiedli do stołu i zaczęli zajadać. Pan Grandet był poważnym, Karol milczał, toż samo Eugenia i jéj matka, tak, iż w rzeczy saméj ten obiad był podobny do żałobnéj stypy.

Gdy wstali od stołu, Karol rzekł do stryjenki i stryja. — »Pozwólcie mi odejść. Muszę zająć się długą i smutną korrespondencyą.

—»Dobrze mój synowcze.

Po jego odejściu, gdy już stary mógł mniemać iż go nie usłyszy Karol i musi bydź zajęty pisaniem, spojrzał na żonę.

—»Pani Grandet, rzekł, nie zrozumiesz tego o czém będziemy gadać,

http://rcin.org.pl

już jest w pół do osméj, możesz pójść do twojego kącika. Dobranoc córko.

Uściskał Eugenią i obie kobiety wyszły.

Wtedy zaczęła się scena, w któréj ojciec Grandet, bardziéj niżeli w jakiejkolwiek chwili życia swojego, rozwinął tę zręczność nabytą w stosunkach z ludźmi, która nie raz zjednała mu nazwisko starego psa, ze strony tych, co za bardzo doświadczyli ostrych jego zębów. Pomyślne okoliczności, gdyby go były umieściły w wyższych stanach społeczeństwa, gdyby był w zawodzie dyplomatycznym użył talentu swojego, ani wątpić iż byłby z chwałą dla siebie użytecznym swemu krajowi. A może też, za obrębem miasta Saumur, byłby niczém. Częstokroć, umysły ludzkie, podobnież jak zwierzęta, stają się niepłodnemi, przeniesione w inny klimat.

—»Mo... mo... mo... ści pre... pre... pre... zydencie, mó... mó... wisz więc że ba... ba... ba... bankructwo.

Udawane od tak dawna jąkanie się starego, a które miano za naturalne, podobnież jak i głuchotę, na którą narzekał w czas słotny, tak było nieznośne owego wieczora dla panów Cruchot, iż słuchając go krzywili się mimo wiedzy, jak gdyby chcieli dokończyć wyrazów, w których wikłał się z własnéj woli.

Tu może wypadałoby opowiedzieć historyą jąkania i głuchoty pana Grandet.

Nikt w Anjou nie słyszał i nie mówił lepiéj od chytrego bednarza, dyalektem francuzko-anżewińskim. Niegdyś, mimo całéj jego przebiegłości, oszukał go pewien żyd, który podczas umawiania się o interess, przykładał rękę do ucha, nakształt trąbki, pod pozorem lepszego słyszenia, i tak się jąkał, iż Grandet przez ludzkość poddawał żydowi wyrazy jakich on szukał; dopełniał rozumowań tegoż żyda; mówił tak, jak powinien był mówić ten przeklęty żyd, był nareście żydem nie zaś Grandetem, a z téj dziwacznéj walki wyszedł, zrobiwszy targ, jedyny w ciągu całego życia, na który mógł się użalać. Lecz jeźli stracił na pieniądzach, zyskał dobrą naukę, z któréj później odniósł owoce. Nareście, starzec błogosławił żyda, który go nauczył jak można przyprowadzić do niecierpliwości swego przeciwnika handlowego, a zatrudniając go wyrażeniem własnéj myśli, ciągle ukrywać ją przed nim.

A żaden interes bardziéj nie potrzebował użycia głuchoty, jąkania i najniezrozumialszego gadulstwa, któremi Grandet otaczał swoje wyobrażenia. Najprzód, nie chciał brać odpowiedzialności za swoje myśli. Powtóre, chciał zostać panem swojego słowa i utaić prawdziwe zamiary.

—»Panie de Bon... Bon... Bonfons.

Drugi raz w przeciągu trzech lat, Grandet nazwał go panem de Bonfons. Prezydent mógł mniemać że go wybiera za zięcia.

—»Mó... mó... mó... wi... wi... łeś więc, że ba... ba... ba... bankructwo mo... mo... mogą w pewnych przypadkach w... s... s... trzy... mać.

—»Same trybunały handlowe. To się zdarza co dzień, rzekł pan

http://rcin.org.pl

C. de Bonfons chwytając wyobrażenie ojca Grandet, albo też rozumiejąc że je zgaduje. Posłuchaj mię.

—»Słucham: odpowiedział stary z pokorą, przybierając złośliwą minę dziecięcią.

—»Gdy człowiek znakomity i poważny, jak był naprzykład brat pana w Paryżu...

—»Mój brat? tak jest.

—»Zagrożony jest upadłością.

—»U... u... u... pa... pa... dłością?

—»Tak jest, i gdy mu zagraża bankructwo, trybunał handlowy pod którego sądem zostaje, (uważaj dobrze) ma prawo za wyrokiem nakazać likwidacyą jego domu handlowego. Likwidacya nie jest bankructwem. Czy rozumiesz? Bankrutując człowiek jest shańbionym, lecz likwidując pozostaje uczciwym.

—»To... jest wca... le co... innego, jeżeli to... to... nie... nie... ko... ko... ko... sztuje drożéj.

—»Lecz likwidacya może jeszcze nastąpić, rzekł prezydent, bez pomocy trybunału handlowego. Albowiem, rzekł prezydent zażywając tabakę: jakimże sposobem ogłasza się bankructwo?

—»Tak jest, nigdy o tém nie myślałem: odpowiedział Grandet.

—»Najprzód, mówił daléj prezydent, przez złożenie bilansu w trybunale handlowym, co uskutecznia sam negocyant, albo jego plenipotent. Powtóre, na żądanie wierzycieli. A więc, jeżeli negocyant nie składa bilansu, jeżeli żaden z wierzycieli nie ogłasza go bankrutem, cóż ztąd wynika?

—»Tak jest, cóż wynika?

Wtedy familia zmarłego, jego dzieci, albo też sam negocyant jeźli nie umarł, albo jego przyjaciele, jeźli się ukrywa, likwidują. Może chcesz likwidować interessa twojego brata, zapytał się prezydent?

—»Ach Grandet! zawołał notaryusz, to byłoby dobrze. Jest poczciwość w głębi naszych prowincyi. Gdybyś ocalił twoje nazwisko, gdyż to jest twoje nazwisko, byłbyś człowiekiem...

—»Szczytnym! rzekł prezydent, przerywając stryjowi:

—»Zapewne, odpowiedział stary; mój br... br.. brat na... na... na... zy.. wał się Grandet, jak ja... To... to... rzecz pe... pe... wna. Nie... nie mówię nie. I... i... i.. na... na wszelkich przypadek, ta li... li... kwidacya może się przydać synowcowi mojemu...

Nie będziemy nudzić czytelników dalszém powtarzaniem nieznośnego jąkania się ojca Grandet; to tylko powiemy, iż tym sposobem wymógł na panach Cruchot, iż mu podali myśl, aby wierzycieli nieboszczyka wstrzymać od ogłoszenia upadłości; a nawet prezydent chciał pojechać do Paryża i zająć się tym interessem, gdy notaryusz przerwał mu to oświadczenie, mówiąc.

—»Niechże pan Grandet wyłoży jakie ma zamiary. Idzie o ważne zlecenie. Nasz przyjaciel powinien oznaczyć je należycie.

Pukanie do bramy, oznajmiło przybycie panów des Grassins, i przerwało tę naradę. Notaryusz ucieszył się z tego. Pan Grandet już na niego pa-

http://rcin.org.pl

trzał z ukosa, ale roztropny notaryusz uważył najprzód, iż nie przystoi prezesowi trybunału pierwszéj instancyi, jechać do Paryża, układać się z wierzycielami i dopomagać działaniu przeciwnemu prawom ścisłéj rzetelności. A przy tém Grandet nie powiedział wyraźnie, iż chce zapłacić chociażby najmniejszą cząstkę długów swojego brata. Lękał się więc, aby jego synowiec nie rozważnie nie w mieszał się w ten interes; korzystając z przybycia państwa des Grassins, wziął prezesa pod rękę i odprowadził go na bok.

—»Dosyć już okazałeś twoją gorliwość rzekł do niego. Zaślepia cię chęć pozyskania ręki Eugenii. Do licha! trzeba mieć rozum, i ostrożnie postępować. Teraz ja będę kierował łódką, ty mi tylko dopomagaj. Czyliż wypada, żebyś narażał twoją prezososką powagę, w takiem....

Nie dokończył; usłyszał bowiem co pan des Grassins mówił do starego bednarza, podając mu rękę.

—»Grandet, wiemy jak okropne nieszczęście spotkało twoją familię; upadek domu Wilhelma Grandet i śmierć twojego brata; przychodzimy wynurzyć ile nas obchodzi to zdarzenie.

—»Jedno tylko zdarzyło się nieszczęście: rzekł notaryusz, przerywając bankierowi: to jest śmierć pana Grandet junior. I ta jeszcze nie byłaby nastąpiła, gdyby był zażądał pomocy braterskiéj. Nasz stary przyjaciel dbając o honor swojego imienia, chce zlikwidować długi domu Grandet z Paryża. Mój synowiec zaś, aby go ochronić od prawniczych kłopotów, oświadczył iż gotów jest natychmiast pojechać do Paryża i ułożyć się z wierzycielami.

Wyrazy te, potwierdzone postawą bednarza, który sobie głaskał podbrodek, zadziwiły panów des Grassins, którzy przez całą drogę wygadywali na łakomstwo pana Grandet i prawie oskarżali go o bratobójstwo.

—»Ha! wiedziałem o tém, zawołał bankier spoglądając na żonę. Cóżem ci mówił przed chwilą, pani des Grassins? Grandet jest najuczciwszym z ludzi i nie ścierpi żeby jego imie poniosło chociażby najlżejszą skazę. Pieniądze bez honoru są ciężarem. My ludzie na prowincyi dbamy o honor.

—»Dobrze, bardzo dobrze czynisz. Jestem stary żołnierz, nie umiem ukrywać myśli moich: mówię jawnie. To rzecz bardzo szczytna.

—»W... więc sz... szczytna rzecz ba... bardzo dr... ogo ko... kosztuje: odpowiedział stary, gdy bankier serdecznie ściskał go za rękę.

—»Ale z przeproszeniem pana prezesa, mój kochany Grandet, jest to interess wyłącznie handlowy i potrzebuje doświadczonego negocyanta. Czyliż nie trzeba znać się na rachunkach, zwrotach, wyrachowaniu procentów? M..n jechać do Paryża dla moich osobistych interessów, a razem mógłbym podjąć się....

—»Zo.. zo.. ba.. ba.. czemy... jak się bę.. dzie mo.. mo.. żna ułożyć... i... i... nie... bio... biorąc zo.. o.. bo.. bo.. wiązania... rzekł Grandet: gdyż pan prezydent żąda zwrotu kosztów podróży.

http://rcin.org.pl

Te ostatnie słowa powiedział bez zająknienia.

—»Ach! rzekła pani des Grassins: pobyt w Paryżu jest uciechą; zapłaciłabym chętnie za to, abym tam pojechać mogła.

I skinęła na męża, zachęcając go aby wydarł to polecenie swoim przeciwnikom, a potém szydercze spojrzenie rzuciła na Cruchotów, którzy miłosierną minę przybrali.

Pan Grandet schwycił bankiera za guzik od sukni i zaciągnął go do kąta.

—»Więcéj mieć będę zaufania w tobie niżeli w prezydencie: rzekł, a do tego są jeszcze inne interessa. Chcę kupić papierów procentowych za kilka tysięcy franków, ale tylko po 80 za sto. Te papiery spadają na końcu miesiąca. Znasz się na tém, nie prawdaż?

—»Tak jest. Chciałbyś więc kupić za kilkanaście tysięcy?

—»Nie wielkie rzeczy, na początek. Cicho. Chcę aby nikt o tém nie wiedział. Zawrzyj kupno podług kursu jaki będzie przy końcu miesiąca, ale nic o tém nie mów Cruchotom. Gniewaliby się może. Ponieważ jedziesz do Paryża, zobaczymy zarazem jak tam rzeczy stoją z moim biednym synowcem.

—»Zgoda; przyjadę jutro pocztą, rzekł głośno pan des Grassins i przyjdę po ostateczne instrukcye... O któréj godzinie?

—»O piątéj przed obiadem, odpowiedział Grandet, zacierając ręce. Oba stronnictwa jeszcze przez czas niejaki pozostały na placu bitwy. Pan des Grassins, rzekł po chwili, trącając w ramię pana Grandet:

—»Bodajto mieć dobrych krewnych, jakim ty jesteś!

—»Tak jest, tak; lubo tego nie widać, jestem dobrym krewnym, kochałem brata i dowiodę tego, jeźli to nie będzie...

—»Pożegnamy się, rzekł bankier, i szczęściem przerwał mu wprzódy nim dokończył mówienia. Ponieważ przyśpieszam mój wyjazd, uporządkować muszę niektóre interessa.

—»Dobrze, dobrze. I ja także z powodu tego o czém wiesz, zamknę się w sali narad, jak to powiada *prezes Cruchot*.

—»Do licha! już nie jestem panem de Bonfons, smutnie pomyślał prezes, a twarz jego przybrała wyraz melancholii sądowniczéj, jaką miewają sędziowie znudzeni rozprawami patronów.

Naczelnicy dwóch współzawodniczych rodzin odeszli razem. Ani jeden ani drugi, już nie myślał o zdradzie któréj dopuścił się Grandet, względem właścicieli winnic i wyrozumiewali się wzajem, lecz nadaremnie, aby poznać jakie są istotne zamiary starego.

—»Czy pojdziesz pan z nami razem do pani d'Orsonval? rzekł Grassins do notaryusza.

—»Pójdziemy późniéj, odpowiedział prezes.

—»A więc do zobaczenia panowie, rzekła pani des Grassins.

—»I cóż mój stryju! zawołał prezes gdy już się oddalili przeciwnicy,

http://rcin.org.pl

zacząłem bydź prezydentem de Bonfons, a na końcu byłem po prostu Cruchot.

—»Uważałem, iż ci to było przykro, ale wiatr pomyślny sprzyjał Grassinom. Jesteś głupi z całym twoim rozumem; niechaj zawierzają *zobaczemy* pana Grandet, a ty siedź sobie cicho. Mimo tego, Eugenia będzie twoją.

Za chwilę już trzy domy wiedziały o wspaniałomyślném postanowieniu pana Grandet. W całem mieście była mowa o jego braterskiém poświęceniu się. Każdy przebaczył mu przedaż wina uskutecznioną wbrew umowie zaprzysiężonéj między właścicielami, uwielbiał jego honor, jego wspaniałomyślność, tém bardziéj, iż rozumiano, że się na nią nie zdobędzie nigdy. Jest to cechą charakteru francuzów, iż się nagle unoszą gniewem lub uwielbieniem, bez najmniejszéj rozwagi.

Ojciec Grandet zamknął bramę i zawołał Barbary.

—»Nie wypuszczaj psa i nie spij; będziemy razem pracowali. O jedenastéj przyjedzie tu Cornoilles z wózkiem z Froidfonds. Słuchaj, jak przyjedzie, niechaj nie puka, wprowadź go natychmiast. Przepisy policyi zabraniają hałasu w nocy. Oprócz tego, niechaj obcy ludzie nie wiedzą że wyruszę w drogę.

To rzekłszy, Grandet poszedł do swego laboratoryum, a Barbara słyszała iż cóś poruszał, podnosił, chodził, ale ostrożnie. Nie chciał obudzić ani żony, ani córki, a zwłaszcza zwracać uwagi synowca, którego przeklinał, postrzegając światło w jego pokoju.

Pośród nocy, Eugenia zajęta swoim krewnym, nie spała jeszcze i zdawało jéj się, że usłyszała narzekanie umierającego. Któż mógł bydź tym umierającym, jeźli nie Karól? Gdy go opuściła, był tak blady, tak smutny. Może się zabił!... Nagle zarzuciła na siebie szlafrok i chciała wyjśdź. Mocne światło w sieni wzbudziło w niéj obawę czy się nie pali; ale uspokoiła się, słysząc stąpanie Barbary i rżenie koni.

—»Czyliżby mój ojciec wywiózł mego kuzyna?« rzekła do siebie ostrożnie, odchylając drzwi wychodzące na korytarz.

W tém, jéj spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem ojca. Chociaż było obojętne i spokojne, dreszcz ją przejął. Grandet i Barbara, nieśli na grubym drągu baryłkę, podobną do tych, które ojciec Grandet robił dla zabawki w swoim warsztacie.

—»Matko Boska! jakże to jest ciężkie! rzekła Barbara po cichu.

—»Co za szkoda że to są tylko miedziane grosze, odpowiedział stary. Strzeż się abyś nie trąciła o lichtarz.

Scenę tę oświecała jedna tylko świeca, stojąca między dwoma prętami poręczy.

—»Cornoilles, rzekł pan Grandet do leśniczego, czy wziąłeś pistolety?

—»Nie panie. A to po co? czegóż się pan boi o swoje miedziane grosze?

—»O nic! odpowiedział ojciec Grandet.

http://rcin.org.pl

—»Oprócz tego, pojedziemy prędko. Dzierżawcy wybrali dla pana jak najlepsze konie.

—»To dobrze, to dobrze. Nie powiedziałeś im dokąd pojadę?

—»Nie wiedziałem o tém.

—»Dobrze, dobrze; a powóz czy jest mocny?

—»O! mój panie, uniósłby trzy razy tyle. I cóż takiego cięży w tych baryłkach?

—»Trzymaj, rzekła Barbara, waży przeszło dwieście funtów.

—»Bądź cicho, Barbaro! Powiesz mojéj żonie żem pojechał na wieś. Wrócę na obiad. Jedź żwawo Cornoilles, musimy stanąć w Angers przed dziewiątą.

Powóz wyruszył. Barbara zaryglowała bramę i położyła się z siniakiem na ramieniu, a nikt w mieście nie domyślał się ani wyjazdu pana Grandet ani jego przyczyny. Ostrożność starego, dochodziła do najwyższego stopnia. Nigdy nie widziano ani szeląga w tym domu pełnym złota. Dowiedziawszy się rano, z gadania w porcie, że złoto podskoczyło w górę, z powodu uzbrajania wielu okrętów w Nantes i że spekulanci przyjechali po nie do Angers, bednarz pożyczył koni od swoich dzierżawców, przedał złoto i dostał jego wartość w assygnacyi na bank paryzki.

»Mój ojciec wyjeżdża, rzekła Eugenia, usłyszawszy jego rozporządzenia.

Na powrót wszystko ucichło w domu, a daleki turkot powozu już się nie rozlegał w uśpioném mieście. Wtenczas Eugenia usłyszała w swojém sercu, wprzódy jeszcze nim doszedł do jéj ucha, jęk, który przedarł się przez mury i pochodził z pokoju Karola. Promień światła przedzierał się przez szparę i horyzontalnie przecinał poręcze starych schodów.

—»Cierpi, rzekła wstępując o dwa schody.

Drugi jęk sprowadził ją aż na drugie piętro. Drzwi były tylko przymknięte, popchnęła je. Karól spał z głową zwieszoną za poręcz starego krzesła, jego ręka upuściła pióro i prawie dotykała się ziemi. Przerywany oddech młodzieńca przestraszył Eugenią. Weszła śpiesznie.

Musiał bardzo utrudzić się; rzekła do siebie, spoglądając na dziesiątek zapieczętowanych listów, których podpisy przeczytała. *Do pana Roberta siodlarza, Do pana Buisson krawca.*

»Zapewne tak urządził wszystkie interessa swoje, iż wkrótce będzie mógł opuścić Francyą, pomyślała.

Potem wzrok jéj padł na dwa nie zapieczętowane listy. Początek jednego »*Moja droga Anusiu*« nabawił ją zawrotu głowy. Jéj serce gwałtownie bić zaczęło, nogi obsuwały się na podłogę.

»Jego droga Anusia! kocha, jest kochany! Już nie mam nadziei! Cóż do niéj pisze?

Ta myśl przeniknęła jéj umysł i serce. Wyrazy te, moja droga Anusiu, czytała wszędzie, nawet na podłodze, ognistemi literami napisane.

»Już mam wyrzec się jego miłości! Nie, nie będę czytać tego listu. Powinnam odejść. A gdybym go przeczytała?..

http://rcin.org.pl

Spojrzała na Karola, lekko wzięła go za głowę, oparła ją na poręczy krzesła, a Karól nie przebudził się, podobnież jak dziecię, które nawet przez sen zna jeszcze matkę i bez obudzenia się przyjmuje jéj starania. Podniosła wiszącą jego rękę i jak matka lekko pocałowała go we włosy.

»*Droga Anusiu!*« szatan powtarzał jéj te dwa wyrazy.

—»Wiem, iż to jest źle, ale przeczytam list jego, rzekła.

Powstała na nią jéj szlachetna poczciwość. Eugenia odwróciła głowę. Pierwszy raz w życiu, złe i dobre walczyło w jéj sercu. Aż dotąd nie popełniła żadnego czynu, któregoby rumienić się mogła. Namiętność i ciekawość wzięła górę. Za każdym wyrazem jéj serce rozżalało się co raz bardziéj, a zapał ożywiający ją pod czas tego czytania, uczynił tém draźliwszemi pierwsze rozkosze miłości.

»Moja droga Anusiu! nic nas rozłączyć nie mogło, chyba tylko nieszczęście które mię obarcza, a którego żadna roztropność ludzka przewidzieć nie zdołała. Mój ojciec zabił się. Straciłem cały majątek. Zostałem sierotą, w tych latach, kiedy jeszcze z powodu wychowania mojego, mogę uchodzić za dziecię; a przecież powinienem jak mężczyzna podźwignąć się z przepaści w którą wpadłem. Tę część nocy obróciłem na obrachowanie się. Jeżeli chcę opuścić Francyą jako człowiek uczciwy, o czém nie ma wątpliwości, nie zostanie mi ani sto franków, dla pro-

bowania szczęścia w Indyach albo w Ameryce. Tak jest, biedna Anno, pójdę szukać majątku w krajach najbardziéj zabójczych. Pod takiem niebem nie zawodnie i prędko zrobić go można, jak mi powiadano. Nie mogę zostać w Paryżu. Ani moja dusza, ani moje oblicze nie zdołają znosić poniżenia, oziębłości i wzgardy, czekającéj syna bankruta. O Boże! dłużnym bydź trzy miliony!... Pierwszego tygodnia zginąłbym w pojedynku. Dla tego, nie powrócę do Paryża. Twoja nawet miłość, najczulsza i najbardziéj poświęcająca się, jaka kiedykolwiek uszlachetniała serce człowieka, przyciągnąć mię tam nie zdoła. Niestety! moja ulubiona, nie mam tyle pieniędzy abym pojechał tam gdzie ty jesteś, dał i otrzymał ostatnie pocałowanie, pocałowanie, z któregobym wyczerpał siłę potrzebną do spełnienia mego zamiaru.

—»Biedny Karólu! rzekła Eugenia obcierając oczy. Dobrze zrobiłam, żem przeczytała ten list. Mam złoto, dam je.

Czytała daléj.

»Nie myślałem jeszcze o nieszczęściach nędzy. Jeżeli zbiorę sto luidorów na opłacenie przeprawy na okręcie, nie będę miał ani grosza na kupienie ładunku towarów. Ale nie, nie będę miał ani stu luidorów, ani nawet jednego. Zobaczę ile mi pozostanie, dopiero po opłaceniu moich długów w Paryżu. Jeżeli nic mieć nie będę, pójdę spokojnie do Nantes, wsiądę na okręt jako prosty majtek i zacznę tak, jak zaczęli ci ludzie z silnym charakterem, którzy nie mie-

http://rcin.org.pl

li ani szeląga, a bogaci wrócili z Indyów. Od rana obojętnie wpatruję się w przyszłość moją. Jest okropniejsza dla mnie niżeli dla kogokolwiek bądź, dla mnie, którego matka pieściła, którego kochał najlepszy z ojców i który wstępując w świat, poznałem ciebie i miłość twoją Anno! Zrywałem same kwiaty życia. Szczęście to nie mogło trwać długo. A jednakże droga Anusiu, więcéj mam odwagi, niżeli można było spodziewać się po młodym człowieku nie dbającym o nic, nawykłym do pieszczot najpiękniejszéj z kobiet, któremu wszystko uśmiechało się w życiu, którego wszystkim życzeniom ojciec czynił zadosyć... Ach! mój ojciec, Anusiu, już nie żyje!

»Otóż zastanowiłem się nad mojém położeniem i nad twojém także. Bardzo zestarzałem się w ciągu tych dwudziestu i czterech godzin. Droga Anno! gdybyś dla zatrzymania mię przy sobie w Paryżu, poświęciła wszystkie uciechy zbytku, twoje ubranie, twoją ložę w teatrze, twą świetność, jeszczebyśmy nie dosięgli kwoty potrzebnéj na wydatki mojego płochego życia; a przy tém, nie mógłbym przyjąć takiéj ofiary. Rozstaniemy się więc na zawsze.

—»Rozstaje się z nią. O Boże! co za szczęście.

Podskoczyła z radości. Karól poruszył się, dreszcz ją przeniknął; ale szczęściem dla niéj, nie obudził się. Czytała daléj.

»Kiedyż powrócę? nie wiem. W klimacie Indyów, prędko starzeje się Europejczyk, a zwłaszcza ten, kto jest zajęty pracą. Za lat dziesięć, twoja córka dojdzie do lat osiemnastu, będzie twoją towarzyszką. Wtedy świat dla ciebie będzie bardzo okrutny, a twoja córka jeszcze bardziéj. Zachowaj w głębi duszy, tak jak ja zachowam, wspomnienie tych czterech lat szczęścia i, jeźli zdołasz, bądź wierną biednemu przyjacielowi twojemu. Jednakże nie mogę tego wymagać, gdyż, moja droga Anusiu, muszę stósować się do mojego położenia i po kupiecku obrachować życie. Muszę więc pomyśléć o małżeństwie, które staje się jednym z warunków nowego bytu mojego, i wyznam ci, iż znalazłem tu w Saumur u mojego stryja, kuzynkę, któréj obéjście się, postać, umysł i serce, podobałyby się tobie, a która prócz tego, zdaje się...»

List przerywał się na tych słowach:

—»Musiał bydź znużony bardzo kiedy nie dokończył pisania, rzekła Eugenia.

Usprawiedliwiała Karóla. Niewinna dziewczyna nie postrzegła oziębłości, którą ten list był nacechowany. Dla młodych dziewcząt, religijnie wychowanych, nie znających świata i czystych, wszystko jest miłością, skoro tylko wstąpią w czarowną krainę miłości. Postępują tam, otoczone boskiém światłem wychodzącém z ich duszy i spadającém na kochanka. Ubarwiają go kolorami ich własnego uczucia, użyczają mu swoich pięknych myśli. Błędy kobiety, prawie zawsze pochodzą z jéj wiary w dobre, albo z jéj zaufania w prawdę. Te wyrazy, *moja kochana Anusiu! moja ulubiona!* brzmiały w sercu Eugenii jak

http://rcin.org.pl

najpiękniejsza mowa miłości, pieściły jéj duszę tak, jak w dzieciństwie dźwięk organów w kościele głaskał jéj ucho. Oprócz tego, łzy które Karól wylewał za ojcem, świadczyły, iż posiada wszystkie najszlachetniejsze uczucia, uwodzące młodą dziewczynę.

Czyliż mogła wiedzieć, że jeźli Karól tak bardzo kochał ojca i szczerze go opłakiwał, czułość ta nie tyle była skutkiem dobroci jego serca, ile dobroci ojcowskiéj? Państwo Grandet zadosyć czyniąc wszystkim żądaniom ich syna, otaczając go wszystkiemi uciechami zbytku, nie dozwolili mu czynić téj okropnéj rachuby, któréj w Paryżu dopuszcza się większa część dzieci, kiedy wobec uciech życia stolicy, tworzą plany, spóźnione i odwlekane długiém życiem ich rodziców. Rozrzutność ojca zaszczepiła w sercu Karóla, miłość prawdziwą i bez wstecznéj myśli.

A przecież Karól był dziecięciem Paryża; obyczaje paryzkie i sama nawet Anusia, nazwyczaiły go poddawać wszystko pod rachubę; był już starcem pod postacią młodzieńca. Odebrał straszliwe wychowanie w tym świecie towarzyskim, gdzie w ciągu jednego wieczora dopuszczają się myślą i mową więcéj zbrodni, niżeli sprawiedliwość ukarać ich może w sądach przysięgłych; gdzie dowcip zabija największe myśli, gdzie ten tylko uchodzi za człowieka z mocnym umysłem, kto widzi trafnie. Widzieć zaś trafnie, jest to nie wierzyć ani uczuciom, ani ludziom, ani wypadkom. W Paryżu, aby trafnie widzieć, trzeba co dzień zważyć sakiewkę przyjaciela, wynieść się nad wszystko co się wydarzyć może, nic nie uwielbiać, ani dzieł sztuki, ani szlachetnych czynów i za sprężynę każdéj rzeczy naznaczać osobisty interess. Po tysiącu szaleństwach, wielka dama, piękna Anusia, zmuszała Karóla do poważnych myśli. Mówiła mu o jego przyszłém położeniu, bawiąc się puklami jego włosów. Czyniła go zniewieściałym i materyalistą.

Karól był nazbyt modnym młodzieńcem, rodzice jego czynili go nazbyt ciągle szczęśliwym, świat nazbyt mu pochlebiał, aby mocne i wielkie uczucia mogły utrzymać się w jego sercu. Ale miał dopiero lat dwadzieścia jeden. W tym wieku, zdaje się, że świeżość życia jest nieodłączną od niewinności duszy. Głos, spojrzenie, postać, zdają się zgadzać z uczuciami. Dla tego, najsurowszy sędzia, najbardziéj niedowierzający adwokat, lichwiarz najbardziéj nieużyty, nie śmieją dorozumiewać się starości serca i zepsutego wyrachowania, gdy widzą czyste i młodzieńcze oko i czoło bez zmarszczków. Karólowi nie zdarzyło się jeszcze zastosować w praktyce, zasad moralności paryzkiéj, i aż do tego dnia, piękny był niedoświadczeniem swojém. Lecz mimo jego wiedzy, samolubstwo zakorzeniło się w jego sercu, i wkrótce miało rozwinąć się, skoro tylko z bezczynnego widza stanie się aktorem, w drammacie rzeczywistego życia.

Prawie wszystkie młode dziewczyny, ufają tym powierzchownym oznakom; ale gdyby nawet Eugenia była tak

http://rcin.org.pl

roztropną i postrzegającą, jak bywają niektóre dziewczyny na prowincyi, czyliżby mogła nie dowierzać krewnemu swojemu, kiedy jego czyny, obejście się i wyrazy, zgadzały się jeszcze z natchnieniami serca? Traf nieszczęsny dla niéj, zrządził, iż przyjęła ostatnie wynurzenia prawdziwéj czułości, jakie były jeszcze w tém młodém sercu, i usłyszała, że tak powiem, ostatnie jego westchnienia.

Położyła więc ten list, tak pełen miłości, podług jéj zdania, i wpatrywała się w uśpionego kuzyna. Swieże złudzenia życia, jeszcze malowały się na jego twarzy. Przysięgła najprzód iż go zawsze kochać będzie. Spojrzała potém na inny list, nie przywięzując wielkiéj wagi do tego postępku, a jeźli zaczęła czytać, to jedynie dla powzięcia nowych dowodów o szlachetnych przymiotach, które, tak, jak wszystkie kobiety czynią, przyznawała swemu kochankowi,

»Mój kochany Alfonsie, w chwili kiedy ten list przeczytasz, jnż nie będę miał przyjaciół; ale wyznaję iż wątpiąc o ludziach światowych, nawykłych do szafowania tém słowém, nie wątpiłem o twojéj przyjaźni. Polecam ci więc, abyś urządził moje interessa i rachuję na ciebie, iż potrafisz należycie spieniężyć to wszystko co posiadam. Teraz musisz znać położenie moje. Nie mam nic, i chcę popłynąć do Jndyów. Pisałem do wszystkich moich dłużników, załączam ich listę tak dokładną, jak może bydź, ułożona z pamięci. Moja biblioteka, meble, powozy, konie, wystarczą jak mniemam, na ich opłacenie. Zostawiam tylko sobie fraszki nie mające wartości, które mi posłużą do zrobienia ładunku. Mój kochany Alfonsie, przyślę ci formalną plenipotencyą do téj sprzedaży, na przypadek sporu. Odeślesz mi wszystkę broń moją. Zachowasz dla siebie Brytona. Niktby nie chciał zapłacić tyle, ile jest warto nieoszacowane to zwierzę, wolę ci ofiarować go, zamiast pierścienia, któren, wykonawcy testamentu zapisuje umierający. Robert zrobił dla mnie bardzo piękny koczyk podróżny, ale go jeszcze nie dostawił; wyjednaj na nim, aby go zatrzymał bez wynagrodzenia. Jeżeli tego nie zechce uczynić, unikaj wszystkiego coby mogło przynieść uszczerbek rzetelności mojéj. Winienem sześć luidorów angliikowi, za przegraną w wiska, nie omieszkaj....

Nie doczytała do końca.

— »Kochany kuzyn! rzekła Eugenia, kładąc list i drobniutkim krokiem uciekając do swojego pokoju.

Tam, z mocném uczuciem roskoszy, wysunęła szufladę staréj dębowéj komody. Wyjęła dużą sakiewkę z czerwonego axamitu, ze złotemi frendzlami już wypłowiałą i zaczernioną. Potém, dumnie zważyła ją w ręku i zaczęła przeliczać swój zbiorek.

Oddzieliła najprzód dwadzieścia sztuk portugalskich złotych pieniędzy, bitych za króla Jana V. w 1725 wartujących po 168 franków i 64 centymów, ale zapłaconoby za nie po 180 franków, dla tego, iż tak były rzadkie i piękne. Świeciły się jak słońce.

ITEM, pięć genuinów czyli sztuk sto-liwrowych z Genui, także bardzo

http://rcin.org.pl

rzadkich i wartujących po87 fr.wkursie, a po sto franków dla amatorów złota. Dostała je po dziadku macierzystym.

ITEM, trzy kwadruplony złote hiszpańskie, Filipa piątego, bite w 1729, podarunek ciotki, która za każdym razem powtarzała: »Chowaj je moja kochanko, warte są po 98 liwrów. Będą one kwiatem twojego skarbu.

ITEM, to co jéj ojciec cenił najbardziéj, sto dukatów holenderskich bitych w 1756 z najczystszego złota i wartujących po 12ście franków.

ITEM, wielka osobliwość, gatunek medalów bardzo drogich dla skąpców, trzy rupie ze znakiem wagi, i trzy rupie ze znakiem dziewicy, z czystego złota; moneta wielkiego Mogoła, z których każda warta była 37 franków podług wagi, ale przynajmniéj po pięćdziesiąt franków dla znawców.

ITEM, napoleon pięćdziesięcio frankowy, podarunek dnia onegdajszego.

Skarb ten, zawierał sztuki nowe, niezużyte, prawdziwe pamiątki o które ojciec Grandet zapytywał się nie raz i oglądał je, pokazując Eugenii ich wartość i zalety, jako to: piękność obrączki, czystość wybicia, wydatność liter. Ale ona nie pomyślała ani na te osobliwości, ani na manią swojego ojca, ani na jakie niebezpieczeństwo naraża się, wydając skarb tak drogi dla jéj ojca; myślała tylko o swoim kuzynie i zrozumiała nareście po kilku zmyłkach w rachubie, iż posiada około 5800 franków w złocie, za które można wziąść blisko dwa tysiące talarów.

Na widok tych bogactw, zaczęła klaskać w ręce, jak dziecię, wydające nadmiar swojéj radości w skokach i wołaniu. Tak więc, ojciec i córka przeliczyli swoje majątki: on aby przedać złoto, Eugenia aby je rzucić w ocean przywiązania.

Włożyła pieniądze w sakiewkę, wzięła ją i bez waliania poszła do pokoju Karóla. Tajemna nędza jéj kuzyna, wygładziła z jéj pamięci wzgląd na przyzwoitość, a przy tém była silna swojém sumieniem, poświęceniem się i szczęściem.

W chwili gdy stanęła w progu, trzymając swiecę w jednéj ręce, sakiewkę w drugiéj, Karól obudził się, ujrzał swoją kuzynkę i osłupiał z podziwienia. Eugenia zbliżyła się, postawiła świecę na stole, i ze wzruszeniem rzekła.

Mój kuzynie! proszę cię abyś mi przebaczył ciężki błąd, który popełniłam względem ciebie; ale Bóg przebaczy mi ten grzech, jeżeli go zechcesz zatrzeć.

—»Cóż takiego?« rzekł Karól przecierając sobie oczy.

—Czytałam te dwa listy.

Karól zarumienił się.

Jak się to stało, mówiła daléj, dla czego tu weszłam? Prawdziwie już sama nie wiem. Ale nie żałuję zbyt mocno, żem przeczytała listy, z nich bowiem poznałam twoje serce, twoją duszę, i...

—»I cóż?« zapytał się Karól.

—»I twoje zamiary, potrzebujesz summy....

—»Kochana kuzynko.

—»Cyt! cyt! nie tak głośno, nie budźmy nikogo. Oto jest, rzekła otwierając sakiewkę, oszczędność biednéj dziewczyny, która niczego nie

http://rcin.org.pl

potrzebuje. Przyjmij ją Karólu. Dziś rano nie wiedziałam co to są pieniądze; nauczyłeś mię tego: są środkiem osiągnięcia naszego celu, niczem więcéj. Kuzyn, jest prawie bratem i możesz pożyczyć od twojéj siostry.

Milczał, Eugenia nie przewidziała że jéj odmówi.

—»I cóż? rzekła.

Spuścił głowę.

—»Czy odmówisz? zapytała się Eugenia; bicie jéj serca słychać było pośród głębokiego milczenia.

Poniżyło ją wahanie Karóla. Jego nędzą tym żywiéj przedstawiła się jéj umysłowi; przyklękła.

—»Nie wstanę, dopóki nie przyjmiesz tego złota, rzekła: ale przez litość! Karolu, odpowiedz mi! Niech że wiem czyli mię poważasz, czy jesteś wspaniałomyślnym, czyli...

Słysząc krzyk szlachetnéj rozpaczy, Karól uronił łzę na rękę Eygenii, a ona czując tę łzę jeszcze nieostygłą, wysypała pieniądze na stół.

—»A cóż! jakże? rzekła płacząc z radości. Nie lękaj się mój kuzynie, będziesz bogatym. To złoto przyniesie ci szczęście. Oprócz tego, będziemy w spółce; przystanę na wszystkie warunki jakie naznaczysz, ale nie możesz przywiązywać tyle ceny do tego daru.

Karól mógł nareście wyrazić swoje uczucia.

—»Tak jest Eugenio! miałbym duszę bardzo nikczemną, gdybym nie przyjął. Jednakże nic za nic, zaufanie za zaufanie.

—»Czegóż żądasz! rzekła przestraszona.

—»Posłuchaj mię droga kuzynko, mam...

I przerwał sobie, aby wskazać na skatułkę w futerale skórzanym.

—»Tam widzisz, jest rzecz tak szacowna dla mnie jak życie. Toaletka ta jest podarunkiem mojéj matki. Od rana myślałem, że gdyby mogła powstać z grobu, sama przedałaby to złoto, którém nasadzony jest ten sprzęt zbytkowy; lecz ja to czyniąc, dopuściłbym się świętokradztwa.

Eugenia kowulsyjnie ścisnęła rękę swojego kuzyna, słysząc te słowa.

—»Nie: rzekł po chwili milczenia, podczas któréj spojrzeli na siebie łzawemi oczyma: nie chcę ani jéj niszczyć, ani narażać na stratę w moich podróżach. Tobie powierzam ją droga Eugenio. Nigdy jeszcze przyjaciel nie powierzył przyjacielowi świętszego składu. Sama to przyznasz.

Wziął pudełko, wydobył z pokrycia otworzył i z zadziwieniem Eugenii, pokazał toaletkę, któréj robota przewyższała jeszcze wartość kruszczu.

To co uwielbiasz, jest niczém, rzekł dotykając się sprężyny utrzymującéj dno podwójne. Patrz, to jest dla mnie droższe nad wszystkie skarby świata.

Wyjął dwie miniatury, dwa arcydzieła pani de Mirbel, bogato oprawne w perły.

—»Ach! piękna osoba, czy to nie jest dama do któréj pisałeś?..

—»Nie, rzekł z uśmiechem. Jest to moja matka; a to jest mój ojciec. Eugenio powinienem błagać cię na kolanach o dochowanie tego skarbu. To złoto wynadgrodziłoby twoją stra-

http://rcin.org.pl

tę, gdybym zginął tracąc twój mająteczek; tobie tylko saméj zostawiam te dwa portrety, godną jesteś abyś je zachowała. Ale zniszcz je wtedy, niechaj nie wpadną w obce ręce.

Eugenia milczała.

—»No cóż, uczynisz to?

Słysząc to zapytanie, rzuciła na Karola to pierwsze spojrzenie miłości, jedno z tych spojrzeń, w którem prawie tyle jest zalotności ile uczucia. Pocałował ją w rękę.

—»Aniele czystości! nie prawdaż? pieniądz niczém będzie pomiędzy nami. Uczucie które mu nadaje jakążkolwiek wartość, jest wszystkiém dla nas.

—»Podobny jesteś do matki. Czy miała głos tak miły jak twój?

O! daleko milszy.

—»Tak jest, dla ciebie: rzekła spuszczając oczy. No Karolu, pójdź na spoczynek; chcę tego, jesteś znużony. Do jutra.

Lekko usunęła rękę swoją z rąk Karola, który ją odprowadził na schody.

Gdy już oboje byli przededrzwiami:

—»Ach! dla czegóż straciłem majątek? rzekł.

—»Ale mój ojciec jest bogatym, jak mniemam, odpowiedziała.

—»Biedne dziecię! rzekł Karól stawiając jedną nogę w pokoju Eugenii i opierając się plecami o ścianę: mój ojciec byłby go prosił o pomoc i nie zostawałybyście w takim niedostatku; żyłby inaczéj.

—»Ale ma Froidfond.

—»Ileż wart jest Froidfond?

—»Nie wiem; ale ma Noyers.

—»Lichy zapewne folwarczek!

—»Ma łąki i winnice.

—»Nędzota! rzekł Karól pogardliwym tonem. Gdyby twój ojciec miał przynajmniéj dwadzieścia cztery tysiące liwrów dochodu, czyliżby mieszkał w téj zimnéj i pustéj izbie? przydał, wchodząc daléj.

—»Tu więc będą moje skarby: rzekł, wskazując na starą komodę, dla pokrycia swojéj myśli.

—»Idź spać: rzekła, nie dozwalając mu wnijśdź daléj. I pożegnali się wzajemnym uśmiechem. Odtąd, kilka kwiatów rozpogodziło żałobę Karóla.

Nazajutrz rano przed śniadaniem, pani Grandet zastała swoją córkę przechadzającą się razem z Karólem. Młody człowiek był jeszcze smutnym, jak musi bydź smutnym nieszczęśliwy, co zmierzywszy głębię przepaści w którą spadł, uczuł cały ciężar przyszłości swojéj.

—»Mój ojciec wróci dopiero na obiad: rzekła Eugenia, widząc niespokojność matki, i wówczas pani Grandet wytłomaczyła sobie przechadzkę córki.

Łatwo było poznać w obejściu i w twarzy Eugenii, w osobliwszéj słodyczy jéj głosu, zgodność myśli między nią i Karólem. Ich dusze poślubiły się wprzódy jeszcze, nim doznały mocy uczuć, która je połączała z sobą. Karól pozostał w sali; szanowano jego smutek. Pani Grandet i Eugenia musiały chodzić, wracać, odpowiadać na nieskończone zapytywania rzemieślników i ludzi wiej-

http://rcin.org.pl

skich. Barbara odbierała przynoszone daniny. Czekała zawsze rozkazów pana swojego, aby wiedzieć co ma bydź sprzedane, co zaś użyte na potrzebę domową. Stary miał ten zwyczaj, podobnie jak wielu ze szlachty wiejskiéj, iż jadał zepsute owoce i pijał najgorsze wino.

Około piątéj wieczorem, pan Grandet powrócił z Angers, zarobiwszy dwadzieścia kilka tysięcy franków na złocie, i mając w pugilaresie przekazy na bank i bony królewskie, które przynosić mu będą procent, dopóki nie przyjdzie termin wypłaty za procentowe papiery. Zostawił gajowego w Angers, aby wypoczął koniom na pół schwaconym i wrócił z niemi powoli.

—»Powracam z Angers, rzekł do żony. Jeść mi się chce.

Barbara zawołała z kuchni:—»Czy pan nic nie jadłeś od rana?

—»Nic, odpowiedział stary.

Barbara przyniosła talerz. Pan de Grassins przyszedł po rozporządzenia swego klienta, w chwili gdy wszyscy siedzieli przy stole. Grandet nie spojrzał nawet na swego synowca.

—»Jédz spokojnie Grandet, rzekł bankier. Pogadamy. Czy wiesz jak stoi złoto w Angers, gdzie go zażądano do Nantes? Posyłam je.

—»Nie posyłaj, odpowiedział bednarz; już go tam jest dosyć. Jako dobry przyjaciel ochronię cię od straty.

—»Ale złoto stoi trzynaście franków i pół za dukat holenderski?

—»Powiedz raczéj stało

—»A skądże się tam wzięło u czarta?

—»Ja byłem téj nocy w Angers, odpowiedział Grandet po cichu.

Bankier zadrżał z podziwienia.

Potém rozmawiali po cichu i oba kilkakrotnie spojrzeli na Karola. Potém, zapewne w téj chwili, gdy bednarz powiedział aby mu kupił cztery miliony procentowych papierów, pan des Grassins znowu okazał podziwienie.

—»Panie Grandet, rzekł do Karola, wyjeżdżam do Paryża; jeźli masz jakie polecenia ..

—»Żadnego, panie. Bardzo dziękuję, odpowiedział Karól.

—»Podziękuj lepiéj, mój synowcze. Pan wyjeżdża dla ułożenia interessów domu Wilhelma Grandet.

—»Czyliż byłaby jaka nadzieja? zapytał się Karól.

—»Ale! zawołał bednarz z udaną dumą, nie jestżeś moim synowcem? Twój honor jest naszym. Czyliż się nie nazywasz Grandet?

Karól wstał, uściskał starego Grandet, zbladł i wyszedł.

Eugenia z uwielbieniem spoglądała na ojca.

—»No! żegnam cię mój dobry przyjacielu; skrępuj mi dobrze tych ludzi.

Dwaj dyplomaci ścisnęli się za ręce; bednarz odprowadził bankiera aż do bramy; zamknąwszy ją, powrócił i rzekł do Barbary: »Daj mi kieliszek wódeczki.

Zbytnie wzruszenie nie dało mu na miejscu pozostać, wstał, spojrzał na portret pana de la Bretelliere i zaczął śpiewać.

Barbara, pani Grandet i Eugenia, milcząc spojrzeli po sobie. Radość

http://rcin.org.pl

starca przestraszała ich zawsze, kiedy do najwyższego stopnia dochodziła.

Wieczór wkrótce się skończył, ojciec Grandet chciał wcześniéj pójść na spoczynek: a gdy on się położy, cały dom spać powinien. Barbara, Karól i Eugenia, także byli znużeni. Pani Grandet zaś; spała, jadła, piła, chodziła, stósownie do życzeń swojego męża. Jednakże przez dwie godzin przeznaczonych na trawienie, bednarz weselszy niż kiedykolwiek, powiedział kilkanaście przysłów i zdań, jemu tylko właściwych, z których jedno da wyobrażenie o wszystkich. Wypiwszy wódkę spojrzał na kieliszek.

»Skoro tylko przysuniemy kieliszek do ust, natychmiast jest próżny. Taka jest nasza historya. Nie można bydź razem i nie bydź. Talary nie mogą razem i krążyć po świecie i zostawać w naszéj szkatule; życie byłoby za bardzo piękne w takim razie. Był żartobliwym i łaskawym, gdy Barbara przyszła z kółkiem.

—»Musisz bydź znużona Barbaro, rzekł, połóż przędzę.

—»O tak! nudziłabym się, odpowiedziała służąca.

—»Biedna Barbara! Czy wypijesz kieliszek wódki?

—»To, to dobrze; pani lepiéj ją zaprawia niżeli aptekarze, u nich zawsze trąci lekarstwem.

—»Bo za wiele cukru kładą, rzekł stary.

Nazajutrz, familia zebrana o godzinie ósméj na śniadanie, po raz pierwszy przedstawiała obraz szczeréj zażyłości. Nieszczęście prędko zaprzyjaźniło panią Grandet, Eugenią i Karola. Barbara podzielała ich uczucia, sama nie wiedząc o tém. Wszyscy czterej zaczynali składać jednę rodzinę. Co się zaś tycze starego bednarza; on, zaspokoiwszy swoje łakomstwo i pewien będąc że elegancik wyjedzie wkrótce, że więcéj na niego nie wyda prócz opłacenia podróży do Nantes, zupełnie był obojętnym na jego tymczasowy pobyt w domu. Dozwolił dwojgu dzieciom, tak nazywał Karola i Eugenią, czynić co im się podoba pod okiem pani Grandet, w któréj oprócz tego pokładał zupełne zaufanie, względem wszystkiego co się dotycze *moralności i religii*. Wytknięcie i wybicie rówów na łąkach, zasadzenie topoli nad brzegiem Loary i zimowe roboty w Froidfond, wyłącznie go zajęły.

Wtedy zaczął się dla Eugenii pierwiosnek miłości. Podczas téj sceny nocnéj, kiedy swoje złoto oddała Karolowi, oddała razem i serce. Oboje byli wspólnikami tejże saméj tajemnicy, spoglądali na siebie z wzajemném porozumieniem, które jeszcze ściślejszy związek między niemi tworzyło. Ich pokrewieństwo czyliż nie upoważnia ich do pewnéj słodyczy w mowie, do czułości w spojrzeniach? Dla tego też, Eugenia ukołysała cierpienia Karola, dziecinnemi pieszczotami powstającéj miłości.

Ileż to jest przyjemnych podobieństw, między początkiem miłości a początkiem życia! Czyliż nie usypiają dziecięcia, słodką pieśnią i

http://rcin.org.pl

wdzięcznem spójrzeniem? Czyliż mu nie opowiadają cudownych powieści, w złotém świetle wystawiających przyszłość. Czyliż nadzieja nie rozwija dla niego swoich promienistych skrzydeł? Czyliż koleją nie wylewa łez radości i boleści? Czyliż nie kłóci się o drobiazgi, o te kamyki, z których usiłuje wystawić sobie ruchomy pałac, o kwiatki natychmiast zapomniane, skoro je zerwie? Czyliż nie pragnie chciwie chwytać czas i posuwać się w życie? Miłość jest naszą drugą przemianą. Wiek dziecinny i miłość, były jedną i tąż samą rzeczą dla Eugenii i dla Karola; była to pierwsza namiętność ze wszystkiemi jéj dziecińśtwami, tem bardziéj pieszczącemi serce, iż je otaczał smutek. W samym zawiązku swoim otoczona żałobą, miłość ta, prócz tego zgadzała się z prowincyonalną prostotą tego na pół rozwalonego domu.

Zamieniając kilka wyrazów z kuzynką swoją, przy brzegu studni, na tém cichem podwórzu, siedząc w tym ogródku na ławce mchem porosłéj, aż do zachodu słońca, zajęty mówieniem o drobnostkach tak wiele znaczących, albo też zbierając myśli swoje w ciszy panującéj między wałami i domem, jakby pod sklepieniem kościoła, Karol uczuł świętość miłości, któréj same tylko burzliwe uniesienia poznał przy swojéj ukochanéj Anusi. Porzucał w téj chwili namiętność paryzką, zalotną, próżną, błyszczącą, dla miłości prawdziwéj i czystéj. Dopiero trzy dni upłynęły, a już lubił ten dom i zrozumiał jego obyczaje.

Schodził co rano, aby mógł rozmawiać z Eugenią, na kilka chwil wprzódy nim pan Grandet przyjdzie wydawać ze spiżarni, a kiedy stąpanie starego słychać było na schodach, uciekał do ogrodu. Drobne przewinienia téj porannéj schadzki, ukrytéj nawet przed matką Eugenii, a któréj Barbara nie postrzegła niby, nadawały miłości najniewinniejszéj w świecie, żywość zakazanéj roskoszy. Po tem, gdy po śniadaniu ojciec Grandet wychodził oglądać swoje posiadłości, Karol zostawał z matką i córką, doświadczał nieznanéj dotąd słodyczy, dopomagając im do zwijania nici, patrząc na ich prace, słysząc ich rozmowę. Prostota tego życia prawie klasztornego, objawiła mu piękność ich duszy nieznającéj świata i mocno go wzruszyła. Mniemał, że czystość obyczajów już nie może znaleźć się we Francyi; przypuszczał, że tylko istnieje w Niemczech i to jeszcze w bajecznych romansach Augusta Lafontena. Wkrótce Eugenią była w jego oczach ideałem Małgorzaty Getego, prócz błędu.

Nareście, co dzień to bardziéj zachwycały młodą dziewczynę jego spojrzenia, jego wyrazy i z roskoszą oddała się potokowi miłości. Chwytała szczęśliwość swoją, jak pływak chwyta gałązkę wierzby, dla wydobycia się z wody i spocznienia na brzegu. Bliskie rozstanie czyliż nie zachmurzało najweselszych godzin tych dni ulotnych? A przy tem, codziennie jaki drobny wypadek przypominał tę smutną chwilę. I tak, w trzy dni po odjeździe pana des Grassins. Grandet zaprowadził Karola do

http://rcin.org.pl

trybunału pierwszéj instaucyi, z tą uroczystością, jaką mieszkańcy prowincyi do takich akt przywiązują, aby tam podpisał wyrzeczenie się spadku ojcowskiego. Straszliwy akt! pewien rodzaj apostazyi domowéj! Po tém poszedł do notaryusza Cruchot, zrobić dwie plenipotencye, jednę na pana Grassins, drugą na przyjaciela, któremu polecił sprzedaż swoich ruchomości w Paryżu. Potem, dopełnić musiał potrzebnych formalności dla uzyskania paszportu za granicę. Nareście, gdy mu przysłano z Paryża prosty ubiór żałobny, zawołał krawca z Saumur i przedał mu swoją garderobę, co się bardzo podobało ojcu Grandet.

—»Ach! teraz wyglądasz jak człowiek który chce wsiąść na okręt i zrobić majątek, rzekł, widząc go w surducie z grubego sukna czarnego. To dobrze, to bardzo dobrze.

—»Chciéj mniemać panie, odpodział Karól, iż potrafię zastósować się do mojego położenia.

—»Cóż to jest? rzekł stary spoglądając iskrzącemi się oczyma na garść złota, którą mu pokazał Karól.

—»Panie! zebrałem moje guziczki, pierścionki i wszystkie drobiazgi mogące mieć jakąś wartość; ale nie znając nikogo w Saumur, chciałem prosić, abyś...

—»Abym to kupił od ciebie? rzekł pan Grandet przerywając mu.

—»Nie, mój stryju, abyś mi wskazał uczciwego człowieka, który...

—»Daj mi to mój synowcze, otaxuję wszystko i powiem ci ile jest warto. Ten klejnot, rzekł przypatrując się długiemu łańcuszkowi, waży dziewiętnaście do dwudziestu karatów.

Stary wyciągnął szeroką rękę i zabrał złoto.

—»Moja kuzynko, rzekł Karól, pozwól niechaj ci ofiaruję te dwie sprzączki. Mogą ci posłużyć do przypinania wstążki około ręki, a to jest bardzo modną bransoletką.

—»Przyjmuję bez wahania się, mój kuzynie, rzekła.

—»Moja ciotko, oto jest naparstek mojéj matki, co go tak troskliwie chowałem w mojéj toaletce podróżnéj, rzekł podając pani Grandet, piękny naparstek złoty, która już od lat dziesięciu pragnęła mieć podobny.

Słowa te, wyrzekł z mocném wzruszeniem.

—»Wszystko to warto jest 1989 franków, piętnaście centymmów, mój synowcze: rzekł Grandet otwierając drzwi. Aby ci ochronić kłopotu, zapłacę tę wartość.

—»Nie śmiałem prosić cię o to mój stryju, ale mi przykro było przedawać moje klejnoty, w mieście gdzie mieszkasz. Trzeba w domu prać brudną bieliznę, mawiał Napoleon. Dziękuję więc stryjaszkowi za tę grzeczność.

Grandet poskrobał się w ucho, i milczeli przez chwilę.

—»Mój kochany stryju! mówił dalej Karól niespokojnie spoglądając na niego, jak gdyby obawiał się obrazić jego drażliwość: moja kuzynka i stryjenka, raczyły przyjąć odemnie małą pamiątkę; chciéj także przyjąć guziki do rękawków, na nic mi nie

http://rcin.org.pl

przydatne teraz; przypomną ci biednego synowca, który zdala od was, myśleć będzie o tych, co są dzisiaj jedyną jego familią.

—»Mój chłopcze! mój chłopcze! nie trzeba się tak ogołacać.

—»Cóż to masz żono? rzekł, chciwie obracając się ku niéj. Ach! naparstek złoty!

—»A ty córko! ha! ha! dyamentowe zapinki.

—»A więc biorę twoje guziki synowcze, rzekł ściskając rękę Karóla. Ale pozwolisz mi... abym... abym... zapłacił... twoją... przeprawę do Indyi. Tak jest, zapłacę twoją przeprawę. Tym bardziéj, że oceniając twoje klejnoty, rachowałem samo tylko złoto, a może da się co zyskać na robocie. Tak, to rzecz skończona. Dam ci tysiąc talarów. Pożyczę ich od pana Cruchot. Nie mam ani szeląga w domu, chyba że mi zapłaci mój dzierżawca. Idę do niego.

Wziął kapelusz, rękawiczki i wyszedł.

—»Odjeżdżasz więc! rzekła Eugenia, spoglądając na niego z melancholią i uwielbieniem.

—»Tak bydź musi, odpowiedział, pochylając głowę.

Od kilku dni, obejście się, postawa i mowa Karola, były takie, jakie mieć powinien człowiek ciężko zmartwiony, ale który czując jak wielkie zobowiązania ciężą na nim, nowéj odwagi nabiera z samego nieszczęścia swego. Już nie wzdychał: był mężczyzną. I dla tego Eugenia nigdy nie sądziła korzystniéj o charakterze swego kuzyna, jak wtenczas, gdy go ujrzała w grubéj żałobie, tak dobrze stosującéj się z jego bladą i posępną twarzą: Tegoż dnia, matka i córka wzięły także żałobę i znajdowały się razem z Karolem na exekwiach w kościele parafialnym, odbytych za duszę Wilhelma Grandet.

Przy drugiém śniadaniu, Karól odebrał listy z Paryża.

—»I cóż mój kuzynie? czy dobrze poszły twoje interessa, rzekła Eugenia po cichu..

—»Nie czyń nigdy takich zapytań córko, odezwał się Grandet. Cóż u licha! nie powiadam ci o moich, a po cóż wdajesz się w interessa kuzyna? Daj mu pokój.

—»O! ja nie mam tajemnic, rzekł Karól.

—»Ta! ta! ta! mój synowcze, naucz się, że w handlu trzeba trzymać język za zębami.

Gdy dwaj kochankowie byli sami w ogrodzie, Karól rzekł do Eugenii, siadając obok niéj na ławce pod kasztanem.

Nie zawiodłem się na Alfonsie, dodoskonale postępował sobie. Interessa moje poprowadził roztropnie i szlachetnie. Nikomu nie jestem winien; wszystkie moje meble sprzedał bez straty i donosi mi, że idąc za radą pewnego kapitana okrętu, użył pozostałe trzy tysiące franków, na kupno rozmaitych osobliwości europejskich, które bardzo dobrze można spieniężyć w Indyach. Wyprawił moję pakę do Nantes, skąd odpływa okręt do Jawy. Za pięć dni Eugenio, pożegnamy się, na zawsze może, a przynajmniéj na czas bardzo długi. Mój

http://rcin.org.pl

ładuneczek i dziesięć tysięcy franków; jest to bardzo mały początek. Nie powrócę jak za lat kilkanaście. A więc moja kuzynko, nie kładź na jednéj szali mego życia i twego. Mogę umrzeć. Może zdarzy się dla ciebie jakie bogate zamęźcie.

—»Kochasz mię? rzekła.

—»Tak jest odpowiedział.

—»Czekać będę Karólu.

—»O Boże! mój ojciec patrzy przez okno, rzekła odpychając swego kuzyna, ktory chciał ją uściskać.

Uciekła do sieni. Karól pobiegł za nią; widząc go, stanęła przy komórce Barbary, w najciemniejszém miejscu korytarza. Tam wziął ją Karól za rękę przyciągnął ją do serca, i objął ją w pół. Wtenczas Eugenia nie opierała się dłużéj, przyjęła i oddała najczystsze, najsłodsze, ale i najzupełniejsze pocałowanie.--»DrogaEugenio, rzekł do niéj Karól, lepiéj jest bydź kuzynem, niżeli bratem. Kuzyn może ożenić się z tobą.»

—»Amen! zawołała Barbara otwierając drzwi od komórki.

Przestraszeni kochankowie uciekli do sali. Eugenia wzięła robotę, a Karól czytać zaczął litanie w xiążce do nabożeństwa pani Grandet.

Jak tylko Karól oznajmił swój odjazd, pan Grandet nie mało zadawał sobie starania, aby mniemano, iż się nim bardzo zajmuje. Szczodrobliwym był wszystkiego co go nic nie kosztowało, i szukał pak do jego rzeczy. Ale pomyślawszy sobie iż na mieście za drogo żądają za nie, chciał koniecznie sam je zrobić ze starych desek. Wstawał rano, przyrzynał, heblował, zbijał i nareście zrobił porządne paki; umieścił w nich wszystkie rzeczy Karóla i spuścił je statkiem do Nantes.

Od owego pocałowania, godziny upływały da Eugenii z przerażającą szybkością. Nie raz przychodziła jéj ta myśl, aby odpłynąć razem z Karólem. Ten kto znał tę najmocniejszą namiętność, któréj trwałość codziennie skraca się wiek, przez śmiertelnąchorobę i innych tysiące przygód, ten pozna udręczenia Eugenii. Często płakała przechadzając się po tym ogrodzie, teraz zbyt ciasnym dla niéj, podobnież jak dziedziniec, dom, miasto, i w myśli puszczała się na obszerną przestrzeń oceanu.

Nadeszła wilia odjazdu. Rano podczas nieobecności pana Grandet i Barbary, szacowny depozyt w którym były dwa portrety, schowano uroczyście do szuflady, zamykanéj na klucz, i gdzie była próżna teraz sakiewka. Zachowanie tego skarbu, nie odbyło się bez wielu pocałowań i łez wzajemnych.

—»Jesteśmy zaślubieni» rzekł przyciskając ją do serca; mam twoje słowo, przyjmij moje.

—»Twoją do zgonu, rzekła Eugenia i toż samo Karól powtórzył.

Żadna przysięga na téj ziemi nie była czystszą; niewinność Eugenii uświęciła na chwilę miłość Karola.

Nazajutrz rano, smutne było śniadanie. Barbara nawet, mimo złotego szlafroka i czarnego krzyżyka które dostała od Karola, łzy miała w oku.

—»Ten biedaczek odpływa na morze, niechaj go Bóg prowadzi, rzekła.

O w pół do jedenastéj, cała familia odprowadziła Karola do dyliżansu. Barbara spuściła psa, zamknęła bramę i chciała zanieść mantelzak Karola. Wszyscy kupcy staréj ulicy, stanęli we drzwiach sklepów, przypatrując się temu orszakowi, do którego na rynku przyłączył się notaryusz Cruchot.

—»Nie płacz Eugenio, rzekła matka.

—»Mój synowcze» rzekł Grandet przy rozstaniu, całując Karola w oba puliczki, odjeżdżasz ubogim, powróć bohatym, a za powrotem zastaniesz nie

http://rcin.org.pl

uszkodzoną dobrą sławę twojego ojca. Zaręczam ci, ja Grandet, iż tylko od ciebie zależeć będzie...

—»Ach mój stryju, ułagadzasz gorycz mojego odjazdu. Nie jestże to najpiękniejszym podarunkiem jaki mi przyrzekłeś uczynić.

Nie rozumiejąc wyrazów starego bednarza, któremu przerwał mowę, Karol zrosił łzami wdzięczności pomarszczoną twarz stryja, Eugenia ściskała z całéj siły rękę swego kuzyna i rękę ojca.

Sam tylko notaryusz uśmiechał się, uwielbiając przebiegłość Grandeta, gdyż on go tylko sam zrozumiał.

Ci czteréj mieszkańcy Saumur otoczeni wieloma osobami, stali przy dyliżansie dopóki nie wyruszał, a gdy już zniknął z oczu i tylko słychać było daleki turkot: »Ruszaj z Bogiem! rzekł Grandet.»

Szczęściem, sam tylko Cruchot usłyszał to wykrzyknienie. Eugenia i pani Grandet, poszły na miejsce, skąd jeszcze mogły widzieć dyliżans i powiewały białemi chustkami, a na ten znak odpowiedział Karol, powiewając swoją chustkę.

—»Moja matko, chciałabym na chwilę posiadać moc Boga, rzekłaEugenia, gdy już nie widać było Karola.

(Dokończenie w następującym zeszycie.)

ARKADYA.

Dołączając do dzisiejszego zeszytu krajobraz Arkadyi; powtarzamy wyjątek z opisu tego miejsca umieszczony w jednym z dzienników roku 1828.

»Z Nieborowa udaliśmy się piękną drogą do *Arkadyi*, może o pół mili od niego położonéj. Jest to miejsce które niegdyś było nędzną wioską na płaszczyźnie rozrzuconą, bez drzew, wody i widoków. Helena z Przezdzieckich Radziwiłłowa, uwzięła się koniecznie, ażeby z tak opuszczonego od natury zakąta, zrobić ułomek owej greckiéj krainy, tak opiewanéj przez poetów dla piękności położeń, żyzności pastwisk i szczęścia mieszkańców. — Nie można powiedzieć aby ten śmiały zamiar udał się zupełnie, chociaż nie brakowało ani dowcipu, ani gustu, ani też pieniędzy, bo niedostateczne są jeszcze te środki na zwalczenie natury lub jéj wyrównanie.

O Arkadyi różne były i są zdania, rozmaite ona myśli nasuwa; powiem czego odwiedzając go doświadczyłem; oto zdaje mi się, że w śnie jestem, w śnie, w którym tak łatwo największe sprzeczności się łączą, największe dziwactwa uchodzą; gdzie nędzna chatka wspaniałego gmachu dotyka, czas przeszły z teraźniejszym się kojarzy, gdzie rzadkie, zadziwiające ukazują się piękności, gdzie słowem jest wszystko, co zajmuje, prócz harmonii i użytku. — W Arkadyi tyle jest szczegółów, że nie sposób w krótkim czasie obejrzeć i spamiętać wszystkie; całości zaś objąć niepodobna. Najwięcéj uczęszczany przyjazd jest drogą, która już sen rozpoczynać się zdaje. — Po jednéj stronie widzisz nędzne, walące się chaty, i w nich ludzi, a po drugiej, piękny ale pusty ogród, utrzymany starownie, *domek wiejski* bez mieszkańców, lecz ozdobny tem wszystkiem, co gust i zbytek Greków, Rzymian, i wschodnich narodów mógł wynaleźć. Domek ten, zupełnie zdumiewa, zachwyca, niemal w obłęd wprowadza; gdyż jest w nim niepojęta mięszanina prostoty i wspaniałości, wiejskości i przepychu, pamiątek wieku dzisiejszego i zeszłych; ubogi kmiotek znalazłby tu nie jedno do swojéj chaty narzędzie, Lukullus nie wzgardziłby wielą sprzętami; wykwintna Paryżanka upatrzyłaby z łatwością mnóstwo do swego *buduaru* drobiazgów....

http://rcin.org.pl

Arkadyja

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

EUGENIA GRANDET

CZYLI

CÓRKA ŁAKOMCY.

Powieść Balzaka.

(Dokończenie.)

Aby nie przerywać ciągu wypadków, które zaszły w domu rodziny Grandet, powiemy w krótkości jakie działania przedsięwziął w Paryżu stary skąpiec, za pośrednictwem pana des Grassins.

W miesiąc po wyjeździe bankiera, Pan Grandet posiadał dwakroć sto tysięcy franków procentu od papierów kupionych po 80 fr. za sto. Co się zaś tycze interessów domu handlowego Wilhelma Grandet, spełniły się wszystkie przepowiednie bednarza.

Bank francuzki posiada wiadomości o wielkich majątkach w Paryżu i na prowincyi. Nazwiska pana de Grassins i pana Grandet z Saumur, znane były i posiadały niezmierną wziętość, opartą na własnościach gruntowych mających czystą hypotekę.

Przybycie bankiera z Saumur, który miał likwidować interessa domu pana Grandet z Paryża, przez wzgląd na honor imienia, wstrzymało wszystkich od protestowania wexłów. Odjęcie pieczęci uskuteczniło się w obecności wierzycieli i spisano inwentarz spadku. Wkrótce, pan des Grassins zgromadził wierzycieli i wybrano jednomyślnością za likwidatorów massy, bankiera z Saumur i jednego z jego kolegów w Paryżu, naczelnika bogatego domu i mającego bardzo znaczny dług u zmarłego Grandet. Dali im pełnomocnictwo, potrzebne dla ocalenia honoru familii i majątków wierzycieli. Kredyt pana Grandet z Saumur, nadzieje które wzniecił w sercach, a ktorych pan des Grassins był pośrednikiem, ułatwiły umowę i nie znalazł się między wierzycielami ani jeden uporczywy. Nikt nie zapisał swojego długu w rubryce *zysków i strat*, i każdy mówił sobie: Pan Grandet z Saumur zapłaci.

Sześć miesięcy upłynęło, wszyscy wierzyciele wykupili wexle zmarłego Grandet i schowali je w głębi swoich pugilaresów. Był to pierwszy rezultat, którego pragnął bednarz.

W dziewięć miesięcy po pierwszém zebraniu, likwidatorowie rozdzielili dwadzieścia dwa od sta każdemu z wierzycieli. Summa ta pochodziła ze sprzedaży wartości, posiadłości, dóbr i ruchomości zmarłego Wilhelma Grandet, co jak najrzetelniéj uskuteczniono.

Postępowanie takowe, wzbudziło powszechną ufność i wierzyciele uznali zadziwiający i nie zaprzeczony honor Grandetów. Po tém, gdy już wynurzyli pochwały, zażądali reszty swoich pieniędzy. Musieli napisać list ogólny od wszystkich do pana Grandet.

—»Otóż jest! rzekł, rzucając list w ogień: cierpliwość! moi przyjaciele.

W odpowiedzi na propozycye zawarte w tym liście, pan Grandet z Saumur żądał, aby złożono w depozycie u notaryusza wszystkie obligi je-

http://rcin.org.pl

go brata, z pokwitowaniem z wypłat już uskutecznionych, a to pod pozorem oczyszczenia rachunków i ustanowienia stanu sukcessyi. Złożenie to wznieciło tysiące trudności.

W ogóle, wierzyciel jest pewnym rodzajem maniaka; dziś gotów zawrzeć układ; jutro chce posunąć się do ostatecznych kroków; później jest znowu aż nadto dobry. Dziś jego żona była w wesołym humorze; najmłodszy synek szczęśliwie dostał zębów; wszystko idzie dobrze w domu; nie chce stracić ani szeląga. Jutro deszcz pada, nie może wyjść, jest smutny, przystaje na wszystkie propozycye, byleby tylko skończyć interes. Za parę dni znowu mu potrzeba rękojmi; przy końcu miesiąca chce do kozy wsadzić dłużnika, niemiłosierny człowiek!

Grandet znał atmosferyczne przemiany ich umysłu, a wierzyciele jego brata, zastosowali się do tych wszystkich wyrachowań.

—»Dobrze idzie! mówił pan Grandet, zacierając ręce po przeczytaniu listów, które z tego powodu pisał do niego pan des Grassins.

Niektórzy przystali na ten depozyt, jedynie pod tym warunkiem, iż zastrzegają wszystkie swoje prawa, a nawet prawo ogłoszenia upadłości. Nowa korrespondencya; nareście pan Grandet z Saumur przystał na wszystkie zastrzeżenia. Wierzyciele *łagodni* namówili wierzycieli *nieużytych*, i zrobiono depozyt, nie bez użalania się i skarg.

—»Ten stary, mówiono do pana Grassins, śmieje się z nas i z pana.

W dwa lata po śmierci pana Wilhelma Grandet, wielu negocyantów zajętych ruchem interessów, zapomniało o swoim długu u pana Grandet, albo też myśląc o nim, mówiło: »Zdaje nam się, że dwadzieścia dwa za sto będą jedyną zapłatą jaką na nie dostaniemy.

Bednarz rachował na potęgę czasu. Przy końcu trzeciego roku, pan des Grassins napisał do pana Grandet, że za dziesięć od sta od dwóch milionów czterech kroć sto tysięcy franków, należących się jeszcze przez zmarłego Grandet, wierzyciele pokwitują ze swoich należności.

Pan Grandet odpowiedział, że gdy notaryusz i ajent banku, których okropne bankructwo było przyczyną śmierci jego brata, żyją i podźwignęli swoje interessa, trzeba więc ich zapozwać, dostać od nich co i zmniejszyć deficit.

Przy końcu czwartego roku, deficit obliczono i ustanowiono na summę dwóch milionów. Pół roku trwały umowy między wierzycielami i likwidatorami, a panem Grandet z Saumur. Stary, naglony aby raz skończył ten interes, odpowiedział, że gdy jego synowiec zrobił majątek w Indyach i oświadczył sam, iż chce *w całości* zapłacić długi ojcowskie, nie może więc płacić ze szkodą wierzycieli, *bez zasięgnienia jego rady* i czeka odpowiedzi.

Wierzyciele w połowie piątego roku jeszcze byli trzymani na wodzy tém słowem *w całości*, które kiedy nie kiedy puszczał przebiegły bednarz, śmiejąc się w duchu z Paryżanów.

http://rcin.org.pl

Ale wierzyciele doznali niesłychanego losu w rocznikach handlu. Będą jeszcze w tém samém położeniu, kiedy wypadki téj powieści zwrócą nas do nich.

Gdy papiery procentowe doszły do 109 za sto, ojciec Grandet przedał je i sprowadził z Paryża cztery miliony trzykroć sto tysięcy franków w złocie, ktre połączyły się z milionem pięćkroć sto tysięcy franków złożonego procentu od tychże rentów.

Pan de Grassins mieszkał w Paryżu, a to dla następujących powodów. Najprzód, obrano go deputowanym. Po tém, on ojciec familii, znudzony nudném życiem w miasteczku, zakochał się w jednéj z najpiękniejszych aktorek i ocuciły się w nim dawne żołnierskie nałogi. Daremnie byłoby wspominać o jego postępowaniu. Szczęściem dla jego żony, nie żyła z nim pod wspólnością majątku, potrafiła prowadzić interessa bankierskie w Saumur i tym sposobem wynagradzać straty będące skutkiem szaleństw Pana de Grassins. Panowie Cruchot, tak gorliwie szkodzili téj jakoby wdowie, iż bardzo źle wydała córkę za mąż i musiała wyrzec się nadziei, iż się jéj Adolf zaślubi z Eugenią. Adolf pojechał do ojca, i wyszedł na nic dobrego. Cruchotowie tryumfowali.

—»Mąż pani, nie ma zdrowego rozsądku: mówił pan Grandet, pożyczając pieniędzy pani des Grassins, za należytém zabezpieczeniem. Żałuję cię, jesteś dobrą kobiecíną.

—»Ach mój panie! odpowiedziała: któżby mniemał, że tego dnia kiedy wyjechał do Paryża, leciał na zgubę!

—»Świadczę się niebem, moja pani, że mu odradzałem aż do ostatniéj chwili. Pan prezes koniecznie chciał go wyręczyć; a teraz wiemy dla czego się tak śpieszył.

Tak więc Grandet nie poczuwał się wcale do wdzięczności.

V.

Zmartwienia Domowe.

W każdym przypadku, kobiety więcéj mają przyczyn do smutku i boleści, niż mężczyzni, i więcéj cierpią. Mężczyzna ma siłę i wykonywanie władzy; działa, chodzi, zatrudnia się, myśli, ogarnia przyszłość i znajduje w niéj pociechę, jak to czynił Karól: ale kobieta zostaje w domu, w obec zmartwienia, od którego nic jéj nie oderwie, zstępuje aż do głębi przepaści, mierzy ją i częstokroć zapełnia życzeniami i łzami, jak to czyniła Eugenia. Łączyła się z przeznaczeniem swojém. Czuć, kochać, cierpieć, poświęcać się, będzie to zawsze treścią życia kobiety. Otóż Eugenia musiała tego wszystkiego doznawać, prócz pociechy. Jéj szczęście, nagromadzone *jak gwoździe rozsiane na murze*, podług szczytnego wyrażenia Bossueta, z czasem zapełnić nie miało dołka jéj dłoni. Zmartwienia nigdy nie zwlekają swego przybycia; a dla niéj wkrótce nadeszły.

Nazajutrz po odjeździe Karóla, dom pana Grandet przybrał dawniejszą postać, dla wszystkich, prócz Eugenii. Dla niéj dom ten był niezmiernie

http://rcin.org.pl

pusty. Mimo wiedzy ojca, chciała żeby pokój Karóla pozostał tak, jak był przy jego odjeździe. Jéj matka i Barbara chętnie mieli udział w owym *statu quo*.

—»Któż wie, czy nie powróci wcześniéj jak nam się zdaje?« mówiła.

—»Chciałabym żeby wrócił do nas: odpowiadała Barbara. Nazwyczaiłam się do niego. Był to bardzo dobry, bardzo doskonały młodzieniec, słodziutki jak dziewczyna.

Eugenia spojrzała na Barbarę.

Od tego dnia, piękność panny Grandet nowe znamię przybrała. Poważne myśli, które jéj duszę napełniały, miłość i godność kobiety która jest kochaną, nadały jéj rysom ten blask, jaki malarze wyobrażają przez promienistą koronę.

Wracając ze mszy, nazajutrz po odjeździe Karola (a ślubowała iż co dzień mszy słuchać będzie) kupiła u xięgarza mappę świata całego i przybiła ją przy zwierciedle, aby mogła ścigać żeglugę swego kuzyna do Jndyów, aby co wieczór i rano wstępowała myślą w ten okręt którym płynie, widziała go, zadawała mu tysiące pytań i mówiła do niego: »Czy jesteś zdrów, czy nie cierpisz, czy myślisz o mnie?

A potém, każdego poranku siedziała zamyślona, pod kasztanem, na ławce spróchniałéj i mchem porosłéj, gdzie o tylu rzeczach rozmawiali z sobą, gdzie budowali tyle zamków na lodzie i marzyli o swojém ładném gospodarstwie. Myślała o przyszłości, spoglądając na niebo, na tę małą przestrzeń, jaką dostrzedz mogła między murami, a po tém na starą ścianę i na dach pod którym była izdebka Karola. Nareście, była to miłość samotna, miłość prawdziwa i wytrwała, która przenika wszystkie nasze myśli, staje się ich treścią, albo, jak to byliby powiedzieli nasi ojcowie, materyą życia. Gdy tak zwani przyjaciele ojca Grandet, przychodzili na wieczór, była wesołą, udawała, ale przez całe rano rozmawiała o Karolu z matką i Barbarą. Barbara pojęła iż może litować się nad cierpieniami swojéj młodéj pani, nie uchybiając obowiązkom względem starego i mówiła do Eugenii:

—»Gdybym miała kochanka, byłabym poszła za nim chocjażby w piekło... Byłabym zabiła się za niego... ale.... Umrę nie poszedłszy za mąż!.. Czy uwierzysz mościa panno, że ten stary Cornoiller, dobre człeczysko, kręci się około mnie dla tego, że mam dożywotni dochód, podobnież jak wszyscy, którzy nadskakują jegomości aby dostać panienkę? Widzę to, ponieważ jestem jeszcze przebiegłą; otóż mościa panno i to mi się podoba, chociaż to nie jest miłość.

Dwa miesiące upłynęły tym sposobem. To życie domowe, niegdyś tak jednostajne, ożywiło się tajemnicą, która ściśléj połączyła te trzy kobiety. Dla nich, pod ciemną posową sali, Karól obecnym był jeszcze. Co wieczór i rano, Eugenia patrzała na portret swojéj stryjenki. Pewnego dnia rano, zeszła ją matka w chwili gdy upatrywała podobieństwo Karóla do tego portretu; wtenczas pani

http://rcin.org.pl

Grandet przypuszczona została do téj straszliwéj tajemnicy. — »Wszystko mu oddałaś? rzekła przestraszona matka. Ach! cóż powiesz ojcu twojemu, gdy w dzień nowego roku zechce obaczyć twój skarb?

Oczy Eugenii stanęły jak wryte, i ją i matkę śmiertelny przestrach ogarnął.

Za trzy dni kończył się rok 1819; za trzy dni miała zacząć się ta straszliwa dramma, tragedya domowa, bez trucizny, bez sztyletu, bez rozlania krwi, ale względnie na osoby należące do niéj, okrutniejsza niżeli wszystkie drammy powzięte z dostojnéj rodziny Atrydów.

—»Cóż się z nami stanie? rzekła pani Grandet do córki, kładąc robotę na kolanach.

Biedna matka doznała tylu wzruszeń w przeciągu dwóch miesięcy, że jeszcze nie skończyła rękawków wełnianych, których potrzebowała na zimę. Ta okoliczność tak drobna na pozór, bardzo smutne skutki pociągnęła za sobą. Dla braku rękawków, zimno przejęło ją wśród przerażenia, które w niéj wzbudził straszliwy gniew męża.

—»Moje dziecię, gdybyś mi wprzódy powierzyła twoją tajemnicę, mielibyśmy czas napisać do pana des Grassins; byłby nam przysłał sztuki złote podobne do twoich, a chociaż Grandet zna je dobrze, może....

—»Ale skądże dostalibyśmy tyle pieniędzy?

—»Byłabym zastawiła wszystko co mam. Oprócz tego, pan des Grassins byłby nam....

—»Już nie czas, odpowiedziała Eugenia, głuchym i zmienionym głosem, przerywając matce. Wszakże jutro rano powinnyśmy pójść do jego pokoju, z powinszowaniem Nowego Roku?

—»Ależ moja córko, dla czegoż nie prosiłabym panów Cruchot?

—»Nie, nie, zależałabym po tém od ich woli. Oprócz tego, jestem gotowa na wszystko. Dobrzem zrobiła i tego nie żałuję. Bóg będzie opiekował się nademną; niechaj spełni się jego święta wola. Ach! gdybyś czytała jego listy, o nim tylko samym byłabyś myślała moja matko!

Nazajutrz rano, 1 stycznia 1820, bojaźń poddała matce i córce najnaturalniejszą wymówkę, aby nie przyjść uroczyście do pokoju pana Grandet. Zima z roku 1819 na 1820, była niezmiernie ostra. Snieg załamywał dachy. Pani Grandet rzekła do męża, skoro usłyszała go iż się rusza w pokoju swoim.

—»Grandet, każ Barbarze aby napaliła u mnie na kominku. Zimno jest tak mocne, iż w łóżku przeziębłam ze wszystkiém. W moim wieku potrzebuję wygody.

—»Oprócz tego, mówiła daléj po krótkiéj przerwie, Eugenia ubierze się u mnie. Biedna dziewczyna! mogłaby zachorować ubierając się w tak zimnéj porze. A po tém, powinszujemy ci Nowego Roku przy kominku w sali.

—»Ta! ta! ta! co za język! Jakże zaczynasz nowy rok mościa pani Grandet! nigdy jeszcze nie gadałaś

http://rcin.org.pl

tak wiele. A przecież nie jadłaś chleba umaczanego w winie?

Przez chwilę milczeli.

—»A więc, rzekł stary, kontent zapewne z tego wniosku żony, uczynię co zechcesz mościa pani Grandet. Jesteś w rzeczy saméj dobrą kobietą i nie chcę abyś zachorowała. I zupełnie ubrany wszedł do pokoju żony.

—»Dalibóg, że tu jest zimno. Zjemy dobre śniadanie moja żono. Des Grassins przysłał mi pasztet z truflami. Odbiorę go na poczcie. Musiał przyłączyć do niego podwójny napoleon dla Eugenii: rzekł po cichu do żony. Już nie mam złota. Miałem jeszcze kilka starych sztuk: mogę to wyznać przed tobą: ale musiałem wydać je na interessa.

A *in gratiam* nowego roku pocałował ją w czoło.

—»Eugenio! zawołała matka, nie wiem na który bok spał twój ojciec, ale dziś jest w dobrym humorze. Wykręcimy się z kłopotu.

—»Cóż to się stało naszemu panu? rzekła Barbara, wchodząc do swojéj pani aby rozniecić ogień. Najprzód, powiedział mi »Dzień dobry! winszuję ci nowego roku duża Barbaro. Zapal ogień w pokoju mojéj żony; narzeka na zimno.» A potém, zgłupiałam jak gęś, gdy mi dał pieniądz sześciofrankowy i to nie oberznięty. Patrzaj pani, zobacz! O! zacny człowiek! Ludzie im starsi tém są twardsi, ale on jest łagodny jak nasza wódeczka i co raz to lepszy: jest to doskonały, dobry człowiek!

Radość starego pochodziła ztąd, że wszystkie spekulacye poszły mu jak najlepiéj. Sześć franków dane Barbarze, były może wynagrodzeniem za niezmierną przysługę, jaką mu wyświadczyła, sama nie wiedząc o tém, w przeniesieniu jego kapitałów.

—»Oh! oh! gdzież to pan Grandet bieży dzisiaj tak rano, jak gdyby się paliło? rzekli kupcy zajęci otwieraniem sklepów.

A gdy wrócił z poczty, a za nim posługacz wiózł na taczkach worki z pieniędzmi:

»Woda ścieka zawsze do rzeki; stary szedł po swoje pieniądze: mówił jeden.

»Przychodzą mu pieniądze z Holandyi, z Paryża, z Froidfond, mówił drugi.

»Na ostatku zakupi cały Saumur, odezwał się trzeci.

»Nie uważa na zimno i zawsze pilnuje swoich interessów, rzekła żona do męża.

—»Héj! héj! panie Grandet, jeźli cię kłopocą te pieniądze, daj mi je: rzekł kupiec sukna, jego najbliższy sąsiad.

—»Tak! to są grosze: odpowiedział Grandet.

—»Srebro, rzekł posługacz po cichu.

—»Jeźli chcesz abym cię używał do posługi, trzymaj język za zębami, rzekł Grandet otwierając drzwi.

»A! stary lis, rozumiałem że jest głuchy! pomyślał posługacz: ale zdaje się że dobrze słyszy na mróz.

—»Masz dwadzieścia soldów na

http://rcin.org.pl

kolendę i cicho. Ruszaj, rzekł Grandet. Barbara odprowadzi twoje taczki.

—»Barbaro! nasze czeczotki czy są w kościele?

—»Tak jest panie.

—»Daléjże do roboty, rzekł, obciążając ją workami.

W mgnieniu oka, talary już były w jego pokoju.

—»Gdy śniadanie będzie gotowe, zapukasz do drzwi. Odprowadź taczki na pocztę.

Śniadanie było dopiero o dziesiątéj.

—»Tutaj ojciec nie będzie żądał abyś mu pokazała twoje złoto: rzekła pani Grandet do córki, wracając ze mszy. Oprócz tego powiesz że ci zimno. A potém napełniemy twój skarb, na dzień twoich urodzin.

Pan Grandet schodził na dół, myśląc o zamianie swoich talarów na złoto, albo na papiery procentowe. Postanowił umieszczać w nich dochody swoje, dopóki kurs nie dojdzie do 95 za sto. Postanowienie to było zgubą Eugenii.

Skoro tylko wszedł, obie kobiety powinszowały mu Nowego Roku; córka ściskając go za szyję i całując go, a pani Grandet poważnie i z godnością.

—»Tak, tak, moje dziecię, rzekł całując córkę: pracuję dla ciebie, chcę twojego szczęścia, a na to trzeba pieniędzy. Bez nich biada. Masz; o to jest nowiuteńki napoleon; sprowadziłem go z Paryża. Nie ma tu ani jednéj sztuki złota. Ty sama tylko masz złoto. Pokaż mi twoje złoto coruniu.

—»Tak jest zimno! jedzmy śniadanie.

—»Dobrze: a więc po śniadaniu. To nam dopomoże do trawienia. Tłusty Grassins przysłał nam ten pasztet. Jedzenie to, nic nie kosztuje. Dobrze się obraca; jestem kontent z niego. Zajmuje się dobrem Karola i to jeszcze *darmo*. Bardzo rozumnie urządza interessa tego biednego Grandet.

—»Ah! ah! mówił, mając pełną gębę, to smaczna potrawa. Jedzże moja żono, nakarm się nią przynajmniéj na dwa dni.

—»Nie mam apetytu. Jestem trochę słaba.

O! możesz się objeść, nic ci nie będzie. Jesteś z domu Bertelliere, kobietą mocną i zdrową. Jesteś trochę żółtawa, ale ja lubię kolor żółty.

Oczekiwanie publicznéj i haniebnej kary, nie jest może tak okropne dla skazanego na śmierć, jak było dla pani Grandet i dla jéj córki, oczekiwanie wypadków, mających zakończyć to rodzinne śniadanie. Im weseléj jadł i rozprawiał stary bednarz, tém bardziéj ściskało się serce dwóch kobiet. A jednakże córka miała jedną podporę w tém położeniu. Z miłości swojéj czerpała siłę.

»Dla niego! dla niego! mówiła, wytrzymałabym tysiąc śmierci.» I to myśląc, rzucała na matkę, spojrzenia pałające odwagą.

—»Zabierz to wszystko: rzekł Grandet do Barbary, gdy około jedenastéj dokończyli śniadania. Ale zostaw stolik. Wygodniéj, obejrzemy twój ma-

http://rcin.org.pl

ły skarb: rzekł spoglądając na Eugenią. Mały! o nie! dalibóg! Posiadasz wewnętrzną wartość pięć tysięcy dziewięćset pięćdziesiąt i dziewięć franków; z dzisiejszym Napoleonem będzie sześć tysięcy franków bez jednego. Otoż dam ci ten frank, dla dopełnienia summy; ponieważ widzisz moja coruniu....

—»No! i dla czego słuchasz co gadamy, Barbaro? ruszaj do roboty.

Barbara wyniosła się co żywo.

—»Posłuchaj mię Eugenio; musisz mi dać twoje złoto, nie odmówisz go twojemu tateczkowi, moja maleńka coruniu! hę!

Obie kobiety milczały.

—»Już nie mam złota.. Miałem, ale go nie mam. Oddam ci sześć tysięcy franków w monecie, i umieścisz je tak jak ci poradzę. Już nie trzeba myśléć o tuzinie. Kiedy wydam cię za mąż, a to będzie nie długo, wynajdę ci narzeczonego, który ci da najpiękniejszy tuzin, o jakim kiedy mówiono. Posłuchaj mię córuniu; zdarza się piękna sposobność. Możesz kupić papierów procentowych, za twoje sześć tysięcy franków i będziesz miała co pół roku dwieście franków procentu, bez ponoszenia kosztów, strat i podatków. Może nie chcesz rozstać się z twojém złotem, córuniu? Ale przynieś go zawsze; będę zbierał sztuki złota, holenderskie, portugalskie, rupie mogoła, genujny, a z temi które dostajesz odemnie, odzyskasz w przeciągu trzech lat, połowę twego skarbu, skarbeczku. Cóż mówisz na to córuniu? Podnieśże głowę. Powinnaś mię ucałować za to, że ci objawiam tajemnicę życia i śmierci pieniędzy. Za prawdę, pieniądze żyją jak ludzie, krążą i płodzą się.

Eugenia wstała, ale postąpiwszy parę kroków ku drzwiom, odwróciła się nagle, spojrzała na ojca i rzekła:

—»Już nie mam *mojego* złota.

—»Nie masz twojego złota! zawołał Grandet, wyprężając nogi jak koń, który o dziesięć kroków od siebie, słyszy bicie z armat.

—»Tak jest, już go nie mam.

—»Ale mylisz się Eugenio?

—»Nie.

—»Na kości mojego ojca!

—»Kiedy bednarz klął w ten sposób, deski drżały.

—»Dobry, święty Boże! pani zbladła, zawołała Barbara.

—»Grandet, rzekła biedna kobieta: twój gniew o śmierć mię przyprawi.

—»Ta! ta! ta! wy kobiety nie umieracie nigdy.

—»Eugenio! cóżeś zrobiła z twojemi pieniędzmi? krzyknął, przystępując do niéj.

—»Panie, rzekła córka, klęcząc przy pani Grandet, moja matka jest mocno słaba, nie zabijaj jéj.

Stary przestraszył się widokiem bladości rozpostartéj na twarzy pani Grandet.

—»Barbaro! zaprowadź mię do łóżka: rzekła matka słabym głosem: umieram.

Natychmiast Barbara podała rękę swojéj pani, toż samo zrobiła Eugenia i nie bez trudu zdołały zaprowadzić ją na górę do jéj pokoju, gdyż mdlała za każdym schodem. Pan Gran-

http://rcin.org.pl

det sam pozostał; jednakże za chwilę wszedł na kilka schodów i zawołał:

—»Eugenio, gdy się twoja matka położy, znijdziesz do mnie.

—»Dobrze mój ojcze.

Przyszła wkrótce, uspokoiwszy matkę.

—»Moja córko, rzekł Grandet, powiesz mi, gdzie jest twój skarb.

—»Mój ojcze: z zimną krwią odpowiedziała Eugenia, oddając mu dzisiejszy napoleon: jeżeli czynisz mi podarunki któremi podług woli mojéj rozrządzać nie mogę, odbierz je.

Pan Grandet schwycił pieniądz i schował go do kieszeni.

—»Tak też mniemam, że ci od ąd nic nie dam. Ani źdźbła jednego. Pogardzasz więc twoim ojcem? nie masz zaufania w twoim ojcu? nie wiesz więc co to jest ojciec? Jeźli nie jest wszystkiém dla ciebie, nie jest niczém. Gdzie masz twoje złoto?

—»Mój ojcze, kocham cię i szanuję, ale z pokorą uczynię to przełożenie, że mam lat dwadzieścia trzy. Dosyć często powiadałeś mi, że jestem pełnoletnią, abym o tém wiedzieć nie miała. Zrobiłam z pieniędzmi mojemi to co mi się podobało i bądź pewien że są dobrze umieszczone.

—»Gdzie?

—»Jest to święta tajemnica. Czy nie masz także twoich tajemnic ojcze?

—»Nie jestżem głową domu? czyliż nie mogę mieć mojéj polityki, moich interesów?

—»To jest także mój interes.

—»Musi to bydź zły interes, jeżeli nie możesz powierzyć go ojcu twojemu, mościa panno Grandet.

—»Jest doskonały, a nie mogę powierzyć go mojemu ojcu.

—»Powiedz przynajmniéj kiedy oddałaś twoje złoto?

Eugenia uczyniła głową znak zaprzeczenia.

—»Miałaś go jeszcze w dzień twoich imienin? rzekł.

Eugenia stała się tak przebiegłą przez miłość, jak jéj ojciec przez łakomstwo i powtórzyła toż samo poruszenie głową.

— Widziałże kto taki upor i taką kradzież! rzekł Grandet co raz to gwałtowniejszym głosem. Co! tu w moim własnym domu, u mnie, ktoś zabrał ci twoje złoto, jedyne złoto jakie było w domu, a nie będę wiedział kto? Złoto jest rzecz droga. Najuczciwsze dziewczęta mogą dopuszczać się błędów: to się zdarza i u wielkich panów i u mieszczan: ale dać złoto!.. bo dałaś je komu, hę?

Eugenia milczała.

—»Widziałże kto drugą taką dziewczynę? Czyliż ja to jestem twoim ojcem? Jeżeliś je pożyczyła, musisz mieć rewers?

—»Czyliż mi było wolno, albo nie, zrobić z nim co mi się podoba? Czyliż było mojém?

Ale jesteś dzieckiem.

—»Jestem pełnoletnią.

—»Odurzony rozumowaniem córki, Grandet zbladł, zadrżał, klął, a nareście odzyskawszy mowę zawołał.

—»Przeklęta jaszczurko! ha! złe ziołko! wiesz że cię kocham i nadużywasz mego przywiązania. Zarzynasz

http://rcin.org.pl

własnego ojca. Dalibóg, rzuciłaś twoje pieniądze pod nogi tego nędznika, który ma buty safianowe. Na kości mojego ojca! nie mogę cię wydziedziczyć; ale cię przeklinam, ciebie, twego kuzyna i twoje dzieci. Nic ztąd dobrego nie wyniknie. Czy rozumiesz? Gdyby to był Karol, któremu... Ale nie. To bydź nie może. Co! ten przeklęty fircyk miałby mię złupić?..

Spojrzał na córkę, milczała niewzruszona.

— Nie wzruszy się, nie zadrży; jest bardziéj Grandet, niżeli ja sam. Przynajmniéj za nic nie dałaś twojego złota? No, powiedz?

Eugenia rzuciła na ojca szydercze spojrzenie, którém się obraził.

—»Eugenio, jesteś w moim domu, u twojego ojca. Jeżeli chcesz tu zostać, musisz słuchać moich rozkazów. Tak ci nakazuje religia.

Eugenia pochyliła głowę.

— Obrażasz mię w tém, co mi jest najdroższego: rzekł. Żądam uległości tylko. Pójdź do twojéj izby. Będziesz tam siedzieć, dopóki ci nie pozwolę wyjść. Barbara będzie ci przynosiła chleb i wodę. Słyszałaś. Idź!

Eugenia zalała się łzami i pobiegła do matki.

Kilkakrotnie po śniegu obszedłszy ogródek, pan Grandet domyślił się, że jego córka musi bydź u matki. Wtedy ucieszony że ją schwyta na nieposłuszeństwie jego rozkazom, wlazł na schody tak lekko jak kot, i zjawił się w pokoju pani Grandet, w chwili, kiedy pieściła się z włosami Eugenii, któréj twarz przytulona była do łona macierzyńskiego.

—»Pociesz się moje biedne dziecię, twój ociec uspokoi się.

—»Ona już nie ma ojca! rzekł piorunujący bednarz.

»Czyliż to ty i ja mościa pani Grandet, spłodziliśmy taką nieposłuszną córkę? Piękne i pobożne zwłaszcza dałaś jéj wychowanie! Cóż to! nie jesteś w twojéj izbie? Do więzienia, mościa panno, do więzienia!

—»Chcesz mi wydrzeć moją córkę panie? rzekła pani Grandet, z twarzą zapłonioną od gorączki.

—»Jeżeli chcesz ją zatrzymać przy sobie, wynieście się z mojego domu. Do pioruna! gdzież jest złoto? cóż się stało ze złotem?

Eugenia wstała, z dumą spojrzała na ojca i wróciła do swego pokoju; stary zamknął ją na klucz.

—»Barbaro! zawołał, zagaś ogień w sali.

I usiadł w krześle przy kominku w pokoju żony, mówiąc:

»Zapewne oddała swoje złoto nędznemu zwodzicielowi, temu Królowi, który czatował na nasze pieniądze.

Pani Grandet znalazła tyle mocy, pośród niebezpieczeństwa które zagrażało jéj córce i w swojém przywiązaniu do niéj, iż na pozór była oziębłą, niemą i głuchą.

—»Nie wiedziałam o tém: odpowiedziała obracając się do ściany, aby nie znosić iskrzących się spojrzeń męża. Tyle cierpię z przyczyny twojéj gwałtowności, że jeźli mam wierzyć moim przeczuciom, na marach wy-

http://rcin.org.pl

niosą mię z tego domu. Powinieneś był mieć przecież wzgląd na mnie, na mnie która ci nigdy żadnego nie zrządziłam zmartwienia, przynajmniéj tak mniemam. Twoja córka ciebie kocha. Jest niewinna, jak dziecię nowonarodzone; nie dręcz jéj, odwołaj twój wyrok. Zimno jest mocne, i możesz bydź przyczyną ciężkiéj choroby.

—»Nie chcę z nią ani mówić, ani jéj widzieć. Siedzieć będzie o chlebie i wodzie, dopóki nie uczyni zadosyć woli ojca swojego. Cóż u czarta! głowa rodziny powinna wiedzieć gdzie się podziewa złoto z domu. Posiadała jedyne rupiie, jakie może znajdowały się we Francyi, a do tego genuiny, dukaty holenderskie...

—»Panie, Eugenia jest naszém jedyném dziecięciem; a gdyby je nawet rzuciła w rzekę.

—»W rzekę! zawołał stary: w rzekę! Jesteś szalona, mościa pani Grandet. Co powiedziałem, to bydź musi. Jeżeli chcesz mieć pokój w domu, niechaj córka przyzna się do wszystkiego. Wyprowadź jéj muchy z nosa; kobiety lepiéj znają się na tém. Cóżkolwiek bądź, nie zjem jéj przecię. Czegóż mnie się boi? Gdyby nawet ozłociła swego kuzyna od stóp do głowy, już wypłynął na morze, nie możemy bieżyć za nim.

—»A więc Grandet..

Podbudzona rozdraźnieniem nerwów, albo też nieszczęściem córki, które w niéj rozwinęło jéj czułość i pojętność, dostrzegła straszliwy wyraz w fizyonomii męża: zmieniła więc myśl nie zmieniając tonu.

—»A więc Grandet, czyliż mam więcéj władzy nad nią, niżeli ty? Nic mi nie powiedziała. Wdała się w ciebie.

—»Na Boga! jakże masz wyprawny język dzisiejszego rana. Ta! ta! ta! najgrawasz się ze mnie jak widzę. Może się z nią porozumiewasz? I bystre spojrzenie wlepił w żonę.

—»Panie Grandet, jeżeli chcesz mię zabić, musisz tylko mówić w ten sposób. Powtarzam ci panie: chociażbym to życiem przypłaciła: i jeszcze powtarzać będę, że źle postępujesz z twoją córką; ona jest rozsądniéjsza od ciebie. Te pieniądze były jéj własnością; nie mogła ich obrócić na co innego, tylko na piękny użytek. Bóg tylko ma prawo wiedzieć o naszych dobrych uczynkach. Panie! błagam cię, powróć Eugenii łaskę twoją; zmniejszysz tym sposobem cios któryś mi zadał przez gwałtowność twoją i może ocalisz mi życie. Moja córka panie! oddaj mi córkę!

—»Wynoszę się, rzekł. Nie można wytrzymać w domu. Córka i matka, rezonują i mówią jak... Brrr... Phu..

—»Dałaś mi okrutną kolendę Eugenio! zawołał. Tak! tak! płacz. Twoje postępowanie nabawi cię zgryzoty. I na cóż się przyda że codzień bywasz na mszy; jeżeli dajesz złoto ojca twojego, próżniakowi, który ci pozrze serce, kiedy już nic nie będziesz miała, coby mógł wyłudzić od ciebie? Nie ma ani serca, ani duszy, ponieważ śmiał zabrać skarb ubogiéj dziewczyny, bez pozwolenia jéj rodziców.

Gdy pan Grandet wyszedł na miasto, Eugenia weszła do pokoju matki,

http://rcin.org.pl

—»Miałaś wiele odwagi kochana matko, rzekła, a to dla mnie!

—»Widzisz moje dziecię, do czego nas prowadzą rzeczy zakazane; z twojéj przyczyny dopuściłam się kłamstwa.

—»Ach! będę prosiła Boga aby mnie tylko samą ukarał.

—»Czy to prawda? rzekła przestraszona Barbara, wchodząc do pokoju: że panienka skazana jest na chleb i wodę aż do śmierci?

—»I cóż to szkodzi Barbaro? rzekła Eugenia.

—»Ach! czyliż będę mogła ponieść do ust łyżkę strawy, kiedy córka gospodarska jeść będzie chleb suchy!

—»Nie,nie wspominaj o tém Eugenio.

Po raz pierwszy od lat dwudziestu czterech, Pan Grandet zasiadł do stołu sam jeden.

—»Zostałeś więc pan wdowcem, rzekła Barbara. To rzecz nie miła zostać wdowcem, mając dwie kobiety w domu.

—»Nie gadam do ciebie. Milcz, albo cię wypędzę. Cóż tam smażysz w rądelku?

—»Przetapiam tłuszcz...

—»Dziś przyjdą goście; zapal ogień.

W rzeczy saméj, bracia Cruchot i pani de Grassins z synem, przyszli o osméj i zadziwili się nie widząc ani pani Grandet ani Eugenii.

—»Moja córka jest trochę słaba. Eugenia jest przy niéj: odpowiedział stary bednarz, nie okazując najmniejszego wzruszenia.

Pani des Grassins poszła na górę, odwiedzić panią Grandet.

—»Pani Grandet jest mocno słaba; lękam się o nią, w jéj wieku nie trzeba zaniedbywać choroby.

— »Zobaczymy to, odpowiedział bednarz z roztargnieniem.

Pożegnali go wszyscy, a gdy już byli na ulicy, pani des Grassins rzekła: — »Coś nowego zaszło w domu Grandetów. Matka jest bardzo słaba, i nie zna swojego stanu. Córka ma czerwone oczy, jak gdyby długi czas płakała. Czyliż chcą wydać ją za mąż mimo jéj woli?

Gdy bednarz już poszedł spać, Barbara przyszła po cichu do pokoju Eugenii i przyniosła potrawkę z zająca.— »Jedz panienko. Cornoiller dał mi zająca. Jész tak mało, że ta potrawa wystarczy na osiem dni, a nie zepsuje się na zimnie. Przynajmniéj nie będziesz jeździ suchego chleba.

—»Biedna Barbaro! rzekła Eugenia, ściskając ją za rękę.

—»Zrobiłam dobrą, delikatną potrawkę; *on* tego nie postrzegł. Kupiłam słoniny i masła, za moje sześć franków. Wolno mi jest zrobić z niemi co mi się podoba.

Służąca uciekła, gdyż jéj się zdało, że pan Grandet nadchodzi.

Przez kilka miesięcy, bednarz ciągle odwiedzał żonę, w rozmaitych godzinach; nie wspominał nazwiska córki, nie widywał jéj, najmniejszéj nawet wzmianki nie czynił o niéj. Pani Grandet nie wyszła z pokoju i co dzień pogorszało się jéj zdrowie. Nic nie mogło przełamać uporu starego bednarza. Był niewzruszony, oziębły i ostry, jak słup granitowy. Pilnował gospodarstwa jakj zazwy-

http://rcin.org.pl

czaj. Ale nie jąkał się już, mniéj rozmawiał i w interessach jeszcze był twardszy. Częstokroć mylił się w dodawaniu.

—»Coś jakiegoś zaszło w domu pana Grandet, mówili stronnicy Cruchotów i Grassinów.

—»Cóż się to stało w domu pana Grandet? pytali się jedni drugich.

Eugenia chodziła do kościoła w towarzystwie Barbary. Przy wyjściu, jeżeli pani des Grassins czyniła jakie zapytanie, odpowiadała obojętnym sposobem i nie zadowolniała jéj ciekawości.

A przecie nie podobna było po kilku miesiącach ukryć powodu zamknięcia Eugenii. Przyszła wreście chwila, kiedy zabrakło pozorów usprawiedliwienia jéj ciągłéj nieobecności. I, nie widzieć jakim sposobem, dowiedziało się całe miasto, że już od nowego roku panna Grandet siedzi w zimnym pokoju o chlebie i wodzie, na rozkaz ojca, że Barbara wieczorem przynosi jéj różne przysmaczki. Wiedziano nawet, że Eugenia jedynie tylko podczas nieobecności ojca, może dozierać chorą matkę.

Wtenczas bardzo surowo oceniono postępowanie pana Grandet. Całe miasto ogłosiło go że tak powiem za wyjętego z pod prawa. Przypomniano sobie o jego zdradach, o jego nieużytości; klątwę rzucono na niego. Gdy przechodził, każdy szemrał.

Gdy jego córka szła przez ulicę na mszę albo na nieszpory, wszyscy mieszkańcy biegli do okien, dla przypatrzenia się bogatéj dziedziczce, a na twarzy Eugenii malowała się melancholia i anielska dobroć. Jéj niewola i niełaska w którą popadła u ojca, niczem były dla niéj. Czyliż nie widziała karty świata, ławeczki, ogrodu, i czyliż nie czuła jeszcze na ustach swoich słodyczy pocałowań miłości? Przez czas niejaki, podobnie jak jéj ojciec, nie wiedziała o rozmowach, których jest przedmiotem. Pobożna, czysta przed obliczem Boga, znosiła za pomocą sumienia i miłości, gniew i karę ojcowską.

Ale głęboka boleść przygłuszała wszystkie inne boleści. Jéj matka, słodka i czuła istota, upięknionа tym blaskiem, który rozsiewała jéj dusza, im bardziéj zbliżała się do grobu, gasła co dzień. Częstokroć Eugenia wyrzucała sobie, że była niewinną przyczyną jéj okrutnéj i powolnéj choroby, a te zgryzoty, chociaż je uspokajała matka, jeszcze ściśléj łączyły ją z jéj miłością. Co rano, skoro tylko wyszedł jéj ojciec, przychodziła do łóżka matki, a tam Barbara przynosiła śniadanie. Ale biedna Eugenia smutna i cierpiąca cierpieniem matki, płakała i nie śmiała mówić o swoim kuzynie.

Pani Grandet musiała sama zaczynać. »Gdzież jest, dla czego do nas nie pisze?

Matka i córka nie wiedziały wcale jaka je przestrzeń rozdziela.

—»Myślmy o nim, moja matko! odpowiadała Eugenia, a nie mówmy. Cierpisz! Ty przede—wszystkiem.

Wszystkiem był to Karol.

—»Moje dziecię, odpowiadała pani Grandet, nie żałuję życia. Bóg zlito-

http://rcin.org.pl

wał się nademną i naznaczył kres moich cierpień.

Słowa téj kobiety, były zawsze święte i chrześciańskie. Gdy podczas śniadania mąż przychodził do jéj pokoju, mówiła do niego z anielską dobrocią, ale razem i ze stałością, albowiem czując się już przy kresie życia, w zbliżającym się zgonie czerpała odwagę, któréj nie miała w ciągu dni swoich.

—»Panie! dziękuję ci za troskliwość o moje zdrowie: odpowiadała, na to najpospolitsze zapytanie: ale jeźli chcesz osłodzić ostatnie chwile życia mojego i ulżyć mojéj boleści, powróć twoją łaskę naszéj córce. Pokaż się chrześciańskim mężem i ojcem.

Słysząc te słowa, pan Grandet siadał przy łóżku i postępował jak ten, który za nadejściem ulewy spokojnie chroni się do bramy. Słuchał co żona mówi i nic nie odpowiadał. Na jéj najczulsze i najświętsze błagania, mówił tylko:— »Trochę dzisiaj zbladłaś moja żono.

Zdawało się, że zupełne zapomnienie o córce, wyryte jest na jego kamiennem czole, na jego zwartych ustach. Nie wzruszyły go nawet łzy, które jego nic nie znacząca odpowiedź wyciskała z oczu żony.

—»Niechaj ci Bóg przebaczy! mówiła, jak ja ci przebaczam; kiedyś będziesz potrzebował jego miłosierdzia.

Od czasu choroby żony, nie śmiał już powtarzać to okropne ta! ta! ta! ta! Ale także, jego despotyzmu nie rozbroił ten aniół dobroci, którego szpetność zmniejszała się co dzień, zastąpiona wyrazem moralnych przymiotów, kwitnących na obliczu nieszczęśliwéj.

Była już samą tylko duszą. Duch modlitwy zdawał się oczyszczać i ułagadzać najgrubsze rysy téj twarzy, okrywać je jaśniejącym promieniem. Widok téj przemiany, dopełnionéj przez cierpienia, trawiące istotę człowieczą w téj kobiecie, działał chociaż słabo na starego bednarza, ale jego charakter pozostał niewzruszony. Już nie mówił tonem pogardy, ale zachowywał nieprzełomne milczenie, które ocalało jego powagę, jako ojca rodziny.

Skoro tylko jego wierna Barbara pokazała się na targu, natychmiast żarty i skargi na jéj pana, wpadały do jéj ucha; ale chociaż sąd powszechny głośno potępiał ojca Grandet, służąca broniła go przez dumę.

—»I cóż, mówiła do przyganiaczów, czyliż wszyscy nie stajemy się surowszemi na starość? i dla czegóż mój pan nie miał trochę zdziwaczyć? Przestańcie kłamać. Nasza panna żyje jak królowa. Jest sama, no! bo tak jéj się podoba. Oprócz tego, mój pan ma ważne powody.

Nareście, pewnego wieczora przy końcu wiosny, pani Grandet udręczona zmartwieniem, bardziéj jeszcze niżeli chorobą i mimo próźb swoich, nie mogąc pojednać Eugenii i pana Grandet, powierzyła się panu Cruchot.

—»Co! zamyka o chlebie i wodzie, córkę mającą lat dwadzieścia i trzy! zawołał prezydent de Bonfons: a to bez

http://rcin.org.pl

powodów? jest to: *surowość zakazana prawem i można protestować.*

—»No mój synowcze, rzekł notaryusz, porzuć twoją gadaninę sądową, Bądź pani spokojna; jutro skończy się to zamknięcie.

Słysząc że o niéj mówią, Eugenia wyszła ze swego pokoju.

—«Panowie! rzekła z powagą, zbliżając się ku nim: proszę was, ażebyście nie zajmowali się tą rzeczą. Mój ojciec jest panem w domu. Dopóki zostaję u niego, powinnam go słuchać. Nikt w świecie nie ma prawa ganić albo chwalić jego postępowania; samemu tylko Bogu zdaje z niego rachunek. Proszę panów o jak najgłębsze milczenie w tym względzie. Ganić mojego ojca, byłoby to nastawać na naszą sławę. Wdzięczna jestem za tę troskliwość; ale jeszcze byłabym wdzięczniejszą, gdybyście panowie przytłumili obrażające wieści, o których dowiedziałam się przypadkiem.

—»Ma słuszność, rzekła pani Grandet.

—»Mościa panno: odpowiedział z uszanowaniem stary notaryusz, uderzony pięknością, którą samotność miłość i melancholia ozdobiły rysy Eugenii: najlepszym sposobem przytłumienia tych wieści, byłoby powrócenie ci wolności.

—»Moja córko, dozwól niechaj pan Cruchot wda się w tę sprawę, ponieważ zaręcza za pomyślny skutek. Zna twojego ojca i wie jak sobie z nim postąpić. Jeżeli chcesz abym spokojnie przeżyła kilka dni, które mi jeszcze pozostają, twój ojciec musi koniecznie pojednać się z tobą.

Nazajutrz pan Grandet poszedł przejść się po ogrodku. Czynił to zawsze o téj porze, kiedy się Eugenia czesała; stawał za kasztanem i tak ukryty przypatrywał się przez kilka chwil długim włosom córki, wahając się między uporem a przywiązaniem do swojego dziecięcia. Częstokroć siedział na ławeczce, gdzie Eugenia i Karol przysięgli sobie dozgonną miłość, a w tedy Eugenia ukradkiem spoglądała na niego.

Notaryusz Cruchot przyszedłszy zawczasu, zastał go, siedzącego w piękny dzień czerwcowy na ławeczce, i patrzącego na córkę.

—»Cóż cię tu sprowadza mój przyjacielu? rzekł do notaryusza.

—»Przychodzę pomówić z tobą o interessach.

—»Ho! ho! może wymienisz moje talary za złoto!

—»Nie idzie tu o pieniądze, ale o twoją córkę. Cały świat mówi o niéj i o tobie.

—»Co komu do tego? każdy jest panem w swoim domu.

—»Zgoda. Wolno jest każdemu zabić się, albo co gorsza, wyrzucić pieniądze przez okno.

—»Jak to.

—»Tak! twoja żona jest bardzo chora mój przyjacielu. Powinieneś nawet zawołać lekarza. Chora jest niebezpiecznie, a gdyby umarła bez pomocy lekarskiéj, nie byłbyś spokojnym, tak mi się przynajmniéj zdaje.

—»Ta! ta! ta! nie wiesz co jest mojéj żonie; ci panowie lekarze skoro tyl-

http://rcin.org.pl

ko zawitają do domu, przychodzą pięć i sześć razy na dzień.

—»Mój panie Grandet, zrobisz co ci się podoba. Jesteśmy starzy przyjaciele. A w całem mieście nie ma ani jednego człowieka, któregoby więcéj niż mnie obchodziło twoje dobro. A teraz, niech się zrobi co chce; jesteś pełnoletnim, masz rozum. Oprócz tego, inny jeszcze miałem interess. Idzie tu może o coś ważniejszego. Zresztą nie chcesz zapewne zabijać żony twojéj. Nie pomyślałeś jak widzę, w jakiém położeniu byłbyś względem córki, gdyby pani Grandet umarła. Będziesz musiał *zdać rachunek* twojéj córce: żyjesz bowiem z żoną pod wspólnością majątku. A wtedy córka będzie miała prawo domagać się połowy, którą odziedziczy po matce; może kazać przedać Froidfond.

Wyrazy te uderzyły starego jak piorun; tem bardziéj, że nie tyle znał się na prawie, ile na handlu. Ani był pomyślał o licytacyi.

—»A więc obchodź się z nią łagodnie: rzekł Cruchot.

—»Ale czy wiesz co zrobiła?

—»Cóż takiego? zapytał się notaryusz pragnąc dowiedzieć się nareście o przyczynie ich kłótni.

—»Oddała swoje złoto.

—»I cóż! wszakże było jej własnością?

—»Wszyscy mi to powtarzają: rzekł stary, ze smutkiem opuszczając ręce.

—»I dla takiéj fraszki, czy chcesz stawiać przeszkodę, ustąpieniu którego od niéj żądać będziesz po śmierci jéj matki?

—»Sześć tysięcy franków złotem, nazywasz fraszką?...

—»Mój stary przyjacielu, czy wiesz co będzie kosztować inwentarz i podział spadku po twojéj żonie, jeźli tego żądać będzie Eugenia?

—»Co?

—»Dwadzieścia albo trzydzieści tysięcy franków; pięćdziesiąt, sześćdziesiąt może! Czyliż nie będziesz musiał opłacić ogromnéj kwoty za papier stęplowy, zeznać i zaprzysiądz jaki posiadasz majątek. Gdy przez porozumienie....

—»*Na kości mego ojca*! zawołał bednarz, siadając wybladły, zobaczymy to, mości Cruchot.

Po chwili milczenia albo raczéj konania, stary spojrzał na notaryusza i rzekł: — Ciężkie jest życie człowieka, jest w nim nie mało boleści. Cruchot: mówił daléj uroczyście: nie zechcesz mię zwodzić, zaręcz mi honorem że to co powiadasz, opiera się na prawie. Pokaż mi kodex, chcę zobaczyć kodex.

—»Mój biedny przyjacielu, odpowiedział notaryusz, czyliż nie znam rzemiosła mojego?

—»A więc to prawda! Moja córka może mię obedrzéć, zdradzić, zamordować!

—»Dziedziczy po matce.

—»Na cóż się przyda mieć dzieci! Ach! moja żona! kocham ją. Mocne ma zdrowie, cała jéj familia długo żyła.

—»Nie pożyje nawet miesiąca.

Bednarz uderzył się ręką w czoło, chodził, wracał i przerażające spojrzenie rzucając na Cruchota, rzekł:

http://rcin.org.pl

—»Cóż z tém zrobić?

—»Eugenia może po prostu wyrzec się spadku po matce. Nie chcesz jéj wydziedziczać, nie prawdaż? Lecz żeby to wymódz na niéj, musisz się z nią łagodnie obchodzić. Radzę ci ze szkodą własną. Cóż ja mam do czynienia?... likwidacye, inwentarze, przedaże, spadki...

— »Zobaczymy, zobaczymy. Nie mówmy o tém. Szarpiesz mi wnętrzności. Czy masz złoto?

—»Nie; ale mam kilka luidorów; dam ci je. Mój przyjacielu, pogódź się z Eugenią. Całe miasto wygaduje na ciebie.

—»Głupcy!

—»Papiery stoją po 97 fr. 75 centymów. Bądźże kontent przynajmniéj raz w życiu.

—»Po 97 franków i 75 centymmów?

—»Tak jest.

—»Hę! hę! 97 fr. 75 cent. powtórzył bednarz odprowadzając starego notaryusza aż na ulicę.

Potém za bardzo wzruszony tém co mu powiedział notaryusz, poszedł do pokoju żony i rzekł do niéj. — »No matko, możesz przepędzić z córką dzień cały. Jadę do Froidfond. Bawcie się dobrze. Dziś jest rocznica naszego wesela. Masz, oto jest dziesięć talarów na ubranie ołtarza przed naszym domem w dzień Bożego Ciała. Już od dawna pragnęłaś tego. Każ go wystawić, bawcie się i bądźcie zdrowe. Niech żyje radość!

Rzucił dziesięć talarów na łóżko żony i pocałował ją w czoło.

—»Dobra żono! zdrowsza jesteś, nie prawdaż?

—»Jakże możesz myśleć o przyjęciu przed domem twoim Boga, który przebacza, jeżeli odpędzasz córkę od twojego serca? rzekła ze wzruszeniem.

—»Ta! ta! ta! rzekł ojciec łagodnym głosem, zobaczymy to.

—»O Boże! Eugenio! zawołała matka zapłonąwszy się z radości, uściskaj twojego ojca! on ci przebacza! Ale stary już znikł. Uciekał jak mógł do swoich winnic i usiłował uporządkować swoje wyobrażenia. Pan Grandet zaczynał wtedy rok siedemdziesiąty i drugi. Od lat dwóch, jego łakomstwo i skąpstwo powiększyło się, jak się powiększają wszystkie zakorzenione namiętności człowjeka, i jak to postrzegamy na ludziach jedném panującém wyobrażeniem zajętych, przywiązał się szczególniéj do panującego godła swéj namiętności. Widok złota, posiadanie złota, były u niego monomanią. A przy tém, despotyzm jego wzrósł w miarę łakomstwa; oddanie chociażby najnajmniejszéj cząstki swego majątku, uważał za rzecz przeciwną naturze. Zeznawać jaki jest jego majątek, spisywać ruchome i nieruchome dobra!..

»Wolałbym sobie gardło poderznąć: rzekł głośno, pośród winnicy, któréj latorośle oglądał.

Nareście, postanowił co ma czynić. Powrócił do Saumur na obiad. Umyślił ułedz Eugenii, pieścić ją, ugłaskać, aby mógł aż do zgonu trzymać w ręku swoje miliony. W chwili, gdy przypadkiem wziąwszy klucz od bramy, szedł po cichu na schody, Eugenia przyniosła matce toaletkę Ka-

http://rcin.org.pl

róla. Obie, pod czas niebytności pana Grandet, w obrazie matki Karóla, widziały jego własny obraz.

—»To jest ze wszystkiem jego czoło i usta! mówiła Eugenia, w chwili, gdy bednarz drzwi otworzył.

Widząc z jakim wyrazem starzec spojrzał na złoto: pani Grandet zawołała. »Boże! miéj litość nad nami.

Stary rzucił się na toaletkę, jak tygrys rzuca się na uśpione dziecię.

—»Cóż to ma bydź? rzekł porywając skarb, i niosąc go do okna.

» Złoto! czyste złoto! zawołał, wiele złota! waży przynajmniéj trzy albo cztery funty. Ach! Karol dał ci to w zamian za twoje piękne dukaty? I czemużeś mi tego nie powiedziała? to jest dobry interess coruniu. Jesteś moją corunią, poznaję cię.

Eugenia drżała jak listek.

—»Nie prawdaż? to jest toaletka Karola? mówił stary.

—»Tak jest ojcze, jest to święty depozyt.

—»Ta! ta! ta! złupił cię z majątku, muszę ci powrócić twój skarb.

—»Ojcze!

Stary chciał otworzyć nóż i wyjąć blachę złota, i dla tego musiał położyć toaletkę na krześle. Eugenia poskoczyła do niéj; ale bednarz mając razem na oku toaletkę i córkę, odepchnął ją tak gwałtownie, że aż padła na łóżko matki.

—»Panie! panie! zawołała matka podnosząc się na łożku.

Grandet otworzył nóż i zabierał się do wyjmowania złota.

—»Mój ojcze! zawołała Eugenia padając na kolana i tak! czołgając się ku niemu. Na Boga ukrzyżowanego! na moje zbawienie! na moje życie! zaklinam cię, nie ruszaj téj toaletki. Nie należy ona ani do mnie, ani do ciebie, ale do nieszczęśliwego Karola; on mi ją powierzył, muszę mu ją oddać w całości.

—»Dla czegóż patrzałaś na nią, jeżeli to jest depozyt? Przypatrywanie się jest gorsze niżeli dotknięcie.

—»Mój ojcze nie niszcz jéj, albo okryjesz mię niesławą. Mój ojcze, czy słyszysz!

—»Panie! zlituj się, rzekła matka.

—»Ojcze! zawołała Eugenia głosem tak mocnym, iż przestraszona Barbara wbiegła do pokoju.

Schwyciła za nóż który leżał na stoliku.

—»I cóż? rzekł Grandet oziębłym tonem i z równie zimnym uśmiechem.

—»Panie, panie, zabijasz mię! rzekła matka.

—»Ojcze, jeżeli nożem twoim naruszysz chociaż jedną odrobinę tego złota, przebiję się tym. Jużeś zabił matkę, zabijesz i córkę. A teraz, rana za ranę.

Pan Grandet trzymał nóż przyłożony do toaletki i z wahaniem się spoglądał na córkę.

—»Czyliż byś mogła to uczynić Eugenio? rzekł.

—»Tak jest panie, odpowiedziała matka.

—»Dotrzymałaby słowa! zawołała Barbara. Panie, miejże rozum przynajmniéj raz w życiu!

Bednarz przez chwilę spoglądał koleją to na złoto, to na córkę. Pani Grandet zemdlała.

http://rcin.org.pl

—»Patrzajże pan, jejmość umiera! zawołała Barbara.

—»Weź córko! nie kłóćmy się o taką fraszkę! Weź ją, zawołał bednarz, odpychając toaletkę.

»A ty Barbaro zawołaj pana Bergerin.

—»No! moja żono, rzekł całując jéj rękę, to nic, już jest zgoda między nami. Już nie będzie suchego chleba; będzie mogła jeść co zechce. Przecież otwiera oczy. No! matko, mateczko, matuleńko, uspokój się! Widzisz, całuję Eugenią; kocha swego kuzyna, pójdzie za niego jeźli tak zechce; zachowa dla niego toaletę. Ale żyj długo moja biedna żono, wstań! mieć będziesz najpiękniejszy ołtarz przed domem, jaki kiedykolwiek wystawiono w Saumur.

—»O Boże! czyliż możesz tak obchodzić się z żoną i córką twoją?

—»Już tego nie zrobię, nie! wołał bednarz; zobaczysz moja biedna żono.

Poszedł do gabinetu, przyniósł garść luidorów, i rozrzucił je na łóżku.

—»Weź Eugenio, weź moja żono, to jest dla was: mówił, rozgarniając luidory. No! rozwesel się moja żono, bądź zdrową, niczego nie będzie brakować Eugenii ani tobie. Oto jest sto luidorów dla niéj. Nie oddasz ich znowu Eugenio, nie prawdaż?

Pani Grandet i córka, z podziwieniem spoglądały na siebie.

—»Weź je mój ojcze, potrzebujemy tylko twojego przywiązania.

—»To dobrze! odpowiedział chowając luidory, żyjmy w zgodzie, znijdźmy wszyscy do sali na obiad, będziemy grać w loteryą co wieczór, po dwa soldy. Wstań żono.

—»Niestety! chciałabym wstać, ponieważ tego sobie życzysz: rzekła umierająca: ale nie mam siły.

—»Biedna matko! rzekł bednarz, nie wiesz, jak bardzo cię kocham. I ciebie moja córko.

Uściskał ją, ucałował.

—»Ach, jak to dobrze uściskać córkę po małém poróżnieniu! Schowaj to: przydał wskazując na toaletkę: nie bój się, już ci o tem ani wspomnę.

Pan Bergerin najsławniejszy lekarz z Saumur, w krótce przyszedł. Obejrzawszy chorą, wyraźnie oświadczył panu Grandet, że jego żona jest bardzo niebezpiecznie słaba; ale że wielka spokojność umysłu, łagodne obejście się i drobiazgowe starania, mogą przedłużyć jéj życie, aż do końca jesieni.

—»Czy to będzie drogo kosztować? rzekł stary, czy potrzeba lekarstw?

—»Mało lekarstw, ale wiele troskliwości: odpowiedział doktor, nie mogąc wstrzymać się od śmiechu.

—»Panie Bergerin, odpowiedział Grandet, jesteś uczciwym człowiekiem, spuszczam się na ciebie, odwiedzaj moją żonę, tyle razy ile tego będzie potrzeba. Zachowaj mi ją przy życiu. Kocham ją bardzo, chociaż tego nie widać; bo u mnie wszystko dzieje się wewnątrz. Jestem zmartwiony. Zmartwienie weszło do mojego domu, razem ze śmiercią brata, za którego płacę w Paryżu niezmierne summy, a jeszcze nie ma końca. Żegnam cię panie; jeśli mo-

http://rcin.org.pl

żna ocalić moją żonę, ocal ją, chociażby na to trzeba wydać tysiąc albo dwa tysiące franków.

Mimo gorących życzeń starca, mimo jego uległości dla wszystkich życzeń córki i matki, mimo najczulszych starań Eugenii, pani Grandet coraz bardziéj słabła, była tak wątłą, jak liście drzew w jesieni; promienie z nieba pokrywały ją blaskiem, jak te liście, które słońce przenika i pozłaca. Była to śmierć godna jéj życia, śmierć zupełnie chrześciańska.

W Październiku roku 1820, szczególniéj pokazały się jéj cnoty, jéj anielska cierpliwość, jéj przywiązanie do córki. Zgasła, nie wydawszy najmniejszego nawet użalenia. Poszła do nieba i niczego nie żałowała na tym padole, prócz lubéj towarzyszki jéj biednego życia, któréj przewidywała nieszczęście. Drżała, zostawiając tę owieczkę niewinną i czystą jak ona, samą pośród świata samolubów, chcących jéj wydrzeć jéj skarby.

—»Moje dziecię! rzekła przed zgonem, szczęście jest tylko w niebie, z czasem dowiesz się o tém.

Nazajutrz po śmierci matki, Eugenia znalazła nowe pobudki przywiązania się do tego domu, gdzie tyle wycierpiała, gdzie jéj matka umarła. Nie mogła spoglądać na jéj miejsce przy oknie, na jéj krzesło, bez zalania się łzami. Mniemała, że nie poznała się na sercu ojcowskiém, widząc że jest przedmiotem jego najczulszych starań. Bednarz sam prowadził ją na śniadanie, całemi godzinami spoglądał na nią wzrokiem dobrym prawie, nareście pożerał ją oczyma, jak gdyby była jego złotem.

Stary bednarz tak mało był podobny do samego siebie, tak drżał przed swoją córką, iż Barbara i panowie Cruchot będąc świadkami jego słabości, przyznali ją późnemu wiekowi i myśleli że upada na umyśle. Ale w tym dniu kiedy familia przywdziała żałobę po obiedzie na który zaproszono notaryusza, świadomego tajemnicy ojca Grandet, wyjaśniło się postępowanie starca.

—»Moje drogie dziecię! rzekł do Eugenii, gdy sprzątnięto ze stołu: jesteś dziedziczką matki, musimy niektóre interessa urządzić. Nie prawdaż Cruchot?

—»Tak jest.

—»Czyliż potrzeba dzisiaj zajmować się niemi? mój ojcze.

—»Tak jest córuniu. Nie mógłbym wytrzymać téj niepewności. Nie spodziewam się, abyś miała czynić mi przykrość.

—»O mój ojcze!

—»A więc trzeba to wszystko dziś wieczorem ułożyć.

—»I cóż mam zrobić?

—»Moja córuniu, to nie należy do mnie. Panie Cruchot, powiedz jéj.

—»Mościa panno, ojciec twój nie chciałby ani przedawać, ani dzielić majętności swoich, ani składać ogromnéj opłaty od gotowych pieniędzy jakie posiadać może. Dla tego więc trzeba uwolnić się od spisywania inwentarza całego majątku, który teraz jest niepodzielnym, pomiędzy panną a jéj ojcem.

http://rcin.org.pl

— »Cruchot, czy jesteś tego pewnym, iż tak mówisz przy dziecku?

— »Nie przeszkadzaj mi Grandet.

—»Tak jest tak, mój przyjacielu. Ani ty ani moja córka nie chcielibyście ogołocić mię. Nie prawdaż córuniu?

—»Ależ panie, cóż mam zrobić? zapytała się Eugenia.

—»Otóż, rzekł notaryusz, trzeba podpisać ten akt, mocą którego odstępujesz od spadku po twojéj matce i zostawiasz ojcu twojemu posiadanie nie podzielnego majątku, zapewniając sobie wyłączne po nim dziedzictwo.

—»Nie rozumiem tego wszystkiego, odpowiedziała Eugenia, daj mi akt i wskaż pan gdzie mam podpisać.

Ojciec Grandet spoglądał to na córkę, to na akt i doznawał tak mocnego wzruszenia, iż kilkakrotnie obcierał pot spływający mu z czoła.

—»Córuniu, rzekł: zamiast podpisania tego aktu, który drogo będzie kosztować, wolałbym żebyś podpisała proste zrzeczenie się spadku po twojéj kochanéj nieboszce matce. Wtenczas płaciłbym ci miesięcznie po sto franków. Namyśl się, mogłabyś kazać odprawiać tyle mszy za duszę matki, ile samabyś chciała.... No i cóż? sto franków na miesiąc?.

—»Uczynię wszystko co zechcesz ojcze.

—»Mościa panno, rzekł notaryusz, mój obowiązek nakazuje mi uczynić uwagę iż się ogołacasz.

—»O Boże! rzekła i cóż mię to obchodzi?

—»Cicho bądź Cruchot. To dobrze! to dobrze! zawołał Grandet, biorąc rękę córki: nie cofniesz się, jesteś uczciwą dziewczyną.

—»Ach mój ojcze!

Uściskał ją z wylaniem serca tak, iż jéj ledwie nie zadusił.

—»Pójdź moje dziecko; przywracasz życie ojcu twojemu. Oddajesz mu to coś wzięła od niego. Jużeśmy się skwitowali. Tak to powinny odbywać się interessa. Życie jest interessem. Błogosławię cię, jesteś cnotliwą dziewczyną, kochasz ojca twojego. Będziesz odtąd robić co zechcesz.

—»Do jutra przyjacielu, rzekł, spoglądając na przestraszonego notaryusza. Przygotujesz akt zrzeczenia się.

I nazajutrz koło południa, Eugenia podpisała deklaracyą, mocą któréj sama dopełniła wyzucia się z majątku.

Jednakże, mimo przyrzeczenia swojego, przy końcu pierwszego roku, stary bednarz nie dał jeszcze ani grosza z tych stu franków, przyrzeczonych tak uroczyście. A gdy mu Eugenia wspomniała o tém żartami, zapłonął się mimo woli. Żywo pobiegł do gabinetu, i przyniósł blisko trzecią część klejnotów, które był kupił od synowca.

—»Masz Eugenio, rzekł tonem pełnym szyderstwa, czy weźmiesz to za twoje tysiąc dwieście franków?

—»Ojcze! czy doprawdy dajesz mi to wszystko?

I rzucił jéj klejnoty w fartuszek.

—»Na przyszły rok, znowu ci tyle oddam. I tym sposobem nie zadługo będziesz miała wszystkie te cacka:

http://rcin.org.pl

dodał zacierając ręce, szczęśliwy że mu uczucie córki do nowéj spekulacyi posłużyło.

Jednakże starzec, chociaż silny jeszcze, uczuł potrzebę przypuszczenia córki do wszelkich tajemnic domowych. Przez dwa lata, musiała w jego przytomności wydawać rozkazy, zajmować się drobiazgowém gospodarstwem, odbierać wypłaty; zwolna powiadał jéj nazwiska, obszerność i dochody swoich winnic i folwarków. Przy końcu trzeciego roku, tak ją dobrze wezwyczaił do swego skąpstwa, iż odtąd powierzał jéj bez obawy klucze od wszystkiego i uczynił ją samowładną panią domu.

Pięć lat tak upłynęło, bez żadnéj zmiany w jednostajnym sposobie życia Eugenii i jéj ojca. Był to ciąg jednakich zatrudnień, odbywający się tak regularnie, jak ruch wahadła zegaru. Głęboka melancholia panny Grandet nie była tajemnicą dla nikogo, i chociaż wszyscy domyślali się jéj przyczyny, bogata dziedziczka nie wyrzekła nigdy ani słowa, któreby usprawiedliwiało podejrzenia mieszkańców Saumur względem stanu jéj serca. Towarzystwo jéj składało się tylko z trzech panów Cruchot i kilku ich przyjacioł, których nieznacznie wprowadzili w jéj dom. Nauczyli ją grać w wista i schodzili się co wieczór na tę przyjemną zabawę.

Roku 1825, ojciec uczuwszy cały ciężar wieku i słabości, musiał odkryć jéj cały stan swego nieruchomego majątku, dodając, że w razie przytrudnym może zaufać notaryuszowi Cruchot, którego poczciwości doświadczył. Nareście, przy upływie tegoż roku, kończąc siedemdziesiąt dziewiąty rok życia, został tknięty paraliżem. Choroba wzmagała się szybko. Zwątpiono o jego życiu.

Czując że nie zadługo sama na świecie zostanie, Eugenia na krok nie opuszczała ojca, ścieśniając że tak powiem, ostatnie ogniwa uczucia łączące ją z towarzystwem. Miłość, była dla niéj, podobnie jak dla każdéj kochającéj kobiety, całym światem, a Karól był tak daleko! Okazała się szczytną w staraniach i przywiązaniu do ojca, którego siły widocznie nikły, a łakomstwo jakby wrodzony instynkt, jeszcze go nie opuszczało. Jakoż, śmierć tego człowieka była zupełnie zgodna z całem jego życiem.

Od rana kazał przesuwać krzesło swoje na kółkach, od kominka do drzwi gabinetu, napełnionego złotem. Siedział tam bez najmniejszego poruszenia, spoglądając z obawą to na wchodzących, to na drzwi żelazem mocno okute. Pytał się o najmniejszy łoskot i nie pomału zadziwił notaryusza, usłyszawszy poziewanie psa na podwórzu.

Budził się z téj pozornéj osłupiałości w dzień i godzinę gdy przypadała wypłata dzierżawy, rachunek z robotnikami, lub gdy potrzeba było kwit jaki wydać. W ówczas posuwał krzesło na kołkach, dopóki się nie ujrzał wprost drzwi gabinetu. Rozkazywał córce, aby je otworzyła, dawał baczenie aby kładła jak najtajemniéj, wórki z pieniędzmi jedne na dru-

http://rcin.org.pl

gich, i drzwi starannie zamknęła. Potém, znowu w milczeniu wracał do kominka, skoro mu tylko oddała szacowny klucz, któren zawsze chował w kieszonkę od kamizelki, i dotykał się co chwila, czy go ma istotnie.

Stary jego przyjaciel notaryusz, będąc pewny że bogata dziedzicka koniecznie musi pójść za jego siostrzeńca prezydenta, jeźli Karól Grandet nie powróci, podwoił starania i uprzejmość. Codziennie przychodził po rozkazy pana Grandet; jeździł do Froidfond, do dóbr, do winnic, na łąki; przedawał zbiory, przetapiał wszystko na złoto i srebro, powiększające gromadę worków, ukrytych w gabinecie. Nadeszły nakoniec dni skonania, i silna budowa bednarza zaczęła walczyć ze zniszczeniem. Chciał ciągle siedzieć przed kominkiem, na przeciw drzwi od swojej kryjówki. Przygarniał do siebie i skręcał wszystkie kołdry któremi go okrywano, mówiąc do Barbary:—»Schowaj, schowaj i to, żeby mnie nie okradli. Gdy zdołał otworzyć oczy, w których jedynie zachował się ostatek życia, zwracał je natychmiast ku drzwiom gabinetu kryjącym jego skarby i pytał córki: — Są-li tam jeszcze! są-li tam jeszcze? głosem zdradzającym paniczną jego obawę.

—»Są, mój ojcze.

—»Pilnuj złota! połóż złoto przedemną!

Wówczas Eugenia rozkładała przed nim luidory na małym stoliczku i całe godziny wpatrywał się w ulubione dukaty, jak dziecię które zaczynając patrzeć, głupowaty wzrok w jeden wlepia przedmjot; i jak dziecię uśmiechał się do złota.

—»To mnie rozgrzewa! przemawiał niekiedy, i promień uszczęśliwienia błyskał na jego wybladłéj twarzy.

Gdy xiądz wszedł aby mu dać ostateczne namaszczenię, oczy jego na pozór zgasłe od kilku godzin, zajaśniały na widok krzyża, lichtarzy i srebrnéj kropielnicy; wlepił w nie wzrok osłupiały i źrenica jego ostatni raz się poruszyła. A gdy kapłan przysunął mu krucyfix do ust, aby pocałował wyobrażenie zbawiciela, przerażającym ruchem chciał go uchwycić. To ostatnie wysilenie przypłacił życiem. Zawołał Eugenii, któréj już nie mógł dojrzéć, chociaż przed nim klęczała, skrapiając łzami zimne jego ręce.

—»Ojcze! pobłogosław mnie.

—»Daj baczność na wszystko, tam mi zdasz rachunek.... i skonał.

Eugenia Grandet została więc sama w tym opuszczonym domu, niemając nikogo prócz Barbary, coby ją mógł pojąć i zrozumieć; Barbary, jedynéj istoty, która ją dla niéj saméj tylko kochała, z którą mogła mówić o swoich zmartwieniach. Duża Barbara była opatrznością Eugenii. Nie była to już służąca, lecz uległa przyjaciółka.

Po śmierci ojca, Eugenia dowiedziała się od pana Cruchot, że posiada czterykroć sto tysięcy liwrów dochodu z dóbr w obwodzie Saumur; dwakroć pięćdziesiąt tysięcy procentu od papierów; prócz tego gotówki trzy miliony w złocie i sto tysięcy franków w srebrnéj monecie, nie li-

http://rcin.org.pl

cząc w to zaległości, które jeszcze miano wypłacić. Ogólny szacunek jéj majątku, dochodził do dwudziestu milionów.

—»Gdzież jest Karól! rzekła sama do siebie.

Tego samego dnia gdy pan Cruchot zdał swéj klijentce jasny i wylikwidowany rachunek spadku, Eugenia pozostała sama z Barbarą; obie siedziały przy kominku, w owéj pustéj sali, gdzie wszystko było wspomnieniem, począwszy od krzesła z podnóżkiem w którém siadała jéj matka, aż do szklanki z któréj pijał jéj kuzyn.

—»Barbaro, otóż jesteśmy same....

—»Prawda panienko; gdybym wiedziała gdzie jest to ładne dziecko, poszłabym go szukać na własnych nogach.

—»Morze nas rozdziela, rzekła Eugenia.

Gdy tak biedna dziedziczka płakała w towarzystwie staréj sługi, w tym wilgotnym ciemnym domu któren był dla niéj całym światem, nie mówiono tym czasem o niczém, od Nantes aż do Orleanu, tylko o jéj dwudziestu milionach posagu.

Najpierwszym jéj staraniem było, zapewnić Barbarze tysiąc dwieście franków pensyi dożywotniéj, co połączone z sześciuset frankami, które już dawniéj posiadała, uczyniło ją bogatą panną na wydaniu.

Nim miesiąc upłynął, ze staréj panny została żoną Jmci Pana Antoniego Cornoiller, który został nadleśniczym w Froidfond. Pani Cornoiller miała niezaprzeczoną wyższość nad swemi rowiennicami. Chociaż skończyła lat sześćdziesiąt trzy, zdawało się jednak że ma dopiero czterdzieści. Gruba jéj płeć oparła się zniszczeniom czasu. Dzięki klasztornemu jéj życiu w domu Grandeta, żywy rumieniec zdobił jeszcze jéj stare policzki, a zdrowie jéj prawie było żelazne. Może nigdy nie była piękniejszą jak w dzień ślubu. Jéj brzydota wyszła jéj na dobre i pokazała się duża, tłusta, silna, z twarzą promieniejącą szczęściem, tak, iż nie jeden pozazdrościł Cornoillemu.

—»Wygląda jeszcze świeżo: mówił sukiennik.

— Jeszcze obdarzy potomstwem swego mężulka: dodał handlarz soli: zakonserwowała się jakby w śledziowym sosie.

—»Ale jest bogata, dodał trzeci sąsiad, a to grunt.

Wychodząc ze starego domu do kościoła, Barbara lubiona od wszystkich, usłyszała zewsząd najpochlebniejsze powinszowania.

Eugenia dała jéy na podarunek ślubny dwa tuziny sztucców.

Zdziwiony taką wspaniałością, Cornoiller, przemawiał do żony ze łzami w oczach, dałby się rozsiekać za nią. Mężatka, poufała przyjaciółka Eugenii, duża Barbara, była zupełnie szczęśliwa. Miała teraz pod swoim kluczem spiżarnię, mogła ją otwierać i zamykać do woli, i wydawać z niéj co rano, jak niebosżczyk jéj pan czynił niegdyś. Miała pod swoim zarządem dwie służące, kucharkę i młodszą, która naprawiała bieliznę domową i szyła suknie dla panny. Cornoiller pełnił razem obowiązki leśni-

http://rcin.org.pl

czego i kommissarza. Nie warto wspominać, że kucharka i młodsza, na które padł wybór dużéj Barbary, były prawdziwe perły służących.

Tym sposobem, panna Grandet miała czworo domowników duszą i ciałem przywiązanych do niéj. Dzierżawcy nie postrzegli bynajmniéj śmierci starego łakomcy; państwo Cornoiller jak najświęciéj przestrzegali surowych prawideł, które stary zaprowadził w zwyczajach i obyczajach, i wszystko dawnym szło trybem.

VI.

Tak Swiat Idzie.

W trzydziestym roku, Eugenia nieznała jeszcze żadnéj przyjemności życia. Blade i smutne jéj dzieciństwo upłynęło przy matce, któréj serce niepoznane, zgromione, saméj tylko doświadczyło boleści. Umierając, biedna ta matka żałowała córkę że żyć jeszcze musi, i zostawiła w jéj duszy lekką zgryzotę i żal wieczysty. Pierwsza, jedyna miłość Eugenii, stała się dla niéj nieprzebraném źródłem tęsknoty. Ledwie przez kilka dni była widziała swego kochanka i oddała mu serce w dwóch ukradkowych pocałunkach. Przestrzeń całego świata przedzielała go od niéj. Tę miłość wyklętą od ojca, przypłaciła prawie życiem matki, doznała przez nią samych tylko cierpień i nic jéj nie pozostało prócz słabego promyka nadziei. Zapragnęła szczęścia, lecz nadaremnie; straciła siły nie mogąc go nigdy dosięgnąć.

W życiu moralném, podobnie jak w życiu fizycznem, są fenomena oddychania; dusza potrzebuje przyswoić sobie, przelać niejako w siebie uczucia innéj duszy, ażeby jéj potem oddać je, bogatsze jeszcze. Jest to życie serca, bez tego, braknie mu powietrza, cierpi, niszczeje.

Eugenia zaczynała cierpieć. Dla niéj, majątek nie był ani wynagrodzeniem ani pociechą. Żyła tylko miłością, religią i żywą wiarą w przyszłe życie.

Miłość rozwiązywała jéj zagadkę wieczności. Serce i ewangelia przepowiadały jéj świat inny. Dzień i noc zatapiała się w dwóch myślach nieskończoności, które tworzyły dla niéj może jedną tylko całość. Żyła wewnętrznem życiem, kochając i mniemając że jest kochaną. Od lat siedmiu, miłość była dla niéj wszystkiém. Jéj skarbem nie były owe dwadzieścia milionów, których dochody gromadziła z tak niedbałą obojętnością, lecz toaletka Karola, lecz dwa portrety wiszące nad jéj łóżkiem, lecz klejnoty wykupione od ojca, ułożone na wacie w szufladach komody, lecz naparstek ciotki, którym szyła niegdyś jéj matka, któren codziennie ze czcią religijną brała, pracując nad haftem, prawdziwém dziełem Penelopy, przedsięwziętém jedynie aby codziennie kłaść na palec to złoto, tak bogate wspomnieniem.

Nie zdawało się rzeczą podobną do prawdy, aby panna Grandet chciała iść za mąż, przed ukończeniem żałoby. Znano powszechnie jéj szcze-

http://rcin.org.pl

rą pobożność. Familia Cruchotów, której polityką tak mądrze kierował stary xiądz, przestała na tem, iż większemi tylko względy i większą uległością otoczyła nieszczęśliwą dziedziczkę.

Co wieczór zbierało się u niéj towarzystwo, złożone z najzapaleńszych Cruchotinistów, którzy na wszystkie tony głosili pochwały pani domu. Miała domowego doktora, kapelana, damy dworskie, szambelana, pierwszego ministra, kanclerza. Gdyby dziedziczka zapragnęła pazia coby za nią ogon nosił i tego byliby wynaleźli.

Była to królowa, otoczona dworem najzręczniejszych pochlebców. Pochlebstwo jest udziałem małych umysłów, przenikających się niejako powietrzem rozlaném w około celu jedynéj ich żądzy. Pochlebstwo każe się koniecznie domyślać interesowności. Osoby meblujące co wieczór salę panny Grandet, nie zwały ją inaczéj jak panną de Froidfond, i doskonale umiały ją otaczać wonią pochwalnego kadzidła.

Z razu, na ten koncert tak nowych dla niéj pochwał, płonęła się Eugenia; nieznacznie, niezgrabne owe komplementa, tak nazwyczaiły jéj ucho do ciągłych wychwalań jéj piękności, że gdyby kto z nowoprzybyłych nazwał ją brzydką, zarzut ten byłby jéj dotkliwszym teraz, niżeli przed ośmią laty. Polubiła nakoniec pochwały, które składała potajemnie u stóp bożyszcza duszy swojéj. Przywykła stopniami uważać się za królową i dawać co wieczór pokoje.

Pan prezydent de Bonfonds był bohatyrem tego małego grona. Nieustannie wychwalano jego dowcip, postawę, naukę, przyjemność. Jeden czynił uwagę, że od siedmiu lat ogromnie powiększył swój majątek; że posiadłość Bonfonds przynosi najmniéj dziesięć tysięcy franków rocznego dochodu, i podobnież jak wszystkie dobra Cruchotów, znajduje się w obrębie obszernych włości dziedziczki.

—»Czy pani wiadomo, odzywał się jeden z domowych przyjaciół, że Cruchotowie mają przeszło czterdzieści tysięcy liwrów dochodu?

—»A ileż to oszczędzić mogą! dodawała stara Cruchotynitska, panna de Gribaucourt. Niedawno, jeden jegomość z Paryża ofiarował panu Cruchot dwakroć sto tysięcy franków za jego urząd. Sprzeda go zapewne; nie zadługo ma zostać sędzią pokoju.

— »Obejmie po panu Bonfonds miejsce prezydenta trybunału; przedsięwziął już potrzebne środki: odzywała się pani Orsonval, gdyż pan prezydent zostanie nie zadługo konsyliarzem, potém radzcą tajnym; nie zbywa mu na sposobach.

—»O! to bardzo godny człowiek, mówił drugi, jak się pani zdaje?

Prezydent starał się stósować ile możności do roli, którą mu nadano. Chociaż miał już lat czterdzieści, twarz śniadą i odrażającą, zwiędłą zawcześnie, jak to zwykle bywa u prawników, ubierał się jak młodzik, bawił się lekką trzcinką bambusową, nie zażywał tabaki przy pannie de

http://rcin.org.pl

Froidfond, nosił zawsze biały halsztuch i koszulę z gorsem w szerokie fałdy, co go czyniło bardzo podobnym do indyka. Przemawiał poufale do pięknéj dziedziczki i nazywał ją zwykle: *nasza kochana Eugenia.*

Słowem, prócz liczby osób, zamiany loteryjki na wista i prócz nieobecności państwa Grandet, scena od któréj zaczyna się ta historya, była prawie taż sama co i dawniéj. Łaknąca sfora, ścigała zawsze Eugenią i jéj miliony, tylko że dzisiaj sfora daleko liczniéjsza, lepiéj ujadała, lepiéj osaczyła zdobycz swoją. Gdyby teraz Karól przybył z głębi Indyi, byłby znalazł też same osoby, też same poruszające ich sprężyny; gdyż pani Grassins dla któréj Eugenia była doskonałym wzorem wdzięków i dobroci, zawsze miała upodobanie dręczyć Cruchotów. Lecz i teraz jak niegdyś, postać jéj kuzynka, byłaby najcelniejszą ozdobą obrazu, i jak niegdyś, byłby tam panującym władzcą. Uczyniono przecież niejakie postępy. Bukiet ofiarowany niegdyś w dzień imienin Eugenii, przez pana Prezydenta, zamienił się w peryodyczną ofiarę. Co wieczór przynosił bogatéj dziedziczce, wielką przepyszną wiązankę kwiatów, którą pani Cornoiller umieszczała, w porcelanowym wazonie, a gdy się towarzystwo rozeszło, wyrzucała natychmiast na śmiecie.

Z początkiem wiosny, pani de Grassins chciała zakłócić szczęście Cruchotów, mówiąc ciągle Eugenii, o Margrabi de Froidfond, którego podupapła świetność, mogłaby w dawnym zajaśnieć blasku, gdyby dziedziczka raczyła mu powrócić jego dobra, za pomocą ślubnéj umowy. Pani de Grassins rozwodziła się szeroko o parostwie dworu, tytule margrabiny; a biorąc pogardliwy uśmiech Eugenii za zezwolenie, roznosiła wszędzie, że pan Prezydent Cruchot, nie tak daleko zajechał jak mniemają.

—»Chociaż pan Froidfond ma już lat pięćdziesiąt, mówiła; nie wydaje się starszym od pana Cruchot; prawda iż jest wdowcem, ma dzieci; lecz jest margrabią, będzie parem Francyi; a proszę w teraźniéjszych czasach znaleźć podobną partyą. Wiem z pewnego źrzódła, że ojciec Grandet przyłączając do swoich dóbr włości Froidfond, miał zamiar ściśléj połączyć się z Froidfondami. Często mi o tém wspominał.

—»Jakto Barbaro? mówiła pewnego wieczora Eugenia, kładąc się spać—nie pisał ani razu przez całe lat siedem?

Gdy to wszystko działo się w Saumur, Karól dobijał się majątku w Indyach. Sprzedał jak najlepiéj pierwszy ładunek. Wkrótce posiadał sześć tysięcy dolarów. Chrzest równikowy oczyścił go z mnóstwa przesądów; spostrzegł iż najlepszym sposobem rychłego zbogacenia się, był handel ludźmi. Pojechał więc na wybrzeża afrykańskie i kupował murzynów, dołączając do tego handel najkorzystniejszych towarów. Tak czynnie przyłożył się do interessów, iż nie miał ani jednéj chwili wolnéj. Dręczyła go chęć ukazania się w Paryżu, z większym blaskiem niżeli ten, któren utracił.

http://rcin.org.pl

Zwiedził tyle krajów, przetarł się pomiędzy tylu ludźmi i zważył różność ich obyczajów, iż wyobrażenia jego inny zupełnie wzięły kierunek; stał się sceptykiem. Nie rozróżniał już co było sprawiedliwém a co nie, widząc, że brano za występek w jednym kraju to, co w drugim uchodziło za cnotę. Zatopił się całkiem w handlu, serce jego ostygło, ścisnęło się, oschło. Nie wyrodziła się krew Grandetów. Sprzedawał chińczyków, murzynów, gniazda jaskółcze, dzieci, artystów; był hurtowym lichwiarzem. Nałóg przemycania uczynił go mniéj skrupulatnym względem praw ludzkości. Zakupował za lichą cenę, zrabowane towary od zbójców morskich i dostawiał je na miejsca gdzie na nich zbywało.

Jeźli szlachetny, czysty obraz Eugenii, towarzyszył mu w pierwszéj jego podróży, jeśli pierwsze powodzenia swoje przypisywał urocznemu wpływowi modlitw téj łagodnéj istoty, później, murzynki, mulatki, Jawanki, egipskie Almeje, zbytki i przygody krain rozlicznych, zatarły zupełnie wspomnienie kuzynki z Saumur, ciemnego domu, ławeczki, całusa zdobytego w słońce. Pamiętał tylko ogródek otoczony starym murem, gdyż tam rozpoczął się jego awanturniczy zawód: ale wyrzekał się zupełnie swojéj familii. Stryj był w jego oczach starym szachrajem, który od niego wyłudził klejnoty; Eugenia nie zajmowała ani jego myśli ni serca, miała tylko styczność z jego interessami, jako wierzycielka, któréj był winien sześć tysięcy franków.

To było przyczyną milczenia Karóla. Przez cały ciąg swego awanturniczego zawodu, nazwał się był *Chippart*, aby nazwiska swojego nie narażał na niesławę i mógł bez przeszkody pokazywać się śmiałym, niespracowanym, łakomym i, jako człowiek chcący zrobić majątek *jakąkolwiek bądź drogą*, nie wzdrygał się na jak największą sromotę, byleby z nią czemprędzéj rozbrat uczynić i przez resztę życia bydź bydź potém uczciwym człowiekiem.

Przy takim systemacie, zbogacił się bardzo prędko. W 1826 powracał do Bordeaux na okręcie kupieckim. Posiadał 1,600,000 franków w trzech beczkach złota i spodziewał się ciągnąć z nich w Paryżu siedem lub osiem od sta procentu.

Na tym brygu znajdował się także szambelan J. K. M. Karola Xgo, pan d'Aubrion, dobry starzec który był uczynił to głupstwo iż się ożenił z kobietą w modnym świecie żyjącą. Jego majątek znajdował się na wyspach. Rozrzutność żony przymusiła go do sprzedania swoich posiadłości i zostało mu się tylko dwadzieścia tysięcy franków dochodu. Mieli córkę dosyć brzydką, którą jéj matka chciała wydać za mąż bez posagu. Było to bardzo wątpliwe przedsięwzięcie, mimo jéj zręczności. Dla tego też sama nawet pani d'Aubrion wątpiła o jego skutku.

Panna d'Aubrion była osoba długa jak glista, chuda, cienka, z pogar-

http://rcin.org.pl

dliwemi ustami, ku którym spuszczał się nos zbyt długi, gruby przy końcu, czerwony po każdym obiedzie. Nareście była taką, jakiéj sobie życzyć mogła matka, młoda jeszcze i pragnąca wielbicieli. Ale dla równoważenia tych niedogodności, margrabina d'Aubrion dała córce swojéj bardzo szlachetną postawę; za pomocą ścisłéj hygieny utrzymała tymczasowo jéj nos w przyzwoitéj grubości i kolorze; nauczyła ją ubierać się gustownie; uposażyła ją w rozmaite bardzo ładne minki; objawiła jéj tajemnicę tych spojrzeń, które zajmują mężczyznę i wzbudzają w nim mniemanie, iż znajduje anioła upragnionego od tak dawna; pokazała jéj jak powinna wystawiać nóżkę i zwracać uwagę na jéj szczupłość i piękny kształt, w chwili kiedy nos zaczerwieniał się zuchwale: krótko mówiąc, zrobiła z córki bardzo zadowolniający przedmiot. Za pomocą długich rękawów, zwodniczych gorsetów, sukni fałdowanych, otrzymała tak ciekawy produkt kobiecy, iż dla nauki matek, powinna była złożyć go w muzeum.

Karól zaprzyjaźnił się z panią d'Aubrion, która właśnie pragnęła téj znajomości. Razem wylądowali do Bordo i razem pojechali do Paryża. Zręczna kobieta umiała tak zręcznie przyciągnąć Karola do swojéj córki, ułudzić go nadziejami wielkości i tytułów, iż oświadczył się o jéj rękę. Uczyniła mu nadzieje, iż wyrobi postanowienie królewskie upoważniające go do przybrania nazwiska i herbów d'Aubrion; że mu otworzy pole zaszczytów i urzędów.

Karól omamiony temi nadziejami, już wyobrażał sobie przyszłą wielkość swoją. Jego kuzynka znikła zupełnie z jego pamięci. Zobaczył się ze swoją Anusią. Zachęcała go do zawarcia tego związku i przyrzekła iż mu dopomagać będzie. Anusia cieszyła się że Karól zaślubi nudną i szpetną osobę.

Pan des Grassins usłyszawszy o jego powrocie, majątku i bliskiém małżeństwie, przyszedł do niego aby mu wspomnieć o dwuchkroć stu-tysiącach franków, któremi spłacić może długi ojca.

Karól wtedy naradzał się z jubilerem, któremu kazał osadzać brylanty na podarunek ślubny dla panny d'Aubrion. Przyjął pana des Grassins z tym tonem zuchwałym, właściwym młodemu człowiekowi, który już kilka osób zabił w pojedynku. Wysłuchał go ozięble i odpowiedział, nie zrozumiawszy nawet o co idzie.

—»Interessa mojego ojca, nie należą do mnie. Bardzo jestem panu wdzięczny za jego starania. Ale z nich korzystać nie mogę. Nie dla tego zebrałem w pocie czoła, kilkakroć sto tysięcy franków, abym je oddał wierzycielom ojca mojego.

—»A gdyby o ciec pana został za kilka dni ogłoszony bankrutem?

—»Mości panie, za kilka dni nazywać się będę hrabią d'Aubrion, a więc nic mi to nie szkodzi. Oprócz tego, wiesz pan o tém bardzo dobrze, że gdy kto ma sto tysięcy franków do-

http://rcin.org.pl

chodu, nikt się nie pyta, czyli jego ojciec zbankrutował.

I grzecznie wyprawił pana de Grassin za drzwi.

Na początku Sierpnia tegoż roku, Eugenia siedziała na drewnianéj ławeczce w ogródku, gdzie jéj kuzyn wieczną był zaprzysiągł miłość, i gdzie w czas pogodny jadała śniadanie. Biedna dziewczyna lubiła przypominać sobie małe i wielkie zdarzenia miłości swojéj. W téj chwili bryftreger z poczty wszedł i oddał list pani Cornoiller, która przybiegła do ogrodu wołając: — »Panno Eugenio! list!

I oddała go, mówiąc: — » Czy to jest ten którego się spodziewasz?

Te wyrazy zabrzmiały tak mocno w sercu Eugenii, jak w istocie odbiły się między murami ogródka.

—»Z Paryża! to od niego, powrócił.

Eugenia zbladła i przez chwilę trzymała list w ręku. Serce biło jéj tak mocno, iż go nie mogła odpieczętować i przeczytać.

Duża Barbara, stała, trzymając się pod boki, a radość zdawała się wydobywać jak dym przez krysy jéj ogorzałéj twarzy.

—»Czytajże panno.

—»Ach! Barbaro, dla czegóż powraca na Paryż, kiedy był odjechał przez Saumur!

—»Czytaj a dowiesz się.

Eugenia ze drżeniem odpieczętowała list. Wypadł z niego przekaz na *dom Grassins i Corret w Saumur*,

»Moja drogą kuzynko!

Już nie jestem Eugenią! pomyślała i ścisnęło się jéj serce.

Założyła ręce, nie śmiała czytać, łzy stanęły jéj w oczach.

—»Czy umarł? zapytała się Barbara.

—»Nie pisałby, odpowiedziała Eugenia.

I przeczytała cały list jak następuje:

Moja droga kuzynko!

»Z przyjemnością zapewne dowiesz się, iż pomyślny skutek uwieńczył moje przedsiewzięcia. Pieniądze twoje przyniosły mi szczęście; powróciłem bogaty i poszedłem za radą mego, stryja, o którego śmierci doniósł mi pan des Grassins, jako też i o śmierci mojéj stryjenki. Smierć naszych rodziców jest skutkiem praw natury i powinniśmy po nich dziedziczyć. Spodziewam się, iż się już pocieszyłaś. Nic nie zdoła oprzeć się potędze czasu: doświadczyłem tego. Tak jest, kochana kuzynko! na nieszczęście moje czas złudzeń już przeminął. I cóż! Podróżując po licznych krajach zastanowiłem się nad życiem. Z dziecięcia stałem się mężczyzną już dojrzałym. Jesteś wolną moją kuzynko i ja jestem wolnym; nic by nie sprzeciwiało się przywiedzeniu do skutku naszych dawnych zamiarów. Ale moja szczerość nie pozwala mi ukrywać przed tobą stanu moich interessów. Nie zapomniałem że nie należę do siebie; w ciągu długiéj żeglugi pamiętałem zawsze o ławeczce w ogródku....

Eugenia zerwała się jak gdyby rozpalonych węgli się dotknęła i usia-

http://rcin.org.pl

szy na schodach od podwórza, czytała daléj:

»O ławeczce gdzieśmy zaprzysięgli sobie wieczną miłość, o korytarzu, o ciemnéj sali, o moim pokoiku pod strychem, o twojéj szlachetnéj ofierze, która dopomogła mi do mojego zawodu. Tak jest, te wspomnienia ożywiały moją odwagę i mówiłem sobie że myślisz o mnie, tak jak ja myślę o tobie, o umówionéj godzinie. Czyliż wpatrywałaś się w obłoki o dziewiątéj? Tak, nie prawdaż? Dla tego też nie chcę zdradzać przyjaźni tak świętéj dla mnie, nie chcę cię zwodzić. Zamyślam teraz zawrzeć związek, który zadosyć czyni wszystkim wyobrażeniom jakie sobie o małżeństwie czyniłem. Miłość w małżeństwie jest urojeniem. Dziś moje doświadczenie powiada mi, żem powinien ulegać wszystkim prawom i stosunkom towarzyskim. Otoż zachodzi pomiędzy nami wielka różność, która może wpłynęłaby na przyszłość twoją droga kuzynko. Nie wspominam ci ani o twoich obyczajach, ani o twojem wychowaniu, ani o twoim sposobie życią, nie mających żadnego stosunku z życiem paryzkiem i nie zgadzających się z dalszemi zamiarami mojemi.» Zamyślam prowadzić znaczny dom, przyjmować wiele osób, a zdaje mi się, iż lubisz spokojne i skromne życie. Będę szczerym, odkryję ci moje położenie.

Posiadam sześćdziesiąt tysięcy franków dochodu. Majątek ten pozwala mi połączyć się z familią Aubrion, któréj dziedziczka, młoda osiemnastoletnia osoba, przynosi mi w posagu swoje nazwisko, tytuł, miejsce szambelana J. K. Mości i bardzo świetne znaczenie w świecie. Przyznam ci się droga kuzynko, że bynajmniéj nie kocham panny d'Aubrion; ale żeniąc się z nią, zapewniam moim dzieciom bardzo korzystne stanowisko w społeczeństwie; kiedyś mój syn (jeżeli go mieć będę) posiadając majorat z trzydziestu tysięcy franków dochodu, będzie mógł otrzymać znakomity urząd. Powinniśmy poświęcić się dla dzieci naszych. Bydź może, iż także zapomniałaś o naszych dzieciństwach, po siedmiu latach nieobecności; ale ja nie zapomniałem ani twojéj dobroci, ani mego słowa; pamiętam o wszystkich moich przyrzeczeniach, nawet o tych które dałem bez uwagi; pamiętam jeszcze o naszych dziecinnych miłostkach. Czyliż przez to nie czynię ciebie panią mojego losu i nie powiadam ci, że jeźli trzeba wyrzec się moich dumnych widoków, poprzestanę chętnie na tym prostém i czystém szczęściu, którego wystawiłaś mi tak tkliwy obraz.?

Ta! ta! ta! la! la! la! la!..Tan! tan! tan!... śpiewał był Grandet podpisując,

»Twój przywiązany kuzyn

Karól.

»Dalibóg! za bardzo jestem delikatny rzekł. Załączył przekaz i przydał co następuje:

»*P. S.* Przyłączam do mojego listu przekaz na dom pana Grassins, najośm tysięcy sto franków, płatne w złocie, obejmujące kapitał i procenta od summy, którą mi pożyczyć raczyłaś.

http://rcin.org.pl

Z Bordeaux przyjdą mi niektóre przedmioty, ośmielę się ofiarować je kuzynce, w dowód mojéj wiecznéj wdzięczności. Proszę, odeślij dyliżansem toaletkę moją, pod adressem: *do pana Grandet, w pałacu Aubrion.*»

—»Dyliżansem! powtórzyła Eugenia. Rzecz za którąbym tysiąc razy własne życie oddała!»

Przerażająca i zupełna klęska! Okręt rozbił się, nie została ani jedna lina, ani jedna deska, na obszernym oceanie nadziei.

Widząc że są opuszczone, niektóre kobiety wyrywają kochanka z objęć rywalki, dopuszczają się morderstwa, i uciekają na koniec świata, na rusztowanie, lub do grobu. Jnne kobiety pochylają głowę i cierpią w milczeniu, umierające i poddane losowi swemu, płaczą i przebaczają, modlą się i pamiętają aż do ostatniego tchnienia. Jest to miłość, miłość prawdziwa, miłość aniołów, miłość dumna, która życie boleścią swoją i z niéj umiera. Takie było uczucie Eugenii, gdy przeczytała ten list okropny. Spojrzała w niebo i wspomniała sobie ostatnie wyrazy matki, która przy zgonie, przenikającym jasnym rzutem oka, przyszłość przejrzała. Wtedy Eugenia zmierzyła całe przeznaczenie swoje. Nic jéj nie pozostało oprócz modlitwy i oczekiwania, dopóki nie przyjdzie chwila jéj oswobodzenia.

— »Moja matka prawdę mówiła, rzekła z płaczem: »Cierpieć i umierać!»

Powolnym krokiem poszła z ogrodu do sali i mimo swego zwyczaju, minęła kórytarzyk. Ale znalazła wspomnienie Karóla, w téj staréj sali, w téj cukierniczce z porcelany sewskiéj, któréj używała do kawy.

Ten poranek miał bydź dla niéj uroczysty i pełen ważnych wypadków. Barbara oznajmiła przybycie proboszcza parafii.

Proboszcz ten, spokrewniony z Cruchotami, popierał widoki prezydenta de Bonfons; rady jego zmierzały ciągle do tego, aby skłonić Eugenią do zawarcia ślubów małżeńskich. W téj chwili, powtórzył je z nową mocą, i w duchu religijnym.

Barbara oznajmiła znowu przybycie pani Grassins, która przyszła powodowana zemstą i nadzieją.

—»Panno Eugenio! rzekła: Ach! otóż xiądz proboszcz. Przepraszam: widzę że masz ważną naradę.

—»Pani! rzekł proboszcz, natychmiast wychodzę.

—»Tak jest mości xięże proboszczu, rzekła Eugenia, powróć za chwilę, twoja pomoc jest mi bardzo potrzebna.

—»Wiem o tém, moje biedne dziecię! rzekła pani Grassins.

—»Cóż to ma znaczyć? zapytała się panna Grandet i probosz.

— »Czyliż nie wiem o powrocie twego kuzyna, o jego małżeństwie z panną d'Aubrion?

Eugenia zapłonęła się i zamilkła, ale na przyszłość postanowiła udawać tę niezachwianą obojętność, jaką umiał przybrać jéj ojciec.

—»Czytaj panno Eugenio, co mąż do mnie napisał.

http://rcin.org.pl

Eugenia przeczytała list następujący:

»*Moja kochana żono!*

»Pan Karól Grandet przjechał z Indyów; już od miesiąca jest w Paryżu....

—»Od miesiąca!.... rzekła Eugenia, przerywając czytanie.

»...Musiałem dwa razy stać w przedpokoju, nim rozmówić się mogłem z tym przyszłym hrabią d'Aubrion. Chociaż cały Paryż mówi o jego małżeństwie i ogłoszono zapowiedzi....

—»Pisał więc do mnie w chwili, gdy już.... rzekła do siebie Eugenia.

Nie domówiła, nie zawołała jak Paryżanka; »*złotr! hultaj!*» Lecz mimo tego, jéj pogarda nie była mniejszą.

»....To małżeństwo: czytała daléj: może wcale nie dojdzie do skutku; margrabia d'Aubrion, nie odda córki swojéj, synowi bankruta. Przyszedłem oznajmić mu, ile trudów użył jego stryj i ja, dla załatwienia interessów jego ojca; jak zręcznemi sposobami sposobami umieliśmy po dziś dzień wierzycieli trzymać na wodzy: a ten młody zuchwalec śmiał powiedzieć mi, mnie, który od lat siedmiu poświęcałem się dla jego dobra i honoru, *że się nie wdaje w interesa swojego ojca.* Miałbym prawo dopominać się o czterdzieści tysięcy franków wynagrodzenia, to jest o jeden od sta, od wszystkich długów. Ale miejmy cierpliwość; należy się dwa miliony wierzycielom. Ogłoszę jego ojca bankrutem. Wdałem się w tę sprawę, na słowo tego starego dziada, i uczyniłem obietnice w imieniu familii. Jeżeli pan Grandet mało dba o swój honor, ja dbam o mój, i dla tego wytłómaczę położenie moje wierzycielom, a przecież tyle mam uszanowania dla panny Grandet, iż nie będę działał, dopóki się z nią nie rozmówisz....

—»Dziękuję pani, rzekła Eugenia do Pani de Grassins, nie czytając daléj: *zobaczemy.*

—»W téj chwili, głos twój zupełnie jest podobny do głosu nieboszczyka ojca twojego: rzekła pani des Grassins.

—»Pani! odezwała się Barbara, masz nam wypłacić 8100 franków w złocie.

—»To prawda, proszę pani ze sobą. Proboszcz i pani Grassins odeszli. Panna Grandet poszła do gabinetu ojcowskiego i tam cały dzień przepędziła. Pokazała się dopiero wieczorem, gdy zwyczajni goście już przyszli. Wiadomość o powrocie i niedorzecznéj zdradzie Karola, już się rozpostarła po mieście. Lecz odwiedzający nie zadowolnili ciekawości swojéj. Eugenia nie okazała na twarzy żadnego śladu okrutnych wzruszeń, miotających jéj sercem. Umiała przybrać śmiejącą się postać i nieszczęście swoje pokryć zasłoną grzeczności.

Około dziewiątéj skończył się wist, gracze zabierali się do wyjścia. W téj to chwili zaszło niespodziane zdarzenie, które zabrzmiało w całem mieście, ztamtąd w okręgu i doszło aż do czterech okolicznych departamentów.

—»Zostań panie prezydencie de Bonfons, rzekła Eugenia, gdy już się zabierał do wyjścia.

Na te słowa, całe zgromadzenie wzruszyło się mocno. Prezydent zbladł i musiał usiąść.

http://rcin.org.pl

—»Prezydent dostał dwadzieścia dwa miliony: rzekła panna de Gribaucourt.

—»To rzecz jasna! prezydent de Bonfons żeni się z panną Grandet: zawołała panna d'Orsonval.

Każdy odezwał się ze swoim konceptem. Rozwiązywał się drammat zaczęty od lat dziesięciu. Eugenia mówiąc w obec wszystkich do prezydenta aby został, czyliż nie oznajmiała przez to, że chce go obrać za męża? W małych miasteczkach, przyzwoitość mają na tak ścisłym względzie, że przestąpienie jéj w ten sposób, równa się najuroczystszéj obietnicy.

—»Mości prezydencie: rzekła Eugenia ze wzruszeniem, gdy pozostali sami: rady wszystkich moich przyjaciół, a zwłaszcza tego który jest przewodnikiem sumienia mojego, zniewalają mię do pójścia za mąż. Wiem co ci się podoba we mnie. Przysiąż mi, iż zostawisz mię wolną przez całe życie moje, iż będziesz tylko moim przyjacielem i doradzcą, a oddam ci rękę moją.

—»O! mówiła daléj widząc iż zabiera się paśdź na kolana: jeszcze nie powiedziałam wszystkiego. Nie powinnam cię zwodzić panie; nie wygasłe nigdy uczucia żywię w sercu mojém. Przyjaźń będzie jedyném uczuciem, które zdołam ofiarować mężowi. Nie chcę ani go obrażać ani gwałtu zadawać własnemu sercu. Ale wprzódy musisz mi uczynić niezmierną przysługę.

—»Gotów jestem na wszystko: rzekł prezydent.

—»Oto jest dwa miljony kilkakroć sto tysięcy franków, rzekła podając mu papiery. Jedź do Paryża, nie jutro, nie téj nocy, ale natychmiast, w téj chwili. Udaj się do pana des Grassins, zaspokój wszystkich wierzycieli mego stryja, zapłać im i kapitał i procent po pięć od sta, aż do dnia dzisiejszego i weź należyte prawne pokwitowanie. Jesteś prawnikiem, na pana zdaję się w téj rzeczy. Mam pana za człowieka słusznego, zawierzę jego słowu i pod ochroną jego imienia, przebywać będę niebezpieczeństwa życia. Nie zechcesz uczynić mię nieszczęśliwą.

Prezydent, z bijącem sercem od radości i wzruszenia, padł do nóg bogatéj dziedziczki.

—»Będę twoim niewolnikiem! rzekł.

Gdy mieć będziesz pan pokwitowanie: rzekła, oziębłe spojrzenie rzucając na niego: oddasz je z tym listem panu Karolowi Grandet. Za powrotem pana, dotrzymam słowa.

Prezydent zrozumiał iż winien jest rękę panny Grandet przekorze miłosnéj. Dla tego też, pospieszył wykonać jéj rozkazy, żeby się nie pojednali kochankowie.

Po jego odejściu, Eugenia zalała się łzami. Już się wszystko skończyło!

Prezydent zaspokoił wszystkich wierzycieli w imieniu famillii Grandet: co było najbardziéj zadziwiającém zdarzeniem dla kupiectwa paryzkiego.

Gdy już otrzymał pokwitowanie i wynadgrodził starania pana des Grassins, ofiarą pięćdziesięciu tysięcy franków: stosownie do życzenia Eugenii, udał się do pałacu d'Aubrion i zastał Karola w téj właśnie chwili, gdy tenże wracał do siebie przerażony oświadczeniem przyszłego teścia, iż mu nie odda córki, dopóki nie zaspokoi wszystkich wierzycieli ojca swojego.

Prezydent oddał mu najprzód list Eugenii.

Mój kuzynie!

»Pan Prezydent de Bonfons, odda ci pokwitowanie z wszystkich długów mojego stryja. Mówiono mi o bankructwie i pomyślałam iż syn bankruta możeby nie mógł ożenić się z panną d'Aubrion. Tak jest mój kuzynie, do-

http://rcin.org.pl

brze oceniłeś mój umysł i obejście się; nie znam wielkiego świata, nie umiałabym żyć w nim i udzielić ci tych rozkoszy, których tam szukasz. Bądź szczęśliwym podług wyobrażeń towarzyskich, dla których poświęcasz naszą pierwszą miłość. Aby uzupełnić twoje szczęście, nie mogę ci nic więcéj ofiarować, jak honor twojego ojca. Żegnam cię. Zawsze mieć będziesz we mnie wierną przyjaciołkę i kuzynkę.»

«Eugenia Grandet»

Prezydent uśmiechnął się na wykrzyknienie, którego nie mógł powściągnąć ten dumny człowiek, odbierając kwity.

—»Wzajem oznajmiemy sobie nasze ożenienie się, przydał.

—»Żenisz się pan z Eugenią! cieszy mię to: odpowiedział Karól: jest to dobra dziewczyna.

—»Ależ, rzekł uderzony nagłą myślą, jest więc bogata?

—»Miała, odpowiedział prezydent z urąganiem, dwadzieścia i jeden milionów, przed czterema dniami, teraz ma dziewiętnaście.

Karól jak odurzony spojrzał na prezydenta.

—»Dziewiętnaście mili...

— »Dziewiętnaście milionów, tak jest panie. Ja i panna Grandet, miéć będziemy razem 800,000 franków dochodu.

—»Mój kochany kuzynie, rzekł Karól nadrabiając miną, będziemy mogli kierować się razem.

—»Zgoda, rzekł prezydent, oprócz tego mam oddać tę szkatułeczkę do własnych rąk pana.

I położył na stole toaletkę.

—»No! mój kochany przyjacielu: rzekła margrabina d'Aubrion wchodząc bez zwracania uwagi na pana Cruchot: nie troszcz się o to co powiedział ten biedny pan d'Aubrion. Nabitą ma głowę niepotrzebnemi rzeczami. Powtarzam ci, nic nie przeszkodzi twojemu małżeństwu.

—»Tak jest, nic: odpowiedział Karol: trzy miliony długu mojego ojca już są zapłacone.

—»Gotowizną? rzekła.

—»W całości, kapitał i procent.

—»Co za głupstwo! zawołała. Któż jest ten pan? szepnęła do ucha przyszłego zięcia, postrzegając pana Cruchot.

—»Mój plenipotent, odpowiedział po cichu.

—»Dumnie ukłoniła się panu de Bonfons i wyszła.

W trzy dni po powrocie z Paryża, pan de Bonfons ogłosił swoje małżeństwo z Eugenią, a w sześć miesięcy po tém, został członkiem sądu królewskiego w Angers.

Przed wyjazdem z Saumur, Eugenia kazała stopić klejnoty, przez tak długi czas drogie dla jéj serca i z nich, jako też z ośmiu tysięcy franków, które jéj był Karol odesłał, kazała zrobić kadzielnicę złotą i darowała ją parafialnemu kościołowi.

ZAKOŃCZENIE.

Pan prezydent de Bonfons (zagładził nareście swoje stare nazwisko Cruchot) nie zdołał przywieśdź do skutku dumnych marzeń swoich; umarł w osiem dni po tém, gdy został deputowanym z Saumur.

Bóg, który widzi wszystko i nigdy bez powodu nie karze, ukarał go zapewne za wyrachowanie z jakiém był ułożył intercyzę i mocą któréj *małżonkowie zapisali sobie wzajemnie, na przypadek gdyby nie mieli dzieci, cały swój majątek.*

Eugenia obdarzona tą przenikliwością, którą przez długie rozmyślania nabywamy i nawykła do nieszczęścia, wiedziała że prezydent pragnie jéj

http://rcin.org.pl

śmierci aby sam ogarnął ten niezmierny majątek, powiększony jeszcze dziedzictwem po notaryuszu i xiędzu Cruchot. Opatrzność pomściła się za tę obmierzłą rachubę.

Bóg rzucił więc massy złota niewolnicy swojéj, dla któréj złoto było rzeczą obojętną, która wzdychała do nieba, żyła pobożna, dobra, świętemi zajęta myślami i skrycie wspierała nieszczęśliwych.

Pani de Bonfons, owdowiała w trzydziestym siodmym roku życia, posiadając dwadzieścia pięć milionów majątku, piękna jeszcze, ale tak, jak jest piękną kobieta koło czterdziestego roku życia. Jéj twarz jest biała, spokojna, głos poważny i słodki, obéjście się proste. Posiada całą szlachetność boleści, świętość osoby, któréj nie skaziło zetknięcie się ze światem, ale i sztywność staréj panny, oraz drobiazgowe zwyczaje prowincyonalnego życia. Mimo 1,100,000 fr. dochodu, żyje tak jak żyła biedna Eugenia Grandet, każe palić ogień w sali wtenczas, kiedy jéj ojciec pozwalał go zapalać i gasi go w tymże samym czasie co i dawniéj. Ubrana jest zawsze tak, jak ubierała się jéj matka. Jéj dom w Saumur, ciemny, zimny i smutny, jest obrazem jéj życia. Troskliwie zgromadza swoje dochody, i możeby oskarżono ją o skąpstwo, gdyby tych zbiorów nie używała szlachetnie. Pobożne i miłosierne zakłady, szpital dla starców i szkółki chrześciańskie dla dzieci, biblioteka publiczna bogato uposażona, odpowiadają na zarzuty, uwłaczające dobroci jéj serca. Powszechnie wzbudza religijne uszanowanie. To szlachetne serce które biło tylko dla najtkliwszych uczuć, musiało więc uledz rachubom interessu! Pieniądze musiały udzielić zimnéj barwy swojéj, temu boskiemu życiu i wzbudzić w niéj nieufność dla własnych uczuć.

— »Ty sama jedna kochasz mię, mawiała do Barbary.

Ręka téj kobiety goi tajemne rany wszystkich rodzin. Wielkość jéj duszy, zagładza drobiazgowość jéj wychowania i zwyczajów. Takie jest życie téj kobiety, która nie jest z tego świata, która stworzona aby wspaniale była małżonką i matką, nie ma ani dzieci ani rodziny!

To zakończenie musi zawodzić ciekawość; tak dzieje się ze wszystkiemi prawdziwemi zakończeniami. Tragedye i dramata rzadko zdarzają się w przyrodzonem życiu. Powieść ta jest niedokładną kopią kilku zapomnianych stronnic w wielkiéy xięgze świata. Każdy powiat ma swojego Grandeta. Autor mógł przesadzić niektóre jego rysy, źle wydać swoich ziemskich aniołów. Ale nie odmówcie mu wyrozumiałości waszéj. Autor, młody jeszcze, mniema że kobieta jest najdoskonalszą ze wszystkich istot. Ostatnie dzieło rąk Stworzyciela, bardziéj niż wszelkie inne, powinna wyrażać myśl boską; jest przechodnim utworem pomiędzy mężczyzną i aniołem. Widziemy że jest tak mocną jak mężczyzna i tak delikatnie pojętną przez uczucie, jak anioł. Czyliż nie trzeba było połączyć w niéj te dwie natury, aby mogła przy sercu swojém nosić przyszłe plemie człowieka? Dziecię nie jestże dla niéj całą ludzkością?

Między kobietami, Eugenia Grandet będzie może wzorem poświęcenia się, rzuconego pośród burz tego świata, a które wśród nich ginie, jak ta szlachetna statua, uniesiona z Grecyi, która podczas przewozu wpada w morze i tam na wieki pozostaje zgubiona.

Artykuł, do którego należy rycina Krajobraz, będzie w następującym zeszycie.

---

http://rcin.org.pl

WSPOMNIENIA PODRÓŻY.

PÓŁNOCNA EUROPA.

(z Angielskiego)

Wielkie prawo równoważenia, skutkiem którego ludy południa i północy, przesyłają sobie wzajemnie oświatę, nie zmieniło się i za dni naszych. Północ, która po wszystkie czasy, najpóźniéj oswajała się z cywilizacyą, zdaje się bydź od wieków przeznaczoną na jéj wydoskonalenie, nadanie jéj większéj mocy i potęgi, skupienie niejako całéj massy promieni i odsyłanie ich potem spóźnionemu południowi, kolebce, gdzie powstał pierwszy popęd, lecz nie dosięgnął szczytu doskonałości.

Zdaje się że to zjawisko jest skutkiem konieczności. Znachodzimy go wszędzie: na wielkiéj, rownie jak na małéj skali, cechuje dzieje starożytne i tegoczesne. Pierwszy promień błysnął z Indyi, może nawet z Chin, przebiegł Assyryą, Fenicyą, Judeę, Persyą, przesunął się brzegiem Azyi mniejszéj, ugodził Grecyę jakby iskrą elektryczną i ciągle dążąc ku północnemu zachodowi, przeniknął nakoniec w Auzońskie pustynie. Zasługuje na uwagę, że ostatnie krainy do których dosięgnął, przyjmując cywilizacyą już przez inne wypracowaną ludy, światło zwiększone i bogate promieńmi które przyswoiło sobie po drodze, coraz wydoskonalające się kunszta, naukę postępem lat zwiększoną, odznaczające zachowały pierwszeństwo nad pierworodnemi oświaty krajami.

Tak płynęła oświata z południa ku północy, wyżłobiając sobie coraz szersze, głębsze łożysko, nie tracąc ani kropli wód swoich, owszem zwiększając i gromadząc je bezprzestannie, w miarę, jak w hołdzie zlewały się w jéj łono, wszystkie udoskonalenia umysłu ludzkiego.

W późniejszych wiekach toż samo postrzegamy. Rzym, Bizancyum, ucywilizowane przez Greków, cywilizują Gallią, Brytanią, Germanią, aż do wysp północnych osłonionych Cymeryjską ciemnotą. Swietność Hiszpanii pod Arabami, Prowancyi w średnich wiekach, obudza nowe poetyczne życie w Europie. Belgia, środkowa Gallia, były barbarzyńskiemi w porównaniu owych krain; Anglią jeszcze grubsza kryła niewiadomość. Wieki upłynęły; północ i południe zmieniły swoje role. Północ tak dobrze skorzystała z nauk południa, iż je przewyższa we wszystkiem. Krainom północnym dostał się teraz w udziale przemysł, w najdowcipniejszém, najbardziéj zadziwiającém rozwinięciu; owładnął nawet piękne sztuki i kształci je z większą znajomością i mocą, jeśli nie z natchnieniem i wdziękiem południa. Muzyka należy wyłącznie do Niemiec; snycerstwo znalazło aż przy krańcu ucywilizowanéj Europy, w Danii, najsławniejszego czasów naszych sztukmistrza, Tordwalsena. Skandynawia i Finlandya, przez jeograficzne położenie, ostrość klimatu, srogość zlodowaciałej natury, zdawały się

http://rcin.org.pl

stawiać oświacie nieprzezwyciężoną zaporę. Jednakże Szwecya, Norwegia, Dania, Islandia, bardziéj się dzisiaj posunęły w cywilizacyi, niżeli niektóre prowincye Hiszpanii lub Włoch. Rząd ich bardziéj jest umiarkowany, bardziéj ojcowski; pojęcie dzielniejsze, bardziéj rozwinione; gminne podania nie tak dziwaczne i większą tchnące moralnością. Cywilizacya więcéj tam wydała pożytecznych owoców, mimo niepłodności gruntu, dzikiéj i starodawnéj surowości obyczajów, mórz zlodowaciałych i długiego pasma ostrych skał i olbrzymich granitów, najeżających samotne ich wybrzeża. W tegoczesném poruszeniu ruchu ludów, narody te postępowały zwolna, rozsądnie, stałym i dzielnym krokiem. Nie obalały tronów, nie niszczyły państw. Wielu teraźniejszych wędrowników zwiedziło te krainy. Pożyczymy od nich ciekawych, niekiedy zajmujących obrazów, godnych tego aby zwróciły uwagę owéj południowéj Europy, któréj się zdaje że tak znaczne czyni postępy, i niespokojną działalność swoją za nowe poczytuje zdobycze.

Ludy mniéj świetne na pozór, większym krokiem posunęły się do prawdziwéj towarzyskości. Szwecya naprzykład, używa pomyślności do takiego posunionéj stopnia, jakiego bynajmniéj spodziewać się nie można było po jéj dzikim i ostrym klimacie. Grunt złożony z obszernych brył granitu, odzianych lekką powłoką roślinnéj ziemi, przerznięty międzymorzami, lub obszernemi jeziory, oto cały jéj krajobraz; a jednakż smutny ten zakąt, zapomniany od reszty Europy, wzniósł się do bytu daleko lepszego, niżeli go południowe jéj części kosztują. Moralnemu ucywilizowaniu swéj ludności raczéj, niżeli handlowi i przemysłowi, winna ten ogół szczęścia, któren jéj wszyscy podróżni przyznają. Przemysł rękodzielniczy zbyt małą tam korzyść przynosi; handel bynajmniéj nie ma ruchu i życia. Ale wszystkie sprężyny moralne nie są tam zerwane; znachodzi się jeszcze wiara, ufność, gościnność; lud wydoskonalił się bez zepsucia: nie unosi się ową nienasyconą, nieograniczoną żądzą próżności i zaszczytów, ani szalonemi, uwodzącemi teoryami, obiecującemi narodom niepodobne do osiągnienia szczęście, a zniechęcającemi do teraźniejszego stanu.

Bardzo jest przyjemną dla podróżnego, grzeczność niższych klass w Szwecyi, grzeczność, która nie ujmuje bynajmniéj dzielności charakterowi, mocy zdaniu, i niepodległości moralnéj. Gdy wiosna wróci w lodowate strefy, gdy fioletowa trawa, cienka powiewna trawa północy, rościele kobierce swoje po wzgórzach i łąkach Szwecyi, podróżny spostrzega zbiegające się do każdéj rogatki, po wysypanéj drobnym piaskiem drodze, tłumy złotowłosych rumianych dzieci, które z uśmiechem otwierają zaporę i oświadczają wdzięczność za lekkie wynagrodzenie, w ujmujących łagodnych wyrazach. Porównajmy owe nadobne dzieci, z oszpeconemi, zgrzybiałemi, nieznośnemi, hardemi dzie-

http://rcin.org.pl

ci, zapełniającemi ulice naszych miast wielkich. Dziedziczne piętno występku i rozpusty, cechuje zwiędłe ich czoła; zestarzały się nie będąc jeszcze dziećmi.

Te obyczaje, które przyjąwszy cywilizacyą, pozostały jednak wieśniaczemi, niezmiernie zajmują i zamieniają w rzeczywistość sielanki poetów. Po wszystkich karczmach i chatach, pułap jest z desek woniejącéj sosny. Przyozdabiają go kwiatami; zwyczaj ten zachował się nawet po miastach.

Porządnie zbudowane domy, wszystkie prawie malowane, w których jaśnieje porządek i czystość, mile pieszczą oko podróżnego; prawda, iż częste pożary zbyt drogo każą okupywać tę zaletę. Wewnątrz zwykle nie ma zbytku, lecz panuje świeżość prawie do powabności zbliżona. Podług dziwnego zwyczaju, którego początek niewiadomy, łóżka szwedzkie są niezmiernie wązkie: są to kanapy, lub raczéj trumny, tak tylko szerokie, iż ledwie pomieszczą śpiącego.

Szwecya pełna jest harmonijnych sprzeczności: drogi zakreślone przez wszystkie nierówności gruntu, prawie zawsze starannie piaskiem wysypane, czyste jak aleje angielskiego ogrodu, ukrywają w swych zagięciach co raz zmieniające się obrazy. Za każdym krokiem przyjemne zadziwienie: tu pochylone głazy, nadające krajobrazowi podobieństwo do utworów Salwatora Rozy. Owdzie, dolina się roztwiera i ukazuje zachwyconemu oku obszerne płaszczyzny jedwabnéj zieloności; tu znowu staro-żytne drzewa chyląc się w sklepienie, w głębokiéj ciemności pogrążają wędrowca. Postępujesz wdzierając się na górę, któréj piaszczysta pochyłość przypomina południową Europę; to znowu spuszczasz się w cienistą i tęskną dolinę, w głębi któréj zielonawe jezioro, rozciąga martwe fale, po nad któremi chylą się obszerne brzozy, oświecone srebrnym blaskiem słońca téj zimnéj krainy. Tak więc okolice, które sama natura zdaje się wydziedziczać, mają jednak piękność swoją, swój blask i wdzięki.

Często napotyka się kształtne domeczki, nagromadzone jedne nad drugiemi, jak komórki w ulu; sztachety czerwone lub zielone otaczają te powabne grupy, lub te wysepki, których budynki napiętrzone jak jagody na winogronie, dziwny dla cudzoziemca przedstawiają widok. W niektórych okolicach Szwecyi, malują domy czerwono; w innych stawiają je na samych wierzchołkach skał. Wejdź do tych chat: wszędzie jaśnieje czystość, nigdzie nie widać zbytku; szanowny biało włosy starzec, z długą fajką, okolony wonnym obłokiem; śliczne miluchne dzieci, chwytają cię za rękę i całują skoro tylko wejdziesz. Najgłówniejszą cechą owych północnych ludów jest, zupełna spokojność w zwyczajach i obyczajach. Gdy nadejdzie niedziela, zobaczysz gościniec okryty wieśniakami, w długich błękitnych surdutach, w najbielszéj bieliźnie, towarzyszących żonom do kościoła. Żadnéj zbytniéj żywości, żadnego trzpiotactwa nie widać w ru-

http://rcin.org.pl

chu i ułożeniu wszystkich tych osób. Powaga zdaje się im nadawać piętno układności i wyższości; nic nie zbliża się tyle do dobrego tonu, ile spokojność, prostota i naturalność. W karczmach zupełna cichość panuje; dwustu wieśniaków zgromadza się niekiedy, a podróżny odgadnąć nie może ich obecności, gdyż najmniejszy szelest ciszy nie zakłóca. Jeśli przypadkiem zdarza im się upić, to zawsze z równąż powagą; nie porównane w sztuce pijackiéj, postępują z całą wspaniałością senatorów ważących losy narodu. Stoją z dzbankiem w ręku, w upojeniu poważném, podobniejszém do pracy niż zabawy. Nie lubiąc tracić równowagi, a szczególniéj tego pozoru surowego rozsądku, za granicą którego nie może istnieć powaga podług ich mniemania, gdy już czują że są zupełnie pijani, gromadzą się, wspierając jedni drugich, pijąc ciągle, i stawiając przeciw bachusowym szałom, połączoną massę własnych ciał i ciężkości.

Wyśmienite utrzymanie dróg, czyni podróż łatwą i nie kosztowną. Ładne maleńkie koniki, szczególnéj rasy, kształtne i pełne ognia, unoszą podróżnego. Z szybkością błyskawicy, pną się na góry najspadzistsze. Rzadko potrzebują bicza. Mowa właściwa woźnicom szwedzkim, zależąca na klaśnięciu ustami i przedłużony szmerze naśladującym r, r, r, dostatecznie je podnieca. Najmniejsze konie, zwane Helandzkiemi, gdyż pochodzą z wyspy Heland, mają ledwie cztery stopy wysokości; podobniejsze są raczéj do psów mających kształt koni, niżeli do koni prawdziwych. Widziałem prześliczne koczyki dziecinne, ciągnione temi Lilipuckiemi końmi, które zwykle bywają ciemno-jabłkowate. Zwykle przed powozem pędzi goniec zwany Foerbud, i zamawia konie po drodze. Oddaje pocztmistrzowi kartę drukowaną, z podpisem podróżnego, gdzie wymieniony jest jego tytuł, nazwisko, miejsce dokąd jedzie i liczba żądanych koni. Trzeba na przód skreślić plan podróży, a potém nie można go odmienić. Te drukowane bilety zaciągają w rejestra, aby służyły za dowod dla policyi, która rozsyła inspektorów po wszystkich gościńcach, gdy chodzi o jakie śledztwo sądowe. Szwedzi umieją wprawdzie uwalniać się od tego przykrego warunku i wolą czekać na konie, lub brać takie jakie się znajdą, niżeli znosić ów rodzaj przymusu, któremu mniéj świadomi lub obcy podróżni ulegają.

Teraźniejszy król, Karól Jan Bernadotte, jak najlepiéj urządził całą administracyjną część rządu Szwedzkiego. Nie zmieniwszy bynajmniéj wieśniaczego stanu, dziedzicznéj prawości, ani prostoty obyczajów, które znalazł w kraju gdzie przybył objąć rządy, starał się udoskonalić wszystkie materyalne sprężyny, bogactwa i pomyślności publicznéj. Jest to prawdziwy król polepszyciel.

Mając już lat dzisiaj siedemdziesiąt, Bernadotte, (gdyż lubiemy go nazywać tém chlubném dla niego imieniem) zachował całą czerstwość dojrzałego wieku. Zdaje się, że jest praw-

http://rcin.org.pl

dziwie stworzony na rozkazywanie ludom; orle jego oko, błyszczące po nad garbatym wystającym nosem, co mu nadaje jeszcze większe podobieństwo do tego drapieżnego i tryumfalnego ptaka, bynajmniéj nie straciło ognia, jaki go niegdyś ożywiał. Las czarnych włosów, których wiek ubielić nie śmié, spływa mu na barki; ani jednéj zmarszczki nie ma na wyniosłém jego czole, prawdziwie utworzoném do dźwigania korony. Nie posunąwszy się do tego stopnia popularności, którego Francuzi zdają się wymagać, posiada powszechne przywiązanie. Przystęp do niego łatwy; spotyka w przechodzie swoim, twarze szczęśliwe i uśmiechające. Mówi mało, lecz jego przyjacielski i wymowny lakonizm, podoba się narodowi. Dziwne prawdziwie przeznaczenie człowieka, zrodzonego w południowéj Francyi i zbiegiem osobliwych zdarzeń wyniesionego na tron Skandynawski! Gwałtowną gorączkową czynność do któréj przywykli Francuzi, dzielny wojownik musiał zgiąć do niewzruszoném spokojności i surowéj prostoty kraju, któren się rządom jego powierzył.

Najciekawszą do postrzeżeń okolic Szwecyi, jest Dalekarlia, kraina dzika, rzadko tam zabłądzi podróżny, a sami Szwedzi zbyt mało ją znają. Charakter otwarty, śmiały, mocny, siła atletyczna, wielkie uszanowanie dla prawa i urzędników, odznacza Dalekarlczyka. Gdy gubernator przejeżdża, wiedząc jakie miejsca przebywać ma w nocy, najstaranniéj oświecają drogę pochodniami. — Dalekarlczykowie są przemyślni, każda prawie wioska posiada właściwy sobie przemysł. I tak, wieśniacy Mory i Ornoesu, robią bardzo ładne zegary; mieszkańcy Hemory słyną z narzędzi żelaznych; Elfeldu robią wyśmienite tkackie płochy. Chociaż zbyteczna ludność okrywa przestrzeń nieurodzajnego gruntu, któren odmawia im niekiedy najpotrzebniejszych płodów, pracowita oszczędność i wstrzemięźliwość tego ludu, wspiera go mimo surowości natury. Żaden wieśniak dalekarlijski nie potrzebuje szewca, krawca, ani mularza. Każden sam robi co mu potrzeba: jednakże, gdy nadejdzie tęga zima i nieurodzaj, biedny włościanin musi suszyć i trzeć korę drzew, i przymięszawszy do niéj nieco mąki, chleb z niéj wypiekać. Wymieniają rozczulające dowody ich gościnności, właściwéj pierwotnym tylko ludom. Dalekarlijczyk wychodzący w pole, zostawia na ławeczce przy drzwiach, klucz od spiżarni, ażeby wędrownik w czasie niebytności gospodarza, mógł znaleść spoczynek.

Osobliwy ten lud, szczególną odróżnia się fizyonomią, świetnym i dzikim strojem, niezmienionym od pięciu wieków i zamiłowaniem starodawnych obyczajów, niewłaściwym żadnéj europejskiéj kranie. Mówi starą Skandynawszczyzną, językiem *Runnów*. Przestawanie obu płci ze sobą, jest tam zupełnie wolne, i tak w wiosce Mora, młodzieńcy i dziewczęta zgromadzają się dwa razy na tydzień w stodole; rodzice nie przewodniczą tym zgromadze-

http://rcin.org.pl

niom. Szczapy smolnéj sośniny oświcają ten wiejski salon; dziewczęta tkają i przędą podczas gdy chłopcy rozmawiają; zebranie to późno w noc się przedłuża. Upewniają że małżeństwa w Dalekarlii są najprzykładniejsze, i że ta swoboda bynajmniéj nie szkodzi czystości obyczajów. — Roku 1715, mieszkańcy najdzikszego, najnieurodzajniejszego zakąta Dalekarlii, odkryli źródło jeśli nie bogactwa, to przynajmniéj dostatku. Biedni ci ludzie, których zimne nocy, grunt jałowy, skały odarte z roślinnéj ziemi, tak często na głód wystawiały, którzy drzewa odzierali z kory, aby wyżywić żony i dzieci, odkryli minę porfiru, któréj wspaniałe płody po całéj rozchodzą się Europie, i zasługują na jak największe upowszechnienie. — Mleczarnie, apteki, fabryki zegarów, powinnyby częściéj używać tego materyału, którego twardość opiera się kwasom, gdy tymczasem marmur uszkadza się nietylko od octu, ale nawet od mleka. Moździerze apteczne, nalewki, wystawy kominków, bardzoby skorzystały, gdyby używano tego kamienia tak świetnego dla oka, tak pięknego przez swój polor i żywe centki, tak wytrwałego na działania czasu i wszelkie gryzące płyny.

Zbrodnia zabójstwa nieznaną jest prawie w Szwecyi; sam widok pistoletów, które europejscy podróżni za niezbędne sądzą w podróży, trwogą przeraziłby całą wioskę. Szwedzi jednakże są z przyrodzenia odważni, grzeczni chociaż prości, bardzo ich dziwi obejście Anglików, którzy od pięćdziesięciu lat jak wiadomo, przejęli się pychą, oziembłością i nieużytością. Podróżny angielski, wchodzący w miejsce publiczne, z nakrytą głową, uważany jest jak dzikie zwierze, niestworzone bynajmniéj do towarzystwa. Wrodzona powolność Szweda, zgadza się z tą poważną grzecznością i tą zimną krwią, które go na chwilę nie opuszczają. Małżeństwa zgodne, wielkie zamiłowanie życia domowego, mało hałaśnych uroczystości i zalotów, towarzystwa pozbawione ruchu, świetności i płochości francuzkiéj, wystawności, wymuszonéj etykiety i zarozumiałéj próżności angielskiéj; oto są szczególne cechy spokojnéj cywilizacyi, która chociaż nie przedstawia dramatycznych obrazów namiętności, daje jednak sposobność kosztowania szczęścia i dobrego mienia.

Ta oziębłość obyczajów i temperamentu, wpływa na przeznaczenie kobiet, które jest bardzo dziwaczne w Szwecyi. Pomiędzy gminem, poufałość mężczyzn i kobiet bynajmniéj nie jest uważana za występną nieprzyzwoitość. Piękne wieśniaczki szwedzkie tak są wolne w obejściu, że nie zastanawiający się podróżny mógłby myśleć, że zwiedza lud najbardziéj zepsuty na całéj ziemi. Kobiety od młodości służą za pocztowych faktorów, kommissantów, pocztylionów, kawiarki i łazienniczki. Przybywasz w nocy na stacyą, młoda płowowłosa dziewczyna, z najpiękniejszą twarzyczką, ubrana leciuteńko, zale dwie mająca czas zarzucić spódnicz-

http://rcin.org.pl

kę, siada przy tobie w powozie, chwyta za cugle, powoduje końmi i zapuszcza się wraz z tobą w najsamotniejsze lasy. W Sztokolmie, dandy angielski żąda kąpieli: przysposabia ją w jego oczach jedna z owych dziewic północnych. Nadzwyczajna piękność i świeżość młodziuchnéj dziewczyny i zupełna obojętność jaką mu okazuje, są dla podróżnego nierozwiązaną zagadką.

W stanie miejskim i wyższych klassach, jak najsurowiéj przestrzegają przyzwoitości, zalotność nawet jest rzadką, nadzwyczajna skromność i niezmienna łagodność, znamionuje kobiety Szwedzkie. Szwedki, ze wszystkich niewiast północnych posiadają najwięcéj piękności i wdzięków. Wysmukłe i powabne, dalekie są od owéj rubaszności i ciężkich kształtów, które tak często znachodzą się w krainach północnych. Kibić ich jest szczupła, przepyszne jasno-blond włosy, płeć dziwnéj białości i ruszenie zgrabne, przypomina ułożenie Polek. Wypada dodać, że pospolite kobiety, są w ogóle piękniejsze niżeli damy i mieszczanki. Ten dziwny i podwójny rezultat z jednegoż wypływający źródła, powinienby zająć uwagę filozofa. Szwedki z klass wyższych, żadną żywszą niezniewolone namiętnością, żadnym potężniejszém złudzeniem, zachowały najdoskonalszą czystość obyczajów. Szwedki z niższego stanu, dzięki téj saméj obojętności, nie przywiązują się nigdy do jednego wszechwładnego uczucia, nigdy gwałtownych nie doznają wzruszeń i zachowują ciągle tęż samą prostotę i łatwość w obejściu.

Sztuka gastronomiczna, chociaż nie doszła do wysokiego udoskonalenia, bardzo jednak jest ceniona, podobnie jak we wszystkich północnych krajach. Nim siądą do stołu, zastawiają na małym stoliczku, okrytym białym obrusem, przedwstępne jadło, zwykle składające się ze śledzi, rzodkwi, kawiaru i zakropione kilku kieliszkami koniaku i rumu. Ich obiad pewnie wyda się dziwny naszym współziomkom. Zupę, która jest zwyczaynie czystym tylko rosołem, dają nie na początku, lecz w środku uczty; pływają po niéj gałązki kopru i rodzenki. Potém ciągnie się długi szereg potraw, przyprawnych prawie zawsze cukrem. Kładą cukier do rosołu, piwa, nawet sałaty; mięszają go z pieprzem, octem, z każdym korzennym sosem. Południowy Europejczyk, widząc ciągle na stole cukierniczkę, z któréj nieustannie czerpają, z całéj duszy żałuje paryzkich i londyńskich obiadów. Jak gdyby dla wynagrodzenia, jadają w Szwecyi kilka razy na dzień. Życie ich zdaje się bydź podzielone na stacye gastronomiczne. Budząc się, widzisz przed sobą na małym stoliczku kawę, masło i bułki. O jedenastéj, jedzą na drugie śniadanie chleb z masłem, szynkę, kawiar, ryby wędzone lub solone, przytém dają wódkę. Obiad bywa o drugiéj. O czwartéj przynoszą kawę. O szóstéj następuje lekki podwieczorek; nakoniec o dziewiątéj wieczerza, któréj główną potrawą jest piwo gorące ze śmietaną

http://rcin.org.pl

i syropem. Zwyczaj toastów zachował się w Szwecyi z patryarchalną prostotą. Ile razy jaki biesiadnik pije za twoje zdrowie, musisz także koniecznie wychylić czarę do dna. Tak więc, jak mówił młody Hamlet: »Przypuśćmy że dwudziestu biesiadników, uraczy cię tą grzecznością, znajdziesz się w wielkim kłopocie, chyba że bardzo jesteś wprawny, a zwłaszcza iż szklanki szwedzkie są niezmiernie szerokie i głębokie.» Pomiędzy mieszczanami, zachowuje się dawny zwyczaj całowania w rękę obok siedzącéj damy. Konsumcya mięsa jest daleko większa w Sztokolmie, niżeli w innych mniéj ku północy leżących krajach.

Ogromna ta granitowa skała, zaludniona pierwotnie rodem Finów, a przez Germańskie plemiona późniéj ucywilizowana, ta Szwecya tylu domowemi szarpana niezgody, doszła jednak do wysokiego stopnia pomyślności; rzadko tam widać żebraków. Jest to jedyny kraj w Europie, gdzie ludność miast w stosunku ich obszerności, jest bardzo mała. Na trzech milionach mieszkańców, trzykroć sto tysięcy mieszka po miastach. Może to jest przyczyną dobrego bytu, któren o niemożność obwiniać się zdaje, wygórowaną oświatę naszą.

W Szwecyi nie ma ani śladu téj organizacyi gminnéj, która owładnęła Anglią; nie masz tam żebractwa, które rozkazuje, wymaga i niszczy, ludność, mniéj szybko zwiększająca się jak w krajach ciepłych, dochodzi nie znając prawie chorób, do późnéj starości.

Klima surowe i łagodne zarazem, osłonione łańcuchem, a raczéj wałem gór otaczającym Szwecyą, nie odznacza się tą siłą żywotną i roślinną, właściwą południowi; cechuje go pogoda prawie ciągła, czysta atmosfera, któréj prawie nigdy piorun nie wstrząsa, miły blask słońca, udzielający rolnikowi szesnaście do ośmnastu godzin do pracy. Zima, zaczyna się właściwie w Grudniu; już tęga w samym początku, przedłuża się do pierwszych dni Kwietnia, czasami Maja a nawet i Czerwca. Zaledwie pierwszy wiośniany powiew skruszy lodową powłokę, którą ziemia była okryta, roślinność nagle się ukazuje: wszystko się w mgnieniu oka przeistacza. Długo uwięzione wody, lecą z szumem i bystrością; sok gwałtownie wbiega w gałązki, przekształca się w liście, potém w kwiaty. Piękna jesień, odznaczająca się wspaniałym i dziwacznym odcieniem widoków horyzontu, następuje po szybkiém, lecz niezmiernie gorącém lecie. Gdy zima wróci, przemysł któren niczego nie zaniedbał aby srogość jéj złagodzić, chroni wieśniaka, również jak miast mieszkańca, przed dokuczającym mrozem. W krainach umiarkowanych, zbyt mało zadajemy sobie starań, aby ubezpieczyć się przeciwko jéj napaści. Dom Szwedzki tak jest zbudowany, iż może stawić spór najtęższemu zimnu; wszystkie okna szczelnie się domykają, drzwi pasują jakby wieczko najstaranniéj zrobionego pudełka; długie rury okrążając wszystkie piętra wszystkie ściany pokojów, łagodne i ciągle rozlewają ciepło; podłogi są po-

http://rcin.org.pl

desłane mchem, okna za zwyczaj podwójne. Uważano jednakże, iż temperatura Szwecyi, bardzo się zmieniła od jakich lat dwunastu.

Uwagi te stosować się jednak mogą do części umiarkowanych téj krainy, leżących po téj stronie rzeki Allelfwren; na północnym jej brzegu, znajduje się sześć prowincyi wydziedziczonych od natury, których mieszkańcy muszą nieraz zbierać zboże jeszcze zielone, z obawy ażeby mrozy całkiem nie zostawiły ich bez pożywienia. Im daléj ku północy, tém bardziéj zmniéjsza się roślinność; warzywa, konopie, len, tabaka, drzewa owocowe, nikną za każdym stopniem jeograficznym; drzewa przyodziewają się grubszą korą, biel ich staje się ściślejszy. Na północnym przylądku, ziemia przedstawia okropną niepłodność: zaledwie kilka ziółek czepia się po nagich skałach. Kartofle i kapusta, rośliny tak wytrzymałe, zaledwie znachodzą dla siebie dostateczny żywioł do rośnięcia. O jeden stopień ku wschodowi, od północnego przylądka, znajduje się osobliwa twierdza Wardhus, najbardziéj posunione ku północy stanowisko wojenne. Trzydziestu Norwegczyków, którzy ją zajmują, nie widzą zachodu słońca od 21go Maja do 21go Czerwca. Ten dzień jedno miesięczny, zastępuje za to noc ciągnąca się przez półtrzecia miesiąca: zaczyna się 15 Listopada, a kończy z ostatnim dniem Stycznia. Prawda, iż zorze północne, połyska niekiedy na widokręgu, krwawym płomiennym sztandarem i zastępuje dobroczynną jasność słońca.

Jużeśmy wspomnieli, jak łatwo i prędko odbywają podróże w północnych krainach. W Finlandyi nawet, zadziwisz się widząc, jak jedenastoletnie dziecię kieruje małemi konikami, z największą zręcznością pędzi przez drogi które byłyby bardzo niebezpieczne, gdyby je nie tak doskonale utrzymywano. Powóz toczy się i przeskakuje z doliny w dolinę, z góry na górę, ze skały na skałę, przez tysiące najkrętszych drożyn; liczne drewniane mosty, tętnią pod jego szybkim biegiem, a trójka słucha głosu młodego przewodnika. Dzięki téj łatwości podróżowania i starożytnéj gościnności ludów północnych, mamy wyśmienite opisy teraźniejszéj Szwecyi, Norwegii, Danii, i Islandyi.

Obok bogatych i tak dokładnie wydobywanych min, obok rolnictwa, które przezwyciężyło niepłodność gruntu i ostrość nieba, dziwną jest rzeczą widzieć przemysł jeszcze w kolebce, stosunki handlowe bardziéj ograniczone, niżeli wewnętrzna pomyślność kraju obiecywać się zdaje, żeglugę wprawdzie kwitnącą, lecz która daleko bardziéj powiększyćby się mogła, gdyby handel i przemysł krajowy, otrzymały rozwinięcie. Szwed jest wybornym majtkiem i żołnierzem. Szwedzki żeglarz bywa zwykle wstrzemięźliwy, niespracowany, karny, spokojny, oszczędny, śmiały; burzliwe fale rozbijające się o piaszczyste wybrzeże, na którém wznosi się rodzinna jego chata, od urodzenia obijały się o jego ucho; od urodzenia oko jego nazwyczaiło się do groźnych bałwanów. Z natury bitny, Szwed z chlu-

http://rcin.org.pl

bą przypomina zwycięztwa Gustawa Adolfa i Karola XII.

Pod wielu względami, a szczególniéj co do moralności, przemysłu i odwagi, Dania i Norwegia bardzo zbliżają się do Szwecyi. W Danii szczególniéj, wykształcenie ludu wielkie uczyniło postępy; a co najszczególniejsza, że lud ten przyjąwszy oświatę, zachował pierwotną prawość i prostotę. Jeśli wierzyć można podróżnym, Norwegia nie doszła jeszcze do tak wysokiego stopnia cywilizacyi; surowość i dziwactwo natury, zdają się wprawdzie nieprzełamaną stawiać zaporę. Nic ciekawszego jak opis podróży z Chrystyanii do Dronthejmu, odbyty niedawno przez pewnego Anglika. Aby odbyć tę drogę, trzeba przebywać następnie mnóstwo *fiordów*, czyli międzymórz otoczonych przepaścistemi góry.

»Opuszczając Chrystyanią—mówi—kupiliśmy zgrabny i leciuchny koczyk, który i tu nawet zachował swoje francuzkie nazwisko i zowie się karyolką; musieliśmy potém nająć szalupę, na którą wtoczyliśmy nasz powóz; pięciu ludzi za małą opłatę podjęło się przewieść nas przez Sogne-Fiord. Szalupa miała kształt dziwaczny, lecz przyjemny oku; pierś i tył statku zupełnie do siebie podobne, były kończaste i o kilka stóp wystające po nad wodę; rudel wchodził wewnątrz szalupy i trochę przeszkadzał przewożącym się. Wyruszyliśmy; przewoźnicy odznaczający się atletyczną siłą, dzielném ramieniem zagrążyli szerokie wiosła w wodach Fiordu. Po dwugodzinnéj przeprawie, zatrzymali się w prost pieczary, do któréj wysiedliśmy. Tam posililiśmy się przywiezioną żywnością.

»Fiord, jest to odnoga morska, która przedzierając się przez skały, przenika w ich rozpadliny, zapełnia nierówne łożysko, nie zatrzymując się aż wtedy, gdy nieprzezwyciężoną znajdzie przeszkodę. Nie podobna dać wyobrażenia rozmaitości widoków, jakie przedstawia przeprawa fiordu: otaczające wzgórza piętrzą się stopniami, zmieniają się w spadziste opoki, i wznoszą nakoniec w około, olbrzymie massy stromych szańców, z wierzchołka których liczne spadają kaskady. Nagle mur ten się ścieśnia i zamyka wędrowca w swoich kamiennych ścianach; szczyty ich szerokie rozściełają cienie; zakrywają cały widok prócz wązkiego kawałka nieba i wody po któréj łódka się sunie. Niekiedy w łęk się zaginają i podróżny wpływa pod ciemne sklepienia, zkąd z biciem skrzydeł tysiące ptaków wylata. Ta zmiana widoków i położenia, jest prawie nieskończoną: niekiedy przepływa się pomiędzy dwoma wysokiemi wybrzeżami, wyciosanemi jak kanał; daléj, wązkie to łożysko rozszerza się i obszerna przestrzeń błękitnéj wody, spokojna i czysta jak jezioro genewskie, rozwija się przed zachwyconém okiem; zdala ukazuje się wązkie, ciemne przejście, które przebydź koniecznie potrzeba, a łódka z jasnego jeziora wsuwa się pomiędzy długie ściany, na 5,400 stóp wzniosłe,

http://rcin.org.pl

»Rozkosz téj malowniczéj przejażdżki byłaby dla nas daleko żywszą, gdyby przenikliwe promienie słońca, odbite o skały i wodę, nie padały na nas prostopadle. Ani tchnienia wietrzyku, ani jednéj zmarszczki na wodzie; upał ten był nieznośny i z bolesną rozpaczą wznosiliśmy oczy, ku lodowatym gór szczytom, gdzie się od wieków nagromadziły stosy śniegu, a których chłodząca świeżość przeniknąć do nas nie mogła.

Rzadka ludność rozsypana po skałach otaczających fiordy, wiedzie życie również dzikie i dziwaczne jak opisany krajobraz. Mężczyźni noszą krótkie katanki, szerokie pantalony, i małe czerwone czapeczki, bardzo podobne do greckich jarmułek. U skurzanego pasa wisi nóż wielki: narzędzie nieodbicie potrzebne, do wielorakiego użytku. Butler w swym Hudybrasie, żartuje ze swego bohatyra, iż zażywał tegoż samego orężа na krajanie séra, zabicie wroga i ociosanie pnia. Chłop szwedzki, umié jeszcze bardziéj urozmaicić pożytek noża; tém jedynem narzędziem wyrabia stołki, zaprzęgi, osie i koła. Jego naczynia stołowe, sprzęty, kufry, robione są nożem. Nie mogąc nigdzie znaleść potrzebnych przedmiotów, musi, nowy Robinson, sam wykonywać wszystkie rzemiosła, lub je raczéj tworzyć. Podobnież jak wieśniak Dalekarlijski, jest zarazem cieślą, kowalem, tkaczem, powroźnikiem, krawcem, szewcem, stolarzem, kołodziejem, stelmachem. Wszystkie te wyroby nie świadczą wielkiego przemysłu, lecz są bardzo trwałe; niektóre zdobi rzeźba, jakiéjby się artysta nie powstydził. Niektórzy wieśniacy Norwegscy, w wolnych chwilach samotności i dzikiego życia, do wysokiego stopnia posunęli wyrzynanie z drzewa: nie są to już robotnicy, lecz artyści.

Pewnego dnia, gdy Chrystyan V. zwiedzał Drontheim, młody pasterz którego spotkał po drodze, wziął kawał drzewa i nóż i na prędce wyrobił popiersie monarchy, niezgrabne może, lecz tak podobne iż go wszyscy poznali; do dziś dnia zachowano je w muzeum królewskiém, jako ciekawą osobliwość.

Drontheim, któremu niektórzy podróżni i krajopisarze chcą wydrzeć właściwe miano, zowiąc go Trunyem, Tronyem, Trondhiem, lub Drodhiem, jest miasto osobliwe, mało znane, prostych obyczajów, którego najciekawszą osobliwością jest katedra gotycka, jeszcze z jedenastego wieku.

Zadziwiłem się, znalazłszy w tém północném mieście, szpital, dom zarobkowy, bibliotekę publiczną, muzeum, szkołę publiczną i kilka szkołek na wzór Lankastra. Każden dom choćby najbiedniejszy, posiada bibliotekę i psałterz. Zbrodnie mało tam są znane, a co dziwniejsza, nauka języka angielskiego bardzo upowszechniona. Czytają w Drontheimie gazety angielskie, i mocno zajmują się sporami parlamentu.

---

http://rcin.org.pl

LOS SZCZĘŚCIA.

(z Ryciną przy Nr. 9tym.)

Samuel Diuhobret był jednym z uczniów sławnego malarza niemieckiego nazwiskiem Wojciech Durrer, który go przyjął z miłosierdzia, nie zważając ani na jego wiek ani na ubóstwo. Samuel liczył bowiem blisko lat czterdziestu i nie miał innego sposobu do życia prócz malowania szyldów i ścian pokojowych, co było zbytkiem podówczas bardzo upowszechnionym w Niemczech. Mały, garbaty, szpetny, a do tego wszystkiego tak się jąkał, że dwóch zgłosek nie był wstanie wymówić; łatwo się domyśleć że był celem żartów i urągania innych uczniów Durera i że jak tylko szło o spłatanie w malarni jakiego figla, zawsze Samuel był na placu. Wyszydzony przez towarzyszów, dręczony przez panią Durrer, która mu nigdy nie mogła przebaczyć że go darmo przyjęto do pracowni, żyjąc tylko chlebem czarnym, (a i na tym częstokroć mu zbywało). Biedak ten nie miał odpoczynku chyba wtedy, kiedy się mógł wyrwać w pole i tam malować z natury jaki zachwycający krajobraz, o które nie trudno w okolicach Norymbergi. W ówczas, był to inny zupełnie człowiek. Jego postać pochyła i zmarszczona, jaśniała jak kwiat który rozkwita i rozwija się na słońcu. Trzeba go było widzieć siedzącego na murawie, z teką na kolanach i usiłującego schwytać jaki z tych przedziwnych skutków światła, który umiał wybornie oddawać. Tak dzień przepędziwszy, powracał do Norymbergi i nazajutrz wystrzegał się komukolwiek bądź wspomnieć o swojéj przechadzce, a jeszcze mniéj pokazać swój rysunek. Przywykły do nielitościwych szyderstw, nie mógł nawet pomyśleć, ażeby widok jego pracy nie ściągnął na niego nowych żartów: powracał tedy w cichości do zwyczajnego kącika, gdzie przerysowywał ryciny mistrza.

Prócz tych rzadkich wycieczek w pole, Samuel przychodził do warsztatu równo ze dniem i ciągle pracował aż do nocy. Wtenczas powracał na poddasze i starał się przenosić na płótno widoki które sobie narysował w polu. Dla opatrzenia się w pędzle i farby, zadawał sobie najprzykrzejsze umartwienia; kilka razy musiał przyswoić sobie farby i pędzle towarzyszów; tak był namiętnie przywiązanym do sztuki malarskiéj, że na nic nie miał względu.

Tym sposobem upłynęło trzy lata, a Samuel nie wyjawił ani nauczycielowi ani współuczniom, swoich nocnych zatrudnień którym się stale poświęcał. Jakim sposobem się żywił? Jest to tajemnica, o któréj sam Bóg tylko mógł wiedzieć.

Raz zachorował; gwałtowną febra ogarnęła jego nędzną istotę i przez cały tydzień leżał bolejąc na biednym tapczanie a nikt nie przyszedł ulitować się nad jego cierpieniem. Z głową gorejącą i czując się bliskim zgonu, zdobył się na krok ostatniéj rozpaczy; wstał, wziął swój ostatni obraz i udał się ku mieszkaniu tandeciarza handlującego starem, obrazami, w celu sprzedania go za

http://rcin.org.pl

jakąkolwiek bądź cenę. Przypadek zdarzył, że przechodził przed domem gdzie się znajdowało mnóstwo ludzi. Zbliżył się: była to licytacya przedmiotów rzadkich, zgromadzonych przez jednego znawcę w przeciągu lat trzydziestu, zebranych z największym mozołem, a podług zwyczaju, nielitościwie zmarnowanych i wystawionych na sprzedaż, po śmierci uczonego, który całe życie strawił na pomnażanie tak szacownego zbioru.

Samuel przybliżył się do taxatora i uzyskał od niego z wielką przykrością i natręctwem, a nawet po kilkokrotnych prożbach, że obraz który z sobą przyniósł, zostanie puszczonym na licytacyą. Taxator oszacował go trzy talary. Dobrze, pomyślał sobie Duhobret, przynajmniéj pewien jestem że będę miał co jeść przez cały tydzień, jeżeli tylko znajdę kupca. Obraz przechodził z rąk do rąk na około, tymczasem jednotonny głos woźnego powtarzał: »Trzy talary! kto da więcéj? trzy talary!«

Nikt nie odpowiadał.

—»Ach! mój Boże! mój Boże! mruczał biedny Samuel; mój obraz nie będzie sprzedanym! Cóż poczną?

A jednakże, jest to mój najlepszy obraz! nigdym nic lepszego nie zrobił! powietrze zdaje się przechodzić pomiędzy liściami moich drzew i powiedziałby każdy, że listki się ruszają, chwieją i szemrzą! Woda zdaje się przezroczystą! jest to Pregnica czysta, piękna i połyskująca się! Ileż mają życia te zwierzęta które w niéj koją pragnienie! A potém w oddaleniu co za prześliczny widok: opactwo Nejburgskie z wieżą przezroczystą jak koronka, te budowle kształtne, otoczone pasmem domów wieśniaczych. Opactwo Neuburskie z którego właśnie oddalono mnichów, będzie z ziemią zrównane, bo, niestety! na cóż się przyda poczciwemu lutrowi opactwo i dzwonnica?

—»Dwadzieścia pięć talarów, odezwał się słaby i suchy głos, na który zadrżał z radości, osłupiały Samuel. Wspiął się na palcach, aby zobaczyć osobę która wymówiła te słowa, potrzykroć błogosławione...

—»O zadziwienie! był to ów tandeciarz, do którego się miał udać Samuel, gdy go anioł stróż natchnął aby zatrzymał się i puścił obraz na licytacyą.

—»Pięćdziesiąt talarów! zawołał głos donośny.

Samuel byłby chętnie uściskał grubego jegomości, czarno ubranego; który to powiedział.

—»Sto talarów, dychawicznym głosem odezwał się tandeciarz.

Ale natychmiast zagłuszony został temi słowy które się słyszeć dały z łoskotem pioruna.

—»Dwieście talarów!

—»Trzysta!

—»Czterysta!

—»Tysiąc talarów!

Wówczas nastąpiło głuche milczenie, pomiędzy osobami otaczającemi dwóch licytujących przeciwników, którzy posunąwszy się na środek, stanęli odosobnieni, jak dwaj zapaśnicy jeden na na przeciw drugiego. Samuelowi zdawało się, że

http://rcin.org.pl

mu się marzy i wydawał przerywane wykrzyknienia.

—»Dwa tysiące talarów! rzecze tandeciarz ze śmiechem przymuszonym i nie czułym.

—»Dziesięć tysięcy, odpowiedział gruby jegomość, z twarzą zapłonioną od gniewu.

—»Dwadzieścia tysięcy; wymówił tandeciarz blady i jakby w gorączce złożył ręce które drżały jak w konwulsyach. Gruby pan, który się pocił i sapał, ryknął raczej, niż wyrzekł.

—»Czterdzieści tysięcy talarów.

Tandeciarz się wahał. Ale zwycięzkie i szyderskie spojrzenie przeciwnika sprawiło: że mruknął:

—»Pięćdziesiąt tysięcy talarów.

Znowu nastąpiło milczenie; bo przyszła kolej i na grubego jegomości, że się począł chwiać.

Tymczasem co się działo z biednym Samuelem? Poruszał się na wszystkie strony, z całéj siły, aby się mógł obudzić; gdyż mówił sobie, po takim śnie, moja nędza będzie mi się zdawać okropniéjszą, a głód jeszcze bardziéj dokuczającym.

—»Sto tysięcy talarów!

—»Sto dwadzieścia pięć tysięcy!

Oryginał za obraz! i niech cię szatan porwie, przeklęty tandeciarzu!

Tandeciarz wyszedł w stanie godnym politowania, a gruby pan wynosił obraz, kiedy postrzegł postępującego ku sobie Samuela Duchobret, garbatego, kulawego i w łachmanach. Chcąc go się pozbyć, dobył drobnéj monety, bo go miał za żebraka; ale garbaty rzekł do niego:

—»Kiedyż będę mógł objąć mój zamek, opactwo i moje grunta? Ja to jestem malarzem obrazu.

I myślał sobie — »O! co za piękny sen! piękny sen! dla czegóż najmniejszy hałas może mnie zaraz przebudzić?

Gruby jegomość, jeden z najbogatszych panów niemieckich, hrabia de Dunkelsbach, dobył z kieszeni pugilares, wydarł z niego kartkę i napisał kilka słów.

—»Oto masz, mój przyjacielu; jest to rozkaz ażeby ci oddano twoją majętność. Bądź zdrów.

Samuel przekonał się nakoniec że nie marzy, objął swój zamek, sprzedał go i zamierzał sobie żyć jak uczciwy mieszczanin, malować tylko dla swojéj zabawy, gdy w tém umarł na niestrawność.

Jego obraz długo zostawał w zbiorze hrabiego Dunkelsbach, a dziś się znajduje w muzeum króla bawarskiego.

PAMIĘTNIKI LEKARZA.

Z ANGIELSKIEGO

Pana Harisson.

WSTĘP DO ZAWODU.

O jakże trudno dosięgnąć twojego szczytu, stroma góro, na któréj się wznosi świątynia szczęścia i sławy! ileż trudów, ileż prac daremnych! ileż bezsennych nocy!

Beatie.

Bydź samotnym wśród wielkiego miasta, które we wszelkie zbytki o-

http://rcin.org.pl

pływa, a nie znaleźć pomocnéj ręki, coby wsparła pierwsze twoje kroki w śliskim fortuny zawodzie, czy podobna wymyśleć co okropniejszego, co bardziéj zniechęcającego? Otacza cię możność powodzenia, a powodzenie przed tobą ucieka; talent ukryty, niepoznany, zagrożony jest okropnością głodu, bez przyjaciół, bez wsparcia, silny tylko zaufaniem własnéj wartości; na próżno stara się utorować sobie drogę, daremnie mocuje się z losem; któż zdoła określić liczbę ofiar, które podobnéj doznały kolei?

W takiem położeniu, znajdowałem się licząc dwudziesty szósty rok życia. Familia moja biedna, pragnęła los mi zapewnić, wyczerpała dla mnie ostatnie zasoby; i całym moim skarbem wśród obszernego Londynu, było sto funtów szterlingów, dosyć przystojne ubranie, nadzieja, odwaga, nieco xiążek i młoda piękna żona, z którą, niebaczny, połączyłem moje losy: kochaliśmy się.

Emilia była jedynaczką poczciwego mieszczanina, któren oddawna stracił majątek; była pociechą jego starości, stała się szczęściem mego życia. Najtroskliwiéj pielęgnowałem starca w ostatniéj jego chorobie i za jedyną, nieocenioną dla mnie nagrodę, pozyskałem serce córki.

Osiadłszy w Londynie, prawdziwéj dla nas pustyni, nie bez przerażenia postrzegliśmy śmiałość naszego przedsięwzięcia; szczupły był nasz kapitał, widok powiększenia go daleki, niepewny. Na szczęście byłem wytrwały i ufny. Kto się na nic nie odważa, nic nie ma, mówiłem sobie: i w mocnym przekonaniu że szczęśliwy wypadek los mój polepszy, cieszyłem się na przód że sam będę sprawcą mego powodzenia. Jednakże, dzienne wydatki coraz się bardziéj zwiększały. Moje sto szterlingów i odwaga, razem się zmniejszały. Nie miałem procentów; żyć w Londynie bez pieniędzy, jest to samo co popełnić samobójstwo. Co począć?

Przebiegłszy myślą tysiące sposobów dostania pieniędzy, jedynym, podobnym do wykonania było zdanie się na wspaniałość żydów. Szczęściem ojciec zapisał mi w dzieciństwie, w towarzystwie przeżycia, 2,000 funt. szt: to zapewnienie i przeważna protekcya młodego lorda, któremu w szkołach nie jedną wyświadczyłem przysługę, dokazały iż wydarłem staremu Izakowi Lambert 3,000 funtów szterlingów, za skromny procent pięć od sta rocznie. Posiadacz tak pięknego kapitału, z całą niebacznością młodzieńca mniemałem że jestem zbawiony. Zacząłem od urządzenia domu.

Najałem piękny dom przy ulicy.... umeblowałem go przystojnie i byłem tak szczęśliwy, żem odnajął pierwsze piętro, staremu i bogatemu bezżeńcowi, który dorobił się majątku w Indyach. Imie moje i tytuł doktora, zajaśniały wkrótce na mosiężnéj tabliczce u drzwi moich i zarzuciwszy wędkę na Londyńskim oceanie, postanowiłem czekać cierpliwie pacyentów i majątku.

Sześć miesięcy upłynęło: ani jednego pacyenta. Przechodziłem się po ulicach Londynu z miną człowieka nie-

http://rcin.org.pl

zmiernie zatrudnionego; lub zamknięty w gabinecie, oddawałem się nauce, pojąc się urokiem towarzystwa mojéj Emilii, którą coraz bardziéj kochałem. Lecz gdy rok cały upłynął, a prawie ani jednego nie odwiedziłem chorego, ani jednéj nie zarobiłem gwinei; gdy stary Lambert przyszedł mi powiedzieć, że ostatni kwartał dwustu dwudziestu pięciu funtów szterlingów upłynął, z obawą pomyślałem o przyszłości. Życie drogie jest w Londynie, mimo największego oszczędzania, została mi zaledwie połowa 3,000 funtów szterlingów, od których tak wielki opłacałem procent. Nie podobna było nie zaciągnąć wkrótce nowych długów. Cóż się ze mną stanie za rok, za dwa lata? pomyślałem. Skąd wziąść 225 fun. szterlingów, które mam wypłacać corocznie staremu Izaakowi? Tak lekkomyślnie zaufałem że pacyenci sami cisnąć się do mnie będą, że tytuł lekarza jaśniejący na moich drzwiach, los mi zapewni!

Niebaczny! ufając przyszłym powodzeniom, zobowiązałem się oddać 3,000 fun. szter., w przeciągu lat pięciu. Gdy ten czas upłynie, a nic nie dokażę, jakiż mi ratunek zostanie? Niczego się spodziewać nie mogłem od familii. Ojciec mój umarł, od czasu jakem osiadł w Londynie i w najopłakańszym stanie zostawił interesa; matka moja podeszła i słaba, mieszkała przy ubogich krewnych.

Lord Bernard, ów młodzieniec o którym wspomniałem, który, byłem tego pewny, z rozkoszą by mi dopomógł, bądź pieniężną pożyczką, bądź wprowadzeniem w znakomite domy, zwiedzał Europę. W Kambridge zawsze byłem nieśmiały i pilny, mało za tém liczyłem szkolnych przyjaciół. Żaden z nich nie znajdował się w Londynie, gdzie żona i ja znaliśmy zaledwie pięć osób, licząc w to naszego starego lokatora.

Ci którzy znają życie i ludzi, smiać się będą z naszego szaleństwa. Byliśmy dla siebie światem całym, miłość wystarczała nam za wszystko. Biedne, niedoświadczone dzieci!

—»Nabierz odwagi, mężu! mówiła mi Emilia; pierwszy krok trudny, lecz z czasem wszystko dobrze pójdzie.

Wprawdzie zaczynałem wątpić o tém tak płocho oczekiwaném powodzeniu. Dni upływały mi smutnie, nocy bezsennie; ani jeden chory pomocy mojéj nie wezwał; żadna droga nie otwierała się przedemną. Wszelkie zabiegi i starania, były próżne.

Wielu moich kolegów winni byli majątek i sławę, dziełom lekarskim. Tym sposobem objawiły się ukryte ich talenta, tym sposobem zajęli miejsce śród najzawołańszych mistrzów naszéj sztuki. Postanowiłem, za ich przykładem, poświęcić na ten cel, cały mój czas, wszystkie moje myśli. Przez kilka miesięcy, dzień i noc pracowałem nad *Rozprawą o słabościach piersiowych*. Liczne doświadczenia i długie nauki, poprzedziły tę ważną pracę. Przyłożyłem się do niéj z największą usilnością i zdaje mi się że jéj nie zbywało ani na pożytku, ani na nowości. Emilia swoją obecnością słodziła moją pracę; jak

http://rcin.org.pl

anioł pocieszyciel ośmielała mnie, dodawała mi sił, zachwycającym widokiem świetnéj przyszłości. Chciała mi dopomódz, sama przepisała rękopism. Dzieło wykończone, przeczytane i odczytane dwadzieścia przynajmniéj razy, oczyszczone ze wszystkich błędów, przepisane pięknym charakterem Emilii, zaniosłem pełen nadziei i obawy, do księgarza wsławionego wydaniami podobnego rodzaju. Zdawało mi się, że już mój rękopism sprzedałem. Dostanę najmniéj 50 funtów szterlingów! Myślałem ile przeznaczę na podarek dla Emilii. Niestety! jakże prędko znikły moje nadzieje! Księgarz przyjął mnie z ujmującą grzecznością i zdawał się słuchać z największą uwagą. Rozwinąłem obszernie plan dzieła, wystawiając go jako pożyteczne, potrzebne, nowe, godne ciekawości publicznéj. Serce biło mi z radości. Księgarz patrzał na mnie z wyrazem zajęcia zdającym się bydź dobrą wróżbą. Dozwolił mi długo rozprawiać; nakoniec zdjąwszy okulary, upewnił mię najgrzeczniéj, że ceni wysoko moją pracę, lecz że postanowił nie wydawać nic podobnego własnym kosztem.

Wiele lat upłynęło, a niezatarło z méj pamięci téj okrutnéj odpowiedzi... Przerażony, spytałem czy to jest ostateczne jego postanowienie?

—»Tak jest, odpowiedział, zbyt wiele straciłem na podobnych spekulacyach.

Wziąłem rękopism i wyszedłem. Pałająca łza boleści i zawiedzionéj nadziei zakręciła mi się w oku; ledwiem się wstrzymał od głośnego łkania. Śród tego bolesnego zadumania znany głos wymówił moje imie. Emilia, żona moja, tuż była przy mnie. Tkliwe jéj przywiązanie nie dozwoliło czekać mego powrotu, aby się dowiedzieć o skutku moich zabiegów.

Poszła za mną, czekała u drzwi księgarni; przybiegła, skoromi wyszedł.

Nie mogłem jéj odpowiedzieć; łzy mi głos tłumiły. Pocieszyła mnie, dodała nowéj odwagi, nadziei. Ofiarowałem pracę moją innemu księgarzowi, któren pośpieszył się uwiadomić mię, że tylko same romanse drukuje. Obeszłem wszystkich z równymże skutkiem. Jeden powiedział, że jeśli może ośmielić się dać mi radę, życzy porzucić pisanie, a zajmować się chorémi. Drugi zapewnił mię, że już ma pod prasą rozprawę o słabości piersiowéj; ostatni do któregom się udał, rzekł, iż mu się zdaję bydź za młody, abym mógł potrzebne mieć doświadczenie do wypracowania podobnego dzieła.

—»Wydaj go na koszt własny, kochany mężu, mówiła Emilia.

Niestety! chociaż ufałem w wartość dzieła, środek ten był dla mnie najniedogodniejszym; nie miałem przyjaciół, a uczciwy księgarz którego rady zasięgnąłem, zaręczył mi, że bez potężnéj protekcyi kilku możnych, dzieło moje skona zaraz przy urodzeniu. Po téj ostatecznéj i nadaremnéj probie, wróciłem do domu i rzuciłem się na krzesło stojące przed kominkiem, wprost Emilii. Piękna jéj twarzyczka wyrażała najżywszą,

http://rcin.org.pl

najczulszą troskliwość. Smutek mój i zniechęcenie, przekonały ją że niemam już żadnéj nadziei, że naprożno straciłem sześć miesięcy pracy i starań niepojętych. W zapale gniewu i oburzenia, w ogień rzuciłem rękopism. Emilia szybko wyrwała go z płomieni, zwróciwszy na mnie spojrzenie przenikające do głębi duszy. Złożyłem rękopism w biórku: było to moje pierwsze i ostatnie dzieło.

O małom nie uwierzył że fatalność mię ściga; nic mi się nie udawało. Chociaż szanowni sąsiedzi musieli zwrócić baczność na przykładne moje postępowanie i czystość obyczajów, żadnemu jednakże nie zachciało się jeszcze sprobować mojego talentu. Byłoby pewnie co innego, gdyby widziano powozy zatrzymujące się codziennie przed memi drzwiami; gdybym mógł dawać sute obiady, przebiegać miasto w kształtnym koczyku, lub wieczorem bywać w teatrze.

Muszę wyznać, że nie mało przyczyniała się do mego niepowodzenia, moja skromność, nieśmiałość, prostota ubioru i zbyteczna młodość. Nie umiałem nadać sobie tych zmarszczków przedwczesnych, wzbudzających zaufanie, ani téj powagi, téj zarozumiałości Mandaryna Chińskiego, które udają się moim kolegom. Powiem jeszcze, że mi brakowało opieki i zaleceń. Był, to zapewne najważniejszy powód nieczynności w któréj zostawać musiałem.

Miałem w prawdzie dalekiego krewego, posiadającego zaszczyty i znaczny majątek, mieszkał o kilka kroków odemnie w przepysznym pałacu; lecz napisałem do niego błagając o opiekę, posłałem nazwisko moje i adres, i tak długo czekać musiałem w jego przedpokoju, tak mię obraziła obelżywa poufałość jego służalców, iż wyszedłem zagniewany, zawstydzony, zdziwiony, iż mogłem choć na chwilę cierpieć podobną zniewagę; anim pomyślał wrócić do niego i cała nadzieja wsparcia z téj strony upadła.

Własne moje usiłowania i przypadek, mogły mię tylko dać poznać. Dwa razy, w braku innych doktorów i w nagłém niebezpieczeństwie mnie wezwano: lecz dwa razy, przed mojém przybyciem chory skonał. Sposób w jaki ofiarowano mi nagrodę za wizytę, przekonał mię, iżbym uszedł za najpodlejszego, gdybym z największą stałością nie odmówił. Musiałem więc w obu tych razach odrzucić podawaną gwineę, która zjednałaby mi jednakże tydzień utrzymania i spokojności.

Przywołano mię nie raz w sąsiedztwo, do służących, odźwiernych, lokajów, i t. p. Co za upokorzenie! Przybydź do wystawnego domu, spodziewać się że mię wprowadzą na pańskie pokoje, a zajść po krętych schodach aż na samo poddasze! Tam pod strychem leży jaki nędzarz chory. Dla tych biedaków, których duma uważa za najlichszych, najlichszy doktor jest dostateczny.

W tym prawie czasie, przywołano mię jak najśpieszniéj do młodego Baroneta, mieszkającego przy Kings Park. Ucieszony że na koniec będę

http://rcin.org.pl

miał chorego z lepszego tonu, pośpieszyłem, aby korzystać z tak niespodzianego wypadku, i pozyskać jego zaufanie. Gdym wszedł do pokoju, ujrzałem młodzieńca owinionego w czerwony jedwabny szlafrok; siedział z niechcenia na sofie i zapijał roskosznie filiżankę kawy. Postawił ją na chwilę, schwycił lornetę, i zaczął się we mnie zuchwale wpatrywać; potém nie rzekłszy i słowa, wskazał mi palcem psa ulubionego, któren miał łapę niezmiernie spuchłą. Rzuciłem pogardliwe spojrzenie na zuchwalca i wyszedłem również milczący, lecz bardziéj jak on rozgniewany. Inny doktor, liczniejszych wprawdzie mający pacyentów, Hamilton, dość zabawnym sposobem ukarał podobną bezczelność.

Pewnego dnia, przysłała po niego jak najśpieszniéj lady P*** aby ratował jéj ulubioną małpkę, umierającą na niestrawność. Wszedłszy do pokoju, doktor ujrzał dwie osoby, syna lady P*** dziecię dziesięcio-letnie najdziwaczniéj ubrane, i chorą małpkę. Spoglądał koleją na małpę i na dziecię, potém spytał najobojętniéj lady P*** »Pani, które z tych dwójga jest małpą?....» Anegdota godna dziwacznéj opryskliwości doktora Abernetty. Zuchwalec, o którym wspomniałem, niczego nie zaniechał aby mię zgubić późniéj w umyśle znakomitego domu, z którym był spokrewniony.

Wszelkie upokorzenia zdawały się bydź moim udziałem. Byłem tak nieszczęśliwy, iż w gwałtownym razie przywołano mię na konsultacyą ze sławnym doktorem F*** Była to dla mnie pierwsza w tym rodzaju wizyta: chciałem ją odbyć jak najzaszczytniéj dla siebie. Nigdy nie zapomnę zuchwałéj miny, z jaką mnie przyjął i obraźliwéj uwagi którą mnie zaszczycił w obliczu kilkunastu osób.

—»Chciéj mi wierzyć, doktorze, rzekł marszcząc brew i mierząc mnie oczyma, że zachodzi *doprawdy* jakaś różnica między apoplexyą, a epilepsyą: tak przynajmniéj twierdzono kiedym był młody.

Towarzyszyło tym słowom dumne spojrzenie, i gest litości i pogardy. Nie potrzebuję dokładać że mnie już więcéj nie wezwano. Serce mi się zakrwawiło; nic nie usprawiedliwiało, nic nie wyzwało takiéj napaści; nie uczyniłem żadnéj pomyłki; nie pojmowałem, przez jakie okrutne dziwactwo, człowiek ten miał upodobanie wydzierać skromnemu i nieszczęśliwemu koledze, ostateczną nadzieję: lecz na to nie było żadnéj rady. Z radością, mogę dziś powiedzieć (*) ile ton starszych lekarzy stał się przystojniejszym i przyzwoitszym, względem młodszych współziomków, posiadających mniéj zaufania i sławy.

Długi ciąg podobnych niepowodzeń zaczynał jątrzyć mój umysł; gdyby nie łagodność i wdzięki anioła, który dzielił i koił moje zmartwienia, życie stałoby mi się nieznośném.

(*) 1830.

http://rcin.org.pl

Nie mi nie szło; zguba moja zdawała się na przód przepowiedzianą; bo chociaż najszczuplejszy był wydatek, nic jednak nie przybywało do kassy. Nędza, więzienie, były jedyną moją przyszłością.

Pozbawiony wszelkich innych sposobów, ośmieliłem się umieścić w gazecie porannéj, następujące doniesienie:

»Członek uniwersytetu Kambrygdz»kiego, mając kilka godzin wolnych »wieczorem, życzy sobie dawać pry»watne lekcye, młodzieży sposobią»céj się do szkół lub do innego za»wodu.«

Po tygodniowém oczekiwaniu, odwiedził mnie młodzieniec, ofiarując dwie gwineje na miesiąc. Musiałem przyjąć jego propozycyę, musiałem za tę nędzną zapłatę, ociosywać, że tak powiem, najzupełniejszą ciemnotę, oczyszczać ze rdzy to tępe i zarozumiałe pojęcie, a to wszystko bez najmniejszéj wdzięczności. Ledwie dawałem mu przez miesiąc lekcye, ledwie zaczynał rozróżniać słowo bierne od słowa czynnego, gdy mię uwiadomił, z zadowoleniem, że dosyć już umie.

—»Dla czegóż! zawołałem, opuściwszy tego improwizowanego mędrka: zamiast poświęcać tyle nocy bezsennych, najtrudniejszemu z powołań, dla czegóż nie poszedłem do wojska i nie popłynąłem do Ameryki?

Gorzko żałowałem żem się raczéj nie sposobił do jakiéj ręcznéj lecz korzystnéj pracy. Stokrotnie przeklinałem ambicyą, która sprowadziła mnie do Londynu, i próżność co mi tyle pomyślności z moich talentów wróżyła.

Trzysta funtów szterlingów było już prawie całym dostatkiem, pozostałym z trzech tysięcy pożyczonych od żyda, a za dwa tygodnie zapłacić miałem komorne i procent półroczny. Zadłużyłem się kilku rzemieślnikom, którzy codziennie byli zuchwalszymi. Zdrowie moje zaczynało upadać pod ciężarem zgryzot i nędzy, a biedna moja Emilia, nie zadługo wydać miała pierwsze nasze dziecie. Co począć? Promyk nadziei zginął na zawsze. W nocy spałem ledwie godzinę lub dwie, lecz snem tak niespokojnym, tak okropnym, iż bardziéj wyniszczał niżeli pokrzepiał moje siły. Roiłem tysiączne zamiary, jedne dziwaczniejsze od drugich; niestety! trzeba było mieć pieniądze aby je wykonać. Pieniądze! miałem długi, pieniędzy nie miałem i nie wiedziałem zkąd ich dostać.

Ciężyło mi życie, a jednak myśl samobójstwa nigdy nie postała w moim umyśle. Ufność moja w Bogu była nieograniczona i gruntując z przerażeniem całą głębię przepaści, w któréj się pogrążałem, zachowywałem jednak słabą nadzieję, że niespodziewany wypadek może los mój odmienić: ta myśl podwajała moją odwagę.

Pewnego wieczora, siadłem na ławce w zwierzyńcu Saint-James, utrudzony długiém, nadaremném chodzeniem.

Nic jeszcze dnia tego nie jadłem; byłem głodny, spragniony; nadzwyczajna, okropna niespokojność dręż-

http://rcin.org.pl

czyła mój umysł. Zapłaciłem rachunek rzemieślnika, zaledwie dochodzący dziesięciu funtów szterlingów. Niecnota, powiedział służącej że tak mu trudno przyszło odebrać pieniądze, iż bynajmniéj nie dba na przyszłość o zaszczyt pracowania dla mnie. Myśl, że utracę kredyt, była mi nieznośną i przyśpieszała moją zgubę. Nie mogąc zaspokoić wierzycieli, uważany będę jako awanturnik, oszust i jak padalec odepchnięty z łona towarzystwa. Dręczące te przeczucia pozbawiały mię zmysłów; założywszy ręce na piersiach, wpadłem w zupełną nieczułość, pragnąc jedynie, jakikolwiek los mię spotka, aby mię ugodził natychmiast.

Tak dumałem, lub raczéj dusza moja zostawała w uśpieniu, odrętwiała zbytkiem boleści, gdy świetny orszak żołnierzy przeciągnął tuż przedemną, przy odgłosie radośnéj muzyki. Co za sprzeczność! Jakże te wesołe brzmienia wydały mi się przerażające! jakże mało zgadzały się z głębokim smutkiem ciążącym na mojéj duszy! Kilka osób, których powierzchowność zwiastowała dostatek, zatrzymało się dla słuchania téj wojennéj melodyi, nie pomyślawszy nawet, że o kilka kroków jęczał nieszczęśliwy. Nie mogłem się od łez wstrzymać. Pomyślałem o Emilii, o jéj nieszczęściu. Nie mogłem się odważyć wrócić do domu, spojrzeć znowu na tę twarz anielską, na to ciche podziwienia godne poddanie się. O! po cóż ją poślubiłem! Badałem czym nie stracił jéj miłości, jedynego mego skarbu. Nie przypominaszli sobie owego czasu gdym się o jéj rękę starał, gdym ją stokrotnie upewniał o najchlubniejszém powodzeniu, skoro tylko przybędziemy do Londynu?... W cóż się obróciły świetne widoki, które stworzyła wyobraźnia moja, które w tak zachwycających barwach przedstawiałem jéj oczom? Próba któréj muszę doświadczać, która według wszelkiego podobieństwa nie prędko się zakończy, nie natchnęłaż jéj duszy nienawiścią i wzgardą? Mógłżebym to jéj mieć za złe, ja, z własnéj winy nieszczęśliwy?

Myśli te, goryczą napawały duszę moją. Jakiś stary jegomość, któren zdawał się bardzo chory, zbliżył się zwolna ku ławce gdziem siedział i usiadł przy mnie. Służący na którego ramieniu się wspierał, stanął za nim. Gwałtowny kaszel rozdzierał jego płuca, cała jego postać nosiła cechę przedwczesnéj zgrzybiałości. Zatrzymał na mnie spojrzenie jakby chcąc dać do zrozumienia, iż za złe nie weźmie jeźli do niego zagadam.

—»Ten katar musi Panu niezmiernie dokuczać, rzekłem.

—»O bardzo! odpowiedział wzdychając, i nie wiem jak się go pozbyć. Stary jestem jak pan widzisz, i spodziewałem się że ostatnie dni mego życia nie będą tak przykre.

Po chwili milczenia, ośmieliłem się go zapytać, jak dawno cierpi ten katar nieznośny.

— »Od lat blisko dziesięciu, powiedział, lecz tak się pogorszył tego roku, iż cała sztuka lekarska

http://rcin.org.pl

nie mogła mu najmniejszéj ulgi przynieść.

— Ach panie! zdaje mi się że możnaby znaleźć jaką ulgę.

Badałem ciekawie początek i postępy jego choroby. Odpowiadał jak najgrzeczniéj na wszystkie moje zapytania. Poznałem że nie był leczony przez biegłego doktora i upewniłem go, że można mu przynieść ulgę prostym bardzo sposobem, a przynajmniéj zapobiedz najgwałtowniejszym paroxyzmom słabości. Rozmawiał ze mną czas niejaki, przyjął moją poradę i po chwili widocznego wahania, jak gdyby rozmyślał co ma uczynić., ofiarował mi gwinee. Odmówiłem, upewniając go że moje rady są zupełnie bezinteressowne.

Wówczas zbliżył się młodzieniec wykwintnie ubrany i oznajmił iż powóz go czeka. Młodzieniec, któren zdawał się bydź synem lub synowcem starca, pogardliwie spojrzał na mnie, a pogarda ta jeszcze się bardziéj zwiększyła, gdy go chory uwiadomił iż udzieliłem mu wyśmienitych rad i odmówiłem wynagrodzenia.

—»Mocno zobowiązany, rzekł ponuro, lecz mamy domowego lekarza.

Wsiedli do powozu i odjechali. Słyszałem jak go lokaj nazwał panem Wilton czy William; lecz niemogłem sobie dobrze przypomnieć jego nazwiska. Znowu straconą sposobność! Kto inny na mojém miejscu, starałby się pozyskać jego zaufanie i zostać jego doktorem. Powinienem był mu dać moją kartkę gdy mi dawał gwinee, a pewnoby po mnie przysłał i powierzył mi staranie o swojém zdrowiu. Kto wie do czegoby mnie doprowadziła ta znajomość? O jakże sobie wyrzucałem tę nieprzytomność umysłu, tę niezręczność pochwycenia szczęśliwej sposobności, którą mi los zdarzał! Niezasługiwałżem na moje nieszczęście? moje niepowodzenie nie byłoż koniecznym skutkiem fałszywego wstydu? Zaczęło się zmierzchać, wróciłem do mego smutnego pomieszkania.

Jak zwykle, zastałem Emilię zatrudnioną. Malowała ekrany i tym podobne drobiazgowe ozdoby, które zanosiłem ukończone do Bazaru w Oxford-Stred, gdzie mię nie znano i gdzie z niewymownem ściśnieniem serca sprzedawałem za bagatelę powabną pracę mojéj żony.

Mogłżem patrzeć bez uczucia najżywszéj boleści, na biedną Emilią, któréj osłabione zdrowie największych wymagało starań, pracującą od rana do wieczora, aby zarobić kilka groszy? Ona jednakże znosiła nieszczęście z większą odwagą i stałością niżeli ja; jéj łagodność, jéj niczem niezachwiana dobroć, przywiązanie bez granic które mi okazywała, rzucały słaby promyk nadziei, na posępną przyszłość która rozwijała się przedemną.

Cóż się znami stanie? To zapytanie ciągle stawało mi na myśli. Niezbywało nam jeszcze na koniecznych potrzebach; lecz wszelkich pozbawieni środków, drżeliśmy na czekającą nas przyszłość. Drżeliśmy szcze-

http://rcin.org.pl

gólniéj gdy stary Izaak, przychodził domagać się procentu od swoich pieniędzy. Trzeba go było zaspokoić, inaczéj zginęliśmy. Gdybym sam był na świecie, zniósłbym wszystko; poddałbym się całéj srogości losu; wycierpiałbym mężnie wszelkie niewygody; lecz moja Emilia, moja łagodna, zachwycająca żona!... serce mi się krajało, gdym myślał o niéj.

Nie zaniedbywałem niczego coby mogło los nasz złagodzić. Przeczytawszy w gazecie, iż żądano aby człowiek znający się na sztuce lekarskiéj podjął się pilnowania apteki, udałem się do osoby, która ten artykuł umieścić rozkazała. Był to człowiek powszechnie znany, który, Bóg wie jak przyszedł do znacznego majątku. Rzekł mi z pogardą: »Można u mnie zarobić 80 funtów szterlingów na rok; trzeba siedzieć cały dzień, a chodzić spać do siebie.«

Jakkolwiek niestósowną dla mnie zdawała się podobna propozycya, osądziłem jednak za rzecz potrzebną zastanowić się nad nią, błagając aby postąpił przynajmniéj do sta funtów szterlingów, gdyż byłem żonaty.

—»Żonaty! zawołał parsknąwszy ze śmiechu. O! nie; nie mości panie, nie tego mi trzeba; kłaniam uniżenie.

W każdém przedsięwzięciu doznawałem podobnegoż zawodu. Czynności moje lekarskie przynosiły mi około 40 funtów sztelingów rocznie; brałem jakie 25 za artykuły umieszczane kiedy niekiedy w dziennikach; drobne robotki żony, prawie tyleż przynosiły. Był to cały mój dochód.

Jakże uiścić się z ogromnych procentów, które wypłacać musiałem co sześć miesięcy staremu Izakowi, nie licząc w to komornego i wydatków domowych? Sam tylko Bóg uchronił mię od rozpaczy.

Czy podobna, pytałem często sam siebie, z całém niedowiarstwem nieszczęśliwego, któren mniema iż jest ofiarą prawdziwego fatalizmu; czy podobna, ażeby w śród stolicy, gdzie panują bogactwa, przepych, szalone wymysły zbytku, czy podobna ażeby człowiek dobrego urodzenia, uczony, któren długie lata poświęcił nabyciu wiadomości, również potrzebnych jak zaszczytnych, nie mógł nawet zarobić na życie?... gdy tymczasem kłamstwo i szarlatanizm najświetniejszém cieszą cię prowadzeniem!.... Ileż to razy w podobnych zatopiony myślach, przebiegałem Londyńskie ulice, wieczorem podczas tęgiéj zimy, umierający prawie z głodu, nie śmiejąc wrócić do domu aby nie zwiększyć wydatków! Stan mojéj żony wymagał aby przez najsurowszą oszczędność uzbierać szczupłą kwotę na opędzenie wydatków, które jéj rozwiązanie koniecznie za sobą pociągnie. Ileż to razy zazdrościłem najlichszego posiłku nędznemu wyrobnikowi! Ileż to razy nagradzałem sobie długi post szklanką piwa i kawałkiem chleba, które kazałem sobie przynieść, pod pozorem że nie mam czasu obiadować w domu! Z niepodobném do opisania rozdarciem serca, patrzałem jak przed rzęsisto oświeconemi pałacami, świetne zatrzymywały się powozy, a z nich wysiadały strojne

http://rcin.org.pl

damy, i myślałem iż wartość ich świecideł zapewniłaby mi los przyjemny i niepodległy.

O wy! co opływacie w dostatki, wy co siejecie złoto i srebro na zadowolenie chuci waszych, ulubieńcy szczęścia, czyście też kiedy pomyśleli, że istnieją nędzne rodziny zazdroszczące nawet okruszyn waszego stołu, których im zebrać nie wolno?...

We dwa dni po moim przypadku w zwierzyńcu Saint James, przebiegałem jak zwykle gazety. Znalazłem wyrazy następujące:

»Doktor, któren rozmawiał przed »dwoma dniami z chorym starcem na »ławce w zwierzyńcu Saint-James, »proszony jest aby przysłał swój adres »do P. W... J... mieszkającego, i t. d.»

Ze zbytku radości upuściłem dziennik. O mnie wyraźnie była mowa; na ten słaby połysk nadziei, już budowałem tysiące zamków na lodzie. Spieszyłem się udzielić żonie téj przyjemnéj wiadomości; łatwo odgadnąć z jakim pośpiechem odpowiedziałem na uczynione mi zaproszenie. Nie wyszedł kwadrans a już zapieczętowałem i posłałem mój adres Po nocy bezsennéj, miotany tysiącem nadziei i tysiączną obawą, siedziałem przy śniadaniu z moją Emilią, gdy służący w liberyi zapukał do drzwi naszych; zapytawszy czy doktor *** był w domu. Zostawił list. Była to koperta zawierająca adres Sir Williama i te słów kilka:

»Sir William ma zaszczyt pozdrowić doktora ***, i prosić aby przyszedł do niego dziś rano.»

—»Teraz się uspokój, kochany mężu, rzekła Emilia, widząc moje wzruszenie.

Nie mogłem się uspokoić; niecierpliwie czekałem południa; gdy zegar wybił dwunastą, wybiegłem z pośpiechem, przemyślając po drodze o rozlicznych środkach zaradzenia słabości starca; postanowiłem mu przepisać zupełnie nowy sposób życia; chciałem cudów dokazać.

Zastałem Sir Williama przy kominku. Przyjął mnie jak najgrzeczniéj i poprosiwszy siostrzenicy, młodéj ślicznéj panienki, aby odeszła, rzekł, iż tak został uderzony trafnością moich uwag w zwierzyńcu Saint-James, iż gotów był we wszystkiém iśdź za moją radą i całkiem oddać się w moje ręce. Wyszczególnił mi wszystkie swoje cierpienia. Ujrzałem że zdrowie jego całkiem jest zniszczone i że niedługo pociągnie; upewniłem go jednak, że jeśli wiernie trzymać się będzie moich przepisów, mogę przynieść ulgę jego cierpieniom. Słuchał mnie z największém zajęciem; potém spojrzawszy na mnie z rozrzewnieniem:

—»Czy myślisz doktorze, że mógłbyś przedłużyć mi życie przez dwa lata?

—»Niepodobna mi uczynić podobnéj obietnicy, rzekłem.

—»Jedynym powodem tego zapytania jest przywiązanie ku moiéj siostrzenicy. Jeśli nie dożyję dwóch lat, a choćby ośmnastu miesięcy, wielkie ją czeka nieszczęście...

Westchnął głęboko. Potém nagle:

http://rcin.org.pl

—»Pomówimy o tém później doktorze, czekam cię jutro.

Nalegał koniecznie abym przyjął pięć gwinei za pierwszą i drugą poradę. Odszedłem. Wróciwszy do domu, zdawało mi się żem odżył; nowém oddychałem tchnieniem, najświetniejsza przyszłość rozwijała się przed memi oczyma. Emilia dzieliła radość moją i tak byliśmy szczęśliwi przez resztę dnia, jak gdybyśmy już zwalczyli nieszczęście.

Przez tydzień udawałem się codziennie do Sir Williama i brałem regularnie dwie gwineje za każdą wizytę. W Niedzielę rano, zastałem u niego nadwornego lekarza, doktora*** który przez kilka dni zatrudniony był przy jednym z członków królewskiéj rodziny. Był to człowiek grzeczny, lecz dumny; obraził się, iż Sir William mnie przywołał. Starzec przedstawił mnie doktorowi. Doktor spytał mnie z niechcenia w któréj stronie miasta mieszkałem. Wymieniłem ulicę. Udawał iż chce sobie przypomnieć nazwisko ulicy, obok któréj sam tuż mieszkał. Wsławiony lekarz, jak najłatwiéj wydrzeć może młodemu koledze ostatni środek utrzymania, tak postąpił doktór ***.

Upewnił Sir Williama iż nic mu lepiéj nie posłuży jak zmiana powietrza. Przyzwoitość wymagała abym był jego zdania.

—»Opuść pan miasto; czem prędzéj, tém lepiéj.

Sir William spytał, czy dzieliłem to mniemanie; odpowiedź moja była potwierdzająca. We dwa dni Sir William wyjechał na wieś, i umarł we trzy tygodnie.

Nic mi więc nie szło; wszystko zdawało się zbiegać na moją zgubę, a promień nadziei rozjaśniający los mój na chwilę, zdawał się tylko lepiéj wyświecać całą gorycz jego. Jedyném moim bogactwem było już tylko 25 funtów szterlingów, a miałem długu sto fun., prócz procentów. Emilia zległa; była bardzo słaba również jak i dziecię; to stało się powodem nowych wydatków. Jakże mi serce rozdarła ta nieoceniona kobieta, gdy zaledwie wstawszy z łóżka, przyszła mnie prosić abym odprawił służącą, gdyż się sama podejmuje całego gospodarstwa.

Nie mogłem od łez się wstrzymać:

—»Nie, nie, rzekłem, ściskając delikatne jéj rączki w moich drżących ręku; nie, Bóg nie dozwoli aby tyle wdzięków, tyle cnoty, przywiedzionemi były do takiéj ostateczności.—Tak mówiłem, lecz w głębi serca przewidywałem dla niéj przyszłość okropniéjszą jeszcze.

Ty sam wiesz jedynie, Boże! ile wycierpiałem w tych czasach, na których wspomnienie drżę jeszcze, nie dla siebie, lecz dla istot ukochanych, których życie z mojém życiem było złączone.

Co uczynić? Stary Jzaak przyjdzie nie długo po swój procent; wszyscy wierzyciele trzymali mię w oblężeniu. Pisałem kilka listów do mego dobrego, prawdziwego przyjaciela lorda L*** któren ciągle podróżował, lecz nie wiedziałem gdzie je adressować,

http://rcin.org.pl

domowi jego upewniali mię że sami nie wiedzą o tém.

Nie raz mój ojciec powiadał, że mieszka w Londynie niedaleki krewny, niezmiernie bogaty Baronet, któren ożenił się z moją kuzynką dla jéj nadzwyczajnéj piękności, lecz że to był człowiek dumny i odrażający. Nie raz przyszło mi myśl udać się do niego; nie mogłem sobie wystawić, aby się nie wzruszył wiernym obrazem naszéj nędzy; wziąłem pióro aby mu skreślić nasze położenie. Po dojrzałéj rozwadze, zaadressowałem list do jego żony, która, muszę wyznać z boleścią, była również jak on nieużyta. Odebrałem odpowiedź następującą, datowaną z wiejskiego pałacu, w którym przepędzała wiosnę i lato.

—»Lady*** zasyła swe ukłony Doktorowi*** Przeczytała list jego z mocném rozczuleniem, i ma się za szczęśliwą, iż może przesłać mu tu przyłączoną kwotę, prosząc go, aby raczył ją przyjąć. Z największą trudnością wystarała się o nią, i wiele będąc dłużną hrabiemu *** sama jest teraz w niedostatku. Z żalem musi więc prosić pana doktora, ażeby więcéj nie udawał się do niéj z podobném żądaniem. Co do ofiarowanych usług, przyjąć ich nie może, gdyż bardzo kontenta jest ze swego doktora.»

Dołączona summa była to 10 fun. szterlingów. Rozgniewany listem który im towarzyszył, już chciałem go odesłać; lecz zatrzymałem się, wspomniawszy na żonę... Do czegóż nędza nie zmusza człowieka! Postanowiłem wrócić do pana M***, o którym już wspomniałem i niczego nie zaniedbałem aby się z niém widzieć.

Wyszedłem, nie wspomniawszy żonie o moim zamiarze. Było południe, słońce jaśniało w całym blasku; kogom tylko spotkał, zdawał mi się szczęśliwy i zadowolony. Ja sam tylko szedłem smutny; pozbawiony nadziei, lecz z stałém przedsięwzięciem zobaczenia, czy i te drzwi jeszcze zamkną się przedemną. W miarę jak szedłem daléj, zmniejszała się moja odwaga; opuściła mnie zupełnie gdym ujrzał mieszkanie pana M***; musiałem wstąpić do sklepu i wypić kieliszek rumu, a to wróciło mi nieco śmiałości. Przybywszy, ujrzałem lokajów opartych na oknie, bawili się wyszydzaniem przechodzących. Więcéj się bałem tych urwisów, niż samego pana. Zadzwoniłem; odźwierny przybiegł, i stojąc we drzwiach na pół otwartych, spytał czego żądałem.

—»Jest pan w domu?

—»Tak, jest. Czego pan potrzebuje?

—»Czy można z nim mówić?

—»Nie zdaje mi się; powrócił od Xiężnéj dopiero o szóstéj z rana

—»Poczekam! Proszę mu oddać kartę i oświadczyć że mam mówić w pilnym bardzo interessie.

—»Nie przyjmuje aż o czwartéj. Czy pan może tak długo czekać?

—»Nie, — powiedziałem urażony; żadnym sposobem nie mogę.

—»Zawołał lokaja aby mię wprowadził do przedpokoju, mówiąc że będę musiał poczekać z parę godzin, gdyż pan dopiero co wstał, a przynajmniéj godzinę zabawi przy toale-

http://rcin.org.pl

cie. Odszedł zapewniając, że odda mój bilet. Siadłem, postanowiwszy czekać, póki mię nie zawołają. Nie zadługo zajechały świetne powozy, a właścicieli ich natychmiast wprowadzono. Zadzwoniłem, pyta ąc służącego czemu tak długo pozwalano mi czekać, gdy inni mają przystęp do pana.

—»Alboż ja wiem, odpowiedział z najzimniejszą krwią służalec, drzwi zamykając.

Byłem oburzony; zerwałem się z krzesła, przechadzałem się wielkiemi kroki po pokoju; potém usiadłem znowu.

Usłyszałem jak lokaj rozkazywał w imieniu pańskiém aby powóz był gotów za pół godziny. Zadzwoniłem znowu; tenże sam służący wszedł i spytał poufale czego chciałem.

—»Zaprowadź mnie do pana; nie mogę dłużéj czekać: rzekłem z gniewem.

—»Doprawdy, nie mogę tego zrobić: odpowiedział z szyderskim uśmiechem.

—»Czy oddałeś moją kartę panu? spytałem głos podnosząc.

—»Pójdę się zapytać kamerdynera; odpowiedział i drzwi zamknął.

Za kilka minut powóz toczył się po dziedzińcu, i usłyszałem głos: »Gdyby lord Darnléj przyjechał, powiedzieć mu że będę u niego.»

Zadzwoniłem po raz trzeci.

—»Możnaż się przecie teraz widzieć z panem?

—»Pan w tym momencie odjechał. Powiedziano mi, iż rzekł odebrawszy moją kartę: »Nie mam czasu widzieć się z tą osobą,» lub coś podobnego.

Wyszedłem bez odpowiedzi. W dziesięć lat późniéj, tenże sam Baronet stracił cały majątek w karty i umarł tknięty apoplexyą.

Chodziłem tu i owdzie po mieście, aby rozproszyć smutek którym ta nowa niepomyślność napełniła moją duszę.

Nędza tym czasem już nam groziła; trzeba koniecznie wynaleźć środek jaki albo się zgubić. Umyśliłem udać się do najpierwszego doktora londyńskiego; wszedłem do kawiarni aby napisać kilka słów do niego. W kilka dni przysłał mi gwinejęę, mówiąc, że młodzież zaczynająca zawód bez pieniędzy, powinna się spodziewać podobnego powodzenia.

Ostatnią nadzieję pokładałem w stałym naszym lokatorze. Chociaż był posępny i kwaśny i z nikim nie przestawał tylko z ulubionym swoim murzynem, zdało mi się jednak iż potrafi bydź wspaniałym. Był to człowiek wyłącznego zupełnie charakteru, muszę o niém słów kilka powiedzieć. Nie przyjmował nikogo, ciągle siedział przed kominkiem i ciągle przeklinał ostrość naszego klimatu. Jedyném zatrudnieniem jego było, słuchać jak murzyn po całych godzinach mruczał piosnkę jndyjską, dość podobną do miauczenia kota, dopóki jednotonna jéj melodya obu nie uśpiła. Bardzo kochał tego murzyna; bił go niemiłosiernie za najmniejsze wykroczenie.

Pewnego dnia, przestraszony słu-

http://rcin.org.pl

żący przyszedł mi powiedzieć, iż pan jego potrzebuje doktora. Dostał okropnego bicia serca; przepisałem mu lekarstwo i dalszy sposób życia; dał mi za to... —gwineję? —Bynajmniéj; starą laskę bambusową. Aby podwyższyć jéj cenę w moich oczach, upewniał mię iż nią zabił ogromnego grzechotnika. Drugą razą w podobném zdarzeniu ofiarował mojéj żonie filiżankę z chińskiéj porcelany.

Najporządniejszy był w każdym czynie; płacił mi regularnie komorne w oznaczony dzień terminu, w samo południe.

Taki był człowiek którego pomocy postanowiłem wezwać w okropném mojém położeniu. Skreśliłem wierny obraz mego stanu; słuchał go smutnie, skończyłem prosząc aby mi pożyczył 300 funtów szterlingów.

—»O Boże! zawołał, padłszy w znak na krzesło i wznosząc ręce do nieba:

—»Czy zechcesz pan mi pożyczyć tę summę? zapytałem z uszanowaniem.

—»Doktorze, czy mnie bierzesz za lichwiarza?

—»Bynajmniéj; lecz za uczciwego lokatora i usłużnego człowieka.

—»A ha! myślisz żem bogacz z Indyów przybyły, który pierwszemu lepszemu wyrzuci pieniądze?

—»Jakież pańskie ostanowienie? spytałem po chwili milczenia.

—»Niepodobna mi zadosyć uczynić żądaniu Wpana, doktorze; i odprowadził mnie aż do drzwi, głębokie czyniąc ukłony. Jak błyskawica przeleciałem schody, pieniąc się ze wściekłości. Zdawało się, iż nieszczęście nacechowało mię piętnem zguby. Wszyscy odpychali mnie od siebie.

Nazajutrz, miałem opłacić komorne, a stary Izaak.... o Boże! cóż działo się ze mną gdym usłyszał iż do drzwi zasztukał. Upewniłem go z rozpaczną spokojnością, że chociaż nie mogę go zaspokoić w téj chwili, proszę aby raczył powrócić jutro, a znajdzie gotowe pieniądze. Oko Izraelity zdawało się przenikać głębię méj duszy. Odszedł bez najmniejszéj skargi, a ja pobłogosławiłem go z całego serca, za uzyskaną zwłokę.

Był to Piątek, we dwa dni po Bożem narodzeniu. Kochana Emilia wyszła nareście z pokoju, pierwszy raz po połogu. Chociaż blada i osłabiona, tak była jednak piękna, miłość jéj zdawała się jeszcze podwajać! Mimo smutnego położenia, chcąc uroczyście obchodzić ozdrowienie żony, wydałem ostatnią gwineę na obiad jakiego już dawno nie jadłem, i postanowiłem przez dzisiaj wszelkie kłopoty odłożyć na stronę. Nakryto do stołu, zastawiono biwsztyk, odkorkowałem ostatnią jedyną butelkę, gdyśmy usłyszeli mocne pukanie do drzwi domu. Posłyszawszy ten łoskot o mało nie zemdlałem, sam nie wiem dla czego. Służąca poszła otworzyć; weszło dwóch ludzi, trzymając w ręku duży arkusz papieru.

—»Kto jesteście? czego panowie potrzebujecie? zawołałem. Emilią przerażona, stała obok mnie blada i drżąca.

http://rcin.org.pl

—»Czy pan jesteś wyrażoną tu osobą? spytał jeden z nich głosem wzruszonym, pokazując mi wyrok pod osobistą odpowiedzialnością, któren stary Izaak uzyskał przeciwko mnie, za należącą summę. Emilia spostrzegła moje pomięszanie; służąca przybiegła jéj na pomoc i nie dozwoliła upaść na ziemię; zemdlała. Kazałem położyć ją na łóżku; przez kilka chwil zabawiłem przy niéj i oddałem się dobrowolnie w ręce komornika. Choćbym wieki przeżył, nigdy nie zapomnę téj chwili.

W kilka godzin potém siedziałem zamknięty w wilgotném więzieniu. Było to w zimie; zimno było nieznośne, a jednakże kto nie miał za co kupić drzewa, nie mógł wyprosić ognia. Cierpiałem okropnie; już byłem gotów położyć koniec smutnemu życiu; wspomniałem na Emilią, na moje dziecię....

O Boże wielki! cóż stanie się z niemi?... zostawiłem ich bez pieniędzy, bez żadnego sposobu. Ta myśl przywodziła mnie do wściekłości... Szerokim krokiem chodziłem po izbie; noc przepędziłem bez światła i ognia; nad ranem, przeziębły, strudzony, padłem na słomę i zasnąłem. Wyrwał mnie ze snu okropnego, serdeczny uścisk, najczulsza pieszczota. Była to Emilia, biedna moja Emilia, która odkrywszy miejsce mego uwięzienia, przyszła z narażeniem życia, przynieść mi wiadomość o mojém uwolnieniu; wymogła na lokatorze trzysta funtów szterlingów, o które błagałem nadaremnie. Najśpieszniéj wróciliśmy do domu. Wszedłem do mego lokatora aby mu wyrazić najżywszą wdzięczność.

Nie przerywając, słuchał mnie do końca, potém rzekł spokojnie:

—»Mości panie, wolałbym żebyś mi dał wexel.

Obrażony, zmartwiony taką odpowiedzią, uczyniłem zadosyć jego życzeniu, w myśli iż zastąpi starego żyda: lecz mi bynajmniéj nie dokuczał. Kilka funtów szterlingów, pozostałe po zaspokojeniu niezbłaganego wierzyciela, poszły na opędzenie najgwałtowniejszych potrzeb; słaby ten zasiłek zmniejszał się codziennie, a przyszłość coraz to była posępniejsza. Nie zadługo miał znowu ukazać się stary Izaak. Cień jego przeklęty zdawał się mnie wszędzie ścigać, nawet mój sen zakłócał. Nie raz budziłem się w nocy, wymawiając jego imie. Smutek mnie pożerał, wychudłem jak mara; zapadłe oczy, twarz blada, aż nazbyt dowodziły udręczeń mojéj duszy.

Los sprzykrzył sobie na koniec prześladować mnie; interesa moje wzięły najpomyślniejszy obrot, gdym się tego najmniéj spodziewał i najwięcéj potrzebował. Winien byłem moje szczęście przypadkowi. Jakże wielka jest prawda, że pomyślność lub nędza, zależą często od ślepego trafu!

Pewnego wieczora, około ósméj, szedłem przez Hajmarket, szukając sklepu gdzie mógłbym przedać pracę Emilii. Plac przed teatrém opery, był bardzéj napełniony ludźmi i powozami, niż zwykle. Zatrzymałem się chwilę, patrząc na ten obraz. Nagle krzyk rozległ się pośród powozów.

»Doktora! co prędzéj doktora! Poskoczyłem ku powozowi którego drzwiczki na wpół były uchylone, zkąd wychodziły jęki kobiety. Była to młoda i piękna osoba. Gdy wy-

http://rcin.org.pl

ciągnęła rękę z karety aby pokazać siostrze rzęsiste oświecenie pobliskiego domu, powóz w całym pędzie o włos koło niéj przebiegł i wywinął iéy ramię. Gdym dobiegł do powozu, nieszczęśliwa padła bez zmysłów na ręce starca i młodéj panienki, najmocniéj przerażonych. Był to Hrabia W*** z córkami. Wsiadłem do karety i umieściłem chorą tak, ażeby ile możności najmniéj cierpiała. Posłałem spiesznie do pana Cline (*) prosić aby się udał natychmiast do pałacu hrabiego; stangretowi kazałem pędzić co konie wyskoczą.

Chirurg czekał już na nas, jak najdoskonaléj naciągnął rękę choréj; przepisałem lekarstwo, a hrabia dał mi dziesięć gwineów. Podziękował mi najczuléj za troskliwe moje starania i prosił abym przyszedł jutro jak najraniéj.

Pobiegłem jnk strzała donieść Emilii o szczęściu przepełniającém duszę moją. W kilka minut przybyłem do domu; szczęście jaśniało w moich oczach: zawód pomyślności otwierał się przecież. Emilia żywo dzieliła radość moją, chciała jednak abym się uspokoił; lękała się, aby nowe zawiedzenie tém boleśniejszém dla mnie nie było: rozrzewniająca jéj obawa była jednak próżną.

Wybiła wreście dla mnie godzina. Nie przestałem udzielać starań piękniéj pacyentce; gorliwość moja i usilność, zjednały mi szacunek i przyjaźń rodziny hrabiego. Hrabina od dawna cierpiąca, powierzyła mi zdrowie swoje. Nie potrzebuję wzmiankować, iż usługi moje wspaniale wynagradzano. Pozyskawszy przychylność téj szanownéj rodziny, dostałem wkrótce kilku bogatych pacyentów.

Najpomyślniejsza przyszłość zaczęła mi się uśmiechać. Z niewymowną radością zaspokoiłem starego Izaaka i z niemałém jego podziwieniem spytałem się czy nie chce odebrać kapitału.

Tyle ucierpiawszy, umiałem korzystać z pomyślności. Zawsze jednaką zachowywałem oszczędność i wkrótce zaspokoiłem wszystkich moich wierzycieli. Najdroższa Emilia pokazała się wreście śród towarzystwa i była jego najcelniejszą ozdobą. Wkrótce, liczyliśmy w rzędzie przyjaciół naszych, najpierwsze domy.

Jak to zwykle bywa na świecie, ci co mnie odpychali niegdyś z pogardą, nie szczędzili mi teraz grzeczności, gdym się przypadkiem z niemi spotykał. Wezwano mię na konsultacyę z doktorem, któren mi przysłał gwineę; zapłonął się ze wstydu gdym mu ją oddał.

We cztery lata po przypadku w Haymarket, oddałem staremu Izakowi 3000 funtów szterlingów: umarł w miesiąc po podpisaniu kwitu. Wydobyłem się na zawsze z okropnych szponów lichwiarzy. Stary lokator umarł w ośm miesięcy po zmianie mego losu. Jedynym jego dziedzicem został młody porucznik marynarki. Z wielkiém podziwieniem i niewygasłą wdzięcznością, zapisał nam w testamencie 2000 funtów szterlingów, licząc w to trzysta pierwéj pożyczone. We dwanaście lat potem, dochód mój dochodził do trzech, lub czterech tysięcy funtów szterlingów rocznie; rodzina moja powiększyła się, urządziłem się za tém stósownie do teraźniejszego stanu. Najałem obszerny i piękny dom; trzymałem powóz. Wspomnienie przeszłości było dla mnie korzystną nauką; nauczyło mnie kosztować szczęścia z umiarkowaniem i nie patrzeć obojętnie na cierpienia młodych współzawodników, na ich próżne usiłowania, na ich bolesne pasowanie się z ubóstwem i wzgardą, których sam niegdyś byłem ofiarą.

(*) Sławny Chirurg.

http://rcin.org.pl

WIERNOŚC I MILCZENIE.

POWIEŚĆ

Naśladowana z niemieckiego.

W małém miasteczku, pośród gór Saskiéj Szwajcaryi, żył poczciwy Erhold. Był rektorem szkoły miejscowéj. Po stracie ukochanéj żony, została mu córka jedyna, świeża iak pączek majowy, niewinna jak myśl anioła. Wszyscy kochali Ninę; kobiety wybaczały jéj nadzwyczajną piękność i była tak dobrą! Dobroć i słodycz zniewalały jéj serca wszystkich. Czy białe jéj paluszki przebiegały po klawiszach; czy zanuciwszy piosenkę, głos jéj zdawał się łączyć z chórami aniołów; czy z dziecinnym uśmiechem dziewicze swe czoło polnym wieńcem zdobiła, zawsze wzbudzała miłość i podziwienie. Wyższa nad wiek swój, z przezornością biegłéj gospodyni zarządzała domem ojca, a porządek i obfitość, jakby przez czary w około niéj zakwitały. Marya, stara Niny piastunka, dopomagała jéj w zatrudnieniach domowych i macierzyńskiém okiem czuwała nad nią; a dobra Nina rady jéj z wdzięcznością przyjmowała.

Przy domu był mały ogródek i ładna altanka. Nina często siadała w oknie z robotą. I nagle gust do zaniedbanéj od dawna botaniki powstał w szkole rektora. Młodzież całe dni przepędzać chciała w ogródku. Cieszył się rektor tak wielkim zapałem ku ulubionéj przez siebie nauce, i oddał mały ogródek na użytek szkolny. Lecz Nina się smuciła: postradała swoje kwiaty, swoją altankę.

Kantor chwalił słowiczy głos Niny i prosił ojca aby jéj dozwolił śpiewać w niedzielę na chórze. A nagle znowu gust i zapał do muzyki zajął umysły szkolnéj młodzieży. Stara Marya zaczęła kiwać głową. Nina nie śpiewała więcéj na chórze i gust do muzyki ustał. Cieszył jednak Ninę ten niemy hołd oddawany jéj wdziękom: z dziecinnym uśmiechem radości spostrzegła za okienkiem postawiony w ofierze, wazon róży świeżo rozwitéj, lub krzaczek skromnych niezapominajek. Cieszyło ją gdy młodzieńcy z poszanowaniem ustępowali jéj miejsca w kościele. Lecz posłuszna radom Maryi, nigdy im tego nie okazywała.

Nina kochała się w porządku. Ustawiała w szafach pięknie oprawne książki ojca i znała tytuł każdéj. Wkrótce upowszechnił się w szkole gust do czytania. Nina dawała uczniom żądane książki, zawsze skromna, zawsze ze spuszczoném, powłoczystém, błękitném okiem. Nie jeden młody poeta, natchniony jéj anielską postacią, zostawiał na jéj stoliczku wiersze ułożone na jéj pochwałę. Nina czytała wiersze, uśmiechała się, lecz serce jéj zawsze było spokojne, zawsze niewinne.

Pięknie oprawne książki, wzbudziły ciekawość Niny; zaczęła chciwie czytać, i wkrótce więcéj daleko znała niżeli same tytuły. Czytała z wielką uwagą, pamiętając na przestrogi, które ojciec często dawał uczniom: lepiéj mało a dobrze, lepiéj często

http://rcin.org.pl

odczytywać niż zbyt wiele czytać. Nina stósowała się do tego prawidła, odczytywała często najlepsze tłómaczenia starożytnych autorów i zastanawiała się nad niemi głęboko. Plutarch objaśnił ją również dobrze jak romans najlepszy, dla czego tak mocno bije jéj serce młodociane. Odtąd jéj pieśni stały się jeszcze rzewliwszemi, żywszy rumieniec powlekał jéj lica, czulszy ogień błyszczał w jéj błękitném oku.

Czytanie starożytnych zupełnie inny tok nadało jéj myślom; w pośród otaczającéj młodzieży zaczęła szukać komu serce odda. Ojciec jéj nazywał niektórych młodzieńców pociechą rodziców i nadzieją kraju. — Z uśmiechem, z zapłonieniem spoglądała na nich Nina; badała serce swoje, słuchała czy bije, lecz serce jéj w przytomności owych nadziei kraju było zupełnie spokojne, a Nina wyczytała w Xenofoncie, że na widok przyszłego męża serce gwałtowne bić powinno, jak tego doświadczyła Tygrana, ujrzawszy pierwszy raz swojego małżonka.

Młodzieńcy bledli i drżeli na jéj spojrzenie; pochlebiało to Ninie; lecz wyczytywała że i ona w przytomności kochanka drżeć i blednąć powinna, a jéj umysł, jéj serce tak były spokojne! — Ach! czegóż, czegóż mnie oni kochają! mówiła sobie w chwilach samotności; — ach! niechaj w daleki świat idą szukać dla siebie serca, nic wspólnego między nami bydź nie może.» I tak poważną, tak zimną przybierała postawę, iż surowością swoją oddalała wszystkich zakochanych.

—»Piękna, o zbyt piękna jest Nina! — mówili młodzieńcy, — lecz zimna jak lód, lecz bez duszy jak posąg; Nina nie ma serca. — Słyszała to Nina i mówiła sobie ze smutnym uśmiechem.

—»Jakże ich żałuję! lecz znajdzie się, znajdzie i dla mnie przeznaczony.

Stara nawet Marya uznała, że Nina była zbyt surowa. —»I cóż mam czynić? odpowiadało jéj skromne dziewcze: nie znalazłam jeszcze nikogo coby godnym był mojéj miłości, lecz może i ja znajdę przedmiot wart kochania: mam dopiero lat szesnaście!

Właśnie wówczas znajdował się w najwyższéj klassie młodzieniec, którego rektor i całe miasteczko zwali: pięknym ladaco. Co za szkoda młodziana! był wybujały i smukły jak topola; na wyniosłe czoło spływały pierścienie jak heban czarnych włosów, wielkie czarne oczy błyszczały ogniem zapału i czucia; na różanych ustach lekki błąkał się uśmiech; w całéj postaci malowało się coś zachwycającego, coś pomysłowego. Pomimo nadanego przydomku, młody Rajnold Trejber, miał mnóstwo przyjaciół: kochali go najczuléj wszyscy ubodzy z całego miasteczka i wsiów pobliskich, którym zawsze oddawał wszystko co tylko posiadał; kochał go czuléj jeszcze młody biedny chłopiec, którego wziął do usług, a któren niewiadomo czy był jego służącym czy przyjacielem, tak z nim łagodnie się obchodził.

Lecz za to ganili go nauczyciele,

http://rcin.org.pl

iż do każdéj mieszał się kłótni: wprawdzie obstawał za stroną słabszych, bił się za nich i bronił ich wszelkiemi sposoby, ale to uchybiało porządkowi i karności. Po nocach uczył się grać na flecie. Słowem był wielkim przyjacielem nocy, a gdy mu to wyrzucano, mówił iż dla tego noc lubi, że ją inni nienawidzą. Był wielkim postrachem złodziejów, gdyż ze swoim fletem przechadzał się w ciemności po ulicach, również spokojnie jak stróże nocni. I burmistrz był jego nieprzyjacielem, gdyż piękny Ladaco, śmiało błędy jego wytykał. Burmistrz mu pogroził; piękny ladaco rozśmiał się na to, mówiąc: że pojedzie prosto do xięcia na skargę, żeby zatém pan burmistrz miał się na baczności!

W szkole, wszystkich uczniów przewyższał nauką; on najlepiéj po łacinie, on najlepiéj po grecku umiał. Nienawidzili go uczniowie, często jednak łaski jego z podłością żebrali. Pieniądze jego, ręka i głowa były każdemu ku pomocy. Współtowarzysze, do nienawiści łączyli bojaźń: Rajnold był ich panem, a gdy na to zasłużyli, nieubłaganym wrogiem.

Nienawidziły go kobiety: nie raz śród dnia stroił pudla swego w najpiękniejsze toki lub kapelusze z piórami i tak go wodził przez całe miasteczko. Kobiety brały to za satyrę strojów swoich: piękny ladaco śmiał się z ich gniewu.

Nina znała dobrze pięknego Ladaco. Gdy z wdzięcznością słuchał napomnień jéj ojca, gdy tak zimno i poważnie przyjmował uwiadomienie kary, dziwiła mu się nadobna dziewczyna, chociaż ojciec zwał to uporem i zatwardziałością duszy. Podobał się jéj, gdy przed swoim sędzią stał z pogodném czołem, gdy tak spokojny odchodził. Czule spoglądała Nina za odchodzącym młodzieńcem i powtarzała z westchnieniem: O szkoda! szkoda młodego, pięknego Ladaco!

Szkolne więzienie było właśnie po nad pokoikiem Niny. Dobra Nina nie lubiła w niém przebywać gdy kto na górze był uwięziony; każde usłyszane stąpienie rozdzierało jéj czułe serce. Jednego razu, piękny Ladaco był tam zamknięty. Chociaż serce jéj się rozdzierało, została w pokoiku, otworzyła okno i spoglądała na widok rozciągający się aż w dalekie góry. Południe było, cała natura w w głębokim zostawała spoczynku; słońce rozlewało blask swój na drzewa, trawniki, kwiaty: nawet wietrzyk najlżejszy nie chwiał drżącym liściem płaczącéj brzozy, która uploty swoje chyliła po nad oknem Niny. — »Nino! dobra Nino! zawołał z cicha głos pieszczony. Wszyscy ją dobrą nazywali. Przelękniona, natychmiast wstecz się cofnęła: okno zostało otwarte. W tém zwolna spuścił się papier zwinięty, przywiązany do szpagatu. Nie wiedziała Nina czy ma wziąść bilet, czy go zostawić. Lecz jeśli go nie wezmę, może go znajdzie kto inny? I wzięła. Te w nim były wyrazy:

»Za płochość niebacznego młodzieńca cierpi najnieszczęśliwsza rodzina. Nie spodziewałaś się tego może

http://rcin.org.pl

»Nino? Ufam twojemu czułemu wspa»niałomyślnemu sercu, iż zamilczéć »raczysz imie biednéj rodziny, dla »któréj dołączoną tutaj bagatelę spu»szczam. Przeznaczam ją dla choréj »żony naszego introligatora; lecz za»klinam cię, tkliwa Nino, chciéj te pie»niądze sama nieszczęśliwéj zanieść. »Ubóstwo nikogo nie hańbi; lecz ta »rozpaczająca rodzina wstydzi się bydź »ubogą. Racz więc ile możności o»szczędzać to uczucie i dochowaj mi »tajemnicy. Gdy poznasz cnoty i nędzę »tych biednych ludzi, sowicie w two»jém sercu wynagrodzoną zostaniesz. »Twój ojciec nie dozwala przesłać naj»mniejszego nawet papierka, zmuszo»ny więc zostałem szukać pomocy w »litościwém sercu córki.«

Z głębokiem wzruszeniem i radością, czytała Nina pismo pięknego Ladaco. »Nie dam mu jednak poznać, mówiła do siebie, jak bardzo mi się jego sposób pisania podoba, jak uwielbiam jego delikatność, jak rozczulona jestem jego dobrocią. O! któżby się był tego po niem spodziewał?« Tak mówiła, wzięła kapelusz, płaszczyk; nie zastanowiła się ani jednéj chwili czy pójdzie. »Chociażby cały świat miał się dowiedzieć, pójdę i nie wydam jego tajemnicy.

Poszła. Idąc przemyślała jakimby sposobem oddać pieniądze i nie obrazić delikatności nieszczęśliwych. Znalazła nakoniec dogodny środek. Zapytała o książkę swojego ojca, którą wiedziała w oprawie. Książka nie była jeszcze skończona, gdyż introligator musiał z ostatniéj potrzeby narzędzia swoje zastawić. Nie przyznał tego, lecz odgadła Nina.

—»Ojciec mój został podobno dłużny, rzekła: a ponieważ WPan teraz nie wiele pracować możesz, z przyczyny słabości żony, więc.... Starzec schylił nagle głowę i potajemnie otarł oczy. Zmięszała się Nina i zalała łzami. —»Litujesz się nademną, pani! rzekł do niéj starzec, ach! proś, błagaj twojego ojca, aby uwolnił pana Rajnolda Trejber. Ach pani! to anioł z nieba! gdybym śmiał błagać za nim, błagałbym na klęczkach! —»O, anioł prawdziwy! odezwała się chora; gdyby był wolny nie leżałabym tak długo bez żadnéj pomocy.

—»O anioł! anioł prawdziwy! powtórzyła Nina i łzy jéj mowę przerwały. Godni ludzie! oto on wam przysyła wsparcie. Położyła pieniądze na stole, przyrzekła milczeć, dokładając iż również to przyobiecała panu Rajnoldowi. Wówczas otworzyły się serca nieszczęśliwych; zaczęli opowiadać o pięknym Ladaco, inne, zupełnie inne rzeczy, niżeli jéj ojciec, niżeli burmistrz, niżeli jego współuczniowie.

Wróciła zamyślona do domu. Rzuciła spojrzenie w górę na żelazną kratę. Ujrzała młodzieńca! a choćby świat cały miał to zganić, uśmiechnęła się mile, na dowód iż poselstwo szczęśliwie wypełniła.

Gdy weszła do pokoju ojca, zastała tam stróża więzienia:—»Co teraz tośmy go doskonale złapali, panie rektorze: mówił: nie ma ani grosza gdyż chciał pożyczeć odemnie. Przecie te trzy dni wycierpi nietyko kozę, ale będzie się musiał obchodzić chlebem i wodą. Może choć to go poprawi. —»Dobrze, dobrze tak, odpowiedział

http://rcin.org.pl

rektor; chociaż nienawidzę zbytniéj surowości i zawsze z mego stołu posyłałem więźniom, którzy jeść nie mieli za co kupić, jednakże dla niego muszę stać się nieubłaganym.

» O rzadka dobroci! szepnęła Nina, wracając śpiesznie do swojego pokoiku: oddał wszystko, wszystko! a teraz musi pościć. O nie, nie, dodała, chociażbym więcéj miała mieć z nim tajemnic!.. a Marya to gani, mówi że to nie dobrze; chociaż sama teraz czuję że to nie dobrze: i przycisnęła rękę do serca: jednakże on przez te trzy dni pościć nie będzie.

I drżącą ręką napisała piérwszy w życiu swojém bilet do młodzieńca; przerywając pisanie kilkakrotnie powtarzała: »O Boże! pocóż jestem zmuszona to uczynić! Cóżby na to powiedziała Marya! Napisała: »Za tak »szlachetne postępowanie niepowinie»neś cierpieć; posyłam ci zatem to, »co wiem że mój ojciecbyci nie od»mówił, gdyby znał dobroć twoją. »Twój podarunek z radością przyjęty »racz i mój również dobrotliwie przy»jąć.

Jeszcze wisiał sznurek pomiędzy liściami brzozy, pewnie czekając odpowiedzi. Gdy się bardziéj zmierzchło, w mały koszyczek włożyła pół pieczonego kurczęcia, bułkę ze świeżém masłem, kilka winiówek i flaszkę piwa; na wierzchu umieściła bilet i przywiązała koszyczek do szpagatu, w momencie pociągnięty został w górę. Z niespokojnością spoglądała za swoim koszyczkiem, a serce jéj drżało z bojaźni. Po pięciu minutach spuścił się nowy bilet. »Ach! spodziewałem się tego! zawołała żałośnie; lecz nie wiem czyby sama mądrość mogła lepiéj odemnie postąpić. Mamże wziąść to pismo? mamże go czytać? Muszę.... I czytać zaczęła: »Najszlachetniéjsza przyjaciołko! — już przyjaciołko, ó Boże uchowaj!.. ale cóż miałam czynić? — »Dobroć twoja rozkoszną zgotowała mi ucztę! Jakiż wdzięk rozczulający zawiera się w politowaniu serca tak czystego tak anielskiego jak twoje; lecz i moje serce nie jest zupełnie twojego niegodném! — O nieba! otóż i o sercu mówić zaczyna!.. gdyby wiedział jak moje serce bije gwałtownie!—»Jutro dostanę pieniędzy. — Dzięki najwyższemu! gdyż jutro musiałby na obiad pościć; jakże bowiem ośmieliłbym się mogła, jutro wpośród dnia, w obliczu ludzi, przesyłać mu jedzenie? —»Pojmuję, ile zajęcie któremi okazać raczyła, kosztować cię musiało!» — Czuję żem się zapłoniła jak róża; ale pocóż, po cóż on to napisał! —»ale ten zapał czysty, któren dobroć twoja w méj duszy wzbudziła, trwać będzie wiecznie. — Oh! to dla mnie wieczystą zostanie przestrogą, abym się nigdy w podobne nie wdawała rzeczy.

Wieczorem odczytała Nina więcéj niźli razy dziesięć, bilety pięknego, dobrego, czułego Ladaco; za każdém odczytaniem zdawały się jéj bardziéj zachwycające. Co chwila wyglądała oknem, lękając się nowego pisma. Ale żaden bilet już się nie spuścił. Cieszyło to Ninę, wdzięczna była Rajnoldowi za jego delikatność lecz gdy noc zapadła, a sznurek ani razu się

http://rcin.org.pl

nie spuścił, pomimowolnie zasmuciła się niewinna Nina. Łoskot jego stąpień czynił ją niespokojną. Gdy to postrzegła, uśmiechnęła się zrazu, potém załamała ręce i rzekła: »O prawdę! prawdę mówiła Marya! skoro pierwszy krok uczynimy, wszystko serce ułudza i podbija. Czyliż stąpień jego nie słucham z większém upojeniem niżeli czarownéj muzyki? Lecz sama cnota czyliż mogła lepiéj odemnie postąpić? Poznać mu jednak nie dam, jak moje serce gwałtownie bije i że on, Ladaco, bicie jego wzbudził.

Cnotliwa Nina dotrzymała słowa. Skoro pierwszy raz ujrzała znowu Rajnolda, pałające zapłonienie lica jéj oblało, a serce niespokojne gwałtowniéj bić zaczęło. Lecz śpiesznie schyliła głowę ku ziemi, jak gdyby podnosząc z posadzki rzecz jakąś upuszczoną; wejrzała potém na niego twarzą pogodną, przywitała go przyjaźnie, tak przyjaźnie jak niegdyś, i siadła przy krosienkach, na pozór obojętna, zimna.

Lecz nie tak spokojny był piękny Ladaco. Nina okazała mu tak czułe zajęcie! przesłała mu jedzenie, odpisała na jego bilet. O jakże pragnął otrzymać więcéj uszczęśliwiających biletów! Jakże śledził wszędzie kroki Niny! Ustawnie go spotykała to w domu, to w ogrodzie, to na przechadzkach za miastem. Najął sobie mały pokoik na przeciw pomieszkania Niny; tam co wieczór w otwartém siedząc oknie, najtkliwsze dumy wygrywał na flecie. Lecz Nina bardziéj jeszcze była obojętną, bardziéj zimną. Nie porzuciła izbedki; siadywała również jak dawniéj w oknie otwartém, lecz ani na chwilę nie odwracała oka od roboty, chociaż czarne oko pięknego Ladaco, strzeliste rzucało na nią wejrzenia. Gdy na flecie wygrywał ulubioną jéj dumę: *Błądzę po lesie, milczący, wzruszony*; tak spokojnie wówczas rozmawiała z otaczającemi ją osobami, iż fletnista w rozpacz wpadał.

Nakoniec odważył się wspomnieć o listach. Serce Niny gwałtowniéjszym jeszcze biło wzruszeniem, gdyż tak mówił pokornie, tak czarujący uśmiech wzlatywał na powabnych jego ustach, głos jego tak był melodyjny, z tak ujmującym wyrazem słowa jego płynęły. Lecz Nina pomna na zbawienne przestrogi Maryi, pod gęstszą jeszcze obojętności zasłoną ukrywała wzruszenia, spokojnie i przyjaźnie odpowiedała mu, łącząc lekki ukłon do swojéj odpowiedzi: — Uczyniłam to wówczas najchętniéj; lecz gdybym była na miejscu pana, nigdybym o tém wspominać nie śmiała.

Zawstydzony, spuścił w ziemię oczy i w głębokiém odszedł milczeniu. Zdało się Ninie, że była zbyt sroga. Lecz zbytnia surowość nie szkodzi, pomyślała i pocieszyła się. Teraz tylko przez zamknięte żaluzye swojego okna spoglądał piękny ladaco na ukochaną; teraz mocniéj biło jéj serce, gdy nie tak często spotykała jego wejrzenia.

Nakoniec opuścił młodzieniec szkoły. Wieczorem siedziała samotna i zamyślona w pokoiku; nagle piękny Ladaco stanął przed jéj oknem i ci-

http://rcin.org.pl

chym wyrzekł głosem:—»Żegnam ciebie dobra Nino!

Rzekł i łzy spłynęły po jego licach. Zadrżała Nina; słowa wyrzec nie mogła! Młodzieniec skłonił się i odszedł, słowa więcéj nie wyrzekłszy. Gorące dziękczynienia wzniosła do Boga; czuła, gdyby był chwilę jeszcze pozostał, gdyby był słowo jeszcze wymówił, czuła, iżby całą wykryła mu duszę, iżby całe oddała mu serce. O dziesiątéj grał jeszcze na flecie: *Myślę o tobie*! była to najulubieńsza pieśń Niny; wiedział o tém. Nina cichemi zalana łzami, półgłosem śpiewała też same słowa.

Nazajutrz zaledwie słońce wstało, usłyszała turkot unieść go mającego powozu. Spać nie chciała, gdyż jéj się tylko o nim śniło; nie chciała czuwać, gdyż o nim tylko myślała. Lecz gdy usłyszała turkot powozu, zarzuciła szal na ramiona, śpiesznie otworzyła okno, a wejrzenie jéj spotkało jego wejrzenie, gdyż równie jak ona wyglądała oknem w téj chwili: Zapłoniła się; miłość, politowanie, smutek, miotały jéj sercem. Śpiesznie otarła łzy spływające z pięknego pomieszanego oka.

Spostrzegł to, westchnął, skłonił się i ona się skłoniła. Zamknęła okno. »Otóż na koniec wszystkiego się dowiedział! Dzięki niebu że się oddala, chociaż to mi serce rozdziera.« W tém raz jeszcze usłyszała ulubioną melodyą: *Myślę o Tobie*!

Odjechał. Lecz Nina nie zapomniała o nim; teraz dopiero dowiedziała się jak był dobry, wspaniałomyślny, mężny. Każde nowe cnót jego odkrycie, miłość jej zwiększało.

Ojciec jéj został professorem w najsławniejszym saxońskim uniwersytecie. Gdy Nina do miasta przybyła, zwróciła oczy wszystkich na siebie; lecz tylko jeden, jeden z nich wszystkich, piękny Ladaco, zniewolił jéj spojrzenia i serce napełnił niespokojnością, gdyż przy odjeździe spostrzedz mu dozwoliła jak bardzo jéj był drogim.

Lecz Ladaco i tutaj nie przestał bydź Ladaco. Po całych dniach biegał po kniei, grał po całych nocach na flecie, bił się, do każdego mieszał się wypadku i ciągle po swojemu sprawiedliwość wymierzał. Wszyscy przed nim drżeli, a przyjaciele kochali go z uwielbieniem.

I znowu obrał mieszkanie na przeciwko Niny. Co wieczór grał na flecie: *Myślę o Tobie*! Co wieczór, z sercem przepełnioném miłością, Nina śpiewała: *Myślę o Tobie*! Lecz nie usiłował zbliżyć się znowu do niéj; widywali się tylko niekiedy na przechadzce lub balu. Rajnold nie tańczył, cały zajęty był Niną. Nina też mało tańczyła; zajęta była Rajnoldem. Powierzchowność jéj była zimna i spokojna.

Młody jeden i bogaty hrabia, któren nauki kończył w uniwersytecie, zobaczył Ninę na balu; piękność jéj zachwycająca i niewinność anielska, zajęły serce jego miłością gwałtowną. Podstępny i w zdradach wyćwiczony, wkrótce umiał pozyskać przychylność starego professora. Pod pozorem brania prywatnie lekcyj ję-

http://rcin.org.pl

zyka greckiego, przeniósł się zupełnie do domu Erholda i jadał codziennie u jego stołu. Lecz piękny Ladaco również prędko przywiązał się do hrabiego i serdeczną jego pozyskał przyjaźń. Hrabia był codziennie powierniejszym, czulszym, uniżeńszym względem Niny. Ona zaś była zawsze poważna, zimna i surowa. Hrabia zwątpił prawie iż jéj serce pozyska, nie mógł jednak tak łatwo odstąpić upragnionéj zdobyczy. Nowych więc użył podstępów; w bliskości miasta kupił prześliczny dom wiejski, przyozdobił go najgustowniéj i zaprosił starego professora z powabną córką, ażeby przytomnością swoją zaszczycić raczyli wiejską uroczystość, którą wydawał przy objęciu w posiadłość tego miejsca zachwycającego. Stary professor mile przyjął zaproszenie. Hrabia niczego nie szczędził aby dzień ten uczynić jak najprzyjemniejszym. Muzyka, wesołe tańce i śpiewy wieśniaków, rozjaśniły smutną twarz Niny. Wieczorem cały ogród przepysznie oświecono. Nina zajęta myślami, zapuściła się w samotną drzewami sadzoną ulicę, którą gdzie niegdzie wśród liści ukryte lampy słabym blaskiem oświecały. Hrabia szedł za nią zwolna; zbliżył się nieśmiało; zaczął mówić, lecz słowa jego były pełne poszanowania: chwalił powabny wieczór, mówił o kwiatach; podał rękę Ninie i w coraz głębsze uprowadzał ją zacienia. Doszli do chłodnika oplecionego dziką winoroślą. Nina usiadła. Zwolna mowa hrabiego coraz stała się czulszą, zwolna czoło Niny przybierało dawną surowość i powagę. Na koniec niewstrzymanym uniesiony zapędem hrabia przykląkł i wyznał Ninie miłość najgwałtowniejszą:

—»O! daj się ubłagać uwielbiona Nino! spełnij najgorętsze życzenia serca przepełnionego tobą! Tu, po za gajem w bliskości, stoi mój powóz i konie, te nas zdala ztąd uniosą. W obszernych moich włościach żyć będziesz dla szczęścia i miłości.» Przelękniona, jakby piorunem rażona, Nina słów znaleść nie mogła na odpowiedź. Z twarzą wybladłą, sercem ściśnionem i pałającą łzą w oku, martwa siedziała na ławce. Zadziwiła i zgromiła ją zuchwałość hrabiego. W tém znagła, lotem błyskawicy, wybiega z gęstwi drzew młodzieniec z bronią dobytą. Pogarda maluje się na jego twarzy, oko gniewem pała: to Rajnold! — »Nikczemny! woła na hrabiego: jakże śmiesz obrażać tego anioła niewinności? Broń się, wnet podłość twoja słuszną odbierze karę! Potém odwracając się do drżącéj Niny: — »Pani! nie lękaj się niczego, zdołam zniewagę twoją pomścić, i wierne tobie zachować serce. — Rzekł i porywa odurzonego hrabię za rękę, ciągnie go na bliską łąkę i zmusza do wydobycia pałasza. Hrabia tak niespodzianém napadnięciem przerażony, zawstydzony iż podłość jego wykrytą została, bronić się zaledwie zdoła i pada ugodzony silnym razem w głowę. — A nazajutrz, piękny Ladaco siedział w więzieniu.

Rana którą zadał hrabiemu, była lekka, lecz zostawiła na jego powa-

http://rcin.org.pl

bnéj twarzyczce kresę szkaradną. O złośliwy! o niepoprawiony Ladaco! mówił o niczém niewiedzący ojciec Niny. Lecz wdzięczna Nina z rozkoszą myślała o ukochanym Ladaco.—»Znowu uwięziony! a tą razą ja jestem przyczyną. O! gdyby więzienie jego było nad moim pokoikiem, napisałabym mu najczulsze dziękczynienie.

Wyszedł młodzieniec z więzienia, i znowu jak pierwéj stanął przed Niną i znowu jak pierwéj powiedział: »Żegnam ciebie, dobra Nino! Strzeż się hrabiego, pragnie on zemsty. Lecz nie lękaj się jednak niczego, o nie lękaj się niczego! ja czuwać będę nad tobą.

Drżącą podała mu rękę. Wziął ją, przycisnął do serca i spiesznie się oddalił.

Nina wyciągnęła za nim ręce: — O wieszże ty: zawołała. młodzieńcze wspaniałomyślny! jak mocno cię kocham! — Potém zasłoniła oczy rozpływające się we łzach, i z bolesnym westchnieniem pomyślała, jak nadzwyczajnie go kocha.

Hrabia z kresą na pięknéj twarzy opuścił dom Erholda. Zmyśloną powieścią pokrył swoją hańbę i wszędzie oczerniał niewinną Ninę. Zaczęto na nią spoglądać z szyderskim uśmiechem; uszczypliwe piosenki, obrażające paszkwile, ciskano pod jéj okna. Stary jéj ojciec dowiedział się nakoniec przez rozgłos publiczny, że Nina kochaną była od hrabiego i Rajnolda, i że była powodem ich pojedynku. Osłupiał starzec. Zawołał Maryi, zawołał Niny. Blady i drżący pytał córki czy w szkołach znała już z bliska pięknego Ladaco? I pomięszany zaklinał ją, ażeby prawdę wyznała. — »Raz tylko z więzienia spuścił do mnie bilet na szpagacie i otrzymał ode mnie odpowiedź — »Boże wszechmogący! zawołał przerażony starzec: odbierać i pisać bilety! do kogo? do niegodziwego Ladaco! Widziałże się kiedy z tobą sam na sam? —»Raz tylko wieczór gdy szkoły opuszczał, i tutaj znowu gdy został wypuszczony z więzienia — »Jak to? już jak z więzienia został wypuszczony? O nieba! niegodziwy! niegodziwy ladaco! Ale ty! dziecie! zaledwie skończyłaś lat szesnaście!

—»Ach! trzebaż było, zawołała z płaczem Marya, ażeby wybór twój padł koniecznie na tego Ladaco, gdyś wybierać mogła pośród najpowabniejszéj, najlepiéj wychowanéj młodzieży. Gdyż oni wszyscy jedynie dla Niny uczęszczali na lekcye botaniki i śpiewu; jedynie dla Niny przychodzili książek pożyczać z biblioteki. —»Jak to! co? botanika? śpiew?—»Botanika, śpiew, zamiłowanie nauk, były to tylko sidła na złowienie serca Niny. Starzec coraz się mocniéj dziwił.—»A Ladaco? zawołał.—»Ojcze, rzekła łagodnie Nina, ten Ladaco nie jest tak złym jak go sobie wyobrażasz. Lecz zakrzyczeli ją ojciec i Marya. Ani słowa wyrzec nie mogła na obronę Rajnolda.

Odtąd smutne chwile pędziła nieszczęśliwa Nina. Jeśli była wesoła, pytano jéj natychmiast, czy list odebrała od pięknego Ladaco? Była zamyślona: smucisz się pewnie że go

http://rcin.org.pl

tutaj nie ma? Spokojnie znosiła swoje cierpienia, nie oskarżając nigdy ich sprawcę.

Krewni hrabiego byli zamożni i w wielkiem znaczeniu. Z boleścią patrzali, iż obmierzła krésa na twarzy, zagradzała jedynemu dziedzicowi ich majątku i imienia wszelki zawód dworski. Szukali zemsty i łatwo ją znaleźli. Zagłębiony w naukach starzec, nie znał świata i ludzi, wpadł zatém łatwo w zastawione mu sidła: popełnił kilka umyślnie naprowadzonych uchybień; uchybienia te tak srodze, tak nielitośnie ukarano, iż zniszczono całą jego szczęśliwość.

Doradzono mu nakoniec aby podziękował za swoje miejsce; przyobiecano mu pensyę zasłużonych. Starzec podziękował, lecz mu słowa nie dotrzymano i zostawiono prawie w nędzy. »Otóż nagroda za twoje bilety: rzekł ojciec do smutnéj Niny, gdy znowu w rodzinném osiadł miasteczku, gdzie dawniéj był rektorem. Nina załamała ręce i za całą odpowiedź rzekła: — »Jestem niewinna! Rajnold niewinny!—Tu przerwał jéj groźno ojciec, przykazując ażeby nigdy imienia jego nie wspominała.

Zaledwie dni piętnaście zamieszkali w maleńkim domku na przedmieściu, przy samém prawie polu, gdy Nina o jedenastéj z wieczora usłyszała znowu zachwycającą melodyę: *Myślę o tobie*. Był to flet; pobiegła zalana łzami do okna.

Powabna dumka przypominała jéj znikłe szczęśliwości chwile. Zeszła do ogrodu aby się oddać samotnie swoim myślom i smutna siadła w chłodniku. — »Nino! dobra Nino! zawołał obok niéj z cichą głos ulubiony i piękny Ladaco z fletem w ręku klęczał przy jéj nogach: — »O Boże! czyż mnie jeszcze tutaj ścigasz Rajnoldzie? tutaj? Niedośćże wycierpiał mój nieszczęśliwy ojciec?—»Ach! właśnie ten drogi nieszczęśliwy starzec, którego porywczość moja zgubiła, zmusza mnie iż przybywam do ciebie. Nino, oto wszystko, wszystko co mi przeznaczono na dwa lata. Ale przez ten czas mogę pracować, żebrać, jeśli do tego zmuszonym zostanę. Ach! racz mię uszczęśliwić i przyjmij to łaskawie! Nie dozwól ażeby ojcu twemu na czém zbywało, ażeby najmniejszéj doznać miał przykrości. Nino! odtąd żyć tylko chcę ku pociesze ojca twojego.

Kładzie zawiniętą paczkę na ławce, i śpiesznie się oddala. Nina chciała mu ją oddać, lecz zniknął. Usłyszała tylko w dali melodyą: *Myślę o tobie*! i łzy najczulszéj miłości, potoczyły się z jéj oczu. Musiała wziąść paczkę, zawierała ona czterysta talarów w złocie. Postanowiła wrócić mu te pieniądze, skoro tylko pierwszy raz go zobaczy, nie wątpiła bowiem że go raz jeszcze ujrzy.

Lecz go już więcéj nie ujrzała, chociaż zawsze złoto nosiła przy sobie. Rozczulił ją iż dla jéj ojca chce żebrać i pracować, i nagle nie zwykła odwaga obudziła się w jéj duszy. »To co on uczynić może dla mojego ojca, nie mogęż ja dla niego uczynić? I nagle moc dotąd nieznana wzmogła jéj umysł. Odtąd wstawała o czwartéj z rana i z pilnością największą, pra-

http://rcin.org.pl

cowała na ojca, na Maryą. Szyła, haftowała i wkrótce sama się dziwiła, widząc jak wiele dokazać można przy stałéj i niezchwianéj woli. Ojciec jéj we wszelkie opływał wygody. Nina uszczuplała sobie wszystkiego, najszczęśliwszą jednak była ze wszystkich. Teraz znowu, z radosnym zapałem śpiewała pieśni swoje. Lecz najulubieńsza jéj pieśń była: *Myślę o tobie!* Nigdy jéj bez wylania łez nie zanuciła.

W pośród pracy i niedostatku, cudowniéj jeszcze piękność jéj zakwitała. Jéj pracowitość, wesołość, skromność, jéj cnoty domowe, święta niewinność jaśniejąca na jéj pogodném czole, wszystkich serca głęboko wzruszały. Professor literatury i historyi starożytnéj, młodzieniec pełen cnot i wielkie obiecujący nadzieje, prosił o jéj rękę. Zbladła Nina, gdy jéj ojciec życzenie jego oświadczył: teraz dopiero uczuła jest że prawdziwie nieszczęśliwą. Spostrzegł jéj pomięszanie starzec, ściskał tkliwie jéj ręce, zaklinał ją.— »Nie, nigdy nie opuszczę ciebie, ojcze najdroższy; któż powinien, któż zdoła większe mieć o tobie staranie jak córka? — »Młodzieniec zaprzysiągł że i ojca weźmie do siebie, że go jak własnego rodzica czcić będzie. Marya spojrzała na nią łzawém, błagającém okiem. Nieszczęśliwa Nina prosiła o dzień namysłu. Raz jeszcze usiadła w lubym chłodniku, aby się oddać cała boleści; w tém usłyszała czarowną melodyą: *Myślę o tobie*! Powstała nagle z darniowéj ławki. — »O, ty myślisz o mnie! zawołała; i ja tobie wszystkie myśli wiernéj miłości poświęcę! Nie, ty mnie nigdy nie opuścisz! Wyszła, a młodzieniec stanął przed nią z fletem w ręku.— »Nino! rzekł jéj smutnie, nic mi więcéj nie pozostało, tylko flet i ulubiona melodya: *Myślę o tobie!* —»Odbierz, odbierz twoje złoto: zawołała śpiesznie, oddając mu paczkę, znajdziesz wszystko coś mi oddał, jednę tylko sztukę użyłam na wsparcie nieszczęśliwego. — »Jakto? Nino, krzyknął zadziwiony; wracasz mi złoto? Nie, nigdy, nigdy nie odbiorę go! — »Wszak ja pracować mogę; dotąd na niczém jeszcze ojcu memu nie zbywało. Ach! chciéj wierzyć słowom moim! Lecz ty!... i smutnie spojrzała na niego: biednie był ubrany. —»O Nino! ja odtąd żyję jak w niebie; czegóż mi więcéj potrzeba, gdy mogę wygrywać ulubioną dumę? Lecz gdy flet mój zaginie, gdy usta zamilkną, ach wtedy! wtedy tylko, wszystko utracę.... O Boże wielki!... śmiałżebym jedno uczynić ci zapytanie? Myślę o tobie! — wyrzekł zwolna —»Myślę o tobie!—powtórzyła jeszcze ciszéj. Szelest się rozległ po grabowym szpalerze. Rajnold zniknął. Usłyszała tylko w dali radośnie rozlegającą się dumkę: *Myślę o tobie!*

Serce jéj rozpływało się w miłości, tęsknocie. Wyciągnęła za nim tkliwie ręce i z cicha wyrzekła wieczystą przysięgę. Z radością odrzuciła rękę młodego professora.—»Nie płacz, Maryo, rzekła do smutnéj i wiernéj sługi, będę najszczęśliwszą, wszyscy będziecie szczęśliwi. Takie moje przeznaczenie, oprzeć mu się nie podobna!»

http://rcin.org.pl

Odtąd zaczęła używać zostawionych pieniędzy ku powiększeniu wygód starca; lecz używała ich rozsądnie i z umiarkowaniem, gdyż kochała młodzieńca więcéj niż siebie samą. Odtąd wszystko co było jéj własnością, należało do niego; za każdą nową przyjemność którą przyczyniała ojcu z danych pieniędzy, kochała go coraz mocniéj. Dziwiła się Marya, zkąd Nina ma tyle pieniędzy, dziwił się stary ojciec, lecz oboje przypisywali to jéj miłości, jéj staraniom.

Marya nie pojmowała, jak bilet i pieśń odegrana na flecie, zdołały wzbudzić miłość tak wielką. »— I ja tego nie pojmuję: mówiła z uśmiechem Nina: lecz prawda że go kocham nad życie.» — Widzisz Nino czym ci nieprawdę wywróżyła? wszak ci codziennie powtarzałam, aby nie mieć żadnych z młodzieżą tajemnic. Otóż widzisz skutki twojego nierozsądku.» — Prawda, Maryo, ale czy mogłam dozwolić biednéj rodzinie umrzeć z głodu? —»Lecz po co było pisać do młodzieńca! Poco mu było dać poznać twoją miłość! — »Dowiedział się o niéj dopiero przy ostatniém naszém widzeniu, dobra Maryo; własne jego serce odgadło uczucia serca mojego. —»Ale dawniéj gdy on grywał na flecie, tyś dumy śpiewała; przestrzegałam cię nie raz! —»Prawda, on grał a ja śpiewałam lecz cała ulica nas dzieliła. — Ulica i świat cały jeszcze za mało! powiedziała rozżalona mistrzyni. Ach! trzebaż było aby koniecznie Ladaco serce twoje pozyskał!»

Nina surowo jéj zabroniła nazywać go odtąd Ladaco.

Całe miasto śmiało się z Niny i szydersko pytano na kogo czeka. Ach! Nina z utęsknieniem czekała na melodyą fletu, któren przez całe dwa lata nie odezwał się. Myśl, iż zapomniał o niéj, boleśnie jéj serce ściskała.

Nadeszła wiosna; Nina wyszła w pole na samotną przechadzkę. Z ciemnego gaju wybiegł piękny Ladaco, zatrzymał się o kilka kroków, stał chwilę zadumany, potém się zwolna ku niéj przybliżył.

Ognistym wzrokiem strzelił w łagodne, błękitne oko: — »Nino! rzekł smutnie: oto znowu jestem, oto znowu do nóg twoich przybywam, ale znużony, zgromiony srogością losu, jak lotny jeleń, którego w upały, rącze ścigały sfory.

Pogodnie, radośnie spojrzała na niego, jak gdyby chcąc mu spojrzeniem dawną powrócić odwagę. Spojrzał na nią jeszcze żałośniéj i rzekł: —»Serce twoje...., zdawało mi się, o Nino! że serce twoje odpowiada mojemu; mniemałem uszczęśliwić twoje życie! O, kochałem cię, Nino! kochałem jak żaden człowiek jeszcze nie kochał! Pięć długich lat milczałem; a teraz!..

Nina stała niepewna, co wyniknie z tego. Wzdychała tylko. — »Nino! odezwał się głosem jeszcze smutniéjszym, teraz złożyć tylko mogę u nóg twoich serce przepełnione najżywszą, najwierniéjszą miłością. Jeśli przyjmiesz to serce, cóż cię czeka?.., życie pełne pracy, umartwień, a może i niedostatku!» Rzekł, spojrzał

http://rcin.org.pl

na nią, i westchnął —»O Nino! nie odpowiadasz ani słowa! —»Zwyczajna jestem pracy: odpowiedziała zapłoniona i z okiem w ziemię spuszczoném.— »Nino, nasz związek postawi cię w rzędzie ludzi żyjących z własnéj pracy.— »Wszak i tam można bydź szczęśliwą, odpowiedziała z cicha. —»Siedlisko moje daleko, daleko, daleko ztąd! Nino. —»O nieba! westchnęła; mogęż ojca mojego opuścić? schyliła głowę, a łzy spłynęły po bladych licach.

Rajnold ukląkł przed nią: —»Miałabyś ojca twojego opuścić! ach! raczéj opuści mnie radość w tém życiu, raczéj wyrzeknę się twojéj miłości, wyrzeknę się sam siebie! Nino! jam myślał o tobie każdéj chwili mojego życia; myślałażeś i ty o mnie Nino? —»Od dnia w którym bilet twój odebrałam z więzienia, każdéj chwili myślałam o tobie; rzekła, zasłaniając chustką oczy.

Teraz całą wykryli sobie duszę, Rajnold podał Ninie rękę; ona rękę swoją w jego ręku złożyła: poniósł ją do ust i ogniste wycisnął pocałowanie. —»Teraz Nino, oświadcz ojcu że jesteś moją narzeczoną. Lecz powiedz mu, że ja tylko jestem prosty wieśniak.» — Scisnął jéj rękę i odszedł.

Długo tęskném okiem za nim spoglądała. Poszła potém do ojca. Schyliła głowę na piersi jego, i pośród łez i łkania, rzekła. »Ojcze! ja jestem zupełnie szczęśliwa! o gdybyś ty mógł bydź szczęśliwym? —»Czy znowu przybył? zapytał ojciec ponuro. —»Opowiedziała mu teraz wszystko; głowa jéj spoczywała na jego sercu.

—»Tak dobre dziecie jak ty, rzekł rozczulony starzec, nigdy zupełnie nieszczęśliwym bydź nie może. Jeśli prawda co o Trejberze powiadasz, byłem względem niego niesprawiedliwy. Bądź co bądź, w imię Boga, daję ci błogosławieństwo! Wieśniak, to znaczy chłop prosty, a może nawet wyrobnik. Lecz nauczyłaś się pracować i cierpieć; spodziewam się że będziesz szczęśliwą, jeżeliś szczęśliwość twoją na sercu jego ugruntowała.»

Nie tak łatwo można było przekonać Maryą: — Wieśniak? Wyrobnik? Przeklinała introligatora, więzienie, bilety; płakała i narzekała. —»Ach! co na to ludzie powiedzą? Ty, żoną wyrobnika? I wszystko się tak cudownie wydarza! Jeśli dobrze rachuję, toście nawet dwudziestu słów do siebie nie rzekli. Prawdziwie, on musi posiadać flet czarodziejski.»

Wkrótce rozeszło się po miasteczku, że nadobna Nina będzie żoną pięknego Ladaco i że Ladaco jest tylko wyrobnikiem. Sąsiedzi kiwali głową, klaskali w ręce, śmieli się szydersko.

Marya coraz była smutniejsza, coraz bardziéj wyrzekała na pięknego Ladaco, który kochaną jéj Ninę oczarował; a Nina w upojeniu szczęścia śpiewała: *Myślę o tobie!* Tak była szczęśliwa, tak szczęśliwa! słuchała tylko, rychło flet ulubioną melodyę rozjawi.

Pewnego wieczora, Nina zgasiła lampę, wezwała opieki anioła stróża,

http://rcin.org.pl

wymówiła imie ulubionego i chciała się położyć, aby z radośném serca biciem słodkim oddać się myślom, jak jéj do twarzy będą wieśniacze suknie, jak będzie nosić w pole jedzenie mężowi, w tém dwa flety razem rozgłosiły zachwycającą melodyę: *Myślę o tobie*! Wkrótce złączyły się z niemi inne instrumenta i głos powabny odśpiewał pieśń ulubioną. Całe miasteczko zbudzone, powstało. To dla Niny! powtarzali wszyscy. To flet pięknego Ladaco!

Nie był to jednak sam piękny Ladaco, była to tylko pieśń i muzyka jego. — »To on, to on! przybywa nakoniec, zawołała Nina w uniesieniu radości niewymownéj, a serce jéj biło mi[illegible]snym upojeniem.

— »Co? on! powtórzyła Marya, tak ubogi, a tak nie potrzebne czyni wydatki! mógłby trochę bardziéj oszczędzać. — »O Maryo! razem dopiéro oszczędzać będziemy. Za to go ukochałam, iż nigdy nie oszczędzał; wszystko, wszystko mi oddał! I słodkiemi ukołysana myślami, całą noc spać nie mogła.

Nazajutrz rano, prześliczna paryzka kareta czterema pysznemi zaprzężona końmi, wjechała do miasteczka. Strzelcy i mnoga dworska służba na koniach, otaczali ją w około.

Za pojazdem, na ognistym jak śnieg białym rumaku, jechał przecudnéj urody młodzieniec, otoczony licznym dworzan orszakiem. Krucze pierścienie na pogodne spływały mu czoło, a na błękitnéj wstędze miał flet przez ramie przewieszony. Jechał zwolna przez rynek i ulice, ku samotnemu domkowi rektora.

W całém mieście pootwierano okna, zbiegli się wszyscy mieszkańcy, zewsząd rozlegał się odgłos: »To piękny Ladaco!

Nina w niemém zachwyceniu szczęśliwéj miłości, już na piersiach jego spoczywała.... Wszedł do pokoju w którym Nina i Marya wówczas same były. Szlachetny, pyszny, piękny jak Apollo, stanął młodzieniec przed Niną; jak róża wiośniana zapłoniła się niewinna dziewczyna, gdyż oczekiwany wieśniak przemienił się niespodzianie w półkownika, a wspaniały mundur dziwnie wdzięki jego podwyższał. — »Nino! ubóstwiona żono moja! zawołał i ukląkł przed nią, pozyskałem cię nakoniec nieporównana, anielska istoto! pozyskałem cię przez miłość, jedynie przez miłość! Teraz na wieki jesteś moją! Wyciągnął ręce, Nina padła na jego piersi. Piérwsze, serdeczne wycisnął pocałowanie na dziewiczéj twarzy. —»Maryo! rzekł obracając się do staréj, jest to pierwsze pocałowanie, chociaż tak dawno się kochamy, kochamy od piérwszéj chwili poznania.

Zdziwiona Marya o nic nie pytała, tylko czy kareta, konie przepyszne i mnodzy dworzanie do niego należeli. Lecz jéj nie słyszeli kochankowie upojeni szczęśliwością. Pobiegła do rektora: — »Panie professorze, Ladaco, Ladaco przybył! Sędziwy starzec z pośpiechem wszedł do pokoju córki.

Młodzieniec zbliżył się do niego z uszanowaniem. — »Ojcze kochany, rzekł: widzisz przed sobą półkowni-

http://rcin.org.pl

ka Aroldstein. Podziwienie Maryi zwiększało się co chwila. — »Tak jest Nino, patrzaj oto flet sprawca mojéj szczęśliwości! Urodzenie moje pokryte było ciemną niepewności zasłoną, teraz już uchylona. Kochałem Ninę, ojcze najdroższy i pozyskałem miłość téj czystéj duszy. Kochałem ją z niewymownym zapałem, z uniesieniem, na odmalowanie którego niema wyrazów. Jéj bilet, jéj staranie o mój podwieczorek, jéj niespokojność, jéj miłość skryta i wierna, jéj powaga w obchodzeniu się z młodzieżą, wszystko to zniewoliło jéj serce moje na wieki. Dla Niny tylko żyłem. Jéj szczęście było jedyną myślą przywiązującą mnie do życia. Utajona miłość Niny odkrywała się tylko w chwilach, gdy serce jéj zbytkiem uczuć przepełnione, wystarczyć ich natłokowi nie mogło. Gdyby nie ten słaby zabłysk nadziei, możeby mnie nie ujrzała więcéj. Młody professor oświadczył się o jéj rękę; lecz nieskażona dziewica ukazała się godną siebie: święty płomień miłości tlał w jéj sercu pozbawioném nadziei, jak czysty ofiarny ogień w Westalskiéj świątyni; ukrywała go jednak przedemną dziewica niewinna! Nie spuszczałem jéj ani na chwilę z oczu; zawsze przy niéj ukryty, strzegłem ją i pomściłem wyrządzoną jéj zniewagę. Wtedy właśnie uchyloną została tajemnicza zasłona mego losu: xiąże L***, jest moim ojcem.

Na te słowa Marya zbladła i większe jeszcze otworzyła oczy.

Uszczęśliwiony ojciec przycisnął mię w radosném upojeniu do serca. Lecz ja pozostałem zimny. Odkryłem mu miłość moją, zataiłem tylko imie twoje. Serce moje nikomu znaném nie było, nikt nie wiedział imienia mojéj kochanki. —»Jesteś udzielnym panem na Aroldstejnie, rzekł xiąże, lecz miłość twoją odrzucam. — »Jak kochany jestem od ulubionéj, bez któréj żyć nie chcę, nie mogę odpowiedziałem, jak kochany od niéj jestem, to wiem; lecz zobaczę jak ty mnie kochasz ojcze. — » Zatwardziały w uporze twoim młodzieńcze: odparł ojciec, nie nawykły do podobnéj mowy: uchylę ci pomoc moją, porzucę cię na igrzysko losu.« Rzekłem na to: — »Nie potrzebuję pomocy; dopóki te ręce zdolne są do pracy. Nie poświęcę prawdziwéj szczęśliwości. Wola moja jest niezachwiana. Pod nazwiskiem Trejbera, obok ukochanéj, bogaty cnotą i szczęściem, radośnie postępować będę drogą życia.» — Zamknięto mnie w moim pokoju, ściślejszym jeszcze zagrożono więzieniem — Po związaném prześcieradle spuściłem się do ogrodu, i uszedłem za granicę. Posłano za mną w pogoń, śledzono mię wszędzie. Wówczas to Nino czasami tylko, ze drżeniem i to zdala widywałem ciebie. Lecz pewny twego serca byłem szczęśliwy. Miałaś rękę oddać innemu. O Nino! flet ratował moje szczęście, twoją wierność. Jakżem był wówczas bogaty! jakąż anielską szczęśliwością upojony! Wyśledzono mię, uwięziono na nowo. — »Daremne były nalegania oj-

http://rcin.org.pl

ca mojego. Powtórzyłem mu najuroczyściéj że szczęście moje i życie od posiadania Niny należy. — Poznał ojciec jak wielka moja miłość, jak wola niezachwiana: przychylił się do spełnienia najgoręt̨szych moich życzeń. Otóż zajaśniał, Nino, dzień szczęśliwy, któren wierną miłość uwieńcza! Tyś mnie wybrała gdym był tylko prostym wieśniakiem; ja odrzuciłem dla ciebie to, co świat zowie zaszczytami i szczęściem. Nino! godni siebie jesteśmy. — Ale, rzekł, wydobywając zegarek, oto już dziewiąta. Biskup oczekuje w kościele aby nas wiecznym połączyć węzłem.»

Zmięszała się Nina, zmięszała Marya. — »Ma przyjąć naszą przysięgę. Gnieważ to ciebie Nino? — »O nie! nagła tylko zmiana cierpienia w radość niewymowną, na chwilę umysł mój zbłąkała.

Pobiegła do swojego pokoiku. Za pięć minut wyszła ubrana w śnieżną gładką muszlinową suknję. Marya ze łzami wplotła wieniec mirtowy w jéj jasne włosy. Kochanek zarzuna jéj łabędzią szyję sznur wielkich uryańskich pereł. — »Nino, to ślubny podarunek od mojego ojca.» Uśmiechali się wszyscy radośnie, chociaż nie znali całéj wartości kosztownega daru.

W pośród dzwonów brzmienia, w pośród tłumu mieszkańców, piękny Ladaco prowadził ukochaną, z zachwycającém spuszczoném okiem, przez całe miasto aż do świątyni. Tam Biskup wierne połączył dłonie.

Wspaniała uczta nastąpiła. Gdy całe zgromadzenie oddawało się radości i tańcom, po raz pierwszy młodzi małżonkowie wykryli sobie tajniki serc swoich, po raz pierwszy powiedzieli sobie jak bardzo się kochają.

Gdy rozeszły się tłumy gości, cztery flety rozjawiły ulubioną melodyą: *Myślę o tobie!* a szczęśliwy Rajnold przycisnął do pałającego serca ubóstwioną małżonkę!

KOMEDYE
ALEXANDRA Hr. FREDRA.
TOM 4ty.

Al: hr: Fredro zbogacił literaturę naszą czwartym tomem swoich komedyi. Tego słowa zbogacił, używamy nie w pospolitém dziennikarskiém znaczeniu, ale z szczerą prawdą i wdzięcznością dla autora. Al. hr. Fredro jest teraz jedynym u nas pisarzem komedyi, którym się pochlubić możemy, obok tylu znamienitych dzieł w językach obcych, a zwłaszcza w literaturze francuzkiéj; pisarzem, który nawet rozszerzył zakres komedyi, mieszcząc w niéj sposobem jak najnaturalniejszym, obok scen komicznych i wesołych żartów, miejsca wzniosłą odznaczające się poezyą, jakie znajdujemy w Odludkach i Poecie, jakie są w komedyi Sluby Panieńskie, umieszczonéj w czwartym tomie dzieł jego, a któréj poświęcamy ten artykuł, do następnego odkładając inne sztuki tego tomu.

http://rcin.org.pl

Oto jest zarys Komedyi *Sluby Panieńskie*, czyli *Magnetyzm serca.*

Dwie młode panienki, Aniela, córka i Klara, siostrzenica pani Dobrojskiéj, obłąkane czytaniem romansów, nabiły sobie głowę tą myślą że wszyscy mężczyźni są niestali, wiarołomni, niegodni miłości, i poprzysięgają wieczną nienawiść mężczyznom; przysięgają że tylko będą ich łudzić, drażnić, obudzać ich nadzieje, a potem szydzić z nich i żadnemu ręki nie oddać. Klara szczególniéj obstaje przy tym zamiarze. Aniela, tkliwsza, nie byłaby tak zawziętą, gdyby jéj Klara nie dodawała odwagi. Dwaj młodzi ludzie ubiegają się o ich rękę. Pierwszym jest Gustaw, którego związek z Anielą już jest rzeczą ułożoną między panią Dobrojską a Radostem stryjem Gustawa, drugim Albin; ich sąsiad. Przyznać trzeba że postępowanie tych panów, nie bardzo mogło zająć serca młodych dziewcząt. Gustaw lubi zabawy miejskie, wychowany w stolicy sądzi, iż jego związek z Anielą ułożony od dawna jest rzeczą tak pewną, iż bynajmniéj nie potrzebuje czynić zabiegów o pozyskanie jéj serca. Nie tai się z tém, że wieś i towarzystwo tych dam żadnych dla niego nie ma powabów. Albin romansowy zawsze, wzdychający zawsze, ściga oczyma swoją kochankę, nudzi żywą i wesołą Klarę, która śmieje się z jego wzdychań i miłosnych wejrzeń. W pierwszym akcie widziemy Gustawa który wykradłszy się wieczorem z domu pani Dobrójskiéj, dokąd ze stryjem w gościnę przyjechał, poleciał konno do Lublina i tam całą noc na hulance z przyjaciołmi przepędził. Wraca przeziębły, znużony, nie wyspany. Napomnienia stryjaszka przyjmuje z pokorą, ale za chwilę wpada w dawne błędy. Przy rozmowie z panią Dobrójską i pannami, gdy nie mogąc co lepszego wymyślić, zaczął od pogody i deszczu, poziewa, a nareście zasypia. Postępek ten sprawiedliwie obraził damy i odstręczył ich od niego. Aby wynadgrodzić ten błąd, zaczyna udawać wesołego, ale tak dziwacznie, tak nienaturalnie, że tém jeszcze bardziéj sobie zaszkodził. Pomiarkował się, kiedy rozmowa z Anielą przekonała go, jak daleko mu jeszcze jest do celu, który za łatwy i bliski poczytywał. Obojętność Anieli wzbudziła jego miłość; przepraszał, zaklinał, ale wszystko nadaremnie padł nareście na kolana. Aniela wybiegła a w takiéj postawie zeszła go szydercza Klara.

»A cóż to znaczy, czy dziękczynne modły,
»Czy też pokuta za śmiałe nadzieje?
(Mówi do klęczącego kochanka.)

Gustaw.

Bystre domysły tą razą zawiodły,
Sprzykrzyło mi się ciągle chodzić, siedzieć,
I kląkłem.

Klara.

Nie, nie, ja wiém, co się dzieje,
I będę mogła dokładnie powiedzieć:
Melanholicznych wejrzeń nie widziano,
Sentymentalnych westchnień nie zważano,
Słów nie słuchano —cóż więc pozostało? —

http://rcin.org.pl

Do nóg — miłość lub śmierć! — Lecz wypadało
Mieć w ręku szpadę, sztylet, nóż stołowy,
Albo nareście mordercze nożyczki.
(śmieje się)
I cóż? stoimy — bez czucia, bez mowy?
Jakto? i wszystko od pierwszéj potyczki?
Ach! to zwycięztwo tak łatwe prawdziwie,
Że się nie cieszę, lecz łatwości dziwię.

Gustaw.

Kołczan już próżny, zatém żart na stronę:
Ach! panno Klaro widzisz mnie w rozpaczy!

Klara.

O znajdę jeszcze pocisk na obronę;
Ale bez żartu, cóż ta zmiana znaczy?
Jestże to może snu rannego skutek,
Albo dowcipu nagłe przesilenie?

Gustaw.

Nadto głęboki czuję w sercu smutek,
Nadto bezstronnie moje błędy cenię,
Abym mógł zwracać dowcipne pociski.
Cel moich życzeń, któregom był bliski,
Teraz niestety prawie z oczu tracę,
A najboleśniéj to rozdrażnia duszę;
Że własną winę, własném szczęściem płacę,
I że zbyt słusznie, jeszcze przyznać muszę.
Zatém, czy zganisz lekkomyślność moję,
Z którąm nadziei zaufał bez miary;
Czy nazwiesz głupstwem, co przez płochość broję.
Czy brak grzeczności uznasz godnym kary,
Jak chcesz, mnie skarcisz, w jakimbądź sposobie,
Zawsze mniéj powiesz, niźli ja sam sobie.

Klara. (z udaną pokorą)

Wyższości mężczyzn nad zdanie kobiety,
Nadto, przed chwilą doznałam niestety!
Bym teraz śmiała sprzeczać się zuchwale.
Zwłaszcza gdzie skromnie na rozsądku szalę,
Męzka wspaniałość własne błędy składa,
Tam, mnie powtarzać lub milczéć wypada.
Lecz szczéra skrucha i te chlubne żale,
Z jakiéjże wielkiéj pochodzą przewiny?

Gustaw.

Ach panno Klaro, poznałem Anielę!

Klara.

Dotąd rozpaczy nie widzę przyczyny.

Gustaw.

Poznawszy, widzę jak błądziłem wiele.

Klara. (domyślając się)

A ha! pan Gustaw zapewne ją kocha?

Gustaw.

Ubóstwia, powiedz, a powiesz za mało!

Klara. (z zastanowieniem)

Hm! nie jestże to tylko skłonność płocha?

Gustaw.

Miłość najczystsza jaką niebo dało.

Klara.

Ależ ta miłość będzież ona stała?

Gustaw.

Z życiem trwać będzie, z życiem tylko zgaśnie.

http://rcin.org.pl

Klara.

I pewnie wierzyć Anielka nie chciała?

Gustaw.

Nie chce i słuchać — ztądto rozpacz właśnie.

Klara. (po krótkiém milczeniu)

To źle — ale mnie słuchałaby może?

Gustaw.

Co miłość nie śmié, to przyjaźń okryśli.

Klara.

Gdy jéj poprawę, i ten żal przełożę....

Gustaw.

Ach! panno Klaro zgadłaś moje myśli!

Klara.

Powiém jéj, jakim pan Gustaw był wprzódy.

Gustaw.

Mocnych farb użyj, nie szczędź mi nagany.

Klara.

Że był wesoły, jakto zwykle młody...

Gustaw. (sens kończąc)

Trzpiot, lekkomyślny, płochy, roztrzepany....

Klara. (sens kończąc jeszcze prędzéj)

Próżny, zły, dumny, zakochany w sobie...

Gustaw (reflektując)

To trochę nadto — to będzie za wiele.

Klara. (mimo siebie w coraz większy zapał wpadając).

Że wiejskie dziecię widział w jéj osobie...

Gustaw. (jak wprzódy)

To trochę dużo....

Klara.

Że mniemał w swéj dumie,
Iż grzeczność na wsi godna pośmiewiska...

Gustaw.

To bardzo dużo...

Klara.

Że brak na rozumie...

Gustaw.

Hola! to nadto; obraz zakazany!

Klara. (z zapału nagle w łagodność przechodząc, z uśmiechem).

Mocnych farb biorę, nie szczędzę nagany. —
Ale jéj powiem zaraz z drugiéj strony:
Że się poprawił, kto się uznał w błędzie,
Że miłość szczéra, którą uniesiony,
Im wolniéj wzrosła, tym wytrwalszą będzie;
Że jeśli jeszcze nie jest jéj wzajemną,
Winna przynajmniéj wynagradzać wiarą.

Gustaw.

Ach tak, tak wszystko, moja Panno Klaro!
Czytasz w mém sercu, myślisz razem ze mną.

Klara. (parskając śmiechem)

Ha, ha, ha! dłużéj wytrzymać nie mogę!
Ha, ha, ha! moja panno Klaro! moja!
Ha, ha, ha! przednio! znalazłam więc drogę,
Oręż wypada, pęka twarda zbroja. —
(seryo)
I czegóż męzka przebiegłość zastrasza?
Niech straszy raczéj własna słabość nasza.
Bo, kto nie zechce, ten tylko nie przyzna.
(*stosując do Gustawa*)
Że do zwalczenia nie trudny mężczyzna.
Ufaj mu szczerze, a w postaci męża
Ujrzysz zwinnego, zjadliwego węża;
Oprzéj się woli, chciéj mieć własne zdanie,

http://rcin.org.pl

Lwem rozdrażnionym, tygrysem się stanie;
Ale wtór znaleź do jego piosneczki,
Jak zwyciężona wychodź z każdéj sprzeczki;
W jego rozumu kręć się zawsze kole,
A na jedwabiu wywiedziesz go w pole.
Jeśli się mylę, to próbka dzisiejsza
Mego mniemania zupełnie nie zmniejsza,
Co wyraziwszy szeroko i długo,
(z niskim ukłonem)
Mam honor zostać unižoną sługą!
(odchodzi w drzwi prawe boczne)

Gustaw. (sam)

(Od czasu, jak Klara się rozśmiała, stał jak wryty, teraz po krótkiém milczeniu).

Hm, hm, hm! czy tak, tak?— że kocham szczérze,
Idę otwarcie, otwartości wierzę,
Takżem spadł nizko?— Hola jaszczureczko!
Ostry rozumek, ostre twe słóweczko,
Ale mnie w parę z Albinem nie poda.
Uczysz mnie zwodzić? Chcesz wybiegów? — zgoda.
(chodzi zamyślony; po krótkiém milczeniu)
Aniela dobra, ale uprzedzona.
Co ufność nie chce, niech dobroć dokona.
Romans ułożę, jéj zrobię zwierzenie,
Na czas kochankę w przyjaciołkę zmienię,
Zyszczę jéj litość i wezwę obrony.
(po krótkiém milczeniu)
Łączy dwa serca sekret podzielony,
Tak — wzbudzę czucie miłości obrazem,
Zwrócę ku sobie i ustalę razem.

Od téj chwili, Gustaw inną drogę obiera. Udaje przed Anielą że kocha się w innéj, że starając się o jéj rękę ulegał tylko woli i obawie aby go stryj nie wydziedziczył. Zaklina ją aby mu pomagała w tym zamiarze, kreśli się najczulszy obraz wzajemnéj miłości. Obraz ten wzrusza serce Anieli: zamyślona, sama mówi do siebie.

Dziwnie — i dziwnie! Brzmią mi jeszcze uszy
Słowami, dotąd nieznanemi w duszy —
Jak on ją kocha! i pewnie nie zwodzi:
Wszystko, co powie, wzrok jasny dowodzi —
On z nią szczęśliwy, ona z nim szczęśliwa,
I na czémże im, na czém jeszcze zbywa?
Jednego słowa do szczęścia im trzeba,
A do jakiego, do jakiego!— Nieba!
Ufają sobie, kochają się szczérze;
Jestżem szczęśliwsza, że w miłość nie wierzę?
Jednak ta miłość, jest, trwa, dowiedziona.....
O Boże! serca nie czuję śród łona. —

Gustaw aby tém bardziéj działać na jéj serce, udaje że się skaleczył w rękę i prosi ją aby pisała list do jego kochanki, która szczególniejszym zbiegiem okoliczności ma się także nazywać Aniela. Z téj sceny prowadzonéj bardzo trafnie, przytaczamy wyjątki tchnące silném uczuciem i prawdziwą poezyą.

http://rcin.org.pl

Gustaw.

Jeszcze Anielo w kwiat życia bogata,
Znasz tylko rozkosz, a nie znasz cierpienia —
Jeszcze, szczęśliwa, nie znasz oddalenia!
Nie wiesz że wtedy cały ogrom świata
Jeden punkt tylko dla nas w sobie mieści,
A tym jest chwila spodziewanéj wieści;
Nie wiesz jak wtedy śledcze oko płonie,
Jak każdy szelest dech zapiera w łonie,
I jaka boleść gdy mija godzina —
Z nią wprzód spłacona pociecha jedyna —

Aniela.

Otóżto miłość! kochajże tu proszę!

Gustaw.

Ach kochaj, kochaj; boskieto rozkosze.

Aniela.

Ach nie!

Gustaw.

Dla czego?

Aniela.

Nie wiem, lecz się trwożę.

Gustaw.

Trwożysz?

Aniela.

Lękam się...

Gustaw.

Jak dziecię lekarza,
Który mu jednak życie wrócić może.—
Ach! obojętność naturę znieważa:
Dusza nie zdolna wybrać, kochać inną,
Zimną rachubą każde czucie zaćmi;
Dla niéj jest niczém dla drugich bydź czynną,
Dla niéj łza niema — ludzie nie są braćmi. —
Lecz gdy miłością serce moje bije,
Gdy powiem: kocham — wtenczas tylko żyję,
Żyję szczęśliwy i w lubym zamęcie,
Świat do podziału pociągam w objęcie.

Aniela.

Tak, gdyby miłość mogła bydź prawdziwa.

Gustaw.

Miłość jest jedna...

Aniela.

Udawań tysiące.

Gustaw.

Wyrzec się światła, bo ciemność bywa.

Aniela.

Wyrzec się każą pozory mylące.

Gustaw. (z uczuciem biorąc ją za rękę)

Ach, nie wierz z resztą téj pieszczocie wzroku,
Gdy zwolna sunąc, spocznie w twojém oku,
Téj drżącéj dłoni, kiedy ciebie bliska;
Nie wierz głosowi, co się w serce wciska;
Lecz własne czucie niech się wiarą stanie:
Ta czułość tęskna, to błędne żądanie,
A zwłaszcza pociąg nieodmienny losem,
Równego czucia jest tylko odgłosem.—
(*na znak niedowierzający Anieli*)
Wierz mi, są dusze dla siebie stworzone:
Niech je w przeciwną los potrąci stronę,
One wbrew losom, w tym lub tamtym świecie,
Znajdą, przyciągną i złączą się przecie;
Tak, jak dwóch kwiatów obce sobie wonie,
Łączą się w górze, jedna w drugiéj tonie.

http://rcin.org.pl

(*Aniela zamyślona — Gustaw po krótkiém milczeniu mówi daléj*)

I cóżto, powiedz, zaraz w pierwszéj chwili,
Wzbudziło we mnie tę ufność ku tobie?
Co ośmieliło, że zwierzenie robię,
Jeśli nie serce, co nigdy nie myli?

Nareście powiada jéj że jeżeli Radost nie zjści zamiaru swojego, to przez zemstę ku niemu zaślubi Klarę. Jéj ojciec chciwy na majątek zniewoli ją do tego związku.

»Ależ jéj śluby» pyta się Aniela.

Gustaw.

Śluby?— sen prawdziwy!
I ty Anielo rzuć tę ciemną drogę,
Póki czas tobie, a ja przestrzedz mogę; —
Lecz powiedz szczerze, kiedy polot myśli,
Obraz nam szczęścia czasami zakreśli,
I zdobi błahe lecz lube utwory
W kwiatów marzenia najczystsze kolory;
Cóż ściąga światło, w całym blasku stawa,
Jeśli nie miłość i stała i prawa?
Miłość, szlachetnéj przewodząca parze,
Z łona rodziców przed ślubów ołtarze.—
Ach! bydź kochanym wszyscy szczęściem głoszą,
Mém zdaniem kochać, jest większą rozkoszą.
Los kilku istot zrobić swoim losem,
Czuć i żyć tylko drugich dusz odgłosem,
Dla dobra innych cenić własne życie,
Dla nich poświęcić każde serca bicie;
Światem uczynić najmniejszą zagrodę,
Tam mieć cel życia i życia nagrodę,
I kończąc cicho wytknięte koleje;
Za grób swój jeszcze przeciągnąć nadzieje,
Otóż to szczęścia rzetelne zalety,
I ty, ty wyrzec chcesz się ich niestety!?—

Tak więc Gustaw Klarę zastraszył Radostem, zbuntował Albina, przykazał mu aby nie wzdychał, nie płakał, a Klara będzie dla niego życzliwszą. Przestraszona grożącém jéj żądaniem Radosta, w którém to mniemaniu jeszcze bardziéj ją utwierdziły dwuznczne wyrazy starego, Klara prosi Gustawa o pomoc, zapewnia go że Aniela jest dla niego życzliwą; wtenczasto Gustaw odpłaca się jéj przycinkiem za przycinek.

A ja bardzo wierzę, (mówi do niéj.)
Brać przedsięwzięcie, co wieczném nazwano,
A zmieniać w dobie, nienawidzieć rano,
A kochać w wieczór — szkodzić niewinnemu,
A za godzinę chcieć pomagać temu;
Że to jest płochość, kto nie chce, to przyzna.
I któż jéj zdolny?—pewnie nie mężczyzna.
Co wyraziwszy szeroko i długo,
Mam zaszczyt z ostać uniżonym sługą.

Gdy tak wyszły na jaw uczucia obudwu panien, nie pozostało im nic więcéj jak oddać rękę pogardzonym dotąd kochankom.

Sztuka ta nie maluje tych wielkich zarysów, które już może przez dawniejszych autorów wyczerpane zostały, akcyi może jest za mało, ale zręczne

http://rcin.org.pl

prowadzenie intrygi, ciągły dowcip i wesołość, trafne skreślenie charakteru Klary i Anieli, wiersz łatwy a miejscami wzniosły nawet i poetyczny; oto są jéj znakomite zalety. Na scenie podobała się powszechnie i długo sprowadzać będzie widzów. Dobra gra artystów a szczególnie panny Zuczkowskiéj, Pani Kurpińskiéj i Pana Piaseckiego, jeszcze przyczynia się do wydania jéj zalet.

O drugiéj sztuce w tymże tomie zawartéj p. t. Pan Jowialski, późniéj napiszemy, nie chcąc wyprzedzać jéj wystawienia. Teraz umieszczamy bajkę na końcu téj sztuki położoną.

CZYŻYK I ZIĘBA.

Na ciemnym jarzębie,
Młody czyżyk siadł przy ziębie;
A że zawsze myśl w nim płocha,
Ledwie zoczył, jużci kocha.
Lecz uważa, prócz urody,
— W tém już baczny lubo młody —
Że ptaszyna ma w udziele,
W swém mieszkaniu ziarna wiele. —
Tém mieszkaniem, domek mały,
Drobne kratki go składały,
I szczebelkiem drzwi podparte,
Stały otwarte.
Uważał czyżyk dość długo, a potem,
Lekkim zbliżywszy się lotem;
Nuci, śpiewa, bawi,
O miłości prawi,
Wzajemności żąda,
A na proso wciąż pogląda.
Zięba zaś swoim zwyczajem,
Wdzięczy się na wzajem.
Zięba nadobnéj była urody,
A czyżyk młody.
Pokarm był piękny, liczny, dorodny,
A czyżyk głodny —
Nie myśląc wiele,
Posunął się śmiele,
Lecz ledwie przy kratce...
Trzask! — Czyżyk w klatce. —
Z razu pieszczoty zięby, jéj głos miły,
Myśli niewoli z główki odaliły.
Lecz nie długa,
Ta usługa.
Jakby nie ta co z początku,
Dumała gdzieś w swoim kątku,
A gdy czyżyk, grzecznie, ładnie,
O śpiewanie ją zagadnie;
Huknie,
Fuknie:
»Ja póty wabię, pókim sama w domu,
Póki mi trzeba podobać się komu.«
Choć westchnął czyżyk nad dzielnością mowy,
Nie stracił głowy,
Wspomniał o prosie;
Wziął się do niego — Lecz o smutny losie!
O nadziejo marna!
Dużo tam łupek, a nie wiele ziarna.
Westchnął jeszcze i wzdychał, ale nic nie zmienił.
Nie jeden jest czyżykiem co się dziś ożenił.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY.

(z Dzieł Alex. Dumas.)

Genewa i jéj okolice.

W dogodności położenia, Genewa samemu tylko ustępuje Neapolowi; zbudowania u podnóżka góry Saléve rozciąga się aż do brzegów jeziora i zdaje się z upodobaniem spoglądać na tysiące wiosek i folwarczków, rozsypanych na bokach gór po obu stronach miasta. Na jéj skinienie przybiega z mglistéj głębi jeziora, mnóstwo lek-

http://rcin.org.pl

kich statków z trójkątnym żaglem, przesuwających się na powierzchni wody, małych i lotnych jak ptaki morskie, i te ciężkie statki parowe. Pod niebem tak pięknem, przy wodach tak czystych, zdaje się że nie potrzebuje rąk ludzkich, że tylko swobodnie oddychać powinna; a przecież ta gnuśna na pozór sułtanka, jest królową przemysłu, jest czynną i handlowną. Genewa, w liczbie dwudziestu tysięcy mieszkańców, posiada osiemdziesięciu pięciu milionowych panów.

Geneva jak to wskazuje jéj celtycka etymologia (1) założona była 2500 lat temu. Cezar w komentarzach swoich dał jéj łacińskie zakończenie i *Gen-ev* zrobił *Geneva*. Antonin z kolei nazwał ją *Cenabum* Grzegorz z Tours w kronikach swoich nazywa ją *Janoba* pisarze od osmego do piętnastego wieku nazywali ją *Cebenna* nareście w 1536 przybrała nazwisko Genewy i zachowała je na zawsze.

Piérwsze wiadomości historyczne o tém mieście, znajdujemy w komentarzach Cezara. Powiada nam, iż zajął Genewę dla przeszkodzenia najazdom Helwetów do Galii, a uważając że to jest dogodne stanowisko wojenne, obwarował się w niém. Wtenczas to wystawił na wyspie rozdzielającéj Rodan, wieżę, która dotąd nosi jego nazwisko. Genewa przeszła więc pod panowanie Rzymian; świątynię Apolina wzniesiono na miejscu gdzie teraz stoi kościół Sgo Pio-

(1) Gen, wyszła; ev, rzeka.

tra, a skałę wychodzącą z jeziora o sto kroków od brzegu, poświęcono bożkowi morza. Na początku siedemnastego wieku, znaleziono przy niéj dwa małe topory i nóż miedziany do zarzynania zwierząt przeznaczonych na ofiarę. Teraz, ten ołtarz Neptuna, zowie się po prostu kamieniem Nitona. Genewa przez pięć wieków podlegała Rzymianom. W 426, zalał ją potok barbarzyńców, Burg-Hundowie zrobili z niéj jedną z najznaczniejszych stolic swego królestwa (2). W owym to czasie król Franków Hlode-Wig (3) posłał królowi Burg-Hundów. Gande-Balda (4) prosząc go o rękę jego siostrzenicy Hlode-Hildy (5).

Panowanie Ost-Gotow nastąpiło po Burg-Hundach; ale tylko lat pietnaście posiadali Genewę. Król Franków odebrał ją od nich i znowu przyłączył ją do królestwa Burgundyi, którego stolicą była aż do roku 858. Po śmierci Ludwika Dobrotliwego, dostała się w podziale Lod-Herowi, od niego przeszła do cesarza Niemiec, zdobył ją na nim Karol Łysy i przekazał synowi swemu Ludwikowi, po którego zgonie była przyłączona do królestwa Arles. Od owego czasu podbita w 888 przez Karola Łysego, została stolicą drugiego królestwa Bur-

(2) „Wojownicy sprzymierzeni“ z których autorowie łacińscy zrobili „Burgundiones“ a późniejsi „Burgundczyków“

(3) „Sławny wojownik“ po łacinie „Clodevęcus“ po francuzku przez zepsucie „Clovis.“

(4) „Wojownik potężny.“

(5) „Szlachetna i piękna“ po łacinie „Clotilda.“

http://rcin.org.pl

gundyi aż do 1032, w któréj to epoce przyłączoną została do cesarstwa niemieckiego.

Długo byłoby śledzić dalsze jéj losy, poprzestaniemy na tém iż 1401 przeszła ostatecznie w moc hrabiów Sabaudyi.

W 1505 ogłosiła się rzeczpospolitą. Wiek siedemnasty i osiemnasty były dla Genewy wiekami spoczynku. W owym czasie jéj handel wzrosł tak bardzo, że przemysł jest wszystkiém w tém mieście, a własność gruntową prawie niczém. Gdyby podzielono okrąg Genewy pomiędzy wszystkich obywateli, zaledwieby na każdego przypadło dziesięć stop kwadratowych.

Napoleon zastał Genewę przyłączoną do Francyi. W 1814 nie wiedząc co z nią zrobić; oddano ją konfederacyi Szwajcarskiéj, pod nazwiskiem dwudziestego drugiego kantonu.

Ze wszystkich stołecznych miast Szwajcaryi, Genewa wyobraża arystokracyą pieniężną; jest to miasto zbytku, łańcuchów złotych, zegarków, powozów i koni. Jéj trzy tysiące rzemieślników, całą Europę zasila klejnotami. 75,000 uncyi złota i 50,000 grzywien srebra wyrabiają corocznie, a ich zapłata wynosi 2,150,000 franków.

Najznaczniejszy skład robót jubilerskich, jest niejakiego Beautte, niepodobna wyobrazić sobie bogatszego zbioru: sama nawet Kleopatra zadrżałaby na ich widok.

Cło od tych klejnotów na granicy francuzkiéj jest dosyć znaczne, ale za opłatą pięć od sta, pan Beautte obowiązuje się przesłać je przez kontrabandę. Umowa między nim a kupującym zawiera się pod tym warunkiem, jawnie i głośno, jak gdyby nie było na świecie celników. To prawda że pan de Beautte z niezmierną zręcznością umie ich podchodzić; jedno zdarzenie wybrane z tysiąca podobnych, przekona o tém.

Gdy hrabia de Saint Cricq był generalnym dyrektorem ceł, bardzo wiele słyszał o jego przebiegłości i postanowił przekonać się o niéj. Pojechał więc do Genewy i kupił w magazynie pana Beautte za 30,000 franków klejnotów, pod warunkiem, że oddane będą w Paryżu bez opłaty cła. Pan Beautte przyjął warunek jako człowiek nazwyczajony do tego, i tylko podał kupującemu do podpisu, pismo, mocą którego tenże zobowiązał się zapłacić oprócz 30,000 fr. zwyczajne 5 od 100 wynadgrodzenie. Dyrektor uśmiechnął się, wziął pióro i podpisał *de Saint Cricq, generalny dyrektor ceł we Francyi* i oddał pióro panu Beautte, który spojrzawszy na podpis uśmiechnął się tylko i odpowiedział. »Panie dyrektorze ceł, przedmioty które miałem zaszczyt sprzedać panu, jednocześnie z nim przybędą do Paryża.

Urażony dyrektor, ledwie zjadł obiad, posłał po konie i wyjechał w godzinę po zawartéj umowie.

Przejeżdżając przez granicę, Pan de Saint-Cricq objawił swoje nazwisko celnikom, którzy chcieli przetrząsać jego powóz, opowiedział naczelnikowi komory co się stało, pole-

http://rcin.org.pl

cił jak naiwiększą baczność i przyrzekł 50 luidorów wynadgrodzenia temu, kto schwyta przemycane klejnoty: wszyscy strażnicy nie zmrużyli oka przez trzy dni i trzy nocy. Tymczasem pan de Saint-Cricq przyjeżdża do Paryża, wysiada z powozu, wita się z żoną i z dziećmi i udaje się do swego pokoju.

Najpierwsza rzecz, którą postrzega, jest zgrabne pudełko. Zbliża się i czyta napis przylepiony na wierzchu: *Panu hrabi de Saint-Cricq generalnemu dyrektorowi ceł*; otwiera je i znajduje klejnoty które kupił w Genewie.

Beautte porozumiał się z jednym ze służących oberży; ten zaś dopomagając ludziom pana de Saint-Cricq w pakowaniu rzeczy, wsunął między nie zakazane pudełko. Gdy przyjechali do Paryża, kamerdyner widząc piękny kształt pudełka i napis na niém, czemprędzéj położył je na kominku w gabinecie pana.

Pan dyrektor ceł był pierwszym kontrabandzistą królestwa.

Inne przedmioty kontrabandy, których dostać można w Genewie o połowę taniéj jak w Paryżu, są: bielizna stołowa i fajans angielski; te przedmioty są nawet tańsze niż w Londynie: albowiem przy wprowadzaniu ich do tego miasta, większą ponosić muszą opłatę niżeli kosztuje transpost do Genewy. Wszędzie, za opłatą pięć od sta, zaręczają za ich przemycenie przez granicę, co jest oczywistym dowodem użyteczności potrójnéj linii strażników, których Francya opłaca.

Lubo w Genewie urodziło się wielu uczonych, jednakże handel jest głównem zatrudnieniem jéj mieszkańców. Ledwie niektórzy z nich oswojeni są z tegoczesnym stanem literatury i pierwszy komissant bankowego domu, poczytałby sobie za ubliżenie, gdyby większą zwracano uwagę na Lamartina i Wiktora Hugo, niżeli na niego; nie wie nawet o ich nazwisku. Jedyną literaturą Genewczyków, jest teatr. Pod czas mojego przybycia, panna Jenny Vertpré wszystkim zawracała głowy i ledwie nie powstał rozruch o to, że zabroniono chodzić za kulissy. Oświadczenia miłosne musiano więc rzucać na scenę; ale to nie zmniejszało ich liczby. Jedno z tych oświadczeń dostało się do mnie i uważałem, iż trzeba było więcéj bezinteressowności niż cnoty, ażeby mu się oprzéć: były to w ogólności faktury handlowe, w których ładna kobieta szacowna była podług bieżącéj ceny prawdziwych pereł.

Salony Genewskie są na mniejszą skalę podobne do naszych przy Chaussée d'Antin: lecz pierwotna oszczędność, daje się tam uczuwać mimo nabytego majątku.

Przedmioty godne widzenia w Genewie są: biblioteka posiadająca kilka starożytnych rękopismów, grób xięcia de Rohan w kościele Sgo Piotra, i nareście dom J. Jakóba Rousseau, na którym jest tablica marmurowa z tym napisem:

Tu urodził się J. J. Rousseau
28 Czerwca 1712 r.

Wycieczki w okolice Genewy, są bardzo przyjemne, w każdéj porze

http://rcin.org.pl

dnia, nająć można piękne powozy, i pojechać tam gdzie nas prowadzi ciekawość. Zwiedziwszy miasto, pojechaliśmy do Fernej; za dwie godziny jużeśmy byli na miejscu.

Przebywszy ogród, weszliśmy do przedpokoju: tam zatrzymują się pielgrzymi, którzy przychodzą uwielbiać bożyszcze bezbożności. Burgrabia uroczyście zapowiada, iż żadna zmiana nie zaszła w umeblowaniu i że zobaczymy pokoje w takim stanie, w jakim były za życia Woltera; na to zapewnienie nie raz płakali rozrzewnieni prenumeratorowie Konstytucyonisty.

Nic tak nie bawi jak powaga burgrabiego, który oprowadza gości. Dzieckiem będąc, przyjęty był do usług Woltera, umie więc mnóstwo anegdot dotyczących się swego dawnego pana, które zachwycają poczciwych pielgrzymów. Gdyśmy weszli do sypialnego pokoju, cała familia otaczająca go w koło, połykała słowa z ust jego wychodzące, a jéj uwielbienie spadało nawet na człowieka który był czyścił trzewiki i pudrował perukę Woltera. Niepodobna odmalować téj sceny; trzeba było patrzeć na nią. Powiem tylko, że ilekroć burgrabia wymawiał z akcentem jemu tylko właściwym, te uroczyste słowa, *Pan Arouet de Voltaire*, zdejmował z głowy kapelusz, a ci panowie naśladowali tę oznakę uszanowania.

Za dziesięć minut, przyszła na nas kolej; towarzystwo zapłaciło i odjechało, a Cicerone wyłącznie do nas należał. Oprowadził nas po ogrodzie dość pięknym, zkąd był prześliczny widok; pokazał nam aleję w której Wolter ułożył *swoją piękną tragedyą Irenę* a zbliżywszy się do drzewa uciął kawałek jego kory i podał mi ją. Przytknąłem ją do nosa i do języka, rozumiejąc że to jest jakie cudzoziemskie drzewo, mające woń i smak oddzielny. Bynajmniéj; było to drzewo zasadzone przez pana Arouet de Voltaire, i jest we zwyczaju, aby każdy ze zwiedzających wziął jego odrobinkę. To zacne drzewo ledwie nie uschło z przypadku którego doznało przed trzema miesiącami; jakiś zuchwalec wkradł się w nocy do zwierzyńca i zdarł trzy albo cztery kwadratowe stopy téj kory. — »Czyliż to jaki zapalony wielbiciel Henryady, dopuścił się téj sromoty? rzekłem. —»Nie panie, odpowiedział, sądzę iż to jest po prostu jaki spekulant, który otrzymał obstalunek z zagranicy.

Po tem zaprowadził nas burgrabia do swojego pomieszkania. Chciał nam pokazać laskę Woltera, którą dochował aż dotąd; a nareście ofiarował ją nam za luidora: gdyż ciężkie czasy zmuszają go do sprzedania téj pamiątki. Odpowiedziałem iż to jest za drogo. Znałem bowiem pewnego jegomości, któremu przed ośmiu laty przedał taką samą laskę za pietnaście franków.

Wsiedliśmy po tém do powozu i pojechali do Coppet, do zamku pani de Stael.

Tam nie było ani gadatliwego burgrabiego, ani drzewa którego korę obcinają, ale piękny zwierzyniec otwarty przechadzającym się, biedna ko-

http://rcin.org.pl

bieta, która szczere łzy wylewa mówiąc o swojéj pani i pokazuje pokoje pozostałe bez żadnéj po niéj pamiątki. Chcieliśmy widzieć biórko na którém powinny bydź jeszcze ślady atramentu spadającego z jéj pióra, łóżko, jeszcze napełnione jéj ostatniem westchnieniem. Ale nic nie było świętém dla jéj spadkobierców; pokój zamieniono w jakiś salon; meble wyniesiono Bóg wie gdzie. W całym zamku nie było nawet ani jednego exemplarza Delfiny.

Z tych pokojów, przeszliśmy do pokojów jéj syna. Śmierć także tam uderzyła dwie ofiary. Pan de Stael i syn jego, umarli w trzy tygodnie jeden po drugim.

Chcieliśmy widzieć grób familii, ale testamentowe rozporządzenie pana de Necker wzbroniło do niego wnijścia obcym osobom.

Wyszliśmy z Fernéj z zapasem wesołości, która mogła potrwać cały tydzień; opuściliśmy Coppet ze łzami w oczach i ściśniętém sercem.

LOZANNA.

Wsiedliśmy na statek parowy i popłynęliśmy do Lozanny. Widzę jeszcze ten statek, jak się przybliża dymiący się i okryty pianą; jak w chwili gdyśmy mniemali że przejdzie nie widząc nas; zatrzymuje się nagle, drżący od gwałtownego wstrząśnienia; a potem stojąc w poprzek czeka na nas. Ledwieśmy stanęli na pokładzie, puścił się dalej. Jezioro Leman, jest to morze Neapolu, jego błękitne wody, a co więcéj jeszcze, te góry posępne, narzucone jedne na drugie, a nad niemi wszystkiemi objawia się śnieżne czoło góry Mont-Blanc, owego olbrzyma który ciekawie zdaje się spoglądać na jezioro, przez głowę innych gór, obok niego wyglądających jak pagórki.

Jakoż trudno przychodzi oderwać wzrok od południowych brzegów jeziora i zwrócić je na brzeg północny; a jednakże z téj to strony natura najhojniéj rozsypała kwiaty i plony ziemi: są tam zwierzyńce, winnice, żniwa, wioska ciągnąca się kilka mil bez przerwy pod nad brzegami jeziora, zamki zbudowane w najrozmaitszych położeniach, niosące na wystawie datę swego początku. W Nyon budowle rzymskie, dzieło Cezara; w Conflans zamek gotycki, w Morges pałace wiejskie z tarasami na sposób włoski, a w głębi Lozanna z wybiegłemi w górę wieżami; Lozanna, któréj białe domy, zdaleka podobne są do łabędzi grzejących się na słońcu.

Kanton Vaux dotykający się do Genewy, winien jest pomyślność swoją zupełnie odmiennéj przyczynie. Jego bogactwa nie są owocem przemysłu, ale płodem gruntu; ziemia tak jest podzielona, że na 180000 mieszkańców, liczy 34000 właścicieli. Wyrachowano iż to jest cztery tysiące więcéj aniżeli w całéj W. Brytanii.

Pod względem wojskowym, kanton ten jest najlepiéj urządzony; a ponieważ każdy właściciel jest żołnierzem, ma więc 30000 ludzi zdatnych do broni.

http://rcin.org.pl

Wojska szwajcarskie nie pobierają żołdu. Co rok trzy miesiące przepędzają w obozie na obrotach wojennych. Nikt nie może bydź oficerem, kto nie służył przez dwa lata. Żaden właściciel nie może się żenić, jeżeli nie posiada munduru i biblii.

Kościół katedralny w Lozannie, zaczęty był przy końcu 15go wieku i już tylko brakowało dokończenia jednéj dzwonnicy, gdy zamieszki religijne w roku 1536 przerwały budowlę. W chórze znajdują się groby zasługujące na uwagę, to jest papieża Felixa V. i Ottona z Granson, którego posągowi brakuje rąk, a to z następującéj przyczyny:

W 1393 Gerard d'Estavayer zazdrosny o żonę swoją, do któréj zalecał się Otton z Granson, umyślił dla ukrycia prawdziwego powodu swojéj nienawiści, oskarżyć go o zamach przeciw hrabi, u Sabaudyi Amedeuszowi VIII i dla poparcia swego oskarżenia wyzwał go na pojedynek. Otton, chociaż osłabiony świeżą raną nie odmówił wyzwania. Postanowiono, że zwyciężony straci obie ręce jeżeli się nie przyzna: Otton do występku, a Gerard do fałszywego oskarżenia.

Otton zwyciężony został, Gerard wołał na niego aby się przyznał do winy. Otton odpowiedział wyciągając obie ręce, które Gerard odciął za jednym zamachem.

Dla tego to, posąg jest bez rąk, podobnie jak i ciało. Gdy otworzono grób Ottona, aby jego szczątki przenieść do kościoła katedralnego, znaleziono szkielet okryty zbroją, z szyszakiem na głowie i ostrogami u nóg. Kirys złamany na piersiach, wskazywał miejsce, gdzie go ugodziła włócznia Gerarda.

Późniejsze grobowce są xiężnéj Katarzyny Orłów i lady Strafford-Canning. Lord Strafford wyjednał mocną boleścią swoją, iż pozwolono żonę jego pochować w kościele. Napisał do Kanowy, polecając mu, aby jak najśpieszniéj zrobił nagrobek. Dzieło gotowe było za pięć miesięcy, nazajutrz po dniu kiedy pan Strafford zawarł powtórne śluby.

Przewodnik nasz, uczony i przyjemny obywatel Lozanny, ztamtąd zaprowadził nas do domu pokuty. Wychodząc z kościoła, przypatrzyliśmy się przepysznemu widokowi jaki ztamtąd postrzegać można: pod nogami naszemi rozsiane były domy Lozanny, coraz to daléj położone jedne od drugich, im bardziéj oddalały się od środka; za temi domami, błękitne jezioro gładkie jak zwierciadło, a przy jednym jego końcu Genewa, któréj dachy i kopuły blachą kryte, świecą się od promieni słońca, jak wieżyczki miasta muzułmańskiego; nareście na drugim końcu, posępne wąwozy walezyjskie nad któremi panują odwiecznym śniegiem okryte góry.

Jest to miejsce przechadzki dla miasta, ale ponieważ jest narażone na wiatry od zachodu, przeto niebezpieczne jest dla dzieci, starców i osób słabowitych. Rada kantonu postanowiła, iż na południowym stoku miasta, zrobiona będzie przechadzka dla starców i dzieci, potrzebujących ciepła i słońca. Prze-

http://rcin.org.pl

chadzka ta kosztować będzie 150,000 franków.

Szwajcarya nie ma galer ale tylko domy pokuty. Mieliśmy odwiedzieć jeden z nich: zobaczyć zatém złoczyńców. Weszliśmy z tą myślą; ale ten dom tak był nie podobny do więzień francuzkich iż mniemaliśmy że jesteśmy w szpitalu.

Więźniowie mieli wtenczas rekracyą, to jest mogli przechadzać się przez godzinę po czystym dziedzińcu na ten cel przeznaczonym. Wskazano nam niektórych, w sukniach w białe i zielone pasy, z obróżką żelazną na szyi: to byli galernicy.

Poszliśmy do okna wychodzącego na drugą stronę i widzieliśmy kobiety przechadzające się po ogrodzie: był to ogród domu pokuty dla kobiet.

Zwiedziliśmy potém izbedki odosobnione, w których sypiają uwięzieni; były to ładne celki opatrzone kratami, w każdéj celi były potrzebne sprzęty. W niektórych nawet znaleźliśmy kilkanaście xiążek. Celem tych domów pokuty jest, oddzielić od towarzystwa osoby mogące przynosić mu uszczerbek i oprócz tego poprawić moralność ludzi tamże osadzonych. W ogólności, nasi więźniowie francuzcy, wychodzą z więzień albo z galer, jeszcze bardziéj zepsuci; więźniowie w Lozannie, wychodzą poprawieni. Poprawa ta, polega na zasadzie następującéj.

Po największéj części, występki są skutkiem nędzy; nędza ta pochodzi ztąd, że człowiek nie umiał albo nie zdołał wyżywić się z pracy. Oddalić go od towarzystwa, trzymać go w więzieniu przez czas krótszy lub dłuższy, będzie to karą, naznaczoną prawem; ale człowiek ten, po jéj wytrzymaniu, powraca między ludzi i znajduje się w takiém samém a może i gorszém jeszcze położeniu, jakie zrządziło pierwszy jego upadek; to położenie, stanie się przyczyną drugiego upadku i nowych występków. Aby temu zapobiedz, trzeba opatrzyć go w przemysł i pieniądze, trzeba rozwinąć jego ukształcenie moralne i religijne.

Dla tego też, pierwsze prawidło w domach pokuty jest, że kto nie umie rzemiosła, nauczy się takiego, jakie sobie wybierze; a drugie, że dwie trzecie części z tego co w tém rzemiośle zarobi, do niego należéć będą. Dodatkowy artykuł uzupełnia ten środek ludzkości. Upoważnia więźnia, do przesyłania trzeciéj części tych pieniędzy ojcu lub matce, żonie lub dzieciom.

Tak więc, przyrodzone ogniwa, zerwane gwałtownie wyrokiem sądowym, odnawiają się przez te nowe stosunki. Pieniądze przesłane familii, przysposabiają winowajcy dobre przyjęcie gdy wróci wysiedziawszy karę. Domowe zacisze którego tak długo upragnął, jest dla niego otwarte, ponieważ, zamiast coby miał wrócić hańbą okryty, ubogi i nagi, wraca oczyszczony z popełnionego występku i zabezpieczony na przyszłość, rzemiosłem którego się nauczył i pieniędzmi które zebrał.

---

http://rcin.org.pl

Stosownie do ogłoszenia w prospekcie Gabinetu Czytania, iż w zbiorze tym, oprócz pomniejszych artykułów, będzie także jeden albo dwa obszerniejsze romanse, dajemy romans Pawła de Kock p. t. Sabaudczyk: romans ten 5 tomów w oryginale obejmujący, zajmie cztery, a najwięcéj pięć numerów Gabinetu. W prawdzie nie jest dogodną rzeczą przecinanie dzieła, i przerywanie zajęcia czytelników; ale mniema wydawca że tę niedogodność przeważać powinna krótkość przerw i tanność dzieła, które wydane w zwyczajnym formacie, kosztowałoby 16 złp.

SABAUDCZYK.

ROMANS PAWŁA DE KOCK.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

ŚNIEG. — RODZINA SABAUDZKA.

Śnieg padał wielkiemi płachtami; zakrył wszystkie drogi, utrudnił jeszcze bardziéj drożyny wydeptane przez góry, zawieszone po nad przepaściami, otaczającemi w około miasteczko Hopital, nieopodal góry Mont-Blanc.

Nasza chatka stała przy gościńcu, dla niepogody od kilku dni prawie pustym. Śnieg okrył ziemię więcéj jak na stopę, a jednakże ani ja, ani bracia moi, nie pomyśleliśmy nawet aby schronić się do chaty przed zawieruchą. Leżałem przy odłamie skały; tak miękko mi było jak na trawniku najbujniéjszym: małe moje ręczęta lepiły kulki ze śniegu; ciskałem je na braci, którzy mi hojnie zmarzłym śniegiem odpowiadali. Piotruś usiadł w kuczki pod załomem opoki, kiedy niekiedy wychylał główkę aby trafnie wymierzyć i chował się natychmiast. Jakób biegał tam i sam, nie postał ani chwili na jedném miéjscu, schylał się po garść śniegu, potém zwinnie umykał, aby uniknąć wymierzonego nań śnieżka.

Co za szczęście gdy trafił jeden drugiego!... Co za okrzyki radośne, gdy kulka rozbiła się na plecach uciekającego Jakóba; gdy Piotr wychyliwszy płową główkę ze swéj kryjówki, został ugodzony w samą twarzyczkę rozpierzchającym się śnieżkiem! Zwyciężony łączył swe śmiechy ze śmiechem zwycięzcy; zwycięztwo ani jednéj łzy nie wycisnęło. Czy podobna było czuć zimno? tak byliśmy szczęśliwi!.. w tym wieku szczęście tak jest czyste, tak nie zakłócone żadném wspomnieniem przeszłości, żadną obawą o przyszłość!

Już kilkakrotnie rozległ się głos naszéj matki. »Idziemy, idziemy» wołaliśmy razem. Szliśmy, lecz nowy śnieżek wyzywał do walki; nowa zaczepka i nowe śmiechy radosne, okrzyki budziły echa gór naszych. Nożęta skostniały nam od zimna; zgrabiałe, zsiniałe rączki zaledwie zdołały pochwycić i ugnieść śnieg, jednający nam tak przyjemną zabawkę; a przecież nie mogliśmy się namyślić, aby powrócić do ogniska palącego się w chacie.

Nadchodząca noc, zmusiła nas wreście porzucić igraszkę. Wracamy

http://rcin.org.pl

zmęczeni, zadyszani, lecz tak kontenci! każden się ciśnie do obszernego komina, przed którym ojciec siedzi w wielkiém krześle; matka tymczasem krząta się po izbie, przyrządzając wieczerzę, i łaje nas że tak późno wracamy.

—»Patrzno, jak obryzgani śniegiem!.. Biegać po gościńcu w taką zawieruchę!.... Nic dobrego! jak się rozigrają, gotowi mnie nie słuchać!

—»Nie łaj ich, Maryniu: mówił ojciec, wabiąc nas do siebie: nie łaj ich, są szczęśliwi!.... Po cóż tak wcześnie zakłócać ich uciechy? Kochane dzieciaki!... ach! ten wiek tak prędko przeminie!... Niezadługo rozsądek sprowadzi za sobą niepokoje! Całodzienna praca będzieli dostateczną na opędzenie jutra? Dzisiejsze nadzieje, czyliż zdołają wygładzić z pamięci wczorajsze troski? Ciągłe cierpienia! rzadka przyjemność!... ani jednéj chwili tak radosnéj jak iéj dziś doznali! I ja także lepiłem kulki ze śniegu!... Czterdzieści lat temu i ja bawiłem się tak jak oni... Jakże ten czas daleko! jakże trwał krótko! nie przypominam sobie abym odtąd doznał tak żywego ukontentowania.

—»Jak to! nawet wtedy kiedyś się ze mną ożenił, Jerzy? odezwała się matka głosem wymówki.

Ojciec spojrzał na nią z uśmiechem i pomruknął z cicha: »O! to wcale co innego... Tylko nędzną chatę miałem dla ciebie....

—»A ja czy miałam więcéj? Czy dla tego nie byliśmy szczęśliwi?....

—»Tak, bez wątpienia... — »Chatka, praca, to dosyć dla nas; jesteśmy ubodzy; ale nam jeszcze nie zbywa na pierwszych potrzebach; dzieci nam się pięknie chowają, rosną, będą mogły z czasem pracować... — »Tak... Ale nim to nastąpi!... Odtąd jakém się wywrócił prowadząc tego grubego pana przez lodowiska... który mi nawet nie pomógł podnieść się, odtąd słabuję... nie mogę przyjść do zdrowia... Gdybym cię tak musiał zostawić z temi dziećmi, z których najstarszy ma ledwie lat siedem... o Boże! cóżby się z wami stało?»

To mówiąc ojciec, przyciskał nas do serca. Ja wdrapałem się na jego kolana, Jakób siedział przy jego nogach, a Piotruś stojąc przy nim opierał głowę na jego ramieniu. Matka zatrzymała się na środku izby; ostatnie wyrazy męża ścisnęły jéj serce. Odwróciła się aby ukryć łzę spadającą po jéj licach, a my nie rozumiejąc o co idzie, podwoiliśmy nasze pieszczoty, aby rozproszyć smutek malujący się w oczach naszego ojca.

—»O Boże! jak możesz zajmować się takiemi myślami, rzekła nareście z ciężkiem westchnieniem. Ach mój Jerzy! nie pracuj, odpocznij sobie.... Pozostań w domu. Zebraliśmy nasze żniwo, mamy zapasu przeszło na sześć tygodni; nie narażaj się dla zarobienia kilku groszy.

—»Ojcze! rzekłem śmiało, podnosząc głowę. Ja będę prowadził podróżnych, ja będę im pokazywał nasze przepaści, a co mi dadzą przyniosę do domu. Wszak dobrze, mój kochany ojcze?

http://rcin.org.pl

—»Jesteś jeszcze za młody mój Andrzejku, odpowiedział ojciec głaszcząc mię po twarzy.— »Za młody... Jestem starszy niźli moi bracia.... Mam lat siedem. Syn Michała nie miał i tyle kiedy poszedł do wielkiego miasta.— »Moje kochane dzieci! obyście tam nigdy iśdź nie musieli.

—»Wielkie miasto, to musi bydź coś bardzo ładnego: rzekł Piotruś wytrzeszczajac oczy. Mówią że tam co dzień pokazują różne sztuki i obrazki. — »Ja, odezwałem się na to, pracowałbym tam i zarobił dużo pieniędzy. Przyniósłbym je dla was. Bylibyśmy bardzo szczęśliwi; kupilibyśmy duży ogród i moglibyśmy siedzieć przy kominku przez całą zimę. A ja i moi bracia mielibyśmy czas robić kulki ze śniegu.

—»Dobry jesteś chłopiec Andrzeju, myślisz o rodzicach... Ale w Paryżu, w tem wielkiém mieście... moje dziecie nie zawsze można zrobić majątek. Młody byłem kiedy tam poszedłem; nie wiele uzbierałem; a za powrotem okradły mię łotry, zabrały owoc dziesięcioletniéj pracy, który przynosiłem mojéj matce; musiałem wrócić z niczém. — »Cóż to są łotry? rzekł Piotruś. — »Mój przyjacielu, są to źli ludzie, próżniacy, złodzieje, którzy z tego żyją co drugim ukradną.— »Można ich bić? mój ojcze, rzekłem żywo. — »Nie zawsze mój kochany Andrzeju; gdy ich schwytają sąd ich ukarze. — »Czy dają jeść złym ludziom? zapytał się Jakóbek spoglądając na ogień i na polewkę która się gotowała.

Ojciec uśmiechnął się i czule uścisk ał Jakóba. Piotruś i ja pochyliliśmy się ku sercu naszego naszego ojca aby téż same zyskać pieszczoty. Jednakowo kochał i nie znał tego niesprawiedliwego pierwszeństwa, które częstokroć między braćmi i siostrami rodzi zazdrość, nienawiść i zmartwienie.

Matka zgotowała polewkę i postawiła ją na stoliku: para wychodząca z wielkiéj misy cieszyła nasze oczy, a Jakóbek rozkosznie oddychał tą wonią. »Do stołu, do stołu! zawołał. Piotruś przysuwa krzesło ojcowskie, a ja pozostaję przy ojcu, chciałbym podpierać słabe jego kroki: gdyż przed niedawnym czasem obsunąwszy się z góry, zranił się w kolano i jeszcze nie wydobrzał.

Mój ojciec udawał iż się na mnie opiera, wiedział bowiem iż mię to cieszy, ale jego ręka lekko spoczywała na mojém ramieniu. Wszyscy zasiedliśmy do stołu, śnieg jeszcze mocniéj padał, wiatr dął gwałtownie, częstokroć wstrząsał drzwiami naszéj biednéj chatki, a jego jednostajny szelest przestraszał Piotrusia, który przytulał się do mnie ilekroć drzwi zatrzasły się z większym łoskotem.

Ale ogień palący się na kominie rozweselał naszą chatkę, a Jakóbek uśmiechał się i śpiewał poglądając na polewkę.

—»Jakiż to czas okropny! rzekła Marya! dając nam wieczerzę. Pewna jestem że przynajmniéj upadło na dwie stopy śniegu. Żal mi tych którzy teraz przechodzą przez góry nasze, rzekł ojciec. — »Jakżeśmy szczęśliwi że mamy przytułek, ciepło i wiecze-

http://rcin.org.pl

rzę.— »Ach! mój Jerzy wieluż to ludzi chciałoby teraz bydź w naszéj chatce. Gdy moja matka mówiła te słowa, usłyszeliśmy dalekie krzyki, trzaskanie z bicza i przekleństwo postyliona.

Nadstawiliśmy ucha, Jakóbek tylko zajadał nie zważając na nic.—»Cóż to ma bydź? rzekł Piotruś przestraszony.

Słuchałem zawsze; głos był co raz to wyraźniejszy. Wołano pomocy. —»Ani wątpić: rzekł mój ojciec wstając od stołu: są to zabłąkani podróżni; trzeba ich ratować.

Wzmógłszy się, wyszedł z chaty, mimo próźb żony, która go zaklinała aby się nie narażał przy tak słabém zdrowiu. Ale mój ojciec już jest daleko, idzie ku stronie skąd słychać było wołanie; zerwałem się, chciałem iśdź za nim; matka zatrzymała mię i rzekła: — »I ty Andrzeju! chcesz także narażać się po tych złych drogach! Jesteś za młody moje dziecię; zostań z nami i prośmy nieba żeby nic złego nie spotkało twojego ojca.

Ukląkłem obok mojéj matki; Piotruś uczynił toż samo z zapłakanemi oczyma; Jakóbek został przy stole i zajadał.

CZYTELNI JANA A. PELARA W RZESZOWIE

ROZDZIAŁ II.

PODRÓŻNI. — MAŁA SPIOSZKA.

Po kwadransie, który się nam bardzo długim bydź zdawał, usłyszeliśmy głos mojego ojca: zawołał aby mu otworzono.

Natychmiast biegnę do drzwi; moja matka zbliża się ze światłem ale widzimy tylko białe massy osypane śniegiem. Mój ojciec prowadzi jakiegoś jegomości obwiniętego płaszczem. Ten pan opiera się na nim i mruczy co chwila. — »Gdzież mię prowadzicie? gdzież jestem?... grzęznę w śniegu...! co za niegodziwy kraj!... strzeż się dobry człowieku!.., wpadniemy w jaką dziurę.« A na to odpowiada mój ojciec.— »Nie bój się pan, znam drogę, to jest tylko śnieg.—»To śnieg!.. do licha i tego już za wiele!... zmarzły mi nogi... O niegodziwy kraj!... Szampan, zważaj na dziecię i idź za nami.

Pan Szampan był to zapewne ten drugi jegomość także obwinięty w płaszcz pod którym coś trzymał. Weszli do chaty. Gdy zdejmowali płaszcze, rzuciliśmy się w objęcia ojca nie zważając na podróżnych. Któż może bydź dla prostych Sabaudczyków droższym od ojca? Jerzy pamięta przedewszystkiem o podróżnych. —»Dzieci, rzekł, przyłóżcie drewek na ogień, a ty Maryo zobacz co możesz ofiarować tym panom i temu dziecięciu... Ale... połóż je na łóżku, dobrze mu będzie. JmćPan Szampan w sukni z galonami, uchylił płaszcz i postrzegliśmy wtedy że niesie uspione dziecię. Była to dziewczynka czteroletnia. Ach, jakże ładna! Nic tak pięknego nie widzieliśmy dotąd!.. Krzyknęliśmy podziwieniem przejęci i otoczyliśmy tego pana w galonach.

—»Ach mój Boże! jak ładna dziewczynka, rzekła moja matka, to jest anioł! — »Czy to siostrzyczka? zapytał się Jakóbek, a Piotruś dotykał się zło-

http://rcin.org.pl

tych galonów pana Szampana. Ja zaś tak byłem przejęty podziwieniem iż ani słowa wyrzec nie mogłem.

Ale tymczasem drugi jegomość zdjął płaszcz z siebie i zbliżył się do komina. Zapewne zniecierpliwiony naszemi wykrzyknieniami, położył im kres, wołając rozkazującym tonem.

—»Dalejże Szampan! czy będziesz przez całą godzinę trzymać to dziecię?... połóż je na łóżku jeżeli tu jest łóżko. A potém pójdziesz do postyliona.

Szampan wykonywa te rozkazy i idzie za moją matką, która prowadzi go do łóżka stojącego w głębi izby za płociennemi firankami.

Już nie przypatrywałem się maleńkiéj, ale temu Jegomości.

Miał około pięćdziesiąt pięciu lat; był niski i chuderlawy. Twarz miał długą, nos jeszcze dłuższy, zdolny zasłonić od wiatru osobę którąby pod rękę prowadził. Cerę miał żółtawą; jedno oko zasłaniał mu czarny plaster, przywiązany wstążką około głowy: co jednak bynajmniéj nie czyniło go podobnym do Kupidyna. Drugie oko było czarne i dosyć żywe; czyniąc przysługę za dwa, ani na chwilę nie było w spoczynku; toczyło się bezprzestannie, to w lewo to w prawo. Pogarda i szyderstwo, zdawały się zwykłym wyrazem twarzy tego Jegomości. Był upudrowany i miał harcap, poruszający się do taktu w kierunku jego spojrzenia.

Nieznajomy, z pogardą przypatrywał się naszéj chacie. »Czy nie macie drugiéj izby, gdziebym mógł wypocząć do woli, zdala od téj zgrai dzieciaków? rzekł do ojca, rzucając na mnie i braci niecierpliwe spojrzenie. —»Nie, Jaśnie Wielmożny panie, ta duża izba, jest całém naszém pomieszkaniem. —»Izba!... oni to nazywają izbą! pomruknął Jegomość, spojrzawszy na lokaja, któren zdjął mu płaszcz i uśmiechem potakiwał słowom pańskim.

»Ale przecież... gdzież będę spał? bo jednak muszę gdziekolwiek spać... Wszak prawda Szampan? —»Zaiste, Jaśnie Wielmożny Panie, to miejsce nie jest godne pana!.. jednakże to nie wina tych biednych ludzi... —»Słusznie mówisz Szampan, miejsce nie jest mnie godne, lecz ponieważ nie ma innego....

—»Jeśli pan koniecznie chce bydź sam, rzekła matka, mamy strych na zapasy zimowe; jest tam świeża słoma....

—»Strych! słoma!.. dla mnie?.. Czy słyszałeś Szampan, co plecie ta Sabaudka? to za wiele!... I na prawo i lewo, toczył przenikliwe oko. Chociaż stałem za nim, mogłem uważać jego kierunek po ruchu harcapa.

— »Ci wieśniacy nie wiedzą z kim mają honor rozmawiać.—»O! bez wątpienia że nie wiedzą... Przysuń mi stołek, abym mógł usiąść. — »Mam tylko to jedno krzesło, rzekł ojciec, przysuwając ogromny stołek na którym zwykle spoczywał; matka tymczasem ciągnęła go za kurtkę mówiąc półgłosem: »Ale to twoje krzesło, mój Jerzy, na czémże spoczniesz?»

Ojciec skinął na nią, westchnął z żalem: gdyż obejście podróżnego, bynajmniéj nie skłaniało do grzeczności.

—»Co za krzesło! rzekł rozpierając się na stołku, wyciągnąwszy ku ogniu-

http://rcin.org.pl

wi chude nogi i ręce pierścieniami okryte. »Co za niegodziwe drogi!... muszę napisać do prefekta. Ale powiedzno mi przyjacielu, dla czegóż krzyczałeś, stój! gdy mój powóz brnął w te przeklęte śniegi? — »Bo dążył ku przepaści którą mu śnieg zasłaniał; jeszcze kilka kroków, a zginęlibyście wszyscy. — »Jakto! ja? ja, byłbym zginął wpadłszy w tę jamę?.. To rzecz osobliwsza! Szampan, pojmujesz to? A tak spałem spokojnie, gdy mi największe niebezpieczeństwo groziło!.. Daj go katu! czy to nie odwaga? —»O, pan zawsze tak odważny!—»Mam nadzieję, że ten czyn będzie wzmiankowany w historyi mego życia!... Już to może raz dziesiąty wydarza mi się spać w chwili niebezpieczeństwa. Czy pamiętasz gdy ogień zajął się w pałacu, będzie rok temu; było to w nocy; gdyby mnie nie obudzili, spałbym aż do rana. Jak ci się zdaje Szampan, czy to nie przytomność? nie odwaga? —»Wszyscy nie mogą się wydziwić pańskiéj odwadze.»

Podczas téj rozmowy, matka zbliżyła się do łóżka na którém maleńka spała spokojnie. — »Biedne dziecię! rzekła, gdyby nie mąż mój, byłabyś zginęła!... Ach! mój Jerzy, co za szczęście żeś uratował to powabne stworzenie!.... Jestem pewna, że jéj oczki tak są miłe jak cała twarzyczka.... Co za różnica od tego szkarad....»

Ojciec nie pozwolił jéj dokończyć, nakazując surowo milczenie.

—»Czy śpi jeszcze moja córka, spytał jegomość jednooki obracając się do matki.

—»Pańska córka! rzekła dobra Marya spojrzawszy z podziwieniem na nieznajomego: »Czy podobna? ta śliczna dziewczynka, jest córką pana?

—»I cóż tak dziwnego? odparł mały jegomość, podniosłszy głowę. »Gdyby nie tak ciemno było w izbie, zobaczyłabyś dobra kobiecino, że maleńką jest mój portret wykapany.»

Szampan zbliżył się do łóżka i rzekł:— »Panienka śpi ciągle!»

—»Oh! ona będzie do mnie we wszystkiém podobna: ta sama spokojność wśród niebezpieczeństwa!... to iuż we krwi!... Mój ojciec umierając okryty był przeszło dwustu bliznami.... Co ty na to, Szampan? dwustu bliznami!... nie wielu mogłoby się tém pochlubić!... — »Daj go katu! daję wiarę... były to pewnie cięcia od pałasza? — »Nie, były to znaki po pijawkach; był niezmiernie krwisty. I ja noszę na twarzy dowód méj waleczności!... — Ileż to osób chciałoby naśladować Jaśnie Wielmożnego pana! — »Oko którém straciłnie nie jedno mi podbiło serce... — »Zdaje mi się że Jaśnie Wielmożny pan utracił je w kłótni z Anglikiem? —»Nieinaczéj Szampan! o! dużo o tém mówiono!... Sprzeczaliśmy się... kto prędzéj zajada... Zwyciężyłem; rozgniewany Anglik cisnął na mnie twarde jaje i wybił mi oko! — »O mój Boże!... — »Łatwo pojmiesz jakem się rzucał! Gdyby mnie nie zatrzymano...., byłbym upadł pod stół!... ale pomściłem się!... — »Pewnie go pan zabił?— »Tak jest; w miesiąc znowuśmy się założyli: Anglik umarł na niestrawność.»

http://rcin.org.pl

Podczas rozmowy pana ze sługą, skończyliśmy wieczerzę. Matka co chwila biegła przypatrywać się dziewczynce; potém znowu przybliżała się do ojca, który stojąc na środku izby z kapeluszem i kijem w ręku, czekał aż podróżny raczy wydać rozkazy względem powozu i postyliona, marznącego na gościńcu, gdy pan grzał się przy kominku.

»Jego córka!» powtarzała matka do ucha naszego ojca, ile razy spojrzała na uśpioną dziewczynkę.— »Czy pojmujesz to, mój Jerzy? — »Moja Maryniu, mówią że na wielkim świecie dość często się to przytrafia!

—»Panie— rzekł nakoniec ojciec, zbliżając się do nieznajomego. »Postylion czeka na gościncu, a...—»I cóż! to jego rzemiosło bydź na gościńcu!.... Ten niecnota o mało w przepaść mnie nie wrzucił!.... Wart aby go surowo ukarać!.. —»Mnie się zdaje, że zrobiłby sobie tyle złego co i panu! — »Tak ci się zdaje! Patrz no, Szampan, ten Sabaudczyk pozwala sobie porównywać moje życie z życiem nędznego postyliona!... —»Jaśnie Wielmożny Panie, alboż ci ludzie zdolni są zrozumieć pana?—»Prawdę mówisz, to żyje i umiera jak bobak... myśleć nie umie. Ale muszę jechać jak najśpieszniéj.... nie mogę tu długo zabawić... prawdziwie, można zagorzeć w tym smrodzie. Szampan, idź z tym Sabaudczykiem do powozu; obejrzyj pilnie czy się co nie złamało.... sprowadźcie karetę na bity gościniec; wyjedziemy jak rozednieje; nie chcę się tłuc w nocy po tych śnieżnych zawałach. —»Spuść się pan na moją roztropność.

Szampan wychodzi z moim ojcem. Jegomość przysuwa się do ognia, nie zajmując się bynajmniéj ani córką, ani nami. Niezadługo, przedłużone chrapanie znać nam daje że śpi spokojnie.

—»Jdźcie spać dzieci, rzekła do nas matka. — Widok wasz zdaje się bydź niemiłym temu panu; nie lubi zapewne dzieci; ani razu nie zbliżył się do córki. Mieć taki skarb i nie kochać go!.... Ja tego nie pojmuję!.... Ci ludzie z wielkiego świata muszą mieć głowę zajętą bardzo ważnemi rzeczami, gdy tak mogą zapominać o dzieciach.

—»Matko, pozwól nam jeszcze raz przypatrzyć się dziewczynce: rzekłem, przyskakując do łóżka. Piotruś przybiegł także, a matka wzięła Jakóbka na ręce, żeby mógł lepiéj widzieć.

—»Co za ładna czapeczka! rzekł Piotruś, co za śliczne suknie!... —»Jak śpi spokojnie, rzekłem, ach! gdyby mogła otworzyć oczki!... Chciałbym ją usłyszyć mówiącą, matko. —»Musiała jeść kolacyą? spytał Kubuś. — »Zapewne, moje dziecię... ci bogacze zwykle wszystko mają w powozie. — »Czy ona z nami zostanie? rzekł Piotr. — »Nie, pojedzie z ojcem jak tylko zaświta. Cóżby robiło w naszéj chacie to dziecię, przyzwyczajone do wygód, do wszelkich przyjemności życia! A jednakże takbyśmy ją kochali! o, lepiéj daleko jak ten szkaradny jegomość co się mieni bydź jéj ojcem.

http://rcin.org.pl

Jakóbek pogłaskawszy futro otaczające czapeczkę dziewczynki, poruszył ją z lekka; przewróciła się na drugi bok: ujrzeliśmy medalion zawieszony na złotym łańcuchu.

—»Co za śliczne cacko! zawołał Kubuś i wszyscy schyliliśmy się ku śpiącéj, aby lepiéj przypatrzyć się klejnotowi.

—»To portret kobiety! rzekła matka. Jak piękna twarz! co za oczy!.... to musi bydź mama téj dziewczynki; o tak, założyłabym się... jak do niéj podobna!... Ale jakim cudem ten pan jednooki mógł zostać mężem tak pięknéj kobiety!... Prawdę mówi Jerzy, na świecie dziwne rzeczy można zobaczyć. Daléj dzieci, spać; mogłybyście przebudzić maleńką.... Jegomość by was połajał... on nie zdaje się pamiętać że wasz ojciec uratował życie jemu i jego córce; nawet mu nie podziękował!... O! gdyby Jerzy był to uczynił dla biednego Sabaudczyka!.... ale gdybyśmy czynili przysługi samym tylko wdzięcznym, nie bardzo często możnaby dobrze czynić!...

Z żalem oddalamy się od łóżka, gdzie spoczywała dziewczynka: nie mogłem się jéj napatrzyć. Trzeba jednak słuchać matki, idziemy do naszego kątka. Spiesząc na posłanie, Kubuś zawadził nierozważnie o nogi śpiącego jegomości. Obudził się nagle, podskoczył na krześle i zaczął na gwałt wrzeszczeć: »Do mnie Szampan! do mnie!... chcą zabić twego pana!....

Nieznajomy tak dziwaczne robił miny, że bracia i ja parsknęliśmy głośnym śmiechem.—»Nic to, panie, nic to: rzekła matka: to Kubuś biegnąc zawadził się o pańskie nogi, i nic więcéj!....

—»Jak to? to nic! rzekł nieznajomy, przecierając oko i przychodząc do siebie... Smieszna jesteś moja kobiecino z twojém to nic!.... Przebudzić mnie gdy śpię!.... Oćwicz tych hultajów i zapakuj w kąt, abym ich więcéj nie słyszał.... To nic!.... Sniło mi się że byłem na polowaniu; już doganiałem jelenia i przez tego niecnotę trop jego zgubiłem!»

Matka zapędziła nas do kryjówki, zaciągnęła firankę i kazała bydź cicho. Bracia się rozebrali i usnęli niezadługo. Mnie się całkiem spać nie chciało; dręczony ciekawością myślę tylko o dziewczynce; chciałbym ją raz jeszcze zobaczyć, przebudzoną. Nie rozbieram się; firanka nie ze wszystkiem zasłania, można przez szparę widzieć co się dzieje w izbie; daję baczne oko.

Ledwieśmy się położyli, ojciec wrócił z lokajem podróżnego.

—»A co Szampan, mój powóz?... spytał ów jegomość nie spojrzawszy nawet na ojca. —»Bardzo małéj potrzebuje naprawy... Śruba zginęła... postylion powiada że to nic nie szkodzi... —»Nie wsiądę do powozu, któremu brakuje śruby; koło spadnie; można wywrócić się na gościńcu!... Postylion sobie stroi żarciki, jemu dobrze na koniu. Trzeba natychmiast dorobić śrubę... Czyż to nie ma kowala w téj przeklętéj krainie?...

—»Jest tu w prawdzie człowiek

http://rcin.org.pl

Co kuje konie i narządza powozy, odpowiedział ojciec; ale mieszka po drugiéj stronie wioski... — »Niech sobie mieszka gdzie chce, trzeba mi go koniecznie... — »To bardzo daleko.... droga tak zła dzisiejszéj nocy... — »Musisz bydź zwyczajny biegać po śniegu. Tym grubym kijem możesz się wszędzie oprzeć... Może się boisz?... — »O nie, dałem tego dowód, gdym z narażeniem życia zatrzymał konie, które pana w przepaść niosły.... — »Prawda!... i możesz bydź pewny że ci to nagrodzę.... ale koniecznie trzeba zawołać kowala...«

Ojciec chce iśdź; matka rzuca mu się na szyję: —»Kochany Jerzy! nie chodź po nocy; jesteś słaby, droga tak niebezpieczna,.. jutro o świcie będzie dosyć czasu.

—»Jutro! odezwał się nieznajomy, czy ci się marzy kobieto? jutro!.... Miałbym tu jeszcze zostać całe rano? Muszę koniecznie wyjechać o świcie... Nie zatrzymuj męża, nie lękaj się niczego!... zaręczam za niego.... Oho! więcéj ja dokazywałem ślizgając się przez kilka godzin po sadzawce, gdzie było do trzech stóp wody!...

—»Puść mię Maryniu, powiedział ojciec wydzierając się z rąk matki. Dla ciebie, dla dzieci, chcę zarobić... Opatrzność będzie mnie prowadzić; spuść się na Opatrzność... będzie czuwać nad ojcem nieszczęśliwéj rodziny.«

Ojciec wyszedł, matka ze łzami w oczach usiadła przy łóżku.

Stary jegomość to tylko widział że ojciec poszedł wypełnić jego rozkazy. Zadowolony, przysunął się do ognia, podniecił go i dorzucił kilka gałęzi leżących przed kominkiem.

Służący zbliżył się do stołu przy którym jedliśmy wieczerzę; widziałem jak się skrzywił skosztowawszy polewki zostawionéj dla ojca.

—»Co za jadło! rzekł potoczywszy w około oczyma: »Czy nie chce się jeść Jaśnie Wielmożnemu Panu? —»Nie, a choćbym był głodny nie jadłbym strawy którą się żywią ci wieśniacy. —»Bo też to wcale niewyśmienite. — Oh! to żyje jak bydlęta! —»To wcale co innego, pański kucharz... — »O! to chłopiec z wielkim talentem!... ja go wykieruję, zrobię mu reputacyą. Szczęście, żeśmy jedli dobry obiad. Ale, czy masz w kieszeni flaszkę z Alikantem?...—»Mam Jaśnie Wielmożny Panie... — »Daj no, muszę pociągnąć choć łyk jeden... to mię orzeźwi... ta wieczerza Sabaudzka śmierdzi jak powietrze!«

Lokaj wydobył z kieszeni dużą oplecioną flaszkę i pożądliwém okiem spojrzawszy na nią, podał panu. Mały jegomość dobrze łyknął, zatknął starannie i oddał służącemu któren ją schował z westchnieniem. —»Usiądź Szampan, rzekł nieznajomy: pozwalam ci: ten wieśniak długo zabawi; przytém musi przyprowadzić kowala. Grzej się i pilnuj ognia; strasznie tu zimno, wiatr wieje zewsząd.... Czy podobna żyć w tych chałupach!«

Szampan nie dał sobie dwa razy mówić; wziął stołek, przysunął się do ognia, siadł na przeciw pana i

http://rcin.org.pl

rozkosznie spoczywał i grzał się. Matka ciągle siedziała przy łóżku; myślałam że zasnęła. Od dawna bracia w słodkim śnie byli pogrążeni; ja tylko nie spałem i bawiłem się słuchając rozmowy małego jegomości i lokaja, których mogłem widzieć wygodnie przez dziurę w firance.

—»Przyznaj Szampan, że to myśl wyśmienita; nie posiadam się z radości żem się tak dzielnego środka chwycił!... —»Ani słowa przeciwko temu; lecz o jakimże środku chce Jaśnie Wielmożny Pan mówić?—»No! o porwaniu mojéj córki, uwiezieniu jéj do Paryża... Jakże pani się zadziwi, gdy obudziwszy się jutro nie ujrzy swojéj ukochanéj Adolfiny?... —»Nie będzie to przyjemną rzeczą dla pani, co tak kocha córkę... —»Tak, ale ja chcę żeby i mnie kochała!... alboż nie jestem jéj mężem, Szampan?—»Ani słowa przeciw temu. —»Wiele użyłem biedy! Panna de Blemont nie chciała iść za mąż... O! bo też to dziwna kobieta... ale co za dowcip!—»Nie chciała iść za pana? —»Ja tego nie mówię; powiadam tylko że nie chciała iść za mąż. Zwyczaynie kaprys panieński... szał romansowy! urojony smutek! —»Czy pani zawsze tak smutna? —»Nie, czasem tak żywa! wesoła aż do szaleństwa... Od ślubu zmieniła się jednakże. —»Ponieważ od roku dopiéro mam honor bydź na pańskich usługach, nie znam prawie pani, bo od tego czasu zdaje mi się że ani dziesięciu dni nie przepędziła przy Jaśnie Wielmożnym Panu. —»Prawda Szampanie... pięć lat jakeśmy się pobrali a nie żyliśmy ani dwóch miesięcy z sobą. Gdybym pozwolił pani ciągle wyjeżdżać, na wieś kiedy jestem w Paryżu, do Paryża kiedy jadę na wieś, nie byłoby przykładniejszego małżeństwa. Wiem że to dobry ton stanowi, gdy się małżeństwo tylko pięć albo sześć razy widzi do roku; ale przecież trzeba się widzieć: dla tego też muszę zawsze biegać za panią. Dowiaduję się że jest w moich dobrach w Burgundyi; wyjeżdżam, myślę że ją przyjemnie zadziwię.... Wcale nie! Pani przed godziną wyjechała do pobliskiego zamku. Lecę do zamku... już powróciła do Paryża. Spieszę do Paryża... wczoraj do wód wyjechała... I tak bezustannie.— »To musi bardzo trudzić pana. —»Uprzedziła mnie o tém, idąc za mnie. Okazała rzadką otwartość!... nie ukryła żadnéj wady! Powiedziała że jest dziwaczka, dumna, samowolna... Łatwo pojmujesz jak mię zachwycała taka szczerość.—»Daj go katu! to mi skarb tak szczera kobieta! Zdaje mi się jednak że zaczyna bydź dla mnie przychylniejszą... Gdyby nie ta przeklęta mania włóczenia się po świecie..., ale to przeminie.«

I poziewając przysunął się do komina. Szampan ujrzawszy że pan tyłem do niego się obrócił, wyciągnął zręcznie flaszę z kieszeni, pociągnął kilka tęgich łyków i znowu schował nieznacznie.

—»Czy pamiętasz Szampan, że przed trzema miesiącami byłem tak szczęśliwy i napotkałem panią u Hrabiny Rosange? —»A! był tam młody artysta, zwano go Dermilly, jeśli się nie mylę?.. —»Tak, Dermilly; jest to malarz.

http://rcin.org.pl

—»Zdaje mi się także, żem go widział blisko zamku z któregośmy dzisiaj wyjechali. —»Nie mylisz się; patrzno Szampan, ten Dermilly zapewne nie szuka mojéj żony a znachodzi ją zawsze, ja zaś szukam jéj nieustannie, a nigdy znaleźć nie mogę. —»A to rzecz dziwna! —»To się da łatwo wytłomaczyć. Dermilly, jako malarz lubi podróżować, zwiedzać piękne okolice, zachwycać się wdziękami natury! oh bo ci artyści tak są zagorzali, tak romantyczni!... Pani także wpada w zachwycenie na widok kaskady, urwiska, wąwozu. Muszą więc koniecznie się spotykać. —»Ani słowa; pan Dermilly zachwyca się pięknościami natury razem z panią. —»Zgadłeś; jedno nie lepsze jak drugie. —»Piękny mężczyzna, ten pan Dermilly! —»Tak, jak na artystę, ujdzie... nie jest to piękność szlachetna, jak to ja naprzykład. —»Ach! on wcale niepodobny do pana!... To jeszcze młody człowiek? —»Tak, ma dwadzieścia siedem, około trzydziestu lat. — »Więc ma zaszczyt znać panią? —»Oh! już się dawno znają. Dermilly uczył ją rysunków. Pani bardzo lubi malarstwo... Dermilly uczył ją robić obrazy historyczne.—»A!. on jest także malarzem historycznym? —»Oh! on maluje we wszystkich rodzajach, portrety, krajobrazy, kwiaty, antyki... Doskonale umie trafiać... zrobił miniaturę pani hrabiny: córka moja nosi ją na szyi, i mnie nawet odmalował... i dosyć utrafił... plaster na oku szczególnie dobrze udany. Pani kazała natychmiast przybić mój portret... —»W swoim budoarze zapewne? —»Nie, w garderobie.—»Jak mi się zdaje, ten pan Dermilly posiada piękny talent. — »Wielki, rzadki talent... Zaszczycam go niekiedy zaproszeniem na obiad... gdy nie mam nikogo z gości... trzeba jakoś szanować swój stopień... ale zawsze odmawia... Zrobił także portret Adolfiny... Tak jest uprzejmy... Odmalowałby pewno mego konia, gdybym go o to poprosił; bo kiedy mię malował, to mówił że robi także i zwierzęta kiedy wypadnie. Muszę mu kazać zrobić twój portret Szampanie. — »Ach! pan zbyt dobry... — »Każę go powiesić w jadalnéj sali, na przeciwko psa legawego co tak dzielnie polował na kaczki.»

Szampan nic nie odpowiada, tylko cichaczem znowu do ust niesie flaszę.

»Jakże się pani zadziwi!.. Ale sama temu winna, wszak chciałem ją zawieść do Paryża?.. Muszę dać bal dla kilku znakomitych osób, których koniecznie potrzebuję... Oho! lis ze mnie, umiem wszystko przewidzieć; nikt lepiéj nie zwącha gdzie jest jaki liwerunek, korzystne kupno, zamiana!— »O! wiem ja że JWielmożnego pana nikt nie ubiegnie: odpowiada Szampan znowu ciągnąc flaszkę. — »Otóż widzisz, że przytomność pani konieczną jest w Paryżu. Przyjechała do Sabaudyi odwiedzieć swoją serdeczną przyjaciołkę... Co za szaleństwo! w najtęższą zimę wlec się tak daleko! Nic mię jednak nie wstrzymuje. Zaprzęgam, jadę, przybywam, z wielkiém zadziwieniem pani, która bynajmniéj mnie się nie spodziewała... Widziałeś jéj zadziwienie! Rzucała się, gniewała,

http://rcin.org.pl

uspokoiła się nakoniec i rzekła mi najłagodniéj: »Możesz WPan wrócić do Paryża jeśli mu się podoba, ja tu zostanę. —»Co? pani to powiedziała! —»Tak Szampan, ale to z niewymownym wdziękiem. Rozgniewany żem na próżno przyjechał tak daleko, już chciałem odjechać, gdym spotkał Dermillego niedaleko zamku... Przechadzał się z moją córeczką; zdaje się że ją bardzo kocha. Chciałem z nim pomówić, ale powiedział że musi natychmiast odprowadzić Adolfinę do matki, która bez niéj, chwili jednéj żyć nie może. No! pomyślałem, kiedy pani ani chwili jednéj wytrzymać nie może bez córki, to mi się zdaje, że kiedy ją uwiozę do Paryża, i matka za nią pośpieszy.... A co Szampan! czy nie wyśmienicie?—»Co za szczytna myśl! —»O! ja miewam takie myśli czasem trzy i cztery razy na dzień. Nie dałem nic poznać... czekałem tylko sposobnéj chwili. Dzisiaj dopiero, ukrywszy się w gabinecie, dostałem się do pokoju Adolfiny... Spała... zarzuciłem na nią co prędzéj szlafroczek, czapeczkę; tyś czekał z pojazdem, i ruszamy, kiedy myślano że śpię w najlepsze... Wyśmienity figiel! To tylko szkoda, żeśmy zabłądzili w tych przeklętych śniegach i że trzeba czekać, nim powóz naprawią.—»Powóz będzie gotowy o świcie, a pani nas nie spotka, bo będzie myślała żeśmy pojechali gościńcem. —»Wszystko dobrze pójdzie, dzięki memu konceptowi!.. — »Jak to dobrze że Jaśnie Wielmożny Pan ma córkę! —»Prawda, mogę bydź teraz pewny, że żona pójdzie ze mną gdzie zechcę? Poprawno ognia Szampan;... ale co tam robisz? — »Nic, szukałem drewek. —»Patrz, oto leżą przed tobą.»

Szampan zbyt często zaglądając do flaszki, zaczynał tracić władzę w nogach i języku; pan coraz częściéj ziewał i oczy zaczynały mu się kleić.

—»A wiesz ty Szampan, że moja córka jest bardzo piękna? —»Bardzo piękna JW. Panie. — »Będzie kiedyś bardzo zgrabna. —»Prześliczna, jeśli będzie do pana podobna. —»Jakto! jeśli będzie podobna? ty głupcze! to mój portret, szczególnie na profil. —»Oho! już się skończyło, już nie ma nic! pomruknął Szampan, wychyliwszy resztę Alikantu.

—»Co tam bajesz Szampan? —»Ja panie? ja nic nie mówię.—»A ten niecnota śpi do prawdy, gdy ja gadam. —»Ja zaś panie? jam tak czujny jak mysz!—»Co za cudne oczy!—»Jak perły! —»A jakie ząbki! —»Czarne jak heban! — »A nos! — »Z wdzięczkiem na środku!...—»Usteczka tak milutkie! —»Prawdziwie orle.... —»Co za szkoda że to nie chłopiec; byłby z niéj chłopiec wyśmienity!—»Wyśmienity.., i... jak wino com je wypił...»

Pan zamknął oczy; Szampan jeszcze coś pomrukiwał i drzymał; znudziwszy się patrzeć przez dziurkę, położyłem się obok braci i zasnąłem tak smacznie jak nasi podróżni.

ROZDZIAŁ III.

ODJAZD PODRÓŻNYCH.

Gdy tak ci dwaj panowie zasypiają sobie, zapoznam czytelnika

http://rcin.org.pl

z tym JWPanem. Z jego rozmowy ze służącym, jużeśmy dowiedzieli się że ma żonę, która przed nim ucieka, że jest bogatym; namienię tylko o jego urodzeniu. Jegomość ten tytułował się JW. hrabią de Francornard, ale do tego tytułu tak przyszedł, jak do bogactw: ślepém igrzyskiem dziwacznego losu. Ojciec jego był ubogim handlarzem w prowincyonalném miasteczku. W burzach rewolucyi, gdzie tyle majątków upadło, on wypłynął na wierzch, zbogacił się, za nic kupił dobra emigrantów i przekazał je synowi w puściźnie. Synalek przybrał tytuł dawnego ich właściciela. Własną powagą został hrabią, a jego słudzy i pasibrzuchy powtarzali aż do zbytku to słowo, które tak pochlebnie jego ucho głaskało. Z dumą jaka zwykle przywiązuje się do bogactw u ludzi poziomego umysłu, łączył wszystkie niedorzeczności złego wychowania i całą oschłość egoizmu.

Nie wiem która była godzina, gdy mię obudziło pukanie do drzwi chaty, a zarazem ów jegomość wołał: »Do mnie Szampan! jakiż to zuchwalec śmie nachodzić mnie? Mam czterdzieści tysięcy franków dochodu i najlepszego kucharza w całym Paryżu!

Ze swojéj strony pan Szampan rozespany przecierał oczy i mruczał: —»Czegóż chcecie?.. Któż mię woła? Czyliż ten stary głupiec który lata za żoną co go ma za nic?... wypiłem wszystko... to szkoda!...

Szczęściem dla Szampana, jego pan nie usłyszał tych wyrazów. Moja matka otworzyła spiesznie. Był to mój ojciec, przyszedł oznajmić podróżnemu że powóz już naprawiono. Lampa jeszcze paląca się, smutnie oświecała tę scenę. Tylko co wszedł mój ojciec, matka krzyknęła przeraźliwie.

Stary jegomość drzymał w krześle. Szampan zerwał się, w tém ale poruszeniu usunęło się jego krzesło, a że jeszcze nie wytrzeźwiał, padł więc na swego pana, który straszliwie krzyczeć zaczął, rozumiejąc, że gromada złodziejów wpadła do chaty.

Mój ojciec miał dużą ranę nad lewém okiem, ciekła z niéj krew, to było powodem krzyku mojéj matki i przestrachu który powstał w naszéj chatce.

—»O Boże! zraniłeś się mój biedny Jerzy!... Ach! przeczuwałam, iż cię spotka jakie nieszczęście!—»To nic moja dobra Maryo: rzekł ojciec przykładając chustkę do rany: wdzierałem się na wzgórek aby dojść prędzéj na drugi koniec wioski; pośliznąłem się, upadłem i lekko rozciąłem sobie głowę o kamień. — »Ale krew twoja płynie, musisz cierpieć. — »Nic, nic,, to fraszka nie myślmy teraz o tém.

Na krzyk matki zerwałem się także z posłania. Na widok rany mego ojca zaczynam płakać. W moim wieku była to rzecz naturalna, oprócz tego nigdy nie posiadałem téj odwagi, która polega na tém aby obojętnie spoglądać na cierpienia bliźnych. W świecie nazywają to stałością, a w naszych górach egoizmem.

Tym czasem JWPan wybudza się ze snu i postrzega nareście, iż trzy-

http://rcin.org.pl

ma Szampana na kolanach swoich. Służący usnął spadłszy na nie, a pan de Francornard rozumiejąc że go napastują złodzieje, nie śmiał ruszyć się przez kilka minut. —»Co? łotrze, tyżeśto upadł mi na kolana? mówi pan hrabia odpychając służącego. —»Jakto, panu?... Ja siedziałem na JWPanu? Co to jest sen! ale tak hałasują w téj chałupie; nie podobna spać; krzyczą, płaczą...

—»Przepraszam żem pana obudził: rzecze mój ojciec: ale powóz już jest naprawiony. —»A! to ty! dobry człowiecze! jużeś powrócił? —»Ach! już z pięć godzin temu jakem poszedł! Kowal czeka zapewne za zapłatą. —»Pięć godzin! Jak to czas upływa na gadaniu! nie prawdaż Szampan? gdyż nie spałem ani minuty. — »Ani ja JWPanie, wytrzyszczałem oczy jak zając. —»Która godzina? —»Szósta blisko. —»Szampan, zapłać tego rzemieślnika, niechaj ci zaręczy że nie ma niebezpieczeństwa. — »Dobrze panie. —»Ale daj mi wprzódy butelkę z winem, coś mi zimno.

Szampan waha się cokolwiek, nareście wydobywa oplatankę i z wielkiém uszanowaniem podaje panu....

—»Co się to znaczy Szampan? —»Co panie? —»Butelka jest próżna —»Czy tak się zdaje panu.? —»Jak to zdaje?.. jestem tego pewny. — »To rzecz dziwna! Była jeszcze prawie pełna wieczorem. —»Wiem o tem dobrze. Jakże się wytłómaczysz z tego? — O! rozumiem teraz JWPanie; przed chwilą upadłszy na pana, rozumiejąc że nas złodzieje najechali, przechyliłem flaszkę. Wino wyciekło; jeszcze mokrą mam kieszeń. — Co? łotrze! śmiesz...

—»JWPan wie żeśmy przez całą noc oka nie zmrużyli. Niepodobna jest zwieśdź JWPana, chociażbym nawet chciał to uczynić. —»W rzeczy saméj, uwaga twoja jest bardzo trafna.

Pan Szampan ucieka, uradowany że się tak wykręcił. Moja matka obmywała ranę ojca, bracia spali jeszcze a nasz gość przysuwał się do ognia i narzekał na zimno. Nie postrzegł tego iż się dobry Jerzy skaleczył wypełniając jego rozkazy; na nic nie miał względu co go nie dotyczyło osobiście, a na trudy w jego usługach podjęte, na cierpienia nieszczęśliwych, na łzy sieroty, oko które mu pozostało, było także nieprzedartą zasłoną pokryte.

Słodki i cienki głos zwraca moją uwagę: obudziła się dziewczynka; opatrując ojca zapomnieliśmy o niéj.

»Mamo! mamo! rzekła maleńka. Podniosła główkę i zdziwiona spojrzała w koło siebie. Wtedy postrzegliśmy jéj oczy; są czarne, ale tak łagodne, tak miłe!

Przybiegłem do niéj i spoglądałem na nią. »Mamo! rzekła znowu, a jéj głos już nie jest tak spokojny; nie widzi matki, jéj oczy zalewają się łzami. —»I moja matka także zbliżyła się do maleńkiéj i powtarzała co chwila: »O Boże! jakże ładna dziewczynka« Każdy z nas uśmiecha się do niéj; ale biedne dziecię spogląda na nas z podziwieniem, z obawą, i powtarza: »Mamo! ja chcę do mamy!«

—»Panie! rzekła matka do tego jegomości: panienka obudziła się, wo-

http://rcin.org.pl

ła mamy. —»Daj jéj pić, dziecię uspokaja się piciem... Ale dziewczynka odpycha szklankę i ciągle woła mamy; płacze, łka, piękne włosy spadają jéj na oczki i bez ustanku powtarza: do mamy! do mamy!

Rozrzewniła nas boleść téj dziewczynki; stary jegomość sam tylko nie zważał na nią i mruczał: »Moje biedne konie przeziębną. Już chciałbym bydź w Paryżu. Zapewne. Ajax tęskni za swoim panem. Jakże będzie skakał przez obrączkę. Jest to zwierze bardzo pojętne. Muszę nauczyć je grać w domino, jak tego sławnego *Munito*.

—»Panie, rzekła moja matka; córeczka pańska ciągle płacze. —»Biedne dziecię nie może się pocieszyć.—»Powiedz jéj że dostanie rózgą. —»Ach panie!... bić tak małe dziecię... tak ładną dziewczynkę. Pan żartuje... my nie bijemy naszych za lada fraszkę, chociaż nie są tak delikatne jak ten aniołek.

Stary jegomość obraca się i krzywi, a wlepiając w moją matkę swe bure oko: — »Czy ta Sabaudka chce mię uczyć, jak mam wychowywać córkę? Przyprowadź mi pannę Adolfinę.

Matka bierze na ręce maleńką i chce ją posadzić na kolanach ojca, lecz on każe postawić dziecię na ziemi. —»Mościa panno! rzecze poważnie, zażywszy tabaki: twoje postępowanie jest nie stósowne, a może i gorsze jeszcze; pytasz się o panią hrabinę, to bardzo dobrze; a że jéj nie ma, zaczynasz płakać. Ja nie chcę aby moja córka była tak nie uważna i nieobyczajna. Jesteś przy mnie. Jużem ci powiedział że jestem twoim ojcem. Czy ojciec, czy matka, to wszystko jedno; z tą tylko różnicą, że matka cię psuje, a ja ci dam rózgą, jeżeli będziesz niegrzeczna.»

Zamiast odpowiedzi na tę perorę, której zapewne ani słowa nie zrozumiała, dziewczynka gwałtownie tupa i powtarza: »Ja chcę do mamy!»

—»Patrzcie jaki charakter! zawołał pan hrabia: nie ustąpi mi. To nic dziwnego, wrodziła się we mnie. W téj chwili powrócił Szampan. — »Już się rozwidniło panie hrabio, rzekł, kiedyż pojedziemy? —»Natychmiast. Czy powóz już jest narządzony?--»Tak jest panie. —»Podaj mi płaszcz.

Podczas gdy obwija swojego pana, zbliżam się do dziewczynki: już nie płacze, stoi przy kominku, ale tak jest smutna; wzdycha, widać iż z trudnością wstrzymuje się od łkania.

Biorę ją na ręce. —»Co robisz Andrzeju? rzekł mój ojciec. —»Zaniosę ją, jestem mocny.

W rzeczy saméj chciałem ją zanieść do powozu, ale Szampan odebrał mi dziecię. Ach! gdybym mógł, byłbym go wybił.

Podróżni zabierają się do wyjścia, Szampan trzyma na ręku dziewczynkę, która się do mnie uśmiecha... W tym wieku tak prędko następuje po sobie smutek i radość. Już tylko widać koniec nosa JW. hrabi. Mój ojciec stoi w kącie; duma nie pozwala mu upominać się o nagrodę, na którą tyle zasłużył. Ale przechodząc koło niego, Szampan zatrzymuje się. —»Ach! zraniłeś się, rzecze. —»Tak

http://rcin.org.pl

jest, odpowiada matka. Dzisiejszéj to nocy dla usłużenia panu hrabiemu, tak się skaleczył.

—»Co! zranił się... mówi pan hrabia, a głos jego przyduszony płaszczem, podobny jest do dźwięku puzana. Zatrzymuje się przed moim ojcem, a potém wydobywa rękę z pod płaszcza, i z żalem długo szuka w kieszonce, mrucząc:

»Ach! do licha! tak jest... byłbym zapomniał, muszę mu co dać. Nie prawdaż Szampan? — »Zasłużył na to panie hrabio. — »A przecież to rzecz nieprzyjemna w podróży, bez ustanku trzymać rękę w kieszeni... nigdy nie ma końca!.. no masz mój kochany; pamiętaj żeś przyjął w gościnę hrabiego de Francornard.

To mówiąc, pan hrabia dał pół talarka ojcu mojemu, a zawinąwszy się w płaszcz wyszedł z naszéj chatki; wsiedli do powozu i odjechali.

—»Pół talarka! rzekła moja matka gdy już wyszedł ten jegomość: ponoś że tyle trudów, czuwaj przez całą noc, narażaj życie swoje! za tak lichą nagrodę!

—»Maryo, odpowiedział mój ojciec; zawsze powinniśmy ratować bliźnych, nie pytając się o nagrodę; a z resztą nie jest że to rozkosz, dopełniać powinności? Zapewne ten jegomość mógłby okazać większą wspaniałomyślność. Tam gorzéj dla niego; jeżeli nie umie bydź dobroczynnym, pozbawia się najsłodszéj uciechy. Chatka nasza przystępna jest każdemu, bogatym i ubogim. — »Ależ ta rana! dla niego to skaleczyłeś się. —To nic... starania i pieszczoty naszych dzieci, prędzéj uleczą mię niż wszystkie złoto podróżnego.

Matka nic nie odpowiada mężowi, ale mruczy sobie: »Pół talarka! a ledwie życiem nie przypłacił.»

ROZDZIAŁ IV.

ŚMIERĆ DOBREGO OJCA. — KONIECZNE ROZSTANIE.

Od godziny już odjechali podróżni, mój ojciec odpoczywał przy kominku, jedząc polewkę od któréj wstał za przybyciem pana hrabiego. Matka krzątała się koło gospodarstwa, bracia moi wybiegli przed chatę i jedli chleb na śniadanie. Nie poszedłem za nim, myślałem o ładnéj dziewczynce; tak mi było smutno, że już odjechała. Spojrzałem na łóżko; coś świecącego uderzyło moje oczy; biegnę, podejmuję medalion który mu się tak podobał wczoraj; krzyknąłem uradowany.— »Cóż ci to Andrzeju? rzekł do mnie ojciec. — »O! znalazłem skarb... patrzaj... patrzaj...

Pokazałem portecik. — »Jest to miniatura, którą dziewczynka nosiła na szyi, rzekła matka; musiała odjąć się z łańcuszka. Patrz Jerzy! jaka ładna kobieta! ach to jest matka tego aniołka. —»Tak, jest piękna; ale do kata, cóż zrobić aby ten portrecik oddać jegomości? Do licha! gdybyśmy wcześniéj byli postrzegli. Maryo! czyliby nie można jeszcze dogonić powozu? —»Nie, bez wątpienia, już nie można; ujechali najmniéj trzy mile. Oprócz tego, czyliż wiemy w którę stronę po

http://rcin.org.pl

jechali? Może znowu chcesz lecieć, i zranić się dla tego jegomości, który ci nawet nie podziękuje. —»Ach! Maryo, czyliż trzeba myśléc o pieniądzach, kiedy idzie o uczciwość i powinność?.. —»Spodziewam się że jesteśmy uczciwi; znają nas w okolicy. Ale posłuchaj mój Jerzy; ten portrecik nie jest oprawny w drogie kamienie. O! gdyby były na nim brylanty, sama leciałabym za powozem, chociażby dziesięć mil, aby nas nie posądzono. Ale widzisz, jest tylko w koło niego mała obrączka złota. Nie nasza wina, że go maleńka zgubiła. Oprócz tego, jeżeli ten jegomość dba o miniaturę, przyśle po nią. —»No, zdaje mi się że dobrze mówisz. Zapewne przyślą po ten medalion.

Mylne czynił wnioski; nikt nie upomniał się o tę zgubę. Zdrowie mojego ojca nie polepszało się wcale. Przeciwnie, co dzień był słabszy. Daremnie ukrywał swoje cierpienia. Nasz niedostatek powiększał jego chorobę: lękał się bowiem o przyszłość naszą. Matka daremnie chciała go uspokoić, już od dawna nie mógł pracować. Aż do owego czasu, żywił rodzinę swoją, służąc za przewodnika podróżnym zwiedzającym góry nasze: teraz postradał ten sposób zarobku.

Koniecznie chciałem go zastąpić, chciałem ulżyć nędzy moich rodziców; ale mniemali że jeszcze jestem za młody, abym mógł wdzierać się na lodowiska, narażać się nad brzegami przepaści; drżeli o mnie, jeżelim się opóźnił z powrotem. Ubodzy mogliby nie raz nauczyć bogaczów jak trzeba kochać dzieci swoje.

Pewnego dnia, gdym wracał z wioski, podróżny poprosił mię aby go zaprowadzić na miejsce z którego bardzo obszerny był widok. Droga była przykra i niebezpieczna, ale nie raz przebiegałem ją mimo wiedzy rodziców. Oświadczyłem podróżnemu że go zaprowadzę: przystał na to. Gdyśmy zeszli z góry, dał mi pieniążek srebrny. Nigdy nie doznałem tak żywéj rozkoszy, biegnę.... lecę do domu i oddaję matce otrzymaną nagrodę. Z dumą powiadam com uczynił: mój ojciec uśmiecha się, chociaż z razu chciał mię łajać.

Piotruś i Jakóbek dziwią się; i oni chcą także zyskać pieniądze, ale są tak mali i bojaźliwi. Na nieszczęście, rzadko zdarza się ta sposobność. Pilnujemy ojca; jest co raz to słabszy, i tylko wtedy mniéj trochę cierpi, kiedy go otaczają dzieci. Niestety! już nas nie może utrzymać na kolanach. Matka pracuje bez ustanku. »Moje kółko wystarczy dla nas wszystkich: mówiła.» Biedna matka!... nie powiada że płacze przez całą noc gdy mój ojciec spoczywa... Ja tylko sam postrzegłem to; bo częstokroć zasnąć nie mogę.

Dla rozerwania się w naszych troskach, nie raz prosimy ojca aby nam pokazał portrecik pięknéj damy. Lubimy patrzeć na niego. Ja zawsze przypominam sobie tę małą dziewczynkę. —»Nie przysłał po tę zgubę: mówi mój ojciec: to rzecz dziwna! A przecież mąż téj pani winien ją kochać. —»Jéj mąż! rzecze moja matka. Ach! to jeżeli to jest ten brzydki jednooki sknera, jakże on może kochać żonę? Gdy mówiłam do niego

http://rcin.org.pl

o maleńkiéj, myślał o swoim psie któremu każe skakać przez obręcz. Ten aniołek płakał i wołał matki: to rzecz naturalna. Zamiast ją uściskać, pocieszyć, chciał ją obić! Nareście powiedział do niéj długą perorę któréj nieboraczka zrozumieć nie mogła. Ten człowiek nie jest zdolnym kochać; ale gdyby tu był zostawił portret swego psa, założę się iż byłby wysłał po niego wszystkich swoich Szampanów.

Kilku przyjaciół mojego ojca widziało tę miniaturę. Pewien Włoch radził mu sprzedać ją, zapewniając że przynajmniéj trzydzieści franków dostanie za oprawę. Trzydzieści franków! Była to kwota bardzo znaczna dla nas. Jednakże mój ojciec ze wzgardą odrzucił tę radę.—»Miniatura nie należy do nas. Prędzéj czy późniéj jéj posiadacz może się upomnieć o nią; wy chcecie abym ją sprzedał! Jerzy umarłby z głodu, a nie tknąłby się tego depozytu.

Byłem przy ojcu, gdy wymawiał te słowa; wziął mię za rękę przyciągnął do siebie i rzekł:—»Mój kochany Andrzeju, nie zapominaj nigdy o tém co słyszałeś. Kiedyś może pójdziem do Paryża. Może szczęśliwszy odemnie dorobisz się majątku. Ale nie używaj nigdy środków którychbyś mógł się rumienić. Poczciwość w wielkich miastach nie jest tak surowa, tak ścisła, jak w naszych górach, ale zachowuj uczciwość twojego ojca; tę którą wyssałeś z mlekiem, ona sama jest dobrą, mój chłopcze; przy niéj będziesz miał zawsze śmiałe oko, a dzięki niebu, ten kto doradził mi przedać ten klejnot, nie zrodził się w naszych górach.—»Będę cię naśladował ojcze: odpowiedziałem ściskając go. A jeźli pójdę do Paryża, wezmę ze sobą ten klejnot, gdyż zapewne spotkam tego pana który był u nas. O! poznam go jest tak brzydki! Poznam także dziewczynkę, jest tak ładna i oddam ten portret.

—»Jeżeli pójdziesz do Paryża Andrzeju, nie zapomnij o matce.—»O! nie mój ojcze, przyślę jéj wszystko co tylko zarobię, i tobie także.—»Mnie!

Ojciec smutnie uśmiechnął się, przeczuwa iż nie długo już będzie razem z nami, lecz to ile możności ukrywą. Widok cierpień ojcowskich pozbawia nas ochoty do igraszek, siedziemy przy nim, widzimy bowiem iż to mu jest miło. Gdy może zasnąć choć na chwilę, przynajmniéj, pośród nas zamyka oczy; a gdy się obudzi, na nas padają jego spojrzenia. Ale niestety! słabnie co raz bardziéj, ledwie może wstać i zajść do swojego krzesła.—»Jak się masz? częstokroć pyta się matka.—»Dobrze, dobrze, odpowiada uśmiechając się jeszcze. Ale ten uśmiech już jéj nie zaspokaja; ja tylko i bracia nie znając stanu naszego ojca, spodziewamy się co rano, że wyzdrowieje.

Pewnego dnia, nasza matka płakała, ojciec długo nie mówił do nas. Nagle woła nas, wyciąga ręce, silniej przyciska nas do serca, słyszę iż żegna się z matką... nazywa nas ukochanemi dziećmi, zamyka oczy, ciężkie wydaje westchnienie.

Matka nasza pada na stolik, płacząc jeszcze mocniéj, nie może wstrzy-

http://rcin.org.pl

mać się od łkania. —»Cicho! cicho! mówimy do niéj, nasz ojciec usnął, obudzisz go. I już usiedliśmy na zwyczajném miejscu przy jego nogach; milczymy wszyscy, ale matka ciągle płacze... Nareście woła: »Niestety! moje dzieci! wasz ojciec umarł, jużeście go stracili. Mój dobry mąż już nie żyje!

»Umarł!« zastanawia nas to słowo, ale nie możemy go zrozumieć.. Umarł! powtarzamy; to się znaczy! że już się nie obudzi... nie możemy dać wiary... wstajemy po cichu i wpatrujemy się w twarz ojca. Zdaje się że śpi; rysy jego wyrażają taką samą dobroć i słodycz, nie zmieniły się wcale. Jakóbek woła na niego. —»Nie, moje dzieci, on was już nie słyszy: rzekła matka. Zbliża się do nas i każe nam uklęknąć przed naszym ojcem. »Proście Boga, rzekła, aby z wysokości niebios wasz ojciec czuwał nad wami.

Modlimy się długo, a boleść nasza wzmaga się coraz bardziéj, gdyż rozumiemy nareście co to jest śmierć. Drudzy wieśniacy wstąpili do naszéj chatki, pocieszają matkę, ale jéj nie uprowadzają z jéj pomieszkania, bo u nas nie uciekają od ciała kochanéj osoby. Jakże smutny dzień upłynął! Nic nie mówimy do niéj, ale siadamy przy niéj, opieramy głowy nasze na jéj łonie, a wtedy nie tak mocno płacze. Nazajutrz pochowano mego ojca; poszliśmy za ciałem i nie tylko my sami, cała wieś oddała mu tę posługę; wszyscy byli smutni, mówili tylko niekiedy: »Jak był dobry! jak łagodny ten biedny Jerzy!« Nikt nie mówił: »był uczciwym człowiekiem« bo w naszych górach jest to rzeczą bardzo pospolitą.

Matka nie prędko uspokoiła się. Podzielamy jéj smutek i sto razy na dzień nasze oczy szukają ojca, na miejscu gdzie zwykle siadał. Ale czas uśmierza troski dziecinnego wieku. Po kilku tygodniach bawiemy się jak dawniéj. Nasza tylko matka jest zawsze smutna, chociaż nie tyle płacze ile dawniéj. Ta dobra matka pracuje ciągle, ledwie parę godzin spoczywa; aby nas wyżywić zadaje sobie tyle trudów. Nie raz mieszkańcy wioski mówią do niéj: »Starszych synów trzeba wyprawić do Paryża, już mogą wytrzymać tę podróż. Będą zarabiać jak i drudzy i wam dopomogą; po tém wrócą do kraju.« Ciężko było matce rozstawać się z nami, ale nareście poznała, iż to jest nieuchronny środek. Od niejakiego czasu sposobiłem się do tego przedsięwzięcia. Mam rok dziewiąty, jestem silny, odważny, a nadewszystko pragnę pracować i zarobić na kawałek chleba. Wspomniałem Piotrusiowi o tym zamiarze. Nie jest mu tak pilno jak mnie. Boi się podróży, lubi się bawić i nie myśli o jutrze. Jednakże przyrzekł mi, iż pójdzie ze mną, pod warunkiem, że nie będziemy iśdź w nocy.

Jeden z sąsiadów podarował mnie i Piotrusiowi grackę żelazną do skrobania kominów; co dzień wprawiam się iśdź w komin i chodzić po dachach. Ale nie łatwo mi było namówić Piotrusia, muszę go popychać, muszę śmiać się z jego tchórzostwa. Udał

http://rcin.org.pl

mi się ten sposób: dzieci mają tyle prawie miłości własnéj, co dorośli ludzie.

Dumny że mam grackę, skrobię wszystko co tylko napotkam; skrobię ściany, sprzęty, podłogę; a dla pokazania mego talentu, skrobałbym nawet suknie moich braci, gdyby mi tylko matka nie zabraniała.

Liczna gromada dzieci z gór naszych, ma wyruszyć w drogę do Paryża. »Pozwól nam pójść z niemi: rzekłem do matki. Waha się, nie może się odważyć. W dzień ich odejścia zatrzymała nas w chatce. Pracowite dzieci Sabaudyi wyruszyły bez nas. Nazajutrz, uczuła matka, iż źle zrobiła, nie korzystając z téj sposobności. Jesteśmy we Wrześniu; czas jest prześliczny i wszystko wzywa do podróży.

»Możemy ich dogonić: rzekłem do matki: są jeszcze nie opodal. Pójdziemy tą samą drogą, a jutro już się z niemi połączym. —» Idźcie więc moje dzieci! gdy już muszę koniecznie rozstać się z wami: rzekła łzami zalana. Idźcie! ale kiedyż powrócicie do waszego kraju? Powróćcie do matki, która co rano za was modlić się będzie!

Gdy już matka raz skłoniła się, prędko wybraliśmy się w podróż. W zawiniątka nasze, włożyła suknie, chleba na dwa dni i kilka soldów. Oddała mi ów zapomniany portrecik i zawiesiła mi go na szyi.—»Andrzeju, tyś go znalazł, rzekła, ty go musisz oddać właścicielowi. Ale nie omyl się.—»O! poznam od razu tego brzydkiego jegomości. Chowaj dobrze ten klejnot; mam nadzieję że ci zjedna szczęście. Jeżeli ów pan będzie hojniejszym w Paryżu niż był u nas, może cię wynagrodzi za to, żeś mu dochował tę miniaturę. Ale nie proś o nic mój synu, pamiętaj że nie trzeba żądać zapłaty za to, iż kto był uczciwym człowiekiem.

Starannie schowałem miniaturę. Matka odprowadziła nas z Jakóbem aż na górę, z któréj spuścić się trzeba do bitego traktatu. Tam, czule przycisnęła nas do serca.—»Andrzeju: rzekła: jesteś starszym, masz więcéj rozumu niż Piotruś; czuwaj nad nim, pocieszaj go, wspieraj. Nie rozstawajcie się moje dzieci, a nadewszystko bądźcie roztropni, uczciwi i pamiętajcie o naukach i przestrogach ojca waszego. Przyrzekamy to naszéj matce. Nareście uściskawszy ją i najmłodszego braciszka, wyrywamy się z jéj objęć.

Jakże są bolesne pierwsze chwile rozstania! Aż dotąd miałem odwagę; ale opuściła mię wówczas i prawie gotów byłem pobiedz w objęcia matki.

Usiłuję wstrzymać łzy moje. Piotruś płacze rzewnie. Co kilka kroków obracamy się aby jeszcze zobaczyć brata i matkę, aby ich pożegnać. Zeszliśmy na dół. Już w dalekości ginie dach naszéj chatki. Jakób i matka, jeszcze ku nam wyciągają ręce. Ale już się stało. Już ich dojrzeć nie możemy. Ach! teraz mogę płakać: matka nie ujrzy łez moich.

http://rcin.org.pl

ROZDZIAŁ V.

MALI SABAUDCZYKOWIE. PRZESTRACH I UCIECHA.

Idziemy już od godziny a jeszcze nie rzekliśmy do siebie ani słowa. Piotruś już nie płacze, ale często wzdycha i powtarza: »Jakóbek jest szczęśliwszy, zostaje w domu.» I ja przestałem płakać. Zaczynam spoglądać wokoło, są to góry i okolice, podobne do tych które otaczają naszą chatkę, a przecież wszystko ma odmienną postać; zdaje mi się że już jestem daleko od mojéj ziemi rodzinnéj. Postrzegam wioskę, zapytuję się czy przechodzili tędy nasi współziomkowie. Oprócz tego pamiętam jak się nazywa pierwsze miasto dokąd pójść mamy. Jest to Pont de Beauvoisin, a potém Lugdun. O! dobrą mam pamięć i nie zabłądzę.

—»Jędrusiu, ja się zmęczyłem, rzekł Piotr stanąwszy przedemną. — »Usiądźmy przy gościńcu: odpowiedziałem spojrzawszy na niego rozczulony; bo wspomniałem sobie na ostatnie słowa matki; zaleciła mi czuwać nad bratem, bronić go, nie opuszczać nigdy. Byłem pyszny zaufaniem które we mnie położyła i wyższością którą mi przyznała.

Siedliśmy pod pagórkiem.

—»Czy długo jeszcze tak iść będziemy? spytał Piotruś smutnym głosem. — »O! nieprędko jeszcze na miejscu staniemy!... — »O jakże Kubuś szczęśliwy!... został w domu!... —»Ale my będziemy zarabiać pieniądze, aby dopomódz matce; czy nie kontent jesteś z tego? — »A jakże zarobiemy pieniądze? — »Będziemy wycierać kominy; będziemy posługiwać... potańczemy sabaudzkiego... zaśpiewamy piosnki których nas ojciec nauczył...»

Piotruś, skrzywił się gdym wspomniał o wycieraniu kominów i rzekł na to: »Ty będziesz kominy wycierał, a ja będę tańczył; czy zgoda?»

Spojrzałem na niego: błękitne oczki zapuchłe były od płaczu; twarzyczka zwykle śmiejąca się i rumiana, której płowe włosy tyle wdzięku dodawały, była teraz blada i smutna. Uściskałem go najczulej; to go pocieszyło: odzyskał apetyt.

—»Chce mi się jeść, rzekł.— »Więc jedzmy... jeszcze mamy zapas w sakwach.

Piotruś sięgnął do swego woreczka... krzyknął z radości. Matka wsunęła pomiędzy żywność jabłka i orzechy.— »Jędrusiu!... Jędrusiu!... jabłka! — I zajada śpiewając; jabłka powróciły mu wesołość.

»Ale powiedzno mi, co też zobaczemy w Paryżu? rzekł gryząc radośnie orzechy: — »O!dziwne rzeczy!... Wszak pamiętasz co ojciec opowiadał... — »O tak! jasełka, kuglarzy, co to jadają igły i nici... chodzą na głowie, wykręcają się na jednéj nodze. Wiele jeszcze innych rzeczy!... ulice przepyszne; domy daleko większe od naszego; powozy co się toczą bez ustanku; sklepy daleko piękniejsze niż na jarmarku w naszym miasteczku, szejnekatrynki, słońce i xiężyc w małéj skrzyneczce; diabła tańcującego, kpia co go ciągnie za ogon!

http://rcin.org.pl

—»Doprawdy! zobaczemy to wszystko? zawołał Piotruś skacząc z radości, o! jakże się będziemy bawić!... Ja będę koziołki przewracał... Patrzno jak dobrze młynka wywijam!

I Piotruś wywija młynka po gościńcu, zapomniawszy całkiem o naszej chatce. O! Piotruś będzie szczęśliwy w Paryżu.

Ale trzeba iść daléj. Piotruś się znowu skrzywił; był tak rzeźwy do przewracania kozłów, a teraz znowu zmęczony gdy trzeba iść w dalszą drogę. Idzie jednak za mną, ale z kwaśną miną.—»Pamiętasz że nam matka zaleciła nie bydź leniwcami; gdy się będziemy co moment zatrzymywać, nie dogoniemy naszych kolegów.—»Zmęczyłem się. —»A dopiero co tańcowałeś? —»Noga mię boli. —»A jednak mogłeś wywijać młynka; trzeba przecie przybydź przed wieczorem do jakiego miasta na nocleg, albo spać na gościńcu. —»Ach! idźmy, idźmy! Nogi przestały go boleć, boi się spać pod gołem niebem. Już teraz wiem na niego sposób.

—»A jak zabłądzimy, Jędrusiu?... Będziemy pytać o drogę do Paryża. —»A jak nas złodzieje napadną? —»Wszak matka ci powiedziała że złodzieje nie obdzierają dzieci.—»Czy złodzieje kochają dzieci? —»Nie, ale dzieci nie mają pieniędzy. —»O! jak będę duży, nigdy nie będę miał pieniędzy, żeby mię złodzieje nie obdarli. —»A za cóż kupiemy chleba i jabłek? —»Będę robił młynka, to mi jeść dadzą. —»A co poślesz matce?»

Piotr wytrzeszczył oczy i nic nie odpowiedział. Myślał tylko o jabłkach, kozłach i złodziejach.

Przybyliśmy do wioski którą spostrzegłem z daleka: pytam czy widziano gromadę Sabaudczyków idących do Paryża albo Lugdunu.

—»Nie dogonicie ich moje dzieci, przechodzili tędy o świcie, a teraz już słońce zachodzi.«

»Daléj w drogę: rzekłem do brata, któren już zasiadł na ławeczce przed domem i zajadał resztę orzechów i jabłek. —»Czy nie będziemy wieczerzać? —»Zjemy po drodze... Trzeba się złączyć z przyjaciołmi.»

Piotrusiowi nie chce się wstać, lecz widząc że odchodzę, idzie wreście za mną.

Wypytałem się dobrze o drogę; zmierzch zapada; gdybyśmy zbłądzili w górach, moglibyśmy w lecieć w jaką przepaść, pośliznąć się w jaką jamę.

—»Ale się tak nie śpiesz: wołał na mnie Piotr. Czy oni na nas czekać nie będą?—»Nie, bo nie wiedzą że ich gonimy. —»Strasznie się zmęczyłem. —»A kiedyśmy cały dzień biegali po wiosce, kiedyśmy na rękach i nogach spuszczali się z Kruczéj Góry, toś się nigdy nie męczył?—»Wolę drapać się na czworakach, niżeli chodzić.—»Więc nie chce ci się zajść do Paryża? —»O! i bardzo! ale Kubuś siedzi w domu; on się nie zmęczył, będzie jadł polewkę na wieczerzę!»

Piotruś wzdycha głęboko, pomyślawszy o polewce; noc nadchodzi, a jeszcze nie widać wioski, gdzieśmy mieli zanocować. Szedł cią-

http://rcin.org.pl

gle za mną, teraz się przybliżył gdy coraz bardziéj ściemnia się.

—»Patrz Jędrusiu, już noc... —»To nie przeszkadza do drogi, kiedy xiężyc tak pięknie świeci. —»Czy prędko staniemy? — » Alboż ja wiem. —»Biegnijmy. —»O nie! matka nie kazała nam biegać, moglibyśmy zachorować w drodze... — » Wszak jesteś zmęczony? —»Ani odrobiny; no, idźmy śpiesznie. »

Piotr podwaja kroku. Na szczęście xiężyc oświeca góry, możemy iść śmiało; ta jednakże światłość zasmuca nas; przedmioty inne przyoblekają kształty; cienie wydają się tak dziwacznie. Często, odłam skały, kamień, wyglądają zdaleka tak okropnie. Piotruś patrzy z trwogą w około; przytula się do mnie, ściska mnie za rękę. Idziemy w milczeniu dosyć długo, łoskot naszych podkutych trzewików, jedynie przerywa głęboką ciszę; wszystko śpi w około. Piotruś zwolna stygnie w zapale; traci odwagę; znowu idziemy zwolna. —»Jędrusiu, prędko na nocleg staniemy? pyta półgłosem. Widzę że mu się na płacz zabiera, pocieszam go.

—»Nie smuć się; jak staniemy, będziemy jedli dobrą wieczerzę.. —»Zjadłem już wszystkie orzechy i jabłka! —»Poczęstują nas, wszak matka mówiła że dają jałmużnę biednym dzieciom idącym do Paryża? —»Może nam dadzą słoniny ? —»Dadzą, kiedy potańczemy!.. —»O! będę, będę tańczył!.. Tak lubię słoninę; a jedzą też słoninę w Paryżu? —»Jé ten, kto zarabia dużo pieniędzy. —»W Paryżu za piosneczkę, dają nieraz dwa grosze.... —»Dwa grosze!.. o to dużo pieniędzy! —»Zaśpiewajmy we dwoje, aby zobaczyć jak nam się uda. —»Nie będę śpiewał.. spać mi się chce. —»Będziemy spać, jak staniemy na miejscu... — »Ale ja nie widzę żadnego domu. —»No, czy muszę cię ciągnąć? Nie bądź takim tchórzem, wyśmiano by cię w Paryżu! — »W Paryżu są podobno ludzie, którzy jedzą dzieci?—»To tylko na śmiech tak mówią; gdyby ci kto chciał zrobić krzywdę, o dałbym ja mu! »

Piotr nie może się uspokoić, idziemy daléj; nagle zastanawia się, chwyta mnie za rękę i mówi ze drżeniem: »Czy widzisz to!... »

Wskazuje na prawo; o trzydzieści kroków przed nami spostrzegam cień, wielkości człowieka, któren występuje na drogę, a potém się chowa. Stłumiony, jednostajny szelest, towarzyszy każdemu jego poruszeniu. Choć nie jestem tchórzem, jednak mi serce zadrżało, oddech zaciął się w piersiach; staję, wlepiam oczy w ten przedmiot, boję się przybliżyć.

—„Co to jest Jędrusiu? pyta Piotruś zaledwie dosłyszanym głosem. —»Alboż ja wiem... — «Czy widzisz jak się rusza... jak to duże.. jak skrzypi?.. —»Jednak musiemy przejść koło tego... —„O nie! nie! ja nie pójdę... ja się boję... uciekajmy! —„Czego tak drżysz?.. nie trzeba uciekać... wszak ojciec nie raz mówił że to wstyd uciekać. Ten człowiek co tam stoi, chce nas pewno przestraszyć; ale ja się nie boję, pójdź tylko... —„O nie pójdę, nie pójdę!... “

I Piotruś pada na kolana; chce mię

http://rcin.org.pl

zatrzymać, chwyta za kaftan... nie słucham go.... Wyrywam się... Piotr zasłania sobie twarz rękami; idę śmiało ku strachowi, krzycząc głośno, dla dodania sobie odwagi: »Ja się nie boję, ja się nie boję!» Zbliżam się nakoniec; cień ruchomy zdaje się także przysuwać, aby mi zagrodzić drogę. Nie śmiałem jeszcze spojrzeć w prost na niego, aby się przekonać coby to było; lecz jakież jest moje zadziwienie, gdym ujrzał kobylicę, przytwierdzoną do słupa, aby przechodzący nie wpadli w przepaść, będącą tuż przy drodze. Kobylica ta otwierała się w środku; złamana była; kawałek trzymał się tylko na zardzewiałych zawiasach, poruszał się za każdem zadęciem wiatru i wydawał ten jęk jednotonny.

Zaledwiem poznał co to było, natychmiast śmiejąc się z mego strachu, uradowany żem go przezwyciężył, wskoczyłem na kobylicę jak na konia i zacząłem się bujać.

Piotruś usłyszał moje krzyki radośne, wołałem na niego:—»Daléj, daléj na konia... Chodźże, Piotrusiu! tutaj tak dobrze!...»

Piotruś nie może pojąć co to znaczy, nie śmie zbliżyć się do mnie. Ale słysząc że się ciągle śmieję i bujam na kobylicy, przybiega, włazi i huśtamy się obydwa. Nie uważamy że słup stoi tuż nad przepaścią, że rozbujawszy kobylicę, możemy spaść i potoczyć się w jamę; nie widziemy niebezpieczeństwa, całkiem zajęci tą przyjemną zabawką.

Ale ponieważ wszystko musi mieć koniec, pobujawszy się przez pół godzinki, złażę i mówię do Piotrusia: —»No, trzeba iśdź w dalszą drogę, braciszku — »Jeszcze trochę... to tak miło!—»A nocleg? a wieczerza?— »O! już mi się ani jeść, ani spać nie chce... jeszcze mnie pohuśtaj!..— »Dosyć tego.

Ledwom go namówił aby zlazł z kobylicy. — »Co za szkoda! to tak miło!...

I ruszamy daléj, skacząc, śpiewając; strach zniknął; zabawka nam wybiła z głowy widma i cienie; śpieszymy wesoło.

Przybyliśmy do miasteczka. Ale już późno, nigdzie światła nie widać. — »Widzisz Piotrusiu, zbyt długo bujaliśmy się. Nie wiem gdzie prosić o nocleg i wieczerzę. — »W pierwszym lepszym domu. — »Tak! alboż to w każdym domu jeść dają?... — »No! to im zaśpiewamy... ty wytrzesz komin. — »Alboż to wycierają kominy po nocy?... Ta pani com się jéj dziś rano pytał o drogę, mówiła żeby pójść do austeryi, że tam dają nocleg za dwa soldy, na pięknem poddaszu, i do tego kawał sera. — To pójdźmy. — »Ale nie wiem kogo się zapytać... mówiła że to duży dom... poszukajmy najpiękniejszego.»

Przebiegamy miasteczko i przyglądamy się domom przy świetle xiężyca. Spostrzegam jeden piękniejszy od innych: — »To pewno austerya... zapukajmy.

I wybijam nogami i pięściami do drzwi. Pies zaczyna szczekać za bramą. Przelękniony Piotruś ucieka; biegnę aby go uspokoić; ale szczekanie psa pobudziło wszystkie brytany; chórem odpowiadają sobie.

Przelękniony Piotruś ciągnie mię-

http://rcin.org.pl

—»Andrusiu! uciekajmy... tu tylko same psy... O! wolę spać na gościńcu... —»Ale nie bój się... psy są pozamykane. Patrzno, tu jeszcze piękniejszy dom; zasztukam po cichu, psy nie usłyszą.»

Pukam z lekka. Nikt nie odpowiada. Pukam mocniéj, ale szczekanie słyszeć nie pozwala. Otwierają okna, wyglądają. Chcę się spytać, już okna pozamykane. Powracam do dużego domu; dwie kobiety zaczynają rozmawiać.

—»O Boże! jakże te psy ujadają, cóż im się stało téj nocy? — I ty sąsiadko obudziłaś się także?

Gdy te panie rozmawiają z sobą, ustało szczekanie. Chcę się zbliżyć do nich, ale już zamknęły okna. Wracam do wielkiego domu i pukam jeszcze. Nareście otwierają okno; stara facyata prawie zakryta szlafmycą wychyla głowę i pyta z gniewem.

—»Któż to śmie pukać do pana burmistrza o tak późnéj porze?— »To my pani. — »Co za my? — »Andrzéj i Piotruś. — »Czegóż chcą ten Andrzéj i Piotr? — Jesteśmy małe Sabaudczyki; czy są kominy do wyczyszczenia? Otwórzcie nam, zaśpiewamy wam sabaudzką piosneczkę i tańczyć będziemy za kawałek chleba i sera. —»A łotry! a nic dobrego! budzić takich ludzi jak my i chcieć abyśmy na ich tańce patrzyli! Jeźli was tu spotkam jutro, dam ja wam tańce! chleba! sera! tym ulicznikom... Idźcie czemprędzéj, niechaj was moje uszy nie słyszą. Pukać w nocy, do pana burmistrza!...

Stara kobieta zamknęła okno mrucząc jeszcze. Smutny wracam do brata.

—»Andrzeju! rzekł, ci ludzie są bardzo źli, nie chcą nam otworzyć. Dla czegóż to? Kiedy pukano w nocy do chaty naszego ojca, otwierał zawsze, podzielał z podróżnym wieczerzę swoją, a za to nie kazał wycierać komina i nie pytał się o piosneczkę. Dla czegóż ci ludzie nie są tacy jak mój ojciec? — »Ach! tego nie wiem. — »Czy tak będzie w Paryżu? —»O nie! w Paryżu lubią Sabaudczyków, ponieważ jest dużo kominów.

Tak rozmawiając, spostrzegam małą nie pozorną stajenkę, w któréj leży kilka pęków słomy i narzędzia ogrodnicze. Stajenka ta nie iest zamknięta, wchodzę po cichu i dając znak Piotrusiowi aby szedł za mną. Siadamy na słomie. — »Ach! jak tu dobrze braciszku! rzekł Piotruś. —»Przenocujemy tu. — »A jeżeli nas połają jutro? — »Nie, nie, ponieważ nie ma drzwi, wolno jest tu wnijść i spocząć. Nie bój się Piotrusiu.» Uspokoił się, jest przytém zmordowany i śpiący. Brat kładzie się przy mnie, obejmuję go jedną ręką, a drugą kładę na medalionie aby mi go nie wzięto. Spokojniejszy przez to, wkrótce zasnąłem.

ROZDZIAŁ VI.

DALSZA PODRÓŻ I PRZYBYCIE DO PARYŻA.

Słońce dawno już weszło, gdyśmy się obudzili. Przecieram sobie oczy, trącam mojego brata.— »O Boże! jest

http://rcin.org.pl

tak późno, rzekłem, spoglądając w koło mnie. Postrzegłem wtedy nie daleko nas, starca niskiego wzrostu, który patrzał na mnie i uśmiechał się.

—»Przebacz panie, rzekłem do niego: może do pana należy ta słoma na której przespaliśmy się; ale byliśmy tak znużeni. Piotrusiu, Piotrusiu! wstawaj. Odejdziemy natychmiast panie.

—»A to dla czego, moje dzieci? odpowiada starzec; odpocznijcie tak długo jak się wam podoba. Nic złego w tém nie ma. Ale trzeba było zapukać do chatki, a bylibyście mieli cieplejszy i lepszy nocleg.—»Ach panie! nie śmieliśmy. W jednym domu nie przyjęto nas, nazwano ulicznikami, ponieważ prosiliśmy o kawałek sera i chleba, a przecież za to bylibyśmy śpiewali, tańcowali i wyczyścili komin. —»Biedaki! ale gdzieżeście pukali? —»Do najpiękniejszego domu. —»Moje dzieci, trzeba było zapukać do najskromniejszego, a nie byliby was odpędzili. Na drugi raz pamiętajcie o mojéj przestrodze: gdy będziecie prosić o gościnność, udawajcie się do chatek nie zaś do wielkich domów.

Piotr nareście otworzył oczy. Ledwie go spędziłem z posłania. Woła Jakóbka i matkę, zdaje mu się że jeszcze jest w domu. Woła o śniadanie. Popychamgo, wstrząsam: »Piotrze! obudź że się! Już nie jesteśmy w domu, idziemy do Paryża.

Patrzy na mnie i przeciera sobie oczy. Wzdycha ciężko. »Nie będziemy więc jeść śniadania Andrzeju?

—»I owszem, moje dzieci, rzecze starzec, pójdźcie ze mną, ja wam dam śniadanie. Na te słowa Piotruś zupełnie wybił się ze snu; idziemy wesoło za starcem. Wprowadził nas do małego domku. Tam zobaczyliśmy na stole, mleko, jaja, ser i bułki. Z uśmiechem w oczach spoglądamy po sobie. Jakże wdzięczne przebudzenie! Jakże się uczęstujemy!

Starzec sadza nas przy stole. »Jedźcie, rzecze, nabierzcie sił moje dzieci. Z tąd daleko do Paryża! Ale w waszym wieku, zajść można igrając i tańcząc.

Nie czekaliśmy na drugie zaprosiny; pożeramy śniadanie które jest przed nami, i zatrzymujemy się dopiero wtenczas, kiedy nam tchu zabrakło.

—»Ach! jak to jest rzecz dobra! chleb z mlekiem: mówi Piotruś, żałując iż więcéj jeść nie może. Dziękuję temu dobremu starcowi, który nas jeszcze na drogę opatrzył w żywność, i czule przy rozstaniu uściskał. Idziemy daléj, ale śniadanie rozwesela wyobraźnią naszą, widzimy wszystko w różowym kolorze. Jakiż to wpływ wywiera żołądek na umysł! Jakże jesteśmy daleko grzeczniejsi, miłosierniejsi, wstając od stołu. Jakże kochać się i wspomagać wzajem powinni ludzie, w tym wieku, kiedy tak dobre dają obiady, i kiedy tylekroć już przedrukowano Doskonałego Kucharza!

Przez cały dzień szliśmy bez przerwy, a nad wieczorem doszliśmy do wioski, którą wskazał nam ten dobry starzec, mówiąc, abyśmy się zapytali o Józefa, a zanocujemy u niego. Tak

http://rcin.org.pl

się stało; ale dowiedziałem się że gromada Sabaudczyków przeszła dnia wczorajszego i nie zatrzymała się we wsi. Każda chwila oddala nas od tych, których dogonić chcemy. Co robić? Piotruś nie może iśdź prędzéj, nie podobna mu wstać o świcie, a tamci nie czekają. »Dalibóg, pójdziemy bez nich: rzekłem, kładąc się przy moim bracie; jużeśmy nie tacy mali, możemy iśdź sami, a pytając się o drogę, trafimy do Paryża. Nazajutrz znowu też same ceremonie. Gdybym na Piotrusia nie krzyczał, chłopak ten spałby przez cały dzień. Nie dostaliśmy tak dobrego śniadania jak dnia wczorajszego, ale nam dano kawał chleba. Trącam Piotrusia aby podziękował naszym gospodarzom; uczynił to dość niezgrabnie i patrzał na ser leżący na półce, którego nam nie dano.

—»Piotrze! rzekłem gdyśmy wyszli z tego domu, jeżeli nie będziesz grzeczniejszym, nic nam nie dadzą. —»A dla czegóż nie dali nam sera, który tak pachniał? —»I to dobrze, iż nam dano chleba, gdyż niceśmy nie zrobili u nich; nie śpiewaliśmy, nie wyczyścili komina, a ty chcesz aby dawano za darmo.

Pan Piotr nic nie mówi, krzywi się, jest w złym humorze: przez całą drogę chcę zatrzymywać się za każdym krokiem i narzeka na nogi, a to wszystko że nie kontent jest ze śniadania.

Nie będę powtarzał jednostajnych przypadków naszéj podróży do Paryża. Dopóki mamy co jeść, mój brat nie narzeka na nogi, idzie i śpiewa. Ja zaś często spoglądam na miniaturę i cieszę się tą nadzieją, że jeźli spotkam w Paryżu damę, którą ten portrecik wyobraża, poznam ją natychmiast i tego jednookiego jegomości. Szczupły nasz zarobek wystarcza na wyżywienie nasze. Nareście postrzegamy cel podróży. Ogromne budowle wielkiego miasta, okazują się w dalekości. Ten widok ocuca moją odwagę. —»To Paryż! zawołaliśmy, tam zarobić można dużo pieniędzy. Tam się można zabawić, tam są widowiska, maryonetki, tam jedzą smaczne rzeczy i robią majątek. I zaczynamy tańcować, rzucamy czapki w górę! Zdaje nam się, że w Paryżu wszystko powinno nam się udadź. Ale mam dopiero lat osiem, a brat mój siedem...

Wchodzimy do Paryża. Jakież nadzwyczajne wrażenie czyni na nas widok tego ogromnego miasta! Była wtedy godzina trzecia po południu. O téj porze najwięcéj jest ludzi na ulicach; powozy wymijają się w gwałtownym pędzie; sklepy są w całym blasku swoim; uliczni kramarze krzyczą i łączą swoje wołania z głosem drążników i nosiwodów; tu słychać szejne-katerynki, tam skrzypce, tam daléj śpiewaków z towarzyszeniem gitary. Piotruś wytrzyszczył oczy, zgłupiał, nie wie co się z nim dzieje. I ja jestem prawie jak i on, ale zbieram myśli i nie chcę okazywać takiéj głupowatéj miny. Im daléj idziemy, tym bardziéj powiększa się wrzawa. Już dwa razy obalili Piotrusia, ponieważ stawa

http://rcin.org.pl

dla przypatrywania się sklepom, a wtenczas nie patrzy przed siebie i nie usuwa się z drogi. Potoczył się na jakiegoś pięknie ubranego jegomości, który odepchnął go wołając: »Niech czarci porwą Sabaudczyka! łotr zesmolił mi moje bieluteńkie pantalony. Za każdym krokiem to tałałajstwo nawija się pod nogi.«

Mój brat ucieka na drugą stronę ulicy; wpada na stragan pomarańczarki i wszystek jéj towar wysypuje na ziemię.« —»Zważaj Sabaudczyku, zawołała przekupka, czyliś ślepy że tak wpadłeś na mój stragan? Pozbieraj moje pomarańcze, a jeźli jest która zepsuta, zapłacisz mi za nią. Dopomagam bratu; zbieramy pomarańcze i odprowadzam go, mówiąc: —»Uważaj Piotrusiu przed siebie. Ale Piotruś tak jest odurzony iż sam nie wie co się z nim dzieje. Wskazuje palcem na wszystko co zwraca jego uwagę. Ledwo go odprowadziłem od sklepu pasztetnika. Nieco daléj, zebrało się dużo ludzi przed płóciennym szałasem. Piotruś leci tam wołając: —»Ach! Andrzeju, kot! poliszynel! diabeł! Były to maryonetki. Przypatrujemy się razem z drugiemi. Pomiędzy tłumem szukam tego jegomości który u nas nocował i téj pięknéj damy wymalowanéj na medalionie... Ale nie widzę nic i zaczynam myśléć że w Paryżu nie tak łatwo będzie spotkać ich jak mi się zdawało.

—»O Boże! jakże to wielkie miasto, mówi Piotruś, w miarę im daléj się posuwamy. Powiedzże Andrzeju, czyliby można w niém zabłądzić?— »Oczywiście... miasto nie ma końca!.. Ach! otóż są drzewa. To jakaś przechadzka. Pójdźmy w tę stronę, tu jeszcze piękniéj i powozy nie będą najeżdżać na nas.» Wyszliśmy na bulwary. Już od dawna idziemy bez spoczynku, ale nie czujemy utrudzenia, tak jesteśmy zajęci tém co widziemy. Tu są pierścienie złote i szpilki brylantowe, po dwa soldy za jednę. — »Kupmy je, mówi do mnie Piotruś po cichu. —»Nie mój bracie: odpowiedziałem. Ojciec przestrzegał nas że w Paryżu są oszuści, którzy wyłudzają pieniądze od ludzi łatwowiernych; miejmy się na ostrożności. Złotéj szpilki nie dostanie za dwa soldy... Ale gdzież biegną ci ludzie? co znaczy ta muzyka? Idziemy za drugiemi, postrzegamy karykiel, a w nim siedzi jegomość w czerwonéj sukni galonowanéj złotem, z długim harcapem, w nankinowych spodniach, w palonych butach. Za nim stoją dwaj ludzie z czarną twarzą jak u negrów, chociaż ręce mają białe. Ci dwaj ludzie ubrani są dziwacznym sposobem, mają pantalony szerokie jak spódnice, kaftaniki jedwabne ponsowe, a na głowach coś zwiniętego jak chustka; od nich to pochodzi ta muzyka, którą słychać zdala. Jeden ma trąbę myśliwską, a drugi klarynet; na głowach mają trójkąty z dzwoneczkami, a przed niemi są dwa bębny o które uderzają pałeczkami przymocowanemi do ich kolan. Ponieważ ci dwaj panowie nie spoczną ani na chwilę, tworzy więc to widok przepyszny i odurzającą muzykę. Piotruś, który nie słyszał nic takiego,

http://rcin.org.pl

zaczyna tańczyć sabaudzkiego wołając *yju! piu!* ale jeden z tych jegomości bierze ogromny bicz i uderza Piotrusia kilka razy, aby stał spokojnie.

—»Widzisz! rzekłem po cichu do Piotrusia, który się skrzywił, nie dla nas to grają tak pięknie. — »Andrzeju, to jest jakiś wielki pan, ten jegomość w czerwonéj sukni. — »Może; wygląda na pana. A ci paskudni czarni? — »Widzisz że to są jego służący. Cicho bądź, ten wielki pan zaczyna mówić.

W rzeczy saméj, człowiek w sukni czerwonéj wstaje i daje znak muzykantom aby się uciszyli, a obtarłszy sobie twarz starą podziurawioną chustką, zabiera się do mówienia. — Wszyscy cisną się aby go tém lepiéj słyszeli, ale Piotruś i ja jesteśmy w pierwszym rzędzie. Na nieszczęście, ten jegomość mowi cudzoziemskim akcentem i mało go rozumiemy, podobnie jak i wszyscy, ale jednakże każdy słucha go z wielką uwagą. Piękny jegomość stanął w karyklu i plunąwszy na los między ludzi, zaczyna te słowa:

»Panowie i panie! signora i mistris witala was. Wizić signor Fugasini o którim słyszala zapewne; perke! od dwa wieka znana jest we wsistkiego stolica, si siniors. Ja uleszać wsistko moj boski balsama pettoralna, którego moja glowa wynalazla, *Jl fou pleas*; mości panowie i jest to balsama który przedluza sicia sta lata a mosze i więcéj jak się udala. Oprócz tego zjadsi jeden pudelek ja dać drugi, mieć go zawsie na każda potsieba. *God dem!* kto zaszywala mojego balsama, ten zjadać mosze perel, miedzi, szepa i dyament. *Perche* ja wam dać przyklada, a *per provar* messiu i damy, jeżeli byla w prowincya gdzie nie miala jezenia tylko perel i dyament, a wtedy brać mojego balsama; *omne tulit punctum*. Od razu zajadala kamienie jak gruśka i jabłki. *Very good*, signor.«

Wszyscy spoglądają jedni na drugich. —»To jakiś Niemiec! mówią jedni; to Anglik mówią drudzy. O nie! to jest Turek; widzicie że ma negrów: rzekła stara kucharka: musiał znaleźć swój balsam w jakim seraju.

—»Andrzeju! rzekł po cichu Piotruś; czy ten pan da nam do jedzenia kamienie? —»O nie, on chce nam podarować jakiś balsam. Nie rozumiem dobrze, ale bądź cicho, znowu będzie gadał.

»Módz będę messiu i damy, *per vi provar* skuteczności mojego balsama, powiedzieć wam abyście zapytala się w Londyn, Roma, Stambul, Madryd, Pekina, Egiptu i Arabiu; ale ne, ja was nie ksę posylala tak daleki. Ja pokaziwa te moja dwa negra z Afryka, które przez balsama tego, jeźdź same kamienia.«

Piękny jegomość pokazywał nam dwóch muzykantów, z których jeden zajadał wówczas kawał chleba i kiełbasę.

Patrzajcie Signori jak ono bydź sdrowe. Młodsi miala ziewięciesiąt i ziewięć lata, a starsiemu skończyć sto jedenaście. Ale to bagatel!

http://rcin.org.pl

bagatel! Ja w wasich ozach bęzie zjadla: a co zjadla! co zjadla? kamienia, ziemia? nie panofie to bagatel. Ja będzie zjadla malego zieciaka, od siedmiu do ośmiu roki; chłopczyka albo ziewczynka.

Na te słowa wszyscy krzyknęli podziwieniem przejęci, a Piotruś mówi do mnie po cichu: »Co mój bracie? ten piękny jegomość zje dziecko!.. —»Gdzie tam, to tylko są żarty. I to jest jakieś oszukaństwo. Signor Fugacini wysiadł z karykla; jeden z jego negrów oddalał tłum, machając kijem przed oczyma ciekawych, którzy powtarzali co minuta: »O to za wiele! taka sztuka! Ba! to bydź nie może. Chciałbym zobaczyć.

Ja i Piotruś zawsze byliśmy w pierwszym rzędzie; negr utworzył wielki okrąg, w którego środku przechadza się jegomość w czerwonéj sukni i dumne spojrzenie rzuca na ludzi. Nagle zatrzymuje się przed Piotrusiem, i długi czas uważnie na niego spogląda. Mój brat płonie się i miesza, ale go popycham mówiąc po cichu: —»Nie bój się... wiesz że to są żarty. —»Zbliszać się mala, rzecze jegomość i wyprowadza go w środek koła: —»Fiele masz lat? —»Siedem panie. —»Ziedem! tyle mi właśnie potrzebofać... Jesteś ladna, tlusty, zdrów. Czy chcieć abym cię zjadla? ja ci nic złego nie zrobić, ja ci dać dwanasie soldów.

Piotruś patrzy na mnie ze strachem, a ja mówię do niego po cichu: »Przyjmij, to są żarty. Czy rozumiesz że cię ten pan zje!

—»Dobrze! Piotruś odpowiada wtedy, a człowiek w czerwonéj sukni bierze mego brata za rękę i pokazuje go zgromadzonemu tłumowi; żeby go zaś tém lepiéj widziano, każe swoim negrom podnieść go w górę, sam zaś krzyczy.

— »Ją bezie zjadala tego chlopak, a to za pomosą mojego balsama i strafić go za pięć minuta.

Znaczny tłum się zebrał; każdy chce bydź świadkiem tego osobliwszego widowiska. Ciekawie wyglądam końca, spokojny zupełnie o mojego brata; ale Piotruś boi się, chociaż bez ustanku daję mu znaki, aby się nie lękał.

—»Moja chłopszyka, rzekł ów jegomość do Piotrusia: musi rozbierala się, ja zjeść ziecie, ale nie zuknią. Jednakże bęzie cie zjadać z koszulem.« Piotruś waha się. »Rozbierz się, rzekłem do niego: czy nie widzisz, że to wszystko jest dla zabawki?

Piotruś rozebrał się z miną bardzo zwarzoną. Nareście trzyma suknie pod pachą, a piękny jegomość oprowadza go w koło, powtarzając: »Przypatrzyć się chłopszyka messiu i damy; to nie kuda, tlusta jest. God dem... ale to bagatel, więséj kilka funty... aby zacna kompania zadosyć zrobić.

Ta przechadzka nie bardzo bawi Piotrusia, chce pójśdź sobie, ale signor Fugacini zatrzymuje go i rzecze.

—»Moja chłopszyka, to nie koniec, wlos mieć długi za fiele, ja wlosy nie lubić! Ho ho Domingo! uciela wlosa zieska.

http://rcin.org.pl

Jeden z negrów zbliża się z nożyczkami. Piotruś waha się.—»Dozwól ostrzydz się« rzekłem, chociaż tak długi żart zaczyna mię gniewać; ale wszyscy śmieliby się z nas. Biedny Piotruś dozwolił ostrzydz sobie włosy. Postrzegłem, że jakiś jegomość z towarzystwa, zbierał piękne włosy mego brata i chował je do kieszeni.

Gdy strzyżono Piotrusia, signor Fugacini ściskał sobie brzuch, macał się po szczękach i czynił tysiące wykrzywiań, niby gotując się do wypełnienia tego co zapowiedział.

Nie posiadałem się z niecierpliwości, widząc zwiększający się co chwila przestrach brata. Murzyn oddalił się na koniec, signor Fugacini przyskoczył do Piotra z iskrzącemi oczyma, i pochwyciwszy go, ugryzł z lekka w lewe ramie... Zaledwie Piotruś poczuł boleść, zaczął krzyczéć przeraźliwie i wydarł się z rąk pięknego jegomości, któren też jedynie tego pragnął. Pracując rękoma i nogami, przecisnął się przez tłum i zaczął z całych sił uciekać, w koszuli, z sukniami pod pachą, ścigany głośnym okrzykiem pospólstwa: »A to oszust! to oszust!

Na krzyk brata, chciałem pośpieszyć mu na pomoc, ale nas tłumy rozdzieliły... zniknął. Wołam: »Piotrusiu!... Piotrusiu!... gdzie jesteś?... Żadnéj odpowiedzi. Kilka osób wskazało mi drogę którą pobiegł; śpieszę, wołam: »Piotrusiu« niespokojniejszy co chwila.

Sam nie wiem gdzie jestem... przebiegłem kilka ulic; zmrok zapada, nie wiem w którą udać się stronę. Pytam przechodzących: »Nie widzieliście mego brata? Żadnéj odpowiedzi, albo zapytanie: —»I któż to jest twój brat? —»To Piotruś! uciekł w koszuli... bo jakiś czerwony jegomość chciał go zjeść...« Spoglądają na mnie ze śmiechem i odpowiadają: —»Idź do domu, tam go znajdziesz.

Do domu!... niestety! dom nasz tak daleko!... a tu nie mamy jeszcze schronienia. Gdzież go znajdę?.. co pocznie bezemnie?.. A matka zaleciła żeby go na krok nie odstąpić!... O mój Boże! mój Boże! któż mi brata powróci?...

Płaczę gorzko. Noc zapadła, jeszcze nie znalazłem Piotrusia. Siadam na kamieniu, bom strasznie zmęczony; nie jadłem od rana, lecz jeść mi się nie chce... tak jestem smutny! Nikt na mnie nie spogląda, nikt mnie nie pyta.

Chcę daléj szukać... Ale miasto jest tak wielkie!... jakże tu znaleść Piotrusia?... Wartoż było skakać z radości na widok Paryża? Staję często i wołam »Piotrusiu« Brakło mi głosu... tylem płakał!... Musi bydź późno; nikogo nie widać na ulicach. Nie mogę iść daléj, utrudzony. Porzucam się na ziemię, w kąciku przededrzwiami,... tu noc przepędzę. Jutro o świcie zacznę szukać, może będę szczęśliwszy.

Sen nakoniec ukołysał moje cierpienia; chciałem jeszcze wołać brata; oczy mi się skleiły; usypiam wymawiając jego imie.

---

http://rcin.org.pl

ROZDZIAŁ VII.

NOSIWODA. — POCZCIWI LUDZIE.

Przebudziły mnie słowa: »Posuńno się maleńki, zawaliłeś całą sień, a i tak nie szeroka... Czy śpisz chłopcze!.. Czy całą noc przepędziłeś tu?...«

I ktoś mocno wstrząsnął mnie za ramię; otworzyłem oczy: już dzień wielki; widzę przed sobą człowieka, tak prawie ubranego jak mój ojciec, z wiadrami na sądach.

Twarz nieznajomego oddycha szczerością i dobrocią; patrzy na mnie z zajęciem. Moja pierwsza myśl jest o bracie; szukam go w koło siebie; oczy zaszły mi łzami.

—»I cóż chłopcze? nie odpowiadasz? —»Kochany panie, czy nie widziałeś mego brata? — »Cóż robi twój brat?.. czy mieszka na naszéj uliey?.. wiele ma lat? — »Brat mój ma lat siedem, nazywa się Piotr, jest podobnież Sabaudczykiem; wczoraj dopiero przybyliśmy do Paryża; ojciec nam umarł od kilku miesięcy, a matka nie mogła nas wyżywić: bo mamy jeszcze brata Kubusia, któren w domu został. Musieliśmy iść na wędrówkę; przyobiecałem matce że nie opuszczę brata i czuwać nad nim będę. Wczoraj jakiś piękny jegomość powiedział że zje dziecko, i da mu za to dwanaście groszy... Ja myślałem że to na śmiech....

—»Nie omyliłeś się, chłopcze, był to kuglarz co sobie żartował z głupiéj tłuszczy!—»Wybrał mego brata, a ja mu szepnąłem z cicha: pozwól na wszystko... To tylko żarty. Rozebrał Piotrusia, obciął mu włosy; przyskoczył do niego z okropną miną. Piotruś się zląkł i uciekł. Chciałem go dogonić; tak długo biegałem! Ale nie znalazłem go! noc zapadła, zmęczony, padłem przed temi drzwiami i spałem aż do rana.«

W miarę jak mówiłem, twarz nosiwody wyrażała zajęcie i litość. Skończył, obtarł oczy, patrzył na mnie przez chwilę.—»Chłopcze, czy nie kłamiesz? — »Nie kłamię panie, obiecałem matce iż nigdy kłamać nie będę.—»I cóż myślisz robić? Szukać brata; muszę koniecznie go znaleźć... — »To nie tak łatwo jak myślisz!... Paryż tak wielki!... Na którejże ulicy zgubiłeś brata? Alboż ja wiem... był to duży plac otoczony domami. —» Takich nie mało... Ależ te biedne dzieci, przybywszy wczora, nie mogą znać ulic!..—»Powiedz mi panie czy go znajdę?..—»Może nie tak prędko!... Kiedy będziesz szukał brata, to nie możesz pracować. A masz też pieniądze na życie? — »Ani grosza, ale mnie to bardzo cieszy.—A to dla czego? — »Mieliśmy jeszcze czternaście groszy; brat je miał przy sobie.

Nosiwoda znowu obtarł oczy. — Dobry z ciebie chłopak, kochasz brata; ale nie płacz; smutek nic nie pomoże. Jeszcze nie jadłeś śniadania, pewno ci się jeść chce. — O i bardzo! wczoraj cały dzień nie jadłem; ale pójdę wycierać kominy, to zarobię na śniadanie.—Alboż to mało kominiarzy w Paryżu!... Pójdź ze mną na górę... Dopiero piąta... Mogą na mnie poczekać.“

Poczciwy człowiek stawia wiadra w zakątku sieni i prowadzi mię po schodach. Weszliśmy na ostatnie pię-

http://rcin.org.pl

tro: »Anusiu!... Anusiu!... otwieraj prędzéj!“

Dziewczynka w moim wieku będąca, drzwi otworzyła. Nie jest tak pięknie ubrana jak ta co spała w naszéj chatce; ma prostą odzież, ale mając oczki tak żywe, tak jest wesoła, aż miło na nią patrzeć.

—»Czy to wy, tatuniu! zawołała otworzywszy drzwi i spojrzawszy na mnie zadziwiona.—»Anusiu, daj no resztę śniadania, bo ten chłopak jest bardzo głodny.“

Gdy dziewczynka wypełniała rozkaz ojca, spojrzałem w około; przypomniałem sobie naszą chatkę. W dużéj izbie stało łóżko i sprzęty kuchenne; w małym alkierzyku było drugie łóżeczko. Anusia zastawiła na stole chléb, sér i kawał wołowiny; nie dałem się prosić; w dzieciństwie, zmartwienie nie odejmuje apetytu.

—»Jakże był głodny! mówiła dziewczynka.—»Biedny chłopiec! rzekł ojciec patrząc na mnie z uśmiechem.

Nagła myśl przerwała moje śniadanie.—»Piotruś może nie ma co jeść!.. i wzniosłem oczy do nieba. —»Nie troszcz się, nie umrze z głodu, alboż nie ma czternastu groszy?...»

To mi wróciło apetyt.—»Chłopcze! rzekł ojciec Anusi, twój los mię obchodzi... Podobała mi się twoja szczerość, twoje przywiązanie do brata... do rodziców.... Chcę ci dopomódz, jeśli będę mógł. Jestem Owerniak; lecz w Owernii są poczciwi ludzie!... a wszyscy nazywają mnie poczciwym... Nie jestem bogaty... Ale mogę cię przyjąć darmo na mieszkanie... Ty także będziesz pracował; jeść będziesz z nami. Mam tylko Anusię; chociaż ma dopiero lat ośm, umie już dobry zgotować rosół;... jak znajdziesz brata, to i on może mieszkać z nami!... Pomieścicie się obadwa. Cóż ty na to chłopcze?

—»Pan zbyt jesteś dobry.... ale chciałbym znaleźć Piotrusia! —»Będziesz go szukał pracując... ja także wszędzie się będę pytał... uspokój się. Ale już szósta... pójdź ze mną. Gdybyś zabłądził, spytaj się o ulicę Temple... o ojca Bernarda... Poznasz łatwo ten dom.»

Wziąłem sakwy, grackę, skłoniłem się Anusi; odkłoniła się z uśmiechem, jak gdybyśmy się dawno już znali. Idę smutny za nosiwodą.—»No, śmiało chłopcze, znajdziesz brata!.. alboż to nie ma Opatrzności?.. nie opuściła cię, nie opuści i Piotrusia.»

To prawda! pomyślałem sam w sobie, a do tego Piotruś ma czternaście groszy. —»Ale, rzekł nosiwoda, jeszczem nie spytał jak się nazywasz? —»Andrzéj... —»Jędrusiu, przypatrz że się dobrze naszéj bramie... pamiętaj, przy ulicy Temple: —„Idąc prosto, wyjdziesz na bulwar; tylko nie zabłądź i wracaj wcześnie; ja się będę pytał o twego brata.

Ojciec Bernard poszedł, sam zostałem. Dobrze przypatrzyłem się domowi, gdzie znalazłem schronienie. Jeśli znajdę Piotrusia, jakże będziemy szczęśliwi u poczciwego nosiwody, któren nam darmo daje mieszkanie!.. Muszę go znaleźć... Piotruś przecie ma pieniądze, może żyć przez czas niejaki; Piotruś taki ładny! mo-

http://rcin.org.pl

że i on znalazł kogo co go przyjął darmo.

Zspuszczam się w miasto, lecz wszystkie przedmioty już straciły wczorajszy urok... Piotruś nie podziela mego zachwycenia!... Szukam go, gdzie tylko zobaczę gromadkę ludzi. Zaledwie kiedy niekiedy mam siłę zawołać: „Kominy! kominy!.. Dzień zeszedł a nic nie zarobiłem. Widzę naszych górali; skaczą, tańczą, aby zarobić kilka groszy; ja nie mogę tańcować, nie potrafię nic wyłudzić natręctwem, chociaż mi powiedziano że to jest jedyny sposób w Paryżu.

Na bulwarze usłyszałem waltornie, klarynety i bębny... To muzyka taka sama jak pięknego jegomości co zjadał kamienie i dzieci. Biegnę... Spostrzegam jakiegoś pana ubranego z turecka, któren dźwiga ogromną belkę na nosie. Prawdę mi powiadano, że w Paryżu można widzieć cudowne rzeczy. Nie widzę jednak Piotrusia. Turek ogłasza, iż udźwignie dziecko za włosy bez najmniejszego bolu. Biorę nogi za pas i uciekam, aby mnie nie wybrał za cel téj igraszki.

Już się ściemnia, trzeba wrócić do ojca Bernarda. Pytam o ulicę Temple, znalazłem dom; wchodzę do sieni, ale pomyślawszy żem nie nie zarobił nie śmiem iść na schody. Głód mi jednak dukucza; woziwoda tak dobry! może na mnie czeka; przecie trzeba przyjść na noc, wszak za to nie zapłacę. Idę, otwieram drzwi, i spostrzegam Bernarda i Anusię, przy obiedzie, a razem przy wieczerzy: bo się kładą wcześnie aby wstać jak najraniéj.

—»Przecie jesteś Andrzeju! czekaliśmy na ciebie; jużem się bał, czyś nie zapomniał ulicy. Paryż tak wielki! trzeba się przyzwyczaić do chodzenia po ulicach, pośród powozów które bez najmniejszego względu tratują biednych ludzi.»

Wchodzę nie śmiało i siadam w kąciku, chociaż zapach wieczerzy głód mój pomnaża. — »No, i czegóż tam siedzisz? czy nie widzisz żeśmy przy stole? — »O widzę...— »Czemuż nie siadasz z nami?...— »Bo...bo mi się już nie chce. — »Czy jadłeś na mieście? —»Nie, nic nie jadłem. — »I jeść ci się nie chce? a to rzecz osobliwa!»

Spojrzał na mnie nosiwoda; moje oczy spoglądające ukradkiem na wieczerzę, nie zgadzały się z mową. —»Musisz jeść koniecznie! czyś głodny, czy nie.

—»Ale bo... bo nic dzisiaj nie zarobiłem: rzekłem, zbliżając się zwolna do stołu. Bernard skoczył i postawił stołek przy sobie! — »Jakto głupcze? dla tego żeś nic nie zarobił, to jeść nie chcesz? Alboż to twoja wina żeś nie znalazł roboty? —„Jedz no, jedz, a drugi raz nie praw takich dziecińśtw.“

I nalewa mi rosół, podaje chleb i mięso; wmusza choćbym się miał zadławić; tak się boi abym nie był jeszcze głodny.

—„Moje dziecię, w każdym stanie są dni szczęśliwe i nieszczęśliwe. Przybyłeś przy końcu jesieni, jeszcze nie czas na wycieranie kominów; ale jak się lepiéj poznasz z Paryżem, będziesz nosił listy; kto jest poczciwy to może zarobić dużo pieniędzy. Tylko się

http://rcin.org.pl

tak nie droż... Dałem ci przytułek boś mi się podobał, boś mnie ujął przywiązaniem do rodziny, i wcale nie pytałem się czy masz pieniądze...,

Uściskałem dobrego Owerniaka; uczułem że nie jestem zupełnie opuszczony. Anusia rzuciła się na szyję ojcu, uśmiechnęła się do mnie; wyczytałem z jéj oczu że mnie kocha i ja uważam ją jak siostrę.

Jakżem szczęśliwy żem napotkał tych poczciwych ludzi... O mój bracie! bodajeś i ty zasnął w jakiéj ciemnéj sieni, przed mieszkaniem poczciwego wyrobnika; tam lepiéj niż przed pałacem, zkąd wypędzają dumni lokaje.

Wieczorem, Bernard opowiada mi o Paryżu. Słucham go uważnie, chcę z rad jego korzystać i zarabiać jak najwięcéj. Pytał się wszędzie o mego brata, lecz podobnież jak ja niczego się nie dowiedział. Gdzież się podział mój Piotruś?

Po całodziennéj pracy, spocząć potrzeba; kładziemy się. Przespawszy noc na bruku, tak mi dobrze na słomie!

Nazajutrz gdym się ubierał, wyślizgnął mi się z pod kurtki medalion, któren zawsze nosiłem przy sobie; zapomniałem wspomnieć o nim Bernardowi. Spostrzegł klejnot, zachmurzył się. —»Co to masz, chłopcze? z kąd to?.. czemuś mi o tém nie mówił?

Opowiadam całe zdarzenie. Twarz jego odzyskuje stopniami zwykły wyraz dobroci; gdym skończył, uściskał mnie: —»Wybacz... ale bo ten klejnot... No, jak widzę poczciwy z ciebie chłopiec.

Anusia chciałaby także przypatrzyć się portretowi; zdjąłem go, podałem. Przypatrywali mu się długo. —»Co za piękna pani! mówiła Anusia, jak ładnie ubrana!.. —»Prawda, że piękna; rzekł nosiwoda oddając mi portret: lecz jest tak wiele pięknych kobiet w Paryżu; zdaje mi się, że portret zostanie przy tobie, bo choćbyś dwadzieścia lat szukał, nie znajdziesz téj, do któréj należy.

Jednak nie tracę nadziei że znajdę jednookiego jegomości, i chowam starannie portret, pod kurtką. Potém wychodzę z Bernardem i wszędzie pytam się o brata.

Nie byłem szczęśliwy w szukaniu, ale wytarłem dwa kominy i z pychą powracam oddać nosiwodzie mój zarobek. Wziął go z uśmiechem i rzekł: »Co pozostanie przy końcu roku, oddam ci dla matki.

Ta nadzieja podwaja moją odwagę; wkrótce zaznajomiłem się z ulicami Paryża; mam dobrą pamięć, jestem zwinny, wołają mnie często. Nie jeden jegomość posyła mię z ładnym bilecikiem. »Lecz, mówi do mnie, zapytasz się o panią... a jeżeli ci jegomość otworzy, spytaj się czy są kominy do wyczyszczenia i nie pokazuj listu. Nie zróbże głupstwa.« Wiernie wypełniam polecenie. Gdy wrócę z odpowiedzią, panowie są wtenczas wspaniałomyślni; gdy jéj nie dostanę, dadzą mi ledwie parę groszy. Dziewczęta są sprawiedliwsze, wtenczas nawet gdy je odpowiedź zasmuca; ale zadają pytania bez końca i trzeg*

http://rcin.org.pl

ba mieć wielką pamięć, aby im zadosyć uczynić. »Czy był w domu? czyś mu oddał list? Co powiedział? czy był sam« Ale czas upływa; tak byłbym szczęśliwy przy Anusi i jéj ojcu, gdyby wspomnienie brata nie zatruwało mego szczęścia. Nie mogłem go znaleźć; Bernard nie był szczęśliwszy odemnie. Nie śmiałem uwiadomić o tém matkę; na wiosnę dopiéro mogę jéj posłać oszczędzone pieniądze, a ojciec Bernard powiada, że nie trzeba ją smucić zawcześnie, że może Piotruś już zgłosił się do niéj.

Słucham rady przybranego ojca. Na nieszczęście, nie umiem pisać; ale nosiwoda utrzymuje, że to nic nie szkodzi. Tak, jeźli kto chce zostać kominiarzem albo posyłką przez całe życie, ale do zrobienia majątku!..

—»Jak widzę masz ambicyą: mawiał mi niekiedy poczciwy Bernard: chciałbyś zostać wielkim panem. —»Ach! chciałbym tylko bydź bogatym, aby uszczęśliwić matkę, braci, was ojcze i dobrą Anusię... — »Moje dziecie, dobrze nam z tém co mamy. Nie zawsze trzeba zazdrościć bogatszym.

Bernard umie filozofować, bo jest oszczędny i na małém przestaje. Ale Anusia chciałaby chętnie mieć piękne sukienki, trzewiczki zamiast chodaków; przyrzekam jéj wszystko jak będę bogaty.

Dobra matka mówiła że medalion mię uszczęśliwi; noszę go zawsze, a przecież jeszcze nie wynalazłem jego właściciela.

Wiosna wróciła. Bernard znalazł poczciwego człowieka, któren idzie do Sabaudyi: mogę donieść o sobie mojéj matce.., mogę jéj posłać owoc mojéy pracy.

Nosiwoda, któremu codziennie składam pieniądze, podaje mi woreczek skórzany; otwieram... sto franków... Co za kwota! Nie mogę wyjść z podziwienia! Jak to? to wszystko poślę matce?.., Nie posiadam się z radości. Jeśli się zasmuci tém że zgubiłem Piotrusia, to się choć trochę pocieszy pieniędzmi.

Nie chcę nic zatrzymać dla siebie, chociaż Anusia powiada że trzeba sprawić kurtkę od święta. Dobrze mi i w staréj; tak jestem szczęśliwy że mogę tak dużo posłać! wszakże znowu zarobię? Widok zarobku podwaja we mnie chęć do pracy. Będę wstawał raniéj, i kładł się późniéj! »I zachorujesz, powiada Anusia. Anusia jest tak dobra, tak pracowita; jeszcze nie ma lat dziewięciu, a już dobra z niéj gospodyni. Zawsze wesoła, zawsze śpiewa, zawsze ma uśmiech na ustach. Żwinna, żywa, pracowita, nigdy się nie skarży, zawsze z robotą w ręku czeka nas z gotowym obiadem. Pocałunek oyca nagradza jéj trudy.

Wieczorem, aby się rozerwać, Anusią prosi abym jéj śpiewał piosenki sabaudzkie, ona tańczy, jesteśmy wszyscy kontenci; ja tak szczęśliwy, jak jak gdybym był jeszcze w górach przy rodzicach.

(Dalszy ciąg w następującym zeszycie.)

http://rcin.org.pl

GABINET CZYTANIA

TO JEST,

ZBIÓR POWIEŚCI, ROMANSÓW

TUDZIEŻ ARTYKUŁÓW

NAUCE I ZABAWIE POŚWIĘCONYCH.

OZDOBIONY RYCINAMI NA MIEDZI.

SABAUDCZYK.

ROMANS PAWŁA DE KOCK.

(Ciąg dalszy.)

Na pracy i niewinnych zabawach, przepędzamy jeszcze jeden rok naszego dzieciństwa. Matka mi odpisała. Kochana matka! boi się ażebym sobie wszystkiego nie odmawiał, nie chce ażebym jéj przysyłał tak wiele pieniędzy. Nie miała żadnéj wiadomości o Piotrusiu i prosi abym koniecznie go wyszukał. Przesyła wyrazy głębokiéj wdzięczności, wspaniałomyślenemu człowiekowi który mi dał schronienie i opiekę.

I bez rozkazu matki nie przestawałem szukać brata. Codziennie wypytuję się o nim.

Ale czas łagodzący wszelkie zmartwienia, ukoił mój smutek; znowu jestem wesoły; czy mogę smucić się przy Anusi?... rodzona siostra nie tyleby mnie kochała.

Anusia co dzień zdaje się piękniejsza; błękitne jéj oczy oddychają szczerością i prostotą; usta ma nieco za wielkie, lecz gdy się rozśmieje, zęby jéj błyszczą jak perły; ciemne jéj włosy wiją się w pierścienie na pogodném czole; żywy rumieniec zwiastuie szczęście i zdrowie.

I ja często słyszę jak o mnie mówią: — »Jak wyładniał!... jak urosł! będzie z niego piękny chłopiec.

Płonę się na te pochwały, lecz zapominam o nich, pamiętam bowiem że u nas śmieją się z młodzieży; która za wiele myśli o swojéj urodzie, że ojciec nie raz mówił: — »Jędrusiu! chłopiec co się przegląda, wart nosić spódnicę i czepek.

Jednakże, gdy wieczorem tańczymy z Anusią nasze góralskie tańce, słyszę jak ojciec mówi do siebie półgłosem: — »Dalibóg! dobrana para.

ROZDZIAŁ VIII.

SPOTKANIE — PRZYGODA — NOWY OPIEKUN.

Już skończyłem lat jedenaście; dwa razy posłałem pieniędzy matce, i to

http://rcin.org.pl

daleko więcéj niżeli pierwszą razą. Donosi mi, że dzięki moim staraniom na niczém jéj nie zbywa; że z Kubusia dobry chłopiec tylko trochę leniwy; że byłaby najszczęśliwsza, gdyby miała jaką wiadomość o Piotrusiu. Jakżebym chciał jéj udzielić téj wiadomości!... ale tyle dowiedziałem się co i pierwszego dnia; boję się czy nie umarł. Gdyby żył, przecież by zgłosił się do matki.

Poszedłem za robotą, na ulicę dość odległą od naszego domu. Już blisko piąta z wieczora, podwajam kroku, bo Anusia łaje kiedy powracam późno. Dobre dziewczę, boi się o moje zdrowie!...

Idę bulwarem. Na zakręcie ulicy Richelieu zatrzymuje się piękny kabryolet; jakiś jegomość z niego wysiada i wchodzi do wielkiego domu. Spojrzałem na niego... Co za wspomnienie!.. nie łudzę się! to on!... to ten sam pan który nocował w naszéj chacie!... O! poznałem go, chociaż już cztery lata temu; zawsze tak brzydki jak i wtedy. To jedne oko zakryte czarnym plastrem, harcap, twarz chuda! to on!... co za szczęście! przecię go poznałem.

Ale wszedł do domu... co począć?.. Czekać; przecie wyjdzie; kabryolet stoi. O! będę czekał na niego, choćby miał bawić do jutra: tak jestem szczęśliwy że mogę mu oddać klejnot któren u nas zapomniał!... Jak się będzie cieszył gdy go znajdzie.

Stanąłem przed domem; nie spuszczam z oczu kabryoletu. Przypatruję się lokajowi, ale to nie ten sam który był w naszéj chacie.

Po półgodzinném czekaniu, które zdawały mi się wiekiem, wyszedł wreście ów jegomość. Serce mi bije... drżę cały, a jednakże to ja chcę uczynić przysługę temu panu; lecz postawa jego tak odstręcza. Ośmieliłem się jednak, przybliżam się, przemawiając:

—»Panie... Jaśnie Wielmożny Panie! —»Puść mnie malcze. — »Ależ panie. Pan u nas... temu cztery lata...—»Idź precz!...« Nie słucha mnie i wsiada do kabryoletu.

O mój Boże! już wsiada; ciągnę go za suknię. — »Jaśnie Wielmożny Panie!.. posłuchaj mnie z łaski swojéj...«

—»Jakto! niegodziwcze, śmiesz chwytać mnie za suknię: zawołał z gniewem: nigdy nie dają ubogim... wszyscy są próżniacy. — »Ale ja pana o nic nie proszę... i owszem ja panu chcę cóś dać.«

Nie słucha mnie. Już wsiadł. Każe jechać. O nieba!... oddali się, może go więcéj nie zobaczę!... Czepiam się powozu, wołam... »Z drogi! z drogi! krzyczy woźnica... konie ruszają... jeszcze trzymałem się stopnia...; padam... czuję żem raniony w głowę... krew moja płynie... wydaję krzyk bolesny... nie mogę powstać.

Otoczono mię... podnoszą mię... wołają za karyklem... już zniknął. Młody człowiek przeciska się przez tłum i woła: To jego powóz!.. on tak zawsze! pędzi galopem, zamiast ratować tego, którego zranił.»

Młodzieniec zbliżył się do mnie i rzekł z zajęciem:— »Biedne dziecie!...

http://rcin.org.pl

Sabaudczyk... może jedyna nadzieja matki... ach! gdyby nie oni, Adolfina jużby nie żyła!... Gdyby nie oni samby zginął w przepaści!... i oto nagroda... Biedne dziecię! ja nagrodzę złe, które on ci uczynił...»

Kazał zawołać fiakra; wsadzono mię w niego; ów pan wsiadł ze mną, rozkazując woźnicy aby jechał powoli; ale ruch powozu zwiększa moją boleść, zemdlałem.... zamknęły się moje oczy. Nic już nie widzę i nie słyszę.

Gdym przyszedł do siebie, ujrzałem się na łóżku, piękną owiniony kołdrą: nad moją głową unosiła się błękitna z białem draperya. Zdawało mi się że to sen... Spojrzałem w zwierciadło; odbiło moje rysy... to ja w istocie... obwiązano mi głowę chustką jedwabną... poniosłem rękę do głowy; uczułem boleść. Przypomniałem sobie upadnięcie, ranę... przypomniałem sobie wszystko!

Ale u kogóż jestem? Jakaż wspaniałomyślna istota pomocną rękę mi podała? To musi bydź przynajmniej xiąże!.... Wszystko co mnie otacza jest tak wspaniałe. Z ciężkością odsunąłem firankę... Jakże wszystko piękne!... przepyszne obrazy, figury, krajowidoki. Muszę bydź u jakiegoś wielkiego pana, który również jest dobry jak poczciwy nosiwoda. Ale przybrany mój ojciec i Anusia, czy wiedzą gdzie jestem?... Ach! może czekają na mnie! jakże muszą bydź niespokojni! Biedna Anusia mniema zapewne żem zginął, że mię zabito.

Na tę myśl westchnąłem głęboko; posłyszałem szelest... stara kobieta weszła do pokoju, spojrzała na łóżko. — »Ach! przecie przyszedł do siebie. Biedaczek!... Jakże pan będzie kontent gdy wróci!...

—»Pani, kochana Pani!... odezwałem się słabym głosem. Stara siadła przy łóżku, dając znak abym milczał. — »Nie trzeba mówić, moje dziecię; doktór powiedział, że to zaszkodzi; jesteś niebezpiecznie raniony, ale staranie i spoczynek powrócą ci zdrowie. Wyczytuję niecierpliwość z twoich oczu, chciałbyś wiedzieć gdzie jesteś. Ten co ci przybył na pomoc gdy cię obalił kabriolet Frankornarda, jest Pan Dermilly, mój pan; ale też moje dziecie trzeba słuchać kiedy wołają z drogi! a chłopcy właśnie lubią przebiegać ulicę gdy jedzie powóz.—»Ach Pani! — »Tylko nie gadaj... Otóż pan Dermilly przywiózł cię tu w pojeździe. Jest to malarz bardzo sławny i człowiek bardzo czuły, zbyt czuły może...—»Ale jak dawno?...—»Cicho! doktór zakazał mówić. Z razu Pan chciał wynaleść twoje mieszkanie i odesłać cię do rodziców, bo już tu jesteś od wczoraj, mój maleńki.... —»Od wczoraj!... O Boże!.. a ojciec Bernard, Anusia.... — »Co za paplot! ciszéj, mówię ci... Otóż mój pan chciał cię odesłać do rodziców, kiedy zdejmując z ciebie kurtkę krwią zbroczoną, obaczył portret zawieszony na wstążce!... krzyknął z podziwienia... i wziął miniaturę. Musi to bydź coś bardzo kosztownego, bo nie dziwowałby się lada czemu. Nie mógł się oddziwować: zkąd on to wziął?... po

http://rcin.org.pl

co co nosi? byłby chciał żebyś przemówił, ale tak byłeś słaby. Rozkazał cię położyć na swojém łóżku, i rzekł że nie pojedziesz od niego, chyba gdy zupełnie wyzdrowiejesz; spał sam w gabinecie i co kwadrans przychodził dopytywać się o twoje zdrowie. Gdy wyszedł, rozkazał nie odstępować cię na chwilę. Teraz wiesz co c i się przytrafiło; nie tak jesteś nieszczęśliwy jak myślisz; tylko nic nie mów żebyś prędzéj wyzdrowiał.

Gdy stara skończyła, poniosłem rękę do piersi. Nie znalazłem portretu. Oczy zaszły mi łzami i przerywanym zawołałem głosem:

—»Ach pani! oddaj mi portret... zaklinam cię!... — »Jużem ci powiedziała że pan go wziął; nie bój się, odda go... — »Matka zaleciła mi abym go nie zgubił... — »Ale nie zginął, kiedy go pan ma. Czy to portret twéj matki?... siostry?... ojca?»

Chciałem odpowiedzieć, w tém dał się słyszeć szelest w pobliskim pokoju: — »To pan.» I wszedł mężczyzna, mogący mieć lat około trzydziestu; z twarzą miłą i ujmującą; poznałem że to jest ten sam co mnie ratował na bulwarze.

—»A co! jak się ma? — »Odzyskał przytomność i gdybym pozwoliła ciągleby gadał... ale ją przestrzegam rozkazów doktora... — »Biedne dziecię!... Co za oczy pełne wyrazu!.. co za prostota i szczerość w téj twarzy!... — »Piękny byłby z niego amorek, a jegomość szuka modelu, aby zrobić syna pani Andromaki, zdaje mi się że ten chłopczyk!.... —»Odejdź Teresso, zawołam cię jak będzie potrzeba. Stara odeszła, powtarzając że będzie ze mnie doskonały syn pani Andromaki.

—»Jakże się masz moje dziecię? spytał się usiadłszy przy łóżku. —»Jestem zdrów, tylko mię głowa boli. Dziękuję panu za wszystkie jego łaski. — »Nie masz mi za co dziękować; jestem pewien że wypłacam tylko dług najświętszy... Czy możesz odpowiedzieć na moje zapytania? —»O! mogę mówić. — »Powiedz mi zkąd jesteś? jak dawno w Paryżu?»

Opowiadam moją historyą. Słucha mnie z największą uwagą. Rozczula się nad stratą mego brata; a gdym wspomniał o Bernardzie i Anusi, zawołał: — »Poczciwi, dobrzy ludzie! Ale ten portret co miałeś na sobie, zkąd go masz? gdzie go znalazłeś. Mów prawdę, moje dziecię. Ach! nie wiesz jak mnie to mocno zajmuje.

Opowiadam jak podróżni przybyli do naszéj chaty; nie zapomniałem także o jegomości, o lokaju, o dziewczynce. W miarę jak mówię, radość, rozczulenie, malują się w jego oczach; lecz gdy opowiedziałem jak się zranił mój ojciec, jak w nagrodę jego poświęcenia ów jegomość dał mu pół talara, wówczas młody malarz nie mógł się wstrzymać; wstał, biegał po pokoju jak szalony. — »Czy bydź może!... Co za niewdzięczność!... O moja Karolino! oto mąż którego ci narzucono! Gdyby nie ojciec tego dziecięcia, straciłabyś twoją Adolfinę. I ten człowiek umarł, ofiarą może może zbytniéj gorliwości, ludzkości!... Ale choć w części wynagrodzę synowi

http://rcin.org.pl

to, co dla nas ojciec uczynił; jeśli z wysokości niebios czuwa nad swojém dziecięciem, ujrzy przynajmniéj iż korzystać będzie z jego wspaniałego czynu. Tak moje dziecię, chcę mieć staranie o tobie... Nie opuścisz mię odtąd!» Całował mię, a zapomniawszy żem zraniony, zbyt mocno ścisnął mi głowę. Krzyknąłem z boleści; wówczas zawołał: — »Chcę bydź jego ojcem... a zapominam że jest raniony... —»O! to nic!.. Ale chciałbym żebyś mi pan oddał... —»Co! moje dziecię? —»Portret któren miałem na szyi... Przysiągłem matce że go oddam w ręce osoby do któréj należy; wczoraj dopiero spotkałem tego jednookiego jegomości, który nocował w naszéj chacie; pobiegłem za niém chcąc mu oddać klejnot, lecz mię nie słuchał, wsiadł do kabryoletu, obalił mię i zranił.

—»Biedny chłopcze! powinienem ci oddać portret, któren nosiłeś tak długo; ale nie jemu trzeba go powrócić, on jest nie godzien tak szacownego obrazu!.. Zobaczysz ją wkrótce... gdyby była w Paryżu, dziś byś ją jeszcze ujrzał... Wróci niezadługo; oddam ci tym czasem medalion, którego byłeś tak wiernym stróżem.

Wyjął portret, wpatrywał się weń przez kilka chwil z upojeniem i zawiesił mi go na szyi. Jeszcze jedna myśl mię udręcza. —»Ach panie!.. a ojciec Bernard?.. a Anusia?..

—»Dobrze mówisz moje dziecię; trzeba ich uwiadomić... trzeba uspokoić. Teresso! Teresso!

Przyszła stara. —»Poślij co prędzéj do przyjaciół tego dziecięcia.

Wskazałem gdzie mieszka Bernard. Sam pobiegł wydać rozkazy: na próżno kilkakrotnie przypominała mu Teressa że zaczął malować, że model czeka w pracowni.—»Ten niecnota Słowiczek przybiegł do kuchni, mówi że wystawia *Mucyusza Swawolę*. Niech sobie będzie swawolą, jeśli mu się podoba, ale niech nie przychodzi kosztować rosołu i sosów... Niech mu pan przykaże nie opuszczać pracowni i nie biegać tak po rzymsku... —»Tylko się nie gniewaj dobra Teresso: odpowiedział z uśmiechem; pójdę pracować; ty pilnuj mego Jędrusia; powiesz mi jak przybędą jego przyjaciele; chciałbym ich poznać.

—»Będę go pilnować i nie pozwolę mu tak dużo gadać: dodała gdy wyszedł: znowu ma gorączkę!.. Nie chce mnie słuchać... Wypij to moje dziecie i uśnij, to cię pokrzepi.

Usnąć ani podobna, tak jestem jeszcze zadziwiony, tak wzruszony dobrocią tego pana; nie mogę spoczywać na tém pięknem miękkiém łóżku. Chce mnie zatrzymać przy sobie.... chce bydź moim ojcem!.. a to wszystko za ten portret! Dobrze matka mówiła, że on mnie uszczęśliwi. Lecz Bernard... Anusia... będzież trzeba ich opuścić? Będę ich widywał! Nosiwoda jest także moim dobroczyńcą; nigdy nie zapomnę ile dla mnie uczynił.

Słyszę ciężkie stąpanie... sandały stukają po posadzce. Serce mi zadrżało... To oni! jestem pewny. Drzwi się otworzyły; na próżno Teressa wołała: »Poczekajcie! zobaczę czy śpi. Nie słuchają, już są przy mnie, ści-

http://rcin.org.pl

skają, całują, płaczą!.. Co za szczęście, odbierać dowody takiéj miłości! —»Ojcze!.. Anusiu!.. Nic więcéj mówić nie mogę; wzruszenie głos mi tłumi, ale trzymam rękę ojca Bernarda; śliczny buziaczek Anusi spoczywa obok mnie na poduszce. —»Biedne dziecie! przemówił nakoniec nosiwoda: jakże byliśmy o ciebie niespokojni, jak udręczeni!.. Całą noc cię szukałem; Anusia ciągle płakała!.. —»Czy to wasz syn? —»Nie, moja pani, ale go tak kochamy, jak gdyby był naszym krewnym...

—»Patrz no, ojcze! zraniony jest w głowę. Czy to cię bardzo boli, kochany Jędrusiu? —»Nie! już zapomniałem o tém.

Wszedł pan Dermilly. Bernard kłania się, nie wie czy ma zostać. Ale Anusia ani myśli odejść; usiadła na łóżku, dziwi się firankom, zwierciadłom i mówi z cicha: —»Dobrze spać na tak pięknem łóżku.

Pan Dermilly najuprzejmiéj przyjmuje Bernarda; nosiwoda stokrotnie dziękuje mu za starania, które miano około mnie. —»Ale jakże go zabierzemy? —»Zabierzecie!.. Ach! nie pójdzie z tąd dopóki zupełnie nie wyzdrowieje; i wtedy nawet, pochlebiam sobie... —»Ale to dla pana będzie subiekcya, boję się... —»O nie, mój zacny człowieku, los tego dziecięcia mocno mię obchodzi; ojciec jego uratował osobę co mi bardzo jest drogą; przekonała mię o tém ta minjatura; ja to ją malowałem...—»Jak to! Pan malował tę piękną panią? to pan musi ją znać? —»Znam ją, i ona również zajmie się losem tego dziecięcia.

Nosiwoda osłupiał z podziwienia. —»Dobrze mówiłeś, chłopcze, że ten portret szczęście ci przyniesie... ale ja zawsze do ciebie przychodzić będę... —»Tak często jak ci się podoba; możesz codziennie widzieć twego syna! Ach! ja nie myślę pozbawić go waszéj miłości; prócz tego Andrzéj jest panem swojéj woli... ale poznałem jego serce, wiem że nigdy nie będzie niewdzięcznym. —»I ja jestem tego pewny, mój łaskawy panie; ale kiedy pan go chce uszczęśliwić, to ja bynajmniéj nie przeszkadzam.

Dermilly z uśmiechem podał rękę dobremu Owerniakowi; ten chociaż zadziwiony, niemniéj ją uścisnął —»No! pójdźmy Anusiu, muszę iść do roboty, jutro przyjdziemy znowu.

Anusia nie słucha ich rozmowy, cała zajęta mną i pięknym pokojem; ojciec na nią woła, ona jeszcze wstać nie myśli.

—»No! pójdźże... —»A Jędruś, ojcze? —»Jędruś nie może iść!... zostanie u tego pana, któren tak łaskaw, że się chce nim zatrudnić. —»Jak to? nie pójdzie z nami?.· —»Przyjdziemy jutro; ile razy będziemy chcieli; ten pan tak dobry że pozwala. —»Oh! ja nie odstąpię Jędrusia!.. —»I ty mnie chcesz opuścić Anusiu?... Nie dość że tracę Andrzeja i ty jeszcze chcesz opuścić starego ojca... sam więc mam zostać?..

Anusia wstała w milczeniu, poniosła tylko fartuszek do oczu. Pożegnała mnie z płaczem... Uściskali

http://rcin.org.pl

mnie, odeszli, Bernard z uśmiechem, Anusia ze łzami.

Nie mogłem się wstrzymać od płaczu na widok łez siostry. Z trudnością uspokoił mnie pan Dermilly i nie odszedł, aż zabrałem się do spoczynku.

ROZDZIAŁ IX.

PRACOWNIA MALARSKA. — PAN SŁOWICZEK.

Pan Dermilly nie przestaje mieć o mnie jak najczulszego starania; pokochałem go wkrótce; stara chociaż czasem łaje, jest dla mnie bardzo uprzejma; nie pojmuję przez co zasłużyłem na takie względy. W szczęściu nie zapominam przecież o dawnych przyjaciół, zawsze z niecierpliwością czekam Bernarda i Anusi. Przy nich najmilsze pędzę chwile i zawsze jestem smutny jak odejdą.

— »Wylecz się prędzéj Jędrusiu, żebyś do nas powrócił, mówi Anusia. Będziemy śpiewać, tańczyć!... Prawda że tu pięknie, ale w domu lepiéj się bawiemy.«

Nie śmiem jéj powiedzieć że pan Dermilly chce mnie uczyć czytać, pisać, malować. Ile razy ze mną rozmawia, kontent jest z moich odpowiedzi; powiada że przy talentach mogę przyjść do majątku i uszczęśliwić rodzinę i przyjaciół. Czuję w głębi serca, iż mam tajemny popęd do korzystania z jego dobroci. Czy to próżność? czy chęć uszczęśliwienia innych?... próżność ta godna przebaczenia. Gdy sobie wyobrażam że będę miał kiedyś piękny dom, piękne pokoje, zawsze jest przy mnie matka i przyjaciele.

Już tydzień jak jestem u pana Dermilly; zaczynam wstawać: ale jeszcze nie mogę wychodzić z pokoju. Anusia chciałaby zawsze bydź ze mną; ale musi pilnować gospodarstwa. Pan Dermilly dał mi dla rozrywki papier, ołówek, rysunki; wieczorem Teressa powiada mi bajki, przynosi ciastka i konfitury; lepiéj jednak smakowały mi kartofle pieczone w popiele, które jadłem z Anusią.

Pewnego poranku, nudząc się w pokoju, którego znam już wszystkie ozdoby, wszystkie obrazy, chciałem zobaczyć jak pracuje pan Dermilly. Już mogę sam chodzić; pójdę pomaleńku; nie wiem gdzie jest pracownia ale ją może znajdę.

Przechodzę jeden pokój, drugi... Wychodzę na korytarz; w głębi są schodki; wstępuję, otwieram drzwi... Jestem w obszernéj rotundzie, a w koło siebie widzę rzeczy tak nadzwyczajne, iż nie wiem czy mam zostać czy odejść.

Na środku stoi wielki szkielet, a o niego oparta gipsowa Wenera. Tu wiszą duże płótna, a na nich pozakreślane postacie; daléj widzę obraz na którym diabli biją młodzieńca wężowemi biczami; potknąłem się: tu leży ręka, tu noga; na stole są farby; xiążka pięknie złocona oparta o flaszkę z olejem; na ciastku leży gipsowy palec; głowę dziewicy zdobi kask grecki; Kupido dźwiga surdut i stary kapelusz; a na trupiéj główce, stoi pudełko z karminem.

http://rcin.org.pl

To pewno pracownia; ochłonąwszy z zadziwienia, postępuję... Ale w tém postrzegam osobę, którą zasłaniał mi wielki obraz: stoi nieporuszona przed płótnem. Nie śmiem się ruszyć; podziwienie i strach, przejmuje mnie na widok jéj ubioru.

Nie widzę twarzy, bo jest obrócona ku płótnu; ale widzę że trzyma ogromną szablę w ręku. Cała owinięna jest obszernym karmazynowym płaszczem; na nogach ma zasznurowane sandały, na głowie hełm z którego spływa długa kita czerwona; postawa jéj groźna, ramie wzniesione jakby do cięcia... Zdaje się bydź w gniewie; a jednak stoi spokojnie, nie rusza się.

Szukam oczyma pana Dermilly.... nie wiem czy odejść; może ten Jegomość nawet nie słyszał że wszedłem... Kaślnąłem... Przybliżyłem się... ani się ruszy. Zdaje mi się jednak, iż wypada przeprosić, żem wszedł bez wiedzy.

—»Proszę darować, rzekłem zbliżając się: myślałem że tu zastanę pana Dermilly... jeśli panu przeszkadzam, odejdę natychmiast...«

Żadnéj odpowiedzi; takaż sama nieruchomość; nie pojmuję tego. Czy śpi? Ale śpiąc niepodobna trzymać wzniesionéj ręki z pałaszem... Może głuchy? Nie mogę się wstrzymać, może zobaczę twarz jego. Zaglądam... O nieba! cóżem widział! Krzyknąłem z przestrachu. Jakże blady! jakże zgasłe oczy! Musiał bardziéj odemnie chorować! nie pojmuję jak może stać tak długo.

Już chciałem odejść, gdy otworzyły się drzwi przeciwne, i jakiś pan nagi od głowy do pasa, lecz z resztą ubrany, wpadł do pracowni, śpiewając, skacząc i zajadając udko kapłona.

Nowo przybyły nie widział mnie wchodząc, śmieje się i rozprawia: »Jeszcze jedna psota!... Teressa będzie szukać udka... znowu zmówka na kota!... Oho! gdyby wiedziała że pan wyszedł, byłaby pochowała półmiski i przysmaczki!.. Zawsze mnie pyta: Czy przyniosłeś ze sobą śniadanie? bardzo proste, skromne, główkę czosnku i dwie cebulki!.. Tra la la la... Tra la la la! Szkoda że jeszcze rosół nie zastawiony... Ale bo też pan Dermilly każe mi czekać po całych dniach! to szczęście żem się zgodził na godziny!... *Dzięki ci za to naturo.*«

Dał susa ku méj stronie i spostrzegł mnie: »A to co? Czy i ty przyszedłeś służyć za model do jakiego gawronka? Trzeba ci jeszcze jeść klejek.. takiś blady jak jajko... chyba cię wyróżnią.. i znowu śpiewa: »*Powiedz jakie imie twoje; Powiedz jak cię nazywają?..*

—»Nazywam się Andrzéj; odpowiadam temu Jegomości, któren ciągle walcuje i wdzięczy się. Obalił mnie kabryolet; pan Dermilly był tak łaskaw, że mnie wziął do siebie...

—»Ach! wybacz zajmująca ofiaro! cześć nieszczęściu!... I mnie kilka razy powóz przewrócił, a nikt mnie nie przyjął do siebie... Tylko to prawda że szał Bachusowy nieco mię osłabił. Patrzno, chłopcze, jak ci się podoba to antrsza?...

Nie pojmowałem jak mógł śpiewać, tańczyć, hałasować, przy tém

http://rcin.org.pl

panu co się nie rusza i zawsze trzyma wzniesioną szablę. Wskazałem na niego palcem, mówiąc półgłosem do tancerza: Głowa będzie boleć tego jegomości.»

Na te słowa skoczek rzucił się na krzesło, śmiejąc się do rozpuku: »Wybornie!.. wyśmienicie!.. Ho! ho! ho! bierze lalkę za wojaka!.... Nie bój się, on cię nie skaleczy. To martwe, w tém ożywcza krew nie krąży...

»Jak to? to lalka? Nie mogę przyść do siebie z podziwienia. Przybliżam się i chcę dotknąć.... »Héj!... nie ruszaj!... to parzy!... Niebaczny, gdybyś choć jeden poruszył fałdzik, otrzymałbyś zapłatę, którą nie łatwo schować do kieszeni. — »Przepraszam, nie wiedziałem...

—»Teraz muszę przypomnieć sobie które *pa* dziś wieczór mam tańczyć. —»Ale musi bydź panu zimno bez koszuli... —»Oh! przyzwyczaiłem się do tego od lat piętnastu, jak malują ze mnie torsy. Nie wiesz że masz zaszczyt znajdować się w przytomności Słowiczka, najpiękniejszego wzoru w Paryżu na torsy. Ach! gdyby reszta ciała odpowiadała téj części!... byłbym wart dwadzieścia franków na dzień. Lecz i mnie natura dość hojnie uposażyła: twarz przyjemna, dowcip, wdzięki, taniec lekki i zgrabny, *un... deux: chassez... asemblez!...* Co za szkoda że suknia przybrudna i kapelusz trochę dziurawy!... Pan Dermilly dał mi onegdaj dwadzieścia franków naprzód... co robić, bieda... »Im srożéj los nas nęka...» Słuchajno, chłopcze, możesz mi pożyczyć dwadzieścia groszy? oddam ci za tydzień.

—»Nie mam pieniędzy przy sobie, ojciec Bernard je chowa. — »No, to muszę potrzeć olejem buty, nic nie czyni takiego wrażenia, jak szkliące obuwie.

Wziął butelkę z olejem i pociągnął pędzlem po zbłoconych butach; potém nalał na rękę i wytarł włosy. Gdy się tak zajmował gotowalnią, przypatrzyłem mu się. Miał około lat trzydziestu sześciu; wzrost dosyć wysoki, włosy czarne, pokudłane; siwe oczy wyrażały wesołość i bezczelność; dodaj do tego, nosek zadarty, pełen tabaki i ogromne usta, które co moment roztwiera czyniąc rulady, a będziesz miał najoryginalniejszą fizyonomią.

»To szkoda, rzekł zwijając włosy, że także olejem nie mogę upiększyć sukni!... Ale za to posmaruję kapelusz... No, muszę bydź ładny w oczach mojéj księżniczki... tylko szkoda że za trzynaście groszy, które jeszcze mam w kieszeni, nie będę jéj mógł uczęstować pulardą z ryżem... Może też znajdzie się przyjaciel... Ach! gdyby to mój Fanfan mógł już posłużyć za model.

Widząc że ten jegomość czyści trzewiki i włosy, mniemam, iż się chce ubrać; podaję mu koszulę i suknie, które leżały w kącie pracowni. —»Dziękuję ci, maleńki: rzekł do mnie: nie ubiorę się, dopóki pan Dermilli nie powróci i nie odprawi mię. W koszuli nie można stawać jako model: to po grecku; naucz się braciszku. Jeżeli natura dała ci dobrą

http://rcin.org.pl

postawę, wierzaj mi, nie obieraj innego stanu; zrób się modelem dla malarzy. Tego się łatwo nauczyć możesz! Trzeba tylko stać spokojnie. Malarze i modele! to tylko znam na świecie. Trzeba modelów dla malarzy a malarzy dla modelów; rozumiesz? To rzemiosło jest dziedziczne w mojéj familii. Mój ojciec był modelem do rąk: moja matka do ramion, a moja siostra do uszów. Rozumiałem że moja żona będzie modelem, i dla tego się ożeniłem się z nią, ale na nic się nie zdało. Od tego czasu żyję po kawalersku i tylko wtedy widuję moją połowicę, kiedy się domyślam że ma pieniądze.« W tém usłyszeliśmy głos Teressy.

—»Ten niecnota Słowiczek zakradł się pewno do kuchni... Ale poskarżę się przed panem. Nie zniosę dłużéj aby wszystko składano na mego Filusia.

—»To stara! zawołał Słowiczek, przyłożywszy ucho do drzwi. Nadchodzi... wyśmienita myśl!.. To będzie prawdziwa scena z melodrammy! Stara się tak boi... Łatwo wszystkiemu uwierzy... Daléj milcze! uklęknij tu przed lalką... włóż ten hełm na głowę... spuść przyłbicę... masz tunikę... tylko się nie ruszaj. —»Ale mój panie, bo... —»Żadnego bo.. —»I na cóż to?—»Żadnego na cóż. Tylko ani słowa, udawaj lalkę, żeby cię nie poznała.

Nie boję się Słowiczka, ale ciekawy jestem wiedzieć co zrobi. Tak długo się nudziłem; kontent jestem z téj chwilowéj rozrywki. Wszak to wszystko żarty; pan Dermilly gniewać się nie będzie. Ukląkłem przed lalką: Słowiczek wcisnął mi hełm na głowę; zarzucił na mnie obszerny płaszcz żółty. Pobiegł do szkieletu i postawił go przed wielkim kufrem próżnym, któren stał na środku; potém okrył tę okropną postać szarym płaszczem, wlazł do kufra i spuścił wieko, zostawując mały otwór przez który trzymał koniec płaszcza. Wszystko to było dziełem jednéj chwili; i każdy był na swojém miejscu, gdy Teressa weszła do pracowni.

—»Proszę pana, to tak dłużéj bydź nie może: rzekła, zbliżając się zwolna ku miejscu, gdzie pan zwykle siadywał. »Ten Słowiczek codzień mi nowe wyrządza psoty... dziś zjadł resztę kapłona, a potém wszystko na kota... Niech mu pan zakaże wchodzić do kuchni.

I Teressa stanęła przed kufrem i szarym płaszczem. Spojrzała w koło.

—»A to pan doprawdy wyszedł? Wcześnie coś dzisiaj skończyli. Pośród tych wszystkich płócien i figur, zdaje się człowiekowi że zawsze ma koło siebie pełno ludzi.— »Panie! panie! Nie ma nikogo. Odejdźmy. Nie lubię sama znajdować się w téj izbie. Wszystkie te figury zdają się żywe. A ten biedny młodzieniec, którego biją wężami! tak mi go żal! Co za szkoda! tak piękny chłopiec. Nazywają go panem *Ixem*. A to za to iż się umizgał do pani Jowiszowéj. Ach! gdyby wszystkich tak ćwiczono, którzy go naśladują.

W téj chwili, przytłumiony jęk wychodzi z głębi kufra. Teressa blednieje i bojaźliwie w około spogląda.

»To rzecz dziwna. Zdało mi się żem coś słyszała... Panie! panie! czy

http://rcin.org.pl

jesteś tu? Nikt nie odpowiada, ale drugie westchnienie podwaja przestrach Teressy. Drży, nie śmie podnieść oczu i ruszyć się.

Słowiczek zmieniając głos, woła tonem żałosnym i grobowym! »Teresso! Teresso! Teresso!

—»Co! któż mię woła? rzecze stara zasłaniając oczy. — »Twój dziadek. —»Już umarł, będzie temu lat pięćdziesiąt. — »To nic; słuchaj mię i przysiąż iż uczynisz co rozkażę —»Dobrze! dobrze! przysięgam.—»Słuchaj... Słowiczek jest dobrym chłopcem. Kocham go, opiekuję się nim; rozkazuję ci abyś go wpuszczała do kuchni ile razy mu się podoba; aby mógł tam jeść wszystko co zechce. abyś o tém nigdy nie wspomniała przed panem twoim: jeżeli tego nie zrobisz, kark ci ukręcę. Podnieś oczy i powiedz mi dzień dobry.»

Teressa ledwie śmie odjąć ręce od oczu swoich. Nareście podnosi głowę. W téj chwili Słowiczek ściąga płaszcz, a kościotrup pokazuje się tuż przed starą, która zaczyna krzyczyć okropnie. Nie wie co począć, pada na kufer i wzywa wszystkich świętych z nieba. Zatrzasło się wieko. Słowiczek pozbawiony powietrza, szamota się i krzyczy przeraźliwie. Teressa mniema że ją wszystkie szatany opadły, czuje bowiem że pod nią wybijają w kufrze. Jednakże nie ma tyle siły aby wstać mogła. Postrzegając jéj przestrach, zbliżam się do niéj aby powiedzieć prawdę; ale zapomniałem zdjąć szyszaka. Na mój widok, Teressa jeszcze bardziéj przestraszona zrywa się z kufra i pada. Słowiczek na pół zaduszony wyłazi z niego; ja śmieję się do rozpuku, a w tém wchodzi pan Dermilly.

Cóż to się znaczy? zawołał malarz podnosząc Teressę i zrzucając ze bie płaszcz i szyszak. —»Ach! to mój pan, to mój kochany pan! Jużem ocalała, mówi Teressa, poprawiając czepek.—»Cóżeś robił w tym kufrze? rzecze do Słowiczka, a ty Andrzeju? w szyszaku! w płaszczu!—»Czy bydź może? rzecze stara. To był ten łotr Słowiczek?» Opowiadam panu Dermilly co się stało i proszę go aby mi przebaczył, żem bez jego pozwolenia wszedł do pracowni. Przez ten czas, Teressa powtarzała co chwila. »To ten łotr Słowiczek! Powinnam się była tego domyślać; w około czuć było czosnek.» Postrzegam iż pan Dermilly ledwie może wstrzymać się od śmiechu, jednakże gdym skończył, surowym tonem rzecze do swego modelisty: »Możesz odéjść panie Słowiczek i więcéj nie przychodzić. Zawsze świta ci w głowie; a jużem ci dawno powiedział, iż nie chcę modelisty który mój dom przewraca do góry nogami.

—»Co panie? zawołał Słowiczek, który przez ten czas z gniewem spoglądał na Teressę. Ponieważ ta stara wzięła mię za czarta, pan chcesz mię wypędzić? To był tylko mały żarcik panie; dostałem dwadzieścia franków z góry, winienem cztery posiedzenia, i przyjdę uiścić się. —»Nie potrzeba, darują ci je. —»Bynajmniéj panie; jestem człowiek delikatny, nie przyjmuję tego daru. Muszę go wypłacić w naturze. A z resztą nie prędko znaj-

http://rcin.org.pl

dziesz pan taki model. Wrócisz się pan do mnie. Artyści nie powinni kłócić się o łyżkę rosołu i udko kapłona.«

To rzekłszy ukłonił się panu Dermilly, z gęstą miną włożył kapelusz na bakier i wyszedł zostawując po sobie mocny zapach czosnku i staréj oliwy. — »Dzięki Bogu, przecieżeśmy się go pozbyli: rzekła Teressa. Niegodziwiec, jakże mię nastraszył!.. Ale ja znam pana zbyteczną dobroć. Powróci, zacznie się prosić, przyrzekać poprawę i znowu go przyjmiesz.

Przez ten czas stałem w kącie pracowni; czekałem na karę i po odejściu Słowiczka, bojaźliwie zbliżyłem się do pana Dermilly. — »A ja panie, czy także mam odeyśdź? rzekłem.

—»Ty! mój kochany Jędrusiu! przeciwnie... Zobaczysz ją, przyjedzie jutro: tak się spodziewam. Idź mój kochanku, nie narażaj się, jeszcze jesteś słaby. Teresso odprowadź go...

Kogóż to mam zobaczyc jutro? Nie rozumiem; ale nie śmiem pytać się; i wychodzę za Teressą, która powtarza co chwila... »Teraz przecię będę miała święty pokój w kuchni. Ach! czemużem nie wydrapała mu oczu. Przez pół roku byłby nie mógł udawać Rzymianina.

ROZDZIAŁ X.

ORYGINAŁ MINIATURY.

W moim wieku prędko wracają siły. Nazajutrz po scenie w pracowni już mogłem biegać i chciałem wyjśdź z Anusią. Wstaję, szukam moich sukien. Jakżem się zdziwił, ujrzawszy zamiast grubego kaftana i łatanych pantalonów, piękną kurtkę z niebieskiego sukna, ze złoconemi guzikami, takież same pantalony i kamizelkę kaźmirkową. Przypatruję się tym sukniom, nie śmiem ich dotknąć się. A przecież chciałbym wstać. Wołam, Teresso! Teresso! Przyszła nareście.

—»Czego chcesz mój chłopaczku? rzekła do mnie. —» Moje suknie? proszę cię dobra Teresso! — »Suknie twoje? o to są. Czyliż te nie są tyle warte co tamte? —Co! to są moje? ta piękna kurtka ze złotemi guzikami? —»Tak jest. Przyjdzie fryzer i ostrzyże ci włosy. Czyliż pan zechce abyś chodził jak kominiarczyk, zostając w jego domu? —»W jego domu? Czyliż nie powrócę do Bernarda, czy nie będę mógł tańczyć z Anusią?—»Będziesz mógł ją odwiedzać i tańczyć z nią, ale już u nich mieszkać nie będziesz. Ubierz się, będziesz pięknie wyglądać. Suknią nie czyni człowieka, mój Jędrusiu, to prawda, ale przecież nie mało znaczy. Ja sama kiedy się ogarnę, wyglądam młodziéj o lat dziesięć.

Sam nie wiem co począć. A gdyby się gniewał Bernard? Mam wielką ochotę wdziać te suknie... Nareście ubrałem się. Fryzer obciął mi włosy... Ach! gdyby moja matka mogła mię widzieć w tym ubiorze. Pan Dermilly wchodzi, ściska mię. Nie przyjmuje moich podziękowań; chciałbym wyjśdź do Bernarda, pokazać się w nowym stroju. Pan

http://rcin.org.pl

Dermilly zatrzymuje mię. — »Zostań się rzecze: Bernard i Anusia przyjdą do ciebie i ta osoba: — »Ta o któréj mi pan wspominał wczoraj? — »Tak jest mój przyjacielu.—»Czyliż ona mię zna?— »Zna, opisałem jéj wszystko co się ciebie dotycze. Pragnie zobaczyć cię jak najprędzéj. Miéj cierpliwość mój kochany Andrzeju, a zwłaszcza pamiętaj o twojém zdrowiu.

Pan Dermilly odszedł. Niezmiernie jestem ciekawy zobaczyć tę osobę, którą mi oznajmił. Ach! jakże powoli czas upływa! Co za szkoda że muszę siedzieć w pokoju, mając tak piękne suknie! Przyszedł Bernard z Anusią; patrzą na mnie, nie mogą poznać. Jakże się zdziwili! Anusia nie wie co powiedzieć na to; ogląda moje ubranie.—»To za piękne do odbywania posyłek: mówi do mnie: zesmolisz je od razu; trzeba zachować je na niedziele i święta.—»Ach! moja Anusiu, już on nie należy do nas. Andrzéj jest na drodze szczęścia. Jego nowy opiekun nie będzie go trudnił posyłkami. Może Jędruś zostanie bogatym człowiekiem. Bylebyś tylko był zawsze uczciwym, dobrym i kochał nas, to rzecz główna. Zaręczam za to; ma dobre serce i nie zepsuje się w Paryżu.

Anusia słuchała z podziwieniem słów ojca; milczy przez chwilę a potem bierze mię za rękę i mówi zmienionym głosem. Czy to prawda Andrzeju? Czy już z nami nie będziesz mieszkać i pracować? Już cię nie zobaczemy! Co, już nas nie kochasz, dla tego żeś dostał piękne suknie? Ach! porzuć je Andrzeju, lepiéj ci było po sabaudzku. Pójdź z nami, pójdź; już jesteś zdrow, pójdź teraz kiedy nie ma nikogo. Jakże mi będzie smutno po tobie i mojemu ojcu także. Ach! to byłoby bardzo brzydko gdybyś z nami nie poszedł.«

Anusia nie może wstrzymać się, płacze, łka, chcę ją pocieszyć, przyrzekam iż ją co dzień odwiedzać będę, nazywam ją moją siostrą; ale ją to wszystko nie uspokaja; powtarza zawsze: »pójdź z nami.

Wzruszony boleścią Anusi, chcę jéj ustąpić, chcę wrócić do Bertranda, ale dobry Owerniak wstrzymuje mię.—»Andrzeju! rzekł do mnie, trzeba bydź rozsądnym i nie okazywać się niewdzięcznym. Pan Dermilly może ci los zapewnić, a chociaż tracę wiele na rozłączeniu się z tobą, nie jestem tak samolubnym abym cię namawiał do odrzucania tych korzyści. Jeżeli twoi opiekunowie nie będą chcieli dłużéj trudnić się tobą, możesz wrócić do mnie. No! mój kochanku, miéj więcéj rozumu niż Anusia. Ba! ba! i ona się pocieszy!... wszystko czas naprawia.

Usłuchałem uczciwego Bernarda i rzekłem do jego córki: — »Anusiu! jak zarobię dużo pieniędzy, kupię ci piękne sukienki, piękne czepki. — »Ja ich nie chcę, rzekła, wolę pozostać taką jak jestem. Nosiwoda ściska mię i wychodzi z córką. Chcę ją uściskać... ona nie chce. Musiał ojciec rozkazać. Wtedy zbliżyła ku mnie swoje lica łzami zroszone i rzekła po cichu. »Pójdź z nami.« Ach! gdyby ojciec pozwolił, natychmiastbym to uczynił. Zdaleka sły-

http://rcin.org.pl

szę jeszcze jéj łkania!... Z gniewem spoglądam wtedy na moje piękne suknie, chciałbym je zrzucić. Takiż to skutek dostatków? Czyliż stając się bogatym, przestanę bydź wesołym?

W godzinę po ich odejściu, dał się słyszeć szelest w pobliskim pokoju. Wkrótce pan Dermilly otworzył drzwi i wprowadził jakąś damę, mówiąc do niéj: — »Pójdź moja Karolino, ucieszysz się jego podziwieniem.» Ta dama iest piękna, młoda i wytwornie ubrana. Podaje rękę córeczce, która może mieć lat osiem: ale nie zważałem na nią z razu, ponieważ rysy téj damy, zajęły wyłącznie moją uwagę. Przypominam sobie żem ją widział. Rzekła do pana Dermilly: — »Jakże jest miły! Co za szczęście żeśmy go znaleźli! a zwłaszcza że się nie zgłosił do pana hrabiego, który byłby mi nigdy o nim nie wspomniał.» Jakież wspomnienie mię uderza! Szukam miniatury którą noszę na szyi. Patrzę na nią i na tę damę; tak, to ona! to jéj portrecik! Zdejmuję go natychmiast i podaję téj damie, mówiąc: »Oto jest portret pani! już oddawna szukałem pani, aby jéj go oddać.

—»Tak jest mój przyjacielu, do mnie należy ten portret, rzekła młoda dama, ściskając mię czule, albo raczéj do mojéj córki, do mojéj Adolfiny, która winna jest ocalenie swoję twojemu zacnemu ojcu. Oto jest ona, mój przyjacielu! ta którą ocaliliście, która jednę noc przepędziła w waszéj chatce, którą kocham nad życie. Ach! chcę wynadgrodzić niesprawiedliwość pana hrabiego. Cieszę się że mogę dopomódz synowi tego, któremu winna jestem ocalenie córki.

Ta pani przycisnęła córkę do serca. Co! byłażby to owa mała śpioszka, którą trzymałem na ręku? Poznaję także jéj rysy. Ale jakaż zmiana zaszła w przeciągu tych lat czterech! Jest wysokiego wzrostu, zgrabnéj postawy, oczy ma zawsze tak piękne, tak ładne, ale już je nie wlepia w obce osoby, z tą śmiałością właściwą pierwszemu dzieciństwu; spuszcza je bojaźliwie i rumieni się kiedy na nią spoglądają. Ściemniały jéj włosy, wyrosła, nie jest tak żywa; już rozum nadchodzi i miesza się z wrażeniami dzieciństwa.

Stoję niewzruszony, dziewczynka uśmiecha się do mnie, widząc że matka czyni toż samo.—»Uściskaj ją Jędrusiu, rzekła do mnie ta dama, czy jéj nie poznajesz? Ona zawsze tak jest dobra, tak słodka i będzie cię kochać, gdyż moja Adolfina nie może mieć złego serca.

Zbliżam się do ładnéj dziewczynki i niezgrabnie stawam przed nią. Zdaje mi się, że nie śmiem jéj uściskać. Swobodniéj przestaję z Anusią i ucałowałbym ją dwadzieścia razy na dzień, nie wstydząc się wcale.

Nareście Adolfina przybliżyła do mnie twarz swoją; lekko dotknęły się jéj moje usta. Po tém, poszedłem na drugi koniec pokoju, jak gdybym co złego uczynił. Cóż chcesz zrobić z tém dziecięciem? rzekła ta dama do Pana Dermilly. — »Chcę zatrzymać go

http://rcin.org.pl

u siebie, mieć o nim staranie, nauczyć go malarstwa, jeźli będzie miał do tego zdatność. Nigdy się nie ożenię. To dziecię będzie moją pociechą, moim wiernym towarzyszem. Z nim będę mógł rozmawiać o tobie. Teraz tak cię rzadko widuję! On cię zna, on cię będzie kochać, a jeżeli nie pojmie wszystkich moich udręczeń, przynajmniej jego obecność ich część osłodzi. — »Mój przyjacielu, uczynię niejakie zmiany w tym planie. Chcesz zatrzymać to dziecię w twoim domu; ale jesteś kawalerem i często wyjeżdżasz. Jędruś jest jeszcze za młody, aby ci mógł towarzyszyć, albo też odrywałby się od nauk. Jest tysiące starań i szczegółów, któremi nie możesz zajmować się, ani ty, ani twoja Teresia. Porucz mi więc Jędrusia. Mieszkać będzie przy mnie, w moim domu; będzie miał tych samych nauczycieli, co Adolfina; czuwać będę nad nim jak matka; odwiedzi ciebie ilekroć tego zechcesz... Dla dawania mu lekcyi rysunku, co dzień przychodzić możesz do pałacu. Kochany Dermilly, uczyń mi jeszcze tę jedną ofiarę! ja to sama powinnam zająć się losem tego dziecięcia. Zezwalasz? wszak prawda. —»Ach! droga Karolino! ach pani! alboż nie czynię zadosyć wszystkim twoim życzeniom? Ojciec twój rozdzielił nas; głuchy był na nasze prośby, na nasze życzenia. Oddał cię innemu, ale nie zdołał zgasić uczucia, które się dopiero z mojém życiem skończy.

Młoda dama nie odpowiada panu Dermilly, ale wzdycha i tak czule na niego spogląda, że to milczenie musi bydź wymowniejsze niż słowa.—»Oddalmy te wspomnienia, rzecze nareście, zajmijmy się samym tylko Jędrusiem. Mój kochanku, rzekła do mnie, czy zechcesz mieszkać u mnie?

Z podziwieniem spoglądam na tę damę, ale czuję że ją będę kochał; tak jest przyjemna, okazuje mi tyle dobroci! A ta mała Adolfina!... czyliż mi pozwolą, abym się z nią bawił? Waham się i odpowiadam. »Uczynię wszystko czego pani będzie żądać odemnie, bylebym tylko zawsze mógł widywać Bernarda.

— »Jest to jego opiekun: odpowiada pan Dermilly: uczciwy Owerniak, kocha jak własnego syna Jędrusia.—»Bardzobyś sobie źle postąpił, gdybyś zapomniał o tym zacnym człowieku, nie odemnie to uczyć się będziesz niewdzięczności. Weź te pieniądze, jutro zaniesiesz je do Bernarda, aby je odesłał twojéj matce. Wypłacam dług najświętszy, niechaj odtąd będzie spokojna o los swój. Za dwa dni przyślę po ciebie.»

To rzekłszy, uściskała mię i odeszła z córeczką i panem Dermilly. Stałem niewzruszony; patrzę, sakiewka pełna złota!... a to wszystko dla mojéj matki!..może to sen! Przeliczam pieniądze. Jest dwadzieścia sztuk złotych. Moja matka już nie będzie pracować od rana do wieczora; Jakóbek jeździć będzie wszystko co zechce... a Piotruś! Biedny Piotruś! on sam tylko nie podziela mojéj pomyślności; lecz jeżeli go znajdę... ach! jakże będziemy szczęśliwi.

Natychmiast chciałem pójść do

http://rcin.org.pl

Bernarda, oddać mu te pieniądze, ale mi powiadają, że jeszcze wyjść nie mogę. Pójdę jutro i powiem Anusi: »Widzisz, że piękne suknie nie zawsze nabawiają zmartwienia.

Nazajutrz budzę się o świcie, chcę wyjść, ale Teressa nie pozwala. Wkrótce przychodzi pan Dermilly; pojmuje moją niespokojność i towarzyszy mi do Bernarda. Na dole czekał na nas karykiel. Ach! jakże byłbym kontent jechać karyklem, gdyby to złoto nie zajmowało wyłącznie mojéj uwagi.

Przyjeżdżamy przed dom gdzie mięszka Bernard. Wbiegam na szóste piętro, nie patrząc czyli pan Dermilly idzie za mną. Wchodzę nagle. Anusia widzi mię, krzyknęła i skoczyła mi na szyję, wołając: »To on! to on! mój ojcze! Jędruś powrócił!..

Droga Anusia! Jakże mię kocha! Bernard ściska mię także. Wyjmuję sakiewkę z kieszeni i mówię: »To złoto jest dla mojéj matki. Dostałem je od owéj damy. Wiecie, od téj damy na portrecie. Ach! jakże jest dobra. Odeślij je natychmiast mój ojcze, proszę cię i powiedz matce, że już nie potrzebuję pracować.

Bernard dziwi się i dużemi oczyma spogląda na pieniądze; nie rozumie skąd się to wzięło, nie wie o jakiéj damie chcę mówić. Anusia nie pyta się o złoto, skacze po izbie, wołając: »Powrócił!... będzie mieszkać z nami!..» W tem wchodzi pan Dermilly. Zmienia się scena, gdyż opowiedział Bernardowi skąd dostałem te pieniądze. Anusia już nie skacze, ponieważ zaczyna zgadywać że u nich nie zostanę.

Bernard przyrzekł że niezwłocznie odeśle pieniądze do Sabaudyi. Pan Dermilly przyrzeka iż będzie czuwał nademną; oddalam się z tego domu, gdzie tak szybko upłynęły pierwsze lata mego pobytu w Paryżu. Nazajutrz mam się przenieść do pałacu. Jakże zniosę tę zmianę mojego stanu, ten nowy sposób życia? Ale można się nazwyczaić do wszystkiego, jużem nawykł do moich pięknych sukien i już mi w nich nie jest ciasno i niewygodnie.

Ta dama przyjedzie z córką. — »Jużem wszystko urządziła: rzekła do pana Dermilly: mieć będzie ładny pokoik nie daleko mego apartamentu. — »A pan hrabia? —»Niech mówi co chce, wiesz że nie zważam na to i zrobię co mi się podoba. Czyliż nie dosyć szczęścia dla niego, że mieszkam z nim razem przez znaczną część roku? Ale edukacya mojéj córki nie dozwala mi podróżować bez ustanku. Kochana Adolfino! dla ciebie wszystko znosić powinnam. Jeszcze nie mówiłam panu hrabiemu o Jędrusiu, zobaczy go dziś rano. Spojrzy na niego a po tém już o nim ani wspomni. Jego kucharz i pies zajmują go jedynie. Jędrusiu, pożegnaj się z panem Dermilly i Teressą. Pojedziemy Adolfino, weźmiemy ze sobą Jędrusia; będzie mieszkać z nami, czyli cię to cieszy?

Tak jest mamo, rzecze dziewczynka, jeżeli go kochasz i ja kochać go będę. — Sciskam pana Dermilly i wychodzę z panią hrabiną i jéj córką. Przede drzwiami domu stoi piękna

http://rcin.org.pl

kareta: lokaje w liberyi czekają na moją opiekunkę; z łoskotem otwierają drzwiczki i wsadzają do powozu ją i jéj córeczkę.

Siadaj Jędrusiu, rzecze młoda hrabina biorąc mię za rękę. Wahałem się czyli mam stanąć za powozem, czy wsiąśdź wewnątrz; popychają mię, wsiadam i ruszamy jak strzała. Adolfina mówi do mnie z uśmiechem: —»Nie prawdaż Jędrusiu, że to jest miło jechać powozem?« Nie wiem co odpowiedzieć, tak jestem odurzony! Turkot powozu i te domy uciekające przedemną, prawie odbierają mi zdolność mówienia. Moja opiekunka uśmiecha się na widok mego podziwienia, które podwoiło się gdy powóz wjechał na obszerne podwórze i zatrzymał się przed pałacem. Służący podaje mi rękę abym wysiadł. Dziękuję mu i kłaniam się. Spoglądam w około. W tym więc pałacu mieszkać będę! Co za różnica od pomieszkania Bernarda. Ach! czyliż tu będę tak szczęśliwy jak u poczciwego nosiwody.

CZYTELNI
JANA A. PELARA
W RZESZOWIE

DRUGIE DANIE. GARDEROBIANA.

Moja opiekunka wstępuje z córką na wielkie schody; daje mi znak abym poszedł za nią. Idę z odkrytą głową. Wchodziemy na pierwsze piętro, przechodziemy kilkanaście pokojów wspaniale umeblowanych. Ledwie śmiem stąpać po pięknych kobiercach; Adolfina zaś biegnie nie zważając na nie. Ładnie było u pana Dermilly, ale tu daleko jest ładniéj: wszędzie widać zwierciadła, zegary, kandelabry, wazy z kwiatami, globusy alabastrowe, zawieszone u sufitu. O Boże! gdyby Anusia widziała to wszystko, powiedziałaby sprawiedliwie, że chcą ze mnie zrobić wielkiego pana.

Pani hrabina zatrzymała się w ładnym pokoju, a młoda kobieta zdjęła z niéj szal i kapelusz. Jakże są grzeczni w tych pięknych pałacach!.. mówią zawsze z ukłonami.—»Lucyllo! rzekła matka Adolfiny, do młodéj kobiety czekającéj na jéj rozkazy, powiedz panu hrabi, iż pragnę pomówić z nim przez chwilę.» Panna Lucylla wychodzi; jest to garderobiana hrabiny. Adolfina już się bawi prześliczną lalką, a ja stoję na środku pokoju, obracam kapelusz w ręku i trzymam oczy wlepione w kobierzec.

Hrabina spogląda na mnie z uśmiechem. Czyli ci się tu podoba Jędrusiu? rzekła, skinąwszy na mnie abym usiadł, i biorąc z rąk moich kapelusz, z którym nie wiedziałem co robić. —»Ach pani! tak jest! ale wolno mi widywać Bernarda? —»Dobrze mój przyjacielu! żadne zaszczyty i dostatki nie wyrównają przyjemności, jaką czujemy odwiedzając tych, których kochamy. Ach! gdyby mię byli zostawili panią mojego losu. Nie w tym to smutnym pałacu, byłabym szukała szczęścia!

Moja opiekunka wzdycha; smutek zachmurzył jéj oczy... ale za chwilę całuję córkę i znowu się do mnie uśmiecha. »Andrzeju! zaprowadzę cię

http://rcin.org.pl

natychmiast do pokoju przeznaczonego dla ciebie; ale wprzódy muszę cie przedstawić panu Frankornard; po tém pierwszém spotkaniu, bardzo rzadko będziesz go widywał, a o wszystko czego ci będzie potrzeba, zgłosisz się do mnie, albo do Lucylli.

Pan de Frankornard był wówczas w gabinecie swoim i naradzał się z kucharzem i Szampanem, który z lokaja posunął się na intendenta. Pan hrabia zaprosił gości na obiad, osoby znaczące, z któremi miał interessa. Była to nie mała rzecz, urządzić biesiadę w sposób godny biesiadników.

Siedząc w ogromném krześle, pan hrabia, jedną ręką głaskał dużego psa angielskiéj rasy, a w drugiéj trzymał spis potraw podany mu przez kuchmistrza i rozmyślał głęboko. Przed nim, tłusty kuchmistrz z czerwonym nosem, z rumianą twarzą, z okrągłym brzuchem, stał z czapką w ręku; nieco daléj, pan Szampan opierał się niekiedy o poręcz pańskiego krzesła.

—»Mówiliśmy więc, mości kuchmistrzu: bażant morski z ostrzygami, sześć potraw na pierwsze danie. Jużeśmy się zgodzili jakie będą te potrawy, nie prawdaż? —»Tak jest panie hrabio.—»Idzie teraz o drugie danie. Ach! nie jest to bagatela, częstować ludzi którzy nam są potrzebni. —»A zwłaszcza gdy się to czyni z takim taktem jak pan hrabia: rzekł Szampan, głaszcząc Ajaxa, który na niego zęby wyszczerzał i warczał.

—»Dobrze mówisz Szampan; zażyjmy tabaki, to pomaga, gdy kto ma głowę tak zajętą... U mnie każdy półmisek ma swój cel i znaczenie.—»JW. hrabia nic nie czyni na próżno.—»Na przykład: zaprosiłem barona niemieckiego, prefekta, bankiera, bardzo bogatego anglika, sławnego poetę i wyższego oficera w czynnéj służbie. — Trzeba potraw stósownych do tych biesiadników; słyszysz mości kuchmistrzu? najmniejszego zaniedbania, tegobym nie przebaczył.—»Jaśnie wielmożny hrabia będzie zadowolniony.

—»Zobaczemy co mi dasz na leguminę. Ajax... cicho bądź, leżeć... Sułtanka a la Chantilly. Do licha! czym źle wybrał? »Co mówisz Szampan? —»O, panie hrabio! to rzecz bardzo znamienita! sułtanka! u licha... lepiéj nie usłużonoby samemu sułtanowi.—»Leżeć Ajax.... Pularda z truflami: postawiemy ją na przeciw prefekta. Hę... cóż mówisz Szampan? —»Bardzo trafnie; zapach trufli usposabia do dobrotliwości. —»Właśnie mam go prosić o pewną rzecz i zaczekam na drugie danie. Zobaczmy... Dwie kaczki dzikie .. usiądę na przeciw nich, bo dwie kaczki dzikie, oznaczają myśliwego; a wiesz mój Szampan, żem trzy razy zranił sarnę. —»To prawda, panie hrabio i byłby ją pan zabił nareście, gdyby nie była zdechła ze starości. Galaretę postawiemy przed poetą, to jest cóś ulotnego, tajemniczego. A co Szampan? —»Ach panie! to prześliczna allegorya. Gdym był poetą, zrobiłbym piędziesiąt wierszy o galarecie. — »A więc zgoda, mości kuchmistrzu; zrobisz galaretę w rodzaju romantycznym... Czy masz jakiego kuchcika, któryby się znał na

http://rcin.org.pl

tym rodzaju. — »J. W. Panie, mam dwóch kuchcików z Paryża; ale nie mam romantycznego. — »A więc sam ją zrobisz. Leżeć Ajax! ten łotr zawsze mi przerywa. Plumpudding będzie stać przed anglikiem, rzecz bardzo naturalna. A zwłaszcza niechaj będzie duży, bo na ostatnim obiedzie był u mnie pewien milord; podano mu półmisek, zabrał wszystko co było na nim i nikomu się nie dostało.—»Zrobię dwa razy tak wielki. —»Zrób trzy razy tak wielki, na przypadek. Potrawę z karafiołów postawiemy przed baronem; Niemcy lubią jarmuż, a więc lubić muszą i karafioły. A co Szampan, wszak dzielnie rozumuję?... — »O! nie lada kto mieć może takie wyobrażenia.» W téjże chwili weszła Lucylla.

— »Kto tam? zawołał rozgniewany Frankornard.« Ajax szczekać zaczął. Rozkazałem aby mi nie przerywano.

—»Panie! to panna Lucylla; rzekł Szampan przyjemnym tonem, uśmiechając się do garderobiany, która zbliżyła się i nie zważa bynajmniéj na gniew pana hrabiego.

—»Panno Lucyllo: rzekł nieco łagodniéj pan Frankornard spoglądając na młodą dziewczynę, do któréj krzywi się zamiast uśmiechu. Leżeć Ajax... cicho bądź i skacz dla Lucylli... Skacz hultaju i jeszcze wyżéj.

Pies; po wielu ceregielach przeskakuje nareście przez laskę, a potém wspina się na brzuch kucharza, który ledwie może ochronić swój nos od zębów Ajaxa: co bardzo ubawiło hrabiego. Ale panna Lucylla obojętna na grzeczności Frankornarda, daje znak Szampanowi, ten zaś wystawia panu hrabi, iż garderobiana nie przyszła zapewne dla samego tylko przypatrywania się figlom Ajaxa.

—»A ja mam jeszcze zarządzić wety! zawołał pan de Frankornard. No, Lucyllo! Cóż cię tu przyprowadza? Mów, jestem bardzo zatrudniony. —»Panie, moja pani chce przez chwilę pomówić z panem.—»Pani hrabina chce się widzieć ze mną! rzecze pan Frankornard wytrzeszczając oko, z oznaką największego podziwienia: natychmiast przyjdę.

Lucylla odchodzi. Pan hrabia każe kuchmistrzowi, aby czekał na jego rozkazy względem trzeciego dania, po tém dzwoni na kamerdynera, ubiera się, a przez ten czas rozmawia ze swoim powiernikiem Szampanem. —»Cóż ty myślisz o tem że pani hrabina kazała mię poprosić? — »Bo zapewne chce coś powiedzieć JW Panu. —»I ja tak mniemam; ale od ośmiu lat jakeśmy się pobrali, piérwszy raz dopiero żona moja chce mi coś powiedzieć. — »Wszystko musi mieć swój początek JW Panie. — »O! to prawda, ale chciałbym aby ten początek nie przychodził tak późno. Wiesz że w pierwszych latach po naszém pobraniu się, pani hrabina podróżowała bez ustanku i żeśmy się bardzo rzadko widywali.—»Pamiętam jak najlepiéj JW Panie, i o téj podróży do Sabaudji gdzie ledwie nie wpadliśmy w przepaść, z panną Adolfiną. Takem się nastrachał.—»I byłeś tak niezgrabny, żeś to wszystko rozgadał za powrotem; dowiedziała się pani hrabina, a i tak już gniewała się na mnie, żem jéj

http://rcin.org.pl

porwał córkę. Bardzo rzadko chce czynić honory przy stole gdy daję wielki obiad. — »Szczęście że pan hrabia może czynić honory za dwóch.—»Tak, ale kobieta bardzo pięknie wygląda przy stole, a zwłaszcza kiedy jest tak ładna, jak pani hrabina; bo moja żona jest bardzo ładna.—»Pani jest piękna, to prawda. — »A kiedy chcemy zrobić jaką spekulacyą, obecność ładnéj kobiety przy obiedzie, bardzo się przyda. — »Czy pani będzie na dzisiejszym obiedzie?— Odmówiła mi wczoraj, a przecież jest to okoliczność bardzo ważna dla mnie. Chcę zrobić interes z bankierem; mam dobra w departamencie prefekta; poeta przyrzekł mi iż wspomni o mnie w swoich wierszach; anglik targuje moje konie; wiesz z resztą że nikogo nie zapraszam bez przyczyny. — O! znam ja dowcip JWpana. A pani hrabina nie chce bydź na tym obiedzie?—»Nie, ale ponieważ przysłała po mnie, nie musi to bydź bez przyczyny; dowiemy się o co idzie. — »Jużem ubrał JWPana. —»Czy wezmę Ajaxa?—»Pani nie lubi zwierząt. — »Wiem o tém, ale Ajax umie teraz prześliczne sztuki; uzupełniłem jego edukacyą; niechaj się pani przekona. Ajax! pójdź za mną.

Pan hrabia idzie do pokojów żony. Jestem tam jeszcze; Adolfina pokazuje mi swoje zabawki. Szczekanie Ajaxa oznajmia przybycie jego pana. Jakoż wszedł pan Frankornard, a za nim jego pies, który na początek porywa lalkę dziecięciu i ucieka z nią pod stół.

Hrabia z uszanowaniem wita żonę i chce prawić grzeczności, gdy w tém Adolfina krzyczy: »Mamo! moja lalka! ten brzydki pies porwał moją lalkę... zje mi ją!—»Co panie! przyprowadzasz psa ze sobą, chociaż wiadomo ci, iż się go boi moja córka?—»Pani! chciałem... To Ajax; pani! spodziewałem się... Ajax, puść to, puść hultaju! To nic nie szkodzi; zaręczam że jéj nie zje.—»Ależ panie, odbierz że mu tę lalkę.. czyliż kto słyszał! to dziecię płacze!—»Ajaxie, łotrze, połóż!

Pies nie chce słuchać, wziął lalkę między przednie łapy i ciągle siedząc pod stołem, patrzy jak gdyby nas wyzywał. Chcę odebrać lalkę; biegnę ku stolikowi. Pies przestraszony tym nagłym ruchem, rzuca się i wywraca piękny serwis porcelanowy. Ale odebrałem lalkę, przynoszę ją Adolfinie, a pies chowa się pod krzesło swego pana i warczy.

—»Trzeba przyznać iż mi pan okazujesz bardzo piękne widowisko: rzekła pani hrabina, biorąc dziecię na kolana, a pan de Frankornard zmieszany szkodą którą Ajax zrządził, mówi:—»Pani, gdyby nie ten chłopczyk, Ajax nie byłby stłukł filiżanki. — »Dosyć tego panie. Mówmy o czém innem. To dziecię chciałam panu przedstawić. Czy je poznajesz panie?— »Ja pani? alboż ja się zadaję z dziećmi? —»Nie mówię tego. Pytam się pana czy nie przypominasz sobie tego dziecięcia?— »Nie, pani. — »Jego to potrąciłeś twoim karyklem i zraniłeś dosyć ciężko. — »To ten chłopczyk? Nie, pani; gdyż ja potrąciłem tylko Sabaudczyka, który mi się naprzykrzał i nie chciał się ustąpić. — »To dziecię jest tenże sam Sabaudczyk;

http://rcin.org.pl

naprzykrzał się aby ci oddać ten medalion, który widzisz na szyi Adolfiny. Zgubiła go w Sabaudyi, w chatce tego biednego człowieka, który ci przed czterema laty życie ocalił. — »Doprawdy!... leżeć Ajax! — »I odkąd jest w Paryżu, ciągle szukał ciebie, aby ci oddać ten klejnot; dla tego to przystąpił do ciebie na bulwarze; dobrze mu zapłaciłeś za jego wierność.

—»Proszę pani! czyliż mogłem o tém wiedzieć? Gdyby był przyszedł z portretem w ręku, byłbym zobaczył, że... Ale bez wątpienia będę wspaniałomyślnym... Mam właśnie przy sobie piętnaście soldów.. i.. —»Fe! panie... chcesz się obejść z synem tak, jakeś wynagrodził ojcu; ale ja twój dług wypłacę. Odtąd dziecię to będzie mieszkać w tym pałacu, towarzyszyć mi będzie jeżeli pojadę na wieś; przywięzuję go do mojéj osoby.—A!.. rozumiem; będzie żokejem. —»Nie mości panie, Andrzéj nie będzie służącym. — »Przecież zdaje mi się że Sabaudczyk.... — »Jest człowiekiem takim jak i drudzy, a częstokroć przez swoją rzetelność i delikatność wyższym jest nad tych, którzy nim pogardzają.— »To bardzo dobrze, ale poczciwość i delikatność nie przeszkadzają do czyszczenia kominów; nie rozumiem co z nim zrobić... Cicho Ajax. — »Zrobię co mi się podoba, panie. Andrzéj będzie po tém moim sekretarzem; ale nie pozwolę aby uważano za służącego, syna tego człowieka, któremu winna jestem życie Adolfiny. Dla tego to panie prosiłam cię. — »Ależ pani... Żadnego ale; pochlebiam sobie, że będziesz szanował moje życzenia, a w zamian za dobrotliwość jaką mieć będziesz dla tego dziecięcia, zechcę niekiedy znajdować się na jego ceremonialnych obiadach. — »Co pani, raczyłabyś? a na dzisiejszym? — »Będę panie. —»Ach pani! jakże się cieszę!.. Ajax, skacz dla pani hrabiny. — »Nie, tego nie potrzeba.— »Czy chcesz aby skakał dla Jędrusia? — «Nie, nie, niechaj nie skacze dla nikogo. Wszystko przewraca do góry nogami.—»Bo umie teraz prześliczne sztuki. — »Miałam tego dowód przed chwilą. — »Teraz wydam rozkazy względem trzeciego dania i spodziewam się pani, że będziesz zadowolona z tego co uczynię. —»Znam pana talenta do tych wszystkich szczegółów.»

Piękna Karolina, nic jeszcze tak przyjemnego nie powiedziała mężowi. Pan de Frankornard nie może się nacieszyć; ale chcąc pocałować rękę żony, przyskrzybnął nogą od krzesła, ogon Ajaxa, a skowyczenie psa znowu przestrasza Adolfinę. Nareście wychodzi, a za nim pies jego, który nim dostał się do drzwi, przeleciał po wszystkich meblach w pokoju. Natychmiast po wyjściu hrabiego, moja opiekunka skinęła abym poszedł za nią. Wprowadza mię do ładnego pokoiku i powiada mi iż to jest moje pomieszkanie. Tam jestem zdala od służących i tylko pokój panny Lucylli jest na przeciw mojego; będę więc mógł spokojnie zajmować się nauką i pójdź do pani hrabiny, skoro tylko mię zawoła. Lucylla przyrzeka, iż będzie mieć o mnie staranie. Nie będę jadał ze służącemi

http://rcin.org.pl

Lucylla przyniesie obiad do mego pokoju. Jest to bardzo dobra dziewczyna; powiedziała pani że jestem ładny chłopiec, że byłaby szkoda, gdybym był pozostał kominiarzem. Pani, rzekła do mnie, wychodząc: —»Od jutra Andrzeju, przyślę ci nauczycieli; pracując okażesz się godnym tego, co zamyślam uczynić dla ciebie.

Sam pozostawszy, zaczynam przyglądać się wszystkim sprzętom w pokoju; dziwię się wszystkiemu; znajduję w szufladach bieliznę i suknie, stósowne do mojego wzrostu. Przymierzam jedne po drugich; na biórecku leży ładny woreczek jedwabny; w nim są pieniądze, a przy nich papier i cóś jest na nim napisane. Ach! gdybym umiał czytać!.. Nie śmiem dotknąć się tych pieniędzy; nie wiem czy są dla mnie. Cóż mi po pieniądzach, kiedy mam więcéj nawet niżeli potrzebować mogę? A przecież czuję, że gdybym miał pieniądze, ofiarowałbym jaki podarunek Anusi, na dowód że o niéj nie zapominam.

Okno mego pokoiku wychodzi na podwórze pałacowe; spoglądam przez kilka chwil; przechodzą sami tylko służący, kuchciki: tu nie jest tak wesoło jak u Bernarda. Już znam wszystkie sprzęty mego pokoiku, wszystkie moje suknie; nie wiem co robić, nudzę się i chciałbym odwiedzieć moich przyjacioł; ale nie śmiem wyjść bez pozwolenia pani, a nie wiem jak prosić o nie.

Siadam smutny, myślę o Anusi: o téj właśnie godzinie tańcowaliśmy razem, wydając tak radosne okrzyki, które słychać było aż na pierwszém piętrze. Tu, jakież milczenie! Bez wątpienia, nigdy nie tańcują tu i nie śpiewają.

Otworzono drzwi. Panna Lucylla weszła z koszyczkiem w ręku. —»I cóż Jędrusiu? cóż tu robisz?—»Nic panno Lucyllo. —»Jest smutny!.. nudzi się. Biedny chłopiec! jeszcze dziwi się nad zmianą swego położenia. Ale nazwyczai się do wszystkiego, a najprzód pałac nie jest tak wesoły jak jego pomieszkanie, gdzie dokazywał ze swojemi kolegami. —»Ależ mościa panno, przychodzę od pana Dermilly i nie dokazywałem, ponieważ byłem chory.« Na wzmiankę pana Dermilly, młoda garderobiana, uśmiecha się złośliwie. Potém zachęca mię abym jéj opowiedział moją historyą: gdyż panna Lucylla jest trochę ciekawa. I ja też pragnę mówić; słucha uważnie i tylko czasami zawoła: »Ten biedny Jędruś! ten biedny Piotruś! przyszli z tak daleka i zgubili się pierwszego dnia... Zacny to człowiek ten Bernard! a pan hrabia ledwie nie roztratował chłopczyka, za to, że mu chciał oddać miniaturę pani.

Skończyłem i pytam się panny Lucylli czy pan Dermilly odwiedzi mię w pałacu i czyli będę mógł wyjść kiedy mi się podoba?—»Bez wątpienia, jeżeli pani pozwoli, wyjąwszy tylko wieczorem; gdyż w twoim wieku Jędrusiu nie możesz wychodzić sam jeden. —»O, nie zabłądzę! Znam Paryż. Oprócz tego, pójdę tylko do Bernarda i do pana Dermilly. — »O! pana Dermilly będziesz mógł widywać

http://rcin.org.pl

w pałacu; prawie zawsze maluje dla pani. Pan Dermilly daje lekcye rysunku pannie Adolfinie. Dawniéj przychodził częściéj, ale pani postrzegła, iż ludzie zaczęli gadać, a pani bardzo dba o swoją reputacyą. Mimo tego, pan Dermilly dosyć często bywa. Zdaje mi się, iż trochę poróżnił się z panem hrabią, bo nie chciał odmalować portretu jego paskudnego Ajaxa. Ale, ale, zapomniałam dać ci obiad. U nas jadają dopiero o szóstéj, ale pani mniemała, iż musisz bydź głodnym. Masz, jedz maleńki.

Panna Lucylla położyła na stoliku rozmaite smaczne jedzenie. — »Co! dla mnie to wszystko? rzekłem do niéj. — »Bez wątpienia. — »Ale to za wiele! — »O nie! nie! Będę pamiętała o tobie. Skoro tylko czego zażądam, wszyscy mi są posłuszni na wyścigi... Kucharz, piwniczny, pan Szampan, wszyscy zalecają się do mnie; nawet pan hrabia każe dla mnie skakać swojemu psu, tak śmiesznie patrząc na mnie swojém jedyném okiem, O! stary głupiec.» Gdy tak rozprawia panna Lucylla, zajadam przysmaczki i tylko powtarzam często.—»Ach! gdyby tu był Piotruś, jakżeby się uczęstował! — »Dobre ma serce ten Jędruś! rzecze Lucylla lekko trącając mię po twarzy. Zrobiemy co z niego. O Boże! a ja zapominam że pani czeka na mnie przy gotowalni! Bądź zdrów Jędrusiu.» Lucylla wychodzi; zatrzymuję ją prosząc aby mi przeczytała co napisano na papierze przypiętym do ładnéj sakiewki.—»Czy nie umiesz czytać?—»Nie, panno Lucyllo — »Musisz nauczyć się czemprędzéj... to wstyd... A późniéj kiedy chcemy napisać do naszéj przyjaciołki? — »O! moja także czytać nie umie. — »Co! Jędrusiu, czy już masz przyjaciołkę? — »Alboż to matka panno Lucyllo nie jest naszą dobrą przyjaciołką?—»Ależ Jędrusiu to... Ach! jakże jestem nieuważna że mu chcę powiadać o tém!» Zobaczymy Jędrzeju co jest na papierze. »*Dla Jędrusia, na jego drobne wydatki*» to ma się znaczyć, że możesz robić z temi pieniędzmi co ci się podoba.— »Co! z tém wszystkiém?—»O, pani jest hojna! Zobaczmy wiele to jest; dwadzieścia... trzydzieści... trzydzieści sześć franków. Piękna kwota... Za trzydzieści sześć franków można wiele kupić. — »Ale ja niczego nie potrzebuję. — »Wtedy odkłada się, zbiera; przyjdzie czas kiedy nam się przydadzą pieniądze. Ja także mogłabym kupować mnóstwo rzeczy, ale nie jestem zalotną; to prawda że pani daje mi wszystkie swoje suknie i czepki. Ach! ach! mój Boże! pani czeka na mnie, już jest szósta. Bądź zdrów Jędrusiu, jak będę miała czas, przyjdę pogadać z tobą.

Odeszła; zjadłem obiad. Turkot powozów przyciągnął mię do okna. Piękne powozy zajeżdżają na podwórze pałacu; wysiadają z nich panowie; ale są wszyscy ubrani czarno i nie widzę nic zabawnego w ich twarzy. Wielki ruch jest w pałacu. Służący snują się bez ustanku; jedni przynoszą półmiski, drudzy butelki; ci klną, tamci się śmieją. Przez kilka chwil przypatrzywszy się temu obrazowi, odchodzę od okna, a że u Bernarda

http://rcin.org.pl

nazwyczaiłem się zawczasu iśdź spać; kładę się do łóżka w téj właśnie porze, kiedy wszyscy zasiadają do obiadu.

ROZDZIAŁ XII.

FIGLE PANA SŁOWICZKA.

Gdym się obudził, najgłębsze milczenie panowało jeszcze w pałacu, a przecież już dawno słońce weszło. Wstaję, wyglądam przez okno; nie widzę nikogo. Chciałbym pójśdź do Bernarda; nie widziałem go wczoraj; pewien jestem iż Anusia gniewa się na mnie. Pani pozwoliła mi odwiedzać moich przyjaciół; już nie mogę wytrzymać, pobiegnę do nosi-wody.

Wychodzę z mego pokoju, zbiegam na podwórze. Nikogo nie spotykam, nie widzę ani jednego ze służących. Jakże śpią w tym domu! Ale brama wjezdna jest zamknięta. Odźwierny jeszcze nie otworzył swojéj izbedki. O Boże! cóż tu począć? A przecież chciałbym wyjśdź! Przechadzam się wzdłuż i wszerz po tém wielkiém podwórzu; spoglądam na okna: żadne się nie otwiera; pokasluję przechodząc koło pomieszkania odźwiernego; pukam lekko w szybę: nikt mi nie odpowiada. Trzeba więc powrócić do pokoju. Smutnym wydaje mi się ten pałac, gdyż z niego wyjśdź nie mogę. Ci ludzie gotowi są spać, jeszcze dwie albo trzy godziny. A przez ten czas, tak byłbym szczęśliwy przy mojéj Anusi! Ale muszę wyrzec się jéj towarzystwa. Wszedłszy na górę, zatrzymuję się przede-drzwiami pokoju panny Lucylli. Młoda garderobiana tak jest dobra, iż przyszło mi na myśl, poprosić jéj aby mi ułatwiła wyjście z pałacu. Przypominam sobie, iż mi powiedziała że po hrabinie ona rządzi całym domem. Jesteśmy śmielsi przy ładnéj kobiecie; ma w sobie tak przyjemny, tak zachwycający pociąg. Zapewne doznałem jego wpływu, gdyż bez wahania się, zapukałem do drzwi panny Lucylli.

Dziewczęta śpią lekko; wkrótce zapytała się: »Kto tam? —»To ja, panno Lucyllo, Andrzéj!.. —»Co? jużeś wstał Jędrusiu? Ale szalony jesteś z tak ranném wstawaniem. Jeszcze nie ma szóstéj. O ósméj wstajemy w tym domu, a państwo o dziewiątéj. Cóż chcesz robić tak wcześnie? —»Ach panno Lucyllo! chciałbym pójśdź do ojca Bernarda; od tak dawna on i Anusia już wstali. —»A dla czegóż nie idziesz?—»Brama jest zamknięta; odźwierny śpi, a jednakże dwa razy zapukałem do okna. »Nie wiem co robić... »Ach! gdybyś była tak dobra i kazała mi otworzyć.— O Boże! kiedy te dzieci nabiją sobie czém głowę. Spałam tak dobrze! No zaczekaj... —»Dobrze panno Lucyllo.

Lucylla jest żywa, za dwie minuty włożyła spódniczkę, kaftanik i zarzuciła na głowę, ładną chusteczkę jedwabną. Chociaż mam dopiero półdwunasta roku, widok młodéj garderobiany w tym porannym stroju, zmieszał mię; zapłonąłem się, sam nie nie wiem dla czego... Panna Lucylla ma dopiero lat osiemnaście; jest przystojna, oczy jéj są żywe i figlarne, usta świeże, nosek trochę zadarty,

http://rcin.org.pl

nie jest to piękność, ale ładna dziewczyna, z rodzaju tych którym zazdroszczą wielkie damy, a które nie jednemu uczciwemu człowiekowi głowę zawrócą.

Stoję przed panną Lucyllą, zmieszany, ze spuszczonemi oczyma; zdaje mi się że zgaduje przyczynę mego pomieszania, po tém żywo zbiega na schody mówiąc: — »Pójdźże Jędrusiu, o czém że myślisz? Jéj głos wywodzi mię z odurzenia; idę za nią. Doszedłszy do izdebki odźwiernego, pokazuje mi sznurek: —»Za to trzeba pociągnąć, rzecze, jeżeli chcesz aby nam drzwi otworzył.«—Jakoż za chwilę otworzyła się brama. Ach! jakże jestem kontent żem wyszedł na ulicę. —»Nie baw się długo!« woła na mnie Lucylla. Nie słucham jéj... Już jestem daleko.

Za kilka minut przychodzę do Bernarda. Dobry Owerniak usiłował pocieszyć córkę, która nie widząc mię od dnia onegdajszego, rozumiała że już nie przyjdę. Z moją obecnością powraca radość do ich pomieszkania. Opowiadam wszystko co mi się przytrafiło, com uczynił. — »Bądź roztropnym i posłusznym: mówi do mnie Bernard: stań się godnym dobroci téj wielkiéj damy, a ponieważ jesteś na drodze szczęścia, trzymaj się jéj mój chłopczyku.

Ojciec Bernard idzie na robotę, ale ja mogę aż do dziewiątéj zostawać przy Anusi. Jakże nam prędko czas ubiega! Moja biedna siostrzyczka tak jest kontenta.— »Jeżeli będziesz wielkim panem, rzekła do mnie, nie zapomnisz o nas Jędrusiu? zawsze kochać nas będziesz?« Przyrzekam Anusi że ją co rano widywać będę; to zapewnienie powraca jéj wesołość; zostawiam ją nie tak smutną. Zdaje mi się że powinienem odwiedzić także pana Dermilly.—»Czekałem na ciebie: rzekł do mnie: odwiedzaj mię zawsze kiedy nie pójdę do pałacu hrabiego. Mówię z nim o mojéj opiekunce, o jéj dobroci; słucha mię z upodobaniem! To rzecz prosta, ona jest tak dobrą!

Wróciwszy do pałacu, postrzegłem iż służący z ukosa spoglądają na mnie i szeptają: »To jest protegowany pani hrabiny.« Kłaniają mi się nisko i dziwią się że nawzajem jestem grzecznym: czyliż to nie jest we zwyczaju w wielkich pałacach? Pani kazała mię zawołać; opowiadam jéj com uczynił. Gdym wspomniał o mojéj bytności u pana Dermilly, każe mi powtarzać wszystko co mi powiedział, i mówi abym często bywał u niego. Dziękuję pani za pieniądze które mi podarowała.—»Użyj ich na dobre, Jędrusiu, rzekła, a co miesiąc dostaniesz podobną kwotę.

Urządzono moje zatrudnienia. Aż do czwartéj powinieniem pracować w moim pokoju: tam przychodzić będą nauczyciele; potém bawić się będę u pani, aż do pory obiadowéj; a wieczorem powrócę tam jeszcze, jeżeli nie będzie gości.

Pierwsze dni tego nowego sposobu życia, wydają mi się bardzo długie, bardzo jednostajne; ta praca tak jest nowa dla mnie. Ale wkrótce chęć zasłużenia na względy mojéj opiekunki, przezwyciężyła początkowy niesmak. Przez pilność moją chcę jéj

http://rcin.org.pl

dowieśdź że jestem godnym jéj dobrodziejstw. Po niejakim czasie, znajdując powab w nauce; rozwijają się moje wyobrażenia; im się bardziéj uczę, tém bardziéj czuję wartość edukacyi.

Pani hrabina tak jest dobra, z takiém upodobaniem spogląda na moje postępy, iż to jeszcze podwaja moją gorliwość. Pan Dermilly zachęca mię także. A gdy mała Adolfina rozmawia ze mną, już nie słyszy tych prostackich omyłek w mowie, które popełniałem dawniéj, a z których przecież nie śmiała się nigdy. Tak dobra jak jéj matka, zalewa się łzami słysząc opowiadanie nieszczęścia i dopiero wtedy pociesza się, kiedy matka powie że mu pomoc przyniesie. Nazywa mię swoim Jędrusiem; kiedy co złego zrobi, mówią do niéj: »Jędruś nie będzie bawił się z tobą» a natychmiast usiłuje się poprawić.

Prawie co rano odwiedzam Bernarda. Wychowanie zmienia moje obejście się i mowę, ale nie zmieni mego serca. Moi przyjaciele zawsze mi będą drodzy. Anusia mówi do mnie wzdychając: »Zrobią z ciebie pięknego panicza. Gdy się nauczysz, poznasz że jesteśmy bardzo ciemni.»

Ściskam moją siostrzyczkę i usiłuję dać jéj do zrozumienia, że rozum i czułość, są to dwie rzeczy, których nie może szczęście ani odjąć ani nadać.

Już sześć miesięcy jestem w pałacu pana hrabiego; raz go tylko widziałem od czasu mego przybycia, spojrzał na mnie z pogardą i pomruknął. »To mały Sabaudczyk!« a potém pogłaskał swego psa. Jakże jestem szczęśliwy, że go częściéj nie widuję! Ale gdy idzie do pani, co się bardzo rzadko zdarza, ostrzega mię szczekanie Ajaxa i uciekam czém prędzéj. Panna Lucylla ciągle jest dla mnie dobra i postrzegłem że jéj łaska jest rzeczą bardzo ważną. Odźwierny gniewał się że go budzę co rano. Panna Lucylla powiedziała mu, iż mogę wychodzić kiedy mi się podoba, a przestał szemrać; pan intendent śmiał spoglądać na mnie z urąganiem, Panna Lucylla rzekła, iż uwiadomi o tém panią, a Jmć pan Szampan jest odtąd bardzo grzeczny. Pani domu nie może wdawać się w tysiące szczegółów, które nie ujdą oka służącéj, i widzę iż nie trzeba pogardzać małemi figurami. Dzięki dobroci Karoliny, posiadam blisko dziewięć luidorów. Usłuchałem Lucylli, zbierałem, ale w tym zamiarze, aby dać ładny podarunek Anusi. Chcę jéj ofiarować rzecz mającą jakąś wartość i nie wiem co wybrać. Moja matka na długi czas ma wszystko czego może potrzebować. Powinienem więc okazać wdzięczność moją tym, którzy mi dali przytułek; pewien jestem, iż matka pochwali to postępowanie. Znaczną kwotę posiadam; cóż więc kupię? W moim wieku łatwo można bydź oszukanym. Chcę poradzić się Lucylli, a przecież pragnąłbym sam wybrać, gdyż pewien jestem, że to co wybiorę, lepiéj podoba się mojéj siostrze.

Ilekroć wychodzę, zawsze biorę ze sobą pieniądze; zatrzymuję się przed sklepami, dziwię się szalom, materyom: ale Anusia nie będzie w nich chodzić. Zegarek byłby ładnym po-

http://rcin.org.pl

darunkiem, ale za osiem luidorów czyliż dostanie zegarka? Wyobrażam sobie iż to musi drożéj kosztować.

Pewnego poranku, idąc do pana Dermilly, myślałem o pięknym zegarku, któren widziałem u zegarmistrza, gdy przede-drzwiami malarza, postrzegłem człowieka który przechadzał się nucąc aryę z opery komicznéj.

Po jego postawie, po głosie, po kapeluszu włożonym na bakier i niechlujstwie sukien, poznaję natychmiast pana Słowiczka, modelisty, który był zjadał konfitury i tak nastraszył poczciwą Teressę. Ze swojéj strony, Słowiczek mierzy mię oczyma, a potém przychodzi do mnie uśmiechając się, jak człowiek, który spotyka najlepszego przyjaciela.

—»Tyżeś to mój maleńki... Nie mylę się; widziałem cię w pracowni. Jakże jesteś pięknie ubrany!.. Dobrze ci się powodzi. Czy jesteś modelem u jakiego milorda, amatora malarstwa?—»Nie panie.—»A więc źle robisz. Masz bardzo ładną figurę, rośniesz; posłuchaj mię, bądź modelem, rzuć się w piękne sztuki, zostań artystą. Artysta wolny jest jak ptaszek: wyjąwszy wtedy kiedy nie ma ani szeląga, jak mnie się teraz przytrafiło: ale, *to dzwono raz na górze drugi raz jest na dole*! Panowie malarze mają czasem swoje grymasy, porzucają starożytne wzory; wolą malować pantalony, niżeli muskuły; ale na ostatek muszą zawsze powrócić do dobréj szkoły. Grecy i Rzymianie będą zawsze korpusem odwodowym. Tymczasem przechadzam się, nie śmiejąc wnijśdź do domu pana Dermilly; pewnie zapomniał już o naszém nieporozumieniu; ale stara gotowa mi oczy wydrapać. Czekam więc dopóki nie wyjdzie. Ale ty co robisz maleńki?— »Jestem u pani hrabiny Frankornard, która mię wzięła na opiekę.—»Hrabina Frankornard: to nie jest nazwisko ani greckie, ani rzymskie. Zdaje się iż dobrze jadają u pani hrabiny; wyglądasz jak pączek w maśle.—»O! pani tak jest dobra, mam u niéj wszystko czego mi potrzeba, daje mi także pieniądze na moje zabawki.—»Masz pieniądze? zawołał Słowiczek z ciężkiem westchnieniem, a ja od wczoraj nic nie jadłem. — »Co? nic nie jadłeś od wczoraj! rzekłem wyjmując sakiewkę z kieszeni. Ach! weź, weź panie Słowiczek; dla czegóżeś wprzódy o tém nie wspomniał! Na widok złota, Słowiczek osłupiał; drapie się w ucho, naciska kapelusz, przygryza sobie usta, zdaje się iż rozmyśla głęboko. Trzymam wręku sztukę pięcio frankową i daję mu ją, powtarzając.—»Weźże panie Słowiczek, pójdź na śniadanie, musisz bydź głodny.—»Bacznie spogląda na mnie, chowa pieniądz, niesie chustkę do oczu i ciężko wzdycha.—»O! tak bez wątpienia, jestem głodny: rzecze po chwili: ale niestety nie niestety nie sam jeden jestem głodny! Ach, mój Jędrusiu! ty który masz tak czułe serce, cóż byś zrobił gdybyś zobaczył to, co ja wczoraj widziałem?—»Cóż widziałeś? rzekłem wzruszony poetycznym tonem jego i widząc iż bez ustanku trze oczy chustką.— »Mój przyjacielu, Paryż jest niebezpiecznem miejscem dla serc czułych; częstokroć doświad-

czamy bolesnych wrażeń. Szczęśliwy ten, kto może hojnie rozrzucać dobrodziejstwa swoje, od dołu aż do szóstego piętra i którego oko zdoła odkryć pod wytartą odzieżą nieszczęścia, zasługi i talenta walczące z nędzą i pluskwami!

— »Cóż więc panie Słowiczek?» —»Zaczekaj, zaraz ci opowiem. Wczoraj wieczorem powracałem z salonu Flory, śpiewałem podług mego zwyczaju, zawsze wesoł i bez troski. Miałem wstąpić na wieczerzę. Nie miałem czasu zjeść obiadu. Było jeszcze trzydzieści sześć soldów w mojéj kieszonce, owoc mojéj pracy i oszczędności; gdy w tém na zakręcie ulicy zatrzymuje mię głos łagodny, głos który przenika serce i mówi do mnie przerywając sobie co chwila, dla utarcia nosa. »Czuły człowiecze, ulituj się nad moim ojcem, nad moją ciotką, nad moim bratem, i nademną! Od ośmiu dni jużeśmy nie jedli, a przez osiem dni wprzódy żyliśmy kotami które wałęsają się po dachach. Jestem córką artysty, ale nieszczęście ściga talenta. »Córka artysty! rzekłem, zaprowadź mię natychmiast do twojego ojca. Wszyscy artyści są braćmi; należy mu się pomoc i opieka.» Na te słowa, młoda dziewczyna, piękna jak gwiazda poranna kiedy nie padało w nocy, chwyta mię za rękę, wołając: »Opatrzność sprowadziła cię do téj części miasta! Pójdź, powróć szczęście całéj familii!« Natychmiast prowadzi mię do sieni czarnéj jak komin: idziemy aż na siódme piętro po krętych schodach. Kilkakrotnie zbiłem sobie nos o ścianę. Ale nie czujemy tego wszystkiego, kiedy chcemy ratować nieszczęśliwych. Nareście wchodzę do ich pomieszkania. —»Ach! mój Jędrusiu, co za obraz: *Smutna ofiara nieszczęścia!* Ojciec nie ogolił brody od dwóch tygodni; ciotka przedała nawet swoje podwiązki, brat chodzi w saméj koszuli... I to byli artyści! Natychmiast sięgam do do kieszeni, wyjmuję ostatnie trzydzieści trzy soldów, składam je u stóp starca i wybiegam na schody, nie czekając aż mi poświecą.—»Ach! dobrze zrobiłeś panie Słowiczek, żeś udzielił pomocy tym biednym ludziom. —»Zapewne... Gdybym był miał sto franków, byłbym je oddał; ale na nieszczęście zbyt szczupła jest ta pomoc. Dziś rano wstąpiłem do nich, czegóżem się dowiedział? Nie ludzki właściciel domu chce ich wyrzucić na ulicę; srogi wierzyciel zaprowadzi starca do więzienia, jeżeli dziś nie dostaną przynajmniéj ośmiu luidorów. O Boże! artysta na bruku! dziecię bez spodni! rodzina bez przytułku! Ach gdybym był bogatym, z jakążbym radością udzielił im wsparcia.! Ale niestety! nie mam nic prócz tych pięciu franków, którem od ciebie dostał i te z niemi podzielę.

Wzruszony, już się dłużéj nie mogę powściągnąć, oddaję Słowiczkowi wszystkie moje pieniądze, który właśnie po nie wyciągnął rękę.

(Dalszy ciąg w następującym zeszycie.)

http://rcin.org.pl

SABAUDCZYK.

ROMANS PAWŁA DE KOCK.

(Ciąg dalszy.)

—»Czułe dziecię, nie zawiodłem się na twojém sercu: zawołał Słowiczek chowając pieniądze do kieszeni. Przepyszny czyn wykonałeś. — »A zwłaszcza nie mów o tém panu Dermilly, rzekłem. —»O, bądź spokojny, nie wspomnę o tém nikomu. Te rzeczy powinny zostać w ukryciu, przez to podwaja się ich piękność. Żegnam cię mój Jędrusiu, biegnę do nieszczęśliwego starca...

Słowiczek pobiegł jak strzała. Stoję odurzony, cóż zaniosę Anusi? Nie mam pieniędzy, nie potrzebuję przyglądać się sklepom, wracam do pałacu. Nazajutrz po tém zdarzeniu, gdym pracował w pokoju, słyszę iż z lekka otworzono drzwi i weszła panna Lucylla. Rzekła do mnie tajemniczym tonem: —»Mój Jędrusiu, musisz mi uczynić przysługę. —»Przysługę! panno Lucyllo! mów, wszystko co odemnie zależeć będzie. —»Znam jak jesteś usłużnym i zapewne mi nie odmówisz. —»Cóż takiego? — »Musisz mieć pieniądze, jeszcze nie kupiłeś podarunku dla Anusi. Potrzeba mi dwudziestu franków; trafia mi się bardzo tanie kupno. Oddam ci za dwa tygodnie. Jakże? — »Bardzo chętnie byłbym to uczynił, ale... —»Ale co? mówże? —»Nie mogę. —»Nie możesz? Co panie Jędrzeju! nie masz we mnie zaufania; nie chcesz mi pożyczyć téj kwoty? Ach! fe! to brzydko tak bydź nieufnym! —»Ach, panno Lucyllo! czy możesz tak myśleć o mnie? gdybym miał pieniądze, wszystkie byłyby na twoje usługi. — »Gdybyś je miał! Jakto? czy już nie masz? —»Nie; jużem je wydał. — »Wydał! musiałeś więc uczynić piękny podarunek twojéj siostrze?

»Tak jest: odpowiadam po cichu. Żal mi że muszę kłamać: ale powiadając żem wszystko oddał nieszczęśliwym, pozbawiałbym się zasługi dobrodziéjstwa. Oprócz tego, Słowiczek polecił mi dotrzymanie tajemnicy. Lucylla nie bardzo się przekonała; słyszę iż mówi do siebie. »Musi coś bydź w tém.» I odchodzi, mówiąc: »Bądź zdrów panie Jędrzeju, nie spodziewałam się że już masz tajemnice.

Po niejakim czasie, uważam iż śledzą moje kroki. Jeżeli zadługo zabawię się u Bernarda, pytają się czyli byłem gdzie indziéj; nie mam sobie nic do wyrzucenia, a jednakże boli mię to iż młoda garderobiana już mi nie okazuje takiéj saméj przyjaźni. Dzięki wspaniałomyślności pani hrabiny, wkrótce będę mógł ofiarować Anusi podarunek od tak dawna zamierzony. Nie widziałem Słowiczka; prawda że pan Dermilly już od dwóch miesięcy wyjechał z Paryża. Za kilka dni, dostanę od mojéj opiekunki miesięczną pensyą, a wtedy mieć będę sześć luidorów. Czekam niecierpliwie téj chwili, aby mój zamiar przywieśdź do skutku.

Ale Słowiczek nie użył bynajmniéj tych pieniędzy na wsparcie nieszczęśliwych: jak się tego można było domyśleć; moja ofiara posłużyła mu do hulania po szynkach. Najprzód ogar-

http://rcin.org.pl

nął się trochę, to jest kupił sobie na tandecie frak i chustkę na szyję; pomyślał że reszta ubrania jeszcze ujdzie i przechadzał się po ulicach, z taką miną, jak gdyby był najbogatszym panem. Ale kilka luidorów nie na długo wystarczą; zastawił frak i znowu powrócił do dawnego rzemiosła.

Pewnego dnia, stojąc jako model do Antinousa, przypomniał sobie o mnie i umyślił znowu korzystać z mojéj łatwowierności. Natychmiast pobiegł czekać na mnie przed domem pana Dermilly; ale nadaremnie czekał przez kilkanaście dni, gdyż pana Dermilly nie było w Paryżu. Wie że jestem w domu hrabiego de Frankornard; póty więc biegał po całym Paryżu, dopóki nie dowiedział się, gdzie ten pan hrabia mieszka.

Czyści najlepiéj jak tylko można, swoją zatłuszczoną suknię, wyciera trzewiki ośrodkiem chleba, gdyż nie miał szuwaxu; zapina kamizelkę i zakłada halsztuch tak wysoko, iż mu prawie gęby nie widać; kładzie kapelusz na lewe ucho, zwija dwa pukle nad okiem prawém, a z laską w ręku, z miną gęstą i zuchwałą, idzie do pałacu pana hrabiego; stąpa na palcach i wybiera kamienie, jak gdyby się lękał o swoją toaletę.

Gdy wszedł na dziedziniec pałacowy, zatrzymuje go odźwierny: —»Gdziesz pan idziesz? »Słowiczek odpowiada śmiało:—»Do mojego przyjaciela» i chce przejśdź, ale jego mina nie wzbudza zaufania w odźwiernym; zatrzymuje Słowiczka mówiąc: »Zaraz, zaraz panie. A któż to jest twój przyjaciel? Nie można tak wchodzić do pałacu pana hrabiego.— »Mój kochanku, jest to młody Andrzéj.... syn przybrany pana hrabiego.

—»Syn przybrany?..—Tak jest, mały Frankornarek, czy rozumiesz?.. —»Ale pan nie ma syna, tylko córkę.—»Ale ja ci powiadam, że ma! Cztery będzie miesiące jakiem go widział wychodzącego z pałacu; jest to młodzieniec dwunastoletni, któren się zdaje mieć najmniéj lat czternaście. — »Ach! to Jędruś, to wychowaniec pani! — »Czy tam pani, czy pana, to wszystko jedno... wszak tu mieszka? — »Tak jest, teraz rozumiem. — »No, to powiedzże mi gdzie jego pokój; chciałbym z nim pomówić. — »Idź pan w głąb tego korytarza, potém weź się w lewo na drugie schody... — »Dobrze, dobrze...»

—»A Słowiczek idąc mruczał:

—»Co tu zachodów! myślałbym że idę do cesarza marokańskiego.»

Przybywszy na korytarz, na któren wychodzi dwoje schodów, Słowiczek nie przypomina sobie dobrze któremi ma pójść; idzie jednak na los, przebywa kilka pokojów, dziwiąc się piękności obicia, mebli, firanek i powtarzając sam do siebie: »Patrzcie! jak pięknie mieszka, muszę nie zarzucać takiéj znajomości; prawdziwą minę złota znalazłem.»

Służba, która poziewając czeka rozkazów pańskich, pyta się go gdzie idzie. Słowiczek bynajmniéj niezmięszany odpowiada dumnie: —»Do mego najlepszego przyjaciela.» Lokaje spoglądają na niego zadziwieni; lecz ponieważ śmiałość czyni za-

http://rcin.org.pl

wsze wrażenie, szczególnie na niższych, lokaje, którzyby wypchnęli nieśmiałego i pokornego żebraka, przepuszczają Słowiczka. Przybywa nakoniec do drzwi gabinetu, gdzie pan Frankonard odbywał podług zwyczaju tajemną naradę z Szampanem i kucharzem.

Lokaj stojący u drzwi na służbie, pyta go o imie. — »A to na co? — »Abym pana zameldował. — »Ja się potrafię sam zameldować. — »Taki zwyczaj. — »Do licha! co tu ceregielów... zamelduj więc Słowiczka, najpierwszego do torsów.»

Lokaj każe sobie dwa razy powtórzyć, oznajmuje nareście panu: ten spogląda na Szampana i na kucharza. —»Słowiczek... najpierwszy do torsów... Czy rozumiesz co to jest, Szampanie?... — »Słowiczek!... nie pojmuję ktoby to mógł bydź... torsy... Ale może to jaki nowy sos, któren wymyślono?... — »A wacan co na to, mości kuchmistrzu?... — »Jaśnie wielmożny panie, jest to nowy sposób przyprawiania cielęcéj główki.—»To rzecz ciekawa; ten człowiek przybywa do pałacu, posłyszawszy zapewne o moich obszernych wiadomościach gastronomicznych i o moich sławnych obiadach... Wpuścić pana Słowiczka; bardzo mu rad będę.»

Tymczasem, piękny model, zniecierpliwiony, bił laską w podłogę i śpiewał rulady.

—»Można wejść, rzekł lokaj. — »Jakie zachody! pomrukuje Słowiczek wchodząc do gabinetu i na samym wstępie uderza silnie laską w łeb Ajaxa, któren poskoczył ku niemu. »Leżeć, łajdaku!... to szkaradne psisko powalało mi łapami suknię.... Tylko mi się waż, uczęstuję cię niezgorzéj.»

Podobny wstęp niebardzo przemawia za nieznajomym. Szampan przyglądając się sukni Słowiczka, nie może wstrzymać uśmiechu, iż okazał tak wielką obawę, aby się jéj pies łapami nie dotknął. Ale ponieważ człowiek, który zna nowy sposób przyprawiania cielęcych główek, na szczególniejsze zasługuje względy, wybaczają mu to zuchwalstwo, a Słowiczek pomyślał: »Jak się zdaje, nie musi bydź Jędrusia w domu, ale pewno niezadługo przyjdzie... Może to jego protektorowie; trzeba pokazać, że umiem żyć na wielkim świecie.»

I aby okazać że umie żyć na wielkim świecie, Słowiczek ciągle kręci laską i nuci między zębami; potém przypatrzywszy się panu Frankonard odzywa się półgłosem: — »Co ten, to nigdy nie posłuży za model do Apolina... nieszpetny byłby z niego cyklopek. — »Mój przyjacielu, kto cię tu przysłał? — »Nikt, sam przyszedłem, bo mi się tak podobało.... — »Rozumiem, słyszałeś o moich obiadach i przychodzisz wesprzeć mię twoją radą. — »O pańskich obiadach?... Niech zginę jeślim kiedy o nich słyszał! Ale mniejsza o to, jeśli się panu podoba, zakosztuję ich z przyjemnością, a poznasz jaki zemnie zuch. — »Zakosztuje ich!... rzekł Jaśnie Wielmożny, spoglądając na Szampana: pewnie chciał mówić że mi ich da zakosztować. Musi ten człowiek wiel-

http://rcin.org.pl

ki talent posiadać, bo zdaje się bardzo pewny swego. —»I ja tak myślę, Jaśnie wielmożny panie. —»Ale przecie, któż Wacanu powiedział moje nazwisko?—»Kto? ten malec, któregom niedawno spotkał. —»Malec!... a to pewnie ten malutki kuchcik... —»Nie wiem czy kuchcik czy nie, ale nie byłoby nic dziwnego, bo pięknéj nabrał tuszy.— »Bez wątpienia: odzywa się kucharz: kuchcik musiał dadź adres.

—»Mości Słowiczku, będzie mi bardzo przyjemnie sprobować jego talentów. —»Czy pan także jesteś artystą, czy tylko pracujesz jak amator?—»Ach! ja jestem mistrz w téj sztuce!.. Szampan powie Wacpanu, jak umiem rozporządzić wszystkie trzy dania.—»Trzy dania!.. jeszczem nigdy nie służył za wzór do tego!..—»Czy pańska głowa będzie tak znaczna, iż będzie mogła służyć za danie, nie za przystawkę?. —»Moja głowa!.. To więc pan chcesz mojéj głowy? —»Nieinaczéj! —»Ale mnie zwykle biorą do korpusu.... —»Jak to? czy pan także robi i korpusy?.. —»To mój tryumf!.. —»Ale mniejsza o to, jeźli moja głowa zdaje się panu zdatna służyć za antyk, mogę mu służyć po dwa franki za posiedzenie. —»Dwa franki!.. rzekł Jaśnie Wielmożny spoglądając kolejno na Szampana i kucharza. To nie drogo! —»Nie musi to bydź co dobrego, odezwał się kucharz po cichu.

—»I mnie pan upewniasz że będę miał za to dobrą głowę cielęcą?« Na te słowa, zerwał się nagle model, nacisnął z gniewem kapelusz na oczy, i zawołał: —»Co to znaczy głowa cielęca?.. patrzcie no! ten nędzny model Cyklopa, śmie mi ubliżać... mnie!.. z którego codziennie robią Jowiszów i Achillesów! —»Co to ma znaczyć?» rzekł pan Frankornard przestraszony, odsuwając krzesło. Na ten łoskot Ajax zaczął znowu szczekać, a model porwał za laskę jak gdyby go wyzywał.—»Zrozumiejmy się, proszę pana... po co tu przyszedłeś? —»Przynajmniéj nie do WaćPana!.. —»Czy nie przychodzisz ofiarować mi swoich usług, pod względem przyprawiania główek cielęcych zupełnie nowym sposobem? —»Co za głupstwo!.. Ten stary widzę zwarjował!.. —»I czegóż chcesz? zawołał Frankornard z gniewem.—»Przyszedłem do mego przyjaciela, Jędrusia, do mego dawnego kolegi u pana Dermilly, do chłopczyka, którego bardzo kocham, a pan gratis wychowujesz. —»Jak to! nędzniku!.. i śmiałeś wnijśdź aż do mego gabinetu?..—»Alboż ja wiedziałem że to pański gabinet?... Jużem powiedział że przyszedłem do Jędrusia...—»Bezczelny! i śmiał uderzyć Ajaxa!.. To więc jesteś przyjacielem Sabaudczyka? prawdziwie, ślicznych ma przyjaciół.—»Piękniejszych niżeli ty, niedokończony Belizarze!—»Patrzcie! na co to mnie pani wystawia, dając schronienie takiéj hołocie.... Lafler! Jasmin! wyrzucić tego łotra za drzwi!...

—»A to co nowego? krzyknął Słowiczek wywijając kijem. Pierwszy co mnie się dotknie, guza oberwie! a ty szkaradniku jednooki, strzeż się

http://rcin.org.pl

żebym z ciebie nie zrobił zupełnego Belizaryusza.

Pan krzyczy chowając się za Szampana i kucharza. Ajax przyskoczył znowu do Słowiczka, a ten jednym zamachem powalił go na ziemię. Lokaje przybiegają na hałas, ale dumna postawa Słowiczka wraża im poszanowanie; oddala się, a lokaje udając że go wypędzają, patrzą tylko za odchodzącym.

Wyszedłszy na korytarz, spotkał Lucyllę; nadbiegała aby dowiedzieć się o przyczynie hałasu.»Pyta się czego chce; Słowiczek w dwóch słowach opowiedział jéj co się stało i po co przyszedł do pałacu. Lucylla zmierzyła go uważnie uczyma, wskazała mu jednak drogę do mego pokoju i tym razem najlepszy mój przyjaciel trafił bez omyłki.

Byłem właśnie przy nauce; słyszę kogoś wchodzącego nagle i widzę Słowiczka, któren ujrzawszy mnie zawołał: »Do stu tysięcy Rzymian!... jakże trudno dostać się do ciebie mój Jędrusiu...—»Co widzę? to WaćPan? —»Tak jest, i żeby ciebie zobaczyć, stoczyłem bitwę z pięciu czy sześciu drabami, którym stary inwalid dowodził. —»Bitwę?.. —»Opowiem ci inną razą; znalazłem cię, dosyć mi na tém. —»A nieszczęśliwy starzec o którym mi wspomniałeś?... a jego dzieci? —»Cała rodzina błogosławi cię i nazywa swym aniołem opiekuńczym! O! gdybyś mógł widzieć obraz ich radości, gdy im dar twój przyniosłem!... Ach! ile razy sobie wspomnę, łzy mi stają w oczach. —»Są szczęśliwi, nie mówmy już o tém. —»Słusznie mówisz, zajmijmy się raczéj temi, dla których przyszedłem. Mój kochany Jędrusiu, ty zawsze masz serce tak dobre, tak litościwe! — »Zawsze jestem ten sam. Czegóż chcesz panie Słowiczku?—»Powabne dziecię natury! nie odmienił się! Powiedz mi czy masz pieniądze? —»Tak... trochę... —»Dam ci nową sposobność zakosztowania czystéj rozkoszy dusz dobroczynnych, rozlewających w około siebie obfitość, jak te meteory... te meteory, które... —»Co to ma znaczyć?—»Ma znaczyć żem odkrył znowu w ciągu moich przechadzek, cztery nieszczęśliwe rodziny, którym możesz szczęście powrócić, dając po dwa ludwiki na rodzinę. Nie wiele się zubożysz, a ochronisz nędzę od rozpaczy. Jak to Jędrusiu? namyślasz się, wahasz! czy tak ci serce stwardniało na przysmaczkach pana Frankornarda? Ach! gdybyś wiedział!.. Biedna wdowa, młoda jeszcze, z czernaściorgiem dzieci, bez chleba!.. Ach! gdybyś był na mojém miejscu, nie wahałbyś się!.. Ale tak mało zarabiam, że zaledwie mogę wyżywić żonę i dziecię!—»Ale mój panie Słowiczku, chciałem dać jaki podarunek Anusi. —»Jędrusiu! nie warto się niszczyć na podarunki dla kobiet. —»Mam tylko cztery luidory... —»Daj co masz... drugie dwie rodziny niech poczekają do przyszłego miesiąca. O! obiecuję ci, że będą czekać, nie zechcą innego dobroczyńcy prócz ciebie.

Nie mam ochoty dać wszystkiego co posiadam, jakieś przeczucie mię wstrzymuje. Słowiczek widząc że

http://rcin.org.pl

się waham, podwaja nalegania, mówi o ojcu niewidomym, o matce paraliżem tkniętéj... Wzruszony, otwieram biórko, wydobywam pieniądze... już mają przejść w ręce Słowiczka, któren oczyma je pożera... gdy nagle Lucylla wbiega i staje między mną a pięknym modelem.

Na jéj widok, osłupiałem jak gdybym chciał co złego uczynić. Słowiczek nie kontent z przybycia garderobianki, stara się pokryć zły humór, uprzejmością, która mu bynajmniéj jest nie do twarzy. Lucylla już od dawna szpiegując moje postępowanie, nie pomału się zdziwiła iż pytał się o mnie podobny człowiek, mieniąc się moim najlepszym przyjacielem. Gdy wszedł, stanęła podedrzwiami i wszystko wysłuchała.

Najpierwszém jéj poruszeniem było, pochwycić mię za rękę i ścisnąć ją najczuléj; potém obracając się do Słowiczka rzekła: — »Mości panie, nie godzi się nadużywać ufności i czułości tego dziecięcia, aby mu tym sposobem wydrzéć owoc jego oszczędzenia.

Słowiczek przygryzł wargi, spuścił oczy, potém rzekł słodziuchnym głosem: — »Jestem przysłany do mego przyjaciela przez całą gromadę nieszczęśliwych, którzy znają jego duszę i możność, i nie sądziłem aby to było rzeczą naganną zachęcać go do dobroczynności.

—»Nie jest rzeczą naganną dawać nieszczęśliwym. Jędruś jest panem swoich pieniędzy; ale trzeba umieć bydź dobroczynnym. Mniemając że wyświadczamy dobrodziéjstwo, bywamy często zwiedzeni; oszczędność tego dziecięcia nie powinna bydź zdobyczą występku i lenistwa.»

Na te wyrazy Słowiczek, przybiera właściwą sobie postać burdy i bezczelnie odzywa się do Lucylli. — »Co Wacanna chcesz przez to rozumieć? —»Chcę rozumieć mości panie, że przychodzisz wydrzeć mu to, co sobie uzbierał. — »Wolno! wolno! mościa panno... — »Potrafię ja i głośniéj gdy mi się podoba; jeśli dłużéj będziesz się opierał, każę cię wyrzucić z pałacu i rozkazuję od téj chwili abyś tu ani nogą nie postał. Śmiesz bydź jeszcze hardy po tém wszystkiém coś narobił w pańskim gabinecie?... —»O, wielkie rzeczy! żem przetrącił łapę psiskowi co chciał mi powalać suknię... Na trzech nogach będzie mógł jeszcze dobrze biegać za swym jednookim panem.— »Jeśliś nie skłamał przed Jędrusiem, proszę mi natychmiast powiedzieć, gdzie mieszkają nieszczęśliwi dla których błagałeś jego litości. Pani jest tak dobroczynna; sama im dopomoże. —»Daj mi pokój z twoim panem i panią! — »A! nie umiesz odpowiedzieć. Wstydź się tak haniebnego postępowania! Wychodź natychmiast, i nie waż się tu więcéj pokazywać. —»Dobrze, mościa fartuszkowa!.... Patrzcie jak panią udaje! Odchodzę, bo mi się tak podoba. Jędrusiu, nie gniewam się na ciebie... Do zobaczenia.... Uniżony mościa pokojówko!»

Skrzywił się do Lucylli i odszedł pawiąc się i śpiewając: *Jestem kobiet ulubieniec.*

http://rcin.org.pl

—»Łotr! rzekła Lucylla patrząc za odchodzącym; potém wraca do mnie, ściska mnie najczuléj... piérwszy raz tak się ośmieliła; wzruszony, spoglądam na Lucyllę; ma łzy w oczach.

—»Co ci jest? spytałem. Ach jakżeś dobry mój Jędrusiu!... a ja posądzałam ciebie... Nie, nie mogłam uwierzyć; wiedziałam że w tém była jakaś tajemnica, dałam sobie słowo że ją odkryję... Wiem już wszystko... Muszę śpieszyć do pani... jakże jestem szczęśliwa!...«

Spiesznie wybiega. Wkrótce opiekunka moja woła mnie do siebie; zdaje się bydź rozczuloną. Pan Dermilly przyciska mnie do serca; Adolfina nazywa mnie swoim kochanym Jędrusiem. Cóż im się stało? cóż tak nadzwyczajnego uczyniłem? Chcą abym opowiedział wszystko co zaszło między mną a Słowiczkiem; dobra Karolina zmusza mnie abym przyjął kwotę, wyrównywającą téj, którą odemnie wyłudzono. Wszyscy na wyścigi chwalą mnie, pieszczą, zalecają abym nadal nie był tak ufny.

Po tym przypadku, pani jest dla mnię jeszcze łaskawszą; Lucylla większą mi przyjaźń okazuje. Jaśnie Wielmożny, przeciwnie, krzywi się jeszcze bardziéj i wybaczyć mi nie może, żem był powodem skaleczenia Ajaxa.

ROZDZIAŁ XIII.

Serce przemawiać zaczyna.

Dzięki wspaniałości mojéj opiekunki, mogę bydź podwójnie szczęśliwy, poślę do Sabaudyi summę jaką pierwéj dałem Słowiczkowi i dam podarunek siostrze. Ale tą razą poradzę się Lucylli, poproszę żeby sama kupiła.

Garderobiana uradowana mojém zaufaniem, kupiła mi zegareczek złoty, taniéj daleko niżeli mniemałem. Skaczę z radości na widok pięknego klejnotu. Jakże się cieszyć będzie Anusia! Lucylla patrzy na mnie uważnie, ile razy mówię o siostrze.—»Kochasz ją bardzo jak widzę, twoją Anusię?... —»O! kocham ją jak gdybym był doprawdy jéj bratem. —»Wiele téż ma lat? —»Jest w moim wieku, będzie miała lat trzynaście. —»Czy piękna? —»Wszyscy utrzymują że piękna. —»I ty także Jędrusiu? —»Wiem że jest dobra, łagodna, kochająca; jeszcze nie przypatrzyłem się czy piękna... ale nie można bydź brzydką mając serce tak dobre.—»Ciekawa bym była ją zobaczyć. Czemu tu kiedy nie przyjdzie?— »Nie śmiałaby ani ona, ani ojciec Bernard. Wolą że ja przychodzę do nich.—»Czém że się zatrudnia Anusia?.. —»Szyje... zajmuje się gospodarstwem... Taka dobra z niéj gospodyni...—»Doprawdy!... jak widzę to jakieś cudo!...

Lucylla tak dziwnym sposobem wymówiła te słowa; zdaje się że ją gniewają pochwały które oddaję siostrze; gdyby ją znała, pewny jestem że kochałaby ją także. Biegnę do Bernarda; Anusia jest sama... tém lepiéj; tak jestem niezgrabny gdy trzeba bydź grzecznym!... Nie wiem co się stało Anusi; od niejakiego czasu, nie tak wesoła, nie tak poufała do

http://rcin.org.pl

mnie; czasem mnie nazywa panem Andrzejem. Gdy się gniewam za taką zmianę, Anusia się płoni, spogląda na mnie tkliwie i powiada że sama nie wie przyczyny; ale przysięga że mnie zawsze kocha; jestem pewny że prawdę mówi.

Podarunek sprawił jéj najżywszą radość; zawiesiła zegarek na szyi i rzekła: »Będzie zawsze przy mnie! potém westchnęła: »A ja nic ci dać nie mogę?—»Kochana siostro, dałaś mi twoją przyjaźń; jest kosztowniejsza nad wszystkie klejnoty.«

Ojciec nadszedł; nie mógł się wydziwić podarunkowi; lecz wkrótce przybrał surową postawę.—»A twoja matka Jędrusiu? nie lepiejże było posłać matce, niżeli niszczyć się na takie kosztowności dla Anusi?—»Ojcze, oto są pieniądze dla matki. Opiekunka moja jest tak dobra, iż uprzedza moje życzenia.—»To dobrze, ale nie chcę żebyś na przyszłość tak wiele wydawał dla Anusi... Czy to ona księżniczka?... Jesteśmy biedni, nie powinna nosić tak drogich rzeczy...«

Łzy stanęły w oczach Anusi... już chciała mi oddać zegarek; ledwiem ubłagał nosiwodę. Poczciwy ten człowiek do zbytku posuwa delikatność. Ale ucieszywszy Anusię, muszę jéj udzielić wiadomość która ją zasmuci: Opiekunka moja ma pojechać do dóbr, w których bydź nie mogła przeszłego roku, wiem że mnie weźmie ze sobą.—»O Boże! iakże długo tam będziesz bawił?—»Jeszcze nie wiem!...« Nie śmiem powiedzieć że może kilka miesięcy.—»Otóż początek!... potém się przyzwyczai i więcéj nie przyjdzie do nas. Wiedziałam że tak się skończy!... Wolałabym żebyś odebrał zegarek i był tém co dawniéj.—»To już niepodobna, moje dziecię: odezwał się dobry Owerniak: Jędruś umie teraz tyle pięknych rzeczy; znudziłby się przy nas nieukach.—»Ach! nie mów tego, kochany ojcze!—»Czy bym się gniewał o to? To rzecz prosta; kto tyle umié, nie mógłby chodzić za posyłkami.—»A gdybym i ja téż uczyła się, ojcze?...—»Ciszéj mi!... ceruj pończochy, gotuj rosół: więcéj nie potrzebujesz umieć.«

Za powrotem do pałacu, dowiedziałem się od Lucylli że wyjeżdżamy za tydzień.—»Zobaczysz Jędrusiu, jak tam pięknie na wsi! co za ogrody, lasy, kwiaty, gaiki!... Jak się będziemy bawić! Nie będzie tam pana, ani szkaradnego Ajaxa, ani Szampana co mię nudzi swemi komplementami!... Pojedzie tylko z nami Zosia, Bona i kucharka. Na wsi jest odźwierny i ogrodnik. Będziemy mogli śmiać się, biegać...« Lucylla jest najszczęśliwsza, i ja bym się cieszył, gdyby nie trzeba było porzucić najlepszych przyjaciół. W Paryżu lękam się co chwila napotkać pana Frankornarda, któren ujrzawszy mię przewraca okropnie oko i mruczy z gniewem, dość głośno abym usłyszał: »Przeklęty Sabaudczyk!.. przez niego Ajax ma złamaną łapę... i muszę żywić takich żebraków!«

Na te słowa, rumieniec oblewa moje lice. Stawa mi na pamięci mój ojciec chory, zraniony, umierający przez zbytnią gorliwość w usłużeniu temu niewdzięcznikowi; niekiedy go-

http://rcin.org.pl

tów jestem odpowiedzieć, lecz wzgląd na moją opiekunkę, zniewala mię do milczenia... Odchodzę wzdychając: I ten człowiek jest mężem dobréj Karoliny, ojcem Adolfiny!

W wilią odjazdu idę pożegnać się z siostrą: —»Jakże czas będzie mi się zdawał długi! rzekła... będę ciągle patrzeć na zegarek, ciągle myśléć o tobie. Dobra Anusia! gdyby wiedział że się oddalam na kilka miesięcy! Uściskałem ją najczuléj. Lecz przy niéj nie drżę, nie płonę się, nie wzdycham. Dla czegóż byłem tak pomięszany gdy mię Lucylla uściskała? Musi to bydź, że kocham bardziéj siostrę niż Lucyllę. A Adolfina!.... O! co tę, to wcale inaczéj kocham; czasem zdaje mi się że ją wcale nie kocham, tak jestem przy niéj nieśmiały; jestem niespokojny gdy mam ją zobaczyć, a przy niéj i mówić nie śmiem. Jak to dziwnie!... przy jednéj tylko Anusi tak mi dobrze jak dawniéj.

Nadszedł dzień odjazdu; wsiadłem do powozu z moją opiekunką, jéj córką i Lucyllą. Służące jadą w drugim powozie, z tłomokami i pudełkami. Jakże ta podróż będzie przyjemną! Siedzę na przeciw Adolfiny; jednak mi się zdaje żeby mi lepiéj było, gdybym siedział gdzie indziéj. Trzymam ciągle spuszczone oczy; nie śmiem ich podnieść na przyjemną istotę która na przeciw mnie siedzi; nie śmiem położyć ręki na drzwiczkach powozu, aby się ręki jéj dotknąć; a co najgorzéj, miemam że każdy zgaduje co się w sercu mojém dzieje, chociaż sam siebie pojąć nie mogę.

—»Nic nie mówisz Jędrusiu, rzekła hrabina? Czy cię to smuci że z nami jedziesz? — »O! nie pani... — »Ale tak jesteś smutny. — »O! wiem ja przyczynę, rzekła Lucylla. Pan Andrzéj myśli o swojéj Anusi!... za nią wzdycha!...»

Myliła się Lucylla, nie myślałem wcale o Anusi. Opiekunka rzekła mi z uśmiechem: — »Tém będziesz szczęśliwszy, kiedy ją znowu zobaczysz.»

Pewno że będę szczęśliwy, gdy zobaczę Anusię; lecz pani i Lucylla mylą się; nie jéj to wspomnienie wzbrania mi podnieść oczu na Adolfinę. Córka mojéj łaskawczyni kończy rok dziesiąty; kibić jéj wysmukła, rysy ożywiają się uczuciem. Oczy jéj zawsze miłe; lecz mowa zdaje mi się jeszcze milszą; każde jéj poruszenie pełne jest wdzięku; dowcip i rozsądek cechują jéj rozmowę. Już nie bawi się lalkami; muzyka, rysunek, to najmilsza jéj teraz zabawa; ale jéj dobroć dla nieszczęśliwych jest zawsze taż sama. Wabność i chęć popisywania się talentami, nie odznaczają bynajmniéj jéj przechodu z dzieciństwa do młodości.

Widzę to wszystko, gdy spoglądam na nią ukradkiem, mniemając że na mnie nikt nie zważa. Gdy spotkam wejrzenie Adolfiny, spuszczam natychmiast oczy, chociaż w jéj spojrzeniach jaśnieje zawsze dobroć i przyjaźń. Wioski pani Frankornard leżą w bliskości Fontainebleau. O szóstéj wieczorem powóz stanął przed wspaniałym domem, wznoszącym się przy gościńcu.

http://rcin.org.pl

Wjechaliśmy na obszerny dziedziniec otoczony złoconą kratą. Przybiegł odźwierny, ogrodnik i jego żona. »To Pani!« wołają uszczęśliwieni, a radość najczystsza błyszczy w ich oczach. Natychmiast wieść o przybyciu dobréj pani rozeszła się po całéj okolicy; jeszcze nie weszliśmy do domu, a już tłum wieśniaków, starców, kobiet, dzieci, wynurzał dobréj Karolinie, szczęście, jakiém go napawało jéj przybycie. Gdzie tylko stąpi, błogosławią jéj imie, bo wszędzie zostawia ślady swojéj dobroczynności. Co za rozczulające przyjęcie! Ta kobieta dobroczynna, przybywa nieść wsparcie nędzy i czynić szczęśliwych. Wita ją szczera nie przymuszona radość: jest to matka powracająca śród dzieci swoich.

Tym żywszą jest radość wieśniaków, iż przeszłego roku pani nie mogła bydź w dobrach swoich. Odpowiada im z przyjacielskim uśmiechem, »Widzisz Adolfino, jak mnie kochają; a jednakże czuwałam tylko nad ich dobrem, dopomagałam ubogim, nagradzałam pracę, nadewszystko wzbraniałam niesprawiedliwości. Tak łatwo zjednać sobie miłość!.. Trzeba tylko saméj działać dobrze... Przechodząc przez cudze ręce, dobrodziéjstwo wdzięk swój utraca i często zapominają o jego źrzódle.

—»Czy i pana tak przyjmują? spytałem Lucylli.—»O, wcale nie!.. Strzelają, prawią mu perory; Szampan wszystko na przód urządza; pan szczuje Ajaxem tych co nie bardzo zdają się cieszyć z jego przybycia.»

Gdy opiekunka moja i córka jéj, poszły wypocząć, ja z Lucyllą obiegam dom cały. Przebiegamy roskoszne ogrody, ciągnące się po za domem. Jak tu wszystko w porządku! Dziwię się tym miłym gaikom, cienistym alejom, sztucznym klombom. Na niczém nie zbywa téj czarodziejskiéj ustroni, jest sadzawka, groty, skały, kaskada, ciemny borek, kwieciste trawniki, śliczne altanki. Co za roskosz, mieszkać w tym raju! Skaczę z radości.« Wszakżem ci powiedziała że to zachwycające! mówi Lucylla. Ale gdzie będziesz mieszkać? Pójdź, wybiorę dla ciebie ładny pokoiczek.«

Wracamy do domu. Lucylla wszystkie drzwi otwiéra, mówiąc: »To pokój pani... to panny. Pokoje pana są na drugiéj stronie.—»A ten?—»Ten zajmuje pan Dermilly gdy nam towarzyszy. Mój jest obok. Przypomniałam sobie; pod moim pokojem są dwa milutkie pokoiczki; tam będziesz mieszkał. Czy zgoda Jędrusiu?—»Ach! tak jesteś dobra!

Pani pochwala wybór Lucylli. Urządza godziny nauki. Z resztą wolno nam przechadzać się, biegać, swawolić. Na wsi jestem nie tak nieśmiały przy Adolfinie; prócz godzin poświęconych pracy, jesteśmy prawie zawsze razem. Biegamy po trawnikach; wożę ją w czółnie. Często towarzyszy nam Lucylla; częściéj zatrudniona jest przy pani; Adolfina skoro mnie zobaczy, zaraz woła do siebie: — »Ale moje dziecię, ty go znudzisz: mówi niekiedy matka: lecz powabna dziewczynka odpowiada, ściskając ją najczulej:

http://rcin.org.pl

—»Pozwól abyśmy razem biegali; o! zaręczam że Jędruś nie znudzi się ze mną.«

Czas szybko upływa w tym roskosznym pobycie; zażyłość nasza stała się ściślejszą i tkliwszą; tutaj surowa etykieta nie rozdziela mię co chwila z Adolfiną. Luba Anusia! kocham ją jak dawniéj; a jednak nie tęsknię za powrotem do Paryża.

Już pięć miesięcy jesteśmy na wsi. Pięć miesięcy!... jakże szybko uleciały! Pan Dermilly odwiedził nas trzy razy; a każdego razu bawił najmniéj parę tygodni. Pan doniósł iż nie zadługo zaszczyci nas swoją obecnością, lecz podagra zatrzymała go w Paryżu i skończyło się na strachu.

Liście żółkniejąą, więdną trawniki, gaje tracą swe zacienia; trzeba wrócić do Paryża: wyjedziemy przy końcu szóstego miesiąca. Z żalem opuszczam te miejsca rozkoszne, gdziem tak szczęsne pędził chwile. — »Powrócimy na przyszły rok, mówi Adolfina i znowu tak bawić się będziemy.» — A ja myślę z jaką przyjemnością zobaczę Anusię, aby umilić smutek, któren mię ogarnia.

Skorom przybył, biegnę natychmiast do Bernarda. Anusia drzwi mi otwiera. Urosła, nie wygląda już jak dziecko... lecz znikła ta wesołość, co tak wdzięki jéj umilała. Oczy ma zaczerwieniałe od płaczu, twarz wychudłą; gdy mnie ujrzała, nie rzuciła mi się jak dawniéj na szyję, rzekła tylko: — »Jakto, to Waé Pan panie Andrzeju?

—»Panie Andrzeju!... a to co nowego? Czy to już nie jestem twym bratem, twym najlepszym przyjacielem?... Przyciskam ją do serca... łzy puściły się jéj z oczu. — »Więc mnie jeszcze kochasz? rzekła, a jednak sześć miesięcy!... przez sześć miesięcy nie widzieliśmy się!... Ach! już byłam pewna że na zawsze. O, ja zawsze płakałam... a ty... ty się dobrze bawiłeś... mój Jędrusiu?«

Nie śmiem wyznać że zgadła. —»Dla czego płakałaś? wiedziałaś że to nie moja wina, że byłem z moją opiekunką. — »Ach dla czego!... pytasz tak samo jak ojciec!... bo się nudziłam... Ale na przyszły rok, gdy znowu pojedziesz... a pewno pojedziesz .. będę przynajmniéj mogła mieć wiadomość o tobie... — »Jakto, nie odbierałaś o mnie wiadomości w pałacu, a jednak przyobiecał mi odźwierny. — »O! będę innym sposobem miała wiadomości....»

Nie chce więcéj mówić, jéj ojciec powraca; uważa żem urosł, zmężniał. Posłużyła ci wieś mój chłopcze, mówi do mnie. —»Tak, tak: zawołała Anusia: powiadaj mu to, aby tam cały rok przesiedział.

Bernard donosi mi o matce. Poprzestając na swoim losie; jedynie tylko tego pragnie, aby mię uściskała raz jeszcze. O Piotrusiu nie ma żadnéj wiadomości. Podzielam jéj życzenie, ale wprzódy muszę skończyć nauki, stać się godnym łask mojéj opiekunki. Przyrzekam przyjaciołom moim, iż codziennie będę ich odwiedzał, aby im wynadgrodzić tak długą nieobecność moją.

Zgadłem, że w Paryżu nie będę tak szczęśliwym; tam nie tak często

http://rcin.org.pl

widuję Adolfinę, i zawsze ktoś jest przy nas, albo nauczyciele albo garderobiana. Oprócz tego, jakaż to różnica bydź razem na przechadzce, nie zaś w salonie! Widok natury, swoboda wiejska, rozwija nasze myśli. Bawiąc się, biegając z nią razem, jakże często przycisnąłem ją do serca. W Paryżu ledwie śmiem dotknąć się jéj ręki. Skoro tylko następują nudne wizyty, muszę się oddalać. Boję się abym nie spotkał pana Frankornard, który zawsze krzywi się na mnie. Cały czas przepędzam w pokoju, ale tam z zapałem oddaję się nauce; jakieś nowe uczucie podwaja moją gorliwość. Zdaje mi się, że chciałbym przez moje talenta zagładzić pamięć, że jestem ubogim Sabaudczykiem. Ale dla czegóżbym zagładzał to wspomnienie? Nie, niechaj trwa na zawsze. Jeżeli kiedy zostanę bogatym, nie będę wstydził się mojego rodu.

Wiosna wróciła, wzdycham do téj chwili, kiedy udamy się na wieś, kiedy co chwila będę mógł bawić się z Adolfiną. A jednakże czuję, że co dzień jestem przy niéj bardziéj pomieszany, bardziéj nieśmiały. Mam lat czternaście, ona wkrótce skończy jedenaście; jesteśmy jeszcze dziećmi; dla czegóż nie jestem tak wesoły jak dawniéj? Czyliż wychodząc z dzieciństwa już nie jesteśmy tak szczęśliwemi jak wprzódy? Wzdycham, nie wiedząc dla czego; w moich marzeniach bez ustanku widzę Adolfinę. Zgrabna figurka garderobiany, jéj żywe oko i drobna nóżka, miesza mię także. Ach! cóż się ze mną dzieje? może jestem chory. Ale nie śmiem powierzyć się komu. Zdaje mi się iżby mię wyszydzono. Nareście powracamy na wieś. Poszedłem pożegnać się z Anusią.—»Mieć będziesz odemnie wiadomość:« rzekła do mnie. Przez kogo? O tém nie powiedziała. Przyrzekłem sobie, że w drodze nie będę tak bojaźliwym. Ale, gdy siedzę między paniami, mieszam się jeszcze bardziéj niżeli wprzódy. Nie wiem gdzie mam patrzeć, rumienię się, nie mogę odpowiedzieć. Jestem szczęśliwym, ale niktby się tego nie domyślił. Przy jednéj tylko Anusi jestem takim jakim byłem dawniéj; ale co za nieszczęście! Anusia wzdycha, rumieni się w mojéj obecności. Jest w moim wieku; to zapewne skutek naszych lat czternastu. Nareście przybyliśmy do téj spokojnéj ustroni. Jakże pragnąłbym całe życie tam przepędzić! Brakuje mi tylko matki i moich przyjaciół z Paryża.

Dzięki naukom pana Dermilly, rysuję pięknie. Adolfina także zajmuje się tą sztuką; w tym roku nowych przez nią doznajemy przyjemności. Siedząc oboje pod drzewem na wzgórku, skąd piękny jest widok, kładziemy papier na kolanach i rysujemy ten sam krajobraz. Pani hrabina rozsądza które z nas lepiéj zrobiło. Aby zasłużyć na pochwały mojéj opiekunki, podwajam pracę i usilność; a przy tém tak mi dobrze pracować przy Adolfinie! Gdy ona pracuje, mogę jéj się przypatrywać do woli, mogę dziwić się tym rysom dziecinnym, na których już się malują pierwsze wzruszenia młodego wieku. Gdy spostrzega iż na

http://rcin.org.pl

nią spoglądam, mówi do mnie z uśmiechem: »Andrzeju! nie pracujesz, nie skończysz rysunku tak prędko jak ja. Ale gdy wlepiam spojrzenie w moją pracę, z lekka spogląda na nią; porównywa ją ze swoją, i poprawia to, co w jéj rysunku nie jest tak dobre jak u mnie. Wtedy nie zmieniam postawy, udaję ze nie postrzegam jéj psoty. Jestem tak szczęśliwy, czując że jéj ładna główka, pochyla się ku mojéj!

Już od miesiąca jesteśmy na wsi, gdy między listami przysłanemi do pani hrabiny, jeden był do mnie: »List, do mnie? któż go mógł pisać? — »Może twoja matka, rzecze hrabina.— »O! nie pani, moja matka nie umie pisać i Bernard także.... Czytam; charakter jest dosyć niezgrabny, jednakże można go przeczytać. Co widzę! to od Anusi! Moja to siostra nauczyła się pisać, aby mogła korrespondować ze mną!

Krzyknąłem podziwieniem i radością przejęty, mówiąc do pani hrabiny...— »To Anusia, moja siostra pisze do mnie... I nie postrzegam że Lucylla skrzywiła się mrucząc... »Domyślałam się tego.» Proszę pani aby mi wolno było przeczytać głośno list mojéj siostry.

»Mój kochany Andrzeju: pisze do mnie Anusia: skrycie nauczyłam się pisać, abym mogła ci donieść o sobie i odbierać od ciebie wiadomości. Lato jest dla mnie bardzo długie, od czasu jak cię widywać nie mogę. Kiedyż to się skończy? kiedyż będę mogła widywać cię codzień jak było dawniéj? Odpisz mi Andrzeju. Ojciec przebaczy mi żem się uczyła skrycie, skoro mu twój list przeczytam.

—»Dobra dziewczyna! rzecze pani hrabina: tak cię kocha Jędrzeju i byłbyś bardzo niewdzięcznym gdybyś jéj także nie kochał.— »Ach! pani, nie jestem niewdzięcznym i byłbym nieszczęśliwym gdyby Anusia nie podzielała mojego szczęścia.

Bez żadnéj zmiany w moich zatrudnieniach i losie, upłynęło lat kilka. Igraszki dziecinne ustąpiły miejsca nauce muzyki i rysunków; rozmowy nasze stały się poważnemi; przyjemnie nam jest kształcić razem nasz rozsądek; luba Anusia już mię nie nazywa swoim kochanym Jędrusiem: zapewne powiedziano jej że mnie tak nie powinna nazywać: ale gdy wymawia imie moje, jéj głos jest tak słodki! Czytam w jéj spojrzeniach, że jéj serce zawsze mię tak nazywać będzie. Wyrosła bardzo ładnie, jest świeża i przyjemna, czynna, pracowita, uczy się szyć i skrycie czyta romanse, aby wiedziała jak mówią o miłości w wyższych towarzystwach.

Pan hrabia zaczyna więcéj zajmować się swoją córką. Adolfina ma lat czternaście, a już jéj piękność i wdzięki zwracają wszystkich spojrzenia. Karolina chlubi się jéj przymiotami a chociaż młoda i piękna jeszcze, czuła jest tylko na pochwały oddawane jéj córce. I ja uwielbiam tajemnie wdzięki Adolfiny; codzień jest piękniejszą, a jéj obraz zawsze mam przed oczyma. Już wyrosłem, już pozbyłem się niezgrabności wieśniaczéj, nieraz słyszę mówiących iż je-

http://rcin.org.pl

stem przystojny; nazywają mię teraz panem Andrzejem. Mówią także iż mam talenta, że rysuję bardzo dobrze, ale na cóż to się przyda wszystko, jeżeli muszę kiedyś rozstać się z Adolfiną! Ta myśl mię udręcza, ściga; jestem tylko Sabaudczykiem, wychowanym z miłosierdzia; wszystko winienem łasce pani hrabiny; ale to wychowanie czyliż mię uczyni szczęśliwszym? Pan Frankornard mówi niekiedy do żony:— »Czyliż ten Andrzej tutaj wiekować będzie?— »Jest jeszcze tak młodym: odpowiada moja opiekunka: po niejakim czasie wyszukam dla niego stósowne zatrudnienie.

Zatrudnienie!... trzeba więc będzie opuścić ten dom, rozstać się z Adolfiną! nie śmiem okazywać mojego smutku, i tylko przed moją przybraną siostrą wynurzam uczucia mojego serca. Rozmawiam z nią nieustannie o córce pani hrabiny, chwalę jéj piękność i talenta... Powtarzam każdy wyraz który do mnie powiedziała. Mówić o Adolfinie, jest to dla mnie tak wielka rozkosz... Nie śmiem wyznać że ją kocham, ale mówię wszystko co czuję. Anusia słucha mię w milczeniu; częstokroć widzę łzy w jéj oczach... Biedna siostra! zapewne lituje się nademną, i obawa czy nie będę nieszczęśliwym, jest przyczyną jéj zmartwienia.

Nie śmiem tak szczerze mówić z Lucyllą; lękałbym się, aby nie odgadła moich uczuć, i nie powiedziała o tém przed panią hrabiną. Przykroby mi było, gdyby wiedziano w pałacu o przyczynie mego smutku. Jestem przy Adolfinie bojaźliwym, nieśmiałym; zdaje mi się iż wszyscy odgadują moje najskrytsze myśli.

Pan hrabia, daje wielki obiad w dzień imienin córki; po obiedzie nastąpi bal świetny. Nie wiem dla czego zasmuca mię ta uroczystość, a przecież jéj to jest święto. Lecz myślę, że jéj przez cały wieczór widzieć nie będę, że będzie otoczona gronem młodzieży; to wyobrażenie smuci mię i udręcza.

Idę do pokojów hrabiny; nie śmiem ofiarować bukietu, ale zerwałem różę z krzaczka rosnącego na mojém oknie, i trzymam ją w ręku.

Hrabina ubiera się; Adolfina sama siedzi przy fortepianie; już od dawna nie byłem z nią sam na sam! Gdybym korzystać mógł z téj chwili, ofiarować jéj tę różę i powiedzieć jéj jak mocno pragnę jéj szczęścia!.. ale nie!... jestem nazbyt bojaźliwy... nie śmiem nic mówić... stoję na środku pokoju spoglądając to na Adolfinę, to na różę. Postrzega mię luba dziewczyna. »To ty Andrzeju! rzekła: zbliż się do mnie.

»Zbliżam się powoli... Gniotę kwiatek w moich ręku. —»Już cię nie widuję tak często jak wprzódy, Andrzeju; czy już nie lubisz bawić się ze mną? —»O! i owszem panno Adolfino! —»Dla czegóż więc nie przychodzisz co dzień?— »Boję się, abym teraz nie przeszkadzał pannie. —»Jak to! alboż przy tobie nie mogę się uczyć? Zdaje mi się nawet, że pracuję z większém upodobaniem, gdy jesteś przy mnie. Może cię nudzi muzyka?—»O nie, panno Adolfino.—»Pan-

http://rcin.org.pl

no Adolfino! jakże ceremonialnym tonem mówisz do mnie Andrzeju? Zdaje mi się, że nie jesteś tak wesołym jak wprzódy. Czyli masz jakie zmartwienie?... Byłoby to źle, gdybyś mi go nie powierzył. Wiesz że jestem twoją przyjaciołką.

Tak mię uszczęśliwiają jéj słowa, że nie mam dość siły do mówienia, podaję tylko różę i jąkam te kilka wyrazów... »Pozwól panno... —»Ach! jaka piękna róża. Czy to dla mnie? —»Tak jest panno Adolfino, jeżeli raczysz ją przyjąć, wszakże dzisiaj jest twoje święto? —»Jeżeli raczę przyjąć! Możeszli wątpić o tém? Ach mój kochany Andrzeju! twój bukiet i ten który dostałam od mamy, są dla mnie najprzyjemniejsze.

Nazywa mię swoim kochanym Andrzejem... Nie wiem co się ze mną dzieje. Zdaje mi się że ją biorę za rękę, że z zachwyceniem ściskam ją w moich... Ale ktoś nadchodzi. Słyszę szczekanie Ajaxa!.. O Boże! to pan hrabia... Spiesznie oddalam się od Adolfiny i biegnę do drzwi... Chciałem uniknąć obecności pana Frankornard, a nagle wpadłem na niego.—»No, ten hultaj zawsze robi głupstwa, krzyknął, z jego przyczyny Ajax chodzi tylko na trzech łapach, a teraz zbił mi nos. Kiedyż pani hrabina uwolni mię od tego Sabaudczyka?...

»Ten hultaj«.... byłem tak szczęśliwym! Ach! to słowo zniszczyło całą radość moją... Ileż cierpię... Oddalmy się; przynajmniéj ukryję łzy, które się puściły z oczu moich.

ROZDZIAŁ XIV.

NOWA FIGURA. — ODJAZD.

W kilka dni po zdarzeniu tak przykrém dla mnie, powracając od Bernarda i Anusi, postrzegłem wielki ruch w pałacu. Koczyk podróżny stał na dziedzińcu. Postylion jeszcze był okryty kurzawą. — »Któż to przyjechał?.. Spotkałem Lucyllę; powiada mi o wszystkiém. — »Siostrzeniec pana hrabiego przyjechał tym powozem. — »Siostrzeniec pana de Frankornard! pierwszy raz słyszę o nim. —»A! bo jak się zdaje nie sprzyjało mu szczęście. Siostra pana de Frankornard poszła za pana de Therigny, który umarł nie zostawiwszy nic wdowie i synowi. Biedna kobieta! daremnie pisywała do brata, nic jéj nie odpisywał. Ale umarła przed dwoma laty, a jéj syn odziedziczył po stryju piękny majątek. Skoro o tém usłyszał pan hrabia, natychmiast zaprosił do siebie swego siostrzeńca. Zdaje się że pan Therigny będzie mieszkał w naszym pałacu; pan hrabia kazał dla niego przygotować ładne pokoje. — »Ile ma lat ten siostrzeniec? — »W twoim prawie jest wieku... dopiero co skończył szkoły; ale jaki ton! jaka duma! z resztą ładny jest chłopiec i gdyby nie był takim fanfaronem, mógłby się jeszcze bardziéj podobać.

Nie wiem dla czego sprawuje mi przykrość przybycie pana hrabiego. Co mi po tym siostrzeńcu? Widywać będzie Adolfinę co dzień, co chwila. Zakocha się, ani wątpić o tém. Gdyby przynajmniéj był szpetny, ułomny,

http://rcin.org.pl

ale nie, jest młody, bogaty. Ach jakże jest szczęśliwym! Biedny Andrzeju! już nie będą zważać na ciebie... ale czegóżeś się mógł spodziewać? Czy nie wiesz jak niezmierny przedział rozłącza cię od Adolfiny? Czyliż jéj ojciec nie spogląda na ciebie z pogardą?

Nazajutrz rano wychodzę do pana Dermilly, który przysłał po mnie. W sieni spotkałem pana Therigny i Szampana. Kłaniam się siostrzeńcowi pana hrabiego; on zaś spogląda na mnie, pochyla się ku Szampanowi i mówi: »Do kogóż to należy ten chłopiec?

Do kogo należę! co za impertynencya; czyliż w rzeczy saméj jestem służącym? Szampan po cichu odpowiada margrabiemu, który uśmiecha się pogardliwie, mówiąc tak iż mogę usłyszeć. »A ha! to ten Sabaudczyk, o którym wuj mi wspominał.

Znowu Sabaudczyk!.. Młody człowiek wyrzekł te słowa tak zuchwałym tonem... Zapłonąłem się, już jestem gotów obrócić się i spytać czyli mi chciał ubliżyć. Ach! czuję że z radością pojedynkowałbym się z tym człowiekiem... Ale już go nie widzę. Uspokaja się krew moja. Na myśl którą powziąłem, dreszcz mię przejmuje. W domu mojéj łaskawczyni, chciałem wyzwać krewnego jéj męża... Takżebym odpłacił to wszystko co dla mnie uczyniła?.. Ach! nieszczęsny, oddal się z tego domu, uciekaj wprzódy nim się dopuścisz winy i póki jeszcze, godnym jesteś dobrodziejstw Karoliny.

Gdym przyszedł do pana Dermilly, zacny ten człowiek rzekł do mnie: — »Andrzeju, chcę ci uczynić jedną propozycyą; pragnę aby ci się podobała, ale możesz zupełnie iść za twojém zdaniem. Od niejakiego czasu, zdrowie moje słabnie coraz bardziéj; lekarze doradzili mi zmianę klimatu. Umyśliłem pojechać do Szwajcaryi, już od dawna pragnę zwiedzić ten kraj, który tyle cudów wskazuje oczom malarza i miłośnika natury. Za osiem dni pojadę. Jeżeli zechcesz mi towarzyszyć, razem odbędziemy tę podróż.

—»Jeźli zechcę! rzekłem, ściskając rękę pana Dermilly! Ach panie! odjazd ten, zdarza się w najstosowniéjszą porę. Tak, pojadę, kiedy tylko zechcesz, dziś nawet.

Ten mój pośpiech i zapał, dziwi pana Dermilly; przypatruje mi się i chciałby przeniknąć myśl moją.—»Andrzeju! rzecze do mnie: cieszy mię to że chcesz bydź towarzyszem mojéj podróży, ale przyznaję że tak żywa chęć opuszczenia Paryża, dziwi mię trochę... Mój przyjacielu, czy nie byłbyś już tak szczęśliwym w pałacu hrabiego? A jeżeli tak jest, dla czegoż mi nie powierzasz twego zmartwienia?—»Nie doznaję żadnego zmartwienia, pani hrabina zawsze jest dobra dla mnie. —»Wiem, iż Karólina czule cię kocha. Jednakże Andrzeju, już od dawna postrzegam zmianę w tobie. Nie pytałem się... Czekałem dopóki sam nie powierzysz twojéj tajemnicy, najlepszemu przyjacielowi. —»Ach panie! gdybym miał jakie tajemnice, któżby inny był ich powiernikiem jeźli nie ty panie,! któremu wszystko winien jestem, który mię nauczyłeś téj boskiéj sztuki, wystawiającéj

http://rcin.org.pl

n a płótnie przedmioty, jakie zachwycają nasze oko; któryś mi dał uczuć wartość wychowania, oświecił mój umysł i ukształcił rozsądek? Ale nie mam żadnéj tajemnéj troski, przysięgam.

Ton mój nie zaspokaja pana Dermilly. Ciągle wpatruje się we mnie· —»Pan hrabia nie okazał ci znowu swojéj pogardy? —»Nie panie. —»Zawsze posiadasz względy Lucylli... zawsze panie. —»Anusia kocha cię jak dawniéj.—»Tak jest, ach! ona mię nigdy kochać nie przestanie. To mówiąc, spoglądam na pana Dermilly, który z uwagą wpatrywał się we mnie. —»Adolfina, czy zawsze okazuje ci tęż samą przyjaźń? rzekł.

Na wzmiankę o Adolfinie mieszam się i jąkam: —»Panna Adolfina... tak jest dobra,... tak uprzejma.» Nie mogę mówić daléj, boję się, abym się nie wydał. Pan Dermilly przestał zapytywać się, ale spogląda na mnie. Widzę w jego oczach, zajęcie połączone z boleścią. Po chwili wzdycha. —»Biedny Andrzeju! zawołał, ściskając mię za rękę.

Biedny Andrzeju! o nieba! czyliżby odgadnął moją tajemnicę? Ale nie... nic takiego nie powiedziałem, coby mogło wzbudzić w nim podejrzenie o moich uczuciach, a jednakże zdaje mi się że wyczytał w mojéj duszy.—»Pojedziesz ze mną Andrzeju: rzekł do mnie: ta podróż posłuży ci; zamiast za osiem dni, możemy pojechać jutro.

—»Czy będziemy w Sabaudyi? rzekłem po chwili. — »Tym razem nie, ale na przyszły rok, jeżeli moje zdrowie się nie pogorszy, pojedziesz ze mną razem i uściskasz matkę.» Uściskam moją matkę! co za szczęście, po tak długiéj niebytności. Ach, na łonie matki musimy zapominać o wszystkich cierpieniach miłości.

Przed odjazdem odwiedzam jeszcze Bernarda. Spodziewałem się że Anusia mocno cierpieć będzie na mojém oddaleniu, ale usłyszała o téj podróży z większą spokojnością aniżelim się spodziewał; zdaje mi się że ją cieszy mój odjazd z domu hrabiny. —»Nie powinieneś odtąd rozłączać się z panem Dermilly, on jest tak dobry, tak cię kocha! Czyliż ci lepiéj nie będzie u niego jak w tym pałacu, którego właściciel zawsze ci okazuje twarz niechętną? Za powrotem z podróży czy powrócisz do domu pana Frankornard? —»Lecz... zapewne, na niejaki czas przynajmniéj.—»Słuchaj Andrzeju, teraz kiedy już jesteś mężczyzną i posiadasz talenta, nie powinieneś dłużéj zostawać w tym pałacu... Do czegoż cię to doprowadzi? nazwyczaisz się tylko żyć po pańsku.

Zdaje mi się że Anusia dobrze radzi, ale moja łaskawczyni czyliż nie ma prawa rozrządzać mną i czyliż zdołam oddalić się od Adolfiny? W téj chwili myślę tylko o panu Therigny.

Wróciłem do pałacu. Pani hrabina jest sama z córką. Ze drżeniem idę do jéj pokojów i powiadam życzenie pana Dermilly. Moja łaskawczyni pochwala ten zamiar. Podróż ta, będzie bardzo użyteczna dla ciebie: rzekła do mnie: uzupełni twoją edukacyą Andrzeju. Przy panu Dermilly, poznasz lepiéj kraje które zwiedzisz;

http://rcin.org.pl

nabędziesz nowych wiadomości, a za powrotem, ja zabezpieczę twoją przyszłość.

Nie słyszę co do mnie mówi pani hrabina; spoglądam na Adolfinę; zdało mi się że zbladła, gdy usłyszała o moim wyjeździe. Czyliż moja nieobecność byłaby dla niéj przykrą? Ach! przynajmniéj doznawałbym niejakiéj pociechy, unosząc tę nadzieję, że nie zapomni o mnie.

—»Co, Andrzeju! opuścisz nas? rzekła tym tonem, który aż do głębi mego serca przeniknął. Potém lube dziecię ściska matkę i mówi: —»Mamo! dla czego dozwalasz aby Jędruś odjechał? po co będzie podróżował?... Czyliż mu nie lepiéj jest u nas?« Matka uśmiecha się i całując Adolfinę, mówi: —»Moja kochanko! Andrzéj powróci; oprócz tego, musimy nazwyczaić się do jego nieobecności. Pamiętaj, iż nie zawsze przy nas mieszkać będzie. Jędruś dorasta, trzeba.. ale pomówiemy o tém gdy powróci.« Adolfina smutnie spogląda na mnie; spuszczam oczy i wzdycham; nie mogę jéj powiedzieć, jak szczęśliwy byłbym, żyjąc przy niéj!..

Z łoskotem otworzyły się drzwi; młody Therigny wszedł śmiejąc się i siadł w krześle; powiada, że jego wuj jest rozjuszony, bo chcąc nauczyć Ajaxa palić tytuń, wybił mu ząb.

Przybycie pana Therigny przerwało naszą rozmowę. Pani hrabina raczy go słuchać. Adolfina idzie do fortepianu; ja zaś wychodzę: bo przypadek Ajaxa, nie dozwala zajmować się odjazdem Sabaudczyka.

W sam dzień odjazdu, jeszcze przychodzę do pani hrabiny z pożegnaniem. Adolfina jest przy niéj. Jakże smutna! Nie mogę wyrzec ani słowa. Serce moje wzdyma się żalem; staję przed panią; zgaduje powód mojego przyjścia. »Żegnam cię Andrzeju, rzekła do mnie, odbądź podróż jak najpomyślniéj; czuwaj troskliwie nad panem Dermilly. Coraz jest słabszy, lecz mam nadzieję, iż mu pomoże zmiana klimatu. Andrzeju, powinieneś kochać pana Dermilly, gdyż uważa cię jak własnego syna... Nie potrzebuję polecać go twojemu staraniu.«

Słowa te wyrzekła zmienionym głosem; wyciąga do mnie rękę, którą przyciskam do serca zapewniając, że wszystko uczynię, abym odwdzięczył się temu, który z nią razem zlał na mnie tyle dobrodziejstw.

Obracam się ku Adolfinie, żegnam ją... Odchodzę. —»I cóż Andrzeju! rzekła moja opiekunka, nie uściskasz Adolfiny?

Uściskać nie śmiałem, i w téj nawet chwili jeszcze nie śmiem. Ale to lube dziecię wstaje i nachyla ku mnie swoją twarz świeżą jak róża: »Andrzeju! powróć prędko, rzekła. Zbliżyłem usta moje do jéj liców i ledwiem się ich dotknął. Potém odchodzę śpiesznie, gdyż nie wiem co się ze mną dzieje, ale na cały czas nieobecności mojéj, unoszę wspomnienie téj chwili szczęścia.

---

http://rcin.org.pl

ROZDZIAŁ XV.

PODRÓŻ DO SZWAJCARYI.

Wyjechaliśmy; kilkadziesiąt mil już rozdziela mię od niéj, a jeszcze czuje jéj porażowanie; jeszcze mi się zdaje że oddycham jéj tchnieniem. Obłąkanie miłości! ty przytłumiasz wszystkie inne uczucia, ty nie raz czynisz człowieka niewdzięcznym, niesprawiedliwym, samolubnym. Przyjaźń siostry, wspomnienie przyjaciela, czułość synowska, wszystko zaciera się w naszym umyśle, kiedy trzymasz nas pod władzą twoją; ale jesteś tylko szałem, a za powrotem rozumu, przyjaźń odzyskuje swoje prawa.

Siedzę przy panu Dermilly i milczę: jest tak dobry, iż nie przerywa moich dumań, kilkanaście godzin tak upłynęło, aż nareście postrzegłem że jestem w powozie, przy tym, który mię raczył wybrać za towarzysza podróży, a do którego dotąd ani słowa nie rzekłem.

Żywo obracam się ku niemu. —»Ach! przebacz pan: rzekłem rumieniąc się: myślałem... —»Nie mam ci tego za złe Andrzeju, wiem co cię zajmuje. W pierwszych chwilach podróży, serce jest jeszcze przepełnione wspomnieniami pożegnania; ale to się rozproszy. Ponieważ wyszedłeś z zadumania, przypatrz się temu krajobrazowi, tym polom, gajom, łąkom; na chwilę zapomnij o Paryżu. Znajdziesz tam wszystko coś tam zostawił. Andrzeju, jeszcze nie skończyłeś lat osiemnastu, ale twoja dusza kocha i goreje. Jeżeli nie zdołasz powściągnąć twoich namiętności, doświadczysz ciężkiego zmartwienia; mój przyjacielu, na tym świecie ludzie najtkliwsi nie są najszczęśliwszemi. Sam jestem tego przykładem. Miłość któréj przezwyciężyć nie mogłem, uczyniła mię nieszczęśliwym na całe życie, gdy przy dobrém mieniu i talencie, mogłem był ożenić się i dni szczęśliwe pędzić. Czuje teraz, że nie byłem roztropnym, ponieważ dochodzę do lat czterdziestu; ale w dwudziestym piątym roku nie myślałem podobnie. Wiesz mi Andrzeju, nie naśladuj mię, a jeżeli twoje serce już doznaje uczucia, z którego nie możesz sobie wróżyć pomyślnych skutków, nie oddawaj się jemu, rozrywaj twoje myśli, a zwyciężysz nareście.

Pan Dermilly dobrze mówi; zamiast myśléć bez ustanku o pięknéj Adolfinie, lepiéjbym zrobił, gdybym się zajmował innym przedmiotem ale nie mam jeszcze lat czterdziestu i tak myślę jak on w dwudziestym piątym roku.

Mój towarzysz rozmawia ze mną o Anusi i Bernardzie, o mojéj matce, o tym biednym Piotrusiu, którego wynaleźć nie mogłem, a który zapewne już nie żyje. Ach! umie zająć moją uwagę; miłość nie zagładziła w mojém sercu tak czułych wspomnień. Ja mówię mu o mojéj łaskawczyni, o jéj dobroci, o łaskach które w około siebie rozlewa. Pan Dermilly słucha mię bacznie; nie traci ani słowa; najmniejsze szczegóły o tém co się dotycze pani hrabiny, są dla niego rzeczą bardzo drogą;

http://rcin.org.pl

pewien jestem, że wtedy marzy jak marzył w dwudziestym piątym roku życia.

Wynagradzając mię za to że mówiłem o jego przyjaciółce, mówi ze mną o Adolfinie. Z jakiemże upodobaniem słucham jego rozmowy! na wzajem i ja także nie tracę ani słowa i błagam aby znowu mówić zaczął.

Najprzód, przyjechaliśmy do Bazylei; tam zatrzymamy się czas niejaki i zwiedzimy okolice. Miasto Bazyleja nie jest wesoła, mieszkańcy nie są bardzo towarzyscy, ale jakież zachwycające krajobrazy! Jakaż to rozkosz przebiegać piękne doliny, wdzierać się na te góry, zwiedzać zwaliska tych starych zamków stojących na ich szczycie, spoglądać na te potoki płynące pod nogami naszemi, spadające w kaskadę i ginące między skałami! To wspaniałe widowisko, przypomina mi mój kraj rodzinny: położenia Szwajcaryi i Sabaudyi, są podobne do siebie. Co dzień wstajemy bardzo rano, uwielbiamy nowe widoki, częstokroć nocujemy u wieśniaków, którzy przyjmują nas z gościnością znaną od dawna w tym kraju. Osmego dnia po naszym przybyciu do Bazylei, odebraliśmy listy z Paryża. Jeden jest do mnie, drugi do pana Dermilly. Z jakąż rozkoszą go odebrał! jakże jest szczęśliwy! List od téj którą kochamy, tak słodkim jest dla nas. A ja niewdzięczny, czyliż mam prawo narzekać? Anusia pisze do mnie. Jéj czyste i niewinne serce maluje się w tych wyrazach. »Bądź szczęśliwym, pisz do mnie i nie zapominaj o nas; ani czas ani odległość nie zdołają wygładzić cię z mojego serca.«

Poprosiłem Lucylli aby mi doniosła co się dzieje w pałacu; drugą pocztą odebrałem jéj bilecik. »Nie ma nic nowego w pałacu; pani jest smutna i panna Adolfina także; jegomość dwa razy chorował na niestrawność w ciągu tygodnia; młody Therigny używa świata i wszędzie go pełno.« Tym lepiéj! przez ten czas nie jest obok swojéj kuzynki.

Wiem przecież że jest smutny i że kuzynek nie jest przy niéj bez ustanku; i to jest jakąś pociechą.

Zabawiwszy się trzy tygodnie w Bazylei, zwiedziliśmy Bern, Zurych, Neuszatel. Pan Dermilly nie może nasycić się widokami tak wspaniałego i malowniczego kraju. Gdybym nie wzdychał skrycie, podzielałbym jego zapał, ale nie mogę oddalić z mojéj pamięci, pałacu pana hrabiego i osób które w nim mieszkają.

Z żalem uważam, iż się nie polepsza zdrowie pana Dermilly. Co raz to bardziéj niknie; jego rysy coraz się zmieniają. Lękam się aby podróże w górach nie znużyły go i nie zaszkodziły. A kiedy radzę mu aby spoczął, odpowiada: »Pozwól mi napatrzyć się pięknościom natury i nacieszyć się jéj cudami. Jeżeli niebo rychły mi zgon naznaczyło, niechajże przynajmniéj korzystam jeszcze z czasu, który mi pozostaje.

Dwa miesiące bawiemy pośród tych pięknych gór. Pan Dermilly chce jechać do Genewy, bierzemy przewodników i powoli odbywamy tę po-

http://rcin.org.pl

dróż, spoczywając we wszystkich miejscach, które nam się podobają. Takim sposobem miło nam jest podróżować. Pan Dermilly mocno cierpi; przewidując, że czas niejaki przepędziemy w Genewie i piszę o tém do Paryża. Już od dwóch miesięcy nie mieliśmy ztamtąd wiadomości. Przez ten czas cóż się dzieje w pałacu pana Frankornard?.. Czy już zapomniano o mnie?

Wkrótce otrzymuję odpowiedź Anusi; zawsze dobra i szczera, upomina mię, abym jak najtroskliwiéj doglądał pana Dermilly i nie opuszczał go ani na chwilę. W tydzień potém, odbieram odpowiedź od Lucylli. Donosi mi, że się trochę więcéj bawią w pałacu; dano kilka balów, pan Therigny jest płochy, roztrzepaniec, ale przy nim nie ma końca uciechom. Częściéj przesiada przy swojéj kuzynce. Panna Adolfina co dzień jest piękniejsza.

Niestety! wiem o tém aż nadto dobrze. Nie śmiem czytać daléj. »Smieje się z pustot swego kuzyna.« Smieje się z nim. Ach! zginąłem... Biedny Andrzeju! już nie myśli o tobie. Smieje się... podoba się jéj... Kochać go będzie;.. to rzecz pewna...

Chciałbym natychmiast wrócić do Paryża... ale pan Dermilly ze mną tylko samym rozmawiać może o hrabinie, i zdaje się, iż go ożywia ta rozmowa. Jest chory, nie mogę opuścić go; nie zapomnę ile mu jestem winien, jak troskliwie doglądał mię, kiedy mię zranił karykiel hrabiego, a gdybym nawet musiał poświęcić mu całe życie moje, jeszczebym i na to nie szemrał.

Nareście polepszyło się jego zdrowie i znowu zwiedzamy okolice. Jest to kraj bardzo piękny, ale nie mogę uczuć wszystkich jego piękności. Aby cieszyć się widokami natury, trzeba mieć spokojną i zadowoloną duszę; a jak można oceniać cuda przyrodzenia, kiedy serce pałające miłością, trawi niespokojność i zazdrość?

ROZDZIAŁ XVI.

POWRÓT, OPUSZCZAM PAŁAC.

Po trzech miesiącach pobytu w Genewie, płyniemy Rodanem do Lugdunu. Osiem tylko dni bawiemy się w tém mieście. Słabość zdrowia pana Dermilly, opóźnia naszą podróż i dopiero po dziewięciu miesiącach oddalenia, oglądam ten Paryż, gdzie za pierwszym razem wszedłem śpiewając i skacząc. Ach! jakże zmieniły się rzeczy.

—»Andrzeju! rzekł do mnie pan Dermilly, wrócisz do pałacu hrabiego, ale nie sądzę abyś tam długo zabawił. Pamiętaj, że mój dom jest twoim i że uważam cię jak syna.

Wspaniałomyślny człowieku! przez cóż zasłużyłem na taką dobroć? A pragnę opuścić go, wrócić do pałacu. Ach! miłość czyni nas niewdzięcznemi i nie wynagradza za błędy których się dopuszczamy.

Była ósma wieczorem, gdym wszedł do pałacu. Z zachwyceniem spoglądam na okna pokojów Adolfiny. Ona

http://rcin.org.pl

jest tam! powiada mi o tém serce moje; lecz obawiam się jéj ojca i jéj kuzyna. Wprzódy zapytam się Lucylli.

Garderobiana przywitała mię z radością; powiada mi iż panie muszą bydź same w téj porze, gdyż pani miała migrenę dziś rano i nikogo nie przyjmuje. Czyliż są sami? — »Ach biegnę! I nie słuchając co mówi daléj, już jestem w pokojach pani hrabiny. Jakże mi serce bije! Zobaczę tę, którą ubóstwiam... Nieobecność, zamiast osłabienia mojéj miłości, jeszcze ją wzmogła... Przechodzę pokoje poprzedzające salon; ledwie oddycham! Nareście już jestem tuż przy niéj, jedne tylko drzwi rozdzielają nas jeszcze. Bezrozumny! zamiast podsycania téj namiętności, która uczyni mię nieszczęśliwym na całe życie, czyliż nie powinienem uciekać przed tą, która jest jéj przedmiotem? Ale nie mogę... Otwieram lekko... postrzegam ją... siedzi przy stoliku i czyta. Nie słyszała mię. Czyta daléj... Jest sama... Zwierciadło na przeciw niéj zawieszone, odbija jéj rysy... Mogę w nią wpatrywać się do woli... Ach! jeszcze jest piękniéjsza. Młodość rodzi nowe uczucia, rysy nadbierają przez nią innego wyrażenia. Ma teraz lat szesnaście... Ach! czemuż nie jesteśmy jeszcze w téj chwili, kiedy nosiłem ją na ręku, kiedy drobne jéj rączki, igrały z puklami moich włosów?...

Spoglądając na nią, zbliżyłem się nieznacznie. Nareście jestem tuż przy niéj... i nie myśląc o tém, prawie bez zamiaru, biorę jéj rękę i przyciskam ją do serca. Adolfina przelękła się z razu, ale poznaje mię, a radość jaśnieje w jéj oczach. »Tyżeś to Andrzeju! rzekła do mnie: ty! Aoh jakże się cieszę z twego powrotu!.. Już nie będziesz podróżował; nie prawdaż Andrzeju? pozostaniesz przy nas?»

Luba dziewczyna! nie usuwa ręki którą przyciskam do serca. Jestem tak szczęśliwy, tak pomieszany, iż sam nie wiem co mówię i zdaje mi się iż ona podziela moje szczęście.

Nie zapomniałaś więc o mnie, panno Adolfino. Ja, Andrzeju miałam zapomnieć o tobie? o przyjacielu lat dziecinnych? to źle że tak mniemasz. —»Ach! dla czegóż nie mogę ci poświęcić całego życia mojego? Gdybyś wiedziała jak mi powoli upływały godziny, zdala od ciebie. Jedno tylko miałem życzenie; powrócić i zobaczyć cię znowu.

Już nie jestem panem tajemnicy mojéj... już nie widzę jaki przedział rozłącza mię od Adolfiny, gdy w tém słychać stąpanie; ledwiem zdołał puścić jéj rękę i oddalić się od niéj. Pan Therigny wszedł do salonu.

—»Moja kuzyneczko! rzekł, powiedziano mi że mama jest chora i ja także mam migrenę; przychodzę pobawić się z tobą, aby się uleczeć.» To mówiąc, obraca się ku mnie i niby dziwi się że jeszcze nie wyszedł: »Co tu robisz?.. wyjdźże, widzisz że nie potrzeba twoich usług.

Stoję niewzruszony, wlepiam oczy w pana Therigny, lecz usiłuję powściągnąć moje wzruszenie. Widząc iż się nie ruszam z miejsca, mówi po chwili: »Cóż to? nie słyszałeś mię?..

http://rcin.org.pl

wyjdź! powiadam ci. — »Bardzo dobrze słyszałem; ale nie sądziłem iż do mnie stósują się te słowa.— »A do kogóż innego, proszę? czy potrzeba ceremonii aby oddalić pana Andrzeja Sabaudczyka?

—»Tak jest mości panie! jestem Sabaudczykiem i chlubię się z tego; mieszkańcy mojéj wioski są uczciwi, wierni, wdzięczni... Będę się starał abym aż do zgonu zachował te cnoty: są jedyną puścizną moją; leczbym jéj nie zamienił na złoto i tytuły wielu osób.

—»A ha! przepyszna sentencya mój kochanku, nauczyłeś się jéj z jakiéj melodrammy, nie prawdaż? ale dosyć tego, bądź posłusznym. — »Nie masz mi pan nic do rozkazania. —»Zuchwalcze... nauczę cię rozumu.

Krew zawrzała mi w żyłach. Lecz Adolfina przybiega do mnie; zwraca na mnie tak błagające spojrzenie. O Boże! dla czegóż się sprzeczacie? zawołała. Mój kuzynie, cóż ci uczynił Andrzéj, iż tak mówisz do niego? —»Twój Andrzéj jest hultaj, któremu dam naukę...»

Już się nie posiadam, gotów jestem rzucić się na pana Therigny. Adolfina wbiega między nas, wyciąga ręce. — »Gdyby to nie było w przytomności panny Adolfiny, nie byłbyś mię znieważył bezkarnie, rzekłem. —»Dalibóg, zdaje mi się że on gardzi moją pogróżką; a to już nadto!..

W téj chwili hrabina weszła do salonu; usłyszała naszą kłótnię i nie pomna na swoje cierpienia, czémprędzéj przybiegła. Adolfina, rzuca się w objęcia matki, wołając: Ach! mamo proszę cię! nie daj im się kłócić... gdybyś wiedziała...

Słyszałam wszystko: rzecze hrabina. Therigny, spodziewałam się, że większe uszanowanie mieć będziesz dla mnie i że w moim pokoju, w obec mojéj córki, nie zapomnisz się tak dalece.—»Co? kochana ciotko, kiedy ten... — »Przestań. A ty Andrzeju, pójdź do siebie; jutro rano przyjdziesz do mnie... Odejdź Andrzeju... proszę cię.

Jakże się zdołam oprzeć rozkazom mojéj opiekunki? wyciąga ku mnie rękę i daje mi znak abym się oddalił. Całuję z uszanowaniem tę ukochaną rękę i wychodzę, nie patrząc na pana Therigny, aby gniew mój nie wziął góry nad powinnością.

Przyszedłszy do mego pokoju, mogę puścić wodze moim uczuciom.... Nie dosyćżem wycierpiał? nie dosyćże jestem upokorzony? Takiego doznać obejścia! w obec Adolfiny!.. O moja opiekunko! bez ciebie nie wiem jak daleko byłbym się uniósł gniewem... Jutro opuszczę ten dom.... Byłbym go opuścił natychmiast, gdyby rozkazy pani nie wstrzymały mię aż do jutra.

Bernard... Anusia... Jestem w Paryżu, a jeszcze ich nie uściskałem.... Ach, jakże to sobie wyrzucam!.. ale opuszczając ten dom, zupełnie oddam się przyjaźni... Bezsennie całą noc przepędziłem. Nazajutrz rano Lucylla oznajmuje mi, że pani hrabina chce mówić ze mną. Przychodzę do mojéj łaskawczyni. Adolfina jest przy niéj, rysuje obok matki.

Dobra Karolina okazuje mi jak naj-

http://rcin.org.pl

czulszą przyjaźń; córka wita mię lubym uśmiechem. Zdaje się, że chcą mi wynadgrodzić wczorajsze zmartwienie. Oświadczam, że odtąd mieszkać będę przy panu Dermilly, jeżeli pani hrabina zezwoli na to. Zdaje się, że Adolfina z utęsknieniem czeka na odpowiedź matki. Po krótkiéj rozwadze, jéj matka rzecze do mnie.—»Nie mogę ci mieć tego za złe Andrzeju! nie sprzeciwiam się twojemu zamiarowi... nie dla tego aby pan Therigny mógł ci powiedzieć nową nieprzyjemność, ale czuję że jego obecność jest przykrą dla ciebie. Nie znajdziesz lepszego przewodnika w świecie nad pana Dermilly. Kocha on ciebie równie jak ja, a wiedząc że jesteś przy nim, mniemać będę że jeszcze jesteś przy mnie. —»Co mamo! dozwalasz mu aby nas porzucił? zawołała Adolfina.—»Moje dziecię, trzeba kochać ludzi dla nich samych. Andrzéj ma lat dziewiętnaście; już mu nie przystoi pobyt w tym pałacu, gdzie prawie zawsze zamknięty jest w swoim pokoju; ale będziemy go często widywać. Nie prawdaż Andrzeju?« Odpowiadam jąkając się, mięsza mnie bowiem żal Adolfiny; widziałem łzy w jéj oczach, i poznaję że moje oddalenie jest ich przyczyną.

—»Nim się oddalisz od nas, mówi łaskawczyni moja, chcę ci dać poznać moje zamiary; chciałam cię ożenić mój przyjacielu z tą którą kochasz...

—»Z tą którą kocham! pani!.. zawołałem. Adolfina zaś słucha uważnie i spogląda na mnie ukradkiem.

—»Tak jest Andrzeju, znam twoje uczucia. Czyliżbym ich od tak dawna nie zgadła?

Rumienię się, spuszczam oczy. Pani hrabina mówi daléj!—»Ale jesteś jeszcze za młody. Z resztą, skoro tylko zechcesz ożenić się z Anusią, pamiętaj Andrzeju że twoje uposażenie jest gotowe i wymagam abyś przyjął odemnie ten słaby dowód mojéj przyjaźni; jest to niczem w porównaniu tego, co twój ojciec dla mnie uczynił.

Anusia! Mniema że ja kocham Anusię... Adolfina mogłaby to samo mniemać! Chcę wywieśdź ją z błędu. Spojrzenie wlepiła w rysunek... ale jéj ręka jest nieporuszona; zakryła twarz, aby swoje wzruszenie ukryć przed matką.

Pani! wdzięczny jestem za twoje dobrodziéjstwa, rzekłem z zapałem. Ale mylisz się pani względem uczuć moich. Nigdy nie będę mężem Anusi, kocham ją jak siostrę, ale nie jak kochankę.

—»Nie kochasz Anusi! zawołała zdziwiona moja łaskawczyni; Nic jéj nie jéj nie odpowiadam, widzę że Adolfina oddycha swobodniéj i rzuca na mnie tak słodkie spojrzenie, iż zdaje się, że nikomu w świecie zazdrościć nie mogę. Ciągle spoglądam na nią, a chociaż spuściła głowę, widzę jeszcze na jéj ustach ślady uśmiechu, który zrodziła moja odpowiedź. Przez kilka minut jesteśmy w tém położeniu, nie postrzegam że matka Adolfiny, spogląda kolejno to na mnie, to na moją córkę, ale wychodząc z mego zachwycenia, widzę na czole mojéj opiekunki, wyraz surowości, któ-

http://rcin.org.pl

rego mi nigdy nie okazała; płonę się, spuszczam oczy, lękam się czy nie wyczytała w mojém sercu.

—»Dosyć tego Andrzeju, rzekła nareście pani hrabina. Żal mi żem się omyliła... Rozumiałam że Anusia będzie twoją żoną i pewna jestem iż zapewniłaby twoje szczęście... Ale może zmienią się twoje uczucia...« —»O! nie, pani; nie zmienię się, nigdy nie będę kochał téj... która...— »To dosyć... możesz odejśdź. Złożę twoje uszanowanie panu hrabiemu.

Chcę odejśdź, zmieszany tonem mojéj łaskawczyni, ale wkrótce rzekła łagodniej: — »Andrzeju, nie zapominaj nigdy żeś w tym domu przepędził część twojej młodości.... iż cię kocham jak syna... żem zawsze pragnęła twego szczęścia... — »Ja mam zapomnieć pani! Ach nigdy! twoje dobrodziejstwa są wyryte w mojéj duszy, abym mógł z czasem dowieśdź ile za nie wdzięcznym bydź umiem.

Czuła Karolina przyciska mię do serca. Adolfina zbliża się... Spojrzenie jéj matki zatrzymało ją, ale podaje mi rękę, która drży w mojéj... Stało się, oddalam się, opuszczam ten pałac, gdziem przepędził osiem lat życia... Może byłbym szczęśliwszym gdybym go był nie znał wcale.

ROZDZIAŁ XVII.

NIESPODZIANE SPOTKANIE.

Pan Dermilly przyjął mię jak przyjaciel, jak najczulszy ojciec. — »Twoja obecność, rzekł do mnie, przynosi ulgę moim cierpieniom i tęsknocie: bądź moim wiernym towarzyszem. Nie długo nim będziesz Andrzeju; ale przynajmniéy twoja ręka zamknie mi oczy.

Usiłuję rozerwać jego smutne myśli i opowiadam co było przyczyną żem opuścił dom hrabiny. Słucha mię uważnie. — »Dobrześ uczynił, rzecze: mieszkając dłużéj w tym samym domu co i ten roztrzepaniec, który ci taką okazuje pogardę, mógłbyś był zapomnieć że to jest dom Karoliny, i drżę, myśląc jakie skutki mogłyby z tego wyniknąć. Odwiedzaj hrabinę, to jest twoim obowiązkiem, ale unikaj pana Therigny. Bywaj często u Bernarda i Anusi; niechaj ci zacni przyjaciele przychodzą do ciebie ile razy im się podoba.

Jestem więc znowu w tym pokoju dokąd przeniesiono mię zranionego, gdy miałem lat jedenaście. Poczciwa Teressa już nie żyje. Odwiedzam pracownią. Słowiczek już tam nie przychodzi służyć za model; teraz jużby mię nie oszukał. Pan Dermilly od dawna nie potrzebuje modelów; z powodu osłabienia pracuje bardzo rzadko. »Ty dokończysz te obrazy które ja zacząłem:« mówi do mnie.

Nareście poszedłem do Bernarda. Anusia była najszczęśliwsza ujrzawszy mię; ale skoro usłyszała że już nie mieszkam w pałacu, nie posiada się z radości, biega, skacze, szczęście jaśnieje w jéj oczach, nie może usiedzieć na miejscu... Jest to Anusia

http://rcin.org.pl

mająca lat osiem, kiedyśmy razem tańcowali nasze goralskie tańce.

—»Ojcze! ojcze! zawołała: już nie mieszka w pałacu, ach! jakże jestem szczęśliwa!...— »A to dla czego? rzekł Bernard. — »Ach mój ojcze! daleko częściéj będziemy go widywać! Pan Dermilly pozwala nam przychodzić do swego domu, a przy tém Andrzéj będzie miał więcéj czasu... będzie więcéj myśleć o nas... będzie nas lepiéj kochał. —»Lepiéj, Anusiu! czyliż zapominałem o was w pałacu? —»Nie, nie, ale te piękne pokoje, ten wielki świat, te piękne sprzęty, to zawsze odurza. A przytém widuje się osoby... które... Ach! jakże jestem szczęśliwa... Andrzeju nie powracaj tam nigdy.

—»Nigdy? zawołał Bernard, czyliż takim sposobem okazałby wdzięczność za dobrodziejstwa pani hrabiny? —»O nie, mój ojcze, wiem że powinien odwiedzać ją niekiedy; ale już nie będzie mieszkać w tym wielkim domu, dokąd nigdybym wejść nie śmiała... A to mogło mu poddawać pewne wyobrażenia... bo mój ojcze, Andrzéj jest Sabaudczykiem i nigdy nie powinien zapominać o tém. Nie prawdaż Andrzeju, że zawsze pamiętać będziesz o twojém urodzeniu, że nie będziesz dumnym?

—»Ja Anusiu! alboż kiedy byłem dumny?—»O nie mój chłopcze! wiem o tem: rzekł Bernard: ale mojéj córce w głowie się przewróciło! Od lat dziesięciu nigdy tyle nie gadała i nie skakała.

Cały dzień przepędzam przy moich zacnych przyjaciołach. Czas ten prędko mi upłynął, gdyż wzruszają mię dowody ich przyjaźni. Jeźli wspomnienie Adolfiny zachmurza moje czoło, jeźli mi się wykrada westchnienie, natychmiast Anusia, zgadując myśli moje, bierze mię za rękę, mówi mi o matce, o moim kraju rodzinnym i zawsze zdoła rozpogodzić moje czoło. Ojciec Bernard, który zachodząc w lata, trochę więcéj spoczywa, lubi siedzieć przy stole i wnosi zdrowie wszystkich którzy mi są drodzy; Anusia zaś mówi do mnie po cichu: »Andrzeju! jakże przyjemny dzień przepędziłam! Ach! od dawna nie byłam tak szczęśliwą.

Koło wieczora rozstałem się z mojemi przyjaciołmi; nie mogłem przewieść na sobie i przeszedłem koło pałacu; nie wstąpię ale spojrzę na okna. W tym to domu przepędziłem wiek młodociany, tam otrzymałem edukacyą, tam ukształcił się mój rozum, mój rozsądek. Ale te wszystkie korzyści opłaciłem utratą pokoju. Ach! nie jestem nie wdzięcznym! nie powinienem był wznosić moich oczu na córkę mojéj łaskawczyni. Ale przestając z nią bez ustanku, czyliż mogłem zabezpieczyć się od tego uroku, od téj miłości którą we mnie wznieciła? Dla czegóż wolno mi było przez lat osiem uwielbiać co chwila, jéj wdzięki, jéj cnoty? Ponieważ jestem Sabaudczykiem, czyliż mniemano że nie mam serca?

Po niejakim czasie, idę złożyć moje uszanowanie pani hrabinie; sam pan Dermilly zachęca mię do tego. Oznajmiono moje przyjście... wchodzę... Adolfiny nie ma przy matce.

http://rcin.org.pl

Pani hrabina okazuje mi też samą dobroć. Po niejakim czasie zabieram się do wyjścia, a nie mogąc znieść dłużéj, nie śmiało wymawiam imie Adolfiny.

—»Moja córka jest zdrowa: rzekła ozięble pani hrabina: nie omieszkam powiedzieć jéj o twojém życzliwém wspomnieniu.« Oczywiście, że już jéj widzieć nie będę; odchodzę smutny. Lucylla powiada mi po cichu, że pani hrabina kazała córce pójść do swego gabinetu, gdy jéj oznajmiono moje przyjście. Ach! czemuż wprzódy nie użyto tych środków ostrożności?...

Spiesznym krokiem wychodzę z pałacu, ledwie zdołam powściągnąć się od płaczu. Wchodzę do sieni jednego z pobliskich domów i tam płaczę do woli. Spoglądam na okna pałacu, i mówię do siebie: »Już jéj nie zobaczę! już nie będę mógł z nią mówić... już nie usłyszę jéj słodkiego głosu; jéj miłe oczy już na mnie zwracać się nie będą.

Ta myśl, podwaja moje udręczenia, ależ przynajmniéj mogę płakać swobodnie. Ukrywanie cierpień, czyni nas dwakroć nieszczęśliwszemi.

Młody człowiek, prawie w moim wieku, ubrany w suknie takie jakie ja nosiłem mieszkając u Bernarda, wchodzi śpiewając do sieni; usunąłem się trochę. Ale ten chłopak, zdziwiony że człowiek porządnie ubrany stoi w sieni i płacze jak dziecko, zatrzymuje się o kilka kroków odemnie; nie śmie iść na schody; zmartwienie moje przykrość mu wyrządza; ale nie wie jak ma do mnie się zbliżyć. Postępuje kilka kroków, znowu oddala się, kaszle, nareście nie mogąc dłużéj wytrzymać, rzecze:

—»Przepraszam pana, ale widzę że cierpisz. Może spadłeś ze schodów, są tak ciemne; albo może pana powóz potrącił! Może pan każe pójść po co; jestem na pana usługi.

W mojém położeniu, każda rozmowa była dla mnie natrętną. Ale poznałem akcent mojego kraju. Ten który do mnie mówi, jest Sabaudczykiem; nie wątpię o tém, a serce moje zawsze wzrusza się na widok współziomków. Obracam się do tego człowieka i odpowiadam: »Dziękuję ci mój przyjacielu, niczego mi nie potrzeba.» Zapewne ton z którym wyrzekłem te słowa, nie musiał go przekonać, gdyż jeszcze się przybliżył i rzekł po chwili: »Czyli pan jesteś tego pewnym?

Uśmiecham się i ocieram oczy. Jesteś z Sabaudyi? rzekłem do niego...

—»Tak jest, ale skądże pan wiesz o tém? —»O! poznałem akcent krajowy.

—»Ba! czyliżby i pan także był Sabaudczykiem?—»Tak jest, jestem twoim współziomkiem. —»O! tegobym się nigdy nie domyślił; nie zacinasz pan po Sabaudzku, nie wyglądasz tak jak my. Jeszcze żadnego Sabaudczyka nie widziałem w tak pięknych sukniach. O! dla nie śpiewania *yu! piu!* i czyszczenia kominów, przyszedłeś pan do Paryża.

Podoba mi się szczerość i otwartość Sabaudczyka. —»Jak dawno wyszedłeś z Sabaudyi? rzekłem: —»O już bardzo dawno! Miałem lat siedem, kiedym wyszedł z Sabaudyi razem z

http://rcin.org.pl

moim bratem i od tego czasu, nie mało kominów wymiotłem.

Siedem lat! z bratem!... jakaż myśl uderza mię! Bacznie przypatruję się młodemu człowiekowi, który stoi przedemną; usiłuję rozpoznać rysy jego twarzy.... W rzeczy saméj, zdaje mi się że znajduję jakieś podobieństwo... Oprócz tego... od lat jedenastu... O Boże! gdyby to był on!.. Ta nadzieja tak silnie wzrusza moje serce, iż ledwie mogę przemówić.

—»Z jakichże stron jesteś? —»Z Verin, małéj wioseczki, przy Mont-blanc. —»Z Verin! a twój ojciec? —»Umarł wprzódy, nim opuściłem mój kraj. —»Jak się nazywał? —«Jak się nazywał? a jużci Jerzy tak jak ja. —»To on! To ty! Piotrze? czyliż mię nie poznajesz?

To mówiąc, wyciągam ręce ku niemu, spogląda na mnie z podziwieniem. —»Twój to brat!.. rzekłem. Andrzéj jest przed tobą.

—»Andrzéj! pan !.. ty! Ach czy to bydź może?

Wywodzę go z niepewności, ściskając go kilkakrotnie. Piotr już nie wątpi że jestem jego bratem, a wtedy przez kilka minut zostajemy w objęciach wzajemnych.

—»Co! to ty Andrzeju? ty w tak pięknych sukniach, a praczesz? —»To ty Piotrze, zawsze w kaftanie, ale śpiewasz. —»O ja zawsze śpiewać będę... Musiałeś więc dorobić się majątku Andrzeju; ubrany jesteś jak wielki pan. Cóż ci jest u licha? —»Opowiem ci to wszystko, mój biedny Piotrusiu... Tak jestem kontent że ciebie znajduję! rozumiałem żeś umarł.

—»Dalibóg, to rzecz prosta, od czasu jak ten hultaj chciał mię zjeść, a ja uciekłem, nie widzieliśmy się dotąd. —»Mój bracie, uściskajmy się raz jeszcze.

—»Pójdź ze mną, rzekłem do Piotra, pójdź, przedstawię cię mojemu najlepszemu przyjacielowi. Pewien jestem, iż cię kochać będzie. —»Zaraz. Szedłem z posyłką do tego domu, muszę przynieść odpowiedź. Dostanę dziesięć soldów, a dla mnie to nie mało znaczy. —»Pójdź bracie, pójdź, dam ci wszystkie pieniądze, które mam przy sobie. —»O to nic nie szkodzi, nie chcę odstręczać ludzi; oprócz tego, kiedy kogo poślą z interesem, to rzecz święta; czyliżeś o tém zapomniał Jędrzeju? —»Dobrze, a więc zaczekam na ciebie. —»O nie! może za długo zabawię. Powiedz mi gdzie mieszkasz, a przyjdę nad wieczorem.« Daję mu adres pana Dermilly i powiadam aby się śpieszył. —»Dermilly! czyli nie nazywasz się Andrzéj Jerzy, jak dawniéj? —»I owszem mój Piotrusiu, zawsze chlubię się imieniem ojca mojego.—»O! widzę że jesteś dobry chłopak. Ta piękna odzież nie zmieniła twojego serca. —»Pan Dermilly jest moim dobroczyńcą, u niego mieszkam. —»Dobrze, dobrze, rozumiem.

—»Nie omieszkaj przyjśdź tego wieczora mój kochany Piotrusiu; po tak długiém rozłączeniu, już mię nie opuścisz. —»Dobry Jędruś! jest bogatym i kocha mię zawsze! —»Idę i zaraz przychodzę.

Piotr odszedł odemnie, a potém idzie na schody; ja zaś wychodzę z téj

http://rcin.org.pl

sieni z umysłem zupełnie odmiennym od tego, z jakim tam wszedłem. Tak jestem szczęśliwy żem znalazł brata, iż przechodząc koło pałacu pana Frankornard, nie spoglądam na okna. Myślę tylko o Piotrusiu, biegnę, lecę do pana Dermilly i donoszę mu o tém zdarzeniu.

Mój przyjaciel podziela moją radość. Niecierpliwie czekamy na jego przyjście, aby się dowiedzieć co robił od czasu jak się ze mną rozłączył, i dla czego nie mógł dać matce wiadomości o sobie.

Nie długo przyszedł. Prowadzę go do pana Dermilly; spogląda w około siebie tak, jak ja spoglądałem mając lat jedenaście, gdym się obudził w tém pięknem łóżku, w którém mię położono.

—»O Boże! jakże tu pięknie! jakże się tu świeci! powtarza Piotruś co chwila. Nareście stanęliśmy przed panem Dermilly, on zaś mówi mi do ucha. »Czy to jest twój pan? —» Ach! to bardziéj niż pan! rzekłem biorąc za rękę tego, na którego z uszanowaniem spogląda. »To mój drugi ojciec!... Mój dobroczyńca! —»Chcę także bydź twoim przyjacielem mój Piotrusiu: rzecze pan Dermilly, podając rękę bratu mojemu. Piotruś nie wie czyli się powinien jéj dotknąć, cofa się bojaźliwie, zawadza o stolik i wywraca go. Przestraszony tym łoskotem, rzuca się na bok, nie widzi stolika do herbaty i kapeluszem zrzuca filiżanki porcelanowe. Ta druga niezgrabność miesza go do reszty, staje, nie śmie ruszyć się. Pan Dermilly śmieje się tylko.

Nareście Piotr ochłonął trochę, sadzam go na krześle i proszę aby mi opowiedział co mu się stało od chwili jakeśmy się rozłączyli. Zaczął więc następującym sposobem.

»Wiesz dobrze żem uciekł z sukniami pod pachą, kiedy mię chciał zjeść ten paskudny człowiek. Dalibóg, strach dodał mi skrzydeł, a nie patrząc czy idziesz za mną, biegłem ile mi tylko sił starczyło. Przeszedłem przez rogatki, nie postrzegając tego, i dopiero zatrzymałem się w polu. Wtedy pomyślałem o tobie; wołałem na ciebie mój biedny Andrzeju i ty zapewne wołałeś na mnie; ale jeden drugiego nie mógł słyszéć. Ubrawszy się, usiadłem nad rowem, wołałem na ciebie, a potém płakałem; nareście noc przyszła i płacząc usnąłem.

Uściskałem Piotrusia i rzekłem do niego: »I ja także kochany bracie, usnąłem zdala od ciebie!

»Nazajutrz rano, obudziwszy się, szedłem daléj, nie wiedząc dokąd. Byłem głodny, poszukałem w kieszeni i znalazłem siedem soldów. Wstąpiłem do wioski i kupiłem kawałek chleba, ale chociaż byłem głodny, jadłem go z płaczem; myślałem bowiem że nie masz pieniędzy i mówiłem do siebie: »Co też pocznie Jędruś jutro rano, jeźli go nie zawołają do wyczyszczenia komina! Ale pomyślałem że masz więcéj rozumu odemnie, i to mię pocieszało nieco: gdyż powiedziano mi, że kto ma rozum, ten łatwo sobie poradzi w Paryżu.»

»Przyszedłem do jakiegoś miasta: zdawało mi się, że wchodzę do Pa-

http://rcin.org.pl

ryża drugą stroną; bynajmniéj, byłem w Saint-Germin. Nie wiedziałem co począć i płakałem na ulicy, gdy nadszedł pewien jegomość i zapytał się co mi jest? Opowiedziałem całą moją historyą. »Posłuchaj, rzekł do mnie: odprawiłem służącego, gdyż był pijakiem i kradł mi na miesiąc przynajmniéj trzy szklanek wina. Jesteś maleńki, ale mniéj jeść będziesz i na tem się coś oszczędzi; prócz tego, Sabaudczycy są wierni i nazwyczajeni do pijania saméj wody.»

»Wejdź do mnie w służbę, a przynajmniéj nie będziesz musiał nocować na ulicy. — » A mój brat? rzekłem do niego. —»Twój brat?.. każę go wyszukać i przyjdzie do ciebie.

»Ucieszony iż mi przyrzekł że cię każe poszukać, poszedłem za nim. Ten jegomość był właścicielem wielkiego domu, ale zajmował w nim tylko trzy małe pokoiczki. Kazał mi sypiać pod przepierzeniem na złym sienniku; ale i tam było mi dobrze. Dawał mi do jedzenia sam chleb i złe warzywo, ale wiesz że nie byliśmy wybredni; nareście powiedział mi że dostanę dwanaście franków zasług na rok. Za takie dobrodziejstwa, służyłem mu za lokaja, za kucharza, za posyłkę, a że niezmiernie lękał się ognia, kazał mi co rano wycierać kominy.»

»Codziennie pytałem się o ciebie, aż pewnego rana, mój pan powiedział mi żeś wyszedł z Paryża, niewiadomo dokąd; a gdym płakał, rzekł do mnie:— »Piotrze, lepiéj ci jest u mnie niżeli w Paryżu, gdzie częstokroć nie ma za co żyć.» Stary skąpiec kontent był że mię trzymał w domu i zapewnił mię iż napisze do mojéj matki, aby była spokojna o mnie. Pięć lat przepędziłem u niego, lecz im bardziéj rosłem, tém mi było nudniéj u niego, a przy tém zaczął krzyczyć na mnie że mam za wiele apetytu. Ale nie śmiałem go porzucić, bo zawsze byłem tak bojaźliwy; aż nareście, gdym zjadł dwa jabłka na moje drugie śniadanie, mój pan odprawił mię, mówiąc: »Masz lat dwanaście, jesz jak gdybyś miał dwadzieścia pięć. Przyjmę młodszego i nie tak żarłocznego chłopaka. Wróć do Paryża, może tam znajdziesz twego brata.»

»Nigdy nie posiadałem tak znacznéj kwoty i wesoło wróciłem do Paryża. Byłem już sporym i rzekłem sobie: będę odbywał posyłki i szukał Jędrusia. Ale na próżno pytałem się o ciebie wszystkich Sabaudczyków jakich tylko spotkać mogłem; nie znali cię, boś został paniczem. Po niejakim czasie, uzbierawszy sumkę, chciałem ją posłać matce; ale nie wiedziałem jak to zrobić, gdy pewien jegomość któremu niekiedy czyściłem buty: a który mi nigdy nie płacił, aby mi razem dał więcéj: wywiódł mię z kłopotu, mówiąc do mnie: — »Piotrze, mam znajomych w twoim kraju, daj mi pieniądze, a ja odeślę je twojéj matce. Tegom też pragnął. Oddałem mu sto franków, a po niejakim czasie powiedział mi, że brat i matka dziękują mi i kazali mi się kłaniać.»

(Dalszy ciąg w następującym zeszycie.)

http://rcin.org.pl

SABAUDCZYK.

ROMANS PAWŁA DE KOCK.

(Ciąg dalszy.)

—»Ach, mój biedny Piotrze! zawołałem: musiałeś wpaśdź w ręce jakiego oszusta, gdyż nasza matka nie odebrała od ciebie żadnéj wiadomości; i rozumie że już nie żyjesz.—»Czy podobna? a przecież ten jegomość miał minę uczciwego człowieka... a po niejakim czasie, znowu ofiarował mi swoje usługi. —»Jakże się zowie ten jegomość? —»Zaraz, zaraz... powiedział mi że się zowie Ptaszek i że jest bankierem. —»A gdzież on mieszka?—»O to nie pytałem się; przychodził tam gdzie stawałem zazwyczaj i prowadził mię czasem na kieliszek wódki. — » Bankier który idzie na wódkę! rzekł pan Dermilly: ach mój Piotrze! twój pan Ptaszek musi bydź hultajem, któremuby warto skórę wygrzmocić.

»Nareście, mój kochany Andrzeju: mówił daléj Piotruś: ponieważ potém zachorowałem i nie bardzo mi się dobrze powodziło, nie mogłem nic posłać naszéj matce, i dopiero zacząłem odkładać po kilka groszy, kiedym szczęśliwym trafem spotkał ciebie płaczącego jak dziecko, chociaż ubrany jesteś jak wielki pan.

Zarumieniłem się na te ostatnie słowa Piotrusia i aby zwrócić rozmowę na co innego, czémprędzéj opowiadam bratu, wszystkie moje przygody. —»Dalibóg prawdę mówiłeś iż cię ten portrecik uszczęśliwi, rzekł Piotr: »Zmieniłeś się bardzo... jesteś teraz pięknym panem... a ja zostałem tém, co i dawniéj. Nie nabrałem rozumu; ale ty mię kochasz to rzecz główna. Dzięki tobie, nasza matka jest szczęśliwa, niczego jéj nie brakuje... W pomyślności twojéj nie zapomniałeś o rodzicach! to dobrze Andrzeju, to bardzo dobrze! gdybym ja był został bogatym, to może byłoby mi się w głowie przewróciło, a przecież mam dobre serce. Ale już późno, a ja mieszkam na przedmieściu Sgo Jakóba.

—»Nie, mój przyjacielu: rzekł pan Dermilly: odtąd z nami będziesz mieszkał, i zobaczemy co z ciebie będzie można zrobić.

—»Czy podobna? rzekł Piotruś, skacząc z radości i wywracając krzesła. Co! mieszkać będę w tym pięknym domu? Ach panie! ach mój biedny Andrzeju! a moje jasła? a moja skrzynka!.. To nic! pójdę po nie jutro... O Boże! jakże się tu muszą bawić!..

Piotruś nie wie co się z nim dzieje, całuje ręce naszego dobroczyńcy, a że pan Dermilly potrzebuje spoczynku, prowadzę Piotra do mego pokoju.

Nie może napatrzyć się meblom i co chwila powtarza: »Co? ja tutaj będę mieszkać?» Jednakże jedna rzecz udręcza go, to jest, że mię był znalazł płaczącego w sieni. —»Cóż ci to było? pyta się. —»Powiem ci potém. —»Nie, ja chcę wiedzieć teraz, bo widzisz, jeżeli zostawszy bogatemi, musimy smucić się i płakać, to wolę wrócić do mojego stanu.—»Moje zmartwienie nic nie znaczy.... bo widzisz Piotrusiu, ty jeszcze nie kochałeś... —» Czym kochał! Dalibóg nie. —» A więc mię nie zrozumiesz.

http://rcin.org.pl

—»Rozumiem! jesteś zakochanym, a twoja dama zrobiła ci jaką psotę. —»Piotrusiu! nie mów o tém ani słowa. —»Bądź spokojnym, w naszym stanie umiemy milczyć.

Piotruś ledwie odważył się wnijśdź do łóżka; powiada że jest za piękne i za miękkie; nareście kładzie się mówiąc: »Ach! piękne łóżko, jakże w nim człowiek tonie... O! wyśpię się na wszystkie cztery boki.... ale nie będę się kochał, bo przez to tak płakał ten biedny Andrzéj!

ROZDZIAŁ XVIII.

ŚMIERĆ PANA DERMILLY. — JESTEM MAJĘTNYM. — PIOTR GŁUPSTWA ROBI.

Nazajutrz rano ściskamy się jeszcze. Natychmiast donoszę mojéj matce o znalezieniu Piotrusia. Ponieważ pan Dermilly pozwala bratu mojemu mieszkać ze mną, muszę go przebrać i trochę okrzesać. Tak jestem szczęśliwy żem go znalazł, iż prawie odzyskałem wesołość. Ach! byłbym jeszcze weselszy, gdyby zdrowie pana Dermilly nie pogorszało się co raz bardziéj. Nie chce aby hrabina wiedziała o jego stanie.

Piotr powraca z jasłami na plecach. —»Po cóżeś to przyniósł? rzekłem do niego: wiesz że ci się teraz na nic nie przydadzą. —»Posłuchaj mię bracie, chcesz coś zrobić ze mnie, ale niewiadomo czy ci się uda. Bóg wie co człowieka może spotkać; dla tego schowam moje jasła, może mi się kiedyś przydadzą. —»Dobrze mówisz Piotrze! oprócz tego, w każdém położeniu, chociażby najpomyślniejszém, one przypominać ci będą twój stan początkowy. A teraz ubierz się. —»Co! w te piękne suknie? —»Oczywiście. Jesteś moim bratem, dla czegóż nie masz tak bydź ubranym jak ja? —»Tak, to prawda; ale tak mi będzie niezręcznie w tym ubiorze. —»No! nazwyczaisz się do niego.

Poszliśmy potém do pana Dermilly. W rzeczy saméj, Piotruś nie wie jak się ma ruszyć i co zrobić ze sobą. Przewrócił tylko dwie filiżanki i cukierniczkę. Po śniadaniu prowadzę go do Bernarda, chcę zapoznać go z mojemi przyjaciołmi. Gdyśmy wyszli na ulicę, mówię do Piotra: »Podaj mi rękę i nie wyglądaj jak gdybyś chodził po jajach. —»Ale mój bracie, boję się abym nie zaszargał butów. Tak się świecą, iż byłaby szkoda zepsuć je. —»Na to nie trzeba zważać. Czyli ci jest ciasno w tych pantalonach? —»Nie, mój bracie. —»A dla czegóż stąpasz tak drobnemi krokami? —»Gdyż, mój bracie, rozumiałem iż tak potrzeba, żeby mieć ładną figurę. —»Stąpaj jak zwyczajnie i nie zajmuj się twoją figurą. —»Dobrze bracie. —»Ach mój Boże! jakże jesteś czerwony! Czyli się dławisz? —»Nie mój bracie, ale halsztuch trochę mię dusi. —»Cóż u licha! to go rozpuść. —»Ale boję się abym nie pogniótł kokardki.

Wprowadzam go do sieni, poprawiam mu halsztuch i usiłuję dodać trochę śmiałości. Idziemy daléj. Piotr ma tak dziwną minę, iż nie

http://rcin.org.pl

mogę wstrzymać się od zapytania, czyli się jeszcze nie dusi.— »Nie mój bracie; ale zdaje mi się że wszyscy patrzą na mnie. — »A dla czegóż tak mniemasz? No, bracie, ośmiel się, pamiętaj że jesteś uczciwym chłopcem, możesz chodzić z śmiałem czołem, a ci którzyby szydzili z twojéj niezgrabności, możeby nie wszyscy to samo powiedzieć mogli.

Te słowa dodały mu serca i przecież przyszliśmy do Bernarda. Tam brat mój oddycha swobodniej; nic go nie miesza. Zaznajomił się prędko i bardzo mu się podobało u Bernarda.—»Będę ich odwiedzał często, mówi do mnie. — »Dobrze zrobisz mój przyjacielu; u nich znajdziesz dobre przykłady i zdrową radę.— »Tak jest, tak, odpowiada, a przy tém nie boję się, abym pośliznął się na posadzce, albo stłukł jakie cacko.

Prowadzę go na różne widowiska i usiłuję wykrzesać go trochę. Nie umie ani czytać ani pisać; sam będę jego nauczycielem. Pan Dermilly sądzi, że gdy się Piotr nauczy czytać, pisać i rachować, będzie można umieścić go w jakim domu handlowym.

Postrzegam że nie mało czasu upłynie, zanim się czytać nauczy. Od miesiąca, uczę go przez cztery godziny co dzień, a ledwie poznaje litery i nie może jeszcze sylabizować papa i mama.

Po lekcyi, mój braciszek wychodzi na miasto. Nie zawsze mogę mu towarzyszyć, gdyż z powodu coraz niebezpieczniéjszego stanu zdrowia pana Dermilly, cały dzień przy nim przepędzam. Jeżeli wybiegnę na chwilę, to tylko dla tego, aby przejść koło pałacu pana Frankornard i spojrzeć na okna pokoju Adolfiny. Obecność Piotra, na chwilę rozerwała mię; ale miłości uczucie było tylko przytłumione, a nie mogąc widywać téj którą uwielbiam, czuję że moja namiętność coraz bardziéj wzrasta.

Lucylla przyszła dowiedzieć się o zdrowie pana Dermilly. Powiada mi, że pan Therigny żyje tak roztrzepanie jak dawniej; hrabia jest zawsze obżarty; Adolfina ciągle smutna, chociaż matka nie opuszcza jéj ani na chwilę i usiłuje rozproszyć jéj smutek. Lucylla dziwi się że nie przychodzę do pałacu; ale któżby czuwał nad panem Dermilly? Jego siły zmniejszają się widocznie, a chociaż zachęca mię abym wychodził z bratem i rozrywał się trochę, nie chcę opuścić go ani na chwilę. Szanowny ten człowiek, wzrusza się moją troskliwością. Nazywa mię synem swoim; wszystko mu jestem winien, a zdaje mi się, iż go zadziwia to co czynię. Czyliżby niewdzięczność, pospolitszą była od wdzięczności?

Mój brat powraca zawsze przed jedenastą. Pewnego razu, nie wrócił jeszcze o północy, a wyszedł od trzech godzin. Gdzież bydź może? co robi? Czekam na niggo, a każda chwila, pomnaża moją niespokojność. Nareście pierwsza wybiła, a mój brat nie powraca. Nie mogąc dłużéj wytrzymać, chcę wyjść i szukać go, gdy nareście zapukano do bramy i słyszę głos mojego brata. Chciałem go łajać, ale postrzegam że teraz mówa moja na nicby się nie przydała;

http://rcin.org.pl

Pan Piotr upił się; ledwie może ustać na nogach, widać nawet po jego zabłoconych sukniach, że nie zawsze utrzymał równowagę. Nie ma kapelusza, oczy wyłażą mu z głowy. Nieszczęśliwy! gdzież on był? Jutro dowiem się o wszystkiém, a teraz chcę aby milczał, gdyż wino rozwiązało mu język i krzyczy jak najęty.

—»To ja! mój bracie, to ja... Spóźniłem się trochę... ale widzisz bawiliśmy się, a ci hultaje chcieli nas bić; ale ci powiadam że ja tam byłem i wyłoiliśmy im skórę.

— »Milcz, rzekłem i pójdź spać. Pan Dermilly śpi, wiesz że jest chory; przynajmniéj uszanuj sen jego. —»To prawda, braciszku, to prawda! ten zacny pan Dermilly!.. ale Bóg świadkiem jak go kocham i szanuję. Takbym żałował gdybym się obudził z mojéj winy.» A nędznik krzyczy jeszcze głośniéj!... Ale prowadzę go do gabinetu i wszystkie drzwi zamykam, przynajmniéj nas nie usłyszą.

—»Idź spać, rzekłem, jutro powiesz mi coś zrobił. —»Bawiłem się dobrze; jedliśmy i pili. O! jedliśmy jak panowie. —»Z kimże byłeś? — »Z kim? co! czyliżem ci nie mówił?.. Spotkałem Ptaszka, moją dawną znajomość; on powiada [illegible] jest moim przyjacielem aż do śmierci. — »O! Ptaszek się w to wmieszał!.. Nie dziwię się już, że w takim stanie przychodzisz. Co? bałamucisz się jeszcze z człowiekiem który cię oszukał, a który podług wszelkiego podobieństwa, jest oszustem? —»Mój bracie! zaprzysiągł się że jest najuczciwszym człowiekiem w świecie, a nasza matka nie dostała pieniędzy dla tego tylko, iż jego samego oszukano i skradziono w tym interessie. Na dowód czego pokazał mi papiery i listy dowodzące jego niewinności. —»A ty nie umiesz czytać! —»I ja toż samo powiedziałem; ale rzekł mi na to. — »Pokażę ci papiery, które ci dowiodą że jestem czysty jak łza.» Nie dosyć na tém, sam je przeczytał. Było to świadectwo poczciwości, wydane przez sędziego pokoju, poszliśmy z nim na wieczerzę.—»Z sędzią pokoju? — »Nie ze świadectwem w kieszeni, do przewybornego restauratora. Ptaszek kazał dawać potrawy, a ja zapłaciłem, ponieważ rozdarła się kieszonka u jego kamizelki i zgubił wszystkie pieniądze.

Nie wiem dla czego, ale mi się koniecznie zdaje że pan Ptaszek i pan Słowiczek są jedno. Uważam wielkie podobieństwo w ich postępowaniu.— Gdzieżeś go spotkał? rzekłem do Piotrusia. — »Na ulicy. Gdym szedł do Bernarda, postrzegłem człowieka który skoczył mi na szyję wołając. *Tak, nie mylę się, o Boże! To on! to on! czy bydź może?* gdyż bardzo często śpiewa zamiast coby miał gadać...

Ani wątpić, to ten hultaj Słowiczek. »Uściskawszy mię serdecznie: mówił daléj Piotr: zapytał się skąd przyszedłem do takich sukien. Czym skradł kogo, czym na loteryi wygrał? Opowiedziałem o wszystkiém; żem znalazł mego brata Andrzeja i że jestem u zacnego człowieka, którego kocham i szacuję z całéj duszy.

—»Ale nie tak głośno! przeklęty gaduło, czy chcesz obudzić naszego dobroczyńcę! — »Ach mój bracie! bo

http://rcin.org.pl

kiedy mówię o tym człowieku, czuję łzy, które!... o! mam tkliwe serce hi! hi! hi!— »No, otóż znowu płacze! Ale pójdź spać, resztę powiesz mi jutro. — »Człowiek tak szanowny, który cię nazywa synem swoim; hi! hi! hi! Zasłużyłeś na to. Tak jest dobry! Kochany Andrzéj! uczy mię czytać i pisać!.. hi! hi! hi! Będę się uczył, bo aż mi się serce kraje, widząc ile łożysz pracy abym mógł przeczytać papa i mama!.. —»To dobrze Piotrze, kontent jestem, ale pójdź spać, proszę cię. —»Tak jest mój bracie, jutro sam przeczytam ba, be, bi, bo, bu, a przy tém powiem ci... Piliśmy wino i przy wetach potłukliśmy talerze, gdyż Ptaszek śpiewał bolero, a ze skorup robił sobie dzwonki. To było tak ładnie, że młodzi ludzie którzy przy nas jedli, rzucili nam kilka soldów, prosząc, abyśmy byli cicho. Wtedy Ptaszek rzucił na nich skorupy od talerzy. Odpowiedzieli półmiskami. O! warto było przypatrzyć się temu. Jakiś stary jegomość, który jadł spokojnie w kącie sali, dostał w głowę salaterką... Poszedł wtedy po wartę, a ja nie znalazłem kapelusza; to szkoda, bo jeszcze był nowy. —»Sliczne postępowanie! —»Tak jest mój bracie, postąpiliśmy jak zuchy i powinieneś bydź kontent. —»Dobrze, dobrze, ale pójdź spać.— »Powiedz mi wprzódy, że mię kochasz. —»O tak jest, kocham, ale pójdź spać.

Narcście położył się i w krótce chrapi. Ach Piotrze! do czegożby przyprowadziły cię złe znajomości gdybyś sam był w Paryżu, bez przewodnika, bez przyjaciół? W tedy byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś nosił jasła i chodził z posyłkami: w ubóstwie zostałbyś uczciwym człowiekiem, a przy dostatkach Bóg wie coby z ciebie zrobili oszuści.

Pierwszy to błąd jego; trzeba mu go przebaczyć.

Nazajutrz, Piotr usiłuje przypomnieć sobie co robił wczoraj; ledwie zebrać może swoje wyobrażenia, gdyż zbytek w napoju gubi pamięć i czyni człowieka niedołężnym. Mój brat przyszedłszy do siebie, wstydzi się postępowania swego i prosi mię abym je ukrył przed panem Dermilly. Przyrzeka mi że już nie zada się z panem Ptaszkiem. Jeżeli go spotkasz, rzekłem do niego, naznacz mejsce schadzki i uprzedź mię o tém. Pójdę z tobą... chcę poznać tego pana Ptaszka, a jeżeli to jest ten na którego mam podejrzenie, zapłacę mu za wszystkie jego oszustwa.

Ale w krótce, ważniejsze troski wybiły z pamięci mojej to zdarzenie. Pan Dermilly już nie może wstawać z krzesła; czuje że już w krótce umrze; a ile razy hrabina dowiaduje się o jego zdrowiu, każe powiadać że ma się lepiej. —»Mój kochany Andrzeju mówi do mnie, znam stan mego zdrowia, ale po cóż zawczasu mam zasmucać Karolinę? Płakać będzie mojej śmierci, nie z tą rozpaczą, którejby dawniej doznała, ale z tą boleścią, której doznajemy rozłączając się się z przyjacielem. Biedny Andrzeju! czytam w twojém sercu i widzę, że miłość gotuje ci wiele udręczeń.

http://rcin.org.pl

Usiłuję oddalić jego podejrzenia, lecz odgadł moją tajemnicę. —»Kochasz Adolfinę! mówi do mnie. Gdyby to zależało odemnie, byłaby twoją żoną.... Jesteś moim przysposobionym synem, nie mam krewnych, tobie zostawię wszystko co posiadam. Dzięki talentowi mojemu i oszczędnemu życiu, zebrałem sobie około sześciu tysięcy liwrów dochodu; należeć będą do ciebie Andrzeju. Jest to dosyć dla artysty, jest to za mało dla pana de Frankornard.

—»Ach! panie, rzekłem zakrywając twarz rękoma, zrzekam się twoich dobrodziejstw, niechaj tylko niebo zachowa ciebie przy życiu!« Ale niestety! próżne są moje starania. Pan Dermilly żył jeszcze przez miesiąc, aż nareście pewnego dnia rano, umarł w moich objęciach, nazywając mię synem swoim i wspominając nazwisko Karoliny.

Zgon jego był dla mnie bardzo bolesnym ciosem. Piotr czyni wszystko co może aby mię pocieszyć. Bernard i jego córka przybiegają do mnie i płaczą ze mną razem.

Pan Dermilly napisał testament. Zostawił mi wszystko; posiadam piękne ruchomości i sześć tysięcy liwrów dochodu.

—»Sześć tysięcy liwrów dochodu! zawołał Piotruś: jesteś teraz wielkim panem Andrzeju. Mógłbyś wieś naszą kupić. —»Czy to prawda? mówi Anusia, niespokojnie spoglądając na mnie: czy to prawda że jesteś tak bogatym jak ludzie którzy mają pałace? — »Nie, Anusiu! tak bogaty nie jestem, ale mogę uszczęśliwiać moich przyjaciół; moja matka, bracia i wy, chciejcie podzielać mój majątek.

—»Mój chłopcze! rzecze stary Bernard, ściskając mię za rękę: niczego nie potrzebuję i nie chcę. Wiem ja, że sześć tysięcy franków, nie są nie wyczerpanym skarbem... ale zapewniają dobry byt tobie i twojéj familii. Wiem, iż te bogactwa nie zmienią się nigdy. —»Ach! nigdy mój ojcze.

To zapewnienie uspokaja Anusię. Myślę teraz o wypełnieniu ostatniéj woli pana Dermilly. Przed śmiercią powierzył mi zapieczętowaną paczkę, prosząc, abym ją sam zaniósł pani hrabinie. W téj chwili przynoszą mi list; poznaję po stęplu pocztowym, że jest z Sabaudyi. O Boże! naszą matka ani Jakóbek nie umie pisać, czyliżby jakie nieszczęście ją spotkało? Ze drżeniem łamię pieczątkę. Piotr i moi przyjaciele otaczają mię niecierpliwi. List jest od Michała, jednego z naszych sąsiadów. Pisze do nas na prożbę matki. Z radością dowiedziała się o wynalezieniu Piotra, ale Jakóbek zabił się, wpadłszy w przepaść między górami.

Biedny Jakób! nie będzie podzielał mojego szczęścia. Już zniknęła cześć moich nadziei. Przez kilka minut mówić nie mogę. Mieszam łzy moje ze łzami Piotrusia, i obydwa płaczemy naszego brata. Nareście mogę dokończyć czytania. Matka pragnie jak najgoręcéj, aby nas zobaczyła. Zaklina abyśmy czém prędzéj przyjechali, chociażby na jeden dzień tylko. Widzenie nasze zdoła przywrócić ją do zdrowia.

http://rcin.org.pl

—»Spieszmy się zadosyć uczynić woli naszéj matki. Piotrze, rzekłem do mojego brata, jutro, dziś nawet jeżeli można, pośpieszymy do Sabaudyi.—»Dobrze mój bracie. Czy piechotą? —»Gdzie zaś piechotą, weźmiemy pocztę, kuryera. Nie pytam się ile to kosztować będzie. Ojcze Bernardzie, proszę zamówcie mi pocztę i przygotujcie wszystko do wyjazdu, a ja pójdę do pałacu, zadosyć uczynić ostatniéj woli pana Dermilly. —»Dobrze mój chłopcze, odpowiada Bernard. —»Tak jest, dobrze czynisz mój Andrzeju, mówi Anusia, odwiedzisz matkę... ale powrócisz, nie prawdaż? —»Tak jest Anusiu, zobaczymy się.—»O Boże! co za radość! woła Piotr skacząc po pokoju. Pojedziemy do naszego kraju, pocztą jak xiążęta. O Boże! jak to będzie ładnie! co to powiedzą nasi sąsiedzi!

Proszę Anusi aby zapakowała nasze rzeczy, gdyż mój brat sam nie wie co robi i niczém zająć się nie może, a wziąwszy małą paczkę którą mam oddać hrabinie, idę do pałacu.

Po drodze, nie mogę wstrzymać się od myślenia o mojem położeniu i nowe nadzieje czuję w głębi serca. Sześć tysięcy liwrów dochodu.... to jest aż nadto aby żyć spokojnie i wygodnie. Oprócz tego, mam trochę talentu, a lubo daleki jestem od mojego nauczyciela, mogę ciągnąć niejakie korzyści z mojej pracy... Gdybym się ożenił, zapewne żonie mojej nie brakowałoby niczego. Lecz gdyby mię Adolfina kochała... Lecz rozwaga rozprasza te urojenia. Cóż znaczy mój skromny majątek obok dostaków pana de Frankornard? a gdybym nawet był jeszcze bogatszym, czyliż przestanę bydź Andrzejem Sabaudczykiem?

Przychodzę do pałacu, pytam się o panią hrabinę i śmielszym krokiem idę przez podworze. Prawda więc jest, że majątek dodaje nam pewnej śmiałości, której nigdy mieć nie możemy, bez tego uczucia, że od niczyjéj łaski nie zależym. Trzymam w ręku zapieczętowaną paczkę. Są to zapewne listy miłosne. Takie bilety częstokroć żyją tylko jedną chwilę; te zaś przeżyły tego, do którego były pisane. Te listy tchną najmocniejszym zapałem i najżywszą czułością... Jch czytanie jeszczeby obudziło bicie serca! Ten kto wzbudził te uczucia, już nie żyje... Ćwiartka papieru częstokroć dłużej trwa, niźli życie człowieka.

Moja łaskawczyni już musi wiedzieć o śmierci pana Dermilly; tego przynajmniej nie będę jej oznajmiał. Zbliżając się do jej pokojów, czuję że mię opuszcza odwaga. Od sześciu miesięcy nie widziałem Adolfiny; czyliż dzisiaj znowu zawiedzie mię nadzieja?

Oznajmiono mię; dostaję się nareście do tych pokojów gdzie mi dawniej wolno było przychodzić. Jest sama... Adolfina pracuje przy niej. Ja ją tylko widzę... Spotkały się nasze spojrzenia i w jednej chwili powiedziały sobie to wszystko, czego nasze serca od lat pięciu doznały.

Głos mojej opiekunki wyprowadza mię z tego zachwycenia: zbliżam się

http://rcin.org.pl

ku niej, widzę na jej twarzy ślady głębokiej boleści, poświadczające o jej przywiązaniu do pana Dermilly; mówi do mnie zmienionym głosem.

»Andrzeju, straciliśmy przyjaciela... Ukrywał przedemną stan swój..... chciał do ostatniej chwili utrzymywać mię w nadziei... i miałam to złudzenie... Wiem co uczynił dla ciebie. Uważał cię za syna... Czyliż ci nic nie oddał dla mnie?..—«Przebacz pani, tę paczkę kazał mi oddać do własnych rąk pani.

Z pośpiechem bierze paczkę... Widzę łzy w jéj oczach, gdy ją otwiera; oddalam się od niéj przez delikatność i zbliżam się do Adolfiny. Możemy rozmawiać. Matka już nas nie widzi. Jéj myśl daleko od nas odbiegła. Widok tych listów pisanych przed piętnastu laty może, zwrócił ją do téj epoki jéj pierwszéj miłości. —»Dla czegóż nie bywasz u nas? rzekła Adolfina cichym głosem. To nie dobrze panie Andrzeju, zapominać o swoich przyjaciołach! —»Ach pani! Nie wątp o tém, iż byłbym najszczęśliwszym, gdybym cię mógł widywać, ale nie śmiem, obawiam się... ojciec pani.... jéj krewny. —»I cóż! czyli ci zabronili przychodzić do nas? Mój krewny jest roztrzepaniec; teraz pojechał do wód; mój ojciec płacze tylko swego psa, który zdechł przed kilkoma dniami; mama tak jest smutna po zgonie tego dobrego pana Dermilly... I ja także płaczę po nim... Spodziewałam się że ty przynajmniéj nasz pocieszysz... A nie przychodzisz wcale!... Ach! panie Andrzeju, jakże mi żal tego czasu, który z nami przepędzałeś na wsi; jakże wtedy byłam szczęśliwa!.. Biegaliśmy, rysowali razem. Czy pamiętasz o tém?—»Ach! te wspomnienia są szczęściem i udręczeniem życia mojego. —»Udręczeniem? a to czemu? —»Myślę, że te piękne dni już się nie wrócą... Znam teraz jaki jest przedział między nami... nie widziałem go mając lat trzynaście.

Przestaję mówić, wzdycham; Adolfina spogląda na mnie; zdaje się że mię rozumie; milczemy oboje, ale nasze spojrzenia mówią więcéj nawet, niżeliby nasze usta śmiały powiedzieć. Szczęśliwa chwila! hrabina wpatrując się w listy, myśli o swojéj dawnéj miłości; jéj córka i ja doznajemy w rzeczywistości tego, co dla niéj jest tylko wspomnieniem.

Ale ciężki chód rozlegający się w pobliskim pokoju, przerwał szczęście nasze. Oddalam się od Adolfiny, hrabina śpiesznie chowa listy, a pan de Frankornard wchodzi do pokoju.

—»Ho! ho! rzecze postrzegając nas: to Andrzéj!.. Cóż on tu robi w pałacu? —»Panie! odpowiada moja łaskawczyni, przynosi mi ostatnie pożegnanie człowieka.... który mi był tak drogim... pana Dermilly... który umierając zapisał Andrzejowi cały swój majątek. —»A do licha!.. to co innego: rzecze hrabia siadając w krześle. —»Tak jest, tak, przypominam sobie, powiedziałaś mi, że Dermilly nie żyje!.. Ajax także nie żyje... Płaczę go co dzień. Dermilly posiadał nieco talentu... ale Ajax! Ach! on to był niezrównanym... Pamiętasz Andrzeju, jak skakał przez obręcz?..

http://rcin.org.pl

A!.. jesteś jego dziedzicem. O! nie wielka to rzecz, dziedzictwo malarza.... Goły jak malarz, mówi przysłowie... Ajax to miał prześliczną obróżę.

—»Pan Dermilly posiadał dostateczny majątek: rzecze matka Adolfiny i widać że niedorzeczne gadanie pana Frankornard, wielką przykrość jéj przynosi: zostawił Andrzejowi sześć tysięcy liwrów dochodu.

—»Sześć tysięcy liwrów! zawołał pan Frankornard zdziwiony i wytrzyszczył jedyne oko swoje! Do kata! A to ładna kwota! Jakże u kaduka tyle mógł zebrać, bazgrząc po płótnie? Gdy mi był odmalował portret Ajaxa, byłbyś znalazł dziesięć talarów więcéj w jego puściznie. Ach! ach! Andrzeju, sześć tysięcy liwrów dochodu!... Czy wiesz że wyrastasz na przystojnego chłopca?... Daleko lepiéj wyglądasz dziś, aniżeli ostatnim razem... O! nie rozumiem zkąd ci się wzięła ta figura.

—»Za nadto pan jest dobry: rzekłem do hrabiego, kłaniając się.—»Za nadto dobry!... Ale bardzo ładnie odpowiadasz, dawniéj byłbyś się na to nie zdobył. Nic tak nie dodaje rozumu jak majątek; a na Sabaudczyka, sześć tysięcy liwrów dochodu!... To przepysznie. Założę się że będziesz handlował. Przed śmiercią Ajaxa byłbym ci mógł nastręczyć kilka dobrych dostaw... do mojéj kuchni naprzykład, ale to zdarzenie tak mię znękało, że się już do niczego nie mieszam.

—»Dziękuję panu hrabiemu, ale nie myślę wcale zajmować się handlem. Trudnić się będę sztuką, któréj mię nauczył mój dobroczyńca. Nie pragnę bynajmniéj powiększenia majątku.

—»Tém gorzéj dla ciebie; handel byłby cię mógł zaprowadzić daleko. Częstokroć więcéj można zyskać na marchwi i grochu, niż na obrazach... To są rzeczy pewniejsze. Jest to niezaprzeczona prawda; wszyscy jeść muszą; ale nie widzę dla czego koniecznie trzeba malować... Ja mogę obejść się bez malarza, a nie obejdę się w żaden sposób bez kucharza... Hę! a co czy nie prawda?

Kłaniam się hrabiemu i żegnam się z panią, oznajmując jéj że wyjeżdżam do Sabaudyi.

—»Jedziesz do Sabaudyi! rzecze Adolfina, czy nie wrócisz do Paryża?

—»I owszem pani, ale pojadę uściskać moją matkę; nie widziałem jéj od lat iedenastu. Mój brat jedzie ze mną; będziemy usiłowali pocieszyć ją po stracie Jakóba, naszego najmłodszego brata.

—»To dobrze, to dobrze: rzecze hrabia przerywając mi. Piotr, Jakób czy Mikołaj... twoje interesa nie obchodzą mię bynajmniéj, mój chłopcze. Jedź sobie do Sabaudyi, gdyby bobaki można jeść, prosiłbym cię abyś mi je przysłał, ale wiem że nie ma nic dobrego w tym kraju... nie zapomnę że tam byłem.

—»I my także nie zapomniemy panie hrabio, że mieliśmy zaszczyt przyjąć go w naszéj chatce. To mówiąc, całuję rękę mojéj łaskawczyni, a czułe spojrzenie rzuciwszy na Adolfinę, wychodzę z pokoju.

Lucylla przyrzeka że będzie mi

http://rcin.org.pl

donosić o pani hrabinie i jéj córce. Za moim powrotem do domu, już było wszystko gotowe. Powóz zaprzężony czterema końmi, stał przed domem, a Piotr już w nim siedział i wyglądał na obie strony. Anusia i Bernard żegnają nas serdecznie i ruszamy do Sabaudyi.

ROZDZIAŁ XIX.

PODRÓŻ DO SABAUDYI, KUPNO, NIESPODZIANY POWRÓT.

Piotr nie wie co się z nim dzieje. Ani na chwilę nie zamknie ust, wydaje wykrzyki radości, podziwienia, a niekiedy przestrachu. Nadaremnie chciałbym zająć się myślami mojemi; Piotr nie daje mi na to czasu.

Drugiego dnia podróży, brat mój zaczyna doznawać utrudzenia. Scierpły mu nogi i już nie tyle żałuje biedaków którzy idą piechotą. Nareście minęliśmy Lugdun; wkrótce wjeżdżamy na ziemię Sabaudyi. Tam wszystko przybiera w naszych oczach nową postać; nasze serca biią roskosznie na widok znanych nam okolic. »Patrzaj bracie, wołamy, czy widzisz ten dom, tę ścieszkę? Tam siedliśmy niegdyś;.. pod tém drzewem jedliśmy śniadanie. Patrzaj, to nasze góry, nasze lodowiska! Nasza wioska jest tam na dole, za tém miasteczkiem! Ach! jakże jesteśmy szczęśliwi.«

Ale! cóż tam widzę na dole, na drodze,... po lewej stronie przepaści. To poręcz! ta sama na której kołysaliśmy się idąc na wędrówkę. Porusza się jak wtedy, kiedy tak bardzo przestraszyła Piotrusia. Ach! wysiądźmy, rzekłem do brata, oprzyjmy się o tę poręcz... Pójdź, zdaje mi się że to są jeszcze też same czasy.

Piotr tego też właśnie pragnął. Rozkazuję postylionowi aby stanął. Wysiadamy i biegniem do naszej kochanej poręczy.. Chcemy ją uściskać. Właziemy na nią i huśtamy się jak w ówczas gdyśmy byli małemi.

Postylion spogląda na nas, dziwi się wytrzeszcza oczy i mniema zapewne żeśmy rozum stracili. Ach! nie może zgadnąć co się dzieje w naszém sercu.

Ale już zlazłem z poręczy; rozwaga zwróciła mię w głąb siebie samego; myślę o Paryżu, o Adolfinie, o zmianach które zaszły w przeciągu lat jedenastu... Wzdycham... Piotr ciągle się huśta. Ale on powraca do swojej zagrody takim, jakim z niej był wyszedł.

Wsiadamy do powozu, ale zostawiamy go w miasteczku o ćwierć mili od naszej chaty: resztę drogi chcę odbyć pieszo. Piotr nie rozumie dla czego to czynię; spodziewał się że galopem wjedzie do wioski. »Mój bracie, rzekłem do niego, nasi sąsiedzi, nasi przyjaciele, mogliby mniemać, że jesteśmy zbyt dumni, że chcemy ich zawstydzić. Wierz mi, lepiej jest wrócić pieszo na miejsce naszego urodzenia i tylko przez wspieranie biednych okazać, że jesteśmy bogaci.

Piotr ściska mię i woła —»Dobrze mówisz Andrzeju, zawsze przy tobie jest prawda; ale ja głupcem jestem, i nie widzę dalej nad koniec mojego nosa.

http://rcin.org.pl

Odsyłam konie i płacę postyliona. Bierzemy nasze tłómoczki i zakładamy je na kije. Piotr chce nieść wszystko, mówiąc że jest do tego nazwyczajony i mocniejszy odemnie, że to jest jego rzemiosło: ale ja na to nie pozwalam. Chcę także nieść mój tłómoczek. Przykro by mi było, okazywać się czemsiś wyższym od mojego brata.

Przyśpieszamy kroku, z rozrzewnieniem spoglądając na miejsca przypominające młodość naszą. Ale zbliżamy się do naszej chatki. Tam zmierzają wszystkie nasze życzenia. Przy zakręcie ścieszki prowadzącej na górę, postrzegamy miejsce gdzie matka pożegnała się z nami i tak długo ścigała nas oczyma. Smutnie spoglądamy na siebie... Taż sama myśl przyszła mnie i Piotrowi. Jakóbek był także razem z nami, tutaj widzieliśmy go raz ostatni. Biedny chłopczyk! przesyłał ucałowania braciom swoim, których już nie miał zobaczyć.

Zatrzymujemy się dla otarcia łez naszych. Niestety! nie ma na świecie doskonałego szczęścia, nasze byłoby zbyt wielkie, gdybyśmy byli znaleźli w naszéj wiosce to wszystko cośmy w niéj zostawili.

Ale matka czeka na nas.... śpieszymy w jéj objęcia. Szybko wdzieramy się na górę; z jéj wierzchołka doskonale widać chatkę. O! poznajemy ją od razu, chociażeśmy ją od tak dawna nie widzieli. — »To ona.» Te tylko słowa możemy wyrzec... wspomnienie i radość pozbawia nas siły do mówienia. Nie idziemy już, ale biegniem do téj ukochanéj chatki. Nareście dotykamy się jéj i padamy na kolana, przed naszą rodzinną zagrodą.

Drzwi się zamknęły; bez wątpienia nasza matka jest tam, ale czyliż nagle rzucimy się w jéj objęcia? »Mówią, że radość może nabawić boleści, rzecze do mnie Piotruś. Ja nie mogę dać wiary iżby radość niebezpieczną bydź miała. Nie opieram się dłużéj, pukam ze drżeniem. Otwierają, to ona! to nasza dobra matka! kłania się nam i mówi: »Czegóż potrzebują panowie?

Panowie! nie poznała swoich dzieci, z któremi się rozstała gdy jeszcze były tak małe! Po jedenastu latach już wyglądamy jak ludzie dorośli, a nasze piękne suknie tém ją bardziéj utwierdzają w błędzie. Ale serce zgaduje, przeczuwa szczęście.... Stojemy przed nią niewzruszeni, uśmiechamy się, nie śmiemy jeszcze mówić, ale wyciągamy do niéj ręce, a już nas odgadło jéj serce.

—»Ach, o Boże! zawołała. Czyliż to?...— »Tak jest! to my kochana matko!.. to Andrzéj! to Piotr! powracają do ciebie: zawołaliśmy obydwa i rzucamy się na szyję matce naszéj, jakeśmy to czynili będąc mali: ale kiedy serce się nie zmieni, dochowujemy słodkich nałogów dzieciństwa.

Przez długi czas możemy wymawiać same tylko słowa bez związku, ale słowa te pochodzą z duszy i wyrażają szczęście nasze. Matka nie może nas dosyć ucałować, dziwi się nam, znowu nas ściska i mówi:—»O

http://rcin.org.pl

Boże! jakież z was piękne chłopaki... biedne moje dzieciska! jakżeście pięknie ubrani! co za ładna postawa! Ty zwłaszcza Andrzeju, wyglądasz na pana mój chłopaku. Piotr jeszcze jest trochę niezgrabny, ale ty Andrzeju, jakże jesteś przystojny, i zawsze tak dobry!.. Ach! miałam tego częste dowody i dzięki tobie, matka twoja nie doznała nędzy.

Piotruś byłby toż samo zrobił moją matko, gdyby go nie był zwiódł jakiś oszust i nie zatrzymał sobie tych pieniędzy, które dostał od Piotrusia, aby ci je przesłać. —»Ach! wierzę ci, moje dziecię, wierzę; oprócz tego, kochacie mię zawsze... Ach! tak jestem szczęśliwa. Co za szkoda, że ten biedny Jakób nie może was uściskać... Ale wy mi pozostajecie; razem płakać go będziemy, i czuję to ściskając was, że jeszcze jestem szczęśliwą matką.

Wchodzimy do chaty; każdy sprzęt przypomina dziecinne lata nasze. »Patrzaj Piotrze, rzekłem do brata, o to jest wielkie krzesło z poręczami, na którém umarł nasz ojciec... Tutaj to uklękliśmy w koło niego... O to jest miejsce gdzie najbardziéj lubił spoczywać i gdzie nas brał na ręce!

—»Tak jest moje dzieci! to prawda, rzecze moja matka ocierając oczy. Ci biedni mali, poznają wszystko, nic nie zapomnieli.

—»Tutaj sypialiśmy! zawołał Piotr, ale zdaje mi się iżbyśmy się teraz nie pomieścili. —»A tu znalazłem miniaturę mojéj łaskawczyni. —»Tak jest mój kochany Andrzeju, ten klejnot był przyczyną twojego szczęścia! Jemu winieneś żeś wyszedł na słusznego człowieka. Opowiecie mi wszystko, co wam się przytrafiło od czasu jakeście mię opuścili moje dzieci, nic mi nie ukryjecie. Pamiętajcie iż wszystko obchodzi matkę... ale odpocznijcie, usiądźcie. Czyliżeście przyszli piechotą? —»O nie, rzecze Piotr, przyjechaliśmy wygodnie... mieliśmy... Ścisnąłem go za rękę, dając mu znak ahy milczał. Moja matka nie wie że pan Dermilly zapisał mi swój majątek; chcę ją zadziwić i dla tego to przerywam Piotrusiowi, mówiąc: »Przypadkiem zabraliśmy się z pewnym podróżnym.

Tém lepiéj moję dzieci, chcę was uczęstować; zrobić dla was te placki, któreście tak lubili będąc dziećmi. O! gdybym była wiedziała o waszém przybyciu, byłabym ich napiekła. Chcieliście mię zejśdź z nienacka; to nic, będziecie je mieli na wieczór.

Gdy nasza dobra matka tyle sobie trudów zadaje aby nam placków upiec, idziemy z bratem obejrzeć wioskę i zobaczyć czyli nie znajdziemy jakich dawnych znajomych; ale najprzód udajemy się na cmentarz. Powitamy grób naszego ojca i grób Jakóba, który tuż jest przy nim. Prędko zwiedzić można cmentarz wiejski. Tam nie ma przepysznych pomników; Kilka krzyżów... o to jest jedyna pamiątka tych co już nie żyją. Śmierć jest tam tak prosta jak życie; wieśniacy przychodzą uronić łzę nad grobem tych, których utracili, nie zaś dla uwielbiania pięknych grobowców i czytania długich napisów.

Ukląkłszy nad grobem Jakóba i na-

http://rcin.org.pl

szego ojca powoli wracamy do wioski. Zatrzymujemy się często; te ścieszki, te drogi były miejscem naszych igraszek. Tutaj walczyliśmy kulkami ze śniegu. —»Słuchaj, rzekł do mnie Piotr, tu właśnie dostałem śniegiem w same oko» I ja także nie zapomniałem o tym błogim czasie.

Nikt nie poznaje nas we wsi. Musiemy powiadać nasze nazwiska, a wtedy każdy mówi »Co! to są synowie Maryi. Jakże wyglądają na pięknych panów!» Ale postrzegają w krótce że nasze serca nie zmieniły się, każdy nas ściska i wita. Wracamy do matki, przygotowała dla nas kosztowną jak na stan swój biesiadę. Od dawna nie miałem tak dobrego apetytu; zajadam placki i recuszki. Cieszy się dobra Marya, ale Piotr zajadając krzywi się czasem.

—» Czyli ci to nie smakuje? rzecze matka. —»O! bo to widzicie matko, kuchnia paryzka to wcale co innego.

—» Co, Piotrze! nie lubisz placków które ci dawniej tak smakowały? —»Ale posłuchajcie, nie znałem jeszcze omletów z konfiturami i tych wszystkich przysmaków które jadłem u restauratora razem z Panem Ptaszkiem —»Ach! moja matko, omlet z konfiturami! to mi przysmak!.. Szkoda że nie można było przynieść chociaż jednego. Ale jeżeli przyjedziecie do Paryża.. będę was niemi karmić przez całe dwa tygodnie, moja matko.

—» Dziękuję ci mój chłopcze, ale nie opuszczę mojej chaty dla twoich omletów z konfiturami. Pewna jestem że nie są tak smaczne jak nasze ciasta... Nie prawdaż Andrzeju?

—» Tak jest moja matko, zawsze je lubię: rzekłem następując bratu na nogę, aby mu dać uczuć iż przykrość wyrządza naszej matce, przyganiając jej plackom. Po wieczerzy, każdy z nas opowiada swoje przygody. Piotr prędko skończył; moja historya jest daleko dłuższa; matka błogosławi moich dobroczyńców i zalewa się łzami, kiedy jej powiadam o śmierci pana Dermilly.

»Powiedzże iż jesteś bogatym: szepce do mnie Piotr: pocieszysz ją prędzéj jeszcze.» Ale spojrzenie moje zniewala go do milczenia, i mruczy tylko. »O! to nic... Andrzéj... teraz to co innego!...

Matka nie zważa na te słowa. Poleca mi jak najtkliwszą wdzięczność dla mojéj łaskawczyni, najczulszą przyjaźń dla Bernarda i jego córki. To mi tylko jest przykro, iż ledwie wspomni o Adolfinie. Mówi bez ustanku o Anusi; widać że charakter mojéj siostry, zajął moją matkę; wszystko jéj się w niéj podoba. Mówiłem tylko o jéj cnotach, ale Piotr wychwala jéj piękność, jéj wzrost, jéj zgrabność; a moja matka częstokroć powtarza. »Z jakąż rozkoszą, uściskałabym tę dobrą dziewczynę!

Nadeszła godzina spoczynku, matka boi się aby nam nie było niewygodnie w chatce; zaspokajam ją; nie chcę innego posłania, prócz siennika położonego na słomie, w tém samém miejscu, które niegdyś było naszym pokójem sypialnym. Piotr spogląda na mnie wielkiemi oczyma, nie rozumie postępowania mojego, ale nie śmie czynić żadnych postrzeżeń i tylko kła-

http://rcin.org.pl

dąc się przy mnie, mówi: »Andrzeju, czy nie chcesz bydź bogatym?

Z uśmiechem spoglądam na brata. —»Spijmy jeszcze pod naszą strzechą ojczystą, mówię do niego, mój kochany Piotrze. Czyliż dla tego że jesteśmy bogaci, mamy pozbawiać się tak słodkiéj uciechy?

Piotr nic nie odpowiada, już śpi, i ja także zasypiam, pośród wspomnień dziecinnego wieku.

Rano, gdy Piotr spał jeszcze, a matka przyrządzała śniadanie, wychodzę pod pozorem przechadzki; ale w istocie inny mam powód. Wczoraj przebiegając wioskę, postrzegłem bardzo ładny domek wiejski, w pięknem położeniu zbudowany, a na drzwiach przybity był napis: »Do sprzedania lub do najęcia.«

Chcę obejrzyć tę posiadłość. Pukam; otwiera mi stary ogrodnik. On sam tylko mieszka w tym domu.—»Do kogóż trzeba się udać, chcąc kupić ten dom? rzekłem. —»O panie! to rzecz łatwa; trzeba pójśdź do notaryusza miasta l'Hopital; on ma upoważnienie do sprzedaży. Ten piękny dom wystawiono dla ładnéj damy, która żyć chciała zdala od świata; ale posiedziawszy pół roku, odjechała, bo nie dosyć często goście bywali u niéj, i poleciła notaryuszowi, aby sprzedał tę posiadłość.

Oglądam ten dom. Podobał mi się ładny dziedziniec. Dom zbudowany jest gustownie. Jest dół, pierwsze piętro i poddasze. Przynajmniéj dwanaście osób mogłoby tam mieszkać. Tém lepiéj; możemy przyjąć w gościnę przyjacioł. Meble są proste, ale nie brakuje niczego. Jest mleczarnia, gołębnik, szklarnia; nie zapomniano o niczém, jest i pole: »Ileż to kosztuje? rzekłem do ogrodnika.

—»O panie! to kosztuje pieniądze... ale też domek jest ładny; są grunta, jest intrata, a przy tém meble. —»Jakaż cena?.. —»Dziewięć tysięcy franków panie. —»Dziewięć tysięcy franków?..

Zdaje mi się że to jest prawie darmo, ale zapominam że to nie Paryż, i że tutaj mały domek mniéj kosztuje, niż apartament przy Chaussée d'Antin.

—»Możesz zdjąć kartę, rzekłem do ogrodnika; kupuję ten dom. —»Kupuje pan ten dom... O Boże! a ja który doglądam ogrodu? —»Biorę i ciebie. Cóż ci płacono? —»Ach, mój dobry panie! bylebym tylko miał moją chatkę w głębi dziedzińca, wyżywię się z ogrodu, a dziesięć talarów na rok dosyć mi będzie; ale za to przyrzekam, iż będę pracować od rana do wieczora.

Dziesięć talarów!... biedny człowiek. Pan hrabia daje po sto, mnóstwu lokajów, którzy poziewają u niego w przedpokojach!.. ale ciągle zapominam że nie jestem w Paryżu.

»Masz dwadzieścia talarów, rzekłem, płacę z góry, ale będziesz na usługach mojéj matki. —»Co! dla matki pan kupuje ten ładny dom? —»Cyt... nie mów nic; chcę ją zadziwić. Spieszę do miasta, do notaryusza, a dziś wieczorem podpiszę kontrakt.«

Wyjeżdżając z Paryża, wziąłem blisko 10,000 fr. w złocie, które znalazłem w biórku pana Dermilly; nie mogę lepiéj użyć téj kwoty, jak na

http://rcin.org.pl

kupno tego domu, gdzie moja matka znajdzie na swoje stare lata, wszystkie wygody życia. Myśląc o radości której dozna, odzyskałem dawną moją szybkość. Wdzieram się na góry prowadzące do miasta; wkrótce przebyłem odległość, jaka mię od niego rozdzielała; nie idę, ale biegnę; wchodzę nareście do notaryusza i już powiedziałem po co przyszedłem, nim jeszcze przestał kłaniać się.

Na nieszczęście, notaryusz nie jest tak żywy, wszystko robi podług form i zatrzymuje się za każdém słowem. —»Zajmiemy się kontraktem, rzecze do mnie. —»Natychmiast panie. —»Trzeba czasu... —»Płacę gotowizną, oto jest dziewięć tysięcy franków, cena domu. —»To dobrze, ale... —»Wieleż trzeba na koszta?.. mów pan... Nie targuję się wcale, ale proszę, skończmy prędko.

Taki sposób mówienia, poruszył całą kancellaryą. Notaryusz nagli swego pisarza, któremu dałem dukata aby za każdém słowem nie poprawiał pióra.

Tymczasem przechadzam się po ogrodzie, w towarzystwie pani notaryuszowéj, która czém prędzéj zdjęła papiloty i przybiegła, skoro tylko dowiedziała się, że jest w kancellaryi jakiś młody człowiek, który kupuje bez targu i płaci bardzo hojnie.

Pani notaryuszowa nie jest ładna, ale ma pretensye do piękności, a wiemy co to są na prowincyi takie pretensye. Nie wyszło pięć minut, a już wiem że pani ma piękny głos, że śpiewa trudne arye z towarzyszeniem fortepianu, że rozumie po włosku a nawet i po łacinie, że zna kodex tak dobrze jak jéj mąż, że nie miała dzieci i nie pragnie ich mieć, gdyż to szkodzi kibici, że czuje poezyą i lubi taniec, że robi najlepsze konfitury, ponieważ nie spuszcza z oka swojéj kucharki, nawet wtenczas gdy zgaduje szarady, że nareście ubiera się jak najgustowniéj, ponieważ dostaje dziennik mód z Lugdunu.

Przez ten czas gdy mi to wszystko powiada, przenoszę się myślą do domu który kupiłem, albo też do Paryża, do Adolfiny, i dla tego odpowiadam na przewrót. Pani notaryuszowa nie poweźmie zapewne dobrego wyobrażenia o moim rozumie, lecz mię to nie wiele obchodzi.

Nareście po dwóch godzinach czekania, notaryusz oznajmia, iż się wszystko skończyło. Biegnę do kancellaryi, płacę i biorę kontrakt kupna, któren kazałem napisać na imie mojéj matki; wybiegam z tém pismem, a notaryusz rzekł do swego pisarza: »Jak widać, ten chłopiec nie jest nazwyczajony do kupowania domów.

Moja nieobecność długo trwała. Bezemnie jedli śniadanie, pora obiadowa nadeszła, są niespokojni o mnie. Matka obawia się, czyliim nie wpadł w przepaść, odwykłszy do chodzenia po górach, ale mój powrót rozprasza ich obawę.

Jak mogę usprawiedliwiam nieobecność moją, wierzą mi, ponieważ nie mogą domyśléć się prawdy. Po obiedzie prowadzę matkę na przechadzkę. Obmyśliłem środki, aby natychmiast po wyjściu naszém z chatki, za-

http://rcin.org.pl

brano wszystkie rzeczy i przeniesiono je do nowego pomieszkania. Idziemy ku ładnemu domkowi, co chwila zatrzymują nas dobrzy wieśniacy i winszują mojéj matce naszego powrotu, czas upływa na takich rozmowach i już się zmierzchło, nim pomyślano o powrocie do chaty. »Już jest późno, rzekła nasza matka, od dawna nie odchodziłam tak daleko od domu; nie wiem czy trafię.

Zamiast wrócić się do chaty, prowadzę matkę i brata do mojego domu i pukam, mówiąc: —»Znam gospodarza tego domu, pójdźmy do niego na wieczerzę; dobrze nas przyjmie.« Piotr tego też tylko żądał i spodziewa się, iż tam lepsza będzie wieczerza niżeli w chatce; matka robi ceremonie, boi się, aby nie była natrętną. Ale stary ogrodnik już nam otworzył i wprowadza nas z tysiącznemi ukłonami. Dałem znak aby milczał, a człowiek ten w takim samym jest kłopocie co i matka nasza, która nie śmie iśdź i pyta się gdzie jest pan domu.

Wchodzimy na pierwsze piętro, do pokoju który przeznaczyłem dla mojéj matki; z razu uwielbia wszystko co widzi i woła. — »Ładny dom! bogaci ludzie muszą tu mieszkać!

Ale wkrótce jéj podziwienie przybiera inną cechę, gdy postrzegła w izbie swoją starą komodę, nad łóżkiem swój wieniec bukszpanowy, a nareście przy kominie stare krzesło, w którém nasz ojciec zasnął na wieki.

—»O Boże! cóż to się znaczy? zawołała. To są nasze rzeczy! Moje dzieci, czy to rozumiécie?

—»To się znaczy że jesteście w domu własnym moja matko, że ten dom należy do was i żem kazał przenieść tu wszystko, co w naszéj chacie mogło mieć dla was jaką cenę.

Nasza matka nie może ochłonąć z podziwienia; Piotr skacze po pokoju, mówiąc: — »Nie powiedziałem ci moja matko że Andrzéj jest bogatym? Ale się domyślałem iż chciał was zadziwić. — »Co! bogatym jesteś Andrzeju?

—»Tak jest moja matko; tyle przynajmniéj, iż mogę ofiarować wam to przyjemne schronienie. Pan Dermilly uczynił mię swoim dziedzicem; a kiedy mieszkam w Paryżu w pięknych pokojach, zdaje mi się, iż naturalną jest rzeczą abyś miała coś lepszego niżeli chatkę. Oto jest kontrakt, dom ten do was należy moja matko. — »Do mnie, do ciebie; nie jestże to samo mój chłopcze?... Ożeń się Andrzeju i przyjedź mieszkać tutaj z twoją żoną i dziećmi, wtedy to, niczego więcéj żądać nie będę.

—»Dobrze, dobrze, ożenimy się wszyscy: mówi Piotr: ale tym czasem jedzmy wieczerzę i obejrzyjmy ten dom.

Ciężko westchnąłem, słysząc życzenie matki; lecz aby oddalić moje wspomnienia, oprowadzam ją po całym domu: niezmiernie jéj się podobał. Piotr wybrał pokój dla siebie; ja zaś biorę ten, z którego są najobszerniejsze i najrozmaitsze widoki. Stary Franciszek nakrył do stołu w dolnym salonie. Jemy z apetytem i udajemy się na spoczynek, z tém zadowolnieniem jakiego w miłém doznа-

http://rcin.org.pl

jem pomieszkaniu i gdy możem powiedzieć: »To nasz własny dom.

Nazajutrz cały dom oglądamy szczegółowo, a matka co chwila wydaje krzyki radości, na widok pieca do chleba, mleczarni i wszystkich porządków gospodarskich. Piotruś wychwala piękne drzewa owocowe, któremi zasadzony jest cały ogród; a matce mojej przedewszystkiém podoba się pole okryte zbożem.

Ale właściciel zawsze ma co do czynienia w swojej własności. Piotr i ja pracujemy w ogrodzie, przesadzamy, kopiemy ziemię. Stary Franciszek gniewa się trochę, lecz go nie słuchamy, a na tych zatrudnieniach prędko czas upływa. Już od sześciu tygodni jesteśmy w Sabaudyi, a nie nudziłem się ani na chwilę. Gdym przez kilka godzin rysował wspaniałe widoki ze wszech stron okazujące się moim oczom, powracam do ogrodu i biorę motykę. Obraz Adolfiny jest mi zawsze przytomny, ale czuję że abym szczęśliwy był w moich marzeniach, muszę przenieść Adolfinę do Sabaudyi, nie zaś wracać za nią do Paryża.

Odebrałem wiadomości od moich dobrych przyjaciół; ale jeszcze nie pisała do mnie Lucylla. Anusia zaś nie wspomina ani słowa co się dzieje w pałacu. Jeszcze nie oznaczyłem dnia mojego wyjazdu, a matka często mówi do mnie: »Andrzeju ponieważ jesteś tutaj szczęśliwym, dla czego chcesz powracać do Paryża?

Nareszcie odbieram list od Lucylli, mieć będę wiadomość o Adolfinie, ale nie wiem dla czego drżę rozłamując pieczątkę.

Szybko przebiegam pierwszą kartę; są to oświadczenia przyjaźni, pamięci, nareście znajduje szczegóły, tak gorąco upragnione. »Pan Therigny powrócił i od tego czasu już nie tyle biega po mieście i więcej znajduje upodobania w towarzystwie swojej kuzynki. To prawda, że panna Adolfina co dzień jest ładniejsza i jak się zdaje pójdzie za pana Therigny.»

Za pana Therigny! List wypadł mi z ręku, słowo to uderzyło mię jak piorun. Bydź że to może!... poszłaby za swego kuzyna? . Nieszczęśliwy! czyliżem się tego nie powinienem był spodziewać?.. czyliżem tego nie przeczuwał? A jednakże przypominając sobie naszą ostatnią rozmowę, nie mogę wierzyć aby miała kochać pana Therigny.

Nie wiem co się dzieje ze mną. Nie ma nadziei abym przeszkodzić zdołał temu zamęźciu, a przecież zdaje mi się, że gdybym był w Paryżu, gdyby Adolfina mię widziała, nie zezwoliłaby na ten związek. Biegnę do matki i oznajmuje mój odjazd do Paryża.—»Co! mój chłopcze, odjeżdżasz? Nie myślałeś o tém dziś rano.—»Wiadomości odebrane dzisiaj, zmuszają mię do tego. —»O Boże! czyliżby jakie nieszczęście miało cię spotkać?... Tak jesteś zmieniony mój kochany Andrzeju... —»Nie moja matko, nic to, nic, ale muszę jutro wyjechać.—»Jutro? —»Piotrze, idź do miasteczka, gdzieśmy zostawili nasz powóz i zamów konie na jutro rano. —»Dobrze

http://rcin.org.pl

mój bracie, biegnę. —»Piotrze, jeżeli chcesz, pozostać przy matce, nic cię nie zniewala, abyś powracał do Paryża. —»O! mój bracie, pojadę z tobą; tak miło jechać pocztą. —» Jedź! jedź z Andrzejem, rzecze matka, nie opuszczaj go, tak jest zmieszany, dobrze iż ty będziesz przy nim.

Wybieram się w drogę; matka często spogląda na mnie, usiłuje wyczytać w duszy mojéj. —»Andrzeju, rzecze nareście, jesteś zmartwionym mój chłopcze, doznajesz jakiéj troski, a nie chcesz wyznać jéj przedemną. Nie zdołam! odpowiedzieć, ale biorę matkę za rękę i przyciskam ją do mojego serca. Moje milczenie, jest prawie wyznaniem.—»Przy talentach i majątku, nie jesteś szczęśliwym, mówi do mnie matka. Ach mój Andrzeju, wolałabym mieszkać w naszéj staréj chacie, i widzieć ciebie powracającego w ubiorze sabaudzkim, ale tak wesołego jak dawniéj!... Niestety! odjeżdżasz do Paryża! Jeżeli twoje zmartwienia nie przejdą, powróć do mnie mój synu, będę cię pocieszać, a przynajmniéj będę płakać z tobą.»

Uspokajam matkę, usiłuję rozproszyć jéj obawę. Ale nie mogę ukryć mojéj niecierpliwości. Nareście chwila odjazdu nadeszła. Żegnamy się z matką, polecam Franciszkowi naszą małą posiadłość i znowu opuszczamy Sabaudyą.

ROZDZIAŁ XX.

ROZMOWA. — POJEDYNEK.— STRACONA NADZIEJA.

Pędzim ile tylko można; nie żałuję pieniędzy. Piotr czyni co może aby mię rozerwać, ale nic mu nie odpowiadam, myślę tylko o Adolfinie i o panu Therigny. Gorejęę żądzą przybycia do Paryża; a przecież cóżbym tam robił?.. nie wiem... Nie zdołam rozumować.

Przyjechaliśmy nareście. Już jest dziesiąta wieczorem; mniejsza o to, chcę mówić z Lucyllą; zostawiam Piotra w naszém pomieszkaniu i wychodzę do pałacu. Zna mię odźwierny. łatwo wchodzę do domu. Postrzegam wielkie światło w oknach. Zapewne jest wieczór u pani hrabiny, zapewne margrabia i Adolfina są razem. Sciska się moje serce... szybko wchodzę na schody prowadzące do pokoiku Lucylli. Garderobiana schodziła na dół; spotyka się ze mną, poznaje i wydaje krzyk podziwienia. —»Nic nie mów, rzekłem, zmiłuj się Lucyllo, nic nie mów; nie chcę aby wiedziano że tu jestem.—»O mój Boże! tak mię zdziwił twój widok panie Andrzeju... Rozumiemy że jesteś w Sabaudyi, aż tu nagle cię widzę. —»Lucyllo! wejdźmy do twego pokoiku, tam spokojniéj będzie można rozmawiać.—»O!dobrze, dobrze.

Weszliśmy, zapaliła świecę. W tedy postrzega moje pomieszanie, moją bladość. —»Cóż ci to jest Andrzeju, rzekła do mnie, cierpisz?..—»Tak jest, cierpię w rzeczy saméj.—»Jestże to utrudzenie z podróży?—»Nie.—»Mo-

http://rcin.org.pl

że twoja matka zachorowała. —»Nie, Bogu dzięki, opuściłem ją szczęśliwą i zdrową. —»Skądże więc pochodzi pomieszanie twoje Andrzeju? Powiedz mi! wiesz dobrze, iż jestem twoją przyjaciołką.

Milczę przez czas niejaki. Lucylla czeka niecierpliwie na to co jéj powiem, nareście wyjąkałem.—»Czy to prawda, że Adolfina ma iśdź za pana Therigny?

To zapytanie mocno uderzyło Lucyllę. —»O Boże! czy podobna! zawołała, opuszczając ręce jak gdyby przerażona tém odkryciem.

—»Błagam cię Lucyllo: odpowiedz mi...—»Andrzeju! bydź że to może? Kochasz pannę Adolfinę? —»Ach Lucyllo! milcz!.. gdyby cię usłyszano!.. —»Nieszczęśliwy! kocha ją; ani wątpić. Ten smutek! ta melancholia, co go od niejakiego czasu dręczyła!.. A ja tego wcześniéj nie odgadłam... —»Dobra Lucyllo, nie powiadaj o tém, czego się domyślasz. —»Za kogóż mię bierzesz? O! kiedy się kobiety uwezmą, lepiéj dotrzymają sekretu niżeli mężczyźni. —»A to zamęźcie panny Adolfiny? — »Jeszcze nie zawarte. Pan Therigny i pan hrabia mówią o tém. — »Dojdzie do skutku, jestem tego pewny, niestety! —»Panna i pani muszą także zezwolić... Ale gdyby nawet nie doszło do skutku, mój kochany Andrzeju, czegóż się możesz spodziewać? — »Niczego, wiem o tém. —»Co za szaleństwo! kochać tę, któréj zaślubić nie podobna.—»Ach Lucyllo! czy można bydź panem własnego serca!—»O! nie, to prawda. A przytém za bardzo dozwalano ci biegać i bawić się z panną. Mówiono: to są dzieci... Rozumieją, że dzieci o niczém nie myślą... —»Lucyllo, kochana Lucyllo! proszę cię o jedną łaskę. Czuję że nie powinienem widzieć już panny Adolfiny. Lecz wprzódy nim ją na zawsze utracę.. chciałbym ją pożegnać. —»Dobrze zrobisz, nieobecność przytłumi twoją miłość. My kobiety to co innego... —»Lucyllo, nie odpowiadasz mi. —»Ale cóż mogę poradzić w tém wszystkiém?—»Powiedz skrycie Adolfinie, żem powrócił, że ją chcę widzieć... chcę z nią samą pomówić... Jeżeli raczy mię wysłuchać... Lucyllo, powiesz mi kiedy pani pójdzie do swego pokoju. Wtedy Adolfina sama pracuje w małym salonie... Ach! niechaj tylko mówię z nią przez chwilę, a na tém poprzestanę.—»Dobrze więc, będę się starać. Jutro przy śniadaniu powiem pannie o twoim powrocie; przyjdziesz tu i czekać będziesz aż cię uwiadomię. — »Droga Lucyllo! jakże jesteś dobra. Żegnam cię Lucyllo; do jutra rana; nie zapominaj o mnie...—»Nie; zdaj się na mnie.

Wychodzę z pałacu i wracam do domu. Brat mój śpi głęboko. Szczęśliwy Piotrze! nie znasz trosk, udręczeń, niespokojności. A przecież w oczach całego świata mnie to spotkał los szczęśliwy... Znalazłem w Paryżu przyjaciół, opiekunów, odebrałem wychowanie, mam teraz niepodległy majątek, a brat mój został prostym posyłką i jeszcze nie umie czytać i pisać. Ale ja nie mogę znaleźć spoczynku, a Piotr śpi tak spokojnie.

http://rcin.org.pl

Natura zawsze wynadgradza dzieci swoje.

O świcie jeszczem chodził po pokoju, licząc godziny które upłynąć muszą, nim się zobaczę z Adolfiną. Nie mogę przyjść do pałacu przed dziewiątą rano; cóż mam czynić do tego czasu? Pójdę do Bernarda i Anusi, przy nich rozerwę się trochę. Piotr śpi ciągle. Spoczywa po trudach podróży. Nie budźmy go!.. on nie jest zakochany m. Rano wstają u Bernarda, zastaję go z córką przy śniadaniu. Anusia radosnym krzykiem oznajmia ojcu moje przybycie; jestem w ich objęciach. Opowiadam com uczynił w Sabaudyi. Anusia słucha mię z zachwyceniem; zdaje się iż się lęka, aby nie straciła chociaż jednego słowa mojego. Bernard częstokroć trąca mię po ramieniu, mówiąc: »Dobrze Andrzeju! dobrześ zrobił żeś kupił ten dom. Twoja matka żyć będzie jak królowa. Po niejakim czasie spocznę sobie i odwiedzę tę dobrą Maryą.

Czas prędko upłynął mi u Bernarda. Wybiła dziewiąta godzina, mogę już pójść do pałacu. Żegnam się z przyjaciołmi, przyrzekając, iż się wkrótce z niemi zobaczę. Lecę do Lucylli; była w swoim pokoiku.—»Zawcześnie przyszedłeś, rzekła, panie jeszcze nie jadły śniadania; trzeba czekać mój kochany Andrzeju, napijesz się ze mną kawy.

—»Dziękuję ci Lucyllo, nie chcę nic jeść. —»Mój panie, zakochany jeść powinien, czy rozumiesz? Dla tego że kto się głodem morzy, bardziéj zajmującym nie będzie.

Nakrywa do śniadania; muszę na to pozwolić, ale co chwila zaklinam ją aby poszła na dół. Idzie nareście... Drżę, cóż odpowie Adolfina? czy zechce widzieć się ze mną? cóż jéj powiem? Ale nie powraca Lucylla. Pół godziny upływa..,. Zdaje mi się, że to jest wiek cały, już nie mogę wytrzymać w pokoju. Powraca wreście.

—»Ach! jakżeś się długo bawiła. —»Doprawdy! mój panie, zdaje ci się że natychmiast można znaleźć sposobność mówienia ukradkiem; że to rzecz tak łatwa.—»I cóż ci powiedziała?—»Zaraz... Najprzód gdy pani hrabina była w pokoju, nie śmiałam po cichu mówić do panny; nareście pani wyszła, a wtenczas oznajmiłam twój powrót; ta wiadomość ucieszyła pannę. —»Ucieszyła! ach Lucyllo! czy prawda? —»O! tak jest mój panie, prawda, ale kiedym powiedziała że jesteś w moim pokoju i chcesz ją widzieć sam na sam, zapytała się wtedy, co przeszkadza ci znijść i mówić z nią w obecności jéj matki.... Nie wiedziałam co na to odpowiedzieć... rzekłam, że zapewne masz jaką tajemnicę, któréj nie chcesz wyjawić przy pani hrabinie... Panna zarumieniła się, a nareście rzekła, iż będzie rysować w małym salonie... a to znaczy, iż zezwala na rozmowę z tobą.—»Ach! Lucyllo! co za szczęście. —»Czatować będę na tę chwilę, kiedy pani odejdzie do gabinetu swojego, a potem jeźli wróci i zastanie ciebie, zdawać się będzie żeś przyszedł złożyć twoje uszanowanie... Widzisz jak jestem dobra. Schodzę na dół i za-

http://rcin.org.pl

wołam cię, skoro tylko panna hrabianka będzie sama.

Zobaczę więc Adolfinę! zobaczę ją na chwilę, bez świadków! Ach! gdyby moja łaskawczyni wiedziała o mojéj śmiałości! Ale chcę tylko jedno słowo powiedzieć do téj którą ubóstwiam, niechaj się dowie że aż do zgonu jéj obraz tkwić będzie w mojém sercu... a potém oddalę się na zawsze. Nie zdołam wyrazić czego doświadczam w chwili kiedy Lucylla wraca i daje mi znak abym zszedł na dół... Nie wiem jak wszedłem do salonu... ale jestem przed Adolfiną, a Lucylla idzie do pokoju hrabiny, mówiąc do mnie po cichu: »Zakaszlę, kiedy pani iśdź będzie.

Adolfina wita mię uśmiechem.—»Tyżeś to Andrzeju? rzecze: chciałeś mówić ze mną skrycie. Czyli doznajesz jakiego zmartwienia, którego nie śmiesz powierzyć matce mojéj?—»Nie pani... lecz... chciałem... pragnąłem, pożegnać cię, nim się na zawsze z tych miéjsc oddalę. —»Jakto, przyjeżdżasz z Sabaudyi, a już myślisz o wyjeździe? —»Cóż mam robić w Paryżu? wkrótce nie będę mógł widywać się z tobą pani... Idziesz za mąż, jak mi powiadano. — »Za mąż! nic mi o tém nie wspomniano; któż ci powiadał o tém? —»Krewny twój na krok nie odstępuje od ciebie, stara się pozyskać twoje serce, kocha ciebie... któżby cię mógł widzieć, a nie kochać!.. Bez wątpienia i ty go kochasz.

Nic mi nie odpowiada, ale tak czule na mnie spogląda, iż śmiem jeszcze przybliżyć się i wziąść jéj rękę, którą ściskam w mojéj, mówiąc: —»Czynię życzenia, abyś była najszczęśliwszą, Adolfino, ale czuję że nie zdołam bydź świadkiem szczęścia twojego. Niestety! nikt nademną litować się nie będzie... a przecież zmartwienia, boleść, będą odtąd moim udziałem. —»Andrzeju! byłbyś nieszczęśliwym! —»Tak jest Adolfino... ale muszę cierpieć w milczeniu. Ach! jeżeli ty przynajmniéj litujesz się nademną, jeżeli mi przebaczasz że śmiem cię kochać, oddalę się z niejaką pociechą w sercu. — »Ja mam ci przebaczyć?. Albożto jest występkiem że mię kochasz?.. Czyliżeśmy się razem nie wychowali?.. Nie jestżeś towarzyszem mego dzieciństwa, moich pierwszych zabaw?.. I ja ciebie kocham, i nie myślałam żeby to złém bydź miało.

—»Kochasz mię!.. ach, Adolfino! To słowo koi wszystkie moje cierpienia... Ta chwila szczęścia, doda mi siły do znoszenia całego wieku boleści.

Ukląkłem przy nogach Adolfiny; jéj rękę przyciskam do serca; pochyla głowę ku mnie, jéj łzy płyną. Jakże słodkie są dla mnie te łzy, będące dowodem jéj miłości!..

W tém zajęciu, zapominamy że czas upływa; krzyk który dał się słyszéć we drzwiach salonu, wywodzi nas z tego stanu. Obracam się... o Boże! To hrabia... widział mię u nóg córki swojéj...

Adolfina stoi niewzruszona i drżąca, wstaję i zmieszany cofam się o kilka kroków. Pan de Frankornard rzucił się na krzesło i tak jest rozgniewany, iż przez kilka minut nie mo-

http://rcin.org.pl

że mówić; nareście wyrazy wydarły się z jego piersi, a groźne gesta im towarzyszą.

»Nędzny zwodzicielu! cóżem widział? czyliż mam wierzyć mojemu oku? Sabaudczyk klęczy u nóg mojéj córki! Nędznik, któregośmy wychowali z miłosierdzia, śmie brać rękę panny de Frankornard... zaduszę się, to mi wpędzi podagrę w piersi.

Na krzyk pana hrabiego, wbiega z jednéj strony jego siostrzeniec, a z drugiéj hrabina i Lucylla.

—»Cóż ci to jest panie? pyta się moja łaskawczyni, cóż znaczy ta wrzawa? Andrzéj tu!... moja córka drży, cóż się stało? — »Co się stało? Dalibóg! ledwie że nie zapóźno przyszedłem... Winszuję ci twojego Andrzeja... ładny chłopiec!.. Znalazłem go u nóg mojéj córki! —»O Boże! czy to prawda Andrzeju?... Schyliłem głowę zmieszany. — »Ten hultaj u nóg mojéj kuzynki! zawołał Therigny. A to już za wiele! ja ukarzę tego nędznika» To mówiąc biegnie do wuja, porywa jego laskę i zamierza się na mnie! Ale głos jego powrócił mi przytomność. Gdy hrabina woła: »Wstrzymaj się!« w mgnieniu oka wyrywam mu laskę z ręku, łamię na kawały i rzucam mu ją pod nogi.

Therigny drży z gniewu, Adolfina wznosi ku mnie ręce, hrabia leży w krześle, twarz jego stała się fioletową od gniewu. Lucylla daje mi znak abym uciekał, a hrabina staje między mną a siostrzeńcem swoim.

—» Wyjdź Wpan: rzekła tonem który przeniknął do głębi duszy mojej: i nie postań odtąd w tym domu. Nie spodziewałam się wcale, żebyś tu miał być sprawcą zamięszania i niezgody.

Przerażony, chcę wyjdź nie śmiejąc podnieść oczu, gdy pan Therigny chwyta mię za rękę i mówi. —»Znajdę ciebie, spodziewam się.. —»Kiedy zechcesz, ale pamiętaj Wpan że jestem człowiekiem takim jak i ty.

Stało się; wychodzę z pałacu; już nigdy tam nie powrócę; pani hrabina oddaliła mię od siebie; czuję żem na jej gniew zasłużył. Lecz Adolfina mię kocha, a to wspomnienie wszystkie inne zaciera.

Scena ta, zmięszała mię tak dalece, iż przez długi czas przebiegam ulice nie wiedząc dokąd idę, nareście przyszedłem do drzwi naszego domu. Odźwierny oddaje mi bilet który przyniesiono w tej chwili; łamię pieczątkę i czytam te słowa.

»Chociaż jesteś nędznikiem, którym pogardzać powinienem, chcę zniżyć się aż do ciebie i zetrzeć zniewagę którą wyrządziłeś mojej kuzynce. Dziś wieczorem o szóstej, czekać będę na ciebie w lasku Vincennes; mój tylko żokej towarzyszyć mi będzie.»

DE THERIGNY.

Dziś wieczorem o godzinie szostej! Dopiero jest południe, mam jeszcze dosyć czasu. Pojedynkować się, pojedynkować! a z kim? z siostrzeńcem mojej łaskawczyni! Nieszczęśliwy! w jakiémże okropném położeniu jestem! Jeśli zwyciężę, moją winę powiększę jeszcze zabójstwem Theriniego, który, czuję to, ma prawo ukarać mię za moje nierozsądne po-

http://rcin.org.pl

stępowanie. Przez osiem lat wychowany w domu hrabiny, obsypany jej dobrodziejstwy, odebrałem nauki i talenta, do których nie byłem zrodzony! Jakżem się odwdzięczył za taką dobroć? Ośmieliłem się kochać jej córkę, niepokój wprowadziłem w jej dom! Ach czuję całą moją winę; lecz nie podobna odmówić pojedynku; jedyném mojém życzeniem jest, poledz na placu!... Zwyciężony, będę mniej występnym!... Nieszczęśliwy, a matka moja?

Wchodzę do siebie; brat mój czekał na mnie, dziwi się że mnie od wczorajszego dnia nie widział. Czule go uściskałem: —»Piotrze, rzekłem do niego, dla ważnych powodów muszę wyjść z domu o szóstej wieczorem. Jeśli dziś nie wrócę, możesz rozrządzać tém wszystkiem co tu jest, lecz usłuchaj mię i opuść Paryż. Wróć do Sabaudyi, pociesz naszą matkę.

—» O, ja nie wrócę bez ciebie; moja matka powiedziała mi żebym cię bawił, rozrywał. Jesteś smutnym... Poydź ze mną do Bernarda, Anusia zabawi cię, ona cię serdecznie kocha!... Cóż to? czy jej nie kochasz?

—»Zostaw mię Piotrze, pójdź sam do naszych dobrych przyjaciół; ja tam przyjdę wieczorem. — » Dobrze więc, będę na ciebie czekał.

Piotr uściskał mię i odszedł. Potrzebuję samotności... jakiż natłok myśli!... Lecz obraz Adolfiny panuje nad wszystkiemi, jest zawsze przedemną zdaje mi się że jestem u jej nóg i wyznać muszę, że moje udręczenia tak mi są miłe!... Nie chciałbym odzyskać szczęścia, kosztem jej obojętności.

Czas prędko schodzi na miłosnych marzeniach; na moim zegarku już piąta, a jeszcze jestem w domu!... Nie chcę żeby Therigny czekał na mnie. Biorę pistolety które należały do Pana Dermilly. Ach! gdyby on był przewidział że użyję téj broni przeciw krewnemu jego Karoliny, nie byłby mię uważał za swego syna. A jednakże, miałżem dozwolić żeby mię skrzywdził... żeby mię uderzył..? Ta myśl ożywia mój gniew, wychodzę, biorę karykiel. »Dziesięć franków dostaniesz, rzekłem do stangreta, jeżeli przed szóstą zajedziesz do lasku Vincennes.»

Mój woźnica chce zyskać dziesięć franków, chociażby miał zajeździć konia. Przyjeżdżamy na sam czas; wysiadam i oglądam się około siebie. Jeszcze nie ma nikogo... »Czekaj tu na mnie: rzekłem do woźnicy: w jakim bądź razie, zawsze mi będziesz potrzebnym. — »Dobrze panie, już wiem o co tu idzie... kilka pigułek do połknięcia... Bądź pan spokojny, umiem milczeć, znam się na tych rzeczach.

Postępuję w lasek, czas jest słotny, nie widać nikogo. Pan Therigny się spóźnia; nakoniec postrzegam pojazd na drodze... zbliża się, poznaję, to jego pojazd! Zatrzymuje się. Therigny wysiada z niego, daje znak lokajowi żeby został przy powozie. Postrzega mię, idzie w głąb lasku... Oddalamy się o pietnaście kroków od siebie. — »Zdaje mi się, rzekł Therigny uśmiechając się

http://rcin.org.pl

z pogardą, że to ja zaczynam.—»Tak jest Mościpanie i ja tak myślę.

Therigny nabija pistolet, wymierza, strzela... Nie trafił mię. —»Na ciebie kolej, rzekł obojętnie: jak widzę jestem dziś niezgrabny.

Sam nie wiem co mam czynić, wacham się... —»Strzelaj zawołał, albo będę myśleć że się obawiasz rozpocząć na nowo.

Te słowa obudzają moją odwagę, wznoszę broń, prawie nie patrząc na mojego przeciwnika. Wystrzeliłem... nieszczęśliwy! cóżem zrobił?.. Therigny padł na ziemię.

Przybiegam do niego; raniony jest w prawy bok. — »To nic, rzekł do mnie, zawołaj na mego żokeja... Pomóż mi wsiąśdź, a jeszcze zdołam zajechać do pałacu.

Uskuteczniam jego wolę, wsadzam pana Therigny do powozu, żokej zacina konie i szybko odjeżdża. Sam pozostaję w lasku, niespokojny o życie mego przeciwnika, przywiedziony do rozpaczy tém zwycięztwem i przewidując że to jest nowa zapora między mną i Adolfiną.

Z tém wszystkiem trzeba wrócić do miasta. Znajduję mego woźnicę; pomaga mi wsiąśdź do karykla, gdyż sam nie wiem co się dzieje ze mną. Therigny zbroczony krwią, ciągle jest przed mojemi oczyma...Gdyby umarł... Ach! czuję iżbym sobie nie przebaczył jego śmierci. —»Dokądże mam jechać? rzecze woźnica. —»Do Paryża.—»To dobrze, ale na którą ulicę? —»Nie wiem. Niestety!.. o moja matko, gdybyś wiedziała, że twój syn przelał krew człowieka!.. ale temu nie dałabyś wiary. —»Zdaje się, że przeciwnik dostał kulką.—»Jest tylko zraniony i spodziewam się...—»A więc nie ma się o co troszczyć. Reszta należy do chirurga. Wiu! ruszaj! a gdzież jedziemy? —»Do Bernarda. —»Któż to jest ten Bernard? Czy restaurator? —»Jedź na ulicę Temple, pokażę ci gdzie masz stanąć.

Mój stary przyjaciel dowie się o wszystkiém, wskaże mi jak mam postąpić. Ach!czemużem wcześniéj nie zasięgnął jego rady!.. Zapewne byłbym uniknął tego nieszczęśliwego pojedynku. Zapominam teraz, że margrabia kocha Adolfinę, i tego tylko pragnę, aby jego rana nie była śmiertelną.

Przyjeżdżam nareście przed dom gdzie mieszka Bernard; wchodzę do nosiwody. Anusia jest sama. Widząc mię, rzuca się w moje objęcia, łzy płyną z jéj oczu. —»Cóż ci to jest? mówi do mnie. Piotr powiedział mi iż byłeś bardzo pomieszany; mówiłeś, iż może nie powrócisz... byłam tak niespokojna, mój ojciec poszedł z nim szukać ciebie... ale powróciłeś.... oddycham nareście. Skądże przychodzisz Andrzeju i dla czego nas tak okrutnie przestraszasz?.. jakżeś blady, zmieniony!.. O Boże! czyliż już nie będziesz wesół i szczęśliwy? —»O! nie, moja siostro, nie ma już dla mnie szczęścia.—»Nie ma? Andrzeju! nie mów tego, proszę cię. Cóż się stało? —»Pojedynkowałem się. —»Co! ty tak łagodny! tak dobry! a gdyby cię zabito?

Anusia bierze mię za ręce, chcę się przekonać czyli nie jestem zrąnio-

http://rcin.org.pl

nym, patrzy na mnie, ledwie oddycha. —»Z kimże pojedynkowałeś się? —»Z panem de Therigny. —»Z siostrzeńcem pani hrabiny? O Boże! czyliżeś go zabił? —»Nie... zraniony jest tylko... ale spodziewam się...—»Pojedynkować się! ty Andrzeju!—»Ach! gdybyś wiedziała jak się obszedł ze mną. —»Zgaduję powód gniewu twojego.... Margrabia kocha swoją kuzynkę, ty także kochasz pannę Adolfinę, i o nią to był ten pojedynek. —»Kocham Adolfinę! a któż ci odkrył tę tajemnicę?—»Mniema, żem tego nie postrzegła!.. odpowiada Anusia obcierając oczy... Ach! już od dawna wiem o tém.

To uczucie tak głęboko ukrywane w mojém sercu, znane było Anusi. Biedni zakochani! jakże nie umiecie taić się, ale czuję iż miło mi będzie wynurzyć moją tajemnicę na łonie siostry.—»Nie omyliłaś się, rzekłem, biorąc ją za rękę. Tak jest, kocham, ubóstwiam Adolfinę, a ta namiętność jest powodem zmartwienia mojego. Czuję że nie mam nadziei, ale miłość potężniejsza od mego rozumu, przezwycięża wszystkie moje postanowienia. Anusiu! ach! jakże jestem nieszczęśliwy.

—»Niestety! odpowiada Anusia płacząc: dla czegóż mieszkałeś w tym pałacu, dla czegóż zrobiono z ciebie pięknego panicza? wiedziałam iż przez to nie będziesz szczęśliwszym. Gdybyś był pozostał w twoim stanie, nie byłbyś się zakochał w córce hrabiny... ale nie chciano mię słuchać.

Anusia gorzko płacze; dobra siostra! podziela moje zmartwienia.—»A panna Adolfina czy wie o tém że ją kochasz? rzecze po chwili.—»Tak jest, dziś rano śmiałem wyznać przed nią miłość moją. —»A to bardzo nie dobrze, panie Andrzeju! wyznać jéj miłość twoją, chcieć wzbudzić wzajemność!.. i cóż ci odpowiedziała? Nie powiesz tego zapewne... Kocha ciebie; o! pewna jestem iż cię kocha... a na cóż się to przyda? Nie możesz ożenić się z nią Andrzeju; wiesz że to jest niepodobna... Zapomnij o niéj Andrzeju, zapomnij. —»Zapomnieć! ach! nigdy. —»Nigdy, powiadasz, o Boże!

Wycieńczony tak licznemi wstrząśnieniami, czuję że mię dreszcz przenika, szczękam gwałtownie zębami, chcę wrócić do domu, Anusia błaga mię aby mi towarzyszyć mogła. —»Kochany Andrzeju! cierpisz, jesteś chory, rzekła, ach! pozwól mi czuwać przy tobie. Mój ojciec nie weźmie tego za złe; któż będzie miał o tobie staranie, jeżeli nie twoja siostra? Nie, ja ciebie nie opuszczę. Jeżeli cię będę nudzić, mówić mi będziesz o twojéj miłości, o Adolfinie; a ja ciebie będę słuchać.

Jakże jéj odmówić! Anusia wybiera się z pośpiechem i wychodzimy razem. Gorączka już mi prawie nie dozwala iść, opieram się na ręku mojéj siostry i tak przychodzimy do mojego pomieszkania. Piotr i Bernard czekali na mnie. Przestraszą ich mój stan, ledwie zdołam wyrzec imie Theryniego i błagam ich, ażeby poszli do pałacu dowiedzieć się o jego zdrowiu.

Kładą mię do łóżka; nie mogę dobrze rozeznać co się dzieje w koło mnie. Wkrótce okazało się najgwał-

http://rcin.org.pl

towniejsze obłąkanie; już nie poznaję moich przyjaciół. Szczęśliwszy od nich, nie widzę ich łez, nie czuję udręczeń, których jestem przyczyną.

Długo byłem w tym stanie. Nareście pewnego dnia, otworzyłem oczy, odzyskałem przytomność. Postrzegam Anusię; siedzi przy mojém łóżku; słabym głosem wymawiam jéj nazwisko: »Poznaje mię! zawołała, przecie go odzyskujemy!.. —»Droga siostro! czuwałaś przy mnie. —»Ach! nie opuściłam cię ani na chwilę. —»Jakże dawno jestem chory? —»Już osiemnaście dni jakeś się położył.. Ach! byłeś bardzo chory... ale teraz już wyszedłeś z niebezpieczeństwa. — »A pan Therigny, cóż się z nim stało? Uspokój się, już wyzdrowiał, już się zgoiła jego rana.

Wiadomość ta ulgę mi przyniosła. Już nie mówię, ale uśmiecham się do Anusi i wypełniam rozkazy lekarza. Therigny nie umarł! Ta myśl uwalnia mię od bojaźni, czylim nie popełnił zabójstwa. Piotr zbliżył się do mojego łóżka, usłyszał głos mój; chce okazać radość swoją, chwyta mię za rękę którą ledwie podnieść mogę i z całéj siły uderza w dłoń moją.

—»O Boże! zaszkodzisz mu Piotrze: rzecze Anusia, oddalając go od łóżka. Uderzać w dłoń tego co jest tak słabym!.. —»O! to nic, to mu doda siły! Biedny Andrzéj! Tak się cieszę widząc że przychodzi do zdrowia. O! źle było z tobą i gdyby nie Anusia Bóg wie coby się stało, Ona więcéj uczyniła niż wszyscy doktorowie. Nie odstępowała cię ani na chwilę. Przygotowywała lekarstwa i przez osiem nocy oka nie zmrużyła. — »Piotrze, cicho bądź, twój brat potrzebuje spoczynku. —»To nic nie szkodzi, muszę mu wszystko wypowiedzieć. Niechaj się dowie żeś przez cały czas płakała, modliła się, nie spała i nie jadła.

Słabość moja nie dozwala mi podziękować Anusi, ale wyciągam ku niéj rękę, ona ściska ją w swoich. Jéj oczy jaśnieją radością; zdaje się iż powraca do życia, widząc że odzyskuję zdrowie. Chciałbym wiedzieć, czyli Adolfinie doniesiono o mojéj chorobie; ale nie śmiem pytać się o to. Dom opiekunki mojéj, odtąd zamknięty jest dla mnie... Oddalono mię z jéj obecności. Ta myśl udręcza moją duszę.

Powoli przychodzę do zdrowia; kilka tygodni upłynęło, a jeszcze nie zupełnie odzyskałem siły moje. Przez ten czas, nie wspomniałem imienia Adolfiny i Anusia także mi o niéj nie mówi. Gdy milczę pogrążony w myślach, usiłuje rozerwać mię, wspominając o górach Sabaudyi i o mojéj matce. Sposób ten zawsze jéj się udaje; jednakże nie mogę dłużéj ukrywać moich trosk i nazwisko Lucylli wyrywa się z ust moich. »Czy nie była tu ani razu? czy nikt z pałacu nie pytał się o mnie? rzekłem.

Anusia odwraca głowę i odpowiada przerywanym głosem: —»Mniemałam że chcesz zapomnieć o wszystkiém co się dotycze pałacu... i dla tego... nie wspominałam ci iż była tu panna Lucylla. —»Była tu Lucylla! Ach Anusiu! cóż mi powiedziała? nic mi nie ukrywaj. —»O Boże! czy-

http://rcin.org.pl

liż zawsze będziesz myśleć o tém co powiększa twoją chorobę? —»Nie, ale chcę wiedzieć czyli pani hrabina jeszcze gniewa się na mnie; tylu dobrodziejstw od niéj doznałem... Anusiu! zawsze będę sobie wyrzucał żem postradał jéj życzliwość. — »O! co innego dręczy ciebie i nie o saméj tylko łaskawczyni twojéj myślisz Andrzeju. Z resztą, panna Lucylla wkrótce tu przyjdzie. Teraz zobaczysz ją i będziesz mógł do woli rozmawiać o osobach które kochasz.

Niecierpliwie wyglądam bytności Lucylli; przyszła w cztery dni po téj rozmowie. Jużem ze dwadzieścia razy powtorzył. »Cóż robi Adolfina? jéj matka? cóż się stało po téj nieszczęsnéj przechadzce? Lucyllo! powiedz mi wszystko.

—»Po twojém odejściu, pan hrabia dostał attaku podagry, panna płakała, pani zamknęła się z nią razem. Widać było że pani jest także bardzo zmartwiona. Szczęściem nie dowiedziano się żem to ja wmieszała się do téj rzeczy. Pan Therigny wyszedł, czyniąc straszne pogróżki. Kochany Andrzeju! drżałam o ciebie, a gdy wieczorem przyniesiono go zbroczonego we krwi własnéj i gdy powiedział żeś ty go zranił, wtedy pan hrabia rozjuszył się do najwyższego stopnia, ledwie mu oko z głowy nie wylazło, a pani hrabina, zakazała wspominać odtąd imienia twojego.

—»O moja łaskawczyni! cofnęłaś mi więc przyjaźń twoją. Nigdy się nie pocieszę po téj stracie.... A jéj córka? —»Panna jest bardzo smutna; zdaje mi się iż płacze tajemnie; ale kuzynek ani na krok jéj nie opuszcza. Chce ją rozerwać, rozweselić. —»Dosyć mi na tém Lucyllo, dziękuję ci.

Lucylla odeszła. Zostaję pogrążony w myślach moich; promień nadziei jeszcze mi błyska, gdy sobie przypominam tę słodką rozmowę, po któréj tak smutne nastąpiły wypadki; mówię do siebie: »Adolfina wie jak ją kocham i nie obraziła jéj miłość moja.

Mogę nareście wyjść z domu. Anusia wróciła do ojca gdy już zacząłem przychodzić do zdrowia: ale wychodzimy razem, jéj pomoc stała się potrzebną dla mnie; jéj towarzystwo miłém mi jest. Na przechadzce naszéj, częstokroć ani słowa nie powiem do niéj, lecz ona szanuje i podziela moje troski. Przy moim bracie nie jest mi tak dobrze, gdyż Piotr chce koniecznie rozweselić mię, zabawić. Aby go zadowolnić, usiłuję przybierać twarz wesołą; ale udana wesołość więcéj sprawuje przykrości, niżeli łzy swobodnie wylane.

Już trzy miesiące upłynęły, od czasu jakem powstał z choroby. Już nie mówię o Adolfinie. Anusia pochlebia sobie że zapominam o niéj; lecz nie, ukrywam w mojém sercu; uczucie które mię trawi. Ile razy wyjdę, chcę biedz do pałacu i ledwie zdołam oprzeć się mojéj miłości. Czuję że nie mogę żyć bez powzięcia wiadomości o Adolfinie. Już nie mogę znieść téj niepewności. Pewnego wieczora, opuszczam Anusię i jéj ojca, mówiąc im że powracam do siebie... Ale nie... idę ku pałacowi. Nie wiem

http://rcin.org.pl

jakie przeczucie popycha mię i mówi, że jakiś wypadek zmieni moje przeznaczenie. Lecę... ledwie oddycham. Postrzegam nareście ten dom, gdzie upłynęło osiem lat mojego życia. Stawam aby mu się przypatrzyć.. liczne światła widać w oknach i mnóstwo osób snuje się po salonach. Jest zapewne bal... tańczą... bawią się... Adolfina jest ozdobą téj zabawy.

Zbliżam się do bramy; jest otworem; na dziedzińcu pełno powozów.. Przesuwam się pośród tłumu za stangretami i lokajami. —»Jak to pięknie mówią: wystojemy się przez całą noc; bal jest świetny, panna młoda jest piękna... długo bawić się będą.

Panna młoda! na te słowa zadrżałem, o kimże mówią?... Zbliżam się do izdebki odźwiernego i zmienionym głosem pytam się jaką uroczystość obchodzą w pałacu.

—» A jakąż? wesele panny Adolfiny z jej kuzynem panem Therigny.

Dreszcz śmiertelny przeniknął moje żyły..! Nie wiem kto mię wstrzymał i posadził na ławce kamiennej. Byłbym padł na bruk. Siedziałem tam przeszło godzinę, jak człowiek któryby postradał zmysły przez gwałtowne uderzenie, a dźwięk muzyki i okrzyki wesołości brzmią w moich uszach.

Wstaję nareście i wielkiemi krokami idę do mojego domu. Wchodzę, biorę pieniędze z biorka, piszę kilka słów, upoważniając brata do rozrządzania wszystkiem co do mnie należy. Chcę odalić się, nie wyrzekłszy ani jednej skargi. Ale muszę przechodzić koło pokoju mojego brata, Piotr śpi mocno. Zatrzymuję się, patrzę na niego.

»O mój bracie, rzekłem po cichu, śpij spokojnie!... bądź szczęśliwszym odemnie... Pociesz naszą matkę... naszych przyjaciół... Nie zapominaj o biednym Andrzeju... Ach jakże byłby szczęśliwy przy tobie, gdyby był pozostał w tém stanie, który mu los przeznaczył!... Żegnam cię mój bracie... żegnam cię!..» Uściskałem brata, nie przebudziwszy go. Zamykam zwolna drzwi jego pokoju, potém wychodzę z domu i idę wśród nocy, bez żadnego celu i zamiaru, ale czując w sobie dosyć odwagi do zniesienia cierpień których doznaję.

ROZDZIAŁ XXI.

ODMIENNE KOCHANIE.

Obudziwszy się, Piotr przypomina sobie że mię nie widział wczoraj wieczorem; ubiera się i idzie do mojego pokoju, dziwi się nie znajdując mię, ale to zadziwienie powiększa się jeszcze, gdy spostrzega żem nie nocował w domu. Gdy wyjeżdżałem do Sabaudyi, odprawiłem był naszego służącego, nie potrzebowałem go w tenczas i dotąd nie przyjąłem innego. Odźwierna trudniła się naszém gospodarstwem. Piotr zszedł na dół żeby się dowiedzieć czym wrócił wieczorem, a dowiedziawszy się że za powrotem natychmiast znowu wyszedłem, pobiegł do Bernarda, spodziewając się że mię tam zastanie.

Piotr w kilku słowach opowiada co go tak rano sprowadza, Bernard i je-

http://rcin.org.pl

go córka dzielą jego niespokojność. »Andrzej wczoraj cały wieczór był u nas, odszedł dopiero o dziesiątej.. zdawał się bydź spokojnym..i nie wydawał się smutniejszym jak zwykle. —»Gdzież u licha się podział? rzekł Piotr. —»Zaczekajcie, zaczekajcie, rzekła Anusia zabierając się do wyjścia, domyślam się gdzie poszedł; dowiem się czy co nowego nie zaszło... Ach! gdyby nie dla Andrzeja, nigdybym nie weszła do tego domu.

Niespokojna, z rozżaloném sercem biegnie do pałacu hrabiego, nie wie o co ma się spytać, co powiedzieć, lecz jéj niespokojność bierze górę nad nieśmiałością. Puka do bramy, nikt nie odpowiada; wszyscy jeszcze śpią; puka mocniéj, a wtedy odźwierny odzywa się z gniewem. »Któż tam u djabła puka tak zawczasu? czego chcesz? nie spaliśmy całą noc. —»Anusia zbliża się do okna i rzecze nieśmiało: —»Proszę pana, chciałam się spytać czy nie widziałeś Andrzeja wczoraj wieczorem? —»Jakiego Andrzeja? nie znam go.» Jak to? nie znasz go pan! młody człowiek, przystojny, mieszkał osiem lat w tém domu. —»A! ten, którego zwano Sabaudczyczykiem? —»Tak jest panie, ten sam. —»A do licha! już od roku tu nie mieszka! Niech cię djabli porwą! budzić mię tak rano, wybijać do pałacu pana hrabiego, jakby do jakiéj szynkowni! idź sobie.» Anusia nic nie odpowiada, ale płacze, łka; odźwierny znowu wygląda oknem i patrzy na młodą dziewczynę. Anusia nie ma jeszcze lat dwudziestu, jest przystojna, świeża, ładna. Odźwierny mówi do niéj nieco łagodniéj.

—»No i dla czegóż tak płaczesz? czy ci się przeniewierzył twój Andrzéj? Jesteś ładna, ale młodzi ludzie nie znają ceny takiego skarbu. —»O! nie panie, szukam Andrzeja ponieważ niewiadomo gdzie się podział, i chciałam spytać się czy tu był wczoraj? —»Jakże ja mogę pamiętać o tém? tyle tu osób było wczoraj, ale nie zdaje się żeby pan Andrzéj był na weselu. — »Na czyjém weselu? —»Panny Adolfiny, córki pana hrabiego, z jego kuzynem panem de Therigny. —»Pana Adolfina poszła za mąż? —»Tak jest, wczoraj. —»O Boże! jeśli się o tém dowiedział!..—»No, i znowu płaczesz; cóż ci jest u licha? —»Ach! panie, lękam się czyli Andrzéj... —»Ale, ale, przypominam sobie że wczoraj między dziesiątą i jedenastą, młody człowiek pytał się jaką tu uroczystość obchodzą w pałacu. —»Ach panie! to był on, a cóż się z nim stało? —»Dalibóg nie wiem, odszedł, nie widziałem go więcéj. —»Biedny Andrzéj! był w rozpaczy!... cóż zrobił? dokądże poszedł? nieszczęśliwa!...

Anusia porzuca odźwiernego, przybiega do ojca i do Piotra; opowiada im wszystko. Bernard nie rozumié dla czego to małżeństwo miałoby przywieśdź mię do rozpaczy, wówczas powiada mu Anusia żem kochał skrycie córkę mojéj opiekunki i to było przyczyną mojego smutku. — »Ach; mój ojcze! cóż się z nim stało? mówi Anusia: »Biedny Andrzeju, wolisz pła-

http://rcin.org.pl

kać zdala od nas... O Boże! a jeźli w rozpaczy... —»Uspokój się Anusiu, Andrzéj wspomni na matkę, na przyjacioł..... nie zdolnym jest do tego postępku... znajdziemy go, powróci... ale nie donośmy o tém jego matce; późniéj dosyć będzie czasu na to.

Cały dzień upłynął a nic się nie dowiedzieli. Piotr znalazł moje rozporządzenie, a widok tego pisma podwaja rozpacz Anusi; ojciec chce ją pocieszyć i powtarza co chwila że powrócę. Lucylla nie chciała powiedzieć mojemu bratu o zamęźciu Adolfiny, ale przyszła dowiedzieć się, jakim umysłem zniosłem to zdarzenie.—»Cóż się tu stało? pyta się, widząc wszystko do góry nogami w pokoju. Piotr powiada iż Andrzéj zniknął. —»Ach! biedny chłopiec! rzekła: gdyby wiedział z jaką trudnością wymogli na Adolfinie, iż przystała na ten związek. Matka życzyła sobie tego zamęźcia, spodziewając się, iż ją uleczy z daremnéj miłości. A teraz gdzież się podział? szalony, widać że nie jest Paryżaninem...

Kilka dni upłynęło na daremnych poszukiwaniach. Bernard traci nadzieję, ale widząc zmartwienie córki, ukrywa swoją niespokojność. Piotr chodzi codziennie do swoich dawnych towarzyszów, opowiedział im jak wyglądam, i dowiaduje się czyli mię nie widzieli; nareście mówi do siebie: »Zgubiliśmy się będąc mali, znajdziemy się tém bardziéj, gdyśmy dorośli. Mój brat powierzył mi swój dom, swój majątek, trzeba tém wszystkiem zarządzić jak należy.... O! gdybym mógł spotkać Ptaszka.... Z nim to się można zabawić.... on by mi nie dał płakać i dwie minuty na dzień.

Anusia nie rozumuje jak brat mój, a czas zamiast uspokojenia jéj boleści jeszcze ią powiększa. Błaga ojca, aby jéj pozwolił szukać mnie.—»A gdzież pójdziesz szukać go? rzekł nosiwoda. Czyliż młoda dziewczyna może biegać sama za chłopakiem?... Gdybyś przynajmniéj wiedziała gdzie on jest, rzekłbym do ciebie: »Poszukaj go: gdyż ja nie znam tych wymysłów światowych; wiem tylko że jesteś uczciwą i Andrzéj także... a z tém można mieć za nic ludzkie języki. —»Oprócz tego mój ojcze, wiesz dobrze iż Andrzéj nigdy nie kochał się we mnie, że myślał tylko o swojéj Adolfinie, ona zaś poszła za innego... Ach! mój ojcze ona go nie kochała!...

Moja córko, ona była hrabianką, usłuchała rodziców, a tego nie powinniśmy ganić. Andrzéj nigdy bydź nie mógł jéj mężem. —»Dla czegóż to ojcze? —»Ach! dla czego?... bo świat... rozumiesz... —»Nie mój ojcze, nie rozumiem. Ale pozwól mi wyszukać Andrzeja, przyprowadzić go do nas. —»Jak się dowiemy dokąd poszedł, to dobrze; ale tymczasem nie chcę abyś i ty zginęła... zostań przy mnie, i czekajmy wiadomości od niego.

Anusia nie nalega, płacze w milczeniu i co wieczór mówi do siebie. »Znowu dzień przeminął zdala od niego, bez żadnej o nim wiadomości. Niewdzięczny! czyliż może zostawiać w takiém udręczeniu tych, którzy dzień i noc myślą o nim. Ach! jego Adolfina nie kochała go tak, jak ja kocham.

(Dokończenie w następującym zeszycie.)

http://rcin.org.pl

Eskurjal

http://rcin.org.pl

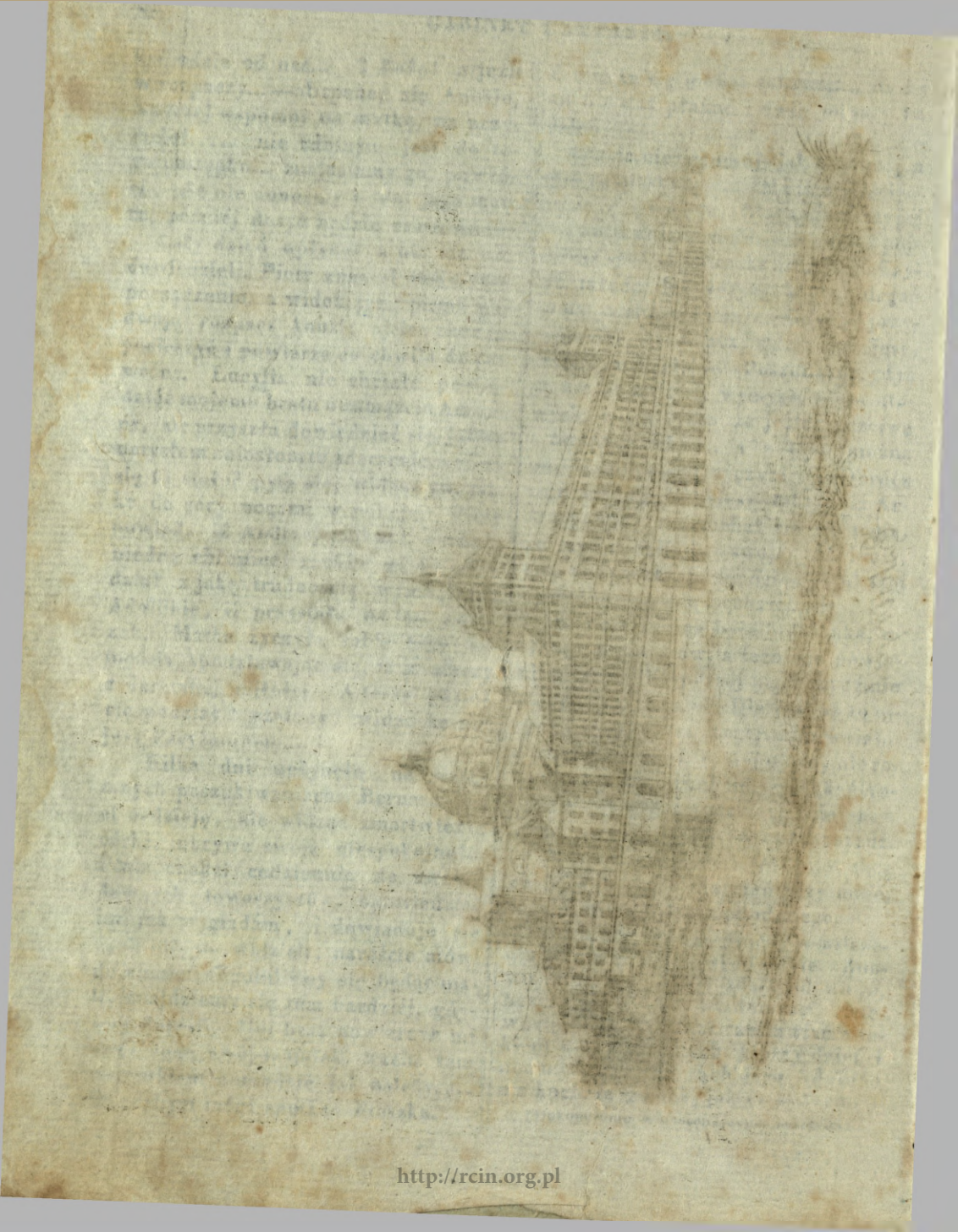

http://rcin.org.pl

SABAUDCZYK.

ROMANS PAWŁA DE KOCK.

(Dokończenie)

ROZDZIAŁ XXII.

PIOTR I SŁOWICZEK.

Piotr przechadzał się i poziewał w mojém pięknem pomieszkaniu i nudził się niezmiernie. »To rzecz dziwna! mówił do siebie. Jestem teraz panem, niczego mi nie brakuje... mam więcéj pieniędzy niżeli ich wydać mogę, a przecież poziewam przez cały dzień prawie. Chodząc z posyłkami, nie nudziłem się nigdy: to prawda że na to nie miałem czasu. Śpiewałem od rana do wieczora, a gdym przez cały dzień zarobił czterdzieści soldów, daleko szczęśliwszy byłem, aniżeli teraz z dukatami w kieszeni. To rzecz dziwna!... Jedyném życzeniem mojém było, mieć taką sztukę złota jak te... zapewne nie umiem ich użyć. Mniemałem, że kto jest bogatym, ten bawi się bez ustanku, a ja bynajmniéj się nie bawię. To prawda że ledwie umiem podpisać moje nazwisko. Nie lubię sylabizować, dla nauczenia się historyi, które mnie wcale nie obchodzą. Nie znam się na muzyce i nie umiem jak Andrzéj robić pędzlem i ołówkiem... Na teatrze zasypiam, chociaż to są bardzo piękne rzeczy. Przy stole tylko, bawię się jako tako. Ale nie można bydź przy stole od rana do wieczora, a przecież chciałbym się bawić.

Pewnego rana gdy znowu czynił sobie te uwagi, zadzwoniono do drzwi tak, iż ledwie nie urwano dzwonka. Piotr zadrżał, biegnie otworzyć, myśląc: »Ktoś dzwoni jak gdyby był panem domu. Może to Andrzéj.

Otwiera, ale zamiast brata widzi swoją dawną znajomość, pana Ptaszka, który podług zwyczaju nosi kapelusz na bakier, ale nie ten stary i dziurawy: bo podczas owego obiadu, serdeczny przyjaciel Piotra znalazł nowy kapelusz i wziął go za swój, chociaż między niemi nie było żadnego podobieństwa. Na nieszczęście nie mogąc omylić się co do innych części ubrania, Pan Słowiczek (gdyż on to jest sam w istocie i przed Piotrem przybrał nazwisko Ptaszka) ma jeszcze tę samą zatłuszczoną suknię, w któréj był przyszedł do pana Frankornard; ale dla pokrycia tych łachmanów, pożyczył stary płaszcz od stangreta, jednego ze swoich znajomych, i chociaż to było w Czerwcu, troskliwie obwija się w niego; nareście, aby tém poważniéj wyglądał, zapuścił wąsy i odwilża je co chwila.

Słowiczek nie wiedział że Piotr jest moim bratem i dopiero przy owéj wieczerzy usłyszał o tém. Po pijanu Piotr opowiedział mu swoje przygody. Moje nazwisko i pana Dermilly wkrótce naprowadziło go na drogę; ale wiedział że go bardzo źle przyjmiemy, nie śmiał zawitać do Piotrusia i żałował iż go skubać nie może. Pewnego dnia, kręcąc się koło pomieszkania przyjaciela swojego, dowiaduje się, że pan Dermilly umarł, że Piotr sam jeden mieszka w pięknych pokojach,

http://rcin.org.pl

że jego brat, Andrzéj, nie wiedzieć gdzie się podział.

Natychmiast Słowiczek chce biedz do Piotra, ale wprzódy spogląda na swoje ubranie. Jego suknia ma tylko dwa guziki, spodnie pękły mu na kolanach i obszarpały się u dołu. Piotr może ma służącego, a ten pewnie go nie puści w takim ubiorze. Słowiczek nigdy nie traci głowy. biegnie na plac i poznaje stangreta z którym się kilka razy bił i godził. Trąca go po ramieniu, mówiąc: »Franciszku, pożycz mi twego płaszcza na dwie godziny. —»Mego płaszcza? oszalałeś! —»Potrzebuję go bardzo pilno... Za dwie godziny odniosę go. —»Nie mogę, mam tylko mały kaftanik pod spodem. —»Nie jestże to dosyć na taki upał?—»Nie mogę powozić z obnażonemi rękoma. —»I owszem, będziesz wyglądał jak Faeton; lepiéj będzie ci przejeżdżać przez rynsztoki.—»Daj mi pokój.—»Oprócz tego,stoisz za drugiemi, nie pojedziesz tak prędko, a tym czasem odniosę ci twój płaszcz. Franciszku! nie zechcesz przywieśdź do rozpaczy, przyjaciela, który cię nie raz poczęstował... Idzie o moje szczęście, może i o twoje: gdyż skoro dostanę pieniędzy, innego fiakra nie najmę tylko ciebie, i będę ci płacił po trzy franki za kurs. —»Ba! żartujesz.—»Nie, jakem pierwszy model w Paryżu... Masz piętnaście soldów. Czekaj na mnie pod znakiem Karpia. Każ dać ostryg. —»Co? ostryg, za piętnaście soldów? —»Zaręczam za wszystko... cztery tuziny. No! Franciszku, miękczysz się; puść rękaw.—»Ale mój fiakr...—»Spojrzyj jaka piękna pogoda... dzień powszedni... Nic nie zarobisz do wieczora.—»Ale...—»Każ sobie dać butelkę wina.... No! puść drugi rękaw. —»Ale czy wrócisz za dwie godziny? —»Przysięgam ci na Herkulesa i Antynousa.—»Nie znam tych panów. Ale jeżeli mię oszukasz, pamiętaj że nie żartuję. —»Bądź spokojnym, czekaj na mnie i nie oszczędzaj wina.

To mówiąc, Słowiczek wdziewa płaszcz i ucieka śpiewając: *Ach! mam go przecię.*

Piotr spogląda na Słowiczka przez kilka minut i nie poznaje go. Ale Słowiczek już go uchwycił za szyję i mało go nie udusił.

»Aj! aj! puśćże mię: zawołał Piotr, poznawszy swojego przyjaciela.—»Nie, dozwól niechaj cię jeszcze uściskam. Ten kochany Piotr! tak się cieszę z tego spotkania. —»Ach! to ty Ptaszku? Ale mój brat utrzymuje że ty się nazywasz Słowiczek. —»Mój przyjacielu, alboż to słowik nie jest ptakiem? —» To prawda— Widzisz więc że to było wszystko jedno i że nie odmieniłem nazwiska. —»Tak, to prawda!—»I cóż znaczy nazwisko?Słowiczek czyli Ptaszek, zawsze jestem twoim najszczerszym i najlepszym przyjacielem, podobnież jak i twojego brata. Dawniej przewiniłem trochę względem niego; ale były to błędy młodości. Chcę prosić go aby mię znowu zaszczycał swoją przyjaźnią, której godzien jestem; chcę rzucić się w jego objęcia. Gdzież jest ten kochany Andrzej? przedstaw mi go. Muszę koniecznie zobaczyć go, jako też pana Dermilly, mego dawnego

http://rcin.org.pl

nauczyciela rysunku; on mię zaszczycał swoim szacunkiem i radami!... niechże go czémprędzej uściskam! Tak zacny człowiek! czczę go jak ojca... Mój przyjacielu, zaprowadź mię do niego, zobaczysz jak mię przyjmie.

—» O! jeżeli przyszedłeś tu do pana Dermilly i do mojego brata, trudziłeś się nadaremnie. —»Jak to! co mówisz? wytłómacz się. —» Pan Dermilly umarł już oddawna. —» Umarł? mój nauczyciel! mój ojciec. Ach! co ja słyszę?.. Pozwól niech usiędę. —»Czyli ci się słabo zrobiło? —»Słabo? —»Daj mi czego. —»Może szklankę wody? —» Wolałbym wódki, jeżeli ją masz. —» Tak mi się zdaje. —»To dobrze. —» O mamy jej z pietnaście gatunków w wielkiej szafie i w piwnicy... Jest tam wyborne wino. —» Jaki to był szanowny człowiek! —»No pokosztuj . . . —» To jest likier... Co? umarł? Jak to, śmierć uderzyła tak wielki talent? —»Ach! jakież postępy byłbym uczynił pod jego okiem!.. gdybym nie był tak płochy... Uważał mię za syna, —» A przecież co innego mówił o tobie? —» Powiadam ci żem był zbłądził, przyznaję to i koniec, czegóż chcesz więcej?.. Jeszcze jeden kieliszek. —»Czyli ci jest lepiej? —» Tak jest, trochę lepiej. Ale Andrzej... gdzież jest? zawołaj go niechże go, uściskam!.. —» Niestety! na próżnobym wołał... —»O Boże! drżę, czyliżby i on umarł? jeszcze kieliszek!.. Daj mi butelkię, sam sobie nalejęę. I cóż mój biedny Piotrze, twój brat? —» Zniknął.. gdzieś się podział, sześć tygodni temu i nie wiemy co się z nim stało. —»O Boże! ten kochany Andrzej... A ja bez ceremonii przyszedłem do niego na obiad. To nic nie szkodzi; jeść będę z tobą. Ale cóż mu przyszło do głowy? co za szał? —» O! to nie szał; była to miłość, straszna miłość: ale nie powiem ci nic więcej, gdyż to jest tajemnica. —»O! to prawda, nie pytam się o nic; prócz tego, powiesz mi wszystko przy obiedzie. —»Ale to jest najgorzej, iż mię upoważnił na piśmie do rozrządzania wszystkiem co do niego należy, a panna Anna mówi iż to jest dowodem że nigdy nie powróci. —»Panna Anna rozumuje jak adwokat i ani wątpić że wszystko co posiadał twój brat, teraz należy do ciebie. —»Mój przyjacielu, czy uwierzysz, że teraz gdy jestem bogaty nudzę się jak zwierz?—»Nie dziwię się temu. —»Najprzód zmartwienie, niespokojność o brata. —»O! to prawda, a przy tém tęskno jest żyć samotnie, nie mieć nikogo przy sobie z kimbyś mógł pogadać, rozśmiać się, wynurzyć twoje uczucia... Piotrze, wiesz że jestem twoim przyjacielem? Ja zastąpię Andrzeja, będę bratem dla ciebie... Od tej chwili wprowadzam się tu i nie odstąpię cię ani na krok. —» Ach! Kochany Ptaszek... chciałem mówić Słowiczek! Nie raz myślałem o tobie i mówiłem sam do siebie, że gdybym cię spotkał, pewniebym się nie nudził. —» Zaręczam ci Piotrze, że na to nie będzie czasu . . . Będziemy śmiać się, śpiewać, od rana aż do wieczora. Nauczę cię jak masz używać majątku. —» Dalibóg, tego też pragnę... chociaż, kiedy myślę o tym biednym Andrzeju. —»O

http://rcin.org.pl

zawsze będziemy o nim myśléć. Zabawa nie przeszkadza czułości. Będziemy płakać co rano, nim wstaniemy z łóżka, a po tém dobrze się bawić... Ale mieszkasz jak Sułtan Turecki, wszędzie kanapy, krzesła sofy. —»O! to nic, pójdź, pokażę ci wszystkie pokoje.

Słowiczek idzie za Piotrem, który już jest weselszym, odkąd znalazł mniemanego przyjaciela. Młody Sabaudczyk jest jeszcze frycem, mniema że ludzie są uczciwemi, ponieważ udają się za takich. Uwierzył więc Słowiczkowi i przekonał się że jeźli on dopuścił się jakich błędów, szczere ich wyznanie, byłoby mu powróciło przyjaźń jego brata i łaskę pana Dermilly.

Piękny model dziwi się i wykrzyka, wchodząc do każdego pokoju; nie znał ich jeszcze, widział bowiem tylko warsztat i kuchnię. Zatrzymuje się przed wieloma obrazami, wołając: »Czy widzisz tego Rzymianina? to ja... a ten piękny Grek! to także ja. —»Ale to nie są twarze do ciebie podobne.—»Nie mówię ci że to jest moja twarz, ale to moja postać, a w tém jest uderzające podobieństwo. —»Z téj strony jest kuchnia — » O! kuchnię znam dobrze; tamtędy wchodziłem zawsze, gdym przychodził pracować z panem Dermilly. A stara Teressa? —»Teressa! któż to jest? —»Kucharka pana Dermilly.—»A!.. słyszałem że umarła. — »Dobrze zrobiła, nie umiała gotować rosołu. — »Odkąd jak Andrzéj odjechał, nie mam służącego... Zdaje mi się, że nie śmiałbym prosić kogo aby mi służył. — »Słuchaj mię Piotrze, służący są to po największéj części hultaje, którzy nas kradną. Lepiéj jest służyć sobie samemu. O! ja cię nauczę oszczędności. Najprzód trzeba iśdź na obiad do restauratora; tam jest weseléj. Nigdy nie trzeba mieć kuchni w domu; to złą woń sprawuje. Jeźli chcemy jeść obiad, posyłamy do najpierwszéj traktyerni. To jest daleko zdrowiéj. Do łóżek i sukien woła się chłopaka który je na prędce poprzątnie; służąca zaś, przez całe rano ściele łóżko, miesza się do wszystkiego, uważa co się dzieje; nie będziemy jéj trzymać; druga oszczędność. — »Ho! ten Słowiczek! jakże się zrobił oszczędnym! — »Nie na tém koniec. A to jest zapewne sypialny pokój twego brata? — »Niestety! na nic się teraz nie przyda. —»Biorę go, aby nie stał pustkami; zapłacę ci komorne w swoim czasie i miéjscu: trzecia oszczędność. —»Ale jeżeli tak będziesz gospodarować, zamiast wydawania pieniędzy, zbogacisz mię jeszcze. — »O! nie troszcz się o to, będę wiedział co robić z pieniędzmi. Przyznasz, że trzymać samemu tak obszerne pomieszkanie, w tém nie było zdrowego rozsądku. — »Czekałem na mojego brata. —»Razem czekać będziemy; będzie nam weseléj. Ale wspomniałeś mi o szafce z likworami... Gdybyśmy też do niéj zajrzeli?

Piotr czemprędzéj prowadzi swego przyjaciela do pokoju gdzie jest ta szafka. Nakrywa stół i stawia na nim reszty z pasztetu. —»Czy tylko to masz? rzecze Słowiczek. — »Alboż to nie dosyć? —»O! nie, ciemię-

http://rcin.org.pl

go! Kiedy kto przyjmuje dawnego przyjaciela, czyliż powinien go częstować resztkami pasztetu? — »Ale zkądże wziąść co innego? Nic więcéj nie ma w domu. — »Ach jakież z ciebie dziecko! od czegóż są restauratorowie? No, śpiesz się, zawołaj odźwiernego, niech bieży do pierwszéj garkuchni, niech każe przynieść kotletów, nóżek cielęcych, dobry omlet; tymczasem zajrzemy do piwnicy, z którą chciałbym się zapoznać.

Żywość i śmiałość Słowiczka wywodzi Piotra z jego zwyczajnéj spokojności; serdeczny przyjaciel już jest na schodach i krzyczy na całą gębę: »Héj! odźwierny! mój braciszku, pójdź tu do nas.

—»To nie odźwierny, ale odźwierna: rzecze Piotr do swojego przyjaciela: ma taką minę jak gdyby ten dom należał do niéj. — »Bo jesteś frycem i nie umiesz zamknąć jéj gęby piętnastu soldami. Trzeba czasem okazać się wspaniałomyślnym, ażeby wszyscy byli gotowi nam służyć; czwarta oszczędność.

Odźwierna wchodzi na górę, jest to mała kobieta mająca lat pięćdziesiąt, z miną kwaśną i gniewliwą; od niejakiego czasu niechętnem okiem spogląda na Piotra, bo już nie trudni się jego gospodarstwem.

—»Czego pan chcesz? rzecze opryskliwie, i dla czego tak krzyczysz że aż się w całym domu rozlega?—»Pani Rochowa, rzecze Piotr, przebacz mi proszę, ale chciałem... —»Cicho, rzecze Słowiczek stojąc przed Piotrem i okrywając się płaszczem, jak gdyby grał *Katylinę*, nie umiesz ubarwiać twoich myśli, ja będę mówił za ciebie.—»Moja droga pani Rochowa, chcielibyśmy, ja i mój przyjaciel, mieć dobre śniadanie. Uroczyście obchodzimy ten dzień naszego spotkania się; dawni przyjaciele chętnie zjedzą parę kotletów przy winie burgundzkiém. Każ jéjmość przynieść tu wszystko w jak najlepszym gatunku. —»Ależ panie, ja nie jestem służącą lokatorów. —»O nie! to tylko przez grzeczność.—»Piotrze, daj pieniędzy; pani Rochowa bierze wszystko na siebie. —»Ależ panie...—»Nikt się nie rachuje z tak dobrą odźwierną. Dawaj pieniędzy.

Piotr szuka po kieszeniach i daje pięć franków w rękę Słowiczkowi. —»Jeszcze: rzecze tenże. Piotr daje drugą sztukę.—»Jeszcze: mówi po cichu piękny model, a Piotr daje trzecią, myśląc sobie: »Piętnaście franków za śniadanie! to nie musi bydź piąta oszczędność.

Słowiczek daje pani Rochowéj dwie sztuki pięcio frankowe, a trzecią chowa do kieszeni i szepce odźwiernéj: »Urządź jéjmość wszystko jak najlepiéj, a resztę weź sobie. Pani Rochowa wychodzi z pieniędzmi.

—»Widzisz, rzekł Słowiczek, iż cię słuchają. Ach! mój przyjacielu, dla pieniędzy nawet żółwie latać będą.—»To prawda, ale piętnaście franków za śniadanie...—»Co, mieszkasz w tak pięknych pokojach a zważasz na takie fraszki? Posłuchaj mię. Chcesz się bawić czy nie? —»O! zapewne że chcę. — »A więc zdaj się na mnie. Oprócz tego, czyliżem cię nie nauczył

http://rcin.org.pl

pięciu albo sześciu oszczędności? Ale nie chcę wykierować cię na na skąpca. —»No, rozrządzaj, widzę bowiem iż się lepiéj znasz na tém. —»Nie bój się, niechaj tylko twój brat zabawi się gdzieś tam z pół roku, a za powrotem nie małą zmianę znajdzie. A teraz pójdźmy do piwnicy.

Schodzą do piwnicy, gdzie było przeszło trzysta butelek zwyczajnego i kilka tuzinów droższego wina. Słowiczek jest w zachwyceniu; chętnie jadłby śniadanie w piwnicy, ale że to nie jest we zwyczaju, bierze więc tylko cztery butelki rozmaitych win, tyleż daje Piotrowi: ci panowie idą z tém wszystkiém na górę.

Pani Rochowa powraca, a z nią przychodzi chłopiec z traktyerni. Nasi przyjaciele zasiadają przy stole.

—»Rozgość się, rzecze Piotr do Słowiczka. Zdejmże ten wielki płaszcz, musisz się w nim dusić. —»Ach, mój przyjacielu, posłuchaj, miałem zapalenie mózgu i boję się cugów; a do tego płaszcz ten bardzo mi jest drogi... dostałem go po stryju, który był prawie zawsze na morzu. —»A przecież nie pięknie wygląda, podszyty jest skórą. —»Tego też właśnie mój przyjacielu potrzeba dla marynarza: w takim płaszczu nie boi się wilgoci. —»A! twój stryj był marynarzem? —»O, i sławnym marynarzem! Odkrył trzy nowe światy i byłby jeszcze odkrył ich z półtuzina, kiedy go połknął ludojad. —»Ach mój Boże! połknął go ludojad! —»Tak jest, to szczera prawda... Pijmy. —»Nieborak! —»Ach! marynarze nazwyczajeni są do takich wypadków. To ich nie obchodzi tyle ile nas. —»Ale ten płaszcz jakimże sposobem wrócił się do ciebie? —»Powiem ci. Po niejakim czasie schwytano ludojada, a gdy go rozcięto aby go wypchać słomą i posłać do gabinetu historyi naturalnéj, znaleziono w nim ten płaszcz caluteńki, a w kieszeni był list pod moim adresem. Zdaje się że ludojady nie mogą strawić sukna i skóry; ale z mego biednego stryja, zostały tylko dwa palce i ucho. —»Nie puszczę się na morze; strach mię bierze na takie wypadki. —»Dobrze mówisz! niech żyje ziemia i wino! Ale twoje wino jest bardzo dobre... Pan Dermilly był gastronomem... wszyscy artyści znają się na winie. —»To rzecz dziwna Słowiczku, twój kapelusz zupełnie tak tak wygląda jak ten który mi zginął wtenczas, gdym z tobą jadł obiad... Zdaje się nawet że to jest ta sama sprzączka. —»Czyliż wszystkie kapelusze nie są do siebie podobne? —»Powiedz mi, byliśmy wtedy trochę podchmieleni. —»Podchmieleni! fe! ja się nigdy nie podchmielę. Dla tego żeśmy stłukli kilka talerzy i trochę się poszturgali, wyobrażasz sobie żeśmy byli podchmieleni! Byliśmy tylko weseli, przyjemni i na tym koniec. Pijmy.

Słowiczek zajada i zapija; już dawno nie był na takiéj biesiadzie. Korki wyskakują, wypróżniają się butelki i żeby nie wstawać od stołu, Słowiczek rzucą talerze na piękną kanapę, a próżne butelki toczy na podłodze. Piotr już stracił głowę, chcąc dotrzymać placu swojemu

http://rcin.org.pl

przyjacielowi który bez końca pije i trąca w kieliszek. Piotr rozmarza się, język mu się plącze, śpiewa Sabaudzkiego przez ten czas, kiedy jego współbiesiadnik jeszcze przytomny, ponieważ nawykł do picia, sprząta z niepojętym pośpiechem wszystko co tylko przyniesiono z traktyerni.

Pośród téj biesiady, Słowiczek zupełnie zapomina o Franciszku, któremu przyrzekł odnieść płaszcz najdaléj za dwie godziny. Ale rzetelność nie jest zaletą naszego modelu i naostatek spił się tak jak i Piotruś.

Rozgrzany winem Słowiczek, zrzuca płaszczysko stangreckie wołając: »Precz mi z tym szlafrokiem, już go nie potrzebuję. Nie prawdaż Piotrze?... Znasz mię, jestem twoim przyjacielem i w jakiéjkolwiek sukni mogę jeździć śniadanie z tobą razem. Dusiłem się w téj przeklętéj guni. —»Co! wszakże to jest płaszcz twego stryja... Ludojada... rzucasz go na ziemię? —»Co ty tam gadasz o moim stryju!.. Czy ja mam stryjów?.. pijmy... Ależ mi powiadałeś przed chwilą? —»A,to prawda!..zapomniałem,..mniejsza o to. Piotrze, teraz to będziemy się bawić. Ach! jakże będziemy jeść i pić!... I ty inaczéj wyglądasz; bawisz się, nie prawdaż? —»Jestem tak wesół, że sam nie wiem co się ze mną dzieje. —»A więc mój kochanku co dzień od rana do wieczora będziemy tacy. Odtąd przywiązuję się do ciebie, już cię nie opuszczę, ty się nudzisz: ja jestem wesoły; tyś jest prostak,ja mam dowcip, udzielę ci go i nauczę cię, *jak można wesoło płynąć rzeką życia.*

—»Czyliż to jest twoja suknia powszednia? rzecze Piotr ledwie mogąc już gadać. —»Nie, to jest mój ubiór od polowania, brakuje u niego ośmiu guzików. Dzik mi je pożarł w chwili gdym go miał zabić. Skosztujmy likworu; najprzód tego.. to rum! za mocny... trzeba odłożyć na potém... anyzetka!... to wyborne; wypij przyjacielu... za twoje zdrowie. Powinieneś błogosławić Opatrzność żeś mię znalazł, żyłeś bowiem samotnie jak wilk. —»O! nie, bywałem u Bernarda i Anusi; są to przyjaciele Andrzeja. —»Bernard! Anusia!.. zdaje mi się że już mi powiadałeś o tém. Czyliż to nie jest nosiwoda?—»Ten sam.—»Ach! wstydź się Piotrze! jakże możesz w stanie w jakim cię teraz los umieścił, bywać u nosiwodów? A to nie dobrze! człowiek przedewszystkiém powinien utrzymać swój stopień.... Jeszcze anyzetki. —»Tak, ale ja czyliż nie byłem kominiarzem i posyłką? —»Tak, byłeś ale już nie jesteś i koniec na tém. To tak jak człowiek, który był oszustem a potém został uczciwym człowiekiem. Już nie przypominają sobie że był oszustem. Co dzień zdarzają się takie przykłady. Powtarzam ci, trzeba pamiętać o tém czem jesteś; nie mówię ci żebyś wcale nie bywał u nosiwody; odwiedzaj go nawet czasami, kiedy nie będzie co lepszego do czynienia; ale nie trzeba żebyś z nim ciągle przestawał, ponieważ nabrałbyś złych nałogów. Ja zaś chcę ciebie wykształcić....! To koniak!.. skosztujmy go.. Jak ci się spodoba? — »Mnie wszystko jednakowo smakuje. —»Ba! nie znasz się na tém Piotrze; ja ci znajdę dobrane towa-

http://rcin.org.pl

rzystwo, przyprowadzę ci takich chwatów jak ja, zaprowadzę cię na najpiękniejsze złote i srebrne sale za rogatkami. O! ja znam gdzie się można bawić. Niech licho porwie przyjaciół, którzy ci morały prawić będą; wieczorem dziś jeszcze pójdziemy na taniec; pożyczysz mi tylko fraka, kamizelki i spodni, o resztę ja się wystaram. Pijmy i śpiewajmy chór Frejszyca. Czy umiesz go? tra la, la, la, tra la, la!.. śpiewam go co poniedziałek z mojemi znajomemi; to rzecz prześliczna i łatwa, zawsze tra la, la, aż do jutra.

Tak śpiewając i pijąc, Piotr i Słowiczek zapili się do ostatka. Piotrowi zdaje się że wszystko kręci się koło niego, pada pod stół, a Słowiczek potłukłszy talerze i półmiski, obwija się w płaszcz Franciszka i zasypia pomiędzy kośćmi od kapłona i butelką różowego likieru.

ROZDZIAŁ XXIII.

PŁASZCZ FRANCISZKA.

Gdy Słowiczek chrapie przy swoim gospodarzu, stangret Franciszek, od którego był pożyczył płaszcza, poszedł do szynkowni, zasiadł za stołem, kazał sobie dać ostryg i wina.

Franciszek ma dobry apetyt, oprócz tego Słowiczek ma zapłacić za wszystko, może więc sobie pozwolić. Już połknął pierwszy tuzin ostryg. Ale gdy Słowiczek jeszcze nie powraca, Franciszek każe sobie dać drugi tuzin, czekając na przyjaciela. Nadeszła umówiona godzina, nie ma ani Słowiczka ani płaszcza. Franciszek każe sobie dać sera i drugą butelkę, mówiąc: »muszę mu dozwolić jeszcze kwadrans.« Ale upłynął i kwadrans i pół godziny, Franciszek tak się obiadł iż nie może oddychać, a ciągle nie ma Słowiczka. Stangret zaczyna kląć; towarzysze przyszli do niego i rzekli: «Franciszku! stoisz na czele, wróćże się do fiakru.

Ale Franciszek nie chce powozić bez płaszcza i nie ma czém zapłacić za śniadanie. Puka, klnie i woła: »Jakżem był głupi, żem uwierzył temu hultajowi! do tysiąca piorunów! uczęstuję go jak powróci. Cóż powie żona, jeżeli powrócę bez płaszcza?... będzie mniemać żem go przepił.

Franciszek klnie, rozpacza. Czas upływa, a na domiar nieszczęścia, zachmurzyło się niebo, wkrótce burza powstaje i deszcz pada strumieniem. Wszystkie fiakry odjechały. Jeden tylko fiakr Franciszka stoi na placu, on zaś klnie w szynkowni, mówiąc: »Jedźże w kaftaniku bez rękawów, na taką słotę!

Wkrótce biegną do tego jedynego fiakra i wołają: »Stangret! stangret! Już nawet sprzeczają się kto wsiądzie do niego, a Franciszek słysząc ich zdaleka, mówi sobie: »Próżno sprzeczacie się, żaden nie pojedzie.

Ale mały jegomość czarno ubrany, który z żoną szedł na proszone śniadanie, nie chciał bynajmniéj stracić téj biesiady i swoją połowicę wsadził do fiakra. Jejmość cały prawie powóz zajęła, a drudzy widząc że jéj ztamtąd nie wypędzą, odeszli.

http://rcin.org.pl

Trzeba wyszukać stangreta. Jejmość ledwie sobie gardła nie rozedrze wołając z powozu, a jéj mąż biega tu i owdzie, żałuje swego czarnego fraka, który moknie na deszczu, ale z większym jeszcze żalem myśli, iż się bez niego zacznie śniadanie.

Nareście postrzega szynkownię pod znakiem Karpia i biegnie tam, wołając: »Założę się, iż stangret jest w szynku; skoro tylko zaczyna deszcz padać te łotry idą na wino. Uspokój się żoneczko, zaraz go przyprowadzę. — »Śpiesz się, mówi jego połowica, boję się żeby bez nas nie zaczęli jędyka.

P. Belhomme wchodzi do szynkowni i pyta się: — »Stangret od fiakra czy jest tu? — »Jest, odpowiada służąca i zaczyna dziwić się, że pan Franciszek nie płaci i nie wychodzi.

Pan Belhomme trąca po ramieniu Franciszka mówiąc: »No, śpiesz się mój chłopcze, śpiesz się. Powinieneś bydź przy fiakrze; sam tylko jeden stoisz na placu na taką słotę... Spiesz się, dam ci na piwo.—»O! tego nie potrzeba, odpowiada Franciszek, nie chce mi się pić.—»Stangret! czy rozumiesz? rzecze głośniéj pan Belhomme, rozgniewany obojętnością Franciszka. —»Tak jest, rozumiem, ale nie mogę jechać. —»Nie możesz? zawołał mały człowieczek, naciskając kapelusz na głowę i wspinając się na palce. Musisz jechać. —»To bydź nie może, mój panie. Siedzę tu jak przykuty, oprócz tego jestem najęty. —»To są bajki. Stoisz na placu, biorę cię; moja żona już siedzi w twoim fiakrze, mój kuzyn czeka na nas... pojedziesz. —»Nie pojadę.

Jegomość krzyczy, woła; zbierają się przechodzący i powtarzają z nim razem.—»Musi jechać.« Szynkarz mówi: »Musi wprzódy zapłacić, a Franciszek odpowiada gwiżdżąc: »Ani jedno ani drugie.

—»Nauczę go rozumu, rzecze Belhomme, drżąc z gniewu. Zawieź mię do komissarza! nie możesz tego odmówić. —»A do licha! jakże mam jechać do komissarza, nie mając płaszcza na taką ulewę? »O niegodziwy Słowiczek! —»Włóż albo nie kładź twego płaszcza, to mię nie obchodzi wcale; chcę jechać do komisarza. —»Tak, tak, wołają obecni, pojedzie do komissarza albo zaprowadzimy jego fiakr.

Franciszek widzi iż nie wykręci się od komissarza; idzie więc za panem Belhomme, ale szynkarz zatrzymuje go i dopomina się o pieniądze.—»Zapłacę za drugim razem... nie mam teraz czasu. —»Nie znamy ciebie, nie możemy ci kredytować. —»Zaraz powrócę. —»Trzeba zapłacić natychmiast; należy się czterdzieści dwa soldy. —»Oto jest piętnaście na rachunek... resztę będę winien. —»Nie, trzeba wszystko zapłacić. —»Będziecie mądrzy, jeżeli znajdziecie chociażby jeden szeląg więcéj; jeszczem nic nie zarobił.—»Co! jegomość przychodzi na śniadanie, a nie ma czém zapłacić! —»Czekałem na przyjaciela, który mię częstował.—»Daléj, daléj, to jakiś hultaj, zaprowadźmy go do komissarza.

Szynkarz zabrał mu kapelusz, a tak

http://rcin.org.pl

dzięki Słowiczkowi, Franciszek z gołą głową, bez płaszcza, przemokł do nitki, osiem dni siedział w kozie, dostał chrypki, a za powrotem do domu, wybiła go żona. Owe zaś małżeństwo, musiało pójść piechotą na śniadanie, po błocie i podczas deszczu, a dla rozpędzenia złego humoru, kłóciło się przez całą drogę.

ROZDZIAŁ XXIV.

GOSPODARSTWO MOJEGO BRATA.

Piotr budząc się nazajutrz po śniadaniu które trwało aż do wieczora, zdziwił się trochę, że leży pod stołem, głowę mając opartą na talerzu, a rękę w salaterce. Przeciera sobie oczy i usiłuje zebrać myśli, bo jeszcze jest odurzony wczorajszém pijaństwem.

Wstaje, patrzy w około siebie i następuje na ucho Słowiczkowi, który chrapał leżąc jeszcze na płaszczu. Piękny model budzi się klnąc i krzycząc: »Jakiż to zuchwalec śmie bić artystę!

Wołanie Słowiczka przywraca pamięć Piotrowi. Przypomina sobie wczorajszą hulankę i, sam nie wiedząc dla czego, nie jest kontent z siebie; czuje w głębi duszy, że jego postępowanie nie jest takie jakiém bydź powinno. Ale Słowiczek już się zerwał i postanowił nie dać Piotrowi czasu do rozwagi.

—»I cóż mój kochany Piotrze? jak widać przespaliśmy się po obiedzie. Nie ma w tém nic złego; jest to nawet bardzo znakomity zwyczaj. W Hiszpanii i we Włoszech drzymią po obiedzie. Anglicy zaś, którzy tak dobrze żyją, zawsze sypiają pod stołem. —» Co! więc to jest znakomity zwyczaj sypiać na ziemi, pośród talerzy i wypróżnionych butelek? A przecież mój brat Andrzej nigdy tego nie robił. —» Mówiąc między nami, brat twój był ciołaczkiem i pochlebiam sobie że inną pójdziesz drogą za mojém przewodnictwem. Ale już jest dzień, trzeba myśléć o śniadaniu.

To mówiąc, Słowiczek spogląda na płaszcz i przypomina sobie Franciszka. Krzyknął, rzucił się na krzesło wołając: »Jakiż ze mnie głupiec!...

Piotr pyta się przyjaciela o przyczynę tego gniewu, lecz w tém widzi iż się okropnie skrzywił. Nasi panowie upiwszy się wczoraj, porozrzucali półmiski, jeden leżał na krześle i na niego to padł Słowiczek. —»Może się zraniłeś? rzecze przestraszony Piotr. —» Tak jest, trochę... Każę sobie przyłożyć kataplazm. Ale to najgorsza, żem sobie zniszczył spodnie... O Boże! i na przodku plamy i wszędzie... Tyś to wczoraj rzucając talerze, powalał mię.— Co! ja? —»Zapewne, i mój frak także... Garnitur który dopiero dwa razy miałem na sobie!... — » Co też gadasz? pantalony są ze szczętem podarte. —»Musiałem przez sen zawadzić się o co. Mój przyjacielu, tak nie mogę wyjść na miasto. Jakżebym wyglądał, ja wczoraj tak pięknie ubrany iż wszystkie kobiety obracały się za mną? Piotrze musisz mieć piękną garderobę? —»Garderobę? tak jest; ten gabinecik

http://rcin.org.pl

na dole; znajdziesz tam wszystko czego ci potrzeba.

Słowiczek biegnie do gabinetu. Powraca natychmiast, trzymając pod nosem kawałek płótna. Niech cię diabli porwą z twoim gabinetem. —»Czyli ci tam źle? — »Głupiec! pytam się o suknie, a ty mię posyłasz... —»Bo mówiłeś o garderobie. — »Ach, mój biedny Piotrze! jakże się nie znasz na niczém. — »Jeżeli chcesz sukien, suknie Andrzeja są w jego pokoju. O! jest w czém wybrać. —»Tak mi gadaj, od dwóch godzin pytam się o to.

Słowiczek idzie do pokoju. Otwiera szafki, komody i stoi w zachwyceniu, przed garderobą jak najlepiej opatrzoną. Natychmiast zabiera się do toalety, a że sobie nie odmawia niczego, wybiera zatém najcieńszą bieliznę, najnowsze suknie. Biegnie do zwierciadła: nigdy jeszcze nie był tak pięknym. Chociaż we fraku i pantalonach, staje jakby model do obraza; mówiąc: »Do pioruna! jakże jestem pięknym mężczyzną... co za szkoda, że musiałem czterdzieści pięć lat czekać, nim dostałem taką garderobę. To nic!.. odzyskamy czas stracony...

Upojony radością, Słowiczek otwiera okna wychodzące na ulicę i wyrzuca wszystkie swoje stare łachmany. »Idźcie precz, rzecze. Jużeście się dosyć wysłużyły, stańcie się łupem gałganiarza, albo Sabaudczyka... Przepraszam, nie mówmy źle o Sabaudczykach... zbyt wielki mam dla nich szacunek.

Słowiczek przychodzi do Piotra, który jeszcze siedzi pośród szczątków wczorajszego śniadania, stawa przed nim w postaci Laokoona i mówi. — » Jakże wyglądam? — »Ha! to są rzeczy mojego brata. —»Nie ma o tém mowy. Pytam się jak wyglądam. —»Bardzo pięknie. —»I ty ubierz się także, masz resztki śniadania na kołnierzu i chustce. Tymczasem wyjdę za ważnemi interessami. Nie długo zabawię, a za powrotem pójdziemy na śniadanie. Ale, ale, wszakże ty masz kassę, nie prawdaż? —»Tak jest, mam pieniądze... — » A więc daj mi sto talarów; pójdę za sprawunkami, gdyż ci tu wielu rzeczy brakuje. —»A czegóż takiego? —»O, wielu! najprzód.. nie znalazłem piórka do zębów. —»Czy chcesz ich kupić za sto talarów? —»Potém, jaszczyka do golenia, żelazka do papilotów; wszystko to kupić trzeba. Musimy także przyjąć służącego; ludzie tacy jak my, nie mogą obejść się bez usługi. — » Mówiłeś wczoraj że lokaje są to złodzieje. —»Dam baczne oko na naszego. —»Ależ sto talarów?.. —»Ach! Piotrze, jeżeli mię nie będziesz słuchał, porzucę cię natychmiast... Pytam się jeszcze raz, czyli chcesz się bawić od rana aż do wieczora? —»Oczywiście. —»A więc nie troszcz się o sto talarów i zawsze idź za moim przykładem.

Piotr oddaje pieniądze Słowiczkowi, ten zaś bierze płaszcz stangreta, przypatruje się i mruczy. — » Do licha! tak jest brzydki... nie zgadza się z moim wyszukanym ubiorem. —»Co mówisz Słowiczku? — »Mówię że chciałem odnieść ten płaszcz, ale jest za brzydki. —»A przecież miałeś go wczoraj? —»Gdyż była to rocznica śmier-

http://rcin.org.pl

ci mego stryja. Jakże jestem głupi! każę go odnieść posługaczowi z ulicy. Hej! odźwierna!...

Słowiczek otwiera drzwi i woła pani Rochowéj: odźwierna wchodzi trzymając w ręku suknie które spadły na nią gdy zamiatała przed domem.

—»Panowie: rzecze odźwierna pokazując odzież Słowiczka: czyli to od was wyrzucono te łachmany? Zamiatałam moją część ulicy i w tém spadły na mnie te graty. — »Czy to ty Piotrze wyrzucasz przez okno twoje stare suknie? rzecze Słowiczek udając podziwienie. —»Ja? a to byłaby śliczna zabawka!.. —»Pani Rochowa, odzież ta nie pochodzi od nas. Oprócz tego, zdaje się że ludzie tacy jak my nie noszą takich łachmanów. — »Panie, straganiarka z przeciwka utrzymuje... —»Straganiarka pilnowałaby raczéj swojéj cybuli i pietruszki, aniżeli wypatrywała co się dzieje u jéj sąsiadów. Weź to sobie pani Rochowa, daj to na kolendę twemu chrzesnemu synkowi jeżeli go masz. A ponieważ tu przyszłaś, proszę cię zanieś ten płaszcz na dół, a tam wezmę żokeja, który pójdzie ze mną.

»Piotrze ubieraj się, nie długo zabawię.

Słowiczek rzuca płaszcz Franciszka na ręce odźwiernéj i wychodzi przed nią, podskakując za każdym krokiem. Odźwierna zatrzymuje się także, nie wiedząc co to ma znaczyć, przestraszona minami Słowiczka, który za każdém zatrzymaniem się krzyczy: »To jest Herkules! To Antinous! To Hippolit!

Nareście zeszli na dół. Słowiczek wygląda na ulicę i postrzega małego chłopaka, który czyści buty, zasmolonego jak węglarz; kiwa na niego, a dając mu ogromny płaszcz Franciszka: »Idź za mną, rzecze, a nie obryzgaj mię błotem.

Idzie więc, a za nim żokej z płaszczem. Przychodzi na plac gdzie wczoraj znalazł Franciszka i myśli sobie: »Najprzód będzie hałasował, ale gdy mu dam pięć franków, uspokoi się natychmiast.

Ale Franciszka nie ma na placu; dla téj prostéj przyczyny że nieborak jest w kozie. Słowiczek idzie do szynkowni pod znakiem Karpia i tam go nie ma. »Może stoi gdzie indziéj: myśli sobie: nie mogę oblecieć piechotą całego Paryża, wezmę karykiel.» Próżne były jego zabiegi. Słowiczkowi chce się jeść, chłopak spocił się biegnąc za karyklem z tém ogromném płaszczyskiem. Nareście Słowiczek mówi sobie: »Czyniłem co mogłem, wróćmy się do Piotra.

Stają przed pomieszkaniem Piotrusia, szczęściem dla chłopaka, który się spocił jak mysz. Gdy miał mu zapłacić, Słowiczek rzekł do siebie: »Ten malec dobrze chodzi... mógłby przydać się na żokeja. Malcze? chcesz służyć u nas! —»Ja panie? czyliż będę musiał biedz co dzień za karyklem? —»Nie, to jest nadzwyczajny przypadek. Pościelesz nam łóżka, wyczyścisz suknie, buty, poprzątniesz pokoje, będziesz brał wszystko co ci dadzą. Dostaniesz pomieszkanie i żywność... przyrzekam ci dobre zasługi.—»Bardzo chętnie panie. —»A więc ruszaj i nie zapomnij żem ci dał dwie-

http://rcin.org.pl

ście franków z góry. —»Ależ mi pan nic nie dałeś? —»To nic nie znaczy, powiesz to, albo łaskę stracisz.

Piotr widzi, iż Słowiczek powraca, a za nim chłopak z płaszczem. —»I cóż, odnosisz go? rzecze do przyjaciela. —»Tak jest, rozważyłem i nie chcę rozstać się z tym płaszczem. Piotrze, oto jest nasz służący.—»Ten mały chłopiec?—»Alboż nam potrzeba olbrzyma do usług? —»Jest tak czarny.—»Umyje się. Jeść mi się chce... Idźmy Piotrze. —»Ale... —»Ale co?—»Już od dwóch dni nie byłem u Bernarda, a miałem zwyczaj chodzić tam dosyć często.—»Pójdziesz innym razem, a teraz trzeba się bawić... Ty malcze zostań tutaj; poprzątnij pokoje. Ruszajmy.

Słowiczek wyprowadza Piotra, a gdy już wychodzili z domu, brat mój rzekł jeszcze: »A jeżeli Bernard przyjdzie do mnie? —»Cóż u licha? zawsze tylko masz na myśli Bernarda... Zaraz ja to urządzę... Hej! pani Rochowa! jeżeli kto pytać się będzie o Piotra, powiedz że wyszedł z przyjacielem szukać swojego brata. Możesz zawsze tak odpowiadać, gdyż nie będziemy robili co innego.

Wyszli nareście i wstąpili do traktyerni, a tam Piotr znowu zapomina o przestrogach dawnych przyjacioł i myśli tylko o hulance. Słowiczek nie zostawia mu czasu do namysłu; po śniadaniu prowadzi go na bilard, ztamtąd idą na obiad, a wieczorem odwiedzają szynkownie. Słowiczek zapoznaje Piotra ze wszystkiemi przyjaciołmi swemi, a ten biedsk nie widzi między jakich ludzi go wprowadzono. Wieczorem ci panowie powracają pijani, czasem nawet nie wracają wcale. Można sobie wyobrazić, jak wygląda pomieszkanie, poprzątane przez chłopaka z ulicy, który wszystko do góry nogami przewraca, a nudząc się że przez cały dzień siedzi sam jeden, woła swoich towarzyszów i z niemi dokazuje po pokojach. Ale Słowiczek utrzymuje, że ich żokej ma zdolności, że doskonale czyści buty, a to rzecz główna.

Już od trzech tygodni żyją tym sposobem. Ilekroć Piotr wspomni o Bernardzie i chce go odwiedzić, Słowiczek zawsze potrafi mu wybić z głowy ten zamiar, aż nareście Piotr zupełnie o tém przestał mówić: gdy kto bowiem źle się prowadzi, nie ma już upodobania w towarzystwie uczciwych ludzi. Dobry nosiwoda kilkakrotnie chodził do pomieszkania Piotra, lecz go nigdy nie zastał, a pani Rochowa, którą Słowiczek umiał przeciągnąć na swoją stronę, powiada mu za każdym razem: »Pan Piotr poszedł szukać swojego brata.« Poczciwy Owerniak wierzy temu i myśli sobie: »Biedny Piotruś! tyle sobie trudów zadaje, a to bezskutecznie.

Pewnego dnia, Piotr i Słowiczek ubrani i wymuskani, szli na pola Elizejskie, gdzie naznaczyli schadzkę kilku serdecznym przyjaciołom. W chwili gdy ci panowie przechodzili przez bulwary, fiakr przejeżdżający koło nich, zatrzymuje się, a stangret zsiada z kozła wołając: »To on! to mój złodziéj!.. Teraz mu zapłacę.

Franciszek, gdyż to był on, zaczy-

http://rcin.org.pl

na od pięciu albo sześciu razów biczem, a Piotr musi przyjąć część tego, co się należy tylko jego towarzyszowi.

Ci panowie, odurzeni tak nagłym napadem, zaczynają krzyczéć, ale Franciszek skacząc do Słowiczka, chwyta go za kołnierz i nie dozwala mu uciekać.

—»Złapałem cię nareście, złodzieju! mówi stangret i silnie wstrząsa Słowiczkiem, który zbladł poznawszy Franciszka. Mój płaszcz łotrze! mój płaszcz? Cożeś z nim zrobił? —»Puść mię Franciszku, puść mię udusisz mię! —»Nie, nie puszczę; musisz mi oddać płaszcz, zapłacić śniadanie i wynagrodzić mi za osiem dni kozy i za moją chrypkę. —»Zapłacę ci wszystko co tylko zechcesz; ale nie ściskaj mię tak mocno.

—»Mylisz się Mości panie stangret: rzecze Piotr, nie rozumiejąc co to ma znaczyć: nie mamy z tobą nic do czynienia... jesteś pijanym.. —»Jestem pijanym! Nie mój kochanku, twój towarzysz jest złodziejem, ale przedewszystkiem dam mu zapłatę. A Franciszek dał trzy albo cztery policzki wymuskanemu Słowiczkowi. Piotr chcąc bronić przyjaciela, dostaje także kilka dowodów gniewu Franciszka, a tłum zebrany około fiakra, nie przeszkadza im bynajmniej: gdyż jest daleko zabawniej patrzeć na ludzi którzy się biją, aniżeli ich rozłączać i godzić.

Nareszcie Słowiczek broniąc się jedną ręką, zdołał wsunąć drugą do kieszeni; wyjmuje z niej parę franków: ich widok trochę uspokaja stangreta; bierze pieniądze, wstrzymuje napaść i mówi ochrzypiałym głosem: »A mój płaszcz?

—»Zaraz odbierzesz go, odpowiada Słowiczek: zawieź mnie i mego przyjaciela. Gdybyś był chciał mię wysłuchać, ochroniłbyś przyjaciela od tak przykrej sceny

To mówiąc, Słowiczek otwiera fiakr, wsiada weń razem z Piotrem. Franciszek włazi na kozieł i odjeżdżają zostawiając prożniaków i gawronów, pytających się jedni drugich co to ma znaczyć.

Piotr oberwawszy biczem i pięścią, nie pojmuje dla czego wsiedli do powozu stangreta, który ich wybił. —»Wytłomaczę ci to wszystko, rzecze Słowiczek usiłując poprawić swoje ubranie. —»Ale on powiada, żeś ty go okradł? —»Aibo on wie co gada? — Ale dałeś mu pieniędzy? —»Widzisz więc żem go nie okradł. —»Dopomina się o płaszcz?.. —»Tak jest, chce żeby mu pożyczyć płaszcza mego stryja, ponieważ ma podróżować po morzu. —»Co! ten stangret? —»Oczywiście! dziwujesz się lada czemu; dowiedz się że Franciszek jest bardzo słusznym człowiekiem, razem służyliśmy w wojsku przed laty.—»A dla czegoż cię bił? —Czasami odchodzi od przytomności, wziął nas za swoje konie... Jest to z resztą człowiek z którym warto się zapoznać.

Ci panowie przyjeżdżają do swojego pomieszkania. Słowiczek mówi Franciszkowi, aby poszedł z niemi razem. Stangret idzie z biczem w rę-

http://rcin.org.pl

ku, a Piotr nie rozumie dla czego okazują tyle grzeczności człowiekowi który ich wybił. Słowiczek prowadzi Franciszka do swego pokoju, oddaje mu płaszcz, zaklina się iż go szukał przez cały tydzień, a na zgodę prowadzi go do sali jadalnéj, i posyła żokeja po obiad. — »A nasza schadzka? mówi Piotr: —»Pójdziemy innym razem... Znajduję starego przyjaciela... starego kamrata, musimy uczęstować go jak należy.

Franciszek odzyskał dobry humor razem z płaszczem; widok butelek jeszcze bardziéj go rozwesela. Słowiczek rozrządza wszystkiém; zasiadają do stołu. Podług zwyczaju, biesiada przeciągnęła się dosyć późno w noc, a przy końcu, Piotr ściska za rękę Franciszka i nazywa go serdecznym przyjacielem.

Takim to sposobem Piotr używa poruczonego majątku. Przestając z jak najnikczemniejszém towarzystwem, wśród ludzi bez stanu, bez obyczajów, niekiedy nawet bez przytułku, zawojowany przez człowieka którego nałogi tak są nikczemne jak jego obejście i który go bez żadnéj zgryzoty obdziera, Piotr marnuje pieniądze i rozumie że się bawi, ponieważ z szynku idzie do kawiarni, a z kawiarni do szynku.

Czasem postrzega że pieniądze toczą się bardzo prędko, ale Słowiczek mówi do niego: »Umiesz teraz grać dobrze w bilard, trzy butelki nie zawrócą ci głowy, wypalisz cztery albo pięć cygarów przez wieczór: mój przyjacielu, tych wszystkich korzyści darmo nabyć nie można.

Jakaż to różnica od zacnego nosiwody! tam myślą i mówią o samym tylko Andrzeju. Bernard nieustannie wypytuje się o mnie i usiłuje pocieszyć córkę, postrzega bowiem że codzień zmienia się Anusia. Blada, smutna, wychudła, nie uśmiechnęła się od chwili mego wyjazdu. — »Czy chcesz umrzeć? mówi do niej Bernard. — »Nie, ale chcę znaleźć Andrzeja. —»Ojcze! pozwól mi, pójdę go szukać. — »Ach! moje biedne dziecię, gdzież pójdziesz!

Na to Anusia nie odpowiada, spuszcza oczy ku ziemi i ukrywa przed ojcem łzy swoje.

ROZDZIAŁ XXV.

SZEŚĆ MIESIĘCY I OSIEM DNI.

Sześć miesięcy upłynęło, w tém pewnego rana Anusia nagłą uderzona myślą, biegnie do Bernarda, wołając. — » Mój ojcze! wiem gdzie jest i pewna jestem że go znajdę. Ach! mój Boże! jakimże sposobem ta myśl prędzéj mi nie przyszła do głowy? — »Wiesz gdzie jest Andrzéj? —»Ach! tak jest ojcze, pewna jestem że się nie mylę... Pozwól mi pójść, błagam cię!.. przyprowadzę Andrzeja. —»Ale powiedz mi najprzód, gdzie jest, jeźli wiesz o tém? —»Nie daleko wiejskiego domku pani hrabiny. W tém miejscu, gdzie, jak mi to powiadał, nie raz dni szczęśliwe przepędzał przy téj, którą wtedy do woli mógł widywać. —»Zkądże wnosisz że tam się ukrywa? —»Tak jest ojcze, zga-

http://rcin.org.pl

duje to moje serce, a kiedy idzie o Andrzeja, moje serce nigdy się nie myli... Ach! pozwolisz mi szukać go. —»Jest to, jak mniemam, w okolicach Fontainebleau. —»Tak mój ojcze. —»Mieszka w téj okolicy stary mój przyjaciel, u niego staniesz... Jednakże... młoda dziewczyna... sama. —»Ojcze, alboż jestem płocha i roztrzepana? Andrzej umrze ze zmartwienia jeżeli go nie pocieszę.—»Niech i tak będzie, jeźli chcesz koniecznie. —»Ach! co za szczęście!. — »Jutro pojedziemy do niego dyliżansem.—»Jutro! Dla czegóż odwlekać? jest dosyć wcześnie, dziś mogę jechać. —»Anusiu, tak ci jest spieszno opuścić mię! —»Mój ojcze, to nie na długo, od półroku nie widzieliśmy Andrzeja... Będę pisywać do ciebie. —»Zapominasz że nie umiem czytać. — »Twój sąsiad będzie ci czytywał listy moje, a wtedy ucieszysz się że umiem pisać. Ach! jakże będziemy szczęśliwi kiedy powrócę z Andrzejem!

To mówiąc, Anusia chodzi po izbie, układa zawiniątko, odwiązuje fartuszek, bierze na głowę kapelusz słomiany i wyprowadza ojca wprzódy jeszcze nim zdołał zebrać myśli swoje. Przyszli na pocztę; dyliżans do Fontainebleau wyjeżdża za godzinę; jest jeszcze miejsce. Anusia podskakuje z radości i siada na ławeczce kamiennéj, z zawiniątkiem na kolanach. Tam chce doczekać chwili odjazdu. Nosiwoda na próżno chce z nią wstąpić do kawiarni. Anusia woli siedzieć na ławce. Ma przed oczyma dyliżans, nie pojadą bez niéj. — »Żegnam cię ojcze, rzekła do Bernarda, nie tęsknij, prędko powrócę.

Bernard ściska córkę i odchodzi smutny. Anusia patrzy za nim i wzdycha. Ale spogląda znowu na powóz i odzyskuje odwagę. Nareście nadeszła chwila odjazdu, a podróż nie długo potrwa. Anusia siada nie śmiało, nie podnosi oczu przez całą drogę; niektórzy z podróżnych mówią do niéj, odpowiada jedném słowem i rozmowa prędko ustaje. Gdy zatrzymano się w Essonne, Anusia nie wysiada z dyliżansu; śmieją się z tego i żartują drudzy: lecz ona bynajmniéj nie dba o zdanie ludzi mieszających się w to, co do nich nie należy; Anusia ma rozum.

Stanąwszy u przyjaciela jéj ojca, Anusia pyta się o dobra pana Frankornard: leżą tylko o półtory mili od Fontainebleau. Łatwo będzie mogła pójść tam i zwiedzić wszystkie okolice. Ale zaczyna myśleć, że choćbym nawet znajdował się w tych stronach, nie tak łatwo mię wyszuka, jak mniemała z razu.

Anusia idzie najprzód do dworu, rozmawia z odźwiernym i dowiaduje się, że ani hrabia ani hrabina nie byli w tych dobrach. —»A pan Andrzéj? rzecze Anusia, ten młody człowiek, który mieszkał u pani hrabiny? czyliżeś go nie widział? Może byś go nie poznał, urosł znacznie od tego czasu, jak tu był raz ostatni,—»Poznałbym go, odpowiada odźwierny, ale i on tu nie był.

Anusia odchodzi zasmucona; przebiega okolice; zwiedza chaty, pyta się mieszkańców i żadnéj nie może po-

http://rcin.org.pl

wziąść wiadomości; jednakże nie traci serca i nazajutrz znowu szuka.

Z tém wszystkiém, nie omyliła się Anusia. Wychodząc z Paryża pośród nocy, chciałem tylko oddalić się z miasta gdzie mieszka Adolfina, poszedłem na los i dostałem się na pole. Po długiéj chorobie, cios ten pozbawił mię znowu wszystkich sił ciała i umysłu. Usiadłszy pod drzewem, doczekałem poranku. Chciałem umrzeć; wspomnienie matki przywróciło mi trochę odwagi. Ale rana była jeszcze zbyt świéża. Wśród tych pól milczących, zdawało mi się że jeszcze słyszę dźwięk muzyki i odgłos tańców na weselu Adolfiny.

Byłem nie daleko Bondy; nie wiedziałem dokąd pójść, brzydziłem się Paryżem, przysiągłem że tam nie wrócę. Czasem myślałem o Sabaudyi, ale potrzebowałem samotności.

Od kilku dni, przebywałem w pewnéj wiosce, gdy w tém myśląc o Adolfinie, przypomniałem sobie jak szczęśliwe dni przepędzałem z nią razem w tych dobrach, dokąd jeździliśmy co rok. Zapragnąłem ujrzeć te ukochane miejsca; wyszedłem natychmiast i wkrótce ujrzałem ten dom, gdzie upłynęły najsłodsze chwile życia mego. Nie chciałem wnijść; lękałem się spotkać którego z domowników. Chciałem żeby mię nikt nie widział... Ale przez całą noc krążyłem około murów dziedzińca; o świcie wszedłem na wzgórek, skąd doskonale widać było część ogrodów. Postrzegałem gaiki w których siedziałem obok niéj, ulice gdzieśmy się bawili; chciałem żyć tylko przeszłością. Nie mogłem oderwać się od tego miejsca... Mniéj cierpiałem... i postanowiłem pozostać w miéjscu, które jeszcze obdarzało mię ostatniém promykiem szczęścia. W dwudziestym roku życia, potrzebujemy kochać, mamy nawet upodobanie w naszéj boleści, ponieważ i to jest jeszcze miłością.

Nie daleko wzgórza, stała chata otoczona drzewami. Poszedłem tam, żeby spocząć na chwilę; w chacie mieszkała stara wieśniaczka sama jedna. Zapytałem się, czyliby m nie mógł nająć u niéj mieszkania. Mniemała zrazu, iż chcę żartować. —»Co, ty panie! rzekła do mnie: młody człowiek z miasta chce mieszkać w téj ubogiéj chacie, przy mnie starej kobiecie? —»Byłbym najszczęśliwszym. —»Jeżeli pan chce poprzestać na małéj izbedce pod strychem; tam mieszkał mój biedny syn... nie jest piękna, ale nie mam innéj.

Ucieszony że mogę mieszkać w téj chacie, wyjąłem z kieszeni dwanaście luidorów: może trzy razy tyle wziąłem z sobą opuszczając Paryż: i dałem je staréj. Biedna kobieta, nigdy nie widziała razem tyle pieniędzy; krzyknęła podziwieniem zdjęta. —»To za pomieszkanie moje, rzekłem. —»Ach! panie, możesz tu mieszkać przez całe życie. Będziesz miał stół taki sam co i ja. Będę go podzielać z tobą; to rzecz słuszna, za tak wielką kwotę!..

Ułożyłem się z nią i poszedłem do miasta po ołówki i po wszystko czego mi było potrzeba do rysowania.

http://rcin.org.pl

Osiadłem w chatce, jéj położenie bardzo mi było dogodne, drzewa bowiem zasłaniały mię przed oczyma przechadzających się, o pięćset zaś kroków daléj, było wzgórze, z którego widzieć mogłem ogrody mojéj łaskawczyni.

Tam przepędzałem większą część dnia, zajęty wspomnieniami, czasem rysując widok lub gaik, którym był przebiegał z nią razem.

Czas upływał, boleść moja zmieniła się w smętność, ale miłość nie gasła; gdyż widok tych miejsc gdzie wzięła początek, nie był stósownym do wygładzenia jéj z mego serca.

Pewnego dnia, gdy jak za zwyczaj wracałem z ulubionego miejsca, postrzegłem iż młoda kobieta szła pobliską ścieszką i obcierała oczy.

Była to Anusia; od ośmiu dni szukała mię daremnie w okolicy i zaczynała tracić nadzieję; idąc tą samotną ścieszką, płakała swobodniéj.

Na odgłos mego stąpania, podnosi oczy, zatrzymuje się, patrzy na mnie, wydaje krzyk i leci w moje objęcia. Wszystko to było dziełem jednéj chwili. Anusia opiera głowę na moich piersiach, nazywa mię Andrzejem, swoim ukochanym Andrzejem, a jeszcze nie ochłonąłem z podziwienia.

Anusia! w moich objęciach? w tych miej-cach? Jakże się to stało? Zapewne z moich oczu wyczytała te zapytania, mówi bowiem natychmiast: —»Dziwisz się panie Andrzeju. Tak jest! widzę to: ponieważ może obejść się bez nas, ponieważ nas nie kocha, mniema że także powinniśmy go nie kochać! —»Ja cię nie kocham? Anusiu. —»Oczywjście; czyliż takim sposobem porzuca się tych, których się kocha? czyliż się zostawia ich w najsroższéj niespokojności? czyliż się godzi uciekać jak wilk, nie myśląc o tém, że przyjaciele dręczą się i umierają ze zmartwienia?

—»Ach! zbłądziłem Anusiu, czuję... —»Gniewasz się... Ach! nie mówmy o tém Andrzeju, znalazłam cię, tak jestem szczęśliwa... tak wesoła... już zapomniałam o zmartwieniu, któregoś mię nabawił.

Przyciskam Anusię do serca; i miło razem i przykro mi jest, że ją oglądam. Zakochani, są jak dzieci; kiedy się dopuszczą błędów, nie chcą się przyznać. Ale cóż tu robisz? rzekłem do Anusi.—»Pyta się o to! przyszłam ciebie szukać.—»Mnie szukać? A skądże wiesz, że tu jestem? —»Serce mi powiedziało, kochany Andrzeju! Jakżeśmy się martwili.—»Ach! przebacz mi, ale nie mało ucierpiałem.—»Wiem o tém. Czy rozumiesz że nie znamy przyczyny twego oddalenia się? Tak jest Mości panie, wiemy że dla miłości opuściłeś wszystko, zapomniałeś o krewnych, o przyjaciołach. —»Anusiu! —»O! to jest prawda; na próżno odwracasz głowę. Ale czas pociechę przyniesie; powiadają że czas jeszcze prędzéj pociesza mężczyzn niżeli kobiety; mój ojciec będzie kontent jeżeli cię zobaczy, i twój brat, ten biedny Piotruś, który biega od rana aż do wieczora, dopytując się o ciebie. Pójdź ze mną, jedźmy natychmiast, pocieszmy ich. —»Nie, Anusiu, przysią-

http://rcin.org.pl

głem, że już nie powrócę do Paryża. —»Co? przysiągłeś!... Ach! czyliżbyś mógł odmówić moim prośbom? —»Tu jestem tak szczęśliwy, ile tylko bydź mogę... nie chcę oddalić się z tych miejsc.. —»Tak właśnie, aby przez cały dzień patrzyć na ogrody, gdzieś biegał z... I takimże to sposobem uleczysz się mój panie?—»Pójdź ze mną na to wzgórze, pójdź, pokażę ci te miejsca, będące świadkami najpiękniejszych dni moich.

Biorę Anusię za rękę; idzie ze mną ani słowa nie mówiąc. Wyszedłszy na wzgórze, wskazuję miejsca na które co dzień patrzę. —»Tam siadywałem przy niéj, niekiedy przez całe poranki; jakże czas mi prędko upływał! —»A dla mnie był długi, gdyż ciebie nie widywałam... Ale gdy już poszła za mąż, dla czegóż podniecasz te uczucia? Ach! gdybyś chciał Andrzeju, jeszcze bylibyśmy szczęśliwi. Czyliż mężczyźni raz tylko w życiu kochają? Słyszałam iż się to częstokroć bardzo przeciwnie zdarza.—»Ach Anusiu! ja mniemam że nie będę kochał dwa razy.

Anusia nic odpowiada. »Schodzimy na dolinę. —»Gdzie mieszkasz? rzekłem do niéj. —»W pobliskiém mieście. —»Ztąd jest mila do niego. Odprowadzę cię. —»I pojedziesz ze mną do Paryża? —»Nie; wrócę tu. —»A więc nie potrzebujesz odprowadzać mię do miasta. —»Nie powrócę tam. —»Jak to? Cóż chcesz zrobić? —»Tu zostać z tobą.—»Anusiu! nie zastanowiłaś się... a twój ojciec?—»Donioszę mu gdzie jestem, on mi przebaczy. —»Ale to bydź nie może! nic cię tu nic zatrzymuje. —»Nic?... ach!... Może mam więcéj powodów niżeli ty sam. —»Będę ci towarzyszyć, a jeżeli cię to nudzi, dobrze więc, nie będę mówić do ciebie i będę tak daleko iż moja obecność nie zdoła cię rozgniewać. —»Ale Anusiu.. w tém nie ma sensu. —»Mniejsza o to; chcę zostać, mam także moją wolę.

Zamiar Anusi sprzeciwia się moim widokom. Jeszcze raz odradzam jéj, ale nic nie odpowiada. Noc zapadła; wracam do chatki, Anusia idzie za mną.

Moja gospodyni spogląda na tę nowo przybyłą, a potém na mnie.—»Pani jest znajomą pana? rzecze nareście. »Tak, to jest.. —»Ach! założę się że to jest żona jegomości? —»O! nie panie odpowiada Anusia z ciężkiém westchnieniem: jestem tylko jego siostrą. —»Siostrą? w rzeczy samej... zdaje mi się że jesteście podobni jedno do drugiego. —»I chciałabym także mieszkać w domu pani· —»Co? w moim domu? dla czegóż mój dom tak przyciąga ludzi?—»O to są pieniądze..—»Ależ moja maleńka, pieniędzy nie potrzebuję: brat twój już mi zapłacił, tylko że nie mam miejsca moje dziecię; izbedkę na górze zajmuje twój brat, tu ja mieszkam, a innej nie ma.—»Alboż łóżko wasze nie jest dosyć duże. —»Moje łóżko? O! pięć osób mogłoby spać w niém; my wieśniacy, robiemy łóżka dla całej familii. —»Jeżeli Anusia jest uradowana, ja jestem niekontent. Powiedziawszy jej dobranoc; wracam do mego pokoju. Upór Anusi zadziwia mię, nie spodziewałem się po niéj ty-

http://rcin.org.pl

le stałości umysłu. Chcieć ze mną pozostać mimo woli mojéj... to bardzo źle!.. Bardzo źle?.. Niewdzięczny!..

Spać nie chcę, kupiłem kilka książek w Fontainebleau, będę czytać... Lecz nie mogę czytać; obraz Anusi, co moment staje mi na myśli... Oh! te kobiety! kiedy się na co uwezmą!... Anusia jednakże tak jest łagodna... lecz i ona jest kobietą.

Noc przeszła; całkiem prawie niespałem... Mniéj jednak myślałem o Adolfinie jak zazwyczaj... To wina Anusi; po cóż przyszła zakłócić moje wspomnienia? Schodzę z tym zamiarem że nie przemówię do niéj i słowa i okażę jak bardzo mi się nie podoba jej postępek.

Anusia już się ubrała. Nic nie ma na głowie, lecz jej włosy tak są piękne, tak je dobrze układa, chociaż bez żadnéj przysady... Gdy mię ujrzała, spuszcza skromnie oczy, i przemawia nieśmiało: »Dzień dobry, panie Jędrzeju...«

Postanowiłem jéj nie odpowiadać, a uściskałem ją... To zapewne z przywyknienia. Nic to; musiała jednak postrzedz jak jestem niekontent.

— »Musiałaś bardzo źle spać z tą wieśniaczką, rzekłem po chwili. —»I owszem, wyśmienicie. — »Tu prawie na wszystkiém zbywa!... — »Ty możesz tu żyć, nie jestem bardziéj wymagającą. —Miejsce to tak jest smutne, nikogo się nie spotyka w okolicy!... Wszak nie przybyłam tu dla widzenia obcych? — »Dni tak są długie na wsi.. Niepodobna ażebyś je pędziła nie zatrudniając się niczém. — »Będę pracować dla dobrej kobieciny.— Wieczorem rysuję w moim pokoju... Będziesz się nudzić. — Przepędzę wieczór podobnież jak wczoraj.«

Umilkłem, bo ma odpowiedź na wszystko. Biorę tekę z rysunkami, wychodzę, siadam na ulubioném miejscu. Otaczające przedmioty obudzają moje wspomnienia; przez kilka chwil myślę tylko o Adolfinie, Przypominam sobie jednak Anusię: obracam się aby zobaczyć czy poszła za mną. Nie widzę jéj... Gdzież jest?.. Ale co to mnie obchodzi! Siadam znowu, zaczynam rysować... Chciałbym jednak wiedzieć gdzie jest Anusia... Znowu spoglądam na wszystkie strony... Spostrzegam nakoniec że siedzi o dwieście kroków i szyje... Biedna siostra!.. Usiadła za krzakiem abym jéj nie widział! No! niechże sobie tam siedzi....

Nie zagadam do niéj; chcę ją ukarać za taki upór.

Biorę znowu ołówek i czas jakiś rysuję... I znowu rzucam ukradkiem spojrzenie po za krzaki.... Zawsze siedzi, pracuje, nie podnosi oczu. Piękna mi zabawa!.. bydź tak blisko przy mnie, a nic do mnie nie mówić, nie patrzeć nawet... Ale zdaje mi się żem jéj to wczoraj przykazał, lęka się bydź nieposłuszną. Złem zrobił.

Anusia okazywała mi zawsze taką przychylność, takie poświęcenie. Ojciec jéj był pierwszym moim opiekunem... Przybyła osłodzić moje cierpienia, pocieszyć mię, a ja tak zimno z nią się obchodzę... Nie poznaję już mego serca! Muszę dać znak Anusi ażeby usiadła przy mnie jeżeli ze-

http://rcin.org.pl

chce; mówić z nią będę o Adolfinie: jéj przytomność zamiast przeszkadzania moim wspomnieniom, ożywiać je będzie.

Obracam się ku Anusi. Nie podnosi głowy... Ach! ona nie spojrzy w moją stronę!... Kaślnąłem z lekka, zawołałem na nią... nie rusza się... Jak widzę, będę musiał postąpić ku niéj.

Wstaję, zbliżam się z wolna; zatrzymałem się tuż przy niéj; pracuje ciągle i nie podnosi oczu; zdaje mi się jednak że chustka osłaniająca jéj łono śpieszniéj się wznosi.

—»Anusiu... czyś mię nie słyszała?..

—»Czy mówiłeś do mnie? odpowiada nie podnosząc oczu z roboty.—»Tak jest, wołałem cię...—»I czegóż chcesz? — »Ponieważ koniecznie umyśliłaś zostać ze mną, byłoby śmiesznie siedzieć o milę od siebie... — »Bałam się abyś nie wziął za złe gdybym przy tobie usiadła. —»A to dla czego? Twoja obecność nie przeszkodzi mi rysować i przyglądać się ulubionym widokom.

Anusia wstała, wzięła robotę i zawsze w ziemię patrząc, szła obok mnie, aż do miejsca gdziem moją tekę zostawił. Siadam, i ona siada o cztery kroki odemnie i znowu szyje.

I ja zaczynam rysować. Czekam aż Anusia przemówi; lecz ani słówka; ciągle wlepia oczy w robotę.

Niecierpliwi mię to milczenie, ale może nie śmie do mnie mówić, z obawy abym się nie gniewał: muszę więc sam zacząć.

—»Anusiu, dla czego nic do mnie nie mówisz? — »Myślałam że chcesz się zupełnie oddać twoim wspomnieniom. —»Ale czy nie możemy pogadać o tém co mię zajmuje? —»Będę mówić o czém zechcesz. — »Zawsze tak byłaś dla mnie dobrą... zawsze umiałaś się litować nad cierpieniami mego serca. — »Kiedy się kogo kocha, czyliż jego cierpienia nie są naszemi?... —»Kobieta lepiéj umie pocieszyć jak najwierniejszy przyjaciel; Anusiu, przy tobie zawsze czułem się mniéj nieszczęśliwym... Gdy sobie przypomnę jak tkliwe starania miałaś koło mnie w ostatniéj chorobie!... jakże sobie wyrzucam że niekiedy jestem tak gwałtowny, tak niesprawiedliwy względem ciebie! —»Ty dla mnie zawsze jesteś ten sam! — »Jesteś zbyt pobłażająca; wybaczasz moim błędom... Ach! gdyby Adolfina była dla mnie taką... Lecz ona mnie nie kochała!

Przez kilka chwil mniemałem żem wzruszył jéj serce... Było to złudzenie... Okazywała mi jednak tak szczere przywiązanie gdyśmy razem w tych miejscach przebywali... Ale wówczas była jeszcze dziecięciem... I ja byłem dziecięciem; stawszy się człowiekiem, powinienem był przytłumić uczucie, które szczęśliwym uczynić mię nie mogło... bo prędzéj czy późniéj musiałaby zawsze pójść zamąż!... Może lepiéj dla mnie że się to już skończyło... Wiem że powinienem całkiem oddalić jéj obraz z méj pamięci, ale niepodobna, pomimo woli ciągle myślę o niéj.... — »Ale nad czémże tak starannie pracujesz Anusiu? ani oderwiesz oczu od roboty? — »Szyję fartuch dla téj dobréj ko-

http://rcin.org.pl

bieciny... nie miałam się czém zająć, prosiłam ją o robotę. —»Czy tak pilno? — »O! bynajmniéj. —»Każdyby myślał że to najpilniéj, patrząc na ciebie... Mógłby kto pomyśleć że się gniewamy; byłbym w rozpaczy gdybyś się na mnie gniewała, Anusiu. —»Ach! Andrzeiu, ja nie mogę gniewać się na ciebie.

—»No, to przynajmniej jak dawniéj: tak mi dziwno było gdyś mię nazywała panem. —»Mnie się serce krajało! »—Tak byliśmy młodzi, kiedyśmy się poznali... Czy pamiętasz gdy mię Ojciec znalazł śpiącego w sieni i przyprowadził na górę... Krzyknęłaś z podziwienia na mój widok. —»O! dobrze o tém pamiętam!... —»Byłeś błotem obryzgany... Płakałeś brata... —» A ty mi natychmiast zastawiłaś śniadanie... Już wtedy byłaś tak dobrą jak dzisiaj!... A gdyśmy tańczyli góralskiego!... Jakżeśmy też hałasowali! —» Co za skoki!.. —» Ulubiony taniec!... już go podobno zupełnie zapomniałem. —»O! ja go jeszcze dobrze pamiętam. —»Pamiętasz?..»

I wstałem... doprawdy zdawało mi się żebym tańczył góralskiego, na tém samém miejscu gdzie sześć miesięcy tak gorzko wzdychałem!...

Ale czas wrócić do chaty. Biorę tekę, Anusia składa robotę, podaje mi rękę i przybywamy razem do mieszkania. Już pora obiadowa, zdaje mi się żem odzyskał apetyt, pierwszy raz po wyjściu z Paryża.

Po obiedzie pytam się mojej siostry, czy nie zechce przejść się po okolicy. Przyjmuje, otóż znowu idziemy, ręka w rękę, ale już nie idziemy ku pagórkowi. Kraj ten prawdziwie jest malowniczy; skały, jak gdyby o sto mil odległości od Paryża; las przepyszny, wszystko to bardzo piękne, lecz nieco smutne: ale przy Anusi nie patrzę już oczyma tęsknoty.

Wracamy do domu, już czas udać się na spoczynek. Pożegnałem Anusię, poszedłem do mego pokoiku. Myślę o dniu dzisiejszym; zdawał mi się krótszym jak zwyczajnie... Kładąc się, nie wzdycham jak zwykle. O nieba! czy istotnie można się uleczyć z miłości?.. czyliż to uczucie ginie wraz ze straconą nadzieją... O, nie! zawsze kocham Adolfinę; dla czegóż nie jestem tak smutny? Ale powinienemże się gniewać że odzyskuję rozsądek?.... Spijmy, to będzie lepiej niżeli dręczyć się próżnemi myślami.

Zasypiam; obraz Anusi umila sny moje. Nazajutrz idziemy znowu na wzgórek. Ja rysuję, siostra szyje. Tym razem usiadłem naprzeciw niéj, aby musiała koniecznie spojrzéć gdy oczy podniesie.

Rozmawiamy, Anusia zdaje się bydź weselszą, uśmiecha się spoglądając na mnie. Co za miły uśmiech! Gdym co odrysował, pokazuję moją robotę Anusi; pokazując, muszę koniecznie przybliżyć się do niéj. Niekiedy zapominam wrócić na miejsce. Tak mi dobrze przy Anusi!.. Dzień jeszcze wcześniéj przemija niżeli wczoraj, a jednak zdaje mi się żeśmy nie mówili o Adolfinie.

Jeszcze trzy dni upłynęło. Sam nie wiem co mi się stało; serce moje

http://rcin.org.pl

rozpływa się w radości, zdaje mi się żem się odrodził. Nie mogę bydź ani chwili bez Anusi, coś mi brakuje gdy nie jest przy mnie. Zawsze siadamy na wzgórku, ale spostrzegam że znam już na pamięć wszystkie widoki: te same ścieszki, te same gaje, już to sto razy rysowałem... Nie śmiem jednak mówić Anusi, abyśmy poszli gdzie indziej... Jakiś niepojęty wstyd zatrzymuje mnie.

Szóstego dnia, rysunek leżał przedemną, szukałem nowego obrazu, oczy moje jak zwykle wlepiały się w towarzyszkę méj samotności: nigdy nie wydała mi się ładniejszą... Wdzięki, świeżość, łagodny uśmiech, Anusia prawdziwie jest zachwycająca!... A teraz kiedy siedzi pod drzewem, schylona nad robotą... Co za myśl!.. Szukałem nowego obrazu, cóż natura może mi przedstawić piękniejszego od Anusi?

Biorę ołówek, rysuję portret siostry. O! zrobię go podobny.

—»Spojrzyj na mnie: mówię, gdy za długo trzyma spuszczone oczy. Anusia powolną jest natychmiast; największego przykładam starania około téj roboty. —»Nie pokazujesz mi twego rysunku? rzekła.—»Jeszcze nie skończony, zobaczysz go jutro.

Nazajutrz wykończyłem portret Anusi. Udał mi się, dobrze mi się udał!.. ona nie domyśla się co zrobiłem. Gdym pociągnął ostatni rys, siadam przy niéj i pokazuję jéj portret. »Jakże ci się zdaje, spytałem?«

Krzyknęła!.. potém spojrzała na mnie... nigdy jeszcze tak na mnie nie patrzyła. —»Jesteś więc kontenta? pytam... Nie może mi odpowiedzieć... płacze... Co za dzieciństwo!.. zdaje mi się, że i ja także płaczę...

Wracamy do chaty. Po obiedzie znowu idziemy na przechadzkę..... Mniéj mówimy, ale częściéj spoglądamy na siebie. Wieczorem idąc do mego pokoiku, pożegnałem Anusię, uściskałem ją. To rzecz osobliwa, jużem ją całował ze sto razy, a zdaje mi się, że to raz pierwszy.

Nazajutrz zastanowiłem się, że nie ma po co wracać na wzgórek. Zbliżam się do Anusi.—»Ojciec musi się niepokoić twojém oddaleniem, rzekłem.—»Nie, pisałam do niego.—»Ale musi mu bydź tęskno bez ciebie... Nigdy jeszcze tak długo nie był z tobą rozłączony... Anusiu... trzeba wrócić do Paryża... —»Wiesz dobrze, jużem ci powiedziała, że nie wrócę bez ciebie. —»Jedźmy więc oboje.

Anusia podskoczyła z radości; nie długo przygotowaliśmy wszystko....

Opuszczamy chatę, gdzie Anusia tydzień cały przepędziła. Ja w niéj mieszkałem sześć miesięcy, spodziewałem się mieszkać całe życie!.. Ale kto ma lat dwadzieścia, za nic ręczyć nie może!

ROZDZIAŁ XXVI.

ROZMAITE SPOSOBY UŻYCIA MAJĄTKU.

Wsiedliśmy do dyliżansu w Fontainebleau. Całą drogę mówię mało... wstydzę się niejako iż ośm dni wystarczyło Anusi do zmienienia moich postanowień; ale mamże się za to gnié-

http://rcin.org.pl

wać? O nie! nie! nie gniewam się na nią, a gdy nasze oczy się spotkają, co teraz częściéj przytrafia się niż dawniéj, nie mam bynajmniéj ochoty opuścić ją i powrócić do mojéj samotni.

Jesteśmy w Paryżu; słuszność wymaga abym odprowadził Anusię do ojca. Ujrzawszy nas, dobry Bernard krzyknął z radości. Rzuciłem się w jego objęcie. — »Oto go masz, ojcze, oto go masz!... Wszak powiedziałam ci że go przyprowadzę? —»Drogi Andrzej! no chłopcze, już nie będziesz robił na dal takiego dzieciństwa, mam nadzieję. — »Nigdy, ojcze, obiecuję ci! — »No dobrze, nie wiedzieliśmy co o tobie myśléć. — »Odtąd będziecie mię widywać codziennie, będę przepędzał przy was wszystkie chwile wolne od pracy: gdyż chcę pracować, chcę wydoskonalić mój talent. — »Dobrze zrobisz, moje dziecię; lubo posiadasz majątek, nie wiadomo co może wypaść, dobrze umieć sobie poradzić w potrzebie. —»A Piotruś?.. biegnę go uściskać. — »Biedny chłopiec! tyle sobie zadaje trudu szukając ciebie, nigdy go nie ma w domu, nie podobna go nadybać.—»I nie przychodzi do was? —»O! już od dawna.»

Coś mię ostrzega, że Piotruś nie na szukaniu mię, czas przepędza. Zostaję do wieczora u moich przyjaciół, nigdym jeszcze tak przyjemnie u nich się nie bawił. Ledwie mogę rozstać się z Anusią, a żegnając się wieczorem, spojrzeniem naszém przyrzekamy sobie, iż się nazajutrz zobaczymy.

Wracam do domu, już nie chcę mi się przechodzić koło pałacu; przeciwnie, przyrzekam sobie iż go starannie mijać będę, że nie wspomnę o osobach, które w nim mieszkają.

Była dziesiąta wieczorem, kiedym zapukał do mojego pomieszkania. Odźwierna przelękła się, widząc mię. Słowiczek ciągle miał u niéj łaskę; mniema że przybycie moje, zmieni postać rzeczy.

Mój brat jest w domu? rzekłem do odźwiernéj. — »Nie panie, wyszedł szukać pana, ze swoim serdecznym przyjacielem. —»Przyjacielem? Ah!... mój brat ma serdecznego przyjaciela? — »Tak jest panie, bardzo przystojnego mężczyznę, bardzo wesołego; mieszka w pańskim pokoju. — »Do licha! a jednakże ten serdeczny przyjaciel, musi pójść spać gdzie indziéj. —»To należy do pana. nie mam prawa udzielać mu rady. —»Zapewne; o którejże godzinie wracają ci panowie? —»Tak jak się zdarzy; nie mają oznaczonéj godziny. — »Ach! ach! zdaje się że mój brat i po nocy także mię szuka? będę musiał spać na ulicy, jeżeli i dziś toż samo się wydarzy. — »O! możesz pan wnijść do stancyi; żokej tych panów jest tam. — »Co! mój brat przyjął żokeja? —» Tak jest panie, chłopaka dosyć swawolnego; nieraz użałałam się że tak hałasuje. — » O! przyrzekam iż to nie potrwa.

Biorę świecę i idę na schody, ciekawy jestem poznać tego serdecznego przyjaciela, z którym Piotr podziela moje mieszkanie. Wspomnienie Słowiczka, przyszło mi na myśl, ale

http://rcin.org.pl

nie mogę wierzyć aby mój brat znowu się zadał z takim hultajem, po tém co słyszał o nim.

Drzwi od pokojów były otworem; prawdę mówiła odźwierna, iż łatwo będę mógł wnijśdź; zdaje się, że moje pomieszkanie stało się miejscem publicznem.

Wchodzę, za każdym krokiem powiększa się moje podziwienie. Co za nieład!.. pokoje nie zamiecione może od pół roku; meble nie stoją na miejscu, w sali jadalnej widzę na serwantce szczątki śniadania; zdaje się że trzymają otwarte stoły. Nieco daléj krzesła poplamione, w salonie rozbite zwierciadło, nie ma zegara na murku od komina. Ach! Piotrze, Piotrze! cóż to wszystko znaczy? Wchodzę do jego pokoju; łóżko nie posłane, rzeczy leżą na ziemi; w moim jeszcze jest gorzéj; otwieram biórko: szuflady są puste, szafy toż samo, nie ma obrazów na ścianach. Gdybym był jeszcze trochę się spóźnił, byłbym znalazł pokoje zupełnie ogołocone.

Ale gdzież jest żokej tych panów? nie widzę go i nie słyszę. Nareście obejrzawszy pokoje, wchodzę do kuchni i postrzegam chłopaczka spiącego pod stołem. To on!... poznaję go, czasem czyścił mi buty. Niech śpi, on jest najmniéj winnym! Wracam do pokoju Piotra, chcę czekać na jego powrót, nie mogę zasnąć, udręcza mię ten widok. Matka poleciła mi, abym czuwał nad bratem; zamiast tego, zostawiłem go panem mego majątku; jeżeli źle postępował, nie jestżem tego przyczyną?

Już jest druga po północy, a brat mój nie wraca. Gdzież jest? obym mógł zgadnąć! wyrwałbym go z rąk nędzników, którzy gubią go, korzystają z jego dobroczynności i wpajają w niego wszystkie nałogi występku.

Nareście zapukano do bramy, to oni zapewne... tak jest, słychać jak idą po schodach, jeden śpiewa, drugi narzeka... w śpiewaku poznałem Słowiczka; wszystkiego powinienem się spodziewać.

Stanąłem na boku, żeby mu się do woli przypatrzyć. Zostawiłem drzwi uchylone aby nie obudzili żokeja. Wchodzę..., O Boże! w jakimże stanie!.. obydwa pijani; ale to nic jeszcze. Mojemu bratu ledwie oko z głowy nie wylazło. Słowiczek nosi na twarzy ślady kilkunastu uderzeń laską, suknie ich są podarte, nie mają ani halsztuchów ani kołnierzyków.

Piotr bardziéj nacięty, ledwie może ustać na nogach; rzuca się na krzesło i ręką zakrywa oko. Słowiczek jeszcze trzyma się i klnie, wołając żokeja.

—»Gdzież się podział ten hultaj? Pootwierał drzwi aby nas okradziono! Wypędzę go! wybiję! Héj! Frontyn! Lafleur, wygrzyjcie mi łóżko, albo dom zapalę!«

To mówiąc, pan Słowiczek podejmuje miotłę i z całéj siły uderza w stół. Nie mogę wytrzymać i z nienacka pokazuję się tym panom.

—»Jakiś człowiek! zawołał Słowicze, nie poznając mię. Jakiś człowiek?. tu?. w nocy?..Czego chcesz przyjacielu? powiedz! zapoznamy się...

—»Tak, kto jesteś? jąka Piotr ciągle zasłaniając jedno oko, a usiłując otworzyć drugie.

http://rcin.org.pl

—»Kto jestem? nieszczęśliwy! gdyby rozpusta nie pozbawiła cię zmysłów, czyliżbyś mię pytał się o to?

Piotr poznał głos mój, wstaje, patrzy na mnie; potem pada na krzesło, mówiąc: »To brat mój! i spuszcza głowę na piersi. Mój głos przywrócił mu rozum. Słowiczek zaś cofając się nagle z miotłą w ręku, zawadził o stół i upadł z nim razem. —»Jego brat! to bydź nie może?... przyrzekł że nie powróci.

—»A przecież powrócił mości Słowiczku i potrafi wypędzić cię ze swego domu. —»Jak to? co to? czyliż się gniewasz? to żarty! *Uczę Piotra pływać rzeką życia.* —»Wychodź ztąd nędzniku, uczyniłeś brata mojego prawie tak nikczemnym jak sam jesteś; wychodź, albo dłużéj nie zdołam powściągnąć gniewu mojego.

—»Ależ porozumiejmy się moje dzieci!... jeżli ma podbite oko, to dla tego że chciał walczować z przyjaciółką kaprala,... pogodzą się jutro.

Już nie słucham Słowiczka, wyrywam miotłę z jego ręku, a dawszy mu z kilkanaście razów na plecy, wypycham go za drzwi. Powracam do brata; ciągle siedzi w krześle, z głową pochyloną na piersi; nie śmie ruszyć się, litując się nad nieszczęśliwym! Czarne i zapalone oko jego, musi go boleć; trzeba przynieść mu ulgę, potém łajać go będę.

Szukam czystéj wody; wszystkie szklanki trącą winem, lub wódką. Biegnę do studni. Nie mogę znaleźć serwety... moja chustka zastąpi jéj miejsce. Zbliżam się do Piotra i obmywam jego ranę. Dozwala opatrywać się, lecz płacze, pada mi do nóg. —»No Piotrze, wstań, czynisz mi przykrość. —»Ach Andrzeju... żal... —»Jutro mówić będziemy o tém... jest trzecia godzina; a chociaż nazwyczaiłeś się do zamieniania nocy w dzień, czas już spocząć. Połóż się Piotrze!.. śpij; potrzebujesz tego...

Usłuchał mię i poszedł; ja zaś nie myśląc spać w łóżku które zajmował pan Słowiczek, usiadłem w krześle, i spałem spokojnie, gdyż sumienie moje nic mi nie wyrzuca, Anusia zaś położyła kres westchnieniom moim po stracie Adolfiny.

Nazajutrz, przedewszystkiém odprawiłem żokeja i sprowadziłem rozsądną sługę, która trochę uporządkowała pokoje. Otworzyłem biórko; jest puste, a było tam dwa tysiące franków, gdym odjechał. Srebro stołowe znikło także, i trzy wielkie obrazy roboty pana Dermilly, które chciałem zachować na pamiątkę. Piotr śpi jeszcze; nim się obudzi, chce przekonać się o prawdzie; idę do mojego notaryusza. Byłem tak nieroztropny, iż upoważniłem brata do rozrządzania wszystkim co do mnie należało. Co też zrobił?

—»Brat pana odebrał 14,000 fr. rzecze notaryusz. Prawie co dzień przychodził po pieniądze z jakimsiś hultajem, którego chciałem nie raz kijem wypędzić. Kiedy mu czyniłem jakie uwagi, pokazywał mi pismo pana, dozwalające zupełnego rozporządzenia swoim majątkiem; gdy mu przedstawiałem, że naruszywszy kapitału, zmniejszy dochody, towarzysz jego

http://rcin.org.pl

nie przestawał wołać: »Przedawaj, przedawaj,Mości notaryuszu, tylko daj nam pieniędzy, robiemy przepyszną spekulacyą, która w trójnasób wszystko powróci.»

Tak więc przez sześć miesięcy i kilka dni, Piotr wydał szesnaście tysięcy franków, nie licząc w to srebra, zegarów, obrazów i t. p. jeszcze czas niejaki, a przehulałby wszystko co pan Dermilly mi zostawił.

Wróciłem do siebie. Piotr co tylko wstał; osłabł, twarz jego niegdyś tak świeża, tak wesoła, dzisiaj blada, jest i wywiędła, chód drżący. Oko jeszcze go boli; wszystko zapowiada, że nie prędko zgoi się to stłuczenie.

Nie śmie przemówić do mnie, biorę go za rękę i prowadzę przed zwierciadło, które uniknęło zgubnego przechodu Słowiczka.

—»Piotrze, spojrzyj na siebie.... patrz jak się zmieniłeś!... Podczas mojéj nieobecności, nie tylko trwoniłeś mój majątek, lecz niszczyłeś twoje zdrowie.

»Zaledwie sześć miesięcy upłynęło, zdaje się jakobyś starszy był o lat dziesięć. Zmarnowałeś szesnaście tysięcy franków, a jak jeszcze?... Nie śmiesz wyznać!... Dawniéj czwartą częścią téj kwoty, byłbyś całą przyszłość twoją zapewnił. Zegary znikły... —»Słowiczek utrzymywał że były nie gustowne, i że piękniejsze przyniesie.

—»I srebro jak widać było nie gustowne? —»Powiada że je pożyczył pewnéj damie, która uwiozła je do Ameryki. —»Bielizna, suknie? —»Powiadał że nie były modnie zrobione. —»Trzy obrazy mego dobroczyńcy? —»Utrzymywał że ponieważ jego portret jest na każdym z tych obrazów, ma prawo niemi rozrządzać i posłał je do swéj familii. —»I ty mogłeś żyć z tym nędznikiem!... już pierwéj cię okradł; ostrzegłem cię, a ty jednak z tym człowiekiem czas trawiłeś!.. Dałeś mu u siebie mieszkanie; pozwoliłeś mu rozkazywać i rozrządzać... Przejąłeś jego skłonności, nałogi i występki; zamiast bywać u prawdziwych przyjaciół, którym cię zaleciłem, zadajesz się tylko z oszustami, godnem towarzystwem twego powiernika i przyjaciela; dzień cały trawisz po bilarach i restauracyach!... Zbytkiem napoju do bydlęcego prawie przywiedziony stanu, kończysz dzień nocując w miejscach nieprzyzwoitych, lub tocząc podłą bójkę, który haniebne nosisz ślady. [illegible] Piotrze!... co za postępowa[illegible] Czy po to przybyłeś do P[illegible]? takaż to korzyść z nauk ojcowskich?»

Brat milczy. Czuje[illegible]żeby przynajmniéj błędy swoje? lecz odszedł i nic nie odpowiedział. Czy wróci do złych nałogów których nabrał?... Mamże go odesłać do Sabaudyi?... Ale jeźli poniesie tam upodobanie w próżniactwie; jeżeli zdradzieckie rady Słowiczka wypływać będą na jego postępowanie, cóż powie moja matka?

Nie wiem co robić, a jednakże czuję, iż Piotr potrzebuje porządnéj nauki i muszę zmienić jego sposób życia, jeżeli nie chcę aby zginął do reszty.

Od dawna pogrążony jestem w my-

http://rcin.org.pl

ślach, gdy w tém ktoś wchodzi; to mój brat zapewne... podnoszę oczy... Co widzę! wdział swoją dawną odzież Sabaudzką, ma jasła na plecach.

—»Andrzeju! rzecze do mnie, robiłem same tylko głupstwa, od czasu, jakeś mię wykierował na pięknego jegomości; gdybym tak daléj żył bez pracy, wyszedłbym nareście na hultaja... Wracam do mojego rzemiosła. Dopóki byłem posyłką, rządziłem się dobrze; dozwól mi wziąść moje jasła, a nie będziesz rumienił się twego brata.

Biedny Piotruś! nie mogę wytrzymać! rzucam się w jego objęcia; płaczemy oba; gotów jestem powiedzieć mu, aby został przy mnie... Ale nie, czuję że brat mój potrzebuje umocnić duszę swoją w towarzystwie tych ludzi pracowitych i prawych, którzy w pocie czoła zarabiają na życie. Po sześcio-miesięcznej [illegible]hulance ze Słowiczkiem, dobrze będzie, iż przez czas niejaki zostanie drążnikiem.

—»Piotrze, rzekłem, twoje postępowanie wskazuje mi, iż serce zawsze masz dobre, i że tylko głowa twoja dopuściła się winy. Weź jasła, zezwalam na to; wynagrodź twoje błędy, abym wracając do Sabaudyi, mógł bez zapłonienia się przyprowadzić cię do matki.

Piotr ściska mię raz jeszcze i odchodzi z jasłami na plecach, nucąc tę aryę, którą śpiewał wtedy kiedym go był spotkał w sieni na przeciw pałacu.

Dopełniłem obowiązków braterskich, teraz przy Anusi zapomnę o udręczeniach, których mię Piotr nabawił.

Niecierpliwie czekała na mnie, a nawet i niespokojnie: jestem bowiem w Paryżu, lęka się abym nie wrócił do moich wspomnień, abym nie zapragnął ujrzéć tych miejsc, gdziem tak długo mieszkał, abym nie spotkał Adolfiny.

Nie mówi tego, ale czytam w jéj oczach te myśli. Droga Anusiu, nie, już się nie obawiaj, myślę tylko o twojém szczęściu, wynagrodzę tę miłość tak czystą, tak bezinteressowną, któréj tyle okazałaś dowodów, którą tak późno poznałem. Nie mówię jej tego, ale pewien jestem iż to zgaduje; jedno spojrzenie ją zaspokaja i przywraca spokojność.

Opowiedziałem przyjaciołom moim, co Piotr nabroił pod czas mojéj nieobecności. Nie mogą pojąć tego; mniemali, że brat mój równie jest prosty w swoim sposobie życia, jak w mowie; pocieszył ich koniec mego opowiadania.—»Dobrześ zrobił, rzekł Bernard, żeś mu dozwolił wziąść na powrót jasła; niechaj będzie drążnikiem; nie lepiéjże to jest, aniżeli bydź próżniakiem, hultajem i oszustem?

»Biedny Piotr! rzecze Anusia: dla czego nie odeślesz go do Sabaudyi?

—»Po niejakim czasie powróci tam razem ze mną: rzekłem, spoglądając na Anusię, która zmieszała się i zapłonęła. —»Z tobą Andrzeju! chcesz więc tam powrócić jeszcze? —»Tak jest i tam osiąśdź na zawsze.

Anusia wzdycha; nie mówię nic więcéj, gdyż mam mój zamiar. Chcę

http://rcin.org.pl

wprzódy wydoskonalić się w malarstwie, chcę także aby Piotr zupełnie poprawił się z wad nabytych w towarzystwie Słowiczka. Wtedy pojadę, ale zabiorę z sobą towarzyszkę dobrą, przyjemną, która uszczęśliwi mię na całe życie.

Dzięki majątkowi który jeszcze posiadam, będę mógł kupić w Sabaudyi ładną wioskę, połączyć tam wszystko co może uprzyjemnić moją samotność; w niéj zająć się sztukami; bydź szczęśliwym miłością Anusi: można bowiem domyśleć się, iż ona będzie moją towarzyszką.

Jeszcze nie mówiłem jéj o tém, nie powiedziałem że ją kocham. Ale czyliż to trzeba powiadać? zdaje mi się, że tak dobrze rozumiemy się teraz!... Pracuję gorliwie, ale co dzień widuję Anusię; przy niéj przepędzam wszystkie godziny, które nie poświęcam nauce.

Częstokroć jesteśmy sami, częstokroć przepędzam z nią całe godziny. Gdy ona pracuje, uwielbiam jéj rysy, jéj przyjemność, miły wyraz jéj fizyonomii, dziwię się żem wcześniéj nie zwrócił na to uwagi: ale wtedy inna miłość napełniała moje serce; miłość ta, przez długi czas uczyniła mię nieszczęśliwym! Anusia dopiero miała mi objawić roskosze tego uczucia.

Im bardziéj czas upływa, tem jest szczęśliwszą; uspokaja się jéj obawa; już nie widzi w moich oczach śladu smutnych wspomnień; nigdy nie uczynię wzmianki o domu pana Frankornard, nigdy nie przechodzę tamtędy! a w Paryżu można żyć i umrzéć, nie spotkawszy tych, których szukać nie chcemy. Piotr odzyskał dawne zamiłowanie w pracy i wesołość. Czynię znaczne postępy i widzę że zbliża się chwila spełnienia moich życzeń:

Już od dziesięciu miesięcy powróciłem do Paryża z Anusią; a nowe uczucia napełniły moje serce; czas ten prędko upłynął; jeszcze dwa miesiące, a powrócę do Sabaudyi; gdy w tém niespodziane spotkanie, zniszczyło wszystkie moje plany.

(Dokończenie w następującym zeszycie)

ESKURYAL.

(z ryciną.)

Wiek szesnasty wydał dwóch znakomitych monarchów; pod jednym tylko względem byli podobni do siebie; to jest niepochamowaną żądzą podbojów. Franciszek Iszy umarł wprzódy, a Karól Vty pozostał bez współzawodnika. Gdy ku schyłkowi życia, znajdował się w Hiszpanii i zwiedzał dolinę Saint-Just, zawołał pośród wspaniałego orszaku swojego.—»Oto jest piękne miejsce dla nowego Dyklecyana.« Czyliż wtedy już umyślił złożyć koronę?.. Wkrótce przywiódł do skutku ten zamiar. Filip, jego następca na tron hiszpański, zniewolony był prowadzić wojnę z Henrykiem IIgim królem francuzkim. Nieprzyjacielskie wojska stoczyły bitwę pod Saint-Quentin 20 Sierpnia 1557 w dzień Sgo Wa-

http://rcin.org.pl

wrzyńca; zwycięztwo uwieńczyło oręż Filipa. Dla uczczenia téj pamiątki, król hiszpański umyślił wznieść pomnik temu świętemu; tym pomnikiem jest Eskuryal. W nim znajduje się klasztor, gdzie mieszka dwóchset hieronimitów, kościół zbudowany podług planu kościoła Stego Piotra w Rzymie; groby monarchów, biblioteka, nareście pałac, w którym mieszka nie tylko król, ale infantowie i cały ich orszak, kiedy dwór przyjedzie do téj rezydencyi królewskiéj.

Miasto Eskuryal od którego pałac powziął nazwisko; leży nad Guadarą o dziesięć mil od Segowii, sześć od Madrytu. Pobliskie pasmo gór, przedziela dwie Kastylie i zawierało niegdyś kopalnie żelaza, już teraz zaniedbane i ztąd pochodzi jego nazwisko Eskurial od *escorias* (wyczerpana kopalnia). Miejsce to jest zdrowe i przyjemne. Gmach wzniesiony przez Filipa IIgo, tworzy równoległobok, na każdym rogu opatrzony kwadratową wieżą. Głównym architektem, był Jan Chrzciciel z Toledu: dodano mu Jana Herrera jego ucznia, a Fraj Antonio de Villacastin hieronomita, dopomagał im swemi radami. Lat trzydzieści osiem budowano ten gmach ogromny, kosztował przeszło 5 milionów dukatów.

Pałac Eskuryalski, składa się z gmachów do odmiennego użytku przeznaczonych, ale tworzących doskonałą całość architektoniczną; jest jednym z najobszerniejszych, najpiękniejszych i najbogatszych gmachów w Europie; ozdobiony jest płodami najsławniejszych malarzy Włoch, Hiszpanii i Flandryi, wystawa kościoła, który zajmuje środek gmachów, ozdobiona jest sześcią olbrzymiemi posągami królów ze starego testamentu. Trzy są biblioteki w Eskuryalu, w jednéj z nich znajduje się przeszło 3,000 rękopismów arabskich, które tam leżą bez żadnego użytku.

Pałac ten zaczęty za panowania Filipa IIgo, budowany daléj pod Filipem III, ukończony został dopiero za Filipa IV: W roku 1671 w znacznéj części zniszczył go gwałtowny pożar, ale Karol IIgi prędko przyprowadził go do pierwszego stanu.

Dwa najsławniejsze zwycięztwa odniesione przez Hiszpanów nad Francuzami, były powodem wzniesienia dwóch poraników; jednym jest Eskuryal; drugim kościół w Padwii, w którym zebrano kości wszystkich poległych w bitwie stoczonéj pod murami tego miasta; tam leżą razem ci, których wściekłość wojny podżegała przeciw sobie; posadzką ułożona jest z czaszek; piszczele zawieszone są na ścianach, a kości generałów w kształcie piramid zakończonych rynsztunkiem, tworzą trofea ozdabiające to żałobne miejsce.

http://rcin.org.pl

SABAUDCZYK.

ROMANS PAWŁA DE KOCK.

(Dokończenie)

Pewnego dnia, idąc do Bernarda, mijam kobietę która zatrzymuje mię; wydając krzyk radości. To Lucylla!.. jéj widok przykrość mi zrządza, przypomina mi osiem lat życia, o których zapomnieć pragnę. Ale nie mogę uniknąć rozmowy; zatrzymała mię za rękę.

—»Tyżeś to panie Andrzeju? jakże mię cieszy to spotkanie. Już cię nie widziałam tak dawno! Utyłeś jak mniemam... A ja, jakże wyglądam? —»Zawsze taż sama...—»O! mówisz, to przez grzeczność; schudłam trochę. Ale cóż robić! wzruszają mię troski cudze i jestem czuła, a to działa na moje zdrowie. — »Żegnam cię Lucyllo; miło mi żem cię spotkał, ale nie mogę zatrzymywać się dłużéj. —»Jeszcze chwilę! nie widzieliśmy się tak dawno. Tyle mam do powiedzenia. — »Ach! nie powinienem cię słuchać. Są osoby o których chcę zapomnieć; oświadcz moje uszanowanie pani hrabinie; tego tylko pragnę. —»O Boże! czyliż mamy rozstać się tym sposobem? Mniemam że teraz jużeś się uleczył z twojéj miłości! i nie chcę też mówić o niéj z tobą. Była to namiętność lat dziecinnych; każdy przez to przejść musi. I ja przypominam sobie... —»Ależ Lucyllo, czekają na mnie. — »Jakże panie Andrzeju, nic możesz poświęcić mi ani kwadransa, mnie, dawnéj przyjaciółce?— To wielka osobliwość żem cię spotkała teraz, kiedy mieszkam tak daleko od ciebie. —»Jak to, czyli już nie jesteś u pani hrabiny? —»I owszem. —»Czy już nie mieszka w pałacu? —»W pałacu! Alboż nie wiesz że już go nie ma. —»Nie ma? Co mówisz Lucyllo? co! pani hrabina?...—»Jak to, nie wiesz co się stało? —»Nic nie wiem; proszę cię; mów Lucyllo, oświeć mię. —»O! doprawdy? zaszło tyle wypadków od czasu jakem cię nie widziała... Ta biedna Adolfina i jéj matka, moja dobra pani... Tak to zawsze bywa, rodzice nie pamiętają że byli młodemi, żenią dzieci swoje mimo ich woli, a potém idzie wszystko jak może. —»Błagam cię Lucyllo! —»Posłuchaj mię. Najprzód, wydano pannę Adolfinę za jéj kuzyna. Wiesz o tém, płakała biedaczka, bardzo płakała, a to skrycie; lękała się bowiem aby matki nie zmartwiła... Ale kochała ciebie, i nie śmiała wyznać téj miłości; oprócz tego, pani hrabina powtarzała jéj tak często że nigdy nie będziesz jéj mężem. O Boże! a przecież byłoby lepiéj. Byłbyś ją uszczęśliwił. —»Lucyllo, nie o to się pytam.

A więc dowiedz się że w tydzień po weselu córki, pan hrabia umarł na niestrawność. To mniejsza, a jednakże, gdyby wcześniéj był się przeniósł do wieczności, możeby małżeństwo nie byłoby nastąpiło, bo jego w tém była wola. Przez czas niejaki, pan de Therigny okazywał dosyć przywiązania żonie swojéj; lecz zaledwie upłynęły dwa miesiące, już zmienił sposób postępowania.

http://rcin.org.pl

Wychodził rano, wracał niekiedy aż nazajutrz, opuścił młodą żonę; nie skarżyła się, bawiła ciągle przy matce. Pani hrabina chciała czynić niektóre uwagi siostrzeńcowi... Ach! odtąd jeszcze było gorzéj, oświadczył że jest panem, i że tego dowiedzie!... Niestety! aż nadto dowiódł. Wyobraź sobie kochany Andrzeju, rozpacz mojej dobrej Pani, gdy się dowiedziała że mąż jéj córki gra i na wszystkie wylewa się rozpusty. Pan Therigny umiał ukryć stan swoich interessów przed wujem: co mu bardzo było łatwo, gdyż pan Frankornard znał się tylko na zastawianiu stołów. Krótko mówiąc, dowiedziano się, że gdy się żenił już miał miał pełno długów, i że wierzyciele milczeli jedynie w nadziei iż ożenienie poda mu sposobność uiszczenia się. Ale dla szaleńca nie wystarczyłby i majątek Nababa; na nieszczęście, ani pani moja, ani jej córka, wcale się na takich rzeczach nie znały... Ale jakże dokończę!,. Będzie temu dwa miesiące, wierzyciele zajęli pałac i wszystko co się w nim znajdowało. Panie ledwie miały czas ujść z tém co miały najdroższego, nie odstąpiłam ich... Pani nie chciała na to zezwolić! ale żadnym sposobem odstąpić jéj nie mogłam . . . Najęliśmy skromne pomieszkanie na przedmieściu Saint-Germain i tam czekamy dopóki się nie podoba panu Therigny, któren zniknął od czasu zatradowania pałacu, dać o sobie wiadomość żonie.«

Przez kilka chwil przemówić nie mogłem ze wzruszenia... !.. Moja łaskawczyni przymuszona żyć tak nikczemnie... odmawiać sobie tysiąca przyjemności które się stają potrzebą dla ludzi wychowanych w dostatkach!... A jej córka... Adolfina:.. nie mogę się przyzwyczaić do nazywania jej panią: nieszczęśliwa, opuszczona od męża, przymuszona ukrywać łzy swoje przed matką!.. O mój Boże!... któżby taką zmianę odgadnął?..

Lucylla ściska mię za rękę, żegna, chce się oddalić. Teraz ją zatrzymuję. —»Lucyllo, chciałbym cię jeszcze zobaczyć: rzekłem. —»Rzadko oddalam się od pani, ale dla Waćpana Mości Andrzeju wszystko uczynię... —»Ach! nie o mnie tu idzie!... Chciałbym... nie śmiem... Lecz niepodobna aby tak dłużéj zostawały... O mój Boże! jakże się wzruszasz!. Tak jesteś dobry, wiadomości te, bardzo cię zasmuciły... Możebym powinna była je ukryć, ale ja nic ukrywać nie umiem! —»Ach! błogosławię nasze spotkanie... O! czemuż wcześniej nie wiedziałem !.... Lecz powinienem... Tak jest Lucyllo, Ale nadewszystko nie mów o mnie, nie powiadaj żeś mnie spotkała. —»Rozumiem. Do widzenia.

Lucylla poszła. Nie mogę ochłonąć z podziwienia. Już ułożyłem sobie plan; ale Anusia na mnie czeka.. Mamże jej powiedzieć co zamyślam uczynić? Powiem, Anusia mię pochwali, jestem tego pewny, nic przed nią nie powinienem ukrywać.

Anusia jest sama; skoro mnie postrzega, dziwi ją moje pomięszanie, moje wzruszenie. —»Andrzeju, co ci się stało?— Mnie? nic —»Jakto!...

http://rcin.org.pl

Andrzeju? ty cóś przedemną ukrywasz, musiałeś kogo spotkać... —»Tak jest, spotkałem Lucyllę. —»I to spotkanie tak cię mocno wzruszyło!.. Pewno ci mówiła.... mówiła o tej którą jeszcze kochasz. — »Posłuchaj mię Anusiu. Lucylla uwiadomiła mię, że moja opiekunka i jej córka straciły cały majątek przez złe postępowanie Pana Therigny, że teraz zajmują szczupłe pomieszkanie na czwartém piętrze, że jedynym ich sposobem do życia są pozostałe klejnoty... suknie..—»O mój Boże!... —»Anusiu, wszystko co posiadam winien jestem Panu Dermilly; on także był moim dobroczyńcą; ale był najszczerszym przyjacielem pani hrabiny. Gdyby żył, czy myślisz że nie odałby wszystkiego aby przynieść pomoc swéj ukochanéj Karolinie? —»O pewno! pewno! —»Co on byłby uczynił, ja uczynić powinienem; nie zachowam majątku, gdy moja opiekunka majątek swój utraciła; dano mi dobre wychowanie, posiadam talenta, mogę pracować; lecz ona pracować nie może i nie powinna, dopóki ja żyć będę. Jeżeli żałuję bogactw, to jedynie dla tego, że tylko rękę moją będę mógł ofiarować téj, którą zaprowadzić chciałem do Sabaudji... —»Anusiu.. Czy chcesz jeszcze bydź moją żoną... kiedy nic nie mam?... —»Co mówisz?... O Boże!.. to więc ja?.. Andrzeju, czy prawda że chcesz, się zemną ożenić?... O powtórz! raz jeszcze powtórz!.. Tak jestem szczęśliwa... Andrzeju, więc mnie kochasz?... —»Czy cię kocham? alboś o tém nie wiedziała, Anusiu?.. —»Tak, jak siostrę... ale inaczéj kochają żonę —»Bądź spokojna, kocham cię miłością.. tak jest, największą miłością, odtąd żyć nie mogę bez Anusi.. —»Niedobry! a nigdyś mi tego nie powiedział!... Czyliżeś nie czytał w mojém sercu? Ach! dla ciebie tylko! biło zawsze.

Najczulej przyciskam Anusię do łona; łzy jéj płyną, lecz są to łzy radości, szczęścia; nie wstrzymuję ich.

—»A moja łaskawczyni? rzekłem po chwili milczenia. —»O! mój przyjacielu, trzeba jéj oddać wszystko co posiadasz... Przedaj, przedaj jak najśpieszniéj wszystko!.. Zdaje mi się że wyrzekając się bogactw, tém bardziéj zbliżasz się do mnie. Cóż ci po majątku? Masz talenta, będziemy pracować... Będziemy tak szczęśliwi!... Lecz gdybyś panią hrabinę zostawił w potrzebie, byłaby to niewdzięczność, samolubstwo; mój przyjacielu, trzeba się pozbyć jak najśpieszniéj twoich bogactw. Sam widzisz że bogactwo nie zawsze czyni szczęśliwym; o mało nie zrobiło hultajem twego brata; mogłoby także oddalić cię odemnie!... o jakże będę szczęśliwa, gdy nie będziesz bogaty!»

Znowu uściskałem Anusię, chciałem odejść; w tém ojciec wrócił. Anusia pobiegła ku niemu; płakała, śmiała się razem. Dobry nosiwoda nie mógł pojąć co to wszystko znaczy.

—»Mój ojcze! kocha mnie, żeni się ze mną, sam mi to powiedział... będę jego żoną... Wszak pozwalasz na to? prawda? o! powiedz, powiedz że pozwalasz!..»

http://rcin.org.pl

Na tę mowę córki, Bernard odpowiedział: — »Jakto?.. cóż ci się stało że tak skaczesz? I któż to się z tobą tak prędko żeni?.. —»Kto? Andrzej, ojcze... czyliżbym poszła za innego!

—»Tak jest ojcze, odezwałem się, ja to proszę was o rękę Anusi, ja to przyobiecuję kochać ją przez całe życie; ale muszę wam także oświadczyć, że nie jestem już bogaty, że już nie posiadam majątku, który odziedziczyłem po panu Dermilly.»

Opowiadam poczciwemu Owerniakowi wszystko czegom się dowiedział, nieszczęście jakie się przytrafiło mej łaskawczyni, i co uczynić dla niej zamyślam. Gdym skończył, Bernard za całą odpowiedź umieścił rękę córki w moich ręku i przycisnął mię do serca. Godny człowiek!..

Iluż to ojców dowiedziawszy się że nic już nie posiadam, wręczby mi oświadczyło, abym nie myślał więcej o ich córkach.

Chcę biedz do notaryusza. Anusia zatrzymuje mię na schodach... drży, jest pomieszana. »Co ci jest? spytałem.—»Idziesz do notaryusza?—»Tak jest. — »Gdy on ci odda to czego żądasz... pójdziesz do pani hrabiny?... —»Nie. Lucylli oddam wszystko, zakazując aby nie powiadała od kogo ma pieniądze. Pani hrabina nieby może odemnie przyjąć nie chciała; toby obraziło jéj pychę... możeby rozumiała że powinna odmówić. Ale nie domyśli się że ta pomoc od Andrzeja pochodzi!... — »O! słusznie mówisz, mój Andrzeju, tak lepiéj będzie! więc nie pójdziesz do niéj, wszak prawda?... —»Nie pójdę, moja Anusiu.»

Anusia odzyskała spokojność. Powabna dziewczyno! czytam w twojém sercu: lękasz się ażeby widok Adolfiny, nie obudził pierwszych uczuć. Nie lękaj się niczego moja Anusiu! miłość uleczona inną miłością, już się więcéj nie ożywi.

Biegnę do notaryusza, uwiadamiam go w kilku słowach, że chcę sprzedać wszystko co posiadam i że to musi nastąpić we dwudziestu czterech godzinach, choćbym miał przez to na sprzedaży szkodować. Przysłużyć się bez zwłoki, jestto podwójną uczynić przysługę. Notaryusz spojrzał na mnie zadziwiony; pomyślał zapewne, że jeszcze prędzéj umiem marnować jak Piotr; chciał mi czynić niektóre uwagi. Nie słucham go. Nie żądam rady, chcę tylko pieniędzy.

Nakoniec przyrzekł mi na jutro. Jakże czas powoli będzie płynął do téj upragnionéj chwili! Lecz zapomniałem że nie będąc bogaty, nie powinienem trzymać tak pięknego pomieszkania: trzeba poszukać jak najskromniejszego. Pokój sypialny, drugi pokój większy na pracownię, to dosyć dla mnie: gdyż nie powrócę do Sabaudyi, dopóki nie ukończę zaczętych obrazów; sprzedam je, ożenię się z Anusią i powrócę do ojczyzny. Ta myśl większéj ochoty będzie mi dodawać do pracy. O! gdyby talent mój zwiększyć zdołała!...

Znalazłem mieszkanie jakiego mi potrzeba, i to blizko Bernarda; wyśmienicie! Powracam do siebie, ka-

http://rcin.org.pl

żę wołać tapicera, sprzedaję wszystko co mi nie będzie potrzebne do nowego lokalu, potém idę do pani Rochowéj wymówić mieszkanie i zapłacić za czas, dopóki się nie wynajmie.

—»Ale proszę pana, to się tak nie robi: rzekła odźwierna: wymawia się trzy miesiące naprzód, a potém można mieszkać aż do piętnastego, do południa.—»Wiem o tém, ale chcę wyprowadzić się po jutrze, płacę aż do końca kwartału, nie możesz się pani temu sprzeciwić. —»To nie rozsądnie; ale pan mógłbyś komu odnająć na pół kwartału.

Dozwalam rozprawiać odźwiernéj, a sam idę czynić przygotowania. Na tych zatrudnieniach czas mi upływa; za bardzo jestem wzruszony abym mógł pracować.

Wreście nadchodzi upragnione jutro; jeszcze nie czas iść do notaryusza: do prawnika nie można przyjść godzinę pierwéj. Pójdźmy do Anusi; tam się skarżyć nie będą że zawcześnie przybywam.

Opowiadam jéj wszystko com zrobił od wczoraj. Nie posiada się z radości, że będę mieszkał blisko niéj. Droga Anusia! pewność szczęścia upięknia ją jeszcze. Zdaje się, że nowe życie zaczęła od wczoraj; jéj głos, jéj spojrzenie, najmniejsze jéj poruszenie, tchną miłością którą się teraz chlubi.

Biegnę do notaryusza; każe mi podpisywać tysiąc papierów; podpisuję co tylko chce, chociaż mnie jeszcze namawia abym się dobrze zastanowił. Nareście oddaje mi pugilares, zawierający dziewięćdziesiąt pięć tysięcy franków; to jest wszystko co mi pozostaje z majątku, co go Piotruś tak dobrze nadwerężył. Z uniesieniem biorę pugilares, jak gdybym najkorzystniejszą zrobił zamianę. Notaryusz poczytuje mnie za waryata lub rozpustnika; cóż mię to obchodzi? sumienie żadnego mi wyrzutu nie czyni.

Powracam do siebie, czekam na Lucyllę; wiem że przyjdzie nie zawodnie, jestem tego pewny. Istotnie, kwadrans przed umówioną godziną, ktoś kołace do moich drzwi i Lucylla wchodzi.

—»Co tam słychać nowego u pani hrabiny? spytałem. —»Nic; żadnéj wiadomości od pana Thergny. Młoda moja pani obawia się aby matce na czem nie brakowało; prosiła mnie wczoraj potajemnie, ażebym się jéj wystarała o robotę; pani hrabina podobnąż uczyniła mi prożbę skrycie przed córką... Ach! Panie Andrzeju, gdybyś wiedział jaką mi to przykrość sprawiło.—»Uspokój się Lucyllo, mam nadzieję, że długo nie będą potrzebowały tego. Weź ten pugilares.... ale najpierwéj przysiąż mi, że zrobisz co ci rozkażę.—»O! przysięgam! wiesz żem zawsze robiła coś tylko chciał. —»Oddasz ten pugilares pani hrabinie; powiesz że go przyniósł człowiek, któren odjechał natychmiast, nie dawszy się poznać.—»Rozumiem! rozumiem! a potém...—»Nic więcéj, Lucyllo..—»I nie mam wspominać o panu?' —»O! strzeż się o mnie wspominać, o to cię najmocniéj proszę. —»Dobry Andrzeju! odgadłam twoje zamiary!... w tém pugilaresie są pieniądze... mo-

http://rcin.org.pl

że dużo pieniędzy: bo jesteś gotów pozbawić się wszystkiego, aby dopomódz mojéj pani. —»Nie, Lucyllo, nie; jeszcze mam więcéj niżeli mi potrzeba; a prócz tego, wszystko co posiadam czyliż nie należy do mojéj łaskawczyni?—»I chcesz aby nie wiedziała?.. —»Lucyllo! jeźli zdradzisz moją tajemnicę, w życiu do ciebie nie zagadam. — »No! no! bądź tylko spokojny, dochowam jéj. O! ja nie chcę gniewać się z panem... Kochany Jędruś... Ach! gdyby się był ożenił z panną... jakże byłaby szczęśliwą... nie płakałaby skrycie... Jéj oczy co rano są tak czerwone, że aż serce boli... Mówi matce że to pochodzi z osłabienia wzroku, ale ja wiem co o tém myśleć... —»Lucyllo, staraj się ażeby była szczęśliwą... donoś mi niekiedy o pani hrabinie; masz, o to mój nowy adres. Bywaj zdrowa Lucyllo, zanieś to jak najprędzéj twoim paniom.—»Ach panie Andrzeju! muszę cię wprzódy uściskać.

Lucylla mnie ściska i oddala się z pugilaresem. Czuję że jestem szczęśliwszy, bardziéj zadowolny niż kiedykolwiek byłem; to com utracił na bogactwie, zyskuję na wesołości.

ROZDZIAŁ XXVII.

PRZYGOTOWANIA DO ŚLUBU. — OSTATNI FIGIEL SŁOWICZKA.

Osiadłem w mojém maleńkiem pomieszkaniu, zdaje mi się że tam jest lepiéj niżeli w pięknych pokojach, któremi zajmował: myślę bowiem że moja opiekunka jest teraz zabezpieczona od nędzy, a to że przyczyniam się do jéj dobrego bytu, osładza i uprzyjemnia ofiarę moją.

Gorliwie pracuję nad dwoma obrazami: spodziewam się że gdy je sprzedam, będę miał na koszta wesela i wyprawy. Anusia nie potrzebuje klejnotów i kosztownych strojów: i bez nich jest piękną, i bez nich jeszcze mi się bardziéj podoba.

Lucylla odwiedziła mię; zapłakała ujrzawszy moje nowe pomieszkanie, a potém uściskała mię i chwaliła mój postępek, z przesadą jak mniemam, bez żadnego bowiem wysilenia, postąpiłem w ten sposób. Pani hrabina znalazłszy pieniądze w pugilaresie, tysiąc pytań zadała Lucylli, lecz ona stósownie do naszéj umowy oświadczyła, że jakiś nieznajomy oddał jéj ten pugilares i natychmiast odjechał. Rozumieją że pan Therigny przysłał im tę kwotę. Tém lepiéj; Adolfina mniéj żalić się będzie na męża, a przykro jest kobiecie, kiedy nie może szanować tego, którego imie nosi. Jednakże ciągle jest smutną. Ale wolne od niedostatku, nie potrzebują utrzymywać się z pracy rąk swoich. Zaklinam Lucyllę o jak najściślejsze dochowanie tajemnicy; przysięga mi, chociaż szemrze na to, że mój postępek przypisują Theriniemu.

Piotr także cieszy się, że już nie jestem bogaty. Powiada, że z tym większą ochotą pracuje i chce mi oddać to co zmarnował pod czas mojéj nieobecności. Biedny Piotruś! stokroć jest szczęśliwszym od czasu jak zno-

http://rcin.org.pl

wu jest drążnikiem. Zachował nad lewem okiem bliznę, po ranie którą otrzymał na hulance, a gdy go ciągną do szynkowni, niesie rękę do oka i odpowiada że już nie lubi wina.

Wszystkie wieczory przepędzam przy Anusi, układamy zamiary na przyszłość. Codziennie odkrywam w duszy téj lubéj dziewczyny, nowe cnoty, nowe i szacowne przymioty; nie zna dumy ani zalotności; żyć i umierać przy mnie, to jest jej jedyne życzenie. Ale Bernard starzeje się, ciężko mu pracować, pojedzie z nami do Sabaudyi: a tam przy mojej matce, w ładnym domku com go dla niej kupił, będziemy żyć szczęśliwie. Nadzieja szczęścia już jest szczęściem, a jednakże co wieczór Anusia pyta się czyli prędko ukończę moje obrazy.

Po sześciu tygodniach ukończyłem nareście moje dzieło, ale trzeba znaleźć kupca. Gdym zajmował piękne pomieszkanie, gdy wiedziano że mam pieniądze, mnóstwo ludzi odwiedzało mię, chwaliło i upraszało jak o łaskę, abym dla nich wymalował obraz... Dziś wszyscy odstąpili odemnie: niebaczny, powiedziałem że nie jestem bogatym, że muszę żyć z mojej pracy. Trzeba było utrzymać ich w tém mniemaniu że jeszcze posiadam dostatki, że tylko dla rozrywki pracuję, a już byłbym sprzedał moje obrazy. Ale zawsze własnym kosztem uczymy się znać ludzi.

Mimowoli zachmurza się czoło moje; spostrzega to Anusia. »Mój przyjacielu, rzecze do mnie, dla czegóż się smucisz, alboż nam potrzeba pieniędzy? Żyć możemy przy twojej matce. Tam uprawiać będziemy rolę, szczęśliwi, ponieważ wolni jesteśmy od ambicyi.

Luba dziewczyno! tak jest, czuję ile będę szczęśliwym przy tobie, ale nie jestem pewny że moim talentem zapewnię ci życie wygodne i przyjemne, nie mogę jej ofiarować tych darów, które tak są miłe kiedy pochdzą z ręki ukochanej osoby. Ach! to mi jest przykro... a jednakże opóźnienie naszego związku, nie mniej jest przykrém. Codziennie, ojciec Bernard pyta się: kiedyż będzie wesele... moje dzieci? —» Ale, kiedy pan Andrzej zechce: odpowiada Anusia rzucając na mnie spojrzenie, przenikające aż do głębi duszy mojej; a ja muszę odpowiadać: »W krótce... spodziewam się... jak tylko dokończę niektórych interessów.— »Za kończże je czemprędzej: odpowiada Bernard: jużem stary moje dzieci, a chciałbym jeszcze potańczyć na weselu córki.

Powracam do domu, czyniłem znowu nieużyteczne zabiegi dla sprzedania moich obrazów; nie znają mię, nie przychodzą nawet zobaczyć ich: ci ludzie rozumieją jak widać, że nawet wielcy mistrzowie nigdy nie walczyli z początkowemi trudnościami swego zawodu.

Po cichu otworzono drzwi i Piotr wszedł do mnie. Zbliża się, sam nie wie od czego ma zacząć!

—»Czego chcesz rzekłem? widząc iż stoi i nic nie mówi. —»Mój bracie, chciałem dowiedzieć się czyli już przedałeś obrazy? —» Niestety! nie. —» I nie żenisz się, bo nie masz pieniędzy? —» Wiem iż to nie prze-

http://rcin.org.pl

szkadzałoby do zaślubienia Anusi, ale byłbym chciał... pragnę... Nareście dajmy temu pokój. Nie troszcz się Piotrze, mimo tego ożenię się z tą którą kocham. — » Mój bracie gdybyś mi pozwolił... —»Cóż takiego? — Nie śmiem mówić. —» Co, nie śmiesz mówić ze mną? —»Posłuchaj mię, tyle głupstw zrobiłem, a gdybym teraz miał pieniądze którem zmarnował z tym niegodziwym Słowiczkiem... Ach! byłoby ich więcej niżeli potrzeba. — » Piotrze, nie wspominajmy o tém; poprawiłeś się; a jeżeli pomyślisz kiedy o twoich błędach, to tylko dla tego abyś brzydził się nikczemnikami z któremi się zadawałeś wtedy. —» O! nie bój się, Słowiczek zagadał raz do mnie. Ale wziąłem się do kija i rozmowa skończyła się natychmiast. Nareście Andrzeju, odkąd wziąłem się do pracy, odkładam... aby ci oddać to com stracił.

—» Co mówisz Piotrze? czyliżem cię nie upoważnił do rozrządzania moim majątkiem? —»Mniejsza o pieniądze.. ale sprzęty... zegary.. nawet suknie i bielizna i wszystko przepadło... Mój bracie, od tego czasu nie wiele jeszcze zebrać mogłem, ale patrz oto jest osiemdziesiąt franków; weź to Andrzeju, byłbym najszczęśliwszy, gdyby ci to pomogło do ożenienia się z Anusią.

To mówiąc, Piotr wyjął z kieszeni worek skórzany i podaje mi go drżącą ręką. Biedny Piotr! przyciskam go do serca, ale nie wziąłem jego pieniędzy; on zaś ściskając mię wzajem woła: »Weź że Andrzeju, weź; te pieniądze należą do ciebie; jeżeli mi odmówisz, mniemać będę że jeszcze gniewasz się na mnie.

Czynię co mogę ażeby odebrał owoc swojej oszczędności, ale Piotr niczego nie chce słuchać i będę musiał ustąpić mu: gdy w tém otworzono drzwi i jakiś jegomość w dojrzałym wieku, ubrany po prostu ale porządnie, staje przed nami.

Z pierwszych jego wyrazów, poznaję po co przyszedł, a serce moje przejmuje radość i nadzieja. Słyszał że mam dwa obrazy na sprzedaż. Chce je zobaczyć; prowadzę go do pracowni.

Nieznajomy długo przypatruje się moim obrazom; z kilku słów jego wnoszę że jest znawcą. Drżę... wskazuje mi niektóre wady i pomyłki w układzie: czuję że ma słuszność; praca moja wydaje mi się jak najgorszą.

Jakżem się zdziwił, gdy ten jegomość zakończył temi słowy: —»Kupię te obrazy, ofiaruję tysiąc dwieście franków za oba, czy przystajesz na tę cenę?

Wyjmuje z kieszeni kwotę którą mi ofiarował; kładzie ją na stole. Tak jestem wzruszony iż przemówić nie zdołam! Posiadałem piękny majątek, ale w tej chwili, tysiąc dwieście franków są dla mnie Paktolem: pieniądze te są owocem mojej pracy, a tém samém większą zrządzają mi przyjemność niż te, któremi los ślepy był mię obdarzył.

»Oto jest mój adres, odeślesz mi pan te obrazy» To rzekłszy, nieznajomy daje mi swój bilet i wychodzi!.. Chcę go odprowadzić; nie pozwala na to. Spojrzałem na adres i wyczytałem nazwisko opiekuna sztuk, światłego i bogatego ich miłośnika. Ten

http://rcin.org.pl

człowiek posiada miliony, a przyszedł do mnie sam jeden i udzielił mi uwag swoich z tą grzecznością, która osładza najsurowsze przygany. Z upodobaniem widzimy, kiedy majątek znajduje się w godnych i szanownych rękach.

Biorę Piotra za ręce i tańcujemy koło stołu na którym leży moje tysiąc dwieście franków.

— »Teraz spodziewam się że weźmiesz twój woreczek: rzekłem do brata. —» Nie, to należy do ciebie!

—»Piotrze, chcę abyś zatrzymał te pieniądze. —» A cóż będę robić z niemi? Nasza matka jest szczęśliwa i niczego teraz nie potrzebuje. —» Zatrzymaj je, zażądam ich ciebie, jeżeli kiedy będą mi potrzebne. —»To dobrze. —» Oprócz tego, czy rozumiesz że cię zostawię w Paryżu? Ożenię się z Anusią, a po tém wrócimy do Sabaudyi. Pomieścimy się wszyscy w domu naszej matki. Teraz pewny będąc że mój talent zjedna mi uczciwy sposób do życia, już nic więcej nie pragnę. Droga Anusia! Spieszę do niej z tą wiadomością. Piotrze zaniesiesz obrazy do tego pana. —»Natychmiast. —»A po tém wrócisz do Bernarda.

Zakrywam obrazy, powierzam je Piotrowi i biegnę do Anusi z moim skarbem. Anusia czyta w moich oczach co chcę oznajmić; pokazuję tysiąc dwieście franków i mówię z dumą. »Jest to owoc mojéj pracy, mego talentu! Ach! ileż winien jestem tym, którzy dali mi wychowanie; jest to najpewniéjszy majątek. Mogę teraz ożenić się z tobą, mogę utrzymać moją rodzinę. Wiem że dom naszéj matki byłby naszym, ale czyliż mógłbym żyć szczęśliwie, czując iż się do niczego nie przydam?.. a kto znaczny przeciąg życia przepędził w wyższém towarzystwie, temu trudno uprawiać ziemię własnemi rękoma. Dziś pewnym będąc że mój talent może mię utrzymać, z podwojonym zapałem oddam się téj szlachetnéj sztuce, a przy tobie znajdę nagrodę mojéj pracy.

Anusia dzieli moją radość, Bernard nadchodzi, rzucam się w jego objęcia. —»Będę synem twoim, rzekłem, jestem nim od dawna przez moje serce... ale nareście... wkrótce... —» Tak jest mój ojcze, tak jest, już Andrzej przedał swoje obrazy.

Poczciwy Owerniak patrzy na nas. Nie może nawet odpowiedzieć nam. Już układamy nasze plany. Chcę wynadgrodzić czas stracony; chciałbym dziś jeszcze zaślubić Anusię. Ale trzeba dopełnić przepisów prawa; to szczęście że już od dawna przysłano mi z Sabaudyi potrzebne papiery. Jutro czynić będę nieuchronne zabiegi, dla przyśpieszenia naszego szczęścia. Anusia prawie nie może mówić; co chwila rzuca się w objęcia ojca: zdaje się że jesteśmy bojaźliwszemi, gdy się już zbliża chwila szczęścia naszego; ale z jéj oczu wyczytać mogę jéj uczucia. Piotr przychodzi cieszyć się z nami. Umówiliśmy się, że trzeciego dnia po ślubie, pojedziemy do Sabaudyi, a tak nie potrzeba nam urządzać gospodarstwa.

Nazajutrz od rana, biegnę do urzędnika stanu cywilnego i do parafii,

http://rcin.org.pl

ale moja niecierpliwość nie może przełamać zwyczajnych formalności... jeszcze dziesięć dni upłynie, nim będę mężem Anusi. Te dziesięć dni wydadzą mi się daleko dłuższe, niżeli dziesięć miesięcy które przed niemi upłynęły. Im bardziéj zbliżamy się do celu, tym gorącéj pragniemy go dosięgnąć. Ale mam różne sprawunki, to mię rozerwie. Chcę ofiarować Anusi podarunek ślubny; będzie on bardzo skromny... Mogę tylko wydać na to około pięciuset franków. Resztę przeznaczam na koszta wesela i podróży. Gdy już będę w domu naszéj matki, znowu zacznę malować: wystarczy mi ten zarobek, ponieważ nie będziemy żyli w Paryżu i nie pragniemy przepychu.

Podarunek mój składa się z szalu bourre de soje, z drugiéj chustki tańszéj jeszcze, z sukni jedwabnéj i kilku innych płócienkowych, z woalu, z kolczyków i kilku pierścionków; ale najpiękniejsza wyprawa, nie wzbudziła tyle radości w młodéj dziewczynie, ile moja skromna ofiara.

Anusia rozkłada podarunki, przypatruje się im, pokazuje ojcu. Poczciwy Owerniak musi dziwić się każdéj rzeczy; ona patrzy na mnie, ściska mię za rękę, a to znaczy: »Nie tyle cieszą mię te podarunki ile to, że od ciebie pochodzą.«

Między pierścionkami jest jeden bardzo prosty, na którym wyraz wierność, wyrobiony jest z włosów moich. Ten pierścionek najbardziéj uszczęśliwił Anusię. Na niego tylko uważa. Chustki, suknie, są niczém w porównaniu tego ukochanego pierścionka. Ach! jakże mię kocha!

Nareście już jest wilia wesela. Ubranie Anusi już jest gotowe; prześlicznie w niém wygląda; Bernard kazał zrobić sobie nową suknię; Piotr zdjął także odzież sabaudzką. Jakże jestem roztrzepany! Bernard ma kilku znajomych, Anusia kilka młodych przyjaciołek, a jeszcze nie pomyślałem o biesiadzie weselnéj. Biegnę zaprosić gości. Będzie nas tylko dwadzieścia osób. Anusia lubi taniec; któraż młoda dziewczyna nie lubi go? Będziemy więc tańczyć!.. przy jednych tylko skrzypcach; ale wesołość więcéj znaczy, niżeli orkiestra. Anusia nie raz mówiła do mnie. »Mój przyjacielu, nie czyń niepotrzebnych wydatków, obejdzie się bez uczty, bez gości. Dla naszego szczęścia, nie potrzebą tego wszystkiego.

—» Tak jest, wiem o tém; ale wiem także iż miło będzie Anusi mieć świadków swego szczęścia, a stary Bernard ucieszy się że potańczy na ślubie córki swojéj. Oprócz tego, wesele nie trafia się codzień. I ja jestem tego zdania. Święćmy szczęśliwe epoki życia naszego, nie zdarzają się często.

Zaprosiłem gości; już jest siodma wieczorna. Muszę tylko wybrać traktyera, u którego wyprawimy wesele. Nie chcę ani karczmy ani świetnego salonu. Piotr przychodzi w nowéj sukni i pyta się czyli dobrze wygląda. »Pójdź ze mną, rzekłem, zamówiemy biesiadę weselną. —»A więc będzie wesele, mój bracie? —»Kilku przyjacioł Anusi i jej ojca, potańczymy trochę... Ale nie mów o tém Piotrze. —»Nie,

http://rcin.org.pl

bądź spokojny!.. Wesele! ach co za radość.

Piotr już tańcuje, muszę go powściągać. Przypominam sobie, iż dawniejszym czasem, wracając z panem Dermillym z przechadzki, wstąpiliśmy do pewnéj traktyerni na przedmieściu i mieliśmy bardzo dobry obiad. Jest to ulica trochę pusta, ale za to próżniacy nie będą zbierać się przed oknami, dla zobaczenia panny młodéj. Idę z Piotrem do tego traktyera.

Ma się rozumieć, iż jak najchętniéj przyjął nasze żądanie; wybieram salon który mi się podobał i pewien jestem, iż się tam nie wciśnie żadna obca figura. Ceny są umiarkowane, ułożyliśmy się o wszystko. Już wychodzimy, gdy w tém gospodarz zaprosił nas, abyśmy obejrzeli jego ogródek. Przechodząc koło altanki, słyszemy hałas, kłócą się, a głos znany mnie i Piotrusiowi, mówi te słowa.—»Nie możesz mi zakazywać abym się nie przechadzał po tym ogródku, moja imość, świeże powietrze przywróci mój rumieniec: *Od dawnego to już czasu...*« —»Nie idzie tu o śpiewanie, mówi żona gospodarza naszego, trzeba zapłacić i pójść sobie.—»Mówże z konsekwencyą piękna Niobe! chcesz abym poszedł, a nie dozwalasz mi wyjść? nie ma związku w tém rozumowaniu.

—»To Słowiczek! mówi do mnie Piotr. Tak jest, to on, poznałem go. —»Skądże pochodzi ta kłótnia? rzekłem do traktyernika.

—»Ach panie! szatan przysłał nam tego hultaja, którego pozbyć się nie możemy. Już od ośmiu dni siedzi u nas. Przyszedł był wieczorem i słodziutkim tonem prosił o wieczerzę. Usłużono mu, a że ją bardzo późno przeciągnął, prosił nas aby mógł przenocować w tym pokoju gdzie jadł: mówiąc, iż umówił się z człowiekiem prowadzącym jego interessa i tu będzie czekał na niego. Chociaż nie przyjmujemy na noc obcych osób, zezwoliliśmy na to. Nazajutrz kazał sobie dać dobry obiad i znowu został. nareście już tu od ośmiu dnie je, pije i powiada iż czeka za sprawującym interessa, który mu przyniesie pieniądze. Ale nie myślę trzymać go dłużéj. Musi zapłacić i pójść precz. Nie pozwolę aby doczekał pańskiego wesela. Jest tak bezczelny, iż zaczepia wszystkich gości i ogłuszą ich swemi piosneczkami. Ale posłałem po komissarza, a tym czasem poleciłem żonie mojéj, aby czuwała nad tym oszustem. Wczoraj drapał się na mur; chciał przedstawiać Adonisa, jak mówi. A! łotrze, będziesz mi w kozie przedstawiać Adonisa. Co dzień byłby zjadł kurczę, gdybym się nie dopilnował.

—»Odejdźmy z tąd mój bracie: mówi do mnie Piotr po cichu, nie chcąc spotkać się ze swoim dawnym przyjacielem. Już nie czas, Słowiczek wyskakuje oknem do ogrodu, i staje w pozycyi Amorka. Jest właśnie tuż przed nami i wykrzykuje podziwieniem zdjęty.

—»O bogini artystów! o to są twoje dobrodziejstwa: rzecze, zbliżając się do nas: spotykam dwóch przyjaciół; oni zapłacą za mnie. Mości traktyerze, proszę o rachunek; o to

http://rcin.org.pl

jest Kastor i Pollux, przyjaciele od serca, oni nie zostawią artysty w takim kłopocie.

Piotr zapłonął się od gniewu; nie pojmuję bezwstydu tego hultaja; gospodarz patrzy na nas zdziwiony i mówi: »Jak to? panowie jesteście przyjaciołmi tego łotra?

—»Łotra! zawołał Słowiczek, jak śmiesz tak mię nazywać, ty przyprawiaczu kotów?

Na te słowa wściekłość traktyernika doszła do najwyższego stopnia.

—»Uspokój się, rzecze Słowiczek, zapłacą ci, ale nie wstąpią tu drugi raz. No mój Piotrusiu, odżałuj kilku talarów dla dawnego towarzysza.

Piotr oniemiał ze wstydu. Staję między nim a Słowiczkiem, który jest tak bezczelny, iż chce mię ścisnąć za rękę. —»Gdybyś tylko był zmarnotrawił moje pieniądze, rzekłem, byłbym może zapomniał o tém; ale chciałeś uczynić brata mojego tak nikczemnym jak sam jesteś i śmiesz nazywać nas przyjaciołmi! Wyraz ten w twoich ustach jest najcięższą zniewagą. Ciesz się, że nie przyłączę się do tego pana, aby cię ukarać jak należy.

—»To dobrze! wygodnie jest dawać morały nieszczęśliwym przyjaciołom; dobrze, moje kominiarczyki, obejdę się bez was i mimo tego nie będę łykać sadzy.

Gdy Słowiczek domawiał tych słów, gospodyni weszła do ogrodu, prowadząc kaprala i czterech żołnierzy, a a drugiemi drzwiami wszedł komisarz, po którego był pobiegł chłopiec z traktyerni. Na widok warty, Słowiczek zmarszczył brwi i pomruknął: »Nie, do pioruna! najpierwszy tors starożytny, nie będzie gnić w więzieniu.

—»O to jest winowajca: rzecze traktyernik wskazując na Słowiczka, który zbliża się komissarza i co chwila kłania się aż do ziemi tak, iż komissarz nie może postrzedz jego twarzy.

—»Bez tych grzeczności mości panie, odpowiadaj: mówi komissarz, a Słowiczek tym czasem całą szczyptą bierze tabakę z tabakierki kaprala. —»Nie chcesz Wacpan ztąd wyjśdź? —»To fałsz, panie komissarzu i owszem, chcę wyjśdź. —»Ale nie chcesz zapłacić? —»Ani słowa o tém nie mówiłem i owszem chcę jeszcze dać na rękę chłopcu. —»A więc mości panie zapłać i niech się to skończy. —»Zaraz, panie komissarzu, nie mówię iż mogę teraz zapłacić; czekam na mojego plenipotenta; czyliż to moja wina że nie przychodzi? a tym czasem jestem modelem i gotów jestem służyć panu, albo pani. —»Kapral, zaprowadź tego łotra; dziś wieczorem odeślemy go do Prefektury: mówi komissarz oddalając się od Słowiczka który ciągle nuci przez zęby.

Kapral zbliża się z wartą, Słowiczek idzie na przeciw nich mówiąc: »Zdaję się na łaskę moi dawni kamraci; pewien jestem że moja niewinność wyjdzie na jaw jak oliwa i chętnie pójdę z wami.

Żołnierze nie bardzo pilnują człowieka który im bez oporu oddał się w ręce. Słowiczek wyszedłszy razem z niemi z ogrodu, zatrzymuje się

http://rcin.org.pl

szuka po kieszeniach i woła: —»Zapomniałem chustki... Nie chcę im podarować jéj. —»Będziesz ją miał: mówi kapral dając znak żołnierzom aby zatrzymali się, a sam wraca do traktyerni. Żołnierze także obrócili się ku domowi: na to czekał Słowiczek. Rzuca się i biegnie na most. Weteran żąda mostowego; Słowiczek odpowiada mu uderzeniem, które nieboraka powaliło na ziemię i ucieka daléj. Tymczasem żołnierze obrócili się; kapral powrócił; biegną za Słowiczkiem, wołając: »łapaj! trzymaj!» Tenże dobiega do drugiego końca mostu, ale już usłyszano krzyki weterana i kaprala; strzegą rogatki mostowéj; tłum się zebrał, nie podobna uciec. Słowiczek wraca się... Otoczono go zewsząd: kapral i weteran zliżają się z tryumfującą miną, wołając: »Trzymamy go! — »Jeszcze nie: odpowiada Słowiczek i w chwili gdy go chce ująć kapral, skacze na poręcz i rzuca się w rzekę śpiewając: *Wolę rzekę, niźli kozę.*

Żołnierze stanęli osłupieni. Tłum zbiega się nad rzekę. Szukają statków, ale pęd wody jest zbyt mocny i porywa nasz piękny model aż do siatek pod Saint-Cloud.

Widowisko to niezmiernie przeraziło Piotra: odprowadzam go z tego miejsca mówiąc: »Tak to mój bracie, kończą ludzie bez obyczajów, bez honoru i uczciwości.

ROZDZIAŁ XXVIII.

TROSKA I RADOŚĆ.

Wracamy do Anusi; ani na godzinę nie mogę oddalić się od niéj: tak to zawsze bywa przed ślubem... mówią, że potém... ale ja i Anusia nie zmieniemy się, nie jesteśmy z Paryża.

W wigilią ślubu tyle jest do mówienia. Mnóstwo tworzymy zamiarów, w téj chwili stanowiącéj o losie życia naszego. Ku Sabaudyi zwracają się nasze spojrzenia i nadzieje. Tam spodziewamy się zapewnić szczęście nasze i matki mojéj, która niczego już nie będzie pragnąć, skoro przy niéj zamieszkamy.

Pośród tak miłych zamiarów, Piotr przerywa nam mówiąc do Anusi: —»Kochana siostro zamawiam cię do pierwszego tańca. —»Jak to? czy będziemy tańcować? pyta się zdziwiona Anusia.

A ja chciałem uczynić jéj niespodzianą przyjemność! Ten nudny Piotruś nie umie dochować tajemnicy. Żałuje tego z czém się wyrwał, spogląda na mnie i spuszcza oczy. Anusia widząc jego pomieszanie, mówi do mnie tym słodkim głosem który tak lubię. »Co? mój przyjacielu, taisz się przedemną.

Muszę więc powiedzieć wszystko, com ułożył na jutro. Anusia czule ściska mię za rękę, mówiąc pół-głosem: »Dla mnie to czynisz kochany Andrzeju: bo nie bardzo lubisz taniec i liczne zgromadzenia; jakżeś dobry! jakżem szczęśliwa!

Bernard zawołał klaskając w ręce. —»Wesele? tem lepiéj! będzie we-

http://rcin.org.pl

sele! Zobaczycie moje dzieci że jeszcze zdam się do tańca... i dotrzymam placu. —»A ja! mówi Piotruś skacząc po izbie, a ani chwili nie ustoję na miejscu.

Zabawiłem się dłużéj jak zwykle. Biorę z sobą Piotra; dziś będzie u mnie będzie nocować. Żegnam się z Anusią, kilkakrotnie powtarzamy sobie, *do jutra*. W tém słowie wszystko się zawiera: szczęście, miłość, przyszłość.... od jutra dopiero zacznie się nasze życie.

Odźwierny oddaje mi list; poznaję pismo Lucylli: zapewne donosi mi o swoich paniach: od niejakiego czasu nie słyszałem o nich, kładę list do kieszeni i idę do mego pomieszkania rozmawiając z bratem o Anusi. Ciężko jest skończyć kiedy zacznie się mówić o ukochanym przedmiocie. Piotr słuchając mię poziewa, on nie jest zakochanym.

Przypominam sobie ten list. Otwieram go, a tymczasem brat mój zabiera się do spania. Uderzyły mię pierwsze jego wyrazy. Zapominam o szczęściu jutrzejszém, zbliżam się do światła i ze drżeniem czytam następujące wyrazy.

»Mój kochany Andrzeju! zranić twoje serce, donosząc ci o nowych udręczeniach, które obarczyły moją ukochaną panią i jéj córkę; lecz do kogóż się udam, jeżeli nie do ciebie? Ty jesteś ich jedynym przyjacielem! Nie wiem sama co piszę, przebacz Andrzeju że tak mało jest związku w moich wyobrażeniach. Tak jestem zmartwiona... Posłuchaj mię Andrzeju. Dzięki twojéj wspaniałomyślności, te panie nie cierpiały niedostatku. Rozumiejąc że pan Therigny przysłał im tę kwotę, myślały że zmienił swoje postępowanie: wiedziałam o prawdzie lecz mi nakazałeś milczenie i byłam ci posłuszną. Trzy dni temu, powrócił pan Therigny, w stanie który bynajmniéj nie okazywał zmiany na lepsze; zdziwił się, widząc że są w dobrym bycie. Chciał się pytać, lecz te panie podziękowały za summę, którą, jak mniemały, przysłał na ich potrzeby. Pan Therigny zdziwiony z razu, zmiarkował się i przyjął ich podziękowania; język mię swędził, gdym widziała że się przyznaje do cudzych pieniędzy. Ale wierna przyrzeczeniu, milczałam. Wziąwszy klucze od wszystkiego, pan Therigny wyszedł wieczorem. Ale jakaż boleść przejęła te panie, gdy zamiast coby miał powrócić, przysłał im list z najniegodziwszemi wyrzutami, oskarżając żonę o występny związek z tobą i utrzymując że dla tego tylko udała że mąż przysłał jéj pieniądze, aby tém lepiéj ukryć swoją intrygę z Sabaudczykiem. Niegodziwy ten człowiek wszystko im zabrał, pieniądze, klejnoty. Nie zdołam wystawić boleści pani hrabiny; nie tyle żałuje że jest przywiedziona do niedostatku, ile że spotwarzono jéj córkę. Moja młoda pani już była słaba, a postępowanie jéj męża pogorszyło jeszcze stan jéj zdrowia. Zapytały mię powtórnie; musiałam wyznać prawdę. Błogosławiły cię. Moja młoda pani płakała, powtarzając co chwila: »Biedny Andrzéj»... Nie dziwię się temu. Pani hrabina mo-

http://rcin.org.pl

cno była dotknięta, a potém rzekła do mnie: —»Lucyllo! chciałabym widzieć Andrzeja... podziękować mu za to, co uczynił dla nas.» Takie jest nasze położenie. Ach! przyjdź pocieszyć moje biedne panie. Andrzeju nie opuścisz ich, pogrążonych w tak ciężkiéj boleści!

Ja miałbym je opuścić! rzekłem sam do siebie kończąc ten list, który wstrząsnął wszystkie zmysły moje. Ach! nigdy! nigdy! Jestem ich jedyną podporą... ale prawdziwy przyjaciel więcéj wart jest niżeli ta gromada przyjemnych ludzi, którzy otaczają cię w pomyślności, a oddalą się kiedy już nie możesz przyjmować ich z wesołą twarzą.

Myślą obejmuję przyszłość... Widzę okropny stan pani hrabiny; jéj jéj córka jest słaba, a w téj właśnie chwili pozbawione są wszystkiego, bez sposobu do życia! Ach! dopóki żyć będę, nie doświadczą nędzy.

Piotr już się kładł do łóżka; zatrzymuję go. —»Musisz ubrać się rzekłem, śpiesz się bracie pójdziesz za interesem. —»Co! tak późno? —»Nie trzeba tracić czasu; pójdziesz do tego traktyera, gdzieśmy dziś byli. —»Tak jest, tam gdzie się odbędzie wesele... rozumiem, zapomniałeś o czemsiś jeszcze. —»Nie, mój Piotrze. Odwołasz zamówioną biesiadę; nie będzie wesela, nie będzie tańców... niczego nie potrzeba.

Piotr spogląda na mnie dużemi oczyma. —»O Boże! mój bracie, co mówisz? nie będzie wesela? — »Tak jest Piotrze nie będzie. —»A Bernard i Anusia, którzy myślą że będą tańcować. —»Bernard i Anusia pochwalą mię.—»A zaproszeni goście? —»Zjedzą obiad w domu. — »A ten traktyernik który przyrządza ucztę? —»Jeszcze można odwołać ją i dla tego iśdź musisz. —»O Boże! to ów nieszczęśliwy list wszystkiego narobił. —»Tak jest Piotrze, późniéj dowiesz się, co się w nim zawiera. —»Co za przekora! nie będzie wesela... lecz Andrzeju czy inaczéj bydź nie może? — »Nie może... leć! bież! nie trać czasu.

Piotr nawykł mię słuchać i wychodzi z zapłakanemi oczyma. Przez ten czas obliczam co mogę uczynić. Ach! nie lękam się iżby mię Anusia ganić miała, ona tak myśli jak i ja. Ale pani hrabina czyliż raczy przyjąć?. Odmówiłaby mi, jestem tego pewny, gdyby wiedziała jakie ofiary czynić muszę. Troskliwie będę ukrywał moje położenie; powiem że jestem bogatym, bardzo bogatym, ażeby moja pomoc nie była jéj tak przykrą.

Piotr powraca: zaczerwieniły mu się oczy, biedny chłopiec płakał. —»A cóż traktyer? rzekłem do niego. — »Da pokój wszystkiemu... ale powiedział że jesteś niestały jak chorągiewka na dachu, a to nie jest dobrze w małżeństwie.

Nie wiele dbam o zdanie traktyernika; aby pocieszyć Piotra, czytam głośno list Lucylli i mówię: — »Te pieniądze które obrócilibyśmy na zabawę, posłużą na niejaki czas do zaspokojenia potrzeb mojéj łaskawczyni; i cóż Piotrze, czyliż jeszcze ganisz mię żem odwołał biesiadę

http://rcin.org.pl

weselną?—»Nie, nie; dobrześ uczynił: rzecze Piotr wzdychając ciężko. Ale mimo tego szkoda wielka że nie będziemy tańcować.»

O świcie przychodzę do Bernarda. Nie spodziewali się że tak prędko przyjdę. Uśmiechają się do mnie. Szczęście maluje się w oczach Anusi. Nie wiem jak jéj oznajmić tę wiadomość... Postrzega moje pomieszanie, pyta się; pokazuję list Lucylli.

Dobra Anusia! gdy go czyta, widać z jéj twarzy ile ubolewa nad nieszczęściami mojéj łaskawczyni. Ledwie co dokończyła, mówi do mnie.—»Mój przyjacielu, nie będzie ani wesela, ani tańców... Są w nieszczęściu, potrzebują twojéj pomocy. Ale wszystkie nasze uciechy, niczém są w porównaniu téj, któréj doznasz śpiesząc im na pomoc.—»Luba Anusiu! jużem tak postąpił... i nie śmiałem powiedzieć o tém.—»Nie śmiałeś?.. —»Bałem się aby cię to nie zasmuciło. —»Ach mój przyjacielu! moje serce czyliż nie podziela wszystkiego co ty czynisz? Twoja ręka, twoja miłość, uszczęśliwia mię; czegóż mi więcéj potrzeba? Wszakże to zdarzenie nie przeszkodzi naszemu małżeństwu? nie prawdaż przyjacielu.—»Nie, bez wątpienia; dziś jeszcze będziesz moją. Będziemy szczęśliwi, gdyż pewien jestem że mój talent wystarczy na utrzymanie nasze. Ale dopóki one będą w niedoli, nie możemy pojechać do Sabaudyi. Jeżeli się oddalę, jeżeli same pozostaną w Paryżu, któż będzie czuwał nad niemi? któż znać będzie ich położenie?

—»Zostaniemy Andrzeju, twoje pomieszkanie wystarczy dla nas. Znam się na gospodarstwie, jestem oszczędna, umiem pracować, do tegom się wychowała. Zobaczysz Andrzeju, że szczęście może zastąpić miejsce bogactw.

Droga Anusia! jakież serce! jakież uczucia!—»Jeszcze nie możesz pójść do tych dam; jeszcze jest za rano: mówiła; zostań u nas na śniadaniu, wszystko przyrządzę. »Potém pójdziesz do nich?.. potém... powrócisz... Na godzinę drugą Andrzeju, nie zapomnisz o tém?..

Jakże mógłbym zapomnieć! kiedy co chwila zniewala mię abym ją więcéj kochał, kiedy anioła dobroci posiadać będę.

Anusia przyrządza śniadanie, potém wychodzi: po kilka nieuchronnych sprawunków jak mówi. Zostaję z Bernardem: dobry nosiwoda już nie myśli o weselu.—»Będziemy sami tańczyć, mówi do mnie, a to nie umniéjszy wesołości naszéj.» Zacny Owerniak! nie waha się nigdy, jeźli idzie o wyświadczenie przysługi. »Czynisz tylko twoją powinność, rzekł: odpłacając się twojéj łaskawczyni.

Anusia spóźnia się z powrotem, czas upływa. Mógłbym teraz pójść do pani hrabiny, ale czekam na Anusię. Wraca nareście zdyszana, ale jeszcze bardziéj upiększona szczęściem i zadowoleniem, malującém się na jéj twarzy. Nie pytam się skąd przychodzi. Spojrzenia, które wlepia we mnie, nigdy nie dopuszczą zazdrości do mego serca. Wstaję, ściskam ją i chcę odejść mówiąc... O godzinie drugiéj, przyjdę tu...

Wychodzi za mną na schody, zamy-

http://rcin.org.pl

ka drzwi, i z bojaźliwą miną kładzie mi w rękę kilkanaście sztuk złota, mówiąc: »Weź mój przyjacielu, przydaj tę kwotę do tego coś miał wydać na koszta wesela, będzie więcéj. — »Skąd masz te pieniądze, Anusiu? — »Mój przyjacielu, nie będziesz się gniewał... pewna jestem... nie potrzebowałam tych wszystkich podarunków, którem otrzymała od ciebie.... Co mi po kosztownych szalach i po sukniach jedwabnych; mówiłeś mi że i bez tego kochać mię będziesz. Mój przyjacielu, wszystko przedałam, oprócz jednéj prostéj sukni, którą uszyłam w nocy i tego pierścionka, gdzie są twoje włosy i ten wyraz tak miły: *wierność*... Ach! przebaczysz mi Andrzeju, żem rozrządziła tém wszystkiém bez pozwolenia twojego.

Przebaczyć! nie mogę znaleźć wyrażeń dla odmalowania jéj czego doświadczam; przyciskam ją do serca: »Dosyć! dosyć! mówi ta luba dziewczyna rumieniąc się; albo mniemać będziesz żem tak postąpiła powodowana interessem. Nareście wyrwałem się z jéj objęć i biegnę do pani hrabiny.

Wkrótce tam zaszedłem. Najprzód wspomnienie Anusi zajmowało mię wyłącznie, ale gdym przyszedł przed dom gdzie teraz mieszka moja łaskawczyni, czuję pomieszanie i trwogę. Ach! trudniéj jest, niż nam się zdaje, czynić dobrze, zwłaszcza jeżli chcemy oszczędzać delikatność tych, których obowiązujemy; a przy tém zobaczę Adolfinę... Adolfinę któréj nie widziałem od czasu jak poszła za mąż. Już się w niéj nie kocham, nie, moje serce wyłącznie do Anusi należy... a przecież drżę, jestem niespokojny. Zbierzmy odwagę i pamiętajmy że Adolfina jest dla mnie tylko przyjaciołką, córką mojéj opiekunki... Postępowanie moje, nie przypomni jéj nigdy, żem śmiał ją kochać. Ze swoiéj strony, nie widzi i nigdy nie widziała we mnie nic innego, prócz brata i towarzysza lat dziecinnych:.. Kochała mię tylko jak siostra... jestem o tém przekonany; oddalmy więc wszelką myśl o przeszłości, obrażałaby nas oboje.

Dom jest nieokazały; mieszkają na czwartém piętrze: mówiła mi Lucylla. Na czwartém piętrze!.. te które mieszkały w pałacu i dziesięciu ludzi miały na swoje usługi... Takie zmiany losu zdarzają się często; wiem o tém, ale mimo tego przykre są bardzo, a filozofia tak obfita w słowa, smutną jest nie raz, kiedy ją wykonywać potrzeba.

Idę drżąc i czuję, że za każdym krokiem odstępuję mię odwaga. Doszedłszy do drzwi ich pomieszkania, musiałem zatrzymać się czas niejaki. Myśl o ich nieszczęściu, o pobudkach mego przybycia, tak mi ściska serce, iż ledwie oddycham. Chciałbym najprzód zobaczyć Lucyllę... nareście zapukałem.

Ona mi otwiera; wydaje krzyk radości.—»Ach! jakże się te damy ucieszą z twego przybycia, rzekła, biegnę uwiadomić ich.—»Zaraz Lucyllo; przyrzecz mi wprzódy iż nie zaprzeczysz moim słowom. —»Tak jest Andrzeju, tak jest, przyrzekam ci. —»Pragnę aby pani mniemała żem jest bogaty, a przynajmniéj w dobrym bycie. Jestem nim w rzeczy saméj; za obrazy którém

http://rcin.org.pl

sprzedał, wziąłem więcéj nad spodziewanie, a te które zrobię... —»Po cóż mi powiadasz o tém Andrzeju? zgaduję twoje pobudki, czytam w twojéj duszy... Wierz mi, że ci jak najmocniéj pomagać będę.

Wchodzimy; pomieszkanie umeblowane jest z prostotą, ale nic jeszcze nie oznacza niedostatku i nędzy.

— »Moja młoda pani jeszcze nie wstała: rzecze Lucylla; od niejakiego czasu jest słaba: pani jest przy niéj; doniosę o twojém przybyciu. Zostań tu Andrzeju.

Zostając sam, w małym pokoju bawialnym. Wszystko co widzę, przejmuje mię smutkiem. Przypominam sobie bogactwo pałacu i czynię gorzkie porównanie... Ale nadchodzi... moje serce bije mocno.. To moja opiekunka! postrzegłem ją, przyjmuje mię w swoje objęcia. »Andrzeju, kochany Andrzeju! rzecze głosem przygasłym ze wzruszenia. Biegnę do niéj, padam jéj do nóg, łzami skrapiam jéj ręce. —»U nóg moich!.. zawołała, gdy twoje miejsce jest przy sercu mojém! Ale czuję potrzebę uniżyć się na chwilę przed jéj niedolą.

Przeminęło pierwsze wrażenie, usiadłem przy pani hrabinie, patrzy na mnie z rozrzewnieniem. —»Znasz nieszczęścia nasze, rzecze do mnie: wiem o wszystkiem coś dla nas uczynił.—»Ach pani! błagam cię.—»Andrzeju! dozwól mi niechaj wywnętrzę moje serce... Wdzięczność jest ciężarem tylko dla nikczemnych dusz, a ja chlubię się z twoich dobrodziejstw. Ależ mój przyjacielu, tak znaczna ofiara musiała przywieśdź cię prawie do niedostatku. —»Nie pani, nie; jestem jeszcze bogatym. Dzięki twojéj opiece, nabyłem talentów; moje pierwsze prace pozyskały przyjęcie jakiego nawet spodziewać się nie mogłem, mój pędzel wystarczy na zaspokojenie moich potrzeb. Ach pani! nazywałaś mię niekiedy słodkiem imieniem syna, pozwól abym na nie zasłużył; tobie winienem to czém jestem; niechaj odtąd czuwam nad losem twoim. Nie lękaj się wcale o przyszłość, mam więcéj niżeli potrzebować mogę. Będę tak szczęśliwym, jeżeli ci zdołam okazać moje przywiązanie, moją wdzięczność. —»Andrzeju! czyliżeś nie dosyć już dla nas uczynił? Nie, mój przyjacielu, więcéj przyjąć nie mogę; wiek jeszcze nie osłabił sił moich; będę pracować, Adolfina przyjdzie do zdrowia, a może los przestanie nas prześladować. —»Co! ty pani, masz utrzymywać się z pracy rąk własnych? na tę nie zezwolę nigdy.... Ach! nie odmawiaj mi, albo mniemać będę, żem postradał twoją łaskę i przyjaźń.

Znowu klękam przy nogach mojéj łaskawczyni, nie odstąpię jéj dopóki mi nie przyrzecze, iż się skłoni do moich życzeń. Płacze, podaje mi rękę; »Andrzeju! rzekła, chcesz mi dowieśdź żeś był godzien moim bydź synem... i że byłam powinna...

Nie dozwalam dokończyć.... Nadchodzą... To Adolfina... O Boże! jakże się zmieniła. Zawsze jest piękną, ale cierpienie i smutek maluje się nawet w jéj uśmiechu. Na mój widok żywy rumieniec okrywa jéj twarz i na chwilę zastępuje jéj zwyczajną

http://rcin.org.pl

bladość. Matka biegnie na przeciw niej. —»Jużeś wstała? rzecze.—»Tak jest, chciałam widzieć Andrzeja.... od tak dawna nie miałam téj przyjemności.

Staję przed nią nie wzruszony, nie zdołam opisać co się dzieje ze mną, drżę, nie mogę mówić, czuję razem roskosz i boleść, ale to drugie uczucie bierze górę.

Mówię przerywanemi słowy: »Pani«...ja ten wyraz ledwie zdoła wyjść z ust moich.—»To jest twoja przyjaciołka, twoja siostra: mówi z pośpiechem pani hrabina: Adolfino, podaj rękę Andrzejowi.

Zbliżam się ku niej i biorę rękę którą mi podaje odwracając oczy... Zdało mi się żem postrzegł jéj łzy, a ta ręka którą całuję z uszanowaniem, drży i pała w mojéj.

Ta chwila przykra jest dla serca mojego; hrabina postrzegając nasze pomieszanie, czém prędzéj mówi mi o Bernardzie i moich dawnych przyjaciołach. Opowiadam pani hrabinie, com uczynił dla mojéj matki. Słucha mię z jak największém upodobaniem. —»Jesteś tak dobrym synem, rzecze do mnie, jak szczerym i poświęcającym się przyjacielem. Nie wspominam tym paniom, iż się żenię, moja opiekunka nie chciałaby może przyjąć pomocy mojej. Adolfina mało mówi; przykro mi patrzéć na jéj smutek; czasem spogląda na mnie, ale skoro tylko spojrzę na nią, spuszcza oczy ku ziemi i jakiejś trwogi doznaje. Moja obecność przypomina jéj piękne dni dzieciństwa naszego, i to zapewne jest przyczyną jéj smutku.

Ale serce moje nie może zapomnieć o Anusi i o szczęściu które mię czeka przy niéj. Żegnam się z panią hrabiną i proszę, aby mi czasem wolno było odwiedzać ją. »Andrzeju! rzekła do mnie, jesteś naszym jedynym przyjacielem, twoja obecność będzie naszą jedyną pociechą. Lubo potwarz śmie miotać na nas trucizny swoje, dusze mamy czyste i powinniśmy bydź wyższemi od jéj pocisków.

Całuję rękę hrabiny; jeszcze stoję pomieszany przed Adolfiną; podnosi na mnie omdlałe oczy i mówi usiłując uśmiechnąć się:—»Odwiedzisz nas Andrzeju? Nie prawdaż?

Wyjąkałem: »Tak jest pani« i oddalam się ze ściśnioném sercem.... Zdaje mi się, że wtedy odetchnę swobodniéj, kiedy jéj widzieć nie będę. Nareście rozstałem się z hrabiną, ale wprzódy oddałem Lucylli pieniądze, które z sobą przyniosłem. Lucylla ściska mię za rękę, chce mówić; odchodzę, nie czekając na to co mi powie.

Jestem na ulicy; oddycham swobodniéj. To pierwsze spotkanie nie mało mię kosztowało. Wykonałem powinność; teraz myślmy tylko o szczęściu, o miłości i Anusi.

Przybiegam do domu. Ubrała się w suknie którą otrzymała odemnie. Czekała na mnie niespokojna i niecierpliwa. Czytam w jéj oczach, czego doznała przez ten czas, gdym był u pani hrabiny; ale biegnę do niéj, przyciskam ją do serca... uśmiech wrócił

http://rcin.org.pl

na jéj usta, jéj spojrzenia zdają się błagać mię, abym przebaczył tę płonną obawę.

Wszyscy jesteśmy gotowi, cały orszak weselny składa się teraz z Bernarda, mojego brata i dwóch starych przyjacioł poczciwego Owerniaka; każdy wdział świąteczne suknie, a Piotruś zapewne dla pocieszenia się że nie będzie tańczyć, nieustannie podskakuje.

Zamiast remizy najmujemy fiakr skromny. Jest nas tylko sześciu, jednego fiakra będzie dosyć. Biorę rękę Anusi, schodziemy na dół; wszystkie sąsiadki wychodzą do sieni, aby ją widzieć, a ja nie gniewam się o to: bo nikt nie będzie źle mówił o niéj; nie będą szeptać i szydersko spoglądać na jéj dziewiczy bukiet; a nie każda młoda dziewczyna, może, idąc za mąż, bydź wolną od obmowy sąsiednich komoszek.

Wsiadamy do fiakra: ciasno nam jest trochę, ale siedzę tuż przy Anusi. Wesoło jedziemy. Nie lubię téj poważnéj i milczącéj miny, jaką niekiedy przybierają nowożeńcy; zdaje się, że ci ludzie zgadują, jak nieszczęśliwe będzie ich pożycie.

Nareście u stóp ołtarzy kapłan pobłogosławił związkowi naszemu. Jest moją!.. jest moją żoną! Jakże słodkiem jest to słowo! jakże jest szczęśliwa gdy je słyszy! ileż miłości wyrażają jéj spojrzenia!

Wracamy do Bernarda; usłużna sąsiadka zajęła się zgotowaniem obiadu. Siadamy do stołu, śmiejemy się, pijemy, śpiewamy, czasem wzdychamy, ja i Anusia, ale wiemy tego przyczynę....

Bernard i jego przyjaciele trącają w kieliszki. Piotr śpiewa, a ja i Anusia spoglądamy na siebie. Proszą nas abyśmy tańcowali góralskiego; odzyskujemy żywość i wesołość lat dziecinnych, ale o dziesiątej powiadamy dobranoc towarzystwu. Piotr zostaje u Bernarda, a ja prowadzę Anusię do mnie, do niej... do nas... już odtąd składamy jedno gospodarstwo.

ROZDZIAŁ XXIX.

I OSTATNI.

OSTATNIA PROBA I POWROT DO SABAUDYI.

Miłość, porządek, praca, wróżą nam szczęście. Anusia szyje, Piotr wrócił się do jaseł, sam tylko Bernard odpoczywa sobie, ale ten zacny człowiek dosyć się napracował. W Sabaudyi w ładnym domu naszej matki, mając wielki ogród, którybyśmy sami uprawiali, możnaby żyć wygodnie przy tém co zarobię moją pracą. Ale pani hrabina!.. ale jej córka!.. Czyliż mogę porzucić ich, oddalić się od nich, kiedy ich wszystko opuszcza? Nie, muszę tam pozostać gdzie się one znajdują, dopóki Pan Therigny inaczej nie będzie postępował.

W pierwszych dniach naszego pożycia, częste miewamy roztargnienia; ledwie godzinę mogę siedzieć nad obrazem. Anusia także częstokroć porzuca robotę... zawsze coś ma-

http://rcin.org.pl

my do mówienia z sobą. Jednakże Anusia upomina mię abym był rozsądnym, w tedy nawet, kiedy miłość jaśnieje w jej spojrzeniach. »Mój przyjacielu, mówi do mnie, gdy za często porzucam pracę: pamiętaj że masz ważne i liczne obowiązki.« Wzdycham i wracam do malowania; szczęściem nie można malować wieczorem, wtedy wynagradzam sobie zwłokę dzienną.

Dobra, wyborna Anusia! ona sama upomina mię abym odwiedził panią hrabinę i przekonał się czyli jej czego nie potrzeba. Co chwila odkrywam nowe przymioty w towarzyszce życia mojego; jej rozmowa jest czysta i miła, gust delikatny, umysł pełen przyjemności; nie ma nic zmiennego w jej mowie i obejściu, a przecież jest tylko córką nosiwody. Ktoż ją nauczył umiłać wszystko co mówi i czyni? Nie wiem, ale są istoty tak obdarzone od natury, iż bez uczenia się wszystko umieją.

Odwiedzam panią hrabinę; ta druga bytność nie tyle mię kosztuje ile pierwsza, a jednakże moje serce jeszcze się mięsza, gdy jestem przy Adolfinie... Ach! trudno zatrzeć pierwsze wrażenia miłości. Łają mię że tak długi czas upłynął między pierwszą a drugą bytnością. Moja opiekunka chce abym ją częściej odwiedzał; prócz mię nikt nie bywa u nich. Adolfina ciągle jest słaba i cierpiąca. Nigdy jeszcze nie mówiłem z nią sam na sam; nie pragnę tego... i owszem zdaje mi się, że w takim razie byłbym bardzo zmięszany.

Hrabina wypytuje się o moje obrazy, odpowiadam że wszystko idzie mi najpomyślniej, że sam dziwię się mojemu powodzeniu... Zdaje mi się, że wolno jest powiedzieć nieprawdę, kiedy przez to możemy ochronić od wielu trosk, tych których kochamy, »Godzien jesteś tego: mówi hrabina: gdyby wiedziano o twojem postępowaniu...

Przerywam jej; nie chcę aby mówiła o wdzięczności i wtedy przyrzekam, że ich częściej odwiedzać będę. Odchodząc, pytam się Lucylli czyli im czego nie potrzeba. Powiada mi że pani hrabina trudni się haftowaniem i zabroniła wspominać mi o tém. Biedna kobieta! teraz to zazdroszczę majątku i bogactw!... Spieszmy zająć się malowaniem.

Uśmiech Anusi rozprasza moje smutne myśli, opowiadam jej wszystko co mię zmartwiło, ściska mię i mówi: — »A więc mój przyjacielu, jesteśmy młodzi, będziemy więcej pracować, abyś mógł bardziej dopomagać twojej łaskawczyni; to nie zaszkodzi szczęściu naszemu.« Zamiast odpowiedzi przyciskam ją do serca.

Już trzy miesiące jakem się ożenił. Przedałem obraz, ale osoba która kupiła moje pierwsze dzieła, jest na wsi. Ten ostatni obraz zrobiłem zbyt śpiesznie, spojrzenia żony rozrywały mię zbyt często. Nie wiele wziąłem za niego. Zaczynam inny, któremu chcę poświęcić się jak najgorliwiej, ale wprzódy nim go wykończę, drżę, myśląc że te panie doznawać będę mnóstwa potrzeb, a zapewne pieniądze dane Lucylli, już się wyczerpały. Oprócz tego, małe gopodarstwo moje chociaż bardzo skro-

http://rcin.org.pl

mne, kosztuje przecież. Smucą mię te myśli; uśmiech Anusi nie zawsze zdoła rozproszyć posępność która moje czoło zachmurza.

Anusia nigdy niczego nie żąda odemnie, utrzymuje że jéj praca wystarczy na potrzeby domowe; błaga mię abym się nie troskał o przyszłość, ale nie mogę bydź spokojnym myśląc o pani hrabinie i o jej córce, której zdrowie ciagle jest słabe.

Idę do tych pań, nie byłem u nich od niejakiego czasu. Adolfina otworzyła mi drzwi, Lucylla wyszła za interessem, a pani hrabina także oddaliła się na chwilę.

Sam jestem z Adolfiną: nie zdarzyło się to od chwili kiedym jej oświadczył miłość moją, a pan Frankornard zszedł mię przy jej nogach; wspomnienie to mięsza mię i wzrusza boleśnie; nie wiem czy Adolfina przypomniała sobie tę okoliczność, ale także jest pomieszana.

Usiadłem przy niej; zapytałem się o jéj zdrowie, o jej matkę, nie wiem co mam dalej mówić. Czyliż to dla tego, że mnóstwo wspomnień i myśli ciśnie się do głowy mojéj? I ona także milczy; podobni jesteśmy do dwójga winowajców nie śmiejących uczynić wzajemnych wyznań, albo porożnionych kochanków, a przecież nie jesteśmy ani jedném ani drugiém.

Nie patrzę na nią, ale słyszę jéj westchnienia; cierpi, zdaje mi się że jéj słabość i mnie się udziela, serce moje także się ściska. Nareście ona przerywa milczenie i drżącym głosem rzecze: —»Andrzeju, już od dawna nie widzieliśmy się bez świadków, chciałam ci powiedzieć... chciałam cię spytać... Zatrzymuie się, musi nabrać sił i czekam ze drżeniem na to co mówić będzie. —»Andrzeju, rzekła po chwili...cóżeś myślał o mnie, dowiedziawszy się żem poszła za pana Therigny? —»Rozumiałem pani, że tego związku pragnie twoja familia.. i że nic mu się nie sprzeciwiało. — »I mniemałeś że mogłam bydź szczęśliwą? —»Tak jest pani.

Zamilkła... Czyliż jéj zrządziłem przykrość!... Spoglądam na nią. O Boże! jéj twarz oblana jest łzami... Biegnę do niéj. W téj chwili wraca pani hrabina.

—»Cóż jéj to jest? zawołała, przestraszona stanem córki. —»To nic,... wyjąkała Adolfina usiłując uśmiechnąć się dla zaspokojenia matki. »Słabość, zawrót głowy... —»Biedne dziecię!

Chcę wezwać lekarza, Adolfina sprzeciwia się temu; utrzymuje że jest zdrowszą; udaje wesołość, więcéj mówi, nareście zdołała uspokoić matkę, ale mnie zwieść nie może.

Ta scena mocno mię wzruszyła; bardzo pomieszany wracam do domu. Chcę zająć się malowaniem, nie mogę utrzymać pędzla. Anusia boi się czy nie jestem chory, radzi mi abym spoczął; ale wspomnienia dnia tego przerywają mój sen... Budzę się w nocy... Anusi nie ma przy mnie... Zdziwiony, niespokojny, wstaję. Postrzegam słabe światełko w mojéj pracowni. Wchodzę. Anusia tam siedzi i pracuje przy świetle lampy... Część nocy przepędza na czuwaniu,

http://rcin.org.pl

wtenczas, gdy ja mniemam że śpi spokojnie.

Usłyszała mię, przychodzi do mnie zapłoniona; ona to przeprasza mię że pracuje w nocy, ona chce mi dowieśdź, że to jest dla niéj rozkoszą nie zaś utrudzeniem. Tyle miłości! tyle cnót! już mię nie dziwią w Anusi; ale jakżeby mi przyjemnie było, gdybym je mógł wynadgrodzić!... Prawda że moja miłość starczy dla niéj za wszystko.

Postępowanie żony ożywia moją odwagę, pracuję z większym zapałem, i pewnego rana wszedł do mojéj pracowni ów bogaty miłośnik sztuki, który nabył pierwsze moje obrazy. Przypatruje się mojemu dziełu, jest z niego bardzo zadowolony, jego pochwały zapaliły wyobraźnią moją; kończę mój obraz, lepiéj zrobiłem niżelim się spodziewał i otrzymuję znaczną kwotę. Zaklinam Anusię aby nie pracowała wśród nocy... przyrzeka mi. Chcę jéj kupić trochę strojów, klejnotów; nie przyjmuje ich i odsyła mię do pani hrabiny, mówiąc. »Czyliż ci się nie podobam taka jaką jestem?

Nigdy jeszcze nie rozmawiałem sam na sam z Adolfiną. Od owéj krótkiéj chwili gdym są samą zastał w pokoju, znowu milczy jak wprzódy; gdy wejdę uśmiechnie się słabo i zdaje się że ją cieszy moje przyjście; ale po tém znowu wpada w dumanie.

Już od niejakiego czasu nie odwiedziłem hrabiny, nareście przychodzę oznajmić im powodzenie moje. —»Nie wiedziałyśmy co to znaczy żeś tak dawno nie był u nas, rzecze pani hrabina: rozumiałam żeś zachorował i posłałam Lucyllę do ciebie.

Dziękuję za tak czułą troskliwość, ale skrycie nie kontent jestem że Lucylla poszła do mnie; nie wie że mam żonę i może się wygadać. Ukrywam tę obawę i chcę odejśdź, gdy w tém wraca Lucylla.

—»Byłam u ciebie panie Andrzeju: rzekła uśmiechając się złośliwie. Spoglądam na nią; daje znaki aby zamilkła, ale nie zważa na nie i mówi daléj.

—»Nie znalazłaś nikogo? rzecze pani hrabina. —» Przepraszam panią, zastałam pewną osobę i to bardzo przyjemną. —»Jego brata, zapewne. —» Nie pani, to nie był mężczyzna.

Hrabina nie uważa za rzecz stósowną wypytywać się daléj. Adolfina spojrzała na mnie; na jéj twarz zawsze tak bladą, wystąpił żywy rumieniec. Znowu mrugam na Lucyllę; ale nie przestaje mówić.

Ach pani! Andrzej nie powiedział nam wszystkiego, nie zgadłybyście nigdy... otóż tedy... ożenił się. —»Ożenił! —»Tak jest pani, ze swoją kochaną Anusią; nie znałam jéj aż dotąd, ale jest w rzeczy saméj piękna i miła.

—»Czy to prawda Andrzeju? rzecze matka Adolfiny. Odpowiadam cichym głosem: »Tak jest pani... A dla czegóż ukrywałeś to przed nami?

Myślę co mam odpowiedzieć, gdy w tém spojrzenia moje zwróciły się na Adolfinę. O Boże! jéj głowa pochyliła się w tył, śmiertelna bladość jéj twarz okrywa... Zemdlała. Krzyknąłem. Hrabina postrzega stan córki,

http://rcin.org.pl

biegnie do niéj, bierze ją w swoje objęcia, woła na nią przenikliwym głosem, a ja i Lucylla czynimy co tylko można żeby ją ocucić... Ale daremnie; ciągle ma zamknięte oczy. Biegnę, szukam doktora, przyprowadzam go, wreście nasze usiłowania ocuciły Adolfinę; otwiera oczy, spogląda na mnie, potém na matkę, chce jeszcze uspokoić ją i mówi słabym głosem: »To nic!.. nie lękajcie się.

Niosą ją na łóżko. Mówią że jéj potrzeba spokojności, oddalam się z doktórem i pytam się o stan Adolfiny. Nie zaspokaja mię, namienia o przyczynach moralnych, o zmartwieniu głębokiém, którego sztuka lekarska nie zdoła pokonać. Niestety! lękam się czy nie odgadnę źrzódła tego zmartwienia.

Mówię żonie o niebezpiecznéj słabości Adolfiny, Anusia zawsze dobra, chcę jéj pilnować, dozierać, ale nie zezwalam na to: sądzę że obecność Anusi, nie przyniosłaby ulgi Adolfinie. Wieczorem wracam do pani hrabiny. —»Adolfina uspokoiła się: mówi do mnie Lucylla: matka jest przy niéj i nie opuszcza jéj ani na chwilę.» Nie uważam za rzecz potrzebną odwiedzać ich w téj chwili. Idę do doktora, i proszę go aby codzień odwiedzał chorą: »Uczynię to! rzekł wstrząsając głową, ale nic nie poradzę.

Wróciłem do Anusi; tyleż się lęka o zdrowie choréj, ile ja. Noc nadeszła. Obraz Adolfiny nie daje mi spoczynku, ale wkrótce zapukano silnie do drzwi domu. Tajemne przeczucie ostrzega mię że to do mnie. Wstaję, ubieram się z pośpiechem! Niestety! nie zawiodłem się; Lucylla przybiega zapłakana...

—»Przyjdź! przyjdź! rzekła do mnie: jest chora, bardzo chora! straszliwe cierpi obłąkanie, a potém czasami pyta się o ciebie, chce mówić z tobą.

Poszedłem z Lucyllą, idziemy śpiesznie, ani słowa nie mówiąc i nareście stajemy przed domem. —»A doktór? rzekłem. —»Jest... ratuje także panią hrabinę; stan córki przywiódł ją do rozpaczy.

Wchodzę do pokoju, nie widzi mię, wpadła w paroxyzm obłąkania, matka trzyma ją w objęciach. Zbliżam się... mówię do niéj... wymawia moje nazwisko, ale mię nie poznaje. Wymienia także nazwisko Anusi, jéj męża; zdaje się że chce oddalić bolesny obraz, kładzie rękę na sercu i woła rozdzierającym głosem: »Jest tam!.. zawsze tam!.. Nie mogę wyrwać go z tamtąd, ale już mię nie kocha.... już nie chce kochać mię!..»

Zupełne wycieńczenie sił następuje po tém uniesieniu. Nareście przychodzi do siebie i poznaje nas. Moja obecność przynosi jéj ulgę... Uśmiecha się do matki i mówi zagasłym głosem: »Mamo! pozwól niechaj przez chwilę pomówię z Andrzejem, będzie to raz ostatni; po tém już was nie porzucę.

Matka ściska ją i z doktorem wychodzi do drugiego pokoju. Sam zostałem przed łożem Adolfiny; jéj oczy nabrzmiały od łez, a ja ledwie mogę wstrzymać moje łkania. Wyciąga do mnie rękę.

—»Andrzeju, rzecze, czuję że wkrótce umrę, ach! nie żałuj mię, już nie

http://rcin.org.pl

mogłam bydź szczęśliwą... powiedz mi żeś mię kochał... jeszcze raz nazwij mię Adolfiną, jak w szczęśliwych dniach dzieciństwa naszego, umrę spokojniejsza. —»Adolfino! droga Adolfino! żyj dla szczęścia matki, dla nas wszystkich którzy ciebie kochamy... —»Nie, już dosyć żyłam... Jestem szczęśliwa... Andrzeju, nie opuścisz mojéj matki.

Ściskam jej rękę w moich... już jest martwa... Adolfina na zawsze zamknęła powieki.

Słyszę głos pani hrabiny, powraca: ach! ochrońmy ją od tego widoku. Biegnę na przeciw niéj, wyprowadzam ją... pyta się o córkę... moje milczenie objawia smutną prawdę; pada na moje ręce; z pomocą Lucylli zanoszę ją do powozu doktora i każę odwieśdź ją do mego pomieszkania. Nie potrzebuję polecać ją staraniom Anusi, znam jéj serce.

Wracam do téj która już nie żyje. Nie opuszczam jéj, dopóki jéj nie oddam ostatecznéj posługi. Grób skromny i prosty, kryje zwłoki téj, którą przeznaczenie obdarzyło dostatkami, pięknością, talentami, a która w osiemnastym roku życia, bez żalu rozstała się z tym światem.

Czułe nasze starania i troskliwość, nareście ukoiły rozpacz hrabiny. Z nią razem opłakujemy zgon jéj córki; łzy nie są tak gorzkie, jeźli je ronim na łonie przyjaźni.

Ale teraz nic już nie zatrzymuje mię w Paryżu. Przeciwnie, pobyt w Sabaudyi i nowy tryb życia, zdoła może rozerwać hrabinę i chociaż cokolwiek oddalić z jéj pamięci wspomnienie jéj nieszczęść. Dowiedziała się, że Therigny przegrawszy to wszystko co jéj zabrał, zginął w pojedynku, ja i Anusia padamy jéj do nóg, ściskamy jéj ręce, nazywamy ją matką naszą i zaklinamy, aby się z nami nigdy nie rozstawała.

—»Tak, jesteście mojemi dziećmi mówi hrabina przyciskając ją do serca. Drogi Andrzeju! tyś mi tak dobrze wynagrodził za wszystko com uczyniła dla ciebie; a ty dobra Anusiu, którą znam dopiero od kilku dni, naznaczyłaś je najczulszem o mnie staraniem... Ach! już was nie opuszczę, jesteście wszystkiem dla mnie. —»I będziesz mieszkać z nami w Sabaudyi? —»Wszędzie pojadę z wami.

Nareście wrócę do mojéj rodzinnéj ziemi do mojéj matki. Prędko wybraliśmy się w podróż. Mój brat i Bernard już są gotowi. Mówię Lucylli ażeby jechała z nami, ale Lucylla poznała młodego czeladnika w handlu korzennym, ma dopiero lat osiemnaście, ale chce się ożenić i sklep założyć. Zdaje mu się, że powaby dawnéj garderobiany, dobrze wydawać się będą za kantorem. »Jest jeszcze dzieckiem, mówi Lucylla, ale ja go ukształcę.

Nadszedł dzień odjazdu, nająłem obszerną karetę, nie chcę aby pani hrabina jechała dyliżansem. Przez całą drogę mamy o niéj jak najtroskliwsze starania. Wzruszona przyjaźnią naszą, częstokroć wyciąga do nas rękę mówiąc ze łzami w oczach: »Chcecie więc abym jeszcze przywiązała się do życia.

http://rcin.org.pl

Nareście oglądamy was ukochane góry naszej Sabaudyi i witamy w przejeździe kołyszącą się poręcz, jak dawnego przyjaciela. Anusia jest prawie tak radosna jak Piotruś i ja, i mówi: »To twój kraj ojczysty, w tych to miejscach zrodziłeś się.

Wspomniałem o ładném pomieszkaniu matki mojéj, ale nie wyobrażano go sobie takiem jakiem jest. To pałac! zawołał Bernard i Anusia. —»Jest to bardzo przyjemne schronienie, mówi pani hrabina. — »Gdy mię otaczają wszyscy których kocham; rzekłem, to miejsce będzie dla mnie światem, moje życzenia nigdy nie rozciągną się za góry otaczające nasz widokrąg.

Nie zdołam wystawić jaką radość wzbudził nasz przyjazd w sercu naszej dobrej matki. »Odtąd już cię nie opuścimy, rzekłem, do niej. —» Co! moje dzieci? już nie pojedziecie do Paryża? — »Nie, zostaniem przy tobie. —» Ale ty Piotrze, któryś tak żałował przysmaków paryzkich?—»Dosyć najadłem się ich: rzekł Piotr niosąc rękę do lewego oka.

Przedstawiłem moją matkę pani hrabinie, obie polubiły się w krótce, cnota równa przedział między stanami.

Osiedliśmy w ładnym domku. Pani hrabina ma najpiękniejszy pokój. Nie chciała go przyjąć, ale ten raz jedynie postąpiłem w brew jej woli. Pokój i szczęście zamieszkało w naszém schronieniu. Piotr trudni się rolą i ogrodem, Bernard pomaga mu czasem. Posyłam do Paryża obrazy moje i dostaję za nie tyle, iż mogę trochę wspierać biednych w okolicy naszej. Nareście Anusia powiła mi dwóch chłopczyków, których kocham nad życie, a gdy zima zgromadzi mieszkańców gór naszych w koło ich komina, wracam się jeszcze do błogich dni dzieciństwa, lepiąc kulki ze śniegu razem z mojemi dziećmi.

KONIEC SABAUCZYKA.

RATUSZ W POZNANIU.

(artykuł nadesłany z Poznania wraz z ryciną.)

Do najpiękniejszych pomników dawnego budownictwa w Xięztwie Poznańskiém, należy niezaprzeczenie ratusz poznański. Swoją wielkością, swoim stylem gotyckim, zajmuje przyjemnie oko cudzoziemca; swoją starożytnością przenosi myśli krajowca w odległe, upłynione czasy.

Przemysław I, xiążę wielkopolski, nadał miastu Poznaniowi w środku 13 wieku prawo magdeburgskie, korzystniejsze dla mieszkańców miast od dawnego polskiego. Skutkiem tego dobrodziejstwa wzniosła się w przeciągu kilku lat nowa część miasta na lewym brzegu Warty. W części téj zbudowano zaraz (co z sobą prawo magdeburgskie niosło) ratusz w tém samém miejscu, na którém dziś stoi, na posiedzenia sądów i rady miejskiéj, na skład archiwum i więzienia złoczyńców. Z jakiego materyału gmach ten pierwiastkowo był wystawiony, nie można dziś dojść z szczupłych o nim notatek, w miejskiém archiwum poznańskiém zachowanych. Zdaje się atoli, że był mu-

http://rcin.org.pl

rowany; albowiem już w r. 1447, w którym według podań Długosza, Poznań pogorzał, znajdowało się w tém mieście wiele świątyń i domów murowanych, które się niszczącemu wszystko żywiołowi oparły; a zatém i ratusz musiał bydź murowany. Ratusz ten stał do początku 16go wieku, w którym dzisiejszy gmach w kształcie okazalszym niż dawniejszy, z gruntu wzniesiony został. Rok postawienia tego gmachu nie jest wiadomy; zdaje się przecież, że stanął między latami 1512—20; przynajmniéj nad jednemi z wewnętrznych drzwi w dolném piętrze ratusza, znajduje się wyryty w kamieniu rok 1514, którą to datę, jeźli nie za rok ukończenia, to przynajmniéj za rok stawiania ratusza uważać można. Przez półtora przeszło wieku, stał gmach ten bez żadnéj skazy, urągając się czasowi. W roku 1675, dnia 9 sierpnia, ogień piorunowy spalił wieżę ratuszną, którą dopiero w r. 1690 odbudowano; nowa, prócz drzewa i roboty ręcznéj, kosztowała 32,630 ówczesnych złotych polskich; na pobicie jéj wyszło przeszło 100 cetnarów miedzi. Uważaną była za arcy dzieło w swoim rodzaju.

Naoczny świadek opisuje ją w ten sposób: »Wystawiona była w r. 1690, miedzią wszystka pobita, sztukami pozłocistemi przyozdobiona; ta się tak ważnie i misternie przez rzemieślnika budującego zdarzyła, że dziwowano się jéj udatności i ozdobie, i nawet z państw i królestw obcych architektowie przyjeżdżali i abrysy sobie brali. W téjże był w pierwszéj perspektywie wiszący dzwon wielki, alias cymbał do bicia godzin, ważący 157 centnarów, w drugiéj perspektywie dzwon na kwaternik (kwadranse) ważący 109 centnarów. Pod tą zaś wieżą na murze, na cztery części okazujące kompasy, ażeby na tę i na tę stronę mógł każdy widzieć, a nawet za miastem mógł rozeznać na zegarze, co skazował index, który był przed tém na 24 godzin sformowany, tandem po dwudziestu i kilku latach (1712) na 12 godzin przeformowany.« Żałować należy że nie dochowano nazwiska architekta, który piękną tę wieżę postawił, ani też nie zostawiono jéj abrysu. Zdobiła ona miasto 35 tylko lat. W r. 1725 dnia 18 Czerwca o godzinie 7 w wieczór, nadzwyczajna burza zrządziwszy w Poznaniu i okolicy nieobliczone szkody, nie szczędziła i téj wieży: zwaliła ją ku stronie wronieckiéj ulicy. Uwagi godną rzeczą jest, że w chwili gdy wieża runęła i kamienicę Efraima Klinberga kupca, ciężarem swoim zgniotła, znajdowało się wielu ludzi na téj saméj stronie rynku, w którą wieża spadała, a przecież nikt życia nie utracił; tylko kupiec Jan Kunowski mający kram żelazny pod ratuszem, odniósł lekką ranę w ramię. Dopiero w r. 1730 postawiono nową wieżę na ratuszu; ale ta nie wyrównywała w żadnym względzie poprzedniéj; miasto wycieńczone kontrybucyami, podczas wojny szwedzkiéj za Karóla XII. nie mogło się zdobyć na wystawienie okazalszéj, i na tę musiało pożyczyć 13,000 złp. Jak

http://rcin.org.pl

długo wieża ta stała, nie wiadomo. Teraźniejsza postawioną została, jak sama jéj powierzchowność okazuje, za czasów Stanisława Augusta, staraniem Kazimierza Raczyńskiego Marszałka wielkiego koronnego. Przy stawianiu jéj zmieniono znacznie dawniejszą postać ratusza, od drugiego piętra począwszy; dół, pierwsze i drugie piętro, nie uległy wielkim zmianom, wewnątrz ani zewnętrz.

Ratusz poznański, zawiera nieoceniony skarb do dziejów miasta Poznania i xięztwa poznańskiego, to jest dawne archiwum dobrze zachowane, w ktorém przywileje zaczynają się od r. 1250, akta rozmaitéj treści, od roku 1450. Nie wiele jest miast w dawnéj Polsce, któreby się równie starożytném i równie zamożném archiwum poszczycić mogły. W archiwum tém znajduje się także mały księgozbiór, a w tym kilka książek z daru Józefa Strusia, Poznańczyka, sławnego lekarza 16go wieku. Między rękopismami tego księgozbioru, zasługuje na uwagę prawo magdeburskie pisane po niemiecku na początku 14go wieku i dzieło lekarskie z 15go wieku, w którém nazwiska roślin w polskim języku są przytaczane.

Obok ratusza, stoi pręgierz kamienny, prawie równocześnie z ratuszem postawiony (r 1535) a zatém mający 300 lat. Pod tym pręgierzem stawiano na widok publiczny złoczyńców, na śmierć haniebną skazanych, a potém ryto na nim rok exekucyi. Jak rzadkiemi u nas były wielkie zbrodnie, zaświadcza ten pręgierz. Od początku szesnastego wieku do 18go, sześć tylko wyryto na nim dat, powieszonych, katowanych, lub ściętych złoczyńców.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Kościół Panny Maryi w Krakowie

http://rcin.org.pl

WSPOMNIENIA WĘDROWNIKA.

STAROŻYTNE I TEGOCZESNE MIASTA PÓŁWYSPU IBERYJSKIEGO.

(z angielskiego)

W pośród obszernéj i uśmiechającéj się równiny, w głębi niewielkiéj zatoki, wznosi się Barcelona z lasem dzwonnic i wałami swojemi; ma po jednéj stronie wyniosłą twierdzę Montjouy, a po drugiéj cytadellę. W przystani kołyszą się niezliczone maszty i z głębi wód wystaje małe miasto, którego białe i różowe domy, odbijają się od szaréj barwy murów stolicy Katalonii: jest to Barceloneta zbudowana na wązkim przesmyku ziemi, główny skład handlowy, mieszkanie wszystkich osób należących do żeglugi. Barcelona ze sto dwudziestą tysięcy mieszkańców, czynnych, pracowitych, przemyślnych, godna jest pod wszelkiemi względy bydź stolicą Katalonii. Prócz historycznéj sławy, stała się dzisiaj bardzo ważną dla handlu, mieszcząc w sobie wszelkie kunszta, wszelkie rodzaje przemysłu.

Nie wiele znakomitych pomników wskazuje potomnym wspomnienie dawnéj świetności Barcelony, pamiętnych oblężeń które wytrzymała, wielkich czynów których była widownią. Oto pałac Medina-Coeli, gdzie złożone są królewskie archiwa Aragonii, *el Palacio*, ratusz, dawna rezydencya domu xiążąt Alby. W ogólności, jak się zdaje, architekci nie wiele się trudnili wyborem miejsca na znakomitsze budowle; lecz zatrzymawszy się na grobli, można ogarnąć jednym rzutem oka główne pomniki zdobiące Barcelonę, od Puerta-Real aż do Rambla, a które są niejako godłem potrójnej potęgi, wydzierającéj sobie najwyższą władzę. *Lonja*, obszerna budowa przeznaczona na kupieckie zgromadzenia, wspaniały gmach komory celnéj z marmurową wystawą, i grobla portowa, olbrzymie dzieła wzniesione ze szczątków góry, wyobrażają handel. Klasztor *Merced* założony przez świętego Franciszka, wieże kościoła świętej Eulalii, zwaliska trybunału inkwizycyjnego, tysiące kopuł wzbijających się tu i owdzie w obłoki, świadczą o władzy duchownéj. Pałac gubernatora, armaty i bagnety błyszczące na szczytach Montjoui, dowodzą wymowniéj niżeli proklamacye, że rząd bynajmniéj nie myśli wyrzec się najwyższéj władzy.

Barcelona posiada akademie, kolegia, amfiteatra, biblioteki; nie miałem odwagi zatopić się w uczonym ich pyle; zostawiam także komu innemu opis śmiałych sklepień świętéj Eulalii i ponurą głębię jéj kaplic. Lecz zwiedziłem Sarrię, wioskę roskoszną, któréj ogrody i zwierzyńce po dwakroć widziały artyleryą francuzką, wymierzającą działa swoje ku Barcelonie. Gdym je przebiegał, [illegible] zatarł już ślady tego podwójnego napadu.

Od roku 1820, Sarria stała się ulubioném miejscem mieszkańców Barcelony; tam większa część ludności, znalazła schronienie przed żółtą febrą. Od tego czasu, czy to przez

http://rcin.org.pl

wdzięczność, czyli też że lepiéj umiano ocenić urok świeżych zacieni jéj pomarańczowych gajów, jéj jasminowych płotów, wszystko co żyje odbywa na wiosnę pielgrzymkę do tego miasteczka, tak przyjemnie położonego na pochyłości pagórka. Katalończykowie są wielkiemi wsi miłośnikami; lubią upiększać ziemię, zasadzać plantacye: zamożniejszy Barcelończyk nie sądziłby że jest szczęśliwym, gdyby nie miał swéj *torre*. *Torre*, iest miejscem wytchnienia, siedliskiem pokoju, Edenem kupca; jest to *villa* Neapolitańczyka, *bastida* Marsylczyka, dom wiejski mieszkańca Londynu. Jakże przyozdabiają tę kochankę! z jakowym zbytkiem ją stroją w dniach uroczystych! Lecz też i ona nigdy nie zawodzi i zawsze uśmiechem odpłaca starania i pieszczoty właściciela.

Nie zdołam wydać wzruszenia jakiego doświadczyłem ujrzawszy po raz pierwszy Mont-Serrat, górę odosobnioną na szerokiéj płaszczyźnie, wznoszącą się przeszło trzy tysiące stóp nad poziom morza; jest to nagromadzenie pagórków, zbiór ostrosłupów, pęk piramid rozmaitéj wielkości. Obłoki wieńczą jéj wierzchołek, przesuwają się z piramidy na piramidę, zniżają się niekiedy aż do stóp samych. Widok Mont-Serratu jest poważnym, uroczystym, tajemniczym, Gdyby ją znali wieszcze greccy, byliby z niego zrobili Olimp; gdyby się znajdowała w pustyni Arabii, Mojżesz byłby ją obrał do ogłoszenia tablic prawa; nie dziwię się, że chrześcianie zrobili ją miejscem wielkich tajemnic wiary. Ziemia roślinna rozrzucona po niektórych częściach góry, jest niezmiernie żyzna i coraz ku wierzchołkowi żyzniejsza.

Skały, z których składa się ta góra, są z kamienia wapiennego rozmaitych kolorów i białego kwarcu w żyłki czerwone.

Klasztor Mont-Serratu jest powabném mieszkaniem, lubém siedliskiem; wszystko tam usposabia duszę do myśli religijnych; wnętrze jest obszerne, a skromna powierzchowność zgadza się najdoskonaléj z dzikiemi widoki otaczającemi budowę. Kościół jest wielką nawą, której mury i sklepienia zdobią malowidła i złocone arabeski. Posąg Madony jest z czarnego drzewa, jak zwykle we Włoszech, bogato przybrany, strojny we wstęgi, naszyjniki, drogie kamienie, słabe szczątki ogromnych bogactw, które posiadał niegdyś skarbiec Mont-Serratu. Dowiedziałem się przypadkiem, że sławny Ignacy Lojola mieszkał w jednéj z pustelni, umieszczonych na szczytach licznych ostrosłupów wznoszących się w około klasztoru. Ciekawość zwabiła mię do téj celi, w któréj powstały pierwsze natchnienia owego męża, założyciela potężnego towarzystwa, co przez dwa wieki tak wielką wywierało władzę na całą Europę. Rogoża, dwa stołki i kilka prostych narzędzi, oto są wszystkie sprzęty jego pomieszkania. W tém ciasném, wilgotném, ciemném ustroniu, nic duszy nie wznosi; lecz gdym wyszedł z celi, okazały widok ujrzałem. Był już wieczór, słońce ostatniemi promieniami złoci-

http://rcin.org.pl

ło niektóre części góry, a ich świetną barwę jeszcze bardziéj podwyższały tu i owdzie rozrzucone cienie. Chmury osiadać zaczynały po najwyższych szczytach; jastrzębie odzywały się ostrym krzykiem, obszerne zakreślając koła; echa podawały sobie zwolna pieśni pielgrzymów, a dzwony wszystkich pustelni, odpowiadały jedne drugim, zwiastując modlitwę i spoczynek. Co za wspaniałość! co za zgodność! co za rozmaitość! w tych obrazach tak prostych, tak naturalnych!

Tarragona przestała bydź wspaniałém miastem. Zadziwiwszy świat, zachowała tylko sławne imie z całéj starożytnéj świetności. Było to pierwsze miasto w Hiszpanii, jedno ze znakomitszych cesarstwa rzymskiego, stolica Pretora. Wszystkie przepyszne budowle, któremi ozdobił ją lud ten wielki, już nie istnieją. Artylerya francuzka pochłonęła to co wieki oszczędziły. Ścieśniono jéj obwód; małą liczbę starożytności dochowała; zaledwie widzieć się daje kilka odłamów muru w proch się rozsypujących. Szczątki pałacu Augusta, zwaliska amfiteatru, gruzy jakiegoś pomnika grobowego, a w pośród nich mnóstwo mnichów i xięży, jedynie uwagę moją zwróciły. Lecz nie opuszczajcie Katalonii, ciekawi wielbiciele nadzwyczajności, nie zwiedziwszy pierwéj kopalni soli w Kardonie, gdy o wschodzie słońca, pierwsze promienie odbiją się o jéj różnobarwe skały. Tortoza zajmuje nas jedynie wspomnieniem bohatyrek, które dzielnie przeciwko Maurom walczyły. Opuśćmy Vich i Cerwera, Salsonę i jéj ponure szczyty; zapomnijmy o Gironie, mieście zakonném, aby powitać zimne popioły królów Arragońskich. Klasztor Poblet wybrano na ostatnie królów schronienie. Alfons IIgi, Jan Iszy, Matylda d'Armagnac i jéj córka, Jan IIgi, królowa Joanna, Marya Arragońska, Jakób Iszy zwany Zdobywca i trzy jego żony, Piotr IV, Ferdynand i dwanaścioro jego dzieci, spoczywają pod wspaniałemi marmury.

Na południe Katalonii leży królestwo Walencyi, najmniejsza z Hiszpańskich prowincyi, a jednak najbardziéj zaludniona. Gwadalamiar, Xukar, Segura, skrapiają jéj płaszczyzny i wyziewem wód swoich łagodzą gorącość atmosfery. Klima Walencyi bardzo się zbliża do klimatu Grecyi: chodują tam korzystnie drzewa oliwne, morwy, palmy, słowem wszelkie zwrotnikowe rośliny. Temperatura tak jest łagodna, że nigdy nie spada poniżéj trzech. Walencyjczykowie z upodobaniem oddają się rolnictwu; znają sztukę skrapiania gruntów; góry przeznaczają na pastwiska, a doliny na obszerne plantacye ryżu.

Na łonie obfitości, pod niebem zawsze czystém, lud ten ukazuje się zwracającemu nań uwagę cudzoziemcowi, wesoły, płochy, wielki miłośnik rozkoszy i zbytku, niedbały o interessa publiczne, czynny gdy idzie o korzyść własną, aż do mocnego natężenia. Walencyanin czuje nie wymowny pociąg do wszystkiego co bły-

http://rcin.org.pl

szczy, uderza, zadziwia. Długo wiara chrześciańska i jéj wspaniałe obrzędy były wyłącznym przedmiotem jego miłości; dzielił potém z zapałem uwielbienie jakim Hiszpania uniosła się ku ministrowi Godoy i prawie nagle zwalił to bożyszcze, niosąc wielką cześć wielkości Napoleona: ułudzenie trwające chwil kika, a którego utrata tak była straszliwą dla nieszczęsnych Francuzów zamieszkałych w Walencyi. Gdy poznano prawdziwe zamiary Napoleona względem Hiszpanii, Baltazar Calvo, na rozkaz Junty udaje się do Walencyi, oznajmia przywłaszczenie Cesarza, podburza w kilku godzinach pospólstwo, które korzystając z nocnéj pory rzuca się na Francuzów mieszkających w mieście. Nie przedłużyło się okropne to obłąkanie, dzięki charakterowi mieszkańców. Za nadejściem dnia, przejęci litością, przeniknieni żalem, zabójcy wybyli nieszczęśliwych który uszli ich wściekłości, zanieśli do szpitala, i sami opatrywali rany przez siebie zadane. Oto rys, pomiędzy tysiącem innych charakteru Walencyjskiego.

W kilka lat później, Walencyanie nowe wznosili ołtarze, nowemu bożyszczowi palili ofiary... Marszałek Suchet, przez administracyą raczéj zręczną niżeli nieskazitelną, zjednał sobie miłość tego łatwego ludu. Skoro się ukazywał publiczności; tłum cisnął się w około niego, witając licznemi okrzyki; mulnicy nawet w swoich segadillach przesyłali potomności imie sławnego marszałka. Ferdynand wróciwszy z niewoli, znowu zyskał nie wyczerpane uwielbienie Walencyjczyków; głośne oklaski przyjęły go w przejeździe i mieszkańcy Walencyi złożyli mu oświadczenia najpokorniejsze zupełnego poświęcenia i wierności; dzisiaj znowu Izabella żyje we wszystkich sercach.

Wspomnienia historyczne téj prowincyi, są bardzo mnogie i dalekiéj sięgają starożytności. Była teatrem wojny punickiéj; Kartagińczykowie przynęceni pięknością klimatu, osiedli w Walencyi, a jeden ze Scypionów odprawił do niéj wjazd tryumfalny. Pod Gotami i Saracenami, Walencya miała własnych królów; lecz gdy wojsko kastylijskie raz na zawsze wygnało te ludy, Cyd założył w niéj stolicę swego państwa. Od roku 1808 do 1813, Marszałkowie Moncéj, Lannes i Suchet, obierali ją kolejno za miejsce rezydencyi. Walencya jest w istocie zachwycającém miastem; zbudowana po nad brzegami Gwadawiaru, zdaje się kąpać niejako w nurtach rzeki, a otaczająca ją okolica, bogata i dobrze uprawna, podobna jest do obszernego ogrodu. Dziwiłem się niekiedy przy cichym porannym brzasku, czystości nieba, piękności krajobrazu, zwiększonéj jeszcze tysiącem powabnych i oryginalnych budowli; gdyż tutaj prosty mieszczanin kształtnie dom swój buduje, zdobi go balkonami, malowidłami, posągami i robi na nim tarasy jak w Medyolanie. Wśród tego spokojnego rozważania, brama Serranos, z ośmiobocznemi wieżami, dawny zamek królewski, *Lonja* zbudo-

http://rcin.org.pl

wana za czasów Ferdynanda Katolickiego, kościół *la Real* najeżony w kopuły, wieże, piramidy, nie raz oczy moje na siebie zwróciły.

Lecz niechaj te świetne obrazy nie przeszkodzą nam rzucić w przechodzie spojrzenia na Sagunt; na to miasto niegdyś tak piękne i kwitnące, sprzymierzeńca Rzymu, śmiertelnego wroga Kartagińczyków; Sagunt, którego mieszkańcy po ośmio miesięcznem oblężeniu, zagrzebali się pod zwaliskami swego miasta. Sagont wytrzymał kilka oblężeń, był zrabowany, spalony, rozburzony, lecz w chwili gdy mniemano że się zagrzebał pod gruzami, odradzał się z własnych popiołów. Gotowie nazwali go *Murwetum*, z powodu starości jego murów. Dziś go nazywają *Murwiedro*; nieszczęśliwe to miasto, nie zachowało nawet miana, pod którém zjednało sobie tyle sławy! Tak dziwaczne są zmiany losu! Sagunt jest dzisiaj źle zabudowany, ulice jego są kręte i niebrukowane; potrącamy co chwila stosy kamieni, odłamki kolumn, szczęty wystaw, uszkodzone posągi. Biedny Sagunt! Tu zwaliska jakiejś nieznanéj budowy, tam świątynie Dyanny lub Wenery, tu *Puerta de los tres Castellos*, tam wieża Herkulesa; wszędzie echo powtarzało odgłos mych stąpień. Przykry był to dla mnie widok, gdym przebiegał okiem z wierzchołka cytadelli, te miejsca tak puste, które były teatrem dzieł świetnych. Podobnież jak gdzie indziéj, religiia owładnęła wszystkie zwaliska; zatknęła krzyże na murach cyrku, któren rozlegał się niegdyś oklaskami tłumu, krzyże na hipodromie gdzie tyle padło rumaków, gdzie tyle wozów wiatry wyścigało, gdzie tyle poległo szermierzy!

Trzymając się dzikiego łańcucha gór, ciągnących się ku morzu, przybyłem do Benikasi przy jeziorze i zamku Almenara, niedaleko od *deserto de las Palmas*, wybrzeża od dwóch wieków napełnionego rozbójnikami. Śpiesznie uciekłem od tych skał, tylokrotnie zbroczonych krwią wędrownika, wolałem przebiegać uśmiechające pola otaczające Lyrią, która zachowała wspomnienie Sertoryusza, błądzić po nad brzegami *Rio-Blanco*, lub mierzyć malowniczą kaskadę téj rzeki przy Chulilla. W błędnym tym obiegu, przebyłem tysiąc rozpadlin, na tysiączne wdzierałem się skały; nakoniec utrudzony, zgłodniały, przyszedłem błagać gościnności w klasztorze *Porta-Coeli*. Nigdzie nie znalazłem gospody, którąby porównać można z tą kartuzyą: usłużne starania, stół dobrze zastawiony, delikatne wina, wszystkiego tam było do zbytku...

Klasztor Porta-Coeli, wznosi się na małéj wyniosłości otoczonej górami. U stóp tych brył poważnych, rozwija się grunt uprawny, zasadzony kwiatowemi krzewy. Pola, winnice, łąki, sady, ogrody, wszystko to uprawiane jest ręką zakonników, wśród których często napotkać weterana z wojska jenerała *Castanos*. Zakonnicy orzą, żną, koszą i pasą trzody. Zadziwia i zajmuje obraz tych mnichów, ogorzałych, czarnobrodych, odzianych w długie białe suknie, rozproszonych po

http://rcin.org.pl

polach i odbywających najtrudniéjsze prace. Wnętrze klasztoru jest przyjemne, ale wygodne, budynki kształtne. W Porta-Coeli znajduje się cmentarz pod gołém niebem, rzecz bardzo rzadka w Hiszpani. W pośrodku gajów z palm i oleandrów, zakonnicy wybrali miejsce na groby swoje. Nie masz tam pysznych pomników, kłamliwych nagrobków; nieco darniny, dwa lub trzy krzewy, zdobią jedynie grób nieznany samotnika.

San Filippe jest to Satabas Rzymian i Xatiwa Gotów. Gdy ją Filip Vty podbił roku 1,706, przybrała nazwanie, które dotąd nosi. Jest to ojczyzna malarza Ribeira, przezwanego Espagnolet i cnotliwego Kalixta III. Po nad brzegiem morza, oto Denia, która służyła za punkt rozpoznawczy starożytnym żeglarzom; daléj Kalpea i Banos de la Reyna, Vilajoyosa i wieża Swiętego Jozuego; Alikant, gdzie jeszcze rosną siedmioramienne palmy i olbrzymie aloesy, Elche, bogatsza w palmy niżeli Syrya i Palestyna, Kandya gdzie ziemia nigdy nie spoczywa, nakoniec Orichuella, gdzie trzcina cukrowa i ananasy dojrzewają pod gołem niebem.

Zbliżałem się ku Audaluzyi, ulubionemu pobytowi Maurów, ziemi płodnéj, którą przerzyna Gwadaleta, Xenil, Daro i piaskozłoty Gwadalkwiwir. Rzuciwszy okiem na topografią téj krainy, łatwo sobie wytłomaczyć jak niezliczone przeszkody przezwyciężyć musieli Kastylczykowie, ażeby wygnać Maurów z téj prowincyi, zabezpieczonéj w około spadzistemi górami Sierra-Moreny. Dosyć było stoczyć odłamy skał zwierzchołka tych gór, ażeby zatrzymać i zgromić najliczniejsze wojsko. Dzisiaj, wszystkie te przepaści, wszystkie te jary, stały się schronieniem rozbójników.

Sierra-Morena, któréj południowe garby wznoszą się nagle po nad płaszczyznami Andaluzyi, przedstawia od strony północnéj łagodną pochyłość, łączącą się z wyniosłym gruntem Manszy i Estramadury. Północny pas tego łańcucha, składa się z gór zaokrąglonych, na których dziwno jest nienapotykać najmniejszego śladu owych gęstych lasów, któremi wyobraźnia pokrywa zwykle góry samotne. Widziane zdala, wydają się nagie i niepłodne; za zbliżeniem dopiero postrzegamy że są przyodziane szczególniejszym gatunkiem rozłożystych krzaków, któremi zarasta prawie połowa gruntów Estramadury. W Maju, miniaturowe te lasy, zmniejszają smętność właściwą tym górom. Od strony południowéj, po nad brzegami Gwadalkwiwiru, napotyka się tu i owdzie bukiety dosyć rosłych sosen, które jednakże nie zadługo znikną ze szczętem. Gwałtowny pożar, pochłonął lat temu kilka, większą część lasu; lecz niedbalstwo, lub raczéj wstręt ku tym użytecznym płodom, tak są wielkie w Hiszpanii, iż to nieszczęście zaledwie ślad pozostawiło w pamięci mieszkańców tych okolic.

Kopalnie w Almaden, leżące w prowincyi Manszy, przy wspólnéj granicy Estramadury i Korduby, przedstawiają rozwinięcie przemysłu tak znaczne, jak najznaczniejsze kopalnie Ha-

http://rcin.org.pl

ren, Saxonii i Węgier. Znam ją od czasów najodleglejszéj starożytności, gdyż podług Pliniusza Grecy korzystali z nich na siedemset lat przed naszą erą, a Rzymianie wydobywali z nich 100,000 cetnarów cynobru rocznie. Od roku 1827, tak je urządzono, iż wydają corocznie 22,000 centnarów żywego srebra. W téj porze roku, gdy praca w największym jest ruchu, 700 ludzi pracuje wewnątrz, a 200 zatrudnia się zewnętrznemi robotami i przewozem.

Korzyści jakie przynosi robotnikom wydobywanie tych min, okupione są kosztem wielkich ofiar; merkurjusz ma najokropniejszy wpływ na zdrowie górników i przykro jest widzieć zapał z jakowym młodzież pełna sił i zdrowia, doprasza się aby jéj dozwolono nabawić się w tych kopalniach ciężkich chorób, a często zawczesnéj śmierci. Górnicza ludność Almadenu, zasługuje na największe zajęcie; zbiera się po większéj części z wiosek Manszy, Estramadury a nawet i Portugalii, któréj mieszkańcy tłumami przychodzą szukać zatrudnienia w przerwie prac rolniczych. Malarze obyczajów, którzy tak często hańbili Hiszpanów zarzutem lenistwa, musieli im się przypatrywać w pobliskości miast wielkich, gdzie zwykle nędza i żebractwo upadla człowieka, tutaj by znaleźli, na ostatnich stopniach skali towarzyskiéj, lud czynny i pracowity, któren zachował całą siłę zdobywców Świata-Nowego, a który posiadać będzie wszystkie cnoty obywatelskie, skoro tylko oświata zaród ich rozwinie.

Droga z Almadenu do Korduby jest smutna, jednostajna, uczęszczana tylko przez mulników, utrzymujących związek pomiędzy temi miastami. — Korduba, za czasów Maurytańskich była stolicą kalifatu, leży w jak najszczęśliwszém położeniu na prawym brzegu Gwadalkwiwiru, u stóp spadzistéj pochyłości Sierra-Moreny, tam gdzie zaczyna się płaszczyzna, ciągnąca się daleko na lewym brzegu rzeki. Dzieje tego miasta składają się z samych rokoszów i wojen domowych. Abderam przybrał tam tytuł Emir-al-Mumerim, czyli rządcy wiernych; on to najpierwszy z Kalifów zatknął na jéj murach sztandar Machometa. Po długim szeregu królów, inny Abderam zbudował wodociągi i inne pomniki służące do użytku publicznego; pozakładał akademie, kollegia, konserwatoria muzyki i malarstwa. Korduba stała na czele cywilizacyi, a Toledo, Grenada, Sewilla, podległemi były jéj królom. — Odniósłszy zwycięztwo na rowninie Narbońskiéj, nad Francuzami i Kastylczykami, Jsseu poświęcił łupy zabrane na nieprzyjacielu, na ukończenie owego meczetu, który stał się podziwieniem wszystkich wieków. Swiątynia ta wzniesiona jest pośrodku ogrodu gęsto zasadzonego drzewami, pomiędzy któremi odznaczają się palmy, pomarańcze i cedry, wodotryski obficie dodają wody, a na czele świątyni wznosi się czworograniasta wieża, uwieńczona basztami. W około są gzymsy cudownéj roboty. Środek składa się z trzydziestu ośmiu naw; wspartych na ośmiuset

http://rcin.org.pl

pięćdziesiąt czterech kolumnach. — Jest to jak gdyby las drzew olbrzymich. Większa część tych kolumn jest z marmuru, a każda na inny wzór zrobiona. W głębi gmachu znajdują się drzwi do Sunechendu, gdzie Koran zamykano; drzwi są okryte jak najdelikatniejszą rzeźbą, ozdobione kolumnami i noszą napisy arabskie. Sala przeznaczona na chowanie księgi świętéj, ma kopułę marmurową, która przepuszcza tylko w głąb gmachu, tajemnicze to światło, łączące się tak zgodnie z obrzędami wiary. Oto wielka kazalnica z któréj Mufty ogłaszał słowa Proroka, chór gdzie się kapłani zgromadzali, sala obmycia, przysionek gdzie składano sandały. Wszystko jest cudowne. Jakże potężni musieli bydź ci ludzie, którzy wznieśli takową budowę w przeciągu lat trzydziestu sześciu! Zadziwiło mię tyle piękności; żałowałem prawie, że Machomet już nie panuje w tych miejscach. Od roku 1,206, meczet ten służy ku czci prawdziwego Boga; koran ustąpił miejsca ewangielii. Xięża hiszpańscy przez źle zrozumianą gorliwość, lub raczéj przez ciemnotę, uszkadzali często, najpiękniejsze części tego zadziwiającego pomnika.

Złożywszy hołd podziwienia tym wspaniałym utworom sztuki, nabłąkawszy się długo wśród tych marmurowych samotni, zapragnąłem nakoniec ujrzeć się w obec natury i dać wolny bieg innym wzruszeniom; puściłem się Gwadalkwiwirem do Sewilli. Pierwszego dnia, brzegi téj rzeki tak bogate rozmaitością, tak ozdobione odmiennemi widokami, nie dozwoliły mi zważać na powolność podróży. — Ach! czemuż nie mogę udzielić moim czytelnikom, wszystkich cierpień, wszystkich niebezpieczeństw, na które mię wystawiły w czasie téj krótkiéj żeglugi, niedbalstwo i niezgrabność wioślarzy. Nie, nazajutrz nie miałem odwagi wziąść znowu do ich czółna; oparłem się wszelkim ich naleganiom, sam nawet Gwadalkwiwir, w gronie Najad swoich, nie byłby zdołał przezwyciężyć wstrętu, ku tak niebespieczne-mu i jednostajnemu sposobowi podróżowania! Szczęściem, biegun andaluzyjski wyrwał mię z tego kłopotu i zapuściłem się w zakręty Sierra-Newady. Czerwone wieże zwiastowały mi wkrótce, żem się znajdował w obec Grenady. (*)

W miarę jakem się zbliżał ku miastu, gorzystą drógą, wysadzoną rozłożystemi drzewy, a po bokach mającą najzieleńsze gaiki, postrzegałam tu i

(*) Wieże czerwone wpadają najpierwéj w oko podróżnemu, tak przez nadzwyczajną wysokość swoją, jako i przez znaczną przestrzeń którą zajmują. Archeologowie naznaczają im dawniejszy początek niżeli Alchambrze; niektórzy dziejopisowie twierdzą, że wzniesione jeszcze były przez Kartagińczyków, inni że przez Fenicyan. Nie wchodząc w roztrząsanie prawdy, powiem tylko, że noszą ślady rozmaitych stylów architektury. Maurowie dali do nich nowe przybudowania, i używali ich podczas oblężenia na śledzenie kroków nieprzyjacielskich. Podczas pokoju, muzzelim (muezzim) stanąwszy na ich szczycie obwieszczał rolnikom godziny w których mieli zaprzestawać pracy, lub czas najdogodniejszy do poolwania. Dzisiaj dolną część tych wież przywłaszczyła sobie osada garncarzy; przyczepili do nich piece i domy, po których koziwrzos i winorośl zarzucają uploty swoje, co nadaje budowie widok niezmiernie malowniczy.

http://rcin.org.pl

owdzie wystającą strzałę wieży; potém całe kościoły, białe domy, fontanny, minarety rysujące się na błękicie najpogodniejszych niebios, a w głębi widokręgu Mulehascen jak olbrzym dźwigał w obłoki śniegami okryte czoło. Gdy wspaniały ten widok rozwinął się przed memi oczyma, na wspomnienie tylu bohaterskich przygód, tylu romantycznych miłostek, tylu szlachetnych nieszczęść, luba smętność umysł mój ogarnęła.

Wydobywszy się nakoniec z długich wąwozów Passu, mogłem ogarnąć jednym rzutem oka, obszerną dolinę w pośród której stoi Grenada.— Stare Kastylijskie wojska tam mierzyły się tylokrotnie z Maurytańskiemi zastępy!...

Tuż przy mnie wznosiła się wieża Santa-Fe, zbudowana w miejscu gdzie chrześcianie roztoczyli obozy; nieco dalej, na Xenilu spostrzegałem most Pignos, gdzie odwaga dwóch Maurów wznowiła czyny Horacyusza Koklesa. Gdyby mię dręczyła chęć okazania méj erudycyi, mógłbym tu powtórzyć całe oblężenie Grenady, opowiedziałbym po raz tysiączny dzieła Cyda-Kampeadora, dzikie męstwo Zegrysa, wspaniałomyślność Abenceragów, biegłość w sztuce wojennej Muzyben-Gozan; świetne natarcie jazdy andaluzyjskiéj, pod dowództwem wielkiego mistrza z Kalatrawy Teleza Giron, i zimną krew piechoty Kastylańskiej, której przywodził Ponce-Leon. Wspiąłem konia ostrogą, w cwał przeskoczyłem owe heroiczne wały, i odprawiłem wjazd mój do Grenady przez *Viva Rambla*, przeszedłszy pierwéj *Arco de las Orejas*.(*) Nazajutrz pierwsze moje kroki, pierwsze spojrzenia poświęciłem Alchambrze, któréj imieł i opis znajdują się w dzienniku każdego wędrownika.

Te wieże w proch się rozsypujące, te puste dziedzińce, te posępne sale, te milczące galerje, te warownie w gruzach, te mury najeżone walącemi się basztami, ten obraz tak uroczysty, tak wspaniały, zniknéj wielkości, obudziły w mej duszy głębokie uczucie smutku i podziwienia. Wszystko tam nacechowane było prawdziwą wielkością i najwykwintniejszym zbytkiem. Wszystko co sztuka zdołała utworzyć, hojnie tam jest rozsypane. Przebiegłem obszerne salony, w których kąpały się niewiasty haremu, dziedziniec Lwów, okoliczne przysionki, wielki i mały ogród, kwietniki, tarasy, labirynty, salę sprawiedliwości i gmach dwóch siostr, których sufity ozdobne są w arabeski, bogate złotemi i lazurowemi malowidły, salę Abenceragów gdzie pierwsi wodzowie tego walecznego plemienia, zamordowani byli na rozkaz Boabdila, galerye, schody, kurytarze. Pomimo samotności i głębokiego milczenia które tam panuje, nic nie zmniejszało we mnie, raz powziętych wrażeń. Alhambra jest utwór wielki, wspaniały, cudowny.

Na pagórku leżącym na drugim brzegu rzeki, zakochany xiąże zbudował dom wiejski, godny panów Alhambry. Było to siedlisko uciech i roskoszy.— Ogrody Generalifu przewyższały wszystko co dotąd widzia-

(*) Brama Uszu, nazwanie jednéj z bram Grenadyjskich, na któréj za czasów muzułmańskich wystawiano ciała zbrodniarzy.

http://rcin.org.pl

no. Dzisiaj perz owładnął aleje niegdyś piaskiem złotym wysypane; szpalery grabowe, drzewa w tysiące dziwacznych kosztów pociosane, przedstawiają teraz niekształtne massy zieloności, woda stojąca, zatęchła, zapełnia sadzawki, a pośród tego zniszczenia wznoszą się ogromne cyprysy, jak gdyby chciały uwiadomić zdala wędrowca, że te rozkoszne miejsca są dzisiaj mieszkaniem pysznéj nędzy.

Nie wiele miast starodawnych tak mało zmieniło powierzchowność jak Grenada. Ulice są ciasne, kręte, jak po wszystkich miastach Maurytańskich; domy niezmiernie wysokie, źle są wewnątrz oświecone, a na placu *Viva Rambla*, zdaje nam się że jeszcze jesteśmy w pośród ludności arabskiéj. Sklepy prawie ten sam pozór zachowały co za czasów maurytańskich. Widząc te twarze czarne, te szerokie policzki, wypukłe oczy, kibić okrągłą, nie mogłem się wstrzymać od wykrzyknienia: »Oto potomkowie Machometa! »Zwiedziwszy dawny gmach pocztowy, któren Hiszpanie przeistoczyli na skład węgli, i kilka mniej znakomitych ciekawości, wróciłem nad brzegi Gwadalkwiwiru.

Sewilla daleką jest od tego aby była cudem świata, jak ją od dawna Hiszpanie przezwali, lecz pobyt w niéj niezmiernie zachwyca. Wznosi się, sławną swoją *Giraldą*, w pośród równiny, na któréj palmy, bananasy i pomarańcze, rosną prawie bez uprawy. Gwadalkwiwir ułatwia związek między Sewillą a morzem; niektóre ulepszenia spławu rzeki, z iszczone po części podczas pobytu Francuzów w Hiszpanii, przeciągnęłyby z łatwością aż do Korduby tę linią komunikacyiną. Lecz kiedyż Hiszpanie będą tak oświeceni, że zdołają pojąć użytek kanałów, i tak przemyślni, aby z nich korzytać umieli? Tutaj wszystko zgrzybiałość zwiastuje: ulice ciemne i kręte, źle zbudowane domy, gmachy w zwaliskach. Gdy Ferdynand zdobył Sewillę, 400,000 Maurów ją opuściło; dzisiaj liczy zaledwie 90,000 mieszkańców. Roku 1601 było w Sewilli 16,000 warsztatów jedwabnych w ruchu, i 130000 robotników; roku 1830 2,500 warsztatów nie zawsze dostarczało roboty 14,000 robotnikom. To porównanie, aż nadto świadczy o upadku Sewilli.

Sewilla zbudowana była przez Fenicyan i zwała się *Hispalis*, od imienia założyciela. Podległa Rzymianom, podobnież jak półwyspa, przeszła potém pod panowanie Arabów, i stała się stolicą małego królestwa, które przez lat sto trwało.

Rzymianie, prócz wielkiej wieży i wspaniałego wodociągu, nie zostawili innego śladu przejścia swojego. Maurowie podczas swego pobytu myśleli o upięknieniu miasta i zaczęli budować pałac, któren byłby zrównał wspaniałością Alchambrze. — Lecz Chrześcianie nie dali im czasu do ukończenia go; zaszczyt ten przeznaczony był następcy Piotra Okrutnego. Alkazar, taki jak jest dzisiaj, odznacza się jedynie dziwactwem budowy. Katedra, rękodzielnia tabaki, ludwisarnia, zasługują także na uwagę podróżnego. Zwiedziłem archi-

http://rcin.org.pl

wum Indyjskie, gdzie zebrano i ułożono metodycznie, wszystkie dokumenta służące do historyi obu Ameryk, począwszy od patentu danego Krysztofowi Kolumbowi, aż do planów niedorzecznéj wyprawy; powziętej przed kilką laty na odzyskanie Świata-nowego.

Byłem w ojczyznie Velazkeza i Murillo, nie chciałem opuścić Sewilli niezłożywszy wprzódy hołdu podziwienia ich arcy-dziełom. Velazkez i Murillo, owe dwie ozdoby sztuk w Hiszpanii, dobili się sławy odmiennemi postępując drogami. Velazkez polecił swe natchnienia opiece królewskiéj; Murillo dozwolił swoim pędzlom błąkać się na los. Velazkez poświęcił talent wyłącznie woli monarchy; pracownia Murilla otwarta była dla każdego co go umiał ocenić. Malowanie Velazkeza jest uczone, pracowite; pędzel Murilla śmiały, nagły, nieskrępowany więzami prawideł. Przedmioty Velazkeza są wyszukane, gronostaje i jedwab błyszczą prawie we wszystkich jego utworach. Murillo celował w przeciwnym rodzaju; jego to ubodzy, jego żebracy i ich nędza, popularnym talent jego uczyniły. Trudno znaleść w Hiszpanii katedrę w którejby nie było obrazu Murilla; ale szczególniej w klasztorze Swiętego Hieronima, w Sewilli, można widzieć najpiękniejszy zbiór prac tego malarza. Mnich podjął się bydź moim cycerone; przy każdym obrazie słuchać musiałem długiéj historyi; a'em nie słuchał, dziwiłem się. Znudzony nakoniec tą zabójczą erudycyą, uciekłem przed niezmordowanym opowiadaczem i pobiegłem widzieć *toreadorów*.

Tauromachia Sewilska, ustanowiona przed kilku laty przez Ferdynanda VII, ma swego rektora, professorów, klassy, jak uniwersytety Toledu i Salamanki, i uczniów niemniéj burzliwych, lecz nieco poetyczniejszych. W pośrodku nich, bez pomocy żadnego *cicerone*, łatwo da się rozróżnić po dziwacznym ubiorze, *Majo*, elegant brukowy, przedpokojowy Lowelas, kochanek wszystkich pokojówek, a szczególniéj wielki znawca gonitw byka. Osobliwy zbieg władz ciała i duszy, stanowi doskonałość Maja. Wyśmienity jeździec, celnie strzelający z pistoletu, zręczny we wszelkich ćwiczeniach, powinien znać teoryę i praktykę wszelkiego rodzaju sztyletów; *naroja*, *pugnal* i *lanzo*, nie powinny mu bydź obcemi; powinien tańczyć zgrabnie i z mocą, *matraco*, *muchiganga* i *fandango*, zabrzdkać na gitarze, zanucić piosnkę modną i w przypadku improwizować *segadillę*. Jego sztuką, jego rzemiosłem, jest dworność; powinien okazywać się również przyjemnym dla dam, jak groźnym dla mężczyzn. Mnogość jego pojedynków, jego zabójstw nawet, jest dla niego chlubą; im więcéj zabił ludzi w pojedynczych walkach, tém więcéj jest poważanym. Naprawiacz krzywd, mściciel obelg, nie zawsze jest w zgodzie z trybunałami; nic to jednak nie szkodzi! Nie jeden Majo z bliska widział *Presidios de Ceuta*, a dla tego nie stracił publicznego szacunku. Sewilla jest ojczyzną *Torrera* i *Maja*. Widzicie, iż się

http://rcin.org.pl

odróżnia od rywalek nie jednym rodzajem sławy.

Po prawym brzegu Gwadalkwiwiru, o milę od Sewilli, ukazuje się mała wioseczka, prawie dzisiaj nieznana, jest to *Italica*, stara Sewilla, ojczyzna mężów którzy największy zaszczyt przynieśli tronowi Cezarów; jest to miasto gdzie urodził się Trajan, Adryan i Teodozyusz. Szedłem drogą przerzynaną ogrodami i gajami pomarańczowemi, prowadzącą do tego zniszczonego miasta i w przechodzie oddałem pokłon zwaliskom domu bohatéra, którego Pliniusz głosił.

Na kończynie przesmyku zapuszczającego się w morze, na przeciwko ujścia Gwadalety, wznosi się Kadyx, przezwany nie dobytym, opasany wałami, najeżony palisadami i redutami. Ciekawy byłem zwiedzieć tę osobliwą wyspę Leon, połączoną z lądem stałym przez most Suazo, która na przestrzeni czterech mil wdłuż a jednéj w szerz, zawiera więcéj niżeli 100,000 mieszkańców: prawdziwe zjawisko w kraju, gdzie ludność tak żyje przestrono jak Gauchowie w Pampasach Buenos-Ayres. Lecz tam znajduje się Kadyx, wał całéj Hiszpanii, San-Fernando otoczone cyprysami i palmami, Caracca ze swemi arsenałami i warsztatami okrętów, tam nakoniec, jeźli jesteś archeologiem, w wodach Santi-Petri w pośrodku zwalisk świątyni Junony, możesz znaleźć bogaty zbiór antyków. Lecz ja, mało ceniący starożytne szczątki, chciałem przebiedz oczyma tę przystań niezmierną, nad którą panuje Kadyx, którą osłaniają uśmiechające wzgórza, na któréj brzegach rozsiane są tak malownicze wioseczki.

Kadyx był niegdyś jednym z najbardziéj uczęszczanych portów Europy. Tam to zawijały galiony naładowane skarbami Mexyku i Peru. Wszystkie narody europejskie niosły tam w zamian płody, których dostarczyć nie mogli osadnikom Amerykańskim, tak mało przemyślni mieszkańcy półwyspu. Dzisiejsza niepodległość osad, powróciwszy tym zamianom bieg ich naturalny, pozbawiła Kadyx korzyści, jakie mu jednało monopolium. Lecz port jego zachował korzyści, które mu zapewnia piękna jego przystań, główny punkt wywozu płodów, żyznéj i ludnemi miastami okrytéj krainy. Chiklana, Conil, Pejar i przylądek Trafalgar, przesunęły potém przed memi oczyma urozmaicone panorama.

Po Manszy, Estramadura jest jedną z najuboższych prowincyi hiszpańskich. Niebo zawsze tam jest czyste i bezchmurne, upał nieznośny, niepłodna ziemia, stada merynosów pochłaniają corocznie rzadką roślinność, która ją pokrywa. Estramadura pozostała prawie obca postępom, które postrzegać się dają w innych prowincyach półwyspu: widać zaledwie słabe ich ślady na pograniczu wielkiego gościńca ku Badajoz. Przebiegając tak zwane despoblados téj krainy, radzę mieć zawsze broń pod ręką, chociaż okropne przepowiednie, któremi Hiszpanie tak hojnie szafują, nie zawsze się ziszczą. Niezawodną

http://rcin.org.pl

jest jednak rzeczą, iż prawo tak potężne dzisiaj w środkowéj Europie, nie rozciąga tu nad podróżnemi dostatecznéj opieki. Rolnik nawet wychodzi do pracy uzbrojony jak na bitwę; w długich też wycieczkach, wśród których nie podobna znaleźć schronienia, chyba w jakiéj samotni którą zarastają krzaki, palmy, aloesy, figi barbaryjskie, wędrownik zapomina łatwo, że te dziwne obyczaje i ta natura afrykańska, jeszcze do Europy należą.

Wśród miast téj prowincyi, Badajoz jéj stolica, słynie tylko przez liczne oblężenia, które wytrzymała i obrazy Moralesa zdobiące jéj katedrę. Meryda po nad Gwadyaną, była stolicą starożytnéj Luzytanii; po zwycięztwie nad Kantabrami, August posłał tam osadę i nadał jéj imie. Meryda posiada jeszcze wiele zwalisk rzymskich: most o sześćdziesięciu arkadach, wodociąg nadzwyczajnie wysoki, cyrk i nomachia, najbardziej zasługują na uwagę.

W pośrodku skał Sierra Gwadalaxara, wznosi się klasztor poświęcony Najświętszéj Pannie. Tam to zmieniwszy oręż em losy Europy, Karól V, przedwczesną dręczony starością, schronił się wraz z zegarmistrzem, Guameto Turriano, swoim ulubieńcem.

Ze skalistego to łona Asturyów wyszedł Pelagiusz przeciwko Maurom, aby podnieść sztandar wiary; w grocie Gowagonda układał swe zamiary, sposobił swe wojsko do walki i założył pierwsze podstawy monarchii, która miała zniszczyć na zawsze potęgę Muzułmanów w Hiszpanii.

Na pamiątkę tych łask wyświadczonych chrześciaństwu i monarchii hiszpańskiéj, najstarsi synowie królów katolickich, przybierają dzisiaj tytuł xiążąt obu Asturyi. Owiedo, jedynie zasługuje w téj prowincyi na nazwisko miasta. Katedra może bydź bardzo zajmującą dla badacza pomników średnich wieków; miłośnicy legend i cudowności, mogą u zakrystyana zadowolić wyobraźnię.

Nie spodziewajcie się znaleźć w Nawarze i Biskai widoków malowniczych, uśmiechających się krajobrazów; natura jest tu ponura i surowa; lecz za to są zebrane i połączone wszystkie odcienia szczytności: legendy rycerskie, wspomnienia miłości i sławy, ów starożytny duch przygód i przedsięwzięć, który przez obszerny ocean prowadził tylu wojowników i żeglarzy, wszystko, nawet nie ulęczony fanatyzm, nawet ponura zabobonność téj krainy, połącza się aby jéj nadać odcień świetnéj oryginalności i mocne wzbudzić zajęcie. Wały Kuelaru, Penafielu, Agwislaru, przywodzą waleczne czyny jéj władzców; Roncevau powtarza jeszcze ostatnie tchnienie Rolanda, a San-Sebastyan pyszni się iż pierwszy wskazał żeglarzom hiszpańskim, drogę do Indyj zachodnich i oceanu północnego.

Saragossa na cały Arragon rozrzuca jaśniejące promienie chwały; ma swe opiekuńcze dziewice, męczen-

http://rcin.org.pl

ników, legendy, cudami słynące kościoły.

Dzieje wojenne nie przedstawiają nic podobnego straszliwemu pasowaniu się, podczas oblężenia Saragossy 1808 r., pomiędzy wojskiem francuzkim pod rozkazami jenerałów Verdier i Lefebre, a mieszkańcami i załogą tego miasta, któremi dowodził jenerał Palafox. Saragossa nie jest bynajmniéj warownią, mur z cegieł któren ją otacza, ma zaledwie dwanaście stop wysokości i przerznięty jest w rozmaitych miejscach domami, tworzącemi całość z wałem. Miasto wznosi się na odkrytéj równinie, otoczonéj wokoło wysokiemi górami. Ebro, na którym są dwa mosty, jeden drewniany drugi kamienny, oblewa mury miasta i oddziela go od przedmieść. Ztąd łatwo poznać, iż położenie Saragossy i jéj obwarowanie, nie przedstawiały bynajmniéj groźnéj całości; ale rozpaczna odwaga zastąpiła wszelkie środki obrony. Każden dom stał się warownią, a po czterdziestu pięciu dniach pasowania się, walk uporczywych, stare wojsko francuzkie zmuszone zostało do odwrotu. Chociaż wspomnienie tego oblężenia zatrze się w pamięci ludzkiéj, kule wżłobione w portyk kościoła Świętéj Engracyi, przypominać jeszcze będą bohaterstwo Sarragossy.

W staréj Kastylii napotykają się tylko miasta w gruzach, domy zakopcone; pospólstwo żyje w najbardziéj odrażającéj nędzy, i ma wyłączne prawo do wszelkich hańbiących przydomków któremi cudzoziemcy tak szczodrze Hiszpanów obsypują. Burgos, chociaż kolebka Cyda, przedstawia tylko nędzne lepianki, w których leniwy i ubogi mieszkaniec chroni się jak może przed zimnem i słotą. Okazały, ogromny wodociąg zwiastuje Segowią; rozumiałem że w tém mieście napotkam czynność, ślad jakowy przemysłu; bynajmniéj, wszystko tu jest ponure, spokojne, a w pośród tego milczenia wznoszą się tak jak wszędzie, zwaliska meczetów arabskich i rzymskich budowli. Salamanka nie przedstawia bynajmniéj ożywionego obrazu uniwersytetów niemieckich; jakiś wyraz zakonny wyryty jest na twarzach jéj bladych studentów. Gdyby zapytać się starych archiwów jéj uniwersytetu, możnaby napisać dzieje wszystkich wieków literatury Iberyjskiéj, ona bowiem wydała najpierwsze Hiszpanii jeniusze.

Idź do Toledu, jeżeli chcesz poznać prawdziwy ród Kastylański. Cesarski Toled, dumny jeszcze iż był stolicą monarchów Hiszpanii, owija się szlachetnie w poły starego płaszcza swojego. Nie żądaj od Toledanina czynności, przemysłu, kiwnąłby z niechcenia głową, spojrzałby ci w oczy i nie wyjąwszy z ust cygara, puszczając przez na wpół otwarte wargi długi kłąb dymu, odpowiedział: »*Ubliżasz Hidalgowi.*« Jakie też roskoszne *far niente* panuje w Toledzie! Siesta (spanie poobiednie) stało się tu publiczną potrzebą. Jakiejże używają ostrożności aby uchronić się przed dziennym upałem, aby uniknąć w tych słodkich w chwilach,

http://rcin.org.pl

kłopotów domowych, natrętnych odwiedzin!

Bogatsi nie sądzą się dosyć bezpieczni w mieście; ażeby dogodzić téj koniecznéj potrzebie, budują małe domki za miastem, wyłącznie poświęcone sieście: zwykle w pośród ogrodu na pochyłości wzgórza, po nad brzegiem strumyka, obok łąki, wznoszą się te świątynie próżniactwa i lubości (*). Toledo i Walladolid wzrosły w wielkość i zamożność przy dworze i królach; kaprys królów i dworu zniszczył je. Te miasta są dzisiaj zaledwie cieniem samych siebie.

Alkala, Awila, Casa-del-Campo, Villa-Vielosa, San-Fernando, smutne tylko przywodzą wspomnienia, przekładam nad nie, bogate płaszczyzny Aranjuezu, skropione Tagiem i Xaramą. Tutaj ziemia jest płodna, roślinność czynna, topola, płacząca wierzba rosną bez uprawy; wino, oliwa, morwa biała, odziewają swą zielonością pochyłe wzgórza, a na wysokich górach, sosny i kermesy wspaniałe wierzchołki podnoszą. Wszędzie zadziwiająca rozmaitość ogrodów, sadów, kwietników, gajów; na pastwiskach to Aranjuezu wzrastają owe dumne Andaluzyjskie rumaki; tutaj w *Real cortejo*, rosną krzewy Ameryki południowéj, obok sosen i modrzewów północnych; nieco daléj zadziwia kaskada Tagu, któren wspaniale przebiegłszy obszerne doliny, zdaje się opuszczać swe łożysko i z łoskotem rozlewać.

Przed panowaniem Filipa piątego, San-Ildefons był tylko wytchnieniem myśliwskiém, lecz stał się pałacem gdy ten król zakłóciwszy przez pół wieku Europę, pomyślał o spoczynku życia prywatnego. San-Ildefons jest rezydencyą prawdziwie królewską, jestto Korsel Hiszpański gaje, ogrody, strumienie, wodotryski, marmury, posągi, altany, kaskady, mosty, wszystko tam można znaleźć, prócz chłodu i miękkich trawników ogrodów Windsorskich. Filip Vty wydał na upięknienie tego zamku summy niezmierne, i o mało kraju nie zrujnował. Później, niewiadomo przez jakie dziwactwo chciano go przemienić w miejsce przemysłu; lecz ta kosztowna spekulacya zgubny tylko wydała rezultat, gdy tymczasem Gwadalaxara, sama sobie zostawiona, wznosiła się kwitnąca, najpomyślniejsze wróżąc nadzieje.

Żaden opis nie zdoła wydać widoku zniszczenia, któren zupełne wycięcie drzew nadaje równinom Kastylii i Manszy. Lasy upiększające niegdyś te okolice, zniknęły zupełnie. Nic zgoła na płaszczyźnie ciągnącéj się od Sommo-Sierry do Madrytu, nie daje się domyślać bliskości stolicy. Madryt, prawdziwa oaza wśród pustyni, leży po nad brzegiem dość głębokiego parowu, którym płynie Manzanares. Ta rzeczka przy końcu Kwietnia sączy zaledwie kilka nitek wody po piaszczystém łożu, jest jednak uwieńczona przepysznym mostem, gruntowność jego i olbrzymie

(*) Toledanie zowią je cigaralles, domy do palenia fajki.

http://rcin.org.pl

zarysy źle zgadzają się z przeszkodą którą miał przezwyciężyć. Wszystko tu jest sprzecznością, Madryt, z prostego miasteczka wzniósł się nagle pod Filipem II do rzędu stolic, lecz jeszcze nie przybrał metropolitalnej postaci. Zamek królewski, pałace xiążąt i możnych panów, obszerne koszary gwardyi, uwiadamiają wprawdzie cudzoziemca że się znajduje w rezydencyi królewskiéj, lecz pospolite budynki które je ze wszystkich stron otaczają, tém bardziéj odbijające od tych pysznych gmachów, wykrywają także niedawny początek tego uszlachetnienia. Jeśli jednak lubisz lud ukazujący się w całéj szczerości swego charakteru, któremu dla przypatrzenia się cząstkowo nie potrzeba wchodzić pod dachy mieszkań, idź w dzień do *Puerta del Sol*, a wieczór do *Prado*.

Wieczorem, Prado jest schadzką wszystkiego co jest najpiękniejszém, najwytworniejszém w Madrycie; kocze, karety, karykle, cisną się, krzyżują na pobocznych ulicach; gdy tém czasem w wielkiéj alei przeznaczonéj dla pieszych, tłumy na kształt fali idą, wracają, mieszają, wydając szmer jak rój pszczoli: światło jest przyćmione, ubiory posępne; jednakże przy zmroku dostatecznie spostrzedz można ułudzające wdzięki i omdlałą smętność Madrytanki; żywość jéj jestów, srebrny dźwięk głosu, szelest jéj mantylli, podniecą zrazu ciekawość, podbudzą uwagę; lecz jeśli zbliska przypatrzysz się jéj licom, szkarłat jej cery, brwi łuczyste, iskry jéj oczu, podbiją twoją duszę; nie opieraj się złudzeniu, daj się unieść porywającemu cię potokowi, i ktokolwiek jesteś, wyznawca Konfuciusza, kwakier, czy anabaptysta, uklęknij z nią razem skoro tylko dzwon zabrzmi...

DANNECKER
SNYCERZ NIEMIECKI.

Rzecz godna uwagi, że większa część rzeźbiarzy tegoczesnych, pochodzi ze stanu miejskiego, niektórzy nawet są gminnego urodzenia. Thorwaldsen, Flaxman, Chantrej, Kanowa, Schadów, Rauch, są mieszczanami. Sięgnijmy dawniejszych czasów, Bandinelli, Cellini, Pigal, Bernini, Goujon, podobnież pochodzili z gminu. Może, aby zająć się koniecznością téj trudnéj sztuki, aby ciosać marmur i kamienie, potrzeba siły fizycznéj i ręcznéj pracy, do któréj miękkie życie, niezdolnemi czyni dzieci znakomitszych rodzin. Potrzebną jest także wielka odwaga moralna. Ze wszystkich zawodów kunsztu, rzeźbiarstwo najmniéj pochlebia próżności i nie przynosi łatwego zysku.

Danneker, mistyczny rzeźbiarz Niemiec tegoczesnych, urodził się w Sztutgardzie 1758 roku. Ojciec jego był masztalerzem. Nie uczono go ani czytać ani pisać. Ojciec jego, prawie zawsze pijany, bardzo mało troszczył się o wychowanie dziecięcia, które podobnie jak on miało bydź kiedyś masztalerzem i biegało boso w około

http://rcin.org.pl

pałacu, gdzie ojciec jego doglądał koni; lecz matka, chociaż prosta kobieta, powzięła jednak jakowąś tajemniczą nadzieję wywyższenia syna. Matka czyni nas prawie zawsze tém, czém jesteśmy. Dannecker winien był matce pierwszy pomysł wyższości, wyniesienia się, odznaczenia, który zabłysnął w młodéj jego duszy. Gdym go widział jako zgrzybiałego starca, zachował jeszcze pamięć pierwszych uniesień, których mu udzieliła dusza matki. Mówił o niéj z poszanowaniem i radością, lubił szczególniéj przypominać sobie ukontentowanie jakiego doznawał, gdy mu kupowała ballady z rycinami wyrzynanemi na drzewie, zwykle po wioskach przedawane. Obok xiążęcych stajen, mieszkał kamieniarz, którego głównem zatrudnieniem było robić nagrobki. Często Dannecker zatrzymywał się przed jego warsztatem, przypatrywał się jego robocie, i okrywał swemi dziecinnemi szkicami, sztuki kamieni lub marmurów wystawione na słońce. Ojciec bił go i odsyłał do stajni; matka pocieszała go i pieściła. Wszyscy znakomitsi ludzie winni są kobietom pierwszy wpływ łagodzący duszę i wznoszący myśli.

Xiąże Karol, dziad dzisiaj panującego króla Wirtembergskiego, założył był szkołę wojskową, zwaną Karl-Schule (Szkoła Karóla). Przyjmowana tam młodzież uczyła się rysunków, muzyki, fechtowania, jeometryi, i ćwiczeń wojennych. Pewnego dnia, ojciec Dannekera wrócił niezmiernie nie kontent do domu i uwiadomił żonę, iż xiąże postanowił umieścić w téj szkole wszystkie dzieci służących swoich. Był to niemiły widok dla mastalerza, który wyręczał się synem, a całe dnie pędził w szynkowni. —»Pójdę! pójdę! zawołał chłopczyk, tyleż uradowany tą wiadomością, ile ojciec nią się zmartwił. Mastalerz, jak zwykle prości ludzie, wybił syna i zamknął go w osobnéj izbie. Zabrał klucz, a małemu Danneckerowi nie pozostał inny sposób prócz ucieczki oknem. Tak też uczynił; stanął na czele kilku młodych chłopców, podobnież jak on synów dworskich xiążęcia, miał do nich mowę, radził korzystać ze wspaniałomyślności xiążęcéj, i zaprowadził ich do pałacu. Była właśnie wielka uroczystość u dworu. Jeden ze szwajcarów, widząc ten młodzieńczy orszak zbliżający się w porządku, zapytał czego chcą. Dannecker zabrał głos. »Oświadcz Wielkiemu Xięciu, że chcemy aby nas przyjęto do szkoły Karóla.«

Uwiadomiono xięcia o tém szczególném poselstwie; wyszedł, przejrzał całą gromadę, i przypatrzywszy się zbliska dziecinnym rysom owych przyszłych żołnierzy, wziął za rękę Dannekera i dwóch jego towarzyszy, umieścił ich po lewym boku, na prawym kazał stanąć reście orszaku. Biedny chłopiec widząc to mniemał że go odrzucono: wstyd go opanował jak mi to wyznał później. Lecz xiąże przyjął tylko do swéj szkoły Dannekera i dwóch młodych jego towarzyszów.

Za powrotem Danneckera, gdy mastalerz dowiedział się że syn jego sta-

http://rcin.org.pl

nowczo był przyjęty, uniósł się wściekłym gniewem i wypędził go z domu, a matka zrobiwszy małe zawiniątko, odprowadziła go na gościniec i obsypała błogosławieństwy. Dobre zamiary xiążęcia źle wykonywano. Ubogie dzieci umieszczone w szkole Karóla, zamiast odbierać naukę, musiały usługiwać kolegom, i nic się nie uczyły. Dannecker w rysunku tylko czynił postępy, do którego miał najpiękniejsze wrodzone usposobienie. Jeden z jego szkolnych towarzyszów, młody, namiętny zapaleniec, oddający się mistycznym marzeniom, powziął ku niemu najżywszą przyjaźń: był to Szyller. Przyjaźń ich była trwałą i niezmienną. Po kilku latach, straconych raczéj niżeli na dobre użytych, posłano go do Sztuttgardu, gdzie Snycerz Grubel dawał mu lekcye rzeźbiarstwa. Młody Dannecker nie miał przyjaciół, xiąże o nim zapomniał, Szyller także nie miał żadnego opiekuna. Jakież było zadziwienie xięcia, gdy się dowiedział że biedny syn jego mastalerza, wyrobił z gliny Miłona Krotońskiego, i pozyskał nagrodę przeznaczoną najcelniéjszemu dziełu snycerstwa. Używał go przez kilka lat do wyżłabiania gzymsów i ozdób w nowych swoich pałacach w Sztutgardzie i Hohenhein. Poświęcając dłóto swoje tym dziełom drugiego rzędu, tym pracom tak mało jenialnym, biedny snycerz nie jedno zapewne wydał westchnienie; największą męczarnią dla talentu jest marnowanie własnych zdolności. Dannecker jednakże w tém ćwiczeniu, które przez dziesięć lat trwało, nabył niepospolitéj ręcznej wprawy. Gdy mu przyszło wielkie rozpocząć dzieła, powolne dłóto posłuszném było każdemu natchnieniu myśli, i przyznał, że ta uciążliwa wprawa nie była mu bezkorzystną.

Nakoniec wielki xiąże przeznaczył mu szczupłą bardzo pensyą, bo tylko trzysta złotych reńskich rocznie, i pozwolił podróżować dla wydoskonalenia rozpoczętych nauk. Z tak słabym zasiłkiem udał się piechotą do Paryża. Jakże musiał żyć oszczędnie, aby wystarczyć na wszelkie potrzeby! za owe trzysta złotych miał podróżować, żywić się, odziewać i prócz tego kupować narzędzia konieczne do jego sztuki. Lecz zapał tyle środków sam w sobie znajduje! Po dwóch latach przepędzonych w Paryżu, które poświęcił szczególniéj na zgłębienie arcy-dzieł zgromadzonych w Luwrze, wrócił do Sztutgardu.

Jakież to było życie tego młodzieńca, w pośród ułudzeń Paryża i tysiąca roskosz tak ponętnych dla jego wieku, którym pod karą śmierci poddać mu się nie wolno! miał ledwie za co kupić chleb codzienny; zamykał się cały w swem ubóstwie, rozmyślaniu, nauce i jednemu tylko bożyszczowi hołdy składał, bożyszczowi sztuki. Co za odwaga! milczący, skromny, odziany wyszarzaną suknią, przesuwa się po obszernych zimnych salach Luwru, z suchym kawałkiem chleba w kieszeni: było to jego śniadanie, był to jego obiad. Ruch towarzyski, świetne zabawy salonowe, wir tegoczesnych zdań i myśli nie

http://rcin.org.pl

miały do niego najmniejszego przystępu. Kopiować wzory starożytne, schwycić piękność którą dawni snycerze przelać umieli na marmur, dopełnić czego zbywało jego wychowaniu, przepędzić dni całe na zgłębianiu części technicznéj i części idealnéj sztuki, potém wracać do zimnéj izbedki pod strychem i spać na słomie, a jednak nie stracić godności ni odwagi artysty: o to życie! Danneckera.

Niektórzy artyści utrzymywali i wiele osób dzieliło ich zdanie, że życie rozpusty i błędów, konieczne było do rozwinięcia talentu. Czémże jest sztuka bez namiętności? a to istnienie ubogie, skromne, nieznane światu, które zalecają artyście, nie powinnoż raczéj ostudzić gorejącą ławę namiętności, położyć tamę potokowi, wysuszyć zrzódło silnych wrażeń i niepłodnością ugodzić jeniusz? Nie wierzę temu. Ta lawa ognista, którą zowią jeniuszem sztuk, nie powinna wybuchać zewnątrz, lecz wewnątrz się raczéj nagromadzać, aby wydać wielkich ludzi i wielkie dzieła. Roztrwońcie ją w roskoszach; zasiądźcie do biesiad, wkrótce osłabi się i zagaśnie ów boski płomień. Prawdziwe zrzódła piękności i wielkości, zamkną się przed wami nieszczęśliwi artyści, którzy może stać byście się mogli Michałem-Aniołem. Dłuto wasze, uwiedzione wyobraźnią i nawyknieniem, wyszkicuje zaledwie kształty wszelkiej pomysłowości pozbawione. Zamiast bogiń i bohaterów, pospolite tylko wyżłobicie kobiety i nikczemnych elegantów: układność i przystojność odznaczać będą jedynie wasze dzieła. Takiemi stają się młodzi artyści, pośród wiru uciech Londynu lub Paryża, chcący zgłębiać naturę ludzką.

Nędza przeciwnie, ostra i surowa mistrzyni, gromadzi kształty, któreby roztrzepane życie rozproszyło, i sprowadza je do wspólnego ogniska, które żądza sławy, podnieca swojém potężném tchnieniem. Tam hartuje się jeniusz artysty; tam zaród bierze uniesienie i wytrwałość, konieczne do pojęcia idealnéj wielkości, do poświęcenia długich, utrudzających lat, aby utworowi swych posłów nadać życie w marmurze.

Mało osób pojmuje sztukę pod tym względem. Cierpliwa praca, samotność, poświęcenie życia jednéj myśli, zatopienie się w tej myśli jedynéj i panującej, wyszły dziś z mody. Teraz pragną pieniędzy i sławy; pragną ich jak najprędzéj. Czego czekać? Rozkosze, jedyna rzecz szacunku warta, przeminą wraz z młodością. Spieszą się więc, cisną, improwizują sławę. Przestają na tém, aby przyjemne oku uczynić wrażenie, żeby marmur był gładki i błyszczący, żeby piękność w ścisłych zarysach przyzwoitości zawarta, uśmiechała się uśmiechem światowéj kobiety. Nie tak myśleli wielcy cudowni mistrze piętnastego i szesnastego wieku, zarazem filozofowie, poeci, malarze, architekci i snycerze. Leonardo Vinci, Albert Durer, Michał Anioł, skromni artyści, nie ubiegali się o współzawodnictwo z elegantami, aby stać się ulubieńcami mody,

http://rcin.org.pl

zniewalać płeć piękną, błyszczéć śród głupstwa odzianego jedwabiem, lub motyłów uniesionych zawieją wielkiego świata. Życie ich było samotném. Wyłącznie poświęceni pomysłom sztuki, roskosze, występki ich nawet (gdyż byli ludźmi) przybierały cóś męskiego, głębokiego, jenialnego. Nie czynili ze swych zatrudnień rzemiosła, lecz kapłaństwo. Dzisiaj, gdy słowo sztuka brzmi tak głośno, gdy nagrody i zaszczyty nagradzają szczęśliwy talent, pozbawiony często wielkości i rzeczywistości, sztuka nie jest już kapłaństwem: jest rzemiosłem.

Danneckera mieścić należy pośród artystów owego dawnego świata. On także nie zaprzedał swego jeniuszu za garść złota. Prawda, iż życie jego przykrém było; nie tylko mu zbywało na złocie, ale często i na chlebie; a i ten gorzki kawał chleba opłacał nie jedną nocą bezsenną. Roku 1783, przez wzgląd szczególny podwyższono nieco jego pensyę. Udał się znowu na pieszą wędrówkę, przeszedł Tyrol i przybył do Rzymu, gdzie stanął sam, bez przyjaciół, nie umiejąc języka krajowego, z jedynym zasiłkiem szczupłéj swojéj pensyi. Surowość i smętność tego miasta, w którém namiętności i nieczynność panują, jeszcze połączone z ceremoniałem tak wielką stawiającym sprzeczność z jego osierociałą i pustą wielkością, z czynną cywilizacyą tegoczesnego Paryża, głębokim smutkiem przeniknęły duszę młodzieńca. Thorwaldsen, któren także przybywał z północy, zapalić swój jeniusz u staréj pochodni sztuk rzymskich, doświadczył tego samego wrażenia tęsknoty, którą obudziła w Danneckerze myśl znikłéj potęgi i wielkich wspomnień.

Szczególniéj jesteśmy przystępni takiéj myśli, gdy nie przychodzimy szukać w Rzymie uciech błędnéj ciekawości; gdy salony xiążąt, szczebiotanie cyceronów, ruch kawiarni, nie przeważą pierwszego wrażenia. Danneckerowi zabrakło odwagi. Wszędzie arcy-dzieła, nigdzie opiekuna.

Na szczęście biednego artysty, Goethe i Herder znajdowali się wówczas w Rzymie: dwa najobszerniejsze owego czasu jeniusze; jeden z nich nadał wyższy popęd filozofii dziejów; drugi pojął tak lirycznie wszelkie urozmaicenia myśli ludzkiéj. Dowiedzieli się, że młody ubogi ziomek znajdował się w témże samém mieście, w świętém mieście malarstwa i rzeźby, i poszli do niego. Dodali mu odwagi, dopomogli; otworzyli mu źródła wyższych daleko natchnień, niżeli ich dotąd domyślać się nawet zdołał. Dannecker powziął w Paryżu bałwochwalcze poszanowanie dla kształtów starożytnéj sztuki; ale kształt ten powierzchowny nie jest całością sztuki: wtedy ma tylko wartość, gdy twórczą myśl wyobraża. Ta myśl wewnętrzna, ten ideał, nie objawiły się jeszcze Danneckerowi. Herder i Goethe wprowadzili go w podwoje świątyni. Pojął że sztuka nie była nie płodną, że nie zależała na mniéj lub więcéj zręcznem władaniu dłótem. Kierowany przez tych wielkich ludzi, reprezentantów tegoczesnych

http://rcin.org.pl

Niemiec, którzy byli zarazem rozsądnemi krytykami i wieszczami natchnionemi, przeniknął tajemnice estetyki, przejął się duchem Biblii i Homera i wzniósł się do wyższych natchnień.

Nie wątpię iżby był większą liczbę arcy-dzieł utworzył, gdyby mu nie stanęła na zawadzie niedokładność początkowego wychowania i tytuł nadwornego snycerza. Trzeba było wykonywać rozkazane roboty, uśpić jeniusz i bydź posłusznym cudzéj woli. Jakichże pomysłów żądać można po artyście, któremu rozkazują robić Psychę lub Wenerę, podobnież jak szafę stolarzowi, lub zegar zegarmistrzowi?

Często, w nieznanéj pracowni biednego snycerza, zgromadzały się trzy najświetniejsze owego wieku imiona, sprowadzane chęcią dobrego uczynku i nadania odwagi téj zachwianéj duszy: dwaj Niemcy wyżéj wymienieni i Kanowa, który wówczas nie doszedł jeszcze szczytu sławy i pracował nad pomnikiem papieża Ganganellego. Każdmu wiadomo, jak uprzejmie obchodził się Kanowa ze współzawodnikami. Wyższym był od Danneckera w majątku, poważaniu, talencie. Udzielał mu rad, zachęceń i nauk doświadczenia.

Po siedmiu latach pobytu w Rzymie, Dannecker przywołanym został do Sztuttgardu. Wielki Xiąże postąpił jako pan wspaniałomyślny, a chociaż prace artysty były dotąd raczéj obietnicami niżeli dowodami talentu, rozciągnął nad nim wyłączną opiekę.

Dannecker przy szczupłéj pensyi i tytule professora, ożenił się z młodą panienką którą kochał, zwaną Henryeta Rapp; przepędzał czas ucząc tego, czego nikt nauczyć nie zdoła, czego człowiek jenialny mniéj jeszcze jest udzielić zdolny, niżeli kto inny, jeniuszu sztuki i miał zaledwie kilka pozostających chwil na urzeczywistnienie pięknych swoich pomysłów. Często xiąże rozkazywał mu robić płaskorzeźby lub popiersia; musiał bydź posłusznym. Jedna z jego płaskorzeźb jest arcydziełem. Przeznaczono ją ku ozdobie gabinetu xięcia. Artysta wyobraził Alexandra Wielkiego przyciskającego pieczęć do ust Parmeniona. Allegorya i wykonanie zarówno się odznaczają; lecz nie tak myślał xiąże, i artysta musiał schować swe arcydzieło w zakącie pracowni. Pierwsze dzieło któremu winien był popularną sławę, był to pomnik grobowy Hrabiny Zeppelin, znajdujący się teraz w Luizburgu. Posąg przyjaźni opierającéj się na popiersiu, tchnie zachwycającą prostotą. Prawie wszyscy dworzanie kazali robić swe biusta Danneckerowi; trafnością w schwyceniu rysów i nadaniem im pewnéj idealności, wyrównywał angielskiemu snycerzowi Chintrey. Widziałem jego popiersia Lawatera, Schillera i Gluka; są to dzieła godne podziwienia.

Roku 1808, gdy Rauch, Tieck i Schwanthaler, nie dosięgli jeszcze najwyższego szczytu sławy, Dannecker uważany był jako pierwszy snycerz niemiecki. Wówczas to król Bawarski ofiiarował mu tytuł i miejsce

http://rcin.org.pl

Dyrektora rzeźbiarskiéj szkoły w Munich, z płacą trzy razy większą niżeli ją miał w Sztuttgardzie. Ktokolwiek dwa razy tylko rozmawiał z artystą, łatwo pojmie że odmówił. Nic bardziéj rozczulającego w dziejach jenialnych mężów, jak heroiczna stałość przywiązania ku tym, którzy wsparli pierwsze ich kroki w trudnym zawodzie. Takim było poświęcenie Tassa i Ariosta ku rodzinie Estów, Szekspira dla xięcia Suthampton, Celliniego dla władzcy Florencyi, i Łukasza Kranach dla Elektora Jana-Frederyka, którego więzienie przez lat pięć podzielał! Nic nie mogło nakłonić Metastazego aby opuścił dwór Maryi-Teressy; Goethe wiernym pozostał xięciu Wejmarskiemu. Przypomnijmy sobie wykrzyknięcie Mozarta, gdy Elektor Saski wspaniałe czynił mu obietnice, pod warunkiem że opuści Józefa IIgo. »Ja miałbym opuścić mojego dobrego Cesarza! nigdy!» Nie można ich oskarżać o podłość: najszlachetniejsza wdzięczność niemi powoduje. Sam nawet Jan Jakób Rousso, tak nieufny, tak podejrzliwy, tak drażliwy, całe życie przywiązany był do marszałka Keith, odwdzięczając bez interessowną jego pomoc.

Dannecker lepiéj byłby sobie postąpił pod względem sławy i majątku, gdyby opuścił pierwszego dobroczyńcę, rodzinne miasto, przyjaciół. W Munich byłby znalazł obszerniejszy zawód i oświeceńszych sędziów. Postanowienie to przynosi zaszczyt jego sercu, lecz świetny zawód mu zamknęło.

W pośród tych wszystkich narzuconych robót, znalazł sposobną chwilę puszczenia wolnego biegu jenialnym myślom i zrobił ów piękny posąg Aryadny, znajdujący się dzisiaj w muzeum sławnego Bethmana bankiera Frankforckiego. Gdym zwiedzał to miasto, była to najpierwsza osobliwość która zwróciła moją uwagę.

Posąg ten stoi w pośrodku pawilonu, którego okno z kolorowemi szybami rzuca odcień różowy na Aryadnę i niby ją barwą wstydu powleka. Pomysł wcale w złym smaku, dowodzący małéj znajomości snycerstwa. Za zbliżeniem się do posągu, uderza najpierwéj niedoskonałość marmuru; liczne żyły błękitne i czarne, krzyżuiące się po ciele bogini, sprawiają nieprzyjemne wrażenie. Powiadano mi, że gdy posąg umieszczony został na swojéj podstawie, żyły te zaledwie były dojrzane, że czas zwiększa ich liczbę i odcień ich coraz mocniejszym czyni. Nie dziwię się, że pewien gastronom angielski, któren dla strawności pojechał odwiedzić ląd stały i miał głowę nabitą samemi kuchennemi wyobrażeniami, zawołał na widok Aryadny Danneckiera: *To ser Stylton'ski*! Wenera Kanowy ma także szeroką bliznę czarną w pośrodku piersi, a niemniej wzbudza podziwienie.

Sciany pawilonu są popielate: światło i cień zręcznie są wymiarkowane. Imie Aryadny, zwykle przypominające smętne myśli i obraz kobiety opuszczonéj, stało się dla tegoczesnych godłem smutku i osierocenia. Nie tak wyobraził ją sobie Dannecker. Jego Aryadna jest tryumfują-

http://rcin.org.pl

ca; podbiła młodego bożka; jaśnieje szczęściem i upojeniem. Moc i dzielność rozwija się w jéj muszkułach, spojrzenie ku niebu wzniesione, ognistym płonie zapałem. Kolossalna pantera, która nic nie straciła ze swej wrodzonéj dzikości, unosi młodą niewiastę; jedna z jéj rąk pieści się z głową dzikiego zwierzęcia, druga opada z niechcenia. Ułożenie jéj pełne jest wdzięku, zaniedbania a zarazem i mocy: Widać iż pewna jest siebie, że skoro podbiła bohatera, ułagodzi także tygrysy wóz jego ciągnące i posłuszne głosowi. Jest to ideał szczęśliwéj i zakochanéj bachantki. Jeśli przypatrzysz się bliżej temu arcy-dziełu, i porównasz fizyonomią tegoczesnéj Aryadny, z rysami delikatnemi, szlachetnemi Aryjadny starożytnéj; poznasz łatwo. iż pomysł ludów północnych oddalił się bardzo od pomysłu czystszego, poprawniejszego, tchnącego większą boskością, którego niebiańską tajemnicę, objawiły niegdyś Bóstwa nieśmiertelne mieszkańcom Hellespontskich nadbrzeży. Widziałem medal grecki wyobrażający Aryjadnę, już uwieńczoną bluszczem zapewniającym jéj nieśmiertelność, z twarzą spokojną, z uśmiechem na ustach, jakby tym uśmiéchem powściągnąć chciała bolesne wspomnienie miłości odrzuconéj i tęsknotę nie przestającą ją ścigać w życiu wiekuistém. Nie taki jest wyraz Germańskiéj Aryadny; żyje życiem bohantki; tém życiem dzielném lecz pospolitém, ożywiającém Nimfy Rubensa. Czy ją kochanek porzuci, czy wiernym zostanie, na odgłos muzyki i pomięszanego krzyku leśnych Faunów, w krótce o nim zapomni.

Nic powabniejszego nad łagodne zgięcia jéj postawy. Pomimo kolossalnych kształtów, ponieważ spoczywa na panterze, wydaje się bydź delikatną i wysmukłą. Wyraźnym zamiarem snycerza, było wystawić uderzającą sprzeczność pemiędzy dzikością tygrysa, a pięknością i wdziękami Nimfy; zachować mieszkańcowi lasów wrodzoną jego siłę, a młodéj kobiecie wszystkie jéj powaby.

Zaledwie bankier frankfortski kupił to arcy-dzieło, książe rozkazał snycerzowi zrobić Amora z białego marmuru; ten oklepany utwór snycerstwa nie przypadł do gustu Danneckera, gdyż był nabożnym i często mawiał przyjaciołom: »Jestto prawdziwie pracować ku zgorszeniu!«— Zamiast małego pospolitego kupidynka, jakich wszędzie pełno po salonach i ogrodach, wyobraził młodego Bożka, w chwili gdy się przebudza sparzony kroplą oliwy spadającą z lampy Psyszy. Angielski Jenerał John Murraj, widział ten posąg i prosił o kopią. Danneker wolał nowe utworzyć dzieło. Zrobił Psyszę; nie Psyszę allegoryczną, oblubienicę Kupidyna z przezroczystemi skrzydły, lecz tkliwe godło miłości duchownéj i moralnéj. Jestto Psysze przychodząca do siebie, Psysze która stała się rozsądną, spostrzegłszy że miłość ma skrzydła. Zdaje się że Danneker nie dosięgnął zamierzonego celu w tém dziele. Niewinność jego Psyszy jest raczéj naiwna niżeli pomysłowa, Aryadna tchnęła lubością,

http://rcin.org.pl

wyraz jéj tak mocno przypominał podwójne upojenie które ją ogarneło, iż nowe skrupuły powstały z duszy snycerza. Pobożność jego wystawiała mu to pogańskie dzieło, jako dzieło zgorszenia. Wpośród niespokojności dręczącéj go tajemnie, po kilku nocach bezsennych, miał sen jakoby mu się Chrystus ukazał. Po trzykroć tenże sam obraz we śnie mu się przedstawił. Artysta mniemał iż samo niebo go ostrzega i rozkazuje okupić swój błąd zrobienia Odkupiciela. Widzenie nocne jeszcze przytomne było jego myśli gdy ulepił model z gliny, przed któren przyprowadził siedmioletnie dziecię. Łatwo sobie wyobrazić radość Dennekera; to szczere wykrzyknienie utwierdziło go tém mocniéj w przekonaniu. Rozogniony jego umysł zajęty był tą pracą wyłącznie jéj wszystkie myśli swoje oddał. Jéj to poświęcił wszystkie wolne chwile. »Moc jakowaś wszechwładna — mówił mi, — zdawała się mnie popychać do ukończenia tego posągu. Nieraz pośród nocy opuszczałem łoże, jakby nadprzyrodroną siłą z niego wyrwany. Trudności były bardzo wielkie: sam Michał-Anioł ustąpić musiał przed niemi. Jego posąg Zbawiciela, którego widzieć można w kościele Najświętszéj Panny Sopra-Minerwa, podobniejszy jest do posągu Neptuna któremu trójząb wydarto. Odkupiciel Ewangelii jest to człowiek słaby, wątły, upadający pod krzyżem, nieodznaczający się ani fizyczną dzielnością, ni tym doborowym wdziękiem kształtów, nazwanym pięknością. Jakże wydać wielkość Syna Bożego, ukrytego pod ludzką postacią? Jakże wystawić tę boską chwałę któréj tajemnicze promienie go otaczały? Jakże ożywić marmur wyłączną wielkością, nadać pokorze i słabości wyraz nadludzki, niebieski? Czułem wszystkie te trudności; w chęci przezwyciężenia ich, wspierała mię jedynie pobożność i zapał, które mię tak zuchwałą natchnęły myślą. Nadałem posągowi nadzwyczajną delikatność kształtów, ułożenie pochybne i smętne. Umieściłem jednę z rąk jego na sercu, druga pozostała wyciągnioną jak mówcy przemawiającego do tłumu. Starałem się rozlać na jego twarzy wszystkie władze duszy i jak największe nadać im rozwinięcie.

»Pewnego dnia przyszło mi na myśl umieścić na przeciw na pół ociosanego posągu, piorunującego Jowisza starożytnych. Zdało mi się iż bożek pogański nosił charakterystyczne oblicze lwa, nieco złagodzone i przedstawiał najzupełniéjsze godło siły zwierzęcéj w całéj okazałości swojéj.«

»Osądzisz z jedynego czynu jak religijną część miałem dla tego posągu, którego dokończenie było dla mnie prawdziwém dziełem pobożności. Odszkicowałem zrazu brodę gęstą, falistą, nieco kędzierzawą, jak zwykle u mężczyzn w dojrzałym wieku; lecz odczytując Ewangelię, która jedynym moim była wzorem, przekonałem się że wszystkie znakomitsze przygody, wszystkie czyny Zbawiciela, świadczą niezmierną łagodność duszy, i wielką słabość temperamentu. Nada-

http://rcin.org.pl

łem brodzie nowy charakter, jeśli powiedzieć można, nowy wyraz: spływała w miękkich i gęstych falach. Nieraz mnie pytano zkąd brałem wzory, odpowiadałem: »*Ztąd.* — Dannecker umieszczał jednę rękę na czole, *i z tąd:* drugą rękę kładł na sercu. Tak jest panie; mówił daléj starzec, opierając się na piedestalu, trzymając w ręku czapkę, z głową odkrytą w obec posągu Chrystusa i ze łzawemi oczyma: tak jest, kto to wykonał, może pozostać na ziemi!«

Poczciwy entuzyasta niewypowiedzianie mnie wzruszył, i nie dziwiłem się że Kanowa zniewolony tym łagodnym i głębokim zapałem artysty, przezwał Danneckera *il beato: błogosławiony!* Rozmowę którą przytoczyłem, mieliśmy w roku 1827. Odprowadziwszy mnie aż do drzwi pracowni, rzekł: »Starzeję się, zrobiłem popiersia trzech pokoleń poetów i xiążąt. Ze wszystkich starych przyjaciół, z tych wszystkich których wyżłobiłem w marmurze, jeden mi tylko pozostał, Goethe. Umrę pierwéj, on zrobi mój nagrobek.«

Roku 1833, byłem znowu w Stuttgardzie, i odwiedziłem starego snycerza. Bardzo się zmienił. Ręka nie mogła już utrzymać dłóta, ani podnieść młota. Oko zagasło; uśmiech zawsze nacechowany uprzejmością, pozbawiony już był myśli i wyrazu, jak uśmiech dziecięcia. Mowa jego miała mało związku, lecz chwilami promień pamięci i dowcipu, przedzierał ciemności wyczerpanego pojęcia. Patrzałem na niego ze smutném zajęciem, którego wyrazić nie zdołam. Wolnym i wątłym krokiem przechodząc pracownię, od popiersia Goetego do Szyllera, od popiersia Szyllera do posągu Chrystusa, zatrzymał się nakoniec przy Szyllerze, i biorąc moją rękę w drżące swoje ręce, rzekł:

»Byliśmy przyjaciołmi jeszcze w wieku dziecinnym; pracowałem nad tém popiersiem z upodobaniem i z boleścią; nie podobna lepiéj zrobić. Gdy Szyller przybył do Luizburga, był chory; doniosł mi o tém. Oto słowa jego listu: Nie będę żyć długo; chciałbym ażebyś zrobił moje popiersie. I ja niczego mocniéj nie pragnąłem i jak najśpieszniéj poszedłem do jego mieszkania. Gdym przybył, żona jego siedziała na kanapie.—Ach! rzekła natychmiast, pan jesteś Dannecker! Szyller cię czeka. Zaprowadziła mię do bliskiego pokoju, gdziem ujrzał przyjaciela chorego, złożonego na łożu boleści. —Gdzie jest? zawołał Szyller: gdzie jest Dannecker? Twarz jego szczytną była w téj chwili, pełna nadziei, szczerości, mocy i tęsknoty. Musisz zachować ten wyraz, rzekłem natychmiast, i dla tego otocz się najlepszemi przyjaciołmi. Będziesz z niemi rozmawiać; zapomnisz o mnie; nie mogę razem mówić i pracować.« Zacząłem wykonywać popiersie na skalę zwyczajną, z zupełną i najskrupulatniejszą wiernością; ale całość wydała mi się bardzo mierną. Przerobiłem go potém w kolosalnéj wielkości i byłem zadowolony.

Starzec płakał; nagle zaćmiły się jego wspomnienia; opanowała go zno-

http://rcin.org.pl

wu dziecinność zgrzybiałości.—»Muszę ująć tych długich włosów. Teraz tak nie noszą. Już to wyszło z mody. Na Boga! nie czyń tego! zawołałem. —Odpowiedział pokazując mi dłoń swoją słabą i bezwładną: »Niestety! już nie mogę!«

KOŚCIÓŁ PANNY MARYI.

(z ryciną.)

z dzieła Ambr: Grabowskiego

KRAKÓW I JEGO OKOLICE.

Najpierwszym, ze względu okazałéj budowy i dawności, a drugim po katedrze co do wewnętrznéj wspaniałości, jest kościół Archi-prezbyteralny pod założeniem Wniebowzięcia N. Maryi Panny.

Swiątynia ta, stojąca w wschodniéj ścianie czworoboku tworzącego rynek krakowski i zdobiąca tenże najwyraźniéj; należy do najśmielszych i najpiękniejszych utworów architektury gotyckiéj. Starożytność jéj, wielkość, wysokość wież, a nadewszystko nieznana dzisiaj trwałość materyału i doskonałość roboty mularskiéj, które się potędze tylu wieków oparły, patrzącego na gmach ten niezmiernie zachwycają. Iwo Odrowąż, syn Saula z Końskich, biskup krakowski i kanclerz Leszka białego; wsparty składkami ludzi pobożnych, fundował ją dla przeniesienia do niéj fary z kościoła Ś. Trójcy, który Dominikanom oddał; a czas rozpoczętego budowania wykazuje napis, przy wielkim ołtarzu na murze będący.

D. O. M.
Beatissimae Virgini Mariae
in Coelum assumenae
Sacras has Aedes
Ivo Odrovosius Ep. Cr. erexit A. D. 1226.

Że budowa ta długi przeciąg czasu trwać musiała, naprowadza na domysł samo obejrzenie się na wielkość gmachu, a ztwierdzają starożytne świadectwa, mianowicie: że sławny Wierzynek za czasów Kazimierza W. żyjący, (w wieku XIV), tę część kościoła gdzie wielki ołtarz swoim nakładem murował; jako też że znakomici bogactwem Fuggerowie mieszczanie krakowscy, w wieku XV jeszcze do budowy gmachu tego przykładali się.

Jako naczelny kościół wszystkich parafij, leżący w środku miasta, uposażony funduszami na utrzymanie znacznéj liczby kapłanów, oraz zamożny w kosztowne apparaty; a z tąd gdy najwięcéj ludu pobożnego doń się zgromadzać zwykło, stosowną zatym do przeznaczenia swego wielkością się odznacza. (1) Sklepienie jego w wielkiéj łodzi kościoła *(in prima navi)* wspiera się na dziesięciu filarach ciosowych; a dwa boki, niższe daleko niż sama świątynia, które

(1) Architektoniczny wymiar kościoła P. Maryi.

Największa długość w świetle, łokci		118
—	— z grub: murow.	123
Największa szerokość w świetle		58
—	z grub: murów	61 i pół
Wysokość sklepienia	—	44
—	szczytu miedzianego pokrycia	66 i pół
—	wieży — —	116

http://rcin.org.pl

zwyczajem budowy gotyckiéj kończą się przy małym chórze, mieszczą w sobie dziesięć kaplic. Pokrycie miedzią nie dawne, należy się staraniom X. Jacka Łopackiego kanonika i archiprezbytera krakowskiego, z szczodrobliwéj ofiary Piotra Stadnickiego, kasztelana Wojnickiego, w miejsce zdjętéj ołowianéj blachy, pod któréj ciężarem uginające się wiązania, częstéj wymagały naprawy.

Nie małéj przydają gmachowi temu okazałości dwie wieże, z których jedna najwyższą jest w Krakowie a może i w całéj Polszcze; wznosi się ona wspaniale po nad wszystkie wieże kościołów Krakowskich i panuje nad miastem, na którego dnie świetności i sławy oraz na zmianę ich i przejście tylu pokoleń, sama przez czas długi nie uszkodzona patrzyła. Z funduszów miasta utrzymuje się ciągle na niéj straż, obowiązana dniem i nocą czuwać nad niebezpieczeństwem pożaru, i o wszczętym ostrzegać, oraz powtarzać godziny przez wybijanie ich w dzwony tam będące.

Na niższéj znajdują się znacznéj wielkości dzwony, o których nie będzie od rzeczy powtórzyć tu powiastkę umieszczoną w Kronice J. Bielskiego p. 210, z przydaniem i innych dowodów nadzwykłéj siły tego Herkulesa polskiego: »Andrzéj Ciołek, »syn Stanisława, dzwon u P. Maryi »wniósł sam na wieżę, któregoby nie »wciągnęło i 40 chłopów.

Jeżeli widok zewnętrzny świątyni téj przyjemne zadziwienie obudza; uczucie to wzrasta do wyższego daleko stopnia gdy się wewnątrz jéj wielkiemi wnijdzie drzwiami, a oczy widza piękną harmonią budowy téj uderzone zostaną. Przy znacznéj liczbie okien jest należycie i umiarkowanie jasną, nie wychodząc z warunku wymaganego przez wielu, aby miejsca czci *Najwyższego* poświęcone, dla utrzymania należnego świątyniom charakteru uroczystości i powagi, niezbyt oświeconemi były.

Znajduie się tu ołtarzów z marmuru a po części i hebanu, trzydzieści i dwa, z których największym i najwspanialszym, (acz tylko drewnianym), wielki ołtarz, zabytek starodawny snycerstwa XV. wieku, na święta uroczyste nakształt szafy otwierany. Część jego zewnętrzną składa dwanaście płaskorzeźb czworobocznych, dzieje życia Jezusa Chrystusa przedstawiających, a wewnątrz znajduje się wyobrażenie zaśnięcia N. Panny w obecności Apostołów. Posągi te naturalnéj wielkości, pełne zalet, wykazują niepoślednią biegłość w sztuce rzeźbienia snycerza imieniem Wit, krakowianina, który za to dzieło prawem obywatelstwa miejskiego nagrodzonym został. Lubo znacznie mniejszy, atoli z kształtu swego powszechnie jest chwalony ołtarz Ciborium (Bożego Ciała), z mozaiki i marmurów pięknéj rzeźby, i drugi obok niego stojący, znakomitéj okazałości, ołtarz ukrzyżowanego Pana Jezusa, z 4 kolumnami śpiżowemi, fundowany przez X. Jacka Łopackiego.

Wiele i pięknych nagrobowych monumentów okrywa mury świątyni. Są z czerwonego marmuru: lecz naj-

http://rcin.org.pl

godniejsze uwagi są odlewane z bronzu w kształcie płaskorzeźb, którym sławny Torwaldsen pochwałę przyznał.

Kościół ten bogatym jest także w liczne malowania: takiemi są wielkie obrazy tajemnic wiary, wzdłuż całego gmachu pod oknami będące. Prócz obrazu S. trzech Królów, w ołtarzu pod filarem po lewéj stronie od wielkich drzwi, malowanego w Florencyi; S. Wawrzyńca w Rzymie i niepokalanego poczęcia N. Panny w Wiedniu malowanych; we wszystkich ołtarzach znajdują się obrazy ręki Orłowskiego malarza krakowskiego. Zaś do rzadkich wybornego pędzla utworów, słusznie policzyć należy Zdjęcie z Krzyża,» obraz malowany na płótnie, jak wieść niesie, przez Tomasza Dolabellę, umieszczony po prawéj stronie na przeciw ołtarza P. Jezusa ukrzyżowanego, w ścianie pod małym chórem nad ławkami.

Nad wielkim ołtarzem, okna w starożytnym guście z kolorowych szyb układane (która sztuka z średnich wieków liczy się pomiędzy zaginione); niemniéj stalla czyli ławki obok tegoż ołtarza, pracowitą rzeźbą nie jednego już znawcy uwagę zastanowiły.

Prócz organ odpowiednich wielkością potrzebie miejsca, znajdują się tu dwie pozytywy: a drugie organy które były nad amboną, dopiero w r. 1821. zostały zdjęte; miejsce zaś ich zastępuje teraz wielki obraz Chrystusa pomiędzy doktorami, malowany przez Michała Stachowicza.

Gdy w życiu naszém tyle nadarza się chwil, w których czujemy potrzebę uczynienia zadosyć pobożnym natchnieniom serca; chwalebnym przeto zwyczajem, świątynia ta, podobnie jak świątynia katedralna krakowska, przez cały dzień aż do poźnego wieczora jest otwartą. Urządzenie takowe nadewszystko dogodne jest ludziom klassy roboczej, którym staranie o potrzeby życia cały dzień zajmuje. Wieczorem dopiero, gdy się ukończyły święte obrzędy, gdy ucichły głosy kapłanów; pracowity robotnik odłożywszy narzędzie co go żywi, śpieszy ukorzyć się u podnóża tronu władzcy świata; bo: »ubo»gi tylko lud obległszy ołtarze wzno»si do Boga zapracowane ręce; gdy »inni nie swoją wielkością dumni. »wzgardziwszy dawcą wszelkiego do»bra, odbiegli świętych jego przy»bytków.» Pewna zaś jest, że o téj porze, wpośród uroczystego milczenia, przy słabym połysku lampy, umysł człowieka najzdolniejszym jest do zebrania w sobie uczuć prawdziwą pobożnością tchnących.

W. BRYTANIA w r. 1833.

Baron d'Haussez ostatni minister marynarki, za panowania Karóla Xgo, jeden z tych który byłby dzielił nieszczęśliwy los Peyronetta i Poliniaka, gdyby nie był zdołał ujść do Anglii, wydał nowy i zajmujący zbiór spostrzeżeń o tym kraju, pod tytułem: Wielka Brytania w roku 1833: umieszczamy z niego następujący wyjątek.

http://rcin.org.pl

BYTNOŚĆ W ABBOT-FORD.

Na pozór pragnąc żyć w ukryciu, Walter-Scott zdołał pozyskać wielką sławę i używać jéj za życia swego. Nie można tego uważać za złe, niczyja bowiem sława, nie polegała na szlachetniejszéj podstawie, źródłem jéj był wielki talent, i szlachetne postępowanie. Lecz, aby zwrócić na siebie uwagę powszechną, Walter-Skott nie poprzestał na wydawaniu romansów czytanych we wszystkich częściach świata, podniecił ciekawość publiczną troskliwém ukrywaniem swego nazwiska. Nazwisko to, należało do zacnego Szkota, oziębłej powierzchowności, a którego proste obejście się wbłąd wprowadzało fizyonomistów, i dla tego musiał nareście zaprzestać onej bezimienności, znudzony tém, że jéj odgadnąć nie mogli. Podczas mojej podróży do Edymburga Walter-Skott mieszkał w Abbot-Ford, o trzydzieści sześć mil angielskich od tej stolicy. Uwiadomiony o tém iż go pragnę odwiedzić, zaprosił mię jak najuprzejmiej. Położenie Abbot-Ford nie jest malownicze, architektura dość dziwaczna. Walterskot naśladował w niéj budowę dwunastego i trzynastego wieku. Z przysionka weszliśmy do obszernej sali, której ściany zupełnie są pokryte zbrojami wszystkich wieków i ludów i rozmaitemi osobliwemi przedmiotami. Na lewo, wązkie drzwi wychodzą na kurytarz prowadzący do sali, jadalnéj, z tamtąd do salonu, przy którym jest obszerna biblioteka, zajmująca wyborem i mnogością tomów, ustawionych w szafach gotyckich. Z tą salą połącza się gabinet Walter-Skotta. Wązkie, spadziste i niewygodne schody prowadzą do pokojów na górę, szczupłych i wychodzących na kurytarz tak wązki, iż dwie osoby nie mogą nim iśdź obok siebie.

Umeblowanie w Abbot-Ford zgadza się z jego architekturą. Prawie wszystkie sprzęty są zabytkami historycznemi, a ich pierwotne przeznaczenie wskazują napisy wyryte na blachach miedzianych, wprawionych w meble. Aby wyobrazić sobie bogactwo i rozmaitość tego zbioru, trzeba wiedzieć że wszyscy magnaci angielscy zbogacili go starożytnemi pamiątkami.

Wysiadłszy z powozu, ujrzeliśmy wychodzącego naprzeciw nas, z całym pośpiechem na jaki mógł zdobyć się przy słabości w nogach, człowieka mającego lat pięćdziesiąt pięć do sześćdziesięciu. Był dosyć otyły, średniego wzrostu, poważny; twarz jego nie wiele miała wyrazu, nieco włosów bardzo jasnych, mieszało się z siwemi, oczy miał niebieskie i prawie obumarte, nos zaokrąglony, policzki pełne, coś niezdrowego w całej postaci swojej. Wszystko to, gdyby nie w Abbot-Ford, nie byłoby nam dało poznać człowieka, którego sława zajmowała świat literacki: a przecież był to Walter-Skott. Przyjął nas z grzecznością wolną od przepychu, oszczędną co do słów albo bardzo wymowną w czynach. Za kilka minut jużeśmy się oswoili z zwyczajami domu. Walter-Skott chociaż rozumie dobrze po francuzku, nigdy nie mówi tym językiem; nie u-

http://rcin.org.pl

miejąc dobrze po angielsku, nie mało doznałem trudności w rozmowie.

Weszliśmy do salonu, a przed nami dwa ogromne harty i dwa małe jamniki, które nieustannie towarzyszyły Walter-Skottowi. Przedstawiono nas pannie Skot, kilku sąsiadom i członkom familii. W tém pierwszém spotkaniu, panna Skot nie wiele miała ochoty do rozmawiania, jéj ojciec także nie przyczynił się do ożywienia rozmowy; nadaremnie naprowadzaliśmy ją na przedmiot, który powinien bydź dla niéj najprzyjemniejszy, to jest na Szkocyą i historyą średniego wieku: jéj krótkie odpowiedzi, co chwila przerywały rozmowę. Nazajutrz rano zwiedziłem okolice. Walter-Scott przyszedł do mnie udzielić mi żądanych objaśnień i zapytał się, czyli chcę obejrzéć jego bibliotekę. W téj to rozmowie, mógłem ocenić rodzaj jego dowcipu i przekonałem się, że jego wyobraźnia potrzebuje pomocy pióra, aby świetnym zajaśniała blaskiem. Uwagi swoje wyrażał sposobem krótkim i dosyć pospolitym, nie było w nich żadnych obszerniejszych spostrzeżeń. Dostrzegacz, który tak zręcznie wybadał i wystawił charaktery Ludwika XI, Elżbiety, Maryi Stuart, Jakóba I, zwyczaje i obyczaje tych czasów, w których żyły główne osoby z jego romansów, musiał, jak się zdawało, umieścić w pismach wszystkie swoje wspomnienia i zupełnie ogołocić z nich pamięć swoją; krótko mówiąc, autor Wawerleja, Rob-Roya, Kwentyn Durwarda, Antykwaryusza, i tylu innych dzieł bardzo znamienitych, nie starał się o to, aby w rozmowie swojéj utrzymał to wyobrażenie, jakie z dzieł jego powzięto o nim i zdawało się, że nie miał do tego zdolności a przynajmniéj nazwyczajenia. To prawda, że wtedy gdym go widział, już doznawał początku choroby, która go w półtora roku później o śmierć przyprawiła.

Uważano że we wszystkiem co mówił i pisał, przebija się to upodobanie w szczegółach, których zbyteczne nagromadzenie tyle szkodzi jego dziełom. Mówiąc, opowiadał najdrobniejsze okoliczności; pokazując nie pomijał niczego. W rozkładzie domu, w jego ozdobieniu, przebijała się ta skłonność do uważania tych przedmiotów pod wszystkiemi kształtami, do opisywania ich, nawet pod względem najmniéj zajmującym; potrzebował użyć wszystkiego co mu przeszło przez głowę. Obok tych drobiazgowości, znajdują się rzeczy bardzo piękne, wystawione z zadziwiającém talentem i smakiem. Może też temu usposobieniu przypisać należy oryginalne piętno, odróżniające dzieła tego autora, który pisał dla wszystkich stanów, dla wszystkich wieków i krajów, który nie znając nawet języka i towarzystwa Francyi, skreślił obraz, najznaczniejszych jéj epok i historyi. Potomność wolna od zbytecznego zamiłowania w pracach Walter-Scotta, uczyni wybór pomiędzy niemi, i przywiąże się do obrazów tchnących prawdą, do charakterów cudownie skreślonych i do opisów pełnych wdzięku. Walter-Scott, ceniony był za życia, tak, jakby to mogła najsprawiedliwsza i najbezstronniejsza potomność uczynić, i trzeba wyznać na jego zaletę, że takie pochlebianie nie uszkodziło prostoty i dobroci jego charakteru.

CZYTELNI JANA A. PELARA W RZESZOWIE
http://rcin.org.pl

REGESTR

Artykułów objętych w Tomie III.

	stronnica
Sabaudczyk. (Ciąg dalszy) . . .	1, 29, 59, 89, 119.
Eskuryal. (z ryciną)	117.
Ratusz w Poznaniu. (z ryciną)	144.
Wspomnienia wędrownika: starożytne i tegoczesne miasta półwyspu Iberyjskiego.	147.
Kościół Panny Maryi w Krakowie. (z ryciną) . . .	172.
W. Brytania w roku 1833	174.

INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH PAN BIBLIOTEKA

P. T. 1364

http://rcin.org.pl

100,7

akc. 461/66/W

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

1467000000

1467000 25

73 3500000

2934000000

3667500000

http://rcin.org.pl

P.I.
1364